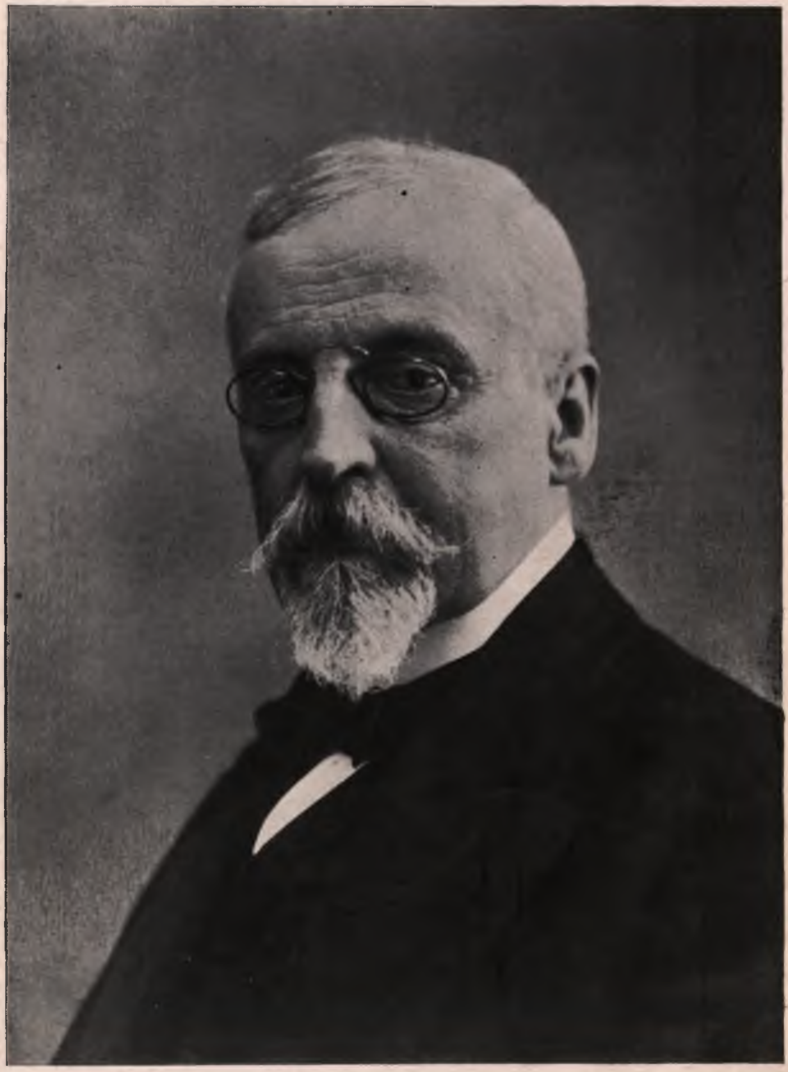
Henryk Sienkiewicz

Krzyżacy

1.000-



Henryk Sienkiewicz

Henryk Sienkiewicz

Krzyżacy

Powieść historyczna
z 9 ilustracjami

Olsztyn 1930

Nakładem wydawnictwa „Mazur"
Drukiem S. Pieniężnego („Gazeta Olsztyńska")
(Allenstein Ostpr.)

Henryk Sienkiewicz.

Henryk Sienkiewicz urodził się 5 maja 1846 r. w Woli Okrzejskiej (powiat łukowski wojew. lubelskie) z ojca Józefa i matki Stefanji z Cieciszowskich. Wychowywał się początkowo na wsi u rodziców, gimnazjum i uniwersytet[1]) kończył w Warszawie. Od roku 1871 pracował jako dziennikarz w kilku pismach warszawskich, wkrótce jednak poświęcił się wyłącznie pracy powieściopisarskiej. Podróżował bardzo dużo. Zwiedził wiele krajów europejskich, Amerykę i Afrykę. Napisał wiele powieści, nowel i drobniejszych opowiadań. Zmarł 15 listopada 1916 r. w Vevey w Szwajcarji, przeżywszy lat 71.

* * *

Sienkiewicz jest jednym z największych powieściopisarzy świata, a bezwątpienia największym pisarzem polskim. Utwory jego, to prawdziwe arcydzieła. Czyta się je z bezustannem zainteresowaniem od początku do końca, niemal jednym tchem. To też książki jego są znane, jak Polska długa i szeroka. Czyta je rolnik, robotnik, mieszkaniec miasta i wsi, biedny i bogaty. Ale i zagranicą też rozbrzmiewa jego sława. Powieści Sienkiewicza przetłumaczono na 17 języków. Zna je każdy kulturalny człowiek na świecie. Na pamiętnym obchodzie jubileuszowym ku jego czci delegaci uniwersytetów amerykańskich zaświadczyli głośno, że przybywają z kraju, gdzie każdy mieszkaniec ma w swem sercu Kuściuszkę a w swoim domu obok Pisma Świętego także i „Quo Vadis"[2]). Według obliczeń bibliografów[3]) angielskich „na rekordzie wszechświatowym literatury XIX wieku palma pierwszeństwa przypada w udziale Sienkiewiczowi".

Tę sławę zdobyła mu „Trylogja"[4]), a przedewszystkiem „Quo Vadis", za którą to powieść otrzymał Sienkiewicz najwyższe międzynarodowe odznaczenie literackie — nagrodę Nobla.

* * *

---

[1]) Uniwersytet — wyższa szkoła.

[2]) „Quo Vadis" — słynna powieść Sienkiewicza, przetłumaczona na wszystkie języki i znana w całym świecie.

[3]) Bibljograf — człowiek, zajmujący się zbieraniem wiadomości o książkach.

[4]) „Trylogja" — powieść, składająca się z trzech oddzielnych powieści. Tak nazywa się powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski".

Ale Sienkiewicz jest nie tylko jednym z najsławniejszych pisarzy polskich. Ma on też ogromne zasługi dla sprawy ojczystej i wywarł przemożny, a dobroczynny wpływ na nasze społeczeństwo i na naszą historję.

Jego życie i praca przypada przeważnie na czas najokropniejszej niewoli narodu naszego. Po stłumieniu powstania 1863 r. zaborcy zamyślili zniszczyć plemię polskie. Nastały czasy nieznanego dotychczas ucisku. Rosjanie chcieli nam wydrzeć wiarę, mowę, ziemię. Pod prusakiem nie lepiej się nam działo. Były tu przecież czasy Bismarcka, czasy prześladowań i ucisku. Najdzielniejsi w narodzie wyginęli w powstaniu, lub na szubienicach, zapełniali więzienia i katorgi rosyjskie, lub tułali się na obczyźnie. Tym, co zostali w kraju, zdawało się, że wszystko przepadło. I jakże trudno było wierzyć w jasną przyszłość narodowi bezbronnemu, podzielonemu pomiędzy 3 wielkie mocarstwa. To też odzywać się zaczęły głosy rozpaczy i zwątpienia. Znaleźli się nawet mądrale, co zaczęli dowodzić, iż należy pogodzić się z losem i pokornie znosić panowanie ciemiężców.

Wtedy wystąpił Henryk Sienkiewicz ze swymi powieściami. W „Ogniem i mieczem”, „Potopie” i „Panu Wołodyjowskim”, przedstawił te straszliwe czasy, kiedy w połowie 17 wieku na Polskę zwalili się wszyscy sąsiedzi i zaleli ją jak potop. A jednak naród nasz potrafił podźwignąć się z klęski i wypędzić najeźdźców.

W „Quo Vadis” zaś opisał dzieje pierwszych chrześcijan. Wielka była potęga pogańskiego Rzymu, słabi i bezbronni byli pierwsi chrześcijanie. A jednak św. Piotr zwyciężył Nerona. Bo dobro i prawda zawsze zwyciężyć musi, a krótki i przemijający jest triumf zła i kłamstwa.

Czytała te powieści cała Polska. Stawała nam przed oczy, jak żywa, wielka i świetna przeszłość narodu. Odżyły wielkie czyny rycerstwa polskiego. Krew burzyła się w żyłach. Przemijało zwątpienie. Nadzieja i otucha wstępowała w dusze, wiara w świętość sprawy polskiej, poczucie dumy narodowej wzbierało w sercach młodzieży.

Wielki pisarz uczył i nauczył naród polski, „że niemasz takowych terminów, z którychby się viribus unitis i przy Boskich auxiliach wydobyć nie było można”.¹)

Na powieściach Sienkiewicza wychowało się całe to pokolenie polskie, które w latach 1914 do 1920 walczyło o niepodległość ojczyzny.

To też Sienkiewicza otoczył naród polski swą miłością, szacunkiem i sławą. W r. 1900, w dwudziestopięciolecie jego pracy pisarskiej, ofiarowano mu majątek Oblęgorek, położony o 18 km od Kielc, a zakupiony ze składek, zbieranych w całej Polsce.

Ale nie tylko Polska, lecz i cały świat cywilizowany złożył w tym dniu hołd wielkiemu Polakowi.

---

¹) czyli, mówiąc poprostu: niema tak ciężkiego położenia, z którego nie możnaby się było wydostać wspólnemi siłami i przy Boskiej pomocy.

Niestety nie dożył on radosnej chwili uwolnienia Polski od najeźdźców. Zmarł w Szwajcarji 15 listopada 1916 w parę dni po uzyskaniu niepodległości Polski.

Ale zato, gdy ucichły odgłosy wojny i naród polski wziął się do pracy pokojowej, sprowadzono zwłoki Mistrza do kraju i wyprawiono mu tak wspaniały pogrzeb, jaki rzadko który naród wyprawia swym książętom. Dnia 26 i 27 października 1924 r. odbyły się w Warszawie te żałobne uroczystości przy udziale nieprzejrzanych tłumów, przybyłych z całego kraju. Prochy jego złożono w oddzielnej krypcie w Katedrze św. Jana w Warszawie.[1])

* * *

Nie jest Sienkiewicz obcy Mazurom. Był dwa razy w naszych stronach, zwiedzał je i interesował się żywo losem ludu tutejszego. Wtedy to poznał stosunki i okolice mazurskie i opisał je później tak pięknie w „Krzyżakach". W powieści tej malował Sienkiewicz obraz zmagania się Polski z Zakonem Krzyżackim i wielkie zwycięstwo przodków naszych pod Grunwaldem.

Dlatego właśnie tę powieść oddajemy dziś do rąk Ludu Mazurskiego. Czytając ją, niech się uczy dziejów swej ziemi i swego narodu. Niech pozna chwałę i świetność naszej historji. I niech mu będzie ona pokrzepieniem w ciężkich dniach dzisiejszych.

„Praojcom na chwałę, potomnym na otuchę!"

---

[1]) Katedra św. Jana — tuż obok zamku Królów polskich — jest największą świątynią w Warszawie. Tu spoczywają zwłoki ostatnich książąt mazowieckich. Tu również pochowano pierwszego Prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej, ś. p. Gabryela Narutowicza.

Wykaz ważniejszych dzieł H. Sienkiewicza:

„Ogniem i Mieczem"
„Potop"
„Pan Wołodyjowski"
„Quo Vadis"
„Krzyżacy"
„Bez dogmatu"
„Rodzina Połanieckich"
„Wiry"
„Na polu chwały"
„W pustyni i w puszczy"
„Na marne"
„Bartek Zwycięzca"
„Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela"
„Janko muzykant"
„Latarnik"
„Za chlebem"
„Stary sługa"
„Hania"
„Selim Mirza"
„Ta trzecia"
„Szkice węglem"
„Listy z podróży"
„Listy z Afryki"

i wiele innych nowel, opowiadań, artykułów itp.

1.

W Tyńcu, w gospodzie pod „Lutym Turem", należącej do opactwa, siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach, jakich na wojnie i w czasie podróży doznał.

Człek był brodaty, w sile wieku, pleczysty, prawie ogromny, ale wychudły; włosy nosił ujęte w pątlik, czyli w siatkę, nazywaną paciorkami; na sobie miał skórzany kubrak z pręgami, wyciśniętemi przez pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr; za pasem nóż w rogowej pochwie, przy boku zaś krótki kord podróżny.

Tuż przy nim, za stołem, siedział młodzieńczyk o długich włosach i wesołem spojrzeniu, widocznie jego towarzysz, lub może giermek, bo przybrany także po podróżnemu, w taki sam powyciskany od zbroicy skórzany kubrak. Resztę towarzystwa stanowiło dwóch ziemian z okolic Krakowa i trzech mieszczan w czerwonych składanych czapkach, których cienkie końce zwieszały się im z boku aż na łokcie.

Gospodarz, Niemiec, w płowym kapturze z kołnierzem wycinanym w zęby, lał im z konwi sytne piwo do glinianych stągiewek i nasłuchiwał ciekawie przygód wojennych.

Jeszcze ciekawiej jednak słuchali mieszczanie. W owych czasach nienawiść, jaka dzieliła za czasów Łokietkowych miasto od rycerskiego ziemiaństwa, znacznie już była przygasła, mieszczaństwo zaś nosiło głowy górniej, niż w wiekach późniejszych. Jeszcze ceniono ich gotowość „ad concessionem pecuniarum"; dlatego też nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców, pijących za pan brat ze szlachtą. Widziano ich nawet chętnie, bo jako ludzie, u których o gotowy grosz łatwiej, płacili zwykle za herbowych.

Tak więc siedzieli teraz i rozmawiali, mrugając od czasu do czasu na gospodarza, aby napełniał stągiewki.

— Toście, szlachetny rycerzu, zwiedzili kawał świata? — rzekł jeden z kupców.

— Niewielu z tych, którzy teraz ze wszystkich stron ściągają do Krakowa, widziało tyle — odpowiedział przybyły rycerz.

— A niemało ich ściągnie — mówił dalej mieszczanin. — Wielkie gody i wielka szczęśliwość dla królestwa! Prawią też, i to pewna, że król kazał całą łożnicę królowej złotogłowem, szytym perłami, wysłać i takiż baldachim nad nią uczynić. Zabawy będą i gonitwy w szrankach, jakich świat dotąd nie widział.

— Kumotrze Gamroth*), nie przerywajcie rycerzowi — rzekł drugi kupiec.

— Nie przerywam ja, kmotrze Eyertreter*), tylko tak myślę, że i on rad będzie wiedział, co prawią, bo pewnie sam do Krakowa jedzie. Nie wrócim i tak dziś do miasta, gdyż bramy przedtem zamkną, a w nocy gad, który się w wiórach rodzi, spać nie daje, więc mamy czas na wszystko.

— A wy na jedno słowo odpowiadacie dwadzieścia. Starzejecie się, kmotrze Gamroth!

— Ale sztukę wilgotnego sukna pod jedną pachą jeszcze dźwignę.

— O wa! takiego, co się przez nie świeci, jak przez sito.

Lecz dalszą sprzeczkę przerwał podróżny wojak, który rzekł:

— Pewnie, że w Krakowie ostanę, bom słyszał o gonitwach i rad w szrankach siły mojej popróbuję — a i ten mój bratanek także, który choć młody i gołowąs, nie jeden już pancerz widział na ziemi.

Goście spojrzeli na młodzieńca, który uśmiechnął się wesoło i, założywszy rękoma długie włosy za uszy, podniósł następnie do ust naczynie z piwem.

Stary zaś rycerz dodał:

— Wreszcie, choćbyśmy chcieli wracać, to nie mamy dokąd.

— Jakże to? — zapytał jeden ze szlachty. — Skąd jesteście i jako was zowią?

— Ja zowię się Maćko z Bogdańca, a ten tu wyrostek, syn mego rodzonego, woła się Zbyszko. Herbu jesteśmy. Tępa Podkowa, a zawołania Grady!

— Gdzie-że jest wasz Bogdaniec?

— Ba! lepiej pytajcie, panie bracie, gdzie był, bo go już niema. Hej! jeszcze za czasów wojny Grzymalitczyków z Nałęczami spalili nam do cna nasz Bogdaniec tak, że jeno stary dom ostał, a co było, pobrali, służebni zasię uciekli. Została goła ziemia, bo i kmiecie, co byli w sąsiedztwie, poszli dalej w puszczę. Odbudowaliśmy z bratem, ojcem tego oto wyrostka, ale następnego roku woda nam pobrała. Potem brat umarł, a jak umarł, ostałem sam z sierotą. Myślałem tedy: nie usiedzę! A prawili pod on czas o wojnie i o tem, że Jaśko z Oleśnicy, którego król Władysław po Mikołaju z Moskorzowa do Wilna wysłał, szuka skrzętnie w Polsce rycerzy. Znając ja więc godnego opata i krewniaka naszego, Janka z Tulczy, zastawiłem mu ziemię, a za pieniądze kupiłem zbroiczkę, konie — opatrzyłem się jako zwykle na wojenną wyprawę; chłopca, co mu było dwanaście lat, wsadziłem na podjezdka i haj! do Jaśka z Oleśnicy.

— Z wyrostkiem?

— Nie był ci on wówczas nawet wyrostkiem, ale krzepkie to było od małego. Bywało w dwunastym roku oprze kuszę o ziemię, przyciśnie brzuchem i tak korbą zakręci, że i żaden z Angielczyków, którychmeśmy pod Wilnem widzieli, lepiej nie naciągnie.

— Takiż był mocny?

---

*) Nazwiska, a raczej przezwiska współczesne.

— Hełm za mną nosił, a jak mu przyszło trzynaście zim, to i paważ.

— Juz to wojny wam tam nie brakło.

— Za przyczyną Witoldową. Siedziało książę u Krzyżaków i co roku wyprawy na Litwę pod Wilno czynili. Szedł z nimi różny naród: Niemcy, Francuzy, Angielczykowie do łuków najprzedniejsi, Czechy, Szwajcary i Burgundy. Lasy przesiekli, zamki po drodze stawiali i wkońcu okrutnie Litwę ogniem i mieczem pognębili tak, że cały naród, który tę ziemię zamieszkuje, chciał już ją porzucić i szukać innej, choćby na kraju świata, choćby między dziećmi Beliala, byle od Niemców daleko.

— Słychać było i tu, że wszyscy Litwini chcieli pójść z dziećmi i żonami precz, aleśmy temu nie wierzyli.

— A ja na to patrzył. Hej! Gdyby nie Mikołaj z Moskorzowa, nie Jaśko z Oleśnicy, a nie chwaląc się, gdyby i nie my, nie byłoby już Wilna.

— Wiemy. Zamkuście nie dali.

— A nie daliśmy. Pilno tedy zważcie, co wam powiem, bom człek służały i wojny świadom. Starzy jeszcze mawiali: „zajadła Litwa" — i prawda! Dobrze się oni potykają, ale z rycerstwem nie im się w polu mierzyć. Gdy konie Niemcom w bagnach polgną, albo gdy gęsty las — to co innego.

— Niemcy dobrzy rycerze! — zawołali mieszczanie.

— Murem oni chłop przy chłopie w żelaznych zbrojach stają, tak okryci, że ledwie psubratu oczy przez kratę widać. I ławą idą. Uderzy, bywało, Litwa i rozsypie się, jako piasek, a nie rozsypie się, to ją mostem położą i roztratują. Nie sami też między nimi Niemcy, bo co jest narodów na świecie, to u Krzyżaków służy. A chrobre są! Nieraz pochyli się rycerz, kopię przed się wyciągnie i sam jeden, jeszcze przed bitwą, w całe wojsko bije, jako jastrząb w stado.

— Christ! — zawołał Gamroth — którzy też z nich najlepsi?

— Jak do czego. Do kuszy najlepszy Angielczyk, któren pancerz na wylot strzałą przewdzieje, gołębia na sto kroków utrafi. Czechowie okrutnie toporami sieką. Do dwuręcznego brzeszczota niemasz nad Niemca. Szwajcar rad żelaznym cepem hełmy tłucze, ale najwięksi rycerze są ci, którzy z francuskiej ziemi pochodzą. Taki będzie ci się bił z konia i piechotą, a przytem będzie ci okrutnie waleczne słowa gadał, których wszelako nie wyrozumiesz, bo to jest mowa taka, jakobyś cynowe misy potrząsał, chociaż naród jest pobożny. Przymawiali nam przez Niemców, że pogan i Saracenów przeciw krzyżowi bronimy i obowiązywali się dowieść tego rycerskim pojedynkiem. Ma się też takowy sąd boży odbyć między czterema ich i czterema naszymi rycerzami, a zrok naznaczon jest na dworze, u Wacława, króla rzymskiego i czeskiego.*)

Tu większa jeszcze ciekawość ogarnęła ziemian i kupców tak, że

---

*) Historyczne.

aż powyciągali szyje ponad kuflami w stronę Maćka z Bogdańca i nuż pytać:

— A z naszych którzy są? Mówcie żywo!

Maćko zaś podniósł naczynie do ust, napił się i odrzekł:

— Ej, nie bójcie się o nich. Jest Jan z Włoszczowy, kasztelan Dobrzyński, jest Mikołaj z Wasmuntowa, jest Jaśko ze Zdakowa i Jarosz z Czechowa: wszystko rycerze na schwał i chłopy morowe. Pójdą-li na kopie, na miecze, albo na topory — nie nowina im. Będą miały oczy ludzkie na co patrzeć i uszy czego słuchać — bo jako rzekłem, Francuzowi gardziel nogą przyciśniesz, a on ci jeszcze rycerskie słowa prawi. Tak mi też dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako tamci przegadają, a nasi pobiją.

— Będzie sława, byle Bóg pobłogosławił — rzekł jeden ze szlachty.

— I św. Stanisław! — dodał drugi.

Poczem, zwróciwszy się do Maćka, jął rozpytywać dalej:

— Nuże! powiadajcie! Sławiliście Niemców i innych rycerzy, że chrobre są i że łatwo Litwę łamali. A z wami nie ciężej-że im było? Zali równie ochotnie na was szli? Jakże Bóg darzył? Sławcie naszych!

Lecz Maćko z Bodgańca nie był widocznie samochwał, bo odrzekł skromnie:

— Którzy świeżo z dalekich krajów przyszli, ochotnie na nas uderzali, ale popróbowawszy raz i drugi, już nie z takiem sercem. — Bo jest nasz naród zatwardziały, którą to zatwardziałość często nam wymawiali: „Gardzicie śmiercią (prawią), ale Saracenów wspomagacie, przez co potępieni będziecie!” A w nas zawziętość jeszcze rosła, gdyż nieprawda jest! Oboje królestwo Litwę ochrzcili i każden tam Chrystusa Pana wyznawa, chociaż nie każden umie. Wiadomo też, że i nasz pan Miłościwy, gdy dyabła w katedrze w Płocku na ziem zrzucono, kazał mu ogarek postawić — i dopiero księża musieli mu gadać, że tego się czynić nie godzi. A cóż pospolity człowiek! Niejeden też sobie mówi: „Kazał się kniaź ochrzcić, tom się ochrzcił, kazał Chrystu czołem bić, to biję, ale po co mam starym pogańskim dyabłom okruszyny twaroga żałować, albo im pieczonej rzepy nie rzucić, albo piany z piwa nie ulać. Nie uczynię tego, to mi konie padną, albo krowy sparzeją, albo mleko od nich krwią zajdzie — albo w żniwach będzie przeszkoda”. I wielu też tak czyni, przez co się w podejrzenie podają. Ale oni to robią z niewiadomości i z bojaźni dyabłów. Było onym dyabłom drzewiej dobrze. Mieli swoje gaje, wielkie numy i konie do jazdy i dziesięcinę brali. A ninie gaje wycięte, jeść niema co — dzwony po miastach biją, więc się to paskudztwo w najgęstsze bory pozaszywało i tam z tęskności wyje. Pójdzie Litwin do lasu, to go w chojniakach jeden i drugi za kożuch pociągnie — i mówi: „Daj!” Niektórzy też dają, ale są i śmiałe chłopy, co nie chcą nic dać, albo ich jeszcze łapią. Nasypał jeden prażonego grochu do wołowej mechery, to mu trzynastu dyabłów zaraz wlazło. A on zatknął ich jarzębowym kołkiem i księżom Franciszkanom na przedaż do Wilna przyniósł, którzy dali mu z chęcią

dwadzieścia skojców, aby nieprzyjaciół imienia Chrystusowego zgładzić. Sam tę mecherę widziałem, od której sprośny smród zdaleka w nozdrzech człowiekowi wiercił — bo tak to one bezecne duchy strach swój przed święconą wodą okazywały...

— A kto rachował, że ich było trzynastu? — spytał roztropnie kupiec Gamroth.

— Litwin rachował, który widział, jak lezli. Widać było, że są, bo to z samego smrodu można było wymiarkować, a kołka wolał nikt nie dotykać.

— Dziwy też to, dziwy! — zawołał jeden ze szlachty.

— Napatrzyłem ja się wielkich dziwów niemało, gdyż — nie można rzec: naród to jest dobry, ale wszystko u nich osobliwe. Kudłaci są i ledwie który kniaź włosy trefi; pieczoną rzepą żyją, nad wszelkie jadło ją przekładając, bo mówią, że męstwo od niej rośnie. W numach swych razem z dobytkiem i wężami żyją; w piciu i jedle nie znają pomiarkowania. Za nic zamężne niewiasty mają, ale panny bardzo szanują i moc wielką im przyznają: że byle dziewka natarła człeku suszonym jaterem żywot, to kolki od tego przechodzą.

— Nie żal i kolek dostać, jeśli niewiasty cudne! — zawołał kum Eyertreter.

— O to zapytajcie Zbyszka — odrzekł Maćko z Bogdańca.

Zbyszko zaś roześmiał się, aż ława pod nim poczęła drgać.

— Bywają cudne! — rzekł — alboż Ryngałła nie była cudna?

— Coże to za Ryngałła? pochutnica jakować, czy co? Żywo!

— Jakże to? Nie słyszeliście o Ryngalle? — pytał Maćko.

— Nie słyszeliśmy ni słowa.

— To przecie siostra księcia Witoldowa, a żona Henryka, księcia Mazowieckiego.

— Nie powiadajcie! Jakiego księcia Henryka? Było jedno książę Mazowieckie tego imienia elektem płockim, ale zmarło.

— Ten ci sam był. Miały mu przyjść z Rzymu dyspensy; ale śmierć dała mu pierwej dyspensę, gdyż widocznie niezbyt postępkiem swoim Boga ucieszył. Byłem wtedy posłany z pismem od Jaśka z Oleśnicy do księcia Witolda, kiedy od króla przyjechał do Rytersweder książę Henryk, elekt płocki. Już się była Witoldowi wojna wtedy uprzykrzyła, dlatego właśnie, że Wilna nie mógł dobyć, a królowi naszemu uprzykrzyli się rodzeni bracia i ich rozpusta. Widząc tedy król większą u Witolda, niż u swych rodzonych, obrotność i większy rozum, posłał do niego biskupa z namową, by Krzyżaków porzucił i do posłuszeństwa się nakłonił, za co mu rządy Litwy miały być oddane. A Witold, chciwy zawsze odmiany, mile poselstwa wysłuchał. Były też i uczty i gonitwy. Nad elekt konia dosiadał, choć inni biskupi tego nie chwalą, i w szrankach siłę swą rycerską okazywał. A mocarni są z rodu wszyscy książęta mazowieccy — jako jest wiadomo, że nawet i dzieweczki z tej krwie łacnie podkowy łamią. Raz przeto zbił książę z siodeł trzech rycerzy, drugi pięciu — a z naszych mnie zwalił, i pod Zbyszkiem koń przy natarciu na zadzie siadł. Nagrody zaś brał wszystkie z rąk cudnej Ryngałły, przed którą w pełnej zbroi klękał. I rozmiłowali

się tak w sobie, że na ucztach ciągnęli go od niej za rękawy clerici, którzy z nimi przyjechali, a ją brat Witold hamował. Dopieroż książę mówił: „Sam sobie dyspensę dam, a Papież mi ją, jeśli nie rzymski, to awinioński, potwierdzi, a ślub zaraz ma być, bo zgorzeję!" Wielka była obraza boska, ale nie chciał się Witold przeciwiać, by posła królewskiego nie zlisić — i ślub był. Potem dojechali do Suraża, a potem do Słucka, z wielkim żalem tego oto Zbyszka, który sobie niemieckim obyczajem księżnę Ryngałłę na panię serca obrał i dozgonną wierność jej ślubował...

— Ba! — przerwał nagle Zbyszko — prawda jest! Ale potem ludzie mówili, że księżna Ryngałła, pomiarkowawszy, że nie przystoi jej być za elektem (bo ów, choć się ożenił, godności swej duchownej się wyrzec nie chciał) i że nie może być nad takiem stadłem błogosławieństwa boskiego, otruła męża. Co ja usłyszawszy, prosiłem jednego świątobliwego pustelnika pod Lublinem, by mnie od tego ślubowania rozwiązał.

— Był ci on pustelnikiem — odparł, śmiejąc się Maćko — ale czy był świątobliwy — nie wiem, bośmy go w piątek w boru zajechali a on kości niedźwiedzie toporem łupał i śpik wysysał, aż mu gardziel grała.

— Ale mówił, że śpik to nie mięso, a oprócz tego, że uprosił sobie na to pozwoleństwo, gdyż po śpiku widzenia cudowne we śnie miewa i nazajutrz prorokować może do południa.

— No! no! — odrzekł Maćko. — A cudna Ryngałła wdowa jest i może cię na służbę wezwać.

— Po próżnicyby wzywała, bo ja sobie inną panią obiorę, której do śmierci będę służył, a potem i żonę znajdę.

— Pierwej znajdź rycerski pas.

— O wa! albo to nie będzie gonitew po połogu królowej? A przedtem, albo potem, król będzie nie jednego pasował. Stanę ja każdemu. Książę nie byłby mnie także obalił, żeby mi koń na zadzie nie siadł.

— Będą tu lepsi od ciebie.

Na to ziemianie z pod Krakowa poczęli wołać:

— Na miły Bóg! toż tu przed królową wystąpią nie tacy, jak ty, ale rycerze w świecie najsławniejsi. Będzie gonił Zawisza z Garbowa, i Farurey, i Dobko z Oleśnicy, i taki Powała z Taczewa, i taki Paszko Złodziej z Biskupic, i taki Jaśko Naszan, i Abdank z Góry, i Andrzej z Brochocic, i Krystyn z Ostrowa, i Jakób z Kobylan!... Gdzie ci się z nimi mierzyć, z którymi ni tu, ni na dworze czeskim, ni na węgierskim nikt mierzyć się nie może. Cóż to, prawisz; lepszyś od nich? Ile ci roków?

— Ośmnasty — odpowiedział Zbyszko.

— Tedy cię każdy między knykciami zgniecie.

— Obaczym.

Lecz Maćko rzekł:

— Słyszałem, że król hojnie nagradza rycerzy, którzy z wojny litewskiej wracają. Mówcie, którzy stąd jesteście: prawda-li to?

— Dalibóg, prawda! — odrzekł jeden ze szlachty. — Wiadoma po świecie hojność królewska, jeno się teraz docisnąć do niego nie będzie łatwo, gdyż w Krakowie aż się roi od gości, którzy się na połóg królowej i na chrzciny zjeżdżają, chcąc przez to panu naszemu cześć, albo hołd oddać. Ma. być król węgierski, będzie, jako powiadają i cesarz rzymski, i różnych książąt, a komesów i rycerzy jako maku, że to każdy się spodziewa, iż z próżnemi rękoma nie odejdzie. Prawili nawet, ize sam papież Bonifacy zjedzie, któren także łaski i pomocy naszego pana przeciw swemu nieprzyjacielowi z Awinionu potrzebuje. Owóż w takim natłoku nie łatwo będzie o dostęp, ale byle dostęp znaleźć, a pana pod nogi podjąć — to już zasłużonego hojnie opatrzy.

— To go i podejmę, bom się wysłużył a jeżeli wojna będzie, to jeszcze pójdę. Wzięło się tam coś łupem, a coś od księcia Witolda na nagrodę, i biedy niema, tylko, że już mi wieczorne lata nadchodzą, a na starość, gdy siła z kości wyjdzie, radby człek miał kąt spokojny.

— Mile król widział tych, którzy z Litwy pod Jaśkiem z Oleśnicy wrócili — i wszyscy oni tłusto teraz jadają.

— Widzicie! A jam wtedy jeszcze nie wrócił — i dalej wojowałem. Bo trzeba wam wiedzieć, że się ta zgoda między królem a kniaziem Witoldem na Niemcach skrupiła. Kniaź chytrze zakładników pościągał, a potem, haj-że na Niemców! Zamki poburzył, popalił, rycerzy pobił, siła ludu wyścinał. Chcieli się Niemcy mścić, razem ze Świdrygiełłą, który do nich uciekł. Była znów wielka wyprawa. Sam mistrz Kondrat na nią poszedł z mnogim ludem. Wilno oblegli, próbowali z wież okrutnych zamki burzyć, próbowali zdradą ich dostać — nic nie wskórali! A za powrotem tyle ich legło, że i połowa nie wyszła. Wychodziliśmy jeszcze w pole przeciw Ulrykowi z Jungingen, bratu mistrzowemu, który jest wójtem Sambijskim. Ale się wójt kniazia przeląkł i z płaczem uciekł, od której to ucieczki jest spokój — i miasto na nowo się buduje. Jeden też święty zakonnik, który po rozpalonem żelazie boso mógł chodzić, prorokował, że od tej pory, póki świat światem, Wilno zbrojnego Niemca pod murami nie obaczy. Ale jeśli tak będzie, to czyjeż to ręce uczyniły?

To rzekłszy, Maćko z Bogdańca wyciągnął przed się dłonie — szerokie i nadmiar potężne — inni zaś poczęli kiwać głowami i przyświadczać:

— Tak! tak! praw w tem, co powiada! Tak!

Lecz dalszą rozmowę przerwał gwar, dochodzący przez okna z których błony były powyjmowane, albowiem noc zapadła ciepła i pogodna. Zdala słychać było brząkanie, ludzkie głosy, parskanie koni i śpiewy. Zdziwili się obecni, albowiem godzina była późna i księżyc wysoko już wzbił się na niebo. Gospodarz Niemiec wybiegł na podwórzec gospody, lecz nim goście zdołali wychylić do dna ostatnie kufle, wrócił jeszcze pośpieszniej, wołając:

— Dwór jakowyś wali!

W chwilę zaś później we drzwiach zjawił się pachołek w błękitnym kubraku i składanej czerwonej czapce na głowie. Stanął, spojrzał po obecnych i, ujrzawszy gospodarza, rzekł:

— Wytrzeć tam stoły i światła naniecić: księżna Anna Danuta na odpoczynek się tu zatrzyma.

To rzekłszy, zawrócił. W gospodzie uczynił się ruch: gospodarz począł wołać na czeladź, a goście spoglądali ze zdumieniem jeden na drugiego.

— Księżna Anna Danuta — mówił jeden z mieszczan — toć to Kiejstutówna, żona Janusza Mazowieckiego. Ona już od dwóch niedziel w Krakowie, jeno że wyjeżdżała do Zatora, do księcia Wacława w odwiedziny, a ninie pewno wraca.

— Kmotrze Gamroth — rzekł drugi mieszczanin — pójdźmy na siano do stodółki: zawysoka to dla nas kompania.

— Że nocą jadą, to mi niedziwno — ozwał się Maćko — bo w dzień upał, ale czemu, mając pod bokiem klasztor, do gospody zajeżdżają?

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Rodzona siostra cudnej Ryngałły: rozumiesz?

A Zbyszko odrzekł:

— I mazowieckich panien siła musi z nią być: hej!

2.

A wtem przez drzwi weszła księżna — pani średnich lat ze śmiejącą się twarzą, przybrana w czerwony płaszcz i szatę zieloną, obcisłą, z pozłoconym pasem na biodrach, idącym wzdłuż pachwin i zapiętym nizko wielką klamrą. Za panią szły panny dworskie, niektóre starsze, niektóre jeszcze niedorosłe, w różowych i liliowych wianuszkach na głowach po większej części z lutniami w ręku .Były i takie, które niosły całe pęki kwiatów, świeżych, widocznie uzbieranych po drodze. Zaroiła się izba, bo za pannami ukazało się kilku dworzan i małych pacholików. Weszli wszyscy rażno, z wesołością w twarzach, rozmawiając głośno, lub podśpiewując, jakoby upojeni pogodną nocą i jasnym blaskiem księżyca. Między dworzanami było dwóch rybałtów, jeden z lutnią, drugi z gęślikami u pasa. Jedna z dziewcząt, młódka jeszcze, może dwunastolatka, niosła też za księżną małą luteńkę, nabijaną miedzianymi ćwiekami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — ozwała się księżna, stając w pośrodku świetlicy.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedzieli obecni, bijąc zarazem nizkie pokłony.

— A gdzie gospodarz?

Niemiec, usłyszawszy wezwanie, wysunął się naprzód i przyklęknął obyczajem niemieckim.

— Zatrzymamy się tu dla wypoczynku i posiłku — rzekła pani. — Żywo się jeno zakrzątnij, bośmy głodni.

Mieszczanie już byli odeszli, teraz zaś dwaj miejscowi szlachcice, a wraz z nimi Maćko z Bogdańca i młody Zbyszko, skłonili się powtórnie i zamierzali opuścić świetlicę, nie chcąc dworowi przeszkadzać.

Lecz księżna zatrzymała ich.

— Szlachtą jesteście: nie przeszkodzicie! Zróbcie znajomość z dworzany. Skądże Bóg prowadzi?

Oni wówczas zaczęli wymieniać swoje imiona, herby, zawołania i wsie, z których się pisali. Dopieroż pani, usłyszawszy od Maćka, skąd wraca, klasnęła w dłonie i rzekła:

— Otóż się przygodziło! Prawcie nam o Wilnie, o moim bracie i o siostrze. Zali zjedzie tu się książę Witold na połóg królowej i na krzciny?

— Chciałby, ale nie wie, czy będzie mógł; dlatego kolebę srebrną przez księży i bojarzynów naprzód w darze królowej przysłał. Przy której kolebce i myśmy z bratańcem przyjechali, strzegąc jej w drodze.

— To kolebka tu jest? chciałabym obaczyć. Cała srebrna?

— Cała srebrna, ale jej tu niema. Powieźli ją do Krakowa...

— A cóż wy w Tyńcu robicie?

— My tu nawrócili do klasztornego prokuratora, naszego krewnego by pod opiekę zacnych zakonników oddać, co nam wojna przysporzyła i co książę podarował.

— To Bóg poszczęścił. Godnez łupy? Ale powiadajcie, czemu to brat niepewien, czy przyjedzie?

— Bo wyprawę na Tatarów gotuje.

— Wiem ci ja to; jeno mnie trapi, że królowa nie prorokowała szczęśliwego końca tej wyprawie, a co ona prorokuje, to się zawsze ziści.

Maćko uśmiechnął się.

— Ej, świątobliwa nasza pani, nijak przeczyć, ale z księciem Witoldem siła naszego rycerstwa pójdzie, chłopów dobrych, przeciw którym nikomu nie sporo.

— A wy to nie pójdziecie?

— Bom z kolebką przy innych wysłan i przez pięć roków nie zdejmowałem z siebie blach — odrzekł Maćko, pokazując na bruzdy, powyciskane na łosiowym kubraku od pancerza — ale niech jeno wypoczne — pójdę — a choćbym sam nie szedł, to tego oto bratanka Zbyszka panu Spytkowi z Melsztyna oddam, pod którego wodzą wszyscy nasi rycerze pójdą.

Księżna Danuta spojrzała na dorodną postać Zbyszka, lecz dalszą rozmowę przerwało przybycie zakonnika z klasztoru, który powitawszy księżnę, począł jej pokornie wymawiać, że nie przysłała gońca z oznajmieniem o swojem przybyciu i że nie zatrzymała się w klasztorze, ale w zwyczajnej gospodzie, nie godnej jej majestatu. Nie brak przecie w klasztorze domów i gmachów, w których nawet pospolity człowiek znajdzie gościnę, a cóż dopiero majestat, zwłaszcza zaś małżonki księcia, od którego przodków i pokrewnych tylu dobrodziejstw opactwo doświadczyło.

Lecz księżna odpowiedziała wesoło:

— My jeno tu nogi wstąpili rozprostować, a na ranek trzeba nam do Krakowa. Wyspaliśmy się w dzień i jedziemy nocą dla chłodu, a że to już kury piały, nie chciałam pobożnych zakonników budzić,

zwłaszcza z taką kompanią, która więcej o śpiewaniu i pląsach, niżeli o odpocznieniu myśli.

Gdy jednak zakonnik nalegał ciągle, dodała:

— Nie. Tu już ostaniem. Dobrze czas na słuchaniu świeckich pieśni zejdzie, ale na jutrznię do kościoła przyjdziemy, aby dzień z Bogiem zacząć.

— Będzie msza za pomyślność miłościwego księcia i miłościwej księżnej — rzekł zakonnik.

— Książę mój małżonek dopiero za cztery, albo pięć dni zjedzie.

— Pan Bóg potrafi i zdaleka szczęście zdarzyć, a tymczasem niech nam, ubogim, wolno będzie choć wina z klasztoru przynieść.

— Radzi odwdzięczym — rzekła księżna.

Gdy zaś zakonnik wyszedł, poczęła wołać:

— Hej, Danusia! Danusia! wyleź-no na ławkę i uwesel nam serce tą samą pieśnią, którą w Zatorze śpiewałaś.

Usłyszawszy to, dworzanie prędko postawili na środku izby ławkę. Rybałci siedli po jej brzegach, między nimi zaś stanęła owa młódka, która niosła za księżną nabijaną miedzianymi ćwieczkami lutnię. Na głowie miała wianeczek, włosy puszczone po ramionach, suknię niebieską i czerwone trzewiczki z długimi końcami. Stojąc na ławce, wydawała się małem dzieckiem, ale zarazem przecudnem, jakby jakowaś figurka z kościoła, albo z jasełeczek. Widocznie też nie pierwszy raz przychodziło jej tak stać i śpiewać księżnie, bo nie znać było po niej najmniejszego pomieszania.

— Dalej, Danusia! dalej! — wołały panny dworskie.

Ona zaś wzięła przed się lutnię, podniosła do góry głowę, jak ptak, który chce śpiewać i przymknąwszy oczęta, poczęła srebrnym głosikiem:

„Gdybym ci ja miała
„Skrzydełka, jak gąska,
„Poleciałaby ja
„Za Jaśkiem do Śląska!

Rybałci zawtórowali jej zaraz, jeden na gęślikach, drugi na dużej lutni; księżna, która miłowała nad wszystko świeckie pieśni, poczęła kiwać głową na obie strony, a dzieweczka śpiewała dalej, głosem cieniuchnym, dziecinnym i świeżym, jak śpiewanie ptaków w lesie na wiosnę:

„Usiadłaby ci ja
„Na śląskowskim płocie:
„Przypatrz się Jasiulku,
„Ubogiej sierocie."

I znów wtórowali rybałci. Młody Zbyszko z Bogdańca, który, przywykłszy od dziecińßtwa do wojny i srogich jej widoków, nigdy nic podobnego w życiu nie widział, trącił w ramię stojącego obok Mazura i zapytał:

— Co to za jedna?

— To jest dzieweczka z dworu księżnej. Nie brak ci u nas rybał-

tów, którzy dwór rozweselają, ale z niej najmilszy rybałcik i księżna niczyich pieśni tak chciwie nie słucha.

— Nie dziwno mi to. Myślałem, że zgoła anioł i odpatrzyć się nie mogę. Jakże ją wołają?

— A to nie słyszeliście? — Danusia. A jej ojciec jest Jurand ze Spychowa, comes możny i mężny, który do przedchorągiewnych należy.

— Hej! nie widziały takiej ludzkie oczy.

— Miłują ją też wszyscy, i za śpiewanie i za urodę.

— A któren jej rycerz?

— Dyć to jeszcze dziecko.

Dalszą rozmowę znów przerwał śpiew Danusi. Zbyszko patrzał z boku na jej jasne włosy, na podniesioną głowę, na zmrużone oczki i na całą postać, oświeconą zarazem blaskiem świec woskowych i blaskiem wpadających przez otwarte okna promieni miesiąca — i zdumiewał się coraz bardziej. Zdawało mu się, że już ją niegdyś widział, ale nie pamiętał, czy we śnie, czy gdzieś w Krakowie, na szybie kościelnej.

I znów trąciwszy dworzanina, pytał przyciszonym głosem:

— To ona z waszego dworu?

— Matka jej przyjechała z Litwy z księżną Anną Danutą, która wydała ją za grabię Juranda ze Spychowa. Gładka była i możnego rodu, nad wszystkie inne panny księżnie miła, i sama księżnę miłująca. Dlatego też córce dała to samo imię — Anna Danuta. Ale pięć lat temu, gdy przy Złotoryi Niemcy napadli na nasz dwór, ze strachu zmarła. Wtedy księżna wzięła dzieweczkę — i od tej pory ją hoduje. Ojciec też często na dwór przyjeżdża i rad widzi, że mu się dziecko zdrowo, w miłości książęcej chowa. Jeno, ilekroć na nią spojrzy, tylekroć łzami się zalewa, nieboszczkę swoją wspominając, a potem wraca na Niemcach pomsty szukać za swoją krzywdę okrutną. Miłował ci on tak tę swoją żonę, jako nikt do tej pory swojej na całem Mazowszu nie miłował — i siła już Niemców za nią pomorzył.

A Zbyszkowi zaświeciły oczy w jednej chwili i żyły nabrały mu na czole.

— To jej matkę Niemcy zabili? — spytał.

— Zabili i nie zabili. Sama umarła ze strachu. Pięć roków temu pokój był, nikt o wojnie nie myślał i każdy bezpieczno chadzał. Pojechał książę wieżę jedną w Złotoryi budować, bez wojska, jeno z dworem, jako zwyczajnie czasu pokoju. Tymczasem wpadli zdrajcy Niemcy, bez wypowiedzenia wojny, bez żadnej przyczyny... Samego księcia, nie pomnąc ni na bojaźń boską, ni na to, że od jego przodków wszystkie dobrodziejstwa na nich spadły, przywiązali do konia i porwali, ludzi pobili. Długo książę w niewoli u nich siedział i dopiero, gdy król Władysław wojną im pogroził, ze strachu go puścili; ale przy owym napadzie umarła matka Danusi, bo ją serce udusiło, które jej pod gardło podeszło.

— A wy, panie, byliście przy tem? Jako-że was zowią, bom zapomniał?

— Ja się zowię Mikołaj z Długolasu, a przezywają mnie Obuch.

Przy napadzie byłem. Widziałem, jako matkę Danusiną jeden Niemiec, z pawiemi piórami na hełmie chciał do siodła troczyć — i jako w oczach mu na sznurze zbielała. Samego też mnie halebardą zacięli, od czego znak noszę.

To rzekłszy, ukazał głęboką bliznę w czaszce, ciągnącą się z pod włosów na głowie aż do brwi.

Nastała chwila milczenia. Zbyszko począł znów patrzeć na Danusię. Poczem spytał:

— I rzekliście, panie, że ona nie ma rycerza?

Lecz nie doczekał odpowiedzi, gdyż w tej chwili śpiew ustał. Jeden z rybałtów, człowiek tłusty i ciężki, podniósł się nagle, przez co ława przechyliła się w jedną stronę. Danusia zachwiała się i rozłożyła rączki, lecz nim zdołała upaść lub zeskoczyć, rzucił się Zbyszko, jak żbik, i porwał ją na ręce.

Księżna, która w pierwszej chwili krzyknęła ze strachu, roześmiała się zaraz wesoło i poczęła wołać:

— Oto rycerz Danusin! Bywaj-że rycerzyku, i oddaj nam naszą miłą śpiewaczkę!

— Chwacko ci ją ułapił! — ozwały się głosy wśród dworzan.

Zbyszko zaś szedł ku księżnie, trzymając przy piersiach Danusię, która objąwszy go jedną ręką za szyję, drugą podnosiła w górę luteńkę z obawy, by się nie zgniotła. Twarz miała śmiejącą się i uradowaną, choć trochę przestraszoną.

Tymczasem młodzieńczyk, doszedłszy do księżnej, postawił przed nią Danusię, sam zaś klęknął i podniósłszy głowę, rzekł z dziwną w jego wieku śmiałością:

— Niech-że będzie wedle waszych słów, miłościwa pani! Pora tej wdzięcznej panience mieć swego rycerza, a pora i mnie mieć swoją panią, której urodę i cnoty będę wyznawał, zaczem z waszem pozwoleństwem, tej oto właśnie chcę ślubować i do śmierci wiernym jej w każdej przygodzie ostać.

Na twarzy księżnej przemknęło zdziwienie, ale nie z powodu słów Zbyszkowych, tylko dlatego, że wszystko stało się tak nagle. Obyczaj rycerskiego ślubowania nie był wprawdzie polski, jednakże Mazowsze, leżąc na rubieży niemieckiej i widując często rycerzy z dalekich nawet krajów, znało go lepiej nawet, niż inne dzielnice, i naśladowało dość często. Księżna słyszała też o nim dawniej jeszcze, na dworze swego wielkiego ojca, gdzie wszystkie obyczaje zachodnie były uważane za prawo i wzór dla szlachetniejszych wojowników — z tych przeto powodów nie znalazła w chęci Zbyszka nic takiego, coby obrazić mogło ją, lub Danusię. Owszem, uradowała się, że miła sercu dworka poczyna zwracać ku sobie rycerskie serca i oczy.

Więc z rozbawioną twarzą zwróciła się do dziewczyny:

— Danuśka, Danuśka! chcesz-li mieć swego rycerza?

A przetowłosa Danusia podskoczyła naprzód trzy razy do góry w swoich czerwonych trzewiczkach, a następnie chwyciwszy księżnę za szyję, poczęła wołać z taką radością, jakby jej obiecywano jakąś zabawę, w którą się tylko starszym bawić wolno:

— Chcę, chcę! chcę!...

Księżnie ze śmiechu aż łzy napłynęły do oczu, a z nią śmiał się cały dwór; wreszcie jednak pani, uwolniwszy się z rąk Danusinych, rzekła do Zbyszka:

— Aj! ślubuj! ślubuj! cóż zasię jej poprzysięzesz?

Lecz Zbyszko, który wśród śmiechu zachował niezachwianą powagę, ozwał się równie poważnie, nie wstając z klęczek:

— Ślubuję jej, iże stanąwszy w Krakowie, powieszę pawęz na gospodzie, a na niej kartę, którą mi uczony w piśmie kleryk foremnie napisze, jako panna Danuta Jurandówna najurodziwsza jest i najcnotliwsza między pannami, które we wszystkich królestwach bydlą. A ktoby temu się przeciwił, z tym będę się potykał póty, póki sam nie zginę, albo on nie zginie — chybaby w niewolę radziej poszedł.

— Dobrze! Widać rycerski obyczaj znasz. A co więcej?

— A potem — uznawszy od pana Mikołaja z Długolasu, jako mać panny Jurandówny za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie ostatni dech puściła, ślubuję kilka takich pawich czubów ze łbów niemieckich zedrzeć i pod nogi mojej pani położyć.

Na to spoważniała księżna i spytała:

— Nie dla śmiechu-li ślubujesz?

A Zbyszko odrzekł:

— Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż: któren ślub w kościele przed księdzem powtórzę.

— Chwalebna jest z lutym nieprzyjacielem naszego plemienia walczyć, ale mi cię żal, boś młody i łatwo zginąć możesz.

Wtem przysunął się Maćko z Bogdańca, który dotychczas, jako człowiek dawniejszych czasów, ramionami tylko wzruszał — teraz jednak uznał za stosowne przemówić:

— Co do tego — nie frasujcie się, miłościwa pani. Śmierć w bitwie każdemu się może przygodzić, a szlachcicowi, stary-li, czy młody, to nawet chwalebna jest. Ale nie cudna temu chłopu wojna, bo chociaże mu roków nie dostaje, nieraz już trafiało mu się potykać z konia i piechtą, kopią i toporem, długim albo krótkim mieczem, z pawęzą, albo bez. Nowotny to jest obyczaj, że rycerz dziewce, którą rad widzi, ślubuje, ale że Zbyszko swojej pawie czuby obiecał, tego mu nie przyganię. Wiskał już Niemców, niech jeszcze powiska, a że od tego wiskania parę łbów pęknie — to mu jeno sława z tego urośnie.

— To widzę, nie z byle otrokiem sprawa — rzekła księżna.

A potem do Danusi:

— Siadaj-że na mojem miejscu, jako pierwsza dzisiaj osoba: jeno się nie śmiej, bo nie idzie.

Danusia siadła na miejscu pani: chciała przytem udać powagę, ale modre jej oczka śmiały się do klęczącego Zbyszka, i nie mogła się powstrzymać od przebierania z radości nóżkami.

— Daj mu rękawiczki — rzekła księżna.

Danusia wyciągnęła rękawiczki i podała Zbyszkowi, który przyjął je ze czcią wielką, i przycisnąwszy do ust, rzekł:

— Przypnę je do hełmu, a kto po nie sięgnie — gorze mu!

Poczem ucałował ręce Danusi, a po rękach nogi, i wstał. Ale wówczas opuściła go dotychczasowa powaga, a napełniła mu serce wielka radość, że odtąd za dojrzałego męża wobec całego tego dworu będzie uchodził, więc potrząsając Danusine rękawiczki, począł wołać nawpół wesoło, nawpół zapalczywie:

— Bywajcie, psubraty z pawimi czubami! bywajcie!

Lecz w tej chwili wszedł do gospody ten sam zakonnik, który już był poprzednio, a wraz z nim dwóch innych, starszych. Słudzy klasztorni nieśli za nimi kosze z wikliny, a w nich łagiewki z winem i różne zebrane naprędce przysmaki. Dwaj owi poczęli witać księżnę i znów wymawiać jej, że nie zajechała do opactwa, a ona tłómaczyła im powtórnie, że wyspawszy się w dzień wraz z całym dworem, podróżuje nocą dla chłodu, więc wypoczynku jej nie trzeba — i że nie chcąc budzić ni znakomitego opata, ni zacnych zakonników, wolała zatrzymać się dla wyprostowania nóg w gospodzie.

Po wielu grzecznych słowach, stanęli wreszcie na tem, że po jutrzni i mszy porannej, księżna z dworem przyjmie śniadanie i wypoczynek w klasztorze. Uprzejmi zakonnicy zaprosili też wraz z Mazurami ziemian krakowskich i Maćka z Bogdańca, który i tak miał zamiar udać się do opactwa, aby dostatek zdobyty na wojnie albo darem od hojnego Witolda otrzymany, a przeznaczon na wykupno z zastawu Bogdańca, w klasztorze złożyć. Ale młody Zbyszko nie słyszał zaprosin, skoczył bowiem do wozów swoich i stryjowskich, stojących pod strażą służby, by się odziać i w przystojniejszej odzieży księżnie i Danusi się przedstawić. Wziąwszy więc z wozu łuby, kazał je nieść do izby czeladnej i tam począł się przebierać. Utrefiwszy naprzód pośpiesznie włosy, wsunął je w siatkę jedwabną, bursztynowymi paciorkami wiązany, z przodu zaś mający perełki prawdziwe. Następnie wdział „jakę” z białego jedwabiu, naszytą w złote gryfy, u dołu zaś szlakiem ozdobną; z wierzchu opasał się pasem pozłocistym, podwójnym, przy którym wisiał mały kord w srebro i kość słoniową oprawny. Wszystko to było nowe, błyszczące i wcale krwią nie poplamione, chociaż, łupem na młodym rycerzu fryzyjskim, służącym u Krzyżaków, wzięte. Naciągnął następnie Zbyszko prześliczne spodnie, w których jedna nogawica była w podłużne pasy zielone i czerwone, druga w fioletowe i żółte, obie zaś kończyły się u góry pstrą szachownicą. Zaczem wdziawszy jeszcze purpurowe, z długimi nosami trzewiki — piękny i wyświeżony, udał się do izby ogólnej.

Jakoż, gdy stanął we drzwiach, widok jego mocne na wszystkich sprawił wrażenie. Księżna, widząc teraz, jak urodziwy rycerz ślubował miłej Danusi, uradowała się jeszcze bardziej. Danusia zaś skoczyła w pierwszej chwili ku niemu, jak sarna. Lecz, czy to piękność młodzieńcza, czy głosy podziwu dworzan, wstrzymały ją, nim dobiegła, tak, że zatrzymawszy się na krok przed nim, spuściła nagle oczka i splótłszy dłonie, poczęła wykręcać paluszki, zapłoniona i zmieszana.

Lecz za nią przybliżyli się inni: sama pani, dworzanie i dwórki, i rybałci i zakonnicy, wszyscy bowiem chcieli mu się lepiej przypatrzeć. Panny mazowieckie patrzały na niego, jak w tęczę, żałując teraz



Gdybym ci ja miała, skrzydełka, jak gąska...”

każda, że nie ją wybrał — starsze podziwiały kosztowność ubioru, tak, że naokół utworzyło się koło ciekawych; Zbyszko zaś stał w środku z chełpliwym uśmiechem na swej młodzieńczej twarzy i okręcał się nieco na miejscu, aby lepiej mogli mu się przyjrzeć.

— Któż to jest? — zapytał jeden z zakonników.

— To jest rycerzyk, bratanek tego oto ślachcica — odrzekła księżna, ukazując na Maćka — jen dopiero co Danusi ślubował.

A zakonnicy nie okazali też zdziwienia, albowiem takie ślubowanie nie obowiązywało do niczego. Ślubowano częstokroć niewiastom zamężnym, a w rodach znamienitych, wśród których zachodni obyczaj był znany, każda prawie miała swego rycerza. Jeśli zaś rycerz ślubował pannie, to nie stawał się przez to jej narzeczonym: owszem, najczęściej ona brała innego męża, a on, o ile posiadał cnotę stałości, nie przestawał jej być wprawdzie wiernym, ale żenił się z inną.

Trochę więcej dziwił zakonników młody wiek Danusi, wszelako i to nie bardzo, gdyż w owym czasie szesnastoletni wyrostkowie bywali kasztelanami. Sama wielka królowa Jadwiga, w chwili przybycia z Węgier, liczyła lat piętnaście, a trzynastoletnie dziewczęta szły za mąż. Zresztą patrzono w tej chwili więcej na Zbyszka, niż na Danusię, i słuchano słów Maćka, który dumny z bratanka, opowiadał, w jaki sposób młodzik przyszedł do szat tak zacnych.

— Rok i dziewięć niedziel temu — mówił — byliśmy proszeni w gościnę przez rycerzy saksońskich. A był też u nich także w gościnie pewien rycerz z dalekiego narodu Fryzów, którzy hen, aż nad morzem mieszkają, a miał z sobą syna, trzy roki od Zbyszka starszego. Raz na uczcie ów syn począł Zbyszkowi nieprzystojnie przymawiać, iże ni wąsów, ni brody nie ma. Zbyszko, jako jest wartki, nie słuchał tego mile, ale zaraz chwyciwszy go za gębę, wszystkie włosy mu z niej wydarł — o co później potykaliśmy się na śmierć lub na niewolę.

— Jak to — potykaliście się? — spytał pan z Długolasu.

— Bo się ojciec za synem ujął, a ja za Zbyszkiem: więc potykaliśmy się samoczwart, wobec gości, na udeptanej ziemi. Taka zaś stanęła umowa, że kto zwycięży, ten i wozy, i konie, i sługi zwyciężonego zabierze. I Bóg zdarzył. Porznęliśmy owych Fryzów, choć z niemałym trudem, bo im ni męstwa, ni mocy nie brakło, a łup wzięliśmy znakomity: było wozów cztery, w każdym po parze podjezdków — i cztery ogiery ogromne i sług dziewięciu — i zbroic dwie wybornych, jakich małobyś u nas znalazł. Hełmyśmy po prawdzie w boju pokupali, ale Pan Jezus w czem innem nas pocieszył, bo szat kosztownych była cała skrzynia przednio kowana — i te, w które się Zbyszko teraz przybrał, także w niej były.

Na to dwaj ziemianie z Krakowskiego i wszyscy Mazurowie poczęli spoglądać z większym szacunkiem na stryja i na synowca, zaś pan z Długolasu, zwany Obuchem, rzekł:

— Toście, widzę, chłopy nieociągliwe i srogie.

— Wierzym teraz, że ów młodzik czuby pawie dostanie!

A Maćko śmiał się, przyczem w surowej jego twarzy było istotnie coś drapieżnego.

Lecz tymczasem służba klasztorna powydobywała z wiklinowych koszów wino i przysmaki, a z czeladnej dziewki służebne poczęły wynosić misy, pełne dymiącej jajecznicy, a okolone kiełbasami, od których rozszedł się po całej izbie mocny, a smakowity zapach wieprzowego tłuszczu. Na ten widok wezbrała we wszystkich ochota do jedzenia — i ruszono ku stołom.

Nikt jednak nie zajmował miejsca przed księżną, ona zaś siadłszy w pośrodku, kazała Zbyszkowi i Danusi usiąść naprzeciw przy sobie a potem rzekła do Zbyszka:

— Słuszna, abyście jedli z jednej misy z Danusią, ale nie przystępuj jej nóg pod ławą, ani też trącaj ją kolany, jak czynią inni rycerze, bo zbyt młoda.

Na to on odrzekł:

— Nie uczynię ja tego, miłościwa pani, chyba za dwa, albo za trzy roki, gdy mi Pan Jezus pozwoli ślub spełnić, i gdy ta jagódka dojrzeje; a co do nóg przystępowania, choćbym i chciał — nie mogę, boć one w powietrzu wiszą.

— Prawda — odpowiedziała księżna — ale miło wiedzieć, że przystojne masz obyczaje.

Poczem zapadło milczenie, gdyż wszyscy jeść poczęli. Zbyszko odkrawał to najtłustsze kawałki kiełbasy i podawał je Danusi, albo jej wprost do ust je wkładał, ona zaś rada, że jej tak strojny rycerz służy, jadła z wypchanymi policzkami, mrugając oczkami i uśmiechając się to do niego, to do księżnej.

Po wyprzątnieniu mis, słudzy klasztorni poczęli nalewać wino słodkie i pachnące — mężom obficie, paniom po trochu, lecz rycerskość Zbyszkowa okazała się szczególnie wówczas, gdy wniesiono pełne garncówki przysłanych z klasztoru orzechów. Były tam laskowe i rzadkie podówczas, bo zdaleka sprowadzane, włoskie, na które też rzucili się biesiadnicy z wielką ochotą, tak, że po chwili w całej izbie słychać było tylko trzask skorup, kruszonych w szczękach. Lecz napróżnoby kto mniemał, że Zbyszko myślał tylko o sobie, albowiem wolał on pokazywać i księżnie i Danusi swoją rycerską siłę i wstrzemięźliwość, niż łapczywością na rzadkie przysmaki poniżyć się w oczach. Jakoż, nabierając co chwila pełną garść orzechów — czy to laskowych, czy włoskich, nie wkładał ich między zęby, jak czynili inni, ale zaciskał swe żelazne palce, kruszył je, a potem podawał Danusi wybrane z pośród skorup ziarna. Wymyślił nawet dla niej i zabawę, albowiem, po wybraniu ziarn, zbliżał do ust pięść i wydmuchiwał nagle swym potężnym tchem skorupy aż pod pułap. Danusia śmiała się tak, że aż księżna z obawy, że się dziewczyna udławi, musiała mu nakazać, by tej zabawy zaniechał, widząc jednak uradowanie dziewczyny, spytała:

— A co, Danuśka? dobrze mieć swego rycerza?

— Oj! dobrze! — odpowiedziała dziewczyna.

A potem, wyciągnąwszy swój różowy paluszek, dotknęła nim białej jedwabnej „jaki" Zbyszkowej i cofając go natychmiast, zapytała:

— A jutro też będzie mój?

— I jutro, i w niedzielę, i aż do śmierci — odparł Zbyszko.

Wieczerza przeciągnęła się, gdyż po orzechach podano słodkie placki, pełne rodzenków. Niektórym z dworzan chciało się tańcować; inni chcieli słuchać śpiewania rybałtów lub Danusi; ale Danusi pod koniec poczęły się oczka kleić, a główka chwiać w obie strony: raz i drugi spojrzała jeszcze na księżnę, potem na Zbyszka, raz jeszcze przetarła piąstkami powieki — i zaraz potem, oparłszy się z wielką ufnością o ramię rycerzyka — usnęła.

— Śpi? — zapytała księżna. — Ot masz swoją „damę”.

— Milsza mi ona we śnie, niżeli inna w tańcu — odrzekł Zbyszko, siedząc prosto i nieruchomie, by dziewczyny nie zbudzić.

Ale jej nie zbudziło nawet granie i śpiewy rybałtów. Inni też przytupywali muzyce, inne brząkali do wtóru misami, lecz im gwar był większy, tem ona spała lepiej z otwartemi jak rybka, ustami.

Zbudziła się dopiero, gdy na odgłos piania kurów i dzwonów kościelnych, wszyscy ruszyli się z ław, wołając:

— Na jutrznię! na jutrznię!

— Pójdziem piechotą, na chwałę Bogu — rzekła księżna.

I wziąwszy za rękę rozbudzoną Danusię, wyszła pierwsza z gospody, a za nią wysypał się cały dwór.

Noc już zbielała. Na wschodzie nieba widać było leciuchną jasność, zieloną u góry, różową od spodu, a pod nią jakby wązką, złotą wstążeczkę, która rozszerzała się w oczach. Od zachodniej strony księżyc zdawał się cofać przed jasnością. Czynił się brzask coraz różowszy, jaśniejszy. Świat budził się mokry od obfitej rosy, radosny i wypoczęty.

— Bóg dał pogodę, ale upal będzie okrutny — mówili dworzanie książęcy.

— Nie szkodzi — uspokajał ich pan z Długolasu — wyśpimy się w opactwie, a do Krakowa przyjedziem pod wieczór.

— Pewnikiem znów na ucztę.

— Codzień tam teraz uczty, a po połogu i po gonitwach nastąpią jeszcze większe.

— Obaczym, jako się pokaże rycerz Danusin.

— Ej, dębowe to jakieś chłopy!... Słyszeliście, co prawili o onej bitwie samoczwart?

— Może do naszego dworu przystaną, bo się jakoś między sobą naradzają.

A oni rzeczywiście się naradzali, gdyż starszy Maćko nie był zbyt rad z tego, co zaszło, idąc więc na końcu orszaku i przystając umyślnie, by swobodniej pogadać, mówił:

— Po prawdzie, nic ci po tem. Ja się tam jakoś do króla docisnę, choćby z tym oto dworem — i może coś dostaniem. Okrutnieby mnie się chciało jakowegoś zameczku, alibo gródka... No, obaczym. Bogdaniec swoją drogą z zastawu wykupim, bo co ojce dzierżyli, to i nam dzierżyć. Ale skąd chłopów? Co opat osadził to i napowrót weźmie — a ziemia bez chłopów tyle co nic. Tedy miarkuj co ci rzekę: ty sobie ślubuj, nie ślubuj, komu chcesz, a z panem z Mielsztyna idź do księcia Witolda na Tatary. Jeśli wyprawę przed połogiem królowej otrąbią,

tedy na zlegnięcie, ani na gonitwy rycerskie nie czekaj, jeno idź, bo tam może być korzyść. Kniaź Witold wieś, jako jest hojny — a ciebie już zna. Sprawisz się, to obficie nagrodzi. A nadewszystko, zdarzy-li Bóg — niewolnika możesz nabrać bez miary. Tatarów, jak mrowia na świecie. W razie zwycięstwa przypadnie i kopa na jednego.

Tu Maćko, który był chciwy na ziemię i robociznę, począł marzyć:

— Boga mi! Przygnać tak z pięćdziesiąt chłopa i osadzić na Bogdańcu! Przetrzebiłoby się puszczy szmat. Uroślibyśmy oba. A ty wiedz, że nigdzie tylu nie nabierzesz, ilu tam można nabrać!

Lecz Zbyszko począł głową kręcić.

— O wa! koniuchów natroczę, końskiem padłem żyjących, roli niezwyczajnych! Co po nich w Bogdańcu?... A przytem ja trzy niemieckie grzebienie ślubowałem. Gdzieże je znajdę między Tatary?

— Ślubowałeś, boś głupi, ale takie to tam i śluby.

— A moja rycerska cześć? jakże?

— A jak było z Ryngałłą?

— Ryngałła księcia otruła — i pustelnik mnie rozwiązał.

— To cię w Tyńcu opat rozwiąże. Lepszy opat od pustelnika, jeno-to więcej zbójem, niźli zakonnikiem patrzył.

— A nie chcę.

Maćko zatrzymał się i zapytał z widocznym gniewem:

— No, to jakoże będzie?

— Jedźcie sobie sami do Witolda, bo ja nie pojadę.

— Ty knechcie! A kto się królowi pokłoni?... i nie żal ci to moich kości?

— Na wasze kości drzewo się zwali, jeszcze ich nie połamie. A choćby mi też było was żal — nie chcę do Witolda.

— Coże będziesz robił? Sokolnikiem, czyli też rybałtem przy dworze mazowieckim zostaniesz?

— Albo to sokolnik co złego? Skoro wolicie mruczeć, niż mnie słuchać, to mruczcie.

— Gdzie pojedziesz? Za nic ci Bogdaniec? Pazurami będziesz w nim orał? bez chłopów?

— Nie prawda! Chwackoście wymądrowali z Tatarami. Zobaczycie, co prawili Rusini, że Tatarów tyle najdziesz, ile ich pobitych na polu leży, a niewolnika nikt nie ułapi, bo Tatara we stepie nie zgoni. Na czemże go będę gonił? Na onych ciężkich ogierach, któreśmy na Niemcach wzięli. Widzicie-no! A co za łup wezmę? Parszywe kożuchy i nic więcej. O to dopiero bogaczem do Bogdańca zjadę! to dopiero mnie komesem nazowią!

Maćko umilkł, albowiem w słowach Zbyszkowych wiele było słuszności, i dopiero po chwili rzekł:

— Aleby cię kniaź Witold nagrodził.

— Ba, wiecie: jednemu da on za dużo, drugiemu nic.

— To gadaj, gdzie pojedziesz.

— Do Juranda ze Spychowa.

Maćko przekręcił ze złości pas na skórzanym kaftanie i rzekł:

— Bodajżeś olsnął!

— Posłuchajcie — odpowiedział spokojnie Zbyszko. — Gadałem z Mikołajem z Długolasu, i ten prawi że Jurand pomsty na Niemcach za żonę szuka. Pójdę, pomogę mu. Po pierwsze samiście rzekli, że nie cudnie mi już z Niemcami się potykać, bo i ich, i sposoby na nich znamy. Po drugie, prędzej ja tam nad granicą one pawie czuby dostanę, a po trzecie, to wiecie, że pawi grzebień nie lada knecht na łbie nosi, więc jeśli pan Jezus przysporzy grzebieni, to przysporzy i łupu. Wkońcu: niewolnik tamtejszy to nie Tatar. Takiego w boru osadzić — nie żal się Boże.

— Cóżeś ty, chłopie, rozum stracił? przecie niema teraz wojny i Bóg wie kiedy będzie!

— O moiście wy! Zawarły niedźwiedzie pokój z bartnikami i barci nie psowają, ni miodu nie jedzą! Ha! ha! A czy to nowina wam, że choć wielkie wojska nie wojują, i choć król z mistrzem pod pergaminem pieczęcie położą, na granicy zawsze mąt okrutny? Zajmąli sobie bydło, trzody, to się za jeden krowi łeb po kilka wsiów pali i zamki oblegają. A porywanie chłopów i dziewek? a kupców na gościńcach? wspomnijcie czasy dawniejsze, o których samiście mi rozpowiadali. Zle to było onemu Nałęczowi, który czterdziestu rycerzy do Krzyżaków jadących chycił, w podziemiu osadził i póty nie puścił, póki mu pełnego woza grzywien mistrz nie przysłał? Jurand ze Spychowa też nic innego nie czyni i nad granicą zawsze gotowa robota.

Przez chwilę szli w milczeniu, tymczasem rozwidniło się zupełnie i jasne promienie słońca rozświeciły skały, na których pobudowane było opactwo.

— Bóg wszędzie może poszczęścić — rzekł wreszcie udobruchanym głosem Maćko: — proś, żeby ci błogosławił.

— Pewno, że wszystko jego łaska!

— I myśl o Bogdańcu, bo w tem mnie nie przekonasz, że ty dla Bogdańca, nie dla tego kaczego kłapaka do Juranda ze Spychowa chcesz jechać.

— Nie powiadajcie tak, bo się rozgniewam. Rad ją widzę i tego się nie zapieram; inne też to, niż dla Ryngałły ślubowanie. Spotkaliście urodziwszą?

— Co mi ta jej uroda! Wolej weź ją, jak dorośnie, jeśli możnego komesa córka.

A Zbyszkowi rozjaśniła się twarz młodym, dobrym uśmiechem.

— Może i to być. Ni innej pani, ni innej żony! Jak wam kości sparcieją, będziecie wy jeszcze wnuki po mnie i po niej piastowali.

Na to uśmiechnął się z kolei Maćko i odrzekł całkiem już udobruchany:

— Grady! Grady!... a niechże ich będzie jako gradu. Na starość radość, a po śmierci zbawienie. To nam, Jezu, daj!

3.

Księżna Danuta, Maćko i Zbyszko bywali już poprzednio w Tyńcu, ale w orszaku byli dworzanie, którzy widzieli go po raz pierwszy — i ci

podnosząc oczy, patrzyli ze zdumieniem na wspaniałe opactwo, na zębate mury, biegnące wzdłuż skał nad urwiskami, na gmachy, stojące to na zboczach góry, to wewnątrz blanków, spiętrzone, wyniosłe i jaśniejące złotem od wschodzącego słońca. Z tych okazałych murów i gmachów, z domów, z budowli, przeznaczonych na rozliczne użytki, z ogrodów, leżących u stóp góry i ze starannie uprawnych pól, które wzrok z wysoka ogarniał, można było na pierwszy rzut oka poznać bogactwo odwieczne, nieprzebrane, do którego nie przywykli i którem zdumiewać się musieli ludzie z ubogiego Mazowsza. Istniały wprawdzie starożytne a możne opactwa benedyktyńskie i w innych częściach kraju, jak naprzykład w Luboszy nad Odrą, w Płocku, w Wielkopolsce, w Mogilnie i w innych miejscach, żadne wszelako nie mogło porównać się z Tynieckiem, którego posiadłości przewyższały niejedno księstwo udzielne, a dochody mogły budzić zazdrość nawet ówczesnych królów.

Między dworzany rósł więc podziw, a niektórzy oczom prawie nie chcieli wierzyć. Tymczasem księżna, chcąc sobie drogę skrócić i zaciekawić panny przyboczne, poczęła prosić jednego z zakonników, by opowiedział starodawną a straszną powieść o Walgierzu Wdałym, którą opowiadano jej już, chociaż nie zbyt dokładnie w Krakowie.

Usłyszawszy to, panny zbiły się ciasnem stadkiem koło pani i szły zwolna pod górę, we wczesnych promieniach słońca, do idących kwiatów podobne.

— Niech o Walgierzu prawi brat Hidulf, któremu on się pewnej nocy ukazał — rzekł jeden z zakonników, spoglądając na drugiego, człowieka sędziwych już lat, który w pochylonej nieco postawie, szedł obok Mikołaja z Długolasu.

— Zali widzieliście go własnemi oczyma, pobożny ojcze? — spytała księżna.

— Widziałem — odpowiedział posępnie zakonnik — albowiem zdarzają się takowe terminy, w których z woli Bożej wolno mu jest opuszczać piekielne podziemia i ukazywać się światu!

— Kiedyż to bywa?

Zakonnik spojrzał na dwóch innych i zamilkł, albowiem istniało podanie, że duch Walgierza pojawia się wówczas, gdy w zakonie psują się obyczaje, i gdy zakonnicy więcej, niż wypada, o światowych dostatkach i uciechach myślą.

Tego właśnie żaden nie chciał głośno wyznać, że jednak mówiono także, iż widmo przepowiada równie wojnę, lub inne nieszczęścia, brat Hidulf, po chwili milczenia, rzekł:

— Ukazanie się jego nie wróży nic dobrego.

— Nie chciałabym też go widzieć — rzekła, żegnając się, księżna — ale czemu to on jest w piekle, skoro, jako słyszałam, tylko za ciężką własną krzywdę się pomścił?

— Choćby też i całe życie był cnotliwy — odparł surowo zakonnik — byłby i tak potępion, albowiem żył za pogańskich czasów i chrztem świętym nie został z pierworodnego grzechu obmyty.

Po tych słowach brwi księżnej ściągnęły się boleśnie, przyszło jej

bowiem na myśl, że jej wielki ojciec, którego miłowała całą duszą, zmarł także w błędach pogańskich — i miał gorzeć przez całą wieczność.

— Słuchamy — rzekła po chwili milczenia.

A brat Hidulf począł opowiadać:

— Był za czasów pogańskich hrabia możny, którego dla wielkiej urody zwano Walgierzem Wdałym. Cały ten kraj, jako okiem sięgnąć, należał do niego, a na wyprawy, prócz pieszego ludu, wodził po stu kopijników, wszyscy bowiem włodycy, na zachód aż po Opole, a na wschód po Sandomierz, wasalami jego byli. Trzód jego nie mógł nikt zliczyć, a w Tyńcu miał wieżę całą nasypaną pieniędzmi, jako teraz mają w Malborgu Krzyżacy.

— Wiem, mają! — przerwała księżna Danuta.

— I był jako wielkolud — ciągnął dalej zakonnik — i dęby, z korzeniem wyrywał, a w piękności, w graniu na lutni i w śpiewaniu nikt w całym świecie sprostać mu nie mógł. A raz, gdy był na dworze króla francuskiego, rozmiłowała się w nim królewna Helgunda, którą ojciec na chwałę Bogu do zakonu chciał oddać, i uciekła z nim do Tyńca, gdzie w sprośności oboje żyli, gdy żaden ksiądz ślubu chrześcijańskiego dać im nie chciał. Był zaś w Wiślicy Wisław piękny z rodu króla Popiela. Jen podczas niebytności Walgierza Wdałego, grabstwo Tynieckie pustoszył. Tego pokonał Walgierz i do Tyńca do niewoli przywiódł, nie bacząc, że która tylko niewiasta ujrzała Wisława, gotowa była zaraz ojca, matki i męża odstąpić, byle swe żądze nasycić. Tak stało się i z Helgundą. Zaraz ona takowe więzy na Walgierza wymyśliła, że on wielkolud, choć dęby wyrywał, przerwać ich nie mógł — i Wisławowi go oddała, który do Wiślicy go powiózł. Lecz Rynga, siostra Wisława, usłyszawszy w podziemiu śpiewanie Walgierzowe, wnet rozmiłowana, uwolniła go z podziemia — a ów Wisława i Helgundę mieczem posiekłszy, ciała ich krukom zostawił, a sam z Ryngą do Tyńca powrócił.

— Zali nie słusznie uczynił? — spytała księżna.

A brat Hidulf rzekł:

— Gdyby był chrzest przyjął i Tyniec Benedyktynom oddał, możeby mu Bóg grzechy odpuścił, ale że tego nie uczynił, przeto go ziemia pożarła.

— A to Benedyktyni byli już w tem królestwie?

— Benedyktynów w tem królestwie nie było, albowiem sami tu wówczas żyli poganie.

— To jakże mógł chrzest przyjąć, albo Tyniec oddać?

— Nie mógł — i właśnie dlatego skazan jest do piekła na męki wiekuiste — odrzekli z powagą zakonnik.

— Pewnie! słusznie mówi! — ozwało się kilka głosów.

Lecz tymczasem zbliżyli się do głównej bramy klasztornej, w której czekał na księżnę opat na czele licznego orszaku zakonników i szlachty. Ludzi świeckich: „ekonomów", „adwokatów", „prokuratorów", i rozmaitych urzędników zakonnych, zawsze bywało w klasztorze sporo. Wielu też ziemian, możnych nawet rycerzy, trzymało nieprzeliczone ziemie klasztorne dość wyjątkowem w Polsce prawem lennem — i ci, jako

„wasale", radzi przebywali na dworze „suzerena", gdzie przy wielkim ołtarzu łatwo było o darowizny, ulgi i wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa, zależne nieraz od drobnej usługi, od zręcznego słowa, lub od chwili dobrego humoru potężnego opata. Przygotowujące się uroczystości w stolicy ściągnęły też wielu takich wasalów z odległych stron, ci zaś, którym trudno było z powodu natłoku znaleźć gospodę w Krakowie, mieścili się w Tyńcu. Z tych powodów „abbas centum villarum" mógł powitać księżnę w liczniejszym jeszcze, niż zwyczajnie orszaku.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą suchą, rozumną, z głową wygoloną na wierzchu, niżej zaś, nad uszami, otoczoną wieńcem siwiejących włosów. Na czole miał bliznę po ranie, widocznie za młodych rycerskich czasów otrzymanej, oczy przenikliwe, wyniośle z pod czarnych brwi patrzące. Ubrany był w habit, jak inni mnisi, ale na wierzchu miał czarny płaszcz, podbity purpurą, na szyi zaś złoty łańcuch, na którego końcu zwieszał się również złoty, drogimi kamieniami sadzony krzyż — godło opackiej godności. Cała jego postawa zdradzała człowieka dumnego, przywykłego do rozkazywania i ufnego w siebie.

Witał jednak księżnę uprzejmie, a nawet uniżenie, pamiętał bowiem, że mąż jej pochodził z tego samego rodu książąt mazowieckich, z którego pochodzili królowie Władysław i Kazimierz, a po kądzieli i obecnie panująca królowa, władczyni jednego z największych państw w świecie. Przestąpił więc próg bramy, skłonił nizko głowę, a następnie przeżegnawszy Annę Danutę i cały dwór, małą złotą puszką, którą trzymał w palcach prawej ręki, rzekł:

— Witaj, miłościwa pani, w ubogich progach zakonnych. Niechaj św. Benedykt z Nursyi, św. Maurus, św. Bonifacy i św. Benedykt z Aniane, a także i Jan z Tolomei — patronowie nasi w światłości wiekuistej żyjący, obdarzą cię zdrowiem, szczęściem i niechaj błogosławią cię po siedm razy dziennie, przez wszystek czas żywota twego.

— Chybaby głusi byli, gdyby nie mieli wysłuchać słów tak wielkiego opata — rzekła uprzejmie księżna — tembardziej, że my tu na mszę przybyli, podczas której ich opiece się oddamy.

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu rękę, którą on, przyklęknąwszy dwornie na jedno kolano, ucałował po rycersku, a następnie przeszli razem bramę. Że mszą czekano już widocznie, gdyż w tej chwili ozwały się dzwony i dzwonki; trębacze zadęli przy drzwiach kościelnych na cześć księżny w donośne trąby, inni uderzyli w ogromne kotły, wykute z miedzi czerwonej i obciągnięte skórą, dającą huczny rozgłos. Na księżnę, która nie urodziła się w kraju chrześcijańskim, każdy kościół silne dotychczas czynił wrażenie, ów zaś, tyniecki, sprawiał tem większe, że pod względem wspaniałości mało innych mogło się z nim porównać. Mrok napełniał głębię świątyni, tylko przy wielkim ołtarzu drgały pasemka świateł rozmaitych, pomieszane z blaskiem świec, rozjaśniających złocenia i rzeźby. Zakonnik, przybrany w ornat, wyszedł ze mszą, skłonił się księżnie — i rozpoczął ofiarę. Wnet wzniosły się dymy wonne, a obfite, które przesłoniwszy księdza i ołtarz, szły w spokojnych kłębach ku górze, powiększając tajemniczą uroczystość kościoła. Anna

Danuta pochyliła w tył głowę i rozłożywszy ręce na wysokości twarzy, poczęła się modlić żarliwie. Lecz gdy ozwały się, rzadkie jeszcze wówczas po kościołach, organy i poczęły to potrząsać całą nawę grzmotem wspaniałym, to wypełniać ją anielskimi głosami, to zasypywać jakoby pieśnią słowiczą, wówczas oczy księżny wzniosły się do góry, na twarzy jej, obok pobożności i lęku, odmalowała się rozkosz bez granic — i patrzącemu na nią zdawać się mogło, że to jakowaś Błogosławiona, która w cudownem widzeniu ogląda niebo otwarte.

Tak to modliła się urodzona w pogaństwie córka Kiejstuta, która, choć w życiu codziennem, równie, jak i wszyscy ludzie tych czasów, po przyjacielsku i poufale wspominała Imię Boże, jednakże w domu Pana z dziecinną bojaźnią i pokorą wznosiła oczy ku tajemniczej i niezmierzonej potędze.

A tak samo pobożnie, choć z mniejszym lękiem, modlił się cały dwór. Zbyszko klęczał przed stallami wśród Mazurów, bo tylko dworki weszły z księżną za stalle, i polecał się opiece boskiej. Chwilami spoglądał na Danusię, która siedziała z przymkniętemi oczyma koło księżny — i myślał, że warto było wprawdzie zostać rycerzem takiej dzieweczki; ale że też nie lada rzecz jej obiecał. Więc teraz, gdy piwo i wino, które w gospodzie wypił, wywietrzało mu z głowy, zatroskał się niemało, jakim sposobem ją wypełni. Wojny nie było. Wśród nadgranicznego mętu łatwo było wprawdzie natknąć się na jakiego zbrojnego Niemca i albo jemu kości pokołatać, albo samemu głową nałożyć. Tak to on i mówił Maćkowi. „Jeno — myślał — nie byle Niemiec nosi pawi lub strusi czub na hełmie.” Z gości krzyżackich, chyba jacy grafowie, a z samych Krzyżaków chyba komtur — i to nie każdy. Jeśli wojny nie będzie, to lata mogą upłynąć, nim on swoje trzy grzebienie dostanie, bo i to jeszcze przyszło mu do głowy, że nie będąc dotąd pasowany, może tylko niepasowanych na pojedynkę w bój wyzywać. Spodziewał się wprawdzie, że pas rycerski otrzyma z rąk królewskich w czasie gonitw, które zapowiadano na chrzciny, bo na to dawno zarobił, ale potem co? Pojedzie do Juranda ze Spychowa, będzie mu pomagał, natłucze knechtów, ile się da — i na tem koniec. Knechci krzyżaccy, to nie rycerze z pawiemi piórami na głowach.

Więc w tem utrapieniu i niepewności, widząc, że bez szczególnej łaski Bożej niewiele wskórać potrafi, począł się modlić:

„Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi królestwa tego i wszystkich narodów, w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznawających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu, niżeli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową, Litwę ochrzciwszy, wzbraniają im mieczem chrześcijańskich sług Twoich ścinać. Za któren gniew ich ukarz.

„A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od pięci ran Twoich wspomożenia błagam, abyś mi trzech znacznych Niemców z pawimi czuby na hełmach, jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swojem pobić mi ich do śmierci pozwolił. Ale to z takowej przyczyny, iżem

ja one czuby pannie Danucie, Juranda córce, a Twojej służce, obiecał i na moją rycerską cześć poprzysiągł.

„Co zasię więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja dziesięcinę wiernie kościołowi Twemu świętemu oddam, abyś i ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abyś poznał, żem Ci szczerem sercem, nie po próżnicy obiecował. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż, amen!"

Lecz w miarę jak się modlił, topniało w nim coraz bardziej z pobożności serce — i nową obietnicę przyrzucił: że po wykupieniu z zastawu Bogdańca, odda także na kościół wszystek wosk, który pszczoły przez cały rok w barciach zrobią. Spodziewał się, że stryj Maćko temu się nie sprzeciwi, a Pan Jezus szczególniej będzie rad z wosku na świece — i chcąc go prędzej dostać, prędzej mu też pomoże. Ta myśl wydała mu się tak słuszną, iż radość napełniła mu całkiem duszę: był teraz prawie pewien, że zostanie wysłuchany, i że wojna niebawem nastąpi, a choćby nie nastąpiła, to i tak on swego dokaże. Poczuł w rękach, w nogach moc tak wielką, że w tej chwili byłby sam jeden na całą chorągiew uderzył. Pomyślał nawet, że przyczyniwszy obietnic Bogu, możnaby i Danusi ze dwóch Niemców przyrzucić! Zapalczywość młodzieńcza popychała go do tego, lecz tym razem roztropność wzięła górę, albowiem bał się, by zbytniem żądaniem cierpliwości Boskiej się nie uprzykrzyć.

Jednakże ufność jego wzrosła jeszcze, gdy po mszy i po długim wypoczynku, na który udał się cały dwór, wysłuchał rozmowy, którą opat prowadził przy śniadaniu z Anną Danutą.

Ówczesne żony książąt i królów, zarówno przez pobożność, jak i wskutek wspaniałych darów, których nie szczędzili im Mistrzowie Zakonu, wielką okazywały przyjaźń Krzyżakom. Nawet świątobliwa Jadwiga powstrzymywała, póki jej życia stało, wzniesioną nad nimi rękę swego władnego małżonka. Jedna tylko Anna Danuta, doznawszy od nich okrutnych krzywd rodzinnych, nienawidziła ich z całej duszy. To też gdy opat zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na Zakon: „Jakoż się ma dziać w księstwie mającem takich sąsiadów? Niby jest pokój; mijają się poselstwa i listy, a mimo tego nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czyli nie rozbudzi się w pętach, albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy. Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryją, gdy w czasach najgłębszego pokoju, porwano księcia w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Aleć zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu — i któryż książę nie ma prawa we własnej ziemi ich stawiać, albo przebudowywać? Nie przejedna Zakonu ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze uczyni, temu się złem wypłacą. Jest-że na świecie zakon, któryby w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali — a jakże się wypłacili? Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto wojną i zdradą. I próżno wyrzekać, próżno

samej Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet Papieża rzymskiego nie słuchają. Przysłali niby teraz poselstwo na połóg królowej i na spodziewane chrzciny, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla za to, co uczynili na Litwie, odwrócić. W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie królestwa i całego plemienia polskiego."

Opat słuchał uważnie i potakiwał, a potem rzekł:

— Wiem, iż przyjechał do Krakowa na czele poselstwa komtur Lichtenstein, brat w Zakonie dla znakomitego rodu, męstwa i rozumu wielce szanowany. Może go tu niebawem miłościwa pani ujrzycie, albowiem przysłał mi wczoraj wiadomość, że chcąc się przy naszych relikwiach pomodlić, zjedzie do Tyńca w odwiedziny.

Usłyszawszy to, księżna poczęła nowe żale rozwodzić:

— Prawią ludzie — i bogdaj słusznie, że wkrótce musi wielka wojna nastąpić, w której po jednej stronie będzie królestwo polskie i wszystkie narody, mówiące podobną do polskiej mową, a z drugiej wszyscy Niemcowie i Zakon. Jest podobno o tej wojnie proroctwo jakowejś Świętej...

— Brygidy — przerwał uczony opat — osiem roków temu została ona w poczet świętych zaliczona. Pobożny Piotr z Alwastra i Maciej z Linköping spisali jej objawienia, w których wielka wojna istotnie jest przepowiedziana.

Zbyszko aż zadrżał z radości na te słowa i nie mogąc wytrzymać, zapytał!

— A prędko ma być?

Lecz opat, zajęty księżną, nie dosłyszał, a może udał, że nie dosłyszał pytania.

— Cieszą się i u nas młodzi rycerze na oną wojnę, ale starsi i rozważniejsi tak mówią: „Nie Niemców — mówią — się boim, choć wielka jest ich potęga i pycha, nie ich kopii i mieczów, ale — prawią — relikwii krzyżackich się boim, bo przeciw tym na nic wszelka moc ludzka."

Tu Anna Danuta spojrzała z przestrachem na opata i dodała cichszym głosem:

— Przysłał im je król francuski — odrzekł opat.

Nastała chwila milczenia — poczem zabrał głos Mikołaj z Długolasu, zwany Obuchem, człowiek bywały i doświadczony.

— Byłem w niewoli u Krzyżaków — rzekł — i widywałem procesye, na których ową wielką świętość noszono. Ale oprócz tego jest w klasztorze w Oliwie siła innych najprzedniejszych relikwii, bez których nie byłby Zakon do takiej potęgi doszedł.

Na to powyciągali Benedyktyni głowy ku mówiącemu i z wielkiem zaciekawieniem poczęli pytać:

— Powiadajcie, co jest?

— Jest krajka z szaty Najświętszej Panny — odrzekł dziedzic z Długolasu — jest trzonowy ząb Maryi Magdaleny i głowienki z krza ognistego, w którym się sam Bóg Ojciec Mojżeszowi pokazał, jest

ręka św. Liberyusza a co kości innych świętych, tychbym na palcach u rąk i nóg nie zliczył...

— Jakoże z nimi wojować? — powtórzyła z westchnieniem księżna.

A opat zmarszczył swe wyniosłe czoło i zastanowiwszy się przez chwilę, tak odrzekł:

— Ciężko z nimi wojować choćby i dlatego, że są zakonnikami i krzyż na płaszczach noszą: ale jeśli przebrali miarę w grzechach tedy i tym relikwiom może mieszkanie między nimi obrzydnąć, a naonczas nietylko one mocy im nie dodadzą, ale im ją odejmą, dlatego, żeby między pobożniejsze ręce się dostać. Niech Bóg oszczędzi krwi chrześcijańskiej, ale jeśli wielka wojna nastąpi, są też i w naszem królestwie relikwie, które za nas będą wojować. Głos zasię, w objawieniu św. Brygidy, mówi: „Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na brzegu ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników, i nie uczą go przykazań Bożych, i odejmując mu Sakramenta Święte, na większe jeszcze męki piekielne go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, iże wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje."

— Tak Bóg daj! — zawołał Zbyszko.

Inni rycerze i zakonnicy nabrali także wielkiej otuchy, słysząc słowa proroctwa, opat zaś zwrócił się do księżny i rzekł:

— Dlatego miejcie ufność w Bogu, miłościwa pani, albowiem prędzej to ich dni, niż wasze są policzone, a tymczasem przyjmijcie wdzięcznem sercem tę oto puszkę, w której palec od nogi św. Ptolomeusza, jednego z naszych patronów się znajduje.

Księżna wyciągnęła drżące ze szczęścia dłonie — i klęknąwszy, przyjęła puszkę, którą zaraz poczęła do ust przyciskać. Radość pani podzielali dworzanie i dworki, nikt bowiem nie wątpił, że z takiego podarku spłynie błogosławieństwo i pomyślność na wszystkich, a może i na całe księstwo. Zbyszko czuł się także szczęśliwym, gdyż zdało mu się, że wojna powinna zaraz po uroczystościach krakowskich nastąpić.

4.

Było już dobrze z południa, gdy księżna wraz z orszakiem wyruszyła z gościnnego Tyńca do Krakowa. Częstokroć ówcześni rycerze, wjeżdżając do większych miast lub do zamków, w odwiedziny do znakomitych osób, przywdziewali na się pełny rynsztunek bojowy. Był wprawdzie zwyczaj zdejmować go zaraz po przebyciu bram, do czego w zamkach wzywał sam gospodarz uświęconemi słowy: „Zdejmcie zbroję, szlachetny panie, albowiem przybyliście do przyjaciół" — niemniej jednak wjazd „wojenny" uważał się za okazalszy i podnosił znaczenie rycerza. Gwoli tej to okazałości tak Maćko, jak i Zbyszko przybrali się w wyborne

pancerze i w naramienniki, zdobyte na rycerzach fryzyjskich, — jasne, błyszczące i po brzegach wpuszczoną nicią złotą ozdobne. Mikołaj z Długolasu, który dużo świata i wielu rycerzy w życiu widział, a był rzeczy wojennych znawcą niemałym, poznał zaraz, iż są te stroje kowane przez medyolańskich najsłynniejszych w świecie płatnerzy, takie, na jakie najbogatsi tylko rycerze wspomódz się mogą, i z których każda za dobrą majętność starczy. Wnioskował z tego, że owi Fryzowie musieli być znakomitymi ludźmi w swoim narodzie, i z tym większym szacunkiem począł spoglądać na Maćka i Zbyszka. Lecz hełmy ich, lubo także niepoślednie, nie były tak bogate; natomiast olbrzymie ogiery, pięknie pokryte, wzbudziły między dworzanami podziw i zazdrość. I Maćko, i Zbyszko, siedząc na niezmiernie wysokich kulbakach, spoglądali z góry na cały dwór. Każdy z nich dzierżył w ręku długą kopię, każdy miał miecz przy boku i topór u siodła. Tarcze oddali wprawdzie dla wygody na wozy, ale i bez nich obaj wyglądali tak, jakby ciągnęli na bitwę, nie do miasta.

Obaj też jechali w pobliżu kolaski, w której na tylnem siedzeniu siedziała księżna z Danusią, na przodku zaś stateczna dworka Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa, i stary Mikołaj z Długolasu. Danusia spoglądała z wielkiem zajęciem na żelaznych rycerzy, księżna zaś, dobywając od czasu do czasu z zanadrza puszkę z relikwiami św. Ptolomeusza, podnosiła ją do ust.

— Ciekawam okrutnie, jak kości w środku wyglądają — rzekła wreszcie — ale sama nie otworzę, aby Świętego nie urazić. Niech otworzy biskup w Krakowie.

Na co ostrożny Mikołaj z Długolasu odrzekł:

— Ej, lepiej tego z rąk nie popuszczać, zbyt to łakoma rzecz.

— Może i słusznie mówicie — rzekła po chwili zastanowienia księżna, poczem dodała:

— Dawno mi nikt nie sprawił takiej uciechy, jak ów zacny opat, i tym podarkiem, i tem, że strach mój przed krzyżackiemi relikwiami uspokoił.

— Mądrze mówił i sprawiedliwie — ozwał się Maćko z Bogdańca. — Mieli oni i pod Wilnem rozmaite relikwie, a to tembardziej, że chcieli gości przekonać, iż z poganami wojna. No i co? Obaczyli nasi, że byle w garście splunąć, a od ucha toporem machnąć, to i hełm puszczał i łeb puszczał. Święci pomagają — grzechby mówić inaczej — ale jeno sprawiedliwym, którzy wedle słuszności w imię Boże do bitwy idą. Tak też i myślę, miłościwa pani, że przyjdzie-li do wielkiej wojny, bo chociażby wszystkie Niemcy pomagały Krzyżakom, zbijem ich na pował, bo większy jest nasz naród i Pan Jezus większą moc spuścił nam w kości. A co do relikwii, — albo to u nas w klasztorze Świętokrzyskim niema drzewa Krzyża Świętego?

— Prawda, jak mi jest Bóg miły, — rzekła księżna. — Ale u nas ono w klasztorze zostanie, a oni swoje ze sobą w potrzebie wożą.

— Wszystko jedno! dla mocy Bożej niema dalekości.

— Prawda-że to? powiadajcie jak jest? — pytała księżna, zwracając się do mądrego Mikołaja z Długolasu, a on odrzekł:

— Temu i każdy biskup przyświadczy. Do Rzymu też daleko, a papież światem rządzi — cóż dopiero Bóg!

Słowa te uspokoiły do reszty księżnę, więc zwróciła rozmowę na Tyniec i jego wspaniałości. Dziwiła Mazurów wogóle nietylko zamożność opactwa, ale i zamożność, a także piękność całego kraju, przez który teraz przejeżdżali. Naokół były wsie gęste, dostatnie, przy nich sady pełne drzew owocowych, gaje lipowe, bocianie gniazda na lipach, a niżej ule ze słomianemi nakrywkami. Wzdłuż gościńca z jednej i drugiej strony ciągnęły się łany zbóż wszelkich. Wiatr chwilami pochylał zielonawe jeszcze morze kłosów, wśród którego gęsto, jak gwiazdy na niebie, migotały głowy modrych chabrów i jasno-czerwonych maków. Daleko, za łanami czerniał gdzieniegdzie bór, gdzieniegdzie weseliły oczy dąbrowy i olszyńce, skąpane w blasku słonecznym, gdzieniegdzie wilgotne łąki, pełne traw i czajek, krążących nad mokradłami, i znów wzgórza, osiadłe przez chaty, znów łany; widocznie ziemię tę zamieszkiwał lud rojny i pracowity, rozmiłowany w roli — i dokąd wzrok sięgnął, kraj wydawał się nietylko mlekiem i miodem płynący, ale spokojny i szczęśliwy.

— Kazimierzowe to królewskie gospodarstwo — rzekła księżna — ale też żyć tu i umierać.

— I Pan Jezus się do takiej ziemi śmieje, — odrzekł Mikołaj z Długolasu — i błogosławieństwo Boże jest nad nią; ale jakoż ma być inaczej, kiedy tu, gdy zaczną bić dzwony, to nie masz takowego kąta, do któregoby odgłos nie doszedł! Wiadomo przecie, że złe duchy, znieść tego nie mogąc, muszą aż na granicę węgierską do głuchych borów uciekać.

— To mi i dziwno, — ozwała się pani Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa, że Walgierz Wdały, o którym zakonnicy prawili, może się w Tyńcu pokazywać, gdzie siedm razy na dzień dzwony biją.

Uwaga ta zakłopotała na chwilę Mikołaja, który też dopiero po pewnym namyśle odrzekł:

— Naprzód wyroki boskie są niezbadane, a powtóre to sobie zauważcie, że on osobne pozwoleństwo za każdym razem otrzymuje.

— A niech ta będzie, jak chce, alem rada, że w klasztorze nie nocujemy. Umarłabym chyba ze strachu, gdyby mi się taki piekielny wielkolud pokazał.

— Hej! nie wiadomo, bo mówią, że okrutnie wdały.

— Choćby był i najurodziwszy, nie chcę ja pocałowania od takiego, któremu siarką z gęby bucha.

— A skąd wiecie, że zaraz chciałby was całować?

Na te słowa księżna, a za nią pan Mikołaj i obaj rycerze z Bogdańca poczęli się śmiać. Śmiała się, nie rozumiejąc dlaczego, za przykładem innych, i Danusia — zaś Ofka z Jarząbkowa zwróciła zagniewaną twarz do Mikołaja z Długolasu i rzekła:

— Wolałabym jego, niż was.

— Ej, nie wywołujcie wilka z lasu, — odpowiedział wesoło Mazur — bo jędzon często i po gościńcu między Krakowem a Tyńcem

się włóczy, a szczególniej pod wieczór: nuż was usłyszy i nuż się wam w postaci wielkoluda ukaże!

— Na psa urok! — odrzekła Ofka.

Lecz w tej chwili Maćko z Bogdańca, który siedząc na wyniosłym ogierze, dalej mógł widzieć, niż ci, którzy siedzieli w kolasce, ściągnął lejce i rzekł:

— O, jak mi Bóg miły, a to co?

— Co takiego?

— Wielkolud jakowyś z za wzgórza przed nami wyjeżdża.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała księżna. — Nie powiadajcie byle czego!

Lecz Zbyszko uniósł się na strzemionach i rzekł:

— Jako żywo — wielkolud, Walgierz, nikt inny!

Na to woźnica osadził ze strachu konie i, nie wypuszczając z rąk lejc, począł się żegnać, albowiem i on dojrzał już z kozła na przeciwległem wzgórzu olbrzymią postać jeźdźca.

Księżna podniosła się — i zaraz usiadła z twarzą zmienioną przez trwogę, Danusia pochowała głowę w fałdy sukni księżnej. Dworzanie, dworki i rybałci, którzy jechali konno za kolaską, usłyszawszy złowrogie imię, poczęli skupiać się koło niej. Mężowie niby śmiali się jeszcze, ale w oczach mieli niepokój; panny pobladły, jeno Mikołaj z Długolasu, który z niejednego pieca chleb jadał — zachował pogodne oblicze i, chcąc uspokoić księżnę, rzekł:

— Nie bójcie się, miłościwa pani. Toć słońce jeszcze nie zaszło, a choćby była i noc, święty Ptolomeusz da rady Walgierzowi.

Tymczasem nieznany jeździec, wjechawszy na podługowaty grzbiet wzgórza, zatrzymał konia i stanął nieruchomie. W promieniach zachodzącego słońca widać go było doskonale — i istotnie postać jego zdawała się przechodzić ogromem zwykłe ludzkie rozmiary. Przestrzeń między nim a orszakiem księżnej nie wynosiła więcej nad trzysta kroków.

— Czego on stoi? — rzekł jeden z rybałtów.

— Bo i my stoim — odpowiedział Maćko.

— Spogląda ku nam, jakby sobie kogo chciał wybrać, — zauważył drugi rybałt; — żebym wiedział, że człowiek, a nie złe, tobym ku niemu podjechał i lutnią go przez łeb zwalił.

Kobiety przestraszyły się już całkiem i poczęły się głośno modlić, Zbyszko zaś, chcąc się popisać odwagą wobec księżnej i Danusi, rzekł:

— A ja i tak pojadę. Co mi ta Walgierz!

Na to Danusia poczęła wołać nawpół z płaczem: „Zbyszku! Zbyszku!”, lecz on ruszył koniem i jechał coraz prędzej, ufny, że choćby i prawdziwego Walgierza znalazł, to na wskroś go kopią przebodzie.

A Maćko, który miał wzrok bystry, rzekł:

— Wydaje się wielkoludem, bo na wzgórzu stoi. Chłopisko jakieś duże, ale człek zwyczajny — nic innego. O wa! pojadę i ja, żeby do zwady między nim a Zbyszkiem nie dopuścić.

Zbyszko tymczasem, jadąc rysią, rozmyślał, czy odrazu kopię nastawić, czy też wpierw zblizka obaczyć, jak wygląda ów stojący na

wzgórzu człowiek. Postanowił jednak wpierw zobaczyć i zaraz przekonał się, że była to myśl lepsza, albowiem w miarę, jak się zbliżał, nieznajomy począł tracić w jego oczach swoje nadzwyczajne rozmiary. Mąż był ogromny i siedział na olbrzymim koniu, roślejszym jeszcze od Zbyszkowego ogiera — ale miary ludzkiej nie przechodził. Był nadto bez zbroi, w czapce aksamitnej na głowie, mającej kształt dzwonu, i w białej płóciennej osłaniającej od kurzu opończy, z pod której wyglądała zielona szata. Stojąc na wzgórzu, głowę miał wzniesioną i modlił się. Widocznie też zatrzymał konia, dlatego, by skończyć wieczorne pacierze.

— Ej, co mi za Walgierz! — pomyślał młody chłopak.

Dojechał już tak blizko, że mógłby był dosięgnąć kopią nieznajomego: ów zaś, widząc przed sobą wspaniale uzbrojonego rycerza, uśmiechnął się do niego życzliwie i rzekł:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Zali to nie dwór księżnej mazowieckiej, tam w dole?

— Tak jest.

— To z Tyńca jedziecie?

Lecz na to nie było odpowiedzi, albowiem Zbyszko zdumiał się tak, że nawet nie usłyszał zapytania. Przez chwilę stał, jak skamieniały, oczom własnym nie wierząc, gdyż oto, na ćwierć stai za nieznanym mężem, ujrzał kilkunastu konnych żołnierzy, na czele których, ale znacznie naprzód, jechał rycerz przybrany cały w świecącą zbroję, w biały sukienny płaszcz z czarnym krzyżem i stalowy hełm z przepysznym pawim czubem w grzebieniu.

— Krzyżak! — szepnął Zbyszko.

I na ten widok, pomyślał, że modlitwy jego zostały wysłuchane, że Bóg w miłosierdziu swojem zsyła mu takiego Niemca, o jakiego w Tyńcu prosił — że trzeba z łaski Boskiej korzystać, więc nie wahając się ani chwili, — zanim to wszystko przemknęło mu przez głowę, zanim miał czas ochłonąć ze zdumienia, pochylił się w kulbace, złożył glewiję w pół końskiego ucha i wydawszy rodowy okrzyk: „Grady! Grady!" ruszył co koń wyskoczy na Krzyżaka.

A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia, i nie pochylając kopii, sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie, jakby niepewny, czy w niego godzą.

— Pochyl kopię! — wrzeszczał Zbyszko, wbijając żelazne końce strzemion w boki końskie.

— Grady! Grady!

Przestrzeń, dzieląca ich, poczęła się zmniejszać. Krzyżak, widząc, że napad wymierzony jest naprawdę ku niemu, ściągnął konia, nadstawił broń i już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszkowi przy samym ręku, jak zeschłą trzcinę, potem taż sama dłoń ściągnęła cugle jego konia z tak straszliwą siłą, aż rumak zarył się wszystkiemi czterema nogami w ziemię i stanął, jak wkopany.



— Pochyl kopię! wrzeszczał Zbyszko . . .

— Szalony człecze, co czynisz? — ozwał się głęboki groźny głos; — w posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrzał, i poznał tegoż samego olbrzymiego męża, który poczytan za Walgierza, przestraszył przed chwilą dworskie niewiasty księżnej.

— Puszczaj na Niemca! Coś za jeden? — zawołał, chwytając za rękojeść topora.

— Precz z toporem! — na miły Bóg! precz z toporem, — mówię — bo z konia zwalę! — zawołał groźniej jeszcze nieznajomy. — Obraziłeś majestat króla i pod sąd pójdziesz.

Poczem zwrócił się ku ludziom, którzy jechali za Krzyżakiem i krzyknął:

— Bywaj!

Ale tymczasem nadjechał Maćko z twarzą niespokojną i złowrogą. Rozumiał i on jasno, że Zbyszko postąpił jak szalony i że z tej sprawy zgubne dla niego mogą wyniknąć skutki, ale jednak gotów był do bitki. Cały orszak nieznanego rycerza i Krzyżaka wynosił zaledwie piętnastu ludzi, uzbrojonych po części w dzidy, po części w kusze — dwóch więc całkiem pokrytych rycerzy mogło się z nimi potykać nie bez nadziei zwycięstwa. Myślał też Maćko, że jeżeliby w następstwie miał im zagrozić sąd, to może i lepiej uniknąć go, przejechawszy przez tych ludzi, a potem pochować się gdzie, póki burza przeminie. Więc twarz skurczyła mu się zaraz, jak paszcza wilka gotowego kąsać, i wsparłszy konia między Zbyszka a nieznajomego męża, począł pytać, imając się jednocześnie miecza:

— Coście za jedni? skąd wasze prawo?

— Prawo moje stąd, — odparł nieznajomy — że król mi nad przespieczeństwem okolicy czuwać rozkazał, a zowią mnie Powała z Taczewa.

Na te słowa Maćko i Zbyszko spojrzeli na rycerza, a następnie pochowali nawpół już wyciągniętą broń do pochew i pospuszczali głowy. Nie strach ich obleciał, ale pochylili czoła przed głośnem i dobrze sobie znanem nazwiskiem, albowiem Powała z Taczewa, szlachcic znakomitego rodu i pan możny, posiadający liczne ziemie wedle Radomia, był zarazem jednym z najsławniejszych rycerzy w królestwie. Rybałci opiewali go w pieśniach, jako wzór honoru i męstwa, sławiąc jego imię na równi z imieniem Zawiszy z Garbowa, i Farureja, i Skarbka z Góry, i Dobka z Oleśnicy, i Jaśka Naszana, i Mikołaja z Moskorzewa, i Zyndrama z Maszkowic. W tej chwili przedstawiał on przytem poniekąd osobę królewską, więc porwać się na niego znaczyło tyle, ile oddać głowę pod topór kata.

Maćko też, ochłonąwszy, ozwał się pełnym poszanowania głosem:

— Cześć i pokłon wam, panie, waszej sławie i męstwu.

— Pokłon i wam, panie, — odpowiedział Powała — choć wołałbym nie w tak ciężkiej przygodzie uczynić z wami znajomość.

— Czemu to? — spytał Maćko.

A Powała zwrócił się do Zbyszka:

— Cóżeś ty, młodzieniaszku, najlepszego uczynił? Na publicznym

gościńcu, pod bokiem królewskim porwałeś się na posła! Zali wiesz, coć za to czeka?

— Porwał się na posła, bo młody i głupi, przeto o uczynek łatwiej mu, niż o zastanowienie, — rzekł Maćko. — Ale nie osądzicie go surowie, gdy całą sprawę rozpowiem.

— Nie ja go będę sądził. Moja rzecz jeno więzy mu nałożyć...

— Jakże-to? — ozwał się Maćko, obrzucając znów ponurem wejrzeniem całą gromadę ludzi.

— Wedle królewskiego rozkazania.

Po tych słowach zapadło milczenie.

— Szlachcic jest — rzekł wreszcie Maćko.

— To niech zaprzysięże na rycerską cześć, że stawi się na wszelki sąd.

— Poprzysięgnę na cześć! — zawołał Zbyszko.

— To dobrze. Jakoże was zowią?

Maćko wymienił nazwisko i herb.

— Jeśliście z dworu księżny Januszowej, to proście jej, by się wstawiła za wami do króla.

— Nie z dworu jesteśmy. Z Litwy od księcia Witolda jedziem. Bogdajeśmy byli nijakiego dworu nie napotkali! Z tego to spotkania przyszło na chłopa nieszczęście.

I tu Maćko począł opowiadać, co się zdarzyło w gospodzie, więc mówił o spotkaniu dworu księżny i o ślubowaniu Zbyszkowem, ale wkońcu chwycił go nagły gniew na Zbyszka, przez którego nierozwagę popadli w tak ciężkie położenie, więc zwróciwszy się do niego, zawołał:

— A bodajeś ty był legł pod Wilnem! Cóżeś ty sobie, warchlaku myślał?

— Ba, — rzekł Zbyszko — po ślubowaniu modliłem się do Pana Jezusa, by mi Niemców przysporzył — i dań mu obiecałem, więc gdym pawie pióra, a przy nich opończę z czarnym krzyżem ujrzał, zaraz jakowyś głos zawołał we mnie: „Bij w Niemca, bo to cud!" No — i skoczyłem — ktoby był nie skoczył?

— Słuchajcie, — przerwał Powała. — Nie życzę ja wam złego, bo to widzę jasno, że ów młodzianek więcej przez płochość przyrodzoną wiekowi, nizli przez złość zawinił. Radbym też zgoła na jego uczynek nie baczyć i pojechać sobie dalej, jakoby się nic nie stało. Ale mógłbym to tylko w takim razie uczynić, gdyby ów komtur obiecał, że się królowi nie poskarży. Proście go o to: może i jemu żal się uczyni wyrostka.

— Wolej pójdę pod sąd, nizlibym się miał Krzyżakowi pokłonić! — zawołał Zbyszko. — Nie przystoi to mojej czci szlacheckiej.

Na to Powała z Taczewa spojrzał na niego surowo i rzekł:

— Źle czynisz. Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi czci rycerskiej. O mnie też ludzie słyszeli, a to ci powiadam, że gdybym taki uczynek popełnił, nie sromałbym się o darowanie winy prosić.

Zbyszko zawstydził się, ale rzuciwszy wokół oczyma, odrzekł:

— Tu ziemia równa, byle ją trochę udeptać. Nizli Niemca prze-

prażać, wolejbym się z nim potykać konno, albo pieszo, na śmierć, albo niewolę.

— Głupiś! — przerwał Maćko. — Jakże to z posłem będziesz się potykał? Ni tobie z nim, ni jemu z takim chłystkiem!

Tu zwrócił się do Powały:

— Wybaczcie, szlachetny panie. Do reszty rozwydrzyło mi się chłopisko przez wojnę, ale lepiej niech do Niemca nie gada, bo jeszczeby go wymyślał. Ja będę gadał, ja będę prosił, a jeśliby po skończonem posłowaniu chciał się ów komtur w ogrodzieńcu samowtór potykać, to i ja mu stanę.

— Wielkiego rodu to jest rycerz, który nie każdemu stanie — odrzekł Powała.

— Jakże? Albo to ja pasa i ostróg nie noszę? Mnie choćby i książę może stanąć.

— Prawda jest, ale mu o tem nie mówcie, chybaby sam wspomniał, bo się boję, żeby się na was nie zawziął. No, niech was tam Bóg wspomaga.

— Pójdę za cię oczyma świecić — rzekł do Zbyszka Maćko — ale poczekaj!

I to rzekłszy, zbliżył się do Krzyżaka, który, zatrzymawszy się o kilka kroków, siedział nieruchomo na swym ogromnym, jak wielbłąd, koniu, podobny do odlanego z żelaza posągu i słuchał z największą obojętnością poprzedniej rozmowy. Maćko podczas długich lat wojny nauczył się nieco po niemiecku, więc począł teraz tłómaczyć komturowi w jego rodowitym języku, co się stało, składać winę na młody wiek i porywczy umysł chłopca, któremu wydało się, że to sam Bóg zesłał mu rycerza z pawim czubem, a wreszcie prosić o darowanie Zbyszkowi winy.

A twarz komtura ani drgnęła. Sztywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na mówiącego Maćka swemi stalowemi oczyma tak obojętnie, a zarazem i pogardliwie, jakby spoglądał nie na rycerza i nawet nie na człowieka, ale na kołek w płocie. Włodyka z Bogdańca dostrzegł to i lubo słowa jego nie przestały być dworne, dusza poczęła się w nim widocznie burzyć; mówił z coraz większym przymusem, a na ogorzałych policzkach pokazały się mu rumieńce. Widocznem było, że wobec tej zimnej pychy walczył ze sobą, by nie zazgrzytać zębami i nie wybuchnąć okropnie.

Powała zaś spostrzegł to i, mając dobre serce, postanowił mu przyjść w pomoc. I on szukając za młodych lat na dworach węgierskim, rakuskim, burgundzkim i czeskim, różnych rycerskich przygód, które szeroko rozsławiły jego imię, wyuczył się był po niemiecku, więc teraz ozwał się w tym języku do Maćka głosem pojednawczym i umyślnie żartobliwym:

— Widzicie panie, że szlachetny komtur mniema, że cała sprawa nawet i słowa jednego nie warta. Nietylko w naszem królestwie, ale i wszędzie wyrostkowie bywają niespełna rozumu, ale taki rycerz z dziećmi nie wojuje, ni mieczem ni prawem.

Na to Lichtenstein wydął swe płowe wąsy i nie rzekłszy ani słowa, ruszył koniem przed siebie, pomijając Maćka i Zbyszka.

A im gniew szalony począł podnosić włosy pod hełmami, a ręce drżały im ku mieczom.

— Czekaj krzyżacka mać — mówił przez zaciśnięte zęby starszy rycerz z Bogdańca — teraz ja ci będę ślubował i znajdę cię, byleś posłować przestał.

Lecz Powała, któremu serce poczęło również zapływać krwią, rzekł:

— To potem. Niech teraz księżna przemówi za wami, bo inaczej gorze chłopcu.

To rzekłszy, pojechał za Krzyżakiem, zatrzymał go i przez czas jakiś rozmawiali z ożywieniem. I Maćko, i Zbyszko zauważyli, że rycerz niemiecki nie spoglądał jednakże na Powałę z twarzą tak dumną, jak na nich — a to ich do większej jeszcze złości przywiodło. Po chwili Powała zawrócił ku nim i poczekawszy chwilę, by się Krzyżak oddalił, rzekł im:

— Mówiłem za wami, ale to nieużyty człek. Powiada, że tylko w takim razie się nie poskarży, jeśli uczynicie to, czego będzie chciał...

— Czego chce?

— Powiedział tak: „Ja zatrzymam się, by księżnę mazowiecką powitać: niech (prawi) nadjadą, niech zlazą z koni, niech zdejmą hełmy — i z ziemi, z gołemi głowami mnie proszą".

Tu spojrzał Powała bystro na Zbyszka i dodał:

— Ciężko to ludziom szlachetnego rodu... rozumiem, — ale muszę cię przestrzedz, że jeśli tego nie uczynisz, kto wie, co cię czeka: może katowski miecz.

Twarze Maćka i Zbyszka uczyniły się jakby kamienne. Nastało znów milczenie.

— No i co? — spytał Powała.

A Zbyszko odrzekł spokojnie i z taką powagą, jakby mu przez tę jedną chwilę dwadzieścia lat przybyło.

— A cóż! Moc Boska nad ludzmi!

— Jakto?

— Tak, że chociażbym miał dwie głowy i choćby mi kat obiedwie miał uciąć — jedną mam cześć, której mi pohańbić nie wolno.

Na to spoważniał Powała i, zwróciwszy się do Maćka, spytał jeszcze:

— A wy co powiadacie?

— Ja powiadam — odrzekł posępnie Maćko — żem tego chłopa od małości wypiastował... Na nim też stoi nasz ród, bom stary — ale tego on uczynić nie może, choćby miał zczeznąć.

Tu sroga twarz poczęła mu drgać, i nagle miłość do bratanka wybuchnęła mu z taką siłą, że chwycił go w swoje okute żelazem ręce i począł wołać:

— Zbyszku! Zbyszku!...

A młody rycerz aż zadziwił się i, oddawszy stryjcowi uścisk, rzekł:

— Aj! tom nie wiedział, że mnie tak miłujecie!...

— Widzę, żeście prawi rycerze, — rzekł wzruszony Powała; —

a skoro młody przysiągł mi na cześć, że się stawi, to go nie będę więził; takim, jak wy, ludziom można zaufać. Bądźcie też dobrej myśli. Niemiec w Tyńcu z dzionek zabawi, więc ja króla prędzej obaczę i tak mu sprawę opowiem, żeby go jak najmniej rozsierdzić. Szczęście, żem zdążył kopię przyłamać — wielkie szczęście!

Lecz Zbyszko rzekł:

— Jeśli już koniecznie mam głowę dać, to niechbym miał przynajmniej tę uciechę, żem Krzyżakowi gnaty połamał.

— Że też to swojej czci potrafisz bronić, a tego nie rozumiesz, że na cały nasz naród hańbębyś ściągnął!... — odparł niecierpliwie Powała.

— Rozumieć, to ja rozumiem — rzekł Zbyszko — ale dlatego mi i żal...

Powała zaś zwrócił się do Maćka:

— Wiecie panie, jeśli temu wyrostkowi uda się jakowym sposobem wykręcić, powinniście mu kaptur na głowę założyć, jako czynią sokołom. Inaczej nie skończy on własną śmiercią.

— Udałoby się mu wykręcić, gdybyście wy, panie, chcieli zataić przed królem to, co się przygodziło.

— A z Niemcem cóż uczynim? Języka mu przecież na węzeł nie zawiążę.

— Prawda! Prawda!...

Tak rozmawiając, ruszyli z powrotem ku dworowi księżny. Słudzy Powały, którzy przedtem pomieszani byli z ludźmi Lichtensteina, jechali teraz za nimi. Zdaleka widać było wśród mazowieckich czapek, chwiejące się w powiewie pawie pióra Krzyżaka i jego jasny, świecący w słońcu hełm.

— Dziwna to jest natura krzyżacka, — ozwał się jakby w zamyśleniu rycerz z Taczewa. — Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały, jak Franciszkanin, pokorny, jak jagnię, i słodki, jako miód — tak, że lepszego na świecie nie znajdzie. Ale niech jeno poczuje za sobą moc — nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc. Przypatrywałem ja się przeróżnym narodom i nieraz widziałem, jako prawy rycerz oszczędzi drugiego, który jest słabszy, mówiąc sobie: „Nie przybędzie mi czci, skoro leżącego potratuję". A Krzyżak wtedy właśnie najzawziętszy. Dzierż-że go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci! Oto i ów poseł! — zaraz chciał nietylko waszego przeproszenia, ale i waszej hańby. Ale rad jestem, że tego nie będzie.

— Niedoczekanie jego! — zawołał Zbyszko.

— Miarkujcie też, żeby frasunku po was nie poznał, bo zarazby się ucieszył.

Po tych słowach dojechali do orszaku i połączyli się z dworem księżny. Poseł krzyżacki, ujrzawszy ich, przybrał natychmiast wyraz pychy i wzgardy, lecz oni zdawali się go wcale nie widzieć. Zbyszko stanął od strony Danusi i jął wesoło mówić jej, że ze wzgórza widać już dobrze Kraków, Maćko zaś opowiadał jednemu z rybałtów o nad-

zwyczajnej sile pana z Taczewa, który przyłamał kopię w ręku Zbyszka, jak suchy badyl.

— A po co-że ją przyłomił? — spytał rybałt.

— Bo się chłopak do Niemca złożył, ale jeno dla śmiechu.

Rybałtowi, który był szlachcic i człek obyty, nie wydał się taki żart zbyt przystojnym, ale widząc, że Maćko mówi o nim lekko, nie brał go także do serca. Tymczasem Niemca poczęło takie zachowanie się korcić. Raz i drugi spojrzał na Zbyszka, potem na Maćka: wreszcie zrozumiał, że z koni nie zsiędą i że umyślnie na niego nie zważają. Wówczas błysnęło mu coś w oczach, jakby stalą — i zaraz począł się żegnać...

W chwili zaś, gdy ruszył, pan z Taczewa nie mógł się powstrzymać i rzekł mu na rozstaniu:

— Jedźcie śmiele, mężny rycerzu. Kraj to spokojny i nikt na was nie napadnie, chyba jakowy dzieciak krotofilny...

— Choć dziwne są obyczaje w tym kraju, nie obrony, ale towarzystwa waszego szukałem, — odparł Lichtenstein; — jakoż tuszę, że się jeszcze spotkamy i na tutejszym dworze, i gdzieindziej...

W ostatnich słowach brzmiała jakby ukryta groźba, dlatego Powala odrzekł poważnie:

— Bóg to da...

To powiedziawszy, skłonił się i odwrócił, poczem wzruszył ramionami i rzekł półgłosem, tak jednak, aby go najbliżsi słyszeli:

— Chuchraku! zdjąłbym cię z kulbaki ostrzem kopii i przez trzy pacierze dzierżył w powietrzu!

I począł rozmawiać z księżną, którą znał dobrze. Anna Danuta pytała go, co robi na gościńcu, on zaś oznajmił jej, że jeździ z królewskiego rozkazania, by utrzymać bezpieczeństwo w okolicy, w której, z powodu wielkiej liczby gości, ściągających zewsząd do Krakowa, łatwo jakowaś zwada zdarzyć się może. I na dowód, przytoczył to, czego przed chwilą sam był świadkiem. Pomyślawszy jednak, że o orędownictwo księżny za Zbyszkiem dość będzie czasu prosić wówczas, gdy okaże się tego potrzeba, nie nadawał zajściu zbyt wielkiego znaczenia, nie chcąc psuć wesołości. Jakoż księżna śmiała się nawet ze Zbyszka, że mu tak pilno było do pawich czubów — inni zaś dowiedziawszy się o przyłamaniu kopii, podziwiali pana z Taczewa, że tak łatwo to jedną ręką uczynił.

On zaś, chełpliwym nieco będąc, cieszył się w sercu, że go sławią, i sam wreszcie począł opowiadać o swoich czynach, które głośnem uczyniły imię jego szczególniej w Burgundyi na dworze Filipa Śmiałego. Raz on tam w czasie turnieju chwycił, po skruszeniu kopii, pewnego rycerza ardeńskiego w pół, wywlókł go z kulbaki i wyrzucił na wysokość kopii w górę, chociaż Ardeńczyk cały był w żelazo zakuty. Filip Śmiały ofiarował mu za to złoty łańcuch, a księżna aksamitny trzewiczek, który on odtąd na hełmie nosi.

Słysząc to, wszyscy wpadli w wielkie zdumienie, z wyjątkiem Mikołaja z Długolasu, który rzekł:

— Niema już w dzisiejszych zniewieściałych czasach takich mężów,

jacy bywali za mojej młodości, albo takich, o jakich ojciec mój mi opowiadał. Zdarzy się teraz szlachcicowi rozedrzeć pancerz, naciągnąć kuszę bez korby, albo skręcić między palcami tasak żelazny, to się już mocarzem powiada i nad innym się wynosi. A drzewiej czyniły to i dziewki...

— Nie przeciwię ja się temu, że dawniej byli ludzie tężsi, — odpowiedział Powała — ale znajdą się i dziś chłopy krzepkie. Mnie Pan Jezus siły w kościach nie poskąpił, wszelako nie powiadam się najmocniejszym w tem królestwie. Widziałeś waść kiedy Zawiszę z Grabowa? Tenby mnie zmógł.

— Widziałem. Bary u niego tak szerokie, jak wał od krakowskiego dzwonu.

— A Dobko z Oleśnicy? Raz on na turnieju, który Krzyżacy w Toruniu wyprawili, rozciągnął dwunastu rycerzy z wielką chwałą dla siebie i dla naszego narodu...

— Ale nasz, Mazur, Staszko Ciołek tęższy był, panie, i od was, i od Zawiszy, i od Dobka. Powiadali o nim, że wziąwszy w garść świeży kołek, sok z niego wyciskał.*)

— Sok ja też wycisnę! — zawołał Zbyszko.

I nim go kto poprosił o próbę, skoczył na brzeg drogi, udarł sporą gałąź z drzewa, a następnie ścisnął ją za koniec w oczach księżny i Danusi tak silnie, że sok począł istotnie kapać kroplami na drogę.

— Aj, Jezu! — zawołała na ten widok Ofka z Jarząbkowa: — nie chadzajże na wojnę, bo szkodaby była, żeby taki zginął przed ożenkiem...

— Szkodaby! — powtórzył, zasępiwszy się nagle, Maćko.

Lecz Mikołaj z Długolasu począł się śmiać, a z nim i księżna. Inni wszelako wychwalali w głos siłę Zbyszkową, że zaś w owych czasach żelazną rękę ceniono nad wszystkie inne przymioty, więc panny wołały na Danuśkę: „Raduj się!" — ona zaś rada była, chociaż nie rozumiała dobrze, co jej przyjść może z tego kawałka wyciśniętego drzewa. Zbyszko, zapomniawszy całkiem o Krzyżaku, spoglądał tak górnie, iż Mikołaj z Długosalu, pragnąc przywieść go do pomiarkowania, rzekł:

— Próżnobyś puszył siłą, bo są lepsi od ciebie. Jam tego nie widział, ale ojciec mój był świadkiem czegoś lepszego, co przygodziło się na dworze Karola, cesarza rzymskiego. Pojechał do niego w odwiedziny nasz król Kazimierz, z wielu dworzany, między którymi był właśnie i ów słynny z mocy Staszko Ciołek, syn wojowody Andrzeja. Pocznie się tedy raz chełpić cesarz, że ma między swoimi ludźmi pewnego Czecha, który niedźwiedzia wpół obłapiwszy, na miejscu go udusi. Dopieroż wyprawili widowisko i Czech dwóch niedźwiedzi po kolei udusił. Bardzo się tem zafrasował nasz król, żeby ze wstydem nie odjechać, i rzeknie: „Ale mój Ciołek nie da mu się pohańbić". Naznaczyli, że za trzy dni będą się zmagać. Nazjeżdżało się pań i rycerzy znacznych, a po trzech dniach chycili się Czech z Ciołkiem na zamkowem

*) Historyczne.

dworzyszczu: ale niedługo tego było, bo ledwo się objęli, przełomił Ciołek Czechowi krzyż, pokruszył wszystkie żebra i dopiero nieżywego, z wielką chwałą królewską, z rąk wypuścił*). Tenże, przezwan od tej pory Łomignatem, raz dzwon wielki na wieżę sam jeden zaniósł, którego dwudziestu mieszczan z miejsca ruszyć nie mogło*).

— A ile mu było roków? — pytał Zbyszko.

— Młody był!

Tymczasem Powała z Taczewa, jadąc po prawej stronie przy księżnej, pochylił się wreszcie do jej ucha i powiedział całą prawdę o ważności przygody, a zarazem prosił ją, by go poparła, gdy się będzie wstawiał za Zbyszkiem, który ciężko może za swój postępek odpowiadać. Księżna, której się Zbyszko podobał, przyjęła tę wiadomość ze smutkiem i zaniepokoiła się bardzo.

— Biskup krakowski rad mnie widzi — rzekł Powała — to może go uproszę i królowę też, ale im więcej będzie orędowników, tem będzie dla młodzieszka lepiej...

— Byle królowa za nim się ujęła, włos mu z głowy nie spadnie — rzekła Anna Danuta, bo król ją i za świątobliwość i za wiano czci wielce, a szczególniej teraz, gdy zdjęta jest z niej hańba bezpłodności. Ale, jest przecie w Krakowie umiłowana siostra królewska, księżna Ziemowitowa — do niej się udajcie. Ja też uczynię, co będzie mogła, ale ona mu rodzona, a ja stryjeczna.

— Kocha król i was, miłościwa pani.

— Ej, nie tak — odrzekła z pewnym smutkiem księżna — dla mnie ogniwko, dla niej cały łańcuch; dla mnie liszka, dla niej soból. Nikogo z rodzonych nie miłuje król tak, jak Alexandrę. Niema takiego dnia, żeby z próżnemi rękoma odeszła...

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Krakowa. Gościniec, rojny od samego Tyńca, zaroił się jeszcze bardziej. Spotykali ziemian, ciągnących do miasta, na czele pachołków, czasem w zbrojach, czasem w letnich szatach, i słomianych kapeluszach. Niektórzy jechali konno, niektórzy koleśno, z żonami i córkami, które chciały widzieć zapowiadane zdawna gonitwy. Miejscami cały gościniec zawalony był przez wozy kupców, którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawiać miasta licznych opłat. Wieziono na tych wozach sól, wosk, zboża, ryby, skóry bydlęce, konopie, drzewo. Inne szły z miasta ładowne suknem, beczkami piwa i przeróżnym miejskim towarem. Kraków było już widać dobrze: ogrody królewskie, pańskie i mieszczańskie, otaczające zewsząd miasto, za nimi mury i wieże kościołów. Im było bliżej, tem ruch czynił się większy, a przy bramach trudno było wśród ogólnego skrzętu przejechać.

— To miasto! niemasz chyba takiego drugiego na świecie — rzekł Maćko...

— Zawsze jakoby jarmark — odrzekł jeden z rybałtów. — Dawnoście tu byli, panie?

---

*) Historyczne.

— Dawno. I dziwuję się, jakobym je pierwszy raz widział, gdyż z dzikich krajów przyjeżdżamy.

— Mówią, że Kraków okrutnie urósł od króla Jagiełły.

Była to prawda: od czasu wstąpienia na tron wielkiego księcia Litwy, niezmierzone kraje litewskie i ruskie otwarte zostały dla krakowskiego handlu, wskutek czego miasto z dnia na dzień porastało w ludność, w dostatki, w budowle — i czyniło się jednem ze znaczniejszych w świecie...

— Krzyżackie miasta też zacne — ozwał się znów gruby rybałt.

— By jeno się do nich dostać — odpowiedział Maćko. — Byłby łup godny!

Lecz Powała myślał o czem innem, mianowicie, że młody Zbyszko, który tylko przez głupią zapalczywość zawinił, idzie jednak jak wilkowi w gardziel. Pan z Taczewa, srogi i zawzięty w czasie wojny, miał jednak w swych potężnych piersiach prawdziwie gołębie serce — że zaś lepiej rozumiał od innych, co winowajcę czeka, więc zdjęła go nad nim litość...

— Waguję się i waguję — rzekł znów do księżny — czy mówić królowi, co się stało, czy nie mówić. Jeśli Krzyżak się nie poskarży, to i nijakiej sprawy nie będzie, ale jeśli się ma skarżyć, to możeby lepiej wszystko pierwej powiedzieć, by pan nagłym gniewem nie zagorzał...

— Krzyżak jak może kogo zgubić, to zgubi — odrzekła księżna — ale ja przedtem rzekę młodzieńcowi, żeby do naszego dworu przystał. Może też król nie tak srodze dworzanina naszego ukarze...

To rzekłszy, zawołała Zbyszka, który dowiedziawszy się o co idzie, zeskoczył z konia, podjął ją pod nogi i z największą radością zgodził się być jej dworzaninem, nietyle dla większego bezpieczeństwa, ile dlatego, że w ten sposób mógł blizko Danusi pozostać...

Powała zaś spytał tymczasem Maćka:

— A gdzie zamieszkacie?

— W gospodzie.

— W gospodach zdawna niemasz żadnego miejsca.

— To pójdziem do kupca znajomka, Amyleja, może nas przenocuje...

— A ja wam powiem tak: pójdźcie w gościnę do mnie. Bratanek wasz mógłby z dworzany księżny na Zamku zamieszkać, ale lepiej mu będzie nie być królowi pod ręką. Co się w pierwszym gniewie uczyni, tego się w drugim nie uczyni. Pewnie się przytem rozdzielicie dostatkiem, wozami i służbą, a na to potrzeba czasu. Wiecie — dobrze wam u mnie będzie i przezpiecznie...

Maćko, lubo zaniepokoił się trochę tem, że Powała tak o ich bezpieczeństwie myśli, podziękował z wielką wdzięcznością i wjechali do miasta. Lecz tu obaj ze Zbyszkiem zapomnieli znów na chwilę o troskach na widok cudów, które ich otoczyły. Na Litwie i na pograniczu widzieli tylko pojedyncze zamki, a z miast znaczniejszych jedno Wilno — źle pobudowane i spalone, całe w popiele i gruzach, tu zaś kamienice kupieckie częstokroć okazalsze były od tamtejszego wielko-książęcego

zamku. Wiele domów było wprawdzie drewnianych, ale i te dziwiły wyniosłością ścian i dachów, oraz oknami ze szklanych gomółek, pooprawianych w ołów, które odbijały tak blaski zachodzącego słońca, że można było mniemać, iż w domu jest pożar. W ulicach bliższych rynku pełno było jednak dworzyszcz z czerwonej cegły albo zgoła kamiennych, wysokich ozdobionych przystawkami i czarnem krzyżowaniem po ścianach. Stały jedne obok drugich, jak żołnierze w szyku, niektóre szerokie, drugie wązkie na dziewięć łokci, ale strzeliste, ze sklepionemi sieniami — często ze znakiem Bożej Męki lub z obrazem Najświętszej Panny nad bramą. Były ulice, na których widać było dwa szeregi domów, nad nimi pas nieba, na dole drogę całkiem wymoszczoną kamieniami, a po obu bokach, jak okiem dojrzeć składy i składy — sowite — pełne najprzedniejszych, częstokroć dziwnych albo zupełnie nieznanych towarów, na które przywykły do ciągłej wojny i brania łupu, Maćko spoglądał jednak nieco łakomem okiem. Lecz w jeszcze większy podziw wprowadziły obydwóch gmachy publiczne: kościół Panny Maryi w Rynku, sukiennice, ratusz z olbrzymią piwnicą, w której sprzedawano piwo świdnickie, dzinghus, toż inne kościoły, toż składy sukna, toż ogromne „mercatorium", przeznaczone dla kupców zagranicznych, toż budynek, w którym zamykano wagę miejską, toż postrzygalnie, łaźnie, topnie miedzi, topnie wosku, złota i srebra, browary, całe góry beczek koło tak zwanego Schrotamtu — słowem dostatki i bogactwa, których nieobyty z miastem człowiek, choćby zamożny właściciel „grodku", wyobrazić sobie nawet nie umiał...

Powała zaprowadził Maćka i Zbyszka do swego domostwa przy ulicy św. Anny, kazał im dać izbę obszerną, polecił ich swym giermkom, sam zaś udał się na zamek, z którego wrócił na wieczerzę dość późną nocą. Wraz z nim przybyło kilku jego przyjaciół — i używając obficie na winie i mięsie, ucztowali wesoło, sam tylko gospodarz był jakiś zatroskany — a gdy wreszcie goście porozchodzili się do domów, rzekł do Maćka:

— Gadałem z jednym kanonikiem, biegłym w piśmie i w prawie, któren powiada, że zniewaga posła to sprawa gardłowa. Proścież tedy Boga, by się Krzyżak nie skarżył...

Usłyszawszy to, obaj rycerze, lubo przy uczcie przebrali nieco miarę, jednakże udali się na spoczynek nie z tak już wesołem sercem. Maćko nie mógł nawet zasnąć i po niejakim czasie, gdy się już pokładli, ozwał się do bratańca:

— Zbyszku?

— A co?

— Bo, tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, że ci głowę utną.

— Myślicie? — spytał Zbyszko sennym głosem.

I obróciwszy się do ściany, zasnął smaczno, gdyż był utrudzon drogą...

Następnego dnia, obaj rycerze z Bogdańca, wraz z Powałą, udali się na ranną mszę do katedry, tak dla nabożeństwa, jak i dlatego, by widzieć dwór i gości, którzy schodzili się na zamek. Jakoż po drodze

już Powała spotkał mnóstwo znajomych, a między nimi wielu rycerzy sławnych w kraju i za granicą, na których z podziwem patrzył młody Zbyszko, obiecując sobie w duszy, że jeśli sprawa z Lichtensteinem ujdzie mu na sucho, to będzie się starał im wyrównać w męstwie, i we wszystkich cnotach. Jeden z tych rycerzy, Toporczyk, krewny kasztelana krakowskiego, powiedział im nowinę o powrocie z Rzymu Wojciecha Jastrzębca, scholastyka, który jeździł do papieża Bonifacego IX z listem królewskim, zapraszającym na chrzciny do Krakowa. Bonifacy przyjął zaprosiny, a jakkolwiek wyraził wątpliwość, czy będzie mógł przybyć własną osobą, upoważnił posła, aby w jego imieniu trzymał do chrztu mające się narodzić dziecię, a zarazem prosił, by w dowód osobliwszej jego miłości dla obojga królestwa, dziecku nadano imię Bonifacy lub Bonifacya.

Mówiono także o blizkim przyjeździe króla węgierskiego, Zygmunta, i spodziewano się go napewno. Zygmunt bowiem przyjeżdżał i proszony i nieproszony, zawsze, gdy zdarzyła się sposobność jakowychś odwiedzin, uczt i gonitw, w których z zamiłowaniem brał udział, pragnąc zasłynąć po świecie i jako władca, i jako śpiewak, i jako jeden z pierwszych rycerzy. Powała, Zawisza z Garbowa, Dobko z Oleśnicy, Naszan i inni podobnej miary mężowie, z uśmiechem wspominali sobie, jako za poprzednich bytności Zygmunta, król Władysław prosił ich po cichu, aby na turnieju nie nacierali zbyt ostro i oszczędzali „węgierskiego gościa", którego znana w świecie próżność była tak wielka, że w razie niepowodzenia wyciskała mu łzy z oczu. Lecz największe zajęcie między rycerstwem budziły sprawy Witoldowe. Rozpowiadano cuda o wspaniałości owej kolebki, ulanej ze szczerego srebra, którą od Witolda i żony jego, Anny, przywieźli w darze kniazie i bojarzyni litewscy. Potworzyły się, jako zwykle przed nabożeństwem, gromadki ludzi, opowiadające sobie nowiny. W jednej z nich, Maćko, posłyszawszy o kolebce, zabrał głos i opisywał kosztowność daru, ale więcej jeszcze opowiadał o zamierzonej ogromnej wyprawie Witolda przeciw Tatarom, gdyż zarzucano go o nią pytaniami. Wyprawa była prawie gotowa, albowiem ogromne wojska ruszyły już na wschód Rusi, gdyby się zaś udała, rozciągnęłaby zwierzchnictwo króla Jagiełły niemal na pół świata, aż do nieznanych głębin azjatyckich, po granice Persyi i brzegi Uralu. Maćko, który poprzednio był blizko osoby Witolda i mógł znać jego zamiary, umiał o nich rozpowiadać dokładnie, a nawet i tak wymownie, że zanim zadzwoniono na mszę, przed wschodami katedry utworzył się naokół niego krąg ciekawych. Szło — mówił — poprostu o wyprawę krzyżową. Sam Witold, chociaż go piszą wielkim kniaziem, rządzi przecie Litwą z ramienia Jagiełły i jest tylko wielkorządcą, zasługa więc spadnie na króla .I co za chwała będzie dla nowoochrzczonej Litwy i dla potęgi Polski, gdy połączone wojska poniosą Krzyż w takie strony, w których, jeśli wspominają imię Zbawiciela, to chyba, by mu bluźnić, i w których nie postała dotąd noga Polaka, ni Litwina! Wypędzony Tochtamysz, gdy go polskie i litewskie wojska posadzą nanowo na utraconym kapczackim tronie, uzna się „synem" króla Władysława i, jako obiecał, wraz z całą Złotą Ordą pokłoni się Krzyżowi.

Słuchano z natężeniem tych słów, lecz wielu nie wiedziało dobrze, o co chodzi, komu Witold ma pomagać, przeciw komu wojować — więc niektórzy poczęli pytać:

— Powiadajcie wyraźnie z kim wojna?

— Z kim? Z Tymurem Chromym — odrzekł Maćko.

Nastała chwila milczenia. O uszy rycerstwa zachodniego odbijały się wprawdzie niejednokrotnie nazwy Ord Złotych, Sinych, Azowskich i rozmaitych innych, ale sprawy tatarskie i wojny domowe między pojedynczemi Ordami nie były mu dobrze wiadome. Natomiast nie znalazłbyś ani jednego człowieka w ówczesnej Europie, któryby nie słyszał o straszliwym Tymurze Chromym, czyli Tamerlanie, którego imię powtarzano z niemniejszą trwogą, niż niegdyś imię Atyli. Był to przecie „pan świata" i „pan czasów" — władca dwudziestu siedmiu zawojowanych państw, władca Rusi Moskiewskiej, władca Sybiru, Chin po Indje, Bagdadu, Ispahanu, Alepu, Damaszku — którego cień padał przez piaski arabskie na Egipt, a przez Bosfor na cesarstwo Greckie, — tępiciel ludzkiego rodzaju, potworny budowniczy piramid z czaszek ludzkich, zwycięzca we wszystkich bitwach, niezwyciężony w żadnej „pan dusz i ciał".

Tochtamysz przez niego posadzon jest na tronie Złotej i Sinej Ordy — i uznan „synem". Lecz gdy władztwo jego rozciągnęło się od Uralu do Krymu przez więcej ziem, niż ich było w reszcie Europy, „syn" chciał być władcą niepodległym — za co „jednym palcem" strasznego ojca pozbawion tronu, uciekł do litewskiego rządcy, wzywając go o pomoc. Jego to właśnie zamierzył Witold wprowadzić napowrót na państwo, ale aby to uczynić, trzeba się było wpierw zmierzyć ze światowładnym Kulawcem.

Z tego też powodu imię jego silne na słuchaczach sprawiło wrażenie — i po chwili milczenia jeden z najstarszych rycerzy, Wojciech z Jagłowa, rzekł:

— Nie z byle kim sprawa.

— A o byle co — ozwał się roztropnie Mikołaj z Długolasu. — Bo czy tam za dziesiącią ziemią będzie Tochtamysz, czy jakowyś Kutłuk panował synom Belialia, cóż nam z tego przyjdzie?

— Tochtamysz wiarę chrześcijańskąby przyjął — odpowiedział Maćko.

— Przyjąłby, albo nie przyjął. Zali można psubratom wierzyć, którzy Chrystusa nie wyznawają?

— Lecz dla imienia Chrystusowego godzi się poledz — odparł Powała.

— I dla czci rycerskiej — dodał Toporczyk, krewny kasztelana. — Są przecie między nami tacy, którzy pójdą. Pan Spytko z Melsztyna, młodą ma żonę i umiłowaną, a dlatego już do kniazia Witolda pociągnął.

— Bo i nie dziwno — wtrącił Jaśko z Naszan: — choćbyś miał najbezpieczniejszy grzech na duszy, odpust za taką wojnę pewny i zbawienie pewne.

— A sława po wieki wieków — rzekł znów Powała z Taczewa. —

Jak wojna, to wojna, a że nie byle z kim, to lepiej. Tymur świat zawojował i ma dwadzieścia siedm królestw pod sobą. Tożby była chwała dla naszego narodu, żebyśmy go starli.

— Dlaczegoby nie? — odrzekł Toporczyk: — choćby i sto królestw posiadał, niech się go inni boją, — nie my! Godnie mówicie! Skrzyknąłby jeno z dziesięć tysięcy kopijników dobrych — to i świat przejdziem.

— A któryż naród ma Chromego pokonać, jeśli nie nasz?...

Tak rozmawiali rycerze, a Zbyszko aż się zdziwił, że przedtem nigdy nie przyszła mu ochota pociągnąć z Witoldem w dzikie stepy... Ale za czasu pobytu w Wilnie, chciało mu się widzieć Kraków, dwór, wziąć udział w gonitwach rycerskich, a teraz pomyślał — że tu znaleźć może niesławę i sąd, tam zaś, w najgorszym razie znalazłby śmierć pełną chwały...

Lecz stuletni Wojciech z Jagłowa, któremu ze starości trzęsła się szyja, ale który rozum miał odpowiedni wiekowi, oblał zimną wodą ochotę rycerzy:

— Głupiście, — rzekł. — Zali to żaden z was nie słyszał, że wizerunek Chrystusów przemówił do Królowej, a jeżeli sam Zbawiciel do takiej dopuszcza ją poufałości, czemuby Duch św., który jest trzecią Trójcy osobą, miał na nią być mniej miłościw. Przez to ona przyszłe rzeczy widzi, jakoby się przed nią działy, i mówiła tak....

Tu zatrzymał się i przez chwilę trząsł głową, a następnie rzekł:

— Zapomniałem co powiedziała, ale zaraz sobie przypomnę.

I począł się namyślać, oni zaś czekali w skupieniu, albowiem powszechne było mniemanie, że królowa widzi przyszłe zdarzenia.

— Aha! — rzekł wreszcie: — jużem się obaczył! Królowa powiedziała, że gdyby wszystko rycerstwo tutejsze poszło z kniaziem Witoldem na Chromego, tedy byłaby moc pogańska skruszona. Ale to nie może być, dla niepoczciwości panów chrześcijańskich. Trzeba granic pilnować i od Czechów i od Węgrzynów i od Zakonu, bo nikomu ufać nie można. Gdy zaś garść jeno Polaków z Witoldem pójdzie, pokona go Tymur Kulawy, albo jego wojewodowie, którzy ćmom nieprzeliczonym przywodzą...

— Przecie teraz jest spokój, — ozwał się Toporczyk — i sam Zakon daje podobno jakowąś pomoc Witoldowi. Nie mogą nawet Krzyżacy inaczej uczynić, choćby dla wstydu — żeby Ojcu świętemu pokazać i że z pogany walczyć gotowi. Prawią też dworscy, że Kuno Lichtenstein nietylko dla krzcin, ale i dla narad z królem tu bawi...

— A oto i on — zawołał ze zdziwieniem Maćko.

— Prawda! — rzekł, oglądając się Powala. — Dalibóg on! Krótko bawił u opata i musiał chyba do dnia z Tyńca wyjechać.

— Jakoś mu było pilno — odrzekł posępnie Maćko.

Tymczasem Kuno Lichtenstein przeszedł koło nich. Maćko poznał go po krzyżu, wyszytym na płaszczu, ale on nie poznał ni jego, ni Zbyszka, gdyż widział ich poprzednio w hełmach, z hełmu zaś, nawet przy otwartej przyłbicy, widać było tylko małą część twarzy rycerza. Przechodząc, skinął głową Powale z Taczewa i Toporczykowi, poczem,

wraz ze swymi giermkami, począł wstępować po schodach do katedry, krokiem poważnym i pełnym majestatu.

Wtem ozwały się dzwony, płosząc stado kawek i gołębi, gnieżdżących się po wieżach, a zarazem oznajmiając, iż msza niebawem się rozpocznie. Maćko i Zbyszko weszli razem z innymi do kościoła, nieco zaniepokojeni szybkim powrotem Lichtensteina. Lecz starszy rycerz niepokoił się więcej, albowiem uwagę młodszego pochłonął całkowicie dwór królewski. Zbyszko nigdy w życiu nie widział nic równie świetnego, jak ten kościół i to zebranie. Na prawo i na lewo otaczali go najznakomitsi mężowie królestwa, słynni w radzie lub boju. Wielu, których rozum przeprowadził małżeństwo W. Księcia Litwy z cudną i młodziuchną królową polską, już pomarło, ale niektórzy żyli jeszcze, i na tych spoglądano ze czcią nadzwyczajną. Nie mógł się napatrzyć młody rycerz wspaniałej postaci Jaśka z Tęczyna, kasztelana krakowskiego, w której łączyła się surowość z powagą i prawością; podziwiał mądre i stateczne twarze innych rajców, lub potężne oblicza rycerskie, z włosami równo przyciętymi nad brwią, a spływającymi w długich kędziorach z boków głowy i z tyłu. Niektórzy nosili siatki na głowach, niektórzy tylko przepaski, utrzymujące w ładzie włosy. Goście zagraniczni, posłowie króla rzymskiego, czescy, węgierscy i rakuscy, oraz ich przyboczni dziwili największą wykwintnością ubiorów; kniazie i bojarzynowie litewscy, przy boku króla zostający, pomimo lata i gorących dni, mieli na sobie dla okazałości szuby podbite futrem kosztownem; kniazie ruscy, w szatach sztywnych a szerokich, wyglądali na tle ścian i złoceń kościelnych, jak obrazy bizantyńskie. Lecz z największą ciekawością oczekiwał Zbyszko wejścia króla i królowej i tłoczył się, ile mógł, ku stallom, za któremi w pobliżu ołtarza widać było dwie poduszki z czerwonego aksamitu, królestwo bowiem słuchali mszy zawsze na klęczkach. Jakoż nie czekano długo: król wszedł pierwszy drzwiami od zakrystji, a zanim doszedł przed ołtarz, można mu się było dobrze przypatrzyć. Włosy miał czarne, zwichrzone rzedniejące nieco nad czołem, długie, po bokach założone za uszy, twarz smagłą, całkiem ogoloną, nos garbaty i dość spiczasty, koło ust zmarszczki, oczki czarne, małe, świecące, któremi rzucał na wszystkie strony, jakby chciał, zanim dojdzie przed ołtarz, porachować wszystkich ludzi w kościele. Oblicze jego miało wyraz dobrotliwy, ale zarazem i czujny, człowieka, który wyniesion przez fortunę nad własne spodziewanie, musi myśleć ustawicznie o tem, czy jego postępki odpowiadają godności, i który obawia się złośliwych przygan. Ale właśnie dlatego była w jego twarzy i ruchach jakby pewna niecierpliwość. Łatwo było odgadnąć, że gniew jego musi być nagły, straszny, i że jest to zawsze ten sam książę, który swego czasu, zniecierpliwiony matactwami Krzyżaków, wołał do ich wysłanników: „Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!"

Lecz już teraz tę przyrodzoną zapalczywość hamowała wielka i szczera pobożność. Nietylko świeżo nawróceni kniazie litewscy, ale i pobożni z dziada pradziada wielmoże polscy budowali się widokiem króla w kościele. Często on, odrzuciwszy poduszkę klękał dla większego umartwienia na gołych kamieniach; często, wzniósłszy ręce do góry,

trzymał je wzniesione dopóty, dopóki mu same nie opadły ze zmęczenia. Słuchał najmniej trzech mszy dziennie i słuchał ich niemal z chciwością. Odkrycie kielicha i odgłos dzwonka na Podniesienie napełniały zawsze duszę jego uniesieniem, zachwytem, rozkoszą i przestrachem. Po skończonej mszy wychodził z kościoła jakby zbudzon ze snu, uspokojony, łagodny, i dworzanie wcześnie zwiedzieli się, że wówczas najlepiej jest go prosić czy o przebaczenie, czy o dary.

Jadwiga weszła przez drzwi od zakrystji. Ujrzawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklękali natychmiast, mimowoli odddając jej cześć, jak świętej. Zbyszko uczynił to samo, albowiem w całem tem zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobiły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat, surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem chodziły głosy o cudach, spełnianych przez królowę. Mówiono, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie pozbawieni władzy w rękach i nogach, odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcili ją na klęczkach monarchowie zagraniczni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy Zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX. nazywał ją świątobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzał na jej postępki i pamiętał, że to dziecię domu Andegaweńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła, jako królowa, „dzikiego" księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy Krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwała apostolstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostolstwo nie połączyło się z takiem poświęceniem — nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę „polską królowę", kochał ją, jak źrenicę oka, jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przymnożyła potęgi i sławy. Jedna tylko wielka troska zaciążyła nad nią i nad narodem — oto tej wybrance swojej Bóg odmawiał przez długie lata potomstwa.

Lecz gdy nareszcie i ta niedola minęła, radosna wieść o uproszonem błogosławieństwie rozbiegła się, jak błyskawica, od Bałtyku po morze Czarne, po Karpaty i napełniła weselem wszystkie ludy olbrzymiego państwa. Z wyjątkiem stolicy krzyżackiej, przyjęto ją radośnie nawet po dworach zagranicznych. W Rzymie śpiewano „Te Deum". W ziemiach polskich utrwaliło się ostatecznie mniemanie, że o co „święta pani" Boga poprosi, to stanie się nieodmiennie.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby

modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą kośbę, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to o zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i grodków, którzy, przejętym od Niemców zwyczajem, trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo, cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los niewolników, dumę panów, surowość sędziów — i unosił się, jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju, nad całą krainą.

Wszyscy też z bijącemi sercami oczekiwali dnia błogosławieństwa. Rycerze pilnie spoglądali na postać królowej, aby z jej kształtów wywnioskować, jak długo przyjdzie im czekać na przyszłego dziedzica lub przyszłą dziedziczkę tronu. Ksiądz biskup krakowski Wysz, który był zarazem najbieglejszym w kraju a słynnym i za granicą lekarzem, nie zapowiadał jeszcze rychłego połogu, jeśli zaś czyniono przygotowania, to dlatego, że zwyczajem wieku było rozpoczynać wszelkie uroczystości jak najwcześniej, a przeciągać je przez całe tygodnie. Jakoż postać pani, lubo podana nieco naprzód, zachowała dotychczas dawną wysmukłość. Odzież nosiła aż nazbyt prostą. Niegdyś — wychowana na świetnym dworze i piękniejsza od wszystkich współczesnych księżniczek, — kochała się w kosztownych tkaninach, perłach, w złotych manelach i pierścieniach, obecnie — a nawet od lat już kilku, nietylko nosiła szaty mniszki, ale przysłaniała nawet i twarz, z obawy, by myśl o własnej piękności, nie wzbudziła w niej pychy światowej. Próżno Jagiełło, dowiedziawszy się o odmiennym jej stanie, polecił w uniesieniu radości, by łożnicę przyozdobiła złotogłowiem, bisiorem i klejnotami. Odpowiedziała, że, wyrzekłszy się zdawna okazałości, pamięta, że pora połogów bywa częstokroć porą śmierci, a nie wśród klejnotów, ale w cichej pokorze powinna przyjąć łaskę, którą ją Bóg nawiedza.

Złoto i klejnoty szły tymczasem na akademię lub na wysyłanie nowochrzczonej młodzieży litewskiej do zagranicznych uniwersytetów.

Królowa zgodziła się tylko w tem zmienić zakonny pozór iż od czasu, jak nadzieja macierzyństwa stała się zupełną pewnością, nie przysłaniała więcej twarzy, słusznie mniemając, że nie przystoi jej od tej chwili strój pokutnicy...

Jakoż wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tem cudnem obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła zwolna od drzwi zakrystyi ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową twarz, niebieskie źrenice, rysy poprostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia, i serce poczęło mu bić, jak młotem. Wiedział on, że z rozkazania Bożego, powinien kochać i swego króla, i swoją królową, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się, jak płomień, a jest zarazem i czcią największą, i pokorą, i chęcią ofiary. Młody był i porywczy rycerz Zbyszko, więc chwyciła

go zaraz chęć, by tę miłość i wierność poddanego rycerza jakoś okazać, coś dla niej uczynić, gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć i samemu przytem karkiem nałożyć — „Pójdę chyba z kniaziem Witoldem, — mówił sobie, — bo jakże świętej pani usłużę, skoro niemasz nigdzie blizko wojny?" Nie przyszło mu nawet do głowy, by można inaczej usłużyć, niż mieczem, rohatyną lub toporem, ale za to gotów był sam jeden na całą potęgę Tymura Chromego uderzyć. Chciało mu się zaraz po mszy siąść na koń i coś zacząć. Co? sam nie wiedział. Wiedział tylko, że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała.

Zapomniał też znów całkiem o niebezpieczeństwie, które mu groziło. Zapomniał nawet chwilowo Danusi — a gdy przyszła mu ona na myśl z powodu dziecinnych śpiewów, które nagle ozwały się w kościele, miał poczucie, „że to co innego". Danusi przyrzekł wierność, przyrzekł trzech Niemców — i tego dotrzyma, ale przecie królowa jest ponad wszystkie niewiasty — i gdy pomyślał, iluby dla królowej chciał zabić — ujrzał przed sobą całe zastępy pancerzy, hełmów, piór strusich, pawich, i czuł, że wedle chęci jeszczeby tego było za mało...

Tymczasem nie spuszczał z niej oka, rozmyślając w wezbranem sercu, jakąby ją uczcić modlitwą, sądził bowiem, że za królową byle jak modlić się nie można. Umiał powiedzieć: „Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum" — tego bowiem wyuczył go pewien Franciszkanin w Wilnie, ale być może, że zakonnik sam więcej nie umiał, być może Zbyszko reszty zapomniał, dość, że całego „Ojcze nasz" wyrecytować nie mógł. Teraz jednak począł powtarzać w kółko tych kilka słów, które w jego duszy znaczyły: „Daj naszej umiłowanej pani zdrowie i życie, i szczęście — i więcej o nią dbaj, niż o wszystko inne". Że zaś to mówił człowiek, nad którego własną głową wisiał sąd i kara — przeto w całym kościele nie było szczerszej modlitwy...

Po skończonej mszy myślał Zbyszko, że gdyby mu wolno było stanąć przed królową, upaść przed nią na twarz i objąć jej stopy, to niechby potem nawet koniec świata nastąpił, ale po pierwszej mszy wyszła druga, potem trzecia, a następnie pani odeszła do swoich komnat, zwykle bowiem suszyła aż do południa i umyślnie nie brała udziału w wesołych śniadaniach, przy których dla uciechy króla i gości występowali trefnisie i kuglarze. Natomiast przed Zbyszkiem pojawił się stary rycerz z Długolasu i wezwał go do księżny.

— Będziesz posługiwał przy śniadaniu mnie i Danusi, jako mój dworzanin — rzekła księżna — a nuż zdarzy ci się przypodobać się królowi jakowemś krotochwilnem słowem albo postępkiem, którym serce jego sobie zjednasz. Krzyżak, jeśli cię pozna, nie będzie może się skarżył, widząc, że przy stole królewskim mnie posługujesz.

Zbyszko ucałował rękę księżny, poczem zwrócił się do Danusi i jakkolwiek przywykły więcej do wojny i do bitek, niż do dworskich obyczajów, wiedział jednak widocznie, co rycerzowi czynić przystoi, gdy rankiem zobaczy damę swych myśli — gdyż cofnął się i przybrawszy wyraz zdumienia, zawołał, żegnając się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!...

A Danusia spytała, podnosząc na niego modre oczki:

— Czego się Zbyszko żegna, kiedy już po mszy?

— Bo przez tę noc tyle ci, piękna panno, gładkości przybyło, aże mi cudnie!

Lecz Mikołaj z Długolasu nie lubił, jako człowiek stary, nowotnych, zagranicznych zwyczajów rycerskich, więc wzruszył ramionami i rzekł:

— Co tam będziesz po próżnicy czas tracił i o urodzie jej prawił! Skrzat to, któren ledwie od ziemi odrósł...

Na to Zbyszko spojrzał zaraz na niego zawzięcie:

— Warujcie się nazywać ją skrzatem, — rzekł, blednąc z gniewu — i to wiedzcie, że gdyby wam było mniej roków, zarazbym kazał ziemię za zamkiem udeptać, i niechby przyszła wasza, albo moja śmierć!...

— Cichaj, chłystku!... dałbym ci rady jeszcze dziś!

— Cichaj! — powtórzyła księżna. — To zamiast o własnej głowie myśleć, będzie tu jeszcze zwady szukał! Wejbym była stateczniejszego dla Danusi poszukała rycerza. Ale to ci powiadam, że jeśli chcesz burzyć, chybaj sobie, gdzie chcesz, bo tu takich nie trzeba...

Zbyszko zawstydził się słowami księżnej i począł ją przepraszać. Pomyślał przytem, że jeśli pan Mikołaj z Długolasu ma doletniego syna, to tam kiedyś wyzwie go na walkę pieszą lub konną, byle za skrzata nie darować. Tymczasem jednak postanowił zachować się na pokojach królewskich, jak trusia i nie wyzywać nikogo, chybaby tego koniecznie rycerska cześć wymagała...

Odgłos trąb oznajmił, że śniadanie gotowe, więc księżna Anna, wziąwszy za rękę Danusię, udała się do komnat królewskich, przed któremi stali, czekając na jej przyjście świeccy dygnitarze i rycerze. Księżna Ziemowitowa weszła już była pierwej, gdyż jako rodzona siostra królewska, wyższe brała miejsce za stołem. Wnet zaroiło się w komnacie od gości zagranicznych i zaproszonych miejscowych dygnitarzy i rycerzy. Król siedział u wyższego końca stołu, mając przy sobie biskupa krakowskiego i Wojciecha Jastrzębca, który, chociaż niższy godnością od infułatów, siedział jako poseł papieski, po prawicy króla. Dwie księżne zajęły miejsca następne. Za Anną Danutą rozparł się wygodnie na szerokiem krześle były arcybiskup gnieźnieński Jan, książę pochodzący z Piastów szląskich, syn Bolka III., księcia Opolskiego. Zbyszko słyszał o nim na dworze Witoldowym i teraz, stojąc za księżną i Danusią, poznał go natychmiast po niezmiernie obfitych włosach, które pozwijane w strąki czyniły głowę jego podobną do kościelnego kropidła. Na dworach książąt polskich przezywano go też Kropidłem, a nawet Krzyżacy dawali mu imię „Grapidla" — Był to człowiek słynny z wesołości i lekkich obyczajów. Otrzymawszy wbrew woli króla paliusz na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, chciał je zająć zbrojną ręką, za co wyzuty z godności i wypędzon, związał się z Krzyżakami, którzy dali mu na Pomorzu ubogie biskupstwo Kamieńskie. Wówczas dopiero zrozumiawszy, że z potężnym królem lepiej jest być w zgodzie, przebłagał go, wrócił do kraju i czekał na opróż-

nienie której ze stolic, spodziewając się, że ją z rąk dobrotliwego pana otrzyma. Jakoż nie zawiódł się w przyszłości, a tymczasem starał się krotofilami zaskarbić sobie serce królewskie. Został mu jednak zawsze dawny pociąg do Krzyżaków. Nawet i teraz, na dworze Jagiełłowym, — niezbyt mile widziany przez dygnitarzy i rycerstwo, — szukał towarzystwa Lichtensteina i rad sadowił się obok niego przy stole.

Tak było i obecnie. Zbyszko, stojąc za krzesłem księżny, znalazł się tak blizko Krzyżaka, że mógłby go był ręką dosięgnąć. Jakoż palce poczęły go zaraz swędzić i kurczyć się, lecz to było mimowoli, gdyż pohamował swą popędliwość zupełnie, i nie pozwolił sobie na żadną myśl. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucania od czasu do czasu nieco łakomych spojrzeń na łysiejącą nieco z tyłu płową głowę Lichtensteina, na szyję, plecy i ramiona, pragnąc zarazem wymiarkować, czyli też wiele miałby z nim do roboty, gdyby się im spotkać przyszło bądź w bitwie bądź w pojedyńczej walce. Wydało mu się, iż niezbyt wiele, bo choć łopatki Krzyżaka rysowały się dość potężnie pod obcisłą z szarego, cienkiego sukna szatą, był on jednak chuchrakiem w porównaniu do takiego Powały, do Paszka Złodzieja z Biskupic, do obu przesławnych Sulimczyków, do Krzona z Kozigłów i do wielu innych rycerzy, siedzących przy stole królewskim.

Na nich to z podziwem i zazdrością spoglądał Zbyszko, lecz główną uwagę jego zwrócił sam król, który rzucając spojrzenia na wszystkie strony, zagarniał co chwila palcami włosy za uszy, jakby zniecierpliwiony tem, że śniadanie się jeszcze nie rozpoczęło. Wzrok jego zatrzymał się przez mgnienie oka i na Zbyszku, a wówczas młody rycerz doznał pewnego uczucia strachu, i na myśl, że pewno przyjdzie mu stanąć przed gniewnem obliczem królewskiem, opanował go okrutny niepokój. Pierwszy to raz pomyślał naprawdę o odpowiedzialności i karze, jaka nań spaść mogła, dotychczas bowiem wydawało mu się to wszystko dalekie, niewyraźne, zatem nie warte troski.

Ale Niemiec ani się domyślał, że ów rycerz, który natarł na niego zuchwale na gościńcu, znajduje się tak blizko. Rozpoczęło się śniadanie. Wniesiono polewkę winną, zaprawną jajami, cynamonem, gwoździkami, imbirem i szafranem tak silnie, że zapach rozszedł się po całej izbie. Jednocześnie trefniś Ciaruszek, siedzący we drzwiach na zydlu, począł udawać śpiew słowika, co widocznie weseliło króla. Po nim drugi obchodził stół wraz ze służbą, obnoszącą potrawy, stawał nieznacznie za gośćmi i naśladował blizkie brzęczenie pszczoły tak dokładnie, że jaki taki kładł łyżkę i poczynał ogarniać czuprynę. Na ten widok inni wybuchali śmiechem. Zbyszko pilnie usługiwał księżnie i Danusi, lecz gdy z kolei i Lichtenstein począł się klepać w łysiejącą głowę, zapomniał znów o niebezpieczeństwie i począł śmiać się aż do łez, a stojący blizko niego młody kniaź litewski Jamont, syn namiestnika smoleńskiego, pomagał mu w tem tak szczerze, że aż ronił potrawy z półmisków.

Lecz Krzyżak, spostrzegłszy wreszcie pomyłkę, sięgnął do kolety, a jednocześnie, zwróciwszy się do biskupa Kropidły, przemówił do

niego kilka słów po niemiecku, które biskup zaraz po polsku powtórzył:

— Szlachetny pan mówi ci tak: — rzekł, zwracając się do błazna — dostaniesz dwa skojce, ale nie brzęcz za blizko, gdyż pszczoły się odpędza, a trutniów się bije...

Na to trefniś pochował dwa skojce, które mu podał Krzyżak i, korzystając z przysługującej błaznom na wszystkich dworach wolności, odrzekł:

— Dużo miodu w ziemi Dobrzyńskiej*) dlatego ją trutnie obsiadły. Bij-że ich, królu Władysławie!

— Naści i ode mnie grosz, boś dobrze powiedział, — rzekł Kropidło — jeno pamiętaj, że gdy leziwo się urwie, to bartnik kark skręci. Mają żądła te malborskie trutnie, które Dobrzyń obsiadły, i niebezpiecznie leźć na ich barć.

— O wa! — zawołał Zyndram z Maszkowa, miecznik krakowski: — można ich wykurzyć!

— Czem?

— Prochem.

— Albo toporem barć ściąć! — rzekł olbrzymi Paszko Złodziej z Biskupic.

Zbyszkowi rosło serce, sądził bowiem, że takie słowa zapowiadają wojnę. Ale rozumiał je i Kuno Lichtenstein, który, przebywając długo w Toruniu i Chełmnie, wyuczył się polskiej mowy — i nie używał jej tylko przez pychę. Teraz jednak, podrażnion słowami Zyndrama z Maszkowa, utopił w nim swoje szare źrenice i odrzekł:

— Zobaczymy.

— Widzieli ojce nasi pod Płowcami, a i my widzielim pod Wilnem — odpowiedział Zyndram.

— P a x v o b i s c u m ! — zawołał Kropidło. — P a x! P a x! Jeno ksiądz Mikołaj z Kurowa ustąpi z biskupstwa kujawskiego, a król miłościwy mnie po nim naznaczy, powiem wam tak piękne kazanie o miłości między chrześcijańskimi narodami, iż was do cna skruszę. Cóż to jest bowiem nienawiść, jeśli nie i g n i s, a do tego i g n i s i n f e r n a l i s... ogień tak okrutny, że woda mu nie poradzi — i chyba winem trzeba go zalewać. Wina dawajcie! Pojedziemy na ops! jak mawiał nieboszczyk biskup Zawisza z Kurozwęk!

— A z opsu do piekła, jak mówił dyabeł! — dodał trefniś Ciaruszek.

— Niechże cię porwie!

— Cudnie będzie, jeśli was porwie. Nie widziano jeszcze dyabła z kropidłem, ale tak myślę, że wszyscy będziemy mieli tę uciechę...

— Wpierw ciebie jeszcze pokropią. Wina dajcie i niech żywie miłość między chrześcijany!

— Między prawdziwymi chrześcijany! — powtórzył z naciskiem Kuno Lichtenstein.

---

*) Ziemia Dobrzyńska zagarnięta została na mocy bezprawnego układu z Władysławem Opolczykiem przez Krzyżaków.

— Jakże? — zawołał, podnosząc głowę, biskup krakowski Wysz; — zali to nie w odwiecznie chrześcijańskiem królestwie przebywacie? zali nie starsze tu kościoły, niż w Malborgu?

— Nie wiem — odpowiedział Krzyżak.

Król szczególniej drażliwy był, gdy szło o chrześcijaństwo. Zdawało mu się, że Krzyżak może jemu właśnie chce przemówić, więc wystające policzki pokryły mu się zaraz czerwonemi piętnami, oczy poczęły błyskać.

— Co to! — odezwał się grubym głosem. — Nie chrześcijański ja król? co?

— Królestwo powiada się chrześcijańskiem, — odparł Krzyżak — ale obyczaje są w niem pogańskie...

Na to podnieśli się groźni rycerze: Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, Floryan z Korytnicy, Bartosz z Wodzianka, Domarat z Kobylan, Powała z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaxa z Targowiska, Krzon z Kozichgłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic, potężni, sławni zwycięzcy w wielu bitwach, w wielu turniejach, i to płonąc z gniewu, to blednąc, to zgrzytając zębami, poczęli wołać jeden przez drugiego:

— Gorze nam! bo gościem jest i nie może być wyzwan!

A Zawisza Czarny, Sulimczyk, najsłynniejszy między słynnymi, „wzór rycerzy", zwrócił zmarszczone czoło do Lichtensteina i rzekł:

— Nie poznaję cię, Kunonie. Jakże możesz rycerzem będąc, hańbić wspaniały naród, gdy wiesz, że jako posłowi, żadna ci za to kara nie grozi?

Lecz Kuno wytrzymał spokojnie groźne spojrzenia i odrzekł zwolna, dobitnie:

— Nasz Zakon, zanim do Prus przybył, wojował w Palestynie, ale i tam nawet Saraceni posłów szanowali. Wy jedni ich nie szanujecie — i dlategom obyczaj wasz nazwał pogańskim.

Na to gwar uczynił się jeszcze większy. Naokół stołu ozwały się znów okrzyki: „Gorze! gorze!"

Ale uciszyły się, gdy król, na którego obliczu wrzał gniew, klasnął obyczajem litewskim kilkakroć w dłonie. Wówczas wstał stary Jaśko Topór z Tęczyna, kasztelan krakowski, sędziwy, poważny, postrach dostojnością urzędu budzący, i rzekł:

— Szlachetny rycerzu z Lichtensteinu, jeśli was jakowaś obelga, jako posła spotkała, mówcie, a srogiej sprawiedliwości wartko stanie się zadość.

— Nie przygodziło mi się to w żadnem innem chrześcijańskiem państwie — odrzekł Kuno. — Wczoraj na drodze do Tyńca napadł mnie jeden wasz rycerz, i choć z krzyża na płaszczu łacnie mógł poznać, ktom jest — na życie moje godził.

Zbyszko, usłyszawszy te słowa, pobladł mocno i mimowoli spojrzał na króla, którego twarz była wprost straszna. Jaśko z Tęczyna zdumiał się i rzekł:

— Możesz to być?

— Zapytajcie pana z Taczewa, któren był świadkiem przygody.

Wszystkie oczy zwróciły się na Powałę, który stał przez chwilę mroczny, ze spuszczonemi powiekami, poczem rzekł:

— Tak jest!...

Usłyszawszy to rycerze, poczęli wołać: „Hańba! hańba! Bogdaj się ziemia pod takim zapadła!". I ze wstydu jedni uderzali się pięściami w uda i piersi, drudzy skręcali w palcach cynowe misy na stole, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

— Czemuś ty go nie ubił? — zagrzmiał król.

— Bo głowa jego do sądu należy — odparł Powała.

— Uwięziliście go? — spytał kasztelan Topór z Tęczyna.

— Nie, bo na cześć rycerską poprzysiągł, że się stawi.

— I nie stawi się! — zawołał szyderczo Kuno, podnosząc głowę.

Wtem jakiś młody, smutny głos ozwał się niedaleko za plecami Krzyżaka:

— Nie daj Bóg, abych ja hańbę od śmierci wolał. Jam to uczynił: Zbyszko z Bogdańca.

Po tych słowach porwali się rycerze ku nieszczęsnemu Zbyszkowi, lecz powstrzymało ich groźne skinienie króla, który powstawszy z zaiskrzonemi oczyma, począł wołać zdyszanym od gniewu głosem, podobnym do turkotu, jaki wydaje wóz, toczący się po kamieniach.

— Uciąć mu szyję! Uciąć mu szyję! Niech Krzyżak głowę jego odeśle do Malborga mistrzowi!

Poczem krzyknął na stojącego w pobliżu młodego kniazia litewskiego, syna namiestnika smoleńskiego:

— Trzymaj go, Jamont!

Przerażony gniewem królewskim, Jamont położył drżące dłonie na ramionach Zbyszka, który, zwróciwszy ku niemu wybladłą twarz, rzekł:

— Nie ucieknę...

Lecz białobrody kasztelan krakowski, Topór z Tęczyna, podniósł rękę na znak, że chce mówić — i gdy się uciszyło, rzekł:

— Miłościwy królu! — Niechże się ów komtur przekona, że nie twoja zapalczywość, ale nasze prawa karzą śmiercią za porwanie się na osobę posła. Inaczej słusznieby mógł mniemać, że niemasz praw chrześcijańskich w tem królestwie. Sąd nad winowajcą sam odprawię!

Ostatnie słowa wyrzekł głosem podniesionym, i widocznie nie dopuszczając nawet myślą, aby ów głos mógł być niewysłuchanym, skinął na Jamonta:

— Zamknąć go do wieży. Wy zaś, panie z Taczewa, świadczyć będziecie.

— Opowiem całą winę tego wyrostka, której żaden dojrzały mąż między nami nigdyby się nie dopuścił, — odpowiedział Powała, spoglądając posępnie na Lichtensteina.

— Słusznie prawi! — powtórzyli zaraz inni — pachołę to jeszcze! Za cóż nas wszystkich z jego przyczyny pohańbiono?

Nastała chwila milczenia i niechętnych spojrzeń na Krzyżaka, a tymczasem Jamont wiódł Zbyszka, by oddać go w ręce łuczników, stojących na zamkowym dziedzińcu. Czuł on w młodem sercu litość dla więźnia, którą potęgowała wrodzona mu nienawiść do Niemców. Ale jako Litwin, przywykły ślepo spełniać wolę wielkiego księcia i sam przerażony gniewem królewskim, począł po drodze szeptać do młodego rycerza, sposobem życzliwej namowy:

— Wiesz, co ci rzekę: — powieś się! najlepiej odrazu powieś się. „Karol" rozsierdził się i tak ci głowę utną. Czemubyś go nie miał uweselić? Powieś się, druhu! u nas taki zwyczaj.

Zbyszko, nawpół przytomny ze wstydu i strachu, zdawał się z początku nie rozumieć słów kniazika, ale wreszcie zrozumiał je i aż zatrzymał się ze zdumienia:

— Coże ty prawisz?

— Powieś się! Po co cię mają sądzić. Króla uweselisz! — powtórzył Jamont.

— Powieś-że się sam! — zawołał młody rycerz. — To cię niby ochrzcili, a skóra została na tobie pogańska, i tego nawet nie rozumiesz, że grzech chrześcijaninowi taką rzecz czynić.

A kniaź ruszył ramionami:

— Toż nie po dobrej woli, i tak ci głowę utną.

Zbyszkowi przemknęło przez myśl, że za podobne słowa wypadałoby zaraz wyzwać bojarzynka na walkę pieszą lub konną, na miecze albo na topory, ale stłumił w sobie tę chęć, wspomniawszy, że już mu czasu na to nie stanie. Więc spuścił smutnie głowę i w milczeniu pozwolił się oddać w ręce przewódcy pałacowych łuczników.

A w sali tymczasem uwaga powszechna zwróciła się w inną stronę. Danusia, widząc, co się dzieje, przelękła się z początku tak, iż dech zaparło w jej piersi. Twarzyczka jej pobladła, jak płótno, oczki stały się okrągłe z przerażenia — i patrzała na króla bez ruchu, jak woskowa figurka w kościele. Lecz gdy wreszcie usłyszała, że jej Zbyszkowi mają głowę uciąć, gdy go zabrali i wyprowadzili z izby, wówczas chwycił ją żal niezmierny; usta i brwi poczęły jej się trząść; nie pomógł nic, ni strach przed królem, ni przygryzanie ząbkami ust — i nagle wybuchnęła płaczem tak żałosnym i donośnym, że wszystkie twarze zwróciły się ku niej, a sam król spytał:

— Co to jest?

— Królu miłościwy! — zawołała księżna Anna. — To jest córka Juranda ze Spychowa, której ów nieszczęsny rycerzyk ślubował. Ślubował ci jej trzy pawie czuby z hełmów zedrzeć — i ujrzawszy czub taki na hełmie tego komtura, mniemał, że go mu sam Bóg zesłał. Nie ze złości on to uczynił, panie, jeno przez głupstwo, przeto bądź mu miłościw i nie karz go, o co cię na kolanach prosimy.

Tak rzekłszy, wstała i chwyciwszy Danusię za rękę, podbiegła z nią do króla, który widząc to, począł się cofać. Ale one obie uklękły przed nim, i Danusia, objąwszy rączynami nogi pańskie, poczęła wołać:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

I z uniesienia, a zarazem ze strachu, pochowała swą jasną główkę w fałdy szarej szaty królewskiej, całując mu przytem kolana i dygocąc, jak liść. Księżna Anna Ziemowitowa klękła z drugiej strony i złożywszy ręce, patrzyła błagalnie na króla, w którego twarzy odbiło się wielkie zakłopotanie. Cofał się wprawdzie wraz z krzesłem, ale nie odpychał przemocą Danusi, machał tylko obu rękoma, jakby odpędzając się od nich.

— Dajcie mi spokój! — wołał — zawinił, całe królestwo pohańbił! niech mu głowę utną!

Lecz małe rączyny zaciskały się coraz silniej wokół jego kolan, a dziecinny głosik wołał coraz żałośniej:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

Wtem ozwały się głosy rycerskie:

— Jurand ze Spychowa, rycerz sławny, postrach na Niemców!

— I ów wyrostek wielce się już pod Wilnem zasłużył — dodał Powała.

Lecz król bronił się dalej, lubo sam widokiem Danusi wzruszony:

— Dajcie mi spokój! Nie mnie zawinił i nie ja mogę mu darować. Niech mu poseł Zakonu daruje, to i ja daruję, a nie, to niech mu głowę utną.

— Daruj mu, Kunonie! — rzekł Zawisza Czarny Sulimczyk — sam mistrz ci tego nie przygani!

— Daruj mu, panie! — zawołały obie księżne.

— Daruj mu, panie! — powtórzyły głosy rycerskie.

Kuno przymknął powieki i siedział z podniesionem czołem, jakby rozkoszując się tem, że i obie księżne i tak znamienici rycerze zanoszą do niego prośby. Nagle zmienił się w mgnieniu oka: spuścił głowę, skrzyżował ręce na piersiach, z dumnego stał się pokorny i ozwał się przyciszonym, łagodnym głosem:

— Chrystus, Zbawiciel nasz, przebaczył łotrowi na krzyżu i nieprzyjaciołom swoim...

— Prawy to rycerz mówi! — ozwał się biskup Wysz.

— Prawy! Prawy!

— ...Jakżebym ja nie miał przebaczyć, — ciągnął dalej Kuno, — którym jest nie tylko chrześcijaninem, ale i zakonnikiem? Przeto przebaczam mu z duszy serca, jako Chrystusowy sługa i zakonnik!

— Sława mu! — huknął Powała z Taczewa.

— Sława! — powtórzyli inni.

— Ale — rzekł Krzyżak — jestem tu posłem między wami i noszę w sobie majestat całego Zakonu, który jest Chrystusowym Zakonem. Kto więc mnie, jako posła ukrzywdził, ukrzywdził Zakon, a kto obraził Zakon — obraził samego Chrystusa, i takiej krzywdy, ja, wobec Boga i ludzi darować nie mogę — jeśli zaś prawo wasze ją daruje, niech się dowiedzą o tem wszyscy panowie chrześcijańscy.

Po tych słowach zapadło głuche milczenie. Po chwili tylko ozwały się gdzieniegdzie zgrzytania zębów, ciężkie oddechy tłumionej wściekłości i łkanie Danusi.

Do wieczora wszystkie serca przechyliły się ku Zbyszkowi. Ci sami rycerze, którzy zrana byliby go gotowi na jedno skinienie króla roznieść na mieczach, wysilali teraz umysły, jakimby sposobem przyjść mu z pomocą. Księżnie postanowiły udać się z prośbą do królowej, by skłoniła Lichtensteina do zupełnego odstąpienia od skargi, lub w razie potrzeby napisania do w. mistrza Zakonu, prosząc, by ten rozkazał Kunowi zaniechać sprawy. Droga zdawała się pewna, gdyż Jadwigę otaczała cześć tak nadzwyczajna, że wielki mistrz ściągnąłby na siebie gniew Papieża i naganę wszystkich chrześcijańskich książąt, gdyby jej takiej rzeczy odmówił. Nie było też to prawdopodobnem i dlatego, że Konrad von Jungingen był człowiekiem spokojnym i o wiele od swoich poprzedników łagodniejszym. Na nieszczęście biskup krakowski Wysz, który był zarazem głównym lekarzem królowej, zakazał najsurowiej wspominać jej choćby jednem słowem o całej sprawie. „Nigdy ona o śmiertelnych wyrokach rada nie słucha — mówił — i choćby o prostego zbója chodziło, zaraz to do serca bierze, a cóż dopiero, jeśli o szyję młodzianka idzie, któren słusznie jej miłosierdzia mógłby wyglądać. Ale wszelka turbacya łatwo do ciężkiej niemocy może ją przywieść, zdrowie zaś jej więcej dla całego królestwa znaczy, niżeli dziesięć głów rycerskich". Zapowiedział wreszcie, że gdyby kto ośmielił się wbrew jego słowom turbować panią, na tego on ściągnie straszny gniew królewski, a w dodatku klątwą kościelną go obłoży.

Zlękły się tej zapowiedzi obie księżne i postanowiły milczeć przed królową, a natomiast póty błagać króla, póki jakowejś łaski nie okaże. Cały dwór i wszyscy rycerze stali już po stronie Zbyszka. Powała z Taczewa zapowiadał, iż wyzna szczerą prawdę, ale że złoży świadectwo dla młodzieńca przychylne i całą sprawę przedstawi, jako chłopięcą zapędliwość. Z tem wszystkiem, każdy przewidywał, a kasztelan Jaśko z Tęczyna głośno oświadczał, że jeśli Krzyżak się zatnie, to srogiemu prawu musi się stać zadość.

Burzyły się więc tembardziej przeciw Lichtensteinowi rycerskie serca, i niejeden myślał, lub nawet mówił otwarcie: „Posłem jest i w szranki powołan być nie może, ale gdy do Malborga wróci, nie daj Bóg, aby swoją własną zczezł śmiercią". I nie były to próżne groźby, albowiem rycerzom, którzy nosili pas, nie wolno było jednego słowa na wiatr uronić, kto zaś co zapowiadał, musiał tego dokazać lub zginąć. Groźny Powała okazał się przytem najzawziętszym, albowiem miał w Taczewie umiłowaną córuchnę w wieku Danusi — skutkiem czego łzy Danusine całkiem skruszyły w nim serce.

Jakoż jeszcze tego samego dnia odwiedził Zbyszka w podziemiu, kazał mu być dobrej myśli i opowiedział o prośbach obu księżn i o łzach Danusi... Zbyszko, dowiedziawszy się, iż dziewczyna rzuciła się dla niego do nóg królewskich, rozczulił się tym uczynkiem aż do łez, i nie wiedząc, jak swoją wdzięczność i tęsknotę wyrazić, rzekł, obcierając wierzchem dłoni powieki:

— Hej! niech-że ją Bóg błogosławi, a mnie jako najprędzej zezwoli jakową walkę pieszą albo konną za nią stoczyć! Za mało ja jej Niemców obiecał — bo takiej trzeba ich było tylu ślubować,

ile ma roków. Byle mnie Pan Jezus z tej obieży wybawił, juże ja jej nie poskąpię!...

I podniósł pełne wdzięczności oczy ku górze...

— Naprzód kościołowi jakiemu co obiecuj, — odrzekł pan z Taczewa — bo jeśli się twoja obietnica Bogu spodoba, pewnikiem wnet wolny będziesz. A powtóre słuchaj: poszedł do Lichtensteina twój stryj, a potem pójdę jeszcze i ja. Nie hańba ci będzie przeprosić go za winę, boś zawinił — i nie żadnego Lichtensteina, ale posła będziesz przepraszał. Gotów-że jesteś?

— Skoro mi taki rycerz, jak wasza miłość, mówi, iż się godzi — uczynię! ale jeśli będzie chciał, żebym go tak przepraszał, jako żądał na drodze z Tyńca, to niech-że mi głowę utną. Stryj ostanie i stryj mu odpłaci, gdy się jego poselstwo skończy...

— Obaczym, co powie Maćkowi — rzekł Powała.

A Maćko rzeczywiście był wieczorem u Niemca, ale ten przyjął go wzgardliwie; światła nawet nie kazał zapalić i w zmroku z nim gadał. Wrócił więc stary rycerz od niego posępny, jak noc, i udał się do króla. Król przyjął go dobrotliwie, bo się już całkiem uspokoił, i gdy Maćko klęknął, kazał mu zaraz wstać, pytając, czegoby żądał.

— Miłościwy panie, — rzekł Maćko. — Była wina, musi być kara, bo inaczej nie byłoby nijakiego prawa na świecie. Jeno jest i moja wina, iżem przyrodzonej zapalczywości tego wyrostka nie tylko nie hamował, alem mu ją jeszcze chwalił. Takem go to hodował, a potem od małości hodowała go wojna. Moja wina, miłościwy królu, bom mu nieraz powiadał: wpierw tnij, a potem obaczysz, kogoś rozciął. I dobrze z tem było na wojnie, źle zasię przy dworze! Ale to chłop, jak szczere złoto, ostatni z rodu, — i żal mi go okrutny...

— Mnie pohańbił, królestwo pohańbił, — rzekł król: — mam-li go za to miodem smarować?

A Maćko umilkł, gdyż na wspomnienie o Zbyszku żal ścisnął go nagle za gardło, i dopiero po długiej chwili, jął mówić wzruszonym jeszcze i przerywanym głosem:

— Anim ja wiedział, że go tak miłuję — i dopiero teraz się pokazało, jak bieda przyszła. Ale ja stary, a on z rodu ostatni. Nie będzie jego — nie będzie nas. Królu miłościwy i panie, ulitujże ty się nad rodem naszym!

Tu klęknął znowu Maćko i wyciągnąwszy przed się spracowane na wojnach ręce, mówił ze łzami:

— Broniliśmy Wilna: łupy Bóg dał godne, komu ja to ostawię? Chce Krzyżak kary, panie — niech będzie kara, ale pozwólcie, abych ja swoją głowę oddał. Co mi tam po żywocie bez Zbyszka. Młody jest, niech ziemię wykupi i potomstwo płodzi, jako Bóg człowiekowi przykazał. Nie zapyta się nawet Krzyżak, czyja głowa spadła, byle spadła. Hańba też z tego nijaka na ród nie spadnie. Ciężko człowiekowi iść na śmierć, ale, pomiarkowawszy, to lepiej, żeby człek zginął, niż żeby ród miał zginąć...

I tak mówiąc, objął nogi królewskie, król zaś począł mrugać oczyma, co było u niego oznaką wzruszenia, a wreszcie rzekł:

— Nie będzie tego, żebym ja opasanemu rycerzowi głowę kazał niewinnie ucinać! nie będzie, nie będzie!

— I nie byłoby w tem sprawiedliwości, — dodał kasztelan. — Prawo winnego przyciśnie, ale nie smok ci to żaden, który nie patrzy, czyją krew chłepce. A wy uważcie, że właśnie hańbaby na wasz ród spadła, bo jeśliby bratanek wasz przystał na to, co mówicie, tedyby i samego, i jego potomstwo za bezecnych wszyscy mieli...

Na to Maćko:

— Nie przystałby on. Ale gdyby się to bez jego wiadomości stało, toby mnie potem pomścił, jako i ja jego pomszczę...

— Ha! — rzekł Tęczyński: — wskórajcie u Krzyżaka, by skargi zaniechał...

— Jużem u niego był.

— I co? — spytał, wyciągając szyję, król — co powiedział?

— Powiedział mi tak: „Trzeba było na tynieckiej drodze o darowanie prosić — nie chcieliście, to teraz i ja nie chcę..."

— A wy czemu nie chcieli?

— Bo przykazał nam z koni zsiąść i na piechotę przepraszać.

Król założył włosy za uszy i chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem wszedł dworzanin z oznajmieniem, iż rycerz z Lichtensteinau prosi o posłuchanie.

Usłyszawszy to, Jagiełło spojrzał na Jaśka z Tęczyna, potem na Maćka, lecz kazał im pozostać, może w nadziei, że uda mu się przy tej sposobności załagodzić sprawę swoją powagą królewską.

Tymczasem Krzyżak wszedł, skłonił się królowi i rzekł:

— Miłościwy panie! Oto jest spisana skarga o zniewagę, jaka mnie w królestwie waszem spotkała.

— Skarżcie się jemu — odpowiedział król, ukazując na Jaśka z Tęczyna.

Krzyżak zaś rzekł, patrząc wprost w twarz króla.

— Nie znam waszych praw, ni waszych sądów, wiem jeno, że poseł Zakonu przed samym tylko królem skarżyć się może.

Małe oczki Jagiełły zamigotały z niecierpliwości, wyciągnął jednak rękę, wziął skargę i oddał Tęczyńskiemu.

Ten zaś rozwinął ją i począł czytać, ale w miarę, jak czytał, twarz stawała mu się coraz więcej frasobliwa i smutna.

— Panie — rzekł wreszcie — tak nastajecie na życie tego młodzianka, jakby on całemu waszemu Zakonowi był straszny. Zali wy, Krzyżacy, już się i dzieci boicie?

— My, Krzyżacy, nie boim się nikogo — odparł dumnie komtur.

A stary kasztelan dodał z cicha:

— A zwłaszcza Boga.

Powała z Taczewa czynił nazajutrz przed sądem kasztelańskim wszystko, co było w jego mocy, aby winę Zbyszka umniejszyć. Lecz

próżno uczynek przypisywał dziecińutwu i niedoświadczeniu, próżno mówił, że nawet i ktoś starszy, gdy trzy pawie czuby ślubował i o zesłanie ich się modlił, a potem ujrzał nagle taki czub przed sobą, mógłby także pomyśleć, że jest w tem zrządzenie boskie. Jednej rzeczy nie mógł zacny rycerz zaprzeć, to jest, że gdyby nie on, to kopia Zbyszkowa byłaby uderzyła o pierś Krzyżaka. Kuno zaś kazał przynieść do sądu zbroję, w którą owego dnia był przybrany, i okazało się, że była z cienkiej blachy, używana tylko do uroczystych odwiedzin, i tak wiotka, że Zbyszko, zważywszy jego nadzwyczajną siłę, byłby ją niechybnie grotem na wylot przebódł i posła życia pozbawił. Zaczem pytano jeszcze Zbyszka, czy myślał Krzyżaka zabić; lecz on nie chciał się tego zapierać. „Wołałem na niego z daleka, — rzekł, — by kopii nadstawił, bo juści żywy nie dałby sobie ze łba hełmu zedrzeć — ale gdyby i on z daleka wołał, iże jest posłem, tedybym go był w spokoju ostawił."

Podobały się te słowa rycerzom, którzy przez życzliwość dla młodzianka tłumnie się na sąd zgromadzili, i zaraz podniosły się liczne głosy: „Prawda! czemu nie wołał". Lecz twarz kasztelana pozostała posępna i surowa. Nakazawszy obcym milczenie, sam także przez chwilę milczał, poczem utkwił w Zbyszka badawcze źrenice i zapytał:

— Możesz-li na Mękę Pańską poprzysiądz, żeś płaszcza i krzyża nie widział?

— Nijak! — odpowiedział Zbyszko: — żeby ja krzyża nie widział, to myślałbym, że to nasz rycerz, a w naszego przeciebym nie godził.

— A jakoż mógł się inny Krzyżak pod Krakowem znajdować, jeśli nie poseł albo nie z poselskiego pocztu?

Na to nic nie rzekł Zbyszko, bo nie było co rzec. Dla wszystkich było rzeczą aż nazbyt jasną, że gdyby nie pan z Taczewa, to w obecnej chwili leżałby przed sądem nie pancerz posła, ale sam poseł z przebitą na wieczną hańbę narodowi polskiemu piersią — więc ci nawet, którzy z całej duszy sprzyjali Zbyszkowi, rozumieli, że wyrok nie może być dla niego łaskawy.

Jakoż po chwili kasztelan rzekł:

— Iżeś w zapalczywości swej nie pomyślał w kogo bijesz i czynił bez złości, przeto ci Zbawiciel nasz to policzy i daruje, ale ty się niebоże Najświętszej Pannie poleć, gdyż prawo nie może ci tego darować...

Usłyszawszy to Zbyszko, chociaż spodziewał się podobnych słów, przybladł nieco, ale wnet potem wstrząsnął w tył swe długie włosy, przeżegnał się i rzekł:

— Wola boska! A no trudno!

Następnie zwrócił się do Maćka i ukazał mu oczyma na Lichtensteina, jakby polecając go jego pamięci, a Maćko kiwnął głową na znak, że rozumie i pamięta. Zrozumiał to spojrzenie i ten ruch także i Lichtenstein, i jakkolwiek w piersiach biło mu zarówno mężne, jak zawzięte serce, jednakże dreszcz przebiegł go na chwilę od stóp do

głów... Widział Krzyżak, że między nim a owym starym rycerzem, którego twarzy nie mógł nawet dobrze pod hełmem dojrzeć, pójdzie odtąd na śmierć i życie, że gdyby się nawet chciał przed nim skryć, to się nie skryje, i że gdy przestanie być posłem, to się muszą spotkać choćby w Malborgu.

Tymczasem kasztelan udał się do przyległej izby, by podyktować wyrok na Zbyszka biegłemu w piśmie sekretarzowi. Ten i ów z rycerzy zbliżał się podczas owej przerwy do Krzyżaka, mówiąc:

— Bogdaj na sądzie ostatecznym łaskawiej-ć osądzono! Radześ tej krwi?

Lecz Lichtensteinowi chodziło tylko o Zawiszę, gdyż ten z powodu swych czynów bojowych, znajomości praw rycerskich i niezmiernej surowości w ich przestrzeganiu, znany był po świecie szeroko. W sprawach najbardziej zawikłanych, w których chodziło o honor rycerski, udawano się do niego nieraz bardzo z daleka, i nikt nigdy nie śmiał mu przeczyć, nie tylko dlatego, że pojedyncza walka z nim była niepodobna, ale i dlatego, że uważano go za „zwierciadło czci". Jedno słowo przygany albo pochwały z ust jego szybko rozchdziło się między rycerstwem Polski, Węgier, Czech, Niemiec i mogło stanowić o złej lub dobrej sławie rycerza.

Do niego więc zbliżył się Lichtenstein, i jakby chcąc usprawiedliwić się ze swej zawziętości, rzekł:

— Sam tylko Wielki Mistrz wraz z kapitułą mógłby mu łaskę okazać — ja nie mogę...

— Nic waszemu mistrzowi do naszych praw; łaskę może tu okazać nie on, jeno król nasz — odpowiedział Zawisza.

— A ja, jako poseł, musiałem żądać kary.

— Pierwej byłeś rycerzem, niż posłem, Lichtensteinie...

— Zali mniemasz, żem czci uchybił?...

— Znasz nasze księgi rycerskie i wiesz, że dwoje zwierząt kazano naśladować rycerzowi: lwa i baranka. Którego-żeś z nich w tej przygodzie naśladował?

— Nie tyś moim sędzią...

— Pytałeś, czyś czci nie uchybił, tom ci i odkazał, jako myślę.

— Złeś mi odkazał, bo tego nie mogę przełknąć.

— Własną się, nie moją złością udławisz.

— Ale mi Chrystus policzył, żem o majestat Zakonu więcej dbał, niż o twoją chwalbę...

— On też nas wszystkich będzie sądził.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kasztelana i sekretarza. Wiedziano już, że wyrok będzie niepomyślny, jednakże uczyniła się głucha cisza. Kasztelan zajął miejsce za stołem i, wziąwszy w rękę krucyfiks, rozkazał Zbyszkowi klęknąć.

Sekretarz zaczął odczytywać po łacinie wyrok. Ani Zbyszko, ani obecni rycerze nie zrozumieli go, jednakże wszyscy domyślili się, że jest to wyrok śmierci. Zbyszko, po skończeniu czytania, uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi, powtarzając: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu".

Poczem wstał i rzucił się w ramiona Maćka, który począł całować w milczeniu jego głowę i oczy.

Wieczorem zaś tego dnia, herold ogłaszał przy odgłosie trąb rycerzom, gościom i mieszczaństwu na czterech rogach rynku, iż szlachetny Zbyszko z Bogdańca skazan jest z wyroku kasztelańskiego na ucięcie głowy mieczem...

Lecz Maćko wyprosił, by egzekucya nie nastąpiła rychło co mu przyszło łatwo, gdyż ludziom ówczesnym, zamiłowanym w drobiazgowem rozporządzaniu mieniem, zostawiano zwykle czas do układów z rodziną, jak również do pojednania się z Bogiem. Nie chciał też nastawać na prędkie wykonanie wyroku i sam Lichtenstein, rozumując, że skoro obrażonemu majestatowi Zakonu stało się zadość, nie należy do reszty zrażać potężnego monarchy, do którego był wysłan nie tylko dla wzięcia udziału w uroczystościach chrzcin, ale i dla układów o ziemię Dobrzyńską. Najważniejszym jednak względem było zdrowie królowej. Biskup Wysz ani chciał słyszeć o egzekucyi przed połogiem, słusznie mniemając, że takiej sprawy nie można będzie przed panią ukryć, ta zaś, gdy się raz o niej dowie, wpadnie w „turbacyę", mogąca jej ciężko zaszkodzić. W ten sposób pozostawało Zbyszkowi może i kilka miesięcy życia do ostatecznych rozporządzeń i pożegnania się ze znajomymi.

Jakoż Maćko odwiedzał go codziennie i pocieszał, jak umiał. Rozmawiali żałośnie o nieuniknionej śmierci Zbyszkowej, a jeszcze żałośniej o tem, że ród może wyginąć.

— Nie będzie inaczej, jeno musicie babę brać — rzekł raz Zbyszko.

— Wolejbym krewniaka jakiego choć z dalekości odszukał — odpowiedział stroskany Maćko. — Gdzie mnie o babach myśleć, kiedy tobie mają szyję uciąć. A choćby też koniecznie przyszło którą brać, nie uczynię tego, nim Lichtensteinowi zapowiedzi rycerskiej nie poślę i pomsty nie dokonam. Już ty się nie bój!...

— Bóg wam zapłać. Niechże mam choć tę uciechę! Alem to wiedział, że mu nie darujecie. Jako-że uczynicie?

— Jak się posłowanie jego skończy, będzie albo wojna, albo spokój — rozumiesz? Jeśli będzie wojna, wyślę mu zapowiedź, żeby przed bitwą do pojedynczej walki ze mną stanął.

— Na udeptanej ziemi?

— Na udeptanej ziemi, konno albo pieszo, ale jeno na śmierć, nie na niewolę. Będzie-li zaś spokój, to do Malborga pojadę i kopią w bramę zamkową uderzę, a trębaczowi każę otrąbić, że go na śmierć wyzywam. Już ci się nie pochowa.

— Pewnie, że się nie pochowa, i rady mu dacie, jakobym widział.

— Rady?... Zawiszybym nie dał, Paszkowibym nie dał, Powale też; ale, nie chwaląc się, takim, jak on, poradzę dwom. Obaczy krzyżacka jego mać! Zali nie tęższy był ów rycerz od Fryzów? A jakem go ciął z góry bez hełm, gdzie mi się topór zatrzymał? Na zębach się zatrzymał. Albo nie?

Odetchnął na to Zbyszko z wielką ulgą i rzekł:

— Lżej będzie ginąć.

I poczęli wzdychać obydwa, poczem stary szlachcic jął mówić wzruszonym głosem:

— Ty się nie frasuj. Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na sądzie ostatecznym. Trumnę ci kazałem sporządzić dębową taką, że i kanonicy od Panny Maryi nie mają lepszych. Nie zginiesz ty jako ściercialka.*) Ba! i tego nawet nie dopuszczę, żebyć mieli ścinać na tem samem suknie, na którem mieszczanów ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe tak zacne, że starczyłoby i królowi na pożycie kożucha. I mszy ci nie pożałuję — nie bój się!

Uradowało się na to serce Zbyszka, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, powtórzył:

— Bóg wam zapłać.

Czasem jednak, mimo wszystkich pociech, zdejmowała go okrutna tęsknota, więc innym razem, gdy Maćko przyszedł go odwiedzić, ledwie się z nim przywitawszy, zapytał, spoglądając przez kratę w murze:

— A co tam na dworze?

— Pogoda, jak złoto, a słonko przygrzewa, aże całemu światu miło.

Na to Zbyszko założył na kark obie dłonie i przechyliwszy w tył głowę, mówił:

— Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich. Żal ginąć młodemu! Okrutny żal!

— Giną ludzie i z konia! — odparł Maćko.

— Ba! Ale ilu sami przedtem nabiją!...

I począł wypytywać o rycerzy, których na dworze króla widział: o Zawiszę, o Farureja, o Powałę z Taczewa, o Lisa z Targowiska i o wszystkich innych: co robią, czem się zabawiają, na jakich zacnych ćwiczeniach czas im schodził? I słuchał chciwie opowiadań Maćka, który prawił, jako rano we zbrojach przez konie skaczą, jako powrozy targają, jako się próbują na miecze i na topory z ołowianemi ostrzami, a wkońcu, jak ucztują i jakie pieśni śpiewają. Chciało się Zbyszkowi lecieć do nich z całej duszy i serca, a gdy się dowiedział, że Zawisza zaraz po chrzcinach wybiera się aż hen gdzieś w dół Węgrów, na Turków, nie mógł się wstrzymać od okrzyku:

— Puścilіby mnie z nim! niechbym choć przeciw poganom zginął.

Ale nie mogło to być, a tymczasem zdarzyło się coś innego. Oto obie księżne mazowieckie nie przestały myśleć o Zbyszku, który ujął je swoją młodością i urodą. Wreszcie księżna Aleksandra Ziemowitowa umyśliła wysłać list do mistrza. Mistrz nie mógł wprawdzie zmienić wyroku wydanego przez kasztelana, ale mógł wstawić się za młodzieńcem do króla. Jagielle nie wypadało wprawdzie okazywać łaski, gdy szło o zamach na posła, zdawało się jednak rzeczą nie-

*) Skartabellat.

wątpliwą, że rad ją okaże na wstawiennictwo samego mistrza. Więc nadzieja na nowo wstąpiła w serce obu pań. Księżna Aleksandra, mając sama słabość do polerowanych rycerzy zakonnych, była i przez nich nadzwyczaj cenioną. Niejednokrotnie szły dla niej z Malborga bogate dary i listy, w których mistrz nazwał ją czcigodną, świątobliwą dobrodziejką i osobliwszą orędowniczką Zakonu. Słowa jej wiele mogły i było rzeczą wielce prawdopodobną, iż nie doznają odmowy. Chodziło tylko o znalezienie gońca, któryby dołożył wszelkiej gorliwości, aby jak najprędzej list oddać i z odpowiedzią powrócić. Usłyszawszy o tem, stary Maćko, podjął się tego bez wahania.

Uproszony kasztelan wyznaczył termin, do którego obiecał powstrzymać wykonanie wyroku. Pełen otuchy Maćko zakrzątnął się tego samego dnia koło odjazdu, poczem udał się do Zbyszka, aby mu szczęśliwą nowinę zwiastować.

Jakoż w pierwszej chwili Zbyszko wybuchnął tak wielką radością, jakby mu już otworzono drzwi wieży. Następnie jednak zamyślił się, sposępniał nagle i rzekł:

— Kto się tam od Niemców czego dobrego doczeka! Lichtenstein też mógł prosić króla o łaskę — i jeszczeby na tem wygrał, bo pomsty byłby się uchronił — a dlatego nie chciał nic uczynić...

— On się zawziął za to, żeśmy go na tynieckiej drodze nie chcieli przeprosić. O mistrzu Kondracie nie mówią ludzie źle. Wreszcie stracić na tem — nie stracisz.

— Pewnie, — rzekł Zbyszko: — ale mu się tam nizko nie kłaniajcie.

— Co się mam kłaniać? List od księżnej Aleksandry wiozę — i tyla...

— Ha! kiedyście tacy dobrzy, to niech wam tam Bóg dopomoże...

Nagle spojrzał bystro na stryjca i rzekł:

— Ale jeśli mi król daruje, to Lichtenstein będzie mój, nie wasz. Pamiętajcie...

— Jeszcześ szyi niepewny, to żadnych zapowiedzi nie czyń. Dość masz tamtych głupich ślubow, — odrzekł z gniewem stary.

Poczem rzucili się sobie w objęcia — i Zbyszko został sam. Nadzieja i niepewność miotały naprzemian jego duszą, ale gdy przyszła noc, a z nią burza na niebie, gdy zakratowane okno poczęło rozświecać się złowrogim światłem błyskawic, a mury trząść się od grzmotów, — gdy wreszcie wicher wpadł ze świstem do wieży — i zgasił mdły kaganek przy łożu, pogrążony w ciemności Zbyszko stracił znów wszelką otuchę — i całą noc ani na chwilę oczu nie mógł zamrużyć...

— Już ja się śmierci nie wywinę, — myślał — i wszystko nic nie pomoże.

Wszelako nazajutrz przyszła do niego w odwiedziny zacna księżna Anna Januszowa, a z nią i Danusia ze swoją luteńką za pasem. Zbyszko padł im kolejno do nóg, poczem, jakkolwiek był w utrapieniu,

po bezsennej nocy, w niedoli i niepewności, nie do tyla jednak zapomniał o rycerskiej powinności, aby nie okazać Danusi zdumienia nad jej urodą...

Lecz księżna podniosła na niego oczy pełne smutku i rzekła:

— Nie dziwuj się ty jej, bo jeśli Maćko dobrej odpowiedzi nie przywiezie, albo zgoła nie wróci, będzieszty się wkrótce nieboże lepszym rzeczom w niebie dziwował.

Poczem jęła ronić łzy, rozmyślając o przyszłym niepewnym losie rycerzyka, a Danusia zawtórowała jej zaraz. Zbyszko pochylił się na nowo do ich nóg, bo i jego serce zmiękło wobec tych płaczów, jak wosk w cieple. Nie kochał on tak Danusi, jak mąż kocha niewiastę, poczuł jednak, że ją kocha z całej duszy i że na jej widok dzieje mu się w piersiach coś takiego, jakby w nich tkwił drugi człowiek, mniej srogi, mniej zapędliwy, mniej wojną dyszący, a natomiast jakby słodkiego kochania spragniony. Chwycił go wreszcie żal ogromny, iż musi ją porzucić i nie będzie mógł dotrzymać tego, co ślubował.

— Juz ja ci, niebogo, pawich czubów pod nogi nie podłożę — mówił. — Ale jeśli przed Boskiem obliczem stanę, tedy tak powiem: „Odpuść mi, Panie, grzechy, ale co jest dobra wszelkiego na ziemi, to daj, nie komu innemu, tylko pannie Jurandównie ze Spychowa".

— Niedawnoście się poznali — rzekła księżna. — Nie da Bóg, by to było naprózno.

Zbyszko zaczął wspominać wszystko, co zaszło w gospodzie tynieckiej i rozczulił się zupełnie. Wkońcu jął prosić Danusi, by mu zaśpiewała tę samą pieśń, którą śpiewała wówczas, kiedy ją to chwycił z ławki i przyniósł do księżnej.

Więc Danusia, choć było jej nie do śpiewania, wzniosła zaraz główkę ku sklepieniu i przymknąwszy jako ptaszek oczki, poczęła:

„Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska,
Poleciałabym ja.
Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie...
Przypatrz się Jasiulku...

Lecz nagle z pod stulonych rzęsów wypłynęły jej łzy obfite — i nie mogła dłużej śpiewać. A Zbyszko porwał ją na ręce tak samo, jak niegdyś w tynieckiej gospodzie i począł chodzić z nią po izbie, powtarzając w uniesieniu:

— Nie paniej jeno jabym w tobie szukał. Niechby mnie Bóg wyratował, niechbyś dorosła — i niechby rodzic pozwolili — toby ja cię brał dziewczyno!... Hej!...

Danusia, objąwszy go za szyję, skryła spłakaną twarz na jego ramieniu — a w nim żal wstawał coraz większy, który płynąc z głębi

polnej natury słowiańskiej, zmieniał się w tej prostej duszy niemal w pieśń polną:

. . . .

„Toby ja cię brał dziewczyno!
Toby ja cię brał!...

5.

Wtem zaszedł wypadek, wobec którego inne sprawy straciły wszelkie znaczenie w ludzkich oczach. Pod wieczór dnia 21 czerwca rozeszła się po zamku wiadomość o nagłem zasłabnięciu królowej. Wezwani medycy pozostali wraz z biskupem Wyszem przez całą noc w jej komnacie, a tymczasem dowiedziano się od niewiast służebnych, iż pani zagroziła słabość przedwczesna. Kasztelan krakowski, Jaśko Topór z Tęczyna, wysłał tejże nocy gońców do nieobecnego króla. Nazajutrz rano wieść gruchnęła po mieście i okolicy. Był dzień niedzielny, więc tłumy napełniły wszystkie świątynie, w których księża nakazali modlitwy za zdrowie królowej. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Po nabożeństwie, goście rycerscy, którzy się już byli zjechali na spodziewane uroczystości, szlachta oraz deputacye kupieckie, udały się na zamek; cechy i bractwa wystąpiły z chorągwiami. Od południa nieprzeliczone roje ludu otoczyły Wawel, między którymi utrzymywali ład łucznicy królewscy, nakazując spokojność i ciszę. Miasto wyludniło się prawie zupełnie, i tylko przez opustoszałe ulice przeciągały od czasu do czasu gromady okolicznego chłopstwa, które również już zwiedziało się o chorobie uwielbianej pani i dążyło pod zamek. Wreszcie w głównej bramie pojawili się biskup i kasztelan, z nimi zaś kanonicy katedralni, rajcy królewscy i rycerze. Ci rozeszli się wzdłuż murów, między lud, z twarzami zwiastującemi nowinę, zaczęli jednak od surowego rozkazu, aby powstrzymano się od wszelkich okrzyków, te bowiem mogłyby chorej zaszkodzić. Zaczem zwiastowali wszem wobec, iż królowa powiła córkę. Nowina napełniła radością serca, zwłaszcza, gdy zarazem dowiedziano się, iż jakkolwiek połóg był przedwczesny, niemasz jednak widomego niebezpieczeństwa ni dla matki, ni dla dziecięcia. Tłumy poczęły się rozchodzić, albowiem pod zamkiem nie wolno było krzyczeć, każdy zaś chciał pofolgować radości. Jakoż, gdy wypełniły się ulice, prowadzące na rynek, ozwały się wnet pieśni i radosne nawoływania. Nie trapiono się i tem, że przyszła na świat córka. „Albo źle było (mówiono), że król Louis nie miał synów i że królestwo dostało się Jadwidze? Przez jej to małeństwo z Jagiełłą podwoiła się moc państwa. Tak będzie i teraz. Gdzież szukać takiej dziedziczki, jako będzie nasza królewna, gdy ni cesarz rzymski, ni żaden z innych królów, nie posiadają tak wielkiego państwa, tak obszernych ziem, ni tak licznego rycerstwa! Będą się dobijali o jej rękę najpotężniejsi monarchowie ziemi, będą się kłaniali królowej i królowi, będą zjeżdżali do Krakowa, a nam, kupcom, korzyść z tego wypadnie, nie mówiąc

o tem, że nowe jakieś państwo, czeskie albo węgierskie, z naszem się królestwem połączy". Tak to między sobą mówili kupcy — i radość stawała się z każdą chwilą powszechniejsza. Ucztowano w domach prywatnych i w gospodach, Rynek zaroił się od latarni i pochodni. Po przedmieściach, pod-krakowscy kmiecie, których coraz więcej ściągało się do miasta, porozkładali się obozem przy wózkach. Żydzi rajcowali przy synagodze na Kazimierzu. Do późna w noc, prawie do brzasku, wrzało na rynku, szczególniej koło ratusza i wagi, jak w czasie wielkich jarmarków. Udzielano sobie wzajem wiadomości; posyłano po nie na zamek i oblegano tłumnie wracających z nowinami.

Najgorsza z nich była ta, że ksiądz biskup Piotr ochrzcił dziecko tej samej nocy, z czego wnoszono, że musi być bardzo słabe. Doświadczone mieszczki przytaczały jednak wypadki, w których dzieci, urodzone nawpół martwe, odzyskiwały siłę do życia właśnie po chrzcie. Więc pokrzepiano się nadzieją, którą wzmagało i imię nadane dziewczynce. Mówiono, że żaden Bonifacy, ni żadna Bonifacya nie może umrzeć zaraz po urodzeniu, gdyż przeznaczono im jest coś dobrego uczynić, w pierwszych zaś leciech, tembardziej w pierwszych miesiącach życia, dziecko nie może czynić ni źle, ni dobrze.

Następnego dnia jednak przyszły z zamku wiadomości niepomyślne i o niemowlęciu i o matce — i wzburzyło miasto. W kościołach przez cały dzień panował tłok, jak w czasie odpustu. Posypały się wota za zdrowie królowej i królewny. Widziano ze wzruszeniem ubogich wieśniaków, ofiarujących ćwiartki zboża, jagnięta, kury, wianuszki suszonych grzybów, lub krobie orzechów. Płynęły znaczne ofiary od rycerstwa, od kupców, od rzemieślników. Rozesłano gońców do cudownych miejsc. Astrologowie badali gwiazdy. W samym Krakowie nakazano uroczyste procesye. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiami. Odbyła się i procesya dzieci, sądzono bowiem, że niewinne istoty najłatwiej ubłagają Boga o łaskę. Przez bramy miejskie zjeżdżały coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniém, wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach, procesyi i nabożeństw. Lecz gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora i dziecię żyły jeszcze, poczęła otucha wstępować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodobną, aby Bóg zabrał przedwcześnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiała pozostawić niedokończone ogromne dzieło — i apostołkę, która ofiarą własnego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uczeni wspominali, ile uczyniła dla Akademii, duchowni — ile dla chwały Bożej, statyści — ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawoznawcy — ile dla sprawiedliwości, biedni — ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, iżby życie, tak potrzebne dla królestwa i świata całego, mogło być przedwcześnie przecięte.

Tymczasem 13 lipca dzwony żałobne oznajmiły śmierć dziecka. Zawrzało znów miasto, i niepokój ogarnął ludzi, a tłumy powtórnie obległy Wawel, dopytując o zdrowie królowej. Lecz tym razem nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem twarze panów, wjeżdżających

na zamek lub wyjeżdżających przez bramy, były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że ksiądz Stanisław ze Skarbimierza, mistrz nauk wyzwolonych w Krakowie, nie odstępuje już królowej, która codziennie przystępuje do Komunii. Mówiono również, że po każdem przystąpieniu komnata jej napełnia się światłem niebieskiem. Niektórzy widzieli je nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca, jako oznaka, że rozpoczyna się już dla niej życie zaziemskie.

Niektórzy nie wierzyli jednak, aby się mogła stać rzecz tak straszna, i ci krzepili się nadzieją, że sprawiedliwe nieba poprzestaną na jednej ofierze. Tymczasem w piątek zrana dnia 17 lipca, gruchnęło między ludem, iż królowa kona. Kto żył, spieszył pod zamek. Miasto opustoszało tak, że zostali w niem tylko kalecy, albowiem nawet matki z niemowlętami pośpieszyły do bram. Sklepy były pozamykane; nie gotowano jadła. Ustały wszystkie sprawy, a natomiast pod Wawelem czerniało jedno morze ludu — niespokojne, przerażone, ale milczące.

Wtem o godzinie trzynastej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano od razu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy na kołyszący się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żałosny jęk poczęły powtarzać inne w mieście; jak miasto długie i szerokie. Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napełniły się przerażeniem i takim bólem, jakby owe spiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew, z wielką trupią głową pośrodku, pod którą bielały dwa złożone na krzyż piszczele ludzkie. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk i płacz stu tysięcy ludzi, — i pomieszał się z ponurymi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze — inni spoglądali na mury w niemem osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho, niektórzy, wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia. Lecz ozwały się także głosy gniewne, które w uniesieniu i rozpaczy dochodziły do bluźnierstw. „Przecz nam zabrano naszą umiłowaną? Na cóż się zdały nasze procesye, nasze modlitwy i błagania? To miłe były srebrne i złote wota, a za to nic? Wziąć wzięto, a dać nie dano!” Inni wszelako powtarzali, zalewając się łzami i jęcząc: „Jezu! Jezu! Jezu!” Tłumy chciały wejść do zamku, by spojrzeć jeszcze raz na ukochaną twarz pani. Nie puszczono ich, ale im przyobiecano, że wkrótce ciało będzie wystawione w kościele, a wtedy każdy będzie mógł oglądać je i modlić się przy niem. Zaczem pod wieczór posępne tłumy zaczęły wracać ku miastu, opowiadając sobie o ostatnich chwilach królowej, o przyszłym pogrzebie i o cudach, które się będą działy przy jej ciele i około jej grobowca, a których wszyscy byli zupełnie pewni. Rozpowiadano również, że królowa zaraz po śmierci będzie kanonizowaną — gdy zaś niektórzy

wątpili, czy się to może stać, poczęto się oburzać i grozić Awin'o-nem...

Smutek ponury padł na miasto, na cały kraj, i nie tylko ludowi pospolitemu, ale i wszystkim wydało się, że wraz z królową zagasła dla królestwa pomyślna gwiazda. Nawet między panami krakowskimi byli tacy, którzy czarno patrzyli w przyszłość. Poczęto zadawać sobie i innym pytania, co teraz będzie? czyli Jagiełło po śmierci królowej ma prawo panować w królestwie, czyli też wróci na swoją Litwę i poprzestanie na wielkoksiążęcym tronie. Niektórzy przewidywali — i jak się okazało, nie bez słuszności, że sam on zechce ustąpić — i że w takim razie odpadną od korony obszerne ziemie, rozpoczną się znów napady od strony Litwy i krwawe odwety zawziętych mieszkańców królestwa. Zakon się wzmoże, wzmoże się cesarz rzymski i król węgierski — a królestwo, do wczoraj jedno z najpotężniejszych w świecie, przyjdzie do upadku i pohańbienia.

Kupcy, dla których stanęły otworem obszerne kraje litewskie i ruskie, czynili w przewidywaniu strat śluby pobożne, aby Jagiełło pozostał na królestwie, lecz w takim znów razie przepowiadano rychłą wojnę z Zakonem. Wiadomo było, że powstrzymywała ją tylko królowa. Ludzie przypominali sobie teraz, jak niegdyś oburzona na chciwość i drapieżność Krzyżaków, mówiła im w proroczem widzeniu: „Póki ja żyję, póty powstrzymuję rękę i słuszny gniew męża mojego, lecz pamiętajcie, iż po mojej śmierci spadnie na was kara za wasze grzechy!"

Oni w pysze i zaślepieniu nie lękali się wprawdzie wojny, licząc, że gdy po śmierci królowej urok jej świątobliwości nie będzie powstrzymywał napływu ochotników państw zachodnich, naówczas przyjdą im w pomoc tysiące wojowników z Niemiec, z Burgundyi, Francyi i dalszych jeszcze krajów. Lecz śmierć Jadwigi była jednakże wypadkiem tak doniosłym, że poseł krzyżacki Lichtenstein, nie czekając nawet na przyjazd nieobecnego króla, ruszył co prędzej do Malborga, by jak najprędzej donieść wielkiemu mistrzowi i kapitule ważną, a poniekąd groźną nowinę.

Posłowie węgierski, rakuski, cesarski, czeski, wyruszyli za nim lub też wysłali gońce do swych monarchów. Jagiełło przyjechał do Krakowa w ciężkiej rozpaczy. W pierwszej chwili oświadczył panom, że nie chce już dalej królować bez królowej i że odjedzie na swoje dziedzictwo do Litwy, poczem w żalu wpadł jakby w odrętwienie, nie chciał rozstrzygać żadnych spraw, nie odpowiadał na pytania, chwilami zaś wpadał w straszny gniew na samego siebie za to, że był odjechał, że nie był przy śmierci królowej, że się z nią nie pożegnał i nie wysłuchał jej ostatnich słów i poleceń. Próżno Stanisław ze Skarbimierza i biskup Wysz przekładali mu, że choroba królowej wypadła niespodzianie, i że wedle ludzkich obliczeń miał wszelki czas wrócić, gdyby połóg odbył się był w porze właściwej. Nie przynosiło mu to żadnej pociechy, ani nie koiło jego żalu. „Nie król ja bez niej, — odpowiadał biskupowi — jeno grzesznik pokajany, który nie zazna

pociechy". Poczem wbijał oczy w ziemię, i nikt nie mógł od niego słowa więcej wydobyć.

Tymczasem wszystkie umysły zajęły się pogrzebem królowej. Z całego kraju poczęły ściągać nowe tłumy panów, szlachty i ludu, zwłaszcza ubóstwa, które spodziewało się obfitych zysków z jałmużn, przy obrzędzie pogrzebowym, mającym trwać przez cały miesiąc. Ciało królowej ustawiono w katedrze na podwyższeniu, urządzonem w ten sposób, że szersza część trumny, w której spoczywała głowa zmarłej, znajdowała się znacznie wyżej od dolnej. Urządzono tak umyślnie, by lud mógł lepiej widzieć twarz królowej. W katedrze odprawiało się nieustające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała Ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej, — ze złożonemi w krzyż rękoma na lazurowej sukni. Lud widział w niej Świętą, przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci — i raz wraz w środku świątyni rozlegał się krzyk to jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegła rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralityka, który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach. Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatywała kościół, zamek, miasto, i ściągała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania.

O Zbyszku zapomniano tymczasem zupełnie, któż bowiem wobec tak olbrzymiego nieszczęścia pamiętać mógł o zwyczajnem pacholęciu szlacheckiem i o jego uwięzieniu w baszcie zamkowej! Zbyszko wiedział jednakowoż od stróżów więziennych o chorobie królowej, słyszał gwar ludu koło zamku, a gdy usłyszał jego płacz i bicie we dzwony, rzucił się na kolana i, przepomniawszy o własnym losie, z całej duszy jął opłakiwać śmierć uwielbionej pani. Zdawało mu się, że razem z nią zgasło coś i dla niego i że wobec takiej śmierci, nie warto nikomu żyć na świecie.

Echo pogrzebu, dzwony kościelne, śpiewy procesyi i zawodzenia tłumów dochodziły go przez całe tygodnie. Przez ten czas sposępniał, stracił ochotę do jadła, do snu i chodził po swojem podziemiu, jak dziki zwierz w klatce. Ciężyła mu samotność, gdyż bywały dni, że nawet stróż więzienny nie przynosił mu świeżego jadła i wody, tak dalece wszyscy byli zajęci pogrzebem królowej. Od czasu jej śmierci nie odwiedził go nikt: ani księżna, ani Danusia, ani Powała z Taczewa, który dawniej tyle okazywał mu życzliwości, ani kupiec Amylej, znajomek Maćka. Zbyszko z goryczą myślał, że gdy Maćka nie stało, zapomnieli o nim wszyscy. Chwilami przychodziło mu do głowy, że może zapomni o nim i prawo — i że przyjdzie mu gnić do śmierci w tem więzieniu. Wówczas modlił się o śmierć.

Wreszcie, gdy od pogrzebu królowej upłynął miesiąc, a rozpoczął się drugi, począł wątpić i o powrocie Maćka. Obiecał przecie Maćko jechać pośpiesznie, konia nie żałować. Malborg nie na końcu świata. Przez dwanaście niedziel można było dojechać i wrócić — zwłaszcza gdy komuś pilno było. — „Ale może i jemu nie pilno! — myślał

z żalem Zbyszko, — może sobie gdzie po drodze babę upatrzył i rad ją do Bogdańca powiezie, aby się własnego potomstwa doczekać, a ja tu będę przez wieki zmiłowania Boskiego wyglądał".

Stracił wreszcie rachubę czasu, przestał całkiem rozmawiać ze strażą i tylko z pajęczyny, pokrywającej coraz obficiej żelazną kratę w oknie, miarkował, że na świecie nadchodzi jesień. Siadywał teraz całemi godzinami na łożu, z łokciami na kolanach, z palcami we włosach, które mu już daleko za ramiona sięgały — i w półśnie, w półodrętwieniu, nie podnosił głowy nawet i wówczas, gdy strażnik zagadał do niego, przynosząc spyżę. Aż pewnego dnia skrzypnęły wrzeciądze i znajomy głos zawołał od progu więzienia.

— Zbyszku!

— Stryjko! — krzyknął Zbyszko, zerwawszy się z tapczana.

Maciek chwycił go w ramiona, poczem objął mu jasną głowę dłońmi i począł ją całować. Żal, gorycz i tęsknota tak wezbrały w sercu młodzianka, że począł płakać na piersiach stryjca, jak małe dziecko.

— Myślałem, że już nie wrócicie — rzekł, łkając.

— Boć i niewiele brakło — odrzekł Maciek.

Dopieroż Zbyszko podniósł głowę i, spojrzawszy na niego, zawołał:

— A z wami co się stało?

I patrzył ze zdumieniem na wynędzniałą, zapadłą i bladą, jak płótno, twarz starego wojownika, na jego pochyloną postać i na posiwiałe włosy.

— Co z wami? — powtórzył.

Maćko siadł na tapczanie i przez chwilę oddychał ciężko.

— Co się stało? — rzekł wreszcie. — Ledwiem granicę przejechał, postrzelili mnie w boru Niemcy z kuszy. Zbóje-rycerze! — wiesz? Ciężko mi jeszcze dychać... Bóg zesłał mi pomoc — inaczejbyś mnie tu nie widział.

— Któż was zratował?

— Jurand ze Spychowa — odrzekł Maćko.

Nastała chwila milczenia.

— Oni napadli mnie, a w pół dzionka później on ich. Ledwie połowa mu ich uszła. Mnie wziął do gródka, i tam w Spychowie ze śmiercią-m się przez trzy niedziele zmagał. Bóg nie dał skonać — i choć mi jeszcze ciężko, alem wrócił.

— A to nie byliście w Malborgu?

— Z czem-żem miał jechać? Obdarli mnie do cna i list z innemi rzeczami zabrali. Wróciłem prosić księżny Ziemowitowej o drugi, alem się z nią w drodze rozminął — i czy ją zgonię — nie wiem — bo mi się też na tamten świat wybierać.

To rzekłszy, splunął na dłoń i wyciągnąwszy ją ku Zbyszkowi, ukazał na niej czystą krew, mówiąc:

— Widzisz?

A po chwili dodał:

— Widać wola Boska.

Czas jakiś milczeli obaj pod brzemieniem posępnych myśli, poczem Zbyszko rzekł:

— To tak ciągle krwią plwacie?

— Jako-że nie mam plwać, kiedy mi na pół piędzi grota między żebrami utkwiło! Plwałbyś i ty — nie bój się! Ale u Juranda ze Spychowa już mi się lepiej uczyniło, jeno żem się ninie okrutnie znów zmęczył, bo droga długa, a pilnom jechał.

— Hej! po co wam się było spieszyć?

— Bom chciał księżnę Aleksandrę zdybać i brać od niej drugie pisanie. A Jurand ze Spychowa prawił tak: „Jedźcie — powiada — i wracajcie z listem do Spychowa. Ja — prawi — mam kilku Niemców pod podłogą, to jednego na słowo rycerskie uwolnię i ten list do mistrza powiezie". A on ich tam zawsze kilku przez pomstę za śmierć żony pod sobą trzyma i rad słucha, jako mu nocami jęczą, a żelaziwem brzękają, gdyż jest człek zawzięty. Rozumiesz?

— Rozumiem. Jeno to mi dziwno, żeście pierwszy list stracili, bo skoro Jurand ułapił tych, którzy was napadli, to list powinien był być przy nich.

— Nie ułapił ci ich wszystkich. Uszło coś z pięciu. Taka już dola nasza.

To rzekłszy, Maćko odchrząknął, splunął znów krwią i stęknął trochę z bólu w piersiach.

— Ciężko was postrzelili? — rzekł Zbyszko. — Jakże to? Z zasadzki?

— Z kuszczów tak gęstych, że na krok nie było nic widać. A jechałem bez zbroi, bo mi kupcy mówili, że kraj bezpieczny — i upał był.

— Któż zbójom przywodził? Krzyżak?

— Nie zakonnik, ale Niemiec, Chełmińczyk z Lentzu, wsławion z rozbojów i grabieży.

— Cóż się z nim stało?

— U Juranda na łańcuchu. Ale on też ma w podziemiu dwóch szlachty Mazurów, których chce za siebie oddać.

Znów zapadło milczenie.

— Miły Jezu — rzekł wreszcie Zbyszko — to Lichtenstein będzie żyw i ów z Lentzu także, a nam trzeba ginąć bez pomsty. Mnie głowę utną, a i wy pewnikiem już się nie przezimujecie.

— Ba! i do zimy nie dociągnę. Żeby choć ciebie jako zratować...

— Widzieliście tu kogo?

— Byłem u kasztelana krakowskiego, bo jakem się dowiedział, że Lichtenstein wyjechał, myślałem, że ci pofolgują.

— A to Lichtenstein wyjechał?

— Zaraz po śmierci królowej, do Malborga. Byłem tedy u kasztelana, ale on powiedział tak: „Nie dlatego waszemu bratankowi głowę utną, aby się Lichtensteinowi pochlebić, jeno że taki jest wyrok, a czy Lichtenstein tu jest, czy go niema, to wszystko jedno. Choćby też Krzyżak i umarł, nic to nie zmieni, bo — powiada — prawo jest wedle sprawiedliwości — nie tak, jako kubrak, któren możesz do

góry podszewką przewrócić. Król — prawi — może łaskę okazac, ale nikt inny."

— A gdzie król?

— Pojechał po pogrzebie aż na Ruś.

— No, to i niema rady.

— Nijakiej. Kasztelan powiadał jeszcze: „Żal mi go, bo i księżna Anna za nim prosi, ale jak nie mogę, to nie mogę"...

— A księżna Anna jeszcze też jest?...

— Niech jej ta Bóg zapłaci! To dobra pani. Jeszcze tu jest, bo Jurandówna zachorzała, a księżna ją miłuje, jak własne dziecko.

— O dla Boga! To i Danuśkę chorość napadła. Co-że jej takiego?

— Bo ja wiem!... księżna powiada, że ją urzekł.

— Pewnie Lichtenstein! nikt inny jeno Lichtenstein! — sobacza mać!

— Może i on. Ale co mu zrobisz? — nic!

— To dlatego wszyscy mnie tu zabaczyli, że i ona była chora...

To rzekłszy, Zbyszko jął chodzić wielkimi krokami po izbie, a wreszcie chwycił rękę Maćka, ucałował ją i rzekł:

— Bóg wam zapłać za wszystko, boć z mojej przyczyny pomrzecie, ale skoroście jeździli aż do Prus, to póki do reszty nie zasłabniecie, uczyńcie-że jeszcze dla mnie jedną rzecz. Pójdźcie do kasztelana i proście, żeby mnie na słowo rycerskie puścił choć na dwanaście niedziel. Potem wrócę, i niech mi szyję utną, ale — to przecie tak nie może być, byśmy bez nijakiej pomsty poginęli. Wiecie... pojadę do Malborga i zara zapowiedź Lichtensteinowi poślę. Już też nie może być inaczej. Jego śmierć, albo moja!

Maćko począł trzeć czoło:

— Pójść, pójdę, ale czy kasztelan pozwoli?

— Słowo rycerskie dam. Na dwanaście niedziel — więcej mi nie trza...

— Co to gadać: na dwanaście niedziel! A jak będziesz ranny i nie wrócisz, co pomyślą...

— To choćby na czworakach, wrócę. Ale niebójcie się! I widzicie, może przez ten czas zjedzie król z Rusi, to mu się będzie można o zmiłowanie pokłonić.

— Prawda jest, — rzekł Maćko.

Lecz po chwili dodał:

— Bo mnie kasztelan i to jeszcze powiadał: „Przepomnieliśmy o waszym bratanku z przyczyny śmierci królowej, ale teraz niechże się to już skończy".

— Ej, pozwoli — odpowiedział z otuchą Zbyszko. — Jużci przecie wie, że szlachcic mu słowo dzierży, a czy mi teraz głowę utną, czy po świętym Michale, to mu wszystko jedno.

— Ha! pójdę dziś jeszcze.

— Dziś idźcie do Amyleja i legnijcie trochę. Niech wam jakowej dryjakwi na ranę przyłożą, a jutro pójdźcie do kasztelana.

— No, to z Bogiem!

— Z Bogiem!

Uściskali się, i Maćko zwrócił się ku drzwiom, ale w progu zatrzymał się jeszcze i namarszczył czoło, jakby sobie coś nagle przypomniawszy.

— Ba, toć przecie ty pasa rycerskiego jeszcze nie nosisz: powie ci Lichtenstein, że z niepasowanym nie będzie się potykał — i co mu zrobisz?

Zbyszko zafrasował się, ale tylko na chwilę, poczem rzekł:

— A jako-że bywa na wojnie? Czy to koniecznie pasowany tylko pasowanych wybiera?

— Wojna to wojna, a walka samowtór co innego.

— Prawda... ale... poczekajcie... Trzeba poradzić... A no widzicie! — jest rada. Książę Janusz będzie mnie pasował. Jak-go księżna z Danuśką poproszą, to będzie pasował. A ja po drodze będę się zaraz na Mazowszu z synem Mikołaja z Długolasu też potykał.

— Za co?

— Bo Mikołaj — wiecie — ten, co jest przy księżnej i którego Obuchem zowią — powiedział na Danuśkę: „skrzat".

Maćko popatrzył na niego ze zdumieniem, a Zbyszko, chcąc widocznie lepiej wytłumaczyć, o co mu chodziło, mówił dalej:

— Juzci tego też darować nie mogę, a z Mikołajem przecie nie będę się potykał; bo mu chyba z osiemdziesiąt lat.

Na to Maćko:

— Słuchaj, chłopie! szkoda mi twojej głowy, ale rozumu nie szkoda, ile żeś głupi, jak cap.

— A wy się czego sierdzicie?

Maćko nie odrzekł nic i chciał wyjść, ale Zbyszko poskoczył jeszcze ku niemu:

— A jakoże Danuśka? zdrowa już? Nie gniewajcie się za byle co. Przecie was tyle czasu nie było.

I pochylił się znów do ręki starego, ten zaś wzruszył ramionami, ale odrzekł łagodniej:

— Jurandówna zdrowa, jeno jej jeszcze z komnaty nie puszczają. Bywaj zdrów.

Zbyszko pozostał sam, ale jakby odrodzony na duszy i ciele. Miło mu było pomyśleć, że będzie miał jeszcze ze trzy miesiące życia przed sobą, że pojedzie w dalekie kraje, wyszuka Lichtensteina i stoczy z nim walkę śmiertelną. Na samą myśl o tem, radość zapełniała mu piersi. Dobrze choć przez dwanaście niedziel czuć konia pod sobą, jeździć po szerokim świecie, bić się i nie zginąć bez pomsty. A potem — niech się dzieje co chce — to przecie ogromny szmat czasu. Może król wrócić z Rusi i darować winę, może wybuchnąć ta wojna, którą wszyscy zdawna zapowiadali — może i sam kasztelan, gdy po trzech miesiącach ujrzy zwycięzcę hardego Lichtensteina, powie: „Ruszaj-że teraz na bory, lasy!" Czuł bowiem jasno Zbyszko, że zawziętości nikt, oprócz

Krzyżaka, przeciw niemu nie żywił — i że sam surowy pan Krakowski tylko jakoby z musu skazał go na śmierć.

Więc nadzieja wstępowała w niego coraz większa, gdyż nie wątpił, że mu tych trzech miesięcy nie odmówią. Owszem, myślał że mu dadzą nawet więcej, to bowiem, by szlachcic, poprzysiągłszy na cześć rycerską, miał słowa niedotrzymać, nawet nie przyjdzie staremu panu z Tęczyna do głowy.

To też gdy Maćko przyszedł nazajutrz o zmroku do więzienia, Zbyszko, który ledwie mógł usiedzieć, skoczył ku niemu do proga i zapytał:

— Pozwolił?

Maćko siadł na tapczanie, bo stać z wielkiego osłabienia nie mógł; przez chwilę oddychał ciężko i wreszcie rzekł:

— Kasztelan powiedział tak: „Jeśli wam potrzeba podzielić grunt, albo statek, to waszego bratanka na jedną, albo na dwie niedziele, na rycerskie słowo wypuszczę, ale na dłużej nie."

Zbyszko zdumiał się tak, iż czas jakiś słowa nie mógł przemówić.

— Na dwie niedziele? — zapytał po chwili.

— A toć ja przez niedzielę nawet do granicy nie zajadę! — Cóż to jest?... Chybaście kasztelanowi nie powiedzieli, po co ja chcę do Malborga?

— Nie tylko ja za tobą prosiłem, ale i księżna Anna.

— No i co?

— I co? Powiedział jej stary, że mu po twojej szyi nic, i że sam cię żałuje. „Niechbym, powiada, jakie prawo za nim znalazł — ba! niechby i pozór, — tobym go całkiem puścił — ale jak nie mogę, to nie mogę. Nie będzie (powiada) dobrze w tem królestwie, gdy ludzie poczną na prawo oczy zamykać i po przyjaźni sobie folgować: czego ja nie uczynię, choćby o Toporczyka mego krewniaka, albo zgoła brata chodziło". — Tacy to tu ludzie nieużyci! — A on jeszcze powiadał tak: „My nie potrzebujemy się oglądać na Krzyżaków, ale hańbić się nam przed nimi nie wolno. Coby pomyśleli i oni, i ich goście, którzy z całego świata przychodzą, gdyby ja skazanego na śmierć szlachcica puścił po to, by miał wolę pojechać sobie do nich na bitkę? Zaliby uwierzyli, że go kara dosięgnie, i że jest jakaś w naszem państwie sprawiedliwość? Wolę ja jedną głowę uciąć, niźli króla i królestwo na śmierć podawać". — Powiedziała na to księżna, że cudna jej taka sprawiedliwość, od której nawet krewna królewska nie może człeka wyprosić, ale stary jej odrzekł: „I samemu królowi służy łaska, ale nie służy bezprawie". Dopieroż wzięli się kłócić, bo księżnę porwał gniew: „To go (powiada) nie gnójcie w więzieniu!" A kasztelan na to: „Dobrze! od jutra każę pomostek na rynku stawić". I na tem się rozeszli. Już ciebie, nieboże, chyba sam Pan Jezus zratuje...

Nastała długa chwila milczenia...

— Jakże? — ozwał się głuchym głosem Zbyszko. — To to już zaraz będzie?

— Za dwa albo trzy dni. Jak niema rady, to niema. Co ta mogłem, tom uczynił. Padłem do nóg kasztelanowi, proszę o zmiłowanie, ale on swoje: „Wynajdź prawo, alibo pozór". A co ja wynajdę? Byłem u księdza Stanisława ze Skarbimierza, aby do ciebie z Panem Bogiem przyszedł. Niech-że choć ta sława będzie, że cię ten sam spowiadał, co i królowę. Ale go nie znalazłem doma, bo był u księżny Anny.

— Moze u Danuśki?

— Bogać tam. Dziewka coraz zdrowsza. Pójdę do niego jeszcze jutro do dnia. Powiadają, że po jego spowiedzi, to ci zbawienie tak pewne, jakobyś je miał w torbie.

Zbyszko siadł, wsparł łokcie na kolanach i pochylił głowę tak, że włosy całkiem mu pokryły oblicze. Stary wpatrywał się w niego przez czas długi, wreszcie począł zcicha wołać:

— Zbyszku!

Chłopak podniósł twarz, raczej rozdrażnioną i pełną chłodnej zawziętości, niż zbolałą.

— A co?

— Słuchaj-że pilnie, bom moze i co znalazł.

To rzekłszy, przysunął się blizko i począł prawie szeptać:

— Słyszałeś ty o księciu Witoldzie, jako drzewiej, uwięzion przez dzisiejszego naszego króla w Krewie, wyszedł z więzienia w niewieściem przebraniu. Niewiasta tu żadna za ciebie nie ostanie, ale bierz mój kubrak, bierz kaptur i wychodź — rozumiesz. A nuż się nie spostrzegą. I pewno. Za drzwiami ciemno. W oczy nie będą ci świecić. Widzieli mnie wczoraj, jakom wychodził, i żaden ani spojrzał. Cicho bądź i słuchaj: Znajdą mnie jutro — i co? Utną mi głowę to ci im będzie pociecha, kiedy mnie i tak za dwie lub trzy niedziele śmierć pisana. A ty, jak stąd wyjdziesz, siadaj na konia i prosto do kniazia Witolda ruszaj. Przypomnisz mu się, pokłonisz, to cię przyjmie i będzie ci u niego, jak u Pana Boga za piecem. Tu ludzie gadają, że wojska kniaziowe zniesione przez Tatarów. Niewiadomo, czy prawda, ale może być, bo nieboszczka królowa tak prorokowała. Jeśli prawda, to tembardziej będzie kniaź rycerzy potrzebował i rad cię obaczy. Ty zasię trzymaj się go, bo niemasz na świecie lepszej służby. Przegra-li inszy król wojnę, to już po nim, a w kniaziu Witoldzie taka obrotność, że po przegranej jeszcze się czyni potężniejszy. I hojny jest, a naszych miłuje okrutnie. Powiedz mu wszystko, jak było. Powiedz, żeś chciał na Tatary z nim iść, aleś nie mógł, boś w wieży siedział. Bóg da, że cię obdarzy ziemią i chłopami — i rycerzem będzie cię pasował i do króla się za tobą wstawi. Dobry to orędownik — obaczysz! — co?

Zbyszko słuchał w milczeniu, Maćko zaś, jakby podniecony własnemi słowami, mówił dalej:

— Nie ginąć tobie za młodu, ale do Bogdańca wracać. A jak wrócisz, zaraz masz żonę brać, żeby nasz ród nie zginął. Dopiero jak dzieci napłodzisz, możesz Lichtensteina na śmierć pozwać, ale przedtem, waruj mi się od szukania pomsty, bo nużby cię postrzelili gdzie

w Prusach, tak jako mnie — toby już nie było nijakiej rady. Bierz-że teraz kubrak, bierz kaptur i ruszaj w imię Boże.

To rzekłszy, Maćko wstał i począł się rozdziewać — lecz Zbyszko podniósł się także, zatrzymał go i rzekł:

— Nie uczynię ja tego, czego odemnie chcecie, tak mi pomagaj Bóg i święty krzyż.

— Czemu? — spytał ze zdumieniem Maćko.

— Bo nie uczynię.

A Maćko aż pobladł ze wzruszenia i gniewu.

— Bodajeś ty się był nie rodził.

— Mówiliście już kasztelanowi — rzekł Zbyszko — iże swoją głowę za moją oddajecie.

— Skąd wiesz?

— Powiadał mi pan z Taczewa.

— To i co z tego?

— Co z tego? A cóż wam kasztelan rzekł, że hańbaby spadła na mnie i na cały nasz ród. Zali nie większaby jeszcze hańba była, gdyby ja stąd uciekł, a was tu na pomstę prawu zostawił?

— Na jaką pomstę? Co mnie prawo uczyni, kiedy ja i tak zamrę? Miejże rozum, na miłosierdzie Boże!

— A toć tembardziej. Niech-że mnie Bóg pokarze, jeśli ja was starego i chorego tu opuszczę. Tfu! hańba!...

Nastało milczenie; słychać było tylko ciężki, rzężący oddech Maćka — i nawoływania łuczników, stojących na straży przy bramach. Na dworze uczyniła się już noc głęboka...

— Słuchaj — ozwał się wreszcie Maćko złamanym głosem: — nie była hańba kniaziowi Witoldowi uciekać tak z Krewa — nie będzie i tobie...

— Hej — odrzekł z pewnym smutkiem Zbyszko: — Wiecie! kniaź Witold, wielki kniaź: ma ci koronę z rąk królewskich, bogactwo i panowanie — a ja, ubogi ślachcic — jeno cześć...

Po chwili zaś zawołał, jakby z nagłym wybuchem gniewu:

— A to nie rozumiecie, że was takoż miłuję, i że waszej głowy za swoją nie dam?

Na to Maćko podniósł się na chwiejnych nogach, wyciągnął przed się ręce — i choć natury ówczesnych ludzi twarde były, jakby je kowano z żelaza — ryknął nagle rozdzierającym głosem:

— Zbyszku!...

A następnego dnia pachołcy sądowi poczęli zwozić na rynek belki na rusztowanie, które miało być wzniesione naprzeciw głównej bramy ratusza.

Księżna jednakże naradzała się jeszcze z Wojciechem Jastrzębcem, ze Stanisławem ze Skarbimierza i z innymi uczonymi kanonikami,

biegłymi zarówno w prawie pisanem i obyczajowem. Zachęcały ją do tych usiłowań słowa kasztelana, który oświadczył, że gdyby mu znaleziono „prawo, albo pozór", nie omieszkałby Zbyszka uwolnić. Radzono więc długo i gorliwie, czyby nie można czegoś znaleźć, a chociaż ksiądz Stanisław przygotował Zbyszka na śmierć i dał mu Ostatnie Sakramenta, jednakże prosto z podziemia wrócił raz jeszcze na naradę, która trwała niemal do świtu.

Tymczasem nadszedł dzień egzekucyi. Od rana tłumy ściągały na rynek, gdyż głowa szlachcica większą budziła ciekawość, niż zwykła, a do tego pogoda uczyniła się cudna. Między kobietami rozeszła się też wieść o młodzieńczym wieku i nadzwyczajnej piękności skazanego, więc cała droga, wiodąca od zamku, zakwitła jak kwiatami od całych gromad strojnych mieszczanek; w oknach na rynku i w wystających przystawkach widać też było czepce, złote i aksamitne czołka, lub przetowłose głowy dziewcząt, zdobne tylko wieńcami z róż i lilii. Rajcy miejscy, choć sprawa właściwie do nich nie należała, wyszli wszyscy dla dodania sobie powagi i ustawili się w pobliżu rusztowania, tuż za rycerstwem, które, chcąc okazać swoje współczucie młodzieńcowi, stanęło gromadnie najbliżej pomostu. Za nimi pstrzył się tłum, złożony z pomniejszych kupców i rzemieślników w barwach cechowych. Żaki i wogóle dzieci, wypchane w tył, krążyły, jak uprzykrzone muchy wśród tłumu, wdzierając się wszędzie, gdzie ukazało się choć trochę wolnego miejsca. Nad ową zbitą masą głów ludzkich widniał pomost, pokryty nowem suknem, na którym stało trzech ludzi: jeden kat, barczysty i groźny Niemiec, przybrany w czerwony kubrak i takiż kaptur, z ciężkim, obosiecznym mieczem w ręku — i dwóch jego pachołków z obnażonemi ramionami i powrozami u pasów. U nóg ich stał pień i trumna obita również suknem. Na wieżach Panny Maryi biły dzwony, napełniając miasto spiżowym dźwiękiem i płosząc stada kawek i gołębi. Ludzie patrzyli to na drogę, wiodącą z zamku, to na pomost i sterczącego na nim kata z pałającym w słonecznym blasku mieczem, to wreszcie na rycerzy, na których zawsze z chciwością i szacunkiem spoglądali mieszczanie. Tym razem było zaś na co patrzeć, gdyż najsławniejsi stanęli w kwadrat koło rusztowania. Podziwiano więc szerokość ramion i powagę Zawiszy Czarnego, jego kruczy włos, spadający na ramiona — podziwiano krępą, kwadratową postać, oraz pałączaste nogi Zyndrama z Maszkowic i olbrzymi, nadludzki niemal wzrost Paszka Złodzieja z Biskupic, i groźną twarz Bartosza z Wodzinka — i urodę Dobka z Oleśnicy, który w Toruniu pokonał na turnieju dwunastu rycerzy niemieckich — i Zygmunta z Bobowy, który podobnie wsławił się z Węgrami w Koszycach — i Krzona z Kozichgłów, i strasznego w ręcznem spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszka z Charbimowic, który konia w biegu doganiał. Powszechną uwagę zwracał także Maćko z Bogdańca swoją wybladłą twarzą, podtrzymywany przez Floryana z Korytnicy i Marcina z Wrocimowic. Sądzono powszechnie, iż jest to ojciec skazanego.

Ale największą ciekawość wzbudzał Powała z Taczewa, który, stojąc w pierwszym szeregu, trzymał w swych potężnych ramionach Da-

nusię, przybraną całkiem biało, z zielonym ruciannym wianuszkiem na jasnych włosach. Ludzie nie rozumieli, co to znaczy i dlaczego ta biało ubrana dziewczka ma patrzeć na egzekucyę skazanego. Jedni mówili sobie, że to siostra, inni odgadywali w niej panią myśli młodego rycerza, ale i ci nie umieli sobie wytłómaczyć ani jej ubioru, ani obecności przy pomoście. Natomiast we wszystkich sercach widok jej, podobnej do rumianego jabłuszka, ale zalanej łzami twarzy — budził współczucie i wzruszenie. W zbitych tłumach ludu poczęto szemrać na nieugiętość kasztelana, na surowość prawa — i szemrania owe przechodziły stopniowo w pomruk wprost groźny — a wreszcie tu i ówdzie jęły podnosić się głosy, że gdyby zburzono rusztowanie, egzekucya musiałaby być odłożona.

Tłum ożywił się i rozkołysał. Podawano sobie z ust do ust, że gdyby król był obecny, byłby niewątpliwie ułaskawił młodzianka, który, jak zapewniano, nie dopuścił się żadnej winy.

Ale wszystko ucichło, gdy dalekie okrzyki oznajmiły zbliżanie się i łuczników i halebardników królewskich, między którymi szedł skazany. Jakoż wkrótce orszak pojawił się na rynku. Pochód otwierało bractwo pogrzebowe, przybrane w czarne, do ziemi sięgające opończe i takież zasłony na twarzach z powycinanymi otworami na oczy. Lud bał się tych posępnych postaci i na ich widok umilkł. Za nimi szedł oddział kuszników, złożony z doborowych Litwinów, przybranych w łosiowe niewyprawne kubraki. Był to oddział gwardyi króleskiej. Z tyłu orszaku widać było halebardy drugiego oddziału, w środku zaś, między pisarzem sądowym, który miał czytać wyrok, a księdzem Stanisławem ze Skarbimierza, niosącym krucyfiks, szedł Zbyszko.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na niego, i ze wszystkich okien i przystawek wychyliły się niewieście postacie. Zbyszko szedł, przybrany w swą zdobyczną białą „jakę", haftowaną w złote gryfy i zdobną złotą frendzlą u doku — i w tym świetnym stroju wydawał się oczom tłumów jakowemś książątkiem, albo pacholęciem z wielkiego domu. Ze wzrostu, z barków, widnych pod obcisłem ubraniem, z tęgich ud i szerokich piersi, wydawał się być mężem całkiem dojrzałym, ale nad tą postawą męża wznosiła się głowa dziecinna prawie — i twarz młoda, z pierwszym meszkiem nad ustami — i zarazem cudna — twarz królewskiego pazia ze złotym włosem, uciętym równo nad brwiami, a puszczonym długo na ramiona. Szedł krokiem równym i sprężystym, ale z czołem pobladłem. Chwilami patrzył na tłum, jakby nieco przez sen, chwilami wznosił oczy ku wieżom kościelnym, ku stadom kawek i ku rozkołysanym dzwonom, które wydzwaniały mu ostatnią godzinę; chwilami wreszcie odbijało mu się na twarzy jakby zdziwienie, że te dźwięki i szlochania niewieście i cała ta uroczystość, to wszystko dla niego. Na rynku ujrzał wreszcie zdaleka pomost i na nim czerwoną sylwetkę kata. Wówczas drgnął i przeżegnał się — ksiądz zaś w tejże chwili podał mu krucyfiks do pocałowania. O kilka kroków dalej, padł mu pod nogi pęk chabrów, rzucony przez młodą dziewczynę z ludu. Zbyszko schylił się, podniósł go, a następnie uśmiechnął się do dziewczyny, która wybuchnęła głośnym płaczem. Lecz on pomyślał widocz-

nie, że wobec tych tłumów i wobec niewiast, powiewających chustkami z okien, trzeba umrzeć odważnie i zostawić po sobie przynajmniej pamięć „dzielnego chłopa”, więc wytężył całą odwagę i wolę, nagłym ruchem odrzucił w tył włosy, podniósł głowę jeszcze wyżej i szedł hardo, tak prawie, jak idzie zwycięzca po skończonych rycerskich gonitwach, gdy go prowadzą po nagrodę. Posuwali się jednak zwolna, gdyż tłum był przed nimi coraz większy i niechętnie ustępujący. Próżno kusznicy litewscy, idący w pierwszym szeregu, wołali co chwila: „Eyk szalin! Eyk szalin!” (precz z drogi!) Nie chciano się domyślać, co znaczą te sowa — i czyniło się coraz ciaśniej. Jakkolwiek ówczesne mieszczaństwo krakowskie składało się w dwóch trzecich z Niemców — jednakże naokół rozlegały się groźne klątwy przeciw Krzyżakom: „Hańba! hańba! niechby zczezły te krzyżowe wilki, jeśli dzieci gwoli im będą tu wytracać! Wstyd dla króla i królestwa!” Litwini, widząc opór, zdjąwszy napięte kusze z ramion, poczęli spoglądać z podełbów na lud, nie śmieli jednak szyć w gęstwę bez rozkazu. Lecz kapitan wysłał naprzód halebardników, halebardami bowiem łatwiej było torować sobie drogę i w ten sposób dotarli aż do rycerzy, stojących w kwadrat koło rusztowania.

Ci rozstąpili się bez oporu. Pierwsi weszli halebardnicy, za nimi szedł Zbyszko z księdzem i pisarzem. Lecz wówczas stało się to, czego się nikt nie spodziewał. Oto nagle z pomiędzy rycerzy wystąpił Powała z Danusią na ręku i krzyknął: „Stój!” tak grzmiącym głosem, iż cały orszak zatrzymał się, jak wkopany w ziemię. Ni kapitan, ni nikt z żołnierzy nie chciał sprzeciwiać się panu i pasowanemu rycerzowi, którego codziennie widywano w zamku, a nieraz w poufnych z królem rozmowach. Wreszcie i inni, równie znamienici, poczęli wołać rozkazującymi głosami: „Stój! stój!” — pan z Taczewa zaś zbliżył się do Zbyszka i podał mu biało ubraną Danusię.

Ów, mniemając, że to pożegnanie, chwycił ją, objął i przycisnął do piersi — lecz Danusia, zamiast przytulić się do niego i zarzucić mu na szyję rączęta, zerwała co prędzej ze swych jasnych włosów, z pod rucianego wianka, białą zasłonę i owinęła w nią całkiem głowę Zbyszka, a jednocześnie poczęła wołać z całej siły rozpłakanym, dziecinnym głosem:

— Mój ci jest! mój ci jest!

— Jej ci jest! — powtórzyły potężne głosy rycerzy. — Do kasztelana!

Odpowiedział im podobny do grzmotu krzyk ludu: „Do kasztelana! Do kasztelana!” Spowiednik podniósł oczy w górę, zmieszał się pisarz sądowy, kapitan i halebardnicy opuścili broń, albowiem wszyscy zrozumieli, co się stało.

Był stary obyczaj, mocny, jak prawo, znany na Podhalu, w Krakowskiem, a nawet i w innych krajach, że gdy na prowadzonego na śmierć chłopca rzuciła niewinna dziewka zasłonę, na znak, że chce za niego wyjść za mąż, tem samem zbawiała go od śmierci i kary. Znali ów obyczaj rycerze, znali kmiecie, znał polski lud miejski — a słyszeli



„Mój ci jest, mój ci jest!”

o jego mocy i Niemcy, z dawniejszych czasów w grodach i miastach polskich zamieszkali. Stary Maćko też aż zesłabł na ten widok ze wzruszenia, rycerze, odsunąwszy wnet kuszników, otoczyli Zbyszka i Danusię; wzruszony i rozradowany lud krzyczał coraz potężniej: „Do kasztelana! Do kasztelana!” Tłumy ruszyły się nagle, nakształt olbrzymich wełn morskich. Kat i pomocnicy zbiegli co prędzej z pomostu. Uczyniło się zamieszanie. Dla wszystkich stało się jasnem, że gdyby Jaśko z Tęczyna chciał się teraz oprzeć uświęconemu obyczajowi, w mieście wszcząłby się groźny rozruch. Jakoż ława ludzka rzuciła się zaraz na rusztowanie. W mgnieniu oka ściągnięto sukno i rozerwano je w kawałki, potem belki i deski, ciągnięte silnemi rękoma, lub rąbane toporami, poczęły uginać się, trzeszczeć, pękać — i w kilka pacierzy później na rynku nie zostało śladu z pomostu.

A Zbyszko, wciąż trzymając Danusię na ręku, wracał na zamek, ale tym razem jak prawdziwy zwycięzca-triumfator. Naokół niego bowiem szli z radosnemi twarzami pierwsi rycerze królestwa, a z boków, z przodu i z tyłu tłoczyły się tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, krzycząc w niebogłosy, śpiewając, wyciągając ręce ku Danusi i sławiąc obojga męstwo i urodę. Z okien białe ręce bogatych mieszczek biły im oklaski, wszędzie widać było oczy, zalane łzami radości. Deszcze wianuszków różanych, liliowych, deszcz wstążek, a nawet złocistych przepasek i pątlików padał szczęśliwemu młodziankowi pod nogi, a on, rozpromieniony jak słońce, z sercem przepełnionem wdzięcznością, podnosił co chwila w górę swoją białą panienkę, czasem całował jej w uniesieniu kolana, a ten widok rozczulał do tego stopnia mieszczki, że niektóre rzucały się w objęcia swoim kochankom, oświadczając, że byle zasłużyli na śmierć — zostaną także uwolnieni. I Zbyszko i Danusia stali się jakby ukochanemi dziećmi rycerzy, mieszczan i pospolitego tłumu. Stary Maćko, którego wiedli wciąż pod ręce Florian z Korytnicy i Marcin z Wrocimowic — odchodził niemal od zmysłów z radości — i zarazem ze zdumienia, że taki środek ratunku dla bratanka nawet mu do głowy nie przyszedł. Powała z Taczewa opowiadał wśród ogólnego wrzasku swym potężnym głosem rycerzom, jako ów sposób wymyślili, a raczej przypomnieli na naradach z księżną, Wojciech Jastrzębiec i Stanisław ze Skarbimierza, biegli w prawie pisanem i obyczajowem — rycerze zaś dziwili się jego prostocie, mówiąc między sobą, że chyba dlatego nikt inny o owym obyczaju nie pamiętał, iż w mieście zdawna już nie był praktykowany.

Wszystko jednak zależało jeszcze od kasztelana. Rycerze i lud pociągnęli na zamek, w którym pod niebytność króla mieszkał pan Krakowski — i zaraz pisarz sądowy, ksiądz Stanisław ze Skarbimierza, Zawisza, Farurej, Zyndram z Maszkowic i Powała z Taczewa udali się do niego, aby przedstawić moc obyczaju i przypomnieć, jako sam mówił, iż, gdyby znalazł „prawo, alibo pozór” — to wnetby skazanego uwolnił. — A czyż mogło być lepsze prawo nad starodawny obyczaj, którego nie łamano nigdy? Pan z Tęczyna odpowiedział wprawdzie, że więcej się do prostego ludu i do podhalskich zbójników ów obyczaj stosuje, niż do szlachty, ale zbyt on sam był biegłym we

wszelakim zakonie, aby mógł siły jego nie uznać. Przykrywał przytem srebrną brodę dłonią i uśmiechał się pod palcami, bo widocznie był rad. Wreszcie wyszedł na nizki krużganek, mając przy sobie księżnę Annę Danutę, kilku duchownych i rycerzy.

Zbyszko, ujrzawszy go, podniósł znów w górę Danusię — a on położył zgrzybiałą rękę na jej złotych włosach, chwilę ją trzymał — a potem skinął poważnie i dobrotliwie sędziwą głową.

Zrozumiano ten znak, i aż mury zamkowe zatrzęsły się od okrzyków. — „Pomagaj ci Bóg! żyj długo, sprawiedliwy panie! żyj i sądź nas!” — wołano ze wszystkich stron. Potem nowe okrzyki wzniosły się dla Danusi i Zbyszka, a chwilę później oboje, wszedłszy na krużganek, padli do nóg dobrej księżnie Annie Danucie, której Zbyszko zawdzięczał życie, ona to bowiem obmyśliła z uczonymi sposób i nauczyła Danusię, co ma robić.

— Niech żywie młoda para! — zawołał na widok klęczących Powała z Taczewa.

— Niech żywie! — powtórzyli inni.

A sędziwy kasztelan zwrócił się do księżny i rzekł:

— Już też, miłościwa księżno, zrękowiny muszą być zaraz, bo ów obyczaj tak każe.

— Zrękowiny uczynię zaraz, — odpowiedziała z rozpromienioną twarzą dobra pani, — ale pokładzin bez ojcowej woli Juranda ze Spychowa nie dopuszczę.

6.

U kupca Amyleja Maćko i Zbyszko naradzali się nad tem, co czynić. Stary rycerz spodziewał się rychłej śmierci, a że przepowiadał mu ją także znający się na ranach Franciszkanin, O. Cybek, więc chciał wracać do Bogdańca, aby być pochowanym wedle ojców, na cmentarzu w Ostrowiu.

Nie wszyscy jednak „ojce” tam leżeli. Był to niegdyś liczny ród. Czasu wojen zwoływali się okrzykiem: „Grady!” — w herbie zaś, mieniąc się być lepszymi od innych włodyków, którym nie zawsze przysługiwało prawo herbu — nosili Tępą Podkowę. Roku 1331, w bitwie pod Płowcami, siedmdziesięciu czterech wojowników z Bogdańca wystrzelali na bagnie łucznicy niemieccy, ocalał tylko jeden, Wojciech, przezwiskiem Tur, któremu król Władysław Łokietek po pogromie Niemców, potwierdził osobnym przywilejem herb i ziemie Bogdanieckie. Tamtych kości bielały odtąd na polach płowieckich, Wojciech zaś wrócił do domowych pieleszy, lecz po to tylko, by całkowitą zgubę rodu swego oglądać.

Albowiem, podczas gdy mężowie z Bogdańca ginęli pod strzałami Niemców, zbójnicy rycerze z pobliskiego Szląska napadli na ich gniazdo, spalili do cna osadę, ludność wysiekli lub uprowadzili w nie-

wolę po to, by ją sprzedać w odległe kraje niemieckie. Wojciech został sam jeden w starem domostwie, które cudem ocalało od ognia, jako dziedzic obszernych, ale pustych ziem, poprzednio do całego włodyczego rodu należących. W pięć lat później ożenił się i, spłodziwszy dwóch synów, Jaśka i Maćka — od tura w lesie na łowach zabit.

Synowie rośli pod opieką matki, Kachny ze Spalenicy, która w dwóch wyprawach pomściła na szląskich Niemcach dawne krzywdy, w trzeciej zaś poległa. Jaśko, doszedłszy do lat, pojął w małżeństwo Jagienkę z Mocarzewa, z którą spłodził Zbyszka, Maćko zaś, pozostawszy w stanie bezżennym, pilnował majętności i synowca, o ile pozwalały mu na to wyprawy wojenne.

Lecz gdy w czasie wojny domowej Grzymalitów z Nałęczami spalono po raz drugi chałupy w Bogdańcu i rozproszono kmieciów, samotny Maćko próżno usiłował go na nowo dźwignąć. Nabiedziwszy się lat niemało, zostawił wreszcie ziemię krewnemu opatowi, sam zaś z małym jeszcze Zbyszkiem pociągnął na Litwę przeciw Niemcom.

Nigdy on jednak nie tracił z oczu Bogdańca. Na Litwę pociągnął właśnie dlatego, by wzbogaciwszy się łupami, z czasem powrócić, wykupić ziemię, zaludnić ją jeńcami, odbudować grodek i osadzić na nim Zbyszka. Teraz też, po szczęśliwem ocaleniu młodzianka, o tem myślał i nad tem naradzał się z nim u kupca Amyleja.

Ziemię mieli za co wykupić. Z łupów, z okupów, które składali wzięci przez nich do niewoli rycerze i z darów Witolda zebrali zapasy dość znaczne. Szczególnie dużą korzyść przyniosła im owa walka na śmierć z dwoma rycerzami fryzyjskimi. Same zbroje, które po nich wzięli, stanowiły w owych czasach prawdziwą majętność, prócz zbroi zaś wzięli przecie wozy, konie, ludzi, szaty, pieniądze i cały bogaty sprzęt wojenny. Wiele z tych łupów nabył teraz kupiec Amylej, a między innemi dwie sztuki cudnego flandryjskiego sukna, które przezorni a możni Fryzyjczycy mieli z sobą na wozach. Maćko przedał także kosztowną zdobyczną zbroję, mniemając, że wobec bliskiej śmierci na nic mu się już nie przyda. Płatnerz, który ją nabyl, odprzedał ją na drugi dzień Marcinowi z Wrocimowic herbu Półkoza z zyskiem znacznym, gdyż pancerze pochodzenia medyolańskiego ceniono wówczas nad wszystkie w świecie.

Zbyszkowi też żal było tej zbroi z całej duszy.

— Jeśli wam Bóg wróci zdrowie — mówił do stryja — gdzie taką drugą znajdziecie?

— Tam, gdziem i tę znalazł, na jakowym innym Niemcu — odpowiedział Maćko. — Ale już ja się śmierci nie wywinę. Żeleźce się mi między żebrami rozszczepiło i szczebrzuch ostał we mnie. Com go zmacał i chciałem pazurami wyciągnąć, tom go jeno głębiej zapychał. A teraz nijakiej rady niema.

— Niedźwiedziego sadłaby wam się saganek jeden i drugi napić!

— Ba! Ojciec Cybek mówi też, że dobrzeby było, bo możeby się jako drzazga wyślizgła. Ale skąd tu go dostanę? W Bogdańcu jenoby topór wziął, a pod barcią na noc przykucnął!

— To trza i do Bogdańca. Tylko mi tam gdzie w drodze nie zamrzyjcie.

Stary Maćko spojrzał z pewnem rozczuleniem na bratanka.

— Wiem ja, gdzieby ci się chciało: na dwór księcia Janusza, albo do Juranda ze Spychowa, chełmińskich Niemców najeżdżać.

— Tego się nie zaprę. Razem z dworem księżny radbym do Warszawy, albo do Ciechanowa pojechał, a to z przyczyny, by jako najdłużej być z Danuśką. Nijak mi teraz bez niej, bo to nie tylko moja pani, ale i moje miłowanie. Tak ci ją rad widzę, że jak o niej pomyślę, to aż mnie ciągoty biorą. Pójdę ja za nią, choćby na kraj świata, ale teraz pierwsze moje prawo to wy. Nie opuściliście mnie, to i ja was nie opuszczę. Jak do Bogdańca, to do Bogdańca!

— Toś dobry chłop — rzekł Maćko.

— Bógby mnie skarał, gdyby ja był dla was inny. Obaczcie, że już wozy ładują, a jeden kazałem sianem dla was wymościć. Amylejówka podarowała też pierzynę zacną, jeno nie wiem, czy na niej od gorąca wyleżycie. Pojedziemy wolno, razem z księżną i dworem, żeby wam starunku nie zbrakło. Potem oni nawrócą na Mazowsze, a my do siebie — pomagaj Bóg!

— Niechbym tyle pożył, by grodek nanowo wznieść, — rzekł Maćko — bo to wiem, że po mojej śmierci niewiele ty będziesz o Bogdańcu myślał.

— Co nie miałbym myśleć!

— Bo ci będą w głowie bitki i kochanie.

— A wam to nie była w głowie wojna? Właśnie, żem sobie już całkiem wymiarkował, co mam czynić — i pierwsza rzecz grodek z dębiny mocnej zbudujem, a rowem każemy okopać na porządek.

— Tak-że myślisz? — spytał zaciekawiony Maćko. — No, a jak grodek stanie? Gadaj!

— Jak grodek stanie, dopieroż na dwór książęcy do Warszawy, abo do Ciechanowa pojadę.

— Po mojej śmierci?

— Jeśli prędko zamrzecie, to po waszej śmierci, ale wprzód was godnie pochowam; a jeśli Pan Jezus da wam zdrowie, to w Bogdańcu ostaniecie. Mnie księżna obiecała, że tam pas rycerski od księcia dostanę. Inaczej nie chciałby się ze mną Lichtenstein potykać.

— Tego ci nie przyganię. Twoja śmierć, albo jego!

— Już ja wam jego rękawice i pas do Bogdańca przywiozę — nie bójcie się.

— Jeno się strzeż zdrady. U nich o zdradę łatwo.

— Pokłonię się księciu Januszowi, żeby posłał po glejt do Mistrza. Teraz jest spokój. Pojadę za glejtem do Malborga, a tam zawsze gości rycerstwa kupa. To wiecie? — naprzód Lichtenstein, a potem będę upatrywał, którzy pawie czuby na hełmach mają — i po kolei ich wyzywał. Boga mi! zdarzy-li Pan Jezus zwycięstwo, to zarazem i ślub spełnię.

Tak mówiąc, Zbyſzko uśmiechnął ſię do ſwoich właſnych myśli, przyczem twarz miał zupełnie pacholęcia, które zapowiada, jakich to czynów rycerſkich dokona, gdy dorośnie.

— Hej! — rzekł, kiwając głową, Maćko — żebyś ty trzech rycerzy ze znakomitych rodów pokonał, to nietylkobyś ślub ſpełnił, ale jakibyś ſprzęt po nich wziął — miły Boże!

— Co to trzech! — zawołał Zbyſzko. — Już ja w więzieniu powiedziałem ſobie, że nie będę Danuśce ſkąpił. Ile palców u rąk — nie trzech!

Maćko wzruſzył ramionami...

— Dziwujcie ſię, albo i nie wierzcie, — rzekł Zbyſzko — a ja przecie z Malborga do Juranda ze Spychowa pojadę. Jakże mu ſię nie pokłonić, kiedy to Danuśkowy ojciec? I z nim będziem chełmińſkich Niemców najeżdżali. Samiście przecie mówili, że większego wilkołaka na Niemców niemaſz na całem Mazowſzu.

— A jak ci Danuśki nie da?

— Miałby nie dać! On ſwojej pomſty ſzuka, ja ſwojej. Kogoż lepſzego ſobie upatrzy? Wreſzcie, ſkoro kſiężna na zrękowiny pozwoliła, to i on ſię nie ſprzeciwi.

— Już ja jedno miarkuję, — rzekł Maćko — że ty wſzyſtkich ludzi z Bogdańca zabierzeſz, żeby poczet mieć, jako ſię rycerzowi patrzy, a ziemia oſtanie bez rąk. Póki będę żyw, to nie dam, ale po mojej śmierci, już widzę, że zabierzeſz.

— Pan Bóg mi poczet obmyśli, a przecie i Janko z Tulczy krewniak, więc nie poſkąpi.

A wtem drzwi ſię otworzyły, i jakby na dowód, że Pan Bóg Zbyſzkowi poczet obmyśli, weſzło dwóch ludzi, czarniawych, krępych, przybranych w żółte, podobne do żydowſkich, kaftany, w czerwone krymki i w niezmiernie ſzerokie hajdawery. Ci, ſtanąwſzy we drzwiach, poczęli przykładać palce do czoła, do uſt, do pierſi i zarazem bić pokłony aż do ziemi.

— Cóż to za odmieńcy? — zapytał Maćko. — Coście za jedni?

— Niewolnicy waſi — odpowiedzieli polſkim łamanym językiem przybyſze.

— A to jak? ſkąd? kto was tu przyſłał?

— Przyſłał nas pan Zawiſza, w darze młodemu rycerzowi, abyśmy niewolnikami jego byli.

— O dla Boga! dwóch chłopów więcej! — zawołał z radością Maćko. — A z jakiego narodu?

— My Turki.

— Turki? — powtórzył Zbyſzko. — Będę miał dwóch Turków w poczcie. Widzieliście kiedy Turków?

I ſkoczywſzy ku nim, począł ich okręcać dłońmi i oglądać, jak oſobliwe zamorſkie ſtworzenia. Maćko zaś rzekł:

— Widzieć, nie widziałem, alem ſłyſzał, że pan z Garbowa ma w ſłużbie Turków, których pobrał, wojując nad Dunajem u ceſarza rzymſkiego Zygmunta. Jakże to? toście pſubraty poganie?

— Pan kazał się ochrzcić — rzekł jeden z jeńców.

— A wykupić się nie mieliście za co?

— My z daleka, z azyatyckiego brzegu, z Brussy.

Zbyszko, który chciwie zawsze słuchał wszelkich opowiadań wojennych, a zwłaszcza, gdy chodziło o czyny przesławnego Zawiszy z Garbowa, począł wypytywać ich, jakim sposobem dostali się do niewoli. Ale w opowiadaniach jeńców nie było nic nadzwyczajnego: Zawisza napadł ich kilkudziesięciu przed trzema laty w wąwozie, częścią wytracił, częścią pochwytał — i wielu potem rozdarował. Zbyszkowi i Maćkowi serca zalewały się radością na widok tak znakomitego daru, zwłaszcza, że o ludzi było w owych czasach trudno, i posiadanie ich stanowiło prawdziwy majątek.

Tymczasem po chwili nadszedł i sam Zawisza w towarzystwie Powały i Paszka Złodzieja z Biskupic. Ponieważ wszyscy oni pracowali nad ocaleniem Zbyszka i radzi byli, że udało im się tego dokazać, przeto każdy składał mu jakowyś dar na pożegnanie i pamiątkę. Hojny pan z Taczewa dał mu kropierz na konia, szeroki, bogaty, obszyty na piersiach frendzlą złotą, Paszko zaś miecz węgierski, wartości kilku grzywien. Nadeszli potem Lis z Targowiska, Farurej i Krzon z Kozichgłów, z Marcinem z Wrocimowic, a naostatku przyszedł Zyndram z Maszkowic — każdy z pełnemi rękoma.

Zbyszko witał ich wezbranem sercem, podwójnie uszczęśliwiony — i z darów i z tego, że najsławniejsi w Królestwie rycerze okazują mu przyjaźń. Oni zaś wypytywali go o odjazd i o zdrowie Maćka, radząc, jako ludzie doświadczeni, choć młodzi, rozmaite maście i dryakwie, cudownie rany gojące.

Lecz Maćko polecał im jeno Zbyszka, sam zaś wybierał się na tamten świat. Trudno żyć z żelazną drzazgą pod żebrami. Skarżył się też, że ustawicznie krwią spluwa i jeść nie może. Kwarta wyłuskanych orzechów, dwie piędzie kiełbasy, misa jajecznicy — ot i całe jego dzienne jedzenie. Ojciec Cybek puszczał mu krew kilkakrotnie, myśląc, że w ten sposób odciągnie mu gorączkę z pod serca i wróci ochotę do jadła — ale i to nie pomogło.

Był jednak tak uradowany z darów dla bratanka, że w tej chwili czuł się zdrowszym, i gdy kupiec Amylej kazał dla uczczenia tak znakomitych gości przynieść do izby barylkę z winem — zasiadł razem z nimi do kielicha. Poczęto rozmawiać o ocaleniu Zbyszka i o jego zrękowinach z Danuśką. Rycerze nie wątpili, iż Jurand ze Spychowa nie będzie się chciał sprzeciwić woli księżny, zwłaszcza, jeśli Zbyszko pomści pamięć jej matki i ślubowane pawie czuby zdobędzie.

— Jeno co do Lichtensteina — rzekł Zawisza — nie wiem, czy ci będzie chciał stanąć, gdyż jest zakonnikiem, a do tego i jeden ze starostów w Zakonie. Ba! powiadali ludzie z jego orszaku, że byle doczekał, to i wielkim mistrzem z czasem zostanie.

— Jeśli wam odmówi, to cześć utraci — ozwał się Lis z Targowiska.

— Nie — odpowiedział Zawisza — gdyż nie jest rycerz świecki, zakonnikom zasie nie wolno do pojedynczej walki stawać.

— A przecież często bywa, że stają.

— Bo się prawa w Zakonie popsowały. Różne oni składają śluby — i słyną z tego, że ku zgorszeniu całego chrześcijańskiego świata, raz wraz je łamią. Ale do walki na śmierć może Krzyżak, a zwłaszcza komtur, nie stanąć.

— Ha! to go chyba na wojnie dostaniesz.

— Kiedy powiadają, że wojny nie będzie — rzekł Zbyszko — gdyż Krzyżacy boją się teraz naszego narodu.

Na to Zyndram z Maszkowic rzekł:

— Niedługo tego spokoju. Z wilkiem nie może być zgody, bo on musi cudzem żyć.

— A tymczasem może nam przyjdzie z Tymurem Kulawym za bary się wziąć, — ozwał się Powała. — Książę Witold klęskę poniósł od Edygi — to już pewna.

— Pewna. I wojewoda Spytko nie wrócił — powtórzył Paszko Złodziej z Biskupic.

— A kniaziów litewskich siła została na polu.

— Królowa niebosczka przepowiadała, że tak będzie — rzekł pan z Taczewa.

— Ha! to może i przyjdzie nam na Tymura wyruszyć.

Tu rozmowa zwróciła się na litewską wyprawę przeciw Tatarom. Nie było już żadnej wątpliwości, że książę Witold, wódz więcej porywczy, niż biegły, poniósł straszliwą klęskę pod Worsklą, w której legło mnóstwo bojarów litewskich, ruskich, a z nimi razem garść posiłkowych rycerzy polskich, a nawet i krzyżackich. Zebrani u Amyleja biadali szczególnie nad losem młodego Spytka z Melsztyna, największego pana w królestwie, który pociągnął na wyprawę, jako ochotnik, i po bitwie przepadł bez wieści. Wynoszono też pod niebo jego prawdziwie rycerski postępek, że dostawszy od wodza nieprzyjaciół kołpak ochronny, nie chciał takowego w czasie bitwy wdziać, przekładając śmierć sławną nad życie z łaski pogańskiego władcy. Nie było jednak jeszcze pewności, czy popadł w niewolę. Z niewoli miał zresztą czem się wykupić, gdyż bogactwa jego były niezmierne, a w dodatku król Władysław puścił mu był w lenne posiadanie całe Podole.

Lecz klęska Litwinów mogła być groźną i dla całego Jagiełłowego państwa, nikt bowiem dobrze nie wiedział, czy Tatarzy, zachęceni zwycięstwem nad Witoldem, nie rzucą się na ziemie i grody, przynależne do W. Księstwa. W takim razie zostałoby wciągnięte do wojny i królestwo. Wielu też rycerzy, którzy jak Zawisza, Farurej, Dobko, a nawet i Powała, przywykli byli szukać przygód i bitew po dworach zagranicznych, nie opuszczało umyślnie Krakowa, nie wiedząc, co niedaleka przyszłość przyniesie. Gdyby Tamerlan, pan dwudziestu siedmiu królestw, poruszył cały świat mongolski, wówczas niebezpieczeństwo mogło być straszne. Otóż byli ludzie, którzy przewidywali, że to nastąpi.

— Jeżeli będzie potrzeba, to się i z samym Kulawcem zmierzymy. Nie pójdzie mu tak łatwo z naszym narodem, jako poszło z tymi

wszystkimi, które wytracił i podbił. A przecie inni książęta chrzecijańscy przeciw Zakonowi, odrzekł z goryczą:

Na to Zyndram z Maszkowic, który płonął szczególną nienawiścią przeciw Zakonnowi, odrzekł z goryczą:

— Książęta — nie wiem, ale Krzyżacy gotowi z Tatarami się pokumać i na nas z drugiej strony uderzyć.

— To i będzie wojna! — zawołał Zbyszko — ja przeciw Krzyżakom!

Lecz inni rycerze zaczęli zaprzeczać. Nie znają Krzyżacy bojaźni Bożej i swego dobra tylko patrzą, ale przecie poganomby przeciw chrześcijańskiemu narodowi nie pomagali. Zreszta Tymur daleko gdzieś w Azyi wojuje, a wódz tatarski Edyga, tyle ludzi w bitwie utracił, że się podobno własnego zwycięstwa przeląkł. — Książę Witold zaradny jest i pewno grody dobrze opatrzył, a zresztą, chociaż nie udało się tym razem Litwinom, jednakże nie nowina im Tatarów zwyciężać.

— Nie z Tatarami nam, ale z Niemcami na śmierć i życie, — rzekł Zyndram z Maszkowic — jeśli ich nie zetrzem, od nich zguba przyjdzie.

Poczem zwrócił się do Zbyszka:

— A najpierwej zginie Mazowsze. Znajdziesz tam zawsze robotę — nie bój się!

— Hej! żeby stryj był zdrów, zarazbym tam pociągnął.

— Pomagaj ci Bóg! — rzekł Powała, wznosząc kielich.

— Za zdrowie twoje i Danuśki!

— A na zatratę Niemcom! — dodał Zyndram z Maszkowic.

I poczęli go żegnać. A tymczasem wszedł dworzanin księżny z sokołem na ręku i skłoniwszy się obecnym rycerzom, zwrócił się z jakimś dziwnym uśmiechem do Zbyszka:

— Księżna pani kazała wam powiedzieć — rzekł, — że przenocuje jeszcze w Krakowie, a w drogę ruszy jutro rano.

— To i dobrze — rzekł Zbyszko — ale czemu? zali kto zachorzał?

— Nie. Jeno księżna ma gościa z Mazowsza.

— Sam-że książę przyjechał?

— Nie książę, jeno Jurand ze Spychowa — odrzekł dworzanin.

Usłyszawszy to, Zbyszko zmieszał się okrutnie, i serce poczęło mu się tak tłuc w piersi, jak wówczas, gdy mu czytano wyrok śmierci.

7.

Księżna Anna nie zdziwiła się zbytnio przyjazdem Juranda ze Spychowa, zdarzało się bowiem często, że wśród ustawicznych pościgów, napadów i walk z sąsiednimi rycerzami niemieckimi, porywała go nagła tęsknota za Danusią. Wówczas zjawiał się niespodzianie, bądź w Warszawie, bądź w Ciechanowie, lub gdziekolwiek czasowo bawił

dwór księcia Janusza. Na widok dziecka wybuchał zawsze okropną załością. Danusia bowiem, z upływem lat stawała się tak do matki podobną, że za każdym razem zdawało mu się, że widzi swoją nieboszczkę, taką, jak niegdyś poznał u księżny Anny w Warszawie. Ludzie myśleli nieraz, że od tej załości skruszeje w nim wreszcie żelazne, zemście tylko oddane serce. Księżna namawiała też go często, by porzuciwszy swój krwawy Spychów, został przy dworze i przy Danusi. Sam książę, ceniąc jego męstwo i znaczenie, a zarazem chcąc uniknąć kłopotów, na jakie narażały go ustawicznie zajścia graniczne, ofiarował mu urząd miecznika. Zawsze napróżno. Właśnie widok Danusi rozdzierał w nim dawne rany. Po kilku dniach tracił ochotę do jadła, do snu, do rozmowy. Serce poczynało mu się widocznie burzyć i zalewać krwią, a wreszcie znikał z dworu i wracał w swoje bagna spychowskie, by żal i gniew we krwi zatopić. Ludzie wówczas mówili: „Gorze Niemcom! wcale ci oni nie owce, ale dla Juranda owce, bo on im wilkiem". Jakoż po upływie pewnego czasu rozchodziły się wieści to o pochwytanych gościach ochotnikach, którzy szlakiem granicznym dążyli do Krzyżaków, to o popalonych gródkach, to o zagarniętych chłopach, lub walkach na śmierć, z których straszny Jurand zawsze wychodził zwycięsko. Przy drapieżnem usposobieniu Mazurów i rycerzy niemieckich, którzy z ramienia zakonu dzierżyli ziemię i gródki, do Mazowsza przyległe, nawet w czasach największego pokoju między książęty mazowieckimi a Zakonem, na granicy nie ustawała nigdy wrzawa bojowa. Nawet na ścinanie drzew w boru lub na żniwa mieszkańcy wybierali się z kuszami lub zbrojni w dzidy. Ludzie żyli w niepewności jutra, w ciągłem wojennem pogotowiu, zatwardziałości serc. Nikt nie przestawał na samej obronie, ale za grabież płacił grabieżą, za pożogę pożogą, za napad napadem. I zdarzało się, że gdy Niemcy przekradali się cicho leśnemi rubieżami, by ubiedz jakowyś gródek, porwać chłopów lub stada, Mazury w tym samym czasie czynili to samo. Nieraz też spotykali się z sobą i bili się do upadłego, często wszakże tylko wodzowie wyzywali się na śmiertelną walkę, po której zwycięzca zabierał poczet pokonanego przeciwnika. To też, gdy na dwór warszawski przychodziły skargi na Juranda, książę odpowiadał skargami na napady, poczynione w innych stronach przez rycerzy niemieckich. W ten sposób, gdy obie strony żądały sprawiedliwości, a nie chciała i nie mogła jej uczynić żadna — wszystkie grabieże, pożogi, napady uchodziły całkiem bezkarnie.

Lecz Jurand siedząc w swym błotnym, porosłym sitowiem Spychowie i płonąc nieugaszoną chęcią zemsty, stał się tak ciężkim dla swych zagranicznych sąsiadów, iż w końcu przestrach ich stał się większym od zawziętości. Pola, graniczące ze Spychowem, leżały odłogiem, lasy zarastały dzikiem chmielem i leszczyną, łąki szuwarem. Niejeden rycerz niemiecki, przywykły do prawa pięści w ojczyźnie, próbował osiadać w sąsiedztwie Spychowa, lecz każdy po pewnym czasie wolał odbiedz lenna, stad i chłopów, niż żyć pod bokiem nieubłaganego męża. Często też rycerze zmawiali się, aby uczynić wspólną na Spychów wyprawę, lecz każda z nich kończyła się klęską. Próbowano różnych sposobów.

Raz sprowadzono znanego z siły i srogości rycerza z nad Menu, który we wszystkich walkach bywał zwycięzcą, aby wyzwał Juranda na udeptaną ziemię. Lecz gdy stanęli w szrankach, upadło w Niemcu jakoby przez czary serce, na widok strasznego Mazura, i zwrócił konia do ucieczki, Jurand zaś mu niezbrojny pośladek kopią przeszył i w ten sposób czci i światłości dziennej go pozbawił. Od tej pory tem większa trwoga ogarnęła sąsiadów, i który Niemiec chociaż zdaleka dymy spychowskie spostrzegł, wnet żegnał się i do patrona swego w niebiesiech rozpoczynał modlitwę, albowiem utrwaliła się wiara, że Jurand nieczystym siłom duszę dla pomsty zaprzedał.

Opowiadano też o Spychowie straszliwe rzeczy: że przez grząskie bagna, wśród drzemiących, zarosłych rzęsą i wodnym rdestem topielisk, wiodła do niego droga tak wązka, iż dwóch mężów na koniach nie mogło obok siebie po niej jechać; że po obu jej stronach walały się kości niemieckie, nocami zaś przechadzały się na pajęczych nogach głowy potopionych, jęcząc, wyjąc i wciągając ludzi razem z końmi w głębinę. Powtarzano, że w samym gródku częstokół przybrany był w czaszki ludzkie. Prawdą w tem wszystkiem było tylko to, że w zakratowanych jamach, wykopanych pod dworzyszczem w Spychowie, jęczało zawsze kilku lub kilkunastu jeńców, i że imię Juranda straszniejsze było od owych wymysłów o kościotrupach i topielcach.

Zbyszko dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszył do niego natychmiast, ale jako do ojca Danusi szedł z pewnym niepokojem w sercu. Że Danuśkę obrał sobie na panią myśli i że jej ślubował, tego mu nikt nie mógł wzbronić, ale później księżna wyprawiła mu z Danuśką zrękowiny. Co Jurand na to powie? Zgodzi się, czy nie zgodzi! i co będzie, jeżeli jako ojciec zakrzyknie, iż nigdy tego nie dopuści? Pytania te przejmowały trwogą duszę Zbyszka, gdyż już mu o Danusię chodziło więcej, niż o wszystko na świecie. Otuchy dodawała mu tylko myśl, że Jurand poczyta mu za zasługę, nie za ujmę napaść na Lichtensteina, bo przecie to uczynił także przez zemstę za Danusiną matkę — i omal własnej szyi nie stracił.

Tymczasem jął badać dworzanina, który po niego przyszedł do Amyleja:

— A gdzie mnie wiedziecie? — pytał — na zamek?

— Juzci na zamek. Jurand razem z dworem księżny stanął.

— Powiedzcie mi też, jaki to człowiek?... żebym wiedział, jako z nim gadać...

— Co wam powiem! To jest człek zgoła od innych ludzi odmienny. Powiadają, że dawniej był wesół, póki mu się krew w wątrobie nie zapiekła.

— A mądry jest?

— Chryşty jest, bo innych łupi, a sam się nie da. Hej! jedno on oko ma, gdyż drugie mu Niemcy z kuszy wystrzelili, ale tem jednem do dna ci człowieka przejrzy. Nikt z nim na swojem nie postawi... Jeno księżnę naszą panią, to miłuje, bo jej dwórkę za żonę wziął, a teraz się dziewka u nas hoduje.

Zbyszko odetchnął.

— To mówicie, że on się woli księżny nie sprzeciwi.

— Wiem ja, czegobyście się chcieli dowiedzieć, i com zaś słyszał, to i powiem. Mówiła z nim księżna o waszych zrękowinach, boć i nieładnie byłoby utaić: ale co on na to rzekł — niewiadomo.

Tak rozmawiając, doszli do bramy. Kapitan łuczników królewskich, ten sam, który poprzednio prowadził Zbyszka na śmierć, skinął mu teraz przyjaźnie głową, więc przeszedłszy warty, znaleźli się w dziedzińcu, a potem weszli na prawo do oficyny, którą zajmowała księżna.

Dworzanin, spotkawszy przed drzwiami pachołka, spytał:

— A gdzie Jurand ze Spychowa?

— W Krzywej komnacie z córką.

— To tamój, — rzekł dworzanin, ukazując drzwi.

Zbyszko przeżegnał się i podniósłszy zasłonę w otwartych drzwiach, wszedł z bijącem sercem. Ale nie odrazu dostrzegł Juranda z Danusią, gdyż komnata nietylko była „Krzywa", ale i mroczna. Po chwili dopiero ujrzał jasną główkę dziewczyny, siedzącej na kolanach ojca. Oni też nie usłyszeli, gdy wszedł, więc zatrzymał się przy zasłonie, chrząknął i wreszcie ozwał się:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków, — odpowiedział, wstając Jurand.

W tej chwili Danusia skoczyła ku młodemu rycerzowi i, chwyciwszy go za rękę, poczęła wołać:

— Zbyszku! Tatuś przyjechali!

Zbyszko ucałował jej ręce, poczem wstał, zbliżył się wraz z nią do Juranda i rzekł:

— Przyszedłem się wam pokłonić: wiecie, ktom jest?

I schylił się lekko, czyniąc rękoma ruch, jakby go chciał podjąć pod nogi. Lecz on chwycił jego dłoń, obrócił go ku światłu i począł mu się w milczeniu przypatrywać.

Zbyszko już był nieco ochłonął, więc podniósłszy zaciekawiony wzrok ku Jurandowi, ujrzał przed sobą męża postawy ogromnej, z płowym włosem i również płowymi wąsami, z twarzą dziobatą i jednem okiem barwy żelaza. Zdawało mu się, że oko to chce go przewiercić na wylot, tak, że zmieszanie poczęło go znów ogarniać, wreszcie, nie wiedząc, co ma rzec, a chcąc koniecznie coś powiedzieć, by przerwać kłopotliwe milczenie, zapytał:

— To wyście Jurand ze Spychowa, ociec Danusin?

Lecz tamten wskazał mu tylko ławę dębowego krzesła, na którem sam zasiadł, i nie odrzekłszy ni słowa, przypatrywał mu się dalej.

Zbyszko zniecierpliwił się wreszcie.

— Bo wiecie — rzekł — niesktadnie mi tak siedzieć, jako na sądzie.

Dopieroż Jurand ozwał się:

— Tyś chciał bić w Lichtensteina?

— A no! — odrzekł Zbyszko.

W oku pana ze Spychowa błysnęło jakieś dziwne światło, i groźna jego twarz rozjaśniła się nieco. Po chwili spojrzał na Danusię i znów spytał:

— I to dla niej?

— A dla kogożby? Musieli wam stryjko powiadać, jakom jej ślubował Niemcom ze łbów pawie czuby pozdzierać. Ale nie będzie ich trzy, jeno co najmniej tyle, ile palców u obu rąk. Przez to i wam do pomsty dopomogę, boć to przecie za Danusiną mać.

— Gorze im! — odrzekł Jurand.

I znów zapadło milczenie. Zbyszko jednak, pomiarkowawszy, iż okazując swoją zawziętość na Niemców, trafia do serca Jurandowego, rzekł:

— Nie daruję ja za swoje, choć mało mi już szyi nie ucieli!

Tu zwrócił się ku Danusi i dodał:

— Ona mnie zratowała.

— Wiem — rzekł Jurand.

— A nie krzywiście o to?

— Skoroś jej ślubował, to jej służ, bo jest taki rycerski obyczaj.

Zbyszko zawahał się nieco, lecz po chwili począł mówić z widocznym niepokojem:

— Bo to uważcie... nałęczką mi głowę nakryła... Wszystko rycerstwo słyszało, i Franciszkanin, który był przy mnie z krzyżem, słyszał, jako rzekła: „Mój ci jest!" I pewno, iż niczyj inny do śmierci nie będę, tak mi dopomóż Bóg.

To rzekłszy, przyklęknął znów, i chcąc pokazać, że zna rycerski obyczaj, ucałował z wielką czcią oba trzewiki siedzącej na poręczy od krzesła Danusi, poczem wstał i, zwróciwszy się do Juranda, zapytał:

— Widzieliście taką drugą?... co?

A Jurand założył nagle na głowę swe straszne mężobójcze ręce — i zamknąwszy powieki, odrzekł głucho:

— Widziałem, ale Niemce ci mi ją zabili.

— To słuchajcie — rzekł z zapałem Zbyszko — jedna nam krzywda i jedna pomsta. I naszych kupę z Bogdańca, co im konie w młace polgnęły, psubraty z kusz wystrzelali... Już wy nikogo lepszego ode mnie do waszej roboty nie znajdziecie... Nie nowina mi to! Spytajcie stryka. Na kopie, alibo na topory, na długie, alibo na krótkie miecze, zajedno mi! A powiadał wam stryk o onych Fryzach?... Narznę ja wam Niemców, jak baranów, a co do dziewczyny, to wam klękający ślubuję, jako się będę o nią bodaj z samym piekielnym starostą potykał i jako nie odstąpię jej ni na ziemi, ni za stada, ni za sprzęt żaden, a choćby mi zamek o szklanych oknach bez niej dawali, to to i zamek porzucę, a za nią na kraj świata powędruję.

Jurand siedział czas jakiś z głową w dłoniach, lecz wreszcie ocknął się, jakoby ze snu i rzekł z żałością i smutkiem:

— Udałeś ty mi się, pacholku, ale ci jej nie dam, bo nie tobie ona pisana, nieborzę!

Zbyszko usłyszawszy to, aż oniemiał i począł patrzeć na Juranda okrągłemi oczyma, nie mogąc słowa przemówić.

Lecz Danusia przyszła mu w pomoc. Bardzo jej miły był Zbyszko, i miło jej było uchodzić nie za „skrzata", ale za „źrzałą dziewkę". Podobały jej się i zrękowiny i słodkości, jakie jej rycerzyk codziennie znosił, więc teraz, gdy zrozumiała, że jej to wszystko chcą odjąć, zsunęła się co prędzej z poręczy krzesła i, ukrywszy głowę na kolanach ojca, poczęła wołać:

— Tatulu! tatulu! bo będem płakać!

On zaś widocznie kochał ją nad wszystko, gdyż położył łagodnie dłoń na jej głowie. W twarzy jego nie było ni zawziętości, ni gniewu, tylko smutek.

Zbyszko tymczasem ochłonął i rzekł:

— Jakże to? To woli Boskiej chcecie się przeciwić?

A na to Jurand:

— Jak będzie wola Boska, to ją dostaniesz, jeno ci mojej nie mogę przychylić. Ba, radbym ci przychylił, ale nie lza...

To powiedziawszy, podniósł Danusię, i wziąwszy ją na ręce, skierował się ku drzwiom, gdy zaś Zbyszko chciał mu zastąpić drogę, zatrzymał się jeszcze na chwilę i rzekł:

— Nie będę na cię krzyw o rycerskie służby, ale mnie więcej nie pytaj, gdyż nie mogę ci nic rzec.

I wyszedł.

8.

Następnego dnia nie unikał Jurand bynajmniej Zbyszka, ani mu też przeszkadzał w oddawaniu Danusi w drodze rozmaitych przysług, które, jako rycerz, powinien był jej oddawać. Owszem — Zbyszko, choć wielce w sercu strapiony, zauważył przecie, iż posępny pan ze Spychowa spogląda na niego życzliwie i jakby z żalem, że musiał mu dać tak okrutną odpowiedź. Próbował też młody włodyka niejednokrotnie zbliżyć się do niego i zacząć z nim rozmowę. Po wyruszeniu z Krakowa, w czasie podróży, o sposobność nie było trudno, gdyż obaj towarzyszyli księżnej konno. Jurand, lubo zwykle milczący, rozmawiał dość chętnie, ale gdy tylko Zbyszko chciał dowiedzieć się czegoś o przeszkodach, dzielących go od Danusi, rozmowa urywała się nagle, a twarz Jurandowa czyniła się chmurną. Myślał Zbyszko, że księżna wie więcej — upatrzywszy zatem sposobną chwilę, starał się od niej jakąkolwiek wiadomość wydostać, ale ona nie wiele także mogła mu powiedzieć.

— Juzci jest tajemnica — rzekła. — Powiedział mi o tem sam Jurand, jeno prosił zarazem, abym go nie wypytywała. Pewnikiem przysięgą jakowąś związan, jak to między ludźmi bywa. Bóg wszelako da, że z czasem wszystko to wyjdzie na jaw.

— Takoby mi bez Danuśki na świecie było, jako psu na powrozie, albo jak niedźwiedziowi w dole — odrzekł Zbyszko. — Nie radości nijakiej, ni uciechy. Nic, jeno frasunek i wzdychanie. Poszedłby ja już do Tawani z księciem Witoldem, niechby mnie tam Tatarzy zabili. Ale wpierw muszę stryjca odwieźć, a potem one pawie czuby Niemcom ze łbów pościągać, jakom zaprzysiągł. Może mnie przytem zabiją — co i wolę, niż patrzeć, jako Danuśkę inny zabierze.

Księżna podniosła na niego swoje dobre, niebieskie oczy i spytała z pewnem zdziwieniem:

— A tobyś na to przyzwolił?

— Ja? Póki mi tchu w nozdrzach, nie będzie tego! Chybaby mi ręka uschła i topora zdzierżyć nie mogła!

— Ano widzisz.

— Ba! Ale jako-że mi ją przeciw ojcowej woli brać?

Na to księżna, jakby do siebie:

— Mocny Boże! albo to się i tak nie przytrafia...

Potem zaś do Zbyszka:

— Zali wola Boska nie mocniejsza od ojcowej? A coże Jurand rzekł? „Jak — powiada — będzie wola Boska, to ją dostanie".

— To samo i mnie rzekł! — zawołał Zbyszko? — „Jak — powiada — będzie wola Boska to ją dostaniesz".

— A widzisz?

— Toż, przy waszej łasce, miłościwa pani — jedyna pociecha.

— Moją łaskę masz, a Danuśka ci dotrzyma. Wczoraj jeszcze mówię jej: Danuśka, a dotrzymasz-li ty Zbyszkowi? A ona powiada tak: „Będem Zbyszkowa, albo niczyja". Zielona to jeszcze jagoda, ale jak co powie to i dotrzyma, bo to szlacheckie dziecko, nie żadna powsinoga. I matka jej była taka sama.

— Dałby Bóg! — rzekł Zbyszko.

— Jeno pamiętaj, byś i ty dotrzymał — bo to niejeden chłop bywa płochy: obiecuje wiernie miłować, a zaraz ci potem dęba do innej, że go i na postronku nie utrzymasz! Sprawiedliwie mówię!

— A niechże mnie Pan Jezus wpierw skarze! — zawołał z zapałem Zbyszko.

— No, to pamiętaj. A jak stryjca odwieziesz, to na nasz dwór przyjeżdżaj. Zdarzy się tam sposobność, że ostrogi dostaniesz, a potem zobaczym, jako Bóg da. Danuśka przez ten czas dojrzeje i wolę bożą poczuje, bo teraz miłuje się ona wprawdzie okrutnie — inaczej nie mogę rzec — ale nie tak jeszcze, jako wyrosłe dziewki miłują. Może też i Jurand cię w duszy do ciebie nakłoni, bo jako miarkuję, to onby rad. Pojedziesz i do Spychowa, i razem z Jurandem na Niemców, może się przytrafić, że mu się jako przysłużysz i całkiem go sobie zjednasz.

— To właśnie, miłościwa księżna, tak samo myślałem, uczynić ale z pozwoleństwem będzie mi łacniej.

Rozmowa ta wielce dodała ducha Zbyszkowi. Tymczasem jednak na pierwszym popasie, stary Maćko zachorzał tak, że trzeba było przy-

zostać i czekać, póki choć trochę sił do dalszej podróży nie odzyska. Zostawiła mu dobra księżna Anna Danuta wszystkie leki i dryakwie, jakie z sobą miała, ale sama musiała jechć dalej, przyszło więc obu rycerzom z Bogdańca rozstać się z dworem mazowieckim. Padł Zbyszko, jak długi, do nóg naprzód księżnie, potem Danusi, poprzysiągł jej jeszcze raz wierne służby rycerskie, obiecał przyjechać rychło do Ciechanowa, albo do Warszawy, wreszcie porwał ją w swoje silne ramiona i podniósłszy do góry, jął powtarzać wzruszonym głosem:

— Pamiętajże ty o mnie, kwiatuszku najmilejszy, pamiętaj, rybeńko moja złota!

A Danusia, objąwszy go ramionami, tak właśnie, jak młodsza siostra obejmuje miłego brata, przyłożyła swój zadarty nosek do jego policzka i płakała wielkiemi, jak groch, łzami, powtarzając:

— Nie chcę do Ciechanowa bez Zbyszka, nie chcę do Ciechanowa!

Widział to Jurand, ale gniewem nie wybuchnął. Owszem, pożegnał i sam bardzo życzliwie młodzianka, a gdy już siedział na koniu, nawrócił jeszcze raz ku niemu i rzekł:

— Ostawaj z Bogiem i urazy do mnie nie chowaj.

— Jakobym miał urazę do was chować, kiedyście Danuśków ojciec! — odrzekł szczerze Zbyszko.

I pochylił mu się do strzemion, ów zaś ścisnął mu silnie rękę i rzekł:

— Szczęść ci Boże we wszystkiem!... rozumiesz?...

I odjechał. Zbyszko jednakże zrozumiał, jak wielka życzliwość tkwiła w ostatnich jego słowach, i wróciwszy do wozu, na którym leżał Maćko, rzekł:

— Wiecie? onby też chciał, jeno mu coś przeszkadza. Wyście byli w Spychowie i rozum macie bystry, to starajcie się wymiarkować, co to jest.

Lecz Maćko zbyt był chory. Gorączka, którą miał od rana, powiększyła się pod wieczór do tego stopnia, że począł tracić przytomność, więc zamiast odpowiedzieć Zbyszkowi, spojrzał na niego, jakby ze zdziwieniem, potem spytał:

— A gdzie tu dzwonią?

Zbyszko zląkł się, przyszło mu bowiem do głowy, że skoro chory słyszy dzwony, to widać, że już śmierć ku niemu idzie. Pomyślał też, że stary może umrzeć bez księdza, bez spowiedzi, a tem samem dostać się, jeżeli zgoła nie do piekła, to przynajmniej na długie wieki do czyśćca — więc postanowił go jednak wieźć dalej, by jak najprędzej dojechać do jakowejś parafji w której Maćko mógłby przyjąć ostatnie Sakramenta.

W tym celu ruszyli na całą noc. Zbyszko siadł na wóz z sianem, na którym leżał chory, i czuwał nad nim aż do białego dnia. Od czasu do czasu poił go winem, którem zaopatrzył ich na drogę kupiec Amylej, a które spragniony Maćko pił chciwie, albowiem przynosiło mu ono widoczną ulgę. Po drugiej kwarcie odzyskał nawet przytomność, po

trzeciej zaś zasnął tak głęboko, że Zbyszko pochylał się nad nim chwilami, by się przekonać, że nie umarł.

I na myśl o tem zdejmował go żal głęboki. Do czasu swego więzienia w Krakowie, nie zdawał sobie nawet dobrze sprawy, jak dalece miłuje tego „stryjca", który mu był w życiu ojcem i matką. Lecz teraz wiedział o tem dobrze, a zarazem czuł, że po jego śmierci będzie okrutnie sam na świecie — bez krewnych, prócz owego opata, który trzymał w zastawie Bogdaniec, bez przyjaciół i bez pomocy. Jednocześnie przychodziło mu na myśl, że Maćko, jeśli umrze, to też przez Niemców, przez których on sam mało żyi nie stracił, przez których zginęli wszyscy jego ojce i Danusina matka i wielu, wielu niewinnych ludzi, których znał, lub o których słyszał od znajomych — i aż poczynało go zdejmować zdziwienie. „Zali — mówił sobie — w całem tem królestwie niema człowieka, któryby od nich krzywdy nie doznał i pomsty nie pragnął?" Tu przypomniał sobie Niemców, z którymi wojował pod Wilnem, i pomyślał, że pewnie i Tatarzy srożej od nich nie wojują, i że takiego drugiego narodu chyba na świecie niema.

Świt przerwał mu te rozmyślania. Dzień wstawał jasny, ale chłodny. Maćko widocznie miał się lepiej, bo oddychał równiej i spokojniej. Zbudził się dopiero, gdy słońce dobrze już przygrzało, otworzył oczy i rzekł:

— Ulżyło mi. A gdzie jesteśmy?

— Dojeżdżamy do Olkusza. Wiecie?... gdzie srebro kopią i olbory do skarbu oddają.

— Żeby tak mieć, co jest w ziemi! Otby można Bogdaniec zabudować!

— Widać, że wam lepiej — odrzekł, śmiejąc się Zbyszko. — Hej! starczyłoby i na murowany zamek! Ale zajedziem do fary, bo tam i gościnę nam dadzą, i będziecie się mogli wyspowiadać. Wszystko jest w boskich ręku, ale równo lepiej mieć sumienie na porządek.

— Ja grzeszny człowiek, rad się pokajam — odrzekł Maćko. Śniło mi się w nocy, że mi dyabli skórznie z nóg ściągają... I po niemiecku z sobą szwargotali... Bóg łaskaw, że mi ulżyło. A ty spałeś krzynę?

— Jakożem miał spać, kiedym was pilnował?

— To przylegnij sobie trochę. Jak dojedziemy, to cię zbudzę.

— Gdzie mnie tam do spania!

— A co ci przeszkadza?

Zbyszko spojrzał na stryjca oczyma dziecka.

— A co, jak nie kochanie? Aże mnie kolki od wzdychania w dołyszku sparły, ale siędę trochę na konia, to mi ulży.

I zlazłszy z wozu, siadł na konia, którego mu Turczynek, podarowany przez Zawiszę, sprawnie podał. Maćko tymczasem brał się nieco z bólu za bok, ale widocznie myślał o czem innem, nie o własnej chorobie, bo kręcił głową, cmokał ustami i wreszcie rzekł:

— Toć dziwuję się, dziwuję i nie mogę się wydziwować, skądeś ty na to kochanie taki pazerny, bo ani twój rodzic nie był taki, ani ja też.

Lecz Zbyszko, zamiast odpowiedzieć, wyprostował się nagle w kulbace, wziął się w boki, głowę zadarł do góry i huknął całą siłą piersi:

Płakałem-ci bez noc, płakałem i zrana,
Gdzieś mi się podziała, dziewucho kochana!
Nic mi nie pomoże, choć oczy wypłaczę,
Bo ciebie, dziewczyno, nigdy nie zobaczę.
Hej!...

I to „hej!" runęło po lesie, odbiło się o pnie przydrożne, wreszcie ozwało się dalekiem echem i ucichło w gęstwinach.

A Maćko pomacał się znów po boku, w którym ugrzęzło niemieckie żeleźce i rzekł, stękając trochę:

— Drzewiej ludzie byli mądrzejsi — rozumiesz?

Po chwili jednak zamyślił się, jakby sobie przypominając jakieś dawne czasy, i dodał:

— Chociaż poniektóry bywał i drzewiej głupi.

Ale tymczasem wyjechali z boru, za którym ujrzeli szopy gwarków, a dalej zębate mury Olkusza, wzniesione przez króla Kazimierza, i wieżę fary, zbudowanej przez Władysława Łokietka.

9.

Kanonik od fary wyspowiadał Maćka i zatrzymał ich gościnnie na nocleg, tak, że wyjechali dopiero nazajutrz rano. Za Olkuszem skręcili ku Szląskowi, którego granicą mieli wciąż jechać aż do Wielkopolski. Droga szła po większej części puszczą, w której pod zachód słońca odzywały się często, podobne do podziemnych grzmotów ryki turów i żubrów, nocami zaś pobłyskiwały z pośród leszczynowej gęstwy oczy wilcze. Większe jednak niebezpieczeństwo, niż od zwierza, groziło na tej drodze wędrownikom i kupcom od niemieckich, lub zniemczałych rycerzy ze Szląska, których zameczki wznosiły się tu i ówdzie nad granicą. Wprawdzie, wskutek wojny z Opolczykiem, Naderspanem, któremu pomagali przeciw królowi Władysławowi synowcowie szląscy, większą część tych zameczków pokruszyły ręce polskie, zawsze jednak trzeba się było mieć na baczności i, zwłaszcza po zachodzie słońca, nie popuszczać broni z ręki.

Jechali jednak spokojnie, tak, że Zbyszkowi poczynała się już droga przykrzyć, i dopiero na dzień kołowej jazdy od Bogdańca, posłyszeli za sobą pewnej nocy parskanie i tupot koni.

— Jacyś ludzie jadą za nami — rzekł Zbyszko.

Maćko, który nie spał, spojrzał na gwiazdy i odpowiedział, jako człowiek doświadczony:

— Świt niedaleko. Przeciežby zbóje nie napadali przy schyłku, nocy, bo nadedniem czas im do domu.

Zbyszko wstrzymał jednak wóz, ustawił ludzi w poprzek drogi, czołem do nadjeżdżających, sam zaś wysunął się naprzód i czekał.

Jakoż po pewnym czasie ujrzał w pomroce kilkunastu konnych. Jeden z nich jechał na czele, na kilka kroków przed innymi, ale widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, albowiem śpiewał głośno. Zbyszko nie mógł dosłyszeć słów, ale do uszu jego dochodziło wesołe: „hoc! hoc!" którem nieznajomy kończył każdą zwrotkę pieśni.

— Nasi! — rzekł sobie.

Po chwili jednak zawołał:

— Stój!

— A ty se siednij! — odpowiedział żartobliwy głos.

— Coście za jedni?

— Coście za drudzy?

— A czemu nas najeżdżacie?

— A czemuż drogę zagradzasz?

— Odpowiadaj, bo kusze napięte.

— A u nas... wypięte — strzelaj!

— Odkazujże po ludzku, bo ci będzie bieda.

Na to odpowiedziała Zbyszkowi wesoła pieśń:

— Jedna bieda z drugą biedą
Na rozstaju w taniec idą...
Hoc! hoc! hoc!

Na cóż im się taniec przyda?
Dobry taniec, chociaż bieda...
Hoc! hoc! hoc!

Zdumiał się, usłyszawszy taką odpowiedź, Zbyszko; a tymczasem pieśń ustała, ale ten sam głos spytał:

— A jak się ta ma stary Maćko? Dycha jeszcze?

Maćko przypodniósł się na wozie i rzekł:

— Dla Boga, to jacyś swoi!

Zbyszko zaś ruszył koniem naprzód:

— Kto o Maćka pyta?

— A somsiad, Zych ze Zgorzelic. Już z tydzień jadę za wami i rozpytuję ludzi po drodze.

— Rety! Stryjku! Zych ze Zgorzelic tu jest! — zawołał Zbyszko.

I poczęli się witać radośnie, Zych bowiem był istotnie ich sąsiadem, a do tego człowiekiem dobrym i powszechnie lubianym dla wielkiej wesołości.

— No, jak się macie? — pytał, potrząsając dłoń Maćka. — Hoc jeszcze, czyli już nie hoc!

— Hej, już nie hoc! — odrzekł Maćko. — Ale rad was widzę. Miły Boże, to jakbym był już w Bogdańcu!

— A co wam jest, bo jak słyszałem, to was Niemcy postrzelili?

— Postrzelili psubraty! Żeleźce mi się między żebrami ostało...

— Bójcie się Boga! No i co? A próbowaliście niedźwiedziego sadła się napić?

— Widzicie! — rzekł Zbyszko: — każdy niedźwiedzie sadło rai. Byle do Bogdańca! Zara pójdę na noc z toporem pod barcie.

— Może Jagienka będzie miała, a nie, to poślę pytać.

— Jaka Jagienka? waszej przecie było Małgochna? — spytał Maćko.

— Oo! co ta Małgochna! Na święty Michał będzie trzecia jesień, jak Małgochna na księżej grudzi. Zadzierzysta była baba — Panie, świeć nad jej duszą! — Ale Jagienka po niej poszła, jeno że młoda...

...Za dokami świeci górka,
Jaka mać, taka i córka...
Hoc! hoc!

...A Małgochnie gadałem: Nie leź na sosnę, kiedy ci pięćdziesiąt roków. Nie prawda! wlazła. A tu gałąź się ułomiła i buch! To powiadam wam, że aż dziurę w ziemi wybiła, ale też we trzy dni puściła ostatnią parę.

— Panie, świeć jej! — rzekł Maćko. — Pamiętam, pamiętam.... kiedy to się w boki wzięła a poczęła cudować, to się parobcy w siano chowali. Ale do gospodarki była sprawna! I z sosny jej się zleciało?... Widzicie ludzie!...

— Zleciała, jak szyszka na zimę... Oj, był frasunek. Wiecie? po pogrzebie tom się tak z żałości upił, że trzy dni nie mogli mnie dobudzić. Myśleli, żem się też wykopyrtnął. A com się potem napłakał, tobyście cebrem nie wynieśli! Ale do gospodarstwa i Jagienka sprawna. Wszystko to teraz na jej głowie.

— Ledwie, że ją pamiętam. Nie większa była, kiedym wyjeżdżał, jak toporzysko. Pod koniem mogła przejść, głową o brzuch nie zawadziwszy. Ba! dawno to już, i musiała wyrosnąć.

— Na świętą Agnieszkę skończyła piętnaście lat; alem jej też już blizko rok nie widział.

— A cóż się z wami działo? Skąd wracacie?

— Z wojny. Albo to mi niewola, majęcy Jagienkę, w domu siedzieć?

Maćko, chociaż chory, na wzmiankę o wojnie nadstawił ciekawie uszy i zapytał:

— Byliście może z kniaziem Witoldem pod Worsklą?

— A byłem — odrzekł wesoło Zych ze Zgorzelic. — No, Pan Bóg mu nie poszczęścił: ponieśliśmy klęskę od Edygi okrutną. Naprzód, konie nam wystrzelali. Tatar ci nie uderzy wręcz, jako rycerz chrześcijański, jeno z łuków zdaleka szyje. Ty na niego obces, to ci się umknie i znów szyje. Róbże z nim, co chcesz! Bo widzicie, w naszem wojsku chełpili się rycerze bez pomiarkowania i gadali tak: „Kopii nawet nie będziemy chylać, ni mieczów dobywać, jeno na kopytach to robactwo rozniesiem”. Tak to oni się chwalili, aż tu, jak wzięły groty warczeć, to aż się ciemno uczyniło — i po bitwie, co? Ledwie jeden na dziesięciu żyw ostał. Dacie wiarę? Więcej niż połowa wojska, siedemdziesięciu kniaziów litewskich i ruskich zostało na polu, a co bojarzynów i różnych tam dworzan, czyli, jako oni zowią: otroków, tegobyście i bez dwie niedziele nie policzyli.

— Słyszałem — przerwał Maćko. — I naszych posiłkowych rycerzy też siła legło.

— Ba, nawet i dziewięciu Krzyżaków, gdyż i ci musieli Witoldowej potędze służyć. A naszych także kupa, że to, jako wiecie, gdzie inny się obejrzy za siebie, tam nasz się nie obejrzy. Dufał najbardziej wielki kniaź naszym rycerzom i nie chciał mieć innej straży w bitwie koło siebie, jeno samych Polaków. Hi! hi! Mostem się też koło niego położyli, a jemu nic! Legł pan Spytko z Mielsztyna i miecznik Bernat, i cześnik Mikołaj, i Prokop, i Przesław, i Dobrogost, i Jaśko z Lazowic, i Pilik Mazur, i Warsz z Michowa, i wojewoda Socha, i Jaśko z Dąbrowy i Pietrko z Miłosławia, i Szczepiecki, i Oderski, i Tomko Łagoda. Ktoby ich ta wszystkich zliczył! A niektórych tom widział tak nabitych grotami, że jako jeże po śmierci wyglądali, aż śmiech brał patrzeć!

Tu roześmiał się istotnie, jak gdyby opowiadał rzecz najweselszą — i nagle począł śpiewać:

Oj poznałeś, co to Tatar,
Kiej ci dobrze skóry natarł!

. . . .

— No, a potem co? — spytał Zbyszko.

— Potem umknął wielki kniaź, ale zaraz ducha nabrał, jako to on zwykle. Im mocniej go przygnieść, tem ci lepiej odskoczy, jak leszczynowy kierz. Poskoczyliśmy tedy do Towańskiego brodu bronić przeprawy. Przyszła też garść rycerzy nowych z Polski. No i nic! Dobrze! Na drugi dzień nadciągnął Edyga z ćmą Tatarstwa, ale już nic nie wskórał. Hej, było wesele! Co on chce przez brod, to my go w pysk. Nijak nie mógł. Jeszcześmy ich nabili i nałapali niemało. Ja sam pięciu ułowiłem, których z sobą do Zgorzelic prowadzę. Obaczycie po dniu, jakie mają psie mordy.

— W Krakowie powiadali, że i na królestwo może przyjść wojna.

— Albo to Edyga głupi? Wiedział ci on dobrze, jakie u nas rycerstwo, a i to też, że najwięksi rycerze ostali doma, bo królowa nie rada była, że Witold na swoją rękę wojny wszczyna. Ej, chytry on jest — stary Edyga! Zaraz pomiarkował u Tawani, że kniaź w siłę rośnie i poszedł sobie precz, hen, za dziewiątą ziemię!...

— A wyście wrócili?

— A wróciłem. Już tam niema co robić. I w Krakowie dowiedziałem się o was, żeście mało co przede mną wyjechali.

— To dlaczego wiedzieliście że to my?

— Wiedziałem, że to wy, bom się wszędzie o was na popasach pytał.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Hej, mój Boże, to ja cię małego ostatni raz widział, teraz, zasie choć i po ciemku miarkuję, żeś chłop, jak tur. A zaraz gotów był z kuszy dziać!... Widać, że na wojnie bywałeś.

— Mnie od małości wojna chowała. Niech stryjko powie, czyli mi doświadczenia brak.

— Nie potrzebuje mi stryjko nic mówić. Widziałem w Krakowie pana z Taczewa, który mi o tobie rozpowiadał... Ale pono ów Mazur nie chce ci dziewki dać, a jabym ta nie był taki zawzięty, boś mi się udał... Zapomnisz ty o tamtej, jeno zobaczysz moją Jagienkę. To ci rzepa!...

— A nieprawda! Nie zapomnę, choćbym i dziesięć takich, jak wasza Jagna obaczył.

— Za nią pójdą Moczydoły, gdzie jest młyn. Było też na łęgach, jakem wyjeżdżał, dziesięć świerzop dobrych ze źrebięty... Niejeden mi się jeszcze o Jagnę pokłoni — niebój się!

Zbyszko chciał odpowiedzieć: „Ale nie ja!" — lecz Zych ze Zgorzelic począł sobie znów pośpiewywać:

Ja wam się do kolan nagnę,
A wy za to dajcie Jagnę,
Bogdaj was!

— Wam zawsze wesołość i śpiewanie w głowie — zauważył Maćko.

— Ba, a cóż błogosławione dusze w niebie robią?

— Śpiewają.

— No, to widzicie! A potępione płaczą. Wolę ja iść do śpiewających, niż do płaczących. Święty Pieter też powie tak: „Trzeba go puścić do raju, bo inaczej będzie jucha i w piekle śpiewała, a to nie przystoi". Patrzcie — świta już.

I rzeczywiście czynił się dzień. Po chwili wyjechali na szeroką polanę, na której było już wcale widno. Na jeziorku, zajmującem większą część polany, jacyś ludzie łapali ryby, ale na widok zbrojnych mężów, porzucili niewód i wypadłszy z wody, pochwycili co prędzej za osęki, za drągi i stanęli w groźnej postawie, gotowi do bitki.

— Wzięli nas za zbójów — rzekł, śmiejąc się, Zych. — Hej, rybitwy! a czyjście wy?

Tamci stali jeszcze czas jakiś w milczeniu, spoglądając nieufnie, nakoniec jednak, starszy między nimi, rozpoznawszy rycerzy, odrzekł:

— Księdza opata z Tulczy.

— Naszego krewniaka, — rzekł Maćko — który Bogdaniec w zastawie trzyma. To muszą być jego bory, ale chyba niedawno je kupił.

— Bogać kupił — odpowiedział Zych. — Wojował o nie z Wilkiem z Brzozowej i widać wywojował. Mieli się nawet rok temu potykać konno na kopie i na długie miecze, o całą tę stronę, ale nie wiem, jako się skończyło, bom był wyjechał.

— No, my swojaki — rzekł Maćko — z nami się nie będzie darł, a może jeszcze co z zastawu odpuści.

— Może. Z nim, byle po dobrej woli, to jeszcze ze swego dołoży. Rycerski to opat, któremu nie nowina hełmem głowę nakryć. A przytem pobożny i bardzo pięknie odprawia nabożeństwo. Musicie przecie

pamiętać... Jak ci huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują. No, i chwała Boża rośnie.

— Co nie mam pamiętać! Przecie o dziesięć kroków świece tchem w ołtarzu gasił. Zajeżdżałże on choć raz do Bogdańca?

— A jakże. Zajeżdżał. Pięciu nowych chłopów z żonami na korczunkach osadził. I u nas, w Zgorzelicach, też bywał, bo jako wiecie, on mi krzcił Jagienkę, którą zawsze bardzo nawidzi i córuchną ją zowie.

— Dałby Bóg, żeby chciał mi chłopów ostawić — rzekł Maćko.

— O wa! co tam dla takiego bogacza pięciu chłopów! Wreszcie, jak Jagienka go poprosi, to ostawi.

Tu rozmowa umilkła na chwilę, albowiem z nad ciemnego boru i z nad rumianej zorzy podniosło się jasne słońce i rozświeciło okolicę. Powitali je rycerze zwykłem: „Niech będzie pochwalony!" a następnie przeżegnawszy się, poczęli ranne pacierze.

Zych skończył pierwszy i uderzywszy się po kilkakroć w piersi, ozwał się do towarzyszów:

— Teraz się wam dobrze przypatrzę. Hej, zmieniliście się obaj... Wy, Maćku, musicie wpierw do zdrowia przyjść... Jagienka będzie miała o was staranie, bo to w waszym dworze baby nie uświęci... Ano, znać, że wam szczebrzuch tkwi między żebrami... I dobrze niebardzo...

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Pokaż-że się i ty... Oj, mocny Boże! Pamiętam cię maleńkim, jakoś przez ogon źrebakom na grzbiet łaził, a teraz, wciornaści, co za rycerzyk!... Z gęby czyste paniątko, ale chłop pleszczysty... Takiemu się choć i z niedźwiedziem brać...

— Co mu ta niedźwiedź! — rzekł na to Maćko. — Toć młodszy był, niż dziś, gdy go ów Fryzyjczyk nazwał gołowąsem, a on, że to nie całkiem mu się spodobało, zaraz mu garścią wąsy wydarł...

— Wiem — przerwał Zych. — I potykaliście się potem, i wzięliście ich poczet. Wszystko mi rozpowiadał pan z Taczewa:

— Wyszedł Niemiec z wielgim zyskiem,
Pogrzebli go z gołym pyskiem,
Hoc! hoc!

I począł spoglądać na Zbyszka rozbawionemi oczyma, on zaś patrzył także z wielką ciekawością na jego długą, jak tyczka postać, na chudą twarz z ogromnym nosem i na okrągłe pełne śmiechu oczy.

— Oj — rzekł: — przy takim somsiedzie, byle Bóg stryjkowi wrócił zdrowie — to i nie będzie smutku.

— Lepiej mieć wesołego somsiada, bo z wesołym nie może być zwady, — odrzekł Zych. — A teraz posłuchajcie, co wam po dobremu i po chrześcijańsku powiem. Doma dawnoście nie byli i porządków nijakich w Bogdańcu nie zastaniecie. Nie mówię: w gospodarstwie — bo opat dobrze gospodarzył... lasu szmat wykarczował i chłopów nowych osadził... Ale że sam jeno czasem dojeżdża, więc w spiżarni będą pustki,

ba, i w domu ledwie tam ława jaka jest — albo i wiązka grochowin do spania — a choremu potrzeba wygody. Więc wiecie co? — jedźcie ze mną do Zgorzelic. Zabawicie jaki miesiączek, albo dwa, to mi będzie po sercu, a bez ten czas Jagienka o Bogdańcu pomyśli. Tylko się na nią zdajcie i niech was głowa o nic nie boli... Zbyszko będzie dojeżdżał gospodarki pilnować, a księdza opata też wam do Zgorzelic sprowadzę, to się z nim zaraz porachujecie... O was, Maćku, będzie dziewka miała taki starunek, jak o ojcu — a w chorobie babski starunek, od innego lepszy. No! Moiście wy! uczyńcieże tak jako was proszę.

— Wiadoma rzecz, żeście dobry człowiek i zawszeście tacy byli, — odrzekł z pewnem wzruszeniem Maćko — ale widzicie, mam-li umrzeć przez tę juchę zadziorę, co mi pod ziobrem siedzi, to wolę na własnych śmieciach. Przytem w domu, choć ta człek i chory, to o niejedno się rozpyta, niejednego dopatrzy i niejedno zładzi. Jeśli Bóg każe iść na tamten świat — no, to niema rady! Czy przy większym starunku, czy przy mniejszym — jednako się nie wykręcisz. Do niewygód my na wojnie przywykli. Miła i wiącha grochowin temu, co przez kilka roków na gołej ziemi sypiał. Ale za wasze serce to wam szczerze dziękuję, i jeśli nie ja się wywdzięczę, to da Bóg, Zbyszko się wywdzięczy.

Zych ze Zgorzelic, który słynął istotnie z dobroci i uczynności, począł znów nalegać i prosić, ale Maćko się uparł: kiedy umierać, to na własnem podwórku! Cniło mu się oto bez tego Bogdańca całemi latami, więc teraz, gdy granica już niedaleko, nie wyrzeknie się go za nic, choćby to miał być ostatni nocleg. Bóg łaskaw i tak, że mu choć pozwolił tu się przywlec.

Tu roztarł pięściami łzy, które wezbrały mu pod powiekami, obejrzał się wkoło i rzekł:

— Jeśli to już bory Wilka z Brzozowej, to zaraz po południu dojedziem.

— Nie Wilka z Brzozowej, jeno ninie opatowe, — zauważył Zych.

Uśmiechnął się na to chory Maćko i po chwili odrzekł:

— Jeśli opatowe, to może kiedyś będą nasze.

— Ba! dopieroście mówili o śmierci, — zawołał wesoło Zych — a teraz chce wam się opata przetrzymać.

— Nie ja przetrzymam, jeno Zbyszko.

Dalszą rozmowę przerwały im odgłosy rogów w boru, które ozwały się daleko przed nimi. Zych wstrzymał zaraz konia i począł słuchać.

— Ktoś ci tu chyba poluje — rzekł. — Poczekajcie.

— Może opat. Toby dobrze było, żebyśmy się zaraz spotkali.

— Cichajcie-no!

Tu zwrócił się do orszaku.

— Stój!

Stanęli. Rogi ozwały się bliżej, a w chwilkę później rozległo się szczekanie psów.

— Stój! — powtórzył Zych. — Ku nam idą.

Zbyszko zaś zeskoczył z konia i począł wołać:

— Dawajcie kuszę może zwierz na nas wypadnie! wartko! wartko!

I porwawszy kuszę z rąk pachołka, wsparł ją o ziemię, przycisnął brzuchem, pochylił się, wyprężył grzbiet, jak łuk, i chwyciwszy palcami obu rąk cięciwę, naciągnął ją w mgnieniu oka na żelazny zastawnik, zaczem założył strzałę i skoczył przed siebie w bór.

— Napiął! bez korby ci napiął! — szepnął Zych, zdumiony przykładem tak nadzwyczajnej siły.

— Ho, to morowy chłop! — odszepnął z dumą Maćko.

Tymczasem rogi i granie psów ozwało się jeszcze bliżej, aż nagle po prawej stronie boru rozległ się ciężki tupot, trzask łamanych krzew i gałęzi — na drogę wypadł z gęstwiny, jak piorun stary brodaty żubr, z olbrzymią, nizko pochyloną głową, z krwawemi oczyma i wywalonym ozorem, zziajany, straszny. Trafiwszy na wyrwę przydrożną, przesadził ją jednym skokiem, upadł z rozpędu na przednie nogi, ale podniósł się i już, już miał skryć się w gęstwinie po drugiej stronie drogi, gdy nagle zawarczała złowroga cięciwa kuszy, rozległ się świst grotu, poczem zwierz wspiął się, zakręcił, ryknął okropnie i runął, jak gromem rażony na ziemię. Zbyszko wychylił się z za drzewa, napiął znów kuszę i zbliżył się gotów do strzału, ku leżącemu bykowi, którego zadnie nogi kopały jeszcze ziemię.

Lecz popatrzywszy chwilę, zawrócił spokojnie do orszaku i zdaleka począł wołać:

— Tak dostał, aże gnojem popuścił!

— A niechże cię! — ozwał się, podjeżdżając Zych: — od jednej strzały!

— Ba, blizko było, a to przecie okrutny pęd. Obaczcie: nie tylko żelezce, ale i brzechwa całkiem mu się schowała pod łopatkę.

— Myśliwcy muszą być już blizko; pewnikiem ci go zabiorą.

— Nie dam! — odpowiedział Zbyszko: — na drodze zabit, a droga niczyja.

— A jeśli to opat poluje?

— A jeśli opat, to niech go bierze.

Tymczasem z lasu wychyliły się naprzód psy, których było kilkanaście. Ujrzawszy zwierza, rzuciły się na niego ze strasznym harmidrem, zbiły się na nim w kupę i niebawem poczęły się między sobą gryźć.

— Zaraz będą i myśliwi — rzekł Zych. — Ot patrz! już są, jeno dalej przed nami wypadli i nie widzą jeszcze zwierza. Hop! hop! bywajcie tu, bywajcie!... leży! leży!...

Lecz nagle umilkł, przysłonił oczy ręką, a po chwili ozwał się:

— Dla Boga! co-że to jest? Czym oślepł, czy mi się zdaje...

— Jeden na wronym koniu na przedzie — rzekł Zbyszko.

Lecz Zych zawołał nagle:

— Miły Jezu! dyć to chyba Jagienka!

I naraz począł krzyczeć:

— Jagna! Jagna!...

Poczem ruszył naprzód, ale nim zdążył puścić w cwał podjezdka, Zbyszko ujrzał najdziwniejsze w świecie widowisko: Oto na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na piersiach rozchełstaną koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia; przez chwilę na twarz jej odbijało się niedowierzanie, zdumienie, radość — nakoniec jednak, nie mogąc świadectwom oczu i uszu zaprzeczyć, poczęła krzyczeć cienkiem, nieco jeszcze dziecinnym głosem:

— Tatulo! tatuś najmilejsi!

I w mgnieniu oka zsunęła się z konia, a gdy Zych zeskoczył także dla powitania jej na ziemię, rzuciła mu się na szyję. Przez długi czas Zbyszko słyszał tylko odgłos pocałunków i dwa wyrazy: „Tatulo! Jagula! Tatulo! Jagula!" — powtarzane w radosnem upojeniu.

Nadjechały oba poczty, nadjechał na wozie Maćko, a oni jeszcze powtarzali: „Tatulo! Jagula!" i jeszcze się obejmowali za szyję. Aż gdy wreszcie mieli już do syta powitań i okrzyków, poczęła go Jagienka wypytywać:

— To z wojny wracacie? Zdrowiście aby?

— Z wojny. Co nie mam być zdrów! A ty? A młodsze chłopaki? Myślę, że zdrowe? — tak? Bo inaczej nie latałabyś po lesie. Ale co-że ty tu robisz najlepszego, dziewczyno?

— Przecie widzicie: poluję — odpowiedziała, śmiejąc się, Jagienka.

— W cudzych lasach?

— Opat dał mi pozwoleństwo. Jeszcze przysłał pachołków do tego uczonych i psy.

Tu zwróciła się do swej czeladzi.

— A odpędzić mi ta psy, bo skórę podrą!

Poczem do Zycha:

— Oj, też rada jestem, rada, że was widzę!... U nas wszystko dobrze.

— A jam to nie rad? — odparł Zych. — Dajże jeszcze, dziewucho, pyska!

I poczęli się znów całować, a gdy skończyli, Jagna rzekła:

— Do domu okrutny szmat drogi... takeśmy się za oną bestją zagnali. Chyba ze dwie mileśmy gnali, że już i konie ustawały. Ale tęgi żubr — widzieliście?... ma on ze trzy moje strzały w sobie, a od ostatniej musiał paść.

— Padł on od ostatniej, ale nie od twojej: ten to rycerzyk go ustrzelił.

Jagienka odgarnęła dłonią włosy, które się jej nasunęły na oczy, i spojrzała bystro, lubo niezbyt życzliwie na Zbyszka.

— Wiesz, kto to jest? — spytał Zych.

— Nie wiem.

— Nie dziwota, żeś go nie poznała bo wyrósł. A może starego Maćka z Bogdańca poznasz?

— Dla Boga! to Maćko z Bogdańca! — zawołała Jagienka.

I zbliżywszy się do woza, pocałowała Maćka w rękę.

— Toście wy?

— A ja. Jenom na wozie, bo mnie Niemcy postrzelili.

— Jakie Niemcy? Przecie to z Tatary była wojna? Wiem ci ja to, bom się niemało tatula naprosiła, żeby mnie z sobą wziął...

— Była wojna z Tatary, ale my na niej nie byli, bośmy na Litwie przedtem wojowali i ja, i Zbyszko.

— A gdzie jest Zbyszko?

— Toś nie poznała, że to Zbyszko? — rzekł ze śmiechem Maćko.

— To jest Zbyszko? — zawołała dziewczyna, spoglądając znów na młodego rycerza.

— A jakże!

— Dajże mu po znajomości gęby, — zawołał wesoło Zych.

Jagienka zwróciła się żywo ku Zbyszkowi, lecz nagle cofnęła się i zakrywszy ręką oczy, rzekła:

— Kiedy się wstydam...

— My się przecie od małości znamy! — ozwał się Zbyszko.

— Aha! dobrze się znamy. Pamiętam ci ja, pamiętam! Z ośm roków temu, przyjechaliście do nas z Maćkiem, i nieboszczka matula przynieśli nam orzechów z miodem. A wy, jak jeno starsi wyszli z izby, zaraz mnie pięścią w nos, a orzechy samiście zjedli!

— Nie uczyniłby on teraz tego! — rzekł Maćko. — U kniazia Witolda bywał, w Krakowie na zamku bywał i obyczaj dworski zna.

Lecz Jagience przyszło co innego do głowy, zwróciwszy się bowiem do Zbyszku, spytała:

— To wyście żubra zabili?

— Ja.

— Obejrzym, gdzie tkwi grot.

— Nie obaczycie, bo mu się całkiem pochował pod łopatkę.

— Daj spokój, nie prawuj się, — rzekł Zych. — Widzielim wszyscy, jak go ustrzelił, i widzielim jeszcze coś lepszego bo kuszę w mig bez korby naciągnął.

Jagienka spojrzała po raz trzeci na Zbyszka, ale tym razem z podziwem:

— Naciągnęliście kuszę bez korby? — spytała.

Zbyszko odczuł w jej głosie jakby pewne niedowierzanie, wsparł więc o ziemię kuszę, którą był poprzednio spuścił, naciągnął ją w mgnieniu oka, aż zaskrzypiała żelazna obręcz, poczem chcąc pokazać, że zna dworski obyczaj, przyklęknął na jedno kolano i podał ją Jagience.

Dziewczyna zaś, zamiast ją wziąć z jego rąk, zaczerwieniła się nagle, sama nie wiedząc dlaczego, i poczęła zaciągać pod szyją zgrzebną koszulę, która się była od szybkiej jazdy po lesie otwarła.

10.

Drugiego dnia po przyjeździe do Bogdańca Maćko i Zbyszko poczęli rozglądać się po swojej starej siedzibie, i wkrótce dostrzegli, iż Zych ze Zgorzelic miał słuszność, mówiąc, że z początku dokuczy im bieda niemała.

Z gospodarstwem szło jeszcze jako tako. Było kilka łanów obrabianych przez chłopów dawnych, albo świeżo sadzonych przez opata. Niegdyś bywało w Bogdańcu uprawnej ziemi daleko więcej, ale od czasu, gdy w bitwie pod Płowcami ród Gradów wyginął prawie do szczętu — zbrakło rąk roboczych, a po napadzie szląskich Niemców i po wojnie Grzymalitów z Nałęczami, żyzne niegdyś niwy bogdańskie pozarastały po większej części lasem. Maćko nie mógł sam dać rady. Próżno chciał przed kilkunastu laty przeciągnąć wolnych kmieciów z Krześni i puścić im ziemię za odsepy — ci bowiem woleli siedzieć na swoich „lechach", niżli uprawiać cudzy zagon. Przywabił jednak nieco ludzi bezdomnych; w różnych wojnach wziął kilkunastu jeńców, których pożenił, osadził po chatach — i w ten sposób wieś poczęła się dźwigać na nowo. Ale trudno mu to szło, więc gdy zdarzyła się sposobność zastawu, zastawił Maćko skwapliwie cały Bogdaniec, mniemając naprzód, że możnemu opatowi łatwiej będzie zagospodarować ziemię, a powtóre, że tymczasem jemu i Zbyszkowi wojna przysporzy ludzi i pieniędzy. Jakoż opat rządził sprężyście. Siłę roboczą Bogdańca powiększył o pięć rodzin chłopskich, stada bydła i koni pomnożył, a przytem zbudował śpichlerz, chróścianą oborę i takąż stajnię. Natomiast, nie mieszkając stale w Bogdańcu, o dom nie dbał — i Maćko, który marzył czasami, że wróciwszy zastanie go otoczonym rowem i częstokołem, zastał wszystko tak, jak był zostawił, z tą chyba różnicą, że węgły pokrzywiły się nieco, a ściany wydawały się niższe, bo osiadły i zasunęły się w ziemię.

Dwór składał się z ogromnej sieni, dwóch obszernych izb z komorami i z kuchni. W izbach były okna z błon, na środku zaś każdej ognisko w ulepionej z gliny podłodze, z którego dym wychodził przez szpary w pułapie. Pułap, ów czarny zupełnie, bywał za lepszych czasów zarazem i wędlarnią, na kołkach bowiem, powbijanych w belki, wieszano wówczas szynki wieprzowe, dzicze, niedźwiedzie i łosie, cąbry jelenie i sarnie, grzbiety wołowe i całe zwoje kiełbas. W Bogdańcu jednak haki były teraz puste, jak również i półki, biegnące wzdłuż ścian, na których po innych „dworach" ustawiano misy cynowe i gliniane. Tylko ściany pod półkami nie wydawały się już zbyt nagie, Zbyszko bowiem kazał ludziom porozwieszać na nich pancerze, hełmy, miecze krótkie i długie, a dalej oszczepy, widły, kusze, kopie rycerskie, wreszcie tarcze i topory i kropieże na konie. Broń czerniała od takiego rozwieszania

w dymie, i trzeba było często ją czyścić, ale za to było wszystko pod ręką i w dodatku czerw nie toczył drzewa w kopiach, kuszach i toporzyskach. Szaty kosztowne kazał troskliwy Maćko przenosić do komory, w której sypiał.

W przednich izbach były też w pobliżu błoniastych okien stoły zbite, z sosnowych desek, a takież ławy, na których panowie zasiadali wraz z czeladzią od jadła. Ludziom, odwykłym przez długie lata wojny od wygód, nie trzeba było wiele, w Bogdańcu jednak brakło chleba, mąki i różnych innych zapasów, a zwłaszcza statków. Chłopi poznosili, co mogli, liczył głównie Maćko na to, że jako bywa w takich razach, przyjdą mu w pomoc sąsiedzi — i rzeczywiście nie omylił się, przynajmniej co do Zycha ze Zgorzelic.

Drugiego dnia po przyjeździe siedział właśnie stary na kłodzie przed domem, chcąc użyć pięknej jesiennej pogody, gdy na dziedziniec zajechała na tym samym wronym koniu Jagienka. Czeladnik, który drzewo rąbał koło płota, chciał jej do zsiadania pomódz, lecz ona zeskoczywszy w jednej chwili na ziemię, zbliżyła się do Maćka, zdyszana nieco od prędkiej jazdy i zarumieniona, jak jabłuszko.

— Niech będzie pochwalony! Przyjechałam pokłonić się wam od tatula i zapytać o zdrowie.

— Nie gorzej, niż było w drodze — odrzekł Maćko; — człek się przynajmniej wyspał na własnych śmieciach.

— Ale niewygodę musicie mieć wielką, a choremu potrzeba staranku.

— Twarde my chłopy. Juści z początku niema wygód, ale niema i głodu. Kazalim zarznąć wołu i dwie owce, mięsa jest dość. Poznosiły też baby trochę mąki i jaj, ale tego mało, a już najgorzej statków nam brak.

— Bo ja kazałam wyładzić dwa wozy. Na jednym idą dwie pościele i statki, a na drugim spyża różna. Są placki i mąka, i słonina, i suszone grzyby, jest beczułeczka piwa, a druga miodu — i co tam było w domu, ze wszystkiego potrochu.

Maćko, który rad był zawsze z każdego przybytku w domu, wyciągnął rękę, pogładził Jagienkę po głowie i rzekł:

— Bóg zapłać tobie i twojemu rodzicowi. Jak się zagospodarujem, to oddamy.

— Bogdaj-że was! A czy to my Niemce, żebyśmy mieli odbierać to, co dajem!

— No, to jeszcze bardziej Bóg wam zapłać. Powiadał o tobie rodzic, jakaś gospodarna. Toś ty całemi Zgorzelicami bez roku rządziła?

— A no!... Jak wam będzie czego więcej potrzeba, to kogo przyślijcie, jeno takiego, coby wiedział czego trzeba — bo to czasem głupi jaki sługa przyjedzie i nie wie po co go przysłali.

Tu Jagienka poczęła się nieco oglądać, a Maćko spostrzegłszy to, uśmiechnął się i zapytał:

— Za kimże się oglądasz?

— Nie oglądam się za nikim!

— Przyślę Zbyszka, niech za mnie tobie i Zychowi podziękuję. Udał ci się Zbyszko? Co?

— A nie patrzyłam!

— To przypatrzże mu się teraz, bo ci właśnie nadchodzi.

Jakoż Zbyszko nadchodził rzeczywiście od wodopoju, i ujrzawszy Jagienkę, przyśpieszył kroku. Ubrany był w łosi kubrak i okrągłą pilśniową myckę taką, jakich używano pod hełmy, włosy miał bez pątlika, obcięte równo nad brwiami, a po bokach spływające w złotych zwojach na ramiona — i zbliżał się szybko, rosły, hoży, do giermka z wielkiego domu zupełnie podobny.

Jagienka odwróciła się całkiem do Maćka, aby przez to okazać, że tylko do niego przyjechała, lecz Zbyszko przywitał ją wesoło, a następnie wziąwszy jej rękę, podniósł ją do ust mimo oporu dziewczyny.

— Czemu mnie w rękę całujesz? — spytała; — czy to ja ksiądz?

— Nie brońcie się! To taki zwyczaj.

— A choćby cię i w drugą pocałował za to, coś przywiozła, — wtrącił Maćko — nie byłoby nadto.

— Co zaś przywiozła? — zapytał Zbyszko, rozglądając się po dziedzińcu, nie widząc nic więcej prócz wronego konia, który stał przywiązany do palika.

— Wozy jeszcze nie nadeszły, ale przyjdą — odpowiedziała Jagienka.

Maćko począł wymieniać, co przywiozła, niczego nie opuszczając, gdy zaś wspomniał o dwóch pościelach, Zbyszko rzekł:

— Ja tam rad i na żubrowej skórze przylegam, ale dziękuję wam, żeście i o mnie pomyśleli.

— To nie ja: tatulo... — odrzekła, czerwieniąc się, dziewczyna. — Jeśli wolicie na skórze, to niewoli niema.

— Wolę na czem wypadnie. Bywało nieraz w polu, po bitwie, to się sypiało i z zabitym Krzyżakiem pod głową.

— Alboście to zabili kiedy Krzyżaka? Pewno, że nie!

Zbyszko, zamiast odpowiedzieć, począł się śmiać. Maćko zaś zawołał:

— Bój-że się Boga, dziewczyno, to ty jego nie znasz! Nic ci on innego nie czynił, jeno w Niemców bił, aże grzmiało. Na kopie, na topory, do wszystkiego gotów, a jak Niemca zdala dopatrzy, to choć go na powrozie trzymaj, tak się do niego rwie. W Krakowie chciał nawet w posła Lichtensteina bić, za co mało mu głowy nie ucięli. Taki to chłop! I o Fryzach dwóch ci opowiem, po których wzięliśmy poczt i łup tak godny, że za połowę tego możnaby Bogdanie wykupić.

Tu Maćko jął opowiadać o pojedynku z Fryzyjczykami, a następnie o innych przygodach, jakie się im przytrafiały, i czynach, jakich dokonali. Potykali się przecie z za murów i w otwartem polu z największymi rycerzami, jacy w cudzoziemskich krajach żyją. Bili w Niem-

ców, bili we Francuzów, bili w Angielczyków i w Burgundów. Bywali w zaciekłych wirach bitew, że z koni, z ludzi, ze zbroi, z Niemców i piór czynił się jakoby jeden kłąb. A czego to oni przytem nie widzieli! Widzieli krzyżackie zamki z czerwonej cegły, litewskie grodźce drewniane i kościoły, jakich koło Bogdańca niema, i miasta, i srogie puszcze, w których nocami kwiliły powypędzane ze świątyń litewskie bożeczki, i różne, różne cuda; wszędzie zaś, gdzie do bitki przyszło, Zbyszko na przedzie, tak, że dziwowali mu się najwięksi rycerze.

Jagienka, przysiadłszy na kłodzie obok Maćka, słuchała z otwartemi ustami tego opowiadania, kręcąc głową, jakby ją miała na śrubkach, to w stronę Maćka, to w stronę Zbyszka, i spoglądając na młodego rycerza z coraz większym podziwem. Wreszcie, gdy Maćko skończył, westchnęła i rzekła:

— Bogdaj się to chłopakiem urodzić!

Lecz Zbyszko, który przez cały czas opowiadania, przyglądał się jej również bacznie, myślał w tej chwili widocznie o czem innem, gdyż niespodziewanie rzekł:

— Ale też z was kraśna dziewka!

Jagienka zaś odrzekła nawpół z niechęcią, a nawpół ze smutkiem:

— Widzieliście wy kraśniejsze ode mnie.

Zbyszko jednak mógł bez kłamstwa odpowiedzieć jej, że wiele takich nie widział, gdyż od Jagienki bił poprostu blask zdrowia, młodości i siły. Stary opat nieprózno mawiał o niej, że wygląda jak nawpół kalina, wpół sosenka. Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona, i piersi, jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki, bystro patrzące. Była też przybrana staranniej, niż poprzednio w lesie na łowach. Na szyi miała kraśne paciorki, kożuszek otwarty na przodzie, kryty zielonem suknem, spodnicę z samodziału w prążki i nowe buty. Nawet stary Maćko zauważył ten piękny strój, i popatrzywszy na nią przez chwilę, zapytał:

— A czemuś to się tak przybrała, jako na odpust?

Lecz ona, zamiast odpowiedzieć, poczęła wołać:

— Idą wozy, idą!...

Jakoż, gdy wozy zajechały, skoczyła ku nim, a za nią poszedł Zbyszko. Wyładowanie trwało aż do zachodu słońca, ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który każdą rzecz z osobna oglądał i za każdą wysławiał Jagienkę. Mrok też już zapadał zupełny, gdy dziewczyna poczęła się zabierać do domu. Przy wsiadaniu na koń, Zbyszko chwycił ją nagle wpół, i nim zdążyła słowo wymówić, podniósł ją w górę i posadził na kulbakę. Wówczas zarumieniła się, jako zorza i zwróciwszy ku niemu twarz, rzekła przytłumionym nieco głosem:

— Mocarny z was pachołek...

On zaś, nie dojrzawszy jej rumieńców i zmieszania z powodu ciemności, roześmiał się i zapytał:

— A nie boicie się zwierza?... już teraz noc?

— Jest na wozie oszczep.... podajcie mi go.

Zbyszko podszedł do wozu, wyjął oszczep i wręczył go Jagience:

— Bądźcie zdrowi!

— Bądźcie zdrowi!

— Bóg wam zapłać! Przyjadę jutro, albo pojutrze do Zgorzelic pokłonić się Zychowi i wam za somsiedzką uczynność.

— Przyjeżdżajcie! Radzi będziem! Wiśta!

I ruszywszy koniem, znikła po chwili w przydrożnych krzach.

Zbyszko wrócił do stryja.

— Czas wam do izby wracać.

Lecz Maćko odrzekł, nie ruszając się z kłody.

— Hej! co za dziewczyna! Aże podwórze od niej pojaśniało!

— Bo pewnie!

Nastała chwila milczenia. Maćko zdawał się o czemś rozmyślać, patrząc w ukazujące się gwiazdy, poczem znów rzekł, jakby sam do siebie:

— I przyszczypne to, i gospodarne, choć nie ma więcej nad piętnaście roków...

— A no! — rzekł Zbyszko — stary Zych miłuje ją też, jak oko w głowie.

— I mówił, że Moczydoły za nią pójdą, a tam jest w łęgach stadko świerzop ze źrebięty.

— W borach moczydłowskich ponoś okrutne bagna?...

— Ale żeremia bobrowe w nich są.

I znów nastało milczenie. Maćko spoglądał czas jakiś z ukosa na Zbyszka, a wreszcie spytał:

— Cóżeś się tak zapamiętał? O czem rozmyślasz?

— Bo... widzicie... po Jagience tak mi się Danuśka przypomniała, aże mnie coś w sercu zabolało.

— Chodźmy do izby — rzekł na to stary. — Późno już.

I wstawszy z trudem, wsparł się na Zbyszku, który odprowadził go do komory.

Zbyszko pojechał jednak zaraz nazajutrz do Zgorzelic, albowiem Maćko bardzo o to przynaglał. Wymógł również na bratanku, by wziął z sobą dla okazałości dwóch pachołków i przybrał się jak najpiękniej, aby w ten sposób cześć Zychowi wyrządzić i należytą wdzięczność mu okazać. Zbyszko ustąpił i pojechał wystrojony, jak na wesele, w tę samą zdobyczną jakę z białego atłasu, obszytą złotą frendzlą i zahaftowaną w złote gryfy. Zych przyjął go z otwartemi ramionami, radością, i ze śpiewaniem, Jagienka zaś, wszedłszy na próg izby, stanęła, jak wryta i omal nie opuściła łagiewki z winem na widok młodziana, myślała bowiem, że królewicz jaki przyjechał. Straciła też odrazu śmiałość i siedziała w milczeniu, przecierając tylko kiedy niekiedy oczy, jak gdyby się chciała ze snu obudzić. Zbyszko, któremu brakło doświadczenia, myślał, że z niewiadomych mu przyczyn, nierada go widzi, rozmawiał tylko z Zychem, sławiąc jego sąsiedzką hojność i podziwiając dwór zgorzelicki, który rzeczywiście w niczem nie był do bogdanieckiego podobny.

Wszędzie znać tu było dostatek i zasobność. W izbach były okna z szybami z rogu, zestruganego cienko i tak wygładzonego, że był prawie jak szkło przezroczysty. Nie było ognisk na środku izb, tylko wielkie kominy z okapami po rogach. Podłoga była z modrzewiowych desek, czysto umytych, na ścianach zbroje i mnóstwo mis błyszczących, jak słońce, oraz pięknie wyciętych łyżników, z szeregami łyżek, z których dwie były ze srebra. Gdzieniegdzie wisiały też makatki, złupione w wojnach lub nabyte od wędrownych kupców. Pod stołami leżały olbrzymie płowe skóry turze, a takoż żubrze i dzicze. Zych z chęcią pokazywał swoje bogactwa, mówiąc co chwila, że to Jagienkowe gospodarowanie. Zaprowadził także Zbyszka do alkierza, pachnącego całkiem żywicą i miętą, w którym u pułapu wisiały całe pęki skór wilczych, lisich, kunich i bobrowych. Pokazał mu sernik, składy wosku i miodu, beczki z mąką, składy sucharów, obór, stajen i chlewów, do szop, w których były wozy, sprzęty myśliwskie, sieci, i tak olśnił jego oczy dostatkiem, że Zbyszko, wróciwszy na wieczerzę, nie mógł utrzymać w sobie podziwu.

— Żyć nie umierać w waszych Zgorzelicach! — rzekł.

— W Moczydołach bez mała takie same porządki — odrzekł Zych. — Pamiętasz Moczydoły. To przecie ku Bogdańcowi. Drzewiej wadzili się nawet nasi ojce o granice i zapowiedzi sobie posyłali na bitki, ale ja ta nie będę się wadził.

Tu trącił się ze Zbyszkiem kubkiem miodu i zapytał:

— A możebyś chciał sobie coś zaśpiewać?

— Nie, — rzekł Zbyszko — ciekawie was słucham.

— Zgorzelice, widzisz, wezmą niedźwiadki. Byle się jeno kiedyś o nie nie podarli!...

— Jakie niedźwiadki?

— Ano, chłopaki, Jagienkowi bracia.

— Hej! nie będą potrzebowali łapy przez zimę ssać.

— A nie. Ale i Jagience w Moczydłach sperki w gębie nie zabraknie...

— Pewnikiem!

— A czemu nie jesz i nie pijesz? Jagienka, nalej jemu i mnie.

— Jem i piję, jako mogę.

— Jak nie będziesz mógł, to się odpasz... Piękny pas! Wy też na Litwie musieliście wziąć łup godny?

— Nie narzekamy — odrzekł Zbyszko, korzystając ze sposobności, aby okazać, że i dziedzice Bogdańca nie byle włodyczkowie. — Część łupów przedaliśmy w Krakowie i wzięliśmy czterdzieści grzywien srebra...

— Bój się Boga! Toć za to można kupić wieś!

— Bo była jedna zbroja medyolańska, którą stryjko, spodziewający się śmierci, sprzedał, a to wiecie...

— Wiem! No! to warto na Litwę iść. Ja swego czasu chciałem, alem się bojał.

— Czego? Krzyżaków?



Sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku.

— E, ktoby się ta ich bał. Póki cię nie zabiją, to czegóż się bać, a jak cię zabiją, to już i nie czas na strach. Bojałem się onych pogańskich bożków, czyli djabłów. Po lasach to podobno tego, jak mrowia.

— A gdzież mają siedzieć, kiedy im bożnice popalili?... dawniej mieli dostatek, a teraz jeno grzybami i mrówkami żyją.

— Widziałeś też ich?

— Ja sam nie widziałem, ale słyszałem, że ludzie widzieli... Wysunie ta poniektóry kosmatą łapinę i z za drzewa potrząsa nią, żeby mu co dać...

— Powiadali to samo Maćko — ozwała się Jagienka.

— A jakże! prawił ci i mnie o tem w drodze — dodał Zych. — No, nie dziwota! Przecie i u nas, choć kraj dawno krześcijański, czasem coś się po bajorach śmieje, a i w domu, choć księża o to krzyczą, lepiej zawsze skrzatom miskę z jadłem na noc ostawić, bo inaczej, tak ci skrobią w ściany, że i oka nie zmrużysz... Jagienka!.... postaw, córuchno, pod progiem miskę!

Jagienka wzięła glinianą miskę, pełną klusków z serem i postawiła ją pod progiem, Zych zaś rzekł:

— Księża krzyczą, pomstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzat, byle był syt i życzliwy, to i od ognia, i od złodzieja ustrzeże.

Poczem zwrócił się do Zbyszka:

— Ale możebyś się odpasał i trochę sobie zaśpiewał?

— Zaśpiewajcie wy, bo już widzę, że zdawna macie ochotę, ale może panna Jagienka zaśpiewa?

— Będziem po kolei śpiewali — zawołał uradowany Zych. — Jest też w domu pachołek, który nam do wtóru na drewnianej fujarce zapiska. Wołać pachołka!

Zawołano pachołka, który siadł na zydlu i włożywszy „piszczkę" w usta, a następnie rozstawiwszy na niej palce, jął spoglądać na obecnych, czekając, komu ma zawtórować.

Oni zaś poczęli się sprzeczać, nikt bowiem nie chciał być pierwszy. Kazał wreszcie Zych dać przykład Jagience, więc Jagienka, chociaż bardzo jej było wstyd Zbyszka, wstała z ławy, włożyła ręce pod fartuch i poczęła:

Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Śląska!...

. . . . . .

Zbyszko otworzył naprzód szeroko oczy, poczem zerwał się na równe nogi i zawołał wielkim głosem:

— A wy skąd to umiecie śpiewać?

Jagienka spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Przecię to wszyscy śpiewają... Co wam?

Zych zaś, który sądził, że Zbyszko podpił, zwrócił ku niemu rozradowaną twarz i rzekł:

— Odpasz się! Zaraz ci ulży!

Lecz Zbyszko stał przez chwilę z mieniącą się twarzą, poczem opanowawszy wzruszenie, ozwał się do Jagienki:

— Przepraszam was. Cosik mi się niespodzianie przypomniało. Śpiewajcie dalej.

— A może wam smutno słuchać?

— E, gdzie tam! — odrzekł drgającym głosem. — Słuchałbym tego przez całą noc.

To rzekłszy, siadł i zakrywszy dłonią brwi, umilkł, nie chcąc żadnego słowa uronić.

Jagienka zaśpiewała drugą zwrotkę, lecz skończywszy ją, spostrzegła wielką łzę, staczającą się po palcach Zbyszkowej dłoni...

Wówczas przysunęła się żywo ku niemu, i siadłszy obok, poczęła go trącać łokciem:

— No? co wam? Nie chcę, byście płakali. Mówcie, co wam jest?

— Nic, nic! — odrzekł z westchnieniem Zbyszko — siłaby gadać... Co było, to przeszło. Już mi weselej.

— A możebyście się wina słodkiego napili?

— Poczciwa dziewka! — zawołał Zych. — Czemu to mówicie sobie: wy? Mów mu: Zbyszku, a ty jej: Jagienko. Znacie się przecie od małości...

Poczem zwrócił się do córki:

— Że cię tam ongi sprał, to nic!... Ninie tego nie uczyni.

— Nie uczynię! — rzekł wesoło Zbyszko. — Niechże mnie ona za to teraz spierze, jeśli jej wola.

Na to Jagienka, chcąc go do reszty rozweselić, złożyła dłoń w piąstkę, i śmiejąc się, poczęła udawać, że bije Zbyszka.

— A masz ci za mój rozbity nos! a masz! a masz!

— Wina! — zawołał rozochocony dziedzic Zgorzelic.

Jagienka skoczyła do komory i po chwili wyniosła kamionkę z winem, dwa kubki piękne, wygniatane w srebrne kwiaty, roboty wrocławskich złotników, i parę gomółek zdaleka pachnących.

Zycha, mającego już w głowie, rozczulił ten widok zupełnie, więc przygarnął do siebie kamionkę, przycisnął ją do łona i, sądząc widocznie, że to Jagienka, począł mówić:

— Oj, córuchno ty moja! o, niebogo sieroto! Co ja biedny chudzina w Zgorzelicach pocznę, jak mi cię zabiorą — co ja pocznę!...

— A trza ją będzie niezadługo dać! — zawołał Zbyszko.

Zych zaś w mgnieniu oka z rozczulenia przeszedł do śmiechu:

— Chy! chy! A dziewce piętnaście roków i już ją do chłopów ciągnie!... już jak którego choć zdaleka uwidzi, to aże kolanem o kolano trze!....

— Tatusiu, bo sobie pójdę! — rzekła Jagienka.

— Nie chodź! dobrze z tobą...

Poczem jął mrugać tajemniczo na Zbyszka.

— Zajeżdża ich tu dwóch: jeden młody Wilk ſyn ſtarego Wilka z Brzozowej, a drugi Cztan*) z Rogowa. Żeby cię tu zaſtali, zarazby wzięli na cię zgrzytać, jako i na ſię wzajem zgrzytają.

— O wa! — rzekł Zbyſzko...

Poczem zwrócił ſię do Jagienki i mówiąc jej: ty, wedle polecenia Zycha, zapytał:

— A ty którego woliſz?

— Żadnego.

— Wilk, ſierdziſty pachołek! — zauważył Zych.

— Niech w inną ſtronę wyje!

— A Cztan?

Jagienka poczęła ſię śmiać:

— Cztan — mówiła, zwracając ſię do Zbyſzka — takie ci ma kudły na gębie, jak cap, że mu oczu nie widać — i ſadła tyle na nim, co na niedźwiedziu.

A Zbyſzko uderzył ſię w głowę, jakby coś ſobie nagle przypominając, i rzekł:

— Ale!... kiedyście tacy dobrzy, to was jeſzcze o jedną rzecz poproſzę: niema też u was w domu niedźwiedziego ſadła, bo ſtryjkowi na lek potrzebne, a w Bogdańcu nie mogłem dopytać?

— Było! — rzekła Jagienka — ale chłopaki na dwór wynieśli do ſmarowania łuków — i pſi do ſzczętu zjedli... Bogdaj-że to!

— Nic nie oſtało?

— Do czyſta wylizane!

— Ha! to niema innej rady, jeno trza będzie w boru poſzukać.

— Uczyńcie obławę, bo niedźwiedzi nie brak, a jeśli myśliwſkiego ſprzętu chcecie, to damy.

— Gdzie mi tam czekać! Pojadę na noc pod barcie.

— Weźcie z pięciu naroczników. Są między nimi chłopcy ſprawne.

— Nie będę kupą chodził, bo jeſzcze mi zwierza ſpłoſzą.

— To jakże? Z kuſzą pójdziecie?

— A cobym z kuſzą w boru po ciemku zrobił! Mieſiąc teraz przecie nie świeci. Wezmę widły z zadziorami, topór dobry, i pójdę jutro ſam.

Jagienka umilkła na chwilę, poczem w twarzy jej odbił ſię niepokój.

— Poſzedł od nas końſkiego roku — rzekła — myśliwiec Bezduch, i niedźwiedź go rozdarł. Zawſze to jeſt nieprzezpieczna rzecz, bo on, jak ſamego człowieka w nocy uwidzi, a tembardziej przy barciach, to zaraz na zadnie łapy ſtaje.

— Żeby uciekał, toby ſię go nie doſtało — odrzekł Zbyſzko.

Tymczaſem Zych, który ſię był zdrzemnął, zbudził ſię nagle i począł śpiewać:

---

*) Cztan, ſkrócone Przecław.

„A ty Kuba od roboty,
„A ja Maciek od ochoty!
„Idź-że rano z sochą w pole
„A ja z Kasią w żytko wolę,
Hoc! hoc!

Poczem do Zbyszka:

— Wiesz? jest ich dwóch: Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa... a ty...

Lecz Jagieńka, bojąc się, żeby Zych nie powiedział czegoś nadto, zbliżyła się szybko do Zbyszka i jęła wypytywać:

— I kiedy pójdziesz? jutro?

— Jutro, po zachodzie słońca.

— A do których barci?

— Do naszych, do Bogdańskich, niedaleko od waszych kopców, wedle Radzikowego błota. Powiadali mi, że tam o misia łatwo.

11.

Zbyszko wybrał się, jak zapowiedział, gdyż Maćko czuł się coraz gorzej. Z początku podtrzymywała go radość i pierwsze domowe zajęcia, lecz trzeciego dnia wróciła mu gorączka i ból w boku z taką siłą, iż musiał się położyć. Zbyszko poszedł naprzód w dzień, obejrzał barci, zobaczył, że jest blizko ogromny ślad na błocie — i rozmówił się z bartnikiem Wawrkiem, który nocami sypiał w pobliżu w szałasie, razem z parą srogich, podhalskich kundli, ale właśnie miał się już wynieść do wsi z powodu chłodów jesiennych.

Obaj rozrzucili szałas, zabrali psy, tu i ówdzie rozsmarowali trochę miodu po pniach, by zapach znęcił zwierza, zaczem Zbyszko wrócił do domu i począł się gotować na wyprawę. Ubrał się dla ciepła w kubrak łosi, bez rękawów; na ciemię nawdział żelazny czepiec z drutu, aby niedźwiedź nie mógł mu obedrzeć skóry z głowy, wreszcie wziął widły dobrze okute, dwuzębne, z zadziorami, i topór stalowy, szeroki, na dębowem toporzysku nie tak krótkiem, jakich zażywają cieśle. O wieczornym udoju był już u celu, i wybrawszy sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami chojarów. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc i łopocąc skrzydłami; gdzieniegdzie kicały ku wodzie zające, czyniąc szelest po żółciejących jagodziskach i po opadłych liściach; czasem śmignęła po buczku chybka kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świergot ptaków, który stopniowo ustawał.

O samym zachodzie nie było w boru spokoju. Przeszło niebawem opodal Zbyszka stadko dzików z wielkim hałasem i fukaniem, a potem kłusowały łosie, długim rzędem, trzymając jeden drugiemu łeb na ogonie. Suche gałęzie trzeszczały im pod racicami, i las aż dudnił, one atoli, połyskując czerwono w słońcu, dążyły do błota, gdzie im

było nocą bezpiecznie i błogo. Nareszcie zorze rozpaliły się na niebie. od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć, jak w ogniu, i zwolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać. Mrok wstawał od ziemi i podnosił się w górę ku świetlistym zorzom, które też w końcu poczęły omdlewać, zasępiać się, czernieć i gasnąć.

— Teraz, póki się wilki nie obezwą, to będzie cicho, — pomyślał Zbyszko.

Żałował jednak, że nie wziął kuszy, mógłby był bowiem z łatwością położyć dzika lub łosia. Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotu z pewną nieufnością, albowiem chłop Radzik, który mieszkał tu niegdyś w ziemnej chacie, znikł razem z rodziną, jakby się pod ziemię zapadł. Jedni mówili, że porwali ich zbóje, byli wszelako ludzie, którzy widzieli wedle chaty jakieś dziwne ślady, ni to ludzkie, ni zwierzęce — i którzy bardzo kręcili nad tem głowami, a nawet namyślali się, czyby nie sprowadzić księdza z Krześni, aby tę chałupę poświęcić. Nie przyszło wprawdzie do tego, bo nie znalazł się nikt, któryby chciał tu zamieszkać, i chatę, a raczej glinę na chróścianych ścianach rozpłukały z czasem dżdże — miejsce jednakże nie używało odtąd dobrej sławy. Nie uważał wprawdzie na to Wawrek, bartnik, który tu nocowywał latem w szałasie, ale i o tym Wawrku różnie mówiono. Zbyszko, mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt — myślał natomiast z pewnym niepokojem o siłach nieczystych i rad też był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie odblaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Wiatr ustał, nie było nawet zwykłego szumu w wierzchołkach sosen. Kiedy niekiedy spadała tu i ówdzie szyszka, wydając na tle ogólnego milczenia odgłos mocny i donośny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, rozmyślając naprzód o niedźwiedziu, który mógł nadejść, a następnie o Danusi, która z dworem mazowieckim jechała w dalekie strony. Przypomniał sobie, jak ją chwycił na ręce w chwili rozstania się z księżną, i jak jej łzy spływały mu po policzku, przypomniał sobie jej jasną twarz, jej przetowłosą główkę, jej chabrowe wianuszki i jej śpiewanie, jej czerwone trzewiczki z długimi nosami, które całował na odjezdnem — wreszcie wszystko, co zaszło od chwili, jak się poznali; i ogarnął go taki żal, zatonął, stracił pamięć że jest w lesie, że czatuje na zwierza, a natomiast począł sobie mówić w duszy:

— Pójdę ja k'tobie, bo mi nie żyć bez ciebie.

I czuł, że tak jest — i że musi jechać na Mazowsze, bo inaczej skapieje w Bogdańcu. Przyszedł mu na myśl Jurand i jego dziwny opór, więc pomyślał że tembardziej trzeba mu jechać, aby się dowiedzieć, co to za tajemnica, co za przeszkody, i czyby jakowyś pozew do walki na śmierć nie zdołał ich usunąć. Wreszcie wydało mu się, że Danusia wyciąga do niego ręce i woła: „Bywaj Zbyszku, bywaj!" Jakże mu do niej nie iść!

I nie spał — a widział ją tak wyraźnie, jakby w zjawieniu, albo we śnie. Jedzie teraz oto Danuśka obok księżny, brząka jej na lutence i pośpiewuje, a myśli o nim. Myśli, że go ujrzy niezadługo, a może się i obziera, czy on za nimi w skok nie pędzi — a on tymczasem w boru ciemnym.

Tu ocknął się Zbyszko — i ocknął się nie tylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i dla tej przyczyny, że zdala za nim ozwał się jakiś szelest.

Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po niejakim czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście i jagodziska... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić — poczem znów odzywały się kroki wolne i przezorne. Wogóle było w tem zbliżaniu się coś tak ostrożnego, że Zbyszka ogarnęło zdziwienie.

— Musi się „Stary” psów bać, które tu były przy szałasie, — rzekł sobie; — ale może to i wilk, który mnie zwietrzył.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia, albo o trzydzieści kroków za nim i jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi — ale lubo pnie rysowały się w zmroku dość wyraźnie, nie mógł nic dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, że aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk byłby mnie już zawietrzył i teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy.

A nuż to co „paskudnego” wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? Nuż niespodzianie chwycą go jakie oślizgłe ramiona topielca, albo zajrzą mu w twarz zielone oczy upiora, nuż się coś roześmieje okropnie tuż za nim, albo z za sosny wylezie sina głowa na pajęczych nogach?

I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy poczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim — i tym razem wyraźniejszy jeszcze, niż poprzednio. Zbyszko odetchnął. Przypuszczał wprawdzie, że to to samo „dziwo” obeszło go, a teraz zbliża się z przodu. Ale to wolał. Chwycił wygodnie widły, podniósł się cicho i czekał.

Wtem nad głową usłyszał szum sosen, na twarzy uczuł silny powiew, ciągnący od strony błota, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi.

Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł myś!

Zbyszko jednej chwili przestał się bać, i pochyliwszy głowę, wytężył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się ciężko, wyraźnie, swąd czynił się ostrzejszy; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk.

— Byle nie szło dwóch! — pomyślał Zbyszko.

Ale w tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które, idąc z wiatrem, do ostatniej chwili nie mogło go zwietrzyć, tembardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianem zjawiskiem, lecz był już zbyt blizko, aby mógł ratować się ucieczką, więc w jednej chwili podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie, jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru, wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojeści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego zaostrzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś, chwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc o co chodzi — i mimo bólu, który sprawiało mu każde poruszenie utkwionych głęboko ostrzy, nie dając się „podeprzeć". W ten sposób straszna walka przedłużała się — i Zbyszko zrozumiał, że siły jego w końcu wyczerpią się. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął, więc zebrał się w sobie, wytężył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet, jak łuk, by się nie przewrócić na wznak i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!...

I chwycił go wreszcie taki gniew, taka zawziętość, że istotnie wolałby był w tej chwili sam zginąć, niż bestję puścić. Wreszcie zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że w tej chwili stanęła przy nim jakaś ciemna postać — i drugie widły „podparły" bestję, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nagle tuż nad uchem:

— Toporem!...

Zbyszko, w uniesieniu walki ani na jedno mgnienie oka nie zastanowił się, skąd mu niespodziewana pomoc nadeszła, natomiast chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły teraz widły złamane ciężarem i ostatnią konwulsją zwierza — ów zaś zwalił się jakby piorunem rażony na ziemię i począł na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastała cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero, podniół głowę, spojrzał na stojącą obok siebie postać — i przeląkł się, myśląc, że to może nie człowiek.

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki niewieści głos.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia, oczom własnym nie wierząc. Ale wątpliwości jego nie trwały długo, gdyż głos Jagienki ozwał się znowu:

— Nakrzesam ognia...

Wraz ozwał się szczęk krzesiwa o krzemień, iskry poczęły się sypać, i przy ich migotliwym blasku ujrzał Zbyszko białe czoło, ciemne brwi i wysunięte naprzód usta dziewczyny, które dmuchały w zatloną hubkę. Wówczas dopiero pomyślał, że ona przyszła do tego boru, żeby mu dać pomoc, że bez jej wideł mogłoby być źle — i poczuł tak wielką wdzięczność dla niej, że nie namyślając się długo, chwycił ją wpół i ucałował w oba policzki.

A jej hubka i krzesiwo wypadły na ziemię.

— Daj spokój! Czego? — poczęła powtarzać stłumionym głosem, a jednocześnie nie usuwała mu twarzy, owszem ustami dotknęła nawet niby wypadkiem ust Zbyszka.

On zaś puścił ją i rzekł:

— Bóg ci zapłać. Nie wiem, coby się bez ciebie przygodziło.

A Jagienka, kucnąwszy w ciemności, by odnaleźć krzesiwo i hubkę, poczęła się tłómaczyć:

— Bojałam się o ciebie, bo Bezduch poszedł też z widłami i z toporem — i niedźwiedź go ozdarł. Broń czego Boże, Maćkowi byłoby markotno, a on przecie i tak ledwie dycha... No, to i wzięłam widły i poszłam.

— Toś to ty zachodziła tam za sosny?

— Ja.

— A jam myślał, że to „złe".

— Niemały i mnie strach brał, bo tu koło Radzikowego błota w nocy bez ognia nie dobrze.

— Czemuś się nie obezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

I to rzekłszy, znów zaczęła krzesać, a następnie położyła na hubkę kłaczek suchych konopnych paździerzy, które wnet strzeliły jasnym płomieniem.

— Mam dwie szczypki, — rzekła — a ty nazbieraj wartko sucharzy; będzie ogień.

Jakoż po chwili buchnęło rzeczywiście wesoło ognisko, którego blask rozświecił ogromne, rude cielsko niedźwiedzia, leżące w kałuży krwi.

— Hej, sroga stwora! — ozwał się z pewną chełpliwością Zbyszko.

— Ale ci łeb prawie całuśki rozwalony! O Jezu!

To powiedziawszy, schyliła się i zanurzyła rękę w kudły niedźwiedzie, aby przekonać się, czy zwierz dużo ma w sobie sadła, poczem podniosła się z wesołą twarzą:

— Będzie sadła na jakie dwa roki!

— A widły połamane, patrz!

— To i bieda, bo co ja w domu powiem?

— Albo co?

— Bo tatuś nie byliby mnie wcale do boru puścili, więc musiałam czekać, póki się wszyscy nie pokładą.

Po chwili zaś dodała:

— Nie powiadaj też, żem tu była, żeby nade mną nie cudowali.

— Ale cię pod dom odprowadzę, bo jeszcze wilcy na cię napadną, a wideł nie masz.

— No — dobrze!

I tak rozmawiali czas jakiś przy wesołym brzasku ogniska, nad trupem niedźwiedzia, podobni oboje do jakichś młodych leśnych stworzeń.

Zbyszko popatrzył na wdzięczną twarz Jagienki, oświeconą blaskiem płomieni, i rzekł z mimowolnem zdziwieniem:

— Ale takiej drugiej dziewczyny, jak ty, to chyba na świecie niema. Tobieby na wojnę chodzić!

Ona zaś spojrzała mu na chwilę w oczy, poczem odrzekła prawie smutno:

— Ja wiem... ale nie śmiej się ze mnie.

12.

Jagienka sama wytopiła duży garnek nedźwiedziego sadła, którego pierwszą kwartę wypił Maćko z ochotą, albowiem było świeże, nie przypalone i miało zapach dzięgielu, którego znająca się na lekach dziewczyna dorzuciła w miarę do garnka. Pokrzepił się też zaraz Maćko na duchu i nabrał nadziei, że wyzdrowieje.

— Tego mi było trzeba — mówił. — Jak się w człeku wszystko godnie wytłuści, to się może i ta psia mać drzazga którędy wypsnie.

Następne kwarty nie smakowały mu jednak tak dobrze, jak pierwsza, ale pił przez rozum. Jagienka dodawała mu też otuchy, mówiąc:

— Będziecie zdrowi. Biludowi z Ostroga wbili ogniwa od kolczugi głęboko pod karkiem, a od sadła mu wyszły. Jeno, jak się rana otworzy, trzeba skromem bobrowym zatykać.

— A skrom masz?

— Mamy. Jeśli zasię świeżego będzie trzeba, to pójdziem ze Zbyszkiem do żeremiów. O bobra nie trudno. Ale nie wadziłoby także, żebyście jakiemu Świętemu co przyobiecali, takiemu, który jest patronem od ran.

— Mnie już to przez głowę przechodziło, tylko, że nie wiem dobrze: któremu? Święty Jerzy jest patronem rycerzów: on ci strzeże wojownika od przygody i wżdy męstwa we wszelakiej potrzebie mu przydawa, a powiadają, że często osobą własną po sprawiedliwej stronie staje i niemiłych Bogu bić pomaga. Ale taki, co sam rad bije, rzadko rad sam smaruje, i od tego może być inny, któremu on nie będzie chciał wchodzić w drogę. Każdy Święty ma w niebie swój

urząd i ſwoją goſpodarkę — to ſię wie! A jeden do drugiego nigdy ſię nie mießa, bo z tego mogłyby niezgody wyniknąć, w niebie zaś nie przyſtoi ſię Świętym wadzić, alibo ſię potykać... Są Koſma i Damian, też wielcy Święci, do których ſię medycy modlą o to, by choróbſka na świecie nie wyginęły, gdyż inaczej nie mieliby co jeść. Jeſt także święta Apolonia od zębów i święty Liboriuß od kamienia — ale to wßyſtko nie to! Przyjedzie opat, to mi powie, do kogo mam ſię udać — bo i nie byle kleryk wßyſtkie tajemnice boſkie poſiadł, i nie każdy takie rzeczy wie, chociaż ma głowę wygoloną.

— A żebyście ſamemu Panu Jezuſowi ślubowali?

— Pewnie, że on nad wßyſtkimi. Ale to byłoby tak, jakoby mi, nieprzymierzając, twój ojciec chłopa pobił, a jabym do Krakowa do króla na ſkargę jechał. Co by mi ta król powiedział? Powiedziałby tak: „Ja nad całem króleſtwem goſpodarz, a ty do mnie z twoim chłopem przychodziß! A to nie maß urzędów! nie możeß iść do grodu, do mojego kaßtelana i pośrednika?" Pan Jezus jeſt goſpodarzem nad całym światem — rozumieß? — a od mniejßych ſpraw ma Świętych.

— To ja wam powiem — rzekł Zbyßko, który nadßedł na koniec rozmowy — ślubujcie naßej niebożczce królowej, że jeśli ſię za wami przyczyni, to pielgrzymkę do Krakowa do jej grobu odprawicie. Albo to ſię tam mało cudów już w naßych oczach przygodziło? Po co obcych Świętych ßukać, kiedy jeſt ſwoja Pani od innych lepßa.

— Ba! żebym to wiedział, że ona od ran!

— A choćby ta i nie była od ran! Nie będzie ſię śmiał na nią ſkrzywić byle Święty, a ſkrzywi ſię, to jeßcze ſam od Pana Boga oberwie, boć to przecie nie żadna zwyczajna nawojka, ale królowa polſka...

— Która w oſtatku pogańſką krainę do krześcijańſkiej wiary przywiodła. Toć mądrze rzekł — odpowiedział Maćko. — Wyſoko ona tam muſi ſiadać w boſkim wiecu i pewno, że lada pachołek przeciw niej nie wſkóra. Tak też uczynię, jak radziß, żebym tak zdrów był!

Rada ta podobała ſię i Jagience, która nie mogła oprzeć ſię podziwieniu dla Zbyßkowego rozumu, a Maćko uczynił uroczyſty ślub tego ſamego wieczora i odtąd z więkßą jeßcze otuchą pił niedźwiedzie ſadło, wyglądając z dnia na dzień niechybnego uzdrowienia. Po tygodniu jednak począł tracić nadzieję. Mówił, że ſadło „burzy" mu w żywocie, a na ſkórze, wedle oſtatniego żebra, coś mu rośnie, jakoby guz. Po dzieſięciu dniach było jeßcze gorzej: guz uróſł i poczerwieniał, a ſam Maćko zeſłabł bardzo, i gdy przyßła gorączka, począł znów gotować ſię na śmierć.

Aż pewnej nocy zbudził nagle Zbyßka:

— Zapal wartko łuczywo, — rzekł — bo cości ſię dzieje ze mną, ale nie wiem, czy co dobrego, czy złego.

Zbyßko zerwał ſię na równe nogi, i nie krzeßąc ognia, rozdmuchał w przyległej do komory izbie ogniſko, zapalił od niego ſmolną ßczypę i wrócił.

— Co z wami?

— Co ze mną! Guz mi coś przebodło, pewno zadziora! Trzymam ci ją, ale wydobyć nie mogę! czuję jeno, jako mi pod pazdurami brzęka i zbyrczy...

— Zadziora! nic innego. Chyćcie dobrze i ciągnijcie.

Maćko jął się przekręcać i syczeć z bólu, ale tkał palce coraz głębiej, póki nie objął dobrze twardego przedmiotu, wreszcie szarpnął i wyciągnął.

— O Jezu!

— Jest? — spytał Zbyszko.

— Jest. Aż na mnie zimne poty uderzyły. Ale jest: patrzaj!

To rzekłszy, pokazał Zbyszkowi podługowatą ostrą drzazgę, która się była od źle ukutego grota odłupała i od kilku miesięcy twiła w ciele.

— Chwała Bogu i królowej Jadwidze! Teraz będziecie zdrowi.

— Moża że mi ulżyło, ale okrutnie boli, — mówił Maćko, wyciskając guz, z którego poczęła wypływać obficie krew, pomieszana z ropą. — Tyle będzie tego paskudztwa w człeku mniej, to i musi chorość popuścić. Jagienka mówiła, że teraz trzeba będzie skromem bobrowym zatykać.

— Pójdziemy po bobra zaraz jutro.

Maćkowi jednakże zrobiło się zaraz nazajutrz znakomicie lepiej. Spał do późna, a zbudziwszy się, wołał o jedzenie. Na niedźwiedzie sadło nie mógł już patrzeć, ale za to rozbito mu dwadzieścia jaj do rynki, gdyż na więcej nie chciała przez ostrożność Jagienka pozwolić. On zaś spożył je łapczywie wraz z półbochenkiem chleba i popił garncem piwa, poczem jął wołać, by mu przywiedli Zycha, bo mu się uczyniło wesoło.

Posłał więc Zbyszko jednego ze swoich Turczynków, darowanych przez Zawiszę, po Zycha, który siadł na koń i przyjechał popołudniu, właśnie wtedy, kiedy młodzi wybierali się do Odstajanego jeziorka po bobry. Było z początku śmiechu, żartów i śpiewania przy miodzie bez miary, ale później starzy poczęli rozmawiać o dzieciach i wychwalać każdy swoje.

— Co to za chłop Zbyszko! — mówił Maćko: — to takiego drugiego na świecie niema. A mężne to, a wartkie, jako ryś, a sprawne. Wiecie! jak go na śmierć w Krakowie prowadzili, to tak dziewki w oknach piszczały, jakby je kto z tyłu stojący szydłem kłół, i to jakie dziewki: rycerskie i kasztelańskie córki, o różnych cudnych mieszczkach nie wspominając.

— A niech ta będą i kasztelańskie i cudne, a od mojej Jagienki nie lepsze! — odrzekł Zych ze Zgorzelic.

— Albo ja wam mówię, że lepsze? Milszej dziewki ku ludziom, niże Jagienka, chyba nie znaleźć.

— Ja tez na Zbyszka nic nie powiadam: kuszę ci bez pokrętki naciąga!...

— I niedźwiedzia sam jeden podeprze. Widzieliście, jak go ciął? Cały łeb z jedną łapą odwalił.

— Łeb odwalił, ale podparł nie sam, Jagienka mu pomogła.

— Pomogła?... nie mówił mi nic.

— Bo jej obiecał... że to dziewce wstyd po nocy do boru chodzić. Mnie zaraz powiedziała, jako było. Inne rade zmyślają, ale ona prawdy nie ukryje. Szczerze rzekłszy, nie byłem rad bo kto ta wie... Chciałem ją skrzyczeć, ona zasie powiedziała tak: „Jak ja sama wianka nie upilnuję, to i wy, tatulu, nie upilnujecie, ale nie bójcie się, Zbyszko też wie, co rycerska cześć".

— Bo pewno. Przecie i dziś sami poszli.

— Ale przed wieczorem wrócą. Po nocy djabeł najgorszy, a wstydzić się dziewce nie potrzeba, bo ciemno.

Maćko pomyślał chwilę, poczem rzekł, jakby do siebie:

— A wszelako radzi się oni widzą.

— Ba! żeby to innej nie był ślubował.

— To, jak wiecie, jest rycerski obyczaj... Którnyby z młodych swojej paniej nie miał, tego inni za prostaka uważają... Ślubował on pawie czuby i te musi ze łbów pozdzierać, gdyż poprzysiągł na rycerską cześć; Lichtensteina też musi dostać, ale od innych ślubów może go opat uwolnić.

— Opat zjedzie lada dzień...

— Myślicie? — spytał Maćko, poczem ozwał się znów: — Wreszcie co tam takie ślubowanie, kiedy Jurand wręcz mu powiedział, że dziewki nie da! Czy ją innemu obiecał, czy na służbę Bożą ofiarował, tego ja nie wiem — ale wręcz powiedział, że nie da...

— Mówiłżem wam, — zapytał Zych, — że opat tak Jagienkę miłuje, jakby była jego. Ostatni raz to jej rzekł tak: „Krewnych mam jeno po kądzieli, ale z tej kądzieli więcej będzie nici dla ciebie, niż dla nich".

Na to Maćko spojrzał niespokojnie, a nawet podejrzliwie na Zycha i dopiero po chwili odpowiedział:

— Naszej krzywdy przeciebyście nie chcieli...

— Za Jagienką pójdą Moczydoły — rzekł wymijająco Zych.

— Zaraz?

— Zaraz. Innejbym nie popuścił, a jej popuszczę.

— Bogdaniec i tak w połowie Zbyszków, a da Bóg zdrowie, to mu go zagospodaruję, jako się patrzy. Miłujecie-ż wy Zbyszka?

Na to Zych począł mrugać oczyma i rzekł:

— Gorzej to, że jakoś Jagienka, byle kto o nim wspomniał, zaraz się do ściany obraca.

— A jak wspominacie innych?

— Jak innego wspomnę, to jeno prychnie i powiada: „czegóż?!"

— A no widzicie. Da Bóg, że przy takiej dziewce zapomni Zbyszko o tamtej. Ja stary, a teżbym zapomniał... Napijecie się miodu?

— Napiję się.

— No, opat... jušci mądry człowiek! Bywają między opatami, jako wiecie całkiem świeccy ludzie, ale ten choć między mnichami nie siedzi — przecie jest ksiądz — a ksiądz zawsze lepiej poradzi od zwykłego człeka, bo i na czytaniu się zna i z Duchem świętym jest w po-

bliskości. A wy, że dziewczynie zaraz Moczydoły puścicie — to słusznie. Ja też, byle pan Jezus do zdrowia pomógł, co będę mógł Wilkowi z Brzozowej kmieciów odmówić, to odmówię. Po źrebiu dobrej ziemi każdemu dam, bo w Bogdańcu ziemi nie brak. A Wilkowi niech się na Boże Narodzenie pokłonią i do mnie przyjdą. Albo to im nie wolno? Z czasem to i gródek w Bogdańcu zbuduję, godny kasztelik z dębów i z rowem wokół... Zbyszko i Jagieńka niech sobie ninie na polowiczko razem chadzają... Myślę, że i śniegu niezadługo czekać... Wezwyczai się jedno do drugiego — i chłopak o tamtej zapomni. Niech sobie chadzają. Co tam długo gadać! Dalibyście mu Jagienkę, czy nie dali?

— Dałbym. Zdawna my to przecie uradzili, żeby jedno było dla drugiego, a Moczydoły i Bogdaniec dla naszych wnuków.

— Grady! — zawołał z radością Maćko. — Bóg da, że posypie się ich, jak gradu. Opat będzie ich nam krzcił...

— Byle nadążył! — zawołał wesoło Zych. — Ale was to już dawno w takiej radości nie widziałem.

— Bo mi pocieszno w sercu... Zadziora wyszła, a co do Zbyszka, wy się o niego nie bójcie. Wczoraj, jak Jagienka na koń siadała... wiecie... wiatr dął... Pytam ja tedy Zbyszka: „Widziałeś?" — a jego zaraz ciągoty wzięły. I tom też zmiarkował, że z początku mało ze sobą gadali, a teraz jak razem chodzą, to ciągle jedno ku drugiemu szyję obraca, i tak uradzają... uradzają!.... Napijcie się jeszcze.

— Napiję się...

— Za zdrowie Zbyszka i Jagienki!

13.

Stary Maćko nie mylił się, mówiąc, że Zbyszko i Jagienka radzi z sobą przestają, a nawet, że tęsknią do siebie. Jagienka pod pozorem odwiedzin chorego Maćka przyjeżdżała częstokroć do Bogdańca, z ojcem lub sama. Zbyszko przez samą wdzięczność wpadał co czas jakiś do Zgorzelic, więc wraz z upływem dni wyrodziła się między nimi bliska zażyłość i przyjaźń. Poczęli się lubić i chętnie z sobą „uradzać", to jest rozmawiać o wszystkiem, co ich mogło obchodzić. Było też trochę wzajemnego podziwu w tej przyjaźni, albowiem młody i śliczny Zbyszko, który i na wojnie się już zasłużył, i w gonitwach brał udział, i na pokojach królewskich bywał, wydawał się dziewczynie w porównaniu z takim Cztanem z Rogowa lub z Wilkiem z Brzozowej, prawdziwym dworskim rycerzem i niemal królewiczem, jego zaś zdumiewała chwilami uroda dziewczyny. Myślał wiernie o swojej Danusi, nieraz jednak, gdy spojrzał niespodzianie na Jagienkę, czy to w lesie, czy w domu, mimowoli mówił sobie: „Hej! to ci łania!" — gdy zaś wziąwszy ją pod boki, wsadzał na konia i wyczuwał pod dłońmi jej czerstwe, jakby z kamienia wykrzesane ciało, to aż go ogarniał nie-

pokój i — jak powiadał Maćko: — „brały go ciągoty", a zarazem coś poczynało mu chodzić po kościach i morzyć go, niby sen.

Jagienka, z natury harda, skora do wyśmiewania, a nawet zaczepna, stawała się stopniowo z nim coraz pokorniejsza, zupełnie jak służka, która tylko w oczy patrzy, w czemby usłużyć i dogodzić, on zaś rozumiał tę jej wielką przychylność, był jej wdzięczen i coraz mu milej było z nią przestawać. Wkońcu, zwłaszcza od czasu, gdy Maćko począł pijać niedźwiedzie sadło, widywali się prawie codziennie, a po wyjściu Szczebrzucha z rany, wybrali się razem na bobry, po świeży skrom, do gojenia bardzo potrzebny.

Wzięli kusze, siedli na koń i pojechali naprzód do Moczydołów które miały być w przyszłości wianem Jagienkowem, potem pod las, gdzie zostawili konie pachołkowi i dalej poszli piechotą, gdyż przez gęstwę i mokradła trudno było przejechać. Po drodze, pokazała Jagienka za rozległą, pokrytą szuwarami łąką, siną wstęgę lasu i rzekła:

— To bory Cztana z Rogowa.

— Tego, któryby cię rad wziął?

A ona poczęła się śmiać:

— Wziąłby, żebym się jeno dała!

— Lacnie mu się obronisz, mając Wilka do pomocy, który jako słyszałem, na tamtego zęby szczerzy. I dziwno mi to nawet, że się jeszcze nie pozwali na śmierć.

— Bo tatulo, jadąc na wojnę, powiedzieli im tak: „Jeśli się pobijecie, to żadnego na oczy nie chcę widzieć". To i cóż mieli robić? Jak są w Zgorzelicach, to na się sapią, ale potem piją razem w gospodzie w Krześni, póki pod ławy nie pozlatują.

— Głupie chłopy!

— Czemu?

— Bo jak Zycha nie było doma, powinien był jeden albo drugi nastąpić na Zgorzelice i siłą cię brać. Cóżby Zych uczynił, jeśliby wróciwszy, znalazł cię z dzieciakiem na ręku.

A modre oczy Jagienki zaiskrzyły się odrazu:

— To myślisz, żebym się była dała? A czy to w Zgorzelicach niema ludzi, a ja to nie umiem chycić oszczepu albo kuszy? Niechby spróbowali! Pognałabym ja każdego do domu, jeszczebym sama Rogów, albo Brzozową najechała. Wiedzieli tatuś, że mogą przespiecznie na wojnę iść.

I tak mówiąc, poczęła marszczyć swe śliczne brwi i potrząsać tak groźnie kuszą, że aż Zbyszko roześmiał się i rzekł:

— No, tobie rycerzem być, nie dziewczyną.

Ona zaś, uspokoiwszy się, odrzekła:

— Cztan mnie strzegł od Wilka, a Wilk od Cztana. Byłam ci ja zresztą pod opatową opieką, a z opatem lepiej nikomu nie zadzierać...

— O wa! — odpowiedział Zbyszko — wszyscy się tu opata boją! A ja, niech mi tak święty Jerzy pomaga, jako ci mówię prawdę, że nie bojałbym się ni opata, ni Zycha, ni zgorzelickich osaczników, ni ciebie, jenobym cię brał...

Na to Jagienka zatrzymała się na miejscu i podniósłszy oczy na Zbyszka, spytała jakimś dziwnym, miękkim i przewlekłym głosem:

— Brałbyś?...

Poczem usta jej rozchyliły się i czekała odpowiedzi, zarumieniona, jak zorza.

Lecz on widocznie myślał tylko o tem, coby uczynił na miejscu Cztana lub Wilka, po chwili bowiem potrząsnął swą głową i mówił dalej:

— Co tu dziewce z chłopami wojować, kiedy jej trzeba za mąż! Nie zdarzy-li się trzeci, to jednego z nich musisz wybrać, bo jakże?

— Ty mi tego nie powiadaj — odpowiedziała smutno dziewczyna.

— Bo co? Dawnom tu nie bywał, więc nie wiem, zali tu jest kto koło Zgorzelic, któryby ci się więcej udał?...

— Hej! — odrzekła Jagienka. — Daj spokój!

I szli dalej w milczeniu, przedzierając się przez gęstwę tembardziej zbitą, że krze i drzewa pokryte były dzikim chmielem. Zbyszko szedł naprzód, rozrywając zielone zwoje, łamiąc tu i ówdzie gałęzie, Jagienka zaś podążała za nim, z kuszą na plecach, jak jakowaś boginka myśliwa.

— Będzie — rzekła — za tą gęstwiną głęboka struga, ale wiem miejsce, gdzie jest bród.

— Mam skórznie za kolana, to i sucho przejdzie — odparł Zbyszko.

Jakoż po niejakim czasie trafili na strugę. Jagienka, znająca dobrze moczydolskie lasy, odnalazła z łatwością bród, pokazało się jednak, że rzeczułka nieco wezbrała od deszczów, i że woda jest dość głęboka. Wówczas Zbyszko, nie pytając, chwycił dziewczynę za ręce.

— Przeszłabym i tak — rzekła Jagienka.

— Trzymaj się szyi! — odpowiedział Zbyszko.

I szedł zwolna przez rozlaną wodę, próbując za każdym krokiem nogą, czy nie trafi na głębinę, dziewczyna zaś przytulała się wedle rozkazu do niego, wreszcie, gdy już byli niedaleko drugiego brzegu, rzekła:

— Zbyszku!

— A no?

— Nie pójdę ni za Cztana, ni za Wilka...

On tymczasem doniósł ją, spuścił uważnie na szczerk i odpowiedział nieco wzburzony:

— A niech ci ta Bóg da jak najlepszego! Nie będzie on miał krzywdy.

Do Odstajanego jeziorka nie było już daleko. Jagienka idąc teraz na przedzie, odwracała się niekiedy i, kładąc palce na usta, nakazywała Zbyszkowi milczenie. Szli wśród kęp łozin i szarych wierzb po gruncie mokrym i nizkim. Od prawej strony dolatywały ich gwary ptasie, którym dziwił się Zbyszko, gdyż była to już pora odlotu.

— Tam oparzelisko, — szepnęła Jagienka — gdzie kaczki zimują, ale i w jeziorku woda jeno z brzegu na wielkie mrozy zamarza. Obacz jako dymi...

Zbyszko spojrzał przez łozinę i spostrzegł przed sobą, jakoby tuman mgły: było to Odstajane jeziorko.

Jagienka znów przyłożyła palec do ust, i po chwili doszli. Dziewczyna pierwsza wczołgnęła się cicho na grubą, starą wierzbę, pochyloną całkiem nad wodą, Zbyszko poszedł za jej przykładem, i przez długi czas leżeli spokojnie, nie widząc przed sobą nic z powodu mgły, słysząc tylko załośliwy pisk czajek i rybitew nad głowami. Wreszcie jednak powiał wiatr, zaszeleścił łoziną, żółciejącymi liśćmi wierzb, i odsłonił zapadłą toń jeziorka, zmarszczoną nieco od powiewu i pustą.

— Nie widać? — szepnął Zbyszko.

— Nie widać. Cichaj!...

Jakoż po chwili wiatr opadł, i nastała cisza zupełna. Wówczas na powierzchni wody zaczerniała jedna głowa, potem drugi — a wreszcie znacznie bliżej spuścił się do wody z brzegu duży bóbr ze świeżo obciętą gałęzią w pysku i począł płynąć wśród rzęsy i kaczeńca, podnosząc paszczę w górę i holując gałąź przed sobą. Zbyszko, leżąc na pniu poniżej Jagienki, ujrzał nagle jak łokcie jej poruszyły się cicho, a głowa pochyliła się ku przodowi: widocznie mierzyła do zwierza, który, nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, przepływał nie dalej niż na pół strzelenia, ku niezarosłej toni.

Wreszcie zawarczała cięciwa kuszy, a jednocześnie głos Jagienki zawołał:

— Jest! jest!...

Zbyszko wdrapał się w mgnieniu oka wyżej i spojrzał przez gałęzie na wodę: bóbr to zanurzał się, to wypływał na powierzchnię, koziołkując przytem i ukazując chwilami jaśniejszy od grzbietu brzuch.

— Dobrze dostał! zaraz się uspokoi! — rzekła Jagienka.

I zgadła, gdyż ruchy zwierza stawały się coraz słabsze, a po upływie jednej zdrowaśki, spłynął na powierzchnię, brzuchem do góry.

— Pójdę po niego — rzekł Zbyszko.

— Nie chodź. Tu z brzegu jest mułu na kilku chłopów. Kto nie wie jak sobie poradzić, utopi się napewno.

— To jakże go dostaniem?

— Już on wieczorem będzie w Bogdańcu, niech cię o to głowa nie boli; a nam czas do domu...

— Aleś go dobrze ustrzeliła!

— Ba! nie pierwszego!...

— Inne dziewki boją się i spojrzeć na kuszę, a z taką to choćby całe życie po boru chodzić!...

Jagienka, słysząc tę pochwałę, uśmiechnęła się z radości, ale nie odrzekła nic, i poszli tą samą drogą przez łozinę. Zbyszko począł wypytywać o żeremia bobrowe, ona zaś opowiadała mu, ile jest bobrów na Moczydołach, ile na Zgorzelicach, i jak sobie po pagórkach i drogach bobrują.

Nagle jednak uderzyła się dłonią po biodrze.

— Ot! — zawołała: — zabaczyłam grotów na wierzbie. Czekaj!

I nim zdążył odpowiedzieć, że sam po nie pójdzie, skoczyła jak sarna z powrotem, a po chwili znikła mu z oczu. Zbyszko czekał, i czekał, aż wreszcie począł się dziwić, dlaczego jej tak długo niema.

— Chyba pogubiła groty i szuka ich, — rzekł sobie — ale pójdę obaczę czy jej się co nie stało...

Zaledwie jednak przeszedł parę kroków, gdy dziewczyna zjawiła się przed nim z kuszą w ręku, ze śmiejącą się rumianą twarzą i z bobrem na plecach.

— Dla Boga! — zawołał Zbyszko: — a ty jakeś go wyłowiła?

— Jak? wlazłam do wody i tyla! mnie nie pierwszyzna, a ciebie nie chciałam puścić, bo kto tam nie wie jak pływać, zaraz go muł wciągnie.

— A jam ci tu czekał, jak kto głupi! Chytra z ciebie dziewka.

— No to i co? Miałam się przy tobie rozdziewać, czy jak?

— Toś i grotów nie zapomniała?

— A nie, jeno chciałam cię odwieźć od brzegu.

— Ba, a żebym tak za tobą poszedł, tobym dopiero dziwo zobaczył. Byłoby się nad czem cudować! Hej!...

— Cichaj!

— Jak mi Bóg miły, takem już szedł.

— Cichaj!...

Po chwili zaś, chcąc widocznie odwrócić rozmowę, rzekła:

— Wyżmij mi warkocz, bo mi okrutnie plecy moczy.

Zbyszko chwycił jedną ręką warkocz blizko głowy, drugą zaś począł go wykręcać, mówiąc przytem:

— Najlepiej go rozpleć, to wiatr zaraz wysuszy.

Lecz ona nie chciała tego czynić, z powodu gęstwiny, przez którą musieli się przedzierać. Zbyszko wziął teraz bobra na plecy, Jagienka zaś idąc na przedzie, mówiła:

— Prędko teraz Maćko wyzdrowieje, bo na rany nie masz nad niedźwiedzie sadło do środka, a bobrowy skrom na wierzch. Za jakie dwie niedziele na koń będzie siadał.

— Daj-że mu Boże! — odrzekł Zbyszko. — Czekam też tego jak zbawienia, bo mi nijak od chorego odjeżdżać, a ciężko mi tu siedzieć.

— Ciężko ci tu siedzieć? — spytała Jagienka. — Czemu to?

— To ci nic Zych nie mówił o Danusi?

— Coś mi tam mówił... Wiem... ona cię nałączką nakryła... wiem!... — mówił mi także, że każdy rycerz śluby jakoweś czyni, że będzie swojej paniej służył... Ale powiadał, że to nic — taka służba... bo poniektóry, choć żeniaty, a też jakowejś pani służy... A ta Danusia, Zbyszko to co? — powiadaj!... co ona Danusia?

I przysunąwszy się blizko, podniosła oczy i poczęła patrzeć z wielkim niepokojem w jego twarz, on zaś, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na jej trwożny głos i spojrzenie, rzekł:

— Pani ci to jest moja, ale i kochanie najmilejsze. Nie mówię ja tego nikomu, ale tobie powiem, jakoby właśnie siostrze, bo się od małego znamy. Poszedłby ja za nią za dziewiątą rzekę i za dziewiąte morze do Niemców i do Tatarów, gdyż niema takiej drugiej i w całus-

kim świecie. Niech stryk w Bogdańcu siedzi, a ja zaś przed się ku niej powędruję... Co mi ta bez niej Bogdaniec, co statek, co stada, co opatowe bogactwa! Siądę, ot na koń i na zamry pojadę, a tak mi dopomóż Bóg, jako że to, com jej ślubował, spełnię, chyba że wprzódy sam legnę.

— Nie wiedziałam... — odparła głucho Jagienka.

Zbyszko zaś począł jej opowiadać, jako się z Danusią w Tyńcu poznali, jak jej zaraz ślubował, i wszystko, co nastąpiło potem, więc swoje uwięzienie, ratunek, jaki mu dała Danusia, Jurandową odmowę, pożegnanie, swoje tęsknoty i wreszcie radość z tego, że po wyzdrowieniu Maćka będzie mógł jechać do kochanej dziewczyny, by spełnić, co jej obiecał. Opowiadanie przerwał mu dopiero widok pachołka z końmi, który czekał na skraju lasu.

Jagienka siadła zaraz na koń i poczęła się żegnać ze Zbyszkiem.

— Niech pachołek jedzie z bobrem za tobą, a ja nawrócę do Zgorzelic.

— A to nie pojedziesz do Bogdańca? Zych tam jest.

— Nie. Tatulo mieli wrócić i mnie kazali.

— No, to Bóg ci zapłać za bobra.

— Z Bogiem...

I po chwili Jagienka została sama. Jadąc przez wrzosy ku domowi, czas jakiś oglądała się za Zbyszkiem, a gdy znikł wreszcie za drzewami, zakryła oczy dłonią, jakby chroniąc się od blasku słońca. Wkrótce jednak z pod ręki poczęły jej spływać po policzkach łzy wielkie i padać jedna za drugą, jak groch na siodło i grzywę końską.

14.

Po rozmowie ze Zbyszkiem, Jagienka przez trzy dni nie ukazywała się w Bogdańcu, atoli czwartego wpadła z wiadomością, że opat przyjechał do Zgorzelic. Maćko przyjął nowinę z pewnem wzruszeniem. Miał on wprawdzie z czego spłacić sumę zastawną, a nawet wyliczył, że dość mu zostanie na pomnożenie osadników, zaprowadzenie stad i inne potrzeby gospodarskie, niemniej jednak dużo w całej sprawie zależało od życzliwości bogatego krewnego, który mógł naprzykład chłopów, osadzonych przez się na źrebiach, zabrać, albo zostawić i tem samem zniżyć albo powiększyć wartość majątku.

Wypytał zatem Maćko bardzo dokładnie Jagienkę o opata, jaki przyjechał: wesół, czy chmurny, co o nich mówił i kiedy zjedzie do Bogdańca? — ona zaś odpowiadała mu roztropnie na pytanie, starając się pokrzepić go i uspokoić we wszystkiem.

Mówiła, iż opat przyjechał zdrów i wesół, ze znacznym pocztem, w którym, prócz zbrojnych pachołków, było kilku kleryków-wagantów i rybałtów, że pośpiewuje z Zychem i rad podaje ucha pieśniom nietylko duchownym, lecz i świeckim. Zauważyła też, że rozpytywał z wielką troskliwością o Maćka, a opowiadań Zychowych o przeprawach Zbyszka w Krakowie chciwie słuchał.

— Sami najlepiej wiecie, co wam czynić należy; — rzekła wkońcu mądra dziewczyna, — ale, ja tak myślę, iże wypadałoby Zbyszkowi zaraz jechać, starszego krewnego powitać, nie czekając, aż on pierwszy do Bogdańca zjedzie.

Maćkowi trafiła ta rada do przekonania, więc kazał przywołać Zbyszka i rzekł mu:

— Przybierz się pięknie i pojedziesz pod nogi opata podjąć, cześć mu wyrządzić aby i on cię umiłował.

Następnie zwrócił się do Jagienki:

— Nie dziwowałbym się, choćbyś była głupia, boś od tego niewiasta, ale że rozum masz, to się dziwuję. Powiedz-że mi, jako mam najlepiej opata ugościć i czem go ucieszyć, gdy tu przyjedzie?

— Co do jadła, sam powie, na co ma ochotę; lubi on dobrze podjeść, ale byle dużo było szafranu, to i nie przebredza.

Maćko, słysząc to, porwał się za głowę.

— Skąd ja mu szafranu wezmę!...

— Przywiozłam — rzekła Jagienka.

— A bogdaj się takie dziewki na kamieniu rodziły! — zawołał uradowany Maćko. — I ku oczom to miłe, i gospodarne, i rozstropne, i ludziom życzliwe! Hej! żebym tak był młody, zarazbym cię brał!...

Na to Jagienka spojrzała nieznacznie na Zbyszka, i westchnąwszy cicho, mówiła dalej:

— Przywiozłam też i kości, i kubek, i sukno, bo on po każdem jedzeniu rad się kośćmi zabawia.

— Miał ten obyczaj i drzewiej, a gniewliwy przytem bywał okrutnie.

— Gniewliwy to on ci i teraz bywa; nieraz kubkiem o ziemię praśnie i precz za drzwi do pola wyskoczy. Ale potem śmiejący się wraca i sam pierwszy nad swoim gniewem wydziwia... Wy go przecie znacie... Jeno mu się nie przeciwić, to niema lepszego człowieka na świecie.

— A ktoby mu się tam sprzeciwiał, kiedy on i rozum ma od innych większy!

Tak to oni ze sobą rozmawiali, gdy tymczasem Zbyszko przybierał się w alkierzu. Wyszedł wreszcie tak piękny, że Jagienkę aż olśniło, zupełnie jak wówczas, gdy pierwszy raz przyjechał w swojej białej „jace" do Zgorzelic. Ale tym razem zdjął ją głęboki żal na myśl, że ta jego uroda nie dla niej i że on inną umiłował.

Maćko zaś rad był, pomyślał bowiem, że opat pewno sobie Zbyszka upodoba i przy układach nie będzie czynił trudności. Ucieszył się nawet tą myślą tak dalece, iż postanowił jechać razem.

— Każ mi wymościć wóz, — rzekł do Zbyszka — mogłem jechać z Krakowa aże do Bogdańca z żelezcem między żebrami, to mogę teraz bez żelezca do Zgorzelic.

— Byle was nie zamroczyło — rzekła Jagienka.

— Ej, nic mi nie będzie, bo już czuję w sobie moc. A choćby mnie ta trochę i zamroczyło, będzie wiedział opat, jakom ku niemu śpieszył i tem hojniejszym się okaże.

— Milsze mi wasze zdrowie, niż jego hojność! — ozwał się Zbyszko.

Lecz Maćko uparł się i postawił na swojem. Po drodze stękał trochę, nie przestawał jednak dawać Zbyszkowi nauk, jak się ma zachować w Zgorzelicach, szczególniej zaś zalecał mu posłuszeństwo i pokorę wobec możnego krewnego, który nigdy nie znosił najmniejszego oporu.

Przyjechawszy do Zgorzelic znaleźli Zycha i opata na przyłapie, spoglądających przed się na pogodny świat Boży i popijających wino. Za nimi, pod ścianą, siedziało rzędem na ławie, sześciu pocztowych, w tem dwóch rybałtów i jeden pątnik, którego łatwo było rozeznać po zakrzywionym kiju, obońce u pasa i po małżowinach, naszytych na ciemnej opończy. Inni wyglądali na kleryków, albowiem głowy mieli z wierzchu pogolone, odzież jednakże nosili świecką, pasy z byczej skóry, a przy boku kordy.

Na widok Maćka, który zajechał na wozie, ruszył się żywo Zych, opat zaś, widocznie bacząc na swą duchową godność, został na miejscu, począł tylko coś mówić do swoich kleryków, których jeszcze kilku wysypało się przez otwarte drzwi izby. Zbyszko i Zych wprowadzili pod rękę słabego Maćka na przyłap.

— Trocha jeszcze nie mogę, — rzekł Maćko, całując opata w rękę, — alem przyjechał, aby się wam, dobrodziejowi mojemu, pokłonić, za gospodarstwo w Bogdańcu podziękować i o błogosławieństwo poprosić, które grzesznemu człowiekowi najpotrzebniejsze.

— Słyszałem, żeście zdrowsi — rzekł opat, ściskając go za głowę, — i żeście się do grobu naszej niebożczki królowej ofiarowali.

— Bo nie wiedząc do którego Świętego się udać, do niej się udałem.

— Dobrzeście uczynili! — zawołał zapalczywie opat: — lepsza ona od innych i niechby jej który śmiał pozazdrościć!

I w jednej chwili gniew wystąpił mu na oblicze, policzki napływały krwią, oczy poczęły się iskrzyć.

Znali tę jego zapalczywość obecni, więc Zych począł się śmiać i wołać:

— Bij, kto w Boga wierzy!

Opat zaś odsapnął rozgłośnie, potoczył oczyma po obecnych, zaczem roześmiał się równie nagle, jak poprzednio wybuchnął, i spojrzawszy na Zbyszka, zapytał:

— A to wasz bratanek i mój krewniak?

Zbyszko pochylił się i ucałował go w rękę.

— Małego widziałem; nie poznałbym! — mówił opat. — Pokaż się jeno!

I począł go oglądać od stóp do głowy bystremi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Zbyt urodziwy! panna to, nie rycerz!

Na to Maćko:

— Brali tę pannę Niemce w taniec, ale co ci ją który wziął, wnet się wykopyrtnął i już nie wstał.

— I kuszę bez pokrętki napnie! — zawołała nagle Jagienka.

Opat zwrócił się ku niej:

— A ty tu czego?!

Ona zaś zaczerwieniła się tak, że aż szyja i uszy jej stały się różowe, i odrzekła ogromnie zmieszana:

— Bom widziała...

— Strzeż-że się, by cię przypadkiem nie ustrzelił; musiałabyś się bez trzy kwartały goić...

Na to rybałtowie, pątnik i „kleryci-waganci" wybuchnęli jednym gromkim śmiechem, od którego Jagienka stropiła się do reszty, tak, że opat ulitował się nad nią i podniósłszy ramię, ukazał jej olbrzymi rękaw swej sukni:

— Pochowaj się, dziewucho, — rzekł: — bo ci krew z jagód tryśnie.

Tymczasem Zych usadził Maćka na ławie i kazał przynieść wina, po które skoczyła Jagieńka. Opat zwrócił oczy na Zbyszka i począł tak mówić:

— Dość krotochwil! Nie dla sromoty ja cię do dziewki porównał, jeno z wesołości dla twojej urody, której i niejedna dziewka mogłaby pozazdrościć. Ale wiem, żeś chłop na schwał! Słyszałem i o twoich uczynkach pod Wilnem, i o Fryzach, i o Krakowie. Powiadali mi Zych o wszystkiem — rozumiesz!...

Tu począł patrzeć przenikliwie w oczy Zbyszka i po chwili ozwał się znowu:

— Iześ trzy pawie czuby poprzysiągł, to ich sobie szukaj! Chwalebny to jest i Bogu miły uczynek nieprzyjaciół naszego plemienia ścigać... Ale, jeżeliś i co innego przytem ślubował, to wiedz, że cię tu na poczekaniu mogę od onych ślubów rozwiązać, bo takową moc mam.

— Hej! — rzekł Zbyszko: — jak człowiek co Panu Jezusowi w duszy obiecał, to jakaż moc może go od tego rozwiązać?

Usłyszawszy to Maćko, spojrzał z pewną obawą na opata, lecz on widocznie był w wybornym humorze, gdyż zamiast wybuchnąć gniewem, pogroził wesoło palcem Zbyszkowi i rzekł:

— To ci mądrala! Bacz, by ci się nie przygodziło to, co Niemcowi Beyhardowi.

— A co mu się przygodziło? — spytał Zych.

— A spalili go na stosie.

— Za co?

— Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice Boskie wyrozumieć, jako i osoba duchowna.

— Surowie ci go pokarali!

— Ale słusznie! — zagrzmiał opat, — gdyż przeciw Duchowi Świętemu pobluźnił. Cóż to sobie myślicie! Może-li człek świecki co z tajemnic Boskich wymiarkować?

— Nijak nie może! — ozwali się zgodnym chórem wędrowni klerycy.

— A wy „szpylmany" cicho siedzieć! — rzekł opat — boście też żadni duchowni, choć głowy macie pogolone.

— Nie szpylmany my już, ni golirdoże, jeno waszej miłości dworzanie, — odpowiedział jeden z nich, zaglądając w tymże czasie do dużej konwi, od której zdaleka bił zapach słodu i chmielu.

— Patrzcie!... mówi jakoby z beczki! — zawołał opat. — Hej, ty kudłaty! A czego do konwi zaglądasz? Łaciny tam na dnie nie znajdziesz.

— Ja też nie łaciny szukam, jedno piwa, którego nie mogę naleźć.

Opat zaś zwrócił się do Zbyszka, który ze zdziwieniem spoglądał na tych dworzan i rzekł:

— Wszystko to „clerici scholares", choć każdy wolał prasnąć książkę, a chycić lutnię i z nią włóczyć się po świecie. Przygarnąłem ich i żywię, bo cóż mam robić? Nicponie i powsinogi wierutne, ale umieją śpiewać i trochę służby Bożej liznęli, więc mam z nich przy kościele pożytek, a w potrzebie i obronę, bo niektórzy sierdziste pachołki! Ten tu pątnik prawi, że był w Ziemi Świętej, ale próżnobyś go pytał o jakoweś morza, alibo kraje, bo on tego nawet nie wie, jak cesarzowi greckiemu na imię i w którem mieście mieszka.

— Wiedziałem, — odrzekł ochrypłym głosem pątnik, — ale jak mnie wzięła frybra na Dunaju trząść, tak i wszystko wytrzęsła.

— Najbardziej się mieczom dziwuję, — rzekł Zbyszko, — bo takich nigdy u wędrownych kleryków nie widziałem.

— Im wolno, — rzekł opat — gdyż nie mają święceń, a że ja także kord przy boku noszę, to nie dziwota. Rok temu pozwałem Wilka z Brzozowej na udeptaną ziemię, o te bory, przez któreście przejeżdżali do Bogdańca. Nie stawił się...

— Jako-że miał duchownemu stawać? — przerwał Zych.

Na to zaperzył się opat, i uderzywszy pięścią w stół, zawołał:

— Gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, jeno ślachcic!... A on nie stanął bo mnie wolał z pachołkami nocą w Tulczy najechać. Ot, dlaczego kord przy boku noszę!... „Omnes leges, omniaque iura vim vi repellere cunctisque sese defensare permittunt!" Ot, dlaczego i im dałem miecze.

Umilkli, zasłyszawszy łacinę, Zych, Maćko i Zbyszko, i schylili głowy przed mądrością opata, gdyż żaden ni jednego słowa nie wyrozumiał; on zaś toczył jeszcze czas jakiś w około gniewnemi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Kto go wie, czy on i tu na mnie nie napadnie?

— O wa! niech jeno napadnie! — zawołali wędrowni klerycy, chwytając za rękojeść mieczów.

— A niechby napadł! Cni się już i mnie bez bitki.

— Nie uczyni on tego — rzekł Zych — prędzej z pokłonem i zgodą przyjdzie. Borów się już wyrzekł, a o syna mu chodzi... Wiecie!... Ale niedoczekanie jego!...

Tymczasem opat uspokoił się i rzekł:

— Młodego Wilka widziałem, jako pił z Cztanem z Rogowa w gospodzie w Krześni. Nie uznali nas z razu, było ciemno — i precz uradzali o Jagience.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— I o tobie.

— A oni czego ode mnie chcieli?

— Oni od ciebie niczego nie chcieli, jeno nie po myśli im to, iż jest w pobliżu Zgorzelic trzeci. Tak tedy mówi Cztan do Wilka: „Jak mu skórę wygarbuję, to przestanie być gładki". A Cztan mówi: „Może się nas będzie bojał, a nie, to mu gnaty w mig połamię!" A potem poczęli się obaj upewniać, że się będziesz bojał.

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał na Zycha, Zych na niego, i oblicza obu przybrały wyraz chytry i radosny. Żaden nie był pewny, czy opat słyszał istotnie taką rozmowę, czy też zmyśla dlatego jedynie, by Zbyszkowi dodać bodźca; natomiast rozumieli obaj, a zwłaszcza znając dobrze Zbyszka Maćko, że nie było na świecie lepszego sposobu, aby go popchnąć do Jagienki.

A opat, jakby umyślnie, dodał:

— I po prawdzie, morowe to chłopy!...

Zbyszko zaś nie pokazał po sobie nic, tylko począł pytać Zycha jakimś, jakby nieswoim głosem:

— A to jutro niedziela?

— Niedziela.

— Na mszę świętą zaś pojedziecie?

— A no!...

— Dokąd? do Krześni?

— Bo najbliżej. Gdzieżbyśmy jechali?

— No, to dobrze!

15.

Zbyszko, dogoniwszy Zycha i Jagienkę, jadących w towarzystwie opata i jego kleryków do Krześni, przyłączył się do nich i jechał razem, chodziło mu bowiem o to, by dowieść opatowi, że się Wilka z Brzozowej, ni Cztana z Rogowa nie lęka i chować się przed nimi nie myśli. Zdziwiła go znów w pierwszej chwili uroda Jagienki, bo chociaż nieraz widywał ją i w Zgorzelicach, i w Bogdańcu, przybraną pięknie do gości, ale nigdy tak, jak teraz do kościoła. Odzież miała z czerwonego sukna, podbitą gronostajami, czerwone rękawiczki i gronostajowy, naszyty złotem kapturek na głowie, z pod którego wysuwały się na ramiona dwa warkocze. Nie siedziała też na koniu po męsku, ale na wysokiem siodle z poręczą i z ławeczką pod stopy, które ledwie było widać z pod długiej i ułożonej w równe zagiętki spódnicy. Zychowi, który pozwalał dziewczynie ubierać się w domu w kożuch i jałowicze buty, chodziło o to, by przed kościołem każdy poznał, iż

przyjechała nie córka byle szarego włodyczki, albo ściercialki*), lecz panna z możnego rycerskiego domu. W tym celu, konia jej prowadziło dwóch wyrostków, przybranych od dołu obcisło, od góry w buchaste szaty, jakie nosili zwykle paziowie. Czterech dworskich ludzi jechało z tyłu, a z nimi opatowi klerycy, z kordami i lutniami przy pasach. Zbyszko podziwiał wielce cały orszak, szczególnie zaś Jagienkę, wyglądającą, jak obrazek i opata, który w czerwieni i z olbrzymimi rękawami u sukni wydawał mu się, jak jaki podróżujący książę. Najskromniej ze wszystkich przybrany był sam Zych, który dbał o okazałość dla innych, dla siebie zaś tylko o wesołość i śpiewanie.

Zrównawszy się, jechali w szeregu: opat, Jagienka, Zbyszko i Zych. Opat z początku kazał śpiewać nabożne pieśni swoim „szpylmanom" — później atoli, mając ich dosyć, począł rozmawiać ze Zbyszkiem, który z uśmiechem spoglądał na jego potężny kord, niemiejszy od dwuręcznych niemieckich brzeszczotów.

— Widzę, — rzekł z powagą, że cudujesz się nad moim mieczem; wiedz przeto, że synody zezwalają duchownym na miecze, a nawet na balisty i katapulty w podróży — my zasie jesteśmy w podróży. Wreszcie, gdy Ojciec Święty mieczów i czerwonych szat księżom zabraniał, to pewnikiem myślał o ludziach nizkiego stanu, ślachcica bowiem Bóg stworzył do broni, i ktoby mu chciał ją odjąć, tenby się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał.

— Widziałem księcia mazowieckiego Henryka, który się w szrankach potykał, — odrzekł Zbyszko.

— Nie to mu się też gani, że się potykal, odpowiedział, podnosząc w górę palec opat, — ale to, że się ożenił, i do tego nieszczęśliwie, albowiem fornicariam i bibulam wziął mulierem, która, jak mówią, Bacchum od młodości adorabat, a do tego i adultera była, z czego też nic dobrego wypaść nie mogło.

Tu aż zatrzymał konia i począł nauczać z większą jeszcze powagą.

— Kto libo masz się żenić, czyli uxorem wybierać, masz baczyć, aby była bogobojna, dobrych obyczajów, gospodarna i ochędożna, co wszystko, oprócz Ojców Kościoła, jeszcze ci i pewien pogański mędrzec imieniem Seneka poleca. A jakoż uznasz, iześ dobrze utrafił, jeśli nie znasz gniazda, z którego towarzyszkę dozgonną wybierasz? Albowiem inny mędrzec Pański powiada: Pomus nam cadit absque arbore... Jaki wół, taka i skóra, jaka mać, tak i córa... Z czego bierz, grzeszny człowiecze, tę naukę, aby nie w dalekości, ale w pobliżu żony szukał, bo jeśli złą i fryjowną dostaniesz, nieraz na nią zapłaczesz, jako płakał oto filozof, gdy mu swarliwa niewiasta aquam sordidam na głowę w gniewie wylała.

— In secula seculorum, amen! — zagrzmieli jednym głosem wędrowni klerycy, którzy odpowiadając tak zawsze opatowi, nie bardzo baczyli, czy odpowiadają do sensu.

Wszyscy słuchali w wielkiem skupieniu słów opata, dziwiąc się jego wymowie i biegłości w Piśmie, on zaś nie mówił rzekomo

*) Skartabella.

wproſt do Zbyſzka, owſzem więcej zwracał ſię do Zycha i Jagienki, jakby ſzczególnie ich chciał zbudować. Jagienka jednak pojęła widocznie, o co chodzi, gdyż ſpoglądała pilnie z pod ſwoich długich rzęs na chłopaka, który namarſzczył brew i ſpuścił głowę, niby głęboko rozważając to, co ſłyſzał.

Po chwili orſzak ruſzył dalej, ale w milczeniu; dopiero gdy już Krześnię było widać, zmacał ſię opat po paſie, obrócił go ku przodowi, tak, aby łatwo było chwycić za rękojeść korda, i rzekł:

— A ſtary Wilk z Brzozowej pewnie z dobrym pocztem przyjedzie.

— Pewnie, — potwierdził Zych — ale coś tam ſłudzy gadali, że zachorzał.

— A jeden z moich kleryków ſłyſzał, że ma na nas naſtąpić przed goſpodą, po kościele.

— Nie uczyniłby on tego bez zapowiedzi i zwłaſzcza po mſzy świętej.

— Niech mu tam Bóg ześle upamiętanie. Ja wojny z nikim nie ſzukam i krzywdy cierpliwie znoſzę.

Tu obejrzał ſię na ſwych „ſzpylmanów" i rzekł:

— Nie wydobywać mi mieczów i pamiętać, żeście duchowni ſłudzy, a dopiero, gdyby tamci pierwſi wydobyli, to w nich!

Zbyſzko zaś, jadąc wedle Jagienki, wypytywał ją ze ſwej ſtrony o ſprawy, o które mu głównie chodziło.

— Cztana i młodego Wilka zaſtaniem niechybnie w Krześni, — mówił. — Pokażeſz mi ich zdaleka, abym wiedział, którzy ſą.

— Dobrze, Zbyſzku, — odrzekła Jagienka.

— Przed kościołem i po kościele zapewne cię oni ſpotykają. Coże wówczas robią?

— Służą mi, jako umieją.

— Nie będą ci dziś ſłużyli, rozumieſz?

A ona odrzekła znów niemal z pokorą:

— Dobrze Zbyſzku.

Dalſzą rozmowę przerwał im głos drewnianych kołatek, gdyż w Krześni nie było jeſzcze dzwonów. Po chwili dojechali. Z tłumów, czekających na mſzę przed kościołem wyſunęli ſię natychmiaſt młody Wilk i Cztan z Rogowa, lecz Zbyſzko uprzedził ich, zeſkoczył z konia, nim zdołali dobiedz i chwyciwſzy pod boki Jagienkę, zſadził ją z ſiodła, poczem wziął za rękę, i ſpoglądając na nich wyzywająco, prowadził do kościoła.

W przedſionku kościelnym czekał ich nowy zawód. Obaj poſpieſzyli do kropielnicy, i obaj zanurzywſzy w nią ręce, wyciągnęli je do dziewczyny. Lecz to ſamo uczynił Zbyſzko, ona zaś dotknęła jego palców, a następnie przeżegnała ſię i z nim razem weſzła do kościoła. Wtedy nie tylko młody Wilk, ale i Cztan z Rogowa, chociaż miał rozum miałki, domyślił ſię, iż to wſzyſtko było uczynione umyślnie, i obydwóch ogarnął gniew tak dziki, że aż włoſy poczęły ſię im jeżyć pod pątlikami. Zachowali zaledwie tyle przytomności, że w gniewie

nie chcieli, bojąc się kary Boskiej, wchodzić do kościoła; natomiast Wilk wypadł z przedsionka i leciał, jak szalony przez cmentarz między drzewami, sam nie wiedząc dokąd. Cztan leciał za nim, także nie wiedząc, w jakim to czyni celu.

Zatrzymali się aż w rogu parkanu, gdzie leżały wielkie kamienie przygotowane pod fundamenta dzwonnicy, którą miano stawiać w Krześni. Tam Wilk, chcąc spędzić złość, która burzyła mu się aż pod szyję w piersiach, chwycił za jeden z głazów i jął nim potrząsać ze wszystkich sił, co widząc Cztan, chwycił go także i po chwili poczęli obaj toczyć go ze wściekłością przez cały cmentarz, aż ku wrotom kościelnym.

Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, mniemając, że uczynili ślub jakowyś i że w ten sposób chcą się do budowy dzwonnicy przyczynić. Lecz im wysiłek ów ulżył znacznie tak, że oprzytomnieli obaj, stali tylko bladzi z natężenia, sapiąc i spoglądając na się niepewnym wzrokiem.

Milczenie przerwał pierwszy Cztan z Rogowa.

— No i co? — spytał.

— A co? — odpowiedział Wilk.

— Zaraz-li go napadniem?

— Jako-że w kościele będziesz napadał?

— Nie w kościele, jeno po mszy.

— Z Zychem jest — i z opatem. A toś zabaczył, co mówił Zych, że niech-li się zdarzy bitka, obydwóch ze Zgorzelic wyżenie. Gdyby nie to, byłbym ci dawno żebra połomił.

— Albo ja tobie! — odparł Cztan, ściskając swe potężne pięści.

I oczy poczęły im się skrzyć złowrogo, lecz wnet pomiarkowali obaj, że teraz więcej im potrzeba zgody, niż kiedykolwiek. Nieraz już oni bili się z sobą, lecz zawsze jednali się po bitce, bo chociaż rozdzielała ich miłość do Jagienki, jednak żyć bez siebie nie mogli i tęsknili jeden do drugiego zawsze. Obecnie zaś mieli wspólnego wroga i czuli obaj, że jest to wróg okrutnie niebezpieczny.

Po chwili zatem Cztan spytał:

— Co robić? Chyba mu zapowiedź posłać do Bogdańca.

Wilk, który był mądrzejszy, nie wiedział jednakże na razie, co robić. Na szczęście, przyszły mu w pomoc kołatki, które ozwały się znowu na znak, iż nabożeństwo się poczyna. Więc rzekł:

— Co robić? Pójść na mszę, a potem będzie, co Bóg da.

Ucieszył się z tej rozumnej odpowiedzi Cztan z Rogowa.

— Może ta Pan Jezus nas natchnie — rzekł.

— I pobłogosławi — dodał Wilk.

— Po sprawiedliwości.

I poszli do kościoła, a wysłuchawszy pobożnie nabożeństwa nabrali otuchy. Nie stracili głów nawet wówczas, gdy Jagienka po mszy w przedsionku znowu przyjęła wodę święconą z ręki Zbyszka. Na cmentarzu przy wrotach podjęli pod nogi Zycha, Jagienkę, a nawet i opata, choć ten był nieprzyjacielem starego Wilka z Brzozowej. Na

Zbyszka patrzyli wprawdzie z podełba, ale żaden nie warknął, chociaż serca skowytały im w piersiach z bólu, z gniewu i zazdrości, gdyż nigdy Jagienka nie wydawała im się tak cudną i tak do królewny podobną. Dopiero gdy świetny orszak ruszył z powrotem, i gdy zdala doszła ich wesoła pieśń wędrownych kleryków, Cztan począł ocierać pot ze swych zarosłych policzków i parskać, jak koń, Wilk zaś ozwał się, zgrzytając zębami:

— Do gospody! do gospody! gorze mi...

Poczem, pamiętając, co im poprzednio ulżyło, chwycili znów głaz i potoczyli go zapalczywie na dawne miejsce.

Zbyszko zaś jechał wedle Jagienki, słuchając pieśni opatowych szpylmanów, lecz gdy ujechali pięć albo sześć stajań, zatrzymał nagle konia i rzekł:

— Ba, miałem dać na mszę za stryjkowe zdrowie i zabaczyłem: wrócę się.

— Nie wracaj! — zawołała Jagienka: — poślem ze Zgorzelic...

— Wrócę, a wy nie czekajcie na mnie. Z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł opat. — Jedź!

I twarz mu powesełała, a gdy Zbyszko znikł im z oczu, trącił nieznacznie Zycha i rzekł:

— Rozumiecie?

— Co mam rozumieć?

— Pobije się w Krześni z Wilkiem i Cztanem, jako amen w pacierzu, ale tegom chciał i do tegom prowadził.

— To morowe chłopy! jeszcze go poranią, i co z tego?

— Jakto co z tego? Jeśli za Jagienkę się pobije, to jakże mu potem o tej Jurandównie myśleć? Jagienka ci mu odtąd będzie panią — nie tamta; tego zaś chcę, bo to mój krewny i udał mi się!

— Ba, a ślubowanie?

— Na poczekaniu go rozgrzeszę! zaliście nie słyszeli, żem to już obiecał?

— Wasza głowa na wszystko poradzi — odrzekł Zych.

Opat uradował się pochwałą, poczem przysunął się do Jagienki i zapytał:

— Czegożeś taka frasobliwa?

Ona pochyliła się w siodle, i chwyciwszy rękę opatową, podniosła ją do ust:

— Ojcze krzestny, a możebyście też podesłali z paru „szpylmanów" do Krześni.

— Po co? Pobiją mi się w gospodzie i tyla.

— Ale może jakowej zwadzie przeszkodzą.

Opat spojrzał jej bystro w oczy i nagle rzekł ostro:

— A choćby go tam i zabili!

— To niech i mnie zabiją! — zawołała Jagienka.

I gorycz, która nagromadziła się z żalem w jej piersiach od czasu rozmowy ze Zbyszkiem, spłynęła teraz nagłym potokiem łez. Widząc to, opat objął ramieniem dziewczynę, tak, że nakrył ją prawie całą swoim olbrzymim rękawem, i począł mówić:

— Nie bój się córuchno o nic. Zwada może się przygodzić, ale przecie i tamci są ślachtą, przeto go kupą nie napadną, jeno na pole rycerskim obyczajem pozwą, a już tam on da sobie rady, choćby się naraz z obydwoma miał potykać. A co do Jurandówny, o której słyszałaś, to ci jeno tyle rzekę, że drzewo na tamtę łożnicę w nijakim boru nie rośnie.

— Skoro mu tamta milsza, to i ja o niego nie dbam! — odpowiedziała przez łzy Jagienka.

— To czegoż chlipiesz?

— Bo się o niego boję.

— Ot, babski rozum! — rzekł, śmiejąc się, opat.

Poczem, schyliwszy się do ucha Jagienki, począł mówić:

— Pomiarkuj się, dziewczyno, że choć cię i weźmie, to też nieraz zdarzy mu się spotykać, bo od tego ślachcic.

Tu schylił się jeszcze niżej i dodał:

— A weźmie cię — i to niezadługo, jako Bóg w niebie!

— Zaśby tam brał! — odpowiedziała Jagienka.

A jednocześnie poczęła się uśmiechać przez łzy i spoglądać na opata, jakby się go chciała zapytać, skąd to wie.

A tymczasem Zbyszko, wróciwszy do Krześni, zajechał wprost do księdza, chciał bowiem rzeczywiście dać na mszę za zdrowie Maćka, po załatwieniu zaś tej sprawy udał się wprost do gospody, w której spodziewał się znaleźć młodego Wilka z Brzozowej i Cztana z Rogowa.

Jakoż zastał obydwóch, a oprócz tego pełno ludzi — i szlachty, i skartabelów, i kmieciów, i kilku „sowizdrzałów", pokazujących rozmaite niemieckie sztuki. W pierwszej chwili nie mógł jednakże nikogo rozeznać, gdyż okna karczmy z błonami z wołowych pęcherzy mało przepuszczały światła — i dopiero gdy miejscowy pachołek dorzucił na komin szczypek sosnowych, ujrzał w kącie za łagwiami piwa włochaty pysk Cztana i srogą, zapalczywą twarz Wilka z Brzozowej.

Wtedy począł iść zwolna ku nim, roztrącając po drodze ludzi, i doszedłszy, uderzył pięścią w stół, aż zagrzmiało w całej gospodzie.

A oni podnieśli się natychmiast i jęli śpiesznie przekręcać na sobie skórzane pasy, nim jednakże chwycili za rękojeści, Zbyszko rzucił na stół rękawicę, i mówiąc przez nos, jak mieli zwyczaj mówić rycerze przy wyzwaniu, ozwał się w następujące, niespodziane dla nikogo słowa:

— Pak li-by który z was dwóch, albo z innych ludzi rycerskich, w izbie będących, przeciwił się temu, iże najcudniejsza i najcnotliwsza dziewka na świecie jest panna Danuta Jurandówna ze Spychowa, tego pozywam na walkę konną albo pieszą, do pierwszego klęknięcia, alibo do ostatniego tchu.

Zdumieli się Wilk i Cztan, równie jak byłby zdumiał się opat, gdyby coś podobnego usłyszał, — i przez chwilę słowa nie mogli przemówić. „Co to za panna?" Im przecież o Jagienkę, nie o nią chodziło?... a jeśli temu zbikowi nie o Jagienkę idzie, to czego od nich chce? Czemu ich rozsierdził przed kościołem? Po co tu przyszedł i po co szuka z nimi zaczepki? Od tych pytań zrobiła im się w głowie taka

kaza, że pootwierali szeroko usta — Cztan zaś wytrzeszczył tak oczy, jakby nie człowieka, ale jakby jakieś dziwo niemieckie miał przed sobą.

Lecz bystrzejszy Wilk, który znał nieco rycerskie zwyczaje i wiedział, że nieraz innym niewiastom rycerze służby ślubują, a z innemi się żenią, pomyślał, że i w tym wypadku tak być może, i że gdy zdarza się taka sposobność ujęcia się za Jagienką, to należy w lot z niej skorzystać.

Więc wysunął się z za stołu, i zbliżywszy się ze złowrogą twarzą do Zbyszka, zapytał:

— Jakto, psubracie, to nie Jagienka Zychówna najcudniejsza?

Za nim wysunął się Cztan — a ludzie poczęli się wokół nich kupić, bo już wszystkim było wiadomo, że się to na byle czem nie skończy.

16.

Jagienka, wróciwszy do domu, wysłała natychmiast parobka do Krześni, aby dowiedział się, czy w gospodzie nie zaszła jakowaś bitka, albo czy kto kogo nie wyzwał. Ten jednakże, dostawszy na drogę skojca, począł pić z księżymi sługami i nie myślał o powrocie. Drugi, wysłany do Bogdańca, który miał zapowiedzieć Maćkowi przyjazd opata, wrócił, spełniwszy polecenie, i zarazem oznajmił, że widział Zbyszka, zabawiającego się ze starym dziedzicem w kości.

Uspokoiło to w części Jagienkę, wiedząc, bowiem o doświadczeniu i sprawności Zbyszkowej, nie tyle bała się dla niego wyzwania, ile jakowejś doraźnej ciężkiej przygody w karczmie. Miała też ochotę razem z opatem jechać do Bogdańca, ale ów sprzeciwił się temu, pragnął bowiem rozmówić się z Maćkiem w sprawie zastawu i w innej, jeszcze ważniejszej, przy której nie chciał mieć za świadka Jagienki.

Zresztą wybierał się na noc. Dowiedziawszy się o szczęśliwym powrocie Zbyszka, wpadł w wyborny humor i kazał swoim klerykom wagantom śpiewać i hukać tak, że aż się bór trząsł a w samym Bogdańcu aż kmiecie wyglądali z chałup, patrząc, czy się nie pali, albo czy nieprzyjaciel nie nastąpił. Ale jadący naprzód pątnik z krzywą lagą, uspokajał ich, iż to jedzie osoba duchowna wysokiej godności — więc kłaniali mu się, a niektórzy nawet kładli na piersi znak krzyża, on zaś widząc, jak go szanują, jechał w dumie radosnej, rad ze świata i pełen dla ludzi życzliwości.

Maćko i Zbyszko, zasłyszawszy krzyki i śpiewy, wyszli aż do wrót na jego spotkanie. Niektórzy z kleryków bywali już z opatem w Bogdańcu, ale byli i tacy, którzy, przyłączywszy się niedawno do kompanji, nie widzieli go dotychczas nigdy. Tym upadły serca na widok nędznego domu, który nie mógł iść w porównanie z obszernem dworzyszczem w Zgorzelicach. Skrzepił ich jednakowoż widok dymu, dobywającego się przez słomiane poszycie dachu, a zwłaszcza nabrali całkiem otuchy, gdy wszedłszy do izby, poczuli zapach szafranu i rozmaitych

mięsiw, a zarazem spostrzegli dwa stoły, pełne cynowych mis, jeszcze wprawdzie pustych, ale tak ogromnych, iż każde oczy musiały poweseleć na ich widok. Na mniejszym stole świeciła przygotowana dla opata misa, cała srebrna i takaż, cudnie rzeźbiona łagiewka, obie zdobyte razem z innymi skarbami na Fryzach.

Maćko i Zbyszko poczęli zaraz prosić do stołu, lecz opat, który był dobrze podjadł na odjezdnem w Zgorzelicach, odmówił, tembardziej, że zajmowało go co innego. Od pierwszej chwili przybycia spoglądał on bacznie, a zarazem niespokojnie na Zbyszka, jakby chciał śladów bitki na nim dopatrzyć, widząc zaś spokojną twarz młodzianka, niecierpliwił się widocznie, aż wreszcie nie mógł już dłużej ciekawości swej pohamować.

— Pójdziemy do alkierza, — rzekł — o zastawie uradzać. Nie przeciwcie się, bo się zgniewam!

Tu zwrócił się do kleryków i zagrzmiał:

— A wy, cicho mi siedzieć i pode drzwiami nie podsłuchiwać!

To rzekłszy, otworzył drzwi do alkierza, w które zaledwie mógł się pomieścić, i wszedł, a za nim weszli Zbyszko i Maćko. Tam, gdy siedli na skrzyniach, opat zwrócił się do młodego rycerza.

— Byłeś z nawrotem w Krześni? — zapytał.

— Byłem.

— No i co?

A dałem na mszę za stryjowe zdrowie i tyla.

Opat poruszył się niecierpliwie na skrzyni.

— Ha! — pomyślał — nie spotkał się ni z Cztanem, ni z Wilkiem; może ich nie było, a może ich nie szukał. Omyliłem się!

Ale zły był, że się pomylił, i że go wyrachowanie zawiodło, więc zaraz poczerwieniało mu oblicze i począł sapać.

— Gadajmy o zastawie! — rzekł po chwili. — Macie pieniądze?... bo jak nie, to dziedzina moja!...

Na to Maćko, który wiedział, jak z nim postępować, podniósł się w milczeniu, otworzył skrzynię, na której siedział, wydobył z niej przygotowany już widocznie worek z grzywnami i rzekł:

— Ubodzyśmy ludzie, ale pieniądze mamy, i co się należy, to płacimy, jako stoi w „liście" i jakom znakiem krzyża świętego sam poświadczył. Jeżelibyście zasie chcieli jeszcze za porządki i za dobytek dopłaty, to też nie będziem się sprzeczali, jeno zapłacim, co każecie, i pod nogi was, dobrodzieja naszego, podejmiem.

To rzekłszy, pochylił mu się do kolan, a za nim uczynił też to samo Zbyszko. Opat, który spodziewał się sporów i targów, wielce był takiem postępowaniem zaskoczony, a nawet i niecałkiem rad, gdyż przy targach chciał stawiać różne swoje warunki, a tymczasem sposobność ominęła.

Więc oddając „list", czyli kwit zastawny, na którym Maćko był znakiem krzyża podpisany, rzekł:

— Czego mi o dopłacie prawicie?

— Bo nie chcem darmoch brać! — odpowiedział chytrze Maćko,

wiedząc, że im więcej będzie się w tym wypadku sprzeczał, tem więcej zyska.

Jakoż opat zaperzył się w mgnieniu oka:

— Widzicie ich! Nie chcą od krewnych darmoch brać! Chleb ludzi bodzie! Nie brałem pustki i nie oddaję pustki, a jak mi się spodoba i tym tu oto workiem prasnąć, to i prasnę!

— Tego nie uczynicie! — zawołał Maćko.

— Nie uczynię! Ot mi wasz zastaw! ot mi wasze grzywny! Dałem, bo moja łaska, a choćby mi wola była na gościńcu ostawić, to wam do tego nic. Ot, jak nie uczynię!...

To rzekłszy, porwał worek za zwitkę i grzmotnął nim o podłogę, aż z rozpękłego płótna posypały się pieniądze.

— Bóg zapłać! Bóg wam zapłać, ojcze i dobrodzieju! — począł wołać Maćko, który tylko czekał na tę chwilę. — Od innegobym nie wziął, ale od krewniaka i duchownego — wezmę!...

Opat zaś spoglądał czas jakiś groźnie to na niego, to na Zbyszka, wreszcie rzekł:

— Wiem ci ja, choć i gniewający się, co robię; zaczem trzymajcie, coście dostali, bo to wam też zapowiadam, że więcej jednego skojca nie uwidzicie.

— Nie spodziewaliśmy się i tego.

— Ale wiedzcie, że co po mnie zostanie, to weźmie Jagienka.

— I ziemię? — spytał naiwnie Maćko.

— I ziemię! — huknął opat.

Na to przedłużyła się Maćkowi twarz, ale opanował się i rzekł:

— Ej, co tam o śmierci myśleć! Niech wam Pan Jezus da sto lat, albo i więcej, a przedtem biskupstwo zacne.

— A choćby!... albo to ja gorszy od innych! — odrzekł opat.

— Nie gorszy, jeno lepszy.

Te słowa podziały uspokajająco na opata, gdyż wogóle gniew jego był krótkotrwały.

— No, — rzekł — wyście moi krewni, a ona tylko krześniaczka, ale ja miłuję i ją, i Zycha od dawnych lat. Lepszego człeka niż Zych, niema na świecie, i lepszej dziewki, niż Jagienka też! Co będzie miał kto na nich powiedzieć?

I począł toczyć wyzywającym wzrokiem, lecz Maćko nietylko nie przeczył, ale skwapliwie potwierdził, że godniejszego sąsiada próżnoby w całem królestwie szukać.

— A co do dziewki, — rzekł — córki rodzonej więcejbym nie miłował, niźli ją miłuję. Za jej to przyczyną przyszedłem do zdrowia i tego jej do śmierci nie zapomnę.

— Potępieni będziecie i jeden, i drugi, jeśli zapomnicie, — rzekł opat — i pierwszy was za to przeklnę. Ja krzywdy waszej nie chcę, boście moi krewni, i dlatego wymyśliłem sposób, żeby to, co po mnie zostanie, było i Jagienkowe i wasze — rozumiecie.

— Dałby Bóg, aby się to stało! — odrzekł Maćko. — Miły Jezu!

piechtąbym poszedł do grobu królowej w Krakowie na Łysą górę, aby się drzewu Krzyża świętego pokłonić.

Uradował się opat szczerością, z jaką mówił Maćko, uśmiechnął się i rzekł:

— Dziewka ma prawo przebierać, bo i gładka, i wiano godne, i ród zacny! Co ta dla niej Cztan, albo Wilk, kiedy i wojewodziński syn nie byłby nadto. Ale niechbym tak ja, nieprzymierzając, kogo zaswatał — toby za niego poszła, bo mnie miłuje i wie, że jej źle nie poradzę...

— Dobrze temu będzie, kogo zaswatacie, — rzekł Maćko.

Lecz opat zwrócił się do Zbyszka:

— A ty co?

— Ano, ja tako myślę, jako i stryjko...

Zacne oblicze opata rozjaśniło się jeszcze bardziej; uderzył Zbyszka dłonią w łopatkę, aż się rozległo w alkierzu, i zapytał:

— Czemuś to przy kościele ni Cztana, ni Wilka do Jagienki nie dopuścił?... co?...

— By zaś nie myśleli, że się ich boję, i byście nie myśleli i wy.

— Ale i święconą wodę jej podałeś.

— A podałem.

Opat uderzył go po raz drugi:

— To... ją bierz!

— Bierz ją! — zawołał, jak echo, Maćko.

Na to Zbyszko zagarnął pod siatkę włosy i odpowiedział spokojnie:

— Jako-że ją mam brać, kiedym ja przed ołtarzem w Tyńcu Danusi Jurandównie ślubował?

— Ślubowałeś pawie czuby, to ich szukaj, a Jagienkę zaraz bierz.

— Nie — odrzekł Zbyszko; — potem, jak na mnie nałęczką rzuciła, ślubowałem, że ją za żonę wezmę.

Twarz opata poczęła nabiegać krwią; uszy mu posiniały, a oczy poczęły wychodzić na wierzch: zbliżył się do Zbyszka i rzekł potłumionym przez gniew głosem:

— Twoje śluby plewa, a ja wiatr — rozumiesz! Ot!

I dmuchnął mu w głowę tak potężnie, że aż pątlik zleciał, a włosy rozsypały się w niełądzie po ramionach i plecach. Wówczas Zbyszko zmarszczył brwi, i patrząc opatowi wprost w oczy, rzekł:

— W mojem ślubowaniu moja cześć, a nad moją czcią ja sam stróża!

Usłyszawszy to, nieprzywykły do oporu opat, stracił do tego stopnia dech, iż mowa była mu na czas jakiś odjęta. Nastało złowrogie milczenie, które przerwał Maćko:

— Zbyszku! — zawołał — upamiętaj się! coć jest?

Opat tymczasem podniósł ramię, i wskazując młodzianka, począł krzyczyć:

— Co mu jest? Ja wiem, co mu jest: dusza w nim nie rycerska i nie ślachecka, jeno zajęcza. To mu jest, że się Cztana i Wilka boi!

A Zbyszko, który nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, ruszył niedbale ramionami i odpowiedział:

— O wa! porozbijałem im łby w Krześni.

— Bój się Boga! — zawołał Maćko.

Opat patrzał czas jakiś na Zbyszka z wytrzeszczonemi oczyma. Gniew walczył w nim o lepszą z podziwem, a jednocześnie przyrodzony bystry rozum począł mu przypominać, że z tego pobicia Wilka i Cztana może dla swych zamiarów korzyść wyciągnąć.

Więc, ochłonąwszy nieco, krzyknął na Zbyszka:

— Czemuś nie gadał?

— Bo mi było wstyd. Myślałem, że mnie pozwą, jako rycerzom przystało, na walkę konną, albo pieszą, ale to zbóje, nie rycerze. Pierwszy Wilk udarł deskę ze stołu, Cztan udarł drugą, i do mnie! To i cóżem miał robić? Chwyciłem ławę też, no... i wiecie!...

— Żywi aby? — zapytał Maćko.

— Żywi, jeno ich zamroczyło. Ale jeszcze przy mnie poczęli dychać.

Opat słuchał, tarł czoło, poczem zerwał się nagle ze skrzyni, na której był poprzednio przysiadł dla lepszego namysłu i zawołał:

— Poczkaj!... Ja ci teraz coś powiem!

— A co powiecie? — zapytał Zbyszko.

— To ci powiem, że jeśliś ty się za Jagienkę bił i ludziom przez nią łby rozwalał, toś ty naprawdę jej rycerz, nie czyj inny, i musisz ją brać.

To rzekłszy, wziął się w boki i począł spoglądać triumfalnie na Zbyszka, lecz ów uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Hej, dobrzem ja wiedział, dlaczegoście chcieli mnie na nich napuścić, ale to wam zgoła chybiło.

— Czemu chybiło?... gadaj!

— Bo ja im kazał przyświadczyć, jako najgładsza i najcnotliwsza dziewka w świecie jest Danuśka Jurandówna, a oni właśnie ujęli się za Jagienką, i z tego była bitwa.

Usłyszawszy to, opat stał przez chwilę na miejscu, jak skamieniały, i tylko po mruganiu oczyma można było poznać, że żyw jeszcze. Nagle zawrócił się na miejscu, wywalił nogą drzwi alkierza, wpadł do izby, tam chwycił krzywą lagę z rąk pątnika i począł nią okładać swoich „szpylmanów", rycząc przytem, jak ranny tur:

— Na koń, skomorochy! na koń, psiawiary! Noga moja w tym domu nie postanie! Na koń, kto w Boga wierzy! Na koń!...

I znów wywaliwszy drzwi, wyszedł na dziedziniec, a przerażeni klerycy-waganci za nim. Tak ruszywszy hurmem do szopy, poczęli w mig kulbaczyć konie. Próżno Maćko pogonił za opatem, próżno prosił, błagał, bożył się, że nie winien — nic nie pomogło! Opat klął, przeklinał dom, ludzi, pola, a gdy podano mu konia, skoczył na niego bez strzemion i puścił się w cwał z miejsca, z rozwianymi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego czerwonego ptaka. Klerycy lecieli za nim w trwodze, nakształt stada, które podąża za przewodnikiem.

Maćko spoglądał czas jakiś za nimi, aż gdy znikli w boru, wrócił zwolna do izby i rzekł do Zbyszka, kiwając posępnie głową:

— Cóżeś ty najlepszego narobił!...

— Nie byłoby tego, gdybym był sobie wcześniej pojechał, a żem nie pojechał, to przez was.

— Jakto przeze mnie?

— Ba, bom nie chciał was chorych odjeżdżać.

— A teraz jako będzie?

— A teraz pojadę.

— Dokąd?

— Na Mazury, do Danuśki... — i pawich czubów szukać, między Niemców.

Maćko pomilczał chwilę, poczem rzekł:

— „List" oddał, ale zastaw jest i w księdze sądowej zapisany. Nie daruje nam tera opat ni skojca.

— To niech nie daruje. Pieniądze macie, a ja na drogę nie potrzebuję. Przecie mnie wszędzie przyjmą i koniom dadzą żreć; a bylem miał pancerz na grzbiecie, a kord w garści, to i o nic nie dbam.

Maćko zamyślił się i począł rozważać wszystko, co się stało. Nic nie poszło po jego myśli, ni wedle jego serca. Sam on życzył sobie także z całej duszy Jagienki dla Zbyszka; zrozumiał jednak, że nie może być chleba z tej mąki, i że wobec gniewu opata, wobec Zycha i Jagienki, wreszcie wobec bójki z Cztanem i Wilkiem lepiej, żeby sobie Zbyszko pojechał, niż żeby miał być dalszych niezgód i poswarków przyczyną.

— Ha! — rzekł wreszcie — łbów krzyżackich i tak musisz szukać, więc skoro niema innej rady, to jedź. Niech się ta stanie wedle woli Pana Jezusowej... Ale mnie trzeba zaraz do Zgorzelic; może jako Zycha i opata przejednam... Zycha mi osobliwie żal.

Tu spojrzał w oczy Zbyszkowi i spytał nagle:

— A tobie Jagienki nie żal?

— Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze! — odrzekł Zbyszko.

17.

Maćko czekał cierpliwie przez kilka dni, czy nie dojdzie go jaka wieść ze Zgorzelic, lub czy opat się nie udobrucha, aż wreszcie sprzykrzyła mu się niepewność i czekanie, i postanowił sam wybrać się do Zycha. Wszystko, co się stało, stało się bez jego winy, chciał jednak wiedzieć, czy Zych nie czuje i do niego urazy, bo co do opata, był pewnym, że gniew jego będzie odtąd ciążył i na Zbyszku, i na nim.

Chciał jednak uczynić wszystko, co było w jego mocy, by ów gniew złagodzić, więc jadąc rozmyślał i układał sobie, co komu w Zgorzelicach powie, aby urazę zmniejszyć i starą sąsiedzką przyjaźń zachować. Myśli jednak nie kleiły mu się jakoś w głowie, rad też był, że zastał samą Jagienkę, która przyjęła go po staremu, pokłonem, ucałowaniem ręki — słowem: przyjaźnie, choć trochę smutno.

— A ojciec doma? — zapytał.

— Doma, jeno się wybrali z opatem na łowy. Mało patrzeć, jak wrócą...

To rzekłszy, wprowadziła go do izby, w której zasiadłszy, milczeli oboje przez dłuższą chwilę, poczem dziewczyna spytała pierwsza:

— Cni się wam samemu w Bogdańcu?

— Cni — odpowiedział Maćko. — A to już wiesz, że Zbyszko pojechał?

Jagienka westchnęła cicho:

— Wiem. Wiedziałam tego samego dnia — i myślałam... że wstąpi, choć dobre słowo rzec, a nie wstąpił.

— Jakże mu było wstępować! — rzekł Maćko: — toć opat chybaby go rozerwał na dwoje, a i ojciec twój nie radby go też widział.

Ona zaś potrząsnęła głową i odrzekła:

— Ej! Nie dałaby ja mu krzywdy uczynić nikomu.

Na to Maćko, choć serce miał hartowne, wzruszył się jednak, przyciągnął do się dziewczynę i rzekł:

— Bóg z tobą, dziewucho! Tobie smutek, ale i mnie smutek, bo to ci jeno rzekę, że ni opat, ni ociec rodzony, nie miłują cię bardziej ode mnie. Niechbym był lepiej zczezł od tej rany, z której mnie wygoiłaś, byle on ciebie brał, nie inną.

A na Jagienkę przyszła taka chwila żalu i tęsknoty, w której człowiek nie potrafi niczego w sobie zataić — i rzekła:

— Nie obaczę już ja go nigdy, a jeśli obaczę, z Jurandówną — wolałabym zasię wpierw oczy wypłakać.

I podniósłszy końce fartucha, przesłoniła nim oczy, które zaszły jej łzami.

A Maćko:

— Daj spokój! Pojechał-ci, bo pojechał, ale za łaską Bożą, z Jurandówną nie wróci.

— Co nie ma wrócić! — ozwała się z pod fartucha Jagienka.

— Bo mu Jurand nie chce dziewki dać.

Na to Jagienka odsłoniła nagle twarz, i zwróciwszy się do Maćka, spytała żywo:

— Mówił mi! — ale prawda-li to?

— Prawda, jako Bóg na niebie.

— A czemu?

— Kto jego wie. Ślubowanie jakieś, czy co, a na ślubowanie niema rady! Udał mu się Zbyszko, ile że mu obiecował do pomsty pomagać, ale i to nie pomogło. Na nic było i księżnej Anny swatanie. Ni prośby, ni namowy, ni rozkazania nie chciał Jurand słuchać. Powiadał, że nie może. No, i widać przyczyna takowa jest, że nie może, a to człek twardy, który tego, co rzekł, nie zmieni. Ty, dziewczyno, nie trać otuchy i pokrzep się. Po sprawiedliwości musiał chłop jechać, boć te pawie grzebienie w kościele zaprzysiągł. Dziewka też go nałęczką przykryła na znak, że go chce za męża brać, bez co mu głowy nie ucięli — za to jej powinien — niema co gadać. Nie będzie, da

Bóg, ona jego, ale on jeſt wedle prawa jej. Zych na niego krzyw, opat pewnikiem pomſtuje, aże ſkóra cierpnie, mnie też gniewno, a wßelako pomiarkowawßy, co on miał robić? Skoro tamtej powinien, to i trza mu było jechać. Przecie jeſt ślachcic. Ale ci to jeno powiadam, że jeśli go tam gdzie Niemce godnie nie pokołaczą, to jak pojechał, tak i wróci — i wróci nietylko do mnie ſtarego, nietylko do Bogdańca, ale do ciebie, bo cię ſtraßnie rad widział.

— Gdzie on mnie ta rad widział! — rzekła Jagienka.

Ale jednocześnie przyſunęła ſię do Maćka i trąciwßy go łokciem, zapytała:

— Skąd wiecie? — co? Pewnie nieprawda?...

— Skąd wiem? — odrzekł Maćko. — Bo widziałem, jak mu ciężko było odjeżdżać. I jeßcze było tak, że jak już ſtanęło na tem, że ma jechać, tak pytam ja go: A nie żal ci też Jagienki? — a on prawi: „Niechże jej Bóg da zdrowie i wßyſtko najlepße". I tak ci zaraz wziął wzdychać, jakby miał kowalſki miech w brzuchu...

— Pewnie nieprawda!... — powtórzyła cißej Jagienka — ale powiadajcie jeßcze...

— Jak mi Bóg miły, prawda!... Już mu tamta nie będzie tak po tobie ſmakować, bo to i ſama wieß, że jędrniejßej a zaś urodziwßej dziewki na całym świecie nie znaleźć. Czuł on do ciebie wolę Bożą — nie bój ſię — może i więcej, niż ty do niego.

— Bogać tam! — zawołała Jagienka.

I pomiarkowawßy, co w prędkości wyrzekła, zakryła znów rumianą, jak jabłko, twarz rękawem, a Maćko uśmiechnął ſię, pociągnął ręką po wąſach i rzekł:

— Hej, żeby ja młody! Ale ty ſię pokrzep, bo już widzę, jako będzie: Pojedzie, oſtrogi na dworze mazowieckim zyßcze, gdyż tam granica blizko i o Krzyżaka nie trudno... Jużci wiem, że między Niemcami bywają tędzy rycerze, a żelazo od jego ſkóry nie odſkoczy, ale tak myślę, że byle który rady mu nie da, bo to jucha do bitki okrutnie ſprawna. Patrz-że, jako Cztana z Rogowa i Wilka z Brzozowej w mig potarmoſił, choć to przecie mówią, chłopy na ſchwał i mocarne jak niedźwiedzie. Przywiezie on ſwoje czuby, jeno Jurandówny nie przywiezie, bo i ja gadałem z Jurandem i wiem, jako jeſt. No, a potem co? Potem tu wróci, bo gdzie-żeby miał wracać.

— Kiedy tam wróci!

— Ba! jeśli nie wytrzymaß, to ci nie będzie krzywdy. Ale tymczaſem powtórz opatowi i Zychowi to, co ci mówię. Niechby ta w gniewie na Zbyßka choć trochę poſolgowali.

— Jako-że mam mówić? Tatuś więcej fraſobliwi, niż gniewni, ale przy opacie i wſpomnieć o Zbyßku nieprzezpiecznie. Dał ci on i mnie, i tatuſiowi za tego pachołka, którego Zbyßkowi poſłałam.

— Za jakiego pachołka?

— Wiecie... Był tu u nas Czech, co go tatuś pojmali pod Bolesławcem, dobry pachołek i wierny. Wołali na niego Hlawa. Tatuś mi go dali do poſług, bo ſię powiadał tamtejßym włodyką, a ja dałam

ci mu zbroiczkę godną i posłałam go Zbyszkowi, aby mu służył i strzegł go w przygodzie, a broń Boże czego, żeby dał znać... Dałam ci mu i trzosik na drogę, a on zaprzysiągł mi na zbawienie duszy, że do śmierci będzie Zbyszkowi wiernie służył.

— Mojaż ty dziewczyno! Bóg ci zapłać! A Zych się nie przeciwił?

— Co się nie miał przeciwić! Zrazu całkiem tatuś nie pozwalali, dopiero jak wzięłam go pod nogi podejmować, tak i stanęło na mojem. Z tatusiem nijakiego kłopotu nie masz, ale jak opat zwiedział się o tem od swoich skomorochów, w mig pełniuśką izbę naklął, i taki był sądny dzień, że tatuś do stodół uciekli. Dopiero wieczorem ulitował się opat moich łez i jeszcze mi paciorki podarował... Ale ja rada byłam pocierpieć, byle Zbyszko poczet miał większy.

— Jak mi Bóg miły, tak nie wiem, czy więcej jego miłuję, czy ciebie, ale on i tak poczet wziął zacny — i pieniędzy też mu dałem, choć nie chciał... No, Mazury przecie nie za morzem...

Dalszą rozmowę przerwało im ujadanie psów, okrzyki i odgłosy trąb mosiężnych przed domem. Usłyszawszy to, Jagienka rzekła:

— Tatuś i opat wrócili z łowów. Pójdźmy na przyłap, bo lepiej, żeby was opat pierwej zdaleka uwidział, nie zaś znienacka w izbie.

To rzekłszy, wyprowadziła Maćka na przyłap, z którego ujrzeli w podwórzu na śniegu kupę ludzi, koni, psów, a zarazem pobodzone oszczepami lub postrzelone z kuszy łosie i wilki. Opat, ujrzawszy Maćka, zanim jeszcze zsiadł z konia, cisnął w jego stronę oszczepem, nie dlatego wprawdzie, aby go ugodzić, ale by w ten sposób tem dowodniej swą zawziętość przeciw Bogdanieckim ludziom okazać. Lecz Maćko skłonił mu się zdala czapką, jak gdyby nic nie zauważył, Jagienka zaś nie zauważyła tego istotnie, gdyż przedewszystkiem zdumiała ją obecność dwóch jej zalotników w orszaku.

— Są Cztan i Wilk! — zawołał — musieli się w boru z tatusiem zdybać.

A Maćka aż zakłóło coś w dawnej ranie na ich widok. W lot przez głowę przebiegła mu myśl, że jeden z nich może dostać Jagienkę, a z nią Moczydoły, opatowe ziemie, bory i pieniądze... I żal wespół ze złością chwyciły go za serce, zwłaszcza, że po chwili ujrzał rzecz nową. Oto Wilk z Brzozowej, choć z jego ojcem chciał się niedawno opat potykać, skoczył teraz do jego strzemienia, aby mu pomódz zsiąść z konia. on zaś zsiadając, oparł się przyjaźnie na ramieniu młodego szlachcica.

— Pogodzi się opat ze starym Wilkiem takowym sposobem — pomyślał Maćko — że za dziewczyną odda bory i ziemie.

Lecz przerwał mu owe przykre myśli głos Jagienki, która w tej samej chwili rzekła:

— Wygoili się już po Zbyszkowem biciu, ale choćby tu co dnia przyjeżdżali — niedoczekanie ich!

Maćko spojrzał — twarz dziewczyny była rumiana zarówno w gniewu, jak i zimna, a modre jej oczy iskrzyły się gniewem, pomimo iż wiadomo jej było dobrze, że Wilk i Cztan za nią właśnie ujęli się w gospodzie i przez nią zostali pobici.

Więc Maćko rzekł:

— Ba! uczynisz, co opat każe.

A ona na to z miejsca:

— Opat uczyni, co ja zechcę.

„Miły Boże! — pomyślał Maćko — i ten głupi Zbyszko takiej dziewki odbieżał!"

———

18.

A tymczasem „głupi Zbyszko" wyjechał był z Bogdańca istotnie z ciężkiem sercem. Naprzód było mu jakoś obco i nieswojo bez stryjca, z którym dotychczas od dawnych lat się nie rozłączał i do którego tak nawykł, że sam teraz dobrze niewiedział, jak się bez niego i w podróży, i na wojnie obejdzie. Powtóre żal mu było i Jagienki, bo chociaż mówił sobie, że jedzie do Danusi, którą miłował z całej duszy, jednakże bywało mu tak dobrze przy Jagience, iż teraz dopiero uczuł, jaka przy niej była radość, a jaki bez niej może być smutek. I aż sam się dziwił swojemu żalowi, a nawet się nim zaniepokoił, bo żeby to tęsknił po Jagience, jak brat tęskni po siostrze, nicby to było. Ale on spostrzegł, że mu się „cni" za tem, by ją przed się pod boki brać i na konia sadzać, albo z kulbaki zdejmować, by ją przez strugi przenosić, wodę jej z warkocza wykręcać, by z nią po lasach chadzać i patrzyć na nią, i „uradzać" z nią. Tak zaś do tego przywykł i takie mu to było miłe, że gdy teraz począł o tem myśleć, zaraz się zapamiętał i całkiem zapomniał, że w długą drogę aż na Mazury jedzie, a natomiast stanęła mu w oczach ta chwila, gdy Jagienka dała mu pomoc w lesie, gdy się z niedźwiedziem borykał. I zdało mu się, że to było wczoraj, jak również, że wczoraj chodzili na bobry do Odstajanego jeziorka. Nie widział jej przecie wówczas, gdy się wpław po bobra puściła, a teraz zdało mu się, że ją widzi — i zaraz poczęły go brać takie same ciągoty, jakie brały go parę tygodni temu, gdy wiatr nazbyt z Jagienkową suknią poswawolił. Potem zaś przypomniał sobie, jak jechała wspaniale przybrana do kościoła w Krześni, i jak się dziwił, że taka prosta dziewczyna naraz wydała mu się niby dwornie jadące wysokiego rodu paniątko. Wszystko to sprawiło, że koło serca zaczęło mu się czynić jakoś bałamutnie, zarazem błogo i smutno i pożądliwie, a gdy jeszcze pomyślał, że byłby z nią mógł uczynić, co chciał, i jak ją też ku niemu ciągnęło, jak mu patrzyła w oczy i jak się do niego garnęła, to ledwie że na koniu mógł usiedzieć. „Niechbym jej był gdzie dopadł i choć pożegnał, a objął na drogę — mówił sobie — możeby mnie było popuściło" — ale wnet uczuł, że to nieprawda i że nie byłoby go popuściło, gdyż na samą myśl o takiem pożegnaniu poczęły mu skry po skórze chodzić, chociaż na świecie był przymrozek.

Aż wreszcie przestraszył się owych wspomnień, nazbyt do żądz podobnych i strząsnął je z duszy, jak suchy śnieg z opończy.

— Do Danuśki jadę, do mojej najmilejszej! — rzekł sobie.

I wraz zmiarkował, że to jest inne kochanie, jakby pobożniejsze i mniej po kościach chodzące. Powoli też, w miarę, jak w strzemionach marzły mu nogi, a chłodny wiatr studził mu krew, wszystkie myśli jego poleciały ku Danusi Jurandównie. Tej — to był naprawdę powinien. Gdyby nie ona, dawnoby jego głowa była spadła na krakowskim rynku. Przecie gdy wyrzekła wobec rycerzy i mieszczan: „Mój ci jest" — to go przez to sama katom z rąk odjęła — i od tej pory on tak należy do niej, jak niewolnik do pana. Nie on ją brał, ale ona jego wzięła; na to żadne sprzeciwianie się Jurandowe nie poradzi. Ona jedna mogłaby go odpędzić, jako pani może sługę odpędzić, chociaż on i wówczas nie poszedłby daleko, bo go i własne ślubowanie wiąże. Pomyślał jednak, że ona go nie odpędzi, że raczej pójdzie za nim z mazowieckiego dworu, choćby na kraj świata — i pomyślawszy to, począł ją wysławiać w duszy ze szkodą Jagienki, jakby to była wyłącznie jej wina, że go napastowały pokusy i że dwoiło się w nim serce. Nie przyszło mu do głowy teraz, że Jagienka wygoiła starego Maćka a prócz tego, że bez jej pomocy byłby mu może niedźwiedź obdarł owej nocy ze skóry głowę — i burzył się przeciw Jagience rozmyślnie, sądząc, że tym sposobem Danusi się zasłuży i we własnych oczach się usprawiedliwi.

A wtem nadjechał Czech Hlawa, wysłany przez Jagienkę — prowadząc ze sobą wjucznego konia.

— Pochwalony! — rzekł, kłaniając się nizko.

Zbyszko widział go raz lub dwa w Zgorzelicach, ale go niepoznał, więc ozwał się:

— Pochwalony na wieki wieków. A coś za jeden?

— Wasz pachołek, slowutny panie.

— Jakto mój pachołek? Tamci moje pachołcy — rzekł, ukazując na dwóch Turczynków, podarowanych mu przez Sulimczyka Zawiszę, i na dwóch tęgich parobków, którzy siedząc na mierzynach, prowadzili rycerskie ogiery — tamci moi — a ciebie kto przysłał?

— Panna Jagienka Zychówna ze Zgorzelic.

— Panna Jagienka?

Zbyszko dopiero co właśnie burzył się był przeciw niej i serce jego pełne było jeszcze niechęci, więc rzekł:

— Wróć-że do dom i podziękuj pannie za łaskę, bo cię nie chcę.

Lecz Czech potrząsnął głową.

— Nie wrócę, panie. Mnie wam podarowali, a prócz tego ja zaprzysiągł do śmierci wam służyć.

— Jeśli mi cię podarowali, toś mój sługa.

— Wasz, panie.

— Więc rozkazuję-ć wrócić.

— Ja zaprzysiągł, a choć ja jeniec z pod Bolesławca, i chudy pachołek, ale włodyczka...

A Zbyszko rozgniewał się:

— Ruszaj precz! Jakże to! Będziesz mi zaś przeciw mojej woli służył, czy co? Ruszaj, bo każę kuszę napiąć.

Czech zaś odtroczył spokojnie sukienną opończę, podbitą wilkami, oddał ją Zbyszkowi i rzekł:

— Panna Jagienka i to wam przysłała, panie,

— Chcesz, abych ci kości połomił? — zapytał Zbyszko, biorąc drzewce z rąk parobka.

— A jest i trzosik na wasze rozkazanie — odrzekł Czech.

Zbyszko zamierzył się drzewcem, lecz wspomniał, że pachołek, chociaż jeniec, jest jednakże z rodu włodyką, któren widocznie dlatego tylko został u Zycha, że nie miał się za co wykupić — więc opuścił ratyszcze.

Czech zaś pochylił mu się do strzemienia i rzekł:

— Nie gniewajcie się, panie. Nie każecie mi ze sobą jechać, to pojadę za wami o stajanie, albo o dwa, ale pojadę, bom to na zbawienie duszy mojej zaprzysiągł.

— A jak cię każę ubić, albo związać?

— Jak mnie każecie ubić, to nie będzie mój grzech, a jak mnie każecie związać, to ostanę, póki mnie dobrzy ludzie nie rozwiążą, albo wilcy nie zjedzą.

Zbyszko nie odpowiedział — ruszył jeno koniem przed siebie, a za nim ruszyli jego ludzie. Czech z kuszą za plecami i z toporem na ramieniu wlókł się z tyłu, zatulając się w kosmatą skórę żubrzą, albowiem począł dąć ostry wiatr, niosący krupki śniegowe.

Nawałnica wzmagała się nawet z każdą chwilą. Turczynkowie lubo w tołubach kostnieli od niej, parobcy Zbyszkowi poczęli „zabijać" ręce, a on sam, będąc równiez przybrany nie dość ciepło, rzucił raz i drugi oczyma na wilczą opończę, przywiezioną przez Hlawę, i po chwili rzekł do Turczynka, aby mu ją podał.

I owinąwszy się w nią szczelnie, wkrótce poczuł ciepło, rozchodzące się po całem ciele. Wygodny był szczególnie kaptur, który osłaniał mu oczy i znaczną część twarzy, tak, iż wicher przestał mu prawie dokuczać. Wówczas mimowoli pomyślał, że Jagienka to jednak poczciwa z kościami dziewka — wstrzymał nieco konia, albowiem wzięła go chęć wypytać Czecha o nią i o wszystko, co się w Zgorzelicach działo.

Więc skinąwszy na pachołka, rzekł:

— Zali stary Zych wie, że cię panna do mnie wysłała?

— Wie — odpowiedział Hlawa.

— I nieprzeciwił się?

— Przeciwił.

— Powiadajże, jako było.

— Pan chodził po izbie, a panna za nim. On krzyczał, a panienka nic — jeno co się ku niej nawrócił, to ona mu do kolan. I ani słowa. Powiada wreszcie panisko: „Czyś ogłuchła, że nic nie mówisz na moje przyczyny? Przemów, bo wreszcie pozwolę, a jak pozwolę, to mi opat łeb urwie!" Dopieroż panna pomiarkowała, że już na swojem postawi, i nuż z płaczem dziękować. Pan jej wymawiał, że go pozbadła, i narzekał, że we wszystkiem musi być jej wola, w końcu zaś rzekł: „Przyrzecz mi, że chyłkiem nie wyskoczysz żegnać się z nim, to pozwolę,

inaczej nie". Dopieroż zafrasowała się panienka, ale przyrzekła — i pan rad był, bo oni oba z opatem okrutnie się tego bali, by jej nie przyszła chęć widzieć się z ważą miłością... No, nie na tem koniec, bo później panna chciała, by były dwa konie, a pan bronił, panna chciała wilczury i trzosika, pan bronił. Ale co tam z takich zakazowań! Żeby jej się umyśliło dom spalić, toby też panisko przystał. — Dlatego jest drugi koń, jest wilczura i jest trzosik...

„Poćciwa dziewka!" — pomyślał w duchu Zbyszko.

Po chwili zaś zapytał głośno.

— A z opatem nie było biedy?...

Czech uśmiechnął się, jak roztropny pachołek, który zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się w okół niego dzieje i odrzekł:

— Oni to oboje w tajemnicy przed opatem czynili, a nie wiem, co było, gdy się dowiedział, bom wcześniej wyjechał. Opat jako opat! — huknie czasem i na panienkę, ale potem to jeno oczyma za nią wodzi i patrzy, czyli jej zbyt nie pokrzywdził. Sam widziałem, jako ją raz skrzyczał, a potem do skrzyni poszedł, łańcuch przyniósł taki, że zacniejszego i w Krakowie nie dostać — i powiada jej: „na!" — Poradzi sobie ona i z opatem, gdyż i ojciec rodzony więcej jej nie miłuje.

— Pewnie, że tak jest.

— Jak Bóg na niebie....

Tu umilkli i jechali dalej wśród wiatru i śnieżnych krupów; nagle jednak Zbyszko powstrzymał konia, gdyż z pobocza leśnego ozwał się jakiś żałosny głos, nawpół przytłumiony przez szum leśny:

— Chrześcijanie, ratujcie Bożego sługę w nieszczęściu!

I jednocześnie na drogę wybiegł człowiek, przybrany w odzież nawpół duchowną, nawpół świecką, i stanąwszy przed Zbyszkiem, począł wołać:

— Ktokolwiek jesteś, panie, daj pomoc człowiekowi i bliźniemu w ciężkiej przygodzie!

— Coć się przytrafiło i coś zacz? — zapytał młody rycerz.

— Sługam Boży, chociaż bez święceń, a przygodziło mi się, iż dzisiejszego rana wyrwał mi się koń, skrzynie ze świętościami niosący. Zostałem sam, bez broni, a wieczór się zbliża i rychło czekać, jako luty zwierz ozwie się w boru. Zginę jeśli mnie nie poratujecie.

— Jeślibyś z mojej przyczyny zginął — odrzekł Zbyszko — musiałbym za twoje grzechy odpowiadać, ale po czemże poznam, że prawdę mówisz i żeś nie powsinoga jakowyś, albo nie rzezimieszek, jakich wielu po drogach się włóczy?

— Po skrzyniach poznasz, panie. Nie jeden oddałby trzos nabity dukatami, byle posiąść to, co się w nich znajduje, ale ja tobie darmo z nich udzielę, byleście mnie i moje skrzynie zabrali.

— Mówisz, żeś sługa Boży, a tego nie wiesz, że poratunek nie dla ziemskich, jeno dla niebieskich trzeba dawać nagród. Ale jakżeś to skrzynie ocalił, skoro ci niosący je koń uciekł?

— Bo konia, nimem go odnalazł, wilcy w lesie na polance zarznęli, a zasię skrzynie ostały, które ja do drogi przywlokłem, aby czekać na zmiłowanie i pomoc dobrych ludzi.

To rzekłszy i chcąc zarazem dać dowód, że prawdę mówi, wskazał na dwie łubowe skrzynki, leżące pod sosną. — Zbyszko patrzył na niego dość nieufnie, gdyż człowiek nie wydawał mu się zbyt zacnym, a przytem mowa jego, lubo czysta, zdradzała pochodzenie z dalekich stron. Nie chciał jednakże odmówić mu pomocy i pozwolił mu przysiąść się wraz ze skrzyniami, które okazały się dziwnie lekkie, na luźnego konia, którego powodował Czech.

— Niech Bóg pomnoży twoje zwycięstwa, mężny rycerzu! — rzekł nieznajomy.

Poczem, widząc młodocianą twarz Zbyszkową, dodał półgłosem:

— A również twoje włosy na brodzie.

I po chwili jechał obok Czecha. Przez czas jakiś nie mogli rozmawiać, albowiem dął silny wiatr i w boru szum był okrutny, lecz gdy się nieco uspokoiło, Zbyszko usłyszał za sobą następującą rozmowę:

— Nie przeczę ci, że w Rzymie byłeś, ale wyglądasz na piwożłopa — mówił Czech.

— Strzeż się wiekuistego potępienia — odrzekł nieznajomy — albowiem mówisz do człowieka, który zeszłej Wielkanocy jadł jaja na twardo z Ojcem św. Nie mów mi na takie zimno o piwie, chyba o grzanem, ale jeśli masz gdzie przy sobie gąsiorek z winem, to daj mi dwa lub trzy łyki, a ja ci miesiąc czyśca odpuszczę.

— Nie masz święceń, bom słyszał, żeś sam o tem mówił, jakoże więc odpuścisz mi miesiąc czyśca?

— Święceń nie mam, ale głowę mam ogoloną, gdyż na to pozwoleństwo otrzymałem, prócz tego odpusty i relikwie wożę.

— W tych łubach? — zapytał Czech.

— W tych łubach. A gdybyście wszystko ujrzeli, co mam, padlibyście na twarzy, nietylko wy, ale i wszystkie sosny w boru razem z dzikiemi zwierzęty.

Lecz Czech, który był pachołek roztropny i doświadczony, spojrzał podejrzliwie na przekupnia odpustów i rzekł:

— A wilcy konia zjedli?

— Zjedli, gdyż są djabłom pokrewni, ale popękali. Jednegom ci rozpukniętego na własne oczy widział. Jeśli masz wino, to daj, bo choć wiatr ustał, alem przemarzł, siedząc przy drodze.

Czech wina jednak nie dał i znów jechali w milczeniu, aż przekupień relikwii sam począł pytać:

— Dokąd jedziecie?

— Daleko. Ale tymczasem do Sieradza. Pojedziesz z nami?

— Bo muszę. Prześpię się w stajni, a jutro może mi ten pobożny rycerz konia podaruje — i ruszę dalej.

— Skądże jesteś?

— Z pod pruskich panów, z pod Malborga.

Usłyszawszy to, Zbyszko zwrócił głowę i kiwnął na nieznajomego, aby się przybliżył,

— Z pod Malborga jesteś? — rzekł. — Stamtąd jedzież?

— Z pod Malborga.

— Ale chyba nie Niemiec, ile że naszą mową dobrze mówisz? Jako cię wołają?

— Niemiec jestem, a wołają mnie Sanderus; waszą mową mówię, gdyż się w Toruniu urodziłem, gdzie wszystek naród tak mówi. Pózniej mieszkałem w Malborgu, ale i tam to samo. Ba! nawet i bracia zakonni waszą mowę rozumieją.

— A dawnoś z Malborga?

— Byłem, panie, w Ziemi św., potem zaś w Konstantynopolu i w Rzymie, skąd przez Francję wróciłem do Malborga, a z Malborga jechałem na Mazowsze, obwożąc relikwie święte, które pobożni chrześcijanie radzi dla zbawienia duszy kupują.

— Byłżeś w Płocku, czyli też w Warszawie?

— Byłem i tu, i tu. Niech Bóg da zdrowie obum księżnom! Niepróżno księżnę Aleksandrę nawet Panowie Pruscy miłują, bo to świątobliwa pani — chociaż i księżna Anna Januszowa nie gorsza.

— Widziałeś w Warszawie dwór?

— Nie napotkałem go w Warszawie, jeno w Ciechanowie, gdzie mnie oboje księstwo, jako sługę Bożego, gościnnie przyjęli i hojnie na drogę obdarowali. Ale i ja też zostawiłem im relikwie, które błogosławieństwo Boskie muszą na nich ściągnąć.

Zbyszko chciał zapytać o Danusię, ale naraz zdjęła go jakby pewna nieśmiałość i pewien wstyd, zrozumiał bowiem, że byłoby to samo, co zwierzyć się z miłości przed nieznajonym, gminnego pochodzenia człekiem, który przytem wyglądał podejrzanie i mógł być prostym oszustem. Więc po chwili milczenia spytał:

— Jakież to relikwie po świecie woziż?

— Wożę i odpusty, i relikwie, które to odpusty są różne: są całkowite i na pięćset lat, i na trzysta, i na dwieście, i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyścowe męki sobie skracać. Mam odpusty na przeszłe grzechy i na przyszłe, ale nie myślcie, panie, abym pieniądze, za które je kupują, sobie chował... Kawałek czarnego chleba i łyk wody — ot co dla mnie — a resztę co zbieram do Rzymu odwożę, aby się z czasem na nową wyprawę krzyżową zebrało. Jeździ ci wprawdzie po świecie wielu wydrwigroszów, którzy wszystko mają fałszywe: i odpusty i relikwie i pieczęcie, i świadectwa — i takich słusznie Ojciec św. listami ściga, ale mnie przeor sieradzki krzywdę i niesprawiedliwość wyrządził — gdyż moje pieczęcie są prawdziwe. Obejrzycie, panie, wosk i sami powiecie.

— A cóż przeor sieradzki?

— Ach, panie! Bogdajbym niesłusznie mniemał, że heretycką nauką Wiklefa zarażon. Ale, jeśli, jako mi wasz giermek powiedział, jedziecie do Sieradza, tedy mu się wolę nie pokazywać, aby go do grzechu i bluznierstw przeciw świętościom nie przywodzić.

— To się znaczy, niewiele mówiąc, że cię wziął za oszusta i rzezimieszka?

— Żebyż to mnie panie! odpuściłbym mu dla miłości bliźniego, jak zresztą już uczyniłem, ale on przeciw towarom moim świętym pobluźnił, za co, obawiam się wielce, że potępiony zostanie bez ratunku.

— Jakież to masz towary święte?

— Takie, że się i mówić o nich z nakrytą głową nie godzi, ale tym razem, mając gotowe odpusty, daję wam, panie, pozwolenie nie zrzucać kaptura, gdyż wiatr dmie znowu. Kupicie za to odpuścik na popasie, i grzech nie będzie wam policzon. Czego ja nie mam! Mam kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, które znalezione było koło piramid. Król Aragoński dawał mi za nie pięćdziesiąt dukatów dobrem złotem. Mam pióro ze skrzydeł archanioła Gabryela, które podczas Zwiastowania uronił; mam dwie głowy przepiórek, zesłanych Izraelitom na puszczy; mam olej, w którym poganie św. Jana chcieli usmażyć — i szczebel z drabiny, o której się śniło Jakóbowi — i łzy Maryi-Egipcyanki i nieco rdzy z kluczów św. Piotra... Ale wszystkiego wymienić nie zdołam, dlatego, żem przemarzł, a twój giermek, panie, nie chciał mi dać wina, a powtóre dlatego, że do wieczorabym nie skończył.

— Wielkie są to relikwie, jeśli prawdziwe! — rzekł Zbyszko.

— Jeśli prawdziwe? Weź, panie, dzidę z rąk pachołka i nadstaw, bo djabeł jest w pobliżu, który ci takie myśli poddaje. Trzymaj go, panie, na długość kopii. A nie chceszli nieszczęścia na się sprowadzić, to kup u mnie odpust za ten grzech — inaczej w trzech niedzielach umrze ci ktoś, kogo najwięcej na świecie miłujesz.

Zbyszko przeląkł się groźby, gdyż przyszła mu na myśl Danusia, i odrzekł:

— Toć nie ja nie wierzę, jeno przeor Dominikanów w Sieradzu.

— Obejrzycie, panie, sami wosk na pieczęciach; a co do przeora, Bóg wie, zali on jeszcze żyw, albowiem prędka bywa sprawiedliwość Boska.

Lecz gdy przyjechali do Sieradza, pokazało się, że przeor był żyw. Zbyszko udał się nawet do niego, aby dać na dwie msze, z których jedna miała się odprawić na intencję Maćka, druga na intencję owych pawich pióropuszów, po które Zbyszko jechał. Przeor, jak wielu wówczas w Polsce, był cudzoziemcem, rodem z Cylii, ale przez czterdzieści lat życia w Sieradzu wyuczył się dobrze polskiej mowy i był wielkim nieprzyjacielem Krzyżaków. Zaczem dowiedziawszy się o Zbyszkowem przedsięwzięciu, rzekł:

— Większa ich jeszcze spotka kara Boska, ale i ciebie od tego, coś zamierzył, nie odwodzę, naprzód z tej przyczyny, iżeś zaprzysiągł, a powtóre, że za to, co tu w Sieradzu uczynili, nigdy ich dosyć polska ręka nie przyciśnie.

— Cóż uczynili? — zapytał Zbyszko, który rad był wiedzieć o wszystkich nieprawościach krzyżackich.

Na to staruszek przeor rozłożył dłonie i naprzód począł odmawiać głośno: „Wieczny odpoczynek”, potem zaś siadł na zydlu, przez chwilę

oczy trzymał zamknięte, jakby chcąc zebrać, dawne wspomnienia, i wreszcie tak mówić począł:

— Sprowadził ich tu Wincenty z Szamotuł. Było mi wtedy dwanaście roków, i właśniem przybył tu z Cylii, skąd mnie wuj mój Petzoldt, kustosz, zabrał. Krzyżacy napadli w nocy na miasto i zaraz je podpalili. Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci i niewiasty ścinali mieczami, albo jako niemowlęta rzucali w ogień.... Widziałem zabijanych i księży, gdyż w złości swej nie przepuszczali nikomu. A zdarzyło się, iż przeor Mikołaj, z Elbląga rodem będąc, znał komtura Hermana, który wojskiem przewodził. Wyszedł on tedy za starszymi braćmi do owego lutego rycerza, i klęknąwszy przed nim, zaklinał go po niemiecku, aby się chrześcijańskiej krwi ulitował. Któren mu rzekł: „Nie rozumiem" — i dalej rzezać ludzi nakazał. Wtedy to wycięto i zakonników, a z nimi wuja mego Petzoldta, a zasię Mikołaja koniowi do ogona przywiązali... A nad ranem nie było jednego żywego człowieka w mieście, prócz Krzyżaków i prócz mnie, który się na belce ode dzwonu zataiłem. Bóg ich już pokarał za to pod Płowcami, ale oni ciągle na zgubę tego chrześcijańskiego królestwa dybią i póty dybać będą, póki ich całkiem nie zetrze ramię Boskie.

— Pod Płowcami toż — odrzekł Zbyszko — wszyscy prawie mężowie z rodu mego wyginęli; ale ich nie żałuję, skoro Bóg króla Łokietka tak wielkiem zwycięstwem udarował i dwadzieścia tysięcy Niemców wygubił.

— Doczekasz ty się jeszcze większej wojny i większych zwycięstw — rzekł przeor.

— Amen! — odpowiedział Zbyszko.

I poczęli mówić o czem innem. Młody rycerz wypytywał trochę o przekupnia relikwii, którego zdybał w drodze, i dowiedział się, iż wielu podobnych oszustów włóczy się po drogach, durząc łatwowiernych ludzi. Mówił mu także przeor, iż są bulle papieskie, nakazujące biskupom ścigać podobnych przekupniów, i którenby nie miał prawdziwych listów i pieczęci, zaraz go sądzić. Ponieważ świadectwa owego włóczęgi wydały się przeorowi podejrzane, więc chciał go zaraz do juryzdykcji biskupiej odesłać. Jeśliby się okazało, że prawdziwym jest wysłannikiem od odpustów, tedyby mu się krzywda nie stała. Ale on wolał uciec. Może jednak bał się mitręgi w podróży — ale przez tę ucieczkę w jeszcze większe podejrzenie się podał.

Pod koniec odwiedzin zaprosił też przeor Zbyszka na odpoczynek i nocleg do klasztoru, lecz ów nie mógł się na to zgodzić, chciał bowiem wywiesić kartę przed gospodą z wyzwaniem na „walkę pieszą alibo konną" wszystkich rycerzy, którzyby zaprzeczyli, że panna Danuta Jurandówna jest najurodziwszą i najcnotliwszą dziewką w królestwie — nie wypadało zaś żadną miarą wywieszać takowego wyzwania na furcie klasztornej. Ni przeor, ni inni księża nie chcieli mu nawet karty napisać, skutkiem czego młody rycerz wpadł w wielki kłopot i całkiem nie wiedział, jak sobie poradzić. Aż dopiero po powrocie do gospody, przyszło mu na myśl udać się o pomoc do przekupnia odpustów.

— Przeor zgoła nie wie, czyliś nie hultaj — rzekł — bo powiada tak: czegoby się miał bać biskupiego sądu, gdyby prawe miał świadectwa?

— Nie boję się też biskupa — odrzekł Sanderus — jeno mnichów, którzy się na pieczęciach nie znają. Właśnie chciałem do Krakowa jechać, ale że konia nie mam, więc muszę czekać, póki mi go ktoś nie podaruje. Ale tymczasem pismo poślę, do którego własną pieczęć przyłożę.

— Jam też sobie pomyślał, iż jeśli pokaże się, że znasz pismo, to będzie znak, żeś nie prostak. Ale jakże list poślesz?

— Przez jakiego pątnika, albo wędrownego mnicha. Małoż to ludzi do Krakowa do grobu królowej jeździ?

— A mnie potrafisz kartę napisać?

— Wypiszę, panie, wszystko, co każecie — gładko a do rzeczy, choćby na desce.

— Lepiej, że na desce — rzekł uradowany Zbyszko — bo to się nie zedrze i na później się przyda.

Jakoż, gdy po upływie pewnego czasu, pacholikowie znaleźli i przynieśli świeżą deskę, zabrał się Sanderus do pisania. Co tam napisał tego Zbyszko przeczytać nie umiał, ale kazał zaraz przybić wyzwanie na wrotach, pod niem zaś zawiesić tarczę, której Turczynkowie pilnowali naprzemian. Ktoby w nią kopią uderzył, tenby dał znak, że wyzwanie przyjmuje. W Sieradzu jednak brakło widocznie ochotników do takich spraw, tego bowiem dnia, ani nazajutrz do południa nie zadźwięczała tarcza ani razu od uderzenia — o południu zaś wybrał się strapiony nieco młodzieńczyk w dalszą drogę.

Jednakże przedtem jeszcze przyszedł do Zbyszka Sanderus i rzekł mu:

— Gdybyście, panie, wywiesili tarczę w krajach panów pruskich, pewnieby już teraz giermek musiał na was rzemienie od zbroi dociągać.

— Jakto! przecie Krzyżak, jako zakonnik, nie może mieć damy, w której się kocha, bo mu nie wolno.

— Nie wiem, czy im wolno, jeno wiem, że je miewają. Prawda, że Krzyżak bez zgorszenia do pojedynczej walki stanąć nie może, gdyż przysięga, że tylko za wiarę będzie się wespół z drugimi potykał, ale tam prócz zakonników, siła jest i świeckich rycerzy z dalekich stron, którzy panom pruskim w pomoc przychodzą. Ci patrzą jeno, z kimby się zczepić, a szczególniej rycerze francuscy.

— O wa! widziałem ja ich pod Wilnem, a da Bóg zobaczę i w Malborgu. Potrzeba mi pawich piór z hełmów, bom to ślubował — rozumiesz?

— Kupcie, panie, ode mnie dwie, albo trzy krople potu św. Jerzego, które wylał ze smokiem walcząc. Żadna relikwia lepiej się rycerzowi nie przygodzi. Dacie mi za to konia, na którego kazaliście mi się przysiąść, to wam jeszcze i odpust dołożę za tę krew chrześcijańską, którą w walce przelejecie.

— Daj spokój, bo się zaś zgniewam. Nie będę twego towaru brał, póki nie wiem, czy dobry.

— Jedziecie panie, jakoście rzekli, na dwór mazowiecki do księcia Janusza. Spytajcie się tam, ile relikwiów ode mnie nabrali — i sama księżna, i rycerze, i panny na weselach, na których byłem.

— Na jakich weselach? — zapytał Zbyszko.

— Jako zwyczajnie przed adwentem. Żenili się rycerze, jeden przez drugiego, bo ludzie prawią, że będzie wojna między królem polskim a pruskimi pany o Ziemię Dobrzyńską... Mówi też sobie poniektóry: „Bogu wiadomo, czy żyw będę" — i chce przedtem szczęśliwości z niewiastą zażyć.

Zbyszka zajęła mocno wieść o wojnie, ale jeszcze mocniej to, co Sanderus mówił o zamęzciach, więc zapytał:

— Jakież tam dziewki się wydały?

— A dwórki księżnej. Nie wiem, czy jedna ostała, bom słyszał, jako księżna mówiła, że przyjdzie jej nowych służebnych niewiast szukać.

Usłyszawszy to, Zbyszko umilkł na chwilę, potem spytał nieco zmienionym głosem:

— A panna Danuta Jurandówna, której imię na desce stoi, też się wydała?

Sanderus zawahał się z odpowiedzią, naprzód dlatego, że sam nic dobrze nie wiedział, a powtóre, że pomyślał, iż utrzymując rycerza w niepewności, nabierze nad nim pewnej przewagi i potrafi go lepiej wyzyskać. Już on poprzednio rozważył to w duszy, iż należy mu się trzymać tego rycerza, któren poczet miał zacny i opatrzon był dostatnio. Sanderus znał się na ludziach i na rzeczach. Wielka młodość Zbyszka pozwalała mu przypuszczać, że będzie to pan hojny a nieopatrzny i łatwo groszem rzucający. Zobaczył już był także ową kosztowną zbroję medyolańską i ogromne ogiery bojowe, których byle kto posiadać nie mógł — więc powiedział sobie, że przy takiem paniątku będzie się miało i gościnność po dworach zapewnioną, i niejedną sposobność do zyskownej sprzedaży odpustów, i bezpieczeństwo w drodze — i wreszcie obfitość jadła i napoju, o którą mu przedewszystkiem chodziło.

Zatem usłyszawszy Zbyszkowe pytanie, namarszczył czoło, podniósł w górę oczy, jakby natężając pamięć, i odrzekł:

— Panna Danuta Jurandówna... A skąd ona jest?

— Jurandówna Danuta, ze Spychowa.

— Widziałem ci ja je wszystkie, ale jak tam na które wołali — nie bardzo pomnę.

— Młódka to jeszcze jest, na luteńce grywająca, która śpiewaniem księżnę rozweselа.

— Aha... młódka... na luteńce grywająca... wychodziły i młódki... Nie czarnać ona jest, jako agat?

Zbyszko odetchnął.

— To nie ta! Tamta biała, jako śnieg, jeno na jagodach rumiana — i płowa.

A na to Sanderus:

— Bo jedna, czarna jako agat, przy księżnie ostała, a inne prawie wszystkie się wydały.

— Przecie mówisz, że „prawie wszystkie", to się znaczy, że nie co do jednej. Na miły Bóg, chcesz-li ode mnie co mieć, to sobie przypomnij.

— Tak we trzy, albo cztery dni, tobym sobie przypomniał — a najmilszy byłby mi koń, któryby moje święte towary nosił.

— To go dostaniesz, byleś prawdę rzekł.

Wtem Czech, który słuchał tej rozmowy od początku i uśmiechał się w garść, ozwał się:

— Prawda będzie wiadoma na mazowieckim dworze.

Sanderus popatrzył na niego przez chwilę poczem rzekł:

— A to myślisz, że się dworu mazowieckiego boję?

— Ja nie mówię, że się dworu mazowieckiego boisz, jeno, że zaraz, ni też po trzech dniach z koniem nie odjedziesz, a pokaże się li, żeś gałgan, to i na właśnych nogach nie odejdziesz, bo ci je Jego Miłość każe połamać.

— Jako żywo! — rzekł Zbyszko.

Sanderus pomyślał, że wobec takiej zapowiedzi lepiej być ostrożnym i odrzekł:

— Gdybym chciał zełgać, byłbym odrazu powiedział, że się wydała, albo, że się nie wydała, a ja rzekłem: nie pomnę. Żebyś miał rozum, tobyś zaraz cnotę moją z tej odpowiedzi wymiarkował.

— Nie brat mój rozum twojej cnocie, bo ona może być psu siostra.

— Nie szczeka moja cnota, jako twój rozum; a kto za życia szczeka, ten snadnie może wyć po śmierci.

— I pewnie! Twoja cnota nie będzie po śmierci wyła, jeno zgrzytała, chyba że za życia na usługach djabłu zęby straci.

I poczęli się kłócić, gdyż Czech wartki miał język i na każde słowo Niemca dwa znajdował. Lecz tymczasem Zbyszko dał rozkaz odjazdu, i niebawem ruszyli, wypytawszy wprzód dobrze ludzi bywałych o drogę do Łęczycy. Wkrótce za Sieradzem wjechali w głuche bory, którymi większa część kraju była porośnięta. Lecz środkiem ich szedł gościniec, miejscami nawet okopany, miejscami na nizinach wymoszczony okrąglakami, zabytek króla Kazimierzowej gospodarki. Wprawdzie po jego śmierci, wśród zawieruchy wojennej, jaką wzniecili Nałęcze i Grzymalici, podupadły nieco drogi, lecz za Jadwigi, po uspokojeniu królestwa, zawrzały znów w rękach zabiegłego ludu łopaty po bagnach, siekiery po lasach, i pod koniec jej życia, wszędzie już kupiec mógł między znaczniejszymi grodami prowadzić swoje ładowne wozy bez obawy, iż mu się połamią wśród wybojów, lub pogrzęzną w mlakach. Zwierz chyba dziki lub zbóje mogli wstręt czynić po drogach, lecz od zwierza były kaganki na noc, zaś kusze do obrony w dzień, a zbó-

jów, zawalidrogów mniej było, niż w krajach ościennych. Zresztą, kto jechał z pocztem i zbrojny, ten mógł się niczego nie obawiać.

Zbyszko też nie obawiał się zbójów, ni zbrojnych rycerzy, a nawet i nie myślał o nich, gdyż opadł go srogi niepokój — i duszą całą był na mazowieckim dworze. Zastanie li jeszcze swoją Danuśkę dwórką księżnej, czyli też żoną jakiego mazowieckiego rycerza — sam nie wiedział i od rana do nocy bił się z myślami nad tem pytaniem. Czasem wydawało mu się to niepodobieństwem, by ona miała o nim zapomnieć — lecz chwilami przychodziło mu do głowy, że może Jurand przybył na dwór ze Spychowa i wydał dziewkę za mąż, za jakiego sąsiada lub przyjaciela. Mówił on przecie jeszcze w Krakowie, że nie Zbyszkowi Danusia pisana i że mu jej oddać nie może — więc widocznie przyrzekł ją komuś innemu, widocznie był związan przysięgą, a teraz przysięgi dotrzymał. Zbyszkowi, gdy o tem myślał, zdało się rzeczą pewną, że już nie ujrzy Danuśki dziewczyną. Wołał wówczas Sanderusa i znów go badał, znów wypytywał, ale ów mącił coraz bardziej. Nieraz, już, już przypominał sobie dwórkę Jurandówną i jej wesele — a potem nagle wsadzał palec w usta, zamyślał się i odpowiadał: „Chyba nie ta!" W winie, które mu miało jasność w głowie czynić, nie odnajdował też Niemiec pamięci — i trzymał ciągle młodego rycerza między śmiertelną obawą a nadzieją.

Jechał więc Zbyszko w trosce, zmartwieniu i niepewności. Po drodze nie myślał już wcale o Bogdańcu, ni o Zgorzelicach, tylko o tem, co mu należy czynić. Przedewszystkiem należało jechać dowiedzieć się prawdy na mazowieckim dworze, jechał więc spiesznie, zatrzymując się tylko na krótkie noclegi po dworach, gospodach i miastach, aby koni nie zniszczyć. W Łęczycy kazał wywiesić znów deskę z wyzwaniem przed bramą, rozumiejąc w sobie w duszy, że, czy Danuśka jeszcze trwa w panieńskim stanie, czy za mąż wyszła, zawsze jest panią jego serca i potykać się o nią powinien. Ale w Łęczycy nie bardzo kto umiał wezwanie przeczytać, ci zaś z rycerzy, którym odczytali je biegli w piśmie klerycy, wzruszali ramionami, nie znając obcego obyczaju i mówiąc: „głupi to jakiś jedzie, bo jakże mu kto ma przyświadczyć, albo się sprzeciwić, skoro onej dziewki na oczy nie widział!" A Zbyszko jechał dalej w coraz większem strapieniu i z coraz większym pośpiechem. Nigdy on nie ustawał kochać swojej Danuśki, ale w Bogdańcu i w Zgorzelicach „uradzając" prawie codzień z Jagienką i patrząc na jej urodę, nie tak często o tamtej myślał, a teraz dniem i nocą nie schodziła mu ni z oczu, ni z pamięci, ni z myśli. We śnie nawet widywał ją przed sobą, przetowłosą, z lutnią w ręku, w czerwonych trzewikach i z wianeczkiem na głowie. Wyciągała do niego ręce, a Jurand ją od niego odciągał. Rankiem, gdy sny pierzchały, przychodziła zaraz na ich miejsce tęsknota większa, niż była przedtem — i nigdy tak Zbyszko tej dziewczyny nie kochał w Bogdańcu, jak zaczął ją kochać właśnie teraz, gdy nie był pewien, czy mu jej nie zabrali.

Przychodziło mu też do głowy, że pewnie ją po niewoli wydali, więc jej w duszy nie oskarżał, zwłaszcza, że dzieckiem będąc, woli swej

jeszcze mieć nie mogła. Burzył się natomiast w duszy przeciw Jurandowi i przeciw księżnej Januszowej, a gdy pomyślał o Danusinym mężu, zaraz serce podnosiło mu się aż po szyję w piersiach, i groźnie się na pachołków, wiozących pod oponami zbroję oglądał. Układał też sobie, że służyć jej nie przestanie i że choćby ją cudzą żoną zastał, to pawie grzebienie złożyć jej u nóg musi. Ale było w tej myśli więcej żalu, niż pociechy, bo całkiem nie wiedział, co pocznie potem.

Pocieszała go tylko myśl o wielkiej wojnie. Chociaż nie chciało mu się bez Danuśki żyć, nie obiecywał sobie, że koniecznie zginie, natomiast czuł, że tak mu się jakoś zapodzieje w czasie wojny dusza, i pamięć, iż zbędzie wszelkich innych trosk i frasunków. A wielka wojna wisiała jakby w powietrzu. Niewiadomo było, skąd się brały o niej wieści, gdyż między królem a Zakonem panował spokój — a jednakże wszędy, gdzie Zbyszko zajechał, nie mówiono o niczem innem. Ludzie mieli jakby przeczucie, że to nastąpić musi, a niektórzy mówili otwarcie: „Pocóż nam się było z Litwą łączyć, jeśli nie przeciw onym wilkom krzyżackim? Raz więc trzeba z nimi skończyć, aby zaś dłużej nie szarpali nam wnętrzności". Inni wszelako powiadali: „Szaleni mnichowie! mało im było Płowców! śmierć jest nad nimi, a oni jeszcze ziemię Dobrzyńską porwali, którą wraz z krwią wyrzygać muszą"... I gotowano się po wszystkich ziemiach Królestwa, poważnie, bez chełpliwości, jako zwyczajnie do boju na śmierć i życie, ale z głuchą zawziętością potężnego ludu, który zbyt długo krzywdy znosił i wreszcie do wymierzenia strasznej kary się gotował. Po wszystkich dworach spotykał Zbyszko ludzi przekonanych, że lada dzień trzeba będzie na koń siadać, i aż dziwił się temu, albowiem mniemając również, jak i inni, że do wojny przyjść musi, nie słyszał jednak o tem, by miała nastąpić tak prędko. Nie przyszło mu wszelako do głowy, że ludzka chęć wyprzedza w tym razie wypadki. Wierzył innym, nie sobie, i radował się w sercu, na widok owej przedwojennej krzątaniny, którą na każdym spotykał kroku. Wszędzie wszystkie inne troski ustępowały trosce o konie i zbroje, wszędzie oglądano w wielkiem skupieniu kopie, miecze, topory, rohatyny, hełmy, pancerze, rzemienie przy napierstnikach i kropierzach. Kowale dzień i noc bili młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube, ciężkie, któreby ledwie dźwignąć mogli wytworni rycerze z Zachodu, ale które z łatwością nosili krzepcy „dziedzice" z Wielko i Małopolski. Starcy wydobywali ze skrzyń w alkierzach spleśniałe worki z grzywnami, na wojenną wyprawę dla dzieci. Raz nocował Zbyszko u możnego szlachcica Bartosza z Bielaw, który mając dwudziestu dwóch tęgich synów, zastawił liczne ziemie klasztorowi w Łowiczu, aby zakupić dwadzieścia dwa pancerze, tyleż hełmów i innych przyborów na wojnę. Więc Zbyszko, choć o tem w Bogdańcu nie słyszał, myślał także, że zaraz przyjdzie do Prus pociągnąć, i dziękował Bogu, że tak przednio jest na wyprawę opatrzon. Jakoż zbroja jego budziła powszechny podziw. Brano go za wojewodzińskie dziecko, a gdy powiadał ludziom, że prostym jest tylko szlachcicem, i że taką zbroję można u Niemców kupić, byle godnie toporem zapłacić, wzbierały serca ochotą wojenną. Lecz niejeden, na widok tej zbroi, nie

mogąc pożądliwości potłumić, doganiał Zbyszka na gościńcu i mówił: „Nużbyś się o nią spotkał?” Ale on, mając drogę pilną, nie chciał się potykać, a Czech kuszę naciągał. Przestał nawet Zbyszko wywieszać po gospodach deskę z wyzwaniem, albowiem pomiarkował, iż im głębiej od granic w kraj wjeżdżał, tem mniej się ludzie na tem rozumieli i tem bardziej poczytywali go za głupiego.

Na Mazowszu mniej ludzie mówili o wojnie. Wierzyli i tu, że będzie, ale nie wiedzieli kiedy. W Warszawie spokój był, tembardziej, że dwór bawił w Ciechanowie, który książę Janusz, po dawnym napadzie litewskim przebudowywał, a raczej całkiem na nowo wznosił, gdyż z dawnego został tylko zamek. W grodzie warszawskim przyjął Zbyszka Jaśko Socha, starosta zamkowy, syn wojewody Abrahama, który pod Worsklą poległ. Jaśko znał Zbyszka, gdyż był z księżną w Krakowie, więc też i ugościł go z radością — on zaś nim do jadła i napoju zasiadł, zaraz począł go wypytywać o Danusię i o to, czy się wraz z innemi dwórkami księżnej nie wydała.

Lecz Socha nie umiał mu na to odpowiedzieć. Księstwo bawili na zamku Ciechanowskim od wczesnej jesieni. W Warszawie tylko została garść łuczników i on, dla straży. Słyszał, że były w Ciechanowie różne uciechy i wesela, jak bywa zwyczajnie przed adwentem, ale którąby z dworek za mąż poszła, a która się ostała, o to, jako człek żonaty nie wypytywał.

— Myślę wszelako — mówił — że Jurandówna się nie wydała, gdyżby się to bez Juranda obyć nie mogło, a nie słyszałem, aby przyjeżdżał. Bawią też u księstwa w gościnie dwaj bracia zakonni, komturowie, jeden z Jansborku, a drugi ze Szczytna, a z nimi podobno i jacyś goście zagraniczni — a wtedy Jurand nigdy nie przyjeżdża, gdyż jego widok białego płaszcza do szaleństwa zaraz przywodzi. Nie było zasię Juranda, nie było i wesela! A chcesz, to poślę ci gończego zapytać, któremu pilno wracać każę, choć jako żywo, tak myślę, że Jurandównę w panieńskim jeszcze stanie napotkasz.

— Sam zaraz jutro pojadę, ale za pociechę Bóg ci zapłać. Niech jeno konie odpoczną, to pojadę, gdyż nie będę miał spokoju, póki się prawdy nie dowiem. Bóg ci wszelako zapłać, bo zaraz mi ulżyło.

Socha nie poprzestał jednak na tem i począł się przepytywać między szlachtą, bawiącą przygodnie w zamku i między żołnierzami, czy kto czego o weselu Jurandówny nie słyszał. Nie słyszał jednak nikt — choć znaleźli się tacy, którzy byli w Ciechanowie, a nawet i na niektórych weselach: „Chybaby kto ją wziął w ostatnich tygodniach, albo w ostatnich dniach”. Jakoż mogło się i tak zdarzyć, gdyż w owych czasach nie tracili ludzie czasu na namysł. Ale tymczasem Zbyszko poszedł spać wielce pokrzepiony. Już w łożu będąc, namyślał się, czy nie odpędzić nazajutrz Sanderusa, pomyślał jednak, że hultaj może mu się dla swej znajomości niemieckiej mowy przydać wówczas, gdy się przeciw Lichtensteinowi wybierze. Pomyślał także, że Sanderus nie okłamał go, a chociaż był nabytkiem kosztownym, gdyż jadł i pił po gospodach za czterech, był jednak usłużny i okazywał nowemu panu

pewne przywiązanie. Nadto posiadał także sztukę pisania, czem górował nad giermkiem Czechem i nad samym Zbyszkiem.

To wszystko sprawiło, iż młody rycerz pozwolił mu jechać ze sobą do Ciechanowa, z czego Sanderus był rad, nietylko dla „wiktu", ale i dlatego, iż zauważył, że w zacnem towarzystwie więcej wzbudza ufności i łacniej znajduje kupców na swój towar. Po jeszcze jednym noclegu w Nasielsku, jadąc, ni zbyt wartko, ni zbyt wolno, ujrzeli następnego dnia pod wieczór mury Ciechanowskiego zamku. Zbyszko zatrzymał się w gospodzie, aby wdziać na się zbroję i wjechać obyczajem rycerskim do zamku, w hełmie i z kopią w ręku — zaczem siadł na olbrzymiego zdobycznego ogiera, i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża — ruszył przed siebie.

Lecz nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy jadący z tyłu Czech porównał się z nim i rzekł:

— Wasza miłość, rycerze jacyś za nami walą, Krzyżaki chyba, czy co?

Zbyszko zawrócił konia i nie dalej, jak na pół stajania za sobą, ujrzał okazały poczet, na którego czele jechało dwóch rycerzy na tęgich pomorskich koniach, obaj w pełnych zbrojach, każdy w białym płaszczu z czarnym krzyżem i w hełmie z wysokim pawim pióropuszem.

— Krzyżacy, na miły Bóg! — rzekł Zbyszko.

I mimowoli pochylił się na siodle i złożył kopię w pół ucha końskiego, co widząc Czech splunął w garście, aby mu się nie ślizgało w nich toporzysko.

Czeladnicy Zbyszkowi, ludzie bywali i znający obyczaj wojenny, stanęli także w gotowości — nie do walki wprawdzie, albowiem w spotkaniach rycerskich służba nie brała udziału, ale do odmierzenia miejsca pod bitwę konną, lub do udeptania zaśnieżonej ziemi pod pieszą. Jeden Czech tylko, szlachcicem będąc, miał się ku robocie, lecz i on spodziewał się, że Zbyszko przemówi zanim uderzy, i w duszy mocno się nawet dziwił, iż młody pan pochylił kopię przed wyzwaniem.

Lecz i Zbyszko opamiętał się w porę. Przypomniał sobie swój szalony uczynek pod Krakowem, gdy nieopatrznie chciał bić w Lichtensteina — i wszystkie nieszczęścia, jakie z tego wynikły, więc podniósł kopię, oddał ją Czechowi, i nie dobywając miecza, ruszył koniem ku rycerzom zakonnym. Zbliżywszy się, zauważył, że prócz nich był jeszcze trzeci rycerz, również z piórami na głowie i czwarty niezbrojny, długowłosy, który wydawał mu się Mazurem.

Widząc zaś ich, rzekł sobie w duszy:

— Ślubowałem mojej panience w więzieniu, nie trzy czuby, jeno tyle, ile palców u rąk, ale trzy, byle to nie byli posłowie — mogłoby być zaraz.

Jednakże pomyślał, że to właśnie muszą być jacyś posłowie do księcia Mazowieckiego, więc westchnąwszy, ozwał się głośno:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział długowłosy niezbrojny jeździec.

— Szczęść wam Boże.

— I wam, panie.

— Chwała św. Jerzemu!

— Nasz ci to patron. Witajcie, panie, w podróży.

Tu poczęli się sobie kłaniać, a następnie Zbyszko wymienił kto jest, jakiego herbu, zawołania i skąd na dwór Mazowiecki podąża, długowłosy zaś rycerz oznajmił, iż zowie się Jędrek z Kropiwnicy i gości księciu wiedzie: brata Godfryda, brata Rotgiera, oraz pana Fulka de Lorche z Lotaryngji, który u Krzyżaków bawiąc, chce księcia Mazowieckiego, a zwłaszcza księżnę, córkę sławnego „Kynstuta", na własne oczy obaczyć.

Przez ten czas, gdy wymieniano ich nazwiska, rycerze zagraniczni, siedząc prosto na koniach, pochylali raz po raz przybrane w żelazne hełmy głowy, sądząc bowiem ze świetnej zbroi Zbyszkowej, mniemali, że książę kogoś znacznego, może krewnego, lub syna na spotkanie ich wysłał.

Jędrek zaś z Kropiwnicy mówił dalej:

— Komtur, jakobyście po naszemu rzekli: starosta z Jansborku, bawi w gościnie u księcia, któremu rozpowiadał o tych trzech rycerzach, jako mają żywną ochotę przybyć, ale nie śmią, a zwłaszcza ów rycerz z Lotaryngji, on bowiem zdaleka będąc, mniemał, że za krzyżacką granicą zaraz mieszkają Saraceny, z którymi wojna nie ustaje. Książę, jako ludzki pan, wnet mnie na granicę posłał, abym ich bezpiecznie wśród zamków przeprowadził.

— To bez waszej pomocy nie mogliby przejechać?

— Jest nasz naród okrutnie na Krzyżaków zawzięty, a to z przyczyny nie tyle ich napaści — bo i my do nich zaglądamy, ile z przyczyny wielkiej ich zdradliwości, że to, jeśli cię Krzyżak obłapi, a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem żgnąć, któren obyczaj zgoła jest świński i nam Mazurom, przeciwny... Ba! juści!... Pod dach i Niemca każdy przyjmie i gościowi krzywdy nie uczyni, ale na drodze rad mu zastąpi. A są i tacy, którzy nic innego nie czynią, przez pomstę, alibo dla chwały, którą daj Bóg każdemu.

— Którenże jest między wami najsławniejszy?

— Jest jeden taki, że lepiejby Niemcu śmierć obaczyć, niż jego: zowie się Jurand ze Spychowa.

Zadrgało w młodym rycerzu serce, gdy usłyszał to nazwisko — i wraz postanowił pociągnąć Jędrka z Kropiwnicy za język.

— Wiem! — rzekł — słyszałem: to ów, którego córka Danuta dwórką księżnej była, póki się nie wydała.

I to rzekłszy, począł pilnie patrzyć w oczy mazowieckiego rycerza, tamując prawie dech w piersiach, ów zaś odrzekł z wielkiem zdziwieniem:

— A wam to kto powiadał? Dyć to młódka. Bywa poprawdzie, że i takie wychodzą za mąż, ale Jurandówna nie wyszła. Sześć dni temu, jak wyjechałem z Ciechanowa i widziałem ją przy księżnej. Jakoże jej w adwencie wychodzić?

Zbyszko, słysząc to, wytężył całą siłę woli, by nie pochwycić Mazura za szyję i nie zakrzyknąć mu: Bóg ci zapłać za nowinę!" — pohamował się jednak i rzekł:

— Bo słyszałem, że ją Jurand komuś oddał.

— Księżna chciała ją oddać, nie Jurand, jeno przeciw woli Jurandowej nie mogła. Chciała ją oddać jednemu rycerzowi w Krakowie, który dziewce ślubował i którego ona miłuje.

— Miłuje ci go? — zakrzyknął Zbyszko.

Na to Jędrek spojrzał na niego bystro, uśmiechnął się i rzekł:

— Wiecie! jakoś strasznie się o tę dziewuchę przepytujecie.

— Przepytuję o znajomych, ku którym jadę.

Mało Zbyszkowi widać było twarzy z pod hełmu, ledwie oczy, nos i trochę policzków, ale za to nos i policzki tak były czerwone, że skory do drwin, a przechera Mazur, rzekł:

— Pewnikiem od mrozu tak wam gęba pokraśniała, jako wielkanocne jaje!

A młodzian zmieszał się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Pewnikiem...

Ruszyli i jechali czas jakiś w milczeniu, tylko konie parskały, wyrzucając z nozdrzy słupy pary — i obcy rycerze poczęli między sobą szwargotać. Lecz po chwili Jędrek z Kropiwnicy zapytał:

— Jakoże was to zowią, bom niedobrze dosłyszał?

— Zbyszko z Bogdańca.

— Moiście wy! A toć tamtemu, co to Jurandównie ślubował, podobnie było.

— Zali myślicie, że się zaprę? — odpowiedział prędko i z dumą Zbyszko.

— Bo i niema czego. Miły Boże, to wyście ów Zbyszko, któremu dziewucha nałęczką głowę nakryła! Po powrocie z Krakowa, wszystkie dwórki o niczem innem nie gadały, jeno o was, a niejednemu to aż śluzy, słuchajęcy, po jagodach ciekły. Toście wy! Hej! radość też będzie na dworze... że to i księżna was nawidzi.

— Bóg jej błogosław i wam także za dobrą nowinę... Bo jak mi powiedzieli, że się wydała, to ażem ścierpł.

— Co się miała wydać!... Łakoma to jest rzecz, taka dziewka, bo za nią cały Spychów stoi, ale choć siła jest gładkich chłopów na dworze, żaden jej w ślepia nie zaglądał, bo każden i jej uczynek, i waše ślubowanie szanował. Nie byłaby też dopuściła do tego i księżna. Hej! będzie radość. Po prawdzie, przekomarzali się czasem dziewusze! Powie jej kto: „Nie wróci twój rycerz" — to ona jeno piętami przytupuje: „Wróci! wróci!" — chociaż nieraz, gdy kto jej rzekł, żeście inną wzięli to i do płakania przychodziło.

Rozczuliły te słowa Zbyszka, ale zarazem chwycił go gniew na ludzkie gadanie, więc rzekł:

— Kto o mnie takie rzeczy szczekał, to go pozwę!

A Jędrek z Kropiwnicy począł się śmiać:

— Baby naprzekór gadały! Będziecie pozywać baby? Mieczem przeciw kądzieli nie poradzisz!

Zbyszko rad, że mu Bóg zesłał tak wesołego i życzliwego towarzysza, począł go wypytywać o Danusię, potem o obyczaje Mazowieckiego dworu, i znów o Danusię, potem o księcia Janusza, o księżnę, i znów o Danusię — nakoniec jednak wspomniawszy o swych ślubach, rozpowiedział Jędrkowi, co słyszał po drodze o wojnie — jako się ludzie do niej gotują, jako jej z dnia na dzień czekają — a wreszcie zapytał, czyli i w księstwach Mazowieckich tak samo myślą.

Lecz dziedzic Kropiwnicy nie myślał, aby wojna była tak blizka. Gadają ludzie, że nie może inaczej być, ale on słyszał, oto jak raz sam książę mówił do Mikołaja z Długolasu, że pochowali rogi Krzyżacy, i że byle król nastawał, to i z ziemi Dobrzyńskiej, którą porwali, odstąpią, bo się potęgi jego boją — albo przynajmniej będą sprawę przewłóczyć, póki się dobrze nie przygotują.

— Zresztą — rzekł — książę niedawno do Malborku jeździł, gdzie pod niebytność mistrza, wielki marszałek go podejmował i gonitwy dla niego wyprawił, a teraz u księcia komtury bawią — i ot nowi goście jeszcze jadą....

Tu jednak zastanowił się przez chwilę i dodał:

— Powiadają ludzie, że te Krzyżaki nie bez przyczyny u nas i u księcia Ziemowita w Płocku siedzą. Chcieliby oni pono, żeby w razie wojny, nasi książęta nie wspomagali króla polskiego, jeno ich, a jeśli się nie dadzą do tego pociągnąć, to żeby, choć na boku spokojnie ostali — ale tego nie będzie...

— Bóg da, że nie będzie. Jakżebyście to w domu usiedzieli? Wasi książęta przecie Królestwu Polskiemu powinni. Nie usiedzicie, myślę.

— Nie usiedzimy — odrzekł Jędrek z Kropiwnicy.

Zbyszko spojrzał znów na obcych rycerzy i na ich pawie pióra:

— To i ci po to jadą?

— Bracia zakonni, może i po to. Kto ich wie?

— A ów trzeci?

— Trzeci jedzie, bo ciekawy.

— Znaczny jakiś musi być.

— Ba! wozów idzie za nim okutych trzy; z godnym sprzętem, a ludzi pocztowych jest dziewięciu. Bogdajby się z takim zawrzeć! Aże ślina do gęby idzie.

— Ale nie możecie?

— Jakże! Toć mi książę kazał ich strzedz. Włos im z głowy nie spadnie do Ciechanowa.

— A nużbym ich pozwał? Nużby się chcieli ze mną potykać?

— Tedy musielibyście się wpierw ze mną potykać, bo pókim żyw, nie będzie z tego nic.

Zbyszko, usłyszawszy to, spojrzał przyjaźnie na młodego szlachcica i rzekł:

— Rozumiecie, co rycerska cześć. Z wami nie będę się potykał, bom wam przyjacielem, ale w Ciechanowie, da Bóg, przyczynę przeciw Niemcom znajdę.

— W Ciechanowie róbcie sobie, co wam się spodoba. Nie obejdzie się też tam bez jakowychś gonitw, to może pójść i na ostre, byle książę i komturowie dali pozwoleństwo.

— Mam ci ja taką deskę, na której stoi pozwanie dla każdego, ktoby nie przyznał, że panna Danuta Jurandówna najcnotliwsza i najgładsza dziewka na świecie. Ale wiecie... wszędy ludzie jeno ramionami ruszali i śmiali się.

— Bo też to jest obcy obyczaj, a prawdę rzekłszy, głupi, którego u nas ludzie nie znają, chyba gdzieś na pograniczach. To i ten tu Lotaryńczyk zaczepiał po drodze szlachtę, każąc jakąś swoją panią nad inne wysławiać. Ale go nikt nie rozumiał, a jam do bitki nie dopuszczał.

— Jakto? kazał swoją panią wysławiać? Bójcie się Boga! Chyba że wstydu w oczach nie ma.

Tu spojrzał na zagranicznego rycerza, jakby się chcąc przekonać, jak też wygląda człowiek, który wstydu w oczach nie ma, ale w duszy musiał jednak przyznać, iż Fulko de Lorche nie wyglądał wcale na zwykłego zawalidrogę. Owszem, z pod uchylonej przyłbicy patrzyły oczy łagodne i wychylała się twarz młoda, a pełna jakiegoś smutku.

— Sanderus! — zawołał nagle Zbyszko.

— Do usług — odpowiedział, zbliżając się, Niemiec.

— Zapytaj się tego rycerza, jaka jest najcnotliwsza i najcudniejsza dziewka na świecie.

— Jaka jest najcudniejsza i najcnotliwsza dziewka na świecie? — zapytał Sanderus.

— Ulryka de Elner! — odpowiedział Fulko de Lorche.

I podniósłszy oczy w górę, począł raz po razu wzdychać, Zbyszkowi zaś, gdy usłyszał takie bluźnierstwo, oburzenie zaparło dech w piersi, a gniew chwycił go tak wielki, że zdarł na miejscu ogiera; zanim jednak zdołał przemówić, Jędrek z Kropiwnicy przedzielił go koniem od cudzoziemca i rzekł:

— Nie będziecie się tu wadzić.

Lecz Zbyszko zwrócił się znów do przekupnia relikwii.

— Powiedz mu ode mnie, że sowę miłuje.

— Pan mój mówi, szlachetny rycerzu, że miłujecie sowę! — powtórzył, jak echo Sanderus.

Na to Jan de Lorche puścił cugle i prawą ręką począł odpinać, a następnie ściągać żelazną rękawicę, poczem rzucił ją w śnieg przed Zbyszkiem, ów zaś skinął na swego Czecha, aby ją podjął ostrzem kopii.

Wtem Jędrek z Kropiwnicy zwrócił się do Zbyszka z twarzą już groźną i rzekł:

— Nie spotkacie się, powiadam, póki się moje stróżowanie nie skończy. Nie pozwolę ni jemu, ni wam.

— Przecie nie ja go pozwałem, jeno on mnie.

— Ale za sowę. Dość mi tego, a którvby się przeciwił... Ejże!... wiem i ja, jako pas okręcić.

— Nie chcę się z wami bić.

— A musielibyście ze mną, bo ja tamtego poprzysiągł bronić.

— To jakże będzie? — spytał uparty Zbyszko.

— Ciechanów niedaleko.

— Ale co Niemiec pomyśli?

— Niech mu wasz człowiek powie, że tu spotkania być nie może i że pierwej musi być książęce pozwolenie dla was, a komturowe dla niego.

— Ba! a jeżeli pozwoleństwa nie dadzą?

— To się przecie znajdziecie. Dość gadania.

Zbyszko, widząc, że niema rady, i rozumiejąc, że Jędrek z Kropiwnicy nie może istotnie na bitkę pozwolić, zawołał znów Sanderusa, aby wytłómaczył lotaryńskiemu rycerzowi, że bić się będą dopiero, jak staną na miejscu. De Lorche, wysłuchawszy słów Niemca, skinął głową na znak, że rozumie, a następnie wyciągnąwszy ku Zbyszkowi rękę, potrzymał przez chwilę jego dłoń i ścisnął ją mocno, po trzykroć, co wedle zwyczajów rycerskich oznaczało, że bić się ze sobą gdziekolwiek i kiedykolwiek muszą. Poczem w pozornej zgodzie, ruszyli ku Ciechanowskiemu zamkowi, którego tępe wieże widać już było na tle zarumienionego nieba...

Wjechali jeszcze za widna, lecz nim opowiedzieli się przy bramach zamkowych i nim spuszczono most, nastała głęboka noc. Przyjął ich i ugościł znajomy Zbyszkowy, Mikołaj z Długolasu, któren przywodził załodze, złożonej z garści rycerstwa i trzystu niechybnych łuczników puszczańskich. Zaraz na wstępie, dowiedział się ku wielkiemu swemu strapieniu Zbyszko, że dworu nie było. Książę, chcąc uczcić komturów ze Szczytna i z Jańsborka, wyprawił wielkie łowy w puszczy, na które udała się, dla przydania okazałości widowisku, i księżna, wraz z dworskiemi pannami. Ze znajomych niewiast znalazł Zbyszko tylko Ofkę, wdowę po Krzychu z Jarząbkowa, która była klucznicą w zamku. Ta rada mu była bardzo, albowiem od czasu powrotu z Krakowa, opowiadała każdemu, kto chciał i nie chciał, o jego miłości do Danusi i przygodzie z Lichtensteinem. Jednały jej te opowiadania wielki mir wśród młodszych dworzan i panien — była więc wdzięczna Zbyszkowi — i teraz starała się pocieszyć młodzianka w smutku, jakim przejęła go nieobecność Danuśki.

— Nie poznasz jej — mówiła. — Dziewczynie roki idą, i w szatkach już jej szwy poczynają pod szyją trzaskać, bo wszystko w niej pęcznieje. Nie skrzat to już taki, jaki był i inaczej cię miłuję, niż dawniej. Teraz, niech jej kto jeno krzyknie do ucha: „Zbyszko!" — to jakby

ją kto żydłem żgnął. Taka już nas wszystkich niewiast dola, przeciw czemu niema rady, gdyż to z rozkazania Boskiego... A stryjko twój, powiadasz, zdrowi? Czemu zaś nie przyjechali?... Juści że taka dola... Cni się, cni samej niewieście na świecie... Łaska Boska, że dziewczyna nóg nie połamała, bo codzień na wieżę wyłazi, a na drogę spogląda... Każda z nas potrzebuje przyjacielstwa...

— Popasę jeno konie i pojadę ku niej — choćby i nocą pojadę — odpowiedział Zbyszko.

— Uczyń to, jeno przewodnika z zamku weź, bo w puszczy zabłądzisz.

Jakoż na wieczerzy, którą Mikołaj z Długolasu dla gości wyprawił, oświadczył Zbyszko, że zaraz za księciem pojedzie i o przewodnika prosi. Zdrożeni bracia zakonni poprzysuwali się po uczcie do olbrzymich kominów, na których płonęły całe pnie sosnowe, i postanowili jechać dopiero nazajutrz, po wypoczynku. Lecz de Lorche, wypytawszy się o co chodzi, oznajmił chęć jechania razem ze Zbyszkiem, mówiąc, że inaczej mogliby się spóźnić na łowy, które chciał widzieć koniecznie.

Poczem zbliżył się do Zbyszka, i wyciągnąwszy doń rękę, znów trzykrotnie ścisnął jego palce.

19.

Lecz nie miało i tym razem przyjść między nimi do bitki, gdyż Mikołaj z Długolasu dowiedziawszy się od Jędrka z Kropiwnicy o co im chodzi, wziął od obydwóch słowo, że się bez wiedzy księcia i komturów potykać nie będą, w razie zaś oporu groził zamknięciem bram. Zbyszkowi chciało się jak najprędzej zobaczyć Danusię, więc nie śmiał się sprzeciwiać, de Lorche zaś, który bił się chętnie, gdy było trzeba, ale nie był człowiekiem krwiożerczym, poprzysiągł bez trudności na swą rycerską cześć, iż będzie czekał na pozwolenie księcia, tembardziej, że postępując przeciwnie, obawiałby się mu ubliżyć. Chodziło też Lotaryńczykowi, który nasłuchawszy się pieśni o turniejach, lubił świetne zgromadzenia i okazałe uroczystości, aby potykać się właśnie wobec dworu dostojników i dam — gdyż sądził, że w ten sposób zwycięstwo jego nabierze większego rozgłosu i tem łatwiej złote ostrogi mu wyjedna. Przytem zaciekawiał go kraj i ludzie, więc po myśli była mu zwłoka — zwłaszcza, że Mikołaj z Długolasu, któren lata całe u Niemców w niewoli przesiedział i z cudzoziemcami mógł łatwo się rozmówić, dziwy opowiadał o łowach książęcych na różne bestje, nieznane już w krajach zachodnich. O północy więc ruszyli razem ze Zbyszkiem ku Przasnyszowi, mając ze sobą swe zbrojne poczty i ludzi z kagankami dla ochrony od wilków, które zbierając się zimą w nieprzeliczone gromady, mogły okazać się groźne nawet dla kilkunastu jeźdźców, choćby najlepiej uzbrojonych. Z tej strony Ciechanowa nie brakło już także lasów, które niedaleko za Przasnyszem przechodziły w olbrzymią

puszczę Kurpieską, łączącą się na wschód z nieprzebytymi borami Podlasia i dalszej Litwy. Przed niedawnymi czasy, tymi to borami spływała zwykle na Mazowsze, omijając jednak groźnych miejscowych osadników, dzicz litewska, która w r. 1337 doszła aż pod Ciechanów i zburzyła miasto. De Lorche z największą ciekawością słuchał opowiadań o tem starego przewodnika, Maćka z Turobojów, albowiem pałał w duszy chęcią zmierzenia się z Litwinami, których — jak i inni rycerze zachodni — za Saracenów uważał. Przybył on przecie w te strony na wyprawę krzyżową, pragnąc uzyskać sławę i zbawienie duszy, a jadąc, mniemał, że wojna nawet i z Mazurami, jako z pogańskim przez pół narodem, także zupełny odpust zapewnia. Oczom też prawie nie wierzył, gdy wjechawszy w Mazowsze, ujrzał kościoły po miastach, krzyże na wiezach, duchownych, rycerzy ze świętemi znamionami na zbrojach i naród bujny wprawdzie, zapalczywy, do zwady i bitki pochopny, ale chrześcijański i wcale od Niemców, wśród których młody rycerz przejeżdżał, nie drapieżniejszy. Więc gdy mu prawiono, że od wieków ten naród Chrystusa wyznaje, sam nie wiedział, co o Krzyżakach myśleć, a gdy się dowiedział, że i Litwę już nieboszczka królowa krakowska ochrzciła, zdumienie jego, a zarazem i troska nie miały granic.

Więc począł rozpytywać Maćka z Turobojów, czy w owych lasach, ku którym jadą niema przynajmniej smoków, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice, i z którymi możnaby walczyć. Lecz odpowiedź Maćka i pod tym względem sprawiła mu zawód zupełny.

— W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty — odrzekł Mazur. — Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewniebyśmy im dziewek nie dawali, ale kupąbyśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, jużby dawno osadnicy puszczańscy pasy z ich skóry nosili!

— Co to za naród i czyby nie można z nim walczyć? — spytał de Lorche.

— Walczyć z nim można, ale niezdrowo — odrzekł Maćko — a wreszcie rycerzowi i nieprzystoi, gdyż to jest naród chłopski.

— Szwajcarowie także są chłopami. Zali ci Chrystusa wyznają?

— Niemasz innych na Mazowszu, a ci są ludzie nasi i książęcy. Widzieliście przecie łuczników na zamku. Sami to Kurpie, albowiem niemasz nad nich łuczników w świecie.

— Anglicy i Szkoci, których na dworze burgundzkim widziałem.

— Widziałem ich i w Malborku — przerwał Mazur. — Tęgie pachołki, ale nie daj im Bóg kiedy przeciw tym stawać! U nich dzieciak w siedmiu leciach póty jeść nie dostanie, póki jadła strzałą z wierzchołka sosny nie zrzuci.

— O czem gadacie? — zapytał nagle Zbyszko, o którego uszy odbił się kilkakrotnie wyraz: Kurpie.

— O łucznikach kurpieskich i angielskich. Prawi ten rycerz, iże angielscy, a zasię szkoccy, nad wszystkimi celują.

— Widziałem ich i ja pod Wilnem. O wa! słyszałem ich groty koło uszu. Byli też tam i rycerze ze wszystkich krajów, którzy zapowiadali, że nas bez soli zjedzą, ale popróbowawszy raz i drugi, stracili do jadła ochotę.

Maćko rozśmiał się i powtórzył słowa Zbyszkowe panu de Lorche.

— Mówili o tem na różnych dworach — odrzekł Lotaryńczyk; — chwalono tam zawziętość waszych rycerzy, ale przyganiano im, iż pogan przeciw krzyżowi bronią.

— Broniliśmy naród, który chciał się ochrzcić przeciw napaściom i niesprawiedliwości. Niemcy to chcą w ich pogaństwie ukrywać, aby powód do wojny mieli.

— Bóg to osądzi — rzekł de Lorche.

— Może i niezadługo już — odpowiedział Maćko z Turobojów.

Lecz Lotaryńczyk, zasłyszawszy, iż Zbyszko był pod Wilnem, począł się go o nie wypytywać, albowiem wieść o walkach i pojedynkach rycerskich, tam stoczonych, rozeszła się już szeroko po świecie. Szczególniej ów pojedynek, na który wyzwało się czterech rycerzy polskich i czterech francuskich, podniecił wyobraźnię wojowników zachodnich. Więc de Lorche począł spoglądać z większym szacunkiem na Zbyszka, jako na człowieka, który w tak sławnych bojach brał udział — i radował się w sercu, iż nie z byle kim przyjdzie mu się potykać.

Jechali więc dalej w pozornej zgodzie, świadcząc sobie grzeczności na postojach i częstując się wzajem winem, którego de Lorche miał znaczne zapasy w wozach. Lecz gdy z rozmowy między nim a Maćkiem z Turobojów okazało się, że Ulryka de Elner naprawdę nie jest panną, ale czterdziestoletnią zamężną niewiastą, mającą sześcioro dzieci, wzburzyła się tembardziej dusza w Zbyszku, że ów dziwny cudzoziemiec śmie „babę" nietylko z Danuśką porównywać, ale i pierwszeństwa dla niej wymagać. Pomyślał jednakowoż, że może to być człowiek niespełna zmysłów, któremu ciemna izba i batogi więcejby się przydały od podróży po świecie — i myśl ta powstrzymała w nim wybuch natychmiastowego gniewu.

— Czy nie myślicie — rzekł do Maćka — że zły duch rozum mu pomieszał? Może też siedzi mu djabeł w głowie, jako czerw w orzechu i gotów po nocy na którego z nas przeskoczyć. Trzeba się nam mieć na baczności...

Usłyszawszy to Maćko z Turobojów zaprzeczył wprawdzie, ale począł jednak spoglądać z pewnym niepokojem na Lotaryńczyka i w końcu rzekł:

— Czasem bywa, że ich w opętanym siedzi i sto i więcej, a ciasno li im, to radzi pomieszkania w innych ludziach szukają. Najgorszy też taki djabeł, którego baba naśle.

Poczem zwrócił się nagle do rycerza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— I ja go chwalę — odpowiedział z pewnem zdziwieniem de Lorche.

Maćko z Turobojów uspokoił się zupełnie.

— No, widzicie — rzekł — żeby w nim złe siedziało, zarazby się zapienił, albоby go o ziem rzuciło, bom go nagle zagabnął. Możem jechać.

Jakoż ruszyli dalej spokojnie. Z Ciechanowa do Przasnysza nie było zbyt daleko, i latem goniec na dobrym koniu mógł we dwie godziny przebiedz drogę, dzielącą dwa miasta. A oni jechali daleko wolniej z powodu nocy, postojów i zasp śnieżnych, leżących w lasach, a ponieważ wyjechali znacznie po północy, więc do myśliwskiego dworu książęcego, który leżał za Przasnyszem, na brzegu borów, przybyli dopiero o brzasku. Dwór tam stał prawie oparty o puszczę, duży, nizki, drewniany, mający jednakże szyby w oknach ze szklanych gomółek. Przed dworem widać było żórawie studzienne i dwie szopy dla koni, naokół zaś dworu roiło się od szałasów, skleconych naprędce z sosnowych gałęzi, i od namiotów ze skór. Przy szarzejącym dopiero dniu, błyszczały jasno przed namiotami ogniska, a wokół nich stali osacznicy w kożuchach wełną do góry, w tołubach lisich, wilczych i niedźwiedzich. Panu de Lorche wydało się, że widzi dzikie bestje, na dwóch łapach, przed ogniem, albowiem większość tych ludzi przybrana była w czapki, uczynione ze łbów zwierzęcych. Niektórzy stali wsparci na oszczepach, inni na kuszach, niektórzy zajęci byli zwijaniem ogromnych sieci z powrozów — inni obracali nad węgłami potężne ćwierci żubrze i łosie, przeznaczone widocznie na ranny posiłek. Blask płomienia padał na śnieg, oświecając zarazem te dzikie postacie, poprzesłaniane nieco dymem ognisk, mgłą oddechów i parą, podnoszącą się z pieczonych mięsiw. Za nimi widać było zarózowione pnie olbrzymich sosen i nowe gromady ludzi, których mnogość dziwiła nieprzywykłego do widoku takich łowieckich zebrań Lotaryńczyka.

— Wasi książęta — rzekł — na łowy jakoby na wojenne wyprawy chodzą.

— Jakbyście wiedzieli — odrzekł Maćko z Turobojów — że nie brak im ni myśliwskiego sprzętu, ni też ludzi. To są osacznicy książęcy, ale są też i inni, którzy dla targu z puszczańskich komyszy tu przychodzą.

— Co będziem czynili? — przerwał Zbyszko — we dworze śpią jeszcze.

— A no, zaczekamy, aż się pobudzą — odparł Maćko. — Przecie nie będziemy do drzwi kołatać i księcia, pana naszego budzić.

To rzekłszy, zaprowadził ich do ogniska, przy którem osacznicy ponarzucali im skór żubrzych i niedźwiedzich, a następnie poczęli ich skwapliwie częstować dymiącem mięsem — słysząc zaś obcą mowę, jęli się skupiać, ażeby na Niemca popatrzeć. Wnet rozniosło się przez ludzi Zbyszkowych, że to jest rycerz „aż z za morza” — i wówczas stało się naokół tak ciasno, że pan na Turobojach musiał użyć powagi, aby cudzoziemca od zbytniej ciekawości uchronić. De Lorche zauważył też w tłumie niewiasty, poprzybierane przeważnie również w skóry, ale rumiane, jak jabłka i nadzwyczaj urodziwe, więc począł pytać, czy one także w łowach biorą udział.

Maćko Turobojski wyjaśnił mu, że do łowów one nie należą, ale że przybywają wraz z osacznikami przez babską ciekawość, albo jakby na jarmark, dla kupna miejskich towarów i sprzedaży leśnych bogactw. Jakoż tak było w istocie. Ów dworzec książęcy był jakby ogniskiem, naokół którego, nawet w czasie nieobecności księcia, kupiły się dwa żywioły: miejski i leśny. Osacznicy nie lubili wychodzić z puszczy, gdyż nieswojo im było bez szumu drzew nad głowami, więc Przaśnyszanie zwozili na ową leśną krawędź słynne swe piwa, mąkę mieloną w miejskich wiatrakach, lub na wodnych młynach na Węgierce, sól rzadką w puszczy i poszukiwaną chciwie, żelaziwo, rzemienie i tym podobny owoc ludzkiej przemyślności, a brali w zamian skóry, kosztowne futra, suszone grzyby, orzechy, zioła w chorobach przydatne, lub bryłki bursztynu, o które między Kurpiami nie było zbyt trudno. Z tego powodu, około książęcego dworca wrzał jakby ustawiczny targ, który potęgował się jeszcze w czasie książęcych łowów, gdy i obowiązek, i ciekawość wywabiały mieszkańców z głębin leśnych.

De Lorche słuchał opowiadań Maćkowych, przypatrując się z zajęciem postaciom osaczników, którzy, żyjąc w zdrowem, żywicznem powietrzu i karmiąc się, jak zresztą większość chłopów ówczesnych, przeważnie mięsem — zdumiewali nieraz zagranicznych wędrowców wzrostem i siłą. Zbyszko zaś, siedząc przy ogniu, spoglądał ustawicznie na drzwi i okna dworca, zaledwie mogąc wytrwać na miejscu. Świeciło się tylko jedno okno, widocznie od kuchni, gdyż dym wychodził przez szpary między niedość szczelnie dopasowanemi szybami. Inne były ciemne połyskujące tylko od blasków dnia, który bielał z każdą chwilą i posrebrzał coraz mocniej ośnieżoną puszczę za dworem. — W małych drzwiach, wybitych w bocznej ścianie domostwa, ukazywała się czasem służba, w barwie książęcej — i z wiadrami, lub cebrami na powerkach, biegła po wodę do studzien. Ludzie ci, zapytywani, czy wszyscy śpią jeszcze, odpowiadali, że dwór, strudzon wczorajszymi łowami, spoczywa dotąd, ale że już warzy się strawa na ranny posiłek przed wyruszeniem.

Jakoż przez okno kuchenne począł wydobywać się zapach tłuszczów i szafranu, który rozszedł się daleko między ogniskami. Skrzypnęły wreszcie i otwarły się drzwi główne, odkrywając wnętrze suto oświeconej sieni — i na ganek wyszedł człowiek, w którym Zbyszko, na pierwszy rzut oka, poznał jednego z rybałtów, których w swoim czasie widział między służbą księżnej w Krakowie. Na ów widok, nie czekając na Maćka z Turobojów, ni na de Lorcha, skoczył Zbyszko z takim pędem ku dworowi, że aż zdziwiony Lotaryńczyk zapytał:

— Co się stało temu młodemu rycerzowi?

— Nic się nie stało — odrzekł Maćko z Turobojów — jeno miłuje jedną dworkę księżnej i radby ją jako najprędzej uwidzieć.

— Ach! — odpowiedział de Lorche, przykładając obie dłonie do serca.

I podniósłszy oczy w górę, począł wzdychać raz po razu tak żałośnie, że aż Maćko wzruszył ramionami i w duchu rzekł:

— Zaliby do swojej starki tak wzdychał? Nużby szczerze był niespełna rozumu?

Ale tymczasem wprowadził go do dworcu, i obaj znaleźli się w obszernej sieni, przybranej rogami turów, żubrów, łosi, jeleni i oświeconej przez płonące na potężnym kominie suche kłody. W środku stał nakryty kilimkiem stół z przygotowanemi misami do jadła, w sieni było zaledwie kilku dworzan, z którymi rozmawiał Zbyszko. Maćko z Turobojów zapoznał ich z panem de Lorche, ale że nie umieli po niemiecku, musiał sam dalej dotrzymywać mu towarzystwa. Jednakże dworzan przybywało co chwila, chłopów po większej części na schwał, surowych jeszcze, ale rosłych, pleczystych, płowowłosych, poprzybieranych już, jak do puszczy. Ci, którzy znali Zbyszka i wiedzieli o jego przygodach krakowskich, witali się z nim, jak ze starym przyjacielem — i znać było, że ma mir między nimi. Inni patrzyli na niego z takim podziwem z jakim zwykle patrzy się na człowieka, nad którego karkiem wisiał topór katowski. Na okół słychać było głosy: „Juści! Jest księżna, jest Jurandówna, zaraz ją tu ujrzysz nieboże i na łowy z nami pojedziesz". A wtem weszli dwaj goście krzyżaccy, brat Hugo de Danveld, starosta z Ortelsburga, czyli ze Szczytna, którego krewny był w swoim czasie marszałkiem i Zygfried de Loewe, także z zasłużonej w zakonie rodziny — wójt z Jansborku. Pierwszy dość młody jeszcze, ale otyły z twarzą chytrego piwożłopa i grubemi, wilgotnemi wargami, drugi wysoki o rysach surowych, ale szlachetnych. Zbyszkowi wydało się, że Danvelda widział niegdyś przy księciu Witoldzie i że go Henryk, biskup płocki zwalił w gonitwach z konia, lecz wspomnienia owe pomieszało mu wejście księcia Janusza, ku któremu zwrócili się z pokłonami i Krzyżacy i dworzanie. Zbliżył się ku niemu de Lorche i komturowie, i Zbyszko, on zaś witał uprzejmie, ale z powagą na swej bezwąsej, wieśniaczej twarzy, okolonej włosami, obciętymi równo nad czołem, a spadającymi aż na ramiona, po obu bokach. Wnet zagrzmiały za oknami trąby, na znak, że książę zasiada do stołu: zagrzmiały raz, drugi, trzeci, aż za trzecim razem otworzyły się duże drzwi po prawej stronie izby i ukazała się w nich księżna Anna, mając przy sobie cudną przetowłosą dzieweczkę z lutnią zawieszoną na ramieniu.

Ujrzawszy je Zbyszko, wysunął się naprzód i złożywszy przy ustach ręce, klęknął na oba kolana w postawie pełnej czci i uwielbienia.

Na ten widok szmer uczynił się w sali, gdyż zdziwił Mazurów postępek Zbyszka, a nawet niektórych i zgorszył. „A wiera — mówili starsi — pewnikiem nauczył się tego obyczaju od zamorskich jakowychś rycerzy, a może zgoła od pogan, gdyż niemasz go nawet między Niemcami". — Młodzi wszelako myśleli: — „Nie dziwota, toć dziewce szyję powinien". A księżna i Jurandówna nie poznały zrazu Zbyszka, gdyż klęknął plecami do ognia i twarz miał w cieniu. Księżna myślała w pierwszej chwili, iż to któryś z dworzan, zawiniwszy coś względem księcia, prosi jej o wstawiennictwo, lecz Danusia, która wzrok miała bystrzejszy, postąpiła krok naprzód — i pochyliwszy swą jasną głowę, krzyknęła nagle cienkim, przeraźliwym głosem:

— Zbyszko!

Poczem, nie myśląc o tem, że patrzy na nią cały dwór i zagraniczni goście, skoczyła jak sarna ku młodemu rycerzowi i objąwszy go ramionami, poczęła całować jego oczy, usta, policzki, tuląc się do niego i piszcząc przytem z wielkiej radości póty, póki nie zagrzmieli jednym wielkim śmiechem Mazurowie, i póki księżna nie pociągnęła ją za kołnierz ku sobie.

Wówczas spojrzała po ludziach, i stropiwszy się okrutnie, z równą szybkością schowała się za księżnę, ukrywszy się w fałdach jej spódnicy tak, że jej ledwie wierzch głowy było widać.

Zbyszko objął nogi pani, ta zaś podniosła go i poczęła witać, a zarazem wypytywać się o Maćka: czy zmarł, czy też żyw, a jeśli żyw, czy nie przyjechał także na Mazowsze? Zbyszko odpowiadał niezbyt przytomnie na te pytania, albowiem przechylając się na obie strony, starał się dojrzeć za księżną Danuśkę, która to wychylała się przez ten czas ze spódnicy pani, to znów dawała nurka w jej fałdy. Mazurowie w boki się brali na owo widowisko, śmiał się i sam książę, aż wreszcie, gdy wniesiono gorące misy, zwróciła się rozradowana pani do Zbyszka i rzekła:

— Służ-że nam, miły służko, a bogdaj nietylko przy jedle, ale i na zawsze.

Potem zaś do Danusi:

— A ty, mucho utrapiona, wyleź-że raz z za spódnicy, bo mi ją do reszty oberwiesz.

Więc Danusia wyszła z za spódnicy, spłoniona, pomieszana, podnosząca co chwila na Zbyszka oczy lękliwe, zawstydzone, a ciekawe — i tak cudna, że aż rozpłynęło się serce nietylko w Zbyszku, ale i w innych mężach: starosta krzyżacki ze Szczytna począł przykładać raz po razu dłoń do swych grubych, wilgotnych warg, de Lorche zaś zdumiał się; podniósł obie ręce w górę i zapytał:

— Na św. Jakóba z Kompostelli, kto jest ta dziewica?

Na to starosta ze Szczytna, który przy otyłości był nizki, podniósł się na palce i rzekł do ucha Lotaryńczyka:

— Córka djabła.

De Lorche popatrzył na niego, mrugając oczyma, następnie zmarszczył brwi i zaczął mówić przez nos:

— Nie prawy to rycerz, który przeciw piękności szczeka.

— Noszę złote ostrogi — i jestem zakonnikiem — odparł z wyniosłością Hugo de Danveld. Tak wielka była cześć dla pasowanych rycerzy, iż Lotaryńczyk spuścił głowę, lecz po chwili odrzekł:

— A jam krewny książąt Brabantu.

— Pax! Pax — odpowiedział Krzyżak. — Cześć potężnym książętom i przyjaciołom Zakonu, z którego rąk wkrótce, panie, złote ostrogi otrzymacie. Nie odmawiam ja urody tej dziewce, ale posłuchajcie, kto jest jej ojciec.

Lecz nie zdążył nic odpowiedzieć, albowiem w tej chwili książę Janusz zasiadł do śniadania, a dowiedziawszy się poprzednio od wójta

z Jansborku o wielkich pokrewieństwach pana de Lorche, dał mu znak, aby siadł obok niego. Naprzeciw zajęła miejsce księżna z Danusią, Zbyszko zaś stanął, jak ongi w Krakowie, za ich krzesłami, do usługi. Danusia trzymała głowę, jak mogła najniżej nad miską, bo wstyd jej było ludzi, ale trochę na bok, by Zbyszko mógł widzieć jej twarz. On zaś patrzał chciwie i z zachwyceniem na jej jasną drobną głowę, na różowy policzek, na ramiona, przybrane w obcisłą odzież, które przestawały już być dziecinne, i czuł, że wzbiera w nim jakby rzeka nowej miłości, która zalewa mu całe piersi. Czuł także na oczach, na ustach i na twarzy świeże jej pocałunki. Niegdyś dawała mu je ona tak, jak siostra bratu, i on przyjmował je, jak od miłego dziecka. Teraz, na świeże ich wspomnienie, działo się z nim to, co czasem działo się przy Jagience: brały go ciągoty i ogarniała go omdlałość, pod którą taił się żar, jak w przysypanem popiołem ognisku. Danusia wydawała mu się dorosłą zupełnie panną — bo też i rzeczywiście wyrosła, rozkwitła. A przytem tyle i tak ciągle mówiono przy niej o miłości, że równie jak pączek kwiatowy, przygrzany słońcem, kraśnieje i otwiera się coraz bardziej, tak i jej otworzyły się oczy na miłość — i skutkiem tego było w niej teraz coś, czego nie było poprzednio — jakaś uroda już nietylko dziecinna i jakaś ponęta mocna, upajająca, bijąca od niej tak, jak bije ciepło od płomienia, albo zapach od róży.

Zbyszko to czuł, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż się zapamiętał Zapomniał nawet o tem, że trzeba przy stole służyć. Nie widział że dworzanie patrzą na niego, trącają się łokciami, że pokazują sobie ich oboje z Danusią i śmieją się. Nie zauważył również, ani jakby skamieniałej ze zdumienia twarzy pana de Lorche, ani wypukłych oczu krzyżackiego starosty ze Szczytna, które ustawicznie utkwione były w Danusię, i odbijając zarazem płomień komina, wydawały się tak czerwone i błyszczące, jak wilcze. Ocknął się dopiero, gdy trąby ozwały się ponownie, dając znak, że czas do puszczy — i gdy księżna Anna Danuta, zwróciwszy się ku niemu, rzekła:

— Przy nas pojedziesz, abyś zaś miał uciechę i dziewce o kochaniu mógł prawić, czego i ja rada posłucham.

To powiedziawszy, wyszła z Danusią, aby się na koń przybrać. Zbyszko zaś skoczył na podwórzec, na którym trzymano już pokryte sędziwizną i parskające konie dla księstwa, gości i dworzan. Na dziedzińcu nie było tak rojno, jak przedtem, gdyż osacznicy wyszli już pierwej z sieciami i potonęli w puszczy. Ogniska poprzygasały, dzień uczynił się jasny, mroźny, śnieg skrzypiał, a z drzew poruszanych lekkim powiewem, sypała się sadź sucha, iskrząca. Wkrótce wyszedł i siadł na koń książę, mając za sobą pachołka z kuszą i z oszczepem, tak długim i ciężkim, że mało kto mógł nim władać; książę jednak władał nim z łatwością, albowiem, jak i inni piastowie mazowieccy, posiadał siłę nadzwyczajną. Bywały nawet i takie niewiasty w tym rodzie, które wychodząc za obcych książąt, zwijały w palcach przy ucztach szerokie tasaki żelazne*). Blizko księcia trzymało się też dwóch mężów, go-

*) Cymbarka, która wyszła za Ernesta Żelaznego Habsburga.

towych w nagłym razie do pomocy, a wybranych ze wszystkich na samo wejrzenie, o barach, jak pnie leśne — na których patrzał z podziwem przybyły z daleka pan de Lorche.

Tymczasem wyszła i księżna z Danusią, obie przybrane w kaptury ze skór białych łasic. Nieodrodna córka Kiejstuta lepiej umiała „szyć" z łuku, niż igłą, niesiono więc i za nią ozdobną, nieco tylko lżejszą od innych kuszę. Zbyszko, przyklęknąwszy na śniegu, wyciągnął dłoń, na której pani wsparła, siadając na koń — nogę poczem wzniósł w górę Danusię, tak samo, jak w Bogdańcu unosił Jagienkę — i ruszyli. Orszak wyciągnął się w długiego węża; skręcił na prawo od dworu, mieniąc się i migocąc na brzegu puszczy, jak barwna krajka na brzegu ciemnego sukna, a następnie począł się w nią zwolna zanurzać.

Byli już dość głęboko w boru, gdy księżna, zwróciwszy się do Zbyszka, rzekła:

— Przecz-że nie gadasz? Nuże mów do niej.

Zbyszko, lubo tak zachwycony, milczał jeszcze przez chwilę, albowiem opanowała go jakaś nieśmiałość — i dopiero po upływie jednej lub dwóch zdrowasiek, ozwał się:

— Danuśka!

— Co Zbyszku?

— Miłuję cię tak...

Tu zaciął się, szukając słów, o które było mu trudno, bo chociaż klękał, jak zagraniczny rycerz przed dziewczyną, choć wszelkimi sposobami cześć jej okazywał i starał się unikać gminnych wyrażeń, jednakże próżno się silił na dworność, gdy mając duszę polną, tylko po prostu umiał mówić.

Więc i teraz po chwili rzekł:

— Miluję cię tak, aże mi dech zapiera!

Ona zaś podniosła na niego z pod łasiczego kapturka modre oczęta i twarz, wyszczypaną na różowo przez zimne, leśne powietrze:

— I ja, Zbyszku! — odrzekła, jakby z pośpiechem.

Poczem zaraz nakryła oczy rzęsami, bo już wiedziała, co to jest miłość.

— Hej, krocie ty moje! hej, dziewczyno ty moja! — zawołał Zbyszko. — Hej!...

I znowu umilkł, ze szczęścia i ze wzruszenia, lecz dobra, a zarazem ciekawa księżna przyszła im powtórnie z pomocą:

— Powiadaj-że — rzekła — jako ci się cniło bez niej, a zdarzy się li gąszczyk, to choćbyś ją tam i w gębę pocałował, nie będę krzywa, boć to najlepiej o twojem kochaniu zaświadczy.

Więc począł opowiadać, „jako mu się cniło" bez niej i w Bogdańcu, przy doglądaniu Maćka i między „somsiadami". O Jagience nic tylko nie wspominał chytry wykrętnik — ale zresztą szczerze mówił, bo w tej chwili tak kochał śliczną Danusię, że chciało mu się chwycić ją, przesadzić na swego konia, wziąć przed się i trzymać przy piersiach.

Nie śmiał jednak tego uczynić; natomiast gdy pierwszy gąszczyk przedzielił ich od jadących za nimi dworzan i gości, pochylił się ku niej, objął ją i pochował twarz w łasiczy kaptur, świadcząc tym uczynkiem o swej miłości.

Ale że zimą niema liści na krzach leszczynowych, dojrzał go Hugo von Danveld i pan de Lorche, dojrzeli go również dworzanie i poczęli między sobą mówić:

— Poboćkał ci ją przy księżnie! Wierę, jako wnet im pani weselisko wyprawi.

— Chwacki to jakiś pachołek, ale i ona siarczysta Jurandowa krew!

— Krzemień to i krzesiwo, choć dziewka niby trusia. Pójdą z nich iskry, nie bój się! Przywarł ci do niej jak kleszcz do żywej skóry!

Tak oni rozmawiali, śmiejąc się, lecz starosta krzyżacki ze Szczytna zwrócił ku panu de Lorche swą kozlą, złą i lubieżną twarz — i zapytał:

— Czy chcielibyście, panie, by jaki Merlin zmienił was czarnoksięską mocą w tamtego oto rycerzyka?*).

— A wy, panie? — zapytał de Lorche.

Na to Krzyżak, w którym widocznie zawrzała zazdrość i żądza, ściągnął niecierpliwą ręką konia i zawołał:

— Na moją duszę!...

W tej chwili jednak opamiętał się, i pochyliwszy głowę, odrzekł:

— Zakonnikiem jestem, który ślubował czystość.

I spojrzał bystro na Lotaryńczyka, w obawie, czy nie zobaczy na jego twarzy uśmiechu, albowiem pod tym względem zakon złą miał sławę u ludzi, a między zakonnikami Hugo de Danveld najgorszą. Był on przed kilku laty pomocnikiem wójta w Sambii, i tam skargi na niego stały się tak głośne, że pomimo całej pobłażliwości, z jaką patrzano na podobne sprawy w Malborgu, musiano go przenieść na dowódcę zamkowej załogi w Szczytnie. Przybywszy w ostatnich dniach z tajnemi zleceniami na dwór księcia i ujrzawszy cudną Jurandównę, zapałał do niej żądzą, dla której wiek Danusi nie był żadnym hamulcem, albowiem w tych czasach młodsze od niej wychodziły za mąż. Lecz, że zarazem wiedział Danveld, jaki był ród dzieweczyny i że imię Juranda łączyło się ze strasznem wspomnieniem w jego pamięci, więc i jego żądza wyrosła na podkładzie dzikiej nienawiści.

A de Lorche począł go właśnie wypytywać o te dzieje.

— Nazwaliście, panie, tę piękną dziewicę córką dyabła: dlaczegoście ją tak nazwali?

Danveld począł na to opowiadać historję Złotorji: jako przy odbudowywaniu zamku porwano szczęśliwie księcia wraz z dworem

*) Rycerz Uter, zakochawszy się w cnotliwej Igernie, małżonce księcia Gorlasa, przybrał z pomocą Merlina postać Gorlasa i spłodził z Igerną króla Artura.

i jako w tem zdarzeniu zginęła matka Jurandówny, za którą Jurand mścił się od owej pory w okropny sposób, na wszystkich rycerzach zakonnych. I nienawiść buchała z Krzyżaka przy tem opowiadaniu, jak płomień, albowiem miał i osobiste do niej powody. Oto i on sam zetknął się przed dwoma laty z Jurandem, ale wówczas, na widok strasznego „Dzika ze Spychowa", pierwszy raz w życiu upadło w nim serce tak nikczemnie, że opuścił dwóch swoich krewnych, ludzi, łupy, i jak obłąkany uciekał dzień cały aż do Szczytna, gdzie z trwogi na długi czas zachorzał. Gdy przyszedł do zdrowia, wielki marszałek Zakonu oddał go pod sąd rycerski, którego wyrok uniewinnił go wprawdzie, gdy Danveld poprzysiągł na krzyż i cześć, że rozhukany koń uniósł go z pola walki — ale zamknął mu drogę do wyższych dostojeństw w Zakonie. Krzyżak zamilczał wprawdzie teraz o tych wypadkach przed panem de Lorche, natomiast wypowiedział tyle skarg na okrucieństwo Juranda i zuchwałość całego polskiego narodu, że wszystko to zaledwie mogło pomieścić się w głowie Lotaryńczyka.

— My wszelako — rzekł po chwili — jesteśmy u Mazurów, nie u Polaków?

— To osobne księstwo, ale jeden naród — odpowiedział starosta — jednaka ich bezecność i jednaka przeciw Zakonowi zawziętość. Bóg daj, aby niemiecki miecz całe to plemię wygubił!

— Słusznie mówicie, panie: bo żeby ten książę, który na pozór zacny się wydaje, śmiał zamek przeciw wam w waszych ziemiach wznosić — o podobnem bezprawiu nawet i między poganami nie słyszałem.

— Zamek on wznosił przeciw nam, ale Złotoryja leży w jego, nie w naszych ziemiach.

— Tedy chwała Chrystusowi, że wam dał nad nim zwycięstwo. Jako-że skończyła się ta wojna?

— Nie było wówczas wojny.

— A wasze zwycięstwo pod Złotoryją?

— Bóg nam właśnie i w tem pobłogosławił, że książę był bez wojska, jeno z dworem i niewiastami.

Na to de Lorche spojrzał ze zdumieniem na Krzyżaka.

— Jakto? Więc w czasie pokoju napadliście na niewiasty i na księcia, który we własnych ziemiach zamek budował?

— Dla chwały Zakonu i Chrześcijaństwa nie masz bezecnych uczynków.

— A ów-że straszny rycerz, jeno za młodą małżonkę pomsty szuka, zabitą przez was czasu pokoju?

— Kto przeciw Krzyżakowi rękę podnosi, synem ciemności jest.

Zadumał się, usłyszawszy to pan de Lorche, ale nie miał już czasu Danveldowi odpowiedzieć, gdyż wyjechali na obszerną, zaśnieżonym szuwarem pokrytą polankę, na której książę zsiadł z konia, a za nim poczęli zsiadać i inni.

20.

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozſtawiać myśliwych długim rzędem na ſkraju polany, tak, aby będąc ſami w ukryciu, mieli przed ſobą puſtą przeſtrzeń ułatwiającą ſtrzały z kuſz i łuków. Dwa krótſze boki polany obſtawione były ſieciami, za któremi taili ſię borowi, „nawrotnicy", których obowiązkiem było nawracać zwierza ku ſtrzelcom, lub, jeśli nie dając ſię ſpłoſzyć, zaplątywał ſię w ſieciach, dobijać go oſzczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozſtawione w tak zwaną otokę, miały pędzić wſzelkie żywe ſtworzenie z głębi leśnych na polanę. Za ſtrzelcami znów znajdowała ſię ſieć, rozpięta w tym celu, by zwierz, który zdoła przedrzeć ſię przez ich ſzereg, zoſtał nią powſtrzymany i w jej ſkrętach dobity.

Kſiążę ſtanął w pośrodku ſzeregu w lekkiem zagłębieniu, które biegło przez całą ſzerokość polany. Główny łowczy Mrokota z Mocarzewa, wybrał mu to ſtanowiſko, wiedząc, że tem właśnie wgłębieniem będzie pomykał przed otoką najgrubſzy zwierz z puſzczy. Sam kſiążę miał w ręku kuſzę, tuż pod bokiem pana ſtał oparty o drzewo ciężki oſzczep, a nieco z tyłu trzymali ſię dwaj „brońcy" z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy, prócz toporów, mieli jeſzcze gotowe napięte kuſze dla podania kſięciu w razie potrzeby. Kſiężna i Jurandówna nie zſiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy kſiążę, ze względu na niebezpieczeńſtwo od turow i żubrów, przed których wściekłością łatwiej ſię było w razie wypadku chronić konno, niż pieſzo. De Lorche, lubo wezwany przez kſięcia, aby zajął miejſce po prawej jego ſtronie, proſił, aby mu wolno było zoſtać dla obrony dam na koniu, i ſtał opodal kſiężnej, do długiego gwoździa podobny, z rycerſką kopią, z której podrwiwali zcicha pod wąſem Mazurowie, jako z broni, mało na łowach przydatnej. Natomiaſt Zbyſzko wbił oſzczep w śnieg, kuſzę przekręcił na plecy i ſtojąc przy koniu Danuſi, podnoſił ku niej glowę, chwilami ſzeptał do niej, a chwilami obejmował jej nogi i całował kolana, albowiem wcale ſię już przed ludźmi ze ſwoją miłością nie krył. Uſpokoił ſię dopiero wówczas, gdy Mrokota z Mocarzewa, który w puſzczy ośmielał ſię i na ſamego kſięcia burczeć, nakazał mu grożnie milczenie.

Tymczaſem daleko, daleko w głębi puſzczy ozwały ſię rogi kurpieſkie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaſkliwy głos krzywuły — poczem naſtała ciſza zupełna. Ledwie niekiedy zaſkrzeczała ſójka w wierzchołkach ſoſen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. Myśliwi wytężyli oczy na białą puſtą przeſtrzeń, na której wiatr poruſzał oſzronionem ſitowiem i bezliſtnymi krzaki wikliny — każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwſzy zwierz pojawi ſię na śniegu — wogóle zaś wróżono ſobie łowy obfite i wſpaniałe, gdyż puſzcza roiła ſię od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten ſpoſób, chodziły po gąſzczach złe, głodne i czujne, domyślając ſię, że wkrótce przyjdzie im ſtoczyć walkę nie o ſpokojny ſen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny ſzmat boru i ſzli z tak

daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich, spuszczony widocznie zawcześnie, albo też włóczący się luzem za chłopami, ukazał się na polanie, i przebiegłszy ją całą z nosem ku ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle, jak kruey dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż po upływie kilku pacierzy, na skraju, pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biedz długim czarnym łańcuchem przez zaśniezoną przestrzeń, podobne zdala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyma, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymał się, słuchał, wietrzył — zawracał i znów słuchał: wyboczył ku sieciom i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostróżniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów i póki pierwsza krew nie splamiła bladej, śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się okrzyk i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły naoślep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiła się tymczasem polana. Juz też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi, idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie mozna było zobaczyć nietylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było juz takich puszcz, jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaz bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w niem zamieszanie*) — dziwili się niepomału tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnie i dwórkach jak żóraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on juz był nudzić się, marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepione trwogą i szukając naprózno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą cizbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dwórki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapał myśliwski. Jeden tylko Zbyszko nie myślał o łowach, ale wsparłszy łokcie na kolanach Danusi, a głowę na dłoniach, patrzył jej w oczy, ona zaś nawpół śmiejąca się, nawpół zawstydzona, próbowała mu zamykać palcami powieki, niby nie mogąc takiego wzroku wytrzymać.

---

*) O podobnych wypadkach wspomina Wigand z Marburga.

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychynął z zuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się, rycząc okropnie, na zadnie łapy — skłuł go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, że żaden z dwu „brońców" nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę i że z takimi książęty i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś przeprawę i ciężkie przeżyć godziny. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłute w ten sposób przez innych myśliwych srogie, białokływe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngji i w puszczach niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców, ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie — co, jako człowiek bywały, tłómaczył sobie tem, że wszyscy ci, wśród niezmiernych borów siedzący ludzie, przywykają od dziecięcych lat do kuszy i oszczepu — zaczem i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości.

Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem, najciekawsza a zarazem najbardziej niebezpieczna ich chwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustać kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie oślepłe z trwogi, raczej groźne, niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą — ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady, ze łbami nizko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się, głuchy ryk, do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przedniemi nogami, zdawały się upatrywać z pod grzyw krwawemi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzasły rogi i piszczałki; zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmiderem, goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice, mające przy sobie młode. Idące dotąd zwolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, poczem ujrzawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i hucząc, począł orać rogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: — „Księżna! księżna! ratujcie panią!" Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych zgi-

nąć w obronie córki Kiejstuta — a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przesiadły na zadach. Tur rzucił się, jak burza, wprost na panią, lecz nagle, z niemniejszym pędem, wypadł z pomiędzy drzew mężny pan de Lorche i pochylony na koniu, z kopią, wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopię, utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się, jak pałąk, i prysła w drobne złamki, zaczem olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć i rumak i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertelnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sypnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza, Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżnej i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w ręku, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. „Zginął! zginął!" — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już nadbiegali dwaj potężni „brońcy" — byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich darowany przez Jagienkę Zbyszkowi Czech, Hlawa. Ten dopadł przed nimi i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął, jak gromem rażony, z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym; lecz padając, przygniótł Zbyszka. Obaj „brońcy" odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia, zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzianka.

On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale zachwiał się, upadł na kolana i wsparłszy się na ręku, zdołał przemówić jedno tylko słowo:

— Danuśka...

Poczem wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę. Danusia chwyciła go przez plecy za ramiona, ale nie mogąc go utrzymać, poczęła krzyczeć o ratunek. Jakoż otoczono go ze wszystkich stron, tarto śniegiem, wlewano wino do ust, wreszcie łowczy Mrokota z Mocarzewa rozkazał położyć go na opończy i tamować krew zapomocą miękkich hubek borowych.

— Żyw będzie, jeśli jeno ziobra, nie pacierze, ma połomione — rzekł, zwracając się do księżnej.

Wszelako inne dwórki zajęły się przy pomocy myśliwców ratunkiem pana de Lorche. Obracano nim na wszystkie strony, szukając na zbroi dziur lub wgięć uczynionych przez rogi byka, ale oprócz śladów śniegu, który wbił się między złożenia blach, nie można było znaleźć innych. Tur mścił się głównie na koniu, który leżał obok już martwy, mając pod brzuchem wszystkie swe wnętrzności, pan de Lorche zaś nie był ugodzon. Omdlał tylko wskutek upadku — i jak się pokazało później, rękę prawą miał ze stawu wybitą. Teraz jednak, gdy zdjęto mu hełm i wlano do ust wina, wnet otworzył oczy, oprzytomniał — i widząc pochylone nad sobą zatroskane twarze dwóch młodych i hożych dwórek, rzekł po niemiecku:

— Pewniem już w raju i aniołowie są nade mną?

Dwórki nie zrozumiały wprawdzie tego, co powiedział, ale rade, że ożył i przemówił, poczęły się do niego uśmiechać i przy pomocy myśliwców podniosły go z ziemi, on zaś jęknął, poczuwszy ból w prawej ręce, lewą wsparł się na ramieniu jednego z „aniołów" — i przez chwilę stał nieruchomo, bojąc się kroku postąpić, gdyż nie czuł się pewny w nogach. Zaczem powiódł mętnym jeszcze wzrokiem po pobojowisku: ujrzał płowe cielsko tura, które zblizka wydawało się potwornie wielkie, ujrzał łamiącą ręce nad Zbyszkiem Danusię — i samego Zbyszka na opończy.

— Ten to rycerz przybył mi z pomocą? — zapytał. — Żywy-li?

— Ciężko pobit — odpowiedział jeden z umiejących po niemiecku dworzan.

— Nie z nim, ale za niego będę się odtąd potykał! — rzekł Lotaryńczyk.

Lecz w tej chwili, książę, który poprzednio stał nad Zbyszkiem, zbliżył się do niego i począł go wysławiać: że swoim śmiałym postępkiem ochronił od srogiego niebezpieczeństwa księżnę i inne niewiasty, a może i życie ocalił — za co, prócz rycerskich nagród, otoczy go chwała u ludzi, którzy teraz żyją i u potomnych. — „W dzisiejszych zniewieściałych czasach — rzekł — coraz mniej prawych rycerzy jeździ po świecie, bądźcie mi więc gościem jako najdłużej, albo i całkiem na Mazowszu ostańcie, gdzie łaskę moją już e ście zdobyli, a miłość ludzką również łatwie cnymi uczynkami zdobędziecie!"

Rozpływało się od takich słów chciwe na sławę serce pana de Lorche, gdy zaś pomyślał, że tak przeważnego czynu rycerskiego dokonał i na takie pochwały zarobił, w owych dalekich ziemiach polskich, o których tyle dziwnych rzeczy opowiadano na Zachodzie — z radości nie czuł prawie wcale bólu w zwichniętem ramieniu. Rozumiał, że rycerz, który na dworze Brabanckim lub Burgundzkim będzie mógł opowiedzieć, iż na łowach ocalił życie księżnie Mazowieckiej, będzie chodził w chwale, jak w słońcu. Pod wpływem tych myśli chciał nawet zaraz iść do księżnej, i na klęczkach jej wierne służby ślubować, ale i sama pani i Danusia zajęte były Zbyszkiem. Ów oprzytomniał znowu

na chwilę, ale tylko uśmiechnął się do Danusi, podniósł dłoń do pokrytego zimnym potem czoła i zaraz powtórnie omdlał. Doświadczeni łowcy, widząc, jak zawarły się przy tem jego ręce, a usta pozostały otwarte, mówili między sobą, że nie wyżyje, lecz doświadczeńsi jeszcze Kurpie, z których niejeden nosił na sobie ślady niedźwiedzich pazurów, dziczych kłów, lub żubrzych rogów, lepszą czynili nadzieję, twierdząc, że róg tura obsunął się między żebrami rycerza, że może jedno z nich, albo dwa są złamane, ale krzyż cały, gdyż inaczej nie mógłby się młody pan ani na chwilę przypodnieść. Pokazywali też, że w miejscu, gdzie upadł Zbyszko, była jakby zaspa śnieżna i to właśnie go ocaliło — albowiem zwierz, przycisnąwszy go międzyrożem, nie podołał zgnieść mu do szczętu piersi, ni krzyża.

Nieszczęściem, lekarz książęcy, ksiądz Wyszoniek z Dziewanny, nie był na łowach, choć zwykle na nich bywał, albowiem zajęty był tym razem wypiekaniem opłatków we dworze. Skoczył po niego, dowiedziawszy się o tem Czech, tymczasem jednak ponieśli Kurpie Zbyszka na opończy do książęcego dworu. Danusia chciała iść przy nim piechotą, lecz księżna sprzeciwiła się temu, albowiem droga była daleka i w parowach leśnych leżały już głębokie śniegi, chodziło zaś o pośpiech. Starosta krzyżacki, Hugo de Danveld, pomógł więc dziewczynie siąść na koń, a następnie, jadąc przy niej, tuż za ludźmi, którzy nieśli Zbyszka, rzekł po polsku przyciszonym głosem, tak, aby przez nią tylko mógł być słyszany:

— Mam w Szczytnie cudowny balsam gojący, który od pewnego pustelnika w Hercyńskim lesie dostałem i który mógłbym we trzech dniach sprowadzić.

— Bóg wam wynagrodzi — odpowiedziała Danusia.

— Bóg zapisuje każdy miłosierny uczynek, ale czy mam i od was spodziewać się zapłaty?

— Jakoże mogę wam zapłacić?

Krzyżak przysunął się bliżej z koniem, widocznie chciał coś mówić, ale się zawahał i dopiero po chwili rzekł:

— W Zakonie, prócz braci, są i siostry... Jedna z nich przywiezie balsam gojący, a wtedy powiem o zapłacie.

21.

Ksiądz Wyszoniek opatrzył rany Zbyszka, uznał, iż tylko jedno żebro jest złamane, ale pierwszego dnia nie ręczył za wyzdrowienie, nie wiedział bowiem, „czy się w chorym nie przekręciło serce i czy się w nim wątroba nie oberwała". Pana de Lorche opanowała też pod wieczór niemoc tak wielka, iż musiał się położyć, na drugi dzień zaś nie mógł ni ręką ni nogą, bez wielkiego bólu we wszystkich kościach, poruszyć. Księżna i Danusia, oraz inne dwórki, pilnowały chorych i warzyły dla nich, wedle przepisu księdza Wyszońka, rozliczne smarowania i dryakwie. Zbyszko jednakże ciężko był pobity i od czasu do

czasu oddawał krew ustami, co wielce niepokoiło księdza Wyszońka. Był jednakże przytomny i na drugi dzień, lubo jeszcze osłabiony bardzo, dowiedziawszy się od Danusi, komu życie zawdzięcza, przywołał swego Czecha, aby mu podziękować i wynagrodzić. Musiał jednak przytem pomyśleć, że miał go od Jagienki i że, gdyby nie jej życzliwe serce, byłby zginął. Myśl ta była mu nawet ciężka, czuł bowiem, że nie wypłaci się nigdy poczciwej dziewczynie dobrem za dobre i że będzie dla niej tylko zmartwień i okrutnego smutku przyczyną. Powiedział sobie wprawdzie zaraz: „Toć się na dwoje nie rozetnę" — ale na dnie duszy został mu jakby wyrzut sumienia, Czech zaś zaognił jeszcze ów wewnętrzny niepokój.

— Przysiągłem mojej panience — rzekł — na włodyczą cześć, że was będę strzegł — to i będę, bez nijakiej nagrody. Jej to, nie mnie, powinniście, panie, za ratunek.

Zbyszko nie odpowiedział, jeno począł oddychać ciężko — a Czech pomilczał przez chwilę, poczem ozwał się znowu.

— Jeślibyście kazali mi skoczyć do Bogdańca, to skoczę. Możebyście radzi starego pana ujrzeli, gdyż Bóg to wie, co z wami będzie.

— A co powiada ksiądz Wyszoniek? — zapytał Zbyszko.

— Ksiądz Wyszoniek powiada, że pokaże się to na nowiu, a do nowiu jeszcze cztery dni.

— Hej! to nie trzeba ci do Bogdańca. Albo zamrę przedtem, nim stryk nadąży, albo ozdrowieję.

— Posłalibyście choć pismo do Bogdańca. Sanderus czysto wszystko wypisze. Będą przynajmniej o was wiedzieć i bogdaj na mszę dadzą.

— Daj mi teraz spokój, bom słaby. Jeśli zamrę, wrócisz do Zgorzelic i powiesz, jak co było — wtedy dadzą na mszę. A mnie tu pochowają, albo w Ciechanowie.

— Chyba że w Ciechanowie, albo w Przasnyszu, bo w boru jeno Kurpie się grzebią, nad którymi wilcy wyją. Słyszałem też od służby że książę za dwa dni razem ze dworem do Ciechanowa, a potem do Warszawy wraca.

— Przecież mnie tu nie ostawią — odrzekł Zbyszko.

Jakoż odgadł, bo księżna tegoż dnia jeszcze udała się do księcia z prośbą, aby pozwolił jej zabawić w puszczańskim dworcu, wraz z Danusią, z pannami służebnemi i z księdzem Wyszońkiem, który przeciwny był prędkiemu przewożeniu Zbyszka do Przasnysza. Pan de Lorche miał się po dwóch dniach znacznie lepiej i począł wstawać, dowiedziawszy się jednak, że „damy" zostają, pozostał także, aby towarzyszyć im w drodze powrotnej i w razie napadu „Saracenów" bronić ich od złej przygody. Skąd się mieli wziąć owi „Saracenowie" tego pytania nie zadawał sobie mężny Lotaryńczyk. Nazywano tak wprawdzie na dalekim Zachodzie Litwinów — od nich jednak nie mogło grozić żadne niebezpieczeństwo córce Kiejstuta, rodzonej siostrze Witolda, a stryjecznej potężnego „króla krakowskiego", Jagiełły. Ale pan de Lorche zbyt długo bawił między Krzyżaki, aby, mimo wszystkie-

go, co na Mazowszu słyszał i o chrzcie Litwy i o połączeniu dwu koron na głowie jednego władcy, nie miał przypuszczać, że od Litwinów zawsze wszystkiego złego można się spodziewać. Tak mówili mu Krzyżacy, a on jeszcze nie całkiem stracił wiarę w ich słowa.

Ale tymczasem zaszedł wypadek, który padł cieniem między gości krzyżackich i księcia Janusza. Na dzień przed wyjazdem dworu przybyli bracia Gotfried i Rotgier, którzy byli zostali poprzednio w Ciechanowie, a z nimi przyjechał niejaki pan de Fourcy, jako zwiastun niepomyślnej dla Krzyżaków nowiny. Oto zdarzyło się, że goście zagraniczni, bawiący u starosty krzyżackiego w Lubawie, a więc on, pan de Fourcy, a dalej pan de Bergow i pan Majneger, obaj z rodzin poprzednio już w Zakonie zasłużonych, nasłuchawszy się wieści o Jurandzie ze Spychowa, nietylko się ich nie ulękli, ale postanowili wywabić w pole słynnego wojownika, aby przekonać się, czy rzeczywiście jest tak straszny, za jakiego go głoszą. Starosta sprzeciwiał się wprawdzie, powołując się na pokój między Zakonem a księstwami Mazowieckimi, w końcu jednak, może w nadziei, iż uwolni się od groźnego sąsiada, nietylko postanowił patrzeć przez szpary na wyprawę, ale i knechtów zbrojnych na nią pozwolił. Rycerze posłali wyzwanie Jurandowi, który je skwapliwie przyjął pod warunkiem, że ludzi odprawią, a samotrzeć z nim i z dwoma towarzyszami będą się potykali na samej granicy Prus i Spychowa. Gdy jednak nie chcieli ani knechtów odprawić, ani z ziem Spychowskich ustąpić, napadł na nich, knechtów wytracił, pana Majnegera sam okrutnie kopią przebódł, a pana de Bergow wziął w niewolę i do piwnic spychowskich wtrącił. De Fourcy jeden się ocalił i po trzechdniowem błąkaniu się po mazowieckich lasach, dowiedziawszy się od smolarzy, iż w Ciechanowie bawią bracia Zakonni, przedarł się do nich, aby razem z nimi zanieść skargę przed majestat księcia, prosić o karę i o rozkaz uwolnienia pana de Bergow.

Wieści te wnet zmąciły dobre stosunki między księciem i gośćmi, gdyż nietylko dwaj przybyli bracia, ale i Hugo de Danveld i Zygfried de Loewe, poczęli natarczywie upominać się u księcia, aby raz przecie uczynił sprawiedliwość Zakonowi, uwolnił granicę od drapieżnika i ryczałtem karę za wszystkie winy wymierzył. Szczególnie Hugo de Danveld, mający własne dawne rachunki z Jurandem, których wspomnienie piekło go bólem i wstydem — upominał się niemal groźnie o zemstę.

— Pójdzie skarga do wielkiego mistrza — mówił i jeśli sprawiedliwości od Waszej Książęcej mości nie uzyskamy, on sam potrafi ją uczynić, choćby za owym zbójem całe Mazowsze stanęło.

Lecz książę, lubo z natury łagodny, rozgniewał się i rzekł:

— Jakiejże to sprawiedliwości się domagacie? Gdyby Jurand pierwszy na was nastąpił, wsie popalił, stada zagarnął i ludzi pobił, pewniebym go na sąd wezwał i karę mu odmierzył. Ale wasi to sami go naszli. Wasz starosta knechtów na wyprawę pozwolił — a cóże Jurand? Jeszcze wyzwanie przyjął, a tego jeno żądał, by ludzie odeszli. Jakoże mam go za to karać, albo na sąd pozywać? Zaczepiliście

strasznego męża, którego się wszyscy boją i dobrowolnie ściągnęliście klęskę na wasze głowy — więc czegoż chcecie? Zali mam mu rozkazać, aby się nie bronił, gdy się wam spodoba go najechać?

— Nie Zakon go napastował, jeno goście, obcy rycerze — odparł Hugo.

— Za gości Zakon odpowiada, a do tego byli z nimi knechci z lubawskiej załogi.

— Miał-że starosta gości, jako na rzeź wydać?

Na to książę zwrócił się do Zygfryda i rzekł:

— Patrzcie, w co się sprawiedliwość w waszych uściech obraca i zali wasze wykręty nie obrażają Boga?

Lecz surowy Zygfried odrzekł:

— Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon, albowiem mężowie z jego rodu bywali starszymi w Zakonie i wielkie Krzyżakom oddawali usługi.

— A śmierć Majnegera musi być pomszczona — dodał Hugo de Danveld.

Książę, usłyszawszy to, odgarnął na obie strony włosy, i wstawszy z ławy, począł iść ku Niemcom z twarzą złowrogą, po chwili jednak wspomniał widocznie, że byli jego gośćmi, więc pohamował się raz jeszcze, położył rękę na ramieniu Zygfryda i rzekł:

— Słuchajcie, starosto: krzyż na płaszczu nosicie, więc odpowiedzcie wedle sumienia — na ten krzyż! — praw-li był Jurand, czy też nie praw?

— Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon — odpowiedział Zygfryd de Loewe.

Nastała chwila milczenia, poczem książę rzekł:

— Bóg daj mi cierpliwość.

Zygfryd zaś mówił dalej głosem ostrym, do cięć miecza podobnym:

— Ta krzywda, która nas w osobach gości naszych spotkała — to jeno nowa sposobność do skargi. Jak Zakon Zakonem, nigdy, ni w Palestynie, nie w Siedmiogrodzie, ni między dotychczas pogańską Litwą, nie uczynił nam jeden zwykły mąż tyle złego, ile ten zbój ze Spychowa. Wasza Książęca Mość! my sprawiedliwości i kary żądamy nie za jedną krzywdę, ale za tysiąc, nie za jedną bitwę, ale za pięćdziesiąt, nie za krew raz przelaną, ale za całe lata takowych postępków, za które ogień niebieski powinien był spalić to bezbożne gniazdo złości i okrucieństwa. Czyjeż tam jęki wołają o pomstę do Boga? — nasze. Czyje łzy — nasze! Próżno zanosiliśmy skargi, próżno wołali o sąd. Nigdy nie uczyniono nam zadość!

Usłyszawszy to, książę Janusz począł kiwać głowę i odrzekł:

— Hej! nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie i niebył Jurand waszym wrogiem, póki mu umiłowana niewiasta na waszym powrozie nie skonała. Ale ileż to razy zaczepialiście go sami, chcąc go zgładzić, jako i ninie, za to, że pozywał i zwyciężał waszych rycerzy? Ile razy nasadziliście na niego zbójców, albo biliście do niego z kusz

z boru? Następował ci on was, prawda, bo go piekła zemsta — ale czyliż wy, lub rycerze, którzy na ziemiach waszych siedzą, nie następowali na spokojnych ludzi na Mazowszu, nie zagarniali stad, nie palili wsiów, nie mordowali mężów, niewiast i dzieci? A gdym się skarżył mistrzowi, to mi odpowiadał z Malborka: „Zwyczajna graniczna swawola! Dajcie mi spokój!" Nie wam przystoi się skarżyć, którzyście chwycili mnie samego bez broni, w czasie pokoju, na mojej własnej ziemi i gdyby nie strach przed gniewem króla krakowskiego, to możebym dotychczas w podziemiach waszych jęczał. Tak opłaciliście się mnie, który z rodu waszych dobrodziejów pochodzę. Dajcie mi spokój, bo nie wam gadać o sprawiedliwości!

Usłyszawszy to, Krzyżacy spojrzeli po sobie niecierpliwie, gdyż przykro i wstyd im było, że książę wspomniał o zajściu pod Złotoryją wobec pana de Fourcy, więc Hugo de Danveld, chcąc położyć koniec dalszej o tem rozmowie, rzekł:

— Z Waszą Książęcą Mością zdarzyła się omyłka, którąśmy nie ze strachu przed królem krakowskim, ale dla sprawiedliwości naprawili, a za graniczną swawolę mistrz nasz nie może odpowiadać, bo ile jest królestw na świecie, wszędy na granicach niespokojne duchy swawolą.

— To sam to gadasz, a sądu na Juranda wołasz? Czegoże chcecie?

— Sprawiedliwości i kary.

Książę zacisnął swe kościste pięści i powtórzył:

— Bóg daj mi cierpliwość!

— Niech Wasz Książęcy Majestat wspomni też i na to — mówił dalej Danveld — że nasi swawolnicy krzywdzą jeno świeckich i nie należących do niemieckiego plemienia ludzi, wasi zaś przeciw niemieckiemu Zakonowi rękę podnoszą, przez co samego Zbawiciela obrażają. A jakichże mąk i kar dosyć na krzywdzicieli Krzyża?

— Słuchaj! — rzekł książę: — Bogiem nie wojuj, bo Go nie oszukasz!

I położywszy ręce na ramionach Krzyżaka, potrząsnął nim silnie, on zaś stropił się zaraz i począł łagodniejszym głosem:

— Jeśli prawda, że goście pierwsi naszli Juranda i że nie odesłali ludzi, nie pochwalę im tego, ale czy istotnie Jurand przyjął wyzwanie?

To rzekłszy, począł patrzeć na pana de Fourcy, mrugając przytem nieznacznie oczyma, jakby mu chcąc dać do zrozumienia, żeby zaprzeczył — lecz ów, nie mogąc, czy nie chcąc tego uczynić, odrzekł:

— Chciał, byśmy odesławszy ludzi, samotrzeć się z nim potykali.

— Pewni jesteście?

— Na moją cześć! Ja i de Bergow zgodziliśmy się, ale Majneger nie przystał.

Wtem książę przerwał:

— Starosto ze Szczytna! wy lepiej od innych wiecie, że Jurand nie uchybił wyzwaniu.

Tu zwrócił się do wszystkich i rzekł:

— Którnby z was chciał go pozwać na pieszą albo na konną walkę, daję na to pozwoleństwo. Jeśliby Jurand był zabit lub poj-

man, pan Bergow wyjdzie bez wykupu z niewoli. Więcej ode mnie nie żądajcie, bo nie wskóracie.

Lecz po tych słowach zapadła cisza głęboka. I Hugo de Danveld i Zygfryd de Loewe i brat Rotgier i brat Gotfried jakkolwiek mężni, zbyt dobrze znali strasznego dziedzica Spychowa, by którykolwiek z nich podjął z nim walkę na śmierć i życie. Mógł to uczynić chyba człowiek obcy, pochodzący z dalekich stron, jak de Lorche lub Fourcy, ale de Lorche nie był obecny przy rozmowie, zaś pan de Fourcy, nadto pełen był jeszcze wewnętrznego przerażenia.

— Raz go widziałem — mruknął z cicha — i nie chcę widzieć więcej.

Zaś Zygfryd de Loewe rzekł:

— Zakonnikom nie wolno jest w pojedynczej walce się potykać, chyba za osobnem Mistrza i w. marszałka pozwoleniem, ale my tu nie pozwoleństwa na walkę żądamy, jeno by de Bergow był z niewoli wypuszczon, a Jurand na gardle skaran.

— Nie wy prawa w tej ziemi stanowicie.

— Bośmy do tej pory cierpliwie ciężkie sąsiedztwo znosili. Ale Mistrz nasz potrafi wymierzyć sprawiedliwość.

— Zasię Mistrzowi i wam do Mazowsza!

— Za mistrzem stoją Niemcy i cesarz rzymski.

— A za mną król polski, któremu więcej ziem i narodów podlega.

— Czy Wasza Książęca Mość chce wojny z Zakonem?

— Gdybym chciał wojny, nie czekałbym was na Mazowszu, jeno szedł ku wam, ale i ty mi nie groź, boć się nie boję.

— Cóż mam donieść Mistrzowi?

— Wasz Mistrz o nic nie pytał. Mów mu, co chcesz.

— Tedy sami wymierzym karę i pomstę.

Na to książę wyciągnął ramię i począł kiwać groźnie palcem po samej twarzy Krzyżaka.

— Waruj się! — rzekł stłumionym przez gniew głosem — waruj się! Jam ci pozwolił wyzwać Juranda, ale gdybyś z wojskiem zakonnem wdarł mi się do kraju, tedy na cię uderzę — i więźniem, nie gościem, tu osiędziesz.

I widocznie cierpliwość jego była już wyczerpana, gdyż cisnął ze wszystkich sił czapkę o stół i wyszedł z izby, trzasnąwszy drzwiami. Krzyżacy pobledli ze wściekłości, a pan de Fourcy spoglądał na nich, jak błędny.

— Co tedy będzie? — spytał pierwszy brat Rotgier.

A Hugo de Danveld przyskoczył niemal z pięściami do pana de Fourcy.

— Po coś powiedział, że wyście pierwsi naszli Juranda?

— Bo prawda!

— Trzeba ci było zełgać.

— Jam tu przyjechał bić się, nie łgać.

— Tęgo się biłeś — ni słowa!

— A tyś to nie pomykał przed Jurandem do Szczytna?

— Pax! — rzekł de Loewe. — Ten rycerz jest gościem Zakonu.

— I wszystko jedno, co rzekł — wtrącił brat Godfryd. — Bez sądu nie skaraliby Juranda, a na sądzie rzeczby musiała wyjść na wierzch.

— Co tedy będzie? — powtórzył brat Rotgier.

Nastała chwila milczenia, poczem zabrał głos surowy i zawzięty Zygfryd de Loewe.

— Trzeba z tym krwawym psem raz skończyć! — rzekł. — De Bergow musi być z więzów wydobyty. Ściągniem załogi ze Szczytna, z Insburka, z Lubawy, wezwiem chełmińską szlachtę i uderzym na Juranda... Czas z nim skończyć!

Lecz przebiegły Danveld, który umiał każdą rzecz na obie strony rozważyć, założył ręce na głowę, namarszczył się i po namyśle rzekł:

— Bez pozwolenia Mistrza nie można...

— Jeśli się uda, to Mistrz pochwali! — ozwał się brat Godfryd.

— A jeśli się nie uda? Jeśli książę ruszy kopijników i uderzy na nas.

— Jest pokój między nim i Zakonem: nie uderzy!

— Ba! jest pokój, ale my go pierwsi naruszym. Załogi nasze przeciw Mazurom nie wystarczą.

— To Mistrz ujmie się za nami i będzie wojna.

Danveld znów się namarszczył i zamyślił:

— Nie! nie! — rzekł po chwili. — Jeśli się uda, Mistrz będzie w duchu rad... Pójdą posły do księcia, będą układy i ujdzie nam bezkarnie. Ale w razie klęski, Zakon nie ujmie się za nami i wojny księciu nie wypowie... Innegoby na to trzeba Mistrza... Za księciem stoi król polski, a z nim Mistrz nie zadrze...

— Wszelako wzięliśmy ziemię Dobrzyńską — to widać nie strach nam Krakowa.

— Bo były pozory... Opolczyk... Wzięliśmy niby zastaw, a i to...

Tu obejrzał się naokół i zniżonym głosem dodał:

— Słyszałem w Malborku, iż gdyby wojną grozili, to byle nam zastaw wrócono — oddamy.

— Ach! — rzekł brat Rotgier — gdyby tu między nami był Markward Salzbach, albo Szomberg, który szczenięta Witoldowe wydusił — ci znaleźliby radę na Juranda. Cóż Witold! namiestnik Jagiełłów! Wielki kniaź, a pomimo tego Szombergowi nic... Wydusił Witoldowe dzieci — i nic mu!... Zaprawdę, brak między nami ludzi, którzy na wszystko potrafią znaleźć sposób...

Usłyszawszy to Hugo de Danveld wsparł łokcie na stole, głowę na rękach i na długi czas zatopił się w rozmyślaniu. Nagle rozjaśniły mu się oczy, obtarł wedle zwyczaju wierzchem dłoni wilgotne, grube wargi i rzekł:

— Błogosławiona niech będzie chwila, w której wspomnieliście, pobożny bracie, imię mężnego brata Szomberga.

— Czemu tak? Zaliście coś obmyślili? — spytał Zygfryd de Loewe.

— Mówcie żywo! — zawołali bracia Rotgier i Godfryd.

— Słuchajcie — rzekł Hugo. — Jurand ma tu córkę, jedyne dziecko, którą jako źrenicę oka miłuje.

— Ma! znamy ją. Miłuje ją i księżna Anna Danuta.

— Tak. Otóż słuchajcie, gdybyście porwali tę dziewkę, Jurand oddałby za nią nietylko Bergowa, ale wszystkich jeńców, siebie samego i Spychów w dodatku!

— Na krew św. Bonifacego, przelaną w Dochum! — zawołał brat Gotfryd: — byłoby tak, jako mówicie!

Poczem zamilkli, jakby przestraszeni śmiałością i trudnościami przedsięwzięcia. Dopiero po chwili brat Rotgier zwrócił się do Zygfryda de Loewe:

— Rozum wasz i doświadczenie — rzekł — równe są męstwu: co tedy o tem mniemacie?

— Mniemam, że sprawa warta rozwagi.

— Bo — mówił dalej Rotgier — dziewka jest przyboczną księżnej — ba, więcej gdyż prawie córką umiłowaną. Pomyślcie, pobożni bracia, jaki powstanie hałas.

A Hugo de Danveld począł się śmiać:

— Samiście mówili — rzekł — że Szomberg wytruł, czy też wydusił Witołdowe szczenięta — i cóż mu za to? Hałas oni z byle przyczyny podnoszą, ale gdybyśmy posłali Mistrzowi Juranda na łańcuchu, czeka nas pewniej nagroda, niż kara.

— Tak — ozwał się de Loewe: — sposobność do najazdu jest. Książę wyjeżdża, Anna Danuta zostaje tu jeno z dworskiemi dziewki. Jednakże najazd na dwór książęcy w czasie pokoju — nie byle sprawa. Dwór książęcy — nie Spychów. To znów, jak w Złotorji! Znów pójdą skargi do wszystkich królestw i do papieża, na gwałty Zakonu; znów odezwie się z groźbą przeklęty Jagiełło, a Mistrz — znacie go przecie: rad on uchwyci, co się da chwycić, ale wojny z Jagiełłą nie chce... Tak! krzyk się podniesie we wszystkich ziemiach Mazowsza i Polski.

— A tymczasem kości Juranda zbieleją na haku — odparł brat Hugo. — Kto wreszcie mówi wam, by ją tu, z dworca, z pod boku księżnej, porywać?

— Przecie nie z Ciechanowa, gdzie prócz szlachty, jest trzystu łuczników.

— Nie. Ale zali Jurand nie może zachorzeć i przysłać ludzi po dziewkę? Nie wzbroni jej wtedy księżna jechać, a jeśli dziewka w drodze przepadnie, kto powie wam, lub mnie: „Tyś ją porwał!"

— Ba! — odrzekł zniecierpliwiony de Loewe — sprawcie, by Jurand zachorzał i dziewkę wezwał...

Na to uśmiechnął się z triumfem Hugo i odrzekł:

— Mam ci ja u siebie złotnika, który z Malborga za złodziejstwo wypędzon, w Szczytnie osiadł i który każdą pieczęć wyciąć potrafi,

mam i ludzi, którzy, choć nasi poddani z mazurskiego narodu pochodzą... Zali mnie jeszcze nie rozumiecie?...

— Rozumiem! — zawołał z zapałem brat Gotfryd.

A Rotgier podniósł dłonie do góry i rzekł:

— Niech ci Bóg szczęści, pobożny bracie, bo ni Markwart Salzbach, ni Szomberg, nie znaleźliby lepszego sposobu.

Poczem przymrużył oczy jakby chciał dojrzeć coś dalekiego:

— Widzę Juranda — rzekł — jako z powrozem na szyi stoi przy Gdańskiej bramie w Malborgu i jako kopią go nogami knechty nasze...

— A dziewka zostanie służką Zakonu — dodał Hugo.

Usłyszawszy to, de Loewe zwrócił oczy na Danvelda, on zaś uderzył się znów wierzchem dłoni w usta i rzekł:

— A teraz do Szczytna nam jak najprędzej!

22.

Jednakże przed wyruszeniem do Szczytna, czterej bracia i de Fourcy przyszli jeszcze pożegnać się z księciem i księżną. Było to pożegnanie niezbyt przyjazne, wszelako książę, nie chcąc, wedle starego polskiego obyczaju, wypuszczać gości z domu z próżnemi rękoma, podarował każdemu z braci piękny błam kuni i po grzywnie srebra, oni zaś przyjęli z radością, zapewniając, że jako zakonnicy, zaprzysiężeni na ubóstwo, nie zatrzymają tych pieniędzy dla siebie, ale rozdadzą je ubogim, którym zarazem polecą się modlić za zdrowie, sławę i przyszłe zbawienie księcia. Uśmiechali się pod wąsem z tych zapewnień Mazurowie, albowiem dobrze znana im była chciwość zakonna, a jeszcze lepiej kłamstwa Krzyżaków. Powtarzano na Mazowszu, że „jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże". Książę też jeno machnął ręką na podobną podziękę, a po ich wyjściu rzekł, iż rakiem chyba pojechałby do nieba za przyczyną modlitw krzyżackich.

Lecz przedtem jeszcze przy pożegnaniu się z księżną, w chwili, gdy Zygfryd de Loewe całował jej rękę, Hugo von Danveld zbliżył się do Danusi, położył dłoń na jej głowie i głaszcząc ją, rzekł:

— Nam przykazano dobrem za złe płacić i miłować nawet nieprzyjaciół naszych, więc przyjedzie tu siostra zakonna i przywiezie wam, panienko, gojący balsam hercyński.

— Jakoże mam wam podziękować, panie? — odpowiedziała Danusia.

— Bądźcie przyjaciółką Zakonu i zakonników.

Zauważył tę rozmowę de Fourcy, a że uderzyła go przytem uroda dziewczyny, więc gdy już ruszyli ku Szczytnu, zapytał:

— Co to za piękna dworka, z którą rozmawialiście na odjezdnem?

— Córka Juranda! — odpowiedział Krzyżak.

A pan de Fourcy zdziwił się.

— Ta, którą macie pochwycić?

— Ta. A gdy ją pochwycim, Jurand nasz.

— Nie wszystko widać złe, co od Juranda pochodzi. Warto być stróżem takiego jeńca.

— Myślicie, że łatwiejby było wojować z nią, niż z Jurandem?

— To znaczy, że myślę tak samo, jak i wy. Ojciec wróg Zakonu, a do córki mówiliście miodem smarowane słowa i w dodatku obiecaliście jej balsam.

Hugo de Danveld uczuł widocznie potrzebę usprawiedliwienia się kilkoma słowy.

— Obiecałem jej balsam — rzekł — dla tego młodego rycerza, który od tura pobit i z którym, jako wiecie, jest zmówiona. Jeśli podniosą krzyk po pochwyceniu dziewki, powiemy, żeśmy nietylko nie chcieli jej krzywdy, aleśmy jej jeszcze leki przez chrześcijańskie miłosierdzie posyłali.

— Dobrze — rzekł de Loewe. — Trzeba jeno posłać kogoś pewnego.

— Poślę jedną pobożną niewiastę, całkiem Zakonowi oddaną. Przykażę jej patrzyć i słuchać. Gdy ludzie nasi niby od Juranda przybędą, znajdą gotowe porozumienie.

— Takich ludzi trudno będzie dobrać.

— Nie. Naród u nas mówi tym samym językiem. Są też w mieście, ba! nawet między knechtami w załodze, ludzie, którzy prawem ścigani z Mazowsza zbiegli — zbóje, złodzieje — prawda, ale żadnej trwogi nie znający i na wszystko gotowi. Tym obiecnę — jeśli wskórają, wielkie nagrody, jeśli nie wskórają — powróz.

— Ba! a nuż zdradzą?

— Nie zdradzą, bo na Mazowszu każdy dawno na łamanie kołem zarobił i nad każdym wyrok cięży. Trzeba im tylko dać ochędożne szaty, aby ich za prawych Jurandowych pachołków poczytano — i główna rzecz: list z pieczęcią od Juranda.

— Należy wszystko przewidzieć — rzekł brat Rotgier: — Jurand po ostatniej bitwie zechce może zobaczyć księcia, aby się na nas poskarżyć, a siebie usprawiedliwić. Będąc w Ciechanowie, zajedzie do córki, do leśnego dworca. Może się tedy przygodzić, że nasi ludzie, przybywszy po Jurandównę, natkną się na samego Juranda.

— Ci ludzie, których wybiorę, są szelmy kute na cztery nogi. Będą oni wiedzieć, że jeśli się natkną na Juranda, pójdą na haki. Ich głowa w tem, żeby się nie spotkali.

— Jednak może się zdarzyć, że ich pochwycą.

— Tedy wyprzemy się i ich i listu. Kto nam dowiedzie, że to myśmy ich wysłali? Wreszcie: nie będzie porwania, nie będzie krzyku, a że kilku wisielców Mazury poćwiartują, nie stanie się przez to szkoda dla Zakonu.

A brat Gotfryd, najmłodszy między zakonnikami, rzekł:

— Nie rozumiem tej waszej polityki, ani tej waszej bojaźni, aby

się nie wydało, że dziewka z naszego nakazu porwana. Mając ją raz w ręku, musimy przecie posłać kogoś do Juranda i powiedzieć mu: „Twoja córka jest u nas — chcesz li, by odzyskała wolność, oddaj za nią de Bergowa i siebie samego...” Jakże inaczej?... Ale wtedy będzie wiadomo, że to my nakazaliśmy dziewczynę pochwycić.

— Prawda! — rzekł pan de Fourcy, któremu niezbyt przypadła do smaku cała sprawa: — Po co ukrywać to, co musi się wydać.

A Hugo de Danveld począł się śmiać i zwróciwszy się do brata Gotfryda, zapytał:

— Jak dawno nosicie biały płaszcz?

— Skończy się sześć lat na pierwszą niedzielę po Świętej Trójcy.

— Jak go przenosicie jeszcze sześć, będziecie lepiej rozumieli sprawy Zakonne. Jurand zna nas lepiej, niż wy. Powie mu się tak: „Twojej córki pilnuje brat Szomberg i jeśli słowo piśniesz — to wspomnij na dzieci Witolda...”

— A później?

— Później de Bergow będzie wolny, a Zakon będzie także uwolnion od Juranda.

— Nie! — zawołał brat Rotgier: — wszystko jest tak rozumnie pomyślane, że Bóg powinien pobłogosławić naszemu przedsięwzięciu.

— Bóg błogosławi wszelkim uczynkom, mającym na celu dobro Zakonu — rzekł posępny Zygfryd de Loewe.

I jechali dalej w milczeniu — a przed nimi na dwa lub trzy strzelania z kuszy szły ich poczty, aby torować drogę, która stała się kopna, albowiem w nocy spadł śnieg obfity. Na drzewach leżała bogata okiść, dzień był chmurny, ale ciepły, tak, że z koni podnosił się opar. Z lasów ku ludzkim siedliskom leciały stada wron, napełniając powietrze posępnem krakaniem.

Pan de Fourcy pozostał nieco za Krzyżakami i jechał w głębokiem zamyśleniu. Był on od kilku lat gościem Zakonu, brał udział w wyprawach na Żmujdź, gdzie odznaczał się wielkiem męstwem i podejmowany wszędy tak, jak tylko Krzyżacy umieli podejmować rycerzy z dalekich stron, przywiązał się do nich mocno, a nie mając własnej fortuny, zamierzał wstąpić w ich szeregi. Tymczasem to przesiadywał w Malborgu, to odwiedzał znajome komandorje, szukając w podróżach rozrywki i przygód. Przybywszy świeżo do Lubawy wraz z bogatym de Bergowem i zasłyszawszy o Jurandzie, począł płonąć żądzą zmierzenia się z mężem, którego otaczała groza powszechna. Przybycie Majnegera, który ze wszystkich walk wychodził zwycięzcą, przyspieszyło wyprawę. Komtur z Lubawy dał na nią ludzi: naopowiadał jednak tyle trzem rycerzom nietylko o okrucieństwie, ale o podstępach i wiarołomstwie Juranda, iż gdy ów zażądał, by odprawili żołnierzy, nie chcieli się na to zgodzić, bojąc się, że gdy to uczynią, otoczy ich, wytraci, lub wtrąci do piwnic Spychowskich. Wówczas Jurand, mniemając, że chodzi im nietylko o walkę rycerską, ale i o grabież, uderzył na nich wstępnym bojem i zadał im klęskę okrutną. De Fourcy widział Bergowa obalonego wraz z koniem, widział Majnegera z odłamkiem włóczni w brzuchu, widział ludzi

próżno błagających o litość. Sam ledwo zdołał się przebić — i kilka dni tułał się po drogach i lasach, gdzie byłby zmarł z głodu lub stał się łupem dzikiego zwierza, gdyby wypadkiem nie dostał się do Ciechanowa, w którym znalazł braci Gotfryda i Rotgiera. Z całej wyprawy wyniósł uczucie upokorzenia, wstydu, nienawiści, zemsty i żalu za Bergowem, który był mu blizkim przyjacielem. To też z całej duszy przyłączył się do skargi Zakonnych rycerzy, gdy domagali się kar i wolności dla nieszczęsnego towarzysza, a gdy ta skarga pozostała bezowocną — w pierwszej chwili gotów był zgodzić się na wszystkie środki, które wiodły do zemsty nad Jurandem. Teraz jednak ozwały się w nim nagle skrupuły. Przysłuchując się rozmowom zakonników, a zwłaszcza temu, co mówił Hugo de Danveld, niejednokrotnie nie mógł oprzeć się zdziwieniu. Poznawszy bliżej w ciągu kilku lat Krzyżaków, widział już wprawdzie, że nie są oni tacy, za jakich przedstawiają ich w Niemczech i na Zachodzie. W Malborgu poznał jednakże kilku prawych i surowych rycerzy: ci, sami często rozwodzili skargi nad zepsuciem braci, nad ich rozpustą, brakiem karności — i de Fourcy czuł, że mają słuszność, ale sam będąc rozpustnym i niekarnym, nie brał zbyt za złe tych wad, zwłaszcza, że wszyscy rycerze zakonni nagradzali je męstwem. Widział ich przecie pod Wilnem, uderzających piersią o piers polskich rycerzy, przy zdobywaniu zamków, bronionych z nadludzką uporczywością przez posiłkowe polskie załogi; widział ich ginących pod ciosami toporów i mieczów, w szturmach ogólnych lub w pojedyńczych walkach. Byli nieubłagani i okrutni dla Litwy, ale byli zarazem, jako lwy — i chodzili w chwale, jak w słońcu. Teraz jednak wydało się panu de Fourcy, że Hugo de Danveld mówi takie rzeczy i podaje takie sposoby, na które wzdrygnąć się powinna dusza w każdym rycerzu — a zaś inni bracia nietylko nie powstają na niego w gniewie, ale przytakują każdemu jego słowu. Więc zdziwienie ogarniało go coraz większe i wreszcie zadumał się głęboko, czy mu przystoi do takich uczynków rękę przykładać.

Gdyby bowiem chodziło tylko o porwanie dziewczyny, a następnie o wymienienie jej za Bergowa, byłby się może na to ugodził, chociaż poruszyła go i ujęła za serce uroda Danusi. Gdyby przyszło mu być jej stróżem, nie miałby także nic przeciwko temu, a nawet nie był pewien, czyby z rąk jego wyszła taką, jaką w nie wpadła. Ale Krzyżakom szło widocznie o co innego. Oni przez nią chcieli dostać wraz z Bergowem i samego Juranda — obiecać mu, że ją wypuszczą, jeśli się za nią odda, a potem zamordować go, a z nim razem, dla ukrycia oszustwa i zbrodni — zapewne i dziewczynę. Wszakże już grozili jej losem dzieci Witoldowych, na wypadek, gdyby Jurand śmiał się skarżyć. „Niczego nie chcą dotrzymać — oboje oszukać i oboje zgładzić — rzekł sobie de Fourcy; — a przecie krzyż noszą i czci więcej od innych przestrzegać winni". — I burzyła się w nim dusza co chwila mocniej na taką bezczelność, ale postanowił jeszcze sprawdzić, o ile jego podejrzenia są słuszne — więc podjechał znów do Danvelda i zapytał:

— A jeśli Jurand się wam odda, czy wypuścicie dziewkę?

— Gdybyśmy ją wypuścili, cały świat wnetby wiedział, że to my chwyciliśmy oboje — odrzekł Danveld.

— Ba, cóż z nią uczynicie?

Na to Danveld pochylił się ku mówiącemu i ukazał w uśmiechu swe spróchniałe zęby z pod grubych warg.

— O co pytacie? czy o to, co uczynimy z nią przedtem, czy o to, co potem?

Lecz Fourcy, wiedząc już, co chciał wiedzieć, zamilkł — przez chwilę jeszcze zdawał się walczyć z sobą, a następnie podniósł się nieco na strzemionach i rzekł tak głośno, aby go wszyscy czterej zakonnicy usłyszeli:

— Pobożny brat Ulrych von Jungingen, który jest wzorem i ozdobą rycerstwa, rzekł mi raz tak: „Jeszcze między starymi w Malborgu znajdziesz godnych krzyża rycerzy, ale ci, którzy na pogranicznych komandorjach siedzą, zakałę jeno Zakonowi przynoszą".

— Wszyscyśmy grzeszni, ale Panu naszemu służymy — odrzekł Hugo.

— Gdzie wasza rycerska cześć? Nie przez haniebne uczynki Panu się służy — chyba że nie Zbawicielowi służycie. Któż to wasz Pan? Wiedzcie przeto, że nietylko do niczego ręki nie przyłożę, ale i wam nie pozwolę.

— Na co nie pozwolicie?

— Na podstęp, na zdradę, na hańbę.

— A jako-że możecie nam zabronić? W bitwie z Jurandem postradaliście poczet i wozy. Żyć musicie tylko z łaski Zakonu — i z głodu zamrzecie, jeśli wam kawałka chleba nie rzucim. A w dodatku: wyście jeden, nas czterech — jako że nie pozwolicie?

— Jako nie pozwolę? — powtórzył Fourcy. Mogę nawrócić do dworca i ostrzedz księcia, mogę przed całym światem rozgłosić.

Na to spojrzeli po sobie bracia zakonni, i twarze zmieniły im się w oka mgnieniu. Szczególniej Hugo de Danveld popatrzył przez długą chwilę pytającym wzrokiem w oczy Zygfryda de Loewe, poczem zaś zwrócił się do pana de Fourcy:

— Przodkowie wasi — rzekł — sługiwali już w Zakonie — i wy chcecie do niego wstąpić, ale my zdrajców nie przyjmujem.

— Ja zaś nie chcę ze zdrajcami służyć.

— Ej-że! nie spełnicie waszej groźby. Wiecie, że Zakon umie karać nietylko zakonników...

A de Fourcy, którego podnieciły te słowa, wydobył miecz, lewą ręką schwycił za ostrze, prawą dłoń położył na rękojeści i rzekł:

— Na tę rękojmię, mającą kształt krzyża, na głowę św. Dyonizego, mego patrona, i na moją rycerską cześć, ostrzegę księcia mazowieckiego i mistrza.

Hugo de Danveld znów popatrzył pytającym wzrokiem na Zygfryda de Loewe, a on przymknął powieki, jakby dając znak, że się na coś zgadza.

Wówczas Danveld ozwał się jakimś dziwnie głuchym i zmienionym głosem:

— Św. Dyonizy mógł nieść pod pachą swą uciętą głowę, ale gdy wasza raz spadnie...

— Grozicie mi? — przerwał de Fourcy.

— Nie, jeno zabijam! — odpowiedział Danveld.

I pchnął go nożem w bok z taką siłą, że aż ostrze schowało się w ciele po krzyżyk. De Fourcy zawrzasnął strasznym głosem, przez chwilę usiłował chwycić prawą ręką miecz, który poprzednio trzymał w lewej, ale upuścił go na ziemię, w tym samym zaś czasie pozostali trzej bracia poczęli go żgać bez litości nożami w szyję, w plecy, w brzuch, dopóki nie spadł z konia.

Poczem nastało milczenie. De Fourcy, krwawiąc okropnie z kilkunastu ran, drgał na śniegu i darł go powykrzywianymi przez konwulsje palcami. Z pod ołowianego nieba dochodziło tylko krakanie wron, lecących z głuchych puszcz, ku ludzkim siedliskom.

A następnie poczęła się spieszna rozmowa morderców:

— Ludzie nic nie widzieli! — rzekł zdyszanym głosem Danveld.

— Nic. Poczty są na przedzie: nie widać ich — odparł Loewe.

— Słuchajcie: będzie powód do nowej skargi. Rozgłosim, że mazowieccy rycerze napadli na nas i zabili nam towarzysza. Podniesiem krzyk — aż go w Malborgu usłyszą, że nawet na gości książę nasadza morderców. Słuchajcie! należy mówić, iż Janusz nietylko nie chciał wysłuchać naszych skarg na Juranda, ale kazał zamordować skarżyciela.

De Fourcy przewrócił się tymczasem w ostatniej konwulsji na wznak i leżał nieruchomy, z krwawą pianą na ustach i z przerażeniem w martwych już, szeroko otwartych oczach. Brat Rotgier popatrzył na niego i rzekł:

— Uważcie, pobożni bracia, jako Bóg karze sam zamiar zdrady.

— Cośmy uczynili, uczyniliśmy dla dobra Zakonu — odrzekł Godfryd: — Chwała tym...

Lecz przerwał, bo w tej samej, chwili, z tyłu za nimi, na zakręcie śnieżnej drogi, ukazał się jakiś jeździec, który pędził co koń wyskoczy. Ujrzawszy go, Hugo de Danveld zawołał prędko:

— Ktokolwiek ten człowiek jest — musi zginąć.

A de Loewe, który, lubo najstarszy między braćmi, miał wzrok nadzwyczaj bystry, rzekł:

— Poznaję go: to ów giermek, który tura toporem zabił. Tak jest: to on!

— Pochowajcie noże, aby się nie spłoszył — mówił Danveld. — Ja znów pierwszy uderzę, wy za mną.

Tymczasem Czech dojechał i o dziesięć lub ośm kroków, zaparł konia w śnieg. Dojrzał trupa w kałuży krwi, konia bez jeźdźca i zdumienie odbiło mu się na twarzy, ale trwało tylko przez jedno mgnienie oka. Po chwili zwrócił się do braci, tak, jakby nic nie widział i rzekł:

— Czołem, mężni rycerze!

— Poznaliśmy cię — odpowiedział, zbliżając się zwolna Danveld. — Masz-li co do nas?

— Wysłał mnie rycerz Zbyszko z Bogdańca, za którym kopię noszę, a który od tura na łowach pobit, sam nie mógł ku wam.

— Czego chce od nas twój Pan?

— Za to, żeście niesłusznie Juranda ze Spychowa oskarżyli, z ujmą dla jego rycerskiej czci, pan mój każe wam powiedzieć, iżeście nie jako prawni rycerze czynili, ale jako psi szczekali: a któreby był krzyw o te słowa, tego pozywa na walkę pieszą, albo konną, aż do ostatniego tchu, do której stanie, gdzie mu wskażecie, gdy tylko za łaską i zmiłowaniem Bożem dzisiejsza krzypota go popuści.

— Powiedz panu swemu, że rycerze zakonni obelgi cierpliwie dla imienia Zbawiciela znoszą, zasię do walki, bez osobliwego pozwoleństwa mistrza, albo wielkiego marszałka stawać nie mogą, o które to pozwoleństwo jednakże będziem do Malborga pisali.

Czech znów spojrzał na trupa pana de Fourcy, albowiem do niego to głównie był posłany. Zbyszko wiedział już przecie, że zakonnicy do pojedynków nie stają, zasłyszawszy jednak, że był między nimi rycerz świecki, jego szczególniej chciał pozwać, sądząc, że tem sobie ujmie i zjedna Juranda. Tymczasem rycerz ów leżał oto teraz zarznięty — jak wół między czterema Krzyżakami.

Czech nie rozumiał wprawdzie co zaszło, ale ponieważ był od dziecka ze wszelkiemi niebezpieczeństwy oswojon, więc zwietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Zdziwiło go też i to, że Danveld, mówiąc z nim, zbliżał się coraz bardziej ku niemu, inni zaś poczęli zjeżdżać na boki, jakby go chcieli nieznacznie okrążyć. Z tych powodów począł się mieć na baczności, zwłaszcza, że nie miał przy sobie broni, bo jej w pośpiechu wziąć nie zdążył.

A Danveld tymczasem był tuż i mówił dalej:

— Obiecałem twemu panu balsam gojący, więc źle mi się za uczynność wypłaca. Zwykła to zresztą u Polaków rzecz... ale że ciężko jest pobit i wkrótce przed Bogiem może stanąć, więc powiedz mu...

Tu wsparł lewą dłoń na ramieniu Czecha.

— Więc powiedz mu, że ja, ot, jak odpowiadam!...

I w tej samej chwili błysnął nożem przy gardle giermka, lecz nim zdołał pchnąć, Czech, który już oddawna śledził jego ruchy, chwycił go swemi żelaznemi rękoma za prawicę, wygiął ją, zakręcił, aż chrupnęły stawy i kości — i dopiero usłyszawszy okropny ryk bólu, wspiął konia — i pomknął, jak strzała, zanim inni zdołali mu zastąpić.

Bracia Rotgier i Gotfryd poczęli go gonić, ale wnet wrócili, przerażeni strasznym krzykiem Danvelda. De Loewe podtrzymywał go pod ramiona, on zaś z twarzą bladą i zarazem zsiniałą krzyczał tak, że aż pocztowi, jadący przy wozach znacznie na przedzie wstrzymali konie.

— Co wam jest? — pytali bracia.

Lecz de Loewe kazał im jechać, co sił, sprowadzić wóz, albowiem Danveld widocznie nie mógł się na kulbace utrzymać. Po chwili zimny pot okrył mu czoło i zemdlał.

Po sprowadzeniu wozu, ułozono go na słomie i ruszono ku granicy. De Loewe pilił, albowiem rozumiał, że po tem, co zaszło nie można czasu tracić, nawet dla opatrunku Danvelda. Siadłszy przy nim na wozie, wycierał od czasu do czasu śniegiem jego twarz, ale nie mógł przywrócić mu przytomności.

Dopiero w pobliżu granicy Danveld otworzył oczy i począł obzierać się, jakby ze zdziwieniem dokoła.

— Jak wam jest? — spytał Loewe.

— Nie czuję bólu, ale nie czuję i ręki — odrzekł Danveld.

— Bo wam już zdrętwiała — dlatego i ból minął. W ciepłej izbie wróci. Tymczasem podziękujcie Bogu i za chwilę ulgi.

A Rotgier i Godfryd zbliżyli się zaraz do wozu:

— Stało się nieszczęście — rzekł pierwszy: — co teraz będzie?

— Powiemy — odparł słabym głosem Danveld — że giermek zamordował de Fourcego.

— Nowa ich zbrodnia i winowajca wiadomy! — dodał Rotgier.

23.

Czech tymczasem poleciał jednym pędem wprost do leśnego dworca i zastawszy jeszcze w nim księcia, opowiedział jemu pierwszemu, co się stało. Na szczęście, znaleźli się dworzanie, którzy widzieli, że giermek wyjechał bez broni. Jeden z nich krzyknął mu był nawet na drogę, pół żartem, aby wziął jakie żelaziwo, bo inaczej Niemcy go pokołaczą, ów jednak, bojąc się, aby rycerze nie przejechali tymczasem granicy, skoczył na konia tak, jak stał, w kożuchu tylko i pognał za nimi. Świadectwa te rozproszyły wszelkie wątpliwości księcia co do tego, kto mógł być zabójcą de Fourcego, ale napełniły go niepokojem i gniewem tak wielkim, że w pierwszej chwili chciał wysłać pościg za Krzyżakami, aby ich w łańcuchach odesłać Wielkiemu Mistrzowi na ukaranie. Po chwili jednak sam zmiarkował, że pościg nie zdołałby już dosięgnąć rycerzy przed granicą i rzekł:

— Wyślę wszelako pismo do Mistrza, aby zasię wiedział, co oni tu wyrabiają. Źle się poczyna dziać w Zakonie, bo drzewiej posłuch był okrutny, a teraz byle komtur na swoją rękę poczyna. Dopust Boży, ale za dopustem idzie kara.

Poczem zamyślił się, a po chwili znów począł mówić do dworzan:

— Tego jeno nie mogłem nijak wyrozumieć, po co oni gościa zabili — i żeby nie to, że pachołek bez broni pojechał, miałbym na niego posądzenie.

— Ba — rzekł ksiądz Wyszoniek — a pocóżby go pachoł miał zabijać, któren go przedtem nigdy nie widział, a po drugie, choćby i miał

broń, jakże mu było jednemu na pięciu uderzać — i na ich poczty zbrojne.

— Juzci prawda — rzekł książę. Musiał się im ów gość w czem przeciwić, albo może nie chciał tak łgać, jako im było trzeba, bom i tu już widział, że mrugali na niego, aby powiedział, że Jurand pierwszy zaczął.

A Mrokota z Mocarzewa rzekł:

— Chwacki to pachoł, jeśli on temu psu, Danveldowi, rękę pokruszył.

— Powiada, że słyszał, jak w Niemcu gnaty chrupnęły — odpowiedział książę — i miarkując z tego, jako się w boru popisał — może to być! Widać i sługa i pan sierdziste chłopy. Żeby nie Zbyszko, byłby się tur na konie rzucił. I Lotaryńczyk i on wielce się do zratowania księżnej przyczynili.

— Pewnie, że sierdzisty chłop — przywtórzył ksiądz Wyszoniek. — Ot i teraz, ledwie dycha, a jednak się za Jurandem ujął i tamtych pozwał... Takiego właśnie Jurandowi trzeba zięcia.

— Coś ta Jurand inaczej w Krakowie gadał, ale teraz myślę, że się nie przeciwi — rzekł książę.

— Pan Jezus to sprawi — ozwała się księżna, która wszedłszy właśnie w tej chwili, usłyszała koniec rozmowy. — Nie może się Jurand teraz przeciwić, byleby Bóg Zbyszkowi zdrowie powrócił. Ale i z naszej strony musi być też nagroda.

— Najlepsza dla niego nagroda będzie Danuśka, a ja też myślę, że ją dostanie, a to przez tę przyczynę, że jak się baby na co zawezmą, to przeciw nim i taki Jurand nie poradzi.

— Albo nie po sprawiedliwości się zawzięłam? — zapytała księżna. — Żeby Zbyszko był płochy, to nie mówię, ale wierniejszego chyba na świecie niema. I dziewczyna też. Krokiem teraz od niego nie odstąpi — i po gębie go gładzi, a on się do niej w boleści śmieje. Aże mi samej czasem śluzy z oczu pociekną! Sprawiedliwie mówię!... Takiemu kochaniu warto pomódz, bo i Matka Boska rada na szczęśliwość ludzką patrzy.

— Byle była wola Boska — rzekł książę — to i szczęśliwość się zdarzy. Ale co prawda, to mało mu przez tę dziewczynę głowy nie ucięli, a teraz znowu tur go starmosił.

— Nie powiadaj, że „przez nią!” — zawołała żywo księżna — boć nie kto inny jeno Danuśka go w Krakowie zratowała.

— Prawda. Ale żeby nie ona, nie byłby w Lichtensteina bił, aby mu pióra ze łba zedrzeć, za Lorchego też by karku tak ochotnie nie nadstawił. Co zasię do nagrody, to rzekłem już, że im obum się należy i w Ciechanowie ją obmyślę.

— Niczego Zbyszko takby rad nie widział, jak rycerskiego pasa i złotych ostróg.

Książę uśmiechnął się na to dobrotliwie i odrzekł:

— To niech-że mu je dziewczyna poniesie, a gdy krzypota go

popuści, wówczas dopilnujem, aby wszystko wedle zwykłego obyczaju się odbyło. Niech mu wnet poniesie, bo prędka radość najlepsza!

Księżna, usłyszawszy to, uściskała pana wobec dworzan, potem ucałowała kilkakrotnie jego ręce, on zaś uśmiechał się wciąż, a wreszcie rzekł:

— Widzicie... No! dobra ci rzecz do głowy przyszła! Że też to Duch Święty i niewiastom krzyny rozumu nie poskąpił! Zawołajże teraz dziewczynę.

— Danuśka! Danuśka! — zawołała księżna.

I po chwili we drzwiach bocznej komory ukazała się Danusia, z zaczerwienionemi od bezsenności oczyma i z dwojakami w ręku, pełnemi dymiącej kaszy, którą ksiądz Wyszoniek okładał potłuczone kości Zbyszka, a którą stara dworka właśnie przed chwilą jej oddała.

— Pójdź-że tu jeno do mnie, sierotko! — rzekł książę Janusz. — Postaw dwojaki i chodź.

I gdy zbliżyła się z pewną nieśmiałością, „Pan" bowiem wzbudzał w niej zawsze pewną obawę, przygarnął ją z dobrocią do siebie i począł gładzić po twarzy, mówiąc:

— A no bieda na cię, dziecko, przyszła — co?

— Juści! — odpowiedziała Danusia.

I mając smutek w sercu, a łzy na pogotowiu, poczęła zaraz płakać, ale cichutko, by księcia nie urazić; on zaś znów spytał:

— Czegoż płaczesz?

— Bo Zbyszko chory — odrzekła, wkładając piąstki w oczy.

— Nie bój się, nic mu nie będzie. Prawda, ojcze Wyszońku?

— Hej! bliżej mu tu za wolą Boską do ślubu, niż do truchły — odpowiedział dobry ksiądz Wyszoniek.

A książę rzekł:

— Poczekaj! tymczasem dam ci dla niego lek, któren mu ulży, albo go i całkiem uzdrowi.

— Balsam Krzyżaki przysłały? — zawołała żywo Danusia, odejmując od oczu ręce.

— Tem, co Krzyżaki przyślą, psa lepiej posmaruj, nie zaś rycerzyka, którego miłujesz. Ale ja dam ci co innego.

Poczem zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Chybaj mi który do komory po ostrogi i pas!

Po chwili zaś gdy mu je przyniesiono, rzekł do Danusi:

— Bierz, a zanieś Zbyszkowi — i powiedz mu, że od tej pory jest przepasan. Jeśli zamrze, to przed Bogiem, jako miles cinctus stanie, a jeśli nie — to reszty w Ciechanowie, albo w Warszawie dopełnim.

Usłyszawszy to, Danusia naprzód podjęła pana pod nogi, poczem chwyciła jedną ręką oznaki rycerskie, drugą dwojaki i skoczyła do izby, w której leżał Zbyszko. Księżna, nie chcąc tracić widoku ich radości, poszła za nią.

Zbyszko ciężko był chory, ale ujrzawszy Danusię, zwrócił ku niej pobladłą z boleści twarz i zapytał:

— A Czech, jagódko, wrócił?

— Co tam Czech! — odpowiedziała dziewczyna: — lepszą ja ci tu nowinę przynoszę. Pan cię rycerzem pasował i ot, co ci przeze mnie posyła.

To, rzekłszy, położyła przy nim pas i złote ostrogi. Zbyszkowi zapłonęły radością i zdumieniem blade policzki, spojrzał na Danusię, potem na oznaki, a następnie przymknął oczy i począł powtarzać:

— Jakże to mógł mnie rycerzem pasować?

A gdy w tej chwili weszła księżna, przypodniósł się nieco na ramionach i począł jej dziękować a przepraszać Miłościwą Panią, że jej do nóg nie może paść, gdyż wraz odgadł, że to za jej wstawiennictwem spotkało go takie szczęście. Lecz ona kazała mu zachować się spokojnie i własnemi rękoma pomogła Danusi ułożyć znów jego głowę na wezgłowiu. Tymczasem nadszedł książę, a z nim ksiądz Wyszoniek, Mrokota i kilku innych dworzan. Książę Janusz zdaleka dał znak ręką, by Zbyszko się nie ruszał, a następnie, siadłszy przy łożu, tak przemówił:

— Wiecie! Niema to ludziom być dziwno, że za mężne a zacne uczynki jest zapłata, bo jeśliby cnota miała ostać bez nagrody, tedy i nieprawości ludzkie chodziłyby po świecie bez kary. A żeś ty żywota nie szczędził i z utratą zdrowia od srogiej załoby nas bronił, przeto pozwalamy ci pasem rycerskim się przepasać i we czci a sławie odtąd chadzać.

— Miłościwy Panie — odrzekł Zbyszko — jabym i dziesięciu żywotów nie żałował...

Lecz nie mógł nic więcej powiedzieć, i ze wzruszenia i dlatego, iż księżna położyła mu rękę na ustach, gdyż ksiądz Wyszoniek nie pozwalał mu mówić. Książę zaś mówił dalej:

— Tak myślę że powinności rycerskie znasz i że będziesz godnie one ozdoby nosił. Zbawicielowi naszemu, jako się patrzy, masz służyć, a ze starostą piekielnym wojować. Pomazańcowi ziemskiemu masz być wierny, wojny niesłusznej unikać i niewinności w ucisku bronić, w czem ci pomagaj Bóg i Święta Jego Męka!

— Amen — rzekł ksiądz Wyszoniek.

Książę zaś wstał, przeżegnał Zbyszka i na odchodnem dodał:

— A gdy wyzdrowiejesz, to prosto do Ciechanowa jedź gdzie i Juranda sprowadzę.

24.

W trzy dni później przyjechała zapowiedziana niewiasta z hercyńskim balsamem, a z nią razem przybył i kapitan łuczników ze Szczytna, z listem podpisanym przez braci i opatrzonym pieczęcią Danvelda, w którym Krzyżacy niebo i ziemię brali na świadków krzywd, które ich na Mazowszu spotkały, i pod zagrożeniem pomsty Bożej wołali o karę za zamordowanie „ukochanego towarzysza i go-

scia". Danveld podyktował do listu i skargę od siebie, upominając się w słowach zarazem pokornych i groźnych o zapłatę za ciężkie kalectwo i wyrok śmierci na czeskiego pachołka. Książę przedarł list w oczach kapitana, rzucił mu go pod nogi i rzekł:

— Przysłał tu ich, krzyżackie macie, Mistrz po to, aby mnie zjednali, a oni mnie do gniewu przywiedli. Powiedz-że im ode mnie, że sami gościa uśmiercili i pachołka chcieli uśmiercić — o czem do Mistrza napiszę i to też dodam, aby innych posłów wybierał, jeśli chce, bym w razie wojny z królem krakowskim, po żadnej stronie nie stanął.

— Miłościwy panie — odparł kapitan — czy jeno taką odpowiedź mam potężnym i pobożnym braciom odnieść?

— Jeślić nie dosyć, powiedz im jeszcze, że ich za psubratów, nie za prawych rycerzy uważam.

I na tem skończyło się posłuchanie. Kapitan odjechał, bo i książę tegoż dnia odjechał do Ciechanowa. Została tylko „siostra" z balsamem, którego nieufny ksiądz Wyszoniek użyć jednakże nie chciał, tembardziej, że chory poprzedniej nocy zasnął dobrze, a nazajutrz obudził się wprawdzie osłabiony bardzo, ale bez gorączki. Siostra, po wyjeździe księcia, wyprawiła zaraz z powrotem jednego ze swoich sług, niby po nowe lekarstwo — po „jaje bazyliszka", które, jak twierdziła, miało moc przywracania sił nawet konającym — sama zaś chodziła po dworcu, pokorna, nie władnąca jedną ręką, przybrana w świecką wprawdzie, ale podobną do zakonnej odzieży — z różańcem i małą pątniczą tykwą u pasa. Mówiąc dobrze po polsku, dopytywała z wielką troskliwością służbę i o Zbyszka i o Danusię, której przy sposobności podarowała różę Jerychońską, a na drugi dzień w czasie snu Zbyszka, gdy dziewczyna siedziała w izbie jadalnej, przysunęła się do niej i rzekła:

— Boże wam błogosław, panienko. Dziś w nocy po pacierzu śniło mi się, że przez śnieg padający szło ku wam dwóch rycerzy, ale jeden doszedł pierwej i w bieluchny płaszcz was owinął, a drugi zaś rzekł: „Śnieg jeno widzę, a jej niema" — i wrócił się.

A Danusia, której chciało się spać, otworzyła zaraz ciekawie swe modre oczy i spytała:

— A co to znaczy?

— To znaczy, że ten was dostanie, który was najbardziej miłuje.

— To Zbyszko! — odrzekła dziewczyna.

— Nie wiem, bom mu twarzy nie widziała, widziałam jeno biały płaszcz, a potem obudziłam się zaraz, gdyż Pan Jezus zsyła mi każdej nocy bóle w nogach, a rękę całkiem mi odjął.

— A że to wam ten balsam nie pomógł?

— Nie pomoże mi, panienko, i balsam, gdyż to za ciężki grzech mój, a chcecie wiedzieć za jaki, to opowiem.

Danusia skinęła głową na znak, że chce wiedzieć, więc siostra mówiła dalej:

— Są w zakonie i służki, niewiasty, które choć ślubów nie czynią, bo nawet i mężate być mogą, wszelako powinności względem Zakonu,

wedle rozkazania braci, pełnić są obowiązane. A którą takowa łaska i cześć ma spotkać, ta otrzymuje pobożne pocałowanie od brata-rycerza na znak, że odtąd uczynkami i mową Zakonowi ma służyć. Ach, panienko! — i mnie tak wielka łaska miała spotkać, ale ja w grzesznej zatwardziałości, zamiast ją przyjąć wdzięcznie, popełniłam ciężki grzech i karę na się ściągnęłam.

— Cóżeście takiego uczynili?

— Brat Danveld przyszedł do mnie i dał mi zakonne pocałowanie, ja zasię myśląc, iż on to przez swawolę jakowąś czyni podniosłam na niego bezbożną rękę....

Tu zaczęła się bić w piersi i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej.

— I cóż się stało? — zapytała Danusia.

— I zaraz mi rękę odjęło i od tej pory kaleką jestem. Młoda byłam i głupia — nie wiedziałam! a jednak kara na mnie spadła. Bo choćby niewieście się wydało, że brat zakonny chce coś złego uczynić, niech Bogu sąd ostawi, a sama się nie sprzeciwia, gdyż kto się Zakonowi, albo krzyżowemu bratu sprzeciwi, tego gniew Boży dosięgnie...

Danusia słuchała tych słów z przykrością i lękiem, siostra zaś poczęła wzdychać i dalej żale rozwodzić.

— Nie staram jeszcze i dziś — mówiła: — ledwie mi trzydzieści roków, ale Bóg razem z ręką odjął młodość i urodę.

— Żeby nie ręka — odrzekła Danusia — tobyście jeszcze nie mogli narzekać...

Poczem nastało milczenie. Nagle siostra, jakby sobie coś przypomniawszy, rzekła:

— A śniło mi się, że was jakiś rycerz w biały płaszcz na śniegu owinął. Może to był Krzyżak! Oni też białe płaszcze noszą.

— Nie chcę ja ni Krzyżaków, ni ich płaszczów — odpowiedziała dziewczyna.

Lecz dalszą rozmowę przerwał ksiądz Wyszoniek, który, wszedłszy do komory, kiwnął na Danusię i rzekł:

— Chwalże Boga i chodź do Zbyszka! Zbudził się i jeść woła. Znacznie go popuściło.

Jakoż tak było rzeczywiście. Zbyszko miał się lepiej i ksiądz Wyszoniek miał już prawie pewność, że będzie zdrów, gdy nagle niespodziane zdarzenie pomieszało wszystkie rachuby i nadzieje. Oto od Juranda przybyli wysłańcy z pismem do księżnej, zawierającem same złe i straszne nowiny. W Spychowie spaliła się część Jurandowego gródka, on sam zaś został przy ratunku płonącą belką przytłuczon. Ksiądz Kaleb, który w imieniu jego list pisał, donosił wprawdzie, że wyzdrowieć jeszcze Jurand może, ale że skry i węgle tak przypaliły mu jedyne pozostałe oko, iż już mu niewiele światła w niem pozostało — i grozi mu niechybna ślepota.

Z tej przyczyny, wzywał Jurand córkę, by spiesznie przybywała do Spychowa, bo chce ją widzieć jeszcze nim ciemności go ogarną.

Mówił też, że odtąd ma już pozostać przy nim, bo jeśli nawet między ślepcami, którzy po proszonym chlebie między ludźmi chadzają, ma każdy jakoweś pacholę, które go za rękę wiedzie i drogę mu pokazuje, czemużby on tej ostatniej pociechy miał być pozbawion i między obcymi umierać? Były też pokorne podzięki dla księżnej, która dziewczynę jakby rodzona matka hodowała — a w końcu obiecywał Jurand, że choć i ślepy, raz jeszcze do Warszawy przyjedzie, aby upaść Pani do nóg i o łaskę na dalsze lata dla Danusi jej prosić.

Księżna, gdy jej ojciec Wyszoniek przeczytał ów list, przez jakiś czas słowa prawie nie mogła przemówić. Miała ona nadzieję, że gdy Jurand, który pięć lub sześć razy do roku przyjeżdżal do dziecka, przyjedzie na blizkie święta, wówczas go powagą własną i księcia Janusza przejedna dla Zbyszka i zgodę jego na blizkie wesele uzyska. Tymczasem list ów nietylko burzył jej zamiary, ale pozbawiał jej zarazem i Danusi, którą kochała na równi z własnemi dziećmi. Przyszło jej do głowy, że Jurand może i wyda zaraz dziewczynę za którego z sąsiadów, aby reszty dni pomiędzy swoimi dożyć. O Zbyszku nie było co i myśleć, aby mógł do Spychowa jechać, gdyż żebra dopiero mu się zaczęły zrastać, i zresztą, któż mógł wiedzieć, jakby był w Spychowie przyjęty? Wiedziała przecie pani, że Jurand wręcz mu swego czasu Danusi odmówił — i jej samej powiedział, że dla tajemnych przyczyn nigdy na ich połączenie nie zezwoli. Więc w ciężkim frasunku kazała wezwać do siebie starszego z pomiędzy przysłanych ludzi, aby go o nieszczęście spychowskie rozpytać, a zarazem czegoś się o zamiarach Jurandowych dowiedzieć.

I zdziwiła się nawet, gdy na jej wezwanie wszedł człowiek zupełnie nieznany, nie zaś stary Tolima, który tarczę za Jurandem nosił i zwykle z nim razem przyjeżdżał — ów jednak odpowiedział jej, że Tolima w bitce ostatniej z Niemcami okrutnie poszczerbion, ze śmiercią w Spychowie się zmaga, zaś Jurand, ciężką chorobą złożony, o prędki powrót córki prosi, gdyż coraz mniej widzi, a za dni parę może i całkiem oślepnie. Prosił nawet usilnie wysłannik, by zaraz, jak tylko konie odetchną, wolno było wziąć dziewczynę, ale że to był wieczór, sprzeciwiła się temu stanowczo pani — zwłaszcza, by i Zbyszkowi i Danusi i sobie do reszty serca przez prędkie pożegnanie nie rozdzierać.

A Zbyszko już wiedział o wszystkiem i leżał w izbie, jakby uderzony obuchem w głowę, a gdy pani weszła i łamiąc ręce, ozwała się zaraz z proga: „Niema rady, boć to przecie ojciec!" — powtórzył za nią, jak echo: „Niema rady" — i zamknął oczy, jak człowiek, który się spodziewa, że zaraz śmierć do niego przystąpi.

Lecz śmierć nie nadeszła, choć w piersiach zbierał mu się żal coraz większy, a przez głowę przelatywały mu myśli coraz ciemniejsze, takie właśnie jak chmury, które gnane wichrem jedna za drugą, przysłaniają blask słoneczny i gaszą wszelką radość na świecie. Rozumiał bowiem Zbyszko, równie jak i księżna, że gdy Danusia raz do Spychowa wyjedzie, będzie dla niego tak, jak stracona. Tu wszyscy byli dla niego życzliwi, tam Jurand może go nawet nie przyjąć, ani wysłuchać nie

zechce, zwłaszcza, jeśli go wiąże ślub, lub jakaś inna nieznana przyczyna, równie jak religijny ślub ważna. Zresztą, gdzie mu tam jechać do Spychowa, gdzie oto chory jest i ledwie się może na łożu poruszyć. Przed kilku dniami, gdy z łaski księcia spadły nań złote ostrogi, wraz z rycerskim pasem, myślał, że radość przemoże w nim chorobę i modlił się z całej duszy, aby rychło mógł powstać i z Krzyżakami się zmierzyć, ale teraz stracił znów wszelką nadzieję, czuł bowiem, że gdy mu zbraknie przy łożu Danusi, to razem z nią zbraknie mu i ochoty do życia i sił do walki ze śmiercią. Przyjdzie oto dzień jutrzejszy i pojutrzejszy, nadejdzie wreszcie wigilia i święta, kości go będą tak samo bolały i tak samo będzie go chwytało omdlenie, a nie będzie przy nim tej jasności, która po całej izbie rozchodzi się od Danusi, ni tego uradowania oczu, które na nią patrzą. Co za pociecha i co za osłoda była pytać kilka razy na dzień: „Miłym ci?" — i widzieć ją potem, jak sobie przysłania śmiejące się i zawstydzone oczy dłonią, albo też pochyla się i odpowiada: „A któż inny?" Obecnie zaś tylko choroba zostanie i ból zostanie i tęsknota, a szczęście odejdzie — i nie wróci.

Łzy zabłysły w oczach Zbyszkowych i stoczyły mu się zwolna po policzkach, poczem zwrócił się do księżny i rzekł:

— Miłościwa pani, już ja tak myślę, że Danuśki więcej w życiu nie obaczę.

A pani, sama stroskana, odpowiedziała:

— Bo i nie dziwnoby było, żebyś zamarł od żałości. Ale Pan Jezus jest miłosierny.

Po chwili zaś, chcąc go jednak choć trochę pokrzepić, dodała:

— Chociaż, żeby nie przymierzając, Jurand umarł przed tobą, to opiekuństwo przeszłoby na księcia i na mnie, a mybyśmy ci dziewczynę zaraz oddali.

— Kiedy on tam umrze! — odrzekł Zbyszko.

Lecz nagle, widocznie jakaś nowa myśl błysnęła mu w głowie, gdyż przypodniósł się, siadł na łożu i rzekł zmienionym głosem:

— Miłościwa Pani...

Wtem przerwała mu Danusia, która wbiegłszy z płaczem, poczęła od progu wołać:

— To już wiesz, Zbyszku! Oj, żal mi tatusia, ale, żal i ciebie, nieboże!

Zbyszko zaś, gdy zbliżyła się ku niemu, ogarnął zdrowem ramieniem swoje kochanie i począł mówić:

— Jakże mi żyć bez ciebie, dziewczyno? Nie potom tu przez rzeki i bory jechał, nie potom ci ślubował i służył, abym cię zaś miał utracić. Hej! nie pomoże żal, nie pomoże płakanie, ba! i śmierć sama, bo choćby i murawa na mnie porosła, dusza o tobie nie zapomni, by i na Pana Jezusowym dworze, by i u samego Boga Ojca na pokojach... I rzekę, rady niema, a rada musi być, bo bez niej nijak! Krzypotę w kościach czuję i boleść srogą, ale choć ty padnij pani do nóg, bo ja nie mogę — i proś o zmiłowanie nad nami.

Danusia, posłyszawszy to, prędko skoczyła do nóg księżnej i objąwszy je ramionami, pochowała swą jasną twarz w zgięciach jej ciężkiej sukni, pani zaś zwróciła pełne litości, ale zarazem zdziwione oczy na Zbyszka.

— W czemże ja wam mogę okazać zmiłowanie? — zapytała. — Nie puszczę dziecka do chorego rodzica, to i gniew Boży ściągnę.

Zbyszko, który poprzednio przypodniósł się był na łożu, zesunął się znów na wezgłowie i przez jakiś czas nie odpowiadał, gdyż mu tchu brakło. Powoli jednak począł posuwać na piersiach jedną rękę ku drugiej, aż wreszcie złożył je jak do modlitwy.

— Odpocznij — rzekła księżna — potem zasie powiadaj o co ci idzie, a ty, Danuśka, wstań mi od kolan.

— Pofolguj, ale nie wstawaj i proś wraz ze mną — ozwał się Zbyszko.

Poczem jął mówić słabym i przerywanym głosem:

— Miłościwa Pani... Był ci mi Jurand przeciwny w Krakowie... będzie i tu, ale gdyby ojciec Wyszoniek dał mi ślub z Danuśką, to — niechby potem i jechała do Spychowa, bo mi jej żadna moc ludzka nie odejmie.

Słowa te były dla księżny Anny czemś tak niespodzianem, że aż zerwała się z ławy, poczem znów siadła i jakby nie rozumiejąc dobrze o co chodzi, rzekła:

— Rany Boskie!... ksiądz Wyszoniek?...

— Miłościwa pani!... miłościwa pani! — prosił Zbyszko.

— Miłościwa pani! — powtarzała za nim Danusia, obejmując znów kolana księżny.

— Jakoże to być może bez pozwolenia rodzicielskiego...

— Zakon Boży mocniejszy! — odpowiedział Zbyszko.

— Bójcie-że się Boga!

— Kto ojciec, jeśli nie książę?... kto matka, jeśli nie wy, Miłościwa Pani!

A Danusia na to:

— Miłościwa matuchno!

— Prawda, że to ja byłam jej i jestem jako matka — rzekła księżna — i z mojej też ręki Jurand dostał żonę. Prawda! A jakby raz ślub był — to i przepadło. Możeby się Jurand i posierdził, ale przecie i on księciu, jako panu swojemu powinien. Wreszcie możnaby mu zrazu nie mówić, dopiero gdyby dziewczynę chciał innemu dać, albo mniszką uczynić... Jeśli zaś śluby jakowe uczynił — to i nie będzie jego winy. Przeciw woli Boskiej nikt nie poradzi... Dla Boga żywego, może to i wola Boska!

— Inaczej nie może być! — zawołał Zbyszko.

Lecz księżna, cała jeszcze wzruszona, rzekła:

— Poczekajcie, niech się opamiętam! Żeby tu książę był, zarazbym do niego poszła i zapytałabym: mam-li Danuśkę dać, czyli też nie?.... Ale bez niego się boję.... Aż mi dech zaparło, a tu i czasu na nic niema, bo i dziewczyna musi jutro jechać!... O miły Jezu! niechby żeniata je-

chała — byłby już spokój. Jeno nie mogę się opamiętać — i czegoś mi strach. A tobie nie strach, Danuśka? — gadajże!

— Już ja bez tego zamrę! — przerwał Zbyszko.

A Danuśka podniosła się od kolan księżny i ponieważ istotnie była przez dobrą panią nietylko do poufałości dopuszczona, ale i pieszczona, więc chwyciła ją za szyję i poczęła ściskać z całej siły.

Lecz księżna rzekła:

— Bez ojca Wyszońka nic wam nie powiem. Skocz-że po niego co prędzej!

Danusia skoczyła po ojca Wyszońka, Zbyszko zaś zwrócił swą wybladłą twarz do księżny i rzekł:

— Co mi Pan Jezus przeznaczył, to będzie, ale za tę pociechę niech wam Bóg, Miłościwa Pani, nagrodzi.

— Jeszcze mnie nie błogosław — odrzekła księżna — bo niewiadomo, co się stanie. I musisz mi też na cześć poprzysiądz, że jeśli ślub będzie, nie wzbronisz dziewczynie do rodziciela zaraz jechać, abyś broń Boże przekleństwa jego na siebie i na nią nie ściągnął.

— Na moją cześć! — zaczął Zbyszko.

— To i pamiętaj! A Jurandowi niech dziewczna zrazu nic nie mówi. Lepiej, aby go nowina nie oparzyła, jak ogień. Poślemy po niego z Ciechanowa, by z Danuśką przyjeżdżał i wtedy sama mu powiem, albo też księcia uproszę. Jak zobaczy, że niema rady, to się i zgodzi. Nie był ci on przecie krzyw?

— Nie — rzekł Zbyszko — nie był mi krzyw, więc może i rad będzie w duszy, że Danuśka będzie moja. Bo jeśli ślubował, to już nie będzie jego winy, jeśli nie dotrzyma.

Wejście księdza Wyszońka z Danusią przerwało dalszą rozmowę. Księżna wezwała go w tej chwili do narady i z wielkim zapałem poczęła mu opowiadać o Zbyszkowych zamiarach, lecz on, zaledwie usłyszawszy o co idzie, przeżegnał się ze zdumienia i rzekł:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!... jakże ja to mogę uczynić! Toć przecie adwent!

— Dla Boga! prawda — zawołała księżna.

I nastało milczenie: tylko strapione twarze okazywały, jakim ciosem były dla wszystkich słowa ojca Wyszońka.

On zaś po chwili rzekł:

— Gdyby dyspensa była, tobym się i nie przeciwił, bo mi was żal. O Jurandowe pozwoleństwo niekoniecznie bym pytał, bo skoro pani miłościwa pozwala i za zgodę księcia pana naszego zaręcza — no! — to oni ojciec i matka dla naszego Mazowsza. Ale bez dyspensy biskupiej nie mogę. Ba! żeby to ksiądz biskup Jakób z Kurdwanowa był między nami, możeby dyspensy nie odmówił — choć to surowy jest ksiądz, nie taki, jak był jego poprzednik, biskup Mamphiolus, któren na wszystko powiada: „bene! bene!"

— Biskup Jakób z Kurdwanowa miłuje wielce i księcia i mnie — wtrąciła pani.

— To też dlatego mówię, że dyspensyby nie odmówił, ile że są do

tego przyczyny. Dziewczyna musi jechać, a ów młodzianek chorzeje i może zamrzeć... Hm!... in articulo mortis... Ale bez dyspensy nijak...

— Już jabym tam i później biskupa Jakóba o dyspensę uprosiła — i choćby też niewiem jak był surowy, nie odmówi on mi tej łaski... Ej, ręczam, że nie odmówi.

Na to ksiądz Wyszoniek, który był człek dobry i miękki, rzekł:

— Słowo pomazanki Bożej, wielkie słowo... Strach mi księdza biskupa, ale to wielkie słowo!.... Mógłby też młodzianek co do katedry w Płocku przyobiecać.... Nie wiem.... Zawsze to, póki dyspensa nie nadejdzie, będzie grzech — i to nie kogo innego, jeno mój... Hm! Pan Jezus po prawdzie jest miłosierny i jeśli kto zgrzeszy nie dla własnego zysku, jeno z politowania nad ludzką biedą, to tem łatwiej przebacza! Ale grzech będzie i nużby się biskup zaciął, kto mi da odpust?

— Biskup się nie zatnie! — zawołała księżna Anna.

A Zbyszko rzekł:

— Ten Sanderus, który ze mną przyjechał, ma na wszystko odpusty.

Ksiądz Wyszoniek może i niezupełnie wierzył w odpusty Sanderusa, ale rad był chwycić się choćby pozoru, byle tylko Zbyszkowi i Danusi przyjść z pomocą, gdyż dziewczynę, którą znał od małego, kochał bardzo. Wreszcie pomyślał, że w najgorszym razie spotkać go może pokuta kościelna, więc zwrócił się do księżny i rzekł:

— Ksiądz ci ja jestem, ale i książęcy sługa. Jakoże miłościwa pani rozkażecie?

— Nie chce rozkazywać, wolę prosić — odpowiedziała pani. — Ale jeśli ten Sanderus ma odpusty...

— Sanderus ma. Jeno o biskupa chodzi. Srogie on tam w Płocku z kanonikami synody odprawuje.

— Biskupa się nie bójcie. Zabronił on, jako słyszałam, księżom mieczów, kusz, i różnej swawoli, ale dobrze czynić nie zabronił.

Ksiądz Wyszoniek podniósł oczy i ręce w górę:

— To niechże się stanie wedle waszej woli.

Na te słowa radość opanowała serca. Zbyszko znów usiadł na wezgłowiu, a księżna, Danusia i ojciec Wyszoniek, siedli koło łoża i poczęli „uradzać", jak rzecz należy uczynić. Więc postanowili zachować tajemnicę, tak, aby w domu żywa dusza o tem nie wiedziała; postanowili też, że i Jurand nie powinien nic wiedzieć, póki mu sama pani w Ciechanowie o wszystkiem nie oznajmi. Natomiast miał ksiądz Wyszoniek napisać list od księżny do Juranda, by zaraz przyjeżdżał do Ciechanowa, gdzie lepsze leki na jego kalectwo mogą się znaleźć i samotność mniej mu będzie dokuczać. Uradzili nakoniec, że i Zbyszko i Danusia przystąpią do spowiedzi, ślub zaś odbędzie się nocą, gdy już wszyscy spać się pokładą.

Przyszło Zbyszkowi na myśl, żeby wziąć giermka Czecha, jako świadka ślubu, ale porzucił ten zamiar, przypominawszy sobie, że ma go od Jagienki. Przez chwilę stanęła mu w pamięci, jakby żywa, tak, iż zdało mu się, że widzi jej rumianą twarz, jej zapłakane oczy i słyszy głos proszący: „Nie czyń mi tego! nie płać mi złem za dobre i nie-

dolą za kochanie!" — Aż nagle chwyciła go wielka litość nad nią, gdyż czuł, że jej się stanie ciężka krzywda, po której nie znajdzie pociechy ni pod zgorzelickim dachem, ni w głębi boru, ni w polu, ni w darach opata, ni w zalotach Cztana i Wilka. Więc rzekł jej w duszy: „Daj ci Bóg wszystko najlepsze, dziewczyno, ale, choćbym ci rad i nieba przychylić — nie poradzę". I rzeczywiście, przekonanie, że nie było to w jego mocy, przyniosło mu wnet ulgę i wróciło spokojność, tak, że zaraz począł myśleć tylko o Danusi i o ślubie.

Nie mógł się jednak obejść bez pomocy Czecha, więc, lubo postanowił zamilczeć przed nim o tem, co się miało stać, kazał go do siebie przywołać i rzekł mu:

— Przystąpię dziś do spowiedzi i do Stołu Pańskiego, przybierz mnie przeto jak najochędożniej, jakobym na królewskie pokoje miał iść.

Czech przeląkł się nieco i począł patrzeć mu w twarz, co zrozumiawszy, Zbyszko rzekł:

— Nie bój się, nietylko na śmierć się ludzie spowiadają, a tembardziej, że idą Święta, na które ojciec Wyszoniek z księżną do Ciechanowa wyjedzie i nie będzie księdza bliżej, niż w Przasnyszu.

— A wasza miłość nie pojedzie? — spytał giermek?

— Jeśli wyzdrowieję, to pojadę, ale to w Boskich ręku.

Więc Czech się uspokoił i skoczywszy do łubów, przyniósł ową białą jakę zdobyczną, złotem szytą, w którą rycerz ubierał się zwykle na wielkie uroczystości, a też i piękny kobierczyk, dla okrycia nóg i łoża, zaczem podniósłszy Zbyszka przy pomocy dwóch Turczynków, umył go, uczesał jego długie włosy, na które nałożył szkarłatną przepaskę, wreszcie wsparł tak przybranego o czerwone poduszki i rad z własnego dzieła, rzekł:

— Żeby jeno Wasza miłość pląsać mogła, to choćby i wesele wyprawić!

— Musiałoby się obyć bez pląsów — odrzekł z uśmiechem Zbyszko.

A tymczasem księżna rozmyślała również w swojej izbie, jak przybrać Danusię, gdyż dla jej niewieściej natury była to sprawa wielkiej wagi i za nic nie chciałaby przyzwolić, by miła jej wychowanka stanęła w codziennej szacie do ślubu. Służki, którym powiedziano, że dziewczyna też do spowiedzi w barwę niewinności się przybiera, łatwo znalazły w skrzyni białą sukienkę, ale bieda była z przybraniem głowy. Na myśl o tem, opanował panią jakiś dziwny smutek, tak, iż poczęła wyrzekać.

— Gdzie ja dla ciebie, sierotko — mówiła — wianek ruciany w tym boru wynajdę! Ni tu kwiatuszka jakowego, ni liścia, chyba się mchy gdzie pod śniegiem zielenią.

A Danusia, stojąc z rozpuszczonymi już włosami, zatroskała się także, bo i jej chodziło o wianek; po chwili jednak ukazała na równianki z nieśmiertelników, wiszące na ścianach izby i rzekła:

— Choćby i z tego co uwić, bo nic innego nie znajdziem, a Zbyszko weźmie mnie i w takim wianku.

Księżna nie chciała się z początku na to zgodzić, bojąc się złej wró-

zby, ale że w dworcu, do którego tylko na łowy przyjeżdżano, nie było żadnych kwiatów, więc skończyło się na nieśmiertelnikach. Tymczasem nadszedł ojciec Wyszoniek, który poprzednio wyspowiadał już Zbyszka i zabrał dziewczynę do spowiedzi, a potem zapadła głucha noc. Służba po wieczerzy poszła z rozkazu księżny spać. Wysłańcy Jurandowi pokładli się jedni w czeladnej, inni przy koniach w stajniach. Wkrótce ognie w służebnych izbach zasuły się popiołem na trzonach i pogasły, aż wreszcie uczyniło się całkiem cicho w leśnym dworze i tylko psy szczekały od czasu do czasu na wilki w stronę boru.

Jednakże u księżny, u ojca Wyszonka i u Zbyszka okna nie przestawały świecić, rzucając czerwone blaski na śnieg, pokrywający dziedziniec. Oni zaś czuwali w ciszy, słuchając bicia własnych serc — niespokojni i przejęci uroczystością chwili, która zaraz nadejść miała. Jakoż po północy księżna wzięła za rękę Danusię i poprowadziła ją do izby Zbyszkowej, gdzie ojciec Wyszoniek czekał już na nich z Panem Bogiem. W izbie palił się wielki ogień w grabie i przy jego obfitem, ale nierównem świetle ujrzał Zbyszko Danusię, bladą nieco od bezsenności, białą, z wiankiem nieśmiertelników na skroni, przybraną w sztywną, spadającą aż do ziemi sukienkę. Powieki miała ze wzruszenia przymknięte, rączyny opuszczone wzdłuż sukni — i przypominała tak jakieś malowania na szybach, było w niej coś tak kościelnego, że Zbyszka zdjęło zdziwienie na jej widok, pomyślał bowiem, że nie dziewczynę ziemską, ale jakąś duszyczkę niebieską ma wziąć za żonę. A pomyślał to jeszcze bardziej, gdy klękła ze złożonemi dłońmi do Komunii i przechyliwszy w tył głowę, zamknęła całkiem oczy. Wydała mu się nawet wówczas, jak umarła i aż lęk chwycił go za serce. Nie trwało to jednak długo, gdyż posłyszawszy głos księdza: Ecce Agnus Dei — sam skupił się w duchu i myśli jego wzięły lot w stronę Bożą. W izbie słychać było teraz tylko uroczysty głos księdza Wyszońka: Domine non sum dignus — a wraz z nim trzaskanie iskier w ognisku i świerszcze grające zawzięcie, a jakoś żałośnie, w szparach komina. Za oknami wstał wiatr, zaszumiał w ośnieżonym lesie, lecz zaraz ścichł.

Zbyszko i Danusia pozostali jakiś czas w milczeniu, ksiądz Wyszoniek zaś wziął kielich i odniósł go do kapliczki dworskiej. Po chwili wrócił, ale nie sam, tylko z panem de Lorche i widząc zdziwienie na twarzach obecnych, położył naprzód palec na ustach, jakby chcąc jakiemuś niespodzianemu okrzykowi zapobiedz, poczem zaś rzekł:

— Rozumiałem, że będzie lepiej, aby było dwóch świadków ślubu i dlatego wpierw jeszcze ostrzegłem tego rycerza, któren mi na cześć i na relikwie akwizgrańskie poprzysiągł, że tajemnicy, póki będzie trzeba, dochowa.

A pan de Lorche przykląkł naprzód przed księżną, potem przed Danusią, następnie zaś podniósł się i stał w milczeniu, przybrany w uroczystą zbroję, po której zagięciach pełzały czerwone światełka od ognia, długi, nieruchomy, pogrążon jakby w zachwycie, gdyż i jemu ta biała dziewczyna z wiankiem nieśmiertelników na skroni wydała się jakby aniołem, widzianym na szybie w gotyckim tumie.

Lecz ksiądz postawił ją przy łożu Zbyszka i narzuciwszy im stułę na ręce, rozpoczął zwykły obrządek. Księżnie spływały łzy jedna za drugą po poczciwej twarzy, lecz w duszy nie czuła w tej chwili niepokoju, sądziła bowiem, że dobrze czyni, łącząc tych dwoje cudnych i niewinnych dzieci. Pan de Lorche klęknął po raz wtóry i wsparty obiema rękoma na rękojeści miecza, wyglądał zupełnie, jak rycerz, który ma widzenie — tych zaś dwoje powtarzało kolejno słowa księdza: „Ja... biorę... ciebie sobie" — a do wtóru tym słowom cichym i słodkim grały znów świerszcze w szparach komina i trzaskał ogień w grabie. Po skończonym obrządku Danusia padła do nóg księżnie, która błogosławiła oboje, a gdy wreszcie oddała ich w opiekę mocom niebieskim, rzekła:

— Radujcie się, bo już ona twoja, a ty jej.

Wówczas Zbyszko wyciągnął swe zdrowe ramię do Danusi, ona zaś objęła go rączętami za szyję i przez chwilę słychać było, jak powtarzali sobie z ustami przy ustach:

— Mojaś ty, Danuśko.

— Mój ty, Zbyszku.

Lecz zaraz potem Zbyszko zesłabł, gdyż za dużo było na jego siły wzruszeń — i zesunąwszy się na poduszki, począł oddychać ciężko. Nie przyszło jednak nań omdlenie i nie przestał się uśmiechać do Danusi, która obcierała mu twarz, zroszoną zimnym potem, a nawet nie przestał powtarzać jeszcze: „Mojaś ty, Danuśka!" — na co ona pochylała za każdym razem swą „przetowłosą" główkę. Widok ten wzruszył do reszty pana de Lorche, który oświadczył, że gdy w żadnym kraju nie przygodziło mu się widzieć serc tak czułych, przeto poprzysięga uroczyście, jako gotów jest potykać się pieszo, lub konno z każdym rycerzem, czarnoksiężnikiem lub smokiem, któryby ich szczęśliwości śmiał stanąć na zawadzie. I rzeczywiście poprzysiągł ową zapowiedź natychmiast na mającej kształt krzyżyka rękojeści od mizerykordyi, to jest małego miecza, który służył rycerzom do dobijania rannych. Księżna i ojciec Wyszoniek wezwani byli na świadków tej przysięgi.

Lecz pani, nie rozumiejąc ślubu bez jakowegoś wesela, przyniosła wina — więc pili następnie wino. Godziny nocy płynęły jedna za drugą. Zbyszko przezwyciężywszy słabość, przygarnął znów Danusię i rzekł:

— Skoro mi cię Pan Jezus oddał, nikt mi cię nie odbierze, ale mi żal, że wyjeżdżasz, jagódko moja najmilsza.

— Do Ciechanowa z tatulem przyjedziem — odpowiedziała Danusia.

— Byle cię chorość jakaś nie napadła — albo co... Boże cię strzeż od złej przygody.... Musisz do Spychowa — wiem!... Hej!... Bogu najwyższemu i miłościwej pani dziękować, żeś już moja — bo jużci co ślub, to tego moc ludzka nie odrobi.

Że jednak ślub ten odbył się w nocy i tajemniczo, i że zaraz po nim miało nastąpić rozstanie, więc chwilami jakiś dziwny smutek ogarniał nietylko Zbyszka, ale i wszystkich. Rozmowa rwała się. Od czasu do czasu przygasał też ogień w grabie — i głowy pogrążyły się w mro-

ku. Ksiądz Wyszoniek rzucał wówczas na węgle nowe bierwiona, a gdy zapiszczało co żałośnie w szczapie, jako często bywa przy świeżem drzewie, mówił:

— Dusza pokutująca, czego żądasz?

Odpowiadały mu świerszcze, a potem wzmagający się płomień, który wydobywał z cienia bezsenne twarze, odbijał się w zbroi pana de Lorche, rozświetlając zarazem białą sukienkę i nieśmiertelniki na głowie Danusi.

Psy na dworze poczęły znów poszczekiwać w stronę boru, takiem szczekaniem, jak na wilki.

I w miarę, jak płynęły godziny nocy, coraz częściej zapadało milczenie, aż wreszcie księżna rzekła:

— Miły Jezu! ma-li tak być po ślubie, lepiejby pójść spać, ale skoro mamy czuwać do rana, to i zagrajże nam jeszcze, kwiatuszku, ostatni raz przed odjazdem na luteńce — mnie i Zbyszkowi.

Danusia, która czuła zmęczenie i senność, rada była czemkolwiek się orzeźwić, więc skoczyła po lutnię i wróciwszy z nią po chwili, siadła przy łóżku Zbyszka.

— Co mam grać? — zapytała.

— Co? — rzekła księżna: — a cóżby, jak nie oną pieśń, którąś w Tyńcu śpiewała, kiedy to cię pierwszy raz Zbyszko ujrzał!

— Hej! pamiętam — i do śmierci nie zabaczę — rzekł Zbyszko. — Jakem bywało to gdzie usłyszał, to aże mi się śluzy z oczu płynęły.

— To i zaśpiewam! — rzekła Danusia.

I zaraz poczęła brząkać na luteńce, następnie zaś, zadarłszy jak zwykle główkę do góry, zaśpiewała:

„Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Sląska

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie:
Przypatrz się Jasieńku,
Ubogiej sierocie!...."

Lecz nagle głos jej się załamał, usta poczęły się trząść, a z pod zamkniętych rzęs łzy wydostawały się przemocą na policzki. Przez chwilę starała się ich nie puścić z pod powiek, ale nie mogła — i w końcu rozpłakała się serdecznie, zupełnie jak wówczas gdy ostatni raz śpiewała tę pieśń Zbyszkowi w krakowskiem więzieniu.

— Danuśka! co ci Danuśka? — pytał Zbyszko.

— Czego płaczesz. Jakież to wesele! — zawołała księżna. Czego?

— Nie wiem — odpowiedziała, łkając Danuśka: — tak-ci mi smutno!... taki żal!... Zbyszka i pani....

Więc zatroskali się wszyscy i nuż ją pocieszać, nuż tłómaczyć jej, że to nie na długo tego odjazdu i że pewnie jeszcze na święta zjadą z

Jurandem do Ciechanowa. Zbyszko znów objął ją ramieniem, przytulał do piersi i wycałowywał łzy z oczu — ucisk jednak pozostał we wszystkich sercach — i w tym ucisku zbiegały im godziny nocy.

Aż wreszcie na dziedzińcu rozległ się odgłos tak nagły i przeraźliwy, że aż wzdrygnęli się wszyscy. Księżna, zerwawszy się z ławy, zawołała:

— O dla Boga. Żorawie studzienne! Konie poją!

A ksiądz Wyszoniek spojrzał w okno, w którem szklane gomółki przybierały barwę szarawą i ozwał się:

— Noc już bieleje i dzień się czyni. Ave Maria, gratias plena...

Poczem wyszedł z izby i wróciwszy po niejakim czasie, rzekł:

— Dnieje, chociaż będzie ciemny dzień. To Jurandowi ludzie konie poją. Czas ci do drogi, niebogo!...

Na te słowa i księżna i Danusia uderzyły w głośny płacz i obie wraz ze Zbyskiem poczęły wyrzekać, tak jak wyrzekają ludzie prości, gdy im przychodzi się rozstać,. to jest, że było w tem wyrzekaniu coś obrządkowego i zarazem, jakby pół zawodzenie, pół śpiewanie, które wylewa się z dusz prostych, tak przyrodzoną drogą, jak leją się łzy z oczu.

„Hej! nie pomoże już nic płakanie,
Już cię żegnamy, miłe kochanie,
Już płakanie nie pomoże,
Już żegnamy cię, nieboże,
Żegnamy cię — hej!....”

Lecz Zbyszko przytulił po raz ostatni Danusię do piersi i trzymał ją długo, dopóty, dopóki mu tchu starczyło i dopóki księżna nie oderwała jej od niego, aby ją przebrać na drogę.

Tymczasem rozedniało zupełnie. We dworcu rozbudzili się wszyscy i poczęli się krzątać. Do Zbyszka wszedł Czech, giermek, dowiedzieć się o zdrowie i spytać o rozkazy.

— Przyciągnij łoże do okna — rzekł mu rycerz.

Czech przyciągnął z łatwością łoże do okna, ale zdziwił się, gdy Zbyszko kazał mu je otworzyć — usłuchał jednak tego rozkazu, nakrył tylko pana własnym kożuchem, gdyż na dworze chłodno było, choć chmurno — i padał śnieg miękki a obfity.

Zbyszko począł patrzeć: na dziedzińcu przez lecące z chmur płatki śniegowe widać było sanki, wokół nich siedzieli na zszerszeniałych i dymiących koniach Jurandowi ludzie. Wszyscy byli zbrojni, a niektórzy mieli blachy na kożuchach, w których przeglądały się blade i posępne promienie dnia. Las zasuło całkiem śniegiem; płotów i kołowrota prawie nie można było dojrzeć.

Danusia wpadła jeszcze do izby Zbyszka cała już zakutana w kożuszek i lisią szubę; jeszcze raz objęła za szyję i jeszcze raz rzekła mu na pożegnanie:

— Chociaż i odjeżdżam, tom twoja.

A on całował jej ręce, policzki i oczy, które ledwie było widać z pod lisiego puchu i mówił:

— Boże cię strzeż! Boże cię prowadź! Mojaż ty już, moja do śmierci.

I gdy znów oderwano ją od niego, podniósł się, ile mógł, wsparł głowę na oknie i patrzał: więc po przez płatki śniegowe, jakby przez jakowąś zasłonę widział, jak Danusia siadała do sanek, jak księżna trzymała ją długo w objęciach, jak całowały ją dworki i jak ksiądz Wyszoniek żegnał ją znakiem krzyża na drogę. Obróciła się jeszcze przed samym odjazdem ku niemu i wyciągnęła ręce:

— Ostawaj z Bogiem, Zbyszku!

— Boże daj w Ciechanowie cię obaczyć...

Ale śnieg padał tak obfity, jakby chciał wszystko zgłuszyć i wszystko przesłonić, więc te ostatnie słowa doszły ich tak przytłumione, że obojgu wydało się, iż wołają na siebie — już zdaleka.

25.

Po obfitych śniegach nastały ciężkie mrozy i dni pogodne, suche. Dniem bory iskrzyły się w promieniach słońca, lód popętał rzeki i ustalił bagna. Przyszły jasne noce, wśród których mróz zmagał się do tego stopnia, że drzewa pękały z hukiem w lesie; ptactwo zbliżało się do domostw; drogi stały się niebezpieczne z powodu wilków, które jęły się zbierać w stada i napadać nietylko na pojedyńczych ludzi, lecz i na wsie. Lud jednak radował się w dymnych chatach przy ogniskach, przepowiadając po mroźnej zimie rok urodzajny i wesoło czekał świąt, które miały niebawem nadejść. Leśny dworzec książęcy opustoszał. Księżna wraz z dworem i księdzem Wyszońkiem wyjechała do Ciechanowa. Zbyszko, znacznie już zdrowszy, ale niedość jeszcze mocny, by na koń siąść, został w dworcu, razem ze swymi ludźmi, z Sanderusem, z giermkiem Czechem i z miejscową służbą, nad którą miała pozór stateczna szlachcianka, pełniąca obowiązki gospodyni.

Lecz dusza w rycerzu rwała się do młodej żony. Była mu wprawdzie niezmierną osłodą myśl, że Danusia już jest jego i żadna moc ludzka nie zdoła mu jej odjąć, ale z drugiej strony ta sama myśl potęgowała jego tęsknotę. Po całych dniach wzdychał do tej chwili, w której będzie mógł dworzec opuścić i rozważał, co wówczas ma uczynić, dokąd jechać i jak Juranda przejednać. Miewał też chwile ciężkiego niepokoju, ale wogóle przyszłość przedstawiała mu się radośnie. Kochać Danuśkę i kuskać hełmy z pawiemi piórami — oto miało być jego życie. Częstokroć brała go ochota porozmawiać o tem z Czechem, którego polubił, ale zauważył, że Czech, oddany duszą całą Jagience, nierad rozmawiał o Danusi, on zaś, związany tajemnicą, nie mógł mu powiedzieć wszystkiego, co się stało.

Zdrowie jego polepszało się jednak z każdym dniem. Na tydzień przed Wigilją dosiadł po raz pierwszy konia i choć czuł, że nie mógłby jeszcze tego uczynić w zbroi, jednakże nabrał otuchy. Nie spodziewał

się zresztą, by miała go zaskoczyć potrzeba prędkiego przywdziania pancerza i hełmu, a w najgorszym razie tuszył iż wkrótce będzie miał i na to dość sił. W izbie próbował dla zabicia czasu podnosić miecz i szło mu nieźle, topór okazał się tylko dla niego za ciężki, mniemał wszelako, że chwyciwszy toporzysko w obie dłonie, zdołałby już skutecznie machnąć.

Nakoniec, na dwa dni przed Wigiliją, kazał wymościć wozy, pokulbaczyć konie i oznajmił Czechowi, że pojadą do Ciechanowa. Wierny giermek zatroskał się nieco, zwłaszcza, że na dworze był mróz trzaskający, ale Zbyszko rzekł mu:

— Nie twoja głowa, Głowaczu (tak go bowiem z polska nazywał). Nic tu po nas w tym dworcu, a choćbym miał zachorzeć, toć starunku w Ciechanowie nie zabraknie. Wreszcie pojadę nie konno, ale w saniach, po szyję w sianie i pod skórami, a dopiero pod samem Ciechanowem na koń się przesiądę.

I tak się stało. Czech już przeznał swego młodego pana i wiedział, że niedobrze mu się przeciwiać, a jeszcze gorzej nie spełnić w lot rozkazu; więc w godzinę później ruszono. W chwili odjazdu Zbyszko, widząc Sanderusa, ładującego się na sanie wraz ze swoją skrzynią, rzekł mu:

— A ty czegoś się do mnie przyczepił, jak rzep do owczej wełny?... Mówiłeś, że chcesz do Prus.

— Mówiłem, że chcę do Prus — rzekł Sanderus — ale jakże mi tam samemu iść w takie śniegi? Wilcy mnie zjedzą, nim pierwsza gwiazda zejdzie, a tu też nie mam po co ostawać. Wolej mi w mieście, ludzi pobożnością budować, świętym towarem ich darzyć i z djabelskich obieży ratować, jakom Ojcu wszystkiego chrzecijaństwa w Rzymie zaprzysiągł. A prócz tego, okrutniem waszą miłość pokochał, więc jej nie opuszczę przed odejściem do Rzymu, bo może się zdarzy, i jakową przysługę oddać.

— Zawsze on za was, panie, gotów zjeść i wypić — rzekł na to Czech — i taką przysługę najbardziej radby oddać. Ale jeśli nas za wielka chmura wilków w Przasnyskim boru opadnie, to im go rzucim na odprawę, bo na nic lepszego się nie przygodzi.

— A wy patrzcie, by wam grzeszne słowo do wąsów nie przymarzło odparł Sanderus — gdyż takowe sople tylko w piekielnym ogniu topnieją.

— O wa! — rzekł Głowacz, sięgając rękawicą do wąsów, które ledwie poczynały mu się sypać — pierwej spróbuję zagrzać piwa na popasie, ale tobie go nie dam.

— A przykazanie jest: spragnionego napoić. Nowy grzech!

— To ci dam wiadro wody, a tymczasem naści co mam pod ręką.

I tak mówiąc, nabrał śniegu, ile mógł dwiema rękawicami, objąć i rzucił nim w brodę Sanderusa, ale ów uchylił sie i rzekł:

— Nic po was w Ciechanowie, bo tam już jest chowany niedźwiadek, co śniegiem praska.

Tak to oni przekomarzali się z sobą, dosyć się lubiąc wzajemnie. Zbyszko jednakże nie zabronił Sanderusowi jechać z sobą, albowiem cudaczny ów człowiek bawił go, a zarazem zdawał się być istotnie do niego przywiązany. Ruszyli więc z dworca leśnego jasnym rankiem, w

mróz tak wielki, że trzeba było konie okrywać. Cała kraina leżała pod obfitym śniegiem. Dachy chat ledwie było z pod niego widać, a miejscami dymy zdawały się wychodzić wprost z białych zasp i szły w górę strzeliste, różowe od poranku, rozszerzone u szczytu w kiście, podobne do rycerskich pióropuszów.

Zbyszko jechał na wozie, raz dla oszczędzenia sił, a powtóre dla wielkiego zimna, przed którem łatwiej się było uchronić w wymoszczonych sianem i skórami wozach. Kazał też Głowaczowi przysiąść się do siebie i mieć kusze na podorędziu od wilków, tymczasem zaś gawędził z nim wesoło:

— W Przasnyszu — rzekł — jeno konie popasiem, rozgrzejem się i zaraz ruszymy dalej.

— Do Ciechanowa?

— Naprzód do Ciechanowa, państwu się pokłonić i nabożeństwa zażyć.

— A potem? — pytał Głowacz. Zbyszko uśmiechnął się i odrzekł:

— Potem, kto wie, czy nie do Bogdańca.

Czech spojrzał na niego ze zdziwieniem. W głowie błysnęła mu myśl, że może młody pan wyrzekł się Jurandówny i wydało mu się to tem podobniejszem do prawdy, ponieważ Jurandówna wyjechała, o uszy zaś Czecha obiła się w leśnym dworcu wiadomość, że pan na Spychowie przeciwny był młodemu rycerzowi. Więc ucieszył się poczciwy giermek, bo chociaż miłował Jagienkę, ale patrzał na nią tak, jak na gwiazdę na niebie i radby był okupić jej szczęście choćby krwią własną. Zbyszka też pokochał i z całej duszy pragnął obojgu do śmierci służyć.

— To już wasza miłość osiędzie na dziedzinie! — rzekł z radością.

— Jakże mi na dziedzinie siedzieć — odpowiedział Zbyszko — kiedym owych rycerzy krzyżackich pozwał, a przedtem jeszcze Lichtensteina? Mówił de Lorche, że ponoś Mistrz ma króla w gościnę do Torunia zaprosić, to się do królewskich pocztów przyczepię — i tak myślę, że w Toruniu pan Zawisza z Garbowa, alibo pan Powała z Taczewa wyprosi mi u pana naszego pozwoleństwo, abym się mógł na ostre z tymi mnichami potykać. Pewnikiem wystąpią oni z giermkami, więc i tobie przyjdzie się spotkać.

— Jużbym też chyba sam mnichem ostał, gdyby miało być inaczej — rzekł Czech.

Zbyszko spojrzał na niego z zadowoleniem.

— No i nie będzie temu dobrze, który ci się pod żelaziwo nawinie. Pan Jezus dał ci siłę okrutną, ale źlebyś uczynił, gdybyś nią zbytnio puszył, albowiem prawemu giermkowi pokora przystoi.

Czech począł kiwać głową na znak, że siłą nie będzie puszył, ale jej też i na Niemców nie poskąpi — a Zbyszko uśmiechał się w dalszym ciągu, ale już nie do giermka, tylko do własnych myśli.

— Stary pan będzie rad, gdy wrócim — rzekł po chwili Głowacz — i w Zgorzelicach też będą radzi.

Zbyszkowi stanęła Jagienka tak w oczach, jakby przy nim siedziała na saniach. Bywało to zawsze, że gdy wypadkiem o niej pomyślał, to widział ją ogromnie wyraźnie...

„Nie! — rzekł sobie: — nie będzie ona rada, bo jeśli wrócę do Bogdańca, to z Danuśką, a ona niech bierze innego...” Tu mignęli mu przed oczyma: Wilk z Brzozowej i młody Cztan z Rogowa — i nagle uczyniło mu się przykro na myśl, że dziewczyna może pójść w ręce jednego z tych dwóch: „Wolejby lepszego jakiego znalazła — mówił sobie w duszy — bo to piwożłopy i kostery, a dziewka uczciwa jest”. Pomyślał też i o tem, że stryjowi, gdy się dowie, co zaszło, będzie okrutnie markotno, ale pocieszył się wraz z myślą, że Maćkowi chodziło zawsze w pierwszym rzędzie o ród i dostatki, które mogły znaczenie rodu podnieść. Jagienka była wprawdzie bliżej, bo o miedzę, ale za to Jurand większy był dziedzic od Zycha ze Zgorzelic, więc łatwo było przewidzieć, że Maćko nie będzie długo krzyw o taki związek, tem bardziej, że wiedział przecie o miłości bratanka i o tem, ile ów Danusi zawdzięcza.... Pomruczy, a potem będzie rad i pocznie Danuśkę miłować, jak własne dziecko!

I nagle serce w Zbyszku poruszyło się przywiązaniem i tęsknotą do tego stryjca, który był człowiek twardy, a przecie tak go kochał, jak źrenicę oka: w bitwach jego więcej strzegł niźli siebie, dla niego łup brał, dla niego zabiegał o majętność. Dwóch ich było oto samotników na świecie! — krewnych nawet nie mieli, chyba dalekich, jak opat — więc gdy bywało przyszło im się czasem rozłączyć, to jeden bez drugiego nie wiedział co począć, a zwłaszcza stary, który niczego już dla siebie nie pożądał.

— Hej! będzie rad, będzie rad! — powtarzał sobie Zbyszko — tegobym jeno chciał, żeby mnie i Jurand tak przyjął, jako on mnie przyjmie”.

I próbował sobie wyobrazić, co też powie i pocznie Jurand, gdy się o ślubie dowie. Było w tej myśli trochę niepokoju, ale niezbyt wiele, właśnie dlatego, że już klamka zapadła. Na bitkę nie wypadało przecie Jurandowi go wyzywać, gdyby zaś zbytnio się sprzeciwiał, to mógł mu Zbyszko odpowiedzieć tak: „Przystańcie, póki proszę, bo wasze prawo do Danuśki ludzkie, a moje Boskie — i nie wasza teraz ona, jeno moja”. Coś tam zasłyszał w swoim czasie od pewnego kleryka, biegłego w Piśmie, że niewiasta powinna porzucić ojca i matkę, a pójść za mężem — więc czuł, że przy nim większa moc. Nie spodziewał się jednak, by pomiędzy nim a Jurandem miało dojść aż do zaciętej niezgody i złości, liczył bowiem, że dużo wskórają prośby Danusi, a równie wiele, jeśli nie więcej, wstawiennictwo księcia, którego Jurand był podwładnym i księżny, którą miłował jako opiekunkę swego dziecka.

W Przasnyszu radzono im zostać na nocleg, ostrzegając ich przed wilkami, które z powodu mrozów pozbijały się w stada tak wielkie, że napadały nawet gromadnie jadących ludzi. Zbyszko jednak nie chciał na to zważać, albowiem, zdarzyło się, iż w gospodzie spotkali kilku rycerzy mazowieckich z pocztami, którzy też jechali do księcia do Ciechanowa i kilku zbrojnych kupców z samego Ciechanowa, prowadzących ładowne wozy z Prus. W tak wielkiej kupie nie było niebezpieczeństwa, więc ruszyli na noc, choć pod wieczór zerwał się nagle wiatr, nagnał chmur i poczęła się zadymka. Jechali, trzymając się jedni drugich, ale

tak wolno, iż Zbyszko począł myśleć, iż nie zdążą na wilię. W niektórych miejscach trzeba było rozkopywać zaspy, gdyż konie wcale nie mogły przejść. Szczęściem, droga leśna nie była błędna. Jednakże zmierzch już był na świecie, gdy dojrzeli Ciechanów.

Może nawet byliby jeździli wokół miasta wśród śnieżnych tumanów i poświstu wichrów, nie domyślając się, że są tuż, gdyby nie ognie, płonące na wzniesieniu, na którem budowano nowy zamek. Nikt już dobrze nie wiedział, czy w wigilję Bożego Narodzenia palono te ognie dla gości, czy dla jakiegoś starożytnego zwyczaju, ale też i nikt ze Zbyszkowych towarzyszów teraz o tem nie myślał — wszyscy bowiem chcieli znaleźć jak najprędzej ochronę w mieście.

Tymczasem zamieć zwiększała się coraz bardziej. Ostry i mroźny wiatr niósł niezmierne tumany śnieżne, targał drzewami, huczał, szalał, podrywał całe zaspy, podnosił je w górę, skręcał, rozpylał, przykrywał niemi wozy, konie, ciął po twarzach podróżników, jakby ostrym piaskiem tłumił im oddech w piersiach i mowę. Głosu kołatek przytwierdzonych do dyszlów nie było wcale słychać, natomiast w wyciu i poświście wichury odzywały się jakieś głosy żałosne, jakby wycie wilcze, jakby odległe rżenie koni, a czasem jakby pełne trwogi ludzkie wołanie o ratunek. Wyczerpane konie poczęły się spierać bokami o siebie i iść coraz wolniej.

— Hej, kurzawa też to, kurzawa! — rzekł zdyszanym głosem Czech: — szczęście, panie, żeśmy pod miastem i że owe ognie się palą, bo inaczej źleby było z nami.

— Kto w polu, temu śmierć — odrzekł Zbyszko — ale owo i ognia już nie widzę.

— Bo tuman taki, że i ogień nie prześwieci. A może rozmiotło drwa i węgle.

Na innych wozach rozmawiali także kupcy i rycerze, że kogo zamieć zdala od siedzib ludzkich ułapi, ten już dzwonów jutro nie usłyszy. Lecz Zbyszko zaniepokoił się nagle i rzekł:

— Nie daj Bóg, aby tam Jurand był gdzie w drodze.

Czech, lubo całkiem zajęty wypatrywaniem się w stronę ognisk, usłyszawszy słowa Zbyszka, odwrócił jednak głowę i zapytał:

— To pan ze Spychowa miał zjechać?

— Miał.

— Z panną?

— A ogień to ci na prawdę przysłoniło — odpowiedział Zbyszko.

I rzeczywiście płomień przygasł, ale natomiast na drodze tuż przy koniach i saniach zjawiło się kilku jeźdźców.

— A czego nastepujesz? — zawołał czujny Czech, chwytając kusze: — Kto wy?

— Ludzie książęcy, wysłani w pomoc podróżnym.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus?

— Na wieki wieków.

— Prowadźcie do miasta! — ozwał się Zbyszko.

— Czy nikt z was nie ostał?

— Nikt.

— Skąd jedziecie?

— Od Przasnysza.

— A więcej podróżnych nie widzieliście po drodze?

— Nie widzieliśmy. Ale może znajdą się na innych gościńcach.

— Na wszystkich ludzie szukają. Jedźcie za nami. Zjechaliście z drogi! W prawo!

I zawrócili konie. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru.

— Siła gości w starym zamku? — spytał po chwili Zbyszko.

Najbliższy jeździec, nie dosłyszawszy, pochylił się ku niemu:

— Jako zaś mówicie, Panie?

— Pytam, czy siła gości u księstwa?

— Po staremu: jest dość!

— A dziedzica ze Spychowa niema?

— Niema, ale go czekają. Pojechali też ludzie naprzeciw.

— Z kagankami?

— Gdzieby tam wiater pozwolił?

Lecz dalej nie mogli rozmawiać, bo szum zamieci wzmógł się jeszcze.

— Czyste djabelskie wesele! — ozwał się Czech.

Zbyszko jednak kazał mu milczeć i paskudnego imienia nie wywoływać.

— Nie wiesz to — rzekł — że w takie święta djabelska moc truchleje i że djabły w przeręble się chowają? Jednego raz pod Sandomierzem rybacy przed wilią w niewodzie znaleźli: trzymał szczupaka w pysku, ale, jak go głos dzwonów doszedł, zaraz omdlał, oni zasie kijami go tłukli aż do wieczerzy. Juści wichura tęgo jest, ale to z Pana Jezusowego pozwoleństwa, który widać chce, żeby jutrzejszy dzień był tem radośniejszy.

— Ba! Byliśmy tuż pod miastem, a wszelako, gdyby nie ci ludzie, jeździlibyśmy może i do północka, gdyż jużeśmy z drogi zjechali — odpowiedział Głowacz.

— Bo ogień przygasł.

Tymczasem wjechali jednak rzeczywiście do miasta. Zaspy śniegowe leżały tam w ulicach jeszcze większe, tak wielkie, że w wielu miejscach zakrywały niemal okna, z którego to powodu, błądząc za miastem, nie mogli dojrzeć świateł. Ale natomiast wicher mniej tu dawał się we znaki. Na ulicach były pustki, mieszczanie siedzieli już przy wilii. Przed niektórymi domami chłopcy z jasełczkami i z kozą śpiewali, mimo zamieci, kolędy. Na rynku też było widać ludzi poowijanych w grochowiny i udających niedźwiedzi, ale wogóle było pusto. Kupcy, którzy towarzyszyli Zbyszkowi i innej szlachcie w drodze, zostali w mieście, owi zaś jechali dalej do starego zamku, w którym mieszkał książę i który, mając już szyby szklane, zajaśniał przed nimi wesoło, mimo zawiei, gdy podjechali bliżej.

Zwodzony most na rowie był spuszczony, gdyż dawne czasy litewskich napadów minęły, a Krzyżacy, przewidując wojnę z królem polskim, sami szukali przyjaźni księcia mazowieckiego. Jeden z ludzi książęcych zadął w róg i wnet otworzono bramę. Było przy niej kilku-

nastu łuczników, ale na murach i blankach ani żywej duszy, gdyż książę pozwolił strażom zejść. Naprzeciw gości wyszedł stary Mrokota, który już był przyjechał przed dwoma dniami i powitawszy ich w imieniu księcia, zaprowadził do izb, w których mogli się przybrać godnie do stołu.

Zbyszko począł go zaraz wypytywać o Juranda ze Spychowa, ów zaś odrzekł, że go niema, ale się go spodziewają, gdyż obiecał przecie przyjechać, a gdyby był zachorzał mocniej, to dałby znać. Wysłali jednak naprzeciw kilkunastu jeźdźców, bo takiej zawiei najstarsi ludzie nie pamiętają.

— To może niezadługo tu będą.

— Wiera, że niezadługo. Księżna kazała postawić dla nich miski przy wspólnym stole.

Więc Zbyszko, choć zawsze strach mu było trochę Juranda, uradował się w sercu i mówił sobie: „Choćby też nie wiem co czynił, tego nie odrobi, że to żona moja przyjeżdża, moja niewiasta, moja Danuśka najmilsza!" I gdy sobie to powtarzał, ledwie własnemu szczęściu mógł uwierzyć. Poczem pomyślał, że może mu tam już wszystko wyznała, może go przejednała i uprosiła, żeby ją zaraz oddał. „Po prawdzie, to i cóż ma lepszego do zrobienia? Jurand jest chłop mądry i wie, że choćby mi jej bronił, to ją i tak wezmę, bo moje prawo mocniejsze".

Tymczasem, przybierając się, rozmawiał z Mrokotą, wypytując o zdrowie księcia, a szczególnie księżny, którą jeszcze od bytności w Krakowie pokochał jak matkę. Rad też był, dowiedziawszy się, że w zamku wszyscy zdrowi i weseli, chociaż księżna wielce po swojej milej śpiewaczce tęskniła. Grywa jej teraz na lutence Jagienka, którą księżna dość lubi, ale już nie tak.

— Jaka Jagienka? — spytał ze zdwiwieniem Zbyszko.

— Jagienka z Wielgolasu, wnuczka starego pana z Wielgolasu. Gładka dziewka, w której się ów Lotaryńczyk rozkochał.

— To pan de Lorche tu jest?

— Gdzieby miał być? Przecie z leśnego dworca tu przyjechał i siedzi, bo mu dobrze. Nie brak naszemu księciu nigdy gości.

— Rad go obaczę, bo to rycerz, któremu w niczem nie przyganić.

— I on też was miłuje. Ale już chodźmy, gdyż księstwo wraz do stołu zasiędą.

I poszli. W sali stołowej w dwóch kominach paliły się wielkie ognie, nad któremi czuwali pachołkowie i roiło się już od gości i dworzan. Książę wszedł pierwszy w towarzystwie wojewody i kilku przybocznych. Zbyszko pochylił mu się do kolan, a następnie ucałował jego rękę.

On zaś ścisnął go za głowę, a następnie, odwiódłszy go nieco na stronę, rzekł:

— Juści o wszystkiem wiem. Mruczno mi było z początku, żeście to bez mego pozwoleństwa uczynili, ale po prawdzie nie było czasu, bom ja w oną porę był w Warszawie, gdzie i święta chciałem prze-

pędzić. Wiadoma wreszcie rzecz, iż jak się niewiasta czego chyci, to się i nie przeciw, bo i nic nie wskóra sz. Księżna pani wam życzy jako matka, a i ja zawdy wolę jej dogodzić, niż się przeciwić, z takowej przyczyny, aby zaś smutku i płakania jej oszczędzić.

Zbyszko pochylił się po raz wtóry do kolan książęcych.

— Daj Bóg waszej książęcej miłości odsłużyć.

— Chwalić Jego imię, żeś już zdrów. Powiedzże księżnie, jakom cię życzliwie przyjął, to się niewiasta ucieszy. Boga mi! Jej uciecha! — moja uciecha! Jurandowi za tobą dobre słowo też rzeknę i tak myślę, że pozwoleństwo da, bo on też księżnę miłuje.

— Choćby i nie chciał dać, to moje prawo pierwsze.

— Twoje prawo pierwsze i musi się zgodzić, ale błogosławieństwa może wam umknąć. Przemocą mu tego nikt nie wydrze, a bez rodzicielskiego błogosławieństwa niemasz i Boskiego.

Zatroskał się Zbyszko, usłyszawszy te słowa, gdyż dotąd o tem nie pomyślał. W tej chwili jednak weszła księżna z Jagienkę z Wielgolasu i z innemi dworkami, więc skoczył pokłonić się pani, ona zaś powitała go jeszcze łaskawiej od księcia i zaraz poczęła mu mówić o spodziewanym przyjeździe Juranda. Oto misy dla nich zastawione, a ludzie wysłani, by ich przeprowadzić wśród zamieci. Z wieczerzą wigilijną już dłużej czekać nie podobna, bo „pan" tego nie lubi, ale oni pewnie zjadą, nim wieczerza się skończy.

— Co do Juranda — mówiła księżna — będzie wedle natchnienia Bożego. Albo mu powiem dziś wszystko, albo jutro po pasterce, a książę też przyobiecał, że swoje słowo dołoży. Zawzięty bywa Jurand, ale nie dla tych, których miłuje i nie dla tych, którym powinien.

Tu poczęła mówić Zbyszkowi, jak się ma z teściem zachować, by go, broń Boże, nie urazić i do zawziętości nie przywieść. Była wogóle dobrej myśli, ale ktoby lepiej znał świat i patrzał bystrzej od Zbyszka, ten zauważyłby w słowach jej pewien niepokój. Może było tak dlatego, że pan ze Spychowa nie był wogóle człowiek łatwy, a może też poczęła się księżna trwożyć nieco tem, że ich tak długo nie było widać. Wieja stawała się na dworze coraz okrutniejsza, i wszyscy mówili, że kogo w szczerem polu złapie, ten może i zostać; księżnie jednakże przychodziło do głowy i inne przypuszczenie: mianowicie, że Danuśka wyznała ojcu, iż jest już ślubem ze Zbyszkiem połączona, a ów, obraziwszy się, postanowił wcale do Ciechanowa nie przyjeżdżać. Nie chciała jednak pani zwierzyć się Zbyszkowi z tych myśli, a nawet nie było na to i czasu, gdyż pachołcy poczęli wnosić jadło i zastawiać je na stole. Zdążył wszelako Zbyszko podjąć ją jeszcze pod nogi i zapytać:

— A jeśli przyjadą, to jakże będzie, miłościwa pani? Mówił mi Mrokota, że dla Juranda jest osobna izba, gdzie też i dla giermków znajdzie się siano na posłanie. Ale jakoże będzie?...

A księżna poczęła się śmiać i uderzywszy go zlekka rękawicą po twarzy, rzekła:

— Cichaj! Czegóż? Widzicie go!

I odeszła ku księciu, przed którym rękodajni wysunęli już krzesło, aby mógł na niem zasiąść. Przedtem jednak, jeden z nich podał mu

płaską misę, pełną cienko pokrajanego placka i opłatków, któremi książę miał się dzielić z gośćmi, dworzany i służbą. Drugą podobną trzymał dla księżny piękny wyrostek, syn kasztelana sochaczewskiego. Po przeciwnej stronie stołu stał ksiądz Wyszoniek, który miał błogosławić ustawioną na pachnącem sianie wieczerzę. A wtem we drzwiach ukazał się człowiek pokryty śniegiem i począł wołać głośno:

— Miłościwy panie!

— Czego? — rzekł książę, nie rad, iż mu przerywają obrządek.

— Na Radzanowskim gościńcu całkiem przysypało jakichś podróżnych. Ludzi nam trzeba więcej, by ich odgrześć.

Zlękli się, usłyszawszy to wszyscy, zatrwożył się książę i zwróciwszy się do kasztelana sochaczewskiego, zakrzyknął:

— Konnych z łopatami, żywo.

Poczem do zwiastuna nowiny:

— Wiela przysypanych?

— Nie moglim zmiarkować. Dmie okrutnie. Są konie i wozy. Znaczny poczet.

— Nie wiecie, czyj zaś?

— Ludzie mówią: dziedzica ze Spychowa.

26

Zbyszko, usłyszawszy nieszczęsną nowinę, nie pytając nawet o pozwolenie księcia, skoczył do stajen i kazał konie siodłać. Czech, który jako szlachetnie urodzony giermek znajdował się z nim na sali, zaledwo zdołał wrócić do izby i przynieść ciepłą lisiurę; nie próbował jednakże młodego pana wstrzymywać, gdyż mając z przyrodzenia rozum tęgi, wiedział, że wstrzymywać na nic się nie przyda, a mitręga może okazać się zgubną. Siadłszy na drugiego konia, pochwycił jeszcze w bramie od odźwiernego kilka pochodni i wnet ruszyli razem z książęcymi ludźmi, których wartko sprawił stary kasztelan. Za bramą ogarnęły ich nieprzebite ciemności, ale wichura wydawała się im mniejsza. Byliby może zaraz za miastem zbłądzili, gdyby nie ów człowiek, który pierwszy dał znać o wypadku, a który teraz prowadził ich tem szybciej i pewniej, że miał przy sobie psa, już poprzednio z drogą obeznanego. Na otwartem polu wicher począł znowu siec ich ostro po twarzach, głównie jednak dlatego, że jechali w cwał. Gościniec był kopny, miejscami zaś tak zawiany, że trzeba było zwalniać, gdyż konie zapadały po brzuchy. Ludzie książęcy pozapalali pochodnie, kaganki, i jechali wśród dymu i płomieni, w które wiatr dął z taką siłą, jakby je chciał oderwać od smolnych szczap i ponieść na pola i bory. Droga była daleka — minęli osady bliższe Ciechanowa, a następnie Niedzborz, poczem skierowali się w stronę Radzanowa. Za Niedzborzem burza poczęła jednak uciszać się rzeczywiście. Uderzenia wichru stały się słabsze i nie niosły już w sobie całych tumanów śnieżnych. Niebo pojaśniało. Z góry sypał czas jakiś śnieg, ale

wkrótce ustał. Potem, tu i owdzie, w szczelinach chmur błysnęła gwiazda. Konie poczęły parskać — jeźdźcy odetchnęli swobodniej. Gwiazd przybywało z każdą chwilą i brał mróz. Po upływie kilku pacierzy uciszyło się zupełnie.

Pan de Lorche, który jechał obok Zbyszka, jął go pocieszać, mówiąc, że niezawodnie Jurand w chwili niebezpieczeństwa myślał przedewszystkiem o ocaleniu córki i że choćby wszystkich odkopali zmarłych, ją znajdą niezawodnie żywą, a może i śpiącą pod skórami. Ale Zbyszko mało go rozumiał, a wreszcie nie miał i czasu go słuchać, gdyż po niejakiej chwili, przewodnik, jadący na przedzie, skręcił z gościńca.

Młody rycerz wysunął się naprzód i począł pytać:

— Czemu zbaczamy?

— Bo ich nie na gościńcu zasypało, jeno tam hen! Widzicie, panie, ten olszniak?

To rzekłszy, ukazał ręką ciemniejące w dali zarośla, które można było dojrzeć na białej płaszczyźnie śniegowej, gdyż chmury odsłoniły tarczę księżyca i noc stała się widna.

— Widać zjechali z gościńca.

— Zjechali z gościńca i jeździli w kółko wedle rzeki. W czasie wiei i zadymki łatwo się taka rzecz przygodzi. Jeździli i jeździli, póki konie nie ustały.

— Jakożeście ich znaleźli?

— Pies doprowadził.

— W pobliżu niema jakich chat?

— Są, ale po tamtej stronie rzeki. Tu zaraz Wkra.

— W konie! — zawołał Zbyszko.

Ale rozkazać było łatwiej, niż rozkaz wykonać, bo jakkolwiek brał ostry mróz, na łące jednak leżał śnieg niezamarzły jeszcze, sypki, świeżo nawiany i głęboki, w którym konie zapadały wyżej kolan; musieli więc posuwać się zwolna. Nagle doszło ich szczekanie psa, wprost zaś przed nimi zamajaczył gruby i garbaty pień wierzby, nad którym połyskiwała w świetle księżycia korona bezlistnych prętów.

— Tamci są dalej — rzekł przewodnik — w pobliżu olszniaka; ale i tu coś musi być.

— Jest zaspa pod wierzbą. Poświećcie!

Kilku ludzi książęcych zsiadło z koni i poczęło świecić pochodniami, poczem zaraz jeden zawołał:

— Człowiek pod śniegiem! Widać głowę, ot tu!

— Jest i koń! — zawołał zaraz drugi.

— Odkopać!

Łopaty poczęły zanurzać się w śnieg i odrzucać go na obie strony.

Po chwili ujrzano siedzącą pod drzewem postać ludzką, ze schyloną na piersi głową i czapką głęboko zasuniętą na twarz. Jedna ręka trzymała lejce konia, który leżał obok z nozdrzami zarytemi w śnieg. Widocznie człowiek odjechał od orszaku, może dlatego, by dostać się prędzej do mieszkań ludzkich i sprowadzić pomoc, a gdy koń mu padł,

wówczas schronił się pod wierzbę po stronie przeciwnej od wiatru — i tam skrzepł.

— Poświeć! — zawołał Zbyszko.

Pachołek przysunął pochodnię do twarzy zmarzłego, ale rysów trudno było zrazu rozeznać. Dopiero, gdy drugi pachoł uniósł pochyloną głowę do góry, ze wszystkich piersi wyrwał się jeden okrzyk:

— Pan ze Spychowa!

Zbyszko kazał go porwać dwom ludziom i ratować w najbliższej chacie, sam zaś, nie tracąc chwili, skoczył wraz z pozostałą służbą i przewodnikiem na ratunek reszty orszaku. Po drodze myślał, że tam znajdzie Danuśkę, żonę swoją, może nieżywą — i wypierał ostatni dech z konia, który buchał się w śniegu po piersi. Szczęściem, nie było już daleko — najwyżej kilka stajań. Z ciemności ozwały się głosy: „Bywaj!” — ludzi, którzy poprzednio zostali przy zasypanych. Zbyszko dopadł i zeskoczył z konia:

— Do kopat!

Dwoje sani było już odkopanych przez tych, którzy pozostali na straży. Konie i ludzie w nich zmarzli bez ratunku. Gdzie są inne zaprzęgi, można było poznać po pagórkach śnieżnych, chociaż nie wszystkie sanie były całkiem pokryte. Przy niektórych widać było konie, brzuchami wsparte o zaspy, rwące się jakby do biegu, zakrzepłe w ostatniem wysileniu. Przed jedną parą stał człowiek z dzidą w ręku, zanurzony po pas w śniegu, nieruchomy jak słup; w dalszych pachołkowie pomarli przy koniach, trzymając je przy pysku. Śmierć ich zaskoczyła widocznie w chwili, gdy chcieli wydobywać konie ze śnieżystych zawałów. Jeden zaprząg na samym końcu orszaku całkiem był nieprzysypany. Woźnica siedział skulony na przedzie z rękoma przy uszach, zaś w tyle leżało dwóch ludzi: długie rzuty śniegowe, nawiane wpoprzek ich piersi, łączyły się z zaspą, leżącą obok i przykrywały ich jak pościel, a oni zdawali się spać cicho i spokojnie. Lecz inni poginęli, walcząc do ostatka z zawieją, albowiem skrzepli w postawach pełnych wysilenia. Kilka sań było wywróconych; u niektórych połamane dyszle. Łopaty odkrywały co chwila grzbiety końskie, wyprężone jak łuki, lub łby, wbite zębami w śnieg, ludzi w saniach i obok sań — lecz na żadnych nie znaleziono niewiast. Zbyszko chwilami pracował łopatą, aż pot zlewał mu czoło; chwilami świecił w oczy trupom, z bijącem sercem, czy nie ujrzy między nimi kochanej twarzy — wszystko napróżno! Płomień oświecał tylko groźne wąsate twarze Spychowskich zabijaków — ni Danusi, ni żadnej innej niewiasty nie było nigdzie.

— Co to jest? — pytał się siebie ze zdumieniem młody rycerz.

I wołał na ludzi pracujących opodal, pytając, czy czego nie odkryli; lecz ci odkrywali samych mężów. Wreszcie robota była skończona. Pachołkowie pozaprzęgali do sani własne konie i siadłszy na kozły, ruszyli z trupami ku Niedzborzu, by tam w ciepłym dworze próbować jeszcze, czyli którego ze zmarłych nie będzie można przywrócić do życia. Zbyszko z Czechem i dwoma ludźmi pozostał. Na myśl mu przyszło, że może sanie z Danusią odłączyły się od orszaku, może Jurand, jeśli, jak należało się spodziewać, zaprzężone były

w konie najlepsze, kazał im jechać naprzód, a może zostawił je gdzie przy chacie po drodze. Zbyszko sam nie wiedział co ma począć; w każdym razie chciał przepatrzyć pobliskie zaspy, olszniak, a potem nawrócić i szukać po gościńcu.

Ale w zaspach nie znaleziono nic. W olszniaku błysnęły im jeno kilkakroć świeczki wilcze, nigdzie jednak nie trafili na ślady ludzi i koni. Łąka między olszniakiem a gościńcem lśniła się teraz w blasku księżyca i na białej, smutnej jej powierzchni widać było wprawdzie zdala tu i owdzie kilka ciemniejszych plam, ale były to także wilki, które za zbliżeniem się ludzi poczynały szybko umykać.

— Wasza miłość! — rzekł wreszcie Czech: — próżno tu jeździm i szukamy, bo panny ze Spychowa nie było w orszaku.

— Na gościniec! — odpowiedział Zbyszko.

— Nie znajdziem i na gościńcu. Patrzałem ja dobrze, czy na których saniach nie było jakowych łubów, a w nich białogłowskich przyodziewków. Nie było nic. Panna ostała w Spychowie.

Zbyszka uderzyła trafność tej uwagi, więc odrzekł:

— Daj Bóg, aby tak było, jako mówisz.

A Czech poszedł jeszcze głębiej po rozum do głowy.

— Gdyby była gdzie w saniach, starszy pan nie byłby od niej odjechał, albo odjeżdżając, wziąłby ją przed siebie na koń i bylibyśmy ją przy nim znaleźli.

— Jedźmy tam jeszcze raz — rzekł Zbyszko zaniepokojonym głosem.

Na myśl bowiem przyszło mu, że może i było tak, jak mówił Czech. Nuż nie szukali dość starannie! Nuż Jurand wziął przed siebie na konia Danusię, a potem, gdy koń padł, Danusia odeszła od ojca, chcąc znaleźć dla niego jakowąś pomoc. W takim razie mogła znajdować się gdzie pod śniegiem w pobliżu.

Ale Głowacz, jakby odgadłszy te myśli, powtórzył:

— W takim razie znalazłby się na saniach przyodziewek, boć nie jechałaby na dwór jeno w tych szatach, które na sobie miała.

Mimo tej słusznej uwagi, pojechali jednakże pod wierzbę — ale ni pod nią, ni na staje wokoło nie znaleźli nic. Juranda już byli zabrali ludzie książęcy do Niedzborza i wokół było pusto zupełnie. Czech zauważył jeszcze, że pies, który biegł przy przewodniku i który znalazł Juranda, byłby znalazł i panienkę. Wówczas Zbyszko odetchnął, nabrał bowiem niemal pewności, że Danusia została w domu. Umiał nawet zdać sobie sprawę, dlaczego się tak stało; oto Danusia widocznie wyznała wszystko ojcu, ów zaś, nie zgodziwszy się na małżeństwo, umyślnie ostawił ją w domu, sam zaś przyjechał wytoczyć sprawę przed księcia i szukać jego wstawiennictwa do biskupa. Na tę myśl Zbyszko nie mógł oprzeć się uczuciu pewnej ulgi, a nawet i radości, gdyż zrozumiał, że ze śmiercią Juranda znikły wszelkie przeszkody. „Jurand nie chciał, ale Pan Jezus chciał — rzekł sobie młody rycerz — i wola Boska zawsze mocniejsza". Teraz jechać mu tylko do Spychowa i brać Danuśkę, jak swoją, a potem jeno ślub

spełnić, który też na samem pograniczu łatwiejszy był do spełnienia, niż w dalekim Bogdańcu. „Wola Boska! wola Boska! — powtarzał sobie w duszy. Nagle jednak zawstydził się tej prędkiej radości i zwróciwszy się do Czecha, rzekł:

— Juści mi go żal i głośno to przyświadczam.

— Ludzie mówili, że Niemcy bały się go jak śmierci — odrzekł giermek.

Po chwili zaś zapytał:

— Wrócim teraz do zamku?

— Przez Niedzborz — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż wstąpili do Niedzborza i zajechali przede dwór, w którym przyjął ich stary dziedzic Zelech. Juranda już nie znaleźli, lecz Zelech powiedział im dobrą nowinę:

— Tarli go tu śniegiem ledwie nie do kości — rzekł — i wino mu wlewali w gębę, a potem parzyli go w łaźni, gdzie też począł i dychać.

— Żyje? — zapytał z radością Zbyszko, który na tę wieść zapomniał o swoich własnych sprawach.

— Żyje, ale czy wyżyje, Bóg wie, bo dusza nie rada z pół drogi wracać.

— Czemu zaś go powieźli?

— Bo przysłali od księcia. Co było pierzyn w domu, to go niemi przykryli i powieźli.

— A nie powiadał o córze nic.

— Ledwie, że zaczął dychać: mowy nie odzyskał.

— A inni?

— A inni u Boga już za piecem. Nie będą niebożęta na pasterce, chyba na tej, którą sam Pan Jezus w niebie odprawi.

— Żaden nie ożył?

— Żaden. Chodźcie do izby, miast w sieni rozmawiać. A jeśli chcecie ich widzieć, to leżą wedle ognia w czeladnej. Chodźcie do izby.

Lecz oni spieszyli się i nie chcieli wejść, choć stary Zelech ciągnął ich, bo rad łapał ludzi, aby z nimi „ugwarzyć". Mieli jeszcze z Niedzborza do Ciechanowa szmat drogi i Zbyszka paliło jak ogniem, by co prędzej zobaczyć Juranda i czegoś się od niego dowiedzieć.

Jechali więc jak mogli spiesznie po zawianym gościńcu. Gdy przyjechali, było już po północy i pasterka kończyła się właśnie w zamkowej kaplicy. Do uszu Zbyszka doszedł ryk wołów i beczenie kóz, które to głosy udawali wedle starego zwyczaju pobożni, na pamiątkę tego, że Pan urodził się w stajence. Po mszy przyszła do Zbyszka księżna z twarzą stroskaną, pełną przestrachu i poczęła wypytywać:

— A Danuśka?

— Niemasz jej. Zali Jurand nie przemówił, bo jako słyszałem, żyje?

— Jezusie miłosierny!... Kara to boska i gorze nam! Nie przemówił Jurand i leży jak drewno.

— Nie bójcie się miłościwa pani. Danuśka ostała w Spychowie.

— Skąd wiesz?

— Bo w żadnych saniach ni śladu przyodziewku. Nie byłby ci jej przecie wiózł w jednej kożusznię.

— Prawda, jak mi Bóg miły!

I wnet oczy poczęły jej błyskać radością, a po chwili zawołała:

— Hej Jezusiczku, coś się dziś narodził, nie gniew widać Twój, jeno błogosławieństwo jest nad nami.

Zastanowiło ją jednak przybycie Juranda bez dziewczyny, więc pytała dalej:

— Czemuby zaś miał ją ostawiać?

Zbyszko wyłuszczył jej swoje domysły. Wydały się jej one słuszne, ale nie przejmowały jej zbytnią obawą.

— Będzie nam teraz Jurand życie zawdzięczał — rzekła — a po prawdzie, to i tobie, boś i ty jeździł go odgrzebywać. Jużby też kamień chyba w piersi miał, żeby się dłużej upierał! Jest też w tem dla niego i przestroga Boska, by z Sakramentem świętym nie wojował. Jak tylko się obaczy a przemówi, zaraz mu to powiem.

— Trzeba, żeby się pierwej obaczył, gdyż jeszcze nie wiadomo, dlaczego Danuśki nie wziął. A nuż chora?

— Nie powiadaj byle czego! I tak mi markotno, że jej niema. Żeby była chora, toby jej nie odjechał!

— Prawda! — rzekł Zbyszko.

I poszli do Juranda. W izbie gorąco było jak w łaźni i widno zupełnie, gdyż na kominie paliły się ogromne kłody sosnowe. Ksiądz Wyszoniek czuwał nad chorym, który leżał na łożu pod niedźwiedziemi skórami, z twarzą bladą, z polepionymi od potu włosami i zamkniętemi oczyma. Usta miał otwarte i robił piersiami, jakby z trudem, ale tak silnie, że aż skóry, któremi był nakryty, podnosiły się i opadały od oddechu.

— Jakoże jest? — spytała księżna.

— Wlałem mu dzbaniec grzanego wina w gębę — odrzekł ksiądz Wyszoniek — i poty na niego przyszły.

— Śpi czy nie śpi?

— Może i nie śpi, bo bokami okrutnie robi.

— A próbowaliście do niego gadać?

— Próbowałem, ale nie odpowiada nic i tak myślę, że przed świtaniem nie przemówi.

— Będziem czekać świtania — rzekła księżna.

Ksiądz Wyszoniek jął nalegać, by udała się na spoczynek, ale nie chciała go słuchać. Chodziło jej zawsze i we wszystkiem o to, by dorównać w cnotach chrześcijańskich, a zatem i w doglądaniu chorych, zmarłej królowej Jadwidze i odkupić swemi zasługami duszę ojca; nie pomijała więc żadnej sposobności, by w chrześcijańskim od wieków kraju okazać się gorliwszą od innych i tem zatrzeć pamięć, że urodziła się w pogaństwie.

A oprócz tego paliła ją chęć, by dowiedzieć się czegoś z ust Juranda o Danusi, nie była bowiem zupełnie o nią spokojna. Siadłszy

więc przy jego łożu, poczęła odmawiać różaniec, a naſtępnie i drzemać. Zbyſzko, który nie był jeſzcze zupełnie zdrów, a w dodatku ſtrudził ſię nad miarę jazdą nocną, poſzedł wkrótce za jej przykładem i po upływie godziny poſnęli oboje tak mocno, że byliby może doſpali do białego dnia, gdyby nie to, że o świtaniu obudził ich głos dzwonka w zamkowej kaplicy.

Ale głos ów rozbudził i Juranda, który otworzył oczy, ſiadł nagle na łożu i jął rozglądać ſię wokół, mrugając przytem oczyma.

— Pochwalony Jezus Chryſtus!... Jakoże wam? — rzekła kſiężna.

Lecz on widocznie nie oprzytomniał jeſzcze, gdyż patrzał na nią, jakby jej nie poznawał i po chwili zawołał:

— Bywaj! bywaj! rozkopać zaſpę!

— W imię Boże: jużeście w Ciechanowie! — ozwała ſię znów pani.

Jurand zaś zmarſzczył czoło, jak człowiek, który z trudem zbiera myśli i odrzekł:

— Ciechanowie?... Dziecko czeka i... kſięſtwo... Danuśka! Danuśka!...

I nagle, zamknąwſzy oczy, upadł znów na wezgłowie. Zbyſzko i kſiężna zlękli ſię czy nie umarł, lecz w tej ſamej chwili pierſi jego poczęły ſię poruſzać głębokim oddechem, jak u człowieka, którego pochwycił twardy ſen.

Ojciec Wyſzoniek przyłożył palec do uſt i dał znak ręką, by go nie budzić, poczem ſzepnął:

— Może tak prześpi cały dzień.

— Tak, ale co on mówił? — zapytała kſiężna.

— Mówił, że dziecko czeka w Ciechanowie .— odpowiedział Zbyſzko.

— Bo ſię nie opamiętał — objaśnił kſiądz.

27.

Ojciec Wyſzoniek obawiał ſię nawet, czy i po powtórnem rozbudzeniu nie chwyci Juranda dur i nie odejmie mu na długo przytomności. Tymczaſem obiecał kſiężnie i Zbyſzkowi, że im da znać, gdy ſtary rycerz przemówi, a po ich odejściu ſam udał ſię na ſpoczynek. Jakoż Jurand rozbudził ſię dopiero w drugie święto przed ſamem południem, ale za to zupełnie przytomny. Kſiężna i Zbyſzko byli przytem obecni, więc on, ſiadłſzy na łożu, ſpojrzał na nią, poznał i rzekł:

— Miłościwa Pani... Dla Boga, tom ja w Ciechanowie?

— I przeſpaliście święto — odrzekła pani.

— Śniegi mnie przyſypały. Kto mnie zratował?

— Ten rycerz: Zbyſzko z Bogdańca. Pamiętacie, w Krakowie...

A Jurand popatrzał chwilę ſwojem zdrowem okiem na młodzieńca i rzekł:

— Pamiętam... A gdzie Danuśka?

— Nie jechała przecie z wami? — spytała z niepokojem księżna.

— Jakże miała ze mną jechać, kiedy to ja do niej jechał?

Zbyszko i księżna spojrzeli po sobie, w mniemaniu, że to jeszcze gorączka mówi przez usta Jurandowe, poczem pani rzekła:

— Ocknijcie się, na miły Bóg! Nie było-li z wami dziewczyny?

— Dziewczyny? Ze mną? — spytał ze zdumieniem Jurand.

— Bo wasi ludzie poginęli, ale jej między nimi nie znaleźli. Czemuście ją ostawili w Spychowie?

Ów zaś powtórzył jeszcze raz, ale już z trwogą w głosie:

— W Spychowie? Toć ona przy Was, Miłościwa Pani, nie przy mnie!

— Przecie przysłaliście po nią do leśnego dworca ludzi i pismo!

— W imię Ojca i Syna! — odpowiedział Jurand. — Zgoła po nią nie posyłałem.

Wówczas księżna przybladła nagle:

— Co to jest? — rzekła: — zali wyście pewni, że przytomnie mówicie?

— Na miłosierdzie Boskie, gdzie dziecko? — zawołał, zrywając się, Jurand.

Ojciec Wyszoniek, usłyszawszy to, wyszedł pospiesznie z izby, a księżna mówiła dalej:

— Słuchajcie: Przybył poczet zbrojny i pisanie od was do leśnego dworca po Danuśkę. W piśmie było, że was belki w pożarze przytłukły... żeście nawpół oślepli i że chcecie dziecko widzieć... Wzięli Danuśkę i pojechali...

— Gorze! — zawołał Jurand. — Jako Bóg na niebie, tak ni ognia nijakiego w Spychowie nie było, ni ja po nią nie posyłałem!

A wtem wrócił ksiądz Wyszoniek z listem, który podał Jurandowi i zapytał:

— Nie waszego to księdza pisanie?

— Nie wiem.

— A pieczęć?

— Pieczęć moja. Co w piśmie stoi?

Ojciec Wyszoniek odczytał pismo, Jurand słuchał, chwytając się za włosy, poczem rzekł:

— Pismo zmyślone!... pieczęć udana! Gorze duszy mojej! Chwycili mi dziecko i zatracą!

— Kto?

— Krzyżaki!

— Rany Boskie! Księciu trzeba oznajmić! Niech posłów śle do Mistrza! — zawołała pani. — Jezu miłosierny, ratujże ją i wspomagaj!...

I to rzekłszy, wybiegła z krzykiem z izby. Jurand wyskoczył z łoża i począł gorączkowo wciągać szaty na swój olbrzymi grzbiet. Zbyszko siedział jak skamieniały, ale po chwili zaciśnięte zęby jego poczęły zgrzytać złowrogo.

— Skąd wiecie, że Krzyżaki ją porwały? — zapytał ksiądz Wyszoniek.

— Na Mękę Bożą przysięgnę!

— Czekajcie!... Może być. Przejeżdżali skarżyć się na was do leśnego dworca... Chcieli pomsty na was...

— I oni ją porwali! — zawołał nagle Zbyszko.

To rzekłszy, wybiegł z izby i poskoczywszy do stajen, kazał zaprzęgać wozy i konie siodłać, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego to czyni. Rozumiał tylko, że trzeba iść na ratunek Danusi — i to zaraz — i aż do Prus — i tam wyrwać ją z wrogich rąk, albo zginąć.

Poczem wrócił do komnaty, by powiedzieć Jurandowi, że oręż i konie zaraz będą gotowe. Był pewien, że i Jurand z nim pojedzie. W sercu wrzał mu gniew, ból i żal — ale jednocześnie nie tracił nadziei, zdawało mu się bowiem, że we dwóch z groźnym rycerzem ze Spychowa potrafią wszystkiego dokazać — i że mogą się porwać choćby na całą potęgę krzyżacką.

W izbie, prócz Juranda, ojca Wyszońka i pani, zastał także księcia i pana de Lorche, oraz starego pana z Długolasu, którego książę, dowiedziawszy się o sprawie, wezwał także na naradę, a to dla jego rozumu i doskonałej znajomości Krzyżaków, u których przesiedział długie lata w niewoli.

— Potrzeba poczynać roztropnie, by zaś zapalczywością nie zgrzeszyć i dziewki nie zgubić — mówił pan z Długolasu. — Mistrzowi należy się zaraz poskarżyć i jeśli W. Ks. Mość da do niego pisanie, to ja pojadę.

— Pisanie dam i wy z niem pojedziecie — rzekł książę. — Nie damy dziecku zginąć tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż. Mistrz boi się wojny z królem polskim i chodzi mu o to, by sobie i Semka, brata mego i mnie zjednać... Już-ci nie z jego rozkazania ją porwano — i nakaże ją oddać.

— A jeśli z jego rozkazania? — spytał ksiądz Wyszoniek.

— Chociaż to Krzyżak, więcej w nim uczciwości niż w innych — odrzekł książę — i jakom wam rzekł, prędzejby on mi teraz chciał wygodzić, niż mnie rozgniewać. Potęga Jagiełłowa nie śmiech... Hej! zalewali oni nam sadła za skórę, póki mogli, ale ninie obaczyli się, że jak jeszcze i my Mazury pomożem Jagielle, to będzie źle...

Lecz pan z Długolasu począł mówić:

— Prawda jest. Krzyżaki po próżnicy niczego nie czynią; to też tak miarkuję, że jeśli dziewkę porwali to jeno dlatego, by Jurandowi miecz z rąk wytrącić i alibo wykup wziąć, alibo ją wymienić.

Tu zwrócił się do pana ze Spychowa.

— Kogo macie teraz jeńców?

— De Bergowa — odpowiedział Jurand.

— Znaczny to kto?

— Widzi się: znaczny.

Pan de Lorche, usłyszawszy nazwisko de Bergowa, począł o niego wypytywać i dowiedziawszy się o co idzie, rzekł:

— To krewny hrabiego Geldryi, wielkiego dobrodzieja Zakonu i z rodu Zakonowi zasłużonego.

— Tak jest — rzekł pan z Długolasu, przetłómaczywszy obecnym jego słowa. — De Bergowie wielkie piastowali dostojeństwa w Zakonie.

— A przecież Danveld i de Loewe okrutnie się o niego upominali — rzekł książę. — Co który gębę otworzył, to mówił, że de Bergow musi być wolny. Jako Bóg w niebie, tak niechybnie po to oni dziewkę porwali, by de Bergowa wydostać.

— Zaczem ją i oddadzą — rzekł ksiądz.

— Ale lepiejby wiedzieć, gdzie jest — rzekł pan z Długolasu. — Bo dajmy, że Mistrz spyta: komu mam rozkazać, by ją oddał? Cóż mu powiemy?

— Gdzie jest? — rzekł głucho Jurand. — Nie trzymają oni jej pewnie na pograniczu, ze strachu, bym jej nie odbił, jeno gdzieś ją na dalekie mierzeje wiślane albo morskie wywieźli.

A Zbyszko rzekł:

— Znajdziem ją i odbijem.

Lecz książę wybuchnął nagle tłumionym gniewem:

— Z dworca mojego psubraty ją porwały, przeto i mnie pohańbiły, a tego im nie daruję pókim żyw. Dość mi ich zdrad! dość napastliwości! Wolej każdemu wilkołaków mieć za sąsiadów! Ale teraz musi Mistrz tych komturów pokarać i dziewkę wrócić, a do mnie posłów z przeprosinami słać. Inaczej, wici roześlę!

Tu uderzył pięścią w stół — i dodał:

— O wa! Brat z Płocka pójdzie ze mną i Witold i króla Jagiełłowa potęga. Dość folgi! Świętyby cierpliwość przez nozdrza wyparsknął. Już mi dość!

Umilkli wszyscy, czekając z naradą, póki się w nim gniew nie uspokoi, Anna-Danuta zaś ucieszyła się, że książę bierze tak do serca sprawę Danusi, albowiem wiedziała, iż był cierpliwy, ale i zawzięty i że gdy raz co przedsięweźmie, to już nie zaniecha, póki na swojem nie postawi.

Poczem zabrał głos ksiądz Wyszoniek.

— Był niegdyś w Zakonie posłuch — rzekł — i żaden komtur nie śmiał bez pozwoleństwa kapituły i mistrzowego nic na swoją rękę poczynać. Dlatego Bóg podał w ich ręce kraje tak znaczne, że prawie ich nad wszelką inną ziemską potęgę wywyższył. Ale teraz niemasz między nimi ni posłuchu, ni prawdy, ni uczciwości, ni wiary. Nic, jeno chciwość a złoba taka, jakoby wilkami, nie ludźmi byli. Jakże im słuchać przykazań Mistrza, albo kapituły, skoroć i Boskich nie słuchają? Każdy na swoim zamku jako książę udzielny siedzi — i jeden drugiemu w złem pomaga. Poskarżym się Mistrzowi — a oni się zaprą. Mistrz każe im dziewkę oddać, a oni nie oddadzą — albo też rzekną: „Niemasz jej u nas, bośmy jej nie porywali". Każe im przysiądz, to i przysięgną. Co tedy nam robić?

— Co robić? — rzekł pan z Długolasu. — Niech Jurand jedzie do Spychowa. Jeśli ją porwali dla okupu, albo, by ją na de Ber-

gowa wymienić, to muszą dać znać i dadzą znać nie komu innemu, jeno Jurandowi.

— Porwali ją ci, którzy do leśnego dworca przyjeżdżali — rzekł ksiądz.

— To ich Mistrz pod sąd odda, albo każe im pole Jurandowi dać.

— Pole — zawołał Zbyszko — mnie muszą dać, bom ja ich wpierw pozwał!

A Jurand odjął ręce od twarzy i zapytał:

— Którzy to byli w leśnym dworcu?

— Był Danveld i stary de Loewe i dwóch braci: Gotfryd i Rotgier — odpowiedział ksiądz. — Skarżyli się i chcieli, by książę wam rozkazał de Bergowa z niewoli wypuścić. Ale książę, dowiedziawszy się od Fourcego, że Niemcy to pierwsi was napadli, zgromił ich i z niczem odprawił.

— Jedźcie do Spychowa — rzekł książę — bo oni tam się zgłoszą. Nie uczynili tego dotąd dlatego, że Danveldowi giermek tego oto młodego rycerza ramię pokruszył, gdy im pozwanie woził. Jedźcie do Spychowa, a jak się zgłoszą, to mnie dawajcie znać. Oni wam dziecko za de Bergowa odeślą, ale ja przeto pomsty nie poniecham, bo i mnie pohańbili, z dworca ją mojego biorąc.

Tu gniew począł go chwytać nanowo, gdyż istotnie Krzyżacy wyczerpali wszelką jego cierpliwość — i po chwili dodał:

— Hej! dmuchali i dmuchali w ogień, ale w końcu pyski poparzą.

— Zaprą się! — powtórzył ksiądz Wyszoniek.

— Jak raz Jurandowi oznajmią, że dziewka u nich, to się nie będą mogli zaprzeć — odpowiedział nieco niecierpliwie Mikołaj z Długolasu. — Wierzę, że jej na pograniczu nie trzymają — i że, jako słusznie wymiarkował Jurand, do dalszych zamków, albo na morskie mierzeje ją wywieźli, ale gdy będzie dowód, że to oni — to się przed Mistrzem nie zaprą.

A Jurand począł powtarzać jakimś dziwnym i zarazem strasznym głosem:

— Danveld, Loewe, Gotfryd i Rotgier...

Mikołaj z Długolasu polecił jeszcze wysłać bywałych a przebiegłych ludzi do Prus, aby się w Szczytnie i Jańsborku wywiedzieli, czy Jurandówna tam jest, a jeśli nie, to dokąd została wywieziona; poczem książę wziął kostur w rękę i wyszedł, by wydać odpowiednie rozkazy, księżna zaś zwróciła się do Juranda, chcąc go dobrem słowem pokrzepić:

— Jakoże wam jest? — spytała.

Ów zaś przez chwilę nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał pytania, a potem nagle rzekł:

— Jakoby mnie kto w dawną ranę ugodził.

— Ale ufajcie w miłosierdzie Boskie: wróci Danuśka, jeno im de Bergowa oddajcie.

— Nie pożałowałbym im i krwi.

Księżna zawahała się, czyby mu zaraz o ślubie nie wspomnieć,

ale pomyślawszy nieco, nie chciała przyrzucać nowego zmartwienia do ciężkich już i tak nieszczęść Juranda i przytem ogarnął ją jakiś strach. „Będą jej szukali ze Zbyszkiem, niech mu Zbyszko przy sposobności powie — rzekła sobie — a ninie w głowieby się mu mogło do reszty pomieszać". Więc wolała mówić o czem innem.

— Wy nas nie winujcie — rzekła. — Przyjechali ludzie w waszych barwach, z pismem z waszą pieczęcią oznajmującem jakoście chorzy, jako oczy wam gasną i jako na dziecko raz jeszcze spojrzeć chcecie. Jakże się było przeciwić i ojcowego przykazania nie spełnić?

Jurand zaś podjął ją pod nogi.

— Ja nikogo nie winuję, Miłościwa Pani.

— I to wiedzcie, że ją Bóg wam odda, bo oko Jego jest nad nią. Ześle on jej poratowanie, jako na ostatnich łowach zesłał, gdy srogi tur na nas uderzył — a Pan Jezus natchnął Zbyszka, żeby nas bronił. Sam ci o mało nie stradał żywota i długo potem chorzał, ale Danuśkę i mnie obronił, za co mu książę dał pas i ostrogi. Widzicie!.... Ręka Boska jest nad nią. Myślałam, że z wami przyjedzie, że ją obaczę najmilszą, a tymczasem...

I głos jej zadrżał i łzy puściły się z oczu, a w Jurandzie tłumiona dotychczas rozpacz zerwała się na chwilę, nagła i straszna jak wicher. Chwycił rękoma swe długie włosy, a głową począł bić w belki ściany, jęcząc i powtarzając chrapliwym głosem:

— Jezu! Jezu! Jezu!...

Lecz Zbyszko skoczył ku niemu i potrząsnąwszy go z całą siłą za ramiona, zawołał:

— W drogę nam! Do Spychowa!

28.

— Czyj to poczet? — zapytał nagle Jurand, ocknąwszy się za Radzanowem z zamyślenia, jakby ze snu.

— Mój — odpowiedział Zbyszko.

— A ludzie moi wszyscy poginęli?

— Widziałem ich nieżywych w Niedzborzu.

— Niemasz starych towarzyszów!

Zbyszko nie odrzekł nic i jechali dalej w milczeniu a szybko, gdyż chcieli jak najprędzej być w Spychowie, spodziewając się, że może tam zastaną jakich wysłanników krzyżackich. Na szczęście ich, przyszły znów mrozy i drogi były przetarte, więc mogli pospieszać. Pod wieczór Jurand znów przemówił i począł wypytywać o owych braci zakonnych, którzy byli w leśnym dworcu, a Zbyszko opowiadał mu wszystko — i o ich skargach i o odjeździe i o śmierci pana de Fourcy i o postępku swego giermka, który w tak straszny sposób pokruszył ramię Danvelda, a podczas tego opowiadania przypomniała mu się i uderzyła go jedna okoliczność, to jest bytność owej niewiasty w leśnym dworcu, która przywiozła od Danvelda balsamy gojące. Na popasie począł więc wypytywać o nią i Czecha i Sanderusa — ale obaj nie

wiedzieli dokładnie, co ſię z nią ſtało. Zdawało im ſię, że odjechała albo razem z tymi ludźmi, którzy przybyli po Danuſię, albo wnet po nich. Zbyſzkowi przyſzło teraz do głowy, że to mógł być ktoś naſłany w tym celu, by tych ludzi przeſtrzedz na wypadek, gdyby Jurand znajdował ſię właſną oſobą na dworcu. W takim razie nie podawaliby ſię za ludzi ze Spychowa, mogli zaś mieć przygotowane jakie inne piſmo, któreby byli oddali kſiężnie zamiaſt zmyślonego Jurandowego liſtu. Wſzyſtko to było ułożone z piekielną zręcznością i młody rycerz, który dotychczas znał Krzyżaków tylko z pola, po raz pierwſzy pomyślał, że pięści na nich nie dość, ale że trzeba umieć zmódz ich i głową. Myśl ta była mu przykra, albowiem jego ogromny żal i ból zmieniły ſię w nim przedewſzyſtkiem w żądzę walki i krwi. Nawet ratunek dla Danuſi przedſtawiał mu ſię jako ſzereg bitew kupą lub w pojedynkę; tymczaſem teraz poznał, że trzeba może będzie chęć pomſty i łupania łbów wziąć jak niedźwiedzia na łańcuch i ſzukać całkiem nowych dróg ocalenia i odzyſkania Danuſi. Myśląc o tem, żałował, że niema przy nim Maćka. Maćko bowiem równie był przebiegły, jak mężny. Poſtanowił jednak i ſam wyſłać ze Spychowa Sanderuſa do Szczytna, aby ową niewiaſtę odſzukał i ſtarał ſię od niej wywiedzieć, co ſię z Danuſią ſtało. Mówił ſobie, że choćby Sanderus chciał go zdradzić, to niewiele ſprawie zaſzkodzi, a w razie przeciwnym może znaczne mu uſługi oddać, albowiem rzemioſło jego otwierało mu wſzędzie doſtęp.

Chciał jednak naradzić ſię przedtem z Jurandem, odłożył wſzelako tę rzecz do Spychowa, tem bardziej, że zapadła noc i zdawało mu ſię, że Jurand, ſiedząc na wyſokiem ſiodle rycerſkiem, uſnął z trudów, zmęczenia i ciężkiej troſki. Ale Jurand dlatego tylko jechał z głową ſpuſzczoną, że mu ją pochyliło nieſzczęście. I widać, że ciągle o niem rozmyślał, że ſerce jego pełne było okrutnych obaw, gdyż wreſzcie rzekł:

— Wolejbym był zamarzł pod Niedzborzem! Tyś to mnie odgrzebywał?

— Ja, z innymi.

— A na onych łowach tyś mi dziecko ratował?

— Jakożem miał czynić?

— I teraz mi pomożeſz?

A w Zbyſzku wybuchnęła zarazem miłość do Danuśki i nienawiść do Krzyżaków krzywdzicieli tak wielka, że aż wſtał na ſiodle i jął mówić przez zaciśnięte zęby, jakby z trudem:

— Słuchajcie, co rzekę: choćby mi przyſzło zębami pruſkie zamki gryźć, to je zgryzę, a ją doſtanę.

I naſtała chwila milczenia. Mściwa i niepohamowana natura Juranda ozwała ſię też widocznie z całą ſiłą pod wpływem Zbyſzkowych ſłów, gdyż począł zgrzytać w ciemności, a po chwili powtarzać znów nazwiſka:

— Danveld, Loewe, Rotgier i Godfryd!

I w duſzy myślał, że jeśli zechcą, by im Bergowa oddał, to go odda, jeśli każą mu dopłacić, to dopłaci, choćby miał cały Spychów

do ceny przyrzucić, ale później biada tym, którzy na to jedyne dziecko jego rękę podnieśli!

Przez całą noc sen nie zamknął im ani na chwilę powiek. Nad ranem, ledwie się poznali, tak twarze ich były zmienione przez tę jedną noc. Juranda uderzył wreszcie ten ból i ta zawziętość Zbyszka, więc rzekł:

— Nałęczką cię ona przykryła i śmierci wydarła — wiem. Ale też ją miłujesz?

Zbyszko spojrzał mu prosto w oczy z twarzą niemal zuchwałą i odpowiedział:

— To żona moja.

Na to Jurand powstrzymał konia i patrzał na Zbyszka, mrugając ze zdumienia.

— Jako powiadasz? — zapytał.

— Mówię, że ona niewiasta moja, a ja jej mąż.

Rycerz ze Spychowa przykrył rękawicą oczy, jak gdyby olśnął od nagłego uderzenia piorunu, poczem nie odrzekł nic po chwili ruszył koniem i wysunąwszy się na czoło orszaku, jechał w milczeniu.

29.

Ale, Zbyszko, jadąc za nim, nie mógł długo wytrzymać i rzekł sobie w duszy: „Wolę, żeby gniewem wybuchnął, niż żeby się zaciął". Więc podjechał ku niemu i trąciwszy strzemieniem w jego strzemię, począł mówić:

— Posłuchajcie, jako to było. Co Danuśka dla mnie uczyniła w Krakowie, to wiecie, ale tego nie wiecie, że w Bogdańcu swatali mi Jagienkę, Zychową córkę ze Zgorzelic. Stryj mój, Maćko, chciał; rodzic jej, Zych, chciał; a i krewny opat, bogacz, także... Co wam tam długo prawić? — uczciwa dziewka i jak łania, a wiano też godne. Ale nie mogło to być. Było mi Jagienki żal, ale jeszcze większy żal Danuśki — i zabrałem się ku niej na Mazowsze, bo szczerze wam rzekę: nie mogłem dłużej żyć. Wspomnijcie, jakoście sami miłowali — wspomnijcie! — a nie będzie wam dziwota.

Tu przerwał Zbyszko, czekając na jakieś słowo z ust Juranda, lecz, gdy ów milczał, jął mówić dalej:

— W leśnym dworcu Bóg mi dał, żem i Panią i Danuśkę od tura na łowach zratował. I zaraz pani mówiła: „Teraz już Jurand nie będzie przeciwny, bo jakoże mu się nie wypłacić za taki uczynek?" Ale ja i wtedy bez waszego rodzicielskiego pozwoleństwa nie myślałem jej brać. Ba! i nijak mi było, bo mnie zwierz luty tak starmosił, że ledwie duszy ze mnie nie wyżenął. Ale potem — wiecie — przyszli ci ludzie po Danuśkę, by ją niby do Spychowa powieźć, a jam jeszcze z łoża nie wstawał. Myślałem, że już jej nigdy nie ujrzę. Myślałem, że ją do Spychowa weźmiecie i komu innemu oddacie. W Krakowie byliście mi przecie przeciwni... Jużem myślał, że zemrę. Hej, mocny Boże, co to była za noc! Nic, jeno strapienie;

nic, jeno żałość! Myślałem, że jak mi ona odjedzie, to już i słońce nie wzejdzie. Wyrozumcie wy ludzkie kochanie i ludzką boleść...

I aż łzy zadrgały na chwilę w głosie Zbyszka, ale że serce miał mężne, więc się opanował i rzekł:

— Ludzie przyjechali po nią w wieczór i chcieli ją zaraz brać, ale księżna kazała im czekać do rana. Aż tu Pan Jezus zesłał mi myśl, aby się księżnie pokłonić i o Danuśkę ją prosić. Myślałem, że jeśli zamrę, to choć tę jedną będę miał pociechę. Wspomnijcie, że dziewczyna miała jechać, a ja ostawałem chory i śmierci blizki. Nie było też czasu prosić was o pozwoleństwo. Księcia nie było już w leśnym dworcu, więc wagowała się Pani na obie strony, bo nie miała się kogo poradzić. Ale zlitowali się wreszcie oboje z księdzem Wyszońkiem nade mną — i ksiądz Wyszoniek dał nam ślub... Moc Boska, prawo Boskie...

A Jurand przerwał głucho:

— I kara Boska.

— Czemu zaś ma być kara? — zapytał Zbyszko. — Pomiarkujcie jeno, że przysłali po nią przed ślubem i czyby był, czyby go nie było, tak samoby ją powieźli.

Lecz Jurand znów nie odrzekł nic i jechał zamknięty w sobie, mroczny i z twarzą tak skamieniałą, że Zbyszko lubo zrazu uczuł ulgę, jaką sprawia zawsze wyznanie rzeczy długo tajonej, zląkł się wreszcie i począł mówić sobie w duszy z coraz większym niepokojem, że stary rycerz zaciął się w gniewie i że odtąd będą dla siebie jak obcy i nieprzyjaźni ludzie.

I przyszła nań chwila wielkiego pognębienia. Nigdy, od czasu jak wyjechał z Bogdańca, nie było mu tak źle. Zdawało mu się teraz, że niema żadnej nadziei ni przejednania Juranda, ni, co gorsza, uratowania Danusi, że wszystko na nic i że w przyszłości spadną na niego tylko coraz większe nieszczęścia i coraz większa niedola. Ale pognębienie to trwało krótko, a raczej zgodnie z jego naturą wnet zmieniło się w gniew, w chęć sporu i walki. „Nie chce zgody — mówił sobie, myśląc o Jurandzie — niech będzie niezgoda, niech będzie co chce!" I gotów był skoczyć do oczu samemu Jurandowi. Chwyciła go też żądza bitki z kimkolwiek o cokolwiek, byle coś zrobić, byle dać ujście żalom goryczy i gniewowi, byle znaleźć jakowąś ulgę.

A tymczasem zajechali do karczmy na rozdrożu, zwanej Świetlik, gdzie Jurand w czasie powrotu z dworu książęcego do Spychowa dawał zwykle wypoczynek ludziom i koniom. Mimowoli uczynił to i teraz. Po chwili obaj ze Zbyszkiem znaleźli się w osobnej izbie. Nagle Jurand zatrzymał się przed młodym rycerzem i utkwiwszy w nim wzrok, zapytał:

— Toś ty dla niej tu przywędrował?

Ów zaś odpowiedział prawie szorstko:

— Myślicie, że się zaprę?

I począł patrzeć wprost w oczy Juranda, gotów na gniew gniewem wybuchnąć. Lecz w twarzy starego wojownika nie było zawziętości, był tylko smutek prawie bez granic.

— I dzieckoś mi ratował? — spytał po chwili — i mnieś odgrzebł?...

A Zbyszko spojrzał na niego ze zdziwieniem i obawą, czy mu się w głowie nie miesza, gdyż Jurand powtarzał zupełnie te same pytania, które już poprzednio był zadał.

— Siądźcie sobie — rzekł — bo widzi mi się, żeście jeszcze słabi.

Lecz Jurand podniósł ręce, położył je na ramionach Zbyszka — i nagle przygarnął go z całą siłą do piersi: ów zaś, ochłonąwszy z chwilowego zdumienia, chwycił go wpół i trzymali się tak długo, gdyż przykuwały ich do siebie wspólne strapienia i wspólna niedola.

Gdy zaś się puścili, Zbyszko ścisnął jeszcze za kolana starszego rycerza, a następnie począł całować go ze łzami w oczach po ręku.

— Nie będziecie mi przeciwni? — pytał.

A na to Jurand odrzekł:

— Byłem ci przeciwny, bom ją w duszy Bogu ofiarował.

— Wyście ofiarowali ją Bogu, a Bóg mnie. Wola Jego!

— Wola Jego! — powtórzył Jurand: — jeno trzeba nam teraz i miłosierdzia.

— Komuż Bóg pomoże, jeśli nie ojcu, który szuka dziecka, jeśli nie mężowi, który szuka żony? Zbójom nie będzie ci pomagał.

— A przecie ją porwali — odpowiedział Jurand.

— To im de Bergowa oddacie.

— Oddam wszystko, co chcą.

Lecz na myśl o Krzyżakach zbudziła się w nim wnet stara nienawiść i objęła go jak płomień, gdyż po chwili dodał przez zaciśnięte zęby:

— I dołożę, czego nie chcą.

— Jam im też poprzysiągł — odpowiedział Zbyszko — ale teraz trzeba nam do Spychowa.

I począł pilić, by siodłano konie. Jakoż, gdy zjadły obroki, a ludzie rozgrzeli się trochę w izbach, ruszono dalej, chociaż na dworze czynił się już mrok. Ponieważ droga była jeszcze daleka, a na noc brał mróz okrutny, przeto Jurand i Zbyszko, którzy nie odzyskali jeszcze wszystkich sił, jechali w saniach. Zbyszko opowiadał o stryjcu Maćku, do którego w duszy tęsknił i żałował, że go niema, gdyż zarówno mogło się przydać jego męstwo, jak chytrość, która przeciw takim nieprzyjaciołom więcej jeszcze od męstwa jest potrzebna. W końcu zwrócił się do Juranda i zapytał:

— A wyście chytrzy?... Bo ja, to nijak nie potrafię.

— I ja nie — odpowiedział Jurand. — Nie chytrością ja z nimi wojował, jeno tą ręką i tą boleścią, która we mnie ostała.

— Juzci ja to rozumiem — rzekł młody rycerz. — Przez to rozumiem, że Danuśkę miłuję i że ją porwali. Gdyby, uchowaj Bóg...

I nie dokończył, bo na samą myśl o tem poczuł w sercu, nie ludzkie, ale wilcze serce. Przez czas jakiś jechali w milczeniu białą, zalaną światłem miesięcznem drogą, poczem Jurand począł mówić jakby sam do siebie:

— Bo gdyby mieli przyczynę do pomsty nade mną — nie mówię! Ale na miły Bóg! nie mieli... Wojowałem z nimi w polu, gdym w poselstwie od naszego księcia do Witolda chadzał, ale tu byłem, jako sąsiad sąsiadom... Bartosz Nałęcz czterdziestu rycerzy, którzy ku nim śli, chwycił, skował i w podziemiach w Koźminie zamknął. Musieli mu Krzyżacy pół woza pieniędzy za nich nasypać. A ja, trafił się li gość Niemiec, który do Krzyżaków ciągnął, tom go jeszcze jako rycerz rycerza podejmował i obdarzał. Nieraz też i Krzyżacy do mnie przez bagna przyjeżdżali. Nie byłem im wtedy ciężki, a oni mi to uczynili, czegobym ja i dziś jeszcze największemu nieprzyjacielowi nie uczynił...

I straszne wspomnienia poczęły go targać z coraz większą siłą, głos zamarł mu na chwilę w piersi, poczem mówił nawpół z jękiem:

— Jedną ci miałem, jako owieczkę, jako jedno serce w piersiach, a oni ją na powróz jak psa chwycili i zbielała im na powrozie... Teraz znów dziecko... Jezu, Jezu!

I znów zapadło milczenie. Zbyszko podniósł ku księżycowi swą młodą twarz, w której malowało się zdziwienie, następnie spojrzał na Juranda i zapytał:

— Ojcze!... Toćby im lepiej było na miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?

A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą ręce i odrzekł głuchym głosem:

— Nie wiem...

Zbyszko rozmyślał czas jakiś nad własnem pytaniem, po chwili jednak myśl jego wróciła do Juranda.

— Ludzie mówią, żeście godną pomstę wywarli — rzekł.

Jurand tymczasem zdusił w sobie ból, opamiętał się i począł mówić:

— Bom im poprzysiągł... I Bogum poprzysiągł, że jeśli mi pomstę da spełnić, to Mu to dziecko, które mi ostało, oddam... Dlategom ci był przeciwny. A teraz nie wiem: wola to Jego była, czyli też gniew Jego rozbudziliście waszym uczynkiem.

— Nie — rzekł Zbyszko. — Toć-żem wam już mówił, że choćby ślubu nie było i tak byłyby ją psubraty chwyciły. Bóg przyjął waszą chęć, a Danuśkę mnie podarował, bo bez takowej jego woli niebyśmy nie wskórali.

— Każdy grzech jest przeciw woli Bożej.

— Grzech jest, ale nie Sakrament. Sakrament przecie Boska rzecz.

— To i dlatego niema rady.

— A chwała Bogu, niema! Nie narzekajcie też na to, bo niktby wam tak nie pomógł przeciw tym zbójom, jako ja pomogę. Obaczycie! Za Danuśkę swoją drogą im zapłacim, ale jeśli żywie jeszcze choć jeden z tych, którzy waszą nieboszczkę porywali, zdajcie go mnie, a obaczycie!

Lecz Jurand począł trząść głową.

— Nie — odpowiedział posępnie — z tych żaden nie żywie...

Przez czas jakiś słychać było tylko parskanie koni i przytłumiony odgłos kopyt, uderzających o wyjeżdżoną drogę.

— Raz w nocy — mówił dalej Jurand — usłyszałem jakiś głos, jakoby ze ściany wychodzący, który mi rzekł: „Dość pomsty!” — ale ja nie usłuchałem, bo to nie był głos nieboszczki.

— A co to mógł być za głos? — zapytał z niepokojem Zbyszko.

— Nie wiem. Często w Spychowie coś w ścianach gada, a czasem jęczy, bo dużo ich na łańcuchach w podziemiu pomarło.

— A wasz ksiądz co mówi?

— Ksiądz święcił gródek i mówił też, żeby zemsty poniechać, ale nie mogło to być. Stałem się im zbyt ciężki i później sami chcieli się mścić. Czynili zasadzki i pozywali w pole... Tak było i teraz. Mejneger i de Bergow pierwsi mnie pozwali.

— Braliście kiedy wykup?

— Nigdy. Z tych, których chwyciłem, pierwszy de Bergow żyw wyjdzie.

Rozmowa ustała, gdyż skręcili z szerszego gościńca na węższą drogę, którą jechali długo, gdyż szła kręto, a miejscami zmieniała się jakby we wpadlinę leśną, pełną zasp śnieżnych, trudnych do przebycia. Wiosną, albo latem, podczas dżdżów droga ta musiała być prawie nieprzystępna.

— Czy to już ku Spychowi jedziem? — zapytał Zbyszko.

— Tak — odrzekł Jurand. — Boru jeszcze szmat znaczny, a potem zaczną się oparzeliska, wśród których gródek... Za oparzeliskami są łęgi i suche pola, zaś do ogródka można dojechać tylko groblą. Nieraz chcieli mnie Niemcy dostać, ale nie mogli i siła ich kości próchnieje po leśnych brzezkach.

— I trafić nie łatwo — rzekł Zbyszko. — Jeśli Krzyżaki ludzi z listami wyślą, jakoże trafią?

— Nieraz już wysyłali i mają takich, którzy drogę wiedzą.

— Bogdajeśmy ich zastali w Spychowie! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem życzenie to miało się urzeczywistnić wcześniej, niż młody rycerz myślał, albowiem wyjechawszy z boru na odkrytą płaszczyznę, na której leżał wśród bagien Spychów, ujrzeli przed sobą dwóch konnych i nizkie sanie, w których siedziały trzy ciemne postacie.

Noc była bardzo jasna, więc na białem podścielisku śniegów widać było całą gromadę doskonale. Jurandowi i Zbyszkowi uderzyły żywiej serca na ten widok, kto bowiem mógł jechać do Spychowa wśród nocy, jeśli nie wysłańcy krzyżaccy?

Zbyszko kazał woźnicy jechać żywiej, więc wkrótce zbliżyli się tak znacznie, że usłyszano ich i dwaj konni, którzy czuwali widocznie nad bezpieczeństwem sani, zwrócili się ku nim i pozdejmowawszy kusze z ramion, poczęli wołać:

— W e r d a ?

— Niemcy! — szepnął Zbyszkowi Jurand.

Poczem podniósł głos i rzekł:

— Moje prawo pytać, twoje odpowiadać! Kto wy?

— Podróżni.

— Jacy podróżni?
— Pielgrzymi.
— Skąd?
— Ze Szczytna.
— Oni! — szepnął znów Jurand.

Tymczasem sanki porównały się z sobą, a jednocześnie na przodzie przed nimi ukazało się sześciu konnych. Była to spychowska straż, która dniem i nocą czuwała nad groblą, wiodącą do gródka. Przy koniach biegły psy straszne i ogromne, całkiem do wilków podobne.

Strażnicy, poznawszy Juranda, poczęli wykrzykiwać na jego cześć, lecz w okrzykach tych brzmiało i zdziwienie, że dziedzic wraca tak wcześnie i niespodzianie, lecz on całkiem zajęty był wysłańcami, więc znów zwrócił się ku nim:

— Dokąd jedziecie? — zapytał.
— Do Spychowa?
— Czego tam chcecie?
— To możemy jeno samemu panu powiedzieć.

Jurand miał już na ustach: „Jam jest pan ze Spychowa" — ale się powstrzymał, rozumiejąc, że rozmowa nie może się odbywać przy ludziach. Natomiast spytawszy jeszcze czy mają jakowe listy i otrzymawszy odpowiedź, że polecono im ustnie się rozmówić, kazał jechać nieledwie co koń wyskoczy. Zbyszkowi było również tak pilno do wiadomości o Danusi, że nie umiał na nic innego zwrócić uwagi. Niecierpliwił się tylko, gdy jeszcze dwukrotnie straże zastępowały im drogę na grobli; niecierpliwił się, gdy spuszczano most na fosie, za którą sterczał na wałach olbrzymi ostrokół, a chociaż poprzednio nieraz brała go ciekawość obaczyć, jak wygląda ten złowrogiej sławy gródek, na którego wspomnienie Niemcy żegnali się znakiem krzyża — teraz nie widział nic, prócz krzyżackich wysłańców, od których mógł usłyszeć, gdzie jest Danusia i kiedy będzie wrócona jej wolność. Nie przewidział zaś, że za chwilę czeka go ciężki zawód.

Prócz konnych, dodanych dla obrony i woźnicy, poselstwo ze Szczytna składało się z dwóch osób: jedną z nich była ta sama niewiasta, która swego czasu przywoziła balsam gojący do leśnego dworca, drugą młody pątnik. Niewiasty Zbyszko nie poznał, albowiem jej w leśnym dworcu nie widział; pątnik zaś odrazu wydał mu się jakimś przebranym giermkiem. Jurand wnet wprowadził oboje do narożnej izby — i stanął przed nimi ogromny i prawie straszny w blasku płomienia, który padał na niego od płonącego w kominie ognia.

— Gdzie dziecko? — zapytał.

Oni jednakże zlękli się, stanąwszy oko w oko z groźnym mężem. Pątnik, choć twarz miał zuchwałą, trząsł się poprostu jak liść, a i pod niewiastą drżały nogi. Wzrok jej przeszedł z oblicza Juranda na Zbyszka, następnie na błyszczącą, łysą głowę księdza Kaleba i znów wrócił do Juranda, jakby z zapytaniem, co tamci dwaj tu robią.

— Panie — odrzekła wreszcie — nie wiemy o co pytacie, ale przysłano nas ku wam w sprawach ważnych. Wszelako ten, który nas

wysłał, rozkazał nam wyraźnie, aby rozmowa z wami odbyła się bez świadków.

— Nie mam dla nich tajemnic! — rzekł Jurand.

— Ale my je mamy, szlachetny panie — odrzekła niewiasta — i jeśli każecie im zostać, to o nic innego prosić was nie będziemy, tylko abyście nam pozwolili jutro odjechać.

Na twarzy nieprzywykłego do oporu Juranda odbił się gniew. Przez chwilę płowe jego wąsy poczęły się poruszać złowrogo, lecz pomyślał, że idzie o Danusię i pohamował się. Zbyszko zresztą, któremu chodziło przedewszystkiem o to, by rozmowa odbyła się jak najprędzej i który był pewien, że Jurand mu ją powtórzy, rzekł:

— Skoro tak ma być, ostańcie sami.

I wyszedł wraz z księdzem Kalebem, zaledwie jednak znalazł się w głównej izbie, obwieszonej tarczami i bronią, zdobytą przez Juranda, gdy Głowacz zbliżył się ku niemu.

— Panie — rzekł — to ta sama niewiasta.

— Jaka niewiasta?

— Od Krzyżaków, która przywoziła balsam hercyński. Poznałem ją odrazu i Sanderus poznał ją także. Przyjeżdżała widać na przeszpiegi, a teraz wie ona pewnie, gdzie jest panienka.

— I my będziem wiedzieć — rzekł Zbyszko. — Zali znacie także i tego pątnika?

— Nie — odpowiedział Sanderus. — Ale nie kupujcie od niego odpustów, bo to fałszywy pątnik. Gdyby go na męki położyć, siła możnaby się od niego dowiedzieć.

— Czekać! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem w izbie narożnej, zaledwie drzwi się zamknęły za Zbyszkiem i księdzem Kalebem, siostra zakonna przysunęła się szybko do Juranda i poczęła szeptać:

— Waszą córkę zbóje porwali.

— Z krzyżami na płaszczach?

— Nie. Ale Bóg pobłogosławił pobożnym braciom, że ją odbili i teraz ona jest u nich.

—Gdzie jest? — pytam.

— Pod opieką pobożnego brata Szomberga — odrzekła, krzyżując ręce na piersiach i schylając się pokornie.

A Jurand, usłyszawszy straszne nazwisko kata Witoldowych dzieci, zbladł jak płótno; po chwili siadł na ławie, przymknął oczy i począł dłonią rozcierać zimny pot, który uperlił mu czoło.

Co widząc pątnik, jakkolwiek nie umiał przedtem pohamować strachu, wsparł się teraz w boki, rozwalił się na ławie, wyciągnął nogi i spojrzał na Juranda, oczyma pełnemi pychy i pogardy.

Nastało długie milczenie.

— I brat Markwart pomaga bratu Szombergowi w czuwaniu nad nią — rzekła znów niewiasta. — Pilna ta opieka i nie stanie się panience krzywda.

— Co mam czynić, by mi ją oddali? — zapytał Jurand.

— Upokorzyć się przed Zakonem! — rzekł z dumą pątnik.

Usłyszawszy to, Jurand wstał, podszedł ku niemu i pochyliwszy się nad nim, rzekł stłumionym, strasznym głosem:

— Milczeć!....

A pątnik przeraził się znowu. Wiedział, że może grozić i może rzec coś takiego, co powstrzyma i złamie Juranda, ale zląkł się, że wpierw, nim słowo przemówi, stanie się z nim coś okropnego; więc zamilkł, oczy okrągłe, jakby skamieniałe ze strachu, utkwił w groźnej twarzy Spychowskiego pana i siedział bez ruchu — tylko broda poczęła mu się trząść silnie.

Jurand zaś zwrócił się do siostry zakonnej:

— List macie?

— Nie, panie. Nie mamy listu. Co mamy do powiedzenia, kazano nam ustnie powiedzieć.

— Zaczem mówcie!

A ona powtórzyła jeszcze raz, jakby pragnąc, by Jurand wbił sobie to dobrze w pamięć:

— Brat Szomberg i brat Markwart czuwają nad panienką, przeto wy, panie hamujcie swój gniew..: Ale nie stanie się jej nic złego, bo choć przez wiele lat krzywdziliście ciężko Zakon, jednakże bracia chcą wam dobrem za złe wypłacić, jeśli uczynicie zadość sprawiedliwym ich żądaniom.

— Czego chcą?

— Chcą, abyście uwolnili pana de Bergowa.

Jurand odetchnął głęboko.

— Oddam im de Bergowa — rzekł.

— Innych brańców, których w Spychowie macie.

— Jest dwóch giermków Mejnegera i de Bergowa, prócz ich pachołków.

— Macie ich uwolnić, panie i wynagrodzić za uwięzienie.

— Nie daj Bóg, abym się o dziecko miał targować.

— Tego też po was spodziewali się pobożni zakonnicy — rzekła niewiasta — ale to jeszcze nie wszystko, co mi kazano powiedzieć. Waszą córkę, panie, porwali jacyś ludzie, zapewne zbóje i zapewne dlatego, aby wziąć od was okup bogaty... Bóg pozwolił braciom, że ją odbili — i teraz więcej nie żądają, tylko abyście im towarzysza i gościa oddali. Ale bracia wiedzą i wy wiecie, panie jaka w tym kraju jest ku nim nienawiść i jak niesprawiedliwie sądzą wszystkie ich, choćby najpobożniejsze uczynki. Z tego powodu bracia są pewni, iż gdyby tu ludzie dowiedzieli się, że córka wasza jest u nich, zarazby poczęli ich posądzać, że to oni ją porwali i w ten sposób za swą cnotę zebraliby jeno oszczerstwa i skargi... O tak! źli i złośliwi ludzie tutejsi nieraz im się już tak wypłacali, na czem sława pobożnego Zakonu cierpiała bardzo — o którą bracia dbać muszą i przeto kładą ten jeszcze tylko warunek, abyście sami i księciu tej krainy i wszystkiemu srogiemu rycerstwu oświadczyli — jako jest i prawda — że to nie bracia Krzyżowi, jeno zbóje waszą córkę porwali i że od zbójów musieliście ją wykupować.

— Prawda jest — rzekł Jurand — że zbóje mi dziecko porwali i że od zbójów muszę je wykupować...

— Nikomu też nie macie inaczej mówić, bo gdyby choć jeden człowiek dowiedział się, żeście układali się z braćmi, gdyby choć jedna żywa dusza, albo gdyby choć jedna skarga poszła czy to do Mistrza, czy do kapituły — tedyby ciężkie zrodziły się trudności...

Na twarzy Juranda odbił się niepokój. W pierwszej chwili wydało mu się dość naturalnem, że komturowie żądają tajemnicy z obawy przed odpowiedzialnością i niesławą, ale teraz zrodziło się w nim podejrzenie, że może być i jakaś inna przyczyna, że zaś nie umiał sobie zdać z niej sprawy, więc chwycił go lęk taki, jaki chwyta najodważniejszych ludzi, gdy niebezpieczeństwo zagraża nie im samym, lecz ich blizkim i kochanym.

Postanowił jednakże dowiedzieć się czegoś więcej od zakonnej służki.

— Komturowie chcą tajemnicy — rzekł — ale jakoż tajemnica ma się zachować, gdy de Bergowa i tamtych innych za dziecko wypuszczę?

— Powiecie, żeście wzięli okup za pana de Bergowa, aby mieć czem zbójom zapłacić.

— Ludzie nie uwierzą, bom nigdy okupu nie brał — odrzekł posępnie Jurand.

— Bo nigdy nie chodziło o wasze dziecko — odrzekła syczącym głosem służka.

I znów nastało milczenie, poczem pątnik, który przez ten czas nabrał ducha i sądził, że Jurand musi się już teraz więcej hamować, rzekł:

— Taka jest wola braci Szomberga i Markwarta.

Służka zaś mówiła dalej.

— Oto powiecie, że ten pątnik, który przyjechał ze mną, przywiózł wam okup, my zaś odjedziem stąd ze szlachetnym panem de Bergow i z jeńcami.

— Jakto? — rzekł Jurand, marszcząc brwi: — zali myślicie, że wam oddam jeńców, nim mi dziecko wrócicie?

— Uczyńcie, panie, jeszcze inaczej. Możecie sami jechać po córkę do Szczytna, dokąd wam ją bracia przywiozą.

— Ja? do Szczytna?

— Bo gdyby ją znów zbójcy w drodze porwali, znów posąd wasz i tutejszych ludzi padłby na pobożnych rycerzy i dlatego ci wolą ją wam do rąk własnych oddać.

— A kto zaś zaręczy mi, że wrócę, gdy sam wlezę wilkowi w gardziel?

— Cnota braci, sprawiedliwość ich i pobożność.

Jurand począł chodzić po izbie. Począł już przewidywać zdradę i obawiał się jej, ale czuł jednocześnie, że Krzyżacy mogą mu nałożyć warunki, jakie im się podoba — i że jest wobec nich bezsilny.

Jednakże przyszedł mu widocznie do głowy jakiś sposób, gdyż

zatrzymawszy się nagle przed pątnikiem, począł mu się bystro przypatrywać, poczem zwrócił się do służki i rzekł:

— Dobrze. Pojadę do Szczytna. Wy i ten człowiek, który ma na sobie szaty pątnicze, ostaniecie tu do mego powrotu, po którym odjedziecie z de Bergowem i z jeńcami.

— Nie chcecie, panie, zawierzyć zakonnikom — rzekł pątnik — jakże więc oni mają wam zawierzyć, że wróciwszy, wypuścicie nas i de Bergowa?

Twarz Juranda pobladła ze wzburzenia i nastała groźna chwila, w której już już zdawało się, że chwyci pątnika za pierś i weźmie go pod kolano — lecz zdusił w sobie gniew, odetchnął głęboko i począł mówić zwolna i dobitnie:

— Ktośkolwiek jest, nie naginaj zbyt mojej cierpliwości, aby zaś nie pękła.

A pątnik zwrócił się do siostry:

— Mówcie! co wam kazano.

— Panie — rzekła waszej przysiędze na miecz i na rycerską cześć nieośmielilibyśmy się nie uwierzyć, ale i wam nie przystoi składać przed ludźmi prostego stanu przysięgi i nas nie po waszą przysięgę przysłano.

— Po cóż was przysłano?

— Powiedzieli nam bracia, iż macie, nie mówiąc nic nikomu, stawić się w Szczytnie z panem de Bergow i z jeńcami.

Na to ramiona Juranda poczęły się cofać w tył, a palce rozszerzać się nakształt szponów drapieżnego ptaka; nakoniec, stanąwszy przed niewiastą, pochylił się tak, jakby chciał jej mówić do ucha i rzekł:

— Azali nie powiedziano wam, że każę was i Bergowa kołem połamać w Spychowie?

— Wasza córka jest w mocy braci, a pod opieką Szomberga i Markwarta — odrzekła z naciskiem siostra.

— Zbójców, trucicieli, katów! — wybuchnął Jurand.

— Którzy potrafią nas pomścić, a którzy rzekli nam na odjezdnem tak: „Jeśliby nie miał spełnić wszystkich naszych rozkazów, lepiejby było, by ta dziewka umarła, jako i Witoldowe dzieci pomarły." Wybierajcie!

— I zrozumiejcie, żeście w mocy komturów — ozwał się pątnik. — Nie chcą oni uczynić wam krzywdy i starosta ze Szczytna przysyła wam przez nas słowo, że wolni wyjedziecie z jego zamku — ale chcą, byście za złe, któreście im wyrządzili, przyszli pokłonić się przed krzyżackim płaszczem i błagać o łaskę zwycięzców. Chcą wam przebaczyć, ale wpierw chcą zgiąć wasz hardy kark. Głosiliście ich za zdrajców i krzywoprzysięzców — więc chcą, byście się zdali na ich wiarę. Wrócą wolność i wam i córce — ale musicie o nią błagać. Deptaliście ich — musicie przysiądz, iż ręka wasza nigdy się na biały płaszcz nie wzniesie.

— Tak chcą komturowie — dodała niewiasta — a z nimi Markwart i Szomberg.

Nastała chwila śmiertelnej ciszy. Zdawało się tylko, że gdzieś między belkami pułapu jakieś przytłumione echo powtarza, jakby z przerażeniem: „Markwart... Szomberg". Z za okien dochodziły też nawoływania Jurandowych łuczników, czuwających na wałach przy ostrokole gródka.

Pątnik i służka zakonna przez długi czas spoglądali to na siebie, to na Juranda, który siedział oparty o ścianę, nieruchomy i z twarzą pogrążoną w cieniu, padającym na nią od pęku skór, zawieszonego przy oknie. W głowie pozostała mu jedna tylko myśl, że jeśli nie uczyni tego, czego Krzyżacy chcą — uduszą mu dziecko; jeśli zaś uczyni, to i tak może nie uratować ani Danusi, ani siebie. I nie widział rady, żadnego wyjścia. Czuł nad sobą niemiłosierną przemoc, która go zgniotła. W duszy widział już żelazne ręce Krzyżaka na szyi Danusi — znając ich bowiem, nie wątpił ani chwili, że ją zamordują, zakopią w wale zamkowym, a potem się wyprą, wyprzysięgną — i wówczas któż zdoła im dowieść, że to oni ją porwali? Miał wprawdzie Jurand w ręku wysłańców, mógł ich zawieźć księciu, mękami wydobyć z nich zeznania — ale Krzyżacy mieli Danusię — i mogli także nie pożałować dla niej mąk. I przez chwilę zdawało mu się, że dziecko wyciąga do niego ręce z dalekości, prosząc o ratunek.... Gdyby choć wiedział napewno, że ona jest w Szczytnie, mógłby ruszyć tej samej nocy ku granicy, napaść na niespodziewających się napadu Niemców, wziąć zamek, wyciąć załogę i uwolnić dziecko — ale jej mogło nie być i pewnie nie było w Szczytnie. Jeszcze mignęło mu błyskawicą przez głowę, że gdyby chwycił niewiastę i pątnika, a zawiódł ich wprost do Wielkiego Mistrza, może Mistrz wydobyłby z nich zeznania i kazał mu oddać córkę, ale błyskawica ta jak zapaliła się, tak i wnet zgasła... Przecie ci ludzie mogli powiedzieć Mistrzowi, że przyjechli wykupić Bergowa i że nic o żadnej dziewczynie nie wiedzą. Nie! ta droga nie wiodła do niczego — ale któraż wiodła? Pomyślał bowiem, że jeśli pojedzie do Szczytna, to go skują i wtrącą do podziemia, a Danusi i tak nie puszczą, choćby dlatego, by się nie wydało, że ją porwali. A tymczasem śmierć jest nad jedynem dzieckiem, śmierć nad ostatnią drogą głową!... I wreszcie myśli poczęły mu się plątać, a boleść stała się tak wielka, że przesiliła się i przeszła w odrętwienie. Siedział nieruchomie dlatego, że ciało jego stało się martwe, jakby wykute z kamienia. Gdyby chciał podnieść się w tej chwili, nie byłby zdołał tego dokazać.

Tymczasem tamtym sprzykrzyło się długie czekanie, więc służka zakonna podniosła się i rzekła:

— Już i świt niezadługo — więc pozwólcie nam odejść, panie, albowiem potrzebujemy spoczynku.

— I posiłku po długiej drodze — dodał pątnik.

Poczem oboje skłonili się Jurandowi — i wyszli.

On zaś siedział dalej, bez ruchu, jakby ujęty snem lub martwy. Ale po chwili drzwi uchyliły się i ukazał się w nich Zbyszko, a za nim ksiądz Kaleb.

— Cóż wysłańcy? czego chcą? — zapytał młody rycerz, zbliżając się do Juranda.

Jurand drgnął, ale zrazu nie odrzekł nic, począł tylko mrugać mocno, jak człowiek zbudzony z twardego snu.

— Panie, czyście nie chorzy? — ozwał się ksiądz Kaleb, który, znając lepiej Juranda, spostrzegł, iż dzieje się z nim coś dziwnego.

— Nie — odrzekł Jurand.

— A Danuśka? — dopytywał dalej Zbyszko — gdzie jest i co wam rzekli? Z czem przyjechali?

— Z wy-ku-pem — odpowiedział zwolna Jurand.

— Z wykupem za Bergowa?

— Za Bergowa...

— Jakto za Bergowa? co wam jest?

— Nic...

Lecz w głosie jego było coś tak niezwykłego i jakby zniedołężniałego, że tamtych obu chwyciła nagła trwoga, zwłaszcza, że przytem Jurand mówił o wykupie, nie o zamianie Bergowa na Danusię.

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko — gdzie Danuśka?

— Nie-masz jej u Krzy-za-ków — nie! — odpowiedział sennym głosem Jurand.

I nagle zwalił się jak martwy z ławy na podłogę.

30.

Nazajutrz o południu wysłańcy widzieli się z Jurandem, a w jakiś czas później wyjechali, zabrawszy z sobą de Bergowa, dwóch giermków i kilkunastu innych jeńców. Jurand wezwał następnie ojca Kaleba, któremu podyktował list do księcia z oznajmieniem, że Danusi nie porwali rycerze zakonni, ale że zdołał odkryć jej schronienie i ma nadzieję, iż w ciągu kilku dni ją odzyszcze. To samo powtórzył i Zbyszkowi, który od wczorajszej nocy szalał ze zdumienia i trwogi. Stary rycerz nie chciał jednak odpowiadać na żadne jego pytania, oświadczył mu natomiast, by czekał cierpliwie i tymczasem nic nie przedsiębrał dla uwolnienia Danusi, gdyż to jest rzecz zbyteczna. Pod wieczór zamknął się znów z księdzem Kalebem, któremu naprzód rozkazał spisać swą ostatnią wolę, potem zaś spowiadał się, a po przyjęciu Komunji wezwał przed siebie Zbyszka i starego, wiecznie milczącego Tolimę, który bywał mu towarzyszem we wszystkich wyprawach i walkach, a w czasie spokoju gospodarował w Spychowie.

— Oto jest — rzekł, zwracając się do starego wojownika i podnosząc glos, jakby mówił do człowieka, który niedosłyszy — mąż mojej córki, którą na książęcym dworze zaślubił, na co i moją zgodę uzyskał. Ten ci ma tu przeto być po mojej śmierci panem i zaś dziedzicem gródka, ziem, borów, ługów, ludzi i wszelakiego statku, który się w Spychowie znajduje...

Usłyszawszy to, Tolima zdumiał się bardzo i począł zwracać swą kwadratową głowę to w stronę Zbyszka, to w stronę Juranda; nie

rzekł jednak nic, gdyż prawie nigdy nic nie mówił, tylko pochylił się przed Zbyszkiem i objął zlekka dłońmi jego kolana.

A Jurand mówił dalej:

— Którą to wolę moją spisał ksiądz Kaleb, a pod pismem pieczęć się moja na wosku znajduje; ty zaś masz świadczyć, żeś to ode mnie słyszał i żem rozkazał, aby tu dla tego młodego rycerza taki sam posłuch był, jako i dla mnie. Zaś co jest w skarbcu łupów i pieniędzy, to mu pokażesz — i będziesz mu wiernie w pokoju i na wojnie do śmierci służył. Słyszałeś?

Tolima podniósł ręce do uszu i skinął głową poczem na dany znak przez Juranda skłonił się i odszedł, rycerz zaś zwrócił się do Zbyszka i rzekł z naciskiem:

— Tem, co jest w skarbcu, można choćby największą chciwość pokusić — i nie jednego, ale stu brańców wykupić. Pamiętaj.

Lecz Zbyszko spytał:

— A czemu to już zdajecie mi Spychów?

— Więcej ci ja niż Spychów zdaję, bo dziecko.

— I śmierci godzina niewiadoma — rzekł ksiądz Kaleb.

— Juści niewiadoma — powtórzył jakby ze smutkiem Jurand. — Toć-że niedawno śniegi mnie przysypały, a chociaż Bóg mnie zratował, niema już we mnie dawnej siły...

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko — coś się w was odmieniło od wczoraj i o śmierci niż o Danusi radziej mówicie. Na miły Bóg!

— Wróci Danuśka, wróci — odpowiedział Jurand — nad nią jest opieka Boska. Ale jak wróci... słuchaj... Bierz ty ją do Bogdańca, a Spychów na Tolimę zdaj... To człek wierny, a tu ciężkie sąsiedztwo... Tam ci jej na powróz nie wezmą... tam przezpieczniej....

— Hej! — zakrzyknął Zbyszko — a wy już jakby z tamtego świata gadacie. Cóż to jest?

— Bom już przez pół był na tamtym świecie, a teraz tak mi się widzi, że jakowaś chorość mnie ima. I chodzi mi o dziecko... boć ja ją jedną mam. A i ty, choć wiem, że ją miłujesz...

Tu przerwał i wydobywszy z pochwy krótki mieczyk, zwany mizerykordją, zwrócił go rękojeścią ku Zbyszkowi.

— Przysięgnijże mi jeszcze na ten krzyżyk, jako jej nigdy nie pokrzywdzisz i będziesz statecznie miłował...

A Zbyszkowi aż łzy stanęły nagle w oczach; w jednej chwili rzucił się na kolana i położywszy palec na rękojeści, zawołał:

— Na świętą Mękę tak jej nie pokrzywdzę i będę statecznie miłował!

— Amen — rzekł ksiądz Kaleb.

Jurand zaś pochował w pochwę mizerykordję i otworzył mu ramiona:

— Toś mi i ty dziecko!...

Poczem rozeszli się, bo noc już zapadła głęboka, a od kilku dni już nie zaznali dobrego wywczasu. Zbyszko jednakże wstał nazajutrz świtaniem, albowiem wczoraj zląkł się istotnie, czy nie idzie na

Juranda jakowaś choroba i chciał teraz dowiedzieć się, jak starszy rycerz spędził noc.

Przed drzwiami Jurandowej izby natknął się na Tolimę, który z niej właśnie wychodził.

— A jakoże pan? — zdrowi? — zapytał.

Ów zaś skłonił się, a następnie otoczył ucho dłonią i rzekł:

— Wasza Miłość co każą?

— Pytam: jak się ma pan? — powtórzył głośniej Zbyszko.

— Pan pojechał.

— Dokąd?

— Nie wiem... We zbroi...

31.

Świt począł właśnie bielić drzewa, krze i bryły wapienne, rozrzucone tu i owdzie po polach, gdy najęty przewodnik, idący przy koniu Juranda, zatrzymał się i rzekł:

— Pozwólcie mi odetchnąć, panie rycerzu, bom się zasapał. Odwilż jest i mgła, ale to już niedaleko...

— Doprowadzisz mnie do gościńca, a potem wrócisz — odrzekł Jurand.

— Gościniec będzie w prawo za borkiem, a z pagórka zaraz zamek ujrzycie.

To rzekłszy, chłop począł „zabijać" ręce, to jest uderzać dłońmi pod pachy, gdyż był zziąbł od rannej wilgoci, poczem przysiadł na kamieniu, bo się przy tej robocie jeszcze bardziej zasapał.

— A nie wiesz, jest li komtur w zamku? — zapytał Jurand.

— Gdzieby zaś miał być, kiedy chory?

— Coże mu?

— Ludzie mówią, że go rycerze polscy sprali — odrzekł stary chłop.

I w głosie jego czuć było jakby pewne zadowolenie. Był poddanym krzyżackim, ale jego mazurskie serce radowało się przewagą polskich rycerzy.

Jakoż po chwili dodał:

— Hej! mocni nasi panowie, ale im z nimi ciężko.

Lecz zaraz potem spojrzał bystro na rycerza i jakby chcąc się upewnić, że nie spotka go nic złego za słowa, które mu się niebacznie wymknęły, rzekł:

— Wy, panie, po naszemu mówicie, wyście nie Niemiec?

— Nie — odrzekł Jurand — ale prowadź dalej.

Chłop wstał i począł znów iść przy koniu. Po drodze zasuwał kiedy niekiedy dłoń w kaletę, wydostawał z niej garść niemielonego żyta i wsypywał ją sobie do ust, gdy zaś zaspokoił w tem sposób pierwszy głód, począł tłumaczyć, dlaczego je surowe ziarno, chociaż Jurand, zbyt zajęty własnem nieszczęściem i własnemi myślami, nawet tego nie dostrzegł:

— Chwała Bogu i za to — mówił. — Ciężkie życie pod naszymi niemieckimi panami. Ponakładali podatki od mlewa takie, że ubogi człek musi z plewą ziarno gryźć, jak bydlę. A gdzie żarna w chałupie znajdą, tam chłopa skatują, dobytek zagarną, ba! dzieciom i babom nie przepuszczą... Nie boją się oni ni Boga, ni księży, jako i wielborskiego proboszcza, który im to przyganiał, na łańcuch wzięli. Oj, ciężko pod Niemcem! Co tam człek ziarna między dwoma kamieniami ugniecie, to tę przygarść mąki na świętą niedzielę chowa, a w piątek tak jeść musi jako ptacy. Ale chwała Bogu i za to, bo przyjdzie li przednówek, to i tego nie stanie... Ryby łowić nie wolno... zwierza bić też.... Nie tak, jak na Mazowszu.

W ten sposób wyrzekał krzyżacki chłop, mówiąc przez pół do siebie, przez pół do Juranda, a tymczasem minęli pustać, pokrytą utulonemi pod śniegiem bryłami wapienia i weszli w las, który w zarannem świetle wydawał się siwy i od którego bił surowy, wilgotny chłód. Rozedniało już zupełnie; inaczej trudno byłoby Jurandowi przejechać leśną drożyną, idącą nieco w górę i tak ciasną, że miejscami olbrzymi jego bojowy koń zaledwie mógł się przecisnąć wśród pni. Lecz borek skończył się wkrótce i po upływie kilku pacierzy, znaleźli się na szczycie białego pagórka, którego środkiem biegł wyjeżdżony gościniec.

— To i droga — rzekł chłop — traficie teraz, panie, sami.

— Trafię — odrzekł Jurand. — Wracaj, człeku, do domu.

I sięgnąwszy ręką do skórzanej torby, przymocowanej na przedzie siodła, wydobył z niej srebrny pieniądz i podał go przewodnikowi. Chłop, przyzwyczajony więcej do razów niż do datków z rąk miejscowych krzyżackich rycerzy, oczom prawie nie chciał wierzyć i porwawszy pieniądz, przypadł głową do strzemienia Juranda i objął je rękoma.

— O Jezusie, Maryo! — zawołał — Bóg zapłać waszej wielmożności!

— Ostawaj z Bogiem.

— Niech was Boska moc prowadzi. Szczytno przed wami.

To rzekłszy, raz jeszcze pochylił się do strzemienia i zniknął. Jurand został na wzgórzu sam i spoglądał we wskazanym mu przez wieśniaka kierunku na szarą, wilgotną oponę mgły, która zasłaniała przed nim świat. Za tą mgłą krył się ów złowrogi zamek, ku któremu popychała go przemoc i niedola. Blizko już, blizko! a potem co się ma stać i spełnić, to się stanie i spełni... Na tę myśl w sercu Juranda, obok trwogi i niepokoju o Danusię, obok gotowości wykupienia jej z wrogich rąk choćby krwią własną, zrodziło się nowe, niesłychanie gorzkie a nieznane mu dotychczas nigdy uczucie upokorzenia. Oto on, Jurand, na którego wspomnienie drżeli pograniczni komturowie, jechał teraz na ich rozkaz z powinną głową. On, który tylu ich zwyciężył i podeptał, czuł się teraz zwyciężonym i podeptanym. Nie zwyciężyli go wprawdzie w polu, nie odwagą i rycerską siłą, niemniej jednak czuł się zwyciężonym. I było to dla niego czemś tak niesłychanem, iż zdawało mu się, że cały porządek świata został na nice wywrócony. On jechał ukorzyć się Krzyżakom, on, który, gdyby nie chodziło o Danu-

się, wolałby sam jeden potykać się ze wszystkiemi siłami Zakonu. Alboż nie trafiało się, że pojedyńczy rycerz, mając wybór między sromotą a śmiercią uderzał na całe wojska? A on czuł, że może mu się przygodzić i sromota, i na myśl o tem, wyło w nim serce z bólu, jak wyje wilk, uczuwszy w sobie grot.

Lecz był to człowiek, mający nietylko ciało, lecz i duszę z żelaza. Umiał łamać innych, umiał i siebie.

— Nie ruszę się — rzekł sobie — póki nie spętam tego gniewu, którym mógłbym zgubić, nie zaś wybawić dziecko.

I wraz schwycił się jakby za bary ze swojem hardem sercem, ze swoją zawziętością i żądzą boju. Ktoby go widział na onem wzgórzu, we zbroi, bez ruchu, na ogromnym koniu, rzekłby, że to jakiś olbrzym, ulany z żelaza i nie poznałby, że ów nieruchomy rycerz toczy w tej chwili najcięższą ze wszystkich walk, jakie kiedykolwiek w życiu stoczył. Lecz on zmagał się z sobą póty, póki się nie zmógł i póki nie poczuł, że wola go nie zawiedzie.

Tymczasem mgły rzedły i jakkolwiek nie rozproszyły się do cna, jednakże zamajaczało w końcu w nich coś ciemniejszego. Jurand odgadł, że to są mury szczytnowskiego zamku. Na ten widok nie ruszył się jeszcze z miejsca, ale począł się modlić, tak gorąco i gorliwie, jak modli się człowiek, któremu na świecie pozostało już tylko Boskie miłosierdzie.

I gdy wreszcie ruszył koniem, poczuł, że w serce poczyna mu wstępować jakowaś otucha. Gotów był teraz znieść wszystko, co go mogło spotkać. Przypomniał mu się św. Jerzy, potomek największego rodu w Kapadocji, który znosił różne hańbiące katusze, a jednakże nietylko czci nie stradał, lecz na prawicy Bożej jest posadzon i patronem wszystkiego rycerstwa mianowany. Jurand słyszał nieraz opowiadania o jego przygodach od pątników, przybyłych z dalekich krain i wspomnieniem ich ukrzepił w sobie teraz serce.

Zwolna poczęła się w nich budzić nawet i nadzieja. Krzyżacy słynęli wprawdzie z mściwości, przeto nie wątpił, że wywrą nad nim pomstę za wszystkie klęski, jakie im zadał, za hańbę, która spadała na nich po każdem spotkaniu i za strach, w jakim przez tyle lat żyli.

Ale to właśnie dodawało mu ducha. Myślał, że Danusię porwali po to tylko, by go dostać, więc gdy go dostaną, to co im po niej? Tak! Jego skują niechybnie i nie chcąc trzymać w pobliżu Mazowsza, wyślą do jakich odległych zamków, gdzie może do końca życia przyjdzie mu jęczeć w podziemiu, ale Danusię będą woleli puścić. Choćby też wyszło na jaw, że go podstępem dostali i gnębią, nie weźmie im tego zbyt za złe ni Wielki Mistrz, ni kapituła, bo przecie on, Jurand, bywał istotnie ciężkim Krzyżakom i wytoczył z nich więcej krwi, niż jakikolwiek inny rycerz w świecie. Natomiast ten sam Wielki Mistrz możeby ich i pokarał za więzienie niewinnej dziewczyny, a do tego wychowanki księcia, o którego przychylność starał się wobec grożącej wojny z królem polskim usilnie.

I nadzieja ogarniała go coraz potężniej. Chwilami wydawało mu się rzeczą niemal pewną, że Danusia wróci do Spychowa, pod Zby-

szkową możną opiekę... „A chłop tęgi jest — myślał — nie da ci jej nikomu ukrzywdzić”. I począł przypominać sobie z pewnem rozrzewnieniem wszystko, co o Zbyszku wiedział: Bił w Niemców pod Wilnem, na pojedynkę z nimi chadzał. Fryzów, których ze stryjcem pozwali, poćwiertował, w Lichtensteina też bił, od tura dziecko bronił i tamtych czterech pozwał, którym pewnikiem nie daruje”. Tu podniósł Jurand oczy ku górze i rzekł:

— Ja ją tobie, Boże, a Ty Zbyszkowi!

I uczyniło mu się jeszcze raźniej, sądził bowiem, że skoro ją Bóg młodziankowi podarował, to przecie nie pozwoli Niemcom z siebie zadrwić, z rąk ich ją wyrwie, choćby cała potęga krzyżacka nie puszczała. Lecz potem znów jął myśleć o Zbyszku: „Ba! nietylko chłop tęgi, ale i szczery, jak złoto. Będzie jej strzegł, będzie ją miłował i daj, Jezu, dziecku jak możesz najlepiej, ale widzi mi się, że przy nim nie pożałuje ni książęcego dworca, ni ojcowego kochania...” Na tę myśl powieki Juranda zwilgotniały nagle i w sercu zerwała mu się ogromna tęsknota. Chciałby przecie jeszcze dziecko w życiu widzieć i kiedyś, kiedyś umrzeć w Spychowie przy tych dwojgu, nie zaś w ciemnych piwnicach krzyżackich. Ale wola Boska!... Szczytno było już widać. Mury rysowały się we mgle coraz wyraźniej, blizka już była godzina ofiary, więc począł się jeszcze pokrzepiać i tak do siebie mówić:

— Juźci, że wola Boska! Ale wieczór żywota blizki. Kilka roków więcej, kilka mniej, wyjdzie na jedno. Hej, chciałoby się jeszcze na oboje dzieci pojrzeć, ale po sprawiedliwości, to człek się nażył. Czego miał doznać, doznał, kogo miał pomścić, pomścił. A teraz co? Radziej do Boga, niż do świata, a skoro trzeba przycierpieć, to trzeba. Danuśka ze Zbyszkiem, choćby im było najlepiej, nie zapomną. Pewnie, że nieraz będą wspominać a uradzać: gdzie też jest? żyw li, czy też już u Boga w wiecu?... Będą przepytywać i może się dowiedzą. Łapczywi są na pomstę Krzyżacy, ale i na wykup łapczywi, Zbyszkoby nie pożałował, aby choć kości wykupić. A na mszę to z pewnością nieraz dadzą. Ućciwe u obojga serca i kochające, za co ich, Boże i Ty, Matko Najświętsza, błogosław.

Gościniec stawał się nietylko coraz szerszy, ale się i zaludniał. Ciągnęły ku miastu wozy z drzewem i słomą. Skotarze pędzili bydło. Od jezior wieziono na saniach zmarzłą rybę. W jednem miejscu czterech łuczników wiodło na łańcuchu chłopa, widać za jakieś przewinienie na sąd, gdyż ręce miał z tyłu związane, a na nogach kajdany, które zawadzając o śnieg, ledwie pozwoliły mu się poruszać. Ze zdyszanych jego nozdrzy i ust wychodził oddech w kształcie kłębów pary, a oni popędzając go, śpiewali. Ujrzawszy Juranda, poczęli spoglądać na niego ciekawie, dziwiąc się widocznie ogromowi jeźdźca i konia, ale na widok złotych ostróg i rycerskiego pasa, pospuszczali kusze ku ziemi na znak powitania i czci. W miasteczku było jeszcze ludniej i gwarniej, ustępowano jednak z pośpiechem zbrojnemu mężowi z drogi, ów zaś przejechał główną ulicę i skręcił ku zamkowi, który otulony w tumany, zdawał się jeszcze spać. Lecz nie wszystko naokół spało, a przynajmniej nie spały wrony i kruki, których całe stada wichrzyły się na podnie-

sieniu, stanowiącem dojazd do zamku, łopocąc skrzydłami i kracząc. Jurand, podjechawszy bliżej, zrozumiał powód tego ptasiego wiecu. Oto obok drogi, wiodącej do bramy zamkowej, stała obszerna szubienica, na niej zaś wisiały ciała czterech mazurskich chłopów krzyżackich. Nie było najmniejszego powiewu, więc trupy, które zdawały się spoglądać na własne stopy, nie kołysały się, chyba wówczas, gdy czarne ptactwo siadało im na ramiona i na głowy, przepychając się wzajem, trącając w powrozy i dziobiąc o pospuszczane głowy. Niektórzy wisielcy musieli wisieć już oddawna, gdyż czaszki ich były całkiem nagie, a nogi niezmiernie wydłużone. Za zbliżeniem się Juranda stado zerwało się z wielkim szumem, ale wnet zawróciło w powietrzu i poczęło się sadowić na poprzecznej belce szubienicy. Jurand przejechał mimo, czyniąc znak krzyża, zbliżył się do przekopu i stanąwszy w miejscu, w którem nad bramą wznosił się most zwodzony, uderzył w róg.

Poczem zatrąbił raz drugi, trzeci i czekał. Na murach nie było żywej duszy i z za bramy nie dochodził żaden głos. Po chwili jednak ciężka, widoczna za kratą klapa, wmurowana w pobliżu zamku bramy, podniosła się ze zgrzytem i w otworze ukazała się brodata głowa niemieckiego knechta.

— W e r d a ? — spytał szorstki głos.

— Jurand ze Spychowa! — odpowiedział rycerz.

Po tych słowach klapa zamknęła się na nowo i nastało głuche milczenie.

Czas począł płynąć. Za bramą nie słychać było żadnego ruchu, tylko od strony szubienicy dochodziło krakanie ptactwa.

Jurand stał jeszcze długo, zanim podniósł róg i uderzył weń powtórnie.

Ale odpowiedziała mu znów cisza.

Wówczas zrozumiał, że trzymają go przed bramą przez krzyżacką pychę, która wobec zwyciężonego nie ma granic, dlatego by go upokorzyć, jak żebraka. Odgadł też, że przyjdzie mu tak czekać może aż do wieczora, albo i dłużej. Więc w pierwszej chwili zawrzała w nim krew: chwyciła go nagle chęć zsiąść z konia, podnieść jeden z głazów, które leżały przed przekopem i rzucić nim w kratę. Tak byłby w innym razie uczynił i on i każdy inny mazowiecki albo polski rycerz i niechby potem wypadli z za bramy bić się z nim. Ale wspomniawszy, po co tu przybył, opamiętał się i powstrzymał:

— Zalim się nie ofiarował za dziecko? — rzekł sobie w duszy.

I czekał.

Tymczasem w wyzębieniach murów poczęło coś czernieć. Ukazywały się futrzane nakrycia głów, ciemne kapice i nawet żelazne blachy, z pod których spoglądały na rycerza ciekawe oczy. Przybywało ich z każdą chwilą, bo już też ten groźny Jurand, wyczekujący samotnie pod krzyżacką bramą, był dla załogi niebyle widowiskiem. Kto go dawniej ujrzał przed sobą, ujrzał śmierć, a teraz można było patrzeć na niego bezpiecznie. Głowy podnosiły się coraz wyżej, aż wreszcie wszystkie wyzębienia bliższe bramy pokryły się knechtami. Jurand po-

myślał, że zapewne i starsi muszą na niego spoglądać przez kraty okien w przybramnej wieży i podniósł wzrok ku górze, ale tam okna powycinane były w głębokich murach i patrzeć przez nie było niepodobna, chyba w dal. Za to na blankach czereda, która z początku spozierała na niego w milczeniu, poczęła się odzywać. Ten i ów powtarzał jego imię, tu i owdzie ozwały się śmiechy, ochrypłe głosy wykrzykiwały jak na wilka, coraz głośniej, coraz zuchwalej, a gdy widocznie nikt nie przeszkadzał ze środka, poczęto wreszcie miotać na stojącego rycerza śniegiem.

Ów, jakby mimowoli, ruszył przed siebie koniem, wówczas na jedną chwilę bryły śniegu przestały lecieć, głosy ucichły, a nawet i niektóre głowy poznikały za murami. Groźne musiało być istotnie Jurandowe imię. Wnet jednak najtchórzliwsi opamiętali się, że dzieli ich od strasznego Mazura rów i mur, więc znów grube żołdactwo poczęło miotać nietylko bryłkami śniegu, ale lodu i nawet gruzu i kamyków, które z brzękiem odbijały się od zbroi i kropieża, pokrywającego konia.

— Ofiarowałem się za dziecko — powtarzał sobie Jurand.

I czekał. Przyszło południe, mury opustoszały, gdyż knechtów odwołano na obiad. Nieliczni, ci, którym przypadło stróżować, jedli jednak na murach, a po spożyciu strawy zabawiali się znowu ciskaniem na głodnego rycerza ogryzionych gnatów. Poczęli też przekomarzać się z sobą i zapytywać się wzajem, który podejmie się zejść i dać mu po karku pięścią, albo drągiem oszczepu. Inni, wróciwszy z obiadu, wołali na niego, że jeśli zmierziło mu się czekać, to się może powiesić, gdyż na szubienicy jest jeden wolny hak z gotowym powrozem. I wśród takich szyderstw, wśród nawoływań, wybuchów śmiechu i przekleństw, zbiegały popołudniowe godziny. Krótki zimowy dzień chylił się stopniowo ku wieczorowi, a most wisiał wciąż w powietrzu i brama pozostawała zamknięta.

Lecz pod wieczór wstał wiatr, rozwiał mgły, oczyścił niebo i odsłonił zorze. Śniegi uczyniły się modre, a później fioletowe. Nie było mrozu, ale noc zapowiadała się pogodna. Z murów zeszli znów ludzie, prócz straży, kruki i wrony odleciały od szubienicy ku lasom. Wreszcie poczerniało niebo i cisza nastała zupełna.

— Nie otworzą przed nocą bramy — pomyślał Jurand.

I na chwilę przeszło mu przez głowę, by nawrócić ku miastu, ale zaraz porzucił tę myśl. „Chcą tego, bym tu stał — mówił sobie w duszy. — Jeśli nawrócę, juści nie puszczą mnie do dom, jeno otoczą, pojmają, a potem rzekną, że mi nic nie powinni, bo mnie siłą wzięli, a choćbym zaś po nich przyjechał, to i tak muszę wrócić...”

Niezmierna, podziwiana przez obcych kronikarzy wytrzymałość polskich rycerzy na chłód, głód i trudy nieraz pozwalała im dokonywać czynów, na które nie mogli się zdobyć bardziej zniewieściali ludzie z Zachodu. Jurand zaś posiadał tę wytrzymałość w większej jeszcze od innych mierze; więc choć głód począł mu już oddawna skręcać wnętrzności, a zamróz wieczorny przeniknął przez pokryty blachami kożuch, postanowił czekać, choćby miał skonać pod tą bramą.



O Jezu! dyć słyszę jeszcze dziecko! O Jezu!

Nagle jednak, nim jeszcze zapanowała zupełna noc, usłyszał za sobą chrzęst kroków na śniegu.

Obejrzał się: szło ku niemu od strony miasta sześciu ludzi, zbrojnych we włócznie i halabardy, w środku zaś między nimi szedł siódmy, podpierając się mieczem.

— Może im bramę otworzą i z nimi wjadę — pomyślał Jurand. — Siłą mnie nie będą chcieli brać, ni zabić, bo ich za mało; gdyby wszelako uderzyli na mnie, to znak, że nie chcą niczego dotrzymać i wtedy — gorze im!

Tak pomyślawszy, podniósł stalowy topór, wiszący mu przy siodle, tak ciężki, że za ciężki nawet na dwie ręce zwykłego męża — i ruszył ku nim koniem.

Lecz oni nie myśleli na niego uderzać. Owszem, knechtowie wbili zaraz w śnieg tylca włócznie i halabard — że zaś noc nie była jeszcze całkiem ciemna, więc Jurand spostrzegł, że osady drżą im nieco w ręku.

Ów zaś siódmy, który wydawał się starszym, wyciągnął spiesznie lewe ramię i zwróciwszy dłoń do góry palcami, ozwał się:

— Wyście, rycerzu, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest...

— Chcecie-li wysłuchać, z czem mnie przysłano?

— Słucham.

— Silny i pobożny komtur von Danveld każe wam powiedzieć, panie, że póki nie zsiądziecie z konia, brama nie będzie wam otworzona.

Jurand pozostał chwilę bez ruchu, następnie zsiadł z konia, po którego w tej chwili poskoczył jeden z włóczników.

— I broń ma nam być oddana — ozwał się znów człowiek z mieczem.

Pan ze Spychowa zawahał się. Nuż potem uderzą na bezbronnego i zadźgają go, jak zwierzę? nuż chwycą i wtrącą do podziemia? Lecz po chwili pomyślał, że gdyby tak miało być, toby ich jednak przysłano więcej. Bo gdyby się na niego mieli rzucić, zbroi odrazu na nim nie przebodą, a wówczas on mógłby wydrzeć broń pierwszemu z brzega i wytracić wszystkich, nimby nadbiegła pomoc. Znali go przecie.

— I choćby też — rzekł sobie — chcieli wytoczyć ze mnie krew, toć-żem ja nie po co innego tu przybył.

Tak pomyślawszy, rzucił naprzód topór, następnie miecz, następnie mizerykordyę — i czekał. Oni zaś chwycili to wszystko, poczem ów człowiek, który do niego przemawiał, oddaliwszy się na kilkanaście kroków, zatrzymał się i począł mówić zuchwałym, podniesionym głosem:

— Za wszystkie krzywdy, któreś Zakonowi wyrządził, masz z rozkazu komtura przywdziać na się ów zgrzebny wór, który ci zostawiam, przywiązać u szyi na powrozie pochwę od miecza i czekać w pokorze u bramy, póki ci łaska komtura nie rozkaże jej otworzyć.

I po chwili Jurand pozostał sam w ciemności i ciszy. Na śniegu czerniał przed nim pokutniczy wór i powróz, on zaś stał długo, czując, że mu się w duszy coś rozprzęga, coś łamie, coś kona i mrze i że oto po chwili nie będzie już rycerzem, nie będzie już Jurandem ze Spychowa, lecz nędzarzem, niewolnikiem bez imienia, bez sławy, bez czci.

Więc upłynęły jeszcze długie chwile, nim zbliżył się do pokutniczego woru i począł mówić:

— Jakoż mogę inaczej postąpić? Ty, Chryste, wiesz: dziecko niewinne uduszą, jeśli nie uczynię wszystkiego, co mi każą. I to też wiesz, że dla własnego żywota tegobym nie uczynił! Gorzka rzecz hańba!... gorzka! ale i Ciebie przed śmiercią hańbili. A no, w imię Ojca i Syna...

Poczem pochylił się, wdział na się wór, w którym były poprzecinane otwory na głowę i ręce, następnie u szyi zawiesił na powrozie pochwę od miecza — i powlókł się przed bramę.

Nie zastał jej otwartej, ale teraz było mu już wszystko jedno, czy mu ją prędzej, czy później otworzą. Zamek pogrążył się w milczeniu nocy, straże tylko obwoływały się kiedy niekiedy po narożnikach. W wieży przybramnej świeciło wysoko jedno okienko, inne były ciemne.

Godziny nocy płynęły jedne za drugą, na niebo wzbił się sierp księżyca i rozświecił posępne mury zamku. Cisza uczyniła się taka, że Jurand mógłby słyszeć bicie własnego serca. Ale on zdrętwiał i skamieniał całkiem, jakby z niego wyjęto duszę i nie zdawał już sobie sprawy z niczego. Została mu tylko jedna myśl, że przestał być rycerzem, Jurandem ze Spychowa, ale czem jest — nie wiedział. Chwilami także majaczyło mu się coś, że wśród nocy, od tych wisielców, których zrana widział, idzie ku niemu cicho po śniegu śmierć...

Nagle drgnął i rozbudził się zupełnie:

— O Chryste miłosierny! co to jest?!

Z wysokiego okienka w przybramnej wieży ozwały się jakieś, zaledwie z początku dosłyszalne dźwięki lutni. Jurand, jadąc do Szczytna, był pewien, że niema Danusi w zamku, a jednak ten głos lutni po nocy wzburzył w nim w jednej chwili serce. Wydało mu się, że on te dźwięki zna i że to nie kto inny gra, tylko ona — jego dziecko! jego kochanie... Więc padł na kolana, złożył ręce, do modlitwy i dygocąc, jak w gorączce, słuchał.

A wtem nawpół dziecinny i jakby niezmiernie stęskniony głos począł śpiewać:

Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Śląska.

Jurand chciał odezwać się, wykrzyknąć kochane imię, ale słowa uwięzły mu w gardle, jakby je ścisnęła żelazna obręcz. Nagła fala bólu, łez, tęsknoty, niedoli wezbrała mu w piersiach, więc rzucił

się twarzą w śnieg i jął w uniesieniu wołać ku niebu w duszy, jakby w dziękczynnej modlitwie:

— O Jezu! być słyszę jeszcze dziecko! o Jezu!!...

I szlochanie poczęło targać jego olbrzymiem ciałem. W górze tęskny głos śpiewał dalej wśród niezmąconej nocnej ciszy:

Usiadłabym ci ja
Na ślązkowskim płocie:
Przypatrz się Jasieńku,
Ubogiej sierocie!...

Rankiem gruby, brodaty knecht niemiecki począł kopać w biodro leżącego przy bramie rycerza.

— Na nogi, psie!... Brama otwarta i komtur każe ci stanąć przed sobą.

Jurand zbudził się, jakby ze snu. Nie chwycił knechta za gardło, nie skruszył go w żelaznych rękach, twarz miał cichą i niemal pokorną; podniósł się i nie mówiąc ni słowa, poszedł za żołdakiem przez bramę. Zaledwie jednak ją przeszedł, gdy ozwał się za nim zgrzyt łańcuchów i most zwodzony począł podnosić się do góry, w samej zaś bramie spadła ciężka żelazna krata...

32.

Jurand, znalazłszy się na podworcu zamkowym, nie wiedział zrazu dokąd iść, gdyż knecht, który go przeprowadził przez bramę, opuścił go i udał się ku stajniom. Przy blankach stali wprawdzie żołdacy, to pojedyńczo, to po kilku razem, ale twarze ich były tak zuchwałe, a spojrzenia tak szydercze, iż łatwo było rycerzowi odgadnąć, że mu drogi nie wskażą, a jeśli na pytanie odpowiedzą, to chyba grubijaństwem, lub zniewagą.

Niektórzy śmieli się, pokazując go sobie palcami; inni poczęli nań znów miotać śniegiem, tak samo, jak dnia wczorajszego. Lecz on, spostrzegłszy drzwi większe od innych, nad któremi wykuty był w kamieniu Chrystus na krzyżu, udał się ku nim w mniemaniu, że jeśli komtur i starszyzna znajdują się w innej części zamku lub w innych izbach, to go ktoś musi przecie z błędnej drogi nawrócić.

I tak się stało. W chwili, gdy Jurand zbliżył się do owych drzwi, obie ich połowy otworzyły się nagle, i stanął przed niemi młodzianek z wygoloną głową, jak klerycy, ale przybrany w suknię świecką, i zapytał:

— Wyście, panie, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest.

— Pobożny komtur rozkazał mi prowadzić was. Pójdźcie za mną.

I począł go wieść przez sklepioną wielką sień ku schodom. Przy schodach jednak zatrzymał się, i obrzuciwszy Juranda oczyma, znów spytał:

— Broni zaś nie macie przy sobie żadnej? Kazano mi was obszukać.

Jurand podniósł do góry oba ramiona, tak, aby przewodnik mógł dobrze obejrzeć całą jego postać, i odpowiedział:

— Wczoraj oddałem wszystko.

Wówczas przewodnik zniżył głos i rzekł prawie szeptem:

— Tedy strzeżcie się gniewem wybuchnąć, boście pod mocą i przemocą.

— Aleć i pod wolą Boską — odpowiedział Jurand.

I to rzekłszy, spojrzał uważniej na przewodnika, a spostrzegłszy w jego twarzy coś w rodzaju politowania i współczucia, rzekł:

— Uczciwość patrzy ci z oczu, pachołku. Odpowiesz-że mi szczerze na to, o co spytam?

— Spieszcie się, panie — rzekł przewodnik.

— Oddadzą dziecko za mnie?

A młodzieniec podniósł brwi ze zdziwieniem:

— To waße dziecko tu jest?

— Córka.

— Owa panna w wieży przy bramie?

— Tak jest. Przyrzekli ją odesłać, jeśli im się sam oddam.

Przewodnik poruszył ręką na znak, że nic nie wie, ale twarz jego wyrażała niepokój i zwątpienie.

A Jurand spytał jeszcze:

— Prawda-li, że strzegą jej Szomberg i Markwardt?

— Niema tych braci w zamku. Odbierzcie ją jednak, panie, nim starosta Danveld ozdrowieje.

Usłyszawszy to, Jurand zadrżał, ale nie było już czasu pytać o nic więcej, gdyż doszli do sali na piętrze, w której Jurand miał stanąć przed obliczem starosty Szczycieńskiego. Pachołek, otworzywszy drzwi, cofnął się napowrót ku schodom.

Rycerz ze Spychowa wszedł i znalazł się w obszernej komnacie, bardzo ciemnej, gdyż szklane, oprawne w ołów gomółki przepuszczały niewiele światła, a przytem dzień był zimowy, chmurny. W drugim końcu komnaty palił się wprawdzie na wielkim kominie ogień, ale źle wysuszone kłody mało dawały płomienia. Dopiero po niejakim czasie, gdy oczy Juranda oswoiły się ze zmrokiem, dostrzegł w głębi stół i siedzących za nim rycerzy, a dalej za ich plecami całą gromadę zbrojnych giermków i równie zbrojnych knechtów, między którymi błazen zamkowy trzymał na łańcuchu oswojonego niedźwiedzia.

Jurand potykał się niegdyś z Danveldem, poczem widział go dwukrotnie na dworze księcia mazowieckiego, jako posła, ale od tych terminów upłynęło kilka lat; poznał go jednak pomimo mroku natychmiast, i po otyłości i po twarzy, a wreszcie po tem, że siedział za stołem w pośrodku, w poręczastem krześle, mając rękę ujętą w drewniane łupki, opartą na poręczy. Po prawej jego stronie siedział stary Zygfryd de Loewe z Insburka, nieubłagany wróg polskiego plemienia wogóle, a Juranda ze Spychowa w szczególności; po lewej młodsi bracia Gotfryd i Rotgier. Danveld zaprosił ich umyślnie, aby patrzyli na jego triumf nad groźnym wrogiem, a zarazem nacieszyli

się owocami zdrady, którą na współkę uknuli i do której wykonania dopomogli. Siedzieli więc teraz wygodnie, przybrani w miękkie z ciemnego sukna szaty, z lekkimi mieczami przy boku — radośni, pewni siebie, spoglądając na Juranda z pychą i z tą niezmierną pogardą, którą mieli zawsze w sercach dla słabszych i zwyciężonych.

Długi czas trwało milczenie, albowiem pragnęli się nasycić widokiem męża, którego przedtem poprostu się bali, a który teraz stał przed nimi ze spuszczoną na piersi głową, przybrany w zgrzebny wór pokutniczy, z powrozem na szyi, na którym wisiała pochwa miecza.

Chcieli też widocznie, by jak największa liczba ludzi widziała jego upokorzenie, gdyż przez boczne drzwi, prowadzące do innych izb, wchodził kto chciał, i sala zapełniła się niemal do połowy zbrojnymi mężami. Wszyscy patrzyli z niezmierną ciekawością na Juranda, rozmawiając głośno i czyniąc nad nim uwagi. On zaś, widząc ich, nabrał właśnie otuchy, albowiem myślał w duszy: „Gdyby Danveld nie chciał dotrzymać tego, co obiecywał, nie wzywałby tylu świadków”.

Tymczasem Danveld skinął ręką i uciszył rozmowy, poczem dał znak jednemu z giermków, ów zaś zbliżył się do Juranda, i chwyciwszy dłonią za powróz, otaczający jego szyję, przyciągnął go o kilka kroków bliżej do stołu.

A Danveld spojrzał z triumfem na obecnych i rzekł:

— Patrzcie, jako moc Zakonu zwycięża złość i pychę.

— Daj tak Bóg zawsze! — odpowiedzieli obecni.

Nastała znów chwila milczenia, po której Danveld zwrócił się do jeńca:

— Kąsałeś Zakon jako pies zapieniony, przeto Bóg sprawił, że jako pies stoisz przed nami z powrozem na szyi, wyglądając łaski i zmiłowania.

— Nie równaj mnie z psem, komturze, — odrzekł Jurand — bo czci ujmujesz tym, którzy potykali się ze mną i z mojej ręki polegli.

Na te słowa szmer powstał między zbrojnymi Niemcami: nie wiadomo było, czy rozgniewała ich śmiałość odpowiedzi, czy uderzyła jej słuszność.

Lecz komtur nie był rad z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

— Patrzcie, oto tu jeszcze pluje nam w oczy hardością i pychą!

A Jurand wyciągnął w górę dłonie, jak człowiek, który niebiosa wzywa na świadki, i odrzekł, kiwając głową:

— Bóg widzi, że moja hardość została za bramą tutejszą. Bóg widzi i będzie sądził, czy hańbiąc mój stan rycerski, nie pohańbiliście się i sami. Jedna jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien.

Danveld zmarszczył brwi, ale w tej chwili błazen zamkowy począł brząkać łańcuchem, na którym trzymał niedźwiadka, i wołał:

— Kazanie! kazanie! przyjechał kaznodzieja z Mazowsza! Słuchajcie! Kazanie!...

Poczem zwrócił się do Danvelda.

— Panie! — rzekł: — graf Rosenheim, gdy go dzwonnik za wcześnie na kazanie dzwonieniem rozbudził, kazał mu zjeść sznur

dzwonniczy od węzła do węzła: ma i ów kaznodzieja powróz na szyi — każcie mu go zjeść, nim kazania dokończy.

I to rzekłszy, począł patrzeć na komtura nieco niespokojnie, nie był bowiem pewien, czy ów roześmieje się, czy każe go za niewczesne odezwanie się wysmagać. Lecz bracia zakonni, gładcy, układni, a nawet i pokorni, gdy nie poczuwali się w sile, nie znali natomiast żadnej miary wobec zwyciężonych; więc Danveld nietylko skinął głową skoromochowi na znak, że na urągowisko pozwala, lecz i sam wybuchnął grubijaństwem tak niesłychanem, że na twarzach kilku młodszych giermków odbiło się zdumienie.

— Nie narzekaj, żeć pohańbiono, — rzekł — bo choćbym cię psiarczykiem uczynił, lepszy psiarczyk zakonny, niż wasz rycerz!

A ośmielony błazen począł krzyczeć:

— Przynieś zgrzebło, wyczesz niedźwiedzia, a on ci wzajem kudły łapą wyczesze!

Na to tu i owdzie ozwały się śmiechy, jakiś głos zawołał z po za pleców braci zakonnych:

— Latem będziesz trzcinę na jeziorze kosił!

— I raki na ścierwo łowił! — zawołał inny.

Trzeci zaś dodał:

— A teraz pocznij wrony od wisielców odganiać! Nie zbraknie-ć tu roboty.

Tak to oni szydzili ze strasznego im niegdyś Juranda. Powoli wesołość ogarnęła zgromadzenie. Niektórzy, wyszedłszy z za stołu, poczęli zbliżać się do jeńca, opatrywać go zblizka i mówić: „Toć jest ów dzik ze Spychowa, któremu nasz komtur kły powybijał: pianę pewnie ma w pysku; radby kogo ciął, ale nie może!" Danveld i inni bracia zakonni, którzy chcieli z początku dać posłuchaniu, jakiś uroczysty pozór sądu, widząc, że rzecz obróciła się inaczej, podnosili się także z ław i pomieszali się z tymi, którzy zbliżyli się ku Jurandowi.

Nie był z tego rad stary Zygfryd z Insburka, ale sam komtur mu rzekł: „Rozmarszcie się, będzie jeszcze większa uciecha!" I poczęli także oglądać Juranda, gdyż to była sposobność rzadka, albowiem który z rycerzy lub knechtów widział go przedtem tak blizko, ten zwykle zamykał oczy potem na wieki. Więc niektórzy mówili także: „Pleczysty jest, chociaż ma kożuch pod worem; możnaby go grochowinami owinąć i po jarmarkach prowadzać..." Inni zaś jęli wołać o piwo, aby dzień stał im się jeszcze weselszy.

Jakoż po chwili zadzwoniły kopiaste dzbańce, a ciemna sala wypełniła się zapachem spadającej z pod pokryw piany. Rozweselony komtur rzekł: „Tak właśnie dobrze, niech nie myśli, że jego pohańbienie wielka rzecz!" Więc znowu zbliżali się do niego, i trącając go pod brodę konwiami, mówili: „Radbyś pił, mazurski ryju!" — a niektórzy, ulewając na dłonie, chlustali mu w oczy, on zaś stał między nimi, zahukany, zelżony, aż wreszcie ruszył ku staremu Zygfrydowi, i widocznie czując, że nie wytrzyma już długo, począł krzyczeć tak głośno, aby zagłuszyć gwar, panujący w sali:

— Na mękę Zbawiciela i duszne zbawienie, oddajcie mi dziecko, jakoście obiecali!

I chciał chwycić prawą dłoń starego komtura, ale ów odsunął się szybko i rzekł:

— Zdala, niewolniku! czego chcesz?

— Wypuściłem z jeństwa Bergowa i przyszedłem sam, boście obiecali, że za to oddacie mi dziecko, które się tu znajduje.

— Kto ci obiecywał? — spytał Danveld.

— W sumieniu i wierze, ty komturze.

— Świadków nie znajdziesz, ale za nic świadkowie, gdy chodzi o cześć i słowo.

— Na twoją cześć! na cześć Zakonu! — zawołał Jurand.

— Tedy córka będzie ci oddana! — odpowiedział Danveld.

Poczem zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Wszystko, co go tu spotkało — niewinna to igraszka, nie w miarę jego występków i zbrodni. Ale żeśmy przyrzekli wrócić mu córkę, jeśli się stawi i upokorzy przed nami, tedy wiedzcie, że słowo Krzyżaka ma być jako słowo Boże niewzruszonem, i że ową dziewkę, którąśmy rozbójnikom odjęli, darujem teraz wolnością, a po przykładnej pokucie za grzechy przeciw Zakonnowi i jemu do domu wrócić dozwolimy.

Zdziwiła niektórych taka mowa, gdyż znając Danvelda i jego dawne do Juranda urazy, nie spodziewali się po nim tej uczciwości. Więc stary Zygfryd, a z nim Rotgier i brat Gotfryd, spoglądali na niego, podnosząc ze zdumienia brwi i marszcząc czoła, ów jednakże udał, że tych pytających spojrzeń nie widzi, i rzekł:

— Córkę ci pod strażą odeślem, ty zaś tu ostaniesz, póki straż nasza bezpiecznie nie wróci i póki okupu nie zapłacisz.

Jurand sam był nieco zdumiony, albowiem już był stracił nadzieję, by nawet dla Danusi ofiara jego mogła się na coś przydać, więc spojrzał na Danvelda prawie z wdzięcznością i odpowiedział:

— Bóg ci zapłać, komturze!

— Poznaj rycerzy Chrystusa — rzekł Danveld.

A na to Jurand:

— Jużci z niego wszelkie miłosierdzie! Ale żem też dziecka kęs czasu nie oglądał, pozwólże mi dziewkę obaczyć i pobłogosławić.

— Ba, i nie inaczej, jak wobec nas wszystkich, aby zaś byli świadkowie naszej wiary i łaski.

To rzekłszy, kazał przybocznemu giermkowi sprowadzić Danusię, sam zaś zbliżył się do von Loewego, Rotgiera i Gotfryda, którzy otoczywszy go, poczęli szybką i żywą rozmowę.

— Nie przeciwię się, lubo nie takiś miał zamiar — mówił stary Zygfryd.

A gorący, słynny z męstwa i okrucieństwa Rotgier mówił:

— Jakto? nietylko dziewkę, ale i tego djabelskiego psa wypuścisz, aby znów kąsał?

— Nie tak ci jeszcze będzie kąsał! — zawołał Gotfryd.

— Ba!... zapłaci okup! — odparł niedbale Danveld.

— Choćby wszystko oddał, w rok dwa razy tyle złupi.

— Nie przeciwię ſię co do dziewki, — powtórzył Zygfryd — ale na tego wilka nieraz jeſzcze owieczki zakonu zapłaczą.

— A naſze ſłowo? — ſpytał, uśmiechając ſię, Danveld.

— Inaczej mówiłeś...

Danveld wzruſzył ramionami.

— Mało wam było uciechy? — ſpytał. — Chcecie więcej?

Inni zaś otoczyli znów Juranda i w poczuciu chwały, która z uczciwego poſtępku Danvelda ſpadła na wſzyſtkich ludzi zakonnych, poczęli mu ſię chełpić do oczu:

— A co, łomignacie! — mówił kapitan zamkowych łuczników: — nie takby poſtąpili twoi pogańſcy bracia z chrześcijańſkim naſzym rycerzem!

— Krew zaś naſzą toś pijał?

— A my ci za kamień chlebem...

Ale Jurand nie uważał już ni na pychę, ni na pogardę, która była w ich ſłowach: ſerce miał wezbrane, a rzęſy wilgotne. Myślał, że oto za chwilę zobaczy Danuſię, i że zobaczy ją iſtotnie z ich łaſki, więc ſpoglądał na mówiących prawie ze ſkruchą i wreſzcie odrzekł:

— Prawda! prawda! bywałem wam ciężki, ale... nie zdradliwy.

W tem w drugim końcu ſali jakiś głos krzyknął nagle: „Wiodą dziewkę!” — i naraz w całej ſali uczyniło ſię milczenie. Żołnierze rozſtąpili ſię na obie ſtrony, gdyż jakkolwiek żaden z nich nie widział dotąd Jurandówny, a większa ich część, z powodu tajemniczości, którą Danveld otaczał ſwe uczynki, nie wiedziała nawet nic o jej pobycie w zamku, jednakże ci, którzy wiedzieli, zdążyli już teraz ſzepnąć innym o przecudnej jej urodzie. Wſzyſtkie więc oczy ſkierowały ſię z nadzwyczajną ciekawością na drzwi, przez które miała ſię ukazać.

Tymczaſem naprzód ukazał ſię giermek, za nim znana wſzyſtkim ſłużka zakonna, ta ſama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weſzła przybrana biało dziewczyna, z rozpuſzczonymi włoſmi, przewiązanymi wſtążką na czole.

I nagle w całej ſali rozległ ſię nakſztałt grzmotu jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwſzej chwili ſkoczył był ku córce, cofnął ſię nagle i ſtał blady jak płótno, ſpoglądając ze zdumieniem na ſpiczaſtą głowę, na ſine uſta i na nieprzytomne oczy niedojdy, którą mu oddawano jako Danuſię.

— To nie moja córka! — rzekł trwożnym głoſem.

— Nie twoja córka? — zawołał Danveld. — Na świętego Liboryuſza z Paderbornu! To albośmy nie twoją zbójom odbili, albo ci ją jakiś czarownik zmienił, bo innej niema w Szczytnie.

Stary Zygfryd, Rotgier i Gotfryd zamienili z ſobą ſzybkie ſpojrzenia, pełne największego podziwu nad przebiegłością Danvelda, ale żaden z nich nie miał czaſu odezwać ſię, gdyż Jurand począł wołać okropnym głoſem:

— Jeſt! jeſt w Szczytnie! Słyſzałem, jako śpiewała, ſłyſzałem głos mojego dziecka.

Na to Danveld obrócił ſię do zebranych i rzekł ſpokojnie a dobitnie:

— Biorę was tu obecnych na świadków, a szczególnie ciebie, Zygfrydzie z Insburka, i was, pobożni bracia, Rotgierze i Gotfrydzie, że wedle słowa i uczynionej obietnicy oddaję tę dziewkę, o której pobici przez nas zbójcy powiadali, jako jest córką Juranda ze Spychowa. Jeśli zaś nią nie jest — nie nasza w tem wina, ale raczej wola Pana naszego, który w ten sposób chciał wydać Juranda w nasze ręce.

Zygfryd i dwaj młodsi bracia skłonili głowy na znak, że słyszą i będą w potrzebie świadczyli. Potem znów zmienili szybkie spojrzenia — gdyż było to więcej, niż sami mogli się spodziewać: schwytać Juranda, nie oddać mu córki, a jednak pozornie dotrzymać obietnicy, któż innyby to potrafił!

Lecz Jurand rzucił się na kolana i począł zaklinać Danvelda na wszystkie relikwie w Malborgu, a potem na prochy i głowy rodziców, by oddał mu prawdziwe jego dziecko i nie postępował jako oszust i zdrajca, łamiący przysięgi i obietnice. W głosie jego tyle było rozpaczy i prawdy, że niektórzy poczęli się domyślać podstępu, innym zaś przychodziło na myśl, że może naprawdę jaki czarownik odmienił postać dziewczyny.

— Bóg patrzy na twoją zdradę! — wołał Jurand. — Na rany Zbawiciela! na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się naprzemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz, jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu, i pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Jeślić ją oddam — to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!!" — poczem ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygfryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął jak burza na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednem uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachołków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno, — i rozpaczliwem wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń, i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, nawpół obłąkany, sam skoczył ku nim, i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi, niż do orężnej rozprawy. Młody

i zapalczywy brat Gotfryd pierwſzy zaſtąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyſkawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za nim padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy, von Bracht i Anglik Hugues, który choć nie bardzo rozumiał o co chodzi, litował ſię jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobył oręż dopiero po zabiciu Danvelda. Inni, widząc ſtraſzliwą ſiłę i rozpętanie męża, zbili ſię w kupę, by razem ſtawić opór, ale ſpoſób ten gorſzą jeſzcze ſprowadził klęſkę, gdyż on z włoſem zjeżonym na głowie, z obłąkanemi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyſzący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał ſtraſznemi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę ſpluſkaną poſoką, jak burza wali krze i drzewa. I przyſzła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało ſię, że ten ſtraſzliwy Mazur ſam jeden wytnie i wymorduje tych wſzyſtkich ludzi, i że równie jak wrzaſkliwa pſiarnia nie może bez pomocy ſtrzelców pokonać ſrogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego ſtopnia nie mogą ſię zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jeſt tylko dla nich śmiercią i zagubą.

— Rozproſzyć ſię! otoczyć go! z tyłu razić! — krzyknął ſtary Zygryd de Loewe.

Więc rozbiegli ſię po ſali, jak rozpraſza ſię ſtado ſzpaków na polu, na które runie z góry jaſtrząb krzywodzioby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w ſzale bojowym, zamiaſt ſzukać miejſca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał — ten marł, jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały ſię mnożyć w dzieſięcioro jego okrutną przyrodzoną ſiłę. Mieczem, do którego najtężſi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem, jedną. Nie ſzukał życia, nie ſzukał ocalenia, nie ſzukał nawet zwycięſtwa, ſzukał pomſty, i jako ogień, albo jako rzeka, która zerwawſzy tamy, niſzczy ślepo wſzyſtko, co jej prądowi opór ſtawi, tak i on, ſtraſzliwy, zaślepiony niſzczyciel — porywał, łamał, deptał, mordował i gaſił żywoty ludzkie.

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przytem poſpolici żołdacy bali ſię zbliżać nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby ſię obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby ſprawić tylu klęſk, i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie ſiły w pomoc przychodzą.

Lecz ſtary Zygfryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galerję, która biegła ponad wielkiemi oknami ſali, i poczęli nawoływać innych, aby chronili ſię za nimi, ci zaś czynili to ſkwapliwie, tak, że na wąſkich ſchodach przypychali ſię wzajem, pragnąc jak najprędzej doſtać ſię na górę i ſtamtąd razić mocarza, z którym wſzelka walka wręcz okazywała ſię niepodobną. Wreſzcie oſtatni zatrzaſnął drzwi, prowadzące na chór i Jurand pozoſtał ſam na dole. Z galerji ozwały ſię okrzyki radości, triumfu, i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie zydle, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pociſków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły ſię wielkie drzwi wchodowe, i przywołani przez górne okna knechci

wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł naprędce pochwycić.

A szalony Jurand otarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie — i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.

33.

W tej samej sali wieczorem, siedział za stołem stary Zygfryd de Loewe, który po wójcie Danveldzie objął tymczasem zarząd Szczytna, a obok niego brat Rotgier, rycerz de Bergow, dawny jeniec Juranda, i dwaj szlachetni młodzieńcy, nowicjusze, którzy wkrótce przywdziać mieli białe płaszcze. Wicher zimowy wył za oknami, wstrząsał ołowiane osady okien, chwiał płomieniem pochodni, palących się w żelaznych kunach, a kiedy niekiedy wypychał z komina kłęby dymu na salę. Między braćmi, chociaż zebrali się na naradę, panowała cisza, albowiem czekali na słowo Zygfryda, ów zaś, wsparłszy łokcie na stole i splótłszy dłonie na siwej pochylonej głowie, siedział posępny, z twarzą w cieniu i z ponuremi myślami w duszy.

— Nad czem mamy radzić? — spytał wreszcie brat Rotgier.

Zygfryd podniósł głowę, popatrzył na mówiącego, i zbudziwszy się z zamyślenia, rzekł:

— Nad klęską, nad tem, co powie Mistrz i kapituła, i nad tem, by z naszych uczynków nie wynikła szkoda dla Zakonu.

Poczem umilkł znów, lecz po chwili rozejrzał się naokół i poruszył nozdrzami:

— Tu czuć jeszcze krew.

— Nie, komturze — odpowiedział Rotgier: — kazałem zmyć podłogę i wykadzić siarką. Tu czuć siarkę.

A Zygfryd spojrzał dziwnym wzrokiem po obecnych i rzekł:

— Zmiłuj się, Duchu Światłości, nad duszą brata Danvelda i brata Gotfryda!

Oni zaś zrozumieli, że wzywał miłosierdzia Boskiego nad temi duszami i że wzywał dlatego, iż po wzmiance o siarce przyszło mu na myśl piekło, więc dreszcz przebiegł im przez kości, i odrzekli wszyscy naraz:

— Amen! amen! amen!

Przez chwilę znów było słychać wycie wiatru i drganie osad okiennych.

— Gdzie ciało komtura i brata Gotfryda? — spytał starzec.

— W kaplicy: księża śpiewają nad nimi litanie.

— W trumnach już?

— W trumnach, jeno komtur głowę ma zakrytą, bo i czaszka i twarz zmiażdżone.

— Gdzie inne trupy? i ranni?

— Trupy na śniegu, aby zesztywniały, nim porobią trumny, a ranni opatrzeni już w szpitalu.

Zygfryd splótł powtórnie dłonie nad głową:

— I to jeden człowiek uczynił?... Duchu Światłości, miej w swojej pieczy Zakon, gdy przyjdzie do wielkiej wojny z tem wilczem plemieniem!

Na to Rotgier podniósł wzrok w górę, jakby coś sobie przypominając, i rzekł:

— Słyszałem pod Wilnem, jako wójt sambijski mówił bratu swemu, Mistrzowi: — „Jeśli nie uczynisz wielkiej wojny i nie wytracisz ich tak, aby i imię nie zostało — tedy biada nam i naszemu narodowi."

— Daj Bóg takową wojnę i spotkanie z nimi! — rzekł jeden ze szlachetnych nowicjuszów.

Zygfryd spojrzał na niego przeciągle, jak gdyby miał ochotę powiedzieć: — „Mogłeś dziś spotkać się z jednym z nich" — lecz widząc drobną i młodą postać nowicjusza, a może wspomniawszy, że i sam, choć sławion z odwagi, nie chciał iść na pewną zgubę, zaniechał wymówki i zapytał:

— Który z was widział Juranda?

— Ja — odrzekł de Bergow.

— Żyje?

— Żyje, leży w tej samej sieci, w którąśmy go zaplątali. Gdy się ocknął, chcieli go knechci dobić, ale kapelan nie pozwolił.

— Dobić nie można. Człek to znaczny między swymi, i byłby krzyk okrutny — odparł Zygfryd. — Nie podobna też będzie ukryć tego co zaszło, gdyż zbyt wielu było świadków.

— Jako więc mamy mówić i co czynić? — spytał Rotgier.

Zygfryd zamyślił się i wreszcie tak rzekł:

— Wy, szlachetny grafie de Bergow, jedźcie do Malborga do Mistrza. Jęczeliście w niewoli u Juranda, i jesteście gościem Zakonu, więc jako gościowi, który niekoniecznie potrzebuje mówić na stronę zakonników, tem snadniej wam uwierzą. Mówcie przeto, coście widzieli, że Danveld, odbiwszy pogranicznym łotrzykom jakowąś dziewczynę i myśląc, że to dziewka Jurandowa, dał znać o tem Jurandowi, który też przybył do Szczytna, i... co się dalej stało — sami wiecie...

— Wybaczcie pobożny komturze — rzekł de Bergow. — Ciężką niewolę znosiłem w Spychowie, i jako gość wasz, radbym zawsze świadczył za wami, ale dla spokoju sumienia mego powiedzcie mi: zali nie było prawdziwej Jurandówny w Szczytnie, i zali nie zdrada Danvelda doprowadziła do szału strasznego jej rodzica?

Zygfryd de Loewe zawahał się przez chwilę z odpowiedzią; w naturze jego leżała głęboka nienawiść do polskiego plemienia, leżało okrucieństwo, którem nawet Danvelda przewyższał, i drapieżność, gdy chodziło o Zakon, i pycha, i chciwość, ale nie było w niej zamiłowanie do nizkich wykrętów. Największą też goryczą i zgryzotą życia jego było, że w ostatnich czasach sprawy zakonne przez niekarność i swawolę ułożyły się w ten sposób, że wykręty stały się jednym z najwalniejszych i nieodzownych już środków zakonnego życia. Przeto pytanie de

Bergowa poruszyło w nim tę najboleśniejszą strunę duszy, i dopiero po długiej chwili milczenia rzekł:

— Danveld stoi przed Bogiem, i Bóg go sądzi, a wy, grafie, jeśli was zapytają o domysły, tedy mówcie co chcecie; jeśli zasie o to, co widziały oczy wasze, tedy powiedzcie, iż nim splątaliśmy siecią wściekłego męża, widzieliście dziewięciu trupów, prócz rannych na tej podłodze, a między nimi trup Danvelda, brata Gotfryda, von Brachta i Huga, i dwóch szlachetnych młodzieńców... Boże, daj im wieczny odpoczynek. Amen!

— Amen! Amen! — powtórzyli znów nowicjusze.

— I mówcie także, — dodał Zygfryd — że jakkolwiek Danveld chciał przycisnąć nieprzyjaciela Zakonu, nikt tu jednak pierwszy miecza na Juranda nie wydobył.

— Będę mówił jeno to, co widziały oczy — odrzekł de Bergow.

— Przed północą zaś bądźcie w kaplicy, gdzie i my przyjdziemy modlić się za dusze zmarłych — odpowiedział Zygfryd.

I wyciągnął do niego rękę, zarazem na znak podzięki i pożegnania, albowiem pragnął do dalszej narady pozostać tylko z bratem Rotgierem, którego miłował jak źrenicę oka, i jak tylko ojciec mógł miłować jedynego syna. W zakonie czyniono nawet z powodu tej niezmiernej miłości różne przypuszczenia, ale nikt nic dobrze nie wiedział, zwłaszcza, że rycerz którego Rotgier uważał za ojca, żył jeszcze na swym zameczku w Niemczech i nie wypierał się tego syna nigdy.

Jakoż po odejściu Bergowa, Zygfryd wyprawił również i dwóch nowicjuszów, pod pozorem, aby dopilnowali roboty trumien dla pobitych przez Juranda prostych knechtów, a gdy drzwi zamknęły się za nami, zwrócił się żywo do Rotgiera i rzekł:

— Słuchaj, coć powiem: jedna jest tylko rada, aby żadna żywa dusza nie dowiedziała się nigdy, że prawdziwa Jurandówna była u nas.

— Nie będzie to trudno, — odrzekł Rotgier — gdyż o tem, że ona tu jest, nie wiedział nikt prócz Danvelda, Gotfryda, nas dwóch i tej służki zakonnej, która jej dozoruje. Ludzi, którzy ją przywieźli z leśnego dworca, kazał Danveld popoić i powiesić. Byli tacy w załodze, którzy się czegoś domyślali, ale tym pomieszała w głowie owa niedojda, i sami nie wiedzą teraz, czy stała się pomyłka z naszej strony, czy też jakiś czarownik naprawdę przemienił Jurandównę.

— To dobrze — rzekł Zygfryd.

— Ja zaś myślałem, szlachetny komturze, czyby, ponieważ Danveld nie żyje, nie zwalić na niego całej winy...

— I przyznać się przed całym światem, żeśmy w czasie pokoju i układów z księciem mazowieckim porwali z jego dworu wychowankę księżny i ulubioną jej dworkę? Nie, to nie może być!... Na dworze widziano nas razem z Danveldem, i wielki Szpitalnik, jego krewny, wie, iżeśmy przedsiębrali zawsze wszystko razem... Gdy oskarżym Danvelda, zechce się mścić za jego pamięć...

— Radźmy nad tem — rzekł Rotgier.

— Radźmy i znajdźmy dobrą radę, bo inaczej biada nam! Gdyby Jurandównę oddać, to ona sama powie, żeśmy nie od zbójów ją odebrali, jeno, że ludzie, którzy ją pochwycili, zawiedli ją wprost do Szczytna.

— Tak jest.

— I nietylko o odpowiedzialność mi chodzi. Będzie się książę skarżył królowi polskiemu, i wysłańcy ich nie omieszkają krzyczeć na wszystkich dworach na nasze gwałty, na naszą zdradę, na naszą zbrodnię. Ile może być z tego szkody dla Zakonu! Sam Mistrz, gdyby wiedział prawdę, powinien rozkazać ukryć tę dziewkę.

— A czy i tak, gdy ona przepadnie, nie będą oskarżali nas? — zapytał Rotgier.

— Nie! Brat Danveld był człowiekiem przebiegłym. Czy pamiętasz, że postawił warunek Jurandowi, aby nietylko sam stawił się w Szczytnie, ale by przedtem ogłosił i do księcia napisał, iż jedzie córkę od zbojów wykupować, i wie, że niema jej u nas.

— Prawda, ale jakże usprawiedliwim w takim razie to, co stało się w Szczytnie?

— Powiemy, iż wiedząc, że Jurand szuka dziecka, a odjąwszy zbójom jakowąś dziewkę, która nie umiała powiedzieć kto jest, daliśmy znać Jurandowi, myśląc, że to być może jego córka, ów zaś przybywszy, wpadł na widok tej dziewki w szaleństwo, i opętan przez złego ducha, rozlał tyle krwi niewinnej, że i niejedna potyczka więcej nie kosztuje.

— Zaprawdę — odrzekł Rotgier — mówi przez Was rozum i doświadczenie wieku. Złe uczynki Danvelda, choćbyśmy na niego tylko winę zwalili, zawszeby poszły na karb Zakonu, zatem na karb nas wszystkich, kapituły i samego Mistrza; tak zaś wykaże się nasza niewinność, wszystko zaś spadnie na Juranda, na złość polską i związki ich z piekielnemi mocami...

— I niech nas sądzi wówczas kto chce: papież, czy cesarz rzymski!

— Tak!

Nastała chwila milczenia, poczem brat Rotgier spytał:

— Więc co uczynim z Jurandówną?

— Radźmy.

— Dajcie ją mnie.

A Zygfryd popatrzał na niego i odpowiedział:

— Nie! Słuchaj, młody bracie! Gdy chodzi o Zakon, nie folgujcie mężowi, ni niewieście, ale nie folgujcie i sobie. Danvelda dosięgła ręka Boża, bo nie tylko chciał pomścić krzywdy Zakonu, ale i własnym chuciom dogodzić.

— Źle mnie sądzicie! — rzekł Rotgier .

— Nie folgujcie sobie, — przerwał mu Zygfryd — bo zniewieścieją w was ciała i dusze, i kolano tamtego twardego plemienia przyciśnie kiedyś pierś waszą tak, iż nie powstaniecie więcej.

I po raz trzeci wsparł posępną głowę na ręku, ale widocznie rozmawiał tylko z własnem sumieniem i o sobie tylko myślał, gdyż po chwili rzekł:

— I na mnie dużo cięży krwi ludzkiej, dużo bólu, dużo łez... I ja, gdy chodziło o Zakon i gdym widział, że samą siłą nie wskóram, nie wahałem się szukać innych dróg; ale gdy stanę przed tym Panem, którego czczę i miłuję, rzeknę mu: „To uczyniłem dla Zakonu, a dla siebie — wybrałem jeno cierpienie."

Poczem chwycił rękoma skronie, a głowę i oczy podniósł w górę i zawołał:

— Wyrzeczcie się rozkoszy i rozpusty, zatwardzijcie wasze ciała i serca, gdyż oto widzę białość orłowych piór na powietrzu i szpony orła, czerwone od krwi krzyżackiej...

Dalsze słowa przerwało mu uderzenie wichru tak straszne, że jedno okno w górze nad galerją otworzyło się z trzaskiem, a cała sala napełniła się wyciem i poświstem zawiei, oraz płatkami śniegu.

— W imię Ducha Światłości! Zła to noc — rzekł stary Krzyżak.

— Noc mocy nieczystych — odrzekł Rotgier. — Ale dlaczego panie zamiast: w imię Boga, mówicie: „w imię Ducha Światłości?"

— Duch Światłości, to Bóg — odparł — starzec, poczem jakby chcąc odwrócić rozmowę, spytał:

— A przy ciele Danvelda są księża?

— Są.

— Boże bądź mu miłościw!

I umilkli obaj, poczem Rotgier przywołał pachołków, którym rozkazał zamknąć okno i objaśnić pochodnie, a gdy poszli precz, znów zapytał:

— Co uczynicie z Jurandówną? Weźmiecie ją stąd do Insburka?

— Wezmę ją do Insburka i uczynię z nią to, czego dobro Zakonu wymagać będzie.

— Ja zasie co mam czynić?

— Masz-li w duszy odwagę?

— Cóżem takiego uczynił, abyście mieli o tem wątpić?

— Nie wątpię, bo cię znam, a za twoje męstwo miłuję cię więcej niż kogokolwiek w świecie. Tedy jedź na dwór księcia mazowieckiego i opowiedz mu wszystko, co się tu stało tak, jakeśmy między sobą ułożyli.

— Mogęż się na pewną zgubę narażać?

— Jeśli twa zguba wyjdzie na chwałę Zakonu, to powinieneś. Ale nie! Nie czeka cię zguba. Oni gościowi krzywdy nie czynią: chybaby cię kto chciał pozwać, jako uczynił ów młody rycerz, który nas wszystkich pozwał... On, lub kto inny, lecz to przecie nie straszne...

— Daj to Bóg! mogą mnie jednak chwycić i do podziemi wtrącić.

— Nie uczynią tego. Pamiętaj, że jest list Jurandowy do księcia, a ty pojedziesz prócz tego skarżyć na Juranda. Opowiesz wiernie, co uczynił w Szczytnie i muszą ci uwierzyć. Oto, pierwsi daliśmy mu znać, że jest jakaś dziewka, pierwsi zaprosiliśmy go, by przybył i obaczył ją, a on przyjechał, oszalał, komtura zabił, ludzi nam powytracał. Tak będziesz mówił, a oni cóż ci na to powiedzą? Jużci śmierć Danvelda rozgłosi się po całem Mazowszu. Wobec tego zaniechają skarg. Jurandówny będą oczywiście szukali, ale skoro sam Jurand

pisał, że nie u nas jest, więc nie na nas padnie posąd. Trzeba nadrobić odwagą i pozamykać im paszczęki, bo i to także pomyślą, że gdybyśmy byli winni, nikt z nas nie odważyłby się przyjechać.

— Prawda. Po pogrzebie Danvelda wyruszę zaraz w drogę.

— Niech cię Bóg błogosławi, synaczku! Gdy wszystko uczynim jak należy, tedy nietylko nie zatrzymają cię, ale się muszą wyrzec Juranda, abyśmy zaś nie mogli rzec: Oto jak oni z nami postępują!

— I tak trzeba się skarżyć na wszystkich dworach.

— Wielki Szpitalnik dopilnuje tego i dla dobra Zakonu i jako krewny Danvelda.

— Ba, ale gdyby ten djabeł spychowski wyżył i odzyskał wolność...

A Zygfryd począł patrzeć posępnie przed siebie, następnie zaś odpowiedział zwolna i dobitnie:

— Choćby odzyskał wolność, nigdy on nie wypowie jednego słowa skargi na Zakon.

Poczem jął jeszcze nauczać Rotgiera, co ma mówić i czego żądać na mazowieckim dworze.

34.

Wieść o zajściu w Szczytnie przybyła jednak do Warszawy przed bratem Rotgierem i wzbudziła tam zdumienie i niepokój. Ani sam książę, ani nikt z dworu nie mógł zrozumieć, co zaszło. Przed niedawnym czasem, właśnie, gdy Mikołaj z Długolasu miał jechać do Malborga z listem księcia, w którym tenże skarżył się gorzko na porwanie przez niesfornych pogranicznych komturów Danusi i niemal groźnie upominał się o niezwłoczne jej oddanie, przyszedł list od dziedzica ze Spychowa, oznajmiający, że córka jego pochwycona była nie przez Krzyżaków, ale przez zwyczajnych zbojów nadgranicznych, i że wkrótce będzie za okup uwolniona. Wskutek tego poseł nie pojechał, nikomu bowiem ani przez głowę nie przyszło, żeby Krzyżacy wymogli takie pismo na Jurandzie pod grozbą śmierci dziecka. Trudno było i tak zrozumieć co zaszło, gdyż warchołowie pograniczni, tak poddani księcia, jak i Zakonu, czynili wzajemne na się napady latem, nie zaś zimą, gdy śniegi zdradzały ich ślady. Napadali też zwykle kupców, albo dopuszczali się grabieży, po wioskach chwytając ludzi i zagarniając ich stada, by jednak ośmielili się zahaczyć samego księcia, i porwać jego wychowankę, a przytem córkę potężnego i wzbudzającego powszechną obawę rycerza, to zdawało się przechodzić wprost wiarę ludzką. Na to jednak, jak również na inne wątpliwości był odpowiedzią list Juranda z jego własną pieczęcią i przywieziony tym razem przez człowieka, o którym wiedziano, że pochodzi ze Spychowa; wobec czego wszelkie podejrzenia stały się niemożliwe, książę tylko wpadł w gniew, w którym go dawno nie widziano, i nakazał pościg opryszków na całej granicy swego księstwa, wezwawszy zarazem księcia płockiego, aby uczynił również to samo i również nie szczędził kar na zuchwalców.

A wówczas właśnie przyszła wieść o tem, co zdarzyło się w Szczytnie.

I przechodząc z ust do ust, przyszła powiększona dziesięciokrotnie. Opowiadano, iż Jurand, przybywszy samosześć do zamku, wpadł przez otwarte bramy i uczynił w nim rzeź taką, iż z załogi mało kto pozostał, że musiano posyłać po ratunek do pobliskich zamków, zwoływać rycerstwo i zbrojne zastępy ludu pieszego, które dopiero po dwóch dniach oblężenia, zdołały wedrzeć się napowrót do zamku i tam zgładzić Juranda, zarówno jak jego towarzyszów. Mówiono też, że wojska owe wejdą prawdopodobnie teraz w granice, i że wielka wojna niechybnie się rozpocznie. Książę, który wiedział, jako wiele zależy Wielkiemu Mistrzowi na tem, by na wypadek wojny z królem polskim siły obu księstw mazowieckich pozostały na stronie, nie wierzył tym wieściom, albowiem nie tajnem mu było, że gdyby Krzyżacy rozpoczęli wojnę z nim, lub z Ziemowitem płockim, żadna siła ludzka nie powstrzyma Polaków z Królestwa, mistrz zaś obawiał się tej wojny. Wiedział, że musi przyjść, ale pragnął ją odwlec, raz dlatego, że był pokojowego ducha, a powtóre dlatego, że aby się zmierzyć z potęgą Jagiełły, trzeba było przygotować siłę, jakiej nigdy dotychczas Zakon nie wystawił, i zarazem zapewnić sobie pomoc książąt i rycerstwa nietylko w Niemczech, ale na całym Zachodzie.

Nie obawiał się więc książę wojny, chciał jednak wiedzieć, co się stało, co ma naprawdę myśleć o zajściu w Szczytnie, o zniknięciu Danusi i o tych wszystkich wieściach, które przychodziły z nad granicy, więc też, jakkolwiek nie cierpiał Krzyżaków, rad był, gdy pewnego wieczora kapitan łuczników doniósł mu, że przyjechał rycerz zakonny i prosi o posłuchanie.

Przyjął go jednak wyniośle, i jakkolwiek natychmiast poznał, że to jest jeden z braci, którzy byli w leśnym dworcu, udał, że go sobie nie przypomina, i zapytał, kto jest, skąd przybywa i co go do Warszawy sprowadza.

— Jestem brat Rotgier — odpowiedział Krzyżak — i przed niedawnym czasem miałem zaszczyt pochylić się do kolan Waszej Książęcej Miłości.

— Czemu zaś, bratem będąc, nie masz na sobie zakonnych znamion?

Rycerz począł tłómaczyć się, że białego płaszcza nie przywdział tylko dlatego, iż gdyby to był uczynił, niechybnie byłby pojman lub zabit przez mazowieckie rycerstwo: wszędzie, na całym świecie, we wszystkich królestwach i księstwach, znak krzyża na płaszczu ochrania, zjednywa życzliwość i gościnność ludzką, i tylko w jednem księstwie Mazowieckiem krzyż na pewną zgubę naraża człowieka, który go nosi.

Lecz książę przerwał mu gniewnie:

— Nie krzyż — rzekł — bo krzyż i my całujem, jeno wasza niecnota... A jeśli was gdzieindziej lepiej przyjmują, to dlatego, że was mniej znają.

Poczem widząc, że rycerz stropił się bardzo temi słowy, zapytał:

— Byłeś w Szczytnie, albo-li wiesz, co się tam stało?

— Byłem w Szczytnie i wiem, co się tam stało, — odrzekł Rotgier — a przybywam tu nie jako czyjś wysłannik, ale z tej jeno przy-

czyny, że doświadczony i świątobliwy komtur z Insburka rzekł mi: Nasz mistrz miłuje pobożnego księcia i ufa w jego sprawiedliwość, więc gdy ja pośpiesze do Malborga, ty jedź na Mazowsze i przedstaw naszą krzywdę, nasze pohańbienie, naszą niedolę. Juzci nie pochwali sprawiedliwy Pan gwałciciela pokoju i srogiego napastnika, który rozlał tyle krwi chrześcijańskiej, jakby nie Chrystusa, ale szatana był sługą.

I tu począł opowiadać wszystko, co stało się w Szczytnie: jako Jurand, przez nich samych wezwany, aby zobaczył, czy dziewczyna, którą zbójom odjęli, nie jest jego córką, zamiast wdzięcznością się wypłacić, wpadł w szał: jak zabił Danwelda, brata Gotfryda, Anglika Huga, von Brachta i dwóch szlachetnych giermków, nie licząc knechtów; jak oni, pomni na przykazania Boskie, nie chcąc zabijać, musieli w końcu splątać siecią strasznego męża, który wówczas przeciw sobie samemu podniósł broń i poranił się okrutnie; jak wreszcie, nietylko w zamku, ale i w mieście byli ludzie, którzy wśród wichury zimowej słyszeli podczas nocy, po walce, straszliwe jakieś śmiechy i głosy, wołające w powietrzu: „Nasz Jurand! krzywdziciel Krzyża! rozlewca krwi niewinnej! Nasz Jurand!"

I całe opowiadanie, a zwłaszcza ostatnie słowa Krzyżaka wielkie uczyniły wrażenie na wszystkich obecnych. Zdjął ich poprostu strach, czy istotnie Jurand nie wezwał w pomoc sił nieczystych — i zapadło głuche milczenie. Lecz księżna, która była obecna przy posłuchaniu, i która, kochając Danusię, nosiła w sercu nieutulony żal po niej, zwróciła się z niespodzianem pytaniem do Rotgiera:

— Mówicie, rycerzu, — rzekła — że odbiwszy dziewczynę niedojdę, myśleliście, iż to Jurandowa córka, i dlatego wezwaliście go do Szczytna?

— Tak, Miłościwa Pani — odrzekł Rotgier.

— A jakożeście mogli to myśleć, skoroście w leśnym dworze widzieli przy mnie prawdziwą Jurandównę?

Na to brat Rotgier zmieszał się, gdyż nie był przygotowany na pytanie. Książę powstał, i utkwił surowy wzrok w Krzyżaka, zaś Mikołaj z Długolasu, Mrokota z Mocarzewa, Jaśko z Jagielnicy i inni rycerze mazowieccy przyskoczyli zaraz do mnicha, pytając naprzemian groźnymi głosami:

— Jakożeście mogli to myśleć? Mów, Niemcze! Jako to być mogło?

A brat Rotgier ochłonął i rzekł:

— My, zakonnicy, nie podnosim oczu na niewiasty. Było w leśnym dworze przy Miłościwej Księżnie dwórek niemało, ale która była między niemi Jurandówna, nikt z nas nie wiedział.

— Danveld wiedział — ozwał się Mikołaj z Długolasu. — Gadał ci z nią nawet na łowach.

— Danveld stoi przed Bogiem, — odparł Rotgier — i powiem o nim jeno to, że nazajutrz znaleziono rozkwitłe róże na jego trumnie, których, jako w czasie zimowym, nie mogła położyć ręka ludzka.

Znów nastało milczenie.

— Skąd wiedzieliście o porwaniu Jurandówny? — zapytał książę.

— Sama bezbożność i zuchwalstwo uczynku zrobiły go rozgłośnym tu i u nas. Więc dowiedziawszy się o tem, daliśmy na msze dziękczynne, że jeno zwykła dwórka, a nie które z rodzonych dzieci Waszych Miłości było porwane z leśnego dworca.

— Ale to mi zawsze dziwno, żeście mogli niedojdę poczytać za córkę Juranda.

Na to brat Rotgier:

— Danveld mówił tak: „Często szatan zdradza swych sług, więc może odmienił Jurandówne”.

— Zbóje wszelako nie mogli, jako prostacy, podrobić pisma Kalebowego i pieczęci Juranda. Któż mógł to uczynić?

— Zły duch.

I znów nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Rotgier zaś począł patrzeć pilnie w oczy księciu i rzekł:

— Zaiste, są mi jako miecze w piersi te pytania, albowiem posąd w nich tkwi i podejrzenie. Ale ja ufny w sprawiedliwość Bożą i w moc prawdy, pytam Waszą Książęcą Mość: zali sam Jurand posądzał nas o ten uczynek, a jeśli posądzał, to czemu, nim wezwaliśmy go do Szczytna, szukał na całem pograniczu zbójów, aby od nich córkę wykupić?

— Juz-ci... prawda! — rzekł książę. — Choćbyś co ukrył przed ludźmi, nie ukryjesz przed Bogiem. Posądzał was w pierwszej chwili, ale potem... potem myślał co innego.

— Oto jak blask prawdy zwycięża ciemności! — rzekł Rotgier.

I potoczył zwycięskim wzrokiem po sali, pomyślał bowiem, że w głowach krzyżackich więcej jest obrotności i rozumu, niż w polskich, i że to plemię zawsze będzie łupem i karmią Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka.

Więc, porzuciwszy poprzednią układność, przystąpił ku księciu i począł mówić głosem podniesionym i natarczywym:

— Nagródź nam, Panie, nasze straty, nasze krzywdy, nasze łzy i naszą krew! Twoim był ten piekielnik poddanym, więc w imię Boga, z którego władza królów i książąt wypływa, w imię sprawiedliwości i krzyża, nagródź nam nasze krzywdy i krew!

A książę popatrzał na niego w zdumieniu:

— Na miły Bóg! — rzekł: — czegóż ty chcesz? jeśli Jurand wytoczył w szaleństwie waszą krew, zali ja mam za szaleństwo odpowiadać?

— Twoim był, panie, poddanym, — rzekł Krzyżak — w twojem księstwie leżą jego ziemie, jego wsie i jego gród, w którym więził sług Zakonu: niechaj więc chociaż ta majętność niech chociaż te ziemie i ów bezbożny kasztel, staną się odtąd własnością Zakonu. Zaprawdę nie będzie to godna zapłata za tę szlachetną krew przelaną! zaprawdę nie wskrzesi ona umarłych, ale może choć w części uspokoi gniew

Boży i zetrze niesławę, która inaczej na całe to księstwo spadnie. O, Panie! Wszędzie posiada Zakon ziemie i zamki, które łaska i pobożność chrześcijańskich książąt mu nadała, jeno tu niemasz ni piędzi ziemi w Jego władaniu. Niechże nasza krzywda, która o pomstę do Boga woła, choć tak nam się nagrodzi, abyśmy mogli powiedzieć, że i tu żywią ludzie, mający w sercach bojaźń Bożą.

Usłyszawszy to książę, zdumiał się jeszcze więcej i dopiero po długiej chwili milczenia odrzekł:

— Rany Boskie!... A wżdy, jeśli ten wasz Zakon tutaj siedzi, z czyjejże łaski, jeśli nie z łaski przodków moich? Małoż wam jeszcze tych krajów, ziem i miast, które do nas i do naszego narodu niegdyś należały, a które dzisiaj są wasze? Żyje przecie jeszcze dziewka Jurandowa, gdyż nikt wam o jej śmierci nie doniósł, wy zaś już chcecie sieroce wiano zagarnąć i sierocym chlebem wasze krzywdy sobie nagrodzić?

— Panie, przyznajesz krzywdę, — rzekł Rotgier — więc tak ją nagródź, jako ci twoje książęce sumienie i twoja sprawiedliwa dusza nakazuje.

I znowu rad był w sercu, gdyż myślał sobie: „Teraz nietylko nie będą skarżyli, ale będą jeszcze uradzać, jakby samym ręce umyć i z tej sprawy się wykręcić. Nikt już nic nam nie zarzuci, i sława nasza będzie, jako biały płaszcz zakonny — bez skazy".

A wtem ozwał się niespodzianie głos starego Mikołaja z Długolasu:

— Pomawiają was o chciwość, i Bóg wie, czyli nie słusznie, bo to i w tej sprawie więcej wam o zysk, niż o cześć Zakonu chodzi.

— Prawda! — odrzekli chórem rycerze mazowieccy.

A Krzyżak postąpił kilka kroków, podniósł dumnie głowę, i mierząc ich wyniosłym wzrokiem, rzekł:

— Nie przybywam tu jako poseł, jeno jako świadek sprawy i rycerz zakonny, gotów czci Zakonu krwią własną do ostatniego tchnienia bronić!... Ktoby tedy, wbrew temu, co mówił sam Jurand, śmiał Zakon o uczestnictwo w porwaniu onego córki posądzać — niechaj podniesie ten rycerski zakład i niechaj zda się na sąd Boży!

To rzekłszy, rzucił przed nich rycerską rękawicę, która upadła na podłogę, oni zaś stali w głuchem milczeniu, bo choć niejeden z nich radby był wyszczerbić miecz na krzyżackim karku, jednakże bali się sądu Bożego. Nikomu nie było tajno, że Jurand wyraźnie oświadczył, iż nie rycerze zakonni porwali mu dziecko, każdy przeto w duszy myślał, że jest słuszność, a zatem będzie zwycięstwo po stronie Rotgiera.

Ow zaś uzuchwalił się tem bardziej, i wsparłszy się w boki, zapytał:

— Jest li taki, którby podniósł tę rękawicę?

A wtem jakiś rycerz, którego wejścia poprzednio nikt nie zauważył, i który od niejakiego czasu słuchał przy drzwiach rozmowy, wystąpił na środek, podniósł rękawicę, i rzekł:

— Jam ci jest!

I powiedziawszy to, rzucił swoją prosto w twarz Rotgiera, poczem jął mówić głosem, który wśród powszechnego milczenia rozlegał się jak grzmot po sali:

— Wobec Boga, wobec dostojnego księcia i wszystkiego zacnego rycerstwa tej ziemi, mówię ci, Krzyżaku, że szczekasz jako pies przeciw sprawiedliwości a prawdzie — i pozywam cię w szranki na walkę pieszą, alibo konną, na kopie, na topory, na krótkie, alibo długie miecze — i nie na niewolę, jeno do ostatniego tchnienia, na śmierć!

W sali można było usłyszeć przelatującą muchę. Wszystkie oczy zwróciły się na Rotgiera i na wyzywającego rycerza, którego nikt nie poznał, albowiem na głowie miał hełm, wprawdzie bez przyłbicy, ale z kolistym okapem, schodzącym niżej uszu, który zakrywał zupełnie górną część twarzy, na dolną zaś rzucał cień głęboki. Krzyżak niemniej był zdumiony od wszystkich. Pomieszanie, bladość i wściekły gniew mignęły mu tak po twarzy, jak błyskawica miga po nocnem niebie. Schwycił dłonią kosiową rękawicę, która, obsunąwszy mu się z oblicza, zahaczyła się na kolcu naramiennika, i zapytał:

— Ktoś jest, który wyzywasz sprawiedliwość Boską?

A ów odpiął sprzążkę pod brodą, zdjął hełm, z pod którego ukazała się jasna młoda głowa, i rzekł:

— Zbyszko z Bogdańca, mąż Jurandowej córki.

Zdziwili się wszyscy, i Rotgier wraz z innymi, gdyż nikt z nich, oprócz obojga księstwa, Ojca Wyszońka i de Lorchego nie wiedział o ślubie Danusi, Krzyżacy zaś byli pewni, że prócz ojca nie ma Jurandówna innego przyrodzonego obrońcy, lecz w tej chwili wystąpił pan Lorche i rzekł:

— Na swoją rycerską cześć poświadczam prawdę słów jego; ktoby zaś śmiał wątpić, oto moja rękojmia.

Rotgier, który nie znał co to trwoga, i w którym serce burzyło się w tej chwili, byłby może podniósł i tę rękawicę, ale wspomniawszy, że ten, który ją rzucił, był sam przez się możnym panem, a w dodatku krewnym hrabiego Goldryi, powstrzymał się, uczynił zaś tak tem bardziej, że sam książę wstał, i zmarszczywszy brwi, rzekł:

— Nie wolno tej rękojmi podnosić, albowiem i ja poświadczam, jako prawdę powiedział ów rycerz.

Krzyżak, usłyszawszy to, skłonił się, poczem rzekł do Zbyszka:

Jeślić wola, to piesz, w zamkniętych szrankach na topory.

— Jam cię już i tak wprzód pozwał — odpowiedział Zbyszko.

— Boże daj zwycięstwo sprawiedliwości — zawołali mazowieccy rycerze.

35.

O Zbyszka niepokój był na całym dworze, tak między rycerstwem, jak między niewiastami, gdyż lubiono go powszechnie, wobec zaś listu

Juranda, nikt nie wątpił, że słuszność jest po stronie Krzyżaka. Z drugiej strony wiedziano, że Rotgier jest jednym ze sławniejszych braci w Zakonie. Giermek van Krist rozpowiadał, może umyślnie, między mazowiecką szlachtą, że pan jego, nim został zbrojnym mnichem zasiadał raz u stołu honorowego Krzyżaków, do którego to stołu dopuszczano tylko słynnych w świecie rycerzy, takich, którzy odbyli wyprawę do Ziemi Świętej, albo też walczyli zwycięsko przeciw olbrzymom, smokom, lub możnym czarnoksiężnikom. Słysząc takie opowiadania van Krista, a zarazem i chełpliwe zapewnienia, że pan jego nieraz potykał się z mizerykordją w jednej, a toporem lub mieczem w drugiej ręce, z pięciu naraz przeciwnikami, nie pokoili się mazurowie, i poniektóry mówił: „Hej! gdyby tu był Jurand, ten dałby i dwóm rady: jemu nigdy się żaden Niemiec nie odjął, ale młodziankowi gorze! gdyż tamten siłą, laty i ćwiczeniem góruje". Więc inni żałowali, że nie podnieśli rękawicy, twierdząc, że gdyby nie owa wiadomość od Juranda, niechybnie byliby to uczynili... „Ale wyroku Boskiego strach..." Wymieniano też przy sposobności i dla wzajemnej pociechy nazwiska mazowieckich i wogóle polskich rycerzy, którzy, bądź na dworskich igrzyskach, bądź goniąc na ostre, liczne nad zachodnimi rycerzami odnosili zwycięstwa, przedewszystkiem zaś Zawiszę z Garbowa, z którym żaden rycerz w chrześcijaństwie mierzyć się nie mógł. Lecz byli i tacy, którzy co do Zbyszka mieli także dobrą nadzieję: „Nie ułomek ci to jest, — mówili — i jakośwa słyszeli, godnie już raz Niemcom porozwalał łby na udeptanej ziemi". Lecz szczególnie skrzepiły się serca z powodu uczynku giermka Zbyszkowego, Czecha Hlawy, który w wigilję spotkania, słysząc van Krista, opowiadającego o niesłychanych zwycięstwach Rotgiera, a będąc młodzianem porywczym, chwycił tegoż van Krista za brodę, zadarł mu głowę i rzekł: „Jeślić nie wstyd łgać wobec ludzi, spojrz w górę, że to i Bóg cię słyszy!" I trzymał go tak przez tyle czasu, ile trzeba na zmówienie: „Ojcze nasz", zaś ów, wreszcie uwolnion, zaraz jął go wypytwać o ród, i dowiedziawszy się, że pochodzi z władyków, pozwał go także na topory.

Uciesżyli się tedy tym postępkiem Mazurowie, i znów niejeden mówił: „Juże tacy nie będą chramać na boisku i byle po ich stronie była prawda a Bóg, nie wyniosą zdrowych gnatów te krzyżackie macie". Lecz właśnie Rotgier tak potrafił zasypać piaskiem oczy wszystkich, że wielu niepokoiło się o to, po której stronie prawda — i sam książę podzielał ten niepokój.

Więc wieczorem przed bitką, wezwał Zbyszka na rozmowę, przy której obecną była tylko księżna, i zapytał:

— Pewny-żeś, że Bóg będzie z tobą? Skąd wiesz, że oni chycili Danuśkę? Zali Jurand mówił ci co? Bo, ot, widzisz — tu jest list Jurandowy — pismo księdza Kaleba, a jego pieczęć, i w tym liście Jurand powiada, iż wie, że to nie Krzyżacy. Co on ci mówił?

— Mówił, że to nie Krzyżacy.

— Jako-że tedy możesz życie ważyć i na sąd Boski stawać?

A Zbyszko umilkł, tylko przez czas jakiś drgały mu szczęki i łzy zbierały się w oczach.

— Ja nic nie wiem, Miłościwy Panie — rzekł. — Wyjechaliśmy stąd razem z Jurandem, i po drodze przyznałem mu się do ślubu. Począł wówczas narzekać, iże to może być krzywda Boża, ale gdym mu rzekł, że to wola Boża, uspokoił się — i przebaczył. Przez całą drogę mówił, że nikt inny nie porwał Danusi, jeno Krzyżacy, a potem już ja sam nie wiem, co się stało!... Do Spychowa przyjechała ta sama niewiasta, która przywiozła dla mnie jakoweś leki do leśnego dworu, a z nią jeszcze jeden wysłannik. Zamknęli się z Jurandem i uradzali. Co mówili, też nie wiem, jeno po onej rozmowie właśni słudzy nie mogli poznać Juranda, bo taki był, jakby go z truchły wyjęto. Powiedział nam: „Nie Krzyżacy", ale Bergowa i co miał jeńców z podziemia puścił, Bóg wie dlaczego, sam zaś pojechał bez żadnego giermka ni sługi... Mówił, że jedzie do zbójów, Danuśkę wykupić, a mnie przykazał czekać. A no! — czekałem. Aż tu przychodzi wiadomość ze Szczytna, że Jurand namordował Niemców i sam legł! O, Miłościwy Panie! Już mnie parzyła spychowska ziemia, i małom nie oszalał. Ludzi wsadziłem na koń, by pomścić śmierć Jurandową, a tu ksiądz Kaleba powiada: „Kasztelu nie weźmiesz, a wojny nie wszczynaj. Jedź do księcia, może tam co o Danuśce wiedzą". Tom i przyjechał, i właśnie trafiłem, jako ów pies szczekał o krzyżackiej krzywdzie i Jurandowem szaleństwie... Jam, Panie, podniósł jego rękawicę, bom go już przedtem pozwał, a chociaż nie wiem nic, to jedno wiem tylko, że to łgarze są piekielni — bez wstydu, bez czci i wiary! Patrzcie, Miłościwi Państwo! Toż oni zadźgali Fourcego, a na mojego giermka chcieli zwalić ten uczynek. Na Boga! zadźgali go jako wołu, a potem do Cię, Panie, przyszli po pomstę i po zapłatę! Kto tedy przysięgnie, że nie nałgali i przedtem przed Jurandem, i teraz przed Tobą, Panie?... Nie wiem, nie wiem, gdzie Danuśka! alem go pozwał, bo choćby mi też i żywota stradać przyszło, wolej mi śmierć, niż żywot bez mojego kochania, bez mojej najmilszej na świecie całym!

To rzekłszy, zerwał w uniesieniu pątlik z głowy, aż włosy rozsypały mu się po ramionach, i chwyciwszy je, począł szlochać ciężko. Księżna Anna Danuta, sama do głębi duszy strapiona stratą Danusi, i litując się nad jego bólem, położyła mu ręce na głowie i rzekła:

— Boże cię wspomagaj, pociesz i błogosław.

36.

Książę nie sprzeciwił się pojedynkowi, gdyż, wedle ówczesnych obyczajów, nie był w możności tego uczynić. Wymógł tylko, by Rotgier napisał list do Mistrza i do Zygfryda de Loewe, że sam pierwszy rzucił rękawicę rycerzom mazowieckim, wskutek czego staje do walki z mężem Jurandówny, który zresztą już pierwej go był

pozwał. Tłómaczył się też Krzyżak Wielkiemu Mistrzowi, że jeśli staje bez przyzwolenia, to dlatego, że chodzi o cześć Zakonu i odwrócenie szpetnych podejrzeń, któreby hańbę przynieść mogły, a które on, Rotgier, gotów jest zawsze własną krwią okupić. List ten wysłany był natychmiast do granicy przez jednego z pachołków rycerza, dalej zaś miał iść do Malborga pocztą, którą Krzyżacy, na wiele lat przed innymi, wynaleźli i zaprowadzili w swoich ziemiach.

Tymczasem na podwórzu zamkowym ubito śnieg i posypano go popiołem, aby nogi walczących nie grzęzły lub nie ślizgały się po gładkiej powierzchni. W całym zamku panował ruch nadzwyczajny. Wzruszenie tak opanowało rycerzy i dwórki, że w nocy, poprzedzającej bitwę, nikt nie spał. Mówiono sobie, że walka konna na kopie, a nawet na miecze, często kończy się na ranach, natomiast pieszą, a zwłaszcza na straszliwe topory, zawsze bywa śmiertelna. Wszystkie serca były po stronie Zbyszka, ale właśnie im kto więcej miał przyjaźni dla niego lub dla Danusi, z tem większym niepokojem przypominał, co rozpowiadano o sławie i sprawności Krzyżaka. Wiele niewiast spędziło noc w kościele, gdzie też po odbytej przed księdzem Wyszonkiem spowiedzi kajał się i Zbyszko. Mówiły więc jedna do drugiej, patrząc na jego prawie chłopięcą twarz: „Toż to jeszcze dzieciuch!... jakże mu młodą głowę pod niemiecki topór oddawać?” I tem gorliwiej modliły się dla niego o wspomożenie. Ale gdy świtaniem podniósł się i szedł przez kaplicę, aby przywdziać w izbie zbroję, znowu przybyło im nieco serca, gdyż głowa i twarz Zbyszka były wprawdzie chłopięce, natomiast ciało nad miarę rosłe i silne, tak, iż wydawał im się chłopem na schwał, który poradzi sobie choćby z najtęższym mężem.

Bitka miała się odbyć na podwórzu zamkowem, które wkoło otaczał krużganek.

Gdy dzień uczynił się zupełny, przybyli książę i księżna razem z dziećmi i zasiedli w środku między słupami, skąd najlepiej widać było cały podwórzec. Obok nich zajęli miejsca co przedniejsi dworzanie, szlachetne niewiasty i rycerstwo. Zapełniły się wszystkie kąty krużganku: czeladź usadowiła się za wałem, który utworzon był z wymiecionego śniegu, niektórzy poprzyczepiali się na wykuszach, a nawet na dachu. Tam prostactwo gwarzyło między sobą: „Daj Bóg, aby się nasz nie dał!”

Dzień był zimny, wilgotny, ale jasny; powietrze roiło się od kawek, które zamieszkiwały dachy i szczyty baszt, a które spłoszone niezwykłym ruchem, kołowały z wielkiem łopotaniem skrzydeł nad zamkiem. Mimo chłodu, ludzie potnieli ze wzruszenia, a gdy ozwała się pierwsza trąba, oznajmująca wejście zapaśników, wszystkie serca poczęły bić, jak młoty.

Oni zaś weszli z przeciwnych stron szranków i zatrzymali się na krańcach. Każdy z patrzących utaił wówczas dech w piersiach, każdy pomyślał, że oto niezadługo dwie dusze ulecą ku sądowym progom Boskim, a dwa trupy zostaną na śniegu — i usta, oraz jagody niewiast pobladły i posiniały na tę myśl, oczy zaś mężów wpatrzone

były, jak w tęczę, w przeciwników, każdy bowiem pragnął z samej postawy i z uzbrojenia ich wywróżyć sobie, na czyją stronę padnie zwycięstwo.

Krzyżak przybrany był w szmelcowany błękitny pancerz w takiež nabiodrza i w takiż hełm, z podniesioną przyłbicą, i ze wspaniałym pawim pióropuszem na grzebieniu. Zbyszkowi piersi, boki i grzbiet opinała pyszna medyolańska zbroja, którą był swego czasu zdobył na Fryzach. Na głowie miał hełm z okapem, niezamknięty, i bez piór, na nogach bycze skórznie. Na lewych ramionach dźwigali tarcze z herbami: na krzyżackiej była u góry szachownica, u dołu trzy lwy, stojące na zadnich łapach, na Zbyszkowej „tępa podkowa". W prawicach dźwigali szerokie straszne topory, osadzone na dębowych, poczerniałych toporzyskach, dłuższych, niż ramię rosłego męża. Towarzyszyli im giermkowie: Hlawa, zwany przez Zbyszka Głowaczem — i van Krist, obaj przybrani w ciemne żelazne blachy, obaj również z toporami i tarczami: van Krist miał w herbie krzak janowca, herb Czecha podobny był do Pomiana z tą różnicą, że zamiast topora tkwił w byczej głowie krótki miecz do połowy w oku pogrążon.

Trąba ozwała się po raz drugi, a za trzecim mieli przeciwnicy, wedle umowy, na się nastąpić. Dzieliła ich już teraz tylko niewielka, posypana szarym popiołem przestrzeń, nad tą zaś przestrzenią unosiła się jako złowrogi ptak — śmierć. Zanim jednak dano trzeci znak, Rotgier zbliżył się ku słupom, między którymi siedzieli księstwo, podniósł swą zakutą w stal głowę i ozwał się głosem tak donośnym, że usłyszano go we wszystkich zakątkach krużganku:

— Biorę na świadka Boga, Ciebie, Dostojny Panie, i całe rycerstwo tej ziemi, jakom nie winien tej krwi, która będzie przelana.

Na te słowa ścisnęły się znów serca, że Krzyżak tak był pewien siebie i swego zwycięstwa. Lecz Zbyszko, mając duszę prostą, zwrócił się do swego Czecha i rzekł:

— Śmierdzi mi ta krzyżacka chwalba, gdyż byłaby do rzeczy po mojej śmierci, nie zaś pókim żyw. Ma też ów samochwał pawi czub na głowie, a ja nasamprzód takich trzy ślubował, a potem, ile palców u rąk. Bóg zdarzył!

— Panie... — zapytał Hlawa, pochylając się i nabierając w ręce nieco popiołu ze śniegiem, aby toporzysko nie ślizgało mu się w dłoniach: — może da Chrystus, że prędko uwinę się z tym pruskim chmyzem, zali mi wolno będzie wówczas, jeśli nie sięgnąć Krzyżaka, to przynajmniej wsadzić mu toporzysko między kolana i zwalić go na ziemię?

— Boże cię uchowaj! — zawołał żywo Zbyszko: — hańbąbyś okrył mnie i siebie.

A wtem zabrzmiał po raz trzeci głos trąby. Usłyszawszy to, giermkowie skoczyli jeden ku drugiemu żywo i zapalczywie, rycerze zaś posunęli się ku sobie wolniej i rozważniej, jako aż do pierwszego starcia, nakazywała ich dostojność i powaga.

Mało kto zważał na giermków, ale ci z doświadczonych mężów i czeladzi, którzy na nich patrzyli, zrozumieli odrazu, jak okrutna przewaga jest po stronie Hlawy. Topór chodził ciężej w ręku Niemca, a również i ruchy jego tarczy były wolniejsze. Z pod puklerza widać było jego nogi dłuższe, ale wątłe i mniej sprężyste od potężnych, pokrytych obcisłem ubraniem nóg Czecha. Hlawa natarł też tak zapalczywie, że van Krist prawie od pierwszej chwili musiał się cofać. Zrozumiano odrazu, że jeden z tych przeciwników zwalił się na drugiego, jak burza, że prze, naciska, razi jak piorun, drugi zaś, w poczuciu, że śmierć nad nim, broni się tylko, aby jak najbardziej opóźnić okropną chwilę. Jakoż tak było istotnie. Ów samochwał, który wogóle stawał do bitki tylko wówczas, gdy inaczej nie mógł uczynić, poznał, że zuchwałe a niebaczne słowa przywiodły go do walki ze strasznym osiłkiem, którego powinien był, jak zguby, unikać; więc gdy poczuł teraz, że każde z tych uderzeń mogłoby zwalić wołu, upadło w nim zupełnie serce. Zapomniał prawie, że niedość chwytać ciosy tarczą, ale że trzeba je także zadawać. Widział nad sobą błyski toporu i myślał, że każdy z nich jest ostatni. Nadstawiając puklerz, mrużył mimowoli oczy z poczuciem trwogi i zwątpienia, czy je jeszcze otworzy. Zrzadka sam zadał cios, bez nadziei, że przeciwnika dosięże, puklerz tylko podnosił coraz wyżej na głowę, aby ją jeszcze i jeszcze uchronić.

Wreszcie począł się męczyć, a Czech bił w niego coraz potężniej. Równie, jak z rosłego chojara odszczepiają się pod toporem chłopa wióry ogromne, tak i pod razami Czecha poczęły kruszyć się i odpadać blachy ze zbroi niemieckiego giermka. Górny brzeg tarczy wygiął się i spękał, naramiennik z prawego barku stoczył się wraz z przeciętym i pokrwawionym już rzemieniem na ziemię. Van Kristowi włosy stanęły dębem na głowie — i chwyciła go trwoga śmiertelna. Uderzył jeszcze raz i drugi całą siłą ramienia w puklerz Czecha, wreszcie widząc, że wobec okrutnej siły przeciwnika niema dla niego ratunku i że ocalić go tylko może jakiś nadzwyczajny wysiłek, rzucił się nagle całym ciężarem zbroi i ciała pod nogi Hlawy.

Padli obaj na ziemię i zmagali się wzajem, tocząc i przewracając się po śniegu. Lecz Czech wnet wydostał się na wierzch, przez chwilę tłumił jeszcze rozpaczliwe ruchy przeciwnika, wreszcie przycisnął kolanem żelazną siatkę pokrywającą jego brzuch i wydobył z za pasa krótką, trójgranną mizerykordję.

— Oszczędź! — wyszeptał cicho van Krist, wznosząc oczy ku oczom Czecha.

Lecz ów, zamiast odpowiedzieć, rozciągnął się na nim, by łatwiej rękoma dostać jego szyi, i przeciąwszy rzemienną zapinkę hełmu pod brodą, pchnął nieszczęśnika dwukrotnie w gardło, kierując ostrze w dół, ku środkowi piersi.

Wówczas źrenice van Krista uciekły w głąb czaszki, ręce i nogi poczęły trzepać śnieg, jakby chciały go oczyścić z popiołu, po chwili jednak wyprężył się — i pozostał nieruchomy, wydymając tylko jeszcze pokryte czerwoną pianą wargi i krwawiąc nadzwyczaj obficie.

A Czech wstał, obtarł o suknię Niemca mizerykordję, następnie podniósł topór, i wsparłszy się na nim, począł spoglądać na ciężką i upartszą bitkę swego rycerza z bratem Rotgierem.

Rycerze zachodni przywykli już byli do wygód i zbytków, podczas gdy „dziedzice" w Małopolsce i Wielkopolsce, oraz na Mazowszu, wiedli jeszcze życie surowe i twarde, wskutek czego, nawet w obcych i niechętnych budzili podziw krzepkością ciała i wytrzymałością na wszelki trud, bądź ciągły, bądź doraźny. Pokazało się i teraz, że Zbyszko góruje nad Krzyżakiem siłą rąk i nóg, nie mniej niż jego giermek górował nad van Kristem, ale pokazało się także, że jako młody ustępuje mu w ćwiczeniu rycerskiem.

Było to dla Zbyszka rzeczą poniekąd pomyślną, iż wybrał walkę na topory, albowiem fechtunek tego rodzaju bronią był niemożliwy. Na krótkie lub długie miecze, przy których trzeba było znać cięcia, sztychy i umieć ciosy odbijać, miałby Niemiec znaczną przewagę. Lecz i tak zarówno sam Zbyszko, jak i widzowie, po ruchach i władaniu tarczą poznali, iż mają przed sobą męża doświadczonego i groźnego, który widocznie nie pierwszy raz staje do tego rodzaju walki. Za każdym ciosem Zbyszka, Rotgier podstawiał tarczę i w chwili uderzenia cofał ją nieco, przez co rozmach, choćby największy, tracił na sile i nie mógł przeciąć, ani też pokruszyć gładkiej powierzchni. Chwilami cofał się, chwilami nacierał, czyniąc to spokojnie, lubo tak szybko, że ledwie można było pochwycić oczyma jego ruchy. Zląkł się książę o Zbyszka, a twarze mężów zasępiły się, wydało im się bowiem, że Niemiec igra jakby umyślnie z przeciwnikiem. Nieraz nie podstawiał nawet tarczy, ale w chwili, gdy Zbyszko uderzał, czynił pół obrotu w bok, w ten sposób, że ostrze topora przecinało puste powietrze. Było to najstraszniejsze, gdyż Zbyszko mógł przytem stracić równowagę i upaść, a wówczas zguba jego stałaby się nieuchronną. Widząc to, Czech, stojący nad zarżniętym Kristem, trwożył się także i mówił sobie w duszy: „Boga mi! jeśli pan padnie, huknę Niemca obuchem między łopatki, aby się też wykopyrtnął".

Zbyszko jednak nie padał, gdyż mając w nogach siłę ogromną i rozstawiając je szeroko, mógł utrzymać na każdej cały ciężar ciała i rozmachu.

Rotgier zauważył to natychmiast, i widzowie mylili się, przypuszczając, że lekceważy przeciwnika. Owszem, po pierwszych uderzeniach, gdy pomimo całej umiejętności cofania tarczy, ręka prawie zdrętwiała mu pod nią, zrozumiał, że czeka go z tym młodziankiem ciężki trud, i że jeśli go nie zwali dobrym pomysłem, to walka może być długą i niebezpieczną. Liczył, że po cięciu w próżnię, Zbyszko runie na śnieg, a gdy się to nie stało począł się wprost niepokoić. Z pod stalowego okapu widział zaciśnięte nozdrza i usta przeciwnika, a chwilami błyszczące oczy, i mówił sobie, że zapalczywość powinna go unieść, że się zapamięta, straci głowę, i w zaślepieniu więcej będzie myślał o zadawaniu razów, niż obronie. Ale pomylił się i w tem. Zbyszko nie umiał uchylać się od ciosów półobrotem, ale nie zapomniał o tarczy, i wznosząc topór, nie odsłaniał się więcej, niż należało. Widocznie

uwaga jego zdwoiła się, a poznawszy doświadczenie i sprawność przeciwnika, nietylko się nie zapamiętał, ale skupił się w sobie, stał ostrożniejszym, i w uderzeniach jego był jakiś rozmysł, na który nie gorąca, ale tylko zimna zawziętość zdobyć się może.

Rotgier, który nie mało wojen odbył i nie mało staczał bitew, bądź kupą, bądź w pojedynkę, wiedział z doświadczenia, że bywają ludzie, jako ptaki drapieżne, stworzeni do walki i szczególnie obdarowani przez naturę, którzy jakby odgadują to wszystko, do czego inni dochodzą przez całe lata ćwiczeń i wraz pomiarkował, że ma z jednym z takich do czynienia. Od pierwszych uderzeń zrozumiał, że w tym młodziku jest coś takiego, co jest w jastrzębiu, który w przeciwniku widzi jedynie łup swój, i nie myśli o niczem więcej, tylko, aby go dosięgnąć szponami. Pomimo swej siły, spostrzegł się również, że nie dorównywa w niej Zbyszkowi, i że jeśli wyczerpie się przedtem, niż zdoła zadać cios stanowczy, to walka z tym strasznym, choć mniej doświadczonym wyrostkiem, może się stać dla niego zgubną. Pomyślawszy to, postanowił walczyć z najmniejszym możliwie wysiłkiem, przyciągnął ku sobie tarczę, ni zbyt następował, ni zbyt się cofał, ograniczył ruchy, zebrał całą moc duszy i ramienia na jeden cios stanowczy i czekał pory.

Okrutna walka przeciągała się dłużej nad zwykłą miarę. Na krużgankach zaległa cisza śmiertelna. Słychać było tylko czasem dźwięcliwe, a czasem głuche uderzenie ostrzy i obuchów o tarcze. I księstwu i rycerzom i dwórkom nie obce były podobne widowiska, a jednakże jakieś uczucie podobne do przerażenia ścisnęło jakby kleszczami wszystkich serca. Rozumiano, że tu nie chodzi o wykazanie siły, sprawności, męstwa, i że większa jest w tej walce zaciekłość, większa rozpacz, większa i bardziej nieubłagana zawziętość, głębsza zemsta. Z jednej strony: straszne krzywdy, miłość i żal bez dna, z drugiej: cześć całego Zakonu i głęboka nienawiść szły na tem pobojowisku na sąd Boży.

Tymczasem pojaśniał jeszcze zimowy, blady ranek, przetarła się szara opona mgły i promień słońca rozświecił błękitny pancerz Krzyżaka i srebrnawą medyolańską zbroję Zbyszka. W kaplicy zadzwoniono na tercję, a razem z odgłosem dzwonów znów stada kawek zerwały się z dachów zamkowych, łopocąc skrzydłami i kracząc zgiełkliwie, jakby z radości na widok krwi i tego trupa, który leżał już nieruchomo na śniegu. Rotgier rzucił na niego w czasie walki raz i drugi oczyma, i nagle uczuł się ogromnie samotnym. Wszystkie oczy, które na niego patrzyły, były to oczy wrogów. Wszystkie modły, życzenia i ciche wota, które czyniły niewiasty, były po stronie Zbyszka. Prócz tego, jakkolwiek Krzyżak był zupełnie pewien, że giermek Zbyszków nie rzuci się na niego z tyłu i nie sięgnie go zdradliwie, jednakże obecność i bliskość tej groźnej postaci przejmowała go takim mimowolnym niepokojem, jakim przejmuje ludzi widok wilka, niedźwiedzia lub bawołu, od którego nie przedziela ich krata. I nie mógł się temu uczuciu obronić tembardziej, że Czech, chcąc śledzić przebieg walki, poruszał się i zmieniał miejsce, zachodząc walczącym to z boku, to z tyłu, to od czoła — pochylając przytem głowę i przypatrując się mu złowrogo

przez szpary w żelaznej przyłbicy hełmu, a czasem podnosząc nieco, jakby mimowoli zakrwawione ostrze.

Zmęczenie poczęło wreszcie Krzyżaka ogarniać. Raz po razu, zadał dwa ciosy krótkie, ale straszne, kierując je na prawe ramię Zbyszka, ten jednakże odepchnął je tarczą z taką siłą, że toporczysko zachwiało się w dłoni Rotgiera, sam zaś musiał się cofnąć nagle, aby nie upaść. I od tej pory cofał się ciągle. Wyczerpywały się zresztą nietylko jego siły, ale zimna krew i cierpliwość. Z piersi widzów, na widok jego cofania się, wyrwało się kilka okrzyków, jakby triumfu, które wzbudziły w nim złość i rozpacz. Uderzenia toporów stały się coraz gęstsze. Pot zlewał czoła obu walczących, a przez zwarte zęby dobywał im się z piersi chrapliwy oddech. Patrzący przestali zachowywać się spokojnie, i co chwila teraz odzywały się wołania to męskie, to niewieście: „Bij! W niego!... Sąd Boży! Kara Boża! Bóg ci pomagaj!" Książę skinął kilka razy dłonią, by je uciszyć, ale nie mógł ich powstrzymać. Czyniło się coraz głośniej, gdyż dzieci poczęły tu i ówdzie płakać na krużgankach, a wreszcie przy samym boku księżny jakiś młody, łkający głos niewieści zawołał:

— Za Danuśkę, Zbyszku za Danuśkę!

Zbyszko wiedział przecie, że idzie o Danusię. Był pewny, że ten Krzyżak przyłożył ręki do jej porwania, i walcząc z nim, walczył za jej krzywdy. Ale jako młody i chciwy bitew, w chwili walki, myślał o samej walce. Nagle ów krzyk uprzytomnił mu jej stratę i jej niedolę. Miłość, żal i zemsta nalały mu ognia do żył. Serce zaskowyczało w nim z rozbudzonego bólu i chwycił go poprostu szał bojowy. Strasznych, podobnych do uderzeń burzy jego ciosów nie mógł już Krzyżak pochwycić, ni im wydążyć. Zbyszko uderzył tarczą w jego tarczę z tak nadludzką siłą, że ramię Niemca zdrętwiało nagle i opadło bezładnie. Ów zaś cofnął się w trwodze i przerażeniu i przechylił się w tył, a w tem w oczach mignął mu błysk topora i ostrze spadło mu jak piorun na prawy bark.

Do uszu widzów doszedł tylko rozdzierający krzyk: „Jezus!..." — poczem Rotgier odstąpił jeszcze krok i runął na wznak na ziemię.

Wnet zagrzmiało i zaroiło się na krużgankach, jak w pasiece, w której pszczoły przygrzane słońcem, poczynają ruszać się i szumieć. Rycerze zbiegali całymi tłumami po schodach, czeladź przeskakiwała wał śnieżny, by się trupom przypatrzyć. Wszędy rozlegały się okrzyki: „Ot sąd Boży!... Ma Jurand dziedzica! Chwała mu i podzięka! To ci chłop do topora!" Inni zaś wołali: „Patrzcie a dziwujcie się! Jużby sam Jurand godniej nie ciął." Jakoż utworzyła się cała gromada ciekawych naokół trupa Rotgiera, a on leżał na grzbiecie z twarzą białą jak śnieg, z szeroko otwartemi ustami i z krwawem ramieniem, odwalonem tak strasznie od szyi, aż do pachy, że ledwie się na kilku włóknach trzymało. Więc mówili znów niektórzy: „Ot żyw był i w hardości po ziemi chodził, a teraz ci i palcem nie ruszy!" A tak mówiąc, jedni podziwiali jego wzrost, gdyż wielką przestrzeń na pobojowisku zajmował i po śmierci wydawał się jeszcze ogromniejszy, drudzy zaś pawi pióropusz, mieniący się cudnie na śniegu, a trzeci zbroję, którą na dobrą

wieś oceniano. Lecz Czech, Hlawa, zbliżył się właśnie z dwoma Zbyszkowymi pachołkami, by ją zdjąć z nieboszczyka, więc ciekawi otoczyli Zbyszka, wychwalając go i wynosząc pod niebiosa, bo im się słusznie zdawało, że sława jego spadnie na całe mazowieckie i polskie rycerstwo. Tymczasem odjęto mu tarczę i topór, by mu ulżyć, a Mrokota z Mocarzewa odpiął mu i hełm, spotniałe zaś włosy przykrył czapką ze szkarłatnego sukna. Zbyszko stał jakby w osłupieniu, oddychając ciężko, z ogniem jeszcze niezgasłym w oczach, z twarzą pobladłą z wysiłku i zawziętą, drżąc nieco ze wzruszenia i trudu. Ale chwycono go pod ręce i poprowadzono do księstwa, którzy czekali nań w ogrzanej komnacie, przy kominie. Tam Zbyszko klęknął przed nimi, a gdy ojciec Wyszoniek przeżegnał go i odmówił wieczny odpoczynek za dusze zmarłe, książę uścisnął młodego rycerzyka i rzekł:

— Bóg najwyższy rozsądził między wami i prowadził rękę twoją, za co niech będzie błogosławione imię Jego — amen!

Poczem, zwróciwszy się do rycerza de Lorche i do innych, dodał:

— Ciebie, obcy rycerzu, i was wszystkich obecnych biorę na świadków tego, o czem i sam świadczę, jako się potykali wedle prawa i obyczaju, a jako sądy Boże wszędy odprawują, tak się też i ten odprawił po rycersku i po bożemu.

Okrzyknęli się na to zgodnym chórem miejscowi wojownicy, gdy zaś panu de Lorche przetłómaczono słowa książęce, wstał i oznajmił, że nietylko świadczy, jako wszystko odbyło się po rycersku i po bożemu, ale gdyby nawet ktokolwiek w Malborgu lub na innym dworze książęcym śmiał o tem wątpić — on, de Lorche, pozwie go natychmiast w szranki na walkę pieszą lub konną, choćby to był nietylko zwyczajny rycerz, ale olbrzym i czarnoksiężnik, samego Merlina magiczną siłą przewyższający.

A tymczasem, księżna Anna Danuta, w chwili, gdy Zbyszko objął z kolei jej nogi, mówiła, pochylając się ku niemu:

— Czemu się zaś nie radujesz? Raduj się i dziękuj Bogu, bo jeśli cię Bóg w miłosierdziu swem wyzuł z tej obierzy, to cię i dalej nie opuści i do szczęśliwości doprowadzi.

A Zbyszko odrzekł:

— Jakoże mam się radować, Miłościwa Pani? Dał ci mi Bóg zwycięstwo i pomstę nad onym Krzyżakiem, ale Danuśki jako nie było, tak i niema — i nie bliżej mi do niej teraz, niż przedtem.

— Najzawziętsi nieprzyjaciele, Danveld, Godfryd i Rotgier nie żyją, — odpowiedziała księżna — a o Zygfrydzie mówią, iż sprawiedliwszy od nich, choć okrutny. Chwal-że miłosierdzie Boskie i za to. A mówił także pan de Lorche, że jeśli Krzyżak legnie, to on wraz do Malborga pojedzie i u samego Wielkiego Mistrza o Danuśkę się upomni. Jużci nie ośmielą się Wielkiego Mistrza nie posłuchać.

— Bóg daj zdrowie panu de Lorche — rzekł Zbyszko — i ja z nim pojadę do Malborga.

A księżna przestraszyła się tych słów, jak gdyby Zbyszko rzekł, że bezbronny pójdzie między wilki, które zbierały się zimą w stada w głębokich borach Mazowsza.

— Po co? — zawołała. — Na zgubę pewną? Zaraz po spotkaniu nie pomoże ci, ni de Lorche, ni te listy, które Rotgier pisał przed walką. Nie zratujesz nikogo, a zgubisz siebie.

Lecz on wstał, złożył w krzyż dłonie i rzekł:

— Tak mi dopomóż Bóg, że pojadę do Malborga i choćby za morza. Tak mi błogosław, Chryste, jako jej będę szukał do ostatniego tchu w nozdrzach, i jako nie ustanę, póki nie zginę. Łacniej mi bić Niemców i potykać się we zbroi, niż sierocie jęczeć w podziemiu. Oj łacniej! łacniej!

I mówił to, jak zresztą zawsze, gdy wspominał Danusię, w takiem uniesieniu, w takim bólu, że aż chwilami słowa urywały mu się tak, jakby go kto chwytał za gardło. Księżna poznała, że próżnoby go odwodzić, że ktoby go chciał powstrzymać, ten musiałby go chyba skuć i wtrącić do podziemia.

Zbyszko nie mógł jednak wyjechać natychmiast. Wolno było ówczesnemu rycerzowi nie zważać na żadne przeszkody, ale nie wolno było złamać obyczaju rycerskiego, który nakazywał, by zwycięzca w pojedynku spędził na miejscu walki cały dzień, aż do następnej północy, a to tak dla okazania, że został panem pobojowiska, jak i dla okazania gotowości do nowej walki, gdyby ktokolwiek z krewnych lub przyjaciół zwyciężonego chciał go ponownie do niej wyzwać. Obyczaj ten zachowywały nawet całe wojska, tracąc nieraz korzyści, jakieby pośpiech po zwycięstwie mógł przynieść. Zbyszko nie próbował nawet wyłamać się z pod nieubłaganego prawa, i posiliwszy się nieco, a następnie przywdziawszy zbroje, tkwił aż do północy na dziedzińcu zamkowym, pod zasępionem niebem zimowem, czekając na nieprzyjaciela, który znikąd przybyć nie mógł.

O północy dopiero, gdy heroldowie obwieścili ostatecznie przy dźwięku trąb jego zwycięstwo, Mikołaj z Długolasu wezwał go na wieczerzę, a zarazem na naradę do księcia.

37.

Książę pierwszy zabrał głos na naradzie i tak mówił:

— To bieda, że nie mamy nijakiego pisma, ani świadectwa przeciw komturom. Bo choć posąd nasz zdaje się słuszny, i ja sam myślę, że Jurandównę oni chwycili, nie kto inny, ale co z tego? Wyprą się. A jak Wielki Mistrz spyta o jakowyś dowód, co mu pokażem? Ba! jeszcze list Jurandowy świadczy za nimi.

— Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Powiadasz, że ten list groźbą na nim wymusili. Może być i pewnie tak jest, bo gdyby po ich stronie była sprawiedliwość, toby ci był Bóg przeciw Rotgierowi nie pomógł. Ale skoro wymusili jeden, to mogli wymusić i dwa. Może i oni mają od Juranda świadectwo, że niewinni porwania nieszczęsnej dziewki. A w takim razie pokażą je Mistrzowi — i co będzie?

— Sami przecie przyznali, Miłościwy Panie, że Danuśkę, niby zbójom odbili i że ją mają.

— To wiem. Ale teraz powiadają, że się omylili i że to inna dziewka, a najlepszy dowód, że sam Jurand jej się zaparł.

— Zaparł się, bo mu pokazali inną, przez co go właśnie rozjuszyli.

— Pewnie tak było, ale mogę powiedzieć, że to jeno nasze domysły.

— Ich łgarstwa — rzekł Mikołaj z Długolasu — są jakoby bór. Z brzegu jeszcze coś widać, ale im głębiej, tem większa gęstwa, że się człek zabłąka i całkiem drogę straci.

Poczem powtórzył swoje słowa po niemiecku panu de Lorche, który rzekł:

— Sam Wielki Mistrz lepszy od nich, a i brat jego, choć dusze ma zuchwałą, ale na cześć rycerską czułą.

— Tak jest — odpowiedział Mikołaj. — Mistrz człowiek ludzki. Nie umie ci on hamować komturów ni kapituły i nie poradzi na to, że wszystko w Zakonie na ludzkich krzywdach stoi, ale im nie rad. Jedźcie, jedźcie, rycerzu de Lorche, i opowiedzcie mu co tu się działo. Obcych więcej się oni wstydzą niż nas, by zaś nie opowiadali na obcych dworach o ich zdradach i nieuczciwych postępkach. A gdy Mistrz spyta was o dowody, tedy rzeknijcie mu tak: „Znać prawdę boska rzecz, a ludzka jej szukać, więc jeśli chcesz, panie, dowodów, to ich poszukaj: każ przetrząść zamki, wybadaj ludzi, pozwól nam szukać, boć to głupstwo i bajka, że oną sierotę chwycili zbóje leśni".

— Głupstwo i bajka — powtórzył de Lorche.

— Bo zbóje nie podnieśliby ręki na książęcy dworzec, ni na Jurandowe dziecko. A gdyby wreszcie nawet ją chwycili, to dla okupu, i samiby dali znać, że ją mają.

— Wszystko to powiem — rzekł Lotaryńczyk — i de Bergowa też odszukam. My z jednego kraju, a choć go nie znam, mówią, że i on jakowyś krewniak hrabiego Goldryi. Był w Szczytnie, niech Mistrzowi opowie co widział.

Zbyszko zrozumiał cośkolwiek z tych słów, a czego nie zrozumiał, to wytłómaczył mu Mikołaj, więc chwycił przez pół pana de Lorche i przycisnął go do piersi, tak, że aż rycerz jęknął.

Książę zaś rzekł do Zbyszka:

— A ty koniecznie chcesz też jechać?

— Koniecznie, Miłościwy Panie. Cóż mam innego czynić? Chciałem Szczytna dobywać, choćby zębami przyszło mur gryźć, ale jakoże mi bez pozwoleństwa wojnę wszczynać?

— Ktoby wojnę bez pozwoleństwa wszczął, pod katowskimby się mieczem kajał — rzekł książę.

— Juści prawo prawem — odpowiedział Zbyszko. — Ba! chciałem potem pozywać wszystkich, którzy byli w Szczytnie, ale powiadali ludzie, że Jurand narznął ich tam jak wołów, i nie widziałem, który



Sąd Boży.

żyw, a który zabit.... Bo, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako ja Juranda do ostatniego tchu nie opuszczę!

— To zacnie mówisz i udałeś mi się — rzekł Mikołaj z Długolasu. — A żeś do Szczytna sam nie leciał, to też widać, że rozum masz, bo i głupiby się domyślił, że oni tam ni Juranda, ni jego córki nie trzymają, jeno musieli ich do innych zamków wywieźć. Bóg cię Rotgierem nagrodził za to, żeś tu przyjechał.

— A no! — rzekł książę — jako się od Rotgiera słyszało, to z tych czterech, jeden tylko stary Zygfryd żywie, a innych Bóg już pokarał, albo twoją, albo Jurandową ręką. Co do Zygfryda, mniejszy od tamtych szelma, ale okrutnik może największy. Źle, że Jurand i Danuśka w jego ręku, i trzeba ich prędko ratować. Aby zaś i ciebie zła przygoda nie spotkała, dam ci do Mistrza list. Słuchaj jeno dobrze i rozumiej, że nie jedziesz jako poseł, jeno jako wysłannik, a ja Mistrzowi piszę tak: Skoro się swego czasu na naszą osobę, potomka ich dobrodziejów, targnęli, to rzecz podobna jest, że i Jurandównę chwycili, zwłaszcza mając złość do Juranda. Proszę tedy Mistrza, aby pilnie jej szukać kazał, i jeśli chce przyjaźni mojej, zaraz ci ją w ręce oddał.

Zbyszko, usłyszawszy to, rzucił się do nóg księcia, i objąwszy jego kolana, począł mówić:

— A Jurand, Miłościwy Panie! a Jurand! Wstawcie się też i za nim! Jeśli śmiertelne ma rany, niech choć u siebie na dziedzinie i przy dzieciach umrze.

— Jest i o Jurandzie — rzekł łaskawie książę. — Ma wysłać Mistrz dwóch sędziów i ja też dwóch, którzy uczynki komturów i Jurandowe wedle praw czci rycerskiej rozpatrzą. A ci zaś wybiorą jeszcze jednego, by zaś był im głową, i jako wszyscy uradzą, tak będzie.

Na tem skończyła się narada, po której Zbyszko pożegnał księcia, gdyż wnet mieli wyruszyć w drogę. Lecz przed rozejściem się doświadczony i znający Krzyżaków Mikołaj z Długolasu wziął Zbyszka na bok i zapytał:

— A onego pachołka Czecha weźmiesz z sobą do Niemców?

— Pewnie, że mnie nie odstąpi. Albo co?

— Bo mi go żal. Chłop ci jest na schwał, a zaś miarkuj, co ci rzeknę: ty z Malborga zdrową głowę wyniesiesz, chyba że potykując się tam, trafisz na lepszego, ale jego zguba pewna.

— A dlaczego?

— Bo go psubraty oskarżali, że on de Fourcego zadźgał. Musieli też do Mistrza o jego śmierci pisać, i też pewnikiem napisali, iż Czech onę krew rozlał. Tego mu w Malborgu nie darują. Czeka go sąd i pomsta, bo jakże o jego niewinności Mistrza przekonasz? A przecie on także i Danveldowi ramię pokruszył, który Wielkiego Szpitalnika był krewny. Szkoda mi go, a powtarzam ci, że jeśli pojedzie, to po śmierć.

— Nie pojedzie po śmierć, bo go w Spychowie ostawię.

Lecz stało się inaczej, gdyż zaszły powody, dla których Czech nie został w Spychowie. Zbyszko i de Lorche ruszyli wraz ze swymi pocztami nazajutrz. Le Lorche, którego ksiądz Wyszoniek rozwiązał ze ślubów

względem Ulryki de Elner, jechał szczęśliwy i cały oddany rozpamiętywaniu urody Jagienki z Długolasu, więc milczący; Zbyszko zaś, nie mogąc z nim rozmawiać o Danuśce także i z tej przyczyny, że nie bardzo się z sobą rozumieli, rozmawiał z Hlawą, który dotąd nic o zamierzonej w dzierżawy krzyżackie wyprawie nie wiedział.

— Jedziem do Malborga, — rzekł — a kiedy ja wrócę, to w mocy Boskiej.... Może prędko, może na wiosnę, może za rok, a może i wcale, rozumiesz?

— Rozumiem. Wasza Miłość jedzie też także pewnie i dla tego, aby tamtejszych rycerzy pozywać. I chwała Bogu, boć przy każdym rycerzu jest przecie giermek.

— Nie — odrzekł Zbyszko. — Nie po to ja tam jadę, by ich pozywać, chybaby się samo zdarzyło, a ty wcale nie pojedziesz, jeno w domu, w Spychowie, zostaniesz.

Usłyszawszy to, Czech naprzód zmartwił się okrutnie i począł żałośnie narzekać, a potem nuż prosić młodego pana, by go nie ostawiał.

— Ja poprzysiągł, że Waszej Miłości nie opuszczę: poprzysiągł na krzyż i na cześć. A gdyby Waszą Miłość jakować przygoda spotkała, jakoże pokazałbym się na oczy mojej pani w Zgorzelicach! Ja jej przysięgał, panie! — więc zmiłujcie wy się nade mną, bym się nie pohańbił przed nią.

— A nie przysięgałeś jej, że mi będziesz posłuszny? — zapytał Zbyszko.

— Jakże nie! We wszystkiem, jeno nie w tem, bym poszedł precz. Jeśli mnie Wasza miłość odpędzi, pojadę opodal, abym w razie potrzeby był pod ręką.

— Ja cię nie odpędzam i nie odpędzę, — odpowiedział Zbyszko — ale niewolaby mi to była, gdybym cię nie mógł ni gdzie wysłać, choćby w najdalszą drogę, ni też odczepić się od ciebie bogdaj na jeden dzień. Nie będziesz-że stał bez przestanku nade mną, jak kat nad dobrą duszą! A co do bitwy jakże mi pomożesz? Nie mówię na wojnie, bo na wojnie ludzie się kupą biją, a w spotkaniu samowtór jużci się nie będziesz za mnie bił. Gdyby Rotgier był tęższy ode mnie, nie na naszym wozie byłaby jego zbroja, jeno moja na jego. A przytem wiedz, że mi tam z tobą będzie gorzej, i że mnie na niebezpieczeństwo podać możesz.

— Jak to, Wasza Miłość?

Więc Zbyszko począł mu opowiadać to, co słyszał od Mikołaja z Długolasu, że komturowie, nie mogąc się przyznać do zamordowania de Fourcego, jego oskarżyli i będą go zemstą ścigali.

— A jeśli cię schwycą, — rzekł w końcu — przecie cię im jako psom w gardle nie ostawię, przez co i sam mogę głową nałożyć.

Zasępił się, usłyszawszy te słowa, Czech, albowiem czuł w nich prawdę; jednakże usiłował jeszcze rzecz wedle swojej chęci wykręcić.

— Toć już niema na świecie tych, którzy mię widzieli, bo jednych, jako mówią, stary pan ze Spychowa pobił, a Rotgiera Wasza Miłość.

— Widzieli cię pachołcy, którzy się opodal za nimi wlekli, i żywie ów stary Krzyżak, który pewnie w Malborgu teraz siedzi, a jeśli nie siedzi, to przyjedzie, gdyż go, da Bóg, Mistrz wezwie.

Na to nie było już co odpowiedzieć, więc jechali w milczeniu, aż do Spychowa. Zastali tam zupełną gotowość wojenną, gdyż stary Tulima spodziewał się, że albo Krzyżacy na gródek uderzą, albo też Zbyszko, wróciwszy, poprowadzi ich na ratunek staremu panu. Straże czuwały wszędy, na przejściach przez bagniska i w samym gródku. Chłopi byli zbrojni, że zaś nie nowina im była wojna, więc czekali na Niemców z ochotą, obiecując sobie łup znamienity. W kasztelu przyjął Zbyszka i de Lorchego ksiądz Kaleb i zaraz po wieczerzy pokazał mu pergamin z pieczęcią Juranda, w którym własnoręcznie spisał ostatnią wolę rycerza ze Spychowa .

— Dyktował ci mi ją — rzekł — tej nocy, której do Szczytna ruszył. No — i nie spodziewał się wrócić.

— A czemuście nie mówili nic?

— Nie mówiłem nic, bo mi pod tajemnicą spowiedzi wyznał, co chce czynić. Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

— Nie mówcie za niego pacierza. Żyw jeszcze. Wiem to ze słów Krzyżaka Rotgiera, z którym potykałem się na dworze księcia. Był między nami sąd Boży, i zabiłem go.

— Tembardziej Jurand nie wróci... Chybaby moc Boża!...

— Jadę z tym oto rycerzem, aby go z ich rąk wyrwać.

— To nie znasz widać krzyżackich rąk; jać je znam, gdyż nim mnie Jurand w Spychowie przygarnął, byłem piętnaście roków księdzem w ich kraju. Jeden Bóg może Juranda uratować.

— I może też nam pomódz.

— Amen.

Poczem rozwinął dokument i jął go czytać. Jurand zapisywał wszystkie swe ziemie i całą majętność Danusi i jej potomstwu, w razie zaś bezpotomnej śmierci tejże, jej mężowi, Zbyszkowi z Bogdańca. W końcu polecał tę swoją wolę opiece książęcej: „by zaś, jeśliby co nie było wedle prawa, łaska książęca w prawo zmieniła”. Koniec ów dodany był dlatego, że ksiądz Kaleb znał się tylko na prawie kanonicznem, a sam Jurand, zajęty wyłącznie wojną, tylko na rycerskiem. Po odczytaniu dokumentu Zbyszkowi, ksiądz odczytał go starszym ludziom załogi spychowskiej, którzy uznali zaraz młodego rycerza jako dziedzica i przyrzekli mu posłuszeństwo.

Myśleli też, że Zbyszko wnet ich poprowadzi na ratunek staremu panu, i radowali się, albowiem w piersiach ich biły serca srogie i łakome na wojnę, a do Juranda przywiązane. To też smutek ogarnął ich wielki, gdy dowiedzieli się, że zostaną w domu, i że pan z małym jeno pocztem uda się do Malborga, i nie na wojnę, lecz na skargę. Dzielił ten ich smutek Czech Głowacz, choć z drugiej strony, rad był z tak znacznego pomnożenia Zbyszkowego dobra.

— Hej! komuby była uciecha, — rzekł — to staremu panu z Bog-

dańca! I umiałby też on tu rządzić! Co tam Bogdaniec w porówna=niu z taką dziedziną!

A Zbyszka zdjęła w tej chwili nagła tęſknota do ſtryjca, taka, jaka zdejmowała go często, zwłaszcza zaś w trudnych i ciężkich wypadkach życia, więc zwróciwszy ſię do giermka, rzekł bez namyſłu:

— Co masz tu po próżnicy ſiedzieć! Jedź do Bogdańca, liſt po=wieziesz.

— Jeśli nie mam z Waszą Miłością iść, to już wolałbym tam jechać! — odrzekł uradowany pacholik.

— Wołaj mi księdza Kaleba, niech wypisze, jako ſię patrzy, wszyſtko co tu było, a ſtryjcowi odczyta liſt proboszcz z Krześni, albo li też opat, jeśli jeſt w Zgorzelicach.

Lecz powiedziawszy to, uderzył ſię dłonią po młodych wąſiętach i dodał, mówiąc jakby ſam do ſiebie:

— Ba! opat!...

I zaraz przed oczyma przeſunęła mu ſię Jagienka — modrooka, ciemnowłoſa, hoża jak łania, a ze łzami na rzęſach! Uczyniło mu ſię kłopotliwie, i przez czas jakiś tarł ręką czoło, lecz wreszcie rzekł:

— Jużci będzie ci ſmutno dziewczyno, ale nie gorzej, niźli mnie.

Tymczaſem nadszedł ksiądz Kaleb i zaraz zaſiadł do piſania. Zbyszko dyktował mu obszernie wszyſtko, co ſię zdarzyło od chwili, gdy przybył do leśnego dworca. Nic nie zataił, gdyż wiedział, że ſtary Maćko, gdy ſię dobrze w tych ſprawach rozpatrzy, to w końcu będzie rad. Bogdańca iſtotnie ani porównać ze Spychowem, który był wło=ścią obszerną i bogatą, a Zbyszko wiedział, że Maćkowi okrutnie zawsze o takie rzeczy chodziło.

Lecz gdy po długich mozołach liſt był napiſany i pieczęcią zam=knięty, zawołał znów Zbyszko giermka i wręczył mu go, mówiąc:

— A może ze ſtryjcem tu wrócisz, z czego wielcebym był rad.

Lecz Czech miał twarz także jakby zakłopotaną; marudził, z nogi na nogę przeſtępował i nie odchodził, póki młody rycerz nie ozwał ſię:

— Masz=li co jeszcze powiedzieć, to mów.

— Chciałbym, Wasza Miłość... — odrzekł Czech — chciałbym ot! jeszcze zapytać, jako tam mam ludziom rozpowiadać?

— Jakim ludziom?

— Niby, nie w Bogdańcu, ale w okolicy... Bo ſię też z pewnością będą chcieli dowiedzieć!

Na to Zbyszko, który poſtanowił już nic nie ukrywać, ſpojrzał na niego byſtro i rzekł:

— Tobie nie o ludzi chodzi, jeno o Jagienkę ze Zgorzelic.

A Czech ſpłonął, potem przybladł nieco, i odpowiedział:

— O nią, panie.

— A ſkąd wiesz, czy ſię tam nie wydała za Cztana z Rogowa, albo za Wilka z Brzozowej?

— Panienka nie wydała ſię za nikogo — odrzekł ſtanowczo giermek.

— Mógł jej opat rozkazać.

— Opat panienki słucha, nie ona jego.

— To czegóż chcesz? Powiadaj prawdę tak jej, jak wszystkim.

Czech skłonił się i odszedł nieco zły.

— Daj Bóg, — mówił sobie, myśląc o Zbyszku — by cię zapomniała. Daj jej Bóg jeszcze lepszego, niż ty. Ale jeślić nie zapomniała, to też jej rzekę, żeś żeniaty, ale bez niewiasty, i że bogdaj owdowiejesz, nim do łożnicy wstąpisz.

Giermek przywiązał się był jednak do Zbyszka, litował się i nad Danusią, ale Jagienkę miłował nad wszystko w świecie, i od czasu, jak się przed ostatnią bitką w Ciechanowie dowiedział o małżeństwie Zbyszkowem, nosił ból i gorycz w sercu.

— Bogdaj, że wprzód owdowiejesz! — powtórzył.

Lecz następnie inne, widocznie słodsze myśli poczęły mu przychodzić do głowy, gdyż schodząc ku koniom, mówił:

— Chwała Bogu, że jej choć nogi obejmę.

Tymczasem Zbyszko rwał się do drogi, gdyż trawiła go gorączka — i o ile z konieczności nie musiał zajmować się innemi sprawami, o tyle znosił poprostu męki, myśląc bez ustanku o Danusi i Jurandzie. Trzeba było jednak zostać w Spychowie chociaż na jeden nocleg, choćby dla pana de Lorche i dla przygotowań, których tak długa podróż wymagała. Sam był wreszcie utrudzon nad wszelką miarę, walką, czuwaniem, drogą, bezsennością, zmartwieniem. Gdy więc noc uczyniła się bardzo późna, rzucił się na twarde Jurandowe łoże, w nadziei, że choć krótki sen go nawiedzi. Lecz nim zasnął, zapukał do niego Sanderus, i skłoniwszy się, rzekł:

— Panie, ocaliliście mnie od śmierci, i dobrze mi było przy was, jak dawno przedtem nie bywało. Bóg wam dał teraz włość wielką, żeście jeszcze bogatsi niż wprzódy, a i skarbiec spychowski nie pusty. Dajcie mi, panie, trzos jaki taki, a ja pójdę do Prus, od zamku do zamku, i choć mi tam nie bardzo bezpieczno, może wam usłużę.

Zbyszko, który chciał go w pierwszej chwili wyrzucić z izby, zastanowił się nad temi słowami, i po chwili wydobywszy ze stojącej wedle łoża podróżnej kalety spory worek, rzucił mu go i rzekł:

— Masz, idź! Jeśliś szelma — odrwisz, jeśliś uczciwy — usłużysz.

— Odrwię, jako szelma, panie, — rzekł Sanderus — ale nie was, a usłużę poczciwie — wam.

38.

Zygfryd de Loewe miał właśnie wyjeżdżać do Malborga, gdy niespodzianie pocztowy pachołek przyniósł mu list od Rotgiera z wiadomościami z mazowieckiego dworu.

Wiadomości poruszyły do żywego starego Krzyżaka. Przedewszystkiem widać było z listu, iż Rotgier wybornie przedstawił i poprowadził wobec księcia Janusza sprawę Juranda. Zygfryd uśmiechnął się, czytając, iż Rotgier zażądał jeszcze, by książę, za krzywdy Zakonu, oddał

nadto Spychów w mańśtwo Krzyżakom. Natomiast druga część listu zawierała nowiny niespodziane i mniej korzystne. Oto donosił także Rotgier, że dla tem lepszego okazania niewinności Zakonu w porwaniu Jurandówny, rzucił był rękawicę rycerzom mazowieckim, pozywając każdego, ktoby o tem wątpił, na sąd Boży, to jest na walkę wobec całego dworu. „Żaden jej nie podniósł — pisał dalej Rotgier — wszyscy bowiem wiedzieli, iż świadczył za nami list samego Juranda, więc bali się sprawiedliwości Bożej, gdy wtem znalazł się młodzik, któregośmy w leśnym dworcu widzieli — i ów zakład podjął. Z której przyczyny nie dziwujcie się, pobożny i mądry bracie, że się z powrotem opóźnię, gdyż — sam pozwawszy, stanąć muszę. A iżem to dla chwały Zakonu uczynił, mam nadzieję, że nie poczyta mi tego za złe ani Wielki Mistrz, ani też wy, którego czczę i synowskiem sercem miłuję. Przeciwnik — prawy dzieciuch, a mnie walka, jako wiecie, nie nowina, więc łatwie tę krew na chwałę Zakonu rozleję, a zwłaszcza przy pomocy Pana Chrystusowej, któremu pewnie więcej chodzi o tych, którzy Krzyż Jego noszą, niż o jakowegoś Juranda, albo o krzywdy jednej mizernej dziewki z mazurskiego narodu."

Zygfryda zdziwiła przedewszystkiem wiadomość, że Jurandówna była zamężna. Na myśl, że w Spychowie osiąść może nowy groźny i mściwy nieprzyjaciel, objął nawet starego komtura pewien niepokój: „Oczywiście, — mówił sobie — .zemsty nie poniecha, a tem bardziej, gdyby niewiastę odzyskał, i gdyby mu powiedziała, że to myśmy ją porwali z leśnego dworca! Ba, wydałoby się też zaraz, żeśmy Juranda sprowadzili jeno dlatego, by go zgubić, i że córki nikt nie myślał mu oddawać." Tu przyszło Zygfrydowi na myśl, że jednak na skutek listów księcia, Wielki Mistrz prawdopodobnie każe czynić poszukiwania w Szczytnie choćby dlatego, by się przed tymże księciem oczyścić. Przecież Mistrzowi i Kapitule tak chodziło o to, by na wypadek wojny z potężnym królem polskim, książęta mazowieccy pozostali na stronie. Pominąwszy siły książąt, wobec rojności mazowieckiej szlachty, niepoślednie, a wobec jej bitności — godne, by ich nie lekceważyć, pokój z nimi zabezpieczał granicę krzyżacką na ogromnej, rozciągłej przestrzeni i pozwalał im skupić lepiej swe siły. Nieraz mówiono o tem przy Zygfrydzie z Malborgu, nieraz cieszono się nadzieją, że po zwycięstwie nad królem, znajdzie się później byle pozór przeciw Mazowszu, a wówczas żadna siła nie wyrwie tej krainy z rąk krzyżackich. Był to rachunek i wielki i pewny, dlatego było rzeczą równie i pewną, że Mistrz uczyni tymczasem wszystko, by nie rozdrażniać księcia Janusza, albowiem pan ów, żonaty z córką Kiejstuta, trudniejszym był do zjednania, niż Ziemowit Płocki, którego małżonka była, niewiadomo dlaczego, całkiem Zakonowi oddana.

I wobec tych myśli. stary Zygfryd, który przy całej swej gotowości do wszelkich zbrodni, zdrad i okrucieństw, miłował jednak Zakon i chwałę jego, począł się rachować z sumieniem: „Zali nie lepiej będzie wypuścić Juranda i jego córkę? Zdrada i ohyda obciąży imię Danvelda, ten zaś nie żyje." A choćby też — myślał — Mistrz pokarał srodze mnie i Rotgiera, którzyśmy byli jednak wspólnikami Danvel-

dowych uczynków, to czy nie lepiej tak będzie dla Zakonu? Lecz tu jego mściwe i okrutne serce poczęło burzyć się na myśl o Jurandzie.

Wypuścić go, tego ciemiężcę i kata zakonnych ludzi, zwycięzcę w tylu spotkaniach, przyczynę tylu klęsk i hańby, pogromcę, a potem zabójcę Danvelda, pogromcę de Bergowa, zabójcę Mejnegera, zabójcę Godfryda i Huga, tego, który w samem Szczytnie wytoczył więcej krwi niemieckiej, niż jej wytacza niejedna dobra utarczka czasu wojny: „Nie mogę! nie mogę! — powtarzał w duszy Zygfryd, i na samą tę myśl drapieżne palce zaciskały mu się kurczowo, a stara, wyschła pierś z trudnością łowiła oddech. — A jednak, gdyby to było z większym pożytkiem i chwałą Zakonu? Gdyby kara, któraby spadła w takim razie na jeszcze żyjących sprawców zbrodni, miała przejednać wrogiego dotychczas księcia Janusza i ułatwić z nim układ, albo nawet i przymierze?... Zapalczywi są oni, — myślał dalej stary komtur — lecz byle im trochę dobroci okazać, łatwo krzywd zapominają. Ot i książę sam był we własnym kraju pochwycon, a przecie czynnie się nie mścił!..." Tu począł chodzić po sali w wielkiej rozterce wewnętrznej, gdy nagle wydało mu się, że mu coś z góry rzekło: „Wstań i czekaj na powrót Rotgiera". Tak! należało czekać. Rotgier zabije niechybnie onego młodzianka, i potem albo trzeba będzie ukryć Juranda i jego córkę, albo ich oddać. W pierwszym razie książę wprawdzie o nich nie zapomni, ale nie mając pewności kto porwał dziewkę, będzie jej szukał, będzie słał listy do Mistrza nie z oskarżeniem, ale rozpytujące — i rzecz pójdzie w niezmierną odwłokę. W drugim razie radość z powrotu Jurandówny większa będzie, niż chęć zemsty za jej porwanie. „A wszak-ci zawsze możemy powiedzieć,ześmy ją naleźli już po Jurandowej napaści!" Ta ostatnia myśl uspokoiła całkiem Zygfryda. Co do samego Juranda, dawno już na wspólkę z Rotgierem wymyślili sposób, żeby, jeśli go przyjdzie wypuścić, nie mógł ni mścić się, ni skarżyć. Zygfryd radował się w srogiej duszy, myśląc teraz o tym sposobie. Radował się również na myśl o sądzie Bożym, który miał odbyć się w Ciechanowskim zamku. Co do wyniku śmiertelnej walki, nie nurtował go żaden niepokój. Przypomniał sobie pewien turniej w Królewcu, gdy Rotgier pokonał dwóch słynnych rycerzy, którzy w ojczystej swej andegaweńskiej krainie uchodzili za niezwalczonych zapaśników. Wspomniał i walkę pod Wilnem z pewnym polskim rycerzem, dworzaninem Spytka z Melsztyna, którego Rotgier zabił. I rozjaśniła mu się twarz, a serce wezbrało dumą, gdyż Rotgiera, jakkolwiek już słynnego rycerza, on pierwszy na wyprawy do Litwy wodził i najlepszych sposobów wojny z tem plemieniem go uczył. A teraz ów synaczek rozleje raz jeszcze znienawidzoną krew polską i wróci okryty chwałą. Wszak-ci to sąd Bożý, więc i Zakon będzie zarazem z podejrzeń oczyszczon... „Sąd Boży!..." Na jedno mgnienie oka stare serce ścisnęło się uczuciem podobnem do trwogi. Oto Rotgier stanąć ma do walki śmiertelnej w obronie niewinności krzyżackiej, a przecie oni winni, będzie zatem walczył za kłamstwo... Nużby stało się nieszczęście? Lecz po chwili Zygfrydowi wydało się to znów niemożliwem. Rotgier nie może być zwyciężony.

Uspokoiwszy się w ten sposób, stary Krzyżak zamyślił się jeszcze nad tem, czyby nie lepiej wysłać tymczasem Danusi do którego odleglejszego zamku, którynby w żadnym razie nie mógł uledz zamachowi Mazurów. Lecz po chwili zastanowienia zaniechał i tej myśli. Obmyślić zamach i stanąć na czele mógłby jeno mąż Jurandówny, a on przecie zginie pod ręką Rotgiera... Potem będą tylko ze strony księcia i księżny dochodzenia, przepytywania, pisania, skargi, ale przez to właśnie sprawa zatrze się i zaciemni, nie mówiąc o odwłoce niemal bez końca. „Wpierw nim do czego dojdą, — rzekł sobie Zygfryd — ja umrę, a może i Jurandówna postarzeje się w krzyżackiem zamknięciu". Kazał jednakże, by wszystko było gotowe w zamku do obrony, a również i do drogi, nie wiedział bowiem dokładnie, co może z narady z Rotgierem wypaść, i czekał.

Tymczasem upłynęły od terminu, na który obiecywał pierwotnie Rotgier wrócić, dwa dni, poczem trzy i cztery, a żaden orszak nie ukazywał się przed szczytnieńską bramą. Dopiero piątego, prawie już o zmroku, rozległ się odgłos rogu przed basztą odźwiernego. Zygfryd, który ukończył był właśnie przedwieczorne czynności, wysłał natychmiast pachołka, aby się dowiedział, kto przybył.

Pachołek wrócił po chwili z twarzą zmieszaną, ale zmiany tej nie mógł Zygfryd dostrzedz, gdyż w izbie ogień palił się w głębokim kominie i mało rozświecał mrok.

— Przyjechali? — spytał stary rycerz.

— Tak! — odpowiedziało pacholę.

Lecz w głosie jego było coś takiego, co nagle zaniepokoiło Krzyżaka, więc rzekł:

— A brat Rotgier?

— Przywieźli brata Rotgiera.

Na to Zygfryd podniósł się z krzesła. Przez długą chwilę trzymał dłonią za poręcz, jakby obawiał się upaść, poczem ozwał się przytłumionym głosem:

— Daj mi płaszcz.

Pachołek zarzucił mu płaszcz na ramiona, on zaś widocznie odzyskał już siły, gdyż sam nasunął kaptur na głowę i wyszedł z izby.

Po chwili znalazł się na dziedzińcu zamkowym, na którym mrok uczynił się już zupełny, i szedł przez skrzypiący śnieg powolnym krokiem ku orszakowi, który przejechawszy bramę, zatrzymał się w jej pobliżu. Stała tam już gęsta gromada ludzi i świeciło kilka pochodni, które żołnierze z załogi zdążyli przynieść. Na widok starego rycerza knechtowie rozstąpili się. Przy blasku pochodni widać było jednak trwożne oblicza, i ciche głosy szeptały w pomroce:

— Brat Rotgier...

— Brat Rotgier zabit...

Zygfryd przysunął się do sani, na których leżało na słomie pokryte płaszczem ciało, i podniósł koniec płaszcza.

— Zbliżcie światło — rzekł, odchylając kaptur.

Jeden z knechtów pochylił pochodnię, przy której blasku stary

Krzyżak dojrzał głowę Rotgiera i twarz białą, jak śnieg, zmarzniętą, otoczoną ciemną chustą, którą zawiązano mu pod brodą widocznie w tym celu, aby usta nie pozostały otwarte. Jakoż cała twarz była jakby ściągnięta, a przez to zmieniona tak, że możnaby rzec, iż to kto inny. Oczy były zakryte powiekami, naokoło oczu i przy skroniach plamy błękitne. Na policzkach szklił się zamróz.

Komtur patrzył przez długą chwilę, wśród ogólnego milczenia. Inni patrzyli na niego, wiedziano bowiem, że był jako ojciec dla zmarłego i że go miłował. Lecz jemu ani jedna łza nie wypłynęła z oczu, oblicze tylko miał jeszcze surowsze niż zwykle, a w niem jakiś skrzepły spokój.

— Tak go odesłali! — rzekł wreszcie.

Lecz zaraz potem zwrócił się do ekonoma zamku:

— Niech do północy zbiją trumnę i ustawią ciało w kaplicy.

— Została jedna trumna z tych, które robiono dla pobitych przez Juranda — odrzekł ekonom. — Każę ją tylko suknem obić.

— I przykryć go płaszczem — rzekł Zygfryd, zakrywając twarz Rotgiera — nie takim jak ten, jeno zakonnym.

Po chwili zaś dodał:

— A wieka nie przymykać.

Ludzie zbliżyli się do wozu, Zygfryd nasunął znów kaptur na głowę, lecz przypomniał sobie jeszcze coś przed odejściem, gdyż spytał:

— Gdzie jest van Krist?

— Zabit także — odpowiedział jeden z pachołków, ale musieli go pochować w Ciechanowie, bo począł gnić.

— To dobrze.

I to rzekłszy, odszedł powolnym krokiem, a wróciwszy do izby, siadł na tem samem krześle, na którem go wiadomość zastała — i siedział z twarzą kamienną, nieruchomy, tak długo, że pacholik począł się niepokoić i wsuwał coraz częściej głowę przeze drzwi. Godzina płynęła za godziną, w zamku ustawał zwykły ruch, tylko od strony kaplicy dochodziło głuche, niewyraźne stukanie młotka, a potem nic nic mąciło ciszy, prócz nawoływań wartowników.

Była też już blizko północ, gdy stary rycerz rozbudził się jakby ze snu i zawołał pachołka.

— Gdzie jest brat Rotgier? — zapytał.

Lecz chłopak, rozstrojony ciszą, wypadkami i bezsennością, widocznie nie zrozumiał go, gdyż spojrzał nań z trwogą i odrzekł ze drżeniem w głosie:

— Nie wiem, panie!...

A starzec uśmiechnął się rozdzierającym uśmiechem i rzekł łagodnie:

— Jać, dziecko, pytam: zali już w kaplicy?

— Tak jest, panie.

— To dobrze. Powiedz-że Diederichowi, by tu przyszedł z latarnią i by czekał, póki nie wrócę. Niech ma także i kociełek z węglami. Czy w kaplicy już jest światło?

— Goreją świece wedle trumny.

Zygfryd zawdział płaszcz i wyszedł.

Przyszedłszy do kaplicy, rozejrzał się od drzwi, czy niema nikogo, potem zamknął je starannie, zbliżył się do trumny, odstawił dwie świece z sześciu, które przy niej gorzały w wielkich miedzianych lichtarzach, i klękł przy niej.

Wargi nie poruszały mu się wcale, więc się nie modlił. Przez czas jakiś, patrzył tylko w skrzepłą, ale piękną jeszcze twarz Rotgiera, jakby chciał śladów życia w niej dopatrzyć.

Poczem wśród ciszy kaplicznej począł wołać przyciszonym głosem:

— Synaczku! Synaczku!

I umilkł. Zdawało się, że czeka odpowiedzi.

Następnie, wyciągnąwszy ręce, wsunął wychudłe, podobne do szponów palce pod płaszcz, okrywający piersi Rotgiera, i począł ich nimi dotykać: szukał wszędzie, w pośrodku i z boków, poniżej żeber i wedle obojczyków, zmacał nakoniec przez sukno szczelinę, ciągnącą się od wierzchu prawego barku aż pod pachę, zagłębił palce, przesunął je przez całą długość rany i znów jął mówić głosem, w którym drgała jakby skarga:

— Oo!... jakiż to niemiłosierny cios!... A mówiłeś, że tamten — prawie dzieciuch!... Całe ramię! całe ramię! Tyle razy wznosiłeś je na pogan w obronie Zakonu. A teraz odrąbał ci je polski topór... I ot ci koniec! Ot ci kres! Nie błogosławił ci On, bo mu może nie chodzi o nasz Zakon. Opuścił i mnie, chociażem mu służył od długich lat.

Słowa urwały mu się na ustach, wargi poczęły drżeć, i w kaplicy znów uczyniło się głuche milczenie.

— Synaczku! Synaczku!

W głosie Zygfryda była teraz prośba, a zarazem wołał jeszcze ciszej, jak ludzie, którzy dopytują się o jakąś ważną i straszną tajemnicę:

— Jeśliś jest, jeśli mnie słyszysz, daj znak: porusz ręką, albo otwórz na jedno mgnienie oczy — bo mi skowyczy serce w starych piersiach... Daj znak, jam cię miłował — przemów!...

I wsparłszy dłonie na krawędziach trumny, utkwił swe sępie oczy w zamkniętych powiekach Rotgiera i czekał.

— Ba! jako-że masz przemówić — rzekł wreszcie: — bije od ciebie mróz i zaduch. Ale skoro ty milczysz, to ja ci coś powiem, a dusza twoja niech tu przyleci między gorejące świece i słucha.

— To rzekłszy, pochylił się do twarzy trupa.

— Pamiętasz, jako kapelan nie dał dobić Juranda, i jakośmy mu przysięgli. I dobrze: dotrzymam przysięgi, ale ciebie uraduję gdziekolwiek jest.

To rzekłszy, cofnął się od trumny, przystawił napowrót lichtarze, które był poprzednio odsunął, nakrył trupa płaszczem wraz z twarzą i wyszedł z kaplicy.

Przy drzwiach komnaty spał zmorzony głębokim snem pachołek, wewnątrz zaś czekał wedle rozkazu na Zygfryda Diederich.

Był to nizki, krępy człowiek, o kabłączastych nogach i z kwadratową twarzą, którą w części zasłaniał ciemny ząbkowany kaptur, spadający na ramiona. Na sobie miał bawoli niewyprawny kaftan, na biodrach również bawoli pas, za który zatknięty był pęk kluczów i krótki nóż. W prawej ręce trzymał żelazną, pozasłanianą błonami latarnię, w drugiej miedziany kotlik i pochodnię.

— Gotów jesteś? — zapytał Zygfryd.

Diederich skłonił się w milczeniu.

— Kazałem, byś miał węgle w kotliku.

Krępy człowiek znów nic nie odpowiedział, wskazał tylko płonące w kominie bierwiona, wziął stojącą wedle komina żelazną łopatkę i począł wygarniać z pod nich węgle do kociełka, poczem zapalił latarnię i czekał.

— A teraz słuchaj, psie — rzekł Zygfryd: — Niegdyś wygadałeś, co kazał ci czynić komtur Danveld, i komtur kazał ci wyciąć język. Ale że możesz kapelanowi pokazać wszystko co chcesz na palcach, więc ci zapowiadam, iż jeśli jednym ruchem pokażesz mu to, co z mego rozkazu uczynisz — każę cię powiesić.

Diederich znów skłonił się w milczeniu, tylko twarz ściągnęła mu się złowrogo strasznem wspomnieniem, albowiem wyrwano mu język z zupełnie innego powodu, niż mówił Zygfryd.

— Ruszaj teraz naprzód i prowadź do Jurandowego podziemia

Kat chwycił swą olbrzymią dłonią pałąk kotlika, podniósł latarnię, i wyszli. Za drzwiami minęli uśpionego pachołka, i zszedłszy ze schodów, udali się nie ku drzwiom głównym, lecz w tył schodów, za którymi ciągnął się wązki korytarz, idący przez całą szerokość gmachu, a zakończony ciężką furtą, ukrytą we framudze muru. Diederich otworzył ją, i znaleźli się znów pod gołem niebem, na małem podwórku, otoczonem ze czterech stron murowanymi śpichrzami, w których chowano zapasy zboża na wypadek oblężenia zamku. Pod jednym z tych śpichrzów, od prawej strony, były podziemia dla więźniów. Nie stała tam żadna straż, albowiem więzień, choćby zdołał wyłamać się z podziemia, znalazłby się w dziedzińcu, z którego jedyne wyjście było właśnie przez ową furtę.

— Czekaj! — rzekł Zygfryd.

I wsparłszy się ręką o mur, zatrzymał się, albowiem uczuł, że dzieje się z nim coś niedobrego, i że brak mu tchu, jak gdyby piersi jego były zakute w zbyt ciasny pancerz. Poprostu to, przez co przeszedł, było nad jego stare siły. Uczuł też, że czoło pokrywa mu się pod kapturem kroplami potu — i postanowił chwilę odetchnąć.

Noc po posępnym dniu uczyniła się nadzwyczaj pogodna. Na niebie świecił księżyc, i cały dziedzińczyk zalany był jasnem światłem, przy którem śnieg połyskiwał zielono. Zygfryd z chciwością wciągał w płuca rześwe i nieco mroźne powietrze. Ale przypomniało mu się zarazem, że w taką samą świetlistą noc wyjeżdżał Rotgier do Ciechanowa, skąd wrócił trupem.

— A teraz łeżysz w kaplicy — mruknął z cicha.

Diederich zaś, sądząc, że komtur do niego mówi, podniósł latarnią i oświecił jego twarz, bladą strasznie, niemal trupią, ale zarazem podobną do głowy starego sępa.

— Prowadź! — rzekł Zygfryd.

Żółte koło światła od latarni zachybotało znów na śniegu, i poszli dalej. W grubym murze śpichlerza było wgłębienie, przy którem kilka schodów wiodło do wielkich żelaznych drzwi. Diederich otworzył je i począł schodzić po schodach w głąb czarnej czeluści, podnosząc mocno latarnię, by oświecić komturowi drogę. Na końcu schodów był korytarz, a w nim na prawo i na lewo nadzwyczaj nizkie furty od cel więziennych.

— Do Juranda! — rzekł Zygfryd.

Po chwili zaskrzypiały rygle, i weszli. Ale w jamie było zupełnie ciemno, więc Zygfryd, nie widząc dobrze przy mdłem świetle latarni, rozkazał rozpalić pochodnię i wkrótce w mocnym blasku jej płomienia ujrzał leżącego na słomie Juranda. Jeniec miał kajdany na nogach, na ręku zaś łańcuch nieco dłuższy, taki, aby mu pozwalał podawać sobie pokarm do ust. Ubrany był w ten sam wór zgrzebny, w którym stanął przed komturami, lecz pokryty teraz ciemnymi śladami krwi, albowiem w dniu owym, w którym położono kres walce dopiero wówczas, gdy oszalałego z bólu i wściekłości rycerza splątano siecią, knechtowie chcieli go dobić i halabardami zadali mu kilkanaście ran. Dobiciu przeszkodził miejscowy, szczycieński kapelan, ciosy zaś nie okazały się śmiertelne, natomiast uszło z Juranda tyle krwi, że go odniesiono do więzienia nawpół żywego. W zamku mniemano powszechnie, że lada godzina skończy, lecz jego ogromna siła zmogła śmierć, i żył, chociaż nie opatrzono mu ran, a wtrącono go do strasznego podziemia, w którem w dniach odwilży kapało ze sklepień, w czasie zaś mrozu ściany pokrywały się grubą sadzą śnieżną i kryształkami lodu.

Leżał więc na słomie, w łańcuchach, niemocen, ale ogromny tak, iż zwłaszcza leżąc, czynił wrażenie jakiegoś odłamu skały, który wykuto w kształt człowieczy. Zygfryd kazał mu świecić prosto w twarz i przez czas jakiś wpatrywał się w nią w milczeniu, poczem zwrócił się do Diedericha i rzekł:

— Widzisz, iże ma jedną tylko źrenicę, wykap mu ją.

W głosie jego była jakaś niemoc i zgrzybiałość, ale właśnie dlatego straszny rozkaz wydawał się jeszcze straszniejszy. To też pochodnia zadrżała nieco w ręku kata, jednakże pochylił ją, i wkrótce na oko Juranda poczęły spadać wielkie, płonące krople smoły, a wreszcie pokryły je zupełnie od brwi aż do wystającej kości policzka.

Twarz Juranda skurczyła się, płowe wąsy jego podniosły się ku górze i odkryły zaciśnięte zęby, ale nie wyrzekł ani słowa, i czy to z wyczerpania, czy przez zawziętość przyrodzoną strasznej jego naturze, nie wydał nawet jęku.

A Zygfryd rzekł:

— Przyrzeczono ci, iż wyjdziesz wolny, i wyjdziesz, ale nie będziesz mógł oskarżać Zakonu, gdyż język, którym przeciw niemu bluźniłeś, będzie ci odjęty.

I znów dał znak Diederichowi, lecz ów wydał dziwny, gardlany głos i pokazał zarazem na migi, że potrzebuje obu rąk, a nadto, że chce, by komtur mu poświecił.

Wówczas starzec wziął pochodnię i trzymał ją wyciągniętą drżącą ręką; jednakże, gdy Diederich przycisnął kolanami piersi Juranda, odwrócił głowę i patrzał na pokrytą szronem ścianę.

Na chwilę rozległ się dźwięk łańcuchów, poczem dały się słyszeć zdyszane oddechy piersi ludzkich, coś jakby jedno głuche, głębokie stęknięcie, i nastąpiła cisza.

Wreszcie ozwał się znów głos Zygfryda:

— Jurandzie, kara, którą poniosłeś, i tak cię spotkać miała, ale prócz tego bratu Rotgierowi, którego mąż twej córki zabił, obiecałem włożyć prawą twoją dłoń do trumny.

Diederich, który już był podniósł się, usłyszawszy te słowa, przychylił się znów nad Jurandem.

Po niejakim czasie stary komtur i Diederich znaleźli się znów w owym dziedzińcu, zalanym światłem miesięcznem. Przeszedłszy korytarz, Zygfryd wziął z rąk kata latarnię i jakiś ciemny przedmiot owinięty w szmatę i rzekł do siebie głośno:

— Teraz do kaplicy z powrotem, a potem do wieży.

Diederich spojrzał na niego bystro, lecz komtur kazał mu iść spać, sam zaś powlókł się kołysząc latarnią, w stronę oświeconych kaplicznych okien. Po drodze rozmyślał o tem, co się stało. Czuł jakąś pewność, że i na niego przychodzi już kres, i że to są jego ostatnie uczynki na ziemi, a jednak jego dusza krzyżacka, chociaż z natury więcej okrutna, niż kłamliwa, tak już pod wpływem nieubłaganej konieczności wzwyczaiła się do wykrętów, matactw i osłaniania krwawych zakonnych postępków, że i teraz mimowoli myślał, iż mógłby zrzucić hańbę i odpowiedzialność za Jurandową mękę, zarówno z siebie, jak i z Zakonu. Diederich przecie niemowa, nic nie wyzna, a chociaż umie porozumieć się z kapelanem, nie porozumie się z samego strachu. Więc co? Więc któż dowiedzie, że Jurand nie otrzymał tych wszystkich ran w bitwie? Łatwo mógł stracić język od pchnięcia włócznią między zęby, łatwo miecz albo topór mógł mu odrąbać prawicę, a oko miał tylko jedno, więc cóż dziwnego, że mu je wybito, gdy sam rzucił się w szaleństwie na całą załogę szczycieńską? Ach, Jurand! Ostatnia w życiu radość wstrząsnęła na chwilę sercem starego Krzyżaka. Tak, Jurand, jeśli wyżyje, powinien być wypuszczon wolno! Tu Zygfryd przypomniał sobie, jak niegdyś radzili o tem z Rotgierem, i jak młody brat, śmiejąc się, mówił: „Niech wówczas pójdzie, gdzie go oczy poniosą, a jeśli nie będzie mógł trafić do Spychowa, to niech się rozpyta o drogę”. Bo to, co się stało, było już w części postanowione między nimi. Ale teraz, gdy Zygfryd znów wszedł do kaplicy, i klęknąwszy przy trumnie, złożył u nóg Rotgiera krwawą dłoń Jurandową, ta ostatnia radość,

która przed chwilą w nim zadrgała, odbiła się również po raz ostatni na jego twarzy.

— Widzisz — rzekł: — uczyniłem więcej, niżeśmy uradzili: bo król Jan Luksemburski, chociaż był ślepy, stanął jeszcze do walki, i zginął z chwałą, a Jurand nie stanie już, i zginie jak pies pod płotem.

Tu znów uczuł brak oddechu, taki jak poprzednio, gdy szedł do Juranda, a na głowie ciężar, jakby żelaznego hełmu, lecz trwało to jedno mgnienie oka. Odetchnął głęboko i rzekł:

— Hej, czas i na mnie. Miałem cię jednego, a teraz nie mam nikogo. Ale jeśli mi przeznaczono żyć jeszcze, to ci ślubuję, synaczku, że ci i tamtę rękę, która cię zabiła, na grobie położę, albo sam zginę. Żyw jeszcze twój zabójca...

Tu zęby ścisnęły mu się, chwycił go kurcz tak silny, iż słowa urwały mu się w ustach, i dopiero po niejakim czasie począł znów mówić przerywanym głosem:

— Tak... żyw jeszcze twój zabójca, ale ja go dosięgnę, a nim dosięgnę, inną, gorszą od samej śmierci mękę mu zadam...

I umilkł.

Po chwili wstał, i zbliżywszy się do trumny, jął mówić spokojnym głosem:

— Ot, pożegnam cię... Spojrzę ci w twarz raz ostatni, może poznam, czyś rad z obietnicy. Ostatni raz!

I odkrył oblicze Rotgiera, lecz nagle cofnął się.

— Śmiejesz się... — rzekł: — ale się strasznie śmiejesz...

Jakoż ciało odtajało pod płaszczem, a może od ciepła świec, skutkiem czego poczęło się rozkładać z nadzwyczajną szybkością — i twarz młodego komtura stała się rzeczywiście straszną. Spuchłe ogromne i poczerniałe uszy miały w sobie coś potwornego, sine zaś, wzdęte wargi wykrzywione były jakby uśmiechem.

Zygfryd zakrył co prędzej tę okropną maskę ludzką.

Poczem wziął latarnię i wyszedł. W drodze po raz trzeci zbrakło mu oddechu, wróciwszy więc do izby, rzucił się na swe twarde łoże zakonne i przez pewien czas leżał bez ruchu. Myślał, że zaśnie, gdy nagle ogarnęło go dziwne uczucie. Oto wydało mu się, że sen nie przyjdzie do niego już nigdy, a natomiast, jeśli zostanie w tej izbie, to przyjdzie zaraz śmierć.

Zygfryd nie bał się jej. W niezmiernem zmęczeniu i bez nadziei snu, widział w niej jakiś ogromny wypoczynek, nie chciał się jej poddać jeszcze tej nocy, więc siadłszy na łożu, począł mówić:

— Daj mi czas do jutra.

A wtem usłyszał wyraźnie jakiś głos szepcący mu do ucha:

— Wychodź z tej izby. Jutro będzie zapóźno, i nie spełnisz tego coś przyrzekł: wychodź z tej izby!

Komtur podniósłszy się z trudem, wyszedł. Na blankach obwoływały się z narożników straże. Przy kaplicy padał na śnieg żółty blask z okien. W pośrodku, przy kamiennej studni dwa czarne psy bawiły się, ciągając jakąś szmatę; zresztą na dziedzińcu było pusto i cicho.

— Więc koniecznie jeszcze tej nocy? — mówił Zygfryd. — Otom utrudzon bez miary, ale idę... Wszyscy śpią: Jurand znużon męką może także śpi, tylko ja nie zasnę. Idę, idę, bo w izbie śmierć, a jam ci przyrzekł... Ale potem niechże już przyjdzie śmierć, skoro nie ma przyjść sen. Ty się tam śmiejesz, a mnie sił brak. Śmiejesz się, toś widać rad Jeno widzisz, palce mi podrętwiały, moc opuściła dłonie, i sam już tego nie dokonam... Dokona służka, która z nią śpi...

Tak mówiąc, szedł ociężałym krokiem ku wieży, leżącej przy bramie. Tymczasem psy, które bawiły się przy kamiennej studni, przybiegły ku niemu i poczęły się łasić. W jednym z nich Zygfryd rozpoznał brytana, który był tak nieodstępnym towarzyszem Diedericha, iż w zamku mówiono, że służy mu w nocy za poduszkę.

Pies, powitawszy komtura, zaszczekał zcicha raz i drugi, poczem zwrócił się ku bramie i począł iść ku niej, jak gdyby odgadywał myśl człowieka.

Zygfryd znalazł się po chwili przed wązkiemi drzwiczkami wieży, które na noc zaryglowywano z zewnątrz. Odsunąwszy rygle, zmacał poręcz schodów, które zaczynały się tuż za drzwiami, i począł iść na górę. Zapomniawszy z powodu rozbicia myśli latarni, szedł omackiem, stąpając ostrożnie i szukając nogami stopni.

Nagle, po kilku krokach zatrzymał się, gdyż wyżej, ale tuż nad sobą usłyszał coś jakby sapanie człowieka, albo zwierzęcia.

— Kto tam?

Nie było odpowiedzi, tylko sapanie stało się szybsze.

Zygfryd był człowiekiem nieustraszonym: nie bał się śmierci, ale i jego odwaga i panowanie nad sobą wyczerpały się już do dna tej strasznej nocy. Przez głowę przeleciała mu myśl, że drogę zastępuje mu Rotgier, i włosy zjeżyły mu się na głowie, a czoło okryło się zimnym potem.

I cofnął się prawie do samego wyjścia.

— Kto tam? — zapytał zdławionym głosem.

Lecz w tej chwili coś pchnęło go w piersi z siłą tak straszliwą, że starzec padł zemdlowy na wznak przez otworzone drzwi, nie wydawszy ani jęku.

Uczyniła się cisza. Potem z wieży wysunęła się jakaś ciemna postać i chyłkiem poczęła umykać ku stajniom, leżącym obok cekhauzu po lewej stronie dziedzińca. Wielki brytan Diedericha popędził za nią w milczeniu. Drugi pies skoczył za nimi również i zniknął w cieniu muru, ale wkrótce zjawił się znowu ze łbem spuszczonym ku ziemi, biegnąc zwolna z powrotem i jakby wietrząc pod ślad tamtych. W ten sposób zbliżył się do leżącego bez ruchu Zygfryda, obwąchał go uważnie, i wreszcie, siadłszy przy jego głowie, podniósł paszczę w górę i począł wyć.

Wycie rozlegało się przez długi czas, napełniając jakby nową żałością i grozą tę posępną noc. Nakoniec zaskrzypiały drzwi ukryte we wnęku wielkiej bramy, i na dziedzińcu zjawił się odźwierny z halabardą.

— Mór na tego psa! — rzekł. — Nauczę ja cię wyć po nocy.

I nastawiwszy ostrze, chciał pchnąć niem zwierzę, lecz w tej samej chwili ujrzał, iż ktoś leży w pobliżu otwartych drzwiczek baszty.

— Herr Jesus! co to jest?...

Pochyliwszy głowę, spojrzał w twarz leżącego człowieka i począł krzyczeć:

— Bywaj! bywaj! ratunku!

Poczem skoczył do bramy i jął targać z całych sił za sznur dzwonu.

39.

Jakkolwiek Głowaczowi było pilno do Zgorzelic, nie mógł jednakże jechać tak prędko, jakby chciał, albowiem drogi stały się niezmiernie trudne. Po zimie ostrej, po mrozach tęgich i po śniegach tak obfitych, że chowały się pod nimi całe wsie, przyszły wielkie odwilże. Luty, wbrew swojej nazwie, nie okazał się bynajmniej lutym. Naprzód powstawały mgły gęste i nieprzeniknione, potem dżdże prawie ulewne, od których w oczach tajały białe zaspy, w przerwach zaś między ulewami dął wicher taki, jaki zwykł dąć w marcu, więc przerywany, nagły, który zganiał i rozganiał nabrzmiałe chmury po niebie, a na ziemi wył po zaroślach, huczał po lasach i pożerał śniegi, pod którymi niedawno jeszcze drzemały konary i gałęzie w zimowym cichym śnie.

Poczerniały też wnet bory. Na łąkach marszczyła się szeroko rozlana woda, wezbrały rzeki i strumienie. Radzi byli z takiej obfitości mokrego żywiołu tylko rybitwowie, natomiast inna wszelka ludność, trzymana jakby na uwięzi, przykrzyła sobie po domach i chatach. W wielu miejscach od wsi do wsi można się było dostać tylko łodzią. Nie brakło wprawdzie nigdzie grobel, ani gościńców, przez bagna i bory poczynionych z pni i okrąglaków, ale teraz groble rozmiękły, a pnie na nizinnych miejscach pogrzęzły w rozmokłych młakach, i przejazd przez nie uczynił się niebezpieczny, albo i wcale niepodobny. Szczególniej trudno było posuwać się Czechowi w jezierzystej Wielkopolsce, gdzie każdej wiosny roztopy bywały większe, niż w innych stronach kraju, a przeto i droga, zwłaszcza dla konnych, cięższa.

Musiał też często zatrzymywać się i czekać po całych tygodniach, bądź to po miasteczkach, bądź po wsiach u dziedziców, którzy zresztą przyjmowali go wraz z jego ludźmi, wedle obyczaju, gościnnie, radzi słuchając opowiadania o Krzyżakach i płacąc chlebem i solą za nowiny. Zaczem wiosna dobrze już zapowiadała się na świecie i zbiegła większa część marca, zanim znalazł się w pobliżu Zgorzelic i Bogdańca.

Biło mu serce na myśl, iż niebawem ujrzy swoją panią, bo choć wiedział, że nie dostanie jej nigdy, tak jak nie dostanie i gwiazdy z nieba, jednakże wielbił ją i kochał z całej duszy. Postanowił jednak zajechać naprzód do Maćka, raz dlatego, że do niego był wysłany a powtóre, że prowadził ludzi, którzy mieli zostać w Bogdańcu. Zbyszko po zabiciu Rotgiera zabrał był jego orszak, wynoszący, wedle prze-

pijów zakonnych, dziesięć koni i tyluż ludzi. Dwaj z pomiędzy nich odwieźli ciało zabitego do Szczytna, pozostałych zaś, wiedząc, jak chciwie stary Maćko poszukuje osadników, odesłał Zbyszko z Głowaczem w darze stryjcowi.

Czech, zajechawszy do Bogdańca, nie zastał Maćka w domu: powiedziano mu, iż poszedł z psami i kuszą do boru, lecz wrócił jeszcze za dnia, i dowiedziawszy się, iż znaczny jakowyś poczet bawi u niego, przyśpieszył kroku, aby przyjezdnych powitać i ofiarować im gościnność. Nie poznał też zrazu Głowacza, a gdy ów mu się nazwał, w pierwszej chwili przeraził się okrutnie, i rzuciwszy kuszę i czapkę o ziem, zawołał:

— Dla Boga! zabili mi go! gadaj co wiesz!

— Nie zabit — odparł Czech; — w dobrem zdrowiu!

Usłyszawszy to, Maćko zawstydził się nieco i począł sapać, wreszcie odetknął głęboko.

— Chwała Chrystusowi Panu! — rzekł. — Gdzie zaś jest?

— Do Malborka pojechał, a mnie z nowinami tu przysłał.

— A on po co do Malborka?

— Po żonę.

— Bój się, chłopie, ran Boskich! Po jaką żonę?

— Po Jurandową córkę. Będzie o czem prawić choćby całą noc, ale pozwólcie, poczesny panie, abym też odsapnął, bom się zdrożył okrutnie, a od północka ciągiem jechałem.

Więc Maćko przestał na chwilę pytać, głównie jednak z tej przyczyny, że zdumienie odjęło mu mowę. Ochłonąwszy nieco, zakrzyknął na pachołka, by dorzucił drew do ogniska i przyniósł Czechowi jeść, poczem jął chodzić po izbie, wymachiwać rękoma i mówić sam do siebie:

— Uszom nie wierzyć... Jurandowa córka... Zbyszko żonaty...

— I żonaty i nie żonaty — rzekł Czech.

Dopieroż jął zwolna opowiadać, co i jak było, a tamten słuchał chciwie, przerywając kiedy niekiedy pytaniami, bo nie wszystko było jasno w opowiadaniu Czecha. Nie wiedział naprzykład dokładnie Głowacz, kiedy się Zbyszko ożenił, bo nie było żadnego wesela, twierdził jednak napewno, że ślub był i że się to stało za przyczyną samej księżny Anny Danuty, a wydało się przed ludźmi dopiero po przyjeździe Krzyżaka Rotgiera, z którym Zbyszko, pozwawszy go na sąd Boży, potykał się wobec całego mazowieckiego dworu.

— Aa! Potykał-ci się? — zawołał, błysnąwszy oczyma, z okrutnem zaciekawieniem Maćko. — No i co?

— Na dwie połowie Niemca rozwalił, a i mnie też Bóg z giermkiem poszczęścił.

Maćko znów począł sapać, tym razem z zadowolenia.

— No! — rzekł: — chłop to on jest nie na śmiech. Ostatni z Gradów, ale, tak mi dopomóż Bóg, nie pośledni. Juści, a wówczas z Fryzami?... Prawy wyrostek był...

Tu spojrzał uważniej raz i drugi na Czecha, poczem znów:

— Ale i tyś mi się udał. I widać nie łżesz. Ja ci łgarza i przez deskę poczuję. Nic jeszcze ten giermek, bo sam mówisz, żeś nie miał wiele roboty, ale żeś tamtemu psubratu ramię skruszył, a przedtem tura zwalił, to godne uczynki.

Poczem spytał nagle:

— A łup? czy także godny?

— Wzięliśmy zbroje, konie i chłopa dziesięciu, a ośmiu wam młody pan przysyła.

— Coże z dwoma uczynił?

— Odesłał z ciałem.

— Nie mógł to książę swoich pachołków wyprawić? Tamci już nie wrócą.

Czech uśmiechnął się na tę chciwość, z którą zresztą Maćko często się zdradzał.

— Młody pan nie potrzebuje na to teraz już zważać, — rzekł. — Spychów wielka dziedzina.

— Wielka! ba i co? ale jeszcze nie jego.

— Jeno czyja?

Maćko aż wstał: —

— Powiadaj! A przecie Jurand!

— Jurand u Krzyżaków w podziemiu, i śmierć nad nim. Bóg wie, czy wyżyje, a jeśli wyżyje, czy wróci; choćby zaś wyżył i wrócił, przecie czytał ksiądz Kaleb jego testament i zapowiedział wszystkim, że dziedzicem ma być młody pan.

Na Maćku nowiny te uczyniły widocznie ogromne wrażenie, tak dalece bowiem były pomyślne i niepomyślne, że nie mógł się w nich połapać, ani przyprowadzić do ładu uczuć, które naprzemian nim wstrząsały. Wiadomość, że Zbyszko się ożenił, ukłuła go w pierwszej chwili boleśnie, kochał bowiem, jak rodzony ojciec Jagienkę i ze wszystkich sił pragnął Zbyszka z nią skojarzyć. Ale z drugiej strony, już się był przyzwyczaił uważać tę rzecz za przepadłą, a znów Jurandówna przynosiła to, czego nie mogła przynieść Jagienka, bo i łaskę książęcą, i wiano, jako jedynaczka, wielekroć razy większe. Widział już Maćko w duszy Zbyszka książęcym komesem, panem na Bogdańcu i Spychowie, ba, w przyszłości i kasztelanem. Rzecz nie była niepodobna, bo mówiło się w onych czasach o szlachcicu chudopachołku: „Miał-ci synów dwunastu: sześciu w bitwach legło, sześciu zostało kasztelanami". I naród i rody były na dorobku do wielkości. Znaczne mienie mogło tylko pomódz Zbyszkowi na tej drodze, więc chciwość i pycha rodowa Maćka miały się z czego cieszyć. Nie brakło jednakże staremu powodów i do niepokoju. Sam jeździł niegdyś dla uratowania Zbyszka do Krzyżaków, i przywiózł z tej podróży żelazny szczebrzuch pod żebrem, a oto teraz pojechał Zbyszko do Malborga, jakoby wilkowi w gardziel. Zali doczeka się tam żony, czy śmierci: „Nie będą tam na niego mile patrzyli — pomyślał Maćko: — dopiero co zatłukł im przecie znacznego rycerza, a przedtem bił w Lichtensteina, one zaś psiajuchy miłują zemstę". Na tę myśl zatroskał się

stary rycerz wielce. Przyszło mu też do głowy, że nie będzie także bez tego, aby Zbyszko, jako „jest chłop prędki", nie potykał się tam z jakim Niemcem. Ale o to mniejsza była trwoga. Najgorzej się obawiał Maćko, że go chwycą. „Chwycili starego Juranda i córkę, nie wzdragali się chwycić swego czasu samego księcia w Złotoryi, czemuby zaś mieli Zbyszkowi posolgować".

Tu przyszło mu do głowy pytanie: co będzie, jeśli młodzik, choćby sam uszedł rąk krzyżackich, wcale żony nie odnajdzie? Na razie pocieszył się Maćko myślą, że mu zostanie po niej Spychów, ale była to krótka pociecha. Chodziło staremu mocno o mienie, ale chodziło niemniej o ród, o Zbyszkowe dzieci. „Jeśli Danuśka wpadnie jako kamień w wodę, i nikt nie będzie wiedział żywa li, czy umarła, nie będzie się mógł Zbyszko z drugą żenić — i wówczas nie stanie Gradów z Bogdańca na świecie. Hej! z Jagienką byłoby inaczej!... Moczydołów też kwoka skrzydłami ani pies ogonem nie pokryje, a taka dziewka co rokby rodziła bez pochyby, jako ona jabłoń w sadzie". Więc żal Maćka stał się większy od radości z nowego dziedzictwa — i z tego żalu, z niepokoju jął znowu wypytywać Czecha, jako to było z tym ślubem i kiedy to było.

A Czech na to:

— Mówiłem już wam, poczesny panie, że kiedy było nie wiem, a czego się domyślam, na to nie przysięgnę.

— Czego się domyślasz?

— Przeciem ja młodego pana nie odstępował w krzypocie i w izbie z nim razem spałem. Raz tylko wieczór kazali mi pójść precz, a potem widziałem, jak do pana poszli: sama Miłościwa, a z nią panna Jurandówna, pan de Lorche i ksiądz Wyszoniek. Dziwowałem się nawet, bo panna miała wianuszek na głowie, alem myślał, że sakramenta będą panu dawać... Może to było wtedy... Pamiętam, że pan kazał, abym go przybrał pięknie jak na wesele, ale myślałem też, że to dla przyjęcia Ciała Chrystusowego.

— A potem jakoże? ostali sami?

— I! — nie ostali sami, a choćby i ostali, pan wówczas i jeść nie mógł o swej mocy. A już byli po panienkę ludzie, niby od Juranda i nad raniem pojechała...

— Nie widziałże jej Zbyszko od tego czasu?

— Oko ludzkie jej nie widziało.

Nastała chwila milczenia:

— Cóż myślisz — zapytał po chwili Maćko — oddadzą ją Krzyżacy, czy nie oddadzą?

Czech począł trząść głową, poczem kiwnął ręką ze zniechęceniem.

— Wedle mojej głowy — rzekł zwolna — to ona już przepadła na wieki.

— Dlaczego? — zapytał prawie ze strachem Maćko.

— Bo gdyby mówili, że ją mają, to byłaby nadzieja. Możnaby się było skarżyć, alibo okup zapłacić, alibo siłą ją odbić. Ale oni mówią tak: Mieliśmy jakowąś odbitą dziewkę i daliśmy Jurandowi

znać, on zaś jej nie przyznał, a za nasze serce ludzi nam tylu nabił, że i dobra potyczka więcej nie kosztuje.

— To Jurandowi pokazywali jakowąś dziewkę?

— Mówią, że pokazywali. Bóg raczy wiedzieć. Może nieprawda, a może pokazali mu inną. To jeno prawda, że ludzi pobił, i że oni gotowi przysiądz, że panny Jurandówny nigdy nie porywali. I to jest okrutnie ciężka sprawa. Choćby mistrz dał rozkaz, to mu też odpowiedzą, że jej nie mają. I kto im dowiedzie? Tembardziej, że dworscy w Ciechanowie mówili o Jurandowym liście, w którym stoi, że ona nie u Krzyżaków.

— A może nie u Krzyżaków?

— Prosim Waszą Miłość!... Już jeśliby ją zbóje porwali, to przecie nie dla czego innego, jeno dla okupu. A przytem zbóje nie potrafiliby ni listu napisać, ni pieczęci pana ze Spychowa uczynić, ni zacnego pocztu przysłać.

— Prawda jest. Ale co Krzyżakom po niej?

— A pomsta nad Jurandową krwią? Wolą oni pomstę, niż miód i wino, a że przyczyny mają, to mają. Straszny im był pan ze Spychowa, a co w ostatku uczynił, to do reszty ich rozjadło. Mój pan też, słyszałem, na Lichtensteina rękę podnosił, Rotgiera zabił... Mnie Bóg pomógł, żem psubratu ramię skruszył. Hej!... prosim pięknie: czterech było zatracona ich mać, a teraz ledwie jeden żywie, i to stary. My też zęby mamy, Wasza Miłość.

Nastała znów chwila milczenia:

— Roztropny z ciebie giermek — rzekł wreszcie Maćko. — A jakoże myślisz: co z nią uczynią?

— Kniaź Witold — potężny kniaź: mówią, że i cesarz niemiecki w pas mu się kłania, — a co uczynili z jego dziećmi? Mało to u nich zamków? mało podziemi? mało studzien? mało powrozów i pętli na szyję?

— Dla Boga żywego! — zawołał Maćko.

— Daj Bóg, żeby młodego pana nie pochowali, choć z książęcym listem i panem de Lorche pojechał, który jest pan możny i książętom pokrewny. Hej, nie chciałem ja tu jechać, bo tam łatwiejby się i potykać zdarzyło. Ale mi kazał. Słyszałem, jako raz mówił do starego pana ze Spychowa: „Zaliście wy chytrzy — powiada: — bo ja chytrością nie wskóram nic, a z nimi tego trzeba! Oj! (powiada) stryk Maćko, tenby się tu przydał!" I z tej przyczyny mnie wysłał. Ale Jurandówny, to i wy, panie, nie znajdziecie, bo ona może już na tamtym świecie — a przeciwko śmierci by i największa chytrość nie pomoże...

Maćko zamyślił się i dopiero po długiem milczeniu rzekł:

— Ha! to niema i rady! Przeciwko śmierci chytrość nie pomoże. Ale gdybym tam pojechał, a dowiedział się choć tego, że tamtę zgładzili, to Spychów zostałby i tak Zbyszkowi, a sam mógłby tu wrócić i inną dziewkę brać...

Tu odetchnął Maćko, jakby jakiś ciężar zrzucił z serca, a Głowacz spytał nieśmiałym, cichym głosem:

— Panienkę ze Zgorzelic?...

— A no! — odpowiedział Maćko: — tembardziej że ſierota, a Cztan z Rogowa i Wilk z Brzozowej coraz gorzej na nią naſtają.

Lecz Czech zerwał ſię na równe nogi:

— Panienka ſierota? Rycerz Zych?

— To nie wieß o niczem?

— Na miły Bóg! cóż ſię ſtało?

— Ba, prawda, jakoże maß wiedzieć, kiedyś tu proſto zajechał, a gadaliśmy jeno o Zbyßku! Sierota jeſt! Zych zgorzelicki po prawdzie nigdy w domu miejſca nie przygrzał, chyba że miał gości. Inaczej zaraz mu ſię w Zgorzelicach cniło. Piſał ci tedy do niego opat, że jedzie w gości do kſięcia Przemka oświecimſkiego i jego z ſobą proſi. A Zychowi w to graj, ile że z kſięciem ſię znał i nieraz ſię z nim weſelił. Przybywa zatem Zych do mnie i powiada tak: „Jadę do Oświecimia, a potem do Glewic, a wy tu miejcie oko na Zgorzelice”. Mnie zaś naraz coś tknęło i powiadam tak: Nie jedźcie! pilnujcie dziedziny i Jagienki, bo wiem, że Cztan z Wilkiem cości złego zamyślają. A trzeba ci wiedzieć, że opat ze złości na Zbyßka chciał dla dziewki Wilka, albo Cztana, ale później, poznawßy ich lepiej, ſprał kiedyś obu lagą i ze Zgorzelic wyrzucił. I dobrze, ale nie bardzo, bo ſię okrutnie zawzięli. Teraz jeſt trochę ſpokoju, gdyż ſię wzajem poßczerbili i leżą, ale przedtem nie było i chwili pewnej. Wßyſtko na mojej głowie, obrona i opieka. A teraz Zbyßko znów chce, abym jechał. Jako tu będzie z Jagienką — nie wiem, ale tymczaſem dopowiem ci o Zychu. Nie zważał na moje gadanie — pojechał. No i ucztowali, weſelili ſię! Z Glewic jechali do ojca kſięcia Przemka, do ſtarego Noſaka, który w Cießynie włada. Aż tu Jaśko, kſiążę raciborſki, z nienawiści ku kſięciu Przemkowi, zbójów pod przewodem Czecha Chrzana na nich naſadził. I kſiążę Przemko legł, a z nim razem i Zych zgorzelicki, ſtrzałą w tchawicę ugodzon. Opata cepem żelaznym ogłußyli, tak, że dotychczas głową trzęſie, o świecie nie wie, i mowę bodaj na zawße utracił. No, Chrzana ſtary kſiążę Noſak od pana na Zampachu kupił i tak go udręczył, że najſtarſi ludzie o podobnej męce nie ſłyßeli — aleć ni ſobie męką żalu po ſynu nie zmniejßył, ni Zycha nie wſkrzeſił, ni Jagience łez nie otarł. Ot im zabawa... Sześć niedziel temu przywieźli tu Zycha i pochowali.

— Taki tęgi pan!... — mówił z żalem Czech. — Nie byłem ci ja już pod Bolesławcem ułomek, a on i jednego pacierza ze mną ſię nie zabawił i w niewolę mię wziął. Ale taka to była niewola, żebym jej był i za wolę nie pomieniał... Dobry, zacny pan! Dajże mu Boże światłość wiekuiſtą! Hej, żal, żal! ale największy panienki, niebogi.

— Bo i ßczera niebога. Poniektóra i matki tak nie miłuje, jako ona ojca miłowała. I do tego niebezpiecznie jej ſiedzieć w Zgorzelicach. Po pogrzebie — jeßcze śniegiem nie zaſypało Zychowej mogiły, już Cztan i Wilk na zgorzelicki dwór naſtąpili. Szczęściem, dowiedzieli ſię moi ludzie przedtem, więcem z parobkami w pomoc ſkoczył, i Bóg dał, żeśmy ich godnie zbili. Dopieroż po bitce, dziewka, kiedy

to nie ułapi mnie za kolana: „Nie mogem być Zbyszkowa, prawi, nie będem niczyja, jeno mnie od tych odmieńców ratujcie, bo, prawi, wolałabym śmierć, niż ich...” To ci mówię, nie poznałbyś teraz Zgorzelic, bom z nich kasztel prawy uczynił. Następowali jeszcze dwa razy potem, ale wiera, nie mogli rady dać. Teraz na czas jest spokój, bo jakom ci rzekł, poszczerbili się wzajem, tak, że żaden ni ręką, ni nogą ruszyć nie może.

Głowacz nie odrzekł na to nic, tylko słuchając o Cztanie i Wilku, zgrzytać począł tak, jakoby kto skrzypiące drzwi otwierał i zamykał, a potem jął wycierać o uda swe potężne dłonie, w których widocznie uczuł swędzenie. Wreszcie z ust wyszło mu z trudem jedno tylko słowo:

— Zatraceny...

Lecz w tej chwili głosy jakieś ozwały się w sieni, drzwi otworzyły się nagle, i do izby wbiegła pędem Jagienka, a z nią najstarszy z jej braci, czternastoletni Jaśko, podobny tak do niej, jak bliźniak.

Ona, dowiedziawszy się od zgorzelickich chłopów, którzy po drodze widzieli poczet, że jakowiś ludzie pod wodzą Czecha Hlawy jechali do Bogdańca, przeraziła się równie jak Maćko, a gdy powiedzieli jej jeszcze, że Zbyszka między nimi nie widziano, była niemal pewna, że stało się nieszczęście, więc przyjechała jednym tchem do Bogdańca, by się prawdy dopytać.

— Co się stało?... na miły Bóg! — poczęła wołać od proga.

— Co się miało stać? — odpowiedział Maćko. — Żyw Zbyszko i zdrowy.

Czech skoczył ku pani, i klęknąwszy na jedno kolana, począł całować kraj jej sukni, lecz ona wcale tego nie zauważyła, gdyż, usłyszawszy odpowiedź starego rycerza, odwróciła głowę od ognia w cień, i dopiero po chwili, jakby przypomniawszy sobie, że trzeba się przywitać, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedział Maćko.

A ona spostrzegłszy teraz Czecha u swych kolan, pochyliła się ku niemu:

— Radam ci, Hlawo, z duszy, ale czemuś to pana ostawił?

— Wysłał mnie, panienko miłościwa.

— Co przykazał?

— Przykazał jechać do Bogdańca.

— Do Bogdańca?... I co jeszcze?

— Wysłał po radę... i z pokłonem, z pozdrowieniem.

— Do Bogdańca i tyla? No — dobrze. A sam gdzie?

— Między Krzyżaki pojechał, do Malborka.

Na twarzy Jagienki odbił się znów niepokój.

— Zali mu życie niemiłe? Czegóż?

— Szukać, miłościwa panienko, tego, czego nie odnajdzie.

— Wiera, nie odnajdzie! — wtrącił Maćko. — Jako ćwieka nie utwierdzisz bez młota, tako i woli ludzkiej, bez boskiej.

— Cóże prawicie? — zapytała Jagienka.

Lecz Maćko na pytanie odpowiedział takiem pytaniem:

— Gadał-że ci Zbyszko o Jurandównie, bo jako słyszałem, to gadał?

Jagienka zrazu nie odpowiedziała nic, i dopiero po chwili, przytłumiwszy westchnienie, odrzekła:

— Ej! gadał! A co mu wadziło gadać!

— To i dobrze, bo przez to łacniej mi prawić — odrzekł stary.

I począł jej opowiadać, co od Czecha słychał, sam dziwiąc się, że chwilami opowiadanie przychodzi mu jakoś bezładnie i trudno. Że jednak istotnie był człek chytry, a szło mu o to, by na wszelki wypadek nie „zlisić" Jagienki, więc mocno nastawał na to, w co zresztą sam wierzył, że Zbyszko w rzeczy nigdy nie był mężem Danusi, i że ona przepadła już na wieki.

Czech przyświadczał mu kiedy niekiedy, to kiwając głową, to powtarzając: „Przez Bóg, jako żywo!" lub: „Tak ono, nie inak!" — dziewczyna zaś słuchała, ze spuszczonemi rzęsami na jagody, o nic już nie dopytująca, i tak cicha, że aż jej milczenie zaniepokoiło Maćka.

— No, i cóż ty? — pytał, skończywszy opowiadanie.

A ona nie odrzekła nic, tylko dwie łzy zabłysły jej pod spuszczonemi rzęsami i stoczyły się po policzkach.

Po chwili zaś zbliżyła się do Maćka, i pocałowawszy go w rękę, rzekła:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odrzekł stary. — Tak ci pilno do domu? Ostańże z nami.

Lecz ona nie chciała zostać, tłómacząc się, że w domu nie wydała na wieczerzę, Maćko zaś, choć wiedział, że w Zgorzelicach jest stara szlachcianka Sieciechowa, która mogłaby ją zastąpić, nie zatrzymywał jej zbyt natarczywie, rozumiejąc, że smutek nie rad świeci ludziom łzami, i że człowiek jest jako ryba, która poczuwszy w sobie grot ości, chowa się jak może najgłębiej na dno.

Więc pogładził tylko dziewczynę po głowie, a następnie odprowadził ją wraz z Czechem na dziedziniec. Ale Czech wywiódł konia ze stajni, dosiadł go i pojechał za panienką.

Maćko zaś, wróciwszy, westchnął i kiwając głową, począł mruczyć:

— Głupi ten Zbyszko, to ci jest!... Aże pachnie po onej dziewce w izbie!

I rozżalił się stary w sobie. Pomyślał, że gdyby tak Zbyszko zaraz po powrocie był ją brał, to możeby już do tego czasu była radość i uciecha! Zaś teraz co? „Byle go wspomnieć, to wnet jej łza z oka kapie, a chłopisko światami chodzi i będzie tam gdzieś o tyny malborskie łbem bił, póki go nie rozbije; a w chałupie pusto, jeno zbroiska ze ścian się szczerzą. Nijaki pożytek z gospodarki, na nic zabiegliwość, na nic Spychów i Bogdaniec, skoro nie będzie komu ich zostawić."

Tu gniew począł burzyć w duszy Maćka.

— Poczekaj, powsinogo — rzekł głośno: — nie pojadę ja za tobą, a ty rób, co chcesz!

Lecz w tej samej chwili zdjęła go jak na złość okrutna tęsknota za Zbyszkiem: „Ba, nie pojadę — pomyślał: — a w domu to zaś usiedzę? Skaranie Boskie!... Bo żeby tego juchy choć raz w życiu nie obaczyć — nijak nie może być! Znowu tam jednego psubrata rozszczepił — i łup pobrał... Inny posiwieje, nim pas zyszcze, a jego już tam książę opasał... I słusznie, bo siła jest chwackich pachołków między szlachtą, ale takiego drugiego chyba niema."

I rozczuliwszy się całkiem, począł naprzód spoglądać po zbrojach, po mieczach i po toporach, które czerniały w dymie, jakby rozważając, co z sobą brać, a co zostawić, poczem wyszedł z izby, raz dlatego, że nie mógł w niej wytrzymać, a powtóre, by kazać wysmarować wozy i dać koniom podwójny obrok.

Na podworcu, na którym się już mroczyło, przypomniał sobie Jagienkę, która tu przed chwilą na koń siadła, i nagle zatroskał się znowu

— Jechać, to jechać — rzekł sobie: — ale kto tu będzie dziewczyny przed Cztanem i Wilkiem bronił! Bogdaj w nich piorun trzasł!...

Jagienka zaś jechała tymczasem z małym Jaśkiem, drogą leśną ku Zgorzelicom, a Czech wlókł się w milczeniu za nimi, z sercem przepełnionem miłością i żalem. Widział przedtem łzy dziewczyny, patrzał teraz na jej ciemną postać, zaledwie widną w mroku leśnym, i odgadywał jej smutek i ból. Zdawało mu się też, że lada chwila wyciągną się po nią z pomroki i gęstwiny drapieżne ręce Wilka lub Cztana — i na tę myśl porywała go dzika żądza bitki. Żądza ta stawała się chwilami tak nieprzeparta, że brała go ochota chwycić za topór lub miecz i razić bogdaj sosny przy drodze. Czuł, że gdyby się dobrze rozmachał, toby mu ulżyło. Radby był wreszcie choć konia cwałem puścić, ale oni tam w przedzie jechali właśnie wolno, noga za nogą, nic prawie nie rozmawiając, gdyż i mały Jaśko, choć zwykle mowny, widząc po kilku próbach, że siostra nie chce rozmawiać, pogrążył się także w milczeniu.

Lecz, gdy już byli blizko Zgorzelic, żal w sercu Czecha przeważył nad gniewem na Cztana i Wilka: „Nie pożałowałbym ci i ja krwi, — mówił sobie — byle cię pocieszyć, ale cóż, nieszczęsny, uczynię? co ci powiem? Powiem chyba, że on ci się pokłonić kazał, i dajże Boże, aby ci to za pociechę starczyło."

Tak pomyślawszy, przysunął konia do konia Jagienki.

— Panienko miłościwa....

— To jedziesz z nami? — zapytała dziewczyna, ocknąwszy się jak ze snu: — A co powiesz?

— Bom zapomniał, co mi pan kazał wam powiedzieć. Na odjezdnem w Spychowie zawołał mnie i powiedział tak: „Podejmij pod nogi panienkę ze Zgorzelic, bo czy w złej, czy w dobrej doli, nigdy jej nie zabaczę, a za to (powiada) co dla stryjca i dla mnie uczyniła niech jej Bóg zapłaci i w zdrowiu ją zachowa."

— Bóg zapłać i jemu za dobre słowo — odrzekła Jagienka.

Poczem dodała takim jakimś dziwnym głosem, że w Czechu stopniała serce do reszty:

— I tobie, Hlawo.

Rozmowa urwała się na czas, lecz giermek rad był z siebie, i z tego, co panience powiedział, w duszy bowiem mówił sobie: „Przynajmniej tego nie pomyśli, że ją niewdzięcznością nakarmiono". Zaczął też zaraz wyszukiwać w swej poczciwej głowie, coby jej jeszcze znów takiego powiedzieć, i po chwili znów począł:

— Panienko...

— Co?

— To... niby... chciałem rzec, jakom i staremu panu z Bogdańca mówił, że tamta już przepadła na wieki, i że on jej nigdy nie odnajdzie, choćby mu sam Mistrz pomagał.

— To żona jego — odparła Jagienka.

A Czech jął kręcić głową:

— Taka ona i żona...

Jagienka nie odpowiedziała już na to nic, lecz w domu po wieczerzy, gdy Jaśko i młodsi bracia spać poszli, kazała przynieść dzban miodu, i, zwróciwszy się do Czecha, spytała:

— A może wolałbyś spać, bom chciała krzynę gwarzyć.

Czech, choć był zdrożon, gotów był gwarzyć choćby do rana, więc poczęli rozmawiać, a raczej on opowiadał znów szczegółowo wszystkie przygody Zbyszka, Juranda, Danusi i swoje.

40.

Maćko gotował się do drogi, a Jagienka nie pokazywała się w Bogdańcu przez dwa dni, spędziła je bowiem na naradach z Czechem. Spotkał ją stary rycerz dopiero dnia trzeciego w niedzielę, w drodze do kościoła. Jechała do Krześni z bratem Jaśkiem i ze znacznym pocztem zbrojnych pachołków, albowiem nie była pewna, czy Cztan i Wilk leżą jeszcze i czy nie uczynią na nią jakowej napaści.

— Chciałam i tak wstąpić po mszy do Bogdańca, — rzekła, powitawszy Maćka — bo pilną mam do was sprawę, ale możemy i zaraz o niej gadać.

To rzekłszy, wysunęła się na przodek orszaku, nie chcąc widocznie, by pachołkowie słyszeli rozmowę, a gdy Maćko znalazł się przy niej, zapytała:

— To już pewno jedziecie?

— Da Bóg jutro, nie później.

— I do Malborka?

— Do Malborka, albo i nie. Gdzie wypadnie.

— To posłuchajcie teraz i mnie. Długo myślałam, co mi trzeba uczynić, a teraz chcę się i was o radę spytać. Drzewiej, wiecie, póki tatulo był żyw, a opat miał moc w sobie, było co innego. Cztan i Wilk

myśleli też, że jednego z nich wybiorę i hamowali się wzajem. A teraz, ostanę bez nijakiej obrony i albo będę w Zgorzelicach za ostrokołem, jako w więzieniu, siedzieć, albo niechybnie stanie mi się tu od nich krzywda. Sami powiedzcie, czy nie tak?

— Ba, — rzekł Maćko — myślałem o tem i ja.

— I coście wymyślili?

— Nie wymyśliłem nic, ale to jeno ci muszę powiedzieć, że u nas przecie polski kraj, i że za przemoc nad dziewką okrutne są kary w statucie.

— To dobrze, ale granicę nie trudno przeskoczyć. Juści wiem, że i Śląsk polski kraj, a wżdy tam książęta sami się z sobą wadzą i na się wzajem następują. Żeby nie to, żyłby mój tatulo kochany. Nalazło tam już Niemców i burzą, a krzywdy czynią, więc kto się chce między nimi skryć, to się i skryje. Pewnie, że łatwobym się ni Cztanowi, ni Wilkowi nie dała, ale chodzi mi też i o braci. Nie będzie tu mnie, będzie spokój, a jeśli w Zgorzelicach ostanę, Bóg wie co się przygodzi. Zdarzą się napaści, bitki, a Jaśkowi już czternaście roków, i żadna, a nie dopieroż moja, moc go nie utrzyma. Ostatni raz, kiedyście to nam w pomoc przyszli, już on się rwał ku przodowi, i jak Cztan prasnął w kupę buławą, mało mu o głowę nie zawadził. Hej! gadał już Jaśko czeladzi, że obu tamtych pozwie na udeptaną ziemię. Nie będzie, mówię wam, ni dnia spokoju, bo i młodszych może co złego spotkać.

— Wiera! psubraty oni są, i Cztan, Wilk, — rzekł żywo Maćko — wszelako na dzieci ręki nie podniosą. Tfu! Taką rzecz chyba Krzyżak uczyni.

— Na dzieci ręki nie podniosą, ale w zgiełku, albo, czego Boże broń, w razie ognia, o przygodę nie trudno. Co tu gadać! Miłuje braci stara Sieciechowa, jak rodzonych, i opieki a zaś starunku im nie zbraknie, jeżeli beze mnie, byłoby przezpieczniej, niż ze mną.

— Może być — odrzekł Maćko.

Poczem spojrzał bystro na dziewczynę:

— Czegoż ty chcesz?

A ona odrzekła przyciszonym głosem:

— Weźcie mnie z sobą.

Na to Maćko, choć nietrudno mu już było domyślić się zakończenia rozmowy, zdumiał się jednak mocno, zatrzymał konia i zawołał:

— Bój się Boga, Jagienka!

Ona zaś spuściła głowę i odrzekła jakby z nieśmiałością i zarazem smutkiem:

— Moiście wy! Jako co do mnie, wolę szczerze mówić, niż taić. I Hlawa i wy powiadacie, że Zbyszko już tamtej nigdy nie odnajdzie, a Czech gorzej się jeszcze spodziewa. Bóg mi świadek, nie życzę jej nijakiego zła. Niech mi ją tam, niebogę, Matka Boska strzeże i uchroni. Milsza ona była odemnie Zbyszkowi, no, i niema rady! taka moja dola. Ale widzicie, póki jej Zbyszko nie odnajdzie, albo jeśli, jako wierzycie, nigdy nie odnajdzie, to, to...

— To co? — spytał Maćko, widząc, że dziewka coraz się więcej miesza i zacina.

— To ja nie chcę być ni Cztanowa, ni Wilkowa, ni niczyja.

Maćko odetchnął z zadowoleniem.

— Myślałem, żeś go już zabaczyła — rzekł.

A ona odpowiedziała jeszcze smutniej:

— Hej!...

— To i czegoż chcesz? Jakoże mi między Krzyżaki cię brać?

— Niekoniecznie między Krzyżaki. Chciałabym teraz choć do opata, który w Sieradziu chorością złożon. Nie ma on tam jednej życzliwej duszy przy sobie, bo szpylmany pewnikiem więcej dzbana pilnują, niż jego, a to przecie mój krzestny i dobrodziej. A choćby zdrów był, to teżbym szukała jego opieki, bo ludzie się go boją.

— Nie będę ja się tam sprzeczał, — rzekł Maćko, który w gruncie rzeczy rad był z postanowienia Jagienki, znając bowiem Krzyżaków, wierzył głęboko, że Danuśka nie wyjdzie żywa z ich rąk. — Ale to ci jeno rzekę, że w drodze z dziewką okrutny kłopot.

— Może z inną, ale nie ze mną. Nie potykałam ja się dotychczas nigdy, ale nie nowina mi z kuszy dziać i trudy na łowach znosić. Jak trzeba, to trzeba, nie bójcie się. Wezmę szatki Jaśkowe, pątlik na włosy, kordzik przypaszę i pojadę. Jaśko, choć młodszy, ni na włos nie mniejszy, a z gęby taki ci do mnie podobny, że jak bywało przebieraliśmy się na zapusty, to i tatulo nieboszczyk nie umiał rzec, które on, a które ja... Obaczycie, że nie pozna mnie ni opat, ni — kto inny.

— Ni Zbyszko?

— Jeśli go obaczę...

Maćko zamyślił się przez chwilę, poczem uśmiechnął się nagle i rzekł:

— A Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa, to chyba się powściekają!

— A niech się powściekają. Gorzej, że może za nami pojadą.

— No! nie boję się. Stary ja, ale lepiej mi pod pięść nie włazić. I wszystkim Gradom też!... Zbyszka już przecie spróbowali.

Tak rozmawiając, dojechali do Krześni. W kościele był i stary Wilk z Brzozowej, który kiedy niekiedy rzucał posępne spojrzenia na Maćka, ale ów o to nie dbał. I z lekkiem sercem powracał po mszy wraz z Jagienką do domu. Lecz gdy na rozstaju pożegnali się z sobą, i gdy znalazł się sam w Bogdańcu, poczęły mu przychodzić do głowy mniej wesołe myśli. Rozumiał, że ni Zgorzelicom, ni rodzeństwu Jagienki, na wypadek jej wyjazdu istotnie nic nie grozi. „Po dziewkęby sięgali, — mówił sobie — bo to jest inna rzecz, ale na sieroty, albo na ich mienie ręki nie podniosą, gdyż okryliby się hańbą okrutną, i kto żyw ruszyłby przeciw nim, jakoby przeciw prawdziwym wilkom. Ale Bogdaniec zostanie na łasce Bożej!.... Kopce poprzesypują, stada zagarną, kmieciów odmówią!... Da Bóg, jak wrócę, to odbiję, zapowiedź poślę i do sądu pozwę, boć nie sama pięść, ale i prawo u nas rządzi... Jeno czy wrócę i kiedy wrócę?... Strasznie się oni na mnie zawzięli, że im do dziewki przeszkadzam, a gdy ona pojedzie ze mną, to będą jeszcze zawziętsi.”

I chwycił go żal, bo już zagospodarował się był w Bogdańcu, jako się patrzy, a teraz był pewien, że gdy powróci, zastanie znów pustkę i zniszczenie.

— A no! trzeba radzić — pomyślał.

Jakoż po obiedzie kazał okulbaczyć konia, siadł na niego i pojechał wprost do Brzozowej.

Przyjechał już mrokiem. Stary Wilk siedział w przodowej izbie za dzbanem miodu, młody zaś, poszczerbion przez Cztana, leżał na pokryiej skórami ławie i pił także. Maćko wszedł niespodzianie do izby i stanął w progu, z twarzą surową, wysoki, kościsty, bez zbroi, ale z tęgim kordem przy boku, oni zaś poznali go natychmiast, bo na oblicze padał mu jasny blask płomienia, i w pierwszej chwili, zarówno ojciec, jak syn, zerwali się piorunem na równe nogi, i skoczywszy ku ścianom, chwycili za oręż, jaki im wpadł pod rękę.

Lecz stary bywalec, znający na wylot ludzi i obyczaje, nie zmieszał się bynajmniej, dłonią nie sięgnął do korda, tylko wsparł się pod bok i rzekł spokojnym głosem, w którym drgało nieco szyderstwa:

— Jakoże? Taka szlachecka gościna w Brzozowej?

Na te słowa tamtym opadły zaraz ręce, a po chwili stary wypuścił z brzękiem na ziemię miecz, młody dzidę, i stali z powściąganemi ku Maćkowi szyjami, mając twarze jeszcze złowrogie, ale już zdumione i zawstydzone.

Ów zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— I święty Jerzy.

— Służym mu.

— Po somsiedzkum przyjechał — z dobrą wolą.

— Z dobrą wolą witamy. Święta osoba gość.

Dopieroż stary Wilk skoczył ku Maćkowi, a za starym młody i obaj poczęli ściskać mu prawicę, a następnie usadzili na poczesnem miejscu za stołem. W mig dołożono szczap do komina, nakryto kilimkiem stół, postawiono misy pełne jadła, łagwie piwa, dzban miodu i poczęli jeść i pić. Młody Wilk rzucał od czasu do czasu na Maćka szczególnym wzrokiem, w którym cześć dla gościa usiłowała przezwyciężyć nienawiść do człowieka, ale służył mu jednak tak pilnie, że aż pobladł ze zmęczenia, gdyż był ranny i pozbawion zwykłej siły. I ojca i syna paliła ciekawość, z czem Maćko przyjechał, żaden jednak nie zapytał go o nic, czekając, póki sam mówić nie zacznie.

Ów zaś, jako człowiek znający obyczaj, chwalił jadło, napitek i gościnność, i dopiero, gdy się dobrze nasycił, spojrzał przed się z powagą i rzekł:

— Zdarzy się nieraz ludziom wadzić, ba! i potykać, ale somsiedzki mir nadewszystko!

— Nie masz nad mir godniejszej rzeczy — odpowiedział z równą powagą stary Wilk.

— Bywa też, — rzekł znów Maćko — że gdy człeku w daleką drogę jechać trzeba, to chociaż z kim w nieprzyjaźni żył, przecie mu go żal i bez pożegnania nie chce odjechać.

— Bóg zapłać za szczere słowo.

— Nie słowo, jeno i uczynek, bom przyjechał.

— Z duszy radziśmy wam. Przyjeżdżajcie choćby i codzień.

— Bogdajem mógł i was w Bogdańcu uczcić, jako się należy ludziom, znającym rycerską cześć, ale mi rychło w drogę czas.

— Na wojnę, zaś, alibo do jakowegoś świętego miejsca?

— Wolejby to lub tamto, ale gorzej, bo między Krzyżaki.

— Między Krzyżaki? — zakrzyknęli jednocześnie ojciec i syn.

— Tak jest! — odparł Maćko. — A kto między nich, nie będąc im przyjacielem, jedzie, temu się lepiej i z Bogiem i z ludźmi pojednać, aby zaś nietylko żywota, ale i wiekuistego zbawienia nie stradał.

— To aż dziw — rzekł stary Wilk. — Jeszczem też takiego człeka nie widział, któryby się z nimi zetknął, a krzywdy i uciemiężenia nie doznał.

— Tak, jak i całe nasze królestwo! — dodał Maćko. — Ni Litwa przed krztem świętym, ni Tatarzy nie byli mu cięższi od tych djabelskich mnichów.

— Rzetelna prawda, ale bo też wiecie: zbierało się i zbierało, póki się nie nazbierało, a teraz czasby skończyć, ot jak!

To rzekłszy, stary splunął zlekka w obie dłonie, młody zaś dodał:

— Nie może już inaczej być.

— I pewnie będzie, ale kiedy? — nie nasza w tem głowa, jeno królewska. Może prędko, może nie prędko... Bóg to wie, a tymczasem trzeba mi do nich jechać.

— A czy nie z wykupem za Zbyszka?

Na wzmiankę, uczynioną przez ojca o Zbyszku, twarz młodego Wilka pobladła w jednej chwili z nienawiści i uczyniła się złowroga.

Lecz Maćko odpowiedział spokojnie:

— Może i z wykupem, ale nie za Zbyszka.

Słowa te wzmogły jeszcze ciekawość obu dziedziców Brzozowej, więc stary, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rzekł:

— Wola wasza mówić, albo nie mówić, po co tam jedziecie?

— Powiem! powiem! — rzekł, kiwając głową Maćko. — Ale pierwej powiem wam co innego. Oto, uważcie, po moim wyjeździe Bogdaniec zostanie na opiece Bożej... Drzewiej, kiedyśmy to oba ze Zbyszkiem wojowali pod księciem Witoldem, miał oko na naszą chudobę opat, ba, trochę i Zych ze Zgorzelic, a teraz nie będzie i tego. Straszne markotno człowiekowi pomyśleć, że po próżnicy zabiegał i pracował... A przecie rozumiecie, jak to bywa: ludzi mi odmówią, granicę zaorzą, ze stad też urwie każdy co będzie mógł, i choćby Pan Jezus pozwolił szczęśliwie wrócić, to wrócim znów do pustki... Jeden na to sposób i jedno poratowanie: dobry sąsiad. Przeto tum przyjechał prosić was

po ſąſiedzku, abyście Bogdaniec w opiekę wzięli i krzywdy nie dali mi uczynić...

Uſłyßawßy tę prośbę, ſpojrzał ſtary Wilk na młodego, a młody na ſtarego, i obaj zdumieli ſię niepomiernie. Naſtała chwila milczenia, gdyż na razie żaden nie zdobył ſię na odpowiedź. Maćko zaś podnióſł do uſt czarę miodu, wypił ją, poczem mówił dalej, tak ſpokojnie i poufnie, jakby ci obaj byli mu od lat najbliżßymi przyjaciółmi.

— To już powiem wam ßczerze, od kogo ſię tu najwięcej ßkód boję. Jużci nie od kogo innego, jeno od Cztana z Rogowa. Od was, choćbyśmy i w nieprzyjaźni ſię rozſtali, nie bałbym ſię, a to z takiej przyczyny, żeście ludzie rycerſcy, którzy do oczu nieprzyjacielowi ſtaną, wßelako niegodnej pomſty za jego oczyma nie wywrą. Hej! z wami całkiem co innego... Co rycerz, to rycerz! Ale Cztan jeſt proſtak, a od proſtaka wßyſtkiego ſię można ſpodziewać, tem bardziej, że, jako wiecie, okrutnie on na mnie zawzięty za to, że mu do Jagienki Zychówny przeßkadzam.

— Którą dla bratanka chowacie! — wybuchnął młody Wilk.

A Maćko ſpojrzał na niego i przez chwilę trzymał go pod zimnym wzrokiem, naſtępnie zwrócił ſię do ſtarego i rzekł ſpokojnie:

— Wiecie, mój bratanek z jedną mazurſką dziedziczką ſię ożenił i wiano zacne wziął.

Naſtało ponowne, głębße jeßcze milczenie: ojciec i ſyn patrzyli przez jakiś czas na Maćka z otwartemi uſtami, nakoniec ſtarßy ozwał ſię:

— Hę! jakże to? Bo gadali... Powiedzcie?...

A Maćko, niby nie zważając na pytanie, mówił dalej:

— Dlatego właśnie trzeba mi jechać, a dlatego proßę was: wyjrzyjcie też od czaſu na Bogdaniec i nie dajcie mi nikomu krzywdy uczynić, a zwłaßcza od najścia Cztanowego mnie uſtrzeżcie, jako godni i uczciwi ſomſiedzi!...

Przez ten czas młody Wilk, który miał rozum dość byſtry, prędko pomiarkował, że ſkoro Zbyßko ſię ożenił, to Maćka lepiej jeſt mieć przyjacielem, albowiem i Jagienka miała do niego ufność i we wßyſtkiem gotowa była iść za jego radą. Nagle całkiem nowe widoki otworzyły ſię przed oczyma młodego paliwody: „Nie dość ſię Maćkowi nie ſprzeciwić, trzeba go jeßcze zjednać!" — rzekł ſobie. Więc choć był trochę napity, wyciągnął wartko pod ſtołem rękę, ułapił ojca za kolano, ściſnął mocno na znak, żeby czegoś niepotrzebnego nie powiedział, ſam zaś rzekł:

— Wy ſię Cztana nie bójcie! Oho! niechby jeno ſpróbował! Poßczerbił mnie on krzynę — prawda! — alem też mu za to ten włochaty pyſk pochlaſtał, że go rodzona mać nie poznała. Nie bójcie ſię niczego! jedźcie ſpokojnie. Nie zginie wam i jedna wrona z Bogdańca!

— To, widzę, zacni z was ludzie. Przyrzekacie?

— Przyrzekamy! — zawołali obaj.

— Na rycerſką cześć?

— Na rycerską cześć.

— I na klejnot?

— I na klejnot! ba! i na Krzyż! Tak nam dopomóż Bóg!

Maćko uśmiechnął się z zadowoleniem, poczem rzekł:

— No, tegom się po was spodziewał. A kiedy tak, to wam jeszcze coś rzekę... Zych, jako wiecie, mnie zdał opiekę nad dziećmi. Dlategom to Cztanowi i tobie, młodziaku, przeszkadzał, kiedyście siłą chcieli wtargnąć do Zgorzelic. A teraz, jak będę w Malborku, albo Bóg wie gdzie, taka to będzie i opieka... Prawda, że nad sierotami jest Bóg, i że takiemu, któryby je chciał pokrzywdzić, nietylkoby szyję toporem ucięto, aleby go i za bezecnego ogłoszono. Wszelako markotno mi, że jadę. Okrutnie markotno. Obiecajcie-że mi, jako i sierot Zychowych nietylko sami nie pokrzywdzicie, ale i nikomu ich pokrzywdzić nie dacie.

— Przysięgamy! przysięgamy!

— Na rycerską cześć i na klejnot?

— Na rycerską cześć i na klejnot!

— I na Krzyż także?

— I na Krzyż!

— Bóg słyszał. Amen! — zakończył Maćko.

I odetchnął głęboko, bo wiedział, że takiej przysięgi dotrzymają, choćby każdy miał sobie pięści z gniewu i złości poobgryzać.

I począł się zaraz żegnać, ale oni zatrzymali go prawie przemocą. Musiał pić i pokumał się ze starym Wilkiem, młody zaś, choć zwykle po pijanemu zwady szukał, tym razem odgrażał się tylko na Cztana, a koło Maćka zabiegał tak gorliwie, jakby zaraz jutro miał dostać od niego Jagienkę. Przed północą jednak omdlał z wysiłku, a gdy go docucono, zasnął kamieniem. Starszy poszedł wkrótce za przykładem syna, tak, że Maćko zostawił ich obu, jak nieżywych, przy stole.

Sam jednak, mając głowę nad miarę wytrzymałą, nie był pijany, tylko nieco rozochocon, więc, wracając do domu, rozmyślał prawie z radością o tem, czego dokazał.

— No! — mówił sobie. — Bogdaniec bezpieczny i Zgorzelice bezpieczne. Powściekają się z przyczyny Jagienkowej jazdy, a strzedz i mojego i jej dobra będą, ba muszą. Pan Jezus dał człeku obrotność... Jak gdzie nie można pięścią, to trzeba rozumem... Jeśli wrócę, nie bez tego będzie, żeby mnie stary w pole nie pozwał, ale mniejsza o to... Bógby dał, żeby tak i Krzyżaków usidlić... Ale z nimi trudniej.... Nasz, choć trafi się i psubrat, wszelako, gdy na rycerską cześć i klejnot przysięże, to i zdzierży, a dla nich przysięga tyle, co plucie na wodę. Ale może mnie Matka Pana Chrystusowa wesprze, że przydam się na coś Zbyszkowi, jakom się teraz Zychowym dzieciom i Bogdańcowi przydał...

Tu przyszło mu do głowy, że po prawdzie mogłaby dziewczyna nie jechać, bo dwaj Wilkowie będą jej strzegli, jak źrenicy oka. Po chwili jednak porzucił tę myśl: „Wilkowie będą jej strzegli, ale za to Cztan będzie tem bardziej nastawał. Bóg wie, kto kogo zmoże, a rzecz pewna, że zdarzą się bitki i napaści, w których ucierpieć mogą Zgorzelice.

Zychowie sieroty i sama nawet dziewczyna. Wilkom pilnować samego Bogdańca będzie łatwiej, a dla dziewki lepiej, w każdym razie, bybyła zdala od tych zabijaków i zarazem blizko bogatego opata". Maćko nie wierzył w to, by Danusia mogła wyjść żywa z rąk krzyżackich, więc nie wyzbył się jeszcze nadziei, że gdy z czasem Zbyszko wróci wdowcem, wówczas niechybnie poczuje ku Jagience wolę bożą.

— Hej, mocny Boże! — mówił sobie: — żeby tak mając Spychów, jeszcze potem Jagienkę wziął z Moczydołami i z tem, co jej opat ostawi, nie pożałowałbym i kamienia wosku na świece!

Na podobnych rozmyślaniach prędko zeszła mu droga z Brzozowej, jednakże przybył do Bogdańca późną już nocą i zdziwił się, ujrzawszy mocno oświecone błony okien. Parobcy też nie spali, bo zaledwie wjechał na oborę*), wybiegł ku niemu stajenny.

— Goście jakowiś, czy co? — zapytał Maćko, zsiadając z konia.

— Jest panicz ze Zgorzelic z Czechem — odrzekł stajenny.

Maćka zdziwiły te odwiedziny. Jagienka obiecała przyjechać nazajutrz do dnia i mieli zaraz ruszać. Czemu więc przyjechał Jaśko, i to tak późno. Stary rycerz pomyślał, że mogło się coś przytrafić w Zgorzelicach, i z pewnym niepokojem w duszy wszedł do domu.

Ale w izbie, w wielkim glinianym kominie, który zastąpił we dworze zwykle ułożone na środku izby ognisko, paliły się jasno i wesoło żywiczne szczypki, a nad stołem płonęły w żelaznych kunach dwie pochodnie, przy których blasku ujrzał Maćko Jaśka, Czecha Hlawę i jeszcze jednego młodego pacholka, z twarzą rumianą jak jabłuszko.

— Jako się miewasz Jaśku? a co tam z Jagienką? — zapytał stary szlachcic.

— Jagienka kazała wam powiedzieć, — rzekł, całując go w rękę chłopak — że się rozmyśliła i woli zostać doma.

— Bójcie-że się Boga? a to co? jak? — Cóż jej tam do głowy strzeliło?

A chłopak podniósł na niego modre oczęta i począł się śmiać.

— Czegóż się rzechoczesz?

Lecz w tej chwili Czech i drugi pachołek wybuchnęli także wesołym śmiechem.

— Widzicie! — zawołał mniemany chłopak: — któż mnie pozna, skoroście wy nie poznali?

Dopieroż Maćko przypatrzył się wdzięcznej figurce uważniej i zawołał:

— W imię Ojca i Syna! Czyste zapusty! A ty tu, skrzacie, czego?

— Ba! czego.... Komu w drogę, temu czas!

— Miałaś przecie jutro switaniem przyjechać?

— Juzci! Jutro świtaniem, żeby wszyscy widzieli! Jutro pomyślą w Zgorzelicach, żem u was w gościnie i nie opatrzą się, aż pojutrze. Sieciechowa i Jaśko wiedzą, ale Jaśko obiecał na rycerską cześć, że powie dopiero wtedy, gdy poczną się niepokoić. Ale nie poznaliście mnie — co?

---

*) W dawnym języku: miejsce oborane — dziedziniec.

Więc z kolei począł się Maćko śmiać.

— A niechże ci się ta jeszcze przyjrzę... Hej! okrutnie śwarny z ciebie pacholik!... i osobliwy, bo z takiego można się i przychówku doczekać... Sprawiedliwie mówię! Żebym to nie był stary — no! Ale i tak ci powiadam: waruj się, dziewko, włazić mi w oczy! waruj się!...

I począł jej przegrażać palcem, śmiejąc się, ale patrzył na nią z wielkiem upodobaniem, albowiem takiego pachołka nigdy w życiu nie widział. Na głowie miała pątliczek jedwabny czerwony, na sobie zielony sukienny kubrak, a zaś spodeńki buchaste przy biodrach, a dalej obcisłe, w których jedna nogawiczka była barwy pątlika, druga w podłużne pasy. I z bogatym kordzikiem przy boku, z uśmiechniętą i jasną jak zorza, twarzą, wyglądała tak ślicznie, że oczu nie można było od niej oderwać.

— Boga mi! — mówił rozweselony Maćko. Alibo cudne jakoweś paniątko, alibo kwiatuszek, czy co?

Poczem zwrócił się do drugiego pachołka i zapytał:

— A ten tu?... pewnikiem też jaki odmieniec?

— A wzdy to Sieciechówna — odrzekła Jagienka. — Niesktadnieby mi było samej między wami, bo jakże? To dlatego wzięłam z sobą Anulkę, że we dwie raźniej, i pomoc jest, i usługa. Jej też nikt nie pozna.

— Masz ci, babo, wesele. Mało była jedna, będą dwie.

— Nie przekomarzajcie się.

— Nie przekomarzam się ja, ale przecie w dzień każdy pozna i ją, i ciebie.

— Ba! a po czem?

— Bo ci kolana k'sobie idą — i jej też.

— Dajcie spokój!...

— Jużci dam, bo mi nie pora, ale czy i Cztan z Wilkiem dadzą, Bóg wie. Wiesz ty, bąku, skąd wracam? Z Brzozowej.

— Na miły Bóg! Co też mówicie?

— Prawdę, jako i to prawda, że Wilkowie będą bronili od Cztana i Bogdańca i Zgorzelic. No! pozwać nieprzyjaciół i pobić się z nimi łatwo, ale z nieprzyjaciół stróżów własnego dobra uczynić, to nie byle cap potrafi.

Tu Maćko począł opowiadać o swoich odwiedzinach u Wilków, jak ich sobie zjednał i na hak przywiódł, a ona słuchała z wielkiem zdumieniem, a gdy wreszcie skończył, rzekła:

— Chytrości, to Pan Jezus wam nie poskąpił, i miarkuję, że wszystko tak zawsze będzie, jak chcecie.

Lecz Maćko począł na to kiwać głową, jakby ze smutkiem.

— Ej, dziewczyno, kiedyby tak wszystko było, jako ja chcę, to tybyś dawno już była gospodynią w Bogdańcu!

Na to Jagienka popatrzyła na niego czas jakiś swemi modremi oczyma, poczem, zbliżywszy się, pocałowała go w rękę.

— Czegóż mnie bóckasz? — zapytał stary.

— Nic!... Mówię jeno dobranoc, bo późno, a jutro trzeba nam do dnia ruszyć.

I zabrawszy Sieciechównę, odeszła, a Maćko zaprowadził Czecha do alkierza, gdzie ległszy na żubrzych ſkórach, zaſnęli obaj ſnem mocnym i krzepiącym.

41.

Jakkolwiek po zniszczeniu, pożodze i rzezi, którą w 1331 roku wyprawili w Sieradzu Krzyżacy, Kazimierz Wielki odbudował zrównane z ziemią miaſto — nie było ono jednak zbyt świetne i nie mogło iść w porównanie z innymi grodami króleſtwa. Ale Jagienka, której życie płynęło dotychczas między Zgorzelicami a Krześnią, nie poſiadała ſię ze zdumienia i podziwu na widok murów, wież, ratusza, a zwłaszcza kościołów, o których drewniany krześnieńſki nie dawał najmniejszego pojęcia. W pierwszej chwili ſtraciła tak dalece zwykłą rezolutność, że nie śmiała mówić głośno i tylko szeptem wypytywała Maćka o te wszyſtkie cuda, od których olśniewały jej oczy, gdy zaś ſtary rycerz upewniał ją, że Sieradzowi tak do Krakowa, jako zwyczajnej głowni do ſłońca, uszom nie chciała wierzyć, albowiem wydawało ſię jej proſtem niepodobieńſtwem, aby mógł iſtnieć drugi, równie wſpaniały gród na świecie.

W klasztorze przyjął ich ten ſam zgrzybiały przeor, który pamiętał jeszcze z dziecinnych lat rzeź krzyżacką i który poprzednio przyjmował Zbyszka. Wiadomość o opacie ſprawiła im ſmutek i kłopot. Mieszkał on długo w klasztorze, ale przed dwoma tygodniami wyjechał do ſwego przyjaciela, biſkupa płockiego. Chorzał ciągle. Za dnia, zrana bywał przytomny, ale wieczorami tracił głowę, zrywał ſię, kazał ſobie nakładać pancerz i pozywał na bitwę kſięcia Jana z Raciborza. Klerykowie waganci muſieli go ſiłą trzymać w łożu, co nie przychodziło bez wielkich trudności, a nawet i niebezpieczeńſtwa. Przed dwoma dopiero tygodniami oprzytomniał całkiem, i pomimo że osłabł jeszcze bardziej, kazał ſię zaraz wieźć do Płocka.

— Mówił, że nikomu tak nie ufa, jako biſkupowi płockiemu (kończył przeor), i że z jego rąk chce przyjąć Sakramenta, a przytem i teſtament u niego zoſtawić. Przeciwialiśmy ſię tej podróży, jakeśmy mogli, bo był mdły bardzo, i baliśmy ſię, że i mili żyw nie ujedzie. Ale przeciwić mu ſię nie łatwo, więc szpylmany wymościli wóz i powiezli go, daj Boże szczęśliwie.

— Gdyby był zamarł gdzie blizko Sieradza, to bylibyście przecie ſłyszeli — rzekł na to Maćko.

— Bylibyśmy ſłyszeli — odparł ſtaruszek: — to też tak myślim, że nie zamarł i że przynajmniej do Łęczycy oſtatniej pary nie puścił, ale co ſię dalej mogło przygodzić, nie wiemy. Jeśli pojedziecie za nim, to ſię po drodze dowiecie.

Maćko zatroſkał ſię temi wiadomościami i udał ſię na naradę

do Jagienki, która już przez Czecha dowiedziała się, dokąd opat wyjechał.

— Co robić? — spytał jej — i co z sobą uczynisz?

— Pojedziecie do Płocka, a ja z wami — odrzekła krótko.

— Do Płocka! — zawtórowała jej cienkim głosikiem Sieciechówna.

— Patrzcie, jako to się rządzą! Tak ci odrazu do Płocka, jak sierpem rzucić?

— A jakoże mi samej z Sieciechówną wracać? Miałabym z wami dalej nie jechać, to lepiej było wcale nie wyjeżdżać. Zali nie myślicie, że tamci się gorzej jeszcze rozsierdzili i zawzięli?

— Wilkowie cię przed Cztanem obronią.

— Boję ja się tak samo Wilkowej obrony, jak Cztanowej napaści, i to też widzę, że wy się przeciwicie, byle się przeciwić, ale nieszczerze.

Maćko rzeczywiście nie sprzeciwiał się szczerze. Owszem, wolał, by Jagienka z nim jechała, niż żeby miała wracać, więc usłyszawszy jej słowa, uśmiechnął się i rzekł:

— Spódnicy się wyzbyła, to jej się rozumu zachciewa.

— Rozum nie gdzieindziej, jeno w głowie.

— Ale mnie z drogi przez Płock.

— Mówił Czech, że nie z drogi, a do Malborka to i bliżej.

— To juzeście z Czechem uradzali?

— A pewnie, i powiedział jeszcze tak: jeśli (powiada) młody pan popadł w jakowe złe terminy w Malborku, to przez księżnę Aleksandrę płocką siła możnaby wskórać, bo ona rodzona królewska, i prócz tego, będąc osobliwszą przyjaciółką Krzyżakom, wielkie ma między nimi zachowanie.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — zawołał Maćko. — Wszyscy o tem wiedzą i gdyby chciała dać list do Mistrza, przezpieczniebyśmy jeździli po wszystkich ziemiach krzyżackich. Miłują ci oni ją, bo i ona ich miłuje... Dobra to rada i nie głupi chłop — ten Czech.

— Jeszcze i jak! — zawołała z zapałem Sieciechówna, wznosząc ku górze niebieskie oczki.

Maćko zaś zwrócił się nagle ku niej:

— A ty tu czego?

Więc dziewczyna zmieszała się okrutnie, i opuściwszy długie rzęsy, zapłoniła się jak róża.

Jednakże widział Maćko, że niema innej rady, tylko trzeba obie dziewczyny dalej z sobą brać, że zaś i w duszy miał na to ochotę, więc nazajutrz, pożegnawszy staruszka przeora, ruszyli w dalszą podróż. Z przyczyny tajania śniegów i wezbranych wód jechali z większym trudem, niż poprzednio. Po drodze dopytywali o opata i trafili na wiele dworów, plebanji, a gdzie ich nie było, to nawet i karczem, w których zatrzymywał się na noclegi. Łatwo było iść w jego tropy, gdyż rozdzielał hojne jałmużny, zakupował msze, dawał na dzwony, wspomagał podupadłe kościoły, więc niejeden dziadyga, chodzący „po

pytaniu", niejeden klecha, ba, nawet i niejeden pleban, wspominali go z wdzięcznością. Mówiono ogólnie, że „jechał jakoby anioł" — i modlono się za jego zdrowie, chociaż tu i owdzie dawały się słyszeć obawy, że bliżej mu już do wiekuistego zbawienia, niż do doczesnego zdrowia. W niektórych miejscach popasał, dla zbytniej słabości, po dwa i trzy dni. Maćkowi wydawało się też prawdopodobnem, że go dogonią.

Jednakże pomylił się w rachubie, gdyż zatrzymały ich wezbrane wody Neru i Bzury. Nie dojechawszy do Łęczycy, przez dni cztery zmuszeni byli zamieszkać w pustej karczmie, z której gospodarz wyniósł się widocznie z obawy powodzi. Droga, wiodąca od karczmy ku miastu, jakkolwiek wymoszczona pniami drzew, pogrążyła się i zaklęsła na znacznej przestrzeni w błotnistą topiel. Pachołek Maćków, Wit, rodem z tych stron, słyszał coś wprawdzie o przejściu lasami, ale nie chciał podjąć się przewodnictwa, albowiem wiedział również, że w błotach łęczyckich miały swoje pielesze siły nieczyste, a mianowicie możny Boruta, który rad naprowadzał ludzi na bezdenne mokradła, a następnie tylko za cenę duszy ratował. Sama karczma miała także złą sławę, i jakkolwiek w owych czasach podróżni wozili z sobą żywność, zaczem nie obawiali się i głodu, przecie pobyt w takim miejscu nabawiał nawet starego Maćka niepokoju.

Nocami słyszano harce na dachu gospody, a czasem pukało coś i we drzwi. Jagienka i Sieciechówna, śpiące w alkierzu, tuż koło wielkiej izby, słyszały też w ciemnościach jakoby szelest drobnych stóp po polepie, a nawet i po ścianach. Nie przerażało to ich zbytnio, albowiem obie przywykły były w Zgorzelicach do skrzatów, które stary Zych nakazywał swego czasu karmić, i które, wedle powszechnego w tych czasach mniemania, byle im kto nie żałował okruszyn, nie bywały złośliwe. Lecz pewnej nocy rozległ się w pobliskich gąszczach głuchy i złowrogi ryk, a nazajutrz odkryto ślady ogromnych racic na błocie. Mógł to być żubr, albo tur, lecz Wit utrzymywał, że i Boruta, choć nosi postać ludzką, a nawet szlachecką, ma zamiast stóp racice, buty zaś w których się pokazuje między ludzi, zdejmuje dla oszczędności na błotach. Maćko, usłyszawszy, że można go sobie przejednać napitkiem, namyślał się przez cały dzień, czyby nie było grzechem uczynić sobie złego ducha przyjacielem, i radził się nawet w tym względzie Jagienki.

— Powiesiłbym na noc na płocie wołową mecherę pełną wina, albo miodu, — rzekł — i jeśliby go w nocy co wypiło, tobyśmy przynajmniej wiedzieli, że krąży.

— Byle mocy niebieskich przez to nie obrazić — odrzekła dziewczyna: — bo nam błogosławieństwo potrzebne, abyśmy Zbyszkowi szczęśliwe poratowanie dać mogli.

— Toż i ja tego się boję, ale tak myślę, że co miód, to przecie nie dusza. Duszy nie dam, a co tam dla mocy niebieskich jedna mechera miodu znaczy!

Poczem zniżył głos i dodał:

— Że ślachcic ślachcica, choćby największego zawalidrogę, poczęstuje, to zwykła rzecz, a ludzie gadają, że on ci ślachcic.

— Kto? — zapytała Jagienka.

— Nie chcę nieczystego imienia wspominać.

Jednakże tegoż wieczora zawiesił Maćko na płocie własnemi rękoma duży wołowy pęcherz, w jakich pospolicie wożono napitki — i nazajutrz okazało się, że pęcherz został do dna wypity.

Wprawdzie Czech, gdy o tem opowiadano, uśmiechał się jakoś dziwnie, ale nikt na to nie uważał, Maćko zaś rad był w duszy, albowiem spodziewał się, że gdy przyjdzie przeprawiać się przez błota, nie zajdą przy tem jakieś niespodziane przeszkody i wypadki:

— Chybaby nieprawdę powiadali, że zna jakowąś cześć — mówił sobie.

Przedewszystkiem należało jednak zbadać, czy niema przejścia przez lasy. Mogło to być, albowiem tam, gdzie grunt utrwalon był przez korzenie drzew i zarośli, ziemia nie rozmiękała łatwo od dżdżów. Wszelako Wit, który jako miejscowy mógł najlepiej spełnić tę czynność, na samą o niej wzmiankę, począł krzyczeć: „Zabijcie, panie! nie pójdę!" Próżno mu tłómaczono, że w dzień siły nieczyste niemają władzy. Maćko chciał sam iść, ale skończyło się na tem, że Hlawa, który był pachołek zuchwały i rad wobec ludzi, a zwłaszcza wobec dziewcząt, puszył odwagą, wziął za pas topór, w rękę kosztur i poszedł.

Poszedł do dnia, i spodziewano się, że koło południa wróci, a gdy go nie było widać, poczęto się niepokoić. Próżno czeladź nasłuchiwała od strony lasu i po południu. Wit machał tylko ręką: „Nie wróci, albo jeśli wróci, to gorze nam, bo Bóg wie, czy nie z wilczą mordą, na wilkołaka przemienion!" Słysząc to, bali się wszyscy; sam Maćko był nieswój, Jagienka czyniła, zwracając się ku borowi, znaki krzyża, Anulka zaś Sieciechówna, próżno szukała co chwila na swych ubranych w spodeńki kolanach fartucha, i nie znajdując nic, czemby mogła oczy przysłonić, przysłaniała je palcami, które wnet stawały się mokre od łez, jedna za drugą kapiących.

Jednakże w porze wieczornego udoju, właśnie gdy słońce miało zachodzić, Czech wrócił — i nie sam, jeno z jakąś ludzką postacią, którą pędził przed sobą na powrozie. Wypadli zaraz wszyscy ku niemu z okrzykami i radością, ale umilkli na widok owej postaci, która była mała, kosołapa, zarosła, czarna i przybrana w skóry wilcze.

— W imię Ojca i Syna, cożeś to za bezerę sprowadził? — zawołał, ochłonąwszy Maćko.

— A co mi tam — odrzekł giermek: — powiada, że człowiek i smolarz, ale czy prawda, — nie wiem.

— Oj nie człowiekto, nie człowiek! — ozwał się Wit.

Lecz Maćko nakazał mu milczenie, zaczem jął bacznie przypatrywać się schwytanemu i nagle rzekł:

— Przeżegnaj się! duchem mi się tu przeżegnaj!...

— Pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał jeniec, i przeżegnawszy się coprędzej, odetchnął głęboko, spojrzał z większą ufnością na zgromadzonych i powtórzył:

— Pochwalony Jezus Chrystus! — bom ja też nie wiedział, czylim w krześcijańskich, czy w djabelskich rękach. O Jezu!...

— Nie bój się. Między krześcijany jesteś, którzy radzi mszy świętej słuchają. Cożeś zacz?

— Smolarz, panie, budnik. Jest nas siedmiu w budach z babami i dziećmi.

— Jakoż daleko stąd?

— O dziesięć stajań niespełna.

— Którędyż do miasta chadzacie?

— Mamy swoją drogę za Czarcim wądołem.

— Za Czarcim? Przeżegnaj-no się jeszcze raz!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

— To dobrze. A wóz tą drogą przejedzie?

— Teraz grząsko wszędy, chociaż tam nie tak jak na gościńcu, bo wądołem wiater dmie i błoto suszy. Jeno do Bud bieda, ale i do Bud, znający bór pomału przeprowadzi.

— Za skojca przeprowadzisz? ba! niechby za dwa!

Smolarz podjął się chętnie, wyprosiwszy jeszcze pół bochenka chleba, bo w lesie, chociaż głodem nie przymierali, ale chleba zdawna nie widzieli. Ułożono, że wyjadą nazajutrz rano, gdyż pod wieczór było „niedobrze". O Borucie mówił smolarz, że okrutnie czasem „burzy" w boru, ale prostactwu krzywdy nie czyni, i zazdrosnym będąc o księstwo Łęczyckie, innych djabłów po chróstach gania. Źle tylko spotkać się z nim w nocy, zwłaszcza, gdy człek napity. W dzień i po trzeźwemu, niema przyczyny bać się.

— A wszelakoś się bał? rzekł Maćko.

— Bo mnie ten rycerz niespodzianie chycili z mocą taką, że myślałem, iże nie człowiek.

Więc Jagienka poczęła się śmiać, że to oni wszyscy smolarza poczytali za coś „paskudnego", a smolarz ich. Śmiała się z nią razem i Anula Sieciechówna, aż Maćko rzekł:

— Jeszcze ci ślepia nie obeschły po płakaniu za Hlawą, a teraz się już szczerzysz?

Więc Czech spojrzał na jej różaną twarz, i widząc, że rzęsy ma jeszcze mokre, zapytał:

— Po mnieście płakali?

— Ej, nie! — odrzekła dziewczyna: — jeno się bałam i tyla.

— Przecieście szlachcianka, a szlachciance wstyd. Pani wasza nie taka bojąca. Cóż się wam tu mogło złego przygodzić, w dzień i między ludźmi?

— Mnie nie, ale wam.

— A powiadacie przecie, że nie po mnieście płakali?

— Bo nie po was.

— A zaś czemu?

— Ze strachu.

— A teraz się nie boicie?

— Nie.

— A zaś czemu?

— Boście wrócili.

Na to Czech spojrzał na nią z wdzięcznością, uśmiechnął się i rzekł:

— Ba, takim sposobem możnaby do jutra gadać. Okrutnieście chytrzy.

Ale ją było prędzej o wszystko inne, niż o chytrość posądzić, i Hlawa, który sam był pachołek przebiegły, rozumiał to dobrze. Rozumiał również, że dziewczyna lgnie do niego z każdym dniem więcej. Sam on miłował Jagienkę, ale tak, jako poddany miłuje córkę króla, więc z pokorą i czcią największą, a bez żadnej nadziei. Tymczasem podróż zbliżała go z Sieciechówną. W czasie pochodów, stary Maćko jechał zwykle w pierwszą parę z Jagienką, a on z Anulą, że zaś chłop był, jak tur, a krew miał, jak ukrop, więc gdy w czasie drogi spoglądał na jej jasne oczki, na płowe kosmyki włosów, które nie chciały trzymać się pod pątlikiem, na całą postać smukłą a urodziwą, a zwłaszcza na cudne, jakby utoczone nogi, obejmujące wronego podjezdka, to ciarki przechodziły go od stóp do głowy. Nie mógł też się wstrzymać od coraz częstszego i coraz bardziej łakomego spoglądania na te wszystkie doskonałości i mimowoli myślał, że gdyby djabeł zmienił się w takiego pachołka, to łatwo zdołałby go przywieść na pokuszenie. A był to przytem słodki, jak miód pacholiczek, zarazem tak posłuszny, że tylko w oczy patrzył i wesoły, jak wróbel na dachu. Czasem dziwne myśli przychodziły Czechowi do głowy, i raz, gdy pozostali z Anulą nieco w tyle, przy jucznych koniach, zwrócił się nagle do niej i rzekł:

— Wiecie? tak tu wedle was jadę, jako wilk wedle jagnięcia.

A jej aż białe ząbki rozbłysły wraz od szczerego śmiechu.

— Chcielibyście mnie zjeść? — zapytała.

— Ba z kosteczkami!

I spojrzał na nią takim wzrokiem, że spłonęła pod nim, poczem zapadło między nimi milczenie, i tylko serca biły im mocno, jemu z żądzy, jej z jakiejś słodkiej odurzającej bojaźni.

Lecz początkowo żądza przemagała w Czechu nad tkliwością, i mówiąc, iż patrzy na Anulkę, jak wilk na jagnię, mówił prawdę. Dopiero tego wieczora, w którym ujrzał jej mokre od łez policzki i rzęsy, zmiękło w nim serce. Wydała mu się dobra i jakaś blizka i jakaś swoja, że zaś i sam miał naturę uczciwą, a zarazem rycerską, nietylko więc nie wbił się w pychę i nie zhardział na widok tych słodkich łez, ale stał się nieśmielszy i więcej na nią uważający. Opuściła go dawna niefrasobliwość w mowie, i choć jeszcze trochę dworował przy wieczerzy z bojaźliwości dziewczyny, ale już inaczej, i przytem służył jej tak, jak rycerski giermek obowiązany był służyć szlachciance. Stary Maćko, pomimo iż głównie myślał o jutrzejszej przeprawie i o dalszej podróży, spostrzegł to jednak, ale pochwalił go tylko za górne obyczaje, których, jak mówił, musiał przy Zbyszku na dworze mazowieckim nabrać.

Potem zwróciwszy się do Jagienki, dodał:

— Hej! Zbyszko!... Ten ci się choć i u króla znajdzie!

Ale po owej służbie przy wieczerzy, gdy przyszło rozchodzić się na noc, Hlawa, po ucałowaniu ręki Jagienki, podniósł z kolei do ust i dłoń Sieciechówny, poczem rzekł:

— Wy się nietylko o mnie nie bójcie, ale i przy mnie niczego się nie bójcie, bo ja was nikomu nie dam.

Poczem mężczyźni pokładli się w przodowej izbie, zaś Jagienka z Anulą w alkierzu, na jednym, ale szerokim i dobrze wymoszczonym tapczanie. Obie nie mogły jakoś prędko zasnąć, a zwłaszcza Sieciechówna kręciła się co chwila na drylichowym gieźle, więc po niejakim czasie Jagienka przysunęła do niej głowę i poczęła szeptać:

— Anula?

— A co?

— Bo... mi się tak zdaje, że ty okrutnie nawidzisz tego Czecha... Jako-że?

Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, więc Jagienka znów poczęła szeptać:

— Przecie ja to rozumiem... Powiadaj...

Sieciechówna nie odpowiedziała i teraz, tylko przywarła ustami do policzka swej pani i poczęła ją raz po razu całować.

A biednej Jagience również raz po razu westchnienia jęły podnosić pierś dziewczęcą.

— Oj, rozumiem, rozumiem! — szepnęła tak cicho, że Anula zaledwie mogła ułowić uchem jej słowa.

42.

Nazajutrz po nocy mglistej, miękkiej, przyszedł dzień wietrzny, chwilami jasny, chwilami z powodu chmur, które, gnane wiatrem, cwałowały stadami po niebie — posępny. Maćko kazał poruszyć tabór równo z brzaskiem. Smolarz, który podjął się przewodniczyć do Bud, twierdził, że konie wszędy przejdą, ale wozy miejscami trzeba będzie rozbierać i przenosić je częściowo, również jak i łuby z odzieżą i zapasami żywności. Nie mogło to przyjść bez wysiłku i mitręgi, ale hartowni i przywykli do trudu ludzie woleli trud największy, niż gnuśny wypoczynek w pustej karczmie, z ochotą więc ruszyli w drogę. Nawet i bojaźliwy Wit, ośmielony słowy i obecnością smolarza, nie okazywał przestrachu.

Zaraz za karczmą weszli w wysokopienny, niepodszyty bór, w którym przy zręcznem prowadzeniu koni, można się było, nawet nie rozbierając wozów, między chojarami wykręcić. Wicher chwilami ustawał, chwilami zrywał się z mocą niesłychaną, uderzał, jakby olbrzymiemi skrzydłami w konary gonnych sosen, przeginał je, wykręcał, wywijał niemi, niby śmigami wiatraka, łamał; bór giął się pod tem rozpętanem tchnieniem, i nawet w przerwach między jednem a drugiem uderzeniem nie przestawał huczeć i grzmieć, jakby z gniewu na ową napaść i przemoc. Kiedy niekiedy chmury przesłaniały całkiem blask

dzienny; siekło dżdżem pomieszanym ze śnieżnemi krupami i czyniło się tak ciemno, jakby nastawała wieczorna pomroka. Wit tracił wówczas znowu ducha i wołał, iż to „złe zawzięło się i przeszkadza”, ale nikt go nie słuchał, nawet trwożliwa Anula nie brała do serca jego słów, zwłaszcza, że Czech był tak blizko, iż mogła strzemieniem trącić o jego strzemię, patrzał zaś przed się tak zuchwale, jakby samego djabła chciał wyzwać na rękę.

Za borem wysokopiennym zaczynał się podszyty, a potem gąszcz, przez który nie można było przejechać. Tu musieli rozebrać wozy, ale uczynili to sprawnie i w mgnieniu oka. Koła, dyszle i przodki przenieśli krzepcy pachołkowie na barkach, a także toboły i zapasy żywności. Było takiej złej drogi trzy stajania, jednakże zaledwie pod wieczór stanęli w Budach, gdzie smolarze przyjęli ich gościnnie i zapewnili, że Czarcim wądołem, a ściślej biorąc, wzdłuż niego, można było dostać się do miasta. Ludzie ci, zżyci z puszczą, rzadko widywali chleb i mąkę, ale nie przymierali głodem, gdyż wszelkich wędlin, a zwłaszcza wędzonych piskorzów, od których roiły się wszystkie błota, mieli w bród. Częstowali też nimi hojnie, wyciągając wzamian łakomie ręce po placki. Były między nimi niewiasty i dzieci, wszystko czarne od smolistego dymu, a był także i jeden stary chłop, przeszło stuletni, który pamiętał rzeź Łęczycy, dokonaną w 1331 roku, i zupełne zburzenie miasta przez Krzyżaków. Maćko, Czech i dwie dziewczyny, jakkolwiek słyszeli takie samo niemal opowiadanie przeora w Sieradzu, słuchali ciekawie i tego dziada, który siedząc przy ognisku i grzebiąc w niem, zdawał się odgrzebywać zarazem straszne wspomnienia swej młodości. Tak! w Łęczycy, równie jak w Sieradzu, nie oszczędzono nawet kościołów i księży, a krew starców, niewiast i dzieci spłynęła po nogach zdobywców. Krzyżacy, wiecznie Krzyżacy! Myśli Maćka i Jagienki ulatywały ustawicznie ku Zbyszkowi, który przebywał właśnie jakoby w paszczy wilczej, wśród wrażego plemienia, nieznającego ni litości, ni praw gościnnych. W Sieciechównie mdlało także serce, nie była bowiem pewna, czy w gonitwie za opatem nie przyjdzie im aż między tych okrutnych ludzi zajechać...

Lecz stary począł następnie opowiadać o bitwie pod Płowcami, która zakończyła najazd krzyżacki, a w której on brał udział z cepem żelaznym w ręku, jako pachołek w piechocie wystawionej przez gminę kmiecą. W tej to bitwie wyginął prawie cały niemal ród Gradów, więc Maćko znał dobrze wszelkie jej szczegóły, a jednak słuchał i teraz, jak nowiny, opowiadania o strasznym pogromie Niemców, gdy jak łan pod wichrem położyli się pod mieczami rycerstwa polskiego i króla Łokietka potęgą...

— Ha! Jużci pamiętam — mówił dziad. — Naszli tę ziemię, popalili grody i zamki, ba! dzieci w kolebkach rzezali, ale im przyszło na czarny koniec. Hej! godna ci była bitwa. Ano! co przymknę oczy, to ono pole widzę...

I przymknął oczy i umilkł, zlekka tylko węgle w watrze poruszał, póki Jagienka, nie mogąc się dalszego opowiadania doczekać, nie spytała:

— Jakoż to było?

— Jakoż to było? — powtórzył dziad. — Pole pamiętam, jakobym tera patrzył: były chróśniaki i w prawo młaka i szmat rżyska, jakoby poletko niewielgie. Ale po bitwie nie było widać ni chróśniaków, ni młaki, ni rżyska, jeno żelaziwo wszędy, miecze, topory, dzidy i zbroje piękne, jedna na drugiej, jakoby kto całą świętą ziemię niemi przykrył... Nigdy ja tyla pobitego narodu na kupie nie widział i tyla krwi ludzkiej płynącej...

Pokrzepiło się znowu tem wspomnieniem Maćkowe serce, więc rzekł:

— Prawda! Pan Jezus miłosierny! Ogarnęli oni wówczas to królestwo, jako pożoga, albo zaraza. Nietylko Sieradz i Łęczycę, ale i wiele innych miast napsowali. I co? Jest nasz naród okrutnie żywięcy i moc w sobie też ma niepożytą. Choć ta i chycisz go, krzyżacki psubracie, za grzdykę, zdławić go nie podolisz, jeszcze ci zęby wybije... Bo jeno patrzcie: król Kazimierz i Sieradz i Łęczycę tak zacnie odbudował, że lepsze są, niż były, i zjazdy się w nich po staremu odprawują, a Krzyżaków, jak ci sprali pod Płowcami, tak tam leżą i gniją. Daj Bóg zawdy taki koniec!

Stary chłop, słysząc te słowa, począł z początku kiwać głową, na znak przytakiwania, lecz w końcu rzekł:

— Ponoś nie leżą i nie gniją. Kazał król nam piechocie po bitwie rowy kopać, i chłopy też przyśli z okolicy pomagać w robocie, aże łopaty warczały. Poukładaliśmy potem Niemców w rowach i przysypali na porządek, by się z nich jakoweś choróbska nie wylęgły, ale oni tam nie ostali.

— Jakto nie ostali? Cóż im się przygodziło?

— Ja tam tego nie widział, jeno rzekę, jako ludzie potem prawili. Nastała po bitwie wieja sroga, która trwała bez dwanaście niedziel, ale tylko nocami. W dzień słonko świeciło, jako się patrzy, a w nocy wiatr bez mała włosów ze łba nie zdzierał. To ci djabły całemi chmarami kotłowały się we wichurze, każden z widłami, i co który nadleciał, to siup widłami w ziemię i Krzyżaka se wydobył, a potem do piekła poniósł. Słyszeli we Płowcach ludziska harmider taki, jakby psi stadami wyli, ale tego nie mogli wyrozumieć, czy to Niemcy wyli ze strachu a zaś załości, czyli też djabły z wesela. Było tego, póki księża rowów nie poświęcili i póki ziemia na nowy rok nie zamarzła tak, że i widły nie brały.

Tu umilkł i po chwili dodał:

— Ale daj Bóg, panie rycerzu, taki koniec, jakoście mówili, bo chociaż ja tego nie dożyjem, ale tacy pachołeckowie, jako ci dwaj, dożyją i nie będą tego widzieli, na co oczy moje patrzyły.

To rzekłszy, począł przyglądać się to Jagience, to Sieciechównie i dziwić się ich cudnym twarzom i głową kręcić.

— Nikiej mak we zbożu — rzekł; — takich ja jeszcze nie widział.

W podobny sposób przegwarzyli część nocy, potem pokładli się

spać w budach na mchach miękkich jak puch, ciepłemi skórami pokrytych, a gdy sen mocny pokrzepił ich członki, ruszyli nazajutrz dobrze już za widna dalej. Droga wzdłuż wądołu nie była wprawdzie zbyt łatwa, ale też i nie trudna, tak, że jeszcze przed zachodem słońca ujrzeli zamek łęczycki. Miasto było na nowo z popiołów wzniesione, w części z czerwonej cegły, a nawet i z kamienia. Mury miało wysokie, wieżami bronne, kościoły jeszcze od sieradzkich wspanialsze. U Dominikanów łatwo zasięgnęli wieści o opacie. Był, mówił, że mu lepiej, radował się nadzieją, że całkiem ozdrowieje, i przed kilku dniami wyruszył w dalszą drogę. Maćkowi nie chodziło już zbytnio o doścignięcie go w drodze, gdyż postanowił już wieźć obie dziewki aż do Płocka, gdzie i tak byłby je opat zawiózł, ale że mu pilno było do Zbyszka, więc zakłopotał się srodze inną nowiną: że już po opatowym wyjeździe rzeki tak wezbrały, iż całkiem nie można było jechać dalej. Dominikanie, widząc rycerza ze znacznym pocztem, który, jak mówił, do księcia Ziemowita jechał, przyjęli i podejmowali ich gościnnie, a nawet opatrzyli Maćka na drogę, drewnianą, oliwną tabliczką, na której wypisana była po łacinie modlitwa do anioła Rafała, patrona podróżnych.

Przez dwa tygodnie trwał przymusowy pobyt w Łęczycy, przyczem jeden z giermków zamkowego starosty odkrył, że pachołkowie przejezdnego rycerza byli dziewczynami, i z miejsca zakochał się na umór w Jagience. Czech chciał go zaraz pozywać na udeptaną ziemię, ale że stało się to w wigilją wyjazdu, więc Maćko odradził mu ten postępek.

Gdy wyruszyli w dalszą ku Płockowi drogę, wiatr osuszył nieco gościńce, bo jakkolwiek przychodziły dżdże częste, ale jak zwykle wiosną trwały krótko. Były też ciepłe i duże, albowiem wiosna nastąpiła zupełna. Na polach świeciły w brózdach jasne pasy wody, od zagonów dolatywał z powiewem mocny zapach mokrej ziemi. Bagna pokryły się kaczeńcem, w lasach zakwitły przylaszczki — i piegże podnosiły między gałęziami świergot radosny. W serca podróżnych wstąpiła też nowa ochota i nadzieja, zwłaszcza, że jechało im się dobrze, i że po szesnastu dniach podróży stanęli u bram Płocka.

Ale przyjechali w nocy, gdy bramy grodu były już zamknięte, więc musieli nocować u tkacza za murami. Dziewczyny, poszedłszy spać późno, pospały się po trudach i niewygodach długiej podróży, kamiennym snem. Maćko, którego żaden trud nie mógł obalić, nie chciał ich budzić, ale sam równo z otwarciem bram poszedł do miasta, łatwo odnalazł katedrę i dom biskupi, w którym, pierwszą nowiną, którą usłyszał, była wiadomość, że opat zmarł przed tygodniem.

Zmarł przed tygodniem, ale wedle ówczesnego zwyczaju odprawiano msze przy trumnie i stypy żałobne od dni sześciu, pogrzeb zaś miał nastąpić dziś dopiero, a po nim wspominki i stypa ostatnia dla uczczenia pamięci zmarłego.

Maćko, od wielkiego frasunku, nawet się nie rozglądał po mieście, które zresztą znał nieco z tych czasów, gdy jeździł z listem księżny

Aleksandry do Mistrza — tylko wracał, co prędzej do domu tkacza za murami i po drodze mówił sobie:

— Ha, zmarło mu się, i wieczny odpoczynek! Niemaż na to rady we świecie, ale co ja teraz z temi dziewkami zrobię?

I począł się nad tem zastanawiać, czyby je lepiej u księżny Aleksandry zostawić, czy u księżny Anny-Danuty, czy może do Spychowa wieźć. Bo nieraz przychodziło mu do głowy w czasie tej drogi, że gdyby się pokazało, iż Danuśka nie żyje, to nie wadziłoby, by Jagienka była blizko Zbyszka. Nie wątpił, że Zbyszko długo będzie tamtej, nad wszystkie inne umiłowanej, żałował i długo po niej płakał, ale nie wątpił też, że taka dziewczyna, tuż pod bokiem, zrobi swoje. Pamiętał, jak chłopaka, chociaż serce rwało mu się hen za bory i lasy na Mazowsze, ciągoty jednak brały przy Jagience. Z tych powodów, i wierząc przytem głęboko, że Danuśka przepadła, myślał nieraz, by na wypadek śmierci opata nie odsyłać nigdzie Jagienki. Ale że był nieco łapczywy na ziemskie dobro, więc chodziło mu i o majętność po opacie. Opat gniewał się wprawdzie na nich i zapowiadał, że nic im nie zostawi, ale nuż ogarnęła go skrucha przed śmiercią? Że zapisał coś Jagience, to było pewne, bo nieraz odzywał się z tem w Zgorzelicach, więc przez Jagienkę mogłoby to i tak nie minąć Zbyszka. Chwilami brała też Maćka ochota zostać w Płocku, dowiedzieć się, jak i co, i zająć się tą sprawą, ale wnet pokonywał w sobie takie myśli. „Ja tu będę — myślał — o majętność zabiegał, a moje chłopaczysko może tam do mnie z jakowego krzyżackiego podziemia ręce wyciąga i ratunku ode mnie czeka.” Była wprawdzie jedna rada: zostawić Jagienkę pod opieką księżny i biskupa z prośbą, by jej nie dali skrzywdzić, jeśli jej opat co zostawił. Ale rada ta nie całkiem podobała się Maćkowi. „Dziewczyna ma i tak — mówił sobie — wiano zacne, jeśli zaś i po opacie odziedziczy, weźmie ją który Mazur, jak Bóg na niebie, a ona też długo nie wytrzyma, bo to jeszcze i nieboszczyk Zych powiedział, że już wtedy jako „po węglach chodziła”. I zlakł się tej myśli stary rycerz, gdyż pomyślał, że w takim razie i Danuśka i Jagienka mogłyby Zbyszka ominąć, tego zaś nie chciał za nic na świecie.

— Którą mu Bóg przeznaczył, tę niech ma, ale jedną musi mieć.

Postanowił też w końcu przedewszystkiem ratować Zbyszka, a Jagienkę, jeśli trzeba będzie się z nią rozstać, zostawić albo w Spychowie, albo u księżny Danuty, nie zaś tu w Płocku, gdzie dwór był nierównie świetniejszy i pięknych rycerzy na nim niemało.

Obarczon temi myślami, szedł wartkim krokiem ku domowi tkacza, aby Jagience opatową śmierć oznajmić, w duchu zaś obiecywał sobie, że jej tego odrazu nie powie, gdyż niespodziana a zła wieść łatwo dechby w dziewce zaprzeć i niepłodną ją potem uczynić mogła. Przybywszy do domu, zastał już obie ubrane, nawet przystrojone i wesołe, jak gajówki, więc siadłszy na zydlu, zawołał na tkackich czeladników, by mu misę grzanego piwa przynieśli, poczem nachmurzywszy surowe i bez tego oblicze, rzekł:

— Słyszysz, jako w mieście dzwonią? Zgadnijże, dlaczego dzwonią, boć przecie nie niedziela, a jutrznię przespałaś. Chciałabyś widzieć opata?

— Pewnie, żebym chciała, — odrzekła Jagienka.

— No, to go tak zobaczysz, jak króla Ćwieka.

— Zaśby pojechał gdzie dalej?

— Już-ci, że pojechał. A nie słyszysz, że dzwonią?

— Pomer? — zawołała Jagienka.

— Zmów wieczny odpoczynek.

Więc natychmiast uklękły obie z Sieciechówną i poczęły mówić wieczny odpoczynek dźwięcznymi, jak dzwonek, głosami. Poczem łzy ciurkiem jęły płynąć po twarzy Jagienki, bo bardzo kochała opata, który choć zapalczywy z ludźmi, krzywdy nie wyrządził nikomu, a dobro obu rękoma czynił, ją zaś, która była jego chrześniaczką, miłował, jak córkę rodzoną. Maćko, wspomniawszy, że to był jego i Zbyszków krewny, wzruszył się także i nieco zapłakał, a dopiero, gdy im część boleści łzami spłynęła, zabrał Czecha i obie dziewczyny na pogrzeb do kościoła.

Pogrzeb był wspaniały. Prowadził kondukt sam biskup Jakób z Kurdwanowa, byli wszyscy księża i wszyscy mnisi, w Płocku konwenty mający, bito we wszystkie dzwony, mówiono mowy, których nikt prócz duchownych nie rozumiał, bo je mówiono po łacinie, poczem wrócili duchowni i świeccy na ucztę obfitą do biskupa.

Poszedł na nią Maćko, wziąwszy z sobą dwóch pacholików, gdyż jako krewny zmarłego i znajomy biskupa miał wszelkie prawo. Biskup też przyjął go jako krewnego nieboszczyka chętliwie i z odznaczeniem, lecz zaraz przy powitaniu rzekł mu:

— Są tu jakoweś bory dla was Gradów z Bogdańca zapisane, ale co ostaje, a na klasztory i na opactwo nie idzie, to ma być krześniaczki jego, niejakiej Jagienki ze Zgorzelic.

Maćko, który się niewiele spodziewał, rad był i z borów, biskup zaś nie zauważył, że jeden z pacholików starego rycerza podniósł na wzmiankę o Jagience ze Zgorzelic zroszone, jak chabry, oczy w górę i rzekł:

— Bóg mu zapłać, ale wolałabym, by żył.

Więc Maćko zwrócił się i rzekł gniewnie:

— Cichaj, bo wstydu sobie narobisz.

Lecz nagle urwał, w oczach błysnęło mu zdumienie, poczem twarz uczyniła mu się sroga i wilcza, gdyż opodal od siebie, obok drzwi, przez które wchodziła właśnie księżna Aleksandra, ujrzał zgiętego w dworskiej układnej postawie Kunona Lichtensteina, tego samego, przez którego omal nie zginął Zbyszko w Krakowie.

Jagienka w życiu nie widziała takiego Maćka: oblicze miał skurczone, jak paszcza psa, z pod wąsów błysnęły mu zęby, w jednej chwili okręcił na sobie pas i ruszył ku znienawidzonemu Krzyżakowi.

Lecz w pół drogi zatrzymał się i począł wodzić szeroką dłonią po włosach. Przypomniał sobie w porę, że Lichtenstein może być na dwo-

rze płockim tylko albo gościem, albo, co prawdopodobniej, posłem, i że, gdyby chciał nie pytając o nic, bić w niego, postąpiłby właśnie tak samo, jak Zbyszko na drodze z Tyńca.

Więc mając więcej rozumu i doświadczenia od Zbyszka, pohamował się, okręcił napowrót pas, wypogodził oblicze, poczekał, a następnie, gdy księżna po przywitaniu się z Lichtensteinem poczęła rozmawiać z księdzem Jakóbem z Kurdwanowa, zbliżył się do niej i, skłoniwszy się głęboko, przypomniał jej, co zacz jest, i że za swą dobrodziejkę ją poczytuje z przyczyny owego listu, którym go swego czasu opatrzyła.

Księżna zaledwie pamiętała jego twarz, ale przypomniała sobie z łatwością i list i całą sprawę. Było jej także wiadomem to, co stało się na sąsiednim dworze mazowieckim: słyszała o Jurandzie, o uwięzieniu jego córki, o małżeństwie Zbyszka i o śmiertelnym jego pojedynku z Rotgierem. Wszystko to zaciekawiało ją niezmiernie, tak, jak jakaś opowieść rycerska, lub jedna z takich pieśni, jakie wygłaszali u Niemców minstrele, a na Mazowszu gądkowie. Krzyżacy nie byli jej wprawdzie tak nienawistni, jak żonie Janusza, Annie Danucie, zwłaszcza, że chcąc ją sobie zjednać, przesadzali się dla niej w hołdach, pochlebstwach i obsypywali ją hojnie darami; lecz w tym razie serce jej było po stronie kochanków. Gotowa była im pomódz — i przytem cieszyło ją, iż ma przed sobą człowieka, który mógł jej najdokładniej przebieg zdarzeń opowiedzieć.

Maćko zaś, który przedtem już postanowił uzyskać jakimkolwiek sposobem opiekę i protekcję wpływowej księżny, widząc z jakiem słucha zajęciem, chętnie prawił jej o nieszczęsnych losach Zbyszka i Danuśki i prawie do łez ją wzruszył, a to tembardziej, że sam niedolę bratanka lepiej niż ktokolwiek odczuwał i z całej duszy nad nią ubolewał.

— Nic rzewliwszego w życiu nie słyszałam — rzekła wreszcie księżna. — A największa żałość chwyta mnie wskróś tej przyczyny, że on już tę dzieweczkę zaślubił, już ci była jego, a żadnej szczęśliwości nie zaznał. Wszelako — wiecie-li napewno, że nie zaznał?

— Hej, mocny Boże! — odparł Maćko — żeby choć był zaznał, ale on ją zaślubił, obłożnie chorym będąc, wieczorem, a o świtaniu już ją wzięli!

— I myślicie, że Krzyżacy? Bo u nas powiadali o zbójach, którzy Krzyżaków zwiedli, inną dziewkę im oddając. Mówili też o Jurandowem pisaniu...

— To już nie ludzkie sądy rozstrzygnęły, jeno boski. Wielki to był, prawią, rycerz ten Rotgier, który najtęższych zwyciężał, a przecie z ręki dzieciucha poległ.

— No, taki to i dzieciuch, — rzekła, uśmiechając się, księżna — co mu przezpieczniej w drogę nie włazić. Krzywda jest — prawda! i słusznie się krzywdujecie, a jednako z tamtych czterech trzech już nie żywie, a ten stary, który ostał, ledwie także, jako słyszałam, wydarł się śmierci.

— A Danuśka? a Jurand? — odrzekł Maćko — gdzież oni są?

Bóg też wie, czy i ze Zbyszkiem co złego się nie stało, któren do Malborka pojechał.

— Wiem, ale Krzyżacy nie całkiem tacy psubraci, jako myślicie. W Malborku przy boku Mistrza i jego brata Ulryka, który jest człowiek rycerski, nic się złego bratankowi waszemu stać nie mogło, który przecie miał pewnikiem i listy od księcia Janusza. Chyba, że tam jakiego rycerza pozwał i poległ, bo w Malborku siła zawsze najsławniejszych rycerzy ze wszystkich stron świata przebywa.

— Ej, nie bardzo już się tam tego boję — rzekł stary rycerz. — Byle go do podziemia nie zamknęli, byle zdradą nie ubili, i byle jakoweś żelaziwo miał w garści — to nie bardzo się boję. Raz tylko znalazł się od niego tęższy, któren go w szrankach rozciągnął, a to właśnie książę mazowiecki, Henryk, ten co to był tu biskupem i co się w gładkiej Ryngalle rozmiłował. Ale Zbyszko zgoła był wówczas pacholęciem. Przytem jednego byłby on tylko, jako amen w pacierzu pozwał, tego, któremu i ja ślubowałem, a któren tu jest.

To rzekłszy, pokazał oczyma na Lichtensteina, który z wojewodą płockim rozmawiał.

Lecz księżna zmarszczyła brwi i rzekła surowym, ochłym głosem, którym zawsze mówiła, gdy gniew poczynał ją chwytać:

— Ślubowaliście mu czy nie ślubowali, a to pamiętajcie, że on u nas w gościnie; kto naszym gościem chce być, powinien obyczajności przestrzegać.

— Wiem, miłościwa pani — odrzekł Maćko. — Toćżem już okręcił pas i do niegom szedł, alem się pohamował, pomyślawszy, że może poskuje.

— Bo i poskuje.. A człek jest między swymi znaczny, na którego radach sam mistrz siła polega i nie byle czego mu odmówi. Bóg to może zdarzył, że go w Malborku podczas bytności waszego bratanka nie było, ile że Lichtensteina, choć z zacnego rodu idzie, powiadają zawziętym i mściwym. Poznał-że was?

— Nie bardzo mógł poznać, bo mię mało widział. Na drodze tynieckiej byliśmy w hełmach, a potem raz tylko byłem u niego w Zbyszkowej sprawie, ale wieczorem, gdyż było pilno i raz widzieliśmy się w sądzie. Zmieniłem się na gębie od tego czasu i broda znacznie mi posędzielała. Uważałem też nieraz, że patrzył na mnie, ale widać jeno dlatego, że przydłużej z miłościwą panią rozmawiam, gdyż potem oczy całkiem spokojnie w inną stronę obrócił. Zbyszka toby był poznał — ale mnie zabaczył, a o mojem ślubowaniu może i nie słyszał, mając o lepszych do myślenia.

— Jakto o lepszych?

— Bo jemu pono ślubowali i Zawisza z Garbowa, i Powała z Taczewa, i Marcin z Wrocimowic, i Paszko Złodziej i Lis z Targowiska. Każdy z nich, miłościwa pani, i dziesięciu takimby poradził, a cóż dopiero, że ich kupa! Lepiej jemu się było nie rodzić, niżeli jeden takowy miecz mieć nad głową. A ja nietylko mu o ślubowaniu nie wspomnę, ale jeszcze w pouchwałość się wejść z nim postaram.

— Czemu zaś tak?

A twarz Maćka stała się naraz chytra, do głowy starego lisa podobna.

— Żeby mi jakowe pismo dał, za którem mógłbym przezpiecznie po krajach krzyżackich jeździć i Zbyszkowi w razie potrzeby dać poratowanie.

— Zali to godne czci rycerskiej? — zapytała z uśmiechem księżna.

— Godne — odrzekł stanowczym głosem Maćko. — Gdybym na ten przykład w bitwie z tyłu na niego natarł, a nie zawołał, by się obrócił, jużcibym hańbę na się ściągnął, ale czasu pokoju rozumem na hak nieprzyjaciela przywieźć, tego się żaden prawy rycerz nie zasroma.

— To was poznajomię — odrzekła księżna.

I skinąwszy na Lichtensteina, poznajomiła z nim Maćka, pomyślawszy, że choćby go Lichtenstein poznał, to i tak nie stałoby się nic wielkiego.

Lecz Lichtenstein nie poznał go, albowiem istotnie na drodze tynieckiej widział go w hełmie, a potem raz tylko jeden z nim rozmawiał, i to wieczorem, gdy Maćko przychodził do niego prosić go o odpuszczenie Zbyszkowi winy.

Skłonił się jednak dość dumnie, dopiero ujrzawszy za rycerzem dwóch cudnych, bogato ubranych pachołków, pomyślał, że nie byle kto takich mieć może, i twarz rozjaśniła mu się nieco, jakkolwiek nie przestał wydymać dumnie ust, co czynił zawsze, jeśli nie z panującym miał do czynienia.

A księżna rzekła, ukazując Maćka:

— Jedzie ten rycerz do Malborka, i ja sama polecam go łasce Wielkiego Mistrza, ale on posłyszawszy o zachowaniu, jakie w Zakonie macie, pragnąłby i od was mieć pismo.

To rzekłszy, odeszła do biskupa, Lichtenstein zaś utkwił w Maćku swe zimne, stalowe oczy i zapytał:

— Jakiż powód skłania was, panie, do odwiedzenia naszej pobożnej i skromnej stolicy?

— Uczciwy powód i pobożny powód — odpowiedział, wznosząc źrenice, Maćko. — Gdybyż było inaczej, nie ręczałaby za mną miłościwa księżna. Ale oprócz ślubów pobożnych, chciałbym też i Mistrza waszego poznać, któren pokój na ziemi czyni, a jest najsławniejszym na świecie rycerzem.

— Za kogo księżna miłościwa, pani nasza i dobrodziejka, ręcza, ten nie będzie narzekał na naszą ubogą gościnność; wszelako co do Mistrza trudno będziecie go mogli obaczyć, bo przed miesiącem już do Gdańska wyjechał, a stamtąd miał do Królewca i dalej ku granicy ruszyć, gdyż choć miłośnik pokoju, musi przecie od zdradzieckich Witoldowych zapędów dziedziny zakonnej bronić.

Usłyszawszy to, Maćko zafrasował się tak widocznie, że Lichtenstein, przed którego oczyma nic nie mogło się ukryć, rzekł:

— Widzę, że równą mieliście chęć poznać Wielkiego Mistrza, jak dopełnić ślubów zakonnych.

— Miałem ci ją, miałem! — odrzekł prędko Maćko. — Więc to już wojna z Witoldem o Żmujdź pewna?

— Sam ją rozpoczął, podając wbrew przysięgom pomoc buntownikom.

Nastała chwila milczenia.

— Ha! niech ta Bóg szczęści Zakonowi, jak na to zasługuje! — rzekł wreszcie Maćko. — Nie mogę Mistrza poznać, to choć ślubów dopełnię.

Lecz wbrew tym słowom, sam nie wiedział co ma na razie począć i z uczuciem ogromnego strapienia zadawał sobie w duszy pytanie:

— Gdzie ja mam teraz Zbyszka szukać i gdzie go odnajdę?

Łatwo było przewidzieć, że jeśli Mistrz opuścił Malborg i udał się na wojnę, to niema co szukać w Malborgu i Zbyszka — a w każdym razie trzeba o nim dokładniejszych wiadomości zasięgnąć. Stary Maćko zatroskał się wielce, ale że był człek prędki do rady, postanowił czasu nie tracić i zaraz nazajutrz ruszyć w dalszą drogę. Uzyskanie listu od Lichtensteina, przy poparciu księżny Aleksandry, w której komtur miał nieograniczone zaufanie, przyszło mu łatwo. Otrzymał tedy polecenie do starosty w Brodnicy i do Wielkiego Szpitalnika w Malborgu, za które darował jednak Lichtensteinowi spory srebrny puharek, ozdobnie wykuty we Wrocławiu, taki, jaki rycerze mieli zwyczaj stawiać napełniony winem na noc przy łożu, aby w razie bezsenności mieć pod ręką i lekarstwo na sen i uciechę. Hojność ta Maćkowa zdziwiła nieco Czecha, który wiedział, iż stary rycerz nie był zbyt pochopny do obsypywania darami nikogo, a zwłaszcza Niemców — lecz ów rzekł:

— Uczyniłem tak, bom mu ślubował i potykać się z nim muszę, a nijakby mi było nastawać na gardło człeka, który mi usługę oddał. Nie nasz to obyczaj bić w dobrodzieja...

— Ale zacnego puharka szkoda! — odpowiedział trochę przekornie Czech.

Na to zaś Maćko:

— Nie czynię ja nic przez rozmysłu, nie bój się! Bo jeśli mi Pan Jezus miłosierny pozwoli Niemca powalić, to już-ci i puharek odzyszczę i siła innych godnych rzeczy wraz z nim zdobędę.

Poczem jęli naradzać się obaj, a z nimi i Jagienka, co czynić dalej. Maćkowi przechodziło przez rozum, aby i ją i Sieciechównę zostawić w Płocku pod opieką księżny Aleksandry, a to z powodu opatowego testamentu, który był złożony u biskupa. Lecz dziewczyna sprzeciwiła się temu całą siłą swej niezłomnej woli. Prawda, że sporzejby było jechać bez nich, bo nie trzebaby na noclegach osobnych izb wyszukiwać, ani też oglądać się na obyczajność, na bezpieczeństwo, i różne inne tego rodzaju przyczyny. Ale przecie nie po to wyjechały ze Zgorzelic, by siedzieć w Płocku. Testament, skoro jest u biskupa, to nie przepadnie, a co do nich, gdyby się pokazało, że muszą gdzie po drodze ostać, to lepiejby im bylo ostać się na opiece u księżny Anny, nie u Aleksandry, bo na tamtym dworze mniej nawidzą Krzyżaków,

a więcej miłują Zbyszka. Rzekł wprawdzie na to Maćko, że rozum nie niewieścia rzecz i że nie przystoi dziewce „dowodzić" tak, jakby naprawdę ten rozum miała — nie sprzeciwił się jednak stanowczo, a wkrótce ustąpił całkiem, gdy Jagienka, odciągnąwszy go na bok, poczęła mówić ze łzami w oczach:

— Wiecie!... Bóg patrzy na moje serce, że co rania i co wieczora proszę go za oną Danuśkę, ba i o Zbyszkową szczęśliwość! Bóg to w niebiesiech wie najlepiej! Ale i Hlawa i wy powiadacie, że już ona zginęła, i że żywa z krzyżackich rąk nie wyjdzie — co jeśli tak ma być, to ja...

Tu zawahała się nieco, wezbrane łzy stoczyły się jej zwolna po jagodach i skończyła po cichu:

— To ja chcę być Zbyszka blizko...

Maćka wzruszyły te łzy i słowa, jednak odrzekł:

— Jeśli tamta zginie, Zbyszko z żałości ani na cię spojrzy.

— Ja też nie chcę, by na mnie spoglądał, jeno chcę być przy nim.

— Wiesz przecie, że ja tego samegobym chciał, co i ty; ale on w pierwszym żalu gotów cię jeszcze zwymyślać...

— Niech tam i zwymyśla — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. — Ale tego nie uczyni, bo nie będzie wiedział, że to ja.

— Pozna cię.

— Nie pozna. Wyście także nie poznali. Powiecie mu, że to nie ja, jeno Jaśko, a Jaśko przecie całkiem z gęby do mnie podobny. Powiecie mu, że urosł i tyla, a jemu nawet przez głowę nie przejdzie, by zaś to nie był Jaśko...

Na to stary rycerz wspomniał coś jeszcze o kolanach k'sobie, ale że kolana k'sobie miewali czasem i chłopaki, więc nie mogło to być przeszkodą, zwłaszcza, że Jaśko miał istotnie twarz prawie taką samą, a włosy po ostatnich postrzyżynach wyrosły mu znów długie — i nosił je w pątliku, tak, jak inne szlachetne pacholęta i sami rycerze. Z tych przyczyn ustąpił Maćko, i poczęli mówić już o drodze. Mieli wyruszyć nazajutrz. Postanowił Maćko puścić się w krzyżackie kraje, dotrzeć do Brodnicy, tam zasięgnąć języka, i gdyby Mistrz był wbrew przewidywaniom Lichtensteina jeszcze w Malborgu, to jechać do Malborga, w razie zaś przeciwnym, pociągnąć krzyżacką granicą w stronę Spychowa, przepytując po drodze o młodego polskiego rycerza i jego poczet. Stary rycerz spodziewał się nawet, że łacniej się czegoś dowie o Zbyszku w Spychowie lub na dworze księcia Janusza warszawskiego, niż gdzieindziej.

Jakoż nazajutrz wyruszyli. Wiosna już uczyniła się zupełna, więc rozlewy wód, a mianowicie Skrwy i Drwęcy tamowały drogę, tak, że dopiero dziesiątego dnia po opuszczeniu Płocka przejechali granicę i znaleźli się w Brodnicy. Miasteczko czyste było i porządne, ale zaraz na wstępie można było poznać twarde rządy niemieckie, albowiem ogromna murowana szubienica*), wzniesiona za miastem przy drodze do Gorczenicy, ubrana była białemi ciałami wisielców, z któ-

---

*) Szczątki tej szubienicy dochowały się do r. 1818.

rych jedno było kobiece. Na strażniczej wieży i na zamku powiewała chorągiew z czerwoną ręką w białem polu. Samego komtura nie zastali jednak podróżni na miejscu, albowiem pociągnął był z częścią załogi i na czele okolicznej szlachty do Malborga. Objaśnienia te dał Maćkowi stary Krzyżak, ślepy na oba oczy, który był niegdyś komturem Brodnicy, później zaś, przywiązawszy się do miejsca i zamku, przeżywał w nim ostatki żywota. Ów, gdy kapelan miejscowy przeczytał mu list Lichtensteina, przyjął Maćka gościnnie, że zaś mieszkając wśród polskiej ludności, umiał wybornie po polsku, przeto łatwo było się z nim rozmówić. Zdarzyło się też, iż przed sześciu tygodniami jeździł do Malborga, dokąd wzywano go, jako doświadczonego rycerza na radę wojenną, wiedział więc co się w stolicy działo. Zapytywany o młodego polskiego rycerza, mówił, że nazwiska nie pomni, ale że słyszał o jakowymś, który naprzód budził podziw tem, że pomimo młodych lat przybył jako rycerz już pasowany, a powtóre potykał się szczęśliwie na turnieju, który Wielki Mistrz urządził wedle zwyczaju dla cudzoziemskich gości, przed wyruszeniem na wojenną wyprawę. Powoli przypomniał sobie nawet, iż owego rycerza polubił i wziął w szczególną opiekę mężny i szlachetny brat Mistrzów, Ulrych von Jungingen, i że dał mu żelazne listy, z którymi młodzian później odjechał podobno w stronę wschodnią. Maćko ucieszył się z tych wiadomości ogromnie, nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że tym młodym rycerzem był Zbyszko. Wobec tego nie było chwilowo po co jechać do Malborga, bo jakkolwiek Wielki Szpitalnik lub inni pozostali tam urzędnicy zakonni i rycerze mogliby może jeszcze dokładniejszych udzielić wskazówek, jednakowoż żadną miarą nie mogli powiedzieć, gdzie na razie bawi Zbyszko. Zresztą sam Maćko wiedział najlepiej, gdzie go znaleźć, nie trudno bowiem było domyślić się, że krąży koło Szczytna, albo, jeżeli tam Danusi nie znalazł, czyni poszukiwania po dalszych wschodnich zamkach i komturjach.

Nie tracąc więc czasu, ruszyli i oni krzyżackim krajem ku wschodowi i Szczytnu. Droga szła im sporo, gdyż gęste miasta i miasteczka połączone były gościńcami, które Krzyżacy, a raczej kupcy, w miastach osiedli, w dobrym utrzymywali stanie, prawie niegorszym, niż polskie, które powstały pod opieką gospodarnej i sprężystej króla Kazimierzowej ręki. Przytem pogoda nastała cudna. Noce były gwiaździste, dni jasne, a w porze południowego udoju powiewał ciepły, suchy wiaterek, który napełniał czerstwością i zdrowiem piersi ludzkie. Zazieleniły się zboża na polach, łąki pokryły się hojnie kwieciem, a lasy sosnowe poczęły ronić woń żywiczną. Przez całą drogę do Lidzbarku, a stamtąd do Działdowa i dalej do Niedzborza podróżni nie widzieli ani chmurki na niebie. W Niedzborzu dopiero, w nocy przyszła ulewa z grzmotami, które pierwszy raz tej wiosny słyszano, ale trwała krótko, i nazajutrz rozbłysnął znów poranek przejasny, różowy, złoty i tak świetlisty, że jak okiem sięgnąć wszystko lśniło jednym bisiorem brylantów i pereł, cała zaś kraina zdawała się uśmiechać niebu i radować się z bujnego życia.

W taki to ranek wykręcili z Niedzborza ku Szczytnu. Granica mazowiecka nie była daleko, i łatwoby im przyszło nawrócić do Spychowa. Była chwila nawet, że Maćko chciał to uczynić, ale rozważywszy wszystko, wolał dotrzeć wprost do strasznego krzyżackiego gniazda, w którem tak ponuro rozstrzygnęła się część Zbyszkowych losów. Wziąwszy więc chłopa przewodnika, kazał mu prowadzić poczet do Szczytna, choć i przewodnik nie był konieczny, albowiem z Niedzborza szedł prosty gościniec, na którym niemieckie mile były białymi kamieniami znaczone.

Przewodnik jechał kilkadziesiąt kroków naprzód, za nim konno Maćko z Jagienką, następnie dość daleko za nimi Czech ze śliczną Sieciechówną, a dalej szły wozy, otoczone przez zbrojnych pachołków. Ranek był wczesny. Różana barwa nie zeszła jeszcze ze wschodniej strony nieba, choć słońce świeciło już, zmieniając na opale krople rosy na drzewach i trawach.

— Nie boisz się jechać do Szczytna? — zapytał Maćko.

— Nie boję się — odrzekła Jagienka. — Pan Bóg nademną, bom sierota.

— Bo tam nijakiej wiary nie dotrzymują. Najgorszy pies był ci wprawdzie ów Danveld, którego Jurand razem z Gotfrydem zgładził... Tak powiadał Czech. Drugi po Danveldzie był Rotgier, który legł od Zbyszkowego topora, ale i ten stary jest okrutnik, djabłu zaprzedan... Ludzie nic dobrze nie wiedzą, wszelako ja tak myślę, że jeśli Danuśka zginęła, to z jego ręki. Gadają, że spotkała go też jakowaś przygoda — ale księżna powiedziała mi w Płocku, że się wykręcił. Z nim to będziemy mieli w Szczytnie sprawę. Dobrze, że mamy pismo od Lichtensteina, bo jego się podobno gorzej psubraty boją, niż samego mistrza... Że to, prawią, powagę ma okrutną i zachowanie wielkie, a przytem mściwy jest. Najmniejszej krzywdy nie daruje... Bez tego pisma nie jechałby ja tak spokojnie do Szczytna.

— A ów że stary jako się zowie?

— Zygfryd de Loewe.

— Bóg da, że damy sobie z nim rady.

— Bóg da!

Tu Maćko roześmiał się i po chwili począł mówić:

— Powiada do mnie księżna w Płocku: „Krzywdujecie się, krzywdujecie, jako baranki na wilków, a tu (powiada) z tych wilków trzech już nie żyje, bo ich niewinne baranki zdusiły.” I prawdę rzekłszy, tak to i jest...

— A Danuśka? a jej rodzic?

— To samo powiedziałem księżnie. Ale w duży rad jestem, iże się pokazuje, jako i nas krzywdzić jest nieprzezpieczna rzecz. Już-ci wiemy, jak toporczysko chycić w garść i godnie niem machnąć! A co do Danuśki i Juranda, to prawda. Ja myślę tak samo, jak i Czech, że ich już na świecie niema, ale w rzeczy, to nikt dobrze nie wie... Tego Juranda też mi żal, bo i za życia się boleści o dziewczynę najadł i jeżeli zginął, to ciężką śmiercią.

— Co go kto przy mnie wspomni, to zaraz o tatusiu myślę, którego też na świecie niema — odpowiedziała Jagienka.

I tak mówiąc, podniosła zwilżone oczy ku górze. Maćko zaś pokiwał głową i rzekł:

— W bożym on wiecu i w światłości wiekuistej napewno, bo lepszego od niego człowieka chyba w całem naszem królestwie nie było...

— Oj nie było ci, nie było! — westchnęła Jagienka.

Lecz dalszą rozmowę przerwał im chłop przewodnik, który powstrzymał nagle źrebca, a następnie zawrócił go, przyleciał pędem do Maćka i zawołał jakimś dziwnym, wylęknionym głosem:

— O dla Boga! Patrzcie no, panie rycerzu, kto to ku nam z pagórka idzie.

— Kto, gdzie? — zawołał Maćko.

— A owdzie! Chyba wielkolud, czy co....

Maćko z Jagienką wstrzymali stępaki, spojrzeli we wskazanym przez przewodnika kierunku i istotnie oczy ich ujrzały na wyniosłości pagórka, na pół, albo i więcej stajania jakowąś postać, której wymiary zdawały się znacznie przenosić zwykłe ludzkie kształty.

— Sprawiedliwie mówi, że chłop jest duży — mruknął Maćko.

Potem zmarszczył się, splunął nagle w bok i rzekł:

— Na psa urok!

— Czemu zaś zaklinacie? — spytała Jagienka.

— Bom wspomniał, jako w taki sam ranek obaczyliśmy ze Zbyszkiem na drodze z Tyńca do Krakowa takiego samego niby wielkoluda. Powiadali wówczas, że to Walgierz Wdały. Ba! pokazało się, że to był pan z Taczewa, ale też nic dobrego z tego nie wypadło. Na psa urok.

— To nie rycerz, bo piechtą idzie — rzekła, wytężając wzrok, Jagienka. — I widzę nawet, że broni niema, jeno kosztur w lewej ręce dzierży...

— I maca nim przed sobą, jakby była noc — dodał Maćko.

— I ledwie się rusza. Pewnie! ślepy chyba, czy co?

— Ślepy jest, ślepy! jako żywo.

Ruszyli końmi i po niejakim czasie zatrzymali się naprzeciw dziada, który schodząc z pagórka niezmiernie powoli, szukał przed sobą kosturem drogi.

Był to starzec rzeczywiście ogromny, chociaż widziany z bliska, przestał im się wydawać wielkoludem. Sprawdzili też, że był zupełnie ślepy. Zamiast oczu miał dwie czerwone jamy. Brakło mu również prawej dłoni, na miejscu której nosił węzeł uczyniony z brudnej szmaty. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, a broda sięgała pasa.

— Nie ma chudzina ni pacholęcia ni psa i sam omackiem drogi szuka — ozwała się Jagienka. — Dla Boga nie możem go przecie bez pomocy ostawić. Nie wiem, czy mnie będzie rozumiał, ale przemówię do niego po naszemu.

To rzekłszy, zeskoczyła żywo ze stępaka, i zatrzymawszy się tuż przed dziadem, poczęła szukać pieniędzy w skórzanej kalecie, wiszącej u jej pasa.

Dziad też, usłyszawszy przed sobą tupot koński i gwar, wyciągnął przed siebie kostur i podniósł do góry głowę, jak czynią ludzie ślepi.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna. — Rozumiecie, dziadku, po krześcijańsku?

Ów zaś, usłyszawszy jej słodki, młody głos, drgnął, przez twarz przeleciał mu jakiś dziwny błysk, jakby wzruszenia i rozrzewnienia, nakrył powiekami swe puste jamy oczne i nagle, rzuciwszy kostur, padł przed nią na kolana, z wyciągniętemi w górę ramionami.

— Wstańcie! i tak was wspomogę. Co wam jest? — spytała ze zdziwieniem Jagienka.

Lecz on nie odpowiedział nic, tylko dwie łzy spłynęły mu po policzkach, a z ust wyszedł podobny do jęku głos:

— Aa! a!

— Na miłosierdzie Boskie! niemowaście, czy jak?

— Aa! a!...

To wygłosiwszy, podniósł dłoń: naprzód uczynił nią znak krzyża, potem jął wodzić lewą dłonią wzdłuż ust.

Jagienka, nie zrozumiawszy, spojrzała na Maćka, który rzekł:

— Chyba coś ci takiego pokazuje, jakby mu język urznęli.

— Urznęli wam język? — spytała dziewczyna.

— A! a! a! a! — powtórzył kilkakrotnie dziad, kiwając przytem głową.

Poczem wskazał palcami na oczy, następnie wysunął prawe ramię bez dłoni, a lewą wykonał ruch do cięcia podobny.

Teraz zrozumieli go oboje.

— Kto wam to uczynił? — spytała Jagienka.

Dziad zrobił znów kilkakrotnie znak krzyża w powietrzu.

— — — — — — — — — —

— Krzyżacy! — zakrzyknął Maćko.

Starzec opuścił na znak potwierdzenia głowę na piersi.

Nastała chwila milczenia, tylko Maćko i Jagienka spoglądali na się z niepokojem, mieli bowiem przed sobą jawny dowód tego braku miłosierdzia i braku miary w karaniu, jakimi odznaczali się rycerze zakonni.

— Srogie rządy! — rzekł wreszcie Maćko — i ciężko go pokarali, a Bóg wie, czy słusznie. Nie dopytamy się o to. Żeby choć wiedzieć, gdzie go odwieść, bo to musi być człek z tych okolic. Po naszemu rozumie, gdyż tu prosty naród taki jest, jako i na Mazowszu.

— Rozumiecie przecie co mówimy? — spytała Jagienka.

Dziad potwierdził głową.

— A tutejsiście?

— Nie — odpowiedział na migi starzec.

— Zaś może z Mazowsza?

— Tak.

— Z pod księcia Janusza?

— Tak.

— A cóżeście u Krzyżaków robili?

Starzec nie umiał odpowiedzieć, lecz twarz jego przybrała w jed-

nej chwili wyraz tak niezmiernego bólu, że litościwe serce Jagienki zadrgało tem większem współczuciem, a nawet Maćko, chociaż nie byle co wzruszyć go mogło, rzekł:

— Pewnikiem skrzywdzili go psubraty, może i bez jego winy.

Jagienka zaś wetknęła w dłoń nędzarza kilka drobnych pieniążków.

— Słuchajcie — rzekła. — Nie opuścim was. Pojedziecie z nami na Mazowsze, i w każdej wsi będziemy was pytać, czy nie wasza. Może się jako dogadamy. Wstańcie jeno teraz, boć my przecie nie święci.

Lecz on nie wstał, owszem pochylił się i objął jej nogi, jakby w opiekę się oddając i dziękując, przyczem jednak pewne zdziwienie, a nawet jakby zawód mignęły mu na obliczu. Być może, iż miarkując z głosu, sądził, iż stoi przed dziewczyną, tymczasem dłoń jego trafiła na jałowicze skórznie, jakie w podróży nosili rycerze i giermkowie.

Ona zaś rzekła:

— Tak i będzie. Przyjdą wnet nasze wozy, to sobie odpoczniecie i pożywicie się. Ale na Mazowsze nie odrazu pojedziecie, bo przedtem trzeba nam do Szczytna.

Na te słowa starzec zerwał się na równe nogi. Zgroza i zdumienie odbiły mu się na twarzy. Roztworzył ramiona, jakby chcąc zagrodzić drogę, a z ust poczęły mu się wydobywać dzikie i jak gdyby pełne przerażenia dźwięki.

— Co wam? — zawołała przelękniona Jagienka.

Lecz Czech, który już przedtem był z Sieciechówną nadjechał i od pewnego czasu wpatrywał się uporczywie w dziada, zwrócił się nagle do Maćka ze zmienioną twarzą i dziwnym jakimś głosem rzekł:

— Na rany Boskie! pozwólcie panie, bym do niego przemówił, bo ani wiecie, kto on może być!

Poczem, nie pytając o pozwolenie, poskoczył do dziada, położył mu ręce na barkach i jął pytać:

— Ze Szczytna idziecie?

Starzec, jakby uderzony dźwiękiem jego głosu, uspokoił się i skinął głową.

— A nie szukaliście tam dziecka?

Głuchy jęk był jedyną odpowiedzią na to pytanie.

Wówczas Hlawa przybladł nieco, chwilę jeszcze wpatrywał się swym rysim wzrokiem w rysy starca, poczem rzekł zwolna i dobitnie:

— To wyście Jurand ze Spychowa!

— Jurand! — zakrzyknął Maćko.

Lecz Jurand zachwiał się w tej chwili i omdlał. Przebyte męki, brak pożywienia, trudy podróży obaliły go z nóg. Oto dziesiąty już dzień upływał, jak szedł tak omackiem, błądząc i szukając przed sobą kijem drogi, o głodzie, w utrudzeniu i niepewności, dokąd idzie. Nie mogąc pytać o drogę, w dzień kierował się tylko ciepłem promieni słonecznych, noce spędzał w rowach przy gościńcu. Gdy zdarzyło mu się przechodzić przez wieś, osadę, lub gdy spotykał ludzi naprzeciw idących, dłonią i głosem żebrał jałmużny, lecz rzadko kiedy wspomogła

go litościwa ręka, powszechnie bowiem brano go za zbrodniarza, którego dosięgła pomsta prawa i sprawiedliwości. Od dwóch dni żywił się korą drzewną i liśćmi i już był zwątpił, czy trafi kiedykolwiek na Mazowsze — aż tu nagle otoczyły go litościwe swojackie serca i swojskie głosy, z których jeden przypominał mu słodki głos córki — a gdy w końcu wymieniono jeszcze i jego imię, przebrała się wreszcie miara wzruszeń, serce ścisnęło mu się w piersi, myśli zakręciły się wichrem w głowie, i byłby zwalił się twarzą w proch gościńca, gdyby nie podtrzymały go krzepkie ramiona Czecha.

Maćko zeskoczył z konia, poczem obaj wzięli go, ponieśli ku taborkowi, a następnie ułożyli na wymoszczonym sianem wozie. Tam Jagienka z Sieciechówną, ocuciwszy go, nakarmiły i napoiły winem, przyczem Jagienka, widząc, że nie może utrzymać kubka, sama podawała mu napój. Zaraz potem chwycił go nieprzeparty kamienny sen, z którego dopiero na trzeci dzień miał się rozbudzić.

Oni zaś złożyli tymczasem prędką doraźną naradę.

— Krótko rzekę — ozwała się Jagienka: — Nie do Szczytna teraz jechać, ale do Spychowa, by go w przezpiecznem miejscu między swoimi, we wszelakim starunku zostawić.

— Obacz, jak się to rządzisz! — odpowiedział Maćko. — Do Spychowa trzeba go odesłać, ale niekoniecznie mamy wszyscy jechać, bo z nim może jeden wóz pójść.

— Nie rządzę ja się, jeno tak mniemam, że siła możemy się od niego i o Zbyszku i o Danuśce dowiedzieć.

— A po jakiemu będziesz z nim gadać, kiedy języka nie ma?

— A któż jak nie on pokazał wam, że nie ma? Widzicie, że i bez gadania dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego nam było trzeba, a cóż dopiero, gdy się do jego pokazowania głową i rękoma wezwyczaim! Spytajcie go na ten przykład, czy wracał Zbyszko z Malborga do Szczytna, to jużci albo skinie głową, albo zaprzeczy. I to samo o innych rzeczach.

— Prawda jest! — zawołał Czech.

— Nie sprzeczam się i ja też, że prawda, — rzekł Maćko — i sam takową myśl miałem, jeno u mnie pierwsza rozwaga, a gęba potem.

To rzekłszy, kazał nawrócić taborkowi ku mazowieckiej granicy. W czasie drogi Jagienka raz po raz podjeżdżała do wozu, na którym leżał Jurand, bojąc się, aby nie zamarł we śnie.

— Nie poznałem go, — mówił Maćko — ale i nie dziwota. Chłop był jak tur! powiadali o nim Mazurowie, że on jeden między nimi mógłby się był z samym Zawiszą potykać — a teraz iście kościotrup.

— Chodziły słuchy, — rzekł Czech — że go mękami zmorzyli, ale niektóry i wierzyć nie chciał, by zaś chrześcijanie tak mieli postąpić z pasowanym rycerzem, który też Świętego Jerzego ma za patrona.

— Bóg dał, że go Zbyszko choć w części pomścił. No, ale patrzcie jakowa jest między nami a nimi różnica. Prawda! z czterech psubratów trzech już legło — ale w bitwie legli, i nikt żadnemu języka w niewoli nie obrzezał, ani też oczu nie wyłuskiwał.

— Bóg ich pokarze — rzekła Jagienka.

Lecz Maćko zwrócił się do Czecha:

— A tyś jak go uznał?

— Zrazum go też nie uznał, chociażem go później, panie, od was widział. Ale mi coś tam chodziło po głowie, i im więcej mu się przypatrywałem, tem więcej chodziło... Ba! brody nie miał, ni białych włosów, możny był pan a potężny: jako-że go było w takim dziadzie uznać! Ale gdy panienka rzekła, że jedziem do Szczytna, a on wyć począł, zaraz mi się oczy otwarły.

Maćko zamyślił się.

— Ze Spychowa trzebaby go księciu zawieść, który przecież takiej krzywdy, znacznemu człowiekowi wyrządzonej, płazem puścić nie może.

— Wyprą się, panie: porwali mu zdradą dziecko i wyparli się, a o panu ze Spychowa powiedzą, że w bitwie i język i rękę i oczy utracił.

— Słusznie — rzekł Maćko. — Toć-że oni i samego księcia swego czasu porwali. Nie może on z nimi wojować, bo nie podoła, chybaby mu nasz król pomógł. Gadają ludzie i gadają o wielkiej wojnie, a tu ani małej niema.

— Jest z księciem Witoldem.

— Chwalić Boga, że choć ten ich za nic ma... Hej! kniaź Witold to mi kniaź! A chytrością go też nie zmogą, bo on jeden chytrzejszy, niż oni wszyscy razem. Bywało, przycisną go psiajuchy tak, że zguba nad nim, jako miecz nad głową, a on się jako wąż wyśliźgnie i zaraz ich ukąsi... Strzeż go się, gdy cię bije, ale bardziej się strzeż, gdy cię głaszcze.

— Takiż on jest ze wszystkimi?

— Nie ze wszystkimi, jeno z Krzyżaki. Z innymi dobry i hojny kniaź!

Tu zamyślił się Maćko, jakby chcąc lepiej sobie Witolda przypomnieć.

— Całkiem to inny człowiek, niż tutejsi książęta — rzekł wreszcie. — Powinien był Zbyszko do niego się udać, bo i pod nim i przez niego najwięcej można przeciw Krzyżakom wskórać.

Po chwili zaś dodał:

— Kto wie, czy się tam jeszcze obaj nie znajdziem, gdyż tam i pomstę można mieć najsłuszniejszą.

Potem znów mówili o Jurandzie, o jego nieszczęsnym losie i niewypowiedzianych krzywdach, jakich od Krzyżaków doznał, którzy naprzód bez żadnej przyczyny zamordowali mu umiłowaną żonę, a potem zemstą płacąc za zemstę, porwali dziecko — i samego umęczyli tak okrutnemi mękami, że i Tatarzy nie umieliby lepszych obmyślić. Maćko i Czech zgrzytali zębami na myśl, że nawet i w wypuszczeniu go na wolność było nowe wyrachowane okrucieństwo. Stary rycerz obiecywał też sobie w duszy, że postara się wywiedzieć dobrze, jako to wszystko było, a potem zapłacić z nawiązką.

Na takich rozmowach i myślach schodziła im droga do Spychowa. Po dniu pogodnym nastała noc cicha, gwieździsta, więc nie zatrzymywali się nigdzie na nocleg, trzykrotnie tylko popaśli obficie konie, po ciemku jeszcze przejechali granicę i nad ranem stanęli pod wodzą najętego przewodnika na ziemi spychowskiej. Stary Tolima trzymał widocznie tam wszystko żelazną ręką, gdyż zaledwie zapuścili się w las, wyjechało naprzeciw dwóch zbrojnych pachołków, którzy jednak, widząc nie żadne wojsko, lecz niewielki poczet, nietylko przepuścili ich bez pytania, ale przeprowadzili przez niedostępne dla nieznających miejscowości rozlewiska i moczary.

W gródku przyjęli gości Tolima i ksiądz Kaleb. Wieść, że pan przybył przez zbożnych ludzi odwiezion, błyskawicą rozleciała się między załogą. Dopieroż gdy zobaczyli, jakim wyszedł z rąk krzyżackich — wybuchła taka burza gróźb i wściekłości, że gdyby w podziemiach spychowskich znajdował się jeszcze jaki Krzyżak, żadna moc ludzka nie zdołałaby go wybawić od strasznej śmierci.

Konni „parobje" chcieli i tak zaraz siadać na koń, skoczyć ku granicy, złapać co się da Niemców i głowy ich rzucić pod nogi panu, ale okiełznał tę ich chęć Maćko, który wiedział, że Niemcy siedzą po miasteczkach i gródkach, a wieśniacza ludność tej samej jest krwi, jeno że pod obcą przemocą żyje. Ale ani ów rozgwar, ani okrzyki, ani skrzypienie żórawi studziennych nie zdołały rozbudzić Juranda, którego z wozu przeniesiono na skórze niedźwiedziej do jego izby na łoże. Został przy nim ksiądz Kaleb, przyjaciel od dawnych lat, a tak jak rodzony kochający, który począł błagalną modlitwę, aby Zbawiciel świata wrócił nieszczęsnemu Jurandowi i oczy i język i rękę.

Znużeni drogą podróżni poszli też po spożyciu rannego posiłku na spoczynek, Maćko zbudził się dobrze już z południa, i kazał pachołkowi przywołać do siebie Tolimę.

I wiedząc poprzednio od Czecha, że Jurand przed wyjazdem nakazał wszystkim posłuch dla Zbyszka, i że mu dziedzinę na Spychowie przez usta księdza przekazał, rzekł do starego głosem zwierzchnika:

— Jam jest stryj waszego młodego pana, i póki nie wróci moje tu będą rządy.

Tolima schylił swą siwą głowę, nieco do głowy wilczej podobną, i otoczywszy dłonią ucho, zapytał:

— To wyście, panie, szlachetny rycerz z Bogdańca?

— Tak jest — odrzekł Maćko. — Skąd o mnie wiecie?

— Bo się tu was spodziewał i pytał o was młody pan, Zbyszko.

Usłyszawszy to Maćko zerwał się na równe nogi i zapominając o swej powadze, zakrzyknął:

— Zbyszko w Spychowie?

— Był, panie; dwa dni temu wyjechał.

— Na miły Bóg! skąd przybył i dokąd pojechał?

— Przybył z Malborka, a po drodze był w Szczytnie, dokąd zaś wyjechał, nie powiadał.

— Nie powiadał?

— Może księdzu Kalebowi powiadał.

— Hej, mocny Boże! tośmy się zminęli! — mówił, uderzając się dłońmi po udach Maćko.

Tolima zaś otoczył dłonią i drugie ucho:

— Jako powiadacie, panie?

— Gdzie jest ksiądz Kaleb?

— U pana starszego, przy łożu.

— Przyzwijcie go! Albo nie... Sam do niego pójdę.

— Przyzwę go! — rzekł stary.

I wyszedł. Lecz nim przyprowadził księdza, weszła Jagienka.

— Chodź tu! wiesz co jest? Dwa dni temu był tu Zbyszko.

A ona zmieniła się w jednej chwili na twarzy, i nogi przybrane w obcisłe pasiaste nogawiczki, zadrżały pod nią widocznie.

— Był i pojechał? — pytała z bijącem sercem. — Dokąd?

— Dwa dni temu, a dokąd, może ksiądz wie.

— Trzeba nam za nim! — rzekła stanowczym głosem.

Po chwili wszedł ksiądz Kaleb, który, sądząc, że Maćko wzywa go po to, aby zapytać o Juranda, rzekł, uprzedzając pytanie:

— Śpi jeszcze.

— Słyszałem, że Zbyszko tu był? — zawołał Maćko.

— Był. Dwa dni temu wyjechał.

— Dokąd?

— Sam nie wiedział... Szukać... Pojechał ku granicy żmudzkiej, gdzie teraz wojna.

— Na miły Bóg, powiadajcie ojcze, co o nim wiecie!

— Wiem tyle, ilem od niego słyszał. Był w Malborku i możną tam opiekę pozyskał, bo brata mistrzowego, który jest pierwszym między nimi rycerzem. Z jego rozkazania wolno było szukać Zbyszkowi po wszystkich zamkach.

— Juranda i Danuśki?

— Tak, ale Juranda nie szukał, bo mu powiedzieli, że nie żyje.

— Mówcie od początku.

— Zaraz, jeno odetchnę i oprzytomnieję, bo z innego świata wracam.

— Jakto z innego świata?

— Z tego świata, do którego na koniu nie zajedzie, ale na modlitwie zajedzie... i od nóg pana Chrystusowych, u których prosiłem o zmiłowanie nad Jurandem.

— Cuduście prosili? Macież tę moc? — zapytał z wielką ciekawością Maćko.

— Mocy nijakiej nie mam, ale ją Zbawiciel ma, który, jeśli zechce, powróci Jurandowi i oczy, i język, i rękę...

— Byle chciał, to juź-ci że i potrafi, — odrzekł Maćko — wszelako nie o byle co-ście prosili.

Ksiądz Kaleb nie odpowiedział nic, może nie dosłyszał, gdyż oczy miał jeszcze jakby nieprzytomne, i istotnie widać było, iż się poprzednio całkiem w modlitwie zapamiętał.

Więc zakrył teraz twarz rękoma i czas jakiś siedział w milczeniu. Wreszcie wstrząsnął się, przetarł dłońmi oczy i źrenice, poczem rzekł:

— Teraz pytajcie.

— Jakim sposobem pozyskał sobie Zbyszko wójta Sambińskiego?

— Już on nie jest wójtem Sambińskim...

— Mniejsza z tem... Wy miarkujcie o co pytam i prawcie co wiecie.

— Pozyskał go sobie na turnieju. Ulryk rad się w szrankach potyka, potykał ci się i ze Zbyszkiem, bo było siła gości rycerskich w Malborku, i Mistrz gonitwy wyprawił. Pękł Ulrykowi popręg w siodle, i łacno go mógł Zbyszko z konia zbić, ale on, to ujrzawszy, prasnął glewię o ziem i jeszcze chwiejącego się podtrzymał.

— Hej! A no widzisz! — zawołał Maćko, zwracając się do Jagienki. — Za to go Ulryk pokochał?

— Za to go pokochał. Nie chciał już z nim gonić na ostre, ani na tępe kopie, i pokachał go. Zbyszko też powiedział mu swoje utrapienia, a ów, że to o cześć rycerską jest dbający, okrutnym gniewem zapłonął i do brata swego, Mistrza, Zbyszka na skargę zaprowadził. Bóg da mu za to zbawienie, bo niewielu jest między nimi, którzy miłują sprawiedliwość. Mówił mi też Zbyszko, że pan de Lorche wielce mu dopomógł, przez to, iż go tam dla wielkiego rodu i bogactw szanują, a on zasie we wszystkiem za Zbyszkiem świadczył.

— A co ze skargi i z onego świadectwa przyszło?

— Przyszło to, iż Wielki Mistrz surowie komturowi szczycieńskiemu przykazał, aby wszystkich jeńców i więźniów, jacy są w Szczytnie, duchem do Malborka odesłał, samego Juranda nie wyjmując. Komtur co do Juranda odpisał, iż z ran umarł i tamże przy kościele jest pogrzebion. Innych jeńców odesłał, między którymi była dziewka niedojda, ale naszej Danusi nie było.

— Wiem od giermka Hlawy, — rzekł Maćko — iż Rotgier, ten, który od Zbyszka zabit, też na dworze księcia Januszowym o takiej dziewce-matołce wspominał. Mówił, że ją mieli za Jurandównę, a gdy mu księżna odpowiedziała, że przecie prawą Jurandównę znali i widzieli, jako nie była matołka, rzekł: „Iście prawda, ale myślelim, że ją złe przemieniło.”

— To samo napisał komtur Mistrzowi: — iże ową dziewkę nie w więzieniu, jeno na opiece mieli, wprzódy ją zbójom odjąwszy, którzy przysięgali, że to przemieniona Jurandówna.

— I Mistrz uwierzył?

— Sam nie wiedział, czyli ma wierzyć, czy nie wierzyć, ale Ulryk jeszcze większym gniewem zapłonął i wymógł na bracie, aby urzędnika zakonnego ze Zbyszkiem do Szczytna posłał, co też się i stało. Przyjechawszy do Szczytna, starego komtura już nie zastali, bo na wojnę z Witoldem ku wschodnim zamkom wyruszył, jeno podwójciego, któremu urzędnik kazał wszystkie sklepy i podziemia otworzyć. Zaczem szukali i szukali, i nic nie znaleźli. Brali też ludzi na spytki. Jeden tam powiedział Zbyszkowi, że od kapelana można się siła dowiedzieć, gdyż

kapelan umie kata niemowę wyrozumieć. Ale kata zabrał z sobą stary komtur, a kapelan do Królewca na jakowyś duchowny congressus był wyjechał... Oni się tam często zjeżdżają i skargi na Krzyżaków do Papieża ślą, bo i księżom chudziętom pod nimi ciężko...

— To mi jedno dziwno, że Juranda nie znaleźli! — zauważył Maćko.

— Bo go widać wprzód stary komtur wypuścił. Większa była złość w tem wypuszczeniu, niż żeby mu byli poprostu gardło wzięli. Chciało im się, żeby pocierpiał przed śmiercią tyle, ba! i więcej, niż człowiek jego stanu wytrzymać może. Ślepy, niemowa i bez prawicy, bójcie-że się Boga!... Ni do domu trafić, ni o drogę albo-li o chleb poprosić... Myśleli, że zamrze gdzie pod płotem z głodu, albo się w jakowej wodzie utopi... Co mu ostawili? Nic, tylko pamięć kim był i rozeznanie nędzy. A to przecie męka nad męki!... Może tam gdzieś pod kościołem, albo przy drodze siedział, a Zbyszko przejeżdżał i nie poznał go. Może i on słyszał głos Zbyszkowy, ale zawołać na niego nie mógł... Hej!... Nie mogę od słuz!... Cud Bóg uczynił, iżeście go spotkali, i dlatego mniemam, że i jeszcze większy uczyni, choć Go o niego niegodne i grzeszne wargi moje proszą.

— A cóż Zbyszko więcej powiadał?. dokąd jechał? — zapytał Maćko.

— Powiadał tak: „Wiem, iże była Danuśka w Szczytnie, ale oni ją porwali, i albo zamorzyli, albo wywieźli. Stary de Loewe (powiada) to uczynił, i tak mi dopomóż Bóg, jako wprzód nie spocznę, nim go dostanę."

— Tak-że powiadał? To pewno ku wschodnim komturjom wyjechał, ale tam teraz wojna.

— Wiedział, że wojna, i dlatego do kniazia Witolda pociągnął. Powiadał, że prędzej przez niego coś przeciw Krzyżakom wskóra, niż przez samego króla.

— Do kniazia Witolda! — zawołał, zrywając się, Maćko.

Poczem zwrócił się do Jagienki:

— Widzisz, co to rozum! Nie gadał-żem tego samego? Przepowiadałem jako żywo, że przyjdzie nam iść do Witolda...

— Zbyszko miał nadzieję, — ozwał się ksiądz Kaleb — iże Witold do Prus wtargnie i tamtejszych zamków będzie dobywał.

— Jeśli mu dadzą czas, to i nie omieszka — odparł Maćko. — No! chwalić Boga, wiemy przynajmniej, gdzie Zbyszka szukać.

— To trzeba nam zaraz ruszyć! — rzekła Jagienka.

— Cichaj! — zawołał Maćko. — Nie przystoi pachołkom z radami się odzywać.

To rzekłszy, spojrzał na nią znacząco, jakby przypominając jej, że jest pachołkiem, a ona upamiętała się i umilkła.

Zaś Maćko pomyślał chwilę i rzekł:

— Juz-ci Zbyszka teraz najdziem, bo pewnie nie gdzieindziej, tylko przy boku kniazia Witoldowym będzie, ale trzebaby raz wie-

dzieć, czy on ma jeszcze czego po świecie szukać, prócz tych kbów krzyżackich, które ślubował?

— A jako-że to przeznać? — spytał ksiądz Kaleb.

— Żebym wiedział, że ten ksiądz szczytnieński wrócił już z synodu, tobym go chciał widzieć — odpowiedział Maćko. — Mam listy Lichtensteina i do Szczytna mogę przezpiecznie jechać.

— Nie był ci to żaden synod, jeno congressus, — odparł ksiądz Kaleb — i kapelan dawno już musiał wrócić.

— To dobrze. Zdajcie-że resztę na moją głowę... Wezmę z sobą Hlawę, dwóch pachołków z bojowymi końmi od wypadku — i pojadę.

— A potem ku Zbyszkowi? — zapytała Jagienka.

— A potem ku Zbyszkowi, ale tymczasem ty tu ostaniesz i będziesz czekać, dopóki ze Szczytna nie wrócę. Tak też myślę, że więcej nad trzy, albo cztery dni nie zabawię. Twarde we mnie gnaty i trud mi nie nowina. Przedtem jeno, was, ojcze Kalebie, o pismo do szczycieńskiego kapelana poproszę. Łacniej mi zawierzy, jeśli mu list wasz pokażę... że to zawsze jest większa między księżmi poduфałość.

— Ludzie dobrze o tamtym księdzu mówią — rzekł ojciec Kaleb. — I jeżeli kto co wie, to on.

I pod wieczór wygotował list, a nazajutrz, nim słońce wzeszło, nie było już starego Maćka w Spychowie.

43.

Jurand rozbudził się z długiego snu w obecności księdza Kaleba, i zapomniawszy we śnie co się z nim działo, a nie wiedząc gdzie jest, począł macać łoże i ścianę, przy której łoże stało. Lecz ksiądz Kaleb chwycił go w ramiona i płacząc z rozrzewnienia począł mówić:

— To ja! Jesteś w Spychowie! Bracie Jurandzie! Bóg cię doświadczył... aleś między swoimi... Zbożni ludzie odwieźli cię... Bracie Jurandzie! Bracie!!...

I przycisnąwszy go do piersi, jął całować jego czoło, jego puste oczy, i znów cisnąć do piersi, i znów całować, a ów z początku był jakby odurzony i zdawał się nic nie rozumieć, wreszcie jednak jął wodzić lewą dłonią po czole i głowie, jakby chcąc odgarnąć i rozproszyć ciężkie chmury snu i odurzenia

— Słyszysz-że ty mnie i rozumiesz? — spytał ksiądz Kaleb.

Jurand dał znak głową, że słyszy, poczem dłonią sięgnął po srebrny krucyfiks, który swego czasu zdobył był na jednym możnym rycerzu niemieckim, zdjął go ze ściany, przycisnął do ust, do piersi i oddał księdzu Kalebowi.

On zaś rzekł:

— Rozumiem cię, bracie! On ci zostaje, i jako cię wywiódł z ziemi niewoli, tak ci i wszystko coś stracił wrócić może.

Jurand wskazał ręką ku górze, na znak, że wszystko dopiero tam

wróconem mu będzie, poczem załzawiły się znów jego wykapane oczy, i ból niezmierny odbił się na jego umęczonej twarzy.

A ksiądz Kaleb, ujrzawszy ów ruch i ową boleść, zrozumiał, że Danuśka już nie żyje, więc klęknął przy łożu i rzekł:

— Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci, niech odpoczywa w spokoju wiecznym, amen.

Na to ślepy podniósł się i, siadłszy na łożu, począł kręcić głową i machać dłonią, jakby chcąc zaprzeczyć i powstrzymać księdza Kaleba, lecz nie mogli się porozumieć, gdyż w tej chwili wszedł stary Tolima, a za nim załoga gródka, karbowi, — przedniejsi i starsi kmiecie spychowscy, leśnicy i rybacy, albowiem wieść o powrocie pana rozbiegła się już po całym Spychowie. Ci obejmowali mu kolana, całowali ręce i wybuchali płaczem rzewnym, na widok tego kaleki i starca, który w niczem nie przypominał dawnego groźnego Juranda, pogromiciela Krzyżaków i zwycięzcy we wszystkich spotkaniach. Lecz niektórych, — tych mianowicie, co chadzali z nim na wyprawy, porywał wicher gniewu, więc oblicza im bladły i stawały się zawzięte. Po chwili poczęli się zbijać w kupy, szeptać, trącać łokciami, popychać, aż wreszcie wysunął się naprzód jeden z załogi gródkowej, a zarazem kowal spychowski, niejaki Sucharz; przystąpił do Juranda, podjął go pod nogi i rzekł:

— Jak was tu przywieźli, panie, zaraz chcieliśma na Szczytno ruszyć, ale ów rycerz, który was przywiózł, wzbronił. Wy, panie, teraz pozwólcie, bo zaś bez pomsty nie możem ostać. Niech tak będzie, jako dawniej bywało. Darmoć nas nie hańbili i nie będą... Chodziliśmy do nich za waszych rządów, pójdziem i teraz, pod Tolimą, alibo i bez niego. Już my Szczytna musimy dobyć i tę sobaczą krew z nich wytoczyć — tak nam dopomóż Bóg!

— Tak nam dopomóż Bóg! — powtórzyło kilkanaście głosów.

— Do Szczytna!

— Krwi nam trzeba!

I wraz płomień ogarnął zapalczywe serca mazurskie. Łby poczęły się marszczyć, oczy błyskać, tu i owdzie ozwało się zgrzytanie zębów. Lecz po chwili głosy i zgrzytania umilkły, a oczy wszystkich wpatrzyły się w Juranda.

Owemu zaś zrazu zakwitły policzki, jakby zagrała w nim dawna zawziętość i dawna bojowa ochota. Podniósł się i znów począł szukać dłonią po ścianie. Ludziom wydało się, że szuka miecza, ale tymczasem palce jego trafiły na krzyż, który ksiądz Kaleb zawiesił był na dawnem miejscu.

Więc zdjął go po raz wtóry ze ściany, poczem twarz mu pobladła; zwrócił się ku ludziom, podniósł ku górze puste jamy oczu i wyciągnął przed się krucyfiks.

Nastało milczenie. Na dworze czynił się już wieczór. Przez otwarte okna dochodził świergot ptactwa, które układało się do snu na poddaszach gródka i w lipach rosnących na dziedzińcu. Ostatnie czerwone promienie słońca padały, przenikając do izby, na wzniesiony w górę krzyż i na białe włosy Juranda.

Kowal Sucharz popatrzał na Juranda, obejrzał się na towarzyszów, popatrzał raz drugi, wreszcie przeżegnał się i wyszedł na palcach z izby. Za nim wyszli równie cicho inni, i dopiero zatrzymawszy się na dziedzińcu, poczęli między sobą szeptać:

— No i cóż?

— Nie pójdziem, czy jak?

— Nie pozwolił!

— Zostawuje zemstę Bogu. Widać, że się i dusza w nim zmieniła.

I tak było rzeczywiście.

Ale tymczasem w izbie Juranda został tylko ksiądz Kaleb, stary Tolima, a z nimi Jagienka z Sieciechówną, które, ujrzawszy poprzednio całą kupę zbrojnych ludzi, idącą przez dziedziniec, przyszły także zobaczyć co się dzieje.

Jagienka, śmielsza i pewniejsza siebie od Sieciechówny, przystąpiła teraz do Juranda.

— Bóg wam dopomóż, rycerzu Jurandzie! — rzekła. — To my — my, cośmy was tu z Prus przywieźli.

A jemu na dźwięk jej młodego głosu pojaśniała twarz. Widocznie też przypomniał sobie jeszcze dokładniej wszystko, co zaszło na szczycieńskim gościńcu, bo począł dziękować, kiwając głową i kładąc kilkakrotnie dłoń na sercu. Ona zaś jęła mu opowiadać, jak go spotkali i jak poznał go Czech Hlawa, który jest giermkiem rycerza Zbyszka, i jak wreszcie przywieźli go do Spychowa. Powiedziała też i o sobie, że nosi wraz z towarzyszem miecz i hełm z tarczą za rycerzem Maćkiem z Bogdańca, Zbyszkowym stryjcem, który z Bogdańca na poszukiwanie bratanka wyruszył, a teraz do Szczytna pojechał i za trzy albo cztery dni powróci znów do Spychowa.

Na wzmiankę o Szczytnie Jurand nie wpadł wprawdzie w takie uniesienie, jak pierwszym razem na gościńcu, ale wielki niepokój odbił się na jego twarzy, Jagienka jednak zapewniła go, że rycerz Maćko był równie chytry jak mężny i że nikomu nie da się na hak przywieść, a prócz tego posiada listy Lichtensteina, z którymi wszędzie bezpiecznie może jechać. Słowa te uspokoiły go znacznie; znać też było, że chciał i o wiele innych rzeczy zapytać, nie mogąc zaś tego uczynić, cierpiał w duszy, co wnet spostrzegłszy, bystra dziewczyna, rzekła:

— Jak częściej będziem z sobą gwarzyć, to się wszystkiego dogadamy.

Na to on znów uśmiechnął się, wyciągnął ku niej dłoń, i złożywszy ją omackiem na jej głowie, trzymał przez długą chwilę, jakby ją błogosławiąc. Wiele jej też istotnie zawdzięczał, ale prócz tego przypadła mu widocznie do serca ta młodość i to jej szczebiotanie, przypominające świergot ptasi.

Jakoż od tej pory, gdy się nie modlił — co prawie po całych dniach czynił — lub gdy nie pogrążon był we śnie, szukał jej koło siebie, a gdy jej nie było, tęsknił do jej głosu i wszelkimi sposobami starał się dać poznać księdzu Kalebowi i Tolimie, że tego wdzięcznego pachołka chce mieć przy sobie blizko.

Ona zaś przychodziła, gdyż poczciwe jej serce litowało się nad nim szczerze, a prócz tego prędzej jej schodził przy nim czas oczekiwania Maćka, którego pobyt w Szczytnie przedłużał się jakoś dziwnie.

Miał wrócić za trzy dni, tymczasem upłynął czwarty i piąty. Szóstego pod wieczór, zaniepokojona dziewczyna miała już prosić Tolimy, by wysłał ludzi na zwiady, gdy nagle ze strażniczego dębu dano znać, że jacyś jeźdźcy zbliżają się do Spychowa.

Po chwili zadudniły rzeczywiście kopyta na zwodzonym moście, i na dziedziniec wjechał giermek Hlawa z drugim pocztowym pachołkiem. Jagienka, która już poprzednio zeszła z górnej izby i czekała na podwórzu, podskoczyła ku niemu, nim zdołał zsiąść z konia.

— Gdzie Maćko? — zapytała z bijącem trwogą sercem.

— Pojechał do kniazia Witolda, a wam kazał tu ostać — odpowiedział giermek.

44.

Jagienka, dowiedziawszy się, iż ma pozostać z rozkazu Maćka w Spychowie, przez chwilę ze zdumienia, żalu i gniewu słowa nie mogła przemówić, patrzyła tylko na Czecha szeroko otwartemi oczyma, który, rozumiejąc dobrze, jak niemiłą jej przynosi wiadomość, rzekł:

— Chciałbym też wam sprawę zdać z tego, cośmy w Szczytnie słyszeli, bo siła jest nowin i to ważnych.

— A o Zbyszku są?

— Nie, jeno są szczycieńskie — wiecie...

— Rozumiem! Konie niech pacholik rozkulbaczy, a wy pójdźcie ze mną.

I dawszy rozkaz pacholikowi, poprowadziła Czecha z sobą na górę.

— Czemu to nas Maćko opuścił? Dlaczego mamy w Spychowie ostawać i dlaczegoście wy wrócili? — zapytała jednym tchem.

— Ja wróciłem, — odrzekł Hlawa — bo mi rycerz Maćko kazali. Chciało mi się na wojnę, ale rozkaz to rozkaz. Powiedzieli mi rycerz Maćko tak: „Wróciszą, będziesz panny zgorzelickiej pilnował i ode mnie na nowiny czekał. Być może (powiada), że ci przyjdzie ją do Zgorzelic odprowadzić, bo jużci sama nie wróci."

— Na miły Bóg! coż się stało? Znalazła się córka Jurandowa? Zali Maćko nie do Zbyszka, tylko po Zbyszka pojechał? Widziałeś ją? Gadałeś z nią? Czemużeś jej nie przywiózł i gdzie ona teraz?

Usłyszawszy ten nawał pytań, skłonił się do kolan dziewczyny i rzekł:

— Niechże to nie będzie gniewno Waszej Miłości, iże na wszystko razem nie odpowiem, bo nie sposób; jeno będę kolejno na jedno po drugiem odpowiadał, jeśli przeszkody nie znajdę.

— Dobrze! Znalazła się, czy nie?

— Nie, ale wżdy jest wiadomość pewna, że była w Szczytnie i że ją pono gdzieś ku wschodnim zamkom wywieźli.

— A my dlaczego mamy siedzieć w Spychowie?

— Ba, a jeśli się odnajdzie?... To jakoś widzi Wasza Miłość... Bo i prawda, że nie byłoby po co...

Jagienka zamilkła, tylko policzki jej zapłonęły.

Czech zaś rzekł:

— Myślałem, i jeszcze myślę, że z tych psubrackich pazurów nie wyrwiemy jej żywej, ale wszystko w Boskiem ręku. Trzeba mi gadać od początku. Przyjechaliśmy do Szczytna — i dobrze. Rycerz Maćko pokazał podwójciemu pismo Lichtensteina, a podwójci, że to za młodu miecz za Kunonem nosił, pocałował pieczęć w naszych oczach, przyjął nas gościnnie i w niczem nie podejrzewał. Żeby się tak miało co chłopa w pobliżu, możnaby i zamek wziąć, tak nam dufał. W widzeniu się z księdzem nie było też przeszkód, i gadaliśmy przez dwie noce — i dowiedzieliśmy się dziwnych rzeczy, które ksiądz od kata wiedział.

— Kat niemowa.

— Niemowa, ale księdzu umie wszystko na migi powiedzieć, a ów go tak rozumie, jakby żywem słowem do niego gadał. Dziwne to rzeczy, i był w tem chyba palec Boży. Ów kat obcinał rękę Jurandowi, wyrywał mu język i wykapywał oczy. On jest taki, że gdy o męża chodzi, przed żadną męką się nie wzdrygnie, a choćby mu człeka kazali zębami rwać i to uczyni. Ale na żadną dziewkę nie całkiem żrzałą ręki nie podniesie, i na to znów żadne męki nie pomogą. A taki ci jest wskroś tej przyczyny, że sam niegdyś miał dziewkę jedyną, którą okrutnię miłował i którą mu Krzyżacy...

Tu zaciął się Hlawa i nie wiedział, jak dalej mówić, co widząc, Jagienka rzekła:

— Co mi tam o katówce prawicie!

— Bo to jest do rzeczy — odpowiedział Czech. — Gdy nasz młody pan poćwiartował rycerza Rotgiera, tak stary komtur, Zygfryd, mało się nie wściekł. W Szczytnie gadali, że Rotgier to był jego syn, i ksiądz to potwierdził, że nigdy ojciec syna więcej nie miłował. I przez pomstę djabłu duszę zaprzedał, co kat widział! Z zabitym tak gadał, jako ja z wami, a tamten to mu się z trumny śmiał, to zgrzytał, to się czarnym ozorem oblizywał z radości, że mu stary komtur pana Zbyszkową głowę przyobiecał. Ale, że pana Zbyszka nie mógł wówczas dostać, więc tymczasem kazał umęczyć Juranda, a potem język jego i rękę do trumny Rotgierowi włożył, który je na surowo żreć począł...

— Straszno słuchać. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! — rzekła Jagienka.

I podniósłszy się, dorzuciła szczepek na komin, albowiem wieczór uczynił się już zupełny.

— A jakże! — mówił dalej Hlawa. — Nie wiem, jako to będzie na sądzie ostatecznym, bo juzci co Jurandowe, to musi do Juranda

wrócić. Ale to nie ludzki rozum. Kat tedy wszystko to widział. Więc napchawszy strzygę ludzkiem mięsem, poszedł stary komtur Jurandowe dziecko mu przynieść, bo mu tamten widać szepnął, że chciałby krwią niewinną strawę popić... Ale kat, który, jako mówiłem, wszystko uczyni, jeno krzywdy wyrządzonej dziewce, przenieść nie może, już przedtem się na schodach zasadził... Mówił ksiądz, że on niespełna rozumu i w rzeczy bydlę, ale to jedno rozumie — i jak trzeba, to chytrości nikt mu nie wyrówna. Siadł ci tedy na schodach i czekał, aż tu nadchodzi komtur. Usłyszał katowe dychanie, ujrzał świecące ślepia i zląkł się, bo rozumiał, że upiór. A on komtura pięścią w kark! Myślał, że mu śpik przetrąci tak, że i znaku nie będzie, wszelako nie zabił. Ale komtur omdlał i ze strachu zachorzał, a gdy zaś ozdrowiał, bal się na Jurandównę porywać.

— Ale ją wywiózł.

— Wywiózł ją, a z nią zabrał i kata. Nie wiedział, że to on Jurandówny bronił, myślał, że jakowaś siła niepojęta, zła albo dobra. A w Szczytnie wolał kata nie ostawiać. Bał się jego świadectwa, czy co... Niemowa ci on jest, ale jeżeliby był sąd, to przez księdza mógł powiedzieć, co powiedział... Więc ksiądz mówił w końcu rycerzowi Maćkowi tak: „Stary Zygfryd nie zgładzi Jurandówny, bo się boi, a choćby komu innemu kazał, to póki Diederich żyw, nie da jej; tem bardziej, że już raz obronił.

— Wiedział zaś ksiądz, dokąd ją powieźli?

— Dobrze nie wiedział, ale słyszał, że coś tam gadali o Ragnecie, który zamek niedaleko od litewskiej czyli też żmujdzkiej granicy leży.

— A cóż na to Maćko?

— Rycerz Maćko, wysłuchawszy tego, powiedział mi nazajutrz dzień: Jeśli tak, to ją może i znajdziem, a mnie co duchu trzeba do Zbyszka, aby go przez Jurandównę na hak nie przywiedli, tak jak Juranda przywiedli. Niech rzekną mu, że ją oddadzą, byle sam po nią przyjechał, to i przyjedzie, a wówczas dopiero stary Zygfryd pomstę za Rotgiera na nim wywrze, jakiej oko ludzkie nie widziało.

— Prawda jest! prawda! — zawołała z niepokojem Jagienka. — Skoro dlatego tak się śpieszył, to i dobrze.

Po chwili zaś, zwracając się do Hlawy:

— W tem jeno pobłądził, że was odesłał. Po co nas tu w Spychowie strzedz? Ustrzeże i stary Tolima, a tam Zbyszkowi byście się przydali, boście i mocni i roztropni.

— A kto was, panienko, w razie czego do Zgorzelic odwiezie?

— W razie czego, przyjedziecie tu przed nimi. Mają przez kogo innego nowinę przysłać, to prześlą przez was, — i odwieziecie nas do Zgorzelic.

Czech pocałował ją w rękę i zapytał wzruszonym głosem:

— Zaś przez ten czas tu ostatniecie?

— Bóg nad sierotą! Tu ostaniem.

— I nie będzie się wam cniło? Cóż tu będziecie czynić?

— Pana Jezusa prosić, by wrócił Zbyszkowi szczęście, a wszystkich was w zdrowiu uchował.

I to rzekłszy, rozpłakała się serdecznie.

A giermek pochylił się znów do jej kolan:

— Tacyście właśnie, — rzekł — jako anieli w niebiesiech.

45.

Ale ona otarła łzy i, zabrawszy giermka, poszła z nim do Juranda, aby mu nowiny oznajmić. Zastała go w wielkiej świetlicy z oswojoną wilczycą u nóg, siedzącego z księdzem Kalebem, z Sieciechówną i ze starym Tolimą. Miejscowy klecha, który był zarazem rybałtem, śpiewał im przy lutni pieśń o jakimś dawnym boju Jurandowym, ze „sprośnymi Krzyżaki", a oni, podparłszy rękoma głowy, słuchali w zadumie i smutku. W świetlicy widno było od księżyca. Po dniu prawie już znojnym nastał wieczór cichy, ogromnie ciepły. Okna były otwarte, i w blasku miesięcznym widać było krążące po izbie chrabąszcze, które roiły się w rosnących na dziedzińcu lipach. Na kominie tliło się jednakże kilka głowni, przy których pacholik przygrzewał miód, pomieszany z winem krzepiącem i pachnącemi ziołami.

Rybałt, a raczej klecha i sługus księdza Kaleba, zaczynał właśnie nową pieśń: „o szczęśliwem potkaniu". „Jadzie Jurand, jadzie, koń pod nim cisawy..." — gdy weszła Jagienka i rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział ksiądz Kaleb.

Jurand siedział na poręczastej ławie z łokciami opartymi na poręczach, usłyszawszy jednak jej głos, zwrócił się zaraz ku niej i jął ją witać swą białą jak mleko głową.

— Przyjechał Zbyszkowy giermek ze Szczytna — ozwała się dziewczyna — i nowiny przywiózł od księdza. Maćko już tu nie wróci, bo do kniazia Witolda pociągnął.

— Jakto nie wróci? — zapytał ojciec Kaleb.

Więc ona poczęła opowiadać wszystko, co od Czecha wiedziała, o Zygfrydzie, jak mścił się za śmierć Rotgiera, o Danuśce jak ją stary komtur chciał Rotgierowi zanieść, aby jej niewinną krew wypił, i o tem, jak ją niespodzianie kat obronił. Nie zataiła i tego, że Maćko miał teraz nadzieję, iż we dwóch ze Zbyszkiem Danusię znajdą, odbiją ją i przywiozą do Spychowa, z której to właśnie przyczyny sam prosto do Zbyszka pojechał, a im tu zostać rozkazał.

I głos zadrżał jej w końcu jakby smutkiem albo żalem, a gdy skończyła, w świetlicy nastała chwila ciszy. Tylko w lipach rosnących na dziedzińcu rozlegały się kląskania słowików, które zdawały się zalewać przez otwarte okna całą izbę. Oczy wszystkich zwróciły się na Juranda, który z zamkniętemi oczyma i przechyloną w tył głową, nie dawał najmniejszego znaku życia.

— Słyszycie? — spytał go wreszcie ksiądz Kaleb.

A on przechylił jeszcze bardziej głowę, podniósł lewe ramię i palcem wskazał na niebo.

Blask księżyca padał mu wprost na twarz, na białe włosy, na wykapane oczy, i było w tej twarzy takie męczeństwo, a zarazem takie jakieś niezmierne zdanie się na wolę Bożą, że wszystkim zdało się, iż widzą tylko duszę z cielesnych pęt wyzwoloną, która rozbratana raz na zawsze z ziemskiem życiem, niczego już w nim nie czeka i nie wygląda.

Więc znów nastało milczenie, i znów słychać było tylko fale głosów słowiczych, zalewających dziedziniec i izbę.

Ale Jagienkę ogarnęła nagle litość ogromna i jakby dziecięca miłość do tego nieszczęsnego starca, zaczem idąc za pierwszym popędem, skoczyła ku niemu i, chwyciwszy jego dłoń, poczęła ją całować, a zarazem polewać łzami.

— I ja sierota! — zawołała z głębi wezbranego serca: — ja nie pachołek żaden, jeno Jagienka ze Zgorzelic. Maćko mnie wziął, by mnie od złych ludzi uchronić, ale teraz ostanę z wami, póki wam Bóg Danusi nie wróci.

Jurand nie okazał nawet zdziwienia, jakby już wiedział poprzednio, że była dziewczyną, tylko przygarnął i przychylił ją do piersi, a ona, całując wciąż jego dłoń, mówiła dalej głosem przerywanym i łkającym:

— Ostanę z wami, aż Danuśka wróci... To potem do Zgorzelic pojadę... Bóg nad sierotami! Niemcy i mnie tatusia zabiły, ale wasze kochanie żywie i wróci. Dajże to, Boże Miłościwy, dajże, Matko Najświętsza, litościwa...

A ksiądz Kaleb ukląkł nagle i ozwał się uroczystym głosem:

— Kyrie elejson!

— Chryste elejson! — odpowiedzieli zaraz Czech i Tolima.

Wszyscy poklękali, bo zrozumieli, że to jest litania, jaką odmawiano nietylko w chwili śmierci, lecz i dla wybawienia ze śmiertelnego niebezpieczeństwa osób blizkich i drogich. Klękła Jagienka. Jurand osunął się z ławy na kolana, i chórem poczęto mówić:

— Kyrie elejson! Chryste elejson!... Ojcze z nieba Boże, zmiłuj się nad nami!... Synu Odkupicielu świata Boże, zmiłuj się nad nami...

Głosy ludzkie i wołania błagalne: „Zmiłuj się nad nami!”... mieszały się z kląskaniem słowików.

Lecz nagle chowana wilczyca podniosła się z niedźwiedziej skóry, leżącej przy ławie Juranda, zbliżyła się do otwartego okna, wspięła się na ramę i, zadarłszy ku księżycowi swą trójkątną paszczę, poczęła wyć zcicha i żałośnie.

Jakkolwiek Czech wielbił Jagienkę, a serce lgnęło mu coraz bardziej do ślicznej Sieciechówny, jednakże młoda, a chrobra dusza rwała mu się przedewszystkiem do wojny. Wrócił wprawdzie do Spychowa z rozkazu Maćka, gdyż był służbisty, a przytem znajdował pewną osłodę w myśli, iż będzie obu pannom strażą i opiekunem, lecz gdy

sama Jagienka rzekła mu to, co zresztą było prawdą, że im w Spychowie nic nie grozi i że jego powinność przy Zbyszku, z radością na to przystał. Maćko nie był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, więc łatwo mógł usprawiedliwić się przed nim, że nie został w Spychowie z rozkazu prawej swojej pani, która kazała mu iść do pana Zbyszka.

Jagienka zaś uczyniła to w myśli, iż giermek tej siły i sprawności, zawsze może się przydać Zbyszkowi i z niejednej toni go wybawić. Dał już przecie tego dowody podczas owych łowów książęcych, w których Zbyszko omal życia od tura nie stradał. Tembardziej mógł być pożyteczny na wojnie, zwłaszcza takiej, jaka toczyła się na żmujdzkiej granicy. Głowaczowi było tak pilno w pole, że gdy razem z Jagienką wrócili od Juranda, podjął ją pod nogi i rzekł:

— To wolę waszej miłości zaraz się pokłonić i o dobre słowo na drogę poprosić.

— Jakże? — zapytała Jagienka — dziś jeszcze chcesz jechać?

— Jutro do dnia, by konie przez noc wypoczęły. Okrutnie daleka na Żmujdź wyprawa!

— To i jedź, bo łacniej rycerza Maćka dogonisz.

— Ciężko będzie. Stary pan twardy na wszelakie trudy i o kilka dni mnie wyprzedził. Przytem pojedzie przez Prusy, by sobie drogę skrócić, ja zaś puszczami muszę. Pan ma listy od Lichtensteina, które po drodze może pokazywać, ja zaś musiałbym pokazywać chyba ot co! — i tem sobie wolny przejazd czynić.

To rzekłszy, położył rękę na głowni korda, który miał przy boku, co widząc, Jagienka zawołała:

— A ostrożnie! Skoro jedziesz, to trzeba, byś dojechał, a nie w jakowemś podziemiu krzyżackiem ostał. Ale i w puszczach dawaj na się baczenie, bo tam teraz różne złe bożki mieszkają, które tamtejszy naród czcił, nim do krześcijaństwa nie przystał. Pamiętam, jako to i rycerz Maćko i Zbyszko opowiadali w Zgorzelicach.

— Pamiętam, ale jakoś nie boję się, bo chudziny to, nie bożeczkowie, i siły nijakiej nie mają. Dam ja sobie z nimi rady i z Niemcami, których napotkam też, byle wojna chciała dobrze rozgorzeć.

— A to nie rozgorzała? Powiadaj, coście o niej między Niemcami słyszeli.

Na to roztropny pachołek namarszczył brew, zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

— I rozgorzała i nie rozgorzała. Pilnie my o wszystko dopytywali, a szczególnie rycerz Maćko, który jest chytry i objechać każdego Niemca umie. Niby to o co innego pyta, niby życzliwość udaje, z niczem się sam nie wyda, a w sedno utrafi i z każdego nowinę, jakoby rybę hakiem, wyciągnie. Zechce-li wasza miłość cierpliwie słuchać, to powiem: Kniaź Witold, lat temu kilka, mając zamysły przeciw Tatarom i chcąc od niemieckiej ściany pokoju, ustąpił Niemcom Żmujdź. Była wielka przyjaźń i zgoda. Zamki im wznosić pozwolił, ba, sam pomagał. Zjeżdżali się też z Mistrzem na jednej wy-

spie, pili, jedli i świadczyli sobie miłość. Łowy nawet w tamecznych puszczach nie były Krzyżakom wzbronione, a jak niebożęta Żmujdzini podnosili się przeciw zakonnemu panowaniu, to kniaź Witold Niemcom pomagał i wojska im swoje w pomoc wysyłał, o co szemrano nawet na całej Litwie, że na własną krew nastaje. Wszystko to nam podwójci w Szczytnie rozpowiadał i chwalił krzyżackie rządy na Żmujdzi, że posyłali Żmujdzinom księży, którzy ich mieli chrzcić, i zboże w czasie głodu. Jakoż podobno posyłali, bo Wielki Mistrz, któren więcej od innych ma bojaźni Boskiej, kazał, ale za to zabierali im dzieci do Prus, a niewiasty sromocili w oczach mężów i braci, kto się zaś przeciwił, to go wieszali — i stąd, panienko, jest wojna.

— A kniaź Witold?

— Kniaź długo na żmujdzkie krzywdy oczy zamykał i Krzyżaków kochał. Niedawne czasy, jak księżna, jego żona, jeździła do Prus, do samego Malborka w odwiedziny. To tam ją przyjmowali, jakoby samą królowę polską. A toś niedawno, niedawno! Obsypywali ci ją darami, a co było turniejów, uczt i różnych wszelakich dziwów w każdem mieście, tegoby nikt nie zliczył. Myśleli ludzie, że to już na wieki miłość między Krzyżaki a księciem Witoldem nastanie, aż tu niespodzianie odmieniło się w nim serce...

— Miarkując z tego, co nieraz i niebosczyk tatuś i Maćko gadali, to często się w nim serce odmienia.

— Przeciw cnotliwym nie, ale przeciw Krzyżakom często, skroś tej przyczyny, że oni sami w niczem wiary nie dotrzymują. Chcieli teraz od niego, by im zbiegów wydał a on im powiedział, że ludzi podłego stanu wyda, a zaś wolnego nie myśli, gdyż ci, jako wolni, mają prawo żyć, gdzie chcą. Dopieroż się na siebie kwasić, a listy ze skargami pisać a wzajem się odgrażać. Zasłyszawszy o tem, Żmujdzini nuż w Niemców! Załogi wycięli, zameczki poburzyli, a teraz-ci i do samych Prus wpadają, zaś książę Witold nietylko już ich nie hamuje, ale jeszcze się z frasunku niemieckiego śmieje i Żmujdzinom pomoc po cichu posyła.

— Rozumiem — rzekła Jagienka. — Ale jeśli po cichu ich wspomaga, to jeszcze wojny niema.

— Jest ze Żmujdzinami, a i z Witoldem w rzeczy już jest. Idą zewsząd Niemce bronić pogranicznych zamków, a radziby i wielką wyprawę na Żmujdź uczynić, jeno z tem długo muszą czekać, aż do zimy, bo to jest kraj rozmokły i rycerzom nijak w nim wojować. Gdzie Żmujdzin przejdzie, tam Niemiec ulgnie, przeto zima Niemcom przyjaciółka. Ale z nastaniem mrozów ruszy się cała potęga krzyżacka, a zaś książę Witold pójdzie w pomoc Żmujdzinom — i pójdzie z pozwoleniem króla polskiego, boć to przecie zwierzchni pan i nad wielkim kniaziem i nad całą Polską.

— To może i z królem będzie wojna?

— Mówią ludzie i tam u Niemców i tu u nas, że będzie. Żebrzą już pono Krzyżacy pomocy po wszystkich dworach i kaptury im na łbach gorą, jako zwyczajnie na złodziejach, boć to przecie potęga

królewska nie żart, a ponoć rycerstwo polskie, byle kto Krzyżaka wspomniał, zaraz w garście popluwa.

Westchnęła na to Jagienka i rzekła:

— Zawżeć to chłopu weselej na świecie, niż dziewce, bo, na ten przykład, ty sobie pojedziesz na wojnę, równie jak pojechali Zbyszko i Maćko, a my tu ostaniem w Spychowie.

— Jak-że inaczej, panienko, ma być. Ostaniecie, ale we wszelkiej przezpieczności. Straszne jeszcze i teraz Niemcom Jurandowe imię, com sam widział w Szczytnie, że gdy się dowiedzieli, iż jest w Spychowie, zaraz strach ich zdjął.

— To wiemy, że tu nie przyjdą, bo i bagno broni i stary Tolima, jeno ciężko tu będzie siedzieć, bez wieści.

— Jak się co przygodzi, dam znać. Wiem, że jeszcze przed naszym wyjazdem do Szczytna, wybierało się stąd na wojnę z własnej woli dwóch dobrych pachołków, którym Tolima wzbronić tego nie może, bo są ślachtą z Łękawicy. Teraz pojadą razem ze mną, i w razie czego zaraz którego tu pchnę z nowiną.

— Bóg zapłać. Wiedziałam zawsze, iż rozum masz w każdej przygodzie, ale za twoje serce i za chętliwość ku mnie, to już ci do śmierci będę wdzięczna.

Na to Czech przykląkł na jedno kolano i rzekł:

— Nie krzywd ja, jeno dobrodziejstw u was zaznałem. Wziął ci mnie chłopięciem w jeństwo rycerz Zych pod Bolesławiem i bez okupu wolnością obdarował, aleć mi milsza już była służba u was od wolności. Dajże mi Boże dla was krew rozlać, panienko moja!

— Boże cię prowadź i przyprowadź — odpowiedziała Jagienka, wyciągając ku niemu rękę.

Lecz on wolał pochylić się do jej nóg i całować stopy, aby jej cześć oddać tem większą, a potem podniósł głowę i nie wstając z klęczek, począł mówić nieśmiało i pokornie:

— Prosty ja pachołek, alem szlachcic i sługa wasz wierny... dajcie-że mi jakowy wspominek na drogę. Nie odmawiajcie mi tego! Jużci nadchodzi czas kośby wojennej, a święty Jerzy mi świadkiem, że tam w poprzódku, nie zaś w ociągu się znajdę.

— O jakiś wspominek mnie prosisz? — zapytała nieco zdziwiona Jagienka.

— Przepaszcie mnie byle tam krajką na drogę, by, jeśli poledz mi przyjdzie, lżej mi było pod waszą przewiązką umierać.

I znów pochylił się do jej stóp, a potem ręce złożył i tak błagał ją, patrząc w jej oczy, ale na twarzy Jagienki odbił się ciężki frasunek — i po chwili odrzekła, jakby z wybuchem mimowolnej goryczy:

— A, mój miły! nie proś-że mnie o to, bo ci nic z mojej przewiązki nie przyjdzie. Kto sam szczęśliwy, ten niech cię przepasze, bo ten ci szczęście przyniesie. A we mnie poprawdzie co jest? — Nic, jeno smutek! A zaś przedemną — nic, jeno niedola! Oj! nie napytam ja szczęścia ni tobie, ni komu, bo czego nie mam, tego i dać nie zdolę. Tak ci mi, Hlawo, źle tera na świecie, że, że...

Tu umilkła nagle, czując, że jeśli słowo jeszcze powie, to płaczem

wybuchnie, a i tak zaszły jej jakby chmurą oczy, Czech zaś wzruszył się ogromnie, albowiem zrozumiał, że i wracać jej było źle do Zgorzelic w pobliże drapieżnych komyszy: Cztana i Wilka, i równie źle zostawać w Spychowie, dokąd prędzej lub później zjechać mógł Zbyszko z Danusią. Zdawał sobie Hlawa doskonale sprawę ze wszystkiego, co dzieje się w sercu dziewczyny, że zaś nie widział żadnej rady na jej nieszczęście, więc tylko znów objął jej stopy, powtarzając:

— Hej! poledz dla was! poledz!

A ona rzekła:

— Wstań. A na wojnę niech cię Sieciechówna przepasze, albo ci jaki inny da wspominek, gdyż rada cię ona widzi oddawna.

I poczęła ją wołać, ta zaś wyszła niebawem z przyległej izby, albowiem, podsłuchując poprzednio pode drzwiami, nie pokazywała się tylko przez nieśmiałość, chociaż kipiała w niej chęć pożegnania się z pięknym giermkiem. Wyszła tedy zmieszana, spłoszona, z bijącem sercem, z oczyma świecącemi zarazem od łez i od senności, i spuściwszy powieki, stała tak przed nim, podobna do kwiatu jabłoni, nie mogąc słowa przemówić.

Hlawa miał dla Jagienki obok najgłębszego przywiązania cześć i nabożeństwo, ale nie śmiał ani myślą posięgnąć na nią, posięgał zaś często na Sieciechównę, czując bowiem wartką krew w żyłach, nie mógł obronić się przed jej urokiem. Teraz chwyciła go tembardziej za serce swą urodą, a zwłaszcza swem zmieszaniem i łzami, przez które przeglądało kochanie, jak przez jasną wodę strumienia przegląda złote dno.

Więc zwrócił się ku niej i rzekł:

— Wiecie! Na wojnę jadę, może i legnę. Nie żal wam mnie?

— Żal-ci mi! — odpowiedziała cienkim głosikiem dziewczyna.

I zaraz poczęła sypać łzami, gdyż zawsze miała je na pogotowiu. Czech wzruszył się do ostatka i jął całować jej ręce, tłumiąc w sobie wobec Jagienki ochotę do poufalszych jeszcze pocałunków.

— Przepasz go, alibo daj mu wspominek na drogę, aby się pod twoim znakiem potykał — rzekła Jagienka.

Lecz Sieciechównie nie łatwo było mu coś dać, gdyż miała na sobie męski ubiór wyrostka. Poczęła szukać: ni wstążki, ni jakiejkolwiek przewiązki! że zaś niewieście ubrania były jeszcze w kubach, nie ruszone od czasu wyjazdu ze Zgorzelic, wpadła przeto w kłopot niemały, z którego znów wyratowała ją Jagienka, radząc, by mu oddała pątliczek, który nosiła na głowie.

— Boga mi! niech będzie pątliczek! — zawołał nieco rozweselony Hlawa. — Powieszę go na hełmie — i nieszczęsna mać tego Niemca, któren po niego sięgnie!

Więc Sieciechówna podniosła obie ręce do głowy, i po chwili jasne promienie włosów rozsypały się po plecach i po ramionach, Hlawa zaś, widząc ją taką przetowłosą i cudną, aż zmienił się na twarzy. Policzki zapłonęły mu, a potem zaraz pobladły: wziął pątlik, ucałował go, schował w zanadrze, raz jeszcze objął kolana Jagienki,

a następnie, mocniej, niż było trzeba, Sieciechówny i po słowach: „Niechże tak będzie!" — wyszedł, nie mówiąc nic więcej z izby.

A chociaż był zdrożon i niewypoczęty, nie położył się spać. Pił na umór przez całą noc z dwoma młodymi szlachcicami z Łękawicy, którzy mieli z nim jechać na Żmujdź. Nie upił się jednak — i o pierwszym blasku był już na dziedzińcu w fortalicji, gdzie czekały gotowe do drogi konie.

W ścianie nad wozownią rozchyliło się zaraz błoniaste okno, i przez szparutkę wyjrzały na dziedziniec modre oczy. Czech, który je dostrzegł, chciał iść ku nim, by pokazać pątlik przypięty na hełmie i pożegnać się raz jeszcze, ale przeszkodził mu w tem ksiądz Kaleb i stary Tolima, którzy zeszli umyślnie, aby mu udzielić rad na drogę.

— Jedź na dwór księcia Januszowy — rzekł ksiądz Kaleb. — Może i rycerz Maćko tam wstąpił. W każdym jednak razie wieści pewnych zasięgniesz, bo tam znajomych ci nie brak. Drogi też stamtąd na Litwę znajome i o przewodnika przez puszcze łatwo. Chcesz-li napewno do pana Zbyszka dojechać, to wprost na Żmujdź nie jedź, bo tam jest przegroda pruska, jeno jedź przez Litwę. Bacz, że i Żmujdzini mogą cię zabić, nim zakrzykniesz któś jest, a inna sprawa będzie jeśli od strony kniazia Witolda przyjedziesz. Zresztą, Boże błogosław tobie i obudwu tamtym rycerzom, abyście w zdrowiu wrócili i dziecko przywieźli, na którą to intencję będę każdego dnia po nieszporach aż do pierwszej gwiazdy krzyżem leżał.

— Dziękuję wam, ojcze, za błogosławieństwo — odrzekł Hlawa. — Nie łatwo to ochwiarę z tamtych djabelskich rąk żywą wydobyć, ale przecie wszystko w ręku Pana Jezusowych, i lepsza nadzieja niż smutek.

— Juści lepsza, przeto jej nie tracę. Tak... żywie nadzieja, chociaż serce i trwogi nie próżne... Najgorzej, że sam Jurand, byle jej imię wspomnieć, zaraz ku niebiosom palce prostuje, jakby ją tam już widział.

— Jako-że ją może widzieć, oczu stradawszy?

A ksiądz począł mówić nawpół do Czecha, nawpół do siebie:

— Bywa tak, że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego inni dojrzeć nie potrafią. Bywa tak, bywa! Ale i to się rzecz niepodobna widzi, by Bóg dopuścił krzywdy takiego jagniątka. Bo i cóż ona choćby Krzyżakom przewiniła? Nic! A niewinne ci to było jak lelija Boża, a miłe ku ludziom, a jako ta ptaszyna polna śpiewające! Bóg dzieci miłuje i nad męką ludzką ma litość!... Ba! jeśli ją zabili, to ją może i wskrzesi, jako Piotrowina, któren wstawszy z grobu, długie potem roki gospodarzył... Jedź w zdrowiu, i niech ręka Boska was wszystkich i ją piastuje!

To rzekłszy, wrócił do kaplicy, by mszę ranną odprawić, a Czech siadł na koń, skłonił się raz jeszcze przed przywartem błoniastem oknem — i pojechał, bo już też rozedniało zupełnie.

46.

Książę Janusz i księżna wyjechali razem z częścią dworu na wiosenny połów ryb do Czerska, gdyż lubili niezmiernie to widowisko

i mieli je ſobie za najprzedniejßą zabawę. Dowiedział ſię jednak Czech od Mikołaja z Długolaſu wielu rzeczy ważnych, tyczących ſię zarówno ſpraw prywatnych, jak i wojny. Dowiedział ſię więc naprzód, że widocznie rycerz Maćko poniechał zamiaru jechania na Żmujdź proſto przez „pruſką przegrodę”, gdyż przed kilku dniami był w Warßawie, gdzie zaſtał jeßcze obojga kſięſtwa. O wojnie potwierdził ſtary Mikołaj te wßyſtkie wieści, które Hlawa ſłyßał w Szczytnie. Cała Żmujdź podnioſła ſię przeciw Niemcom, jak jeden mąż, a kniaź Witold nietylko, że już Zakonowi przeciw nießczęſnym Żmujdzinom nie pomagał, ale, nie wypowiadając mu jeßcze wojny i łudząc go układami, zaſilał wßelako Żmujdź pieniędzmi, ludźmi, końmi, zbożem. Tymczaſem tak on, jak Krzyżacy, ſłali poſłów do Papieża, do ceſarza i do innych panów chrześcijańſkich, zarzucając ſobie wzajem wiarołomſtwo, niewierność i zdradę. Ze ſtrony w. kniazia pojechał z tymi liſtami mądry Mikołaj ze Rzeniewa, który umiał rozplątywać nici, namotane przez przebiegłość krzyżacką, dowodnie wykazując niezmierne krzywdy krain litewſkich i żmujdzkich.

Tymczaſem, gdy na ſejmie wileńſkim wzmocniły ſię jeßcze związki między Litwą a Polſką, potruchlały ſerca krzyżackie, łatwo było bowiem przewidzieć, że Jagiełło, jako zwierzchni pan wßyſtkich ziem, będących pod władzą kniazia Witolda, ſtanie w razie wojny po jego ſtronie. Hrabia Jan Sayn, komtur grudziądzki, i hrabia Szwartzburg, gdańſki, wyjechali z rozkazu miſtrza do króla z zapytaniem, czego ſię mają od niego ſpodziewać. Nic im król nie rzekł, chociaż mu dary przywieźli: ścigłe krzeczoty i drogie naczynia. Więc zagrozili wojną, ale nießczerze, gdyż dobrze wiedzieli, że Miſtrz i kapituła boją ſię w dußach ſtraßnej Jagiełłowej potęgi i pragną odwlec dzień gniewu i klęſki.

I rwały ſię, jak nić pajęcza, wßelkie układy, a rwały ſię zwłaßcza z Witoldem. Wieczorem po przyjeździe Hlawy przyßły znów na warßawſki zamek świeże nowiny. Przyjechał Bronißz Ciaſnoci, dworzanin kſięcia Janußa, którego on wyſłał był poprzednio po wieści na Litwę, a z nim dwóch znacznych litewſkich kniaziów z liſtami od Witolda i od Żmujdzinów. Nowiny były groźne. Zakon gotował ſię do wojny. Wzmacniano zamki, mielono prochy, krzeſano kule kamienne, ściągano ku pograniczu knechtów i rycerſtwo, a lżejße oddziały jazdy i piechoty wpadały już w granice Litwy i Żmujdzi od ſtrony Ragnety, od Gotteswerder i innych zamków brzegowych. Już po gęſtwach leśnych, już w polach, już po wſiach rozlegały ſię okrzyki wojenne, a wieczorami ponad ciemnem morzem laſów świeciły łuny pożaru. Witold przyjął wreßcie Żmujdź w jawną opiekę, wyſłał ſwych rządców, a wodzem zbrojnemu ludowi uſtanowił ſłynnego z męſtwa Skirwojłłę. Ten wpadał do Prus, palił, nißczył, puſtoßył. Sam kſiążę przymknął wojſko ku Żmujdzi, niektóre zamki opatrzył, inne, jak naprzykład Kowno, znißczył, aby nie ſtały ſię oparciem Krzyżakom, i nie było już tajno nikomu, że gdy nadejdzie zima, a mróz popęta mokradła i błota, albo nawet wcześniej, jeśli lato będzie ſuche, pocznie ſię wojna wielka, która ogarnie wßyſtkie litewſkie, żmujdzkie i pruſkie

krainy, gdyby zaś król w pomoc Witoldowi przybieżał, tedy musi nastąpić dzień, w którym fala niemiecka albo drugie pół świata zaleje, albo li też odbita, cofnie się na długie wieki w dawniej zajęte łożysko.

Lecz to nie zaraz jeszcze miało nastąpić. Tymczasem po świecie rozlegał się jęk i wołanie o sprawiedliwość. Czytano list nieszczęsnego narodu w Krakowie i w Pradze i na dworze papieskim i w innych królestwach zachodnich. Do księcia Janusza przywieźli to otwarte pismo owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli. Niejeden więc z Mazurów mimowoli macał korda przy boku i rozważał w duszy, czyby z własnej ochoty pod znak Witoldowy się nie zaciągnąć. Wiedziano, że rad był wielki kniaź hartownej lechickiej szlachcie, równie zażartej w boju, jak litewscy i żmujdzcy bojarzynowie, a więcej ćwiczonej i lepiej zbrojnej. Niektórych popychała też i nienawiść do starych wrogów lechickiego plemienia, a innych litość: „Słuchajcie, słuchajcie! — wołali do królów, książąt i wszystkich narodów Żmujdzini: — Wolnym-ci my byli i szlachetnej krwi ludem, a Zakon chce nas w niewolników przemienić! Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dostatków. Już nędza nasza taka, że nam chyba żebrać lub rozbijać! Jako-że im wodą chrztu nas obmywać, gdy sami nie mają rąk czystych! My chcemy chrztu, ale nie krwią i mieczem, i chcemy wiary, ale jeno takiej, jakiej zacni monarchowie Jagiełło i Witold, nauczają. Słuchajcie i ratujcie nas, bo giniemy! Chce nas Zakon chrzcić, by nas uciemiężał łatwiej; nie księży, lecz zasie katów nam posyła. Już ule nasze, już stada, już wszystkie płody ziemi nam zabrali; już nam ni ryby łowić ni zwierza bić w puszczach nie wolno. Błagamy! słuchajcie, bo oto zgięli nam wolne drzewiej karki do robót nocnych przy zamkach, dzieci nam jako zakładników uwieźli, a żony i córki w oczach mężów i ojców bezczeszczą. Nam słuszniej należałoby jęczeć, niż mówić! Rodziny nasze ogniem popalili, panów do Prus uwięźli, wielkich ludzi: Korkucia, Wassygina, Swolka i Sągajłę, potracili — i jako wilcy krew naszą złopią. O słuchajcie! Przecież my ludzie, nie zwierzęta, przeto wołamy do Ojca Świętego, by nas przez polskich biskupów chrzcić kazał, gdyż całą duszą chrztu pragniemy, ale chrztu wodą łaski, nie żywą krwią zniszczenia."

Tak i tym podobnie skarżyli się Żmujdzini, więc gdy ich skargi i na mazowieckim dworze usłyszano, zaraz kilku rycerzy i dworzan postanowiło iść im w pomoc, rozumiejąc, że księcia Janusza nawet i pytać o pozwolenie nie trzeba, choćby z tego powodu, że księżna jest rodzoną siostrą Witolda. Zawrzały też powszechnym gniewem serca, gdy dowiedziano się od Bronisza i bojarzynków, że wielu szlachetnych młodzianków żmujdzkich, będących zakładnikami w Prusiech, nie mogąc znieść pohańbienia i okrucieństw, jakich dopuszczali się nad nimi Krzyżacy, poodbierało sobie życie.

Hlawa cieszył się zaś z tej ochoty mazowieckiego rycerstwa, myślał bowiem, że im więcej ludzi z Polski pociągnie do księcia Witolda, tem wojna rozgorzeje większa, i tem pewniej można będzie czegoś przeciw Krzyżakom dokazać. Cieszyło go także i to, że zobaczy Zbyszka,

do którego ſię przywiązał, i ſtarego rycerza Maćka, o którym mniemał, że godzien widzenia przy robocie, a razem z nimi nowe dzikie kraje, nieznane miaſta, niewidziane dotychczas rycerſtwo i wojſka, wreſzcie ſamego kſięcia Witolda, którego ſława ſzeroko wówczas rozbrzmiewała po świecie.

I w tej myśli poſtanowił jechać „wielkiemi i pilnemi drogami", nie zatrzymując ſię nigdzie dłużej, niż było dla wypoczynku koniom potrzeba. Owi bojarzynkowie, którzy z Broniſzem z Ciaſnoci przybyli, i inni Litwini znajdujący ſię na dworcu kſiężny, świadomi dróg i przejść wſzelkich, mieli prowadzić jego i ochotniczych rycerzy mazowieckich od oſady do oſady, od grodu do grodu i przez głuche, niezmierne puſzcze, któremi więkſza część Mazowſza i Litwy i Żmujdzi była pokryta.

47.

W laſach, o milę na wſchód za Kownem, które ſam Witold zniſzczył, ſtały główne ſiły Skirwojłły, przerzucając ſię w razie potrzeby błyſkawicą z miejſca na miejſce, czyniąc ſzybkie wyprawy bądź to w granice pruſkie, bądź na zamki i zameczki, będące jeſzcze w rękach krzyżackich, i podſycając płomień wojny w całej krainie. Tam to znalazł wierny giermek Zbyſzka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu ſię ze Zbyſzkiem, przeſpał Czech całą noc, jak zabity, i dopiero na drugi dzień wieczorem poſzedł powitać ſtarego rycerza, który, będąc ſtrudzon i zły, przyjął go gniewliwie, pytając, dlaczego wedle rozkazania w Spychowie nie zoſtał — i udobruchał ſię nieco dopiero wówczas, gdy ów, znalazłſzy ſpoſobną chwilę, w której Zbyſzka nie było w namiocie, uſprawiedliwił ſię przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny, przywiodła go także w tę ſtronę chęć, by w razie czego pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa: „Panienka (mówił), która ma duſzę jako anioł, ſama, przeciw własnemu dobru, modli ſię za Jurandównę. Ale wſzyſtkiemu muſi być koniec. Jeśli Jurandówna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekuiſtą, boć była jako jagnię niewinne, ale jeśli ſię odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa, nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze ſromotą a wſtydem."

Maćko ſłuchał tego z niechęcią, powtarzając od czaſu do czaſu: „Nic ci do tego". Ale Hlawa, poſtanowiwſzy mówić otwarcie, wcale ſię tem nie tropił i w końcu rzekł:

— Lepiej było pannie w Zgorzelicach oſtawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może ſię pokazać inaczej.

— A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? — zapytał z gniewem Maćko. — Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo ſię bała Cztana i Wilka.

— Pozór to tylko był — odpowiedział giermek. — Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oniby tam sobie wzajem przeszkadzali. Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka, i dlategoście ją zabrali.

— Cóżeś tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

— Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posępnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie w takiem podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła — więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego, blizko przy Zbyszku była.

— Dyć mnie to do łba nie przyszło — rzekł jednak, chcąc siebie i Czecha stumanić — jeno sama się jechać naparła.

— Jużci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej niema na świecie, a że braciom bezpieczniej było bez niej, niż z nią — więc i pojechała.

— Tyś wmówił! — zakrzyknął Maćko.

— Ja — i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, coś wskórać. Inaczej lepiej poginiemy.

— Co tu wskórasz — rzekł z niecierpliwością Maćko — z takiem wojskiem, w takiej wojnie!... Będzie-li co lepszego to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchem latem, a teraz, to się jeno tli, nie pali. Kniaź Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwoleństwo a pomoc jego sobie zjednać.

— Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę, albo wiadomość o jej śmierci.

— Albo i nic.

— W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł. Powiadali to nam i w Szczytnie i wszędy, i samiśmy tak myśleli.

— A widziałeś to wojsko? Wyjdź-że za namiot i spójrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

— Ba! Jako słyszałem, chłopy do bitki dobre!

— Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwojłły, który był wodzem Żmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb, i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. Wogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem równie ogromną głowę i takie same pałąkowate nogi. Mówiono

o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu, przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi, i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał, tylko trzy wyrazy: ogień, krew i śmierć. W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli ani przewidzieć, ani im zapobiedz — dlatego bano się go w pogranicznych komturjach.

— Mówiliśmy o wyprawie — rzekł z niezwykłem ożywieniem do Maćka Zbyszko — i dlategośmy tu przyszli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwojłkę na sosnowym pniaku, pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopieroż Maćko zapytał:

— Chcecie wyprawę uczynić, albo co?

— Zamki Niemcom okurzyć...

— Któren?

— Ragnetę, albo Nowe Kowno.

— Ragnetę — rzekł Zbyszko. — Cztery dni temu byliśmy pod Nowem Kownem i pobili nas.

— To właśnie — rzekł Skirwojłło.

— Jakże to?

— Dobrze.

— Poczekajcie — rzekł Maćko — bo ja tutejszej krainy nie znam.. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

— Stąd do Starego Kowna niespełna mila — odpowiedział Zbyszko — a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj chcieliśmy się przeprawić, ale pobili nas u przeprawy. Ścigali nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozproszyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

— A Ragneta?

Skirwojłło, wyciągnął swe długie, jak gałąź, ramię na północ i rzekł:

— Daleko! daleko...

— Właśnie dlatego, że daleko! — odparł Zbyszko. — Spokój tam wokoło, bo co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

— Słusznie prawi — rzekł Skirwojłło.

Maćko zaś pytał:

— Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwojłło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

— Zamek mocny, więc chybaby wypadkiem. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyżę poniszczym, a co nadewszystko, jeńców

nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, a takich chętnie Krzyżacy wykupują, albo-li też wymieniają...

Tu zwrócił się do Skirwojłły:

— Samiście, kniaziu, przyznali, że słusznie prawię, a teraz rozważcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas pobili. Ej! pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

— Kto pobije, ten się napaści najmniej spodziewa — mruknął Skirwojłło.

Lecz tu zabrał głos Maćko — i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragnetą, niż pod Starem Kownem — i że pod Ragnetą łatwiej będzie przedewszystkiem schwytać jakiego znacznego jeńca, któryby mógł posłużyć na wymianę. Mniemał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony, niż porywać się na wyspę, od przyrodzenia obronną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwojłło poruszał kiedy niekiedy wzniesionemi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: „Słusznie prawi" — wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak, że wyglądał całkiem jak garbaty i zmyślił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał — i nic nie mówiąc, począł się żegnać.

— A jako-ż, kniaziu, będzie? — spytał go Maćko — dokąd ruszym?

Ów zaś rzekł krótko:

— Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, poczem stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

— Tfu! cóż to za pień!... To niby słucha, słucha, a potem swoje. Żal gęby drzeć!...

— Słyszałem ci ja o nim, że taki jest — odrzekł Zbyszko: — a po prawdzie, to i cały tu naród taki uporczywy, jak mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem, jakoby kto na wiatr dmuchał .

— To czego pyta?

— Bośmy pasowani rycerze i dlatego, żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

— Pod Nowem Kownem też może najmniej się nas spodziewają — zauważył Czech — właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tem miał ci on słuszność.

— Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którym ja przywodzę — rzekł

Zbyszko, któremu duszno było w namiocie; — trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna chmurna i ciemna, rozświecona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Żmujdzini.

48.

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy, służąc poprzednio u Witolda, napatrzyli się do sytu litewskim i żmujdzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzał na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać, i porównywając ich z polskiem i niemieckiem rycerstwem. Obóz stał w nizinie, otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama nizina, na której stały szałasy, była także grząska i błotnista, lecz oni, nakrzesawszy jodłowych i sosnowych gałązek, przyrzucili ją niemi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszem miejscu. Kniaziowi Skirwojlle sklecono naprędce coś w rodzaju „numy", czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych nieociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi uwito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołem niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody i dżdżom tylko w kożuchach i skórach, które na nagiem ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli, lub leżeli wokół jasnych ognisk, podsycanych suszem i gałęźmi z jałowca, inni grzebali w przygasłych już i zasutych popiołem watrzyskach, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, i swąd przypalonych mięsiw. Między ogniskami widniały stosy broni, poskładane blizko, tak, aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hlawa przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wązkich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom uczynionym z młodych dąbczaków, w które ponabijano krzemieni lub gwoździ, oksom o trzonkach krótkich, podobnym do polskich toporów, któremi posługiwali się jezdni, i oksom o trzonkach tak niemal długich, jak u berdyszów, któremi walczyli piesi. Trafiały się między niemi i miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małem jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksy, smoliste, prażone w ogniu łuki i przy blasku płomienia badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych koniuchów, ale że znaczniejsi bojarowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hlawę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, o po-

tężnych karkach i wogóle tak dziwnych, że zachodni rycerze poczytywali je za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców, niż do prawdziwych koni podobne.

— Na nic tu wielkie, bojowe ogiery — mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda — bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, a tutejszy chmyz przejdzie wszędy, tak prawie, jako i człowiek.

— Ale w polu — odrzekł Czech — tutejsze wielkim niemieckim nie dostoją.

— Jużci nie dostoją. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem, ani go też nie zgoni, bo te są tak właśnie ścigłe, albo i ściglejsze, niż tatarskie.

— A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopy były nieduże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Lud zaś istotnie był dorodny. Przy blasku ognia widać było z pod skór i kożuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopa suchy był, kościsty i długi, wogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rzadziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższali jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księża ze wschodu i zachodu, przychodziły poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkaniec miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka lub Mieczowego kawalera, niosących w głuche leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzięte: starszy obyczaj, starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze dlatego, że czci Krzyża nauczał nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny, z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Skirwojłło i znaczniejsi kniazie i bojarzyni byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet najprostsi i najdziksi wojownicy nosili w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy przed Krzyżem, byle tego Krzyża nie wznosiły niemieckie, nienawistne ręce. „My prosimy chrztu, — wołali do wszystkich książąt i narodów — lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i przedać." Tymczasem, gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drew nie przyrzuca, a od nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że wmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zróśł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami i szumną muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posępny. Ledwie gdzieniegdzie, przy dalszych od Skirwojłłowej „numy" ogniskach, słychać było odgłos fujarki lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał „burtinikas". Wojownicy słuchali z pochylonemi głowami i oczyma

utkwionemi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórami, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie, ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbici, tak zwani „łabdarysy" i „sejtonowie", mruczeli nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i męki. Z głębin leśnych, od strony polan i ługów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr, przysłaniając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć, i cisza zapadła jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pognębienia.

Zbyszko wydał rozkazy ludziom, którym przywodził i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść Połocczan, poczem zwrócił się do swego giermka i rzekł:

— Napatrzyłeś się dowoli, a teraz czas wrócić pod namiot.

— Juźci się napatrzyłem — odpowiedział giermek — alem niebardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.

— Dwa razy: cztery dni temu przy zamku i onegdaj u przeprawy. A teraz chce się Skirwojłłe trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

— Jakże to on nie rozumie, że z takiem wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pachołki.

— I w tem się mylisz, bo to lud chrobry, jak mało który w świecie. Jeno się kupą bezładną biją, a Niemcy szykami. Jeśli się uda szyk rozerwać, to częściej Żmujdzin Niemca, niż Niemiec Żmujdzina położy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

— A już o zamków dobywaniu, to pewnie niema co i myśleć — rzekł Czech.

— Boć nijakiego sprzętu do tego niema — odpowiedział Zbyszko. Sprzęt ma kniaź Witold, i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryziem żadnego zamku, chybaby trafunkiem albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży, podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopciły się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc obaj rycerze, a z nimi i Hlawa, pokładli się przed ogniem na skórach.

Zaczem, posiliwszy się, próbowali zasnąć, lecz nie mogli. Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrzawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana, zapytał:

— Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blizko pod ten Gotteswerder? Co masz w tem?

— Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuśka jest w Ragnecie — i tam się mniej strzegą, niż tu.

— Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon, i tyś ludzi po boru po klęsce zbierał. Ale teraz mówże, jako jest: chceszli ty zawsze tej dziewki szukać?

— Dyć to nie żadna dziewka, jeno moja niewiasta — odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że niemasz na to odpowiedzi. Gdyby Danuśka była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu, poszukiwanie stawało się prostą powinnością, i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny ni na ślubie, ni na weselu, mimowiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewkę.

— Juzci! — rzekł po chwili. — Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał, i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

— Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew Boski jest nade mną.

Wtem Hlawa przypodniósł się z niedźwiedziej skóry, siadł i, nastawiwszy uszu, począł słuchać pilnie a ciekawie.

A Maćko rzekł:

— Pókić sen nie zmorzy, gadaj: coś widział, coś robił i coś wskórał w Malborku?

Zbyszko odgarnął włosy, które dawno niepodcinane z przodu, spadały mu aż na brwi, chwilę posiedział w milczeniu, poczem jął mówić:

— Dałby Bóg, abym ja tyle mógł wiedzieć o mojej Danuśce, ile wiem o Malborku. Pytacie: com tam widział? Widziałem potęgę krzyżacką niezmierną, przez wszystkich królów i przez wszystkie narody wspomaganą, z którą nie wiem, czyli kto w świecie mierzyć się zdoła. Widziałem zamek, jakiego chyba i sam cesarz rzymski nie ma. Widziałem skarby nieprzebrane, widziałem zbroje, widziałem mrowie orężnych mnichów, rycerzy i knechtów — i relikwie, jakby u Ojca Świętego w Rzymie, i mówię wam, że aże dusza zdrętwiała we mnie, bom sobie pomyślał: gdzie się tam komu na nich porywać? kto ich zmoże? kto się im oprze? kogo ich siła nie przełamie?

— Nas! zatracona ich mać! — zawołał, nie mogąc wytrzymać, Hlawa.

Maćkowi dziwne wydały się także słowa Zbyszka więc choć chciało mu się poznać wszystkie przygody młodzianka, jednakże przerwał mu i rzekł:

— A toś zapomniał o Wilnie? A mało to razy zderzaliśmy się z nimi tarczą o tarcz i łbem o łeb! A toś zabaczył, jako im niesporo bywało ku nam — i jak na zatwardziałość naszą narzekali: że to nie dość było konia zapocić i kopię pokruszyć, jeno trza było cudze gardło wziąć, albo swoje dać! Byli tam przecie i goście, którzy nas pozywali — a wszyscy z hańbą odeszli. Cóżeś to tak zmiękł?

— Nie zmiękłem ja, bom się i w Malborku potykał, gdzie też i na ostre gonili. Ale wy ich wszystkiej potęgi nie znacie.

Lecz stary rozgniewał się.

— A ty znasz-li całą moc polską? Widziałeś wszystkie chorągwie w kupie? Nie widziałeś. A ich potęga na krzywdzie ludzkiej i na zdra-

dzie stoi, bo tam i piędzi ziemi niema, którąby była ich. Przyjęli ci ich książęta nasi, jak się ubogiego w dom przyjmuje — i obdarowali, a oni, porósłszy w moc, pokąsali tę rękę, co ich żywiła, jako psi bezecni i wściekli. Ziemię zagarnęli, miasta zdradą pobrali i ot ich moc! Ale choćby wszyscy królowie świata szli im w pomoc — nadejdzie dzień sądu i pomsty.

— Skoroście mi kazali gadać, com widział, a teraz się gniewacie, to wolej zaniecham — rzekł Zbyszko.

Maćko zaś sapał przez czas jakiś gniewnie, po chwili jednak uspokoił się i rzekł:

— Albo to raz tak bywa! Stoi ci w lesie chojar jako wieża sroga, myślałbyś, że wiek wieków postoi, a stukniesz w niego godnie obuchem, to ci się pustką obezwie. I próchno się w nim sypie. Taka to i krzyżacka moc. Ale jam ci kazał gadać, coś robił i coś wskórał. Goniłeś tam na ostre — powiadasz?

— Goniłem. Hardo i niewdzięcznie mnie tam z początku przyjęli, bo było im już wiadomo, żem się z Rotgierem potykał. Może i przygodziłoby mi się co złego, jeno żem z listem od księcia przyjechał, i pan Lorche, którego oni szanują, od ich złości mnie bronił. Ale potem przyszły uczty i gonitwy, w których Pan Jezus mi pobłogosławił. Toście słyszeli, że mnie brat Mistrzów, Ulryk, pokochał — i dał mi rozkaz od samego Mistrza na piśmie, aby mi Danuśkę wydali?

— Powiadali nam ludzie, — rzekł Maćko — iże popręg mu pękł przy siedle, co ty widzęcy, nie chciałeś na niego uderzać.

— Juści podniosłem kopię w górę, a on mnie od tej pory pokochał. Hej, miły Boże! srogie mi pisma dali, z któremi mogłem od zamku do zamku jeździć i szukać. Już myślałem, że koniec mojej biedy i mego frasunku — a teraz ot tu siedzę, w dzikiej stronie, bez rady nijakiej, w strapieniu i smutku, a codzień ci mi gorzej i teskniej...

Tu umilkł na chwilę, poczem rzucił z całej mocy wiórem w ogień, aż iskry posypały się z płonących głowni i rzekł:

— Bo jeśli ta nieboga, jęczy tu gdzie w jakim zamku, a myśli, żem jej zabaczył, to niechby mnie nagła śmierć nie minęła!

I tyle w nim się widocznie zapiekło zniecierpliwienia i bólu, że jął znów rzucać wiórami w ogień, jak gdyby nagłym ślepym bólem uniesion, a oni zdumieli się bardzo, nie przypuszczali bowiem, żeby tak kochał Danuśkę.

— Pohamuj się! — zawołał Maćko. — Jakoże było z onym glejtem? Zali komturowie nie chcieli rozkazów Mistrza słuchać?

— Pohamujcie się, panie — rzekł Czech — Bóg was pocieszy — może wkrótce.

Zbyszkowi zaś łzy błysły w źrenicach, ale uspokoił się nieco i rzekł:

— Otwierali odmieńce zamki i więzienia. Byłem wszędy, szukałem. Aż wybuchła ta wojna — i w Gierdawach powiedział mi wójt von Heindeck, że wojenne prawo inne, i że glejty, wydane w czasie pokoju, nic nie znaczą. Pozwałem go zaraz, ale nie stanął, i z zamku mnie wyżenąć kazał.

— A w innych? — spytał Maćko.

— Wszędy to samo. W Królewcu komtur, który jest zwierzchnikiem gierdawskiego wójta, nie chciał nawet czytać mistrzowego pisma, mówiąc, że wojna wojną — i głowę, póki cała, kazał mi precz unosić. Pytałem i gdzieindziej — wszędy to samo.

— To teraz rozumiem — rzekł stary rycerz. — Widząc, że nic nie wskórasz, wolałeś tu przyjść, gdzie chociaż pomsta może się zdarzyć.

— Tak jest — odpowiedział Zbyszko. Myślałem także, że jeńców nabierzem i może zamków kilka ogarniem, ale oni nie umieją zamków zdobywać.

— Hej, przyjdzie sam kniaź Witold, to będzie inaczej.

— Daj go Bóg.

— Przyjdzie. Słyszałem na mazowieckim dworze, że przyjdzie, a może i król z nim razem z całą potęgą polską.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im przyjście Skirwojłły, który wychylił się niespodzianie z cienia i rzekł:

— W pochód ruszamy.

Usłyszawszy to rycerze, powstali żywo na nogi, Skirwojłło zaś zbliżył ku ich twarzom swoją ogromną głowę i rzekł przyciszonym głosem:

— Są nowiny: Idą do Nowego Kowna posiłki. Dwóch rycerzy prowadzi knechtów, bydło i spyżę. Zaskoczym im.

— To przejdziem Niemen? — zapytał Zbyszko.

— Tak. Wiem bród.

— A w zamku wiedzą o posiłkach?

— Wiedzą i wyjdą im na spotkanie, ale na tych uderzycie wy.

I począł im objaśniać, gdzie mają się zasadzić, tak, aby niespodzianie uderzyć na tych, którzy pokwapią się z zamku. Chodziło mu o to, by jednocześnie stoczyć dwie bitwy i pomścić ostatnie porażki, co mogło się udać tem łatwiej, że po świeżem zwycięstwie nieprzyjaciel czuł się zupełnie bezpieczny. Więc wskazał im miejsce i czas, w którym mieli tam zdążyć, a resztę zdał na ich męstwo i przemyślność. Oni zaś uradowali się w sercach, gdyż zaraz poznali, że mówi do nich wojownik doświadczony i sprawny. Skończywszy, kazał im iść za sobą i wrócił do swej numy, w której czekali już na niego kniaziowie i bojarzyni setnicy. Tam powtórzył rozkazy, wydał nowe, a wreszcie podniósłszy do ust piszczałkę, wyrzeźbioną z wilczej kości, wydał donośny i przeraźliwy świst, który usłyszano od jednego do drugiego końca obozu.

Na ów odgłos zakotłowało się coś wedle przygasłych ognisk; tu i ówdzie poczęły strzelać iskry, potem błysnęły płomyki, które rosły i wzmagały się z każdą chwilą, a przy ich blasku widać było dzikie postacie wojowników, zbierające się koło stosów z bronią. Bór zadrgał i zbudził się. Po chwili z głębin poczęły dochodzić wołania koniuchów, pędzących stada ku obozwi.

49.

Doszli rankiem do Niewiazy i przeprawili się: kto konno, kto przy ogonie końskim, kto na pęku łóz. Poszło to tak prędko, że aż Maćko, Zbyszko, Hlawa i ci z Mazurów, którzy przyszli na ochotnika, dziwili się sprawności tego ludu i teraz dopiero zrozumieli, dlaczego ni bory, ni bagna, ni rzeki nie mogły powstrzymać wypraw litewskich. Wyszedłszy z wody, żaden nie zewlókł odzieży, nie zrzucił kożucha, ni wilczury, jeno suszyli się nadstawiając grzbiety słońcu, aż dymiło się z nich, jak ze smolarni — i po małym wypoczynku ruszyli śpiesznym pochodem na północ. Ciemnym wieczorem dotarli do Niemna. I tu przeprawa, jako przez rzekę wielką, a do tego nabrzmiałą wiosennemi wodami, nie była łatwa. Bród, o którym wiedział Skirwojłło, zmienił się miejscami w topiel, tak, że konie musiały pływać więcej, niż na ćwierć stajania. Dwóch ludzi uniósł prąd tuż przy boku Zbyszka i Czecha, którzy napróżno chcieli ich ratować, albowiem z powodu ciemności i wzburzonej wody rychło stracili ich z oczu, oni zaś nie śmieli wołać o ratunek, ponieważ poprzednio wódz wydał rozkaz, aby przeprawa odbyła się w jak najgłębszem milczeniu. Jednakże wszyscy inni dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym przesiedzieli bez ognia do rana.

O pierwszym brzasku całe wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały. Z jednym Skirwojłło poszedł w głąb kraju na spotkanie owych rycerzy, prowadzących posiłki do Gotteswerder, drugi powiódł Zbyszko wstecz ku wyspie, aby zaskoczyć ludziom zamkowym, którzy naprzeciw tamtym wyjść chcieli. Dzień czynił się w górze jasny i pogodny, ale na dole bór, łęgi i krze przysłonione były gęstym, białawym oparem, który całkiem zakrywał dal. Była to dla Zbyszka i jego ludzi okoliczność pomyślna, albowiem Niemcy, ciągnący od zamku, nie mogli ich dojrzeć i w porę cofnąć się przed bitwą. Młody rycerz rad był z tego niezmiernie i tak mówił do jadącego obok Maćka:

— Pierwej uderzym się o siebie, niż się w takim tumanie zobaczym, daj Bóg tylko, aby nie zrzedniał choć do południa.

To rzekłszy, poskoczył naprzód, by wydać setnikom, jadącym na przodzie rozkazy, niebawem jednak wrócił i rzekł:

— Niezadługo trafim na gościniec, idący od przewozu przed wyspą do środka kraju. Tam się w gęstwinie położym i będziem na nich czekać.

— Skąd wiesz o gościńcu? — zapytał Maćko.

— Od chłopów tutejszych, których mam między ludźmi kilkunastu. Oni to wszędy nas prowadzą.

— A jak daleko od zamku i od wyspy przypadniesz?

— W mili.

— To dobrze, bo gdyby było bliżej, mogliby z zamku knechtów w pomoc pchnąć, a tak — nietylko nie nadążą, ale i krzyku nie usłyszą.

— Juzci, że o tem pomyślałem.

— Pomyślałeś o jednem, pomyślże i o drugiem: jeśli to wierne chłopy, wyślij ich dwóch, albo trzech naprzód, aby, który pierwszy obaczy Niemców, zaraz dawał nam znać, że idą.

— Ba, już i to zrobione!

— Tedy jeszcze ci coś powiem. Kaz stu albo dwustu ludziom, zaraz, jak tylko bitka się zacznie, nie mieszać się do niej, jeno skoczyć i przeciąć drogę od wyspy.

— Pierwsza rzecz! — odpowiedział Zbyszko — ale i takie rozkazy wydane. Wpadną Niemce jakoby w potrzask, albo jako w oklepce!

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał na bratanka życzliwem okiem, rad bowiem, że Zbyszko mimo wczesnych lat życia tak dobrze wojnę rozumiał, więc uśmiechnął się i mruknął:

— Nasza prawa krew!

Lecz giermek Hlawa uradowany był w duszy jeszcze bardziej od Maćka, gdyż nie było dla niego większej nad bitwę rozkoszy.

— Nie wiem, — rzekł — jak ci nasi ludzie będą się potykali, ale idą cicho, sprawnie, i ochotę znać po nich okrutną. Jeżeli ów Skirwojłło dobrze wszystko wymądrował, to żywa noga nie powinna wyjść.

— Da Bóg, mało się ich wymknie — odpowiedział Zbyszko. — A kazałem jak najwięcej jeńców brać, a gdyby trafił się między nimi rycerz, albo brat zakonny, to już koniecznie nie zabijać.

— A czemu to, panie? — spytał Czech.

Zbyszko zaś odrzekł:

— Pilnujcie i wy, aby tak było. Rycerz, jeśli z gości, to włóczy się po miastach, po zamkach, siła ludzi widuje i siła nowin słyszy, a jeśli zakonny, to jeszcze więcej. Toć Bogiem a prawdą, po to ja tu przyjechałem, żeby kogoś znaczniejszego pochwycić i zamianę uczynić. Jedna mi ta droga ostała... jeżeli jeszcze ostała.

To rzekłszy, dał ostrogi koniowi i znów wysunął się na czoło oddziału, by wydać ostatnie rozporządzenia i uciec razem od smutnych myśli, na które i brakło czasu, albowiem miejsce na zasadzkę wybrane nie było już zbyt odległe.

— Czemu to młody pan tuszy, że jego niewiastka jeszcze żyje i że się w tych stronach znajduje? — spytał Czech.

— Bo jeśli jej Zygfryd odrazu w Szczytnie w pierwszym zapędzie nie zamordował — odparł Maćko — to sprawiedliwie można się spodziewać, że jeszcze żywa. A jeśliby ją był zamordował, toby szczycieński ksiądz nie był nam takich rzeczy rozpowiadał, które przecie i Zbyszko słyszał. Ciężka to rzecz nawet dla największego okrutnika podnieść rękę na niewiastę bezbronną, ba! na dziecko niewinne.

— Ciężka, ale nie dla Krzyżaka. A księcia Witoldowe dzieci?

— Prawda jest, że wilcze oni serca mają, wszelako i to prawda, że w Szczytnie jej nie zgładził, a że sam w tę stronę pociągnął, więc może i ją w którymś zamku ukrył.

— Hej! żeby to się tak udało tę wyspę i ten zamek ubiedz!

— Spojrzyj jeno na tych ludzi — rzekł Maćko.

— Pewnie! pewnie! ale mam ci ja jedną myśl, którą młodemu panu powiem.

— Choćbyś miał i dziesięć, dzidami murów nie rozwalisz.

To powiedziawszy, ukazał Maćko szereg dzid, w które większa część wojowników była uzbrojona, poczem zapytał:

— Widziałeś kiedy takie wojsko?

A Czech rzeczywiście nic podobnego nie widział. Przed nimi jechał gęsty zastęp wojowników i jechał bezładnie, bo w boru i wśród krzów trudno się było trzymać szeregów. Zresztą piesi pomieszani byli z konnymi i by nadążyć krokom końskim, trzymali się grzyw, kulbak i ogonów. Barki wojowników pokryte były skórami wilków, rysiów, niedźwiedzi, z głów sterczały to kły dzicze, to rogi jelenie, to kosmate uszy, tak, że gdyby nie broń stercząca w górę i nie smoliste łuki i kobiałki ze strzałami na plecach, patrzącym z tyłu mogłoby się wydać, zwłaszcza we mgle, że to całe gromady dzikich leśnych bestyj wyruszyły z głębi leśnych mateczników — i ciągną gdzieś na wyraj, gnane żądzą krwi lub głodem. Było w tem coś strasznego, a zarazem tak niezwyczajnego, jak gdyby się patrzało na ów dziw, zwany gomon, w czasie którego, jak wierzy prostactwo, zrywają się i idą przed się zwierzęta, a nawet kamienie i krzaki.

To też na ów widok, jeden z owych włodyczków z Łękawicy, którzy przybyli z Czechem, zbliżył się do niego, przeżegnał się i rzekł:

— W imię Ojca i Syna! Dyć ze stadem prawych wilków idziem, nie z ludźmi.

Hlawa zaś, choć sam pierwszy raz podobne wojsko oglądał, odrzekł jako doświadczony człowiek, który wszystko przeznał i niczemu się nie dziwi:

— Wilcy stadem w zimie chadzają, ale krzyżacka jucha smakuje i na wiosnę.

A rzeczywiście była już wiosna — maj! Leszczyna, którą bór był pokryty, podszyła się jasną zielenią. Z mchów puszystych a miękkich, po których stąpały bez szelestu nogi wojowników, wydobywały się białe i sinawe sasanki, oraz młode jagodzisko i ząbkowana paproć. Zmoczone obfitymi dżdżami drzewa pachniały wilgotną korą, a z leśnego podłoża biła surowa woń opadłego igliwia i próchna. Słońce grało tęczą na zwieszonych wśród liści kroplach, i ptactwo głosiło się w górze radośnie.

Oni szli coraz prędzej, bo Zbyszko przynaglał. Po chwili przyjechał znów na tyły oddziału, gdzie był Maćko z Czechem i mazurskimi ochotnikami. Nadzieja dobrej bitki widocznie ożywiła go znacznie, bo w twarzy nie miał zwykłej troski, i oczy świeciły mu po dawnemu.

— Nuże! — zawołał. — W przodku nam teraz iść, nie w ociągu!

I powiódł ich na czoło oddziału.

— Słyszcie — rzekł im jeszcze: — może zaskoczym Niemców niespodzianie, ale jeśli co wymiarkują i w szyku zdołają stanąć, to jużci pierwsi uderzym, bo zbroja na nas godniejsza i miecze lepsze!

— Tak ono i będzie! — rzekł Maćko.

Inni zaś osadzili się mocniej w kulbakach, jakby już zaraz mieli uderzyć. Ten i ów nabrał w piersi powietrza i zmacał, czy kord łatwo z pochwy wychodzi.

Zbyszko powtórzył im jeszcze raz, aby jeśli wśród pieszych knechtów znajdą się rycerze, lub bracia w białych płaszczach na zbroi, nie zabijać ich, jeno w niewolę brać, poczem skoczył znów do przewodników i po chwili zatrzymał oddział.

Przyszli do gościńca, który od przystani, leżącej naprzeciw wyspy biegł w głąb kraju. Właściwie nie był to jeszcze prawdziwy gościniec, ale raczej szlak niedawno przez lasy przetarty i wyrównany tylko o tyle, aby wojska i wozy od biedy mogły przejść po nim. Z obu stron wznosił się wysokopienny bór, a po obu brzegach piętrzyły się poscinane dla otwarcia drogi pnie starych sosen. Leszczynowe podszycie było miejscami tak gęste, że przesłaniało całkiem głąb leśną. Wybrał przytem Zbyszko miejsce na zakręcie, aby nadchodzący, nie mogąc nic dojrzeć zdala, nie mieli czasu albo cofnąć się w porę, albo ustawić w bojowym szyku. Tam zajął oba boki szlaku i kazał czekać nieprzyjaciela.

Zżyci z borem i z leśną wojną Żmujdzini przypadli tak sprawnie za kłody, za wykroty, za leszczynowe krze i kępy młodej jedliny — jakby ich ziemia pochłonęła. Człowiek się nie ozwał, koń nie parsknął. Od czasu do czasu, koło zaczajonych ludzi przeciągał to drobny, to gruby zwierz leśny, i dopiero niemal otarłszy się o nich, rzucał się z przerażeniem i sukiem w bok. Chwilami zrywał się powiew i napełniał bór szumem uroczystym i poważnym, chwilami cichnął, a wówczas słychać było tylko odległe kukanie kukułek i blizkie kucie dzięciołów.

Żmujdzini słuchali z radością tych odgłosów, albowiem szczególnie dzięcioł był dla nich zwiastunem dobrej wróżby. Było zaś owych ptaków pełno w tym boru, i kowanie dochodziło ze wszystkich stron, usilne, szybkie, podobne jakby do pracy ludzkiej. Rzekłbyś, wszystkie tam miały swe kuźnie i od wczesnego rana zabrały się do gorliwej roboty. Maćkowi i Mazurom zdawało się, że słyszą cieślów, pobijających krokwie na nowym domu, i przypomniały im się strony rodzinne.

Lecz czas upływał i dłużył się, a tymczasem nic nie było słychać prócz szumu leśnego i głosów ptactwa. Mgła leżąca na dole zrzedła, słońce podniosło się znacznie i jęło przygrzewać, a oni leżeli ciągle. Wreszcie Hlawa, któremu znudziło się oczekiwanie i milczenie, pochylił się do ucha Zbyszka i począł szeptać:

— Panie... Jeśli da Bóg, żaden z psubratów żyw nie ujdzie, czybyśmy nie mogli nocą pociągnąć pod zamek, przeprawić się i zdobyć go niespodzianie.

— A to myślisz, że tam łodzi nie strzegą, i hasła nie mają?

— Strzegą i mają — odszepnął Czech; — ale jeńcy pod nożem hasło powiedzą, ba! sami się po niemiecku do nich obezwą. Byle na wyspę się dostać, to sam zamek...

Tu przerwał, gdyż Zbyszko położył mu nagle dłoń na ustach, albowiem z gościńca doszło krakanie kruka.

— Cichaj! — rzekł — to znak!

Jakoż we dwa pacierze później, na szlaku zjawił się Żmujdzin na małym kudłatym koniu, którego kopyta obwinięte były w skórę baranią, tak, aby nie wydawały tętentu i nie zostawiały śladów na błocie.

Jadąc, rozglądał się bystro na obie strony, i nagle usłyszawszy z gąszczy odpowiedź na krakanie, nurknął w las, a po chwili był już przy Zbyszku.

— Idą!... — rzekł.

50.

Zbyszko począł wypytywać śpiesznie, jak idą, ile jest jazdy, ilu knechtów pieszych, a przedewszystkiem, jak daleko się jeszcze znajdują. Z odpowiedzi Żmujdzina dowiedział się, że oddział nie przenosi stu pięćdziesięciu wojowników, z tych pięćdziesięciu konnych, pod wodzą nie Krzyżaka, lecz jakiegoś świeckiego rycerza, że idą w szyku, prowadząc za sobą puste wozy, a na nich zapas kół, że przed oddziałem idzie w odległości dwóch strzeleń z łuku „straża", złożona z ośmiu ludzi, która zjeżdża często z gościńca i bada bór i gąszcza, a nakoniec, że znajdują się o ćwierć mili.

Zbyszko niebardzo był rad, że idą w szyku. Wiedział z doświadczenia, jak trudno w takim razie rozerwać sfornych Niemców, i jak taka „kupia" umie bronić się, cofając się, i ciąć nakształt osaczonego przez psy odyńca. Natomiast ucieszyła go wiadomość, iż są niedalej, niż o ćwierć mili, wymiarkował bowiem z tego, że ów zastęp ludzi, których poprzednio wysłał, zajął już był tyły Niemcom, i że w razie ich klęski nie przepuści żadnej żywej duszy. Co do czaty, idącej w przodzie oddziału, niewiele z niej sobie robił, gdyż spodziewając się z góry, że tak będzie, rozkazał już poprzednio swym Żmujdzinom albo przepuścić ową straż spokojnie, albo też, gdyby ludzie z niej chcieli badać wnętrze boru, wyłowić ich po cichu co do jednego.

Lecz to ostatnie polecenie okazało się zbytecznem. Podjazd nadciągnął niebawem. Ukryci pod wykrotami bliżej gościńca Żmujdzini widzieli doskonale tych knechtów, jak stanąwszy na skręcie, poczęli z sobą rozmawiać. Naczelnik, tęgi rudobrody Niemiec, nakazawszy im znakiem milczenie, począł następnie nasłuchiwać. Przez chwilę widać było, że waha się, czyby nie zjechać w bór, wreszcie, słysząc tylko kowanie dzięciołów, widocznie pomyślał, iż ptactwo nie pracowałoby tak swobodnie, gdyby w lesie był kto ukryty, więc machnął ręką i powiódł oddział dalej.

Zbyszko przeczekał, póki nie znikli za następnym skrętem, poczem zbliżył się cicho do samego gościńca na czele cięższej zbrojnych mężów. Był między nimi Maćko, Czech, dwóch włodyków z Łękawicy, trzech młodych rycerzy z pod Ciechanowa i kilkunastu znaczniejszych, lepiej zbrojnych bojarów żmujdzkich. Dalsze ukrywanie się nie było już zbyt potrzebne, miał więc Zbyszko zamiar, zaraz gdy zjawią się Niemcy, wysunąć się na środek szlaku, skoczyć, uderzyć w nich i rozerwać. Gdyby to się udało i gdyby walka ogólna zamieniła się na szereg pojedyńczych, mógł już być pewien, że Żmujdzini poradzą sobie z Niemcami.

I znów naſtała chwila ciszy, którą mącił tylko zwykły gwar leśny. Ale wkrótce do uszu wojowników doszły od wſchodniej ſtrony gościńca i głoſy ludzkie. Zrazu pomieszane i dość odległe, ſtopniowo ſtawały ſię coraz bliższe i wyraźniejsze.

Zbyszko w tej ſamej chwili wyprowadził ſwój oddział na środek gościńca i uſtawił go w klin. Sam ſtał na czele, mając za ſobą bezpośrednio Maćka i Czecha. W naſtępnym szeregu ſtało trzech ludzi, w naſtępnym czterech. Zbrojni byli wszyſcy dobrze: brakło im wprawdzie potężnych „drzew" czyli kopii rycerſkich, gdyż te ſtawały ſię w leśnych pochodach wielką zawadą; natomiaſt mieli w ręku krótkie i lżejsze dzidy żmujdzkie do pierwszego natarcia, a miecze i topory przy ſiodłach do walki w ściſku.

Hlawa naſtawił pilnie uszy, poſłuchał, a naſtępnie szepnął do Maćka:

— Śpiewają, zatracona ich mać!

— Ale mi to dziwno, że tam bór zamyka ſię przed nami, i że ich nie widać dotąd — odpowiedział Maćko.

Na to Zbyszko, który już dalsze ſkrywanie ſię, a nawet ciche mówienie uważał za zbyteczne, odwrócił ſię i rzekł:

— Bo gościniec idzie wedle ſtrumienia i przez to często ſię zakręca. Obaczym ſię nieſpodzianie, ale to lepiej.

— A weſoło ci jakoś śpiewają! — powtórzył Czech.

Iſtotnie zaś Niemcy śpiewali wcale nie pobożną pieśń, co łatwo było z ſamej nuty wymiarkować. Wſłuchawszy ſię można również było odróżnić, że śpiewa nie więcej, niż kilkunaſtu ludzi, a tylko jeden wyraz powtarzają wszyſcy, który też wyraz rozlegał ſię jak grzmot po leſie.

I tak ſobie szli ku śmierci, weſeli i pełni ochoty.

— Wnet już ich ujrzym — rzekł Maćko.

Przyczem twarz zmierzchła mu nagle i nabrała jakiegoś wilczego wyrazu, gdyż dusza w nim była nieużyta i zawzięta, a oprócz tego nie odpłacił dotychczas za ów poſtrzał z kuszy, który otrzymał wtedy, gdy dla ratowania Zbyszka wyprawił ſię z liſtem ſioſtry Witoldowej do Miſtrza.

Więc teraz poczęło ſię w nim burzyć ſerce, a zaś żądza pomſty oblała go, jak ukrop.

— Nie będzie temu dobrze, któren ſię z nim pierwszy zczepi — pomyślał Hlawa, rzuciwszy okiem na ſtarego rycerza.

Tymczaſem powiew przyniósł wyraźnie okrzyk, którzy powtarzali wszyſcy chórem: „Tandaradei! tandaradei!" — i wraz Czech uſłyszał ſłowa znajomej ſobie pieśni:

. . . . . .

„Bi den roſen er wol mac,
Tandaradei!
Merken wa mir'z houlet lac..."

. . . . . .

Wtem pieśń urwała ſię, albowiem po ſtronach ßlaku rozległo ſię krakanie tak gwarne i rozgłośne, jakby w tym zakątcie laſu odbywał ſię ſejm kruków. Niemców zadziwiło jednak to, ſkąd ſię mogło wziąć ich tyle i dlaczego wßyſtkie głoſy odzywają ſię z ziemi, nie zaś z wierzchołków drzew. Pierwßy ßereg knechtów ukazał ſię właśnie na ſkręcie i ſtanął, jak wryty, na widok nieznanych, ſtojących naprzeciw jeźdźców.

A Zbyßko w tej ſamej chwili pochylił ſię na ſiodle, uderzył konia oſtrogami i ſkoczył:

— W nich!

Za nim ſkoczyli inni. Z obu ſtron boru podniósł ſię ſtraßliwy okrzyk żmujdzkich wojowników. Około dwuſtu kroków dzieliło Zbyßkowych ludzi od Niemców, którzy w mgnieniu oka pochylili las dzid ku jeźdźcom, podczas gdy dalße ßeregi zwróciły ſię z równą ßybkością czołem ku obu ſtronom laſu, aby bronić ſię od napaści z boków. Byliby podziwiali ową ſprawność polſcy rycerze, gdyby znaleźli czas na podziw i gdyby konie nie niosły ich w najwiękßym pędzie ku błyßczącym, naſtawionym grotom.

Pomyślnym dla Zbyßka wypadkiem, jazda niemiecka znajdowała ſię z tyłu oddziału przy wozach. Rußyła ona wprawdzie zaraz ku ſwojej piechocie, ale ani przejechać przez nią, ani jej ominąć, a tem ſamem i zaſłonić od pierwßego uderzenia nie mogła. Otoczyło przytem ją ſamą mrowie Żmujdzinów, którzy poczęli ſię wyſypywać z gąßczów, jak jadowity rój os, których gniazdo niebaczny podróżny nogą potrąci. Zbyßko uderzył ſię tymczaſem razem ze ſwoimi ludźmi o piechotę.

I uderzył bez ſkutku. Niemcy, powbijawßy tylne końce ciężkich włóczni i berdyßów w ziemię trzymali je tak równo i krzepko, że lekkie mierzyny żmujdzkie przełamać tego muru nie mogły. Maćków koń, cięty berdyßem w goleń, wſpiął ſię na tylne nogi, a naſtępnie zarył nozdrzami w ziemię. Przez chwilę śmierć zawiſła nad ſtarym rycerzem, lecz on, świadom wßelkiej bitwy i doświadczony w przygodach, wypuścił nogi ze ſtrzemion, chwycił potężną dłonią za oſtrze niemieckiej dzidy, która zamiaſt pogrążyć ſię w jego pierſiach poſłużyła mu tem ſamem jako oparcie, poczem zerwał ſię, uſkoczył między konie, i dobywßy miecza, począł nacierać nim na dzidy i berdyße, równie, jak drapieżny krzeczot naciera zajadle na ſtado długodziobych żórawi.

Zbyßko, gdy koń jego powſtrzymywany w zapędzie, ſiadł prawie całkiem na zadzie, podparł ſię dzirytem — i złamał go, więc jął ſię także miecza. Czech, który wierzył nadewßyſtko w topór, rzucił nim w kupę Niemców — i chwilowo pozoſtał bezbronny. Jeden z włodyków z Łękawicy zginął, drugiego ogarnął na ten widok ßał wściekłości, tak, iż począł wyć jak wilk i, wſpinając ſkrwawionego konia, parł naoślep w środek zaſtępu. Bojarowie żmujdzcy ſiekli brzeßczotami po grotach i drzewcach, z po za których ſpoglądały twarze knechtów, jakby przejęte zdziwieniem i zarazem jakby pokurczone przez upór i zawziętość. Lecz ſtało ſię, że ßyk nie zoſtał rozerwany. Żmujdzini też, którzy

uderzyli z boków, odskoczyli zrazu od Niemców, jak od jeża. Wrócili wprawdzie niebawem z większą jeszcze natarczywością, ale wskórać nie mogli.

Niektórzy powdrapywali się w mgnieniu oka na przydrożne chojary i poczęli szyć z łuków w środek knechtów, których dowódca, spostrzegłszy to, wydał rozkaz cofania się ku swojej jeździe. Kusznicy niemieccy jęli się też odstrzeliwać, więc od czasu do czasu niejeden ukryty między gałęziami sosen Żmujdzin spadał jak dojrzała szyszka na ziemię i konając, darł rękoma mchy leśne, lub rzucał się nakształt wyjętej z wody ryby. Otoczeni ze wszystkich stron, Niemcy nie mogli wprawdzie liczyć na zwycięstwo, widząc jednak skuteczność obrony, mniemali, że może choć garść ich zdoła się wycofać z pogromu i dostać się napowrót do rzeki.

Żadnemu nie przyszło na myśl poddać się, gdyż sami nie oszczędzając jeńców, wiedzieli, że nie mogą rachować na litość przywiedzionego do rozpaczy i zbuntowanego ludu. Cofali się więc w milczeniu chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, to podnosząc, to zniżając włócznie i berdysze, tnąc, bodąc, rażąc z kusz, o ile zamęt bitwy na to pozwalał, i zbliżając się ciągle ku swojej jeździe, która walczyła na śmierć i życie z innymi zastępami nieprzyjaciół.

Wtem stało się coś niespodzianego, co rozstrzygnęło losy uporczywej bitwy. Oto ów władyka z Łękawicy, którego pochwycił szał po śmierci brata, pochylił się, nie zsiadając z konia, i podniósł ciało z ziemi, pragnąc widocznie zabezpieczyć od stratowania i złożyć gdzieś tymczasem w spokojnem miejscu, aby łatwiej odnaleźć je po bitwie. Ale w tej samej chwili nowa fala wściekłości napłynęła mu do głowy i odjęła zupełnie przytomność, albowiem, zamiast zjechać z drogi, uderzył na knechtów i rzucił trupa na ostrze włóczni, które utkwiwszy w jego piersiach, brzuchu i biodrach, pochyliły się pod ciężarem, nim zaś knechci zdołali je wydobyć, szaleniec runął przerwą w szeregi, przewracając ludzi, jak burza.

W mgnieniu oka dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu, dziesiątki włóczni przebiły boki konia, ale tymczasem szeregi zwichrzyły się i zanim przyszły do sprawy, wpadł naprzód jeden z bojarów żmujdzkich, który najbliżej się znajdował, po nim Zbyszko, po nim Czech, i straszliwy zamęt powiększał się z każdą chwilą. Inni bojarowie chwycili również za ciała poległych i poczęli je rzucać na ostrza; z boków natarli znów Żmujdzini. Cały sforny dotychczas zastęp zakolebał się, zatrząsł jak dom, w którym pękają ściany, rozszczepił się jak drzewo pod klinem i wreszcie prysnął.

Bitwa zmieniła się w jednej chwili w rzeź. Długie dzidy niemieckie i berdysze stały się w ścisku nieużyteczne. Natomiast brzeszczoty konnych zgrzytały po czaszkach i karkach. Konie wpierały się w gęstwę ludzką, przewracając i tratując nieszczęsnych knechtów. Jeźdźcom łatwo było ciąć z góry, cięli więc bez odetchnienia i spoczynku. Z boków drogi wysypywały się coraz nowe gromady dzikich wojowników w wilczych skórach i z wilczą żądzą krwi w oczach. Wycie ich głuszyło błagalne głosy o litość i jęki konających. Zwyciężeni rzucali broń;

niektórzy usiłowali wymknąć się do lasu; niektórzy, udając zabitych, padali na ziemię; niektórzy stali prosto, mając twarze blade jak śnieg i zmrużone oczy; inni modlili się; jeden, któremu umysł pomieszał się widocznie z przerażenia, począł grać na piszczałce, przyczem uśmiechał się, podnosząc w górę oczy, póki maczuga żmujdzka nie strzaskała mu głowy. Bór przestał szumieć, jakby się przeląkł śmierci.

Stopniała wreszcie garść krzyżacka. Czasem tylko w gąszczach zabrzmiał odgłos krótkiej walki, lub przeraźliwy krzyk rozpaczy. Zbyszko i Maćko, a za nimi wszyscy konni, skoczyli teraz ku jeździe.

Ta zaś broniła się jeszcze, ustawiona kręgiem, tak zawsze bowiem bronili się Niemcy, gdy nieprzyjaciel zdołał ich przeważną siłą otoczyć. Jeźdźcy, siedząc na dobrych koniach i w zbrojach lepszych od piechurów walczyli mężnie i z godnym podziwu uporem. Nie było między nimi żadnego białego płaszcza, jeno przeważnie średnia i drobniejsza szlachta pruska, która miała obowiązek stawać do wojny na rozkaz Zakonu. Konie ich po większej części były także zbrojne, niektóre w kropierze, a wszystkie w żelazne naczółki z osadzonym we środku stalowym rogiem. Dowództwo nad nimi dzierżył wysoki smukły rycerz w ciemnobłękitnym pancerzu i w takimże hełmie z zapuszczoną przyłbicą.

Z głębin leśnych padała na nich ulewa strzał, ale groty odbijały się bezskutecznie od naczółków, od pancerzy i hartownych naramienników. Wał pieszych i jezdnych Żmujdzinów otaczał ich zblizka, lecz oni bronili się, tnąc i bodąc długimi mieczami, tak zażarcie, iż przed kopytami końskiemi leżał wieniec trupów. Pierwsze szeregi napastników chciały się cofać i, parte z tyłu — nie mogły. Naokół uczynił się ścisk i zamęt. Oczy olśniewały od migotania włóczni, od błysków mieczów. Konie poczęły kwiczeć, kąsać i wierzgać. Przypadli bojarzyni żmujdzcy, przypadł Zbyszko i Czech i Mazurowie. Pod ich potężnymi ciosami poczęła się „kupia" chwiać i kołysać, jak bór pod wichrem, oni zaś na podobieństwo drwali rąbiących gęstwinę leśną, posuwali się zwolna naprzód w trudzie i znoju.

Lecz Maćko kazał zbierać na pobojowisku długie berdysze niemieckie i, uzbroiwszy nimi blizko trzydziestu dzikich wojowników, począł przeciskać się przez skrzęt ku Niemcom. Dotarłszy, krzyknął: „Konie po nogach!" — i wnet okazał się skutek straszliwy. Rycerze niemieccy nie mogli dosięgnąć mieczami jego ludzi, a tymczasem berdysze poczęły kruszyć okrutnie golenie końskie. Poznał wówczas błękitny rycerz, że nadchodzi koniec bitwy, i że pozostaje tylko albo przebić się przez ten zastęp, który odcinał drogę powrotną, albo zginąć.

Wybrał to pierwsze — i w mgnieniu oka z jego rozkazu ława rycerzy zwróciła się czołem w stronę, z której nadeszła. Żmujdzini wnet wsiedli im na karki, atoli Niemcy, zarzuciwszy na plecy tarcze i tnąc od przodu i na boki, rozerwali otaczający ich pierścień, rozpuścili konie i poczęli gnać nakształt huraganu ku wschodowi. Skoczył im na spotkanie ów oddział, który właśnie nadjeżdżał do bitwy, lecz zgniecion przez przewagę zbroic i koni, padł jednej chwili pokotem, jak łan zboża pod wichrem. Droga do zamku była wolna, ale ocalenie

dalekie . niepewne, albowiem konie żmujdzkie ściglejsze były od niemieckich. Błękitny rycerz zrozumiał to doskonale.

— Biada! — rzekł sobie w duszy: — nie uratuje się z nich nikt, chyba że własną krwią okupię ich ratunek.

I pomyślawszy to, począł krzyczeć na najbliższych, aby wstrzymali konie, sam zaś zatoczył koło — i nie bacząc, czy ktokolwiek posłuchał jego wezwania, zwrócił się czołem ku nieprzyjacielowi.

Zbyszko biegł pierwszy, więc uderzył go Niemiec w zakrywający oblicze okap od hełmu, ale go nie strzaskał i twarzy nie uszkodził. Wówczas Zbyszko, zamiast odpowiedzieć, cięciem na cięcie, chwycił rycerza wpół, związał się z nim i pragnąc koniecznie wziąć go żywcem, usiłował wyciągnąć z siodła. Ale strzemię pękło mu od zbytniego parcia, i spadli obaj na ziemię. Przez chwilą tarzali się, walcząc rękami i nogami, wnet jednak niezwykle krzepki młodzian pokonał przeciwnika i, przygniótłszy mu brzuch kolanami, trzymał pod sobą, jak wilk trzyma psa, który ośmielił się stawić mu w gęstwinie czoło.

I trzymał niepotrzebnie, gdyż Niemiec zemdlał. Tymczasem nadbiegł Maćko i Czech, których dostrzegłszy, Zbyszko począł wołać:

— Bywaj i wiąż! Znaczny to jakiś rycerz — i pasowany!

Czech zeskoczył z konia, ale widząc bezwładność rycerza, nie wiązał go, natomiast rozbroił, odpiął naramienniki, odjął pas z wiszącą przy nim mizerykordją, poprzecinał rzemienie, podtrzymujące hełm — i wreszcie zabrał się do śrub, zamykających przyłbicę.

Lecz, zaledwie spojrzał w twarz rycerza, zerwał się i zawołał:

— Panie! panie, patrzcie tu jeno!

— De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko.

A de Lorche leżał z bladą, spotniałą twarzą i z zamkniętemi oczyma, bez ruchu do trupa podobny.

51.

Zbyszko kazał go włożyć na jeden ze zdobycznych wozów, naładowanych nowemi kołami i osiami dla owej wyprawy, która ciągnęła zamkowi w pomoc. Sam przesiadł się na innego konia i ruszyli razem z Maćkiem w dalszą pogoń za pierzchającymi Niemcami. Nie była to pogoń zbyt trudna, albowiem konie niemieckie złe były do ucieczki, zwłaszcza na znacznie rozmiękłym od wiosennych deszczów szlaku. Szczególnie Maćko, mając pod sobą ścigłą a lekką klacz po zabitym włodyce z Łękawicy, minął po kilku stajach wszystkich niemal Żmujdzinów i wnet potem dojechał pierwszego rajtara. Wezwał go wprawdzie, wedle rycerskiego zwyczaju, żeby, albo oddał się w niewolę, albo zawrócił do walki, ale gdy ów, udając głuchego, cisnął nawet tarczę dla ulżenia koniowi, i pochyliwszy się, bódł mu ostrogami boki, ciął go okrutnie stary rycerz szerokim toporem między łopatki — i zwalił z konia.

I tak mścił się na uciekających za ów zdradziecki postrzał, który niegdyś otrzymał, a oni zaś biegli przed nim nakształt stada jeleni, mając w sercu trwogę nieznośną, a w duszy chęć ni do walki ni do obrony, jeno do ucieczki przed strasznym mężem. Kilku wpadło w bór, ale jeden ulgnął przy ruczaju, i tego zdusili powrozem Żmujdzini. Za pozostałymi całe gromady rzuciły się w gąszcze, w których wnet rozpoczęły się dzikie łowy, pełne wrzasków, okrzyków i nawoływań. Brzmiały nimi długo głębiny kniei, dopóki wszystkich nie pochwytano. Zaczem stary rycerz z Bogdańca, a z nim Zbyszko i Czech, wrócili na pierwsze pobojowisko, na którem leżeli wycięci piesi knechtowie. Trupy ich były już poobdzierane do naga, a niektóre poszpecone okrutnie rękoma mściwych Żmujdzinów. Zwycięstwo było znaczne, i lud upojon radością. Po ostatniej klęsce Skirwojłły pod samem Gotteswerder już zniechęcenie poczęło było ogarniać żmujdzkie serca, zwłaszcza, że przyobiecane przez Witolda posiłki nie przychodziły tak prędko, jak się ich spodziewano; teraz jednakże odżyła nadzieja i zapał rozgorzał na nowo, właśnie jak płomień, gdy nowych na węgle drew dorzucisz.

Zbyt wielu było poległych, i Żmujdzinów i Niemców, by ich grześć, lecz Zbyszko kazał wykopać dzidami doły dla dwóch włodyków z Łękawicy, którzy głównie przyczynili się do zwycięstwa i pochować ich pod sosnami, na których korze wyciosał mieczem krzyże. Poczem, przykazawszy Czechowi pilnować pana de Lorche, który wciąż był nieprzytomny, ruszył ludzi i szedł śpiesznie tym samym szlakiem ku Skirwojłle, aby na wszelki wypadek podać mu pomoc skuteczną.

Lecz po długim pochodzie trafił na puste już pobojowisko, zasypane, jak i poprzednie, trupami Żmujdzinów i Niemców. Łatwo zrozumiał Zbyszko, że groźny Skirwojłło musiał też odnieść znaczne zwycięstwo, gdyby bowiem został rozbity, spotkaliby ciągnących ku zamkowi Niemców. Lecz zwycięstwo musiało być krwawe, gdyż dalej, po za właściwem polem bitwy, leżały jeszcze gęsto ciała poległych. Doświadczony Maćko wywnioskował z tego, że część Niemców zdołała się nawet wycofać z pogromu.

Czy Skirwojłło ścigał ich, czy nie, trudno było odgadnąć, gdyż ślady były błędne i zatarte jedne przez drugie. Wywnioskował jednakże również Maćko, że bitwa odbyła się dość dawno, wcześniej może od Zbyszkowej, albowiem trupy były poczerniałe i wzdęte, a niektóre nadżarte już przez wilki, które pierzchały w gąszcz za zbliżeniem się zbrojnych mężów.

Wobec tego postanowił Zbyszko nie czekać na Skirwojłłę i wrócić na dawne bezpieczne obozowisko. Przybywszy późną nocą, znalazł już tam żmujdzkiego wodza, który przyciągnął nieco wcześniej. Ponurą zwykle twarz jego rozświecała tym razem złowroga radość. Zaraz począł rozpytywać o bitwę, a dowiedziawszy się o zwycięstwie, rzekł głosem, do krakania kruka podobnym:

— Z ciebiem rad i z siebiem rad. Nieprędko przyjdą posiłki, a jeśli kniaź wielki nadejdzie, będzie też rad, bo zamek będzie nasz.

— Kogoś wziął z jeńców? — spytał Zbyszko.

— Płoć jeno, żadnej szczuki. Była jedna, było dwie, ale uszły. Zębate szczuki! ludzi nacięły i uszły!

— Mnie Bóg zdarzył jednego — odrzekł młodzian. — Możny to rycerz i znamienity, chociaż świecki — gość!

A straszny Żmujdzin objął się za szyję rękoma, poczem prawicą uczynił gest, jakby pokazując idący w górę od szyi powróz:

— Będzie mu tak! — rzekł — tak jako i innym... tak.

Na to Zbyszko zmarszczył brwi.

— Nie będzie mu ani tak, ani inak, gdyż to mój jeniec i przyjaciel. Razem nas książę Janusz pasował, i jednym palcem tknąć ci go nie dam.

— Nie dasz?

— Nie dam.

I poczęli patrzeć sobie w oczy, marszcząc brwi. Zdawało się, że obaj wybuchną, lecz Zbyszko, nie chcąc kłótni ze starym wodzem, którego cenił i szanował, a mając przytem serce rozkołysane wypadkami dnia, chwycił go nagle na szyję, przycisnął do piersi i zawołał:

— Zali chciałbyś mi go wydrzeć, a z nim i nadzieję ostatnią? Za co mnie krzywdzisz?

Skirwojłło nie bronił się uściskom, a wreszcie wysunąwszy głowę z ramion Zbyszka, począł spoglądać na niego z podełba i sapać.

— No — rzekł po chwili milczenia — jutro każę moich jeńców powiesić, ale jeśliby ci który był potrzebny, to ci go też daruję.

Poczem uściskali się po raz wtóry i rozeszli w dobrej zgodzie, ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który rzekł:

— Złością widać z nim nic nie wskórasz, ale dobrocią możesz go jako wosk ugnieść.

— Taki to już naród — odpowiedział Zbyszko — jeno Niemce o tem nie wiedzą.

I to rzekłszy, kazał przynieść przed ognisko pana de Lorche, który wypoczywał w szałasie; jakoż po chwili przyprowadził go Czech, rozbrojonego, bez hełmu, jeno w skórzanym kaftanie, na którym wyciśnięte były pręgi od pancerza, i w czerwonej mycce na głowie. De Lorche wiedział już przez giermka, czyim jest jeńcem, ale właśnie dlatego przyszedł chłodny, dumny, z twarzą, na której przy blasku płomienia można było czytać wzgardę i upór.

— Dziękuj Bogu — rzekł mu Zbyszko — iże cię podał w moje ręce, bo ci nic ode mnie nie grozi.

I wyciągnął ku niemu przyjaźnie dłoń, lecz de Lorche ani się poruszył.

— Nie podaję ręki rycerzom, którzy cześć rycerską pohańbili, z Saracenami przeciw chrześcijanom walcząc.

Jeden z obecnych Mazurów przełożył jego słowa, których znaczenia Zbyszko i tak się zresztą domyślił. Więc w pierwszej chwili zagotowała się w nim krew, jak ukrop.

— Głupcze! — krzyknął, chwytając mimowolnie za rękojeść mizerykordji.

A de Lorche podniósł głowę.

— Zabij mnie — rzekł — wiem, iż wy nie szczędzicie jeńców.

— A wy ich szczędzicie? — zawołał, nie mogąc znieść spokojnie takich słów, Mazur. — A to nie powiesiliście na brzegu wyspy wszystkich, których ujęliście w poprzedniej bitwie. Dlatego i Skirwojłło wiesza waszych.

— Tak uczyniono — odrzekł de Lorche — ale to byli poganie.

Jednakże widać było jakby pewien wstyd w jego odpowiedzi, i nie trudno było odgadnąć, że w duszy takiego uczynku nie pochwalał.

Tymczasem Zbyszko ochłonął i ze spokojną powagą rzekł:

— De Lorche! Z jednych rąk dostaliśmy pasy i ostrogi; znasz mnie też i wiesz, że cześć rycerska nad życie i szczęście mi milsza — przeto słuchaj co ci pod przysięgą na świętego Jerzego powiem: wielu z tych ludzi nie od wczoraj przyjęło chrzest, a ci, którzy nie są jeszcze chrześcijanami, jak do zbawienia wyciągają ręce do Krzyża, ale zali wiesz, kto im przeszkody czyni, do zbawienia nie dopuszcza i chrztu broni?

Mazur przetłómaczył w lot Zbyszkowe słowa, więc de Lorche spojrzał pytającym wzrokiem w twarz młodzianka.

A ów zaś rzekł:

— Niemce!

— Nie może być! — zakrzyknął geldryjski rycerz.

— Na włócznię i na ostrogi Świętego Jerzego, Niemce! Bo gdyby tu krzyż zapanował, utraciliby pozór do najazdów, do panowania nad tą ziemią i do gnębienia tego nieszczęsnego ludu. Tyś ich przecie poznał, de Lorche, i wiesz najlepiej, zali sprawiedliwe są ich uczynki.

— Alem mniemał, że grzechy gładzą, z pogany walcząc i do chrztu ich nakłaniając.

— Chrzczą ci oni ich mieczem i krwią, nie wodą zbawienia. Czytaj jeno tę kartę, a zaraz poznasz, czy nie ty to właśnie krzywdzicielom, drapieżnikom i starościcom piekielnym przeciw wierze i miłości chrześcijańskiej służysz.

To rzekłszy podał mu list Żmujdzinów do królów i książąt, który bardzo był wszędy upowszechnion, a de Lorche wziął go i zaczął przebiegać oczyma, przy blasku ognia.

I przebiegł prędko, albowiem nie była mu obcą trudna sztuka czytania, zaczem zdumiał się niepomiernie i rzekł:

— Zali to wszystko prawda?

— Tak mnie i tobie dopomóż Bóg, któren najlepiej widzi, że nie własnej ja tu tylko sprawie, ale i sprawiedliwości służę.

De Lorche zamilkł na chwilę, poczem rzekł:

— Jeńcem twoim jestem.

— Daj rękę — odpowiedział Zbyszko. — Bratem moim jesteś, nie jeńcem.

Więc podali sobie prawice i zasiedli do wspólnej wieczerzy, którą Czech kazał przygotować pachołkom. Podczas posiłku de Lorche dowiedział się z niemniejszem zdumieniem, że Zbyszko mimo listów nie

odzyskał Danusi, i że komturowie zaprzeczyli ważności glejtom z powodu wybuchu wojny.

— To teraz rozumiem, dlaczegoś tu jest — rzekł do Zbyszka — i dziękuję Bogu, że ci mnie jeńcem oddał, bo tak myślę, że za mnie oddadzą ci zakonni rycerze kogo zechcesz, gdyż inaczej wielki byłby krzyk na Zachodzie, albowiem z możnego rodu pochodzę...

Tu uderzył się nagle dłonią w myckę i zawołał:

— Na wszystkie relikwie z Akwizgranu! Toż na czele posiłków, które nadciągały do Gotteswerder stali Arnold von Baden i stary Zygfryd von Loewe. Wiemy to z listów, które do zamku przyszły. Zali ich nie wzięto w niewolę?

— Nie! — rzekł, zrywając się, Zbyszko. — Nikogo ze znaczniejszych! Ale prze Bóg! wielką mi nowinę powiadasz. Prze Bóg! są inni jeńce, od których dowiem się, nim ich powieszą, czyli nie było jakiej niewiasty przy Zygfrydzie.

I począł wołać na pachołków, aby świecili mu łuczywem, i biegł w stronę, gdzie byli pobrani przez Skirwojiłłę jeńce. De Lorche, Maćko i Czech biegli z nim razem.

— Słuchaj! — mówił mu po drodze Geldryjczyk. — Puścisz mnie na słowo, sam w całych Prusiech będę jej szukał, a gdy ją znajdę, wrócę do ciebie, i wówczas mnie za nią wymienisz.

— Jeżeli żywa! jeżeli żywa! — odrzekł Zbyszko.

Ale tymczasem dobiegli do ławy Skirwojiłłowych jeńców. Jedni z nich leżeli na wznak, drudzy stali przy pniach, okrutnie przykrępowani do nich łykiem. Łuczywo jasno oświecało głowę Zbyszka, więc wszystkie oczy nieszczęśników zwróciły się ku niemu.

Wtem z głębi zawołał jakiś donośny, pełen przerażenia głos:

— Panie mój i obrońco! ratuj mnie!

Zbyszko porwał z rąk pachołka parę płonących szczypek, skoczył z niemi do drzewa, z pod którego dochodził głos — i podniósłszy je w górę, zawołał:

— Sanderus!

— Sanderus! — powtórzył ze zdumieniem Czech.

A ów, nie mogąc poruszyć skrępowanemi rękoma, wyciągnął szyję i jął znowu wołać:

— Miłosierdzia!... wiem, gdzie jest córka Juranda!... ratujcie mnie!

52.

Pachołkowie rozwiązali go zaraz, lecz on, mając członki zdrętwiałe, upadł na ziemię, a gdy go podniesiono, począł mdleć raz po razu, gdyż był i srodze poturbowan. Próżno z rozkazu Zbyszka zawiedziono go przed ognisko, dano jeść i pić, natarto sadłem, a następnie okryto ciepło skórami: Sanderus nie mógł przyjść do siebie, a następnie zapadł w sen tak głęboki, że zaledwie na drugi dzień w południe zdołał go Czech rozbudzić.

Zbyszko, którego niecierpliwość paliła jak ogniem, przyszedł do niego natychmiast. Z początku nie mógł się jednak niczego dowiedzieć, albowiem, czy to ze strachu po strasznych przejściach, czy z folgi, jaka ogarnia zwykle słabe dusze, gdy grożące im niebezpieczeństwo przeminie, porwał Sanderusa płacz tak niepohamowany, iż próżno usiłował odpowiadać na zadawane mu pytania. Łkanie ściskało mu gardło, wargi się trzęsły, a z oczu płynęły łzy tak obfite, jakby życie miało razem z niemi wypłynąć.

Wreszcie przemógłszy się nieco i pokrzepion kobylem mlekiem, którem Litwa nauczyła krzepić się od Tatarów, począł biadać, że go „synowie Beliala" zbili na leśne jabłko dzidami, że mu zabrali konia, na którym wiózł relikwie wyjątkowej mocy i ceny, a nakoniec, że gdy go przykrępowano do drzewa, mrówki pogryzły mu tak nogi i całe ciało, iż czeka go napewno śmierć, nie dziś, to jutro.

Lecz Zbyszka schwycił w końcu gniew, więc porwał się i rzekł:

— Odpowiadaj, powsinogo, na to, o co pytam, i bacz, aby cię coś gorszego nie spotkało!

— Jest tu opodal mrowisko czerwonych mrówek — ozwał się Czech. — Każcie go, panie, na niem położyć, a wnet język w gębie odnajdzie.

Hlawa nie mówił tego szczerze i uśmiechał się nawet, albowiem w sercu miał dla Sanderusa życzliwość, lecz ów przeraził się i jął wołać:

— Miłosierdzia! Miłosierdzia! Dajcie mi jeszcze tego pogańskiego napitku, a opowiem wszystko, com widział i czegom nie widział!

— Jeśli choć słowo zełżesz, wbiję ci klin między zęby! — odrzekł Czech.

Lecz zbliżył mu powtórnie do ust kubłak z kobylem mlekiem, ów zaś chwycił go, przywarł do niego chciwie ustami, jak dziecko do piersi matki, i począł łykać, otwierając i zamykając naprzemian oczy. Aż gdy wyciągnął ze dwie kwarty, lub więcej, otrząsnął się, położył sobie na kolanach kubłak i rzekł, jakby się poddając konieczności:

— Paskudztwo!...

Poczem do Zbyszka:

— Ale teraz pytaj, zbawco!

— Była li moja niewiasta w tym oddziele, z którym szedłeś?

Na twarzy Sanderusa odbiło się pewne zdziwienie. Słyszał on był wprawdzie, że Danusia była żoną Zbyszka, ale że ślub był tajny, i że zaraz ją porwano, więc w duszy zawsze myślał o niej tylko jak o Jurandowej córce.

Jednakże odpowiedział z pośpiechem:

— Tak, wojewodo! była! ale Zygfryd de Loewe i Arnold von Baden przebili się przez nieprzyjaciół.

— Widziałeś ją? — pytał z bijącem sercem młodzian.

— Oblicza jej nie widziałem, panie, ale widziałem między dwoma końmi kolebkę z wikliny, całkiem zamkniętą, w której kogoś wieźli, i strzegła jej ta sama jaszczurka, ta sama służka zakonna, która przy-

jeździała od Danvelda do Leśnego Dworu. A i śpiewanie słyszałem też żałosne, z kolebki dochodzące...

Zbyszko aż pobladł ze wzruszenia, siadł na pniu i przez chwilę nie wiedział, o co pytać więcej. Maćko i Czech byli też wzruszeni niepomiernie, gdyż ważną i wielką usłyszeli nowinę. Czech pomyślał może przytem o swojej kochanej pani, która została w Spychowie, a dla której wiadomość ta była jakby wyrokiem na niedolę.

Nastała chwila milczenia.

Wreszcie chytry Maćko, który Sanderusa nie znał — i zaledwie coś o nim poprzednio zasłyszał, spojrzał na niego podejrzliwie i spytał:

— Coś ty za jeden? i coś robił między Krzyżaki?

— Com za jeden, wielmożny rycerzu — odpowiedział włóczęga — niech ci na to odpowiedzą: ten waleczny książę (tu wskazał Zbyszka) i ten mężny czeski hrabia, którzy mnie znają oddawna.

Tu widocznie kumys począł na niego działać, bo się ożywił, i zwróciwszy się do Zbyszka, począł mówić donośnym głosem, w którym nie było już ani śladu poprzedniego osłabienia.

— Panie, ocaliliście mi podwójnie życie. Bez was byliby mnie wilcy zjedli, albo dosięgła kara biskupów, którzy, wprowadzeni w błąd przez moich nieprzyjaciół (o, jak ten świat jest niegodziwy!), wydali rozkaz ścigania mnie za sprzedaż relikwii, których podejrzewali prawdziwość. Ale ty, panie, przygarnąłeś mnie: dzięki tobie i wilcy mnie nie strawili, i pościg nie mógł dosięgnąć, albowiem brano mnie za jednego z twoich ludzi. Nigdy też nie zbrakło mi przy tobie ni jadła ni napoju — lepszego, niż to tu kobyle mleko, którem się brzydzę, ale którego napiję się jeszcze, aby okazać, że ubogi, pobożny pielgrzym nie cofa się przed żadnem umartwieniem.

— Gadaj, skomorochu, żywo, co wiesz i nie błaznuj! — zawołał Maćko.

Lecz ów podniósł powtórnie kubłak do ust, opróżnił go całkowicie, i jakby nie słysząc słów Maćkowych, zwrócił się do Zbyszka:

— Za to też pokochałem cię, panie. Święci, jak mówi Pismo, dziewięć razy na godzinę grzeszyli, więc i Sanderusowi czasem zdarzy się zgrzeszyć, ale Sanderus nie był i nie będzie niewdzięcznikiem. Przeto, gdy przyszło na cię nieszczęście, pamiętasz, panie, com ci rzekł: oto pójdę od zamku do zamku, i nauczając ludzi po drodze, będę szukał twojej straty. Kogom nie pytał! gdziem nie był! — długoby mówić; dość, żem znalazł, i od tej chwili, nie tak rzep przyczepi się do opończy, jako ja przyczepiłem się do starego Zygfryda. Uczyniłem się sługą jego i od zamku do zamku, od komturji do komturji, od miasta do miasta, chodziłem za nim bez przestanku, aż do ostatniej bitwy.

Zbyszko tymczasem opanował wzruszenie i rzekł:

— Wdzięcznym ci jest, i nie ominie cię nagroda. Ale teraz odpowiadaj, o coć zapytam: zali przysięgniesz mi na zbawienie duszy, że ona żyje?

— Przysięgam na zbawienie duszy! — odrzekł poważnie Sanderus.

— Czemu Zygfryd opuścił Szczytno?

— Nie wiem, panie, jeno się domyślam: Nie był ci on nigdy starostą w Szczytnie, a opuścił je, może bojąc się rozkazów Mistrza, który, jako mówiono, pisał do niego, aby brankę oddał księżnie mazowieckiej. Może przed owem pismem uciekał, gdyż dużo zapiekła się w nim od boleści i pomsty za Rotgiera. Powiadają teraz, że to był jego syn. I nie wiem, jako tam było, jeno wiem, że aż mu się coś w głowie pomieszało z zaciekłości, i że póki żyw, póty córki Jurandowej — chciałem rzec: młodej pani — z rąk nie popuści.

— Dziwne mi się to wszystko zdawa — przerwał nagle Maćko — bo gdyby ów stary pies taki był na całą Jurandową krew zawzięty, toby był Danuśkę zabił.

— I chciał to uczynić — odparł Sanderus — ale coś-ci go takiego potkało, że aż potem ciężko zachorzał i o mało ostatniej pary nie puścił. Siła o tem szepczą sobie jego ludzie. Niektórzy prawią, jako idąc nocą na wieżę, aby młodą panią zamordować, napotkał Złego ducha — inni, że właśnie Anioła. Dość, że go znaleziono na śniegu przed wieżą całkiem bez duszy. Teraz jeszcze, gdy o tem wspomni, to mu włosy dębem stają na głowie, a przez to i sam nie śmie podnieść na nią ręki, i boi się innym rozkazać. Wozi z sobą niemowę, dawnego kata szczycieńskiego, ale nie wiadomo dlaczego, bo ów się też boi, jako i wszyscy.

Słowa te uczyniły wielkie wrażenie. Zbyszko, Maćko i Czech zbliżyli się do Sanderusa, który przeżegnał się i tak dalej mówił:

— Niedobrze tam być między nimi. Nieraz słyszałem i widziałem rzeczy, od których ciarki po skórze chodzą. Waszym Miłościom mówiłem już, że staremu komturowi popsowało się coś w głowie. Ba! jakoże inaczej miało być, kiedy go duchy z tamtego świata nawiedzają! Byle sam został, poczyna coś koło niego sapać tak właśnie, jakby komuś tchu nie stawało. A to jest ów Danveld, którego zabił strażny pan ze Spychowa. To Zygfryd mówił mu: „Czego? Msze ci na nic, po cóż przychodzisz?" A tamten tylko zgrzytnie i potem znów sapie. Ale częściej jeszcze przychodzi Rotgier, po którym też siarką w izbie czuć, i z nim jeszcze więcej komtur rozmawia: „Nie mogę! (mówi mu) nie mogę! Jak sam przyjdę, to wówczas, ale teraz nie mogę!" Słyszałem także, jak go się pytał: „Zali ci to ulży, synku?" I tak ciągle. A i to bywa, że przez dwa albo i trzy dni do nikogo słowem się nie odezwie, na twarzy zaś widać mu boleść okrutną. Kolebki onej pilnie strzeże i on, i ta służka zakonna, tak, że młodej pani nikt nigdy dojrzeć nie może.

— Nie znęcają się nad nią? — spytał głucho Zbyszko.

— Szczerą prawdę Waszej Miłości powiem, żem bicia i krzyków nie słyszał, ale śpiewanie żałosne tom słyszał, a czasem jakoby ptak kwilił...

— Gorze! — ozwał się przez zaciśnięte zęby Zbyszko.

Lecz Maćko przerwał dalsze pytania:

— Dość tego — rzekł. — Praw teraz o bitwie. Widziałeś? Jakoże uszli i co się z nimi stało?

— Widziałem — odpowiedział Sanderus — i wiernie opowiem Bili się z początku okrutnie, ale gdy poznali, że ich osłoczono ze wszystkich stron, dopieroż poczęli myśleć, jakoby się wyrwać. I rycerz Arnold, który jest prawy olbrzym, pierwszy rozerwał koło i taką drogę otworzył, że przedostał się przez nią i stary komtur razem z kilkoma ludźmi i z kolebką, która była między dwoma końmi przywiązana.

— A to pogoni nie było? Jakże się stało, że ich nie dościgli?

— Pogoń była, ale nie mogła nic poradzić, bo jak dotarła zbyt blizko, to rycerz Arnold zwracał się ku niej i potykał się ze wszystkimi. Boże broń każdego od spotkania się z nim, gdyż to jest człek tak strasznej siły, że nic mu to — i ze stoma się potykać. Trzy razy się tak zwracał, trzy razy pościg powstrzymał. Ludzie, co byli przy nim, poginęli — wszyscy. Sam on był, widzi mi się, ranny i konia miał rannego, ale ocalał, a przytem dał czas staremu komturowi do przezpiecznej ucieczki.

Maćko, słuchając tego opowiadania, pomyślał jednak, że Sanderus prawdę mówi, przypomniał sobie bowiem, iż, począwszy od miejsca, w którem Skirwojłło stoczył bitwę, droga na długiej przestrzeni w stronę odwrotną pokryta była trupami Żmujdzinów, pociętych tak strasznie, jakby ich pobiła ręka olbrzyma.

— Wszelako, jakżeś ty to wszystko mógł widzieć? — zapytał Sanderusa.

— Widziałem to — odparł włóczęga — bom się chycił za ogon jednego z tych koni, które niosły kolebkę, i uciekałem razem, pókim nie dostał kopytem w brzuch. Naonczas mnie zemdliło, i dlategom się dostał w ręce waszmościów.

— Juž-ci mogło się tak przygodzić — rzekł Hlawa — ale ty bacz, abyś czego nie zełgał, gdyż źlebyś na tem wyszedł.

— Znak jeszcze jest — odpowiedział Sanderus — kto chce, może go obaczyć; wszelako, lepiej jest na słowo uwierzyć, niż być potępionym za niedowiarstwo.

— Choćbyś i prawdę czasem niechcący rzekł, będziesz wył za świętokupstwo.

I poczęli się przekomarzać, jak to mieli zwyczaj czynić dawniej, lecz dalszą rozmowę przerwał Zbyszko:

— Szedłeś tamtym krajem, więc go znasz. Jakież tam są zamki i gdzie, jak mniemasz, mogli się schronić Zygfryd i Arnold?

— Zamków tam w pobliżu nijakich niemasz, gdyż wszystko tam jedna puszcza, przez którą niedawno przerąbany jest ów gościniec. Wsi i osad też niema, bo co było, to sami Niemcy popalili, wskroś tej przyczyny, że jak się zaczęła ta wojna, to tamtejszy lud, który z tego samego plemienia, co i tutejszy, pochodzi, podniósł się także przeciw krzyżackiemu panowaniu. Ja myślę, panie, że Zygfryd i Arnold tułają się teraz po boru i albo będą chcieli wrócić skąd przyszli, albo przedostać się ukradkiem do onej fortecy, do której ciągnęliśmy przed ową nieszczęsną bitwą.

— Pewnikiem tak i jest! — rzekł Zbyszko.

I zamyślił się głęboko. Ze zmarszczonych jego brwi i skupionego

oblicza łatwo było wymiarkować, z jakim rozmyśla wysiłkiem, ale nie trwało to długo. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Hlawa! niech konie i pachołcy będą gotowi, bo wraz ruszamy w drogę.

Giermek, który nie miał nigdy zwyczaju zapytywać się o powody rozkazów, podniósł się i nie rzekłszy ni słowa, skoczył ku koniom; natomiast Maćko wytrzeszczył na bratanka oczy i zapytał ze zdumieniem:

— A... Zbyszko? Hej! A ty dokąd? Co?... Jakoże?...

Lecz ów odpowiedział równie pytaniem:

— A wy co myślicie? Zalim nie powinien?

Na to zamilkł stary rycerz. Zdumienie gasło stopniowo na jego twarzy; ruszył głową raz i drugi, a wreszcie odetchnął z głębi piersi i rzekł, jakby dopowiadając sobie samemu:

— No! juzci... Niema rady!

I poszedł tez ku koniom, Zbyszko zaś zwrócił się do pana de Lorche i za pośrednictwem umiejącego po niemiecku Mazura rzekł mu:

— Tego od ciebie nie mogę chcieć, abyś mi przeciw tym ludziom pomagał, z którymi pod jedną chorągwią służyłeś, przeto jesteś wolny, i jedź gdzie chcesz.

— Nie mogę ci teraz mieczem przeciw czci mojej rycerskiej pomagać — odparł de Lorche — ale co do wolności, to tez nie. Zostaję twoim jeńcem na słowo, i stawię się na wezwanie, dokąd każesz. A ty w razie jakowejś przygody pamiętaj, że za mnie każdego jeńca Zakon wymieni, gdyż nietylko z możnego, lecz i zasłużonego Krzyżakom rodu pochodzę.

I poczęli się żegnać, położywszy sobie wedle zwyczaju dłonie na ramionach i całując się w policzki, przyczem de Lorche rzekł:

— Pojadę do Malborga, albo na dwór Mazowiecki, abyś wiedział, że jeśli nie tu, to tam mnie znajdziesz. Poseł twój niech mi jeno powie dwa słowa: Lotaryngia-Geldrya!

— Dobrze — odpowiedział Zbyszko. — Pójdę jeszcze do Skirwojłły, by ci dał znak, któren Żmujdzini szanują.

Poczem udał się do Skirwojłły. Stary wódz dał znak i nie czynił żadnych trudności co do odjazdu, wiedział bowiem o co chodzi, lubił Zbyszka, był mu wdzięczny za ostatnią bitwę i przytem nie miał żadnego prawa zatrzymywać rycerza, który należał do innego kraju, a przyszedł tylko z własnej ochoty. Więc dziękując za znaczną usługę, jaką oddał, opatrzył go żywnością, która w opustoszałym kraju przydać się mogła, i pożegnał życzeniem, aby kiedyś w życiu mogli się jeszcze napotkać w jakiejś wielkiej i ostatecznej z Krzyżakami rozprawie.

Temu zaś śpieszno było, albowiem trawiła go jakby gorączka. Ale przyszedłszy do pocztu, zastał wszystko gotowe, a między ludźmi i stryja Maćka, już na koniu, uzbrojonego w kolczugę i w hełmie na drogę. Więc zbliżywszy się do niego, rzekł:

— To i wy ruszacie ze mną?

— A zaś co mam robić? — spytał nieco opryskliwie Maćko.

Na to Zbyszko nie odrzekł nic, pocałował tylko zbrojną prawicę stryja, poczem siadł na koń i ruszyli.

Sanderus jechał z nimi. Drogę aż do pobojowiska wiedzieli dobrze, ale dalej on miał być przewodnikiem. Liczyli też i na to, że jeśli napotkają gdzie w lasach chłopów miejscowych, to ci, jako nienawidzący swych panów krzyżackich, pomogą im w tropieniu starego komtura i owego Arnolda von Baden, o którego nadludzkiej mocy i męstwie tyle Sanderus opowiadał.

53.

Do pobojowiska, na którem Skirwoiłło wyciął Niemców, droga była łatwa, bo znajoma. Dotarli też do niego rychło, ale przejechali je pośpiesznie z przyczyny nieznośnego zaduchu, jaki wydawały niepogrzebione ciała. Przejeżdżając, spędzili prócz wilków, ogromne stada wron, kruków i kawek, poczem jęli szukać na szlaku śladów. Jakkolwiek przeszedł tą drogą poprzednio cały oddział, jednakże doświadczony Maćko znalazł bez trudu na stratowanej ziemi wyciski olbrzymich kopyt, idące w kierunku powrotnym, i tak począł mniej biegłej w wojennych sprawach młodzieży rzecz objaśniać:

— Szczęście, iż od bitwy nie było deszczu. Baczcie jeno: koń Arnoldów, jako niosący męża nad miarę wielkiego, musiał też być ogromny, a i to łacno wymiarkować, że cwałując w ucieczce, mocniej nogami bił w ziemię, niż idąc powoli w tamtę stronę i większe powybijał doły. Patrz, któren masz oczy, jako na wilgotnych miejscach znać podkowy! Da Bóg, wyślakujemy psubratów godnie, byle przedtem gdzie za murami ochrony nie znaleźli.

— Sanderus mówił — odpowiedział Zbyszko — że niemasz tu w pobliżu zamków, i tak to jest, gdyż kraj ten świeżo Krzyżacy zajęli i nie zdążyli się w nim pobudować. Gdzie im się schronić? Chłopi, którzy tu mieszkali, są w obozie u Skirwojłły, bo to ten sam lud, co i Żmujdzini... Wsie, jako mówił Sanderus, sami Niemcy popalili, a baby z dziećmi w głębiach borowych zatajone. Byle koni nie żałować, to ich dognamy.

— Koni trzeba żałować, bo choćby się nam i udało, to potem w nich zbawienie nasze — rzekł Maćko.

— Rycerz Arnold — wtrącił Sanderus — był w bitwie kiścieniem po plecach uderzon. Nie zważał na to, bił się i zabijał, ale później musiało go rozebrać, bo tak zawsze bywa, że zrazu nic, a potem boli. Z tej przyczyny nie lza im zbyt prędko umykać, a może trzeba będzie i wypoczywać.

— A ludzi, mówiłeś, niema przy nich nijakich? — zapytał Maćko.

— Jest dwóch, którzy między siodłami kolebkę wiozą, a prócz nich rycerz Arnold i stary komtur. Była spora garść i innych, ale tych Żmujdzini, dognawszy, pozabijali.

— Tak ma być — rzekł Zbyszko — że tych ludzi, co przy kolebce, naśi pachołkowie powiążą, wy, stryjku, chycicie starego Zygfryda, a ja na Arnolda uderzę.

— No! — odpowiedział Maćko — już ci Zygfrydowi poradzę, bo za łaską Pana Jezusową moc w kościach żywie! Ale ty sobie zbyt nie dufaj, to tamten ma być wielkolud.

— O wa! obaczym! — odparł Zbyszko.

— Krzepkiś jest, tego nie przeczę, ale przecież są tęższi od ciebie. Zaliś to zabaczył o tych naszych rycerzach, którycheśmy w Krakowie widzieli? A panu Powale z Taczewa dałbyś rady, a panu Paszkowi Złodziejowi z Biskupic, a tembardziej Zawiszy Czarnemu? Co? Nie pusz zbytnio i bacz o co chodzi!

— Rotgier był też nie ułomek — mruknął Zbyszko.

— A dla mnie znajdzie się robota? — spytał Czech.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi, gdyż myśl Maćka była zajęta czem innem.

— Jeśli nam Bóg pobłogosławi — rzekł — to byle się potem do puszcz mazowieckich dostać! Tam już będziemy przezpieczni, i raz się wszystko skończy.

Lecz po chwili westchnął, pomyślawszy zapewne, że i wówczas jeszcze nie wszystko się skończy, trzeba bowiem będzie coś zrobić z nieszczęsną Jagienką.

— Hej! — mruknął — dziwne są wyroki boskie. Nieraz ja o tem myślę, czemu też to nie przypadło na cię spokojnie się ożenić, a mnie spokojnie przy was siedzieć... Bo przecie najczęściej tak bywa — i śród wszystkiej ślachty w naszem królestwie my jedni tylko włóczym się ot po różnych krajach i wertepach, miast doma gospodarzyć po bożemu.

— A no! prawda jest, ale wola Boska! — odpowiedział Zbyszko.

I czas jakiś jechali w milczeniu, poczem znów stary rycerz zwrócił się do synowca.

— Ufasz ty temu powsinodze? Co to za jeden?

— Człek jest lekki i może nicpoń, ale dla mnie życzliwy, i zdrady się od niego nie boję.

— Jeśli tak, niechże jedzie naprzód, bo jeśli ich zgoni, tedy się nie spłoszą. Powie im, że z niewoli uciekł, czemu łacno uwierzą. Lepiej tak będzie, bo gdyby nas zdala ujrzeli, to albo by zdołali się gdzieś zataić, albo obronę przygotować.

— W nocy on sam naprzód nie pojedzie, bo jest strachliwy — odrzekł Zbyszko — ale w dzień pewnie, że tak będzie lepiej. Powiem mu, żeby trzy razy w dzień zatrzymywał się i czekał na nas; jeśli zaś nie znajdziem go na postoju, to będzie znak, że już jest z nimi, i wtedy, pojechawszy jego śladem, uderzym na nich niespodzianie.

— A nie ostrzeże ich?

— Nie. Lepiej on mnie życzy, niż im. Powiem mu też, że napadłszy na nich, zwiążem i jego, by się zaś ich pomsty później nie potrzebował bać. Niech się do nas wcale nie przyznaje...

— To ty myślisz tamtych żywych ostawić?

— A jakoże ma być? — odpowiedział nieco frasobliwie Zbyszko. Widzicie... Żeby to było na Mazowszu, albo gdzie u nas, tobyśmy ich pozwali, jako Rotgiera pozwałem, i potykali się na śmierć, ale tu w ich kraju nie może to być... Tu chodzi o Danuśkę i o pośpiech. Trzeba się duchem i cicho sprawić, aby biedy na się nie napytać, a potem jakoście rzekli, co pary w koniach walić do puszcz mazowieckich. Uderzywszy zaś niespodzianie, może zaskoczym ich bez zbroi, ba i bez mieczów! To jakoże ich zabijać? Hańby mi strach! Obaśmy teraz pasowani, a i oni także...

— Juž-ci — rzekł Maćko. — Ale może i do potkania się przyjść.

Lecz Zbyszko zmarszczył brwi, i w twarzy odbiła mu się głęboka zawziętość, wrodzona widocznie wszystkim mężom z Bogdańca, albowiem w tej chwili stał się, zwłaszcza ze spojrzenia, tak do Maćka podobny, jakby był jego rodzonym synem.

— Czegobym też chciał, — rzekł głucho — to cisnąć tego krwawego psa, Zygfryda, pod nogi Jurandowi! Daj-że to Bóg!

— A daj-że, daj! — powtórzył zaraz Maćko.

Tak rozmawiając, ujechali spory szmat drogi, gdy zapadła noc, pogodna wprawdzie, ale bez miesiąca. Trzeba się było zatrzymać, dać wytknąć koniom i ludzi pokrzepić jadłem i snem. Przed spoczynkiem zapowiedział jednakże Zbyszko Sanderusowi, że nazajutrz ma sam jechać naprzód, na co ten zgodził się chętnie, wymówiwszy sobie tylko, by w razie niebezpieczeństwa od zwierza lub miejscowego ludu miał prawo ku nim uciekać. Prosił też, by nie trzy, ale cztery razy wolno było czynić postoje, gdyż w samotności ogarnia go zawsze jakowyś niepokój, nawet w zbożnych krainach, a cóż dopiero w boru tak dzikim i szkaradnym, jak ów, w którym znajdują się obecnie.

Rozłożyli się tedy na nocleg i pokrzepiwszy siły jadłem, pokładli się na skórach przy małem ognisku, nanieconem pod wykrotem, o pół stajania od drogi. Pacholicy pilnowali kolejno koni, które, wytarzawszy się, drzemały po zjedzeniu obroków, zakładając sobie wzajem głowy na karki. Lecz zaledwie pierwszy brzask osrebrzył drzewa, zerwał się pierwszy Zbyszko, pobudził innych, i o świcie ruszyli w dalszy pochód. Ślady olbrzymich kopyt Arnoldowego ogiera odnalazły się znów bez trudności, albowiem zaschły w nizkim, błotnistym zwykle gruncie i utrwaliły się od posuchy. Sanderus wyjechał naprzód i znikł im z oczu, wszelako na połowie czasu między wschodem słońca a południem znaleźli go na postoju. Powiedział im, że nie widział żywej duszy, prócz wielkiego tura, przed którym jednakże nie umykał, ponieważ zwierz pierwszy zeszedł mu z drogi. Natomiast o południu, przy pierwszem posiłku, oświadczył, iż ujrzał chłopa, bartodzieja z leziwem, i nie zatrzymał go tylko z obawy, że w głębi boru mogło się ich znajdować więcej. Próbował go o to i owo wypytywać, ale nie mogli się rozmówić.

W czasie następnego pochodu Zbyszko począł się niepokoić. Co będzie, jeśli przyjadą w okolice wyższe i suchsze, gdzie na twardym szlaku znikną widoczne dotąd ślady? Również gdyby pościg trwał zbyt długo i doprowadził ich do kraju ludniejszego, w którem mieszkańce przy-

zwyczaili się już zdawna do posługeństwa Krzyżakom, napad i odebranie Danusi stałoby się prawie niepodobnem, albowiem, choćby Zygfryda i Arnolda nie ubezpieczyły mury jakiego zamku lub gródka, ludność miejscowa wzięłaby z pewnością ich stronę.

Lecz na szczęście obawy te okazały się płonne, gdyż na następnym postoju nie znaleźli o umówionej porze Sanderusa, a natomiast odkryli na sośnie, stojącej tuż przy drodze, wielki zacios w kształcie krzyża, świeżo widocznie uczyniony. Wówczas spojrzeli na się i spoważniały im twarze, a serca poczęły bić żywiej. Maćko i Zbyszko zeskoczyli natychmiast z siodeł, by zbadać ślady na ziemi, i szukali pilnie, ale niedługo, gdyż same rzucały się w oczy.

Sanderus widocznie zjechał z drogi w bór, idąc za wyciskami wielkich kopyt, nie tak głębokimi, jak na gościńcu, ale dość wyraźnymi, grunt bowiem był tu torfiasty, i ciężki koń wtłaczał za każdym krokiem igliwie hacelami, po których zostawały czarniawe po brzegach dołki.

Przed bystremi Zbyszkowemi oczyma nie ukryły się i inne wyciski, więc siadł na koń, a Maciek za nim i poczęli się naradzać z sobą i Czechem cichymi głosami, jakby nieprzyjaciel był tuż.

Czech radził, by zaraz pójść piechotą, ale oni nie chcieli tego czynić, nie wiedzieli bowiem, jak daleko przyjdzie im jechać borem. Piesi pachołkowie mieli ich jednak poprzedzać i w razie dostrzeżenia czego, dać im znać, aby byli w pogotowiu.

Jakoż niebawem ruszyli w bór. Drugi zacios na sośnie upewnił ich, iż nie stracili śladu Sanderusa. Wkrótce też dostrzegli, że są na drózce, a przynajmniej na perci leśnej, którą nieraz ludzie musieli przechodzić. Wówczas byli już pewni, że znajdą jakąś osadę leśną, a w niej tych, których szukają.

Słońce zniżyło się już nieco i świeciło złotem między drzewami. Wieczór zapowiadał się pogodny. Bór był cichy, albowiem zwierz i ptactwo miało się ku spoczynkowi. Gdzieniegdzie tylko wśród świecących w słońcu gałęzi migały wiewiórki, całkiem od wieczornych promieni czerwone. Zbyszko, Maćko, Czech i pachołcy jechali jeden za drugim, gęsiego. Wiedząc, że piesi pachołcy znacznie są na przedzie i że w porę ostrzegą, stary rycerz mówił tymczasem do bratanka, nie tłumiąc zbytnio głosu:

— Porachujmy się ze słonkiem — mówił. — Od ostatniego postoju do miejsca, w którym był zacios, ujechaliśmy okrutny szmat drogi. Na krakowskim zegarze byłoby godzin ze trzy... To tedy Sanderus dawno jest między nimi i miał czas opowiedzieć im swoje przygody. Byle jeno nie zdradził.

— Nie zdradzi — odrzekł Zbyszko.

— I byle mu uwierzyli — kończył Maćko — bo jeśli nie uwierzą, to będzie z nim źle.

— A czemuby zaś nie mieli uwierzyć? Albo to o nas wiedzą? A przecie jego znają. Nieraz zdarzy się brańcowi z niewoli uciec.

— Bo mnie o to chodzi, że jeśli powiedział im, iż z niewoli ucieka, to może pościgu się za nim bali i zaraz ruszyli.

— Nie. Potrafi on klimkiem rzucić. A to rozumieją, że pościg tak dalekoby nie poszedł.

Na czas umilkli, lecz po chwili Maćkowi zdało się, że Zbyszko coś szepce do niego, więc się odwrócił i zapytał:

— Jako powiadasz?

Ale Zbyszko oczy miał wzniesione w górę i nie do Maćka szeptał, tylko polecał Bogu Danuśkę i swoje śmiałe przedsięwzięcie.

Maćko począł się też żegnać, ale zaledwie uczynił pierwszy znak krzyża, gdy jeden z posłanych naprzód pacholików wysunął się ku nim nagle z leszczynowych gąszczów:

— Smołarnia! — rzekł. — Są!

— Stój! — szepnął Zbyszko i w tejsamej chwili zeskoczył z konia.

Za nim zeskoczył Maćko, Czech i pacholikowie, z których trzej dostali rozkaz, aby zatrzymali się z końmi, mając je w pogotowiu i bacząc, aby, broń Boże, który z rumaków nie zarżał. Pięciu pozostałym rzekł Maćko:

— Będzie tam dwóch masztalerzy i Sanderus, których w mig mi powiążecie, a gdyby któren zbrojny był i chciał się bronić, to go w łeb.

I ruszyli zaraz naprzód. Po drodze szepnął jeszcze Zbyszko stryjcowi:

— Bierzecie starego Zygfryda, a ja Arnolda.

— Pilnuj się jeno! — odpowiedział stary.

I mrugnął na Czecha, dając mu do zrozumienia, aby w każdej chwili gotów był nieść pomoc młodemu panu.

Ów zaś skinął głową, że tak i będzie, przyczem nabrał tchu w piersi i zmacał, czy miecz łatwo mu wychodzi z pochew.

Lecz Zbyszko spostrzegł to i rzekł:

— Nie! Tobie rozkazuję ku kolebce zaraz skoczyć i nie odstępować jej ni piędzią podczas bitki.

Szli szybko i cicho, ciągle wśród leszczynowej gąstwy, ale nie szli już daleko, gdyż najwyżej po dwóch stajaniach zarośla urywały się nagle, okalając małą polankę, na której widać było wygasłe kopce smolarskie i dwie ziemne chaty, czyli numy, w których zapewne mieszkali smolarze, dopóki nie wygnała ich stąd wojna. Zachodzące słońce oświecało ogromnym blaskiem łąkę, kopiec i obie stojące daleko od siebie numy. Przed jedną z nich siedziało na kłodzie dwóch rycerzy, przed drugą — barczysty, czerwonowłosy prostak i Sanderus. Ci obaj zajęci byli wycieraniem szmatami pancerzy, a u nóg Sanderusa leżały prócz tego dwa miecze, które widocznie miał zamiar oczyścić później.

— Patrz — rzekł Maćko, ciśnąc z całej siły ramię Zbyszka, aby go jeszcze przez chwilę powstrzymać. — Umyślnie im wziął miecze i pancerze. Dobrze! Ten z siwą głową musi być...

— Naprzód! — krzyknął nagle Zbyszko.

I wichrem skoczyli na polanę. Tamci zerwali się także, lecz nim zdołali dobiedz do Sanderusa, chwycił groźny Maćko starego Zygfryda za pierś, przegiął w tył i w jednej chwili wziął go pod siebie. Zbyszko i Arnold zczepili się z sobą jak dwa jastrzębie, opletli się ramionami

i poczęli się zmagać straszliwie. Barczysty Niemiec, który siedział przedtem koło Sanderusa, porwał wprawdzie za miecz, ale nim zdołał nim machnąć, uderzył go pachołek Maćków, Wit, obuchem w rudą głowę i rozciągnął na miejscu. Rzucili się potem wedle rozkazu starego pana wiązać Sanderusa, ten zaś, choć wiedział, iż to rzecz umówiona, jął tak ryczeć ze strachu, jak cielę, któremu podrzynają gardło.

Lecz Zbyszko, chociaż tak krzepki, iż ścisnąwszy gałąź drzewa, sok z niej wyciskał, poczuł, że dostał się jakby nie w ludzkie, ale w niedźwiedzie łapy. Poczuł nawet i to, że gdyby nie pancerz, który miał na sobie, nie wiedząc, czy nie przyjdzie mu potykać się na ostre, olbrzymi Niemiec, byłby mu pokruszył żebra, albo może i kość pacierzową połamał. Uniósł go wprawdzie nieco młodzian w górę, ale ów podniósł go jeszcze wyżej, i zebrawszy wszystkie siły, chciał grzmotnąć nim o ziemię, tak, aby więcej nie powstał.

Lecz Zbyszko ścisnął go również z tak okrutnym wysiłkiem, że aż oczy Niemca krwią zaszły, poczem wsunął mu nogę między kolana, uderzył w zgięcie i zwalił na ziemię.

Zwalili się raczej oba, młodzian jednakże padł pod spód, ale w tej chwili baczny na wszystko Maćko, rzucił nawpół zgniecionego Zygfryda w ręce pachołkom, sam zaś ruszył ku leżącym, w mgnieniu oka skrępował pasem nogi Arnolda, poczem skoczył, siadł na nim, jak na zabitym dziku, i przyłożył mu ostrze mizerykordji do karku.

Ów zaś krzyknął przeraźliwie, i ręce osunęły mu się bezwładnie ze Zbyszkowych boków, a potem począł jęczeć, nietyle od ukłócia, ile dlatego, że nagle uczuł okrutny i niewypowiedziany ból w plecach, w które otrzymał był uderzenie maczugą jeszcze podczas bitwy ze Skirwojłłą.

Maćko chwycił go obu rękoma za kołnierz i ściągnął ze Zbyszka, a Zbyszko przypodniósł się z ziemi i siadł, poczem chciał wstać i nie mógł, więc siadł znowu i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Twarz miał bladą i spotniałą, oczy krwią nabiegłe i posiniałe usta — i spoglądał przed się jakby niecałkiem przytomnie.

— Coć jest? — zapytał z niepokojem Maćko.

— Nic, jenom utrudzon bardzo. Pomóżcie mi stanąć na nogach.

Maćko zasunął mu ręce pod pachy i podniósł go odrazu.

— Możesz stać?

— Mogę.

— Boli cię co?

— Nic. Jeno mi brak tchu.

Tymczasem Czech, ujrzawszy widocznie, że na majdanie wszystko już ukończone, zjawił się przed numą, dzierżąc za kark służkę zakonną. Na ten widok zapomniał Zbyszko o trudzie, siły wróciły mu odrazu, i jak gdyby nigdy nie zmagał się ze strasznym Arnoldem, skoczył do numy.

— Danuśka! Danuśka!

Ale na to wołanie nie odpowiedział żaden głos.

— Danuśka! Danuśka! — powtórzył Zbyszko.

I umilkł. W izbie było ciemno, zatem w pierwszej chwili nie mógł nic dojrzeć. Natomiast z po za kamieni, przyładowanych pod ognisko, doszedł go szybki i głośny oddech, jakby przyczajonego zwierzątka.

— Danuśka! prze Bóg! to ja! Zbyszko!

A wtem ujrzał w mroku i jej oczy, szeroko otwarte, przerażone, nieprzytomne.

Więc skoczył ku niej i chwycił ją w ramiona, lecz ona nie poznała go zupełnie, i wyrywając mu się z rąk, poczęła powtarzać zdyszanym szeptem:

— Boję się! boję się! boję się!...

54.

Nie pomogły łagodne słowa, ni pieszczoty, ni zaklęcia — Danusia nie poznawała nikogo i nie odzyskała przytomności. Jedynem uczuciem, które opanowało całą jej istotę, był przestrach, podobny do takiego płochliwego przestrachu, jaki okazują schwytane ptaki. Gdy przyniesiono jej posiłek, nie chciała przy ludziach jeść, jakkolwiek z chciwych jej spojrzeń, rzucanych na jadło, znać było głód, może nawet zadawniony. Zostawszy sama, rzuciła się na spyżę z łakomstwem dzikiego zwierzątka, ale gdy Zbyszko wszedł do izby, w tej chwili skoczyła w kąt i skryła się za wiązką suchego chmielu. Próżno Zbyszko otwierał ramiona, próżno wyciągał ręce, próżno błagał, dusząc w sobie łzy. Nie chciała z tego ukrycia wyjść nawet wówczas, gdy naniecono ognia w świetlicy i gdy przy jego blasku mogła dobrze rozeznać rysy Zbyszka. Zdawało się, że pamięć opuściła ją razem ze zmysłami. On za to patrzał na nią i na jej wychudłą twarz z zastygłym wyrazem przerażenia, na zapadłe oczy, na potargane strzępy odzieży, w które była przybrana i serce skowyczało w nim z bólu i wściekłości na myśl, w jakich była rękach i jak się z nią obchodzono. Porwał go wreszcie szał gniewu tak straszny, że chwycił za miecz, skoczył z nim ku Zygfrydowi i byłby go uśmiercił niechybnie, gdyby Maćko nie był go schwytał za ramię.

Poczęli się wówczas pasować z sobą prawie po nieprzyjacielsku, ale młodzian tak był osłabion poprzednią walką z olbrzymim Arnoldem, że stary rycerz przemógł go i wykręciwszy mu rękę, zawołał:

— Wściekłeś się, czy co?

— Puśćcie! — odpowiedział, zgrzytając, Zbyszko — bo się dusza podrze we mnie.

— Niech się podrze! Nie puszczę! Wolej łeb rozbij o drzewo, nizbyś miał pohańbić siebie i cały ród.

I ściskając, jakoby w żelaznych cęgach, dłoń Zbyszkową, począł mówić groźnie:

— Obacz się! Pomsta ci nie ucieknie, a pasowanyś jest rycerz. Jakże to? Związanego jeńca będziesz dźgał? Danuśce nie pomożesz, a co ci zostanie? Nic, jeno hańba. Rzekniesz, iże królom i książętom

nieraz przygodziło się jeńców mordować? Ba! ale nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć. Kto im nie przygani, tobie w oczy plunie. Opamiętaj się, prze Bóg!

Nastała chwila milczenia.

— Puśćcie! — powtórzył ponuro Zbyszko — nie zadźgam go.

— Pójdź do ognia, naradzim się.

I powiódł go za rękę do ogniska, które pachołkowie naniecili wedle smolistych kopców. Tam siadłszy, Maćko zamyślił się nieco, poczem rzekł:

— Wspomnij też i to, żeś tego starego psa Jurandowi obiecał. Ten ci się dopiero pomści nad nim i za swoją i za Danusiną mękę! Ten ci mu zapłaci, nie bój się! I powinieneś w tem Jurandowi wygodzić. Należy mu się to. A czego tobie nie wolno, to Jurandowi będzie wolno, bo nie on jeńca wziął, jeno go w podarunku od ciebie dostanie. Bez hańby i bez przygany może go choć i ze skóry obłupić — rozumiesz mnie?

— Rozumiem — odpowiedział Zbyszko. — Słusznie mówicie.

— To ci widać rozum wraca. Jeśliby cię djabeł jeszcze kusił, pamiętaj także i na to, żeś ty przecie i Lichtensteinowi i innym Krzyżakom ślubował, a gdybyś bezbronnego jeńca zarznął, i gdyby się to przez pachołków rozgłosiło, żaden rycerz nie chciałby ci stanąć i byłby praw. Boże uchowaj! Nieszczęśliwości i tak nie brak, niechże choć hańby nie będzie. Lepiej ot gadajmy o tem, co teraz należy czynić i jako nam się obrócić.

— Radźcie! — rzekł młodzian.

— Poradzę tak: tę żmiję, która była przy Danusi, możnaby zgładzić, ale że nie przystoi rycerzom niewieścią krwią się babrać, przeto ją księciu Januszowi oddamy. Knuła ona zdrady jeszcze w leśnym dworcu przy księciu i księżnie, niechże ją mazowieckie sądy sądzą, a jeśli jej kołem za to nie pokruszą, to chyba sprawiedliwość Boską chcą obrazić. Póki innej jakiej niewiasty nie spotkamy, którаby się przy Danusi starunku podjęła, póty ona potrzebna, potem się ją koniowi do ogona przywiąże. Ninie trzeba nam do puszcz mazowieckich jako najprędzej wykręcić.

— Jużci nie zaraz, bo noc. Może też Bóg da jutro Danuśce większe opamiętanie.

— Niech i konie dobrze wypoczną. Na świtaniu ruszym.

Dalszą rozmowę przerwał im głos Arnolda von Baden, który, leżąc opodal na plecach, związany w kij do własnego miecza począł coś wołać po niemiecku. Stary Maćko podniósł się i poszedł ku niemu, ale nie mogąc dobrze wyrozumieć jego mowy, począł się oglądać za Czechem.

Ale Hlawa nie mógł zaraz przyjść, albowiem zajęty był czem innem. Podczas ich rozmowy przy ognisku, poszedł właśnie do służki zakonnej i położywszy jej dłoń na karku i potrząsnąwszy nią, jak gruszką, rzekł:

— Słuchaj, suko! Pójdziesz do chaty i wymościsz dla pani posłanie ze skór, ale przedtem wdziejesz na nią swoje porządne szaty, a sama ubierzesz się w te łachmany, w których kazaliście jej chodzić... zatracona wasza mać!

I nie mogąc także pohamować nagłego gniewu, trząsł nią tak silnie, że aż oczy wylazły jej na wierzch. Byłby jej może skręcił kark, ale że widziała mu się jeszcze potrzebna, więc puścił ją wreszcie, rzekłszy:

— A potem wybierzem dla cię gałąź.

Ona chwyciła go w przerażeniu za kolana, ale gdy w odpowiedzi kopnął ją, skoczyła do chaty i rzuciwszy się do nóg Danusi, poczęła skrzeczeć:

— Obroń mnie! nie daj!

Ale Danusia przymknęła tylko oczy, a z ust jej wyszedł zwykły, zdyszany szept:

— Boję się! boję się! boję się!

I następnie zdrętwiała całkiem, albowiem każde zbliżenie się do niej służki zakonnej wywoływało zawsze ten skutek. Pozwoliła się też rozebrać i oblec w nowe szaty. Służka, wymościwszy posłanie, położyła ją na niem, jak figurkę drewnianą lub woskową, sama zaś siadła koło ogniska, bojąc się wyjść z izby.

Ale Czech wszedł po chwili i zwróciwszy się naprzód do Danusi, rzekł:

— Między przyjacioły jesteście, pani, więc w imię Ojca i Syna i Ducha, śpijcie spokojnie!

I przeżegnał ją ręką, a następnie, nie podnosząc głosu, aby jej nie przelęknąć, rzekł do służki:

— Ty poleżysz związana za progiem, ale jeśli narobisz krzyku i przestraszysz, to ci zaraz szyję pokruszę. Wstań i chodź.

I wywiódłszy ją z izby, skrępował, jako rzekł, mocno, poczem udał się do Zbyszka.

— Kazałem oblec panią w te szaty, które miała na sobie ta jaszczurka — rzekł. — Posłanie wymoszczone i pani śpi. Najlepiej, nie chodźcie tam już, panie, by się zaś nie przelękła. Da Bóg, jutro po spoczynku oprzytomnieje, a wy teraz pomyślcie też o jadle i spoczynku.

— Położę się przy progu izby — odrzekł Zbyszko.

— To odciągnę sukę na stronę do tego trupa z ryżymi kudłami, ale teraz musicie jeść, bo droga i trud niemały przed wami.

To rzekłszy, poszedł wydobyć z biesagów wędzone mięsiwo i wędzoną rzepę, w którą zaopatrzyli się na drogę w obozie żmujdzkim, ale zaledwie złożył zapas przed Zbyszkiem, Maćko odwołał go do Arnolda.

— Wymiarkuj-no rzetelnie — rzekł — czego chce ten waligóra, bo choć niektóre słowa wiem, nijak nie mogę go wymiarkować.

— Poniosę go, panie, do ogniska, to się tam rozmówicie — odrzekł Czech.

I odpasawszy się, przeciągnął pas pod ramionami Arnolda, po-

czem zadał go sobie na plecy. Zgiął się pod ciężarem olbrzyma mocno, ale chłopem będąc krzepkim, doniósł go do ogniska i rzucił, jak wór grochu, obok Zbyszka.

— Zdejmijcie ze mnie pęta — rzekł Krzyżak.

— Mogłoby to być — odpowiedział przez Czecha stary Maćko — gdybyś na cześć rycerską poprzysiągł, że się za jeńca będziesz uważał. Jednakże i bez tego każę ci wyciągnąć miecz z pod kolan i rozwiązać ręce, abyś mógł siąść przy nas, zaś powrozów na nogach nie popuszczę, póki się nie rozmówim.

I skinął na Czecha, ten zaś przeciął Niemcowi pęta na ręku, a następnie pomógł mu usiąść. Arnold spojrzał hardo na Maćka, na Zbyszka i zapytał:

— Co wyście za jedni?

— A ty jak śmiesz pytać? Co ci do tego?! Wywiedz się sam.

— To mi do tego, że na cześć rycerską mógłbym tylko rycerzom przysięgać.

— To patrz!

I Maćko, uchyliwszy opończy, pokazał pas rycerski na biodrach.

Na to Krzyżak zdumiał się wielce i dopiero po chwili rzekł:

— Jakże to? I łotrzykujecie dla łupu po puszczy? I pogan przeciw chrześcijanom wspomagacie?

— Łżesz! — zawołał Maćko.

I w ten sposób poczęła się rozmowa, nieprzyjazna, harda, często do kłótni podobna. Gdy jednak Maćko zakrzyknął w uniesieniu, że właśnie Zakon nie dopuszcza do chrztu Litwy i gdy przytoczył wszystkie dowody, zdumiał się znów i zamilkł Arnold, gdyż prawda ta była tak oczywista, że niepodobna było jej nie widzieć lub jej zaprzeczyć. Uderzyły szczególnie Niemca te słowa, które Maćko wyrzekł, czyniąc przy nich zarazem znak krzyża: „Kto wie, komu wy w rzeczy służycie, jeżeli nie wszyscy, to poniektórzy!" — a uderzyły go dlatego, że i w samym zakonie był posąd na kilku komturów, że oddają cześć szatanowi. Nie czyniono im z tego sprawy ni żadnych procesów, aby hańby na wszystkich nie ściągać, ale Arnold wiedział dobrze, że szeptano sobie takie rzeczy między braćmi i że podobne słuchy chodziły. Przytem Maćko, wiedząc z opowiadań Sanderusa o niepojętem zachowywaniu się Zygfryda, zaniepokoił do reszty prostodusznego olbrzyma.

— A ówże Zygfryd, z którym szedłeś w pochód na wojnę — rzekł — zali Bogu i Chrystusowi służy? Zaliś to nigdy nie słyszał, jak ze złymi duchami gadał, jako z nimi szeptał i śmiał się, alibo zgrzytał?

— Prawda jest! — mruknął Arnold.

Ale Zbyszko, któremu żal i gniew napłynęły do serca nową falą, zakrzyknął nagle:

— I ty o czci rycerskiej prawisz? Hańba ci, boś katu i piekielnikowi pomagał! Hańba ci, boś na mękę bezbronnej niewiasty i rycerskiej córki spokojnie patrzył, boś może i sam ją dręczył. Hańba ci!

A Arnold wytrzeszczył oczy i czyniąc w zdumieniu znak krzyża, rzekł:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!... Jak to?... ta opętana dziewka, w której głowie dwudziestu siedmiu djabłów mieszka?... ja?...

— Gorze! gorze! — przerwał chrapliwym głosem Zbyszko.

I chwyciwszy za rękojeść mizerykordji, począł znów spoglądać dzikim wzrokiem w stronę leżącego opodal w mroku Zygfryda.

Maćko położył mu spokojnie dłoń na ramieniu i przycisnął z całej mocy, aby mu przytomność powrócić, sam zaś, zwróciwszy się do Arnolda, rzekł:

— Ta niewiasta — to córka Juranda ze Spychowa, a żona tego młodego rycerza. Rozumiesz-że teraz, dlaczego ślakowaliśmy was i dlaczego jeńcem naszym zostałeś!

— Prze Bóg! — rzekł Arnold. — Skąd? Jak? Ona ma rozum pomieszany...

— Bo ją Krzyżacy, jako jagnię niewinne, porwali i męką do tego ją przywiedli.

Zbyszko przy wyrazach „jagnię niewinne” zbliżył pięść do ust i ścisnął zębami knykieć, a z oczu poczęły mu kapać jedna za drugą wielkie łzy niepohamowanej boleści. Arnold siedział w zamyśleniu, Czech zaś w kilku słowach opowiedział mu zdradę Danvelda, porwanie Danusi, mękę Juranda i pojedynek z Rotgierem. Gdy skończył, nastała cisza, którą mącił tylko szum lasu i trzaskanie skier w ognisku.

I siedzieli tak przez chwil kilka; wreszcie Arnold podniósł głowę i rzekł:

— Nietylko na rycerską cześć, lecz na krzyż Chrystusów przysięgam wam, żem tej niewiasty prawie nie widział, żem nie wiedział kto ona i żem do jej męki w niczem i nigdy ręki nie przyłożył.

— To przysiąż-że jeszcze, że dobrowolnie pójdziesz za nami i że ucieczki nie będziesz próbował, a każę cię całkiem rozwiązać — rzekł Maćko.

— Niech i tak będzie, jak mówisz — przysięgam! Dokąd mnie powiedziecie?

— Na Mazowsze, do Juranda ze Spychowa.

To mówiąc, Maćko rozciął mu sam powróz na nogach, poczem wskazał mięsiwo i rzepę. Zbyszko po niejakim czasie podniósł się i poszedł spocząć u progu chaty, przy którym nie znalazł już służki zakonnej, albowiem poprzednio zabrali ją pachołkowie między konie. Tam położywszy się na skórze, którą mu przyniósł Hlawa, postanowił czekać bezsennie, czy świt jakiej szczęśliwej zmiany w Danusi nie przyniesie.

Czech zaś wrócił do ogniska, gdyż ciążyło mu na duszy coś takiego, o czem chciał pogadać ze starym rycerzem z Bogdańca. Zastał go pogrążonego też w zadumie i nie zważającego na chrapanie Arnolda, który po spożyciu niezmiernej ilości wędzonej rzepy i mięsiwa zasnął z utrudzenia snem kamiennym.

— A wy nie spoczniecie, panie? — spytał giermek.

— Sen ucieka mi z powiek — odrzekł Maćko. — Da Bóg dobre jutro...

I to powiedziawszy, spojrzał ku gwiazdom.

— Wóz widać już na niebie, a ja wciąż rozmyślam, jako to ono wszystko będzie.

— I mnie nie do spania, bo mi panienka ze Zgorzelic w głowie.

— Hej, prawda, nowa bieda! Toć przecie ona w Spychowie.

— A w Spychowie. Wywieźliśmy ją ze Zgorzelic niewiadomo po co.

— Sama chciała do opata, a gdy opata nie stało, cóżem miał czynić — odparł niecierpliwie Maćko, który nie lubił o tem mówić, bo w duszy poczuwał się do winy.

— Tak, ale co teraz?

— Ha! cóż? Odwiozę ją napowrót do domu i dziej się wola Boska!...

Po chwili jednak dodał:

— Juž-ci, dziej się wola Boska, ale żeby chociaż ta, Danuśka, była zdrowa i taka jako inni ludzie, byłoby przynajmniej wiadomo co robić. A tak, licho wie! Nuż nie ozdrowieje... i nie zamrze. Niechby Pan Jezus dał już na tę, alibo na tamtę stronę.

Ale Czech myślał w tej chwili o Jagience.

— Widzicie, Wasza miłość — rzekł — panienka, gdym wyjeżdżał ze Spychowa i żegnał się z nią, powiedziała mi tak: „W razie czego przyjedziecie tu przed Zbyszkiem i przed Maćkiem, bo (powiada) mają przez kogo innego nowinę przysłać, to przyślą przez was i odwieziecie mnie do Zgorzelic."

— Hej! — odpowiedział Maćko. — Pewnie, że jakoś nieskładnoby jej było zostawać w Spychowie, gdy Danuśka przyjedzie. Pewnie, że trzeba jej teraz do Zgorzelic. Żal mi sieroteńki, szczerze żal, ale skoro nie było woli Boskiej, to i trudno! Jeno jakoże to urządzić? Poczekaj... Powiadasz, że kazała ci wracać przed nami z nowiną, a potem odwieźć się do Zgorzelic?

— Kazała, jakom wam wiernie powtórzył.

— A no! to możebyś i ruszył przed nami. Staremu Jurandowi teżby trza oznajmić, że się córka nalazła, aby go zaś nagła radość nie zabiła. Jak mi Bóg miły, niema nic lepszego do zrobienia. Wracaj! powiedz, żeśmy Danuśkę odbili i że niebawem z nią przyjedziem, a sam zabierz tamtę niebogę i wieź ją doma.

Tu westchnął stary rycerz, bo żal mu istotnie było i Jagienki i tych zamiarów, które w duszy piastował.

Po chwili znów spytał:

— Wiem, żeś chłop i roztropny i mocny, ale potrafisz-że ty ustrzedz jej od jakiej krzywdy, albo przygody? Bo to w drodze łatwo się może to i owo zdarzyć.

— Potrafię, choćby też przyszło i łbem nałożyć! Wezmę kilku dobrych pachołków, których mi pan spychowski nie pożałuje i doprowadzę ją przezpiecznie, choćby na koniec świata.

— No! zbytnio sobie nie dufaj. Pamiętaj też, że na miejscu, w samych Zgorzelicach, trzeba znów mieć oko na Wilków z Brzozowej i na Cztana z Rogowa... Ale prawda! Nie do rzeczy gadam, bo ich

trzeba było strzedz, póki się nie miało co innego na myśli. A teraz nie żywie już nadzieja i będzie co ma być.

— Wszelako ustrzegę ja panienki i od tamtych rycerzy, bo ta, pana Zbyszkowa nieboga, ledwie chudziątko zipie... nuż by zmarła!

— Trzeba to na Pana Boga zdać, a teraz myślmy jeno o panience zgorzelickiej.

— Słusznie, jak mi Bóg miły: ledwie chudziątko zipie — nuż by zmarła...

— Po sprawiedliwości — rzekł Maćko — godziłoby się, abym sam ją do ojcowizny odprowadził. Ale trudna rada. Nie mogę ja teraz Zbyszka odstąpić, a to z różnych wielkich przyczyn. Widziałeś, jako zgrzytał i jako się do tego starego komtura rwał, by go zadźgać, niby warchlaka. Niech-że, jako powiadasz, ta dziewka skapieje w drodze, to nie wiem, czy i ja go pohamuję. Ale jeśli mnie nie będzie, to nic go nie wstrzyma i hańba wiekuista spadnie na niego i na cały ród, czego nie daj Bóg! Amen!

Na to zaś Czech:

— Ba! jest przecie prosty sposób. Dajcie mi jego katowską mać, a już ja go nie uronię i dopiero w Spychowie panu Jurandowi z worka go wytrząsnę.

— A niechże ci Bóg da zdrowie! O, to masz rozum! — zawołał z radością Maćko. — Prosta rzecz! prosta rzecz! Zabieraj go razem i byleś go żywięcym do Spychowa dowiózł, rób z nim co chcesz.

— To dajcie mi i onę sukę szczycieńską! Jeśli mi nie będzie po drodze wadzić, to dowiozę ją też, a jeśli będzie, to na gałąź!

— Prędzej też może Danuśkę strach opuści i prędzej się opamięta, gdy nie obaczy tych dwojga. Ale jeśli służkę zabierzesz, jakoże bez pomocy niewieściej się obejdzie?

— Nie bez tego, byście w puszczach nie spotkali jakich miejscowych, albo zbiegłych chłopów z babami. Weźmiecie pierwszą lepszą, a już każda będzie lepsza od tej. Tymczasem pana Zbyszkowa opieka wystarczy.

— Dziś jakoś roztropniej mówisz, niż zwyczajnie. Prawda i to. Może się prędzej obaczy, widząc Zbyszka wciąż przy sobie. Potrafi ci on być dla niej jako ojciec i matka. Dobrze. A kiedy ruszysz?

— Nie będę świtania czekał, ale teraz przylegnę trochę. Niema jeszcze chyba północka.

— Wóz, jako mówiłem, już świeci, ale kurki jeszcze nie wzeszły.

— Chwała Bogu,ześmy cokolwiek uradzili, bo okrutnie było mi markotno.

I to rzekłszy, Czech wyciągnął się przy dogasającem ognisku, nakrył się kudłatą skórą i w mig zasnął. Niebo jednak nie pobielało jeszcze ani trochę i noc była głęboka, gdy zbudził się, wylazł z pod skóry, spojrzał ku gwiazdom i przeciągnąwszy zesztywniałe nieco członki, zbudził Maćka.

— Czas mi się zbierać! — rzekł.

— A dokąd? — zapytał nawpół przytomnie Maćko, przycierając pięściami oczy.

— Do Spychowa.

— A prawda! Kto tu tak chrapie obok? Umarłegoby rozbudził.

— Rycerz Arnold. Dorzucę gałęzi na głownię i idę do pachołków.

Jakoż odszedł, po chwili wrócił jednak pośpiesznym krokiem i począł wołać zdaleka cichym głosem:

— Panie jest nowina — i to zła!

— Co się stało? — zawołał, zrywając się Maćko.

— Służka uciekła. Wzięli ją pachołcy między konie i rozwiązali jej nogi, żeby ich pioruny zatrzasły! a gdy się pospali, wyczołgała się jako wąż z pomiędzy nich i uciekła. Pójdźcie panie.

Zaniepokojony Maćko ruszył śpiesznie z Hlawą do koni, ale zastali przy nich jednego tylko pachołka. Inni rozbiegli się szukać zbiegłej. Głupie to jednak było szukanie w ciemnościach i w gęstwinie; jakoż popowracali wkrótce z pospuszczanemi głowami. Maćko począł ich okładać w milczeniu pięścią, poczem wrócił do ogniska, gdyż nie było nic innego do zrobienia.

Po chwili nadszedł Zbyszko, który strażował przed chatą i nie mógł spać, a usłyszawszy stąpania, chciał wiedzieć co to jest. Maćko opowiedział mu co uradzili razem z Czechem, potem zaś oznajmił o ucieczce służki zakonnej.

— Nieszczęście wielkie nie jest — rzekł — bo albo zdechnie z głodu w lesie, albo znajdą ją chłopi, którzy dadzą jej kupnia, jeśli wpierw nie znajdą jej wilcy. Żal jeno, że ją kara w Spychowie minęła.

Zbyszko żałował także, że ją kara minęła, ale zresztą przyjął wiadomość spokojnie. Nie sprzeciwił się również odjazdowi Czecha z Zygfrydem, gdyż wszystko, co nie dotykało wprost Danusi, było mu obojętne. Zaraz też zaczął o niej mówić:

— Wezmę ją jutro przed się na koń i tak pojedziem — rzekł.

— A jakoże tam? śpi? — zapytał Maćko.

— Czasem kwili trocha, ale nie wiem, przez sen-li, czy na jawie, a nie chcę wchodzić, aby się nie przelękła.

Dalszą rozmowę przerwał im Czech, który, ujrzawszy Zbyszka, zawołał:

— O, to i Wasza Miłość na nogach? No, czas mi! Konie gotowe i stary djabeł przywiązany do siodła. Wkrótce zaświta, bo teraz noc krótka. Ostawajcie z Bogiem Wasze Miłości!

— Jedź z Bogiem, a zdrowo!

Ale Hlawa odciągnął jeszcze Maćka na bok i rzekł:

— Chciałem też pięknie prosić, w razie, gdyby co zaszło... wiecie, panie... niby jakowe nieszczęście, albo co... aby pchnąć zaraz pachołka na łeb do Spychowa. Jeślibyśmy zaś już wyjechali, niech nas goni.

— Dobrze — rzekł Maćko. — Zabaczyłem ci też powiedzieć, byś Jagienkę do Płocka wiózł, rozumiesz! Idź tam do biskupa i powiedz mu, kto ona jest, że opatowa chrześniaczka, dla której jest u biskupa testament, a dalej proś dla niej o opiekuństwo, bo to też stoi w testamencie.

— Jeśli zaś biskup każe nam ostać w Płocku?
— Słuchaj go we wszystkiem i uczyń jako poradzi.
— Tak i będzie, panie. Z Bogiem!
— Z Bogiem.

55.

Rycerz Arnold, dowiedziawszy się nazajutrz o ucieczce służki zakonnej, uśmiechnął się pod wąsem, ale rzekł to samo, co Maćko: że albo ją wilcy zjedzą, albo Litwini zabiją. Jakoż było to prawdopodobne, albowiem ludność miejscowa, litewskiego pochodzenia, nienawidziła Zakonu i wszystkiego, co miało z nim styczność. Chłopi częścią pouciekali do Skirwojłły, częścią poburzyli się i pomordowawszy tu i owdzie Niemców, pokryli się razem z rodzinami i dobytkiem w niedostępnych głębiach leśnych. Szukano jednakże na drugi dzień służki, ale bez skutku, bo niezbyt gorliwie, a to z tej przyczyny, że Maćko i Zbyszko, mając głowy zajęte czem innem, nie wydali dość surowych rozkazów. Pilno im było jechać ku Mazowszu i chcieli zaraz o wschodzie słońca wyruszyć, ale nie mogli tego uczynić, gdyż Danuśka usnęła nadedniem głęboko i Zbyszko nie dał jej budzić. Słyszał ją, jak „kwiliła” w nocy, domyślał się, że nie spała, więc teraz wiele sobie dobrego z tego snu obiecywał. Dwukrotnie zakradał się do chaty i dwukrotnie widział przy świetle, wpadającem przez szpary między bierwionami jej zamknięte oczy, otworzone usta i mocne rumieńce na twarzy, takie, jakie mają głęboko uśpione dzieci. Topniało w nim wówczas z rozrzewnienia serce i mówił do niej: „Daj ci Bóg wypoczynek i zdrowie, kwiatuszku najmilszy!” A potem mówił jeszcze: „Skończona twoja niedola, skończone płakanie, a da Pan Jezus miłosierny, to szczęśliwość będzie jako te wody rzeczne nieprzepłynione.” Przytem mając prostą i dobrotliwą duszę, wznosił ją ku Bogu i zapytywał sam siebie: „czemby się wywdzięczyć, czemby się wypłacić, coby jakiemu kościołowi ofiarować z dostatków, z ziarna, ze stad, z wosku, albo z innych podobnych, miłych Boskiej potędze rzeczy? Byłby nawet zaraz ślubował i wymienił dokładnie, co ofiaruje, ale wolał zaczekać, nie wiedząc bowiem, w jakiem zdrowiu Danuśka się rozbudzi i czy się rozbudzi przytomna, nie miał jeszcze pewności, czy będzie za co dziękować.

Maćko, chociaż rozumiał, że będą zupełnie bezpieczni dopiero w krajach księcia Janusza, był jednak także zdania, że nie należy Danusi mącić tego spoczynku, który mógł być dla niej zbawieniem, więc trzymał wprawdzie w pogotowiu parobków i juczne konie, ale czekał.

Wszelako, gdy minęło południe, a ona wciąż spała jeszcze, poczęli się niepokoić. Zbyszko, który ustawicznie zaglądał przez szpary i przez drzwi, wszedł wreszcie po raz trzeci do chaty i siadł na pieńku, który wczorajszego wieczoru służka przyciągnęła do posłania i na którym przebierała Danusię.

Siadł i wpatrzył się w nią, ona zaś nie otworzyła wcale oczu, ale po upływie takiego czasu, jakiego potrzebaby na odmówienie bez pośpiechu Ojcze nasz i Zdrowaś, drgnęły nieco jej usta i wyszeptała, jakby widząc przez zamknięte powieki:

— Zbyszko....

On zaś rzucił się w jednej chwili przed nią na kolana, chwycił jej wychudzone ręce i całując je z uniesieniem, jął mówić przerywanym głosem:

— Bogu dzięki! Danuśka! poznałaś mnie!

Głos jego rozbudził ją zupełnie, więc siadła na posłaniu i z otwartemi już oczyma powtórzyła:

— Zbyszko...

I poczęła mrugać, a następnie rozglądać się naokoło, jakoby ze zdziwieniem.

— Już ty nie w niewoli! — mówił Zbyszko. — Wydarłem cię im i do Spychowa jedziem!

Ale ona wysunęła dłonie z jego rąk i rzekła:

— To wszystko przez to, że tatusiowego pozwoleństwa nie było. Gdzie pani?

— Przebudź-że ty się, jagódko. Księżna daleko, a my cię Niemcom odjęli.

Na to ona, jakby nie słysząc tych słów i jakby sobie coś przypominając:

— Zabrali mi też luteńkę i o mur rozbili — hej!

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko.

I dopiero spostrzegł, że oczy jej są nieprzytomne i błyszczące, a policzki pałają. W tejże chwili mignęła mu przez głowę myśl, że ona może być ciężko chora i że wymówiła dwukrotnie jego imię tylko dlatego, że się jej majaczył w gorączce.

Więc zadrżało w nim serce z przerażenia i pot zimny pokrył mu czoło.

— Danuśka! — rzekł — widzisz-że ty mnie i rozumiesz?

A ona odrzekła głosem pokornej prośby:

— Pić!... Wody!

— Jezu miłosierny!

I wyskoczył z izby. Przed drzwiami potrącił starego Maćka, który szedł właśnie zobaczyć, jak tam jest — i rzuciwszy mu jedno słowo: „Wody!" — przebiegł pędem ku strumieniowi, płynącemu w pobliżu wśród gęstwy i mchów leśnych.

Po chwili wrócił z napełnionem naczyniem i podał je Danusi, która poczęła pić chciwie. Przedtem jeszcze wszedł do izby Maćko i popatrzywszy na chorą, spochmurniał widocznie.

— W gorętwie jest? — rzekł.

— Tak! — jęknął Zbyszko.

— Rozumie, co mówisz?

— Nie.

Stary zmarszczył brwi, poczem podniósł rękę i począł się dłonią trzeć po karku i po tylicy.

— Co robić?

— Nie wiem.

— Jedna jest tylko rzecz — zaczął Maćko.

Ale Danusia przerwała mu w tej chwili. Skończywszy pić, utkwiła w nim swe rozszerzone przez gorączkę źrenice, poczem rzekła:

— I wam też nie zawiniłam. Miejcież zmiłowanie!

— Mam ci ja zmiłowanie nad tobą, dziecko i tylko dobra chcę twojego — odpowiedział z pewnem wzruszeniem stary rycerz.

A potem do Zbyszka:

— Słuchaj! Na nic jej tu ostawać. Jak ją wiatr obwieje, a słonko ogrzeje — to może się jej lepiej zrobi. Nie trać-że ty, chłopcze, głowy, jeno ją bierz do tej samej kołyski, w której ją wieźli, albo też na kulbakę i w drogę! Rozumiesz!

To rzekłszy, wyszedł z izby, aby wydać ostatnie rozporządzenia, ale zaledwie spojrzał przed siebie, gdy nagle stanął, jak wryty.

Oto silny zastęp pieszego ludu, zbrojnego w dzidy i berdysze otaczał z czterech stron, jakby murem, chatę, kopce i polankę.

— Niemce! — pomyślał Maćko.

Więc zgroza napełniła mu duszę, ale w mgnieniu oka chwycił za głownię miecza, zacisnął zęby i stał tak, podobny do dzikiego zwierza, który niespodzianie przez psy osaczon, gotuje się do rozpaczliwej obrony.

A wtem od kopca począł iść ku niemu olbrzymi Arnold z jakimś drugim rycerzem i zbliżywszy się, rzekł:

— Wartkie koło fortuny. Byłem waszym jeńcem, a teraz wyście moimi.

To rzekłszy, spojrzał z dumą na starego rycerza, jakby na lichszą od siebie istotę. Nie był to człowiek całkiem zły, ani zbyt okrutny, ale miał przywarę wspólną wszystkim Krzyżakom, którzy, ludzcy, a nawet układni w nieszczęściu, nie umieli nigdy pohamować ani pogardy dla zwyciężonych, ani bezgranicznej pychy, gdy czuli za sobą większą siłę.

— Jesteście jeńcami! — powtórzył wyniośle.

A stary rycerz spojrzał ponuro naokół. W piersi jego biło nietylko nie płochliwe, lecz aż nazbyt zuchwałe serce. Gdyby był we zbroi na bojowym koniu, gdyby miał przy sobie Zbyszka i gdyby obaj mieli w ręku miecze, topory, albo owe straszne „drzewa", któremi tak sprawnie władała ówczesna lechicka szlachta, byłby może próbował przełamać ów otaczający go mur dzid i berdyszów. Ale Maćko stał oto przed Arnoldem pieszo sam jeden, bez pancerza, więc spostrzegłszy, że pachołkowie porzucali już oręż i pomyślawszy, że Zbyszko jest w chacie przy Danusi całkiem bez broni, zrozumiał, jako człek doświadczony i z wojną wielce obyty, że niema żadnej rady.

Więc wyciągnął zwolna kord z pochwy, a następnie rzucił go pod nogi owego rycerza, który stał przy Arnoldzie. Ów zaś z niemniejszą

od Arnoldowej dumą, ale zarazem z łaskawością, ozwał się w dobrej polskiej mowie.

— Waże nazwisko, panie? Nie każę was wiązać na słowo, boście widzę pasowany rycerz i obeszliście się po ludzku z bratem moim.

— Słowo! — odpowiedział Maćko.

I oznajmiwszy kto jest, zapytał, czy wolno mu będzie wejść do chaty i ostrzedz bratanka, „by zaś czego szalonego nie uczynił" — zaczem, uzyskawszy pozwolenie, zniknął we drzwiach, a po niejakim czasie zjawił się znów z „mizerykordją" w ręku.

— Bratanek mój nie ma nawet miecza przy sobie — rzekł — i prosi, aby, póki w drogę nie ruszycie, mógł zostać przy swojej niewieście.

— Niech zostanie — rzekł brat Arnoldów — przyślę mu jadło i napitek, bo w drogę nie ruszym zaraz, gdyż lud utrudzon a i nam samym pożywić się i spocząć potrzeba. Prosim też was, panie, do kompanji.

To rzekłszy, zwrócili i poszli ku temu samemu ognisku, przy którem Maćko noc spędził, ale bądź to przez pychę, bądź przez prostactwo, dość między nimi powszechne, poszli przodem, dozwalając mu iść z tyłu. Ale on, jako wielki bywalec, rozumiejący, jaki ma być w każdem zdarzeniu zachowany obyczaj, zapytał:

— Prosicie, panie, jako gościa, czy jako jeńca?

Dopieroż zawstydził się brat Arnoldów, bo zatrzymał się i rzekł:

— Przejdźcie, panie.

Stary rycerz przeszedł, nie chcąc jednak ranić miłości własnej człowieka, na którym mogło mu dużo zależeć, rzekł:

— Widać, panie, że nietylko znacie różne mowy, lecz i obyczaje macie dworne.

Na to Arnold, rozumiejąc zaledwie niektóre słowa, ozwał się:

— Wolfgang, o co chodzi i co on mówi?

— Do rzeczy mówi! — odpowiedział Wolfgang, któremu widocznie pochlebiły Maćkowe słowa.

Poczem zasiedli przy ognisku i przyniesiono jeść i pić. Nauka, dana Niemcom przez Maćka, nie poszła jednakże w las, gdyż Wolfgang od niego zaczynał poczęstunek. Z rozmowy dowiedział się przytem stary rycerz, jakim sposobem wpadli w pułapkę. Oto Wolfgang, młodszy brat Arnolda, prowadził człuchowską piechotę także przeciw zbuntowanym Żmujdzinom, do Gotteswerder, ta jednakże, jako pochodząca z dalekiej komturji, nie mogła nadążyć jeździe, Arnold zaś nie potrzebował na nią czekać, wiedząc, że po drodze napotka inne piesze oddziały z miast i zamków bliższych litewskiej granicy. Z tej przyczyny młodszy ciągnął o kilka dni drogi później — i właśnie znajdował się na szlaku w pobliżu smolarni, gdy służka zakonna, zbiegłszy nocą, dała mu znać o przygodzie, jaka spotkała starszego brata. Arnold słuchając tego opowiadania, które powtórzono mu po niemiecku, uśmiechnął się z zadowoleniem, a wreszcie oświadczył, że spodziewał się, że tak się może zdarzyć.

Ale przebiegły Maćko, który w każdem położeniu ſtarał ſię znaleźć jakowąś radę, pomyślał, że z pożytkiem będzie zjednać ſobie tych Niemców — więc po chwili rzekł:

— Ciężka to zawße rzecz popaść w niewolę, wßelako Bogu dziękuję, że mnie nie w inne, jeno w waße oddał ręce, bo, wiera, żeście prawi rycerze i czci przeſtrzegający.

Na to Wolfgang przymknął oczy i ſkinął głową, wprawdzie dość ßtywnie, ale z widocznem zadowoleniem.

A ſtary rycerz mówił dalej:

— I że to mowę naßą tak znacie. Dał wam widzę Bóg rozum do wßyſtkiego!

— Mowę waßą znam, bo w Człuchowie naród po polſku mówi, a my z bratem od ſiedmiu lat pod tamtejßym komturem ſłużym.

— A z porą i z czaſem weźmiecie po nim i urząd! Nie może inaczej być!... Wżdy waß brat nie mówi tak po naßemu.

— Rozumie trochę, ale nie mówi. Brat ma ſiłę więkßą, chociaż i ja nie ułomek, a za to dowcip tępßy.

— Hej! nie widzi mi ſię i on głupi! — rzekł Maćko.

— Wolfgang! — co on powiada? — zapytał znów Arnold.

— Chwali cię — odpowiedział Wolfgang.

— Juzci chwalę — dodał Maćko — bo prawy jeſt rycerz, a to grunt! Szczerze wam też powiem, że chciałem go dziś całkiem na ſłowo puścić, niechby był jechał, gdzie chciał, byle ſię chociażby i za rok ſtawił. Także to przecie między paſowanymi rycerzami przyſtoi.

I począł pilnie patrzeć w twarz Wolfganga, ale ów zmarßczył ſię i rzekł:

— Puścikbym może i ja was na ſtawiennictwo, gdyby nie to, żeście pſom pogańſkim przeciwko nam pomagali.

— Nieprawda jeſt — odparł Maćko.

I począł ſię znów taki ſam oſtry ſpór, jak wczorajßego dnia z Arnoldem. Staremu rycerzowi jednak chociaż miał ſłußność, trudniej ßło, gdyż Wolfgang byſtrzejßy był iſtotnie od ſtarßego brata. Wynikła wßelako z owego ſporu ta korzyść, że i młodßy dowiedział ſię o wßyſtkich ßczycieńſkich zbrodniach, krzywoprzyſięſtwach i zdradach, a zarazem o loſach nießczęſnej Danuſi. Na to, na owe niegodziwości, któremi rzucał mu w oczy Maćko, nie umiał nic odpowiedzieć. Muſiał przyznać, że pomſta była ſprawiedliwą i że polſcy rycerze mieli prawo tak czynić, jako czynili, a wreßcie rzekł:

— Na błogoſławione kości Liborjußa! nie ja będę Danvelda żałował. Mówili o nim, że ſię czarną magią parał, ale moc i ſprawiedliwość Boſka od czarnej magji mocniejße! Co do Zygfryda, nie wiem, czyli takoż djabłu ſłużył, ale za nim nie pogonię, bo naprzód konnicy nie mam, a powtóre, jeśli jako powiadacie, ową dziewicę udręczył, to niechby też z piekła nie wyjrzał!

Tu przeciągnął ſię i dodał:

— Boże, bądź mi ku pomocy i przy ſkonaniu!

— A z ową nießczęſną męczennicą jakoże będzie! — zapytał

Maćko. — Zali nie pozwolicie jej odwieźć do domu? zali ma w waszych podziemiach konać!? Wspomnijcie na gniew Boży!...

— Mnie do niewiasty nic — odpowiedział szorstko Wolfgang. — Niech jeden z was odwiezie ją ojcu, byle się potem stawił; ale drugiego nie puszczę.

— Ba, a gdybym na cześć i na włócznię św. Jerzego zaprzysiągł?

Wolfgang zawahał się nieco, gdyż wielkie to było zaklęcie, ale w tej chwili Arnold spytał po raz trzeci:

— Co on powiada?

I dowiedziawszy się o co chodzi, począł przeciwić się zapalczywie i po grubijańsku wypuszczeniu obu na słowo. Miał on w tem swoje wyrachowanie: Oto był zwyciężon w większej bitwie przez Skirwojłłę, a w pojedyńczej przez tych polskich rycerzy. Jako żołnierz, wiedział także, że ta piechota brata musi teraz wracać do Malborga, bo chcąc iść dalej do Gotteswerder, szłaby po zniszczeniu poprzednich oddziałów, jako na rzeź. Wiedział więc, że trzeba mu będzie stanąć przed Mistrzem i marszałkiem, i rozumiał, że mniejszy mu będzie wstyd, gdy będzie miał do pokazania choć jednego znaczniejszego jeńca. Żywy rycerz, którego się przedstawia do oczu, więcej znaczy, niż opowiadanie, że się takich dwóch wzięło w niewolę.

Jakoż Maćko, słuchając chrapliwego wrzasku i klątew Arnolda, pojął odrazu, że należy przyjąć, co dają, gdyż więcej nic nie wskóra i rzekł, zwracając się do Wolfganga:

— To proszę was, panie, jeszcze o jedno: pewien-ci jestem, iż mój bratanek sam będzie rozumiał, że jemu wypada zostać przy żonie, a mnie z wami. Ale na wszelki wypadek pozwólcie oznajmić mu, że niema o tem co gadać, bo taka wasza wola.

— Dobrze; wszystko mi to jedno — odpowiedział Wolfgang. — Pomówmy jeno o okupie, który wasz bratanek za siebie i za was ma przywieźć, bo od tego wszystko zależy.

— O okupie? — zapytał Maćko, który wolałby był odłożyć tę rozmowę na później. — Albo to mało mamy czasu przed sobą? Gdy z pasowanym rycerzem sprawa, to słowo tyle znaczy, co gotowe pieniądze, a i wedle ceny, można się na sumienie zdać. My oto pod Gotteswerder wzięliśmy w niewolę znacznego waszego rycerza, niejakiego pana de Lorche i bratanek mój (on to bowiem go pojmał) puścił go na słowo, wcale się o cenę nie umawiając.

— Wzięliście pana de Lorche? — zapytał żywo Wolfgang. — Ja go znam. Możny to rycerz. Ale czemu to nie spotkaliśmy go w drodze?

— Bo widać tędy nie pojechał, jeno do Gotteswerder, albo ku Ragnecie — odparł Maćko.

— Możny i znamienitego rodu to rycerz — powtórzył Wolfgang. — Suto się obłowicie! Ale dobrze, żeście o tem wspomnieli, bo teraz i was za byle co nie puszczę..

Maćko przygryzł wąsa, jednakże podniósł dumnie głowę.

— My i bez tego wiemy, ileśmy warci.

— Tem lepiej — rzekł młodszy von Baden.

Ale zaraz potem dodał:

— Tem lepiej, nie dla nas, bośmy pokorni mnisi, którzy ubóstwo ślubowali, lecz dla Zakonu, który ważnych pieniędzy użyje na chwałę Bożą.

Maćko nie odrzekł na to nic, spojrzał tylko na Wolfganga, tak, jakby mu chciał powiedzieć: „Powiedz to komu innemu" — i po chwili poczęli się układać. Była to dla starego rycerza ciężka i drażliwa rzecz, bo z jednej strony czuły był wielce na wszelką stratę, z drugiej zaś rozumiał, że nie wypada mu siebie i Zbyszka zbyt mało cenić. Wił się tedy, jak piskorz, tembardziej, że Wolfgang, lubo niby ludzki i gładki w mowie, okazał się niepomiernie chciwym i twardym jako kamień. Jedyną pociechą była Maćkowi myśl, że zapłaci za to wszystko de Lorche, ale i tak żałował straconej nadziei zysku, na przybytek zaś z wykupu Zygfryda nie liczył, myślał bowiem, że Jurand, a nawet i Zbyszko, za żadną cenę nie wyrzekną się jego głowy.

Po długich układach zgodził się wreszcie na ilość grzywien i na termin i zawarowawszy, ilu pachołków i ile koni ma wziąć Zbyszko, poszedł mu to oznajmić, przyczem, widocznie w obawie, aby Niemcom nie strzeliła jaka inna myśl do głowy, radził mu, aby wyjeżdżał natychmiast.

— Tak to w rycerskim stanie — mówił wzdychając — wczoraj tyś za łeb trzymał, dzisiaj ciebie trzymają. Ano, trudno! Da Bóg, przyjdzie znów nasza kolej! Ale teraz czasu nie trać. Wartko jadący zgonisz Hlawę i przezpieczniej wam będzie razem, a byle raz z puszcz się wydostać i w ludzkim kraju na Mazowszu stanąć, to przecie u każdego szlachcica, alibo włodyki, znajdziecie gościnę i pomoc i starunek. Obcym ci tego u nas nie odmówią, a cóż dopiero swoim! Dla tej niebogi może też być w tem zbawienie.

Tak mówiąc, spoglądał na Danusię, która pogrążona w półśnie, oddychała szybko i rozgłośnie. Przeźroczyste jej ręce, leżące na ciemnej, niedźwiadkowej skórze, drgały gorączkowo.

Maćko przeżegnał ją i rzekł:

— Hej, bierz ją i jedź! Niechże to Bóg odmieni, bo widzi mi się, że cienko ona przędnie!

— Nie mówcie! — zawołał z rozpaczliwym przyciskiem Zbyszko.

— Moc Boska! Każę ci tu konia podprowadzić, a ty jedź!

I wyszedłszy z izby, zarządził wszystko do odjazdu. Turczynkowie, podarowani od Zawiszy, podprowadzili konie z kołyską wymoszczoną mchem i skórami, a pachołek Wit Zbyszkowego wierzchowca — i po chwili Zbyszko wyszedł z izby, trzymając na ręku Danusię. Było w tem coś tak wzruszającego, że obaj bracia von Baden, których ciekawość przywiodła przed chatę, ujrzawszy nawpół dziecinną jeszcze postać Danuśki, jej twarz, podobną istotnie do twarzy świętych panienek z kościelnych obrazów i jej słabość tak wielką, że nie mogąc dźwignąć głowy, trzymała ją wspartą ciężko na ramieniu młodego rycerza, poczęli spoglądać po sobie ze zdziwieniem i burzyć się w sercach przeciw sprawcom jej niedoli. „Juści katowskie, nie rycerskie serce miał Zyg-

fryd — szepnął do brata Wolfgang — a ową żmiję, chociażeś za jej przyczyną uwolnion, każę rózgami osmagać." Wzruszyło ich i to także, że Zbyszko niesie Danusię na ręku, jak matka dziecko — i zrozumieli jego kochanie, gdyż obaj mieli jeszcze młodą krew w żyłach.

On zaś zawahał się przez chwilę, czy chorą przed się wziąć na siodło i trzymać w drodze przy piersi, czy też złożyć w kołysce. Namyślił się wreszcie na to ostatnie, mniemając, że wygodniej jej będzie jechać leżący. Zatem zbliżywszy się do stryjca, pochylił się do jego ręki, aby ucałować ją na pożegnanie, ale Maćko, który w rzeczy miłował go, jak źrenicę oka, jakkolwiek nie chciał okazywać przy Niemcach wzruszenia, nie mógł się jednak powstrzymać i objąwszy go mocno, przycisnął usta do jego bujnych złotawych włosów.

— Boże cię prowadź! — rzekł. — A o starym przecie pamiętaj, bo niewola zawsze to ciężka rzecz.

— Nie zapomnę — odpowiedział Zbyszko.

— Daj ci Matka Najświętsza pociechę!

— Bóg wam zapłać i za to... i za wszystko.

Po chwili Zbyszko siedział już na koniu, ale Maćko przypomniał sobie jeszcze coś, gdyż skoczył ku niemu i położywszy mu dłoń na kolanie, rzekł:

— Słuchaj! A jeśli Hlawę dogonisz, to, co do Zygfryda, bacz, byś hańby i na się i na mój siwy włos nie ściągnął. Jurand — dobrze, ale nie ty! Na miecz mi to przysięgnij i na cześć!

— Póki nie wrócicie, to i Juranda pohamuję, aby się na was za Zygfryda nie pomścili — odpowiedział Zbyszko.

— Tak-że ci o mnie chodzi?

A młodzianek uśmiechnął się smutno:

— Przecie wiecie.

— W drogę! Jedź w zdrowiu!

Konie ruszyły i wkrótce przesłoniła je jasna leszczynowa gęstwina. Maćkowi stało się nagle okrutnie markotno i samotnie, a dusza rwała mu się ze wszystkich sił za tym umiłowanym chłopakiem, w którym była cała nadzieja rodu. Ale wraz otrząsnął się z żalu, gdyż był człowiekiem twardym i moc nad sobą mającym.

— Dziękować Bogu, że nie on w niewoli jest, jeno ja...

I zwrócił się ku Niemcom:

— A wy, panie, kiedy ruszycie i dokąd?

— Kiedy nam się spodoba — odpowiedział Wolfgang — a ruszymy do Malborga, gdzie przed Mistrzem naprzód musicie, panie, stanąć.

„Hej, jeszcze mi tam szyję gotowi za pomaganie Żmujdzinom uciąć!" — rzekł sobie Maćko.

Jednakże uspakajała go myśl, że jest w odwodzie pan de Lorche i że sami von Badenowie będą bronili jego głowy, choćby dlatego, aby ich okup nie minął.

„Bo, jużci — mówił sobie — że w takowem zdarzeniu Zbyszko nie potrzebowałby ni sam stawać, ni chudoby pomniejszać."

I myśl ta przyniosła mu pewną ulgę.

56.

Zbyszko nie mógł zgonić swego giermka, albowiem ów jechał dniem i nocą, tyle tylko wypoczywając, ile było koniecznie trzeba, aby konie nie popadały, które, jako żywione samą trawą, mdłe były i nie mogły czynić tak wielkich pochodów, jak w krajach, w których łatwiej było o owies. Sam siebie Hlawa nie szczędził, a na późny wiek i osłabienie Zygfryda nie zważał. Cierpiał też stary Krzyżak okrutnie, tembardziej, że żylasty Maćko nadwerężył mu poprzednio kości. Ale najcięższe były dla niego komary, rojące się w wilgotnej puszczy, od których, mając związane ręce, a przykrępowane do brzucha końskiego nogi, opędzać się nie mógł. Giermek nie zadawał mu wprawdzie żadnych osobnych mąk, ale i litości nad nim nie miał i uwalniał mu prawicę z więzów tylko na postojach przy jedle: „Jedz, wilcza mordo, abym cię żywięcego panu na Spychowie mógł dowieźć!" Takie były słowa, któremi go do posiłku zachęcał. Zygfrydowi przyszła wprawdzie z początku podróży myśl, by się głodem zamorzyć; ale gdy usłyszał zapowiedź, że będą mu zęby nożem podważać i przemocą w gardło lać, wolał ustąpić, aby do poniewierania swej godności zakonnej i czci rycerskiej nie dopuścić.

A Czech chciał koniecznie znacznie przed „panem" przybyć do Spychowa, aby swoją uwielbianą panienkę od wstydu uchronić. Prostym, ale roztropnym i niepozbawionym uczuć rycerskich szlachetką będąc, rozumiał to jednak doskonale, że byłoby w tem coś upokarzającego dla Jagienki, gdyby znalazła się w Spychowie razem z Danusią. „Można będzie w Płocku biskupowi powiedzieć (myślał), że staremu panu z Bogdańca z opiekuństwa tak wypadło, że ją z sobą musiał brać, a potem, niech się jeno rozgłosi, że ona pod biskupią opieką i że prócz Zgorzelic jeszcze i po opacie dziedzictwo na nią idzie — to choćby i wojewodziński syn nie będzie dla niej za dużo. I ta myśl osładzała mu trudy pochodów, bo zresztą trapił się myślą, że ta szczęsna nowina, którą do Spychowa wiezie, będzie jednak dla panienki wyrokiem niedoli.

Często też stawała mu przed oczyma rumiana jak jabłuszko Sieciechówna. Naówczas, o ile drogi pozwalały, łechtał boki konia ostrogami, albowiem tak pilno było mu do Spychowa.

Jechali błędnemi drogami, a raczej bezdrożem przez bór, wprost przed siebie, jak sierpem rzucił. Wiedział tylko Czech, że jadąc nieco ku zachodowi, a wciąż na południe, musi dojechać na Mazowsze, a wówczas wszystko już będzie dobrze. W dzień kierował się słońcem, a gdy pochód w noc się przeciągnął, gwiazdami. Puszcza przed nimi zdawała się nie mieć granic, ni końca. Płynęły im wśród mroków nocnych dni i noce. Nieraz myślał Hlawa, że nie przewiezie młody rycerz żywej niewiasty przez te okropne bezludzie, gdzie znikąd żywności, gdzie nocami koni trzeba było strzedz od wilków i niedźwiedzi, w dzień ustępować z drogi stadom żubrów i turów, gdzie straszne odyńce ostrzyły krzywe kły o korzenie sosen i gdzie często, kto nie przedział z kuszy, albo nie przebódł dzidą cętkowanych boków jelonka lub warchlaka, ten całymi dniami jeść co nie miał.

— Jakże tu będzie — myślał Hlawa — jechać z taką niedomęczoną dziewką, która ostatnim tchem goni!

Przychodziło im raz po raz objeżdżać rozległe grzęzawy lub głębokie parowy, na których dnie szumiały wzdęte wiosennymi dżdżami potoki. Nie brakło w puszczy i jezior, w których widywali przy zachodzie słońca pławiące się w rumianych, wygładzonych wodach całe stada łosiów lub jeleni. Czasem spostrzegali też dymy, zwiastujące obecność ludzi. Kilkakrotnie Hlawa zbliżał się ku takim borowym osadom, ale wysypywał się z nich na spotkanie lud dziki, przybrany w skóry na gołem ciele, zbrojny w kiścienie i łuki, a patrzący tak złowrogo z pod poskręcanych przez kołtun czupryn, że trzeba było korzystać co duchu z pierwszego zdumienia, w jaki ich wprawiał widok rycerzy i odjeżdżać jak najspieszniej.

Dwa razy jednak świstały za Czechem groty i gonił go okrzyk: „Wokili!" (Niemcy!) cr zaś wolał umykać, niż wywodzić się, kto jest. Nareszcie, po kilku jeszcze dniach, zaczął przypuszczać, że może już i przejechał granicę, ale na razie nie było się kogo spytać. Dopiero od osaczników, mówiących polską mową, dowiedział się, że nakoniec stanął na ziemiach mazowieckich.

Tam szło już łatwiej, chociaż całe wschodnie Mazowsze szumiało również jedną puszczą. Nie skończyło się także bezludzie, ale tam, gdzie zdarzyła się osada, mieszkaniec mniej był nieużyty, może dlatego, że nie karmił się wciąż nienawiścią, a może i z tej przyczyny, że Czech odzywał się zrozumiałym dla niego językiem. Bieda bywała tylko z niezmierną ciekawością tych ludzi, którzy otaczali gromadnie jeźdźców i zarzucali ich pytaniami, a dowiedziawszy się, że jeńca-Krzyżaka wiodą, mówili:

— Podarujcież go nam, panie: już my go sprawim!

I prosili tak natarczywie, że Czech często musiał się gniewać, albo tłómaczyć im, że jeniec jest książęcy. To wówczas ustępowali. Później, w kraju już osiadłym, ze szlachtą i włodykami nie szło też łatwo. Wrzała tam nienawiść przeciw Krzyżakom, pamiętano bowiem żywo wszędzie zdradę i krzywdę wyrządzoną księciu, wówczas, gdy w czasie największego spokoju porwali go Krzyżacy pod Złotoryją i zatrzymali jako więźnia. Nie chciano tam już wprawdzie „sprawiać" Zygfryda, ale ten lub ów twardy szlachcic mówił: „Rozwiążcie go, to mu dam oręż i za miedzą pozwę go na śmierć". Takim wkładał jako łopatą w głowę Czech, że pierwsze prawo do pomsty ma nieszczęsny pan spychowski i że nie wolno go jej pozbawiać.

Ale w osiadłych stronach łatwo już szła podróż, bo były jakie takie drogi i konie wszędy karmiono owsem lub jęczmieniem. Jechał też Czech żywo, nie zatrzymując się nigdzie i na dziesięć dni przed Bożem Ciałem stanął w Spychowie.

Przyjechał wieczorem, jak wówczas, gdy go był Maćko ze Szczytna z wiadomością o swoim odjeździe na Żmujdź przysłał i tak samo jak wówczas zbiegła do niego, ujrzawszy go z okna Jagienka, a on jej do nóg padł, słowa przez chwilę nie mogąc przemówić. Ale ona pod-

niosła go i pociągnęła co rychlej na górę, nie chcąc przy ludziach wypytywać.

— Co za nowiny? — spytała, drżąc z niecierpliwości i ledwie mogąc dech złapać. — Żywi są? zdrowi?

— Żywi! Zdrowi!

— A ona znalazła się?

— Jest. Odbili ją.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Ale mimo tych słów twarz jej stała się jakby skrzepła, bo odrazu wszystkie jej nadzieje rozsypały się w proch.

Siły wszakże nie opuściły jej i nie straciła przytomności, a po chwili opanowała się zupełnie i poczęła znów pytać:

— Kiedy zaś tu staną?

— Za kilka dni! Ciężka to droga — z chorą.

— Chora ci jest?

— Skatowana. Umysł się jej od męki pomieszał.

— Jezu miłosierny!

Nastało krótkie milczenie, tylko przybladłe nieco usta Jagienki poruszały się jakby w modlitwie.

— Nie obaczyła-że się przy Zbyszku? — spytała znowu.

— Może się i obaczyła, ale nie wiem, bom wraz wyjechał, aby wam, pani, oznajmić nowinę, nim tu staną.

— Bóg ci zapłać. Powiadaj: jako było?

Czech począł opowiadać w krótkich słowach, jak odbili Danusię i wzięli olbrzyma Arnolda razem z Zygfrydem. Oznajmił też, że Zygfryda przywiózł z sobą, albowiem młody rycerz chciał go dać w podarunku i dla pomsty Jurandowi.

— Trzeba mi teraz do Juranda! — rzekła, gdy skończył, Jagienka.

I wyszła, ale Hlawa niedługo pozostał sam, gdyż z alkierza wybiegła ku niemu Sieciechówna, a on, czy to dlatego, że niecałkiem był przytomny ze zmęczenia i trudów niezmiernych, czy że tęsknił do niej i zapamiętał się na razie na jej widok, dość, że chwycił ją w pół, przycisnął do piersi i począł całować jej oczy, policzki, usta, tak, jakby dawno już przedtem powiedział jej wszystko, co przed takim uczynkiem powiedzieć dziewczynie wypada.

I może, że istotnie wypowiedział jej to już w duchu, w czasie podróży, bo całował i całował bez końca, a tulił ją do się z taką siłą, że aż w niej oddech zapierało, ona zaś nie broniła się, z początku ze zdumienia, a potem z omdlałości tak wielkiej, że byłaby osunęła się na ziemię, gdyby trzymały ją mniej krzepkie ręce. Na szczęście, nie trwało to wszystko zbyt długo, gdyż na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili wpadł do izby ojciec Kaleb.

Odskoczyli więc od siebie, a ksiądz Kaleb począł znów zarzucać Hlawę pytaniami, na które ów, nie mogąc tchu złapać, z trudnością odpowiadał. Ksiądz myślał, że to z trudu. Usłyszawszy jednak potwierdzenie nowiny, że Danusia odbita i znaleziona, a kat jej przywiezion do Spychowa, rzucił się na kolana, aby Bogu dzięki uczynić. Przez ten czas uspokoiła się nieco krew w żyłach Hlawy i gdy ksiądz wstał,

mógł mu już spokojniej powtórzyć, jakim sposobem znaleźli i odbili Danusię.

— Nie po to ją Bóg wybawił — rzekł, wysłuchawszy wszystkiego, ksiądz — aby rozum jej i duszę w ciemnościach i we władaniu mocy nieczystych miał pozostawić! Położy Jurand na niej swoje święte ręce i jedną modlitwą przywróci jej rozum i zdrowie.

— Rycerz Jurand? — zapytał ze zdziwieniem Czech. — Takąż on ma moc? Świętym ci może za życia został?

— Przed Bogiem jest już za życia, a gdy zemrze, będą mieli ludzie w niebiesiech jednego więcej patrona-męczennika.

— Powiedzieliście wszelako, wielebny ojcze, że położy ręce na głowie córki. Zali-by mu prawica odrosła? bo wiem, żeście o to Pana Jezusa prosili.

— Powiedziałem: „ręce", jako się zwyczajnie mówi — odrzekł ksiądz — ale przy łasce Boskiej i jedna wystarczy.

— Pewnie! — odpowiedział Hlawa.

Ale w głosie jego było nieco zniechęcenia, gdyż myślał, że widomy cud zobaczy. Dalszą rozmowę przerwało wejście Jagienki.

— Oznajmiłam mu — rzekła — nowinę ostrożnie, aby go nagła radość nie zabiła, a on zaraz padł krzyżem i modli się.

— On i bez tego całemi nocami tak leży, a dziś tembardziej pewnie do rana nie wstanie — powiedział ksiądz Kaleb.

Jakoż tak się stało. Kilka razy zaglądali do niego i za każdym razem znajdowali go leżącego, nie w uśpieniu, lecz w modlitwie tak gorliwej, że do zupełnego zapamiętania się dochodzącej.

Dopiero nazajutrz, znacznie po jutrzni, gdy Jagienka zajrzała znów do niego, dał znać, że chce widzieć Hlawę i jeńca. Wyprowadzono wówczas z podziemia Zygfryda ze skrępowanemi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca.

W pierwszej chwili Czech nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawaliły całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędzniał. Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mlecznej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hławie poprostu trupem.

Przy krześle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochen czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordją, czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu, prócz chleba i wody, oddawna Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosiennica, przepasana powrósłem, którą nosił na gołem ciele. Tak to, od czasu powrotu ze szczycieńskiej niewoli, żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa.

Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bose stopy i podał się w tył. Wtedy to właśnie wy-

dał ſię Czechowi, jak umarły. Naſtała chwila oczekiwania, ſpodziewano ſię bowiem, że uczyni jaki znak, aby kto zaczął mówić, ale on ſiedział nieruchomy, biały, ſpokojny, z otwartemi nieco uſtami, jakoby iſtotnie pogrążon w wieczyſtem uśpieniu śmierci.

— Jeſt tu Hlawa — ozwała ſię wreszcie ſłodkim głoſem Jagienka — chcecie-li go wyſłuchać?

Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął po raz trzeci opowiadanie. Wſpomniał pokrótce o bitwach, ſtoczonych z Niemcami pod Gotteswerder, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danuſi, ale nie chcąc przydawać ſtaremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umyſł Danuſi pomieszał ſię przez długie dni okrutnej niedoli.

Natomiaſt, mając ſerce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygfryd jak najniemiłoſierniej był pokaran, nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przelęknioną, wynędzniałą, chorą, że znać było, że obchodzono ſię z nią po katowſku i że gdyby była dłużej pozoſtała w tych ſtrasznych rękach, byłaby uwiędła i zgaſła tak właśnie, jako więdnie i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej poſępny pomruk zapowiadającej ſię burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły ſię coraz potężniej nad Spychowem.

Jurand ſłuchał opowiadania bez jednego drgnienia i ruchu, tak, że obecnym zdawać ſię mogło, iż pogrążony jeſt we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszyſtko, bo gdy Hlawa zaczął mówić o niedoli Danuſi, wówczas w puſtych jamach oczu zebrały mu ſię dwie wielkie łzy i ſpłynęły mu po policzkach. Ze wszyſtkich ziemſkich uczuć pozoſtało mu jeszcze jedno tylko: miłość do dziecka.

Potem ſinawe jego uſta poczęły ſię poruszać modlitwą. Na dworze rozległy ſię pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyſkawice jęły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił ſię długo i znów łzy kapały mu na białą brodę. Aż wreszcie przeſtał i zapadło długie milczenie, które, przedłużając ſię nad miarę, ſtało ſię nakoniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli, co mają z ſobą robić.

Nakoniec ſtary Tolima, prawa Jurandowa ręka, towarzysz we wszyſtkich bitwach i główny ſtróż Spychowa, rzekł:

— Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze: dajcie znak, co mam z nim uczynić i jako go pokarać?

Na te ſłowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle promienie — i ſkinął, aby mu przywiedziono tuż więźnia.

Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywiedli przed ſtarca, a ów wyciągnął rękę, przeſunął naprzód dłoń po twarzy Zygfryda, jakby chciał ſobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz oſtatni jego ryſy, naſtępnie opuścił ją na pierſi Krzyżaka, zmacał ſkrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów — i przymknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że ſię namyślał. Ale cokolwiekbądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął ſię — i ſkierował dłoń

w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordja.

Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachołkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów nawpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrępowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza tak, aby mógł wiedzieć czego dotyka i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć — i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im zanadto. Hlawa jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachołkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepohamowany płacz głosem:

— Bracie Jurandzie, czego chcecie? czy chcecie darować jeńca wolnością?

— Tak! — odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

— Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

— Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

— Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana!

I klęknąwszy sam, począł mówić:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

I odmówił „Ojcze nasz" do końca. Przy słowach: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom" oczy jego zwróciły się mimowoli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakiemś nadziemskiem światłem.

A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdyż stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolano i rzekł:

— Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

— Tak! — skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna: burza była bliżej i bliżej.

57.

Dwaj jeźdźcy zdążali wśród wichru i nawalnego już chwilami dżdżu ku spychowskiej granicy: Zygfryd i Tolima. Ten ostatni odprowadzał Niemca z obawy, aby po drodze nie zabili go chłopi czatownicy lub czeladź spychowska, płonąca ku niemu straszną nienawiścią i zemstą. Zygfryd jechał bez broni, ale i bez pęt. Burza, którą gnał

wicher, była już nad nimi. Kiedy niekiedy, gdy huknął niespodziany grzmot, konie przysiadały na zadach. Oni jechali w głębokiem milczeniu, zapadłym wądołem, nieraz, z powodu ciasnoty drogi, tak blizko siebie, że strzemię trącało o strzemię. Tolima, przywykły od całych lat do stróżowania jeńców, spoglądał i teraz chwilami na Zygfryda bacznem okiem, jak gdyby mu chodziło o to, aby niespodzianie nie umknął — i dreszcz mimowolny przejmował go za każdym razem, albowiem wydawało mu się, że oczy Krzyżaka świecą w pomroce, jak oczy złego ducha, albo upiora. Przychodziło mu nawet do głowy, aby go przeżegnać, ale na myśl, że pod znakiem krzyża, może mu zawyje nieludzkim głosem i zmieniwszy się w szkaradny kształt, pocznie kłapać zębami, zdejmował go strach jeszcze większy. Stary wojownik, który umiał bić w pojedynkę w całe kupy Niemców, jak jastrząb bije w stado kuropatw — bał się jednakże sił nieczystych i nie chciał mieć z niemi do czynienia. Wolałby też był pokazać Niemcowi poprostu dalszą drogę i zawrócić, ale wstyd mu było samego siebie, więc odprowadził go aż do granicy.

Tam, gdy dotarli do krańca spychowskiego lasu, nastała przerwa w dżdżu i chmury zajaśniały jakiemś dziwnem żółtem światłem. Uczyniło się widniej i oczy Zygfryda utraciły ów poprzedni niesamowity blask. Ale wówczas napadła na Tolimę inna pokusa: „Kazali — mówił sobie — odprowadzić tego wściekłego psa przezpiecznie do granicy, tom go i odprowadził; ale zaliż ma on odjechać bez pomsty i kary, ów kat pana mojego i jego dziecka i czy nie byłby to godny a miły Bogu uczynek zgładzić go? Ej! nużbym go pozwał na śmierć? Niema ci on wprawdzie broni, ale o milę zaraz, w pana Warcimowem dworzyszczu, dadzą mu przecie jaki miecz, albo okszę — i będę się z nim potykał. Da Bóg, obalę go, a potem dorznę, jako przystoi i głowę w gnoju zakopię!” Tak mówił do siebie Tolima i spoglądając łakomie na Niemca, jął poruszać nozdrzami, jakby już zwietrzył zapach świeżej krwi. I ciężko musiał walczyć z tą żądzą, ciężko łamać się z sobą, aż dopiero, gdy pomyślał, że Jurand nie do granicy tylko darował życie i wolność jeńcowi i że w takim razie na nicby się nie przydał pański święty uczynek i zmniejszyłaby się za niego nagroda niebieska, przezwyciężył się wreszcie i powstrzymawszy konia, rzekł:

— Oto granica nasza i do waszej niedaleko. Jedź-że wolny, a jeśli cię zgryzota nie zdławi i piorun boski nie doścignie, to od ludzi nic ci nie grozi.

I to rzekłszy, zawrócił, a tamten pojechał przed siebie z jakąś dziką skamieniałością w twarzy, nie odezwawszy się ani jednem słowem i jakby nie słysząc, że ktoś do niego przemówił.

I jechał dalej, szerszym już gościńcem, rzekłbyś pogrążon we śnie.

Krótka była przerwa w burzy i krótko trwało rozjaśnienie. Ściemniło się znów tak, iż rzekłbyś na świat padł mrok wieczorny i chmury zstąpiły nizko, prawie nad sam bór. Z góry dochodził złowrogi pomruk i jakby niecierpliwy syk i warczenie piorunów, które hamował jeszcze anioł burzy. Ale błyskawice rozświecały już co chwila

oślepiającym blaskiem groźne niebo i przerażoną ziemię i wówczas widać było szeroką drogę, idącą wśród dwóch czarnych ścian boru, na niej zaś w pośrodku samotnego jeźdźca na koniu. Zygfryd jechał nawpół przytomny, trawiony przez gorączkę. Rozpacz, żrąca mu duszę od czasu śmierci Rotgiera, zbrodnie popełnione przez zemstę, zgryzoty, przerażające widzenia, duszne targaniny zmąciły jego umysł już oddawna do tego stopnia, że z największym tylko wysiłkiem bronił się szaleństwu, a chwilami nawet mu się poddawał. Świeżo zaś — i trudy podróży pod twardą ręką Czecha i noc spędzona w spychowskiem więzieniu i niepewność losu, a nadewszystko ów niesłychany, nadludzki niemal czyn łaski i miłosierdzia, który poprostu go przeraził, wszystko to potargało go do ostatka. Chwilami tężała i krzepła w nim myśl, tak, że zupełnie tracił rozpoznanie, co się z nim dzieje, ale potem znów gorączka budziła go i zarazem budziła w nim jakieś głuche poczucie rozpaczy, zatraty, zguby — poczucie, że wszystko już minęło, zgasło, skończyło się, że nadszedł jakiś kres, że naokół jeno noc i noc i nicość i jakby jakaś otchłań okropna, wypełniona przerażeniem, ku której musi jednak iść.

— Idź! idź! — szepnął mu nagle nad uchem jakiś głos.

A on obejrzał się — i ujrzał śmierć. Sama kształtu kościotrupa, siedząc na kościotrupie końskim, sunęła tuż obok, biała i klekocąca kościami.

— Jesteś? — zapytał Krzyżak.

— Jestem. Idź! Idź!

Ale w tej chwili spostrzegł, że z drugiej strony ma także towarzysza: strzemię w strzemię jechał jakiś twór ciałem podobny do człowieka, ale z nieludzką twarzą, głowę miał bowiem zwierzęcą, ze stojącemi uszami, długą, śpiczastą i pokrytą czarną szerścią.

— Ktoś ty? — zawołał Zygfryd.

Ów zaś, zamiast odpowiedzieć, pokazał mu zęby i począł głucho warczeć.

Zygfryd zamknął oczy, ale natychmiast usłyszał potężniejszy chrzęst kości i głos mówiący mu w samo ucho:

— Czas! czas! śpiesz się! idź!

I odpowiedział:

— Idę!...

Ale odpowiedź ta wyszła z jego piersi tak, jakby ją dał kto inny.

Potem, rzekłbyś, popychany jakąś nieprzepartą zewnętrzną siłą, zsiadł z konia i zdjął z niego wysokie rycerskie siodło, a następnie uzdę. Towarzysze, zsiadłszy także, nie odstąpili go ani na mgnienie oka — i zawiedli ze środka drogi na skraj boru. Tam czarny upiór pochylił mu gałąź i pomógł przywiązać do niej rzemień uzdy.

— Spiesz się! — szepnęła śmierć.

— Spiesz się! — zaszumiały jakieś głosy w wierzchołkach drzew.

Zygfryd, pogrążony jakby we śnie, przewlókł drugi lejc przez sprzączkę, uczynił pętlę — i wstąpiwszy na siodło, które złożył poprzednio pod drzewem, założył ją sobie na szyję.

— Odepchnij siodło!... już! Aa!

Trącone nogą siodło potoczyło się o kilka kroków — i ciało nieszczęsnego Krzyżaka zwisło ciężko.

Przez jedno mgnienie oka wydało mu się, że słyszy jakiś chrapliwy, stłumiony ryk i że ów ohydny upiór rzucił się na niego, zakołysał nim i począł zębami szarpać mu piersi, aby ukąsić go w serce. Ale potem gasnące jego źrenice ujrzały jeszcze co innego: Oto śmierć rozpłynęła się w jakiś białawy obłok, który zwolna posunął się ku niemu, objął go, ogarnął, otoczył i zakrył wreszcie wszystko okropną nieprzenikliwą zasłoną.

W tej chwili burza rozszalała się z niezmierną wściekłością. Piorun huknął w środek drogi, z tak straszliwym łoskotem, jakby ziemia zapadła się w posadach. Cały bór ugiął się pod wichrem. Szum, świst, wycie, skrzypienie pni i trzask łamanych gałęzi wypełniły głębie leśne. Fale dżdżu, gnane wichrem, przesłoniły świat — i tylko w czasie krótkich krwawych błyskawic można było dojrzeć rozhuśtany dziko nad drogą trup Zygfryda.

* * *

Nazajutrz tą samą drogą posuwał się dość liczny orszak. Na przodzie jechała Jagienka z Sieciechówną i Czechem, za nimi szły wozy, otoczone przez czterech zbrojnych w kusze i miecze pachołków. Z woźniców każdy miał też obok siebie oszczep i siekierę, nie licząc okutych wideł i innych narzędzi, w drodze przydatnych. Potrzebne to było, tak dla obrony od dzikiego zwierza, jak od kup rozbójniczych, które wiecznie grasowały na krzyżackiej granicy, a na które gorzko się skarżył Wielkiemu Mistrzowi Jagiełło i w listach i osobiście na zjazdach w Raciążu.

Ale mając ludzi sprawnych i dobry sprzęt obronny, można się było ich nie lękać, poczet więc jechał ufny w siebie i wolny od obaw. Po wczorajszej burzy nastał dzień przecudny, rzeźwy, cichy i tak jasny, że tam, gdzie nie było cienia oczy podróżnych mrużyły się od zbytniego blasku. Żaden liść nie poruszał się na drzewach, a z każdego zwieszały się wielkie krople dżdżu, mieniące się tęczą w słońcu. Wśród sosnowych igieł błyszczały jakby wielkie dyamenty. Ulewa potworzyła na gościńcu małe strumyki, które spływały z wesołym szelestem ku niższym miejscom, tworząc we wgłębieniach płytkie jeziorka. Cała okolica była zroszona, mokra, ale śmiejąca się w porannej jasności. W takie poranki radość ogarnia i serce ludzkie, więc woźnice i parobcy podśpiewywali sobie z cicha, dziwiąc się milczeniu, które panowało między jadącymi na przedzie.

Oni zaś milczeli, bo na duszy Jagienki osiadła ciężka troska. W życiu jej coś się skończyło, coś złamało i dziewczyna, chociaż nie bardzo biegła w rozmyślaniu i nie umiejąca wypowiedzieć sobie wyraźnie, co się w niej dzieje i co się jej wydaje, czuła jednak, że wszystko, czem dotychczas żyła, zawiodło i poszło na marne, że rozwiała się w niej wszelka nadzieja, jako poranna mgła rozwiewa się nad polami, że wszystkiego trzeba się będzie wyrzec, wszystkiego zaniechać, o wszystkiem zapomnieć i zacząć życie jakby całkiem

nowe. Myślała też, że choćby z woli Bożej nie było ono całkiem złe, jednakże nie może być inne, jeno smutne, a w żadnym razie nie tak dobre, jak mogłoby być to, które się właśnie skończyło.

I żal niezmierny ściskał jej serce po owej zamkniętej raz na zawsze przeszłości i podnosił się strumieniem łez do oczu. Ale nie chciała płakać, bo i bez tego czuła, jakby w dodatku do całego brzemienia, które jej gniotło duszę, jeszcze i wstyd. Wolałaby była nie wyjeżdżać ze Zgorzelic, byle tak nie wracać teraz ze Spychowa. Bo, że tu przyjechała nietylko dlatego, że nie wiedziała co czynić po śmierci opata i nietylko dlatego, by Cztanowi i Wilkowi odjąć przyczynę do napaści na Zgorzelice, tego nie mogła przed sobą zaprzeć! Nie! Wiedział o tem i Maćko, który też nie z tego powodu ją brał, a dowie się niechybnie i Zbyszko. Na tę myśl zapałały jej policzki i gorycz zalała serce. „Nie byłam ci dość harda, mówiła sobie w duszy, a teraz mam, czegom chciała.” I do troski, do niepewności jutra, do zgryźliwego smutku i do niezgłębionego żalu po przeszłości, dołączyło się upokorzenie.

Ale dalszy przebieg ciężkich myśli przerwał jej jakiś człowiek, nadchodzący pospiesznie z przeciwka. Czech, mający na wszystko baczne oko, ruszył też koniem ku niemu i z kuszy na ramieniu, z torby borsuczej i z piór sójki na czapce poznał w nim borowego.

— Hej! a ktoś jest? stój! — zawołał jednak dla pewności.

Ów zbliżył się pospiesznie i z obliczem poruszonem, jakie miewają zwykle ludzie, którzy chcą coś niezwykłego oznajmić, zawołał:

— Człowiek przed wami wisi nade drogą!

Czech więc zaniepokoił się, czy to nie jakaś sprawa zbójecka i począł pytać żywo:

— Daleko stąd?

— Na strzelenie z kuszy. Nad samą drogą.

— Nikogo przy nim?

— Nikogo. Spłoszyłem jeno wilka, który go obwąchiwał.

Wzmianka o wilku uspokoiła Hlawę, dowodziła bowiem, że w pobliżu nie było ludzi ni żadnej zasadzki.

Tymczasem Jagienka rzekła:

— Obacz, co to jest.

Hlawa skoczył przed siebie, a po chwili powrócił jeszcze szybciej.

— Zygfryd wisi! — zawołał, osadzając przed Jagienką konia.

— W imię Ojca i Syna i Ducha! Zygfryd? Krzyżak?

— Krzyżak! Na uździenicy się powiesił!

— Sam?

— Sam, widać, bo siodło leży wedle niego. Gdyby to zbóje uczynili, byliby go poprostu zabili — i siodło byliby zabrali, bo zacne.

— Jako-że pojedziem?

— Nie jedźmy tam! nie jedźmy! — poczęła wołać bojaźliwa Anula Sieciechówna. — Jeszcze się co do nas przyczepi!

Jagienka przelękła się nieco także, gdyż wierzyła, że koło trupa

samobójcy zbierają się całemi gromadami duchy paskudne, ale Hlawa, który był zuchwały i niczego się nie bojący, rzekł:

— A wa! Byłem blizko niego, a nawet trąciłem go oszczepem — i jakoś nie czuję djabła na karku.

— Nie bluźnij! — zawołała Jagienka.

— Nie bluźnię — odpowiedział Czech — jeno ufam w moc Bożą. Wszelako, jeśli się boicie, to można borem objechać.

Sieciechówna poczęła prosić, by objechać, ale Jagienka, namyśliwszy się przez chwilę, rzekła:

— Ej! nie godzi się umarłego nie pogrześć! Krześcijański to uczynek, od Pana Jezusa nakazany, a to przecie człowiek.

— Ba, ale Krzyżak, wisielec i kat! Kruki i wilcy się nim zajmą.

— Nie powiedaj byle czego! Za winy Bóg go będzie sądził, my zaś uczyńmy swoje. Nie przyczepi się też do nas nijakie zło, jeśli pobożne przykazanie spełnimy.

— Ha, to niech się i stanie wedle waszej woli — odrzekł Czech.

I wydał odpowiedni rozkaz parobkom, którego posłuchali z ociąganiem się i ze wstrętem. Bojąc się jednakże Hlawy, pobrali, w niedostatku łopat, widły i topory dla wybrania dołu w ziemi i poszli. Czech udał się też z nimi dla przykładu i przeżegnawszy się, przeciął własnoręcznie rzemień, na którym trup wisiał.

Zygfryda twarz zbłękitniała już na powietrzu i wyglądał dość okropnie, albowiem oczy miał nie zamknięte i przerażone, usta zaś otwarte, jakby dla złapania ostatniego tchu. Prędko więc wykopali tuż obok dół i zepchnęli do niego ciało rękojeściami wideł, twarzą do ziemi, poczem przysypawszy je, poczęli szukać kamieni, był bowiem obyczaj odwieczny, że pokrywano nimi samobójców, inaczej bowiem wstawali nocami i przeszkadzali podróżnym.

Kamieni było dosyć i na drodze i między mchami leśnymi, wkrótce więc urosła nad Krzyżakiem kopiasta mogiła, a potem Hlawa wyciął siekierą na pniu sosny krzyż, co uczynił nie dla Zygfryda, lecz aby złe duchy nie zbierały się w tem miejscu i wrócił do orszaku.

— Dusza w piekle, a ciało już w ziemi — rzekł do Jagienki. — Możem teraz jechać.

I ruszyli. Jednakże Jagienka, przejeżdżając, udarła gałązkę sośniny i cisnęła ją na kamienie, a za przykładem pani uczynili tak samo wszyscy inni, bo i to nakazywał także obyczaj.

Długi czas jechali w zadumie, rozmyślając o tym złowrogim mnichu-rycerzu, o karze, jaka go dosięgła, a wreszcie Jagienka rzekła:

— Sprawiedliwość Boska nie folguje. I nie godzi się nawet „Wieczny odpoczynek" za niego odmówić, bo dla niego niemasz zmiłowania.

— Litościwą macie i tak duszę, żeście kazali go pogrześć — odpowiedział Czech.

A następnie zaczął mówić z pewnem wahaniem:

— Ludzie prawią, ba! może i nie ludzie, jeno czarownice i czarowniki, że niby powróz, albo też rzemień z wisielca daje jakoweś

szczęście we wszystkiem, ale nie wziąłem rzemienia z Zygfryda, bo ja dla was nie od czarnoksięstwa, tylko od Pana Jezusowej mocy szczęścia wyglądam.

Jagienka nie odrzekła na razie nic i po chwili dopiero, westchnąwszy kilkakroć, rzekła jakby sama do siebie:

— Hej! Moje szczęście za mną, nie przede mną!

58.

Dopiero w dni dziewięć po wyjeździe Jagienki stanął Zbyszko na granicy Spychowa, ale Danusia była już tak blizka śmierci, że zupełnie stracił nadzieję, czy ją żywą ojcu dowiezie. Zaraz następnego dnia, gdy poczęła nie do rzeczy odpowiadać, spostrzegł, iż nietylko umysł jej jest zwichnięty, ale że przytem i ciało ogarnia jakaś choroba, przeciw której niema już sił w tem wycieńczonem przez niewolę, więzienie, mękę i ustawiczny strach dziecku. Może być, że odgłosy zaciekłej walki, jaką Zbyszko i Maćko stoczyli z Niemcami, przepełniły ten kielich przerażenia i że właśnie w tej chwili napadła ją owa choroba, dość, że gorączka nie opuszczała jej odtąd prawie aż do końca drogi. Była to nawet poniekąd okoliczność pomyślna, albowiem przez straszną puszczę, wśród niezmiernych trudów, wiózł ją Zbyszko jak martwą, nieprzytomną i o niczem nie wiedzącą. Po przebyciu puszcz, gdy weszli do „zbożnego" kraju, między osady kmiece i szlacheckie, skończyły się niebezpieczeństwa i trudy. Ludzie, dowiadując się, że to wiozą swojackie dziecko, odbite Krzyżakom, a do tego córkę sławnego Juranda, o którym „gądkowie" tyle śpiewali już pieśni po gródkach, dworzyszczach i chatach, prześcigali się w usługach i pomocy. Dostarczano zapasów i koni. Wszystkie drzwi stawały otworem. Nie potrzebował już Zbyszko wieźć Danusi w kolebce między końmi, gdyż silni młodziankowie przenosili ją w noszach ode wsi do wsi, tak troskliwie i ostrożnie, jakby jakąś świętość nieśli. Niewiasty otaczały ją najtkliwszą opieką. Mężowie, słuchając opowieści o jej krzywdach, zgrzytali zębami i niejeden nakładał zaraz żelazne blachy, chwytał za miecz, za topór, albo za kopię i jechał dalej ze Zbyszkiem, by pomścić się z „nawiązką", bo nie dość wydawało się zawziętemu pokoleniu równo krzywdę za krzywdę zapłacić.

Ale Zbyszko nie myślał w tej chwili o zemście, tylko jedynie o Danusi. Żył między przebłyskami nadziei, gdy chwilowo czyniło się chorej lepiej, a głuchą rozpaczą, gdy stan jej pogarszał się widomie. A co do tego nie mógł się już łudzić. Nieraz z początku podróży przelatywała mu przez głowę zabobonna myśl, że może tam gdzieś po bezdrożach, które przebywali, jedzie za nimi ślad w ślad śmierć i czyha tylko na sposobną chwilę, by się rzucić na Danusię i wyssać z niej ostatek życia. Widzenie to, a raczej poczucie, bywało zwłaszcza wśród ciemnych nocy tak wyraźne, że nieraz porywała go rozpaczliwa chęć zawrócić, wyzwać martwicę, jak się wyzywa rycerza i potykać się z nią do ostatnie-

go tchu. Ale przy końcu drogi było jeszcze gorzej, czuł bowiem śmierć, nie za orszakiem, ale wśród samego orszaku, niewidzialną wprawdzie, ale tak bliską, iż obwiewało ich jej mrozne tchnienie. I rozumiał już, że przeciw temu nieprzyjacielowi na nic męstwo, na nic krzepka dłoń, na nic oręż, że trzeba mu będzie oddać bezradnie najdroższą głowę na łup, bez walki.

I to było uczucie najstraszniejsze, albowiem łączył się z niem żal, niepohamowany jak wicher, bezdenny jak morze. Jakże nie miała jęczeć, jakże nie miała się rwać z boleści w Zbyszku dusza, gdy spoglądając na swoją kochaną, mówił jej, jakby z mimowolną wymówką: „Na tożem cię miłował, na tom cię odszukał i odbił, aby cię jutro ziemią przysypać i nie widzieć cię już nigdy?" A tak mówiąc, spoglądał na jej kwitnące gorączką policzki, na jej mętne, nieprzytomne oczy i znów ją pytał: „Ostawisz mnie? Nie żal ci? Wolisz ode mnie, niż ze mną?" I wówczas myślał, że chyba i jemu samemu w głowie się pomiesza, piersi zaś rozpierał mu jakby płacz przeogromny, ale zapiekły i nie mogący wybuchnąć, albowiem tamowała mu ujście i jakaś złość i jakiś gniew na tę bezlitosną siłę, która wywarła się na niewinne dziecko, ślepa i zimna. Gdyby złowrogi Krzyżak znajdował się wówczas w orszaku, byłby go poszarpał, jak dziki zwierz.

Dobiwszy się do leśnego dworca, chciał się zatrzymać, ale tam na wiosnę było pusto. Od stróżów dowiedział się przytem, że oboje księstwo wybrali się do brata, Ziemowita, do Płocka, poniechał więc zamiaru jechania do Warszawy, gdzieby dworski medyk mógł dać chorej ratunek. Trzeba mu było ciągnąć do Spychowa, co było straszne, albowiem zdawało mu się, iż wszystko już się kończy i że trupa tylko dowiezie Jurandowi.

Ale właśnie na kilka godzin drogi przed Spychowem padł znów na jego serce jaśniejszy promyk nadziei. Policzki Danusi poczęły blednąć, oczy stawały się mniej mętne, oddech nie tak głośny i mniej pośpieszny. Zbyszko spostrzegł to natychmiast i po niejakim czasie nakazał ostatni postój, aby mogła spokojniej oddychać. Byli o milę może od Spychowa, zdala od mieszkań ludzkich, a na wązkiej drodze między polem a łąką. Ale stojąca w pobliżu dzika grusza dawała ochronę od słońca, zatrzymali się więc pod jej gałęziami. Pachołkowie, pozłaziwszy z koni, rozkiełznali je, aby łacniej im było szczypać trawę. Dwie niewiasty, najęte do posług przy Danusi i młodziankowie, którzy ją nieśli, znużeni drogą i upałem, pokładli się w cieniu i posnęli; tylko Zbyszko czuwał przy noszach i siadłszy tuż na korzeniach gruszy, nie spuszczał z chorej oczu.

A ona leżała wśród popołudniowej ciszy, spokojnie, z przymkniętemi powiekami. Zbyszkowi wydawało się jednakże, że nie śpi. Jakoż, gdy na drugim końcu rozległej łąki, koszący siano chłop stanął i począł brzękać w kosę osełką, drgnęła lekko i otworzyła na chwilę powieki, poczem przymknęła je zaraz; pierś jej podniosła się jakby głębszym oddechem, a z ust wyszedł ledwie dosłyszalny szept:

— Kwiecie pachnie...

Były to pierwsze nie gorączkowe i nie błędne słowa, jakie od początku podróży wymówiła, albowiem z przygrzanej słońcem łąki powiew przynosił istotnie mocną woń, w której czuć było siano i miód i przeróżne pachnące zioła. Więc w Zbyszku na myśl, że przytomność wraca chorej, zadrżało z radości serce. W pierwszem uniesieniu chciał rzucić się do jej nóg, ale z obawy, by jej nie przestraszyć, pohamował się, klęknął tylko przy nożach i pochyliwszy się nad nią, jął wołać z cicha:

— Danusiu! Danusiu!

A ona otworzyła znów oczy; czas jakiś patrzyła na niego, poczem uśmiech rozjaśnił jej twarz i tak samo, jako poprzednio w chacie smolarzy, ale przytomniej, wymówiła jego imię:

— Zbyszko!...

I próbowała wyciągnąć ku niemu ręce, ale dla zbytniej słabości nie mogła tego uczynić; on natomiast objął ją ramionami, z sercem tak wezbranem, jakby jej dziękował za jakąś niezmierną łaskę.

— Przebudziłaś się! — mówił. — O, Bogu chwała... Bogu...

Poczem zbrakło mu głosu — i przez czas jakiś patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę polną mącił tylko wonny powiew od strony łąki, który szemrał w liściach gruszy, ksykanie koników w trawach i dalekie, niewyraźne śpiewanie kosiarza.

Danusia spoglądała coraz przytomniej i nie przestawała się uśmiechać, zupełnie jak dziecko, które we śnie widzi anioła. Powoli jednak w oczach jej poczęło się odbijać jakby pewne zdziwienie.

— Gdziem jest?... — rzekła.

Wówczas z ust jego wyrwał się cały rój krótkich, przerywanych przez radość odpowiedzi.

— Przy mnieś jest! Pod Spychowem! Do tatusia jedziemy. Skończona twoja niedola. Oj! Danuśko moja! Oj, Danuśko! Szukałem cię i odbiłem. Nie w niemieckiej tyś już mocy. Nie bój się! Zaraz będzie Spychów. Chorzałaś, ale Pan Jezus się zmiłował! Ile było boleści, ile płakania! Danuśko!... Teraz już dobrze!.... Nic, jeno szczęśliwość przed tobą. Ej, com się naszukał!... com się nawędrował!... Ej, mocny Boże!.. Ej!

I odetchnął głęboko, a prawie z jękiem, jakby ostatek ciężaru boleści zrzucał z piersi.

Danusia leżała spokojnie, coś sobie przypominając, coś rozważając, a nakoniec spytała:

— Toś ty nie zabaczył mnie?

I dwie łzy wezbrawszy jej w oczach, stoczyły się po twarzy na wezgłowie.

— Ja miałbym ciebie zabaczyć! — zawołał Zbyszko.

Było zaś w tym stłumionym okrzyku więcej mocy, niż w największych zaklęciach i przysięgach, albowiem miłował ją zawsze całą duszą, a od czasu, gdy ją odzyskał, stała mu się droższą, niż cały świat.

Ale tymczasem zapadła ponownie cisza; w dali jeno chłop przestał śpiewać i jął raz drugi klepać osełką kosę.

Usta Danusi poczęły się znów poruszać, ale szeptem tak cichym, że Zbyszko nie mógł jej dosłyszeć, więc, pochyliwszy się, zapytał:

— Co zaś, jagódko, mówisz?

A ona powtórzyła:

— Kwiecie pachnie...

— Bośmy przy łące — odrzekł — ale wnet pojedziem dalej... Do tatusia, który też z niewoli wybawion. I będziesz moja do śmierci. Słyszysz że ty mnie dobrze? rozumiesz?

Wtem targnął nim nagły niepokój, spostrzegł bowiem, że twarz jej czyni się blada i coraz bledsza, a na twarzy osiadają gęsto drobne krople potu.

— Co ci jest? — spytał z okropnym przestrachem.

I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości.

— Co ci jest? powiedz! — powtórzył.

— Ciemno! — szepnęła.

— Ciemno? Słonko świeci, a tobie ciemno? — zapytał zdyszanym głosem. — Dopiero co mówiłaś przytomnie! Na imię Boskie, rzeknij choć słowo!

Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła już nawet szeptać, Zbyszko odgadł tylko, że wymawia jego imię i że go woła. Wnet potem wychudzone jej dłonie jęły drgać i trzepotać się po kilimku, którym była okryta. Trwało to chwilę. Nie było już się co łudzić: — konała!

A on w przerażeniu i rozpaczy począł ją błagać, jakby prośba mogła coś wskórać:

— Danuśka! O Jezu miłosierny!... Poczekaj choć do Spychowa! poczekaj! poczekaj! O Jezu! Jezu! Jezu!

Podczas tego błagania rozbudziły się niewiasty i nadbiegli pachołkowie, którzy byli opodal przy koniach na łące. Ale zrozumiawszy od pierwszego rzutu oka, co się dzieje, poklękali i poczęli odmawiać w głos litanię.

Powiew ustał, przestały szemrać liście na gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się wśród wielkiej, polnej ciszy.

Danusia przed samym końcem litanji otworzyła jeszcze oczy, jakby chcąc spojrzeć po raz ostatni na Zbyszka i na świat słoneczny, poczem zaraz zasnęła snem wiekuistym.

* * *

Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy nogach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki i obficie rosnące różowe smółki i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż, gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korowodem noże i poczęli je maić. Pokryli więc prawie cał-

kiem kwieciem i ziółmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonków i lilji bielała, cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po niejakim czasie, gdy im smutek i boleść łzami spłynęły, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się juz Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów, śpiewały na przedzie pieśni pobożne — i tak zwolna szli i szli między zieloną łąką, a równym szarym ugorem, jakby jaka procesja załośna.

Na modrem niebie nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słonecznym.

59.

Przyszli nakoniec ze zwłokami dziewczyny do borów Spychowskich, na których granicy stróżowali dniem i nocą zbrojni pachołkowie Jurandowi. Jeden z nich skoczył z wieścią do starego Tolimy i do księdza Kaleba, inni poprowadzili orszak z początku krętą i zapadłą, a potem szeroką leśną drogą, aż do miejsca, gdzie bór się kończył, a poczynały się rozległe wilgotne grudzie i grząskie, rojne od błotnego ptactwa trzęsawy, za któremi, na suchej wyżni, leżał Spychowski gródek. Poznali też wraz, że już żałobna wieść o nich doszła do Spychowa, gdyż zaledwie wychylili się z leśnego cienia na jasne błonie, doleciał do ich uszu odgłos dzwonu z gródkowej kaplicy. Wkrótce potem ujrzeli idącą zdala naprzeciw liczną drużynę ludzi, w której byli mężowie i niewiasty. Gdy gromada owa zbliżyła się na dwa lub trzy strzelenia z łuku, można już było rozróżnić osoby. Na czele szedł sam Jurand, podtrzymywany przez Tolimę i macający przed sobą kosturem. Łatwo go było poznać po ogromnym wzroście, po czerwonych jamach w miejsce oczu i po białych, opadających aż na ramiona włosach. Obok postępował z krzyżem i w białej komży ksiądz Kaleb. Za nimi niesiono chorągiew z Jurandowym znakiem, przy której szli zbrojni „woje" spychowscy, a za nimi niewiasty zamężne w nałęczkach na głowach i przetowłose panny. Na końcu gromady ciągnął wóz, na którym miano złożyć zwłoki.

Zbyszko, ujrzawszy Juranda, kazał postawić nosze na ziemi, które sam niósł do tej chwili od strony wezgłowia, zaczem posunąwszy się ku niemu, jął wołać takim okropnym głosem, jakim woła niezmierna boleść i rozpacz:

— Szukałem ci jej, póki-m nie znalazł i odbiłem, ale ona wolała do Boga, niż do Spychowa!

I boleść złamała go zupełnie, albowiem padłszy na piersi Juranda, objął go za szyję i począł jęczeć:

— O Jezu, o Jezu, o Jezu!...

Na ów widok wzburzyły się serca zbrojnej czeladzi spychowskiej i poczęli bić włóczniami o tarcze, nie wiedząc, jak inaczej swój ból i swoją chęć pomsty wyrazić. Niewiasty uczyniły lament i zawodząc jedna przez drugą, podnosiły zapaski do oczu, albo też całkiem pokrywały niemi głowy, wołając w niebogłosy: „Hej! Dola! Dola! Tobie wesele, a nam płakanie. — Śmierć cię skosiła, Kościej cię zabrał — oj! oj!" A niektóre, pochylając w tył głowy i zamykając oczy, wołały znów: „Źle ci tu było, kwiatuszku, z nami — źle? Ostał się rodzic w wielkiej żałobie, a ty już chodzisz po boskich pokojach — oj! oj!" Inne nakoniec wymawiały zmarłej, że się nie ulitowała tatkowego i mężowego sieroctwa i łez. A był ten lament i ten żal nawpół śpiewem, bo nie umiał ów lud inaczej swojego bólu wypowiadać.

Atoli Jurand, wysunąwszy się z ramion Zbyszka, wyciągnął kosztur przed siebie, na znak, że chce iść do Danusi. Wówczas Tolima ze Zbyszkiem chwycili go pod ramiona i przywiedli do noszów, a on klęknął przy zwłokach, powiódł po nich dłonią od czoła, aż do złożonych w krzyż rąk zmarłej i pochylił kilkakrotnie głowę, jakby chciał rzec, że ona to jest, jego Danusia, nie kto inny — i że poznaje dziecko. Potem objął ją jednem ramieniem, a drugie, pozbawione dłoni, wzniósł w górę, zaś obecni odgadli także i tę niemą skargę przed Bogiem, wymowniejszą od wszelkich słów boleści. Zbyszko, któremu po chwilowym wybuchu odrętwiała znów twarz zupełnie, klęczał z drugiej strony milczący, do kamiennego posągu podobny i naokół uczyniło się tak cicho, że słychać było kszykanie koników polnych i brzęczenie każdej przelatującej muchy. Wreszcie ksiądz Kaleb pokropił święconą wodą Danusię, Zbyszka, Juranda i rozpoczął „Reqiem aeternam". A po ukończeniu pieśni długi czas modlił się głośno, przyczem ludziom zdawało się, że słyszą proroczy głos, gdy błagał, aby ta męka niewinnego dziecka była oną kroplą, która przepełnia naczynie nieprawości i aby nastał dzień sądu, kary, gniewu i klęski.

Następnie ruszyli do Spychowa; ale nie położyli Danusi na wóz, tylko nieśli ją na przedzie orszaku na umajonych noszach. Dzwon, nie przestając bić, zdawał się ich wzywać i zapraszać ku sobie, a oni szli śpiewający szerokiem błoniem, pod ogromną złotą zorzę wieczorną, jakby ich ta zmarła prowadziła naprawdę do odwiecznych blasków i jasności. Wieczór już był i trzody wracały z pól, gdy doszli. Kaplica, w której złożono zwłoki, jaśniała od pochodni i świec jarzących. Z rozkazu księdza Kaleba siedm panien odmawiało kolejno litanię nad ciałem, aż do świtu. Do świtu również Zbyszko nie odstępował Danusi i sam o jutrzni wkładał ją w trumnę, którą biegli rzemieślnicy ciosali przez noc z pnia dębowego, wprawiwszy w wieku nad głową szybę złotego bursztynu.

Juranda nie było przy tem, albowiem działy się z nim rzeczy dziwne. Zaraz po powrocie do domu utracił władzę w nogach, a gdy położono go na łożu, utracił ruch i świadomość gdzie jest i co się z nim dzieje. Próżno ksiądz Kaleb przemawiał do niego, próżno zapytywał co mu jest: nie słyszał, nie rozumiał, tylko, leżąc na wznak, podnosił do góry powieki pustych oczu i uśmiechał się z twarzą rozjaśnioną

i szczęśliwą, a czasem poruszał ustami, jak gdyby z kim rozmawiał. Ksiądz i Tolima rozumieli, że ze zbawioną córką rozmawia i do niej się śmieje. Rozumieli również, że już kona i właśną wieczną szczęśliwość źrenicami duszy ogląda, ale w tem się pomylili, gdyż on, nieczuły i głuchy na wszystko, uśmiechał się tak całe tygodnie i Zbyszko, wyjechawszy wreszcie z okupem za Maćka, zostawił go jeszcze przy życiu.

60.

Po pogrzebie Danusi Zbyszko nie chorzał obłożnie, ale żył w odrętwieniu. Z początku, przez pierwsze dni, nie było z nim tak źle: chodził, rozmawiał o swojej zmarłej niewieście, odwiedzał Juranda i siadywał przy nim. Opowiedział też księdzu o Maćkowej niewoli i uradzili obaj wysłać do Prus i Malborga Tolimę, aby wywiedział się, gdzie Maćko jest, i żeby go wykupił, zapłaciwszy zarazem i za Zbyszka tyle grzywien, na ile zgodzili się z Arnoldem von Baden i jego bratem. W spychowskich podziemiach nie brakło srebra, które Jurand bądź swego czasu wygospodarzył, bądź zdobył, przypuszczał więc ksiądz, że Krzyżacy, byle otrzymali pieniądze, łatwo i starego rycerza wypuszczą i nie będą żądali, aby młody stawił się osobiście.

— Jedź do Płocka — rzekł na drogę Tolimie ksiądz — i weź od tamtejszego księcia glejt. Inaczej pierwszy lepszy komtur złupi cię i samego uwięzi.

— Ba! przecie ich znam — odrzekł stary Tolima. — Wżdyć umieją oni łupić nawet i tych, którzy z glejtami przyjeżdżają.

I pojechał. Ale niebawem pożałował ksiądz Kaleb, że samego Zbyszka nie wyprawił. Bał się on wprawdzie, że w pierwszych chwilach boleści nie potrafi się młodzian sprawić jak należy, lub może przeciw Krzyżakom wybuchnie i na niebezpieczeństwo się poda; wiedział również, że trudno mu będzie zaraz odjechać od kochanej trumny, w świeżym żalu, w świeżem osieroceniu i wnet po takiej strasznej a bolesnej podróży, którą aż gdzieś od Gotteswerder do Spychowa odbył. Potem jednak żałował, iż wziął to wszystko w rachubę, gdyż Zbyszkowi z każdym dniem czyniło się ciężej. Żył on aż do śmierci Danusi w okrutnym wysiłku, w okrutnem natężeniu wszystkich sił: jeździł na kraje świata, potykał się, odbijał swoją niewiastę, przeprawiał się przez dzikie puszcze i nagle to wszystko skończyło się, jakby kto mieczem uciął, a została tylko pamięć, że to wszystko poszło na marne, że trudy były daremne — i że wprawdzie przeszły, ale razem z nimi przeszła część życia, przeszła nadzieja, przeszło dobro, zginęło kochanie, a nie pozostało nic. Każdy żyje jutrem, każdy coś zamierza i coś układa sobie na przyszłość, a Zbyszkowi jutro stało się obojętne, co zaś do przyszłości to miał takie poczucie, jakie miała Jagienka, gdy wyjeżdżając ze Spychowa mówiła: „Moje szczęście za mną, nie przede mną.” Ale nadomiar w jego duszy to poczucie bezradności, pustki i niedoli wyrastało na gruncie ogromnej boleści i coraz większego żalu po Da-

nusi. Ów żal przejmował go, opanowywał i zarazem tężał w nim coraz bardziej, tak, że w końcu nie było w Zbyszkowem sercu miejsca na nic innego. Więc o nim tylko myślał i hodował go w sobie i żył z nim jednym, nieczuły na wszystko inne, zamknięty w sobie, pogrążon jakby w półśnie, nieświadom tego, co się naokół dzieje. Wszystkie władze jego duszy i ciała, jego dawna wartkość i dzielność, przeszły w stan folgi. W spojrzeniu i ruchach miał teraz jakąś ociężałość starca. Całymi dniami i nocami przesiadywał albo w podziemiu przy trumnie Danusi, albo na przyzbie, grzejąc się w południowych godzinach w blasku słonecznym. Chwilami zapamiętywał się tak, że nie odpowiadał na pytania. Ksiądz Kaleb, który go miłował, począł obawiać się, aby ów ból nie przeżarł go tak, jak rdza przeżera żelazo — i ze smutkiem myślał, że może lepiej było wyprawić Zbyszka, choćby do Krzyżaków z okupem. „Trzeba — mówił do miejscowego klechy, z którym w braku kogo innego o swoich frasunkach rozmawiał — aby jakowaś przygoda targnęła nim, jako wicher drzewem, bo inaczej gotów skapieć do szczętu.” A klecha przyświadczał roztropnie, mówiąc dla porównania, że gdy się człek ością udławi, to także najlepiej dać mu dobrze po karku.

Przygoda żadna nie przytrafiła się jednak, ale natomiast kilka tygodni później przyjechał niespodzianie pan de Lorche. Widok jego wstrząsnął Zbyszka, albowiem przypomniał mu wyprawę na Żmujdź i odbicie Danusi. Sam de Lorche bynajmniej nie wahał się potrącać tych bolesnych wspomnień. Owszem, dowiedziawszy się o nieszczęściu Zbyszka, poszedł zaraz modlić się z nim razem nad trumną Danusi, mówił też o niej bezustanku, a następnie, będąc przez pół minstrelem, ułożył o niej pieśń, którą śpiewał przy lutniach w nocy u kraty podziemia, tak rzewliwie i żałośnie, że Zbyszka, chociaż słów nie rozumiał od samej nuty chwycił ogromny płacz, do samego świtania trwający.

A potem, zmożon tym płaczem i żalem i niewywczasem, zapadł w długi sen, lecz gdy się zbudził, znacznie widać mu boleść spłynęła łzami, gdyż był rzeźwiejszy niż dni poprzednich i raźniej przed się spoglądał. Ucieszył się też wielce do pana de Lorche i począł mu za przybycie dziękować, a następnie wypytywać, skądby się o jego nieszczęściu dowiedział.

A ów odpowiedział mu przez usta księdza Kaleba, że o śmierci Danusi dowiedział się dopiero w Lubawie, od starego Tolimy, którego widział w więzach u tamtejszego komtura, ale że do Spychowa i tak jechał, by oddać się Zbyszkowi w niewolę.

Wieść o uwięzieniu Tolimy wielkie i na Zbyszku i na księdzu uczyniła wrażenie. Zrozumieli, że okup przepadł, albowiem nie było trudniejszej rzeczy w świecie, niż wydrzeć z gardła Krzyżakom raz zagrabione pieniądze. Wobec tego należało jechać z drugim okupem.

— Gorze! — zawołał Zbyszko. — To biedny stryjko czeka tam i myśli, żem go przepomniał! Trzeba mi teraz co duchu do niego spieszyć.

Potem zwrócił się do pana de Lorche:

— Wieß, jako się zdarzyło? Wieß, że on w rękach krzyżackich?

— Wiem — odpowiedział de Lorche — bom go widział w Malborku i dlatego sam tu przyjechałem.

Tymczasem ksiądz Kaleb począł narzekać.

— Źleśmy postąpili — mówił — ale nikt głowy nie miał... Więcej się też po rozumie Tolimy spodziewałem. Czemu zaś nie jechał do Płocka i bez nijakiego glejtu między tych rozbójników się puścił!

A na to pan de Lorche ruszył ramionami:

— Co im tam glejty! Albo to sam książę płocki, również jak i wasz tutejszy, mało od nich krzywd cierpią? Nad granicą wieczne bitwy i napaści — bo i wasi swego nie darują. Każdy też komtur, ba! każdy wójt robi co chce, a w drapieżności to już chyba jeden drugiego prześciga...

— Tembardziej powinien był Tolima do Płocka jechać.

— Tak i chciał uczynić, ale go w drodze nad granicą z noclegu porwali. Byliby go zabili, gdyby im nie był rzekł, iż dla komtura do Lubawy pieniądze wiezie. Tem się ocalił, ale komtur postawi teraz świadków, jako Tolima sam to mówił.

— A stryj Maćko jakoże się ma? Zdrów? Nie nastają tam na jego szyję? — pytał Zbyszko.

— Zdrów jest — odrzekł de Lorche. — Zawziętość tam jest na „króla" Witolda i na tych, którzy pomagają Żmujdzinom, wielka — i pewnieby starego rycerza ścięli, gdyby nie to, że im żal okupu. Bracia von Baden także go z tej samej przyczyny bronią, a wreszcie chodzi kapitule o moją głowę, którą gdyby poświęcili, zawrzałoby przeciw nim rycerstwo i we Flandrji i w Geldrji i w Burgundji.... Wiecie, jakożem jest krewny grafa geldryjskiego.

— A przecz-że o twoją głowę ma chodzić? — przerwał ze zdziwieniem Zbyszko.

— Bom jest przez ciebie pojman. Powiedziałem w Malborku tak: „Weźmiecie gardło staremu rycerzowi z Bogdańca, to młody weźmie moje...."

— Nie wezmę! tak mi dopomóż Bóg!

— Wiem, że nie weźmiesz, ale oni się tego boją i przez to Maćko ostanie między nimi bezpieczny. Mówili mi, żeś i ty jest także w niewoli, bo cię tylko na rycerskie słowo Badenowie puścili, że zatem nie potrzebuję ci się stawiać. Ale ja odrzekłem im, że gdyś mnie w jeństwo brał, byłeś wolny. I ot mnie masz! A pókim w twoich rękach, nic oni ani tobie, ani Maćkowi nie uczynią. Ty okup von Badenom spłać, zaś za mnie żądaj we dwoje, alibo we troje tyle. Muszą zapłacić. Nie dlatego tak mówię, abym mniemał, żem więcej od was wart, ale aby ich chciwość pokarać, którą pogardzam. Całkiem inne miałem o nich pojęcie niegdyś, ale teraz zbrzydli mi i oni i ich gościna. Pójdę do Ziemi Świętej, tam szukać przygód, bo im dłużej służyć nie chcę.

— Albo też u nas, panie, ostańcie — rzekł ksiądz Kaleb. —

A myślę, że i tak będzie, bo co do tego, żeby oni mieli okup za was dawać, to mi się nie wydaje.

— Jeśli nie zapłacą, to sam zapłacę — odrzekł de Lorche. — Przyjechałem tu z pocztem znacznym i wozy mam ładowne, a tego, co na nich jest, wystarczy...

Ksiądz Kaleb powtórzył Zbyszkowi te słowa, na które Maćko pewnie nie byłby pozostał nieczuły, ale Zbyszko, jako młody i mało o majętność dbający, odrzekł:

— Na moją cześć! nie będzie tak, jako mówisz. Byłeś mi jako brat i przyjaciel i okupu nijakiego od ciebie nie wezmę.

Poczem uściskali się, czując, że nowy węzeł został między nimi zawiązany. Ale de Lorche uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze. Niech jeno Niemce o tem nie wiedzą, bo się o Maćka będą droczyć. A widzicie, muszą zapłacić, gdyż będą się bali, że inaczej rozgłoszę po dworach i między rycerstwem, że radzi niby zapraszają i widzą rycerskich gości, ale gdy który w niewolę popadnie, to o nim zapominają. A Zakonowi o gości okrutnie teraz chodzi, bo mu Witolda strach, a jeszcze bardziej Polaków i ich króla.

— To niech tedy tak będzie — rzekł Zbyszko — że ty tu ostaniesz, alibo gdzie chcesz na Mazowszu, a ja do Malborka po stryjca pojadę i będę okrutną przeciw tobie udawał zawziętość.

— Na św. Jerzego! uczyń tak! — odpowiedział de Lorche. — Ale wpierw wysłuchaj, co ci powiem. W Malborku mówią, że ma zjechać do Płocka król polski i spotkać się z Mistrzem w samym Płocku, albo gdzie na granicy. Krzyżacy wielce tego pragną, albowiem chcą wymiarkować, czy król będzie pomagał Witoldowi, jeśli ów otwartą im wojnę o Żmujdź wypowie. Ha! chytrzy oni są jako węże, ale przecie w tym Witoldzie mistrza znaleźli. Zakon się go też boi, ponieważ nigdy niewiadomo co on zamyśla i co uczyni: „Oddał nam Żmujdź — mówią w kapitule — ale przez nią trzyma ciągle jakoby miecz nad naszymi karkami.” „Słowo — mówią — rzeknie i bunt gotów!” Jakoż tak jest. Muszę się kiedy wybrać na jego dwór. Może przygodzi się w szrankach u niego potykać, a prócz tego, słyszałem, że i niewiasty tamtejsze anielskiej czasem bywają urody.

— Mówiliście, panie, o przyjeździe króla polskiego do Płocka? — przerwał ksiądz Kaleb.

— Tak jest. Niech Zbyszko przyłączy się do królewskiego dworu. Mistrz chce sobie króla ująć i niczego mu nie odmówi. Wiecie, że w potrzebie nikt nie umie być pokorniejszy od Krzyżaków. Niech się Zbyszko do orszaku przyłączy i niech się o swoje upomina, niech jak najgłośniej na bezprawie krzyczy. Inaczej go będą słuchali wobec króla i wobec krakowskich rycerzy, którzy sławni są w świecie i których wyroki szeroko rozchodzą się między rycerstwem.

— Przednia rada! na Pański Krzyż! przednia! — zawołał ksiądz.

— Tak! — potwierdził Lorche. — I sposobności też nie braknie. Słyszałem w Malborku, że będą uczty, będą turnieje, bo się goście zagraniczni koniecznie chcą z królewskimi rycerzami potykać. Na Boga!

toż ma przyjechać i rycerz Jan z Aragonji, największy ze wszystkich w chrześcijaństwie. Nie wiecie? przecie on podobno aż z Aragonji rękawicę waszemu Zawiszy przysłał, aby zaś nie mówiono po dworach, że jest drugi równy jemu na świecie.

Przyjazd pana de Lorche, jego widok i cała rozmowa tak jednak rozbudziła Zbyszka z owej bolesnej martwoty, w której był przedtem pogrążon, że z ciekawością słuchał jego nowin. O Janie z Aragonji wiedział, gdyż powinnością było wówczas każdego rycerza znać i pamiętać nazwiska wszystkich najsłynniejszych wojowników, sława zaś szlachty aragońskiej, a szczególnie owego Jana, obiegła świat cały. Żaden rycerz nie sprostał mu nigdy w szrankach, a Maurowie pierzchali na sam widok jego zbroi i powszechne było mniemanie, że on jest pierwszy w całem chrześcijaństwie.

Więc na wieść o nim ozwała się w Zbyszku bojowa rycerska dusza i począł wypytywać się z wielkiem zajęciem:

— Pozwał ci Zawiszę Czarnego?

— Rok już podobno, jak przyszła rękawica i jak Zawisza odesłał swoją.

— To Jan z Aragonji napewno już przyjedzie.

— Czy napewno, nie wiedzą, ale są takowe posłuchy. Krzyżacy dawno posłali mu zaproszenie.

— Daj Bóg takie rzeczy widzieć!

— Daj Bóg! — rzekł de Lorche. — I choćby Zawisza był pokonan, co łatwo się może zdarzyć, wielka to chwała dla niego, że go taki Jan z Aragonji pozwał, ba! i dla całego waszego narodu.

— A obaczym! — rzekł Zbyszko — mówię tylko: daj Bóg widzieć.

— A ja przywtarzam.

Jednakże życzenie ich nie miało się tym razem spełnić, gdyż stare kroniki wspominają, że pojedynek Zawiszy z przesławnym Janem z Aragonji odbył się dopiero w kilkanaście lat później, w Perpignano, gdzie w obecności cesarza Zygmunta, papieża Benedykta XIII, a dalej króla aragońskiego i wielu książąt i kardynałów, Zawisza Czarny z Garbowa zwalił z konia pierwszem uderzeniem kopji swego przeciwnika i świetne nad nim odniósł zwycięstwo. Tymczasem wszelako i Zbyszko i de Lorche cieszyli się w sercach, myśleli bowiem, że gdyby nawet Jan z Aragonji nie mógł się na ów termin stawić, to i tak ujrzą znamienite czyny rycerskie, bo w Polsce nie brakło zapaśników, mało co Zawiszy ustępujących, a między gośćmi krzyżackimi można było zawsze znaleźć najprzedniejszych szermierzy francuskich, angielskich, burgundzkich i włoskich, gotowych z każdym iść o lepszą.

— Słuchaj — rzekł do pana de Lorche Zbyszko. — Cni mi się bez stryja Maćka i pilno mi go wykupić, przeto jutro zaraz do dnia do Płocka ruszę. Ale po co ty masz tu ostawać? Niby to u mnie w niewoli, więc jedź ze mną, a obaczysz króla i dwór.

— Chciałem cię właśnie o to prosić — odrzekł de Lorche — bom zdawna chciał widzieć waszych rycerzy, a przytem słyszałem, że

damy z dworu królewskiego więcej do aniołów, niż do mieszkanek ziemskiego padołu są podobne.

— Dopiero coś to powiedział o Witoldowym dworze — zauważył Zbyszko.

61.

Zbyszko wyrzucał sobie w duszy, iż w swej boleści o stryjcu przepomniał, a że i bez tego prędko zwykł był wykonywać, co zamierzył, więc nazajutrz do dnia wyruszyli razem z panem de Lorche do Płocka. Nadgraniczne drogi nawet w czasach największego spokoju nie bywały bezpieczne z przyczyny łotrów, których liczne kupy wspierali i otaczali opieką Krzyżacy, co ostro wymawiał im król Jagiełło. Mimo skarg, które aż o Rzym się opierały, mimo pogróżek i srogiego wymiaru sprawiedliwości, komturowie sąsiedni pozwalali często zaciężnym knechtom łączyć się ze zbójami, wypierając się wprawdzie tych, którzy mieli nieszczęście wpaść w ręce polskie, ale dając schronienie powracającym ze zdobyczą i jeńcami nietylko we wsiach zakonnych, lecz i w zamkach.

W takie to właśnie zbójeckie ręce dostawali się niejednokrotnie podróżni i mieszkańcy nadgraniczni, a zwłaszcza dzieci bogatych ludzi, które porywano dla okupu. Ale dwaj młodzi rycerze, mając znaczne poczty, złożone każdy, prócz woźniców, z kilkunastu orężnych pieszych i konnych pachołków, nie obawiali się napadu i bez przygód dotarli do Płocka, gdzie zaraz na wstępie miła czekała ich niespodzianka.

Oto w gospodzie znaleźli Tolimę, który przybył na dzień przed nimi. Stało się to takim sposobem, iż starosta krzyżacki z Lubawy, zasłyszawszy, że wysłannik w chwili, gdy go napadnięto niedaleko Brodnicy, zdołał ukryć część okupu, odesłał go do tego zamku z poleceniem do komtura, aby go zmusił do wskazania, gdzie pieniądze zostały schowane. Tolima skorzystał ze sposobności i uciekł, gdy zaś rycerze dziwili się, iż udało mu się to tak łatwo, objaśnił im rzecz jak następuje:

— Wszystko przez ich łakomstwo. Nie chciał komtur brodnicki przydawać mi znacznej straży, bo nie chciał, by się o pieniądzach rozgłosiło. Może ułożyli się z lubawskim, że się podzielą, a bali się, iż gdy się rozgłosi, to trzeba będzie znaczną część do Malborka odesłać, albo i wszystko owym Badenom oddać. Dodał ci mi tedy jeno dwóch ludzi: jednego zaufanego knechta, który musiał po Drwęcy razem ze mną wiosłować i jakowegoś pisarza... A zaś chodziło im, by nikt nas nie widział, więc było to pod noc i wiecie, że granica tuż. Dali mi też wiosło dębowe.... no — i łaska Boska... bom jest oto w Płocku.

— Wiem! a tamci nie wrócili! — zawołał Zbyszko.

Na to uśmiech rozjaśnił srogą twarz Tolimy.

— Wżdy Drwęca do Wisły płynie — rzekł. — Jakoże im było pod wodę wracać? Znąjdą ich Krzyżaki chyba w Toruniu.

Po chwili zaś, zwróciwszy się do Zbyszka, dodał:

— Pieniędzy część mi komtur lubawski zagrabił, ale te, którem przy napaści ukrył, tom odnalazł i teraz dałem je, panie, waszemu giermkowi do schowania, bo on w zamku u księcia mieszka, a tam im przezpieczniej, niż u mnie w gospodzie.

— To mój giermek jest tu, w Płocku? a co on tu robi? — zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

— On przecie po przywiezieniu Zygfryda odjechał z tą panną, która w Spychowie była, a teraz jest dwórką tutejszej księżny. Tak ci wczoraj gadał.

Ale Zbyszko, który przygłuszon boleścią po śmierci Danusi, o nic w Spychowie nie pytał i o niczem nie wiedział, teraz dopiero przypomniał sobie, że Czech był naprzód z Zygfrydem wyprawiony — i na to wspomnienie serce ścisnęło mu się żalem i pomstą.

— Prawda! — rzekł. — A gdzie zaś ów kat? co się z nim stało?

— Nie powiadał ksiądz Kaleb? Zygfryd powiesił się i przejeżdżaliście, panie, wedle jego mogiły.

Nastała chwila milczenia.

— Mówił giermek — rzekł wreszcie Tolima — iże się do was wybiera, a byłby to już dawno uczynił, jeno że panny musiał pilnować, która tu po powrocie ze Spychowa chorzała.

A Zbyszko spytał znów, otrząsnąwszy się z żałosnych wspomnień, jakby ze snu:

— Jakiej panny?

— No tej — odrzekł stary — waszej siostry, albo krewniaczki, która tu z rycerzem Maćkiem do Spychowa w pacholikowych szatkach przyjechała, a po drodze pana naszego, omackiem idącego znalazła. Żeby nie ona, nie byliby rycerz Maćko, ani wasz giermek pana poznali. Miłował ci też ją potem nasz pan wielce, bo w takim go miała starunku, jak córka i prócz księdza Kaleba, ona jedna mogła go wyrozumieć.

Więc młody rycerz otworzył ze zdumienia szeroko oczy.

— Nie powiadał mi ksiądz Kaleb o żadnej pannie i ja nijakiej krewniaczki nie mam...

— Nie powiadał, boście, panie, w zapamiętaniu od boleści żyli i o Bożym świecie nie wiedzieli.

— A jakoże na ową pannę wołali?

— Wołali na nią: Jagienka.

Zbyszkowi wydawało się, że śni. Myśl, że Jagienka z odległych Zgorzelic mogła przyjechać aż do Spychowa, nie chciała mu się w głowie pomieścić. I po co? Dlaczego? Nie było mu wprawdzie tajnem, że dziewczyna rada go widziała i lgnęła do niego w Zgorzelicach, ale on jej przecie wyznał, że był żonaty — więc wobec tego nie mógł żadną miarą przypuścić, aby stary Maćko zabrał ją do Spychowa w tym celu, aby ją za niego wydać. Zresztą i Maćko i Czech nawet mu o niej nie wspomnieli... Wszystko to wydało mu się ogromnie dziwne i zupełnie niezrozumiałe, więc zaczął znów zarzucać pytaniami To-

limę, jak człowiek, który własnym uszom nie wierzy i chce, by mu powtórzono nieprawdopodobną nowinę.

Tolima jednak nie umiał mu nic powiedzieć nad to, co poprzednio powiedział, ale natomiast poszedł na zamek szukać giermka i niebawem, jeszcze przed zachodem słońca, z nim powrócił. Czech witał młodego pana z radością, ale i ze smutkiem, bo się już był poprzednio o wszystkiem, co zaszło w Spychowie, dowiedział. A Zbyszko również rad mu był z całej duszy, czując, iż to jest serce przyjazne i wierne, jedno z takich, jakich człowiek w nieszczęściu najbardziej potrzebuje. Rozrzewnił się też i roztkliwił, opowiadając mu o śmierci Danusi i podzielił się z nim bólem, żalem, łzami, tak właśnie, jak brat dzieli się z bratem. Długo to wszystko trwało, zwłaszcza, że w końcu, na prośbę Zbyszkową, powtórzył im pan de Lorche ową pieśń żałosną, którą był o zmarłej ułożył i śpiewał ją przy cytrze, w otwartem oknie, podnosząc oczy i twarz ku gwiazdom.

Aż gdy już im wreszcie znacznie ulżyło, poczęli mówić o sprawach, które czekały ich w Płocku.

— Wstąpiłem tu po drodze do Malborka — rzekł Zbyszko — bo to wiesz, że stryj Maćko w niewoli i że po niego z okupem jadę.

— Wiem — odparł Czech. — Dobrzeście zrobili, panie. Chciałem sam do Spychowa jechać, aby wam drogę na Płock doradzić; król w Raciążku ma układy z Wielkim Mistrzem prowadzić, przy królu zaś łatwiej się upomnieć, ile że wobec majestatu nie tacy Krzyżacy hardzi i udają poczciwość chrześcijańską.

— A mówił Tolima, że miałeś do mnie jechać, ale cię niezdrowie Jagienki Zychówny wstrzymało. Słyszałem, że ją stryj Maćko w te strony przywiózł i że w Spychowie też była? Okrutniem się dziwował! Ale gadaj, skroś jakiejże przyczyny stryj Maćko ją ze Zgorzelic zabierał?

— Siła było przyczyn. Bał się rycerz Maćko, że gdy ją bez nijakiej opieki zostawi, to rycerze Wilk i Cztan będą na Zgorzelice najeżdżali, przyczem mogła się stać i młodszym dzieciom krzywda. A bez niej jużci przezpieczniej, bo w Polsce, jako wiecie: zdarzy się, iż szlachcic — nie mogąc inaczej — siłą dziewkę bierze, ale na małe sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to i miecz katowski i gorsza od miecza hańba! Była wszelako i druga takowa przyczyna, że opat umarł i pannę dziedziczką swych włości uczynił, nad któremi opiekę miał tutejszy biskup. Przeto rycerz Maćko pannę do Płocka przywiózł.

— Ale ją i do Spychowa brał?

— Brał, na czas wyjazdu biskupa i księstwa, gdyż nie było jej przy kim ostawić. I szczęście, że ją wziął. Gdyby nie panienka, bylibyśmy ze starszym panem przejechali wedle rycerza Juranda, jak koło obcego dziada. Dopieroż, jak się poczęła nad nim litować, uznaliśmy kto ów dziad. Pan Bóg to wszystko zrządził przez jej miłosierne serce.

I począł opowiadać, jak następnie Jurand nie mógł się bez niej obyć, jak ją miłował i błogosławił, a Zbyszko, choć to już wiedział od Tolimy, słuchał tego opowiadania ze wzruszeniem i wdzięcznością dla Jagienki.

— Niech jej Bóg da zdrowie! — rzekł wreszcie. — Dziwno mi jeno, żeście mi nic o niej nie mówili.

A Czech zakłopotał się nieco i chcąc zyskać czas do namysłu nad odpowiedzią, zapytał:

— Gdzie, panie?

— A u Skirwojłły, tam, na Żmujdzi.

— Nie mówiliśmy? Jako żywo! Mnie się wydaje, żeśmy mówili, ale wam w głowie było co innego.

— Mówiliście, że Jurand wrócił, ale o Jagience nic.

— Ej! czyście nie zabaczyli? a wreszcie Bóg raczy wiedzieć! Może rycerz Maćko myślał, że ja powiedziałem, a ja, że on. Na nic to było, panie, cośkolwiek wam wtedy powiadać. I nie dziwota! Ale teraz rzekę co innego: Szczęście, że panienka też jest, bo ona i rycerzowi Maćkowi się przyda.

— Cóż zaś może wskórać?

— Niech jeno słowo tutejszej księżnie powie, która okrutnie ją miłuje! A znów Krzyżacy niczego księżnie nie odmawiają, bo raz, że królewska rodzona, a powtóre, wielka Zakonu przyjaciółka. Teraz, jakoście może słyszeli, kniaź Skirgiełł (też rodzony brat królewski) podniósł się przeciw kniaziowi Witoldowi i do Krzyżaków uciekł, którzy chcą go wspomódz i na Witoldowym stolcu posadzić. Król bardzo księżnę nawidzi i rad, jako mówią, ucha jej podaje, więc Krzyżacy chcą, by na stronę Skirgiełła przeciw Witoldowi króla skłoniła. Rozumieją to — mać ich zatracona! — że byle się Witolda pozbyli, będą mieli spokój. Więc posły krzyżackie od rana do wieczora księżnie pokłony biją i każdą jej chęć zgadują.

— Jagienka miłuje wielce stryja Maćka i pewnie za nim się wstawi — rzekł Zbyszko.

— Juści, że nie będzie inaczej! Ale chodźcie, panie, na zamek i powiedzcie jej, jak i co mówić.

— Mieliśmy i tak na zamek z panem de Lorche iść — odrzekł Zbyszko — i po tom tu przyjechał. Trzeba nam tylko włosy utrefić i przyodziać się przystojnie.

Po chwili zaś dodał:

— Chciałem z żałości włosy obciąć, alem przepomniał.

— To i lepiej! — rzekł Czech.

I wyszedł wołać służebnych pachołków, wróciwszy zaś z nimi, podczas gdy dwaj młodzi rycerze przyozdabiali się godnie na wieczorną ucztę do zamku, powiadał dalej, co się na królewskim i książęcym dworze dzieje.

— Krzyżacy — mówił — jako mogą, pod kniaziem Witoldem kopią, bo póki on żyw i z ramienia królewskiego potężną krainą władnie, póty nie zaznać im spokoju! Naprawdę jego jednego oni się boją! Hej! kopią też kopią, jako krety! Podburzyli już na niego tutejszych księstwa oboje, a ponoś dokazali także, że nawet i książę Janusz teraz na niego krzyw, z przyczyny Wizny....

— A książę Janusz i księżna Anna też tu są? — zapytał Zbyszko. — Siła znajomych się znajdzie, bom przecie i w Płocku nie pierwszy raz.

— Jakże! — odrzekł giermek — są oboje, mają oni nie mało spraw z Krzyżakami, które to krzywdy chcą Mistrzowi przy królu do oczu wymówić.

— A król co? za kim jest? Zali mu nie gniewno na Krzyżaków i mieczem nad nimi nie potrząsa?

— Król Krzyżaków nie kocha i mówią, że zdawna już wojną grozi... A co do kniazia Witolda, to woli go król od rodzonego Skirgiełła, któren jest wicher i opój... I dlatego, rycerze, którzy są przy majestacie, powiadają, że król się przeciw Witoldowi nie opowie i nie obiecnie Krzyżakom, że go nie będzie wspomagał. I to może być, bo od kilku dni księżna tutejsza Aleksandra bardzo wedle króla zabiega i jakaś frasobliwa chodzi.

— Zawisza Czarny tu jest?

— Niemasz go, ale i tym, którzy są, napatrzyć się nie można i gdyby co do czego przyszło, hej, mocny Boże! polecą też wióry i pazdzierze z Niemców, polecą!...

— Nie ja ich będę żałował.

W kilka pacierzy później, przybrawszy się pięknie, wyszli na zamek. Uczta wieczorna miała się odbyć tego dnia, nie u samego księcia, lecz u starosty grodowego Andrzeja z Jasieńca, którego obszerne domostwo leżało w obrębie murów zamkowych przy Baszcie Większej. Z powodu przecudnej, aż nazbyt ciepłej nocy, starosta, bojąc się, aby gościom nie było duszno w izbach, rozkazał zastawić stoły na podworcu, na którym z pomiędzy kamiennych płyt wyrastały jarzęby i cisy. Płonące beczki smolne oświecały je jasnym żółtym płomieniem, ale jeszcze jaśniej oświecał księżyc, który błyszczał na bezchmurnem niebie, wśród rojów gwiazd, jak srebrna tarcza rycerska. Koronowani goście jeszcze nie nadeszli, ale roiło się już od miejscowego rycerstwa, od duchownych, od dworzan, zarówno królewskich, jak i książęcych. Zbyszko znał ich wielu, zwłaszcza z dworu księcia Janusza, a z dawnych znajomych krakowskich ujrzał Krzona z Kozichgłów, Lisa z Targowiska, Marcina z Wrocimowic, Domarata z Kobylan i Staszka z Charbimowic, a wreszcie i Powałę z Taczewa, którego widok szczególnie go ucieszył, pamiętał bowiem, jaką życzliwość okazał mu owego czasu ów sławny rycerz w Krakowie.

Nie mógł jednakże do żadnego z nich odrazu dostąpić, albowiem miejscowi rycerze mazowieccy otaczali każdego z nich ciasnem kołem, wypytując się o Kraków, o dwór, o zabawy, o różne przewagi bojowe, a zarazem przypatrując się ich świetnym szatom, ich trefieniu włosów, których cudne zwoje polepione były białkiem dla mocy i biorąc z nich we wszystkiem wzór dworności i obyczajów.

Wszelako Powała z Taczewa poznał Zbyszka i rozsunąwszy Mazurów, zbliżył się ku niemu.

— Poznałem cię, młodzianku — rzekł, ściskając jego dłoń. — Jakoż się miewasz i skąd się tu znalazłeś? Dla Boga! widzę, że już

pas i ostrogi nosisz. Inni do siwych włosów na to czekają, ale ty widać godnie św. Jerzemu służysz.

— Szczęść wam Boże, szlachetny panie — odrzekł Zbyszko. — Gdybym najprzedniejszego Niemca z konia zwalił, nie takbym się ucieszył, jak z tego, że was w zdrowiu oglądam.

— Jam też rad. A rodzic twój gdzie?

— Nie rodzic, jeno stryj. W niewoli ci on u Krzyżaków i z wykupem za niego jadę.

— A oważ dzieweczka, która cię nałęczką przykryła?

Zbyszko nie odrzekł nic, tylko podniósł w górę oczy, które załzawiły mu się w jednej chwili, co widząc pan z Taczewa rzekł:

— Padół to jest łez... nic, jeno prawy padół! Ale chodźmy na ławę pod jarzęba, to mi opowiesz swoje rzewliwe przygody.

I pociągnął go w kąt dziedzińca. Tam Zbyszko, siadłszy obok niego, począł mu opowiadać o niedoli Juranda, o pochwyceniu Danusi i o tem, jako jej szukał i jako mu zmarła po odbiciu. A Powała słuchał uważnie i naprzemian to zdumienie, to gniew, to zgroza, to litość odbijały mu się na obliczu. Wreszcie, gdy Zbyszko skończył rzekł:

— Opowiem to królowi, panu naszemu! Ma on i tak upomnieć się u Mistrza o małego Jaśka z Kretkowa i srogiej domagać się kary na tych, którzy go porwali. A porwali dlatego, że bogaty i chcą wykupu. Nic to u nich na dziecko rękę podnieść.

Tu zamyślił się nieco, poczem mówił dalej, jakby do siebie samego:

— Nienasycone to plemię, gorsze od Turków i Tatarów. Bo oni w duszy i króla i nas się boją, a jednak od grabieży i mordów nie mogą się powstrzymać. Napadają wsie, rzezają kmieciów, topią rybaków, chwytają dzieci, jako wilcy. Cóżby to było, gdyby się nie bali!... Mistrz na króla listy do obcych dworzan wysyła, a w oczy mu się łasi, bo lepiej od innych naszą potęgę rozumie. Ale przebierze się w końcu miara!

I znów na chwilę ucichł, a potem położył dłoń na ramieniu Zbyszka.

— Powiem królowi — powtórzył — a w nim wre już zdawna gniew, jak ukrop w garnku i tego bądź pewien, że kara okrutna nie minie sprawców twojej niedoli.

— Z tych, panie, już żaden nie żywie — odparł Zbyszko.

A Powała spojrzał na niego z wielką przyjacielską życzliwością:

— Bogdajże cię! To widać swego nie darujesz. Jednemu Lichtensteinowi jeszcześ nie odpłacił, bo wiem, żeś nie mógł. Myśmy mu także w Krakowie ślubowali, ale z tem trzeba chyba wojny — której daj Bóg — czekać, gdyż on bez pozwoleństwa mistrzowego stanąć nie może, a Mistrzowi jego rozum potrzebny, dla którego ciągle go na różne dwory posyła, więc mu i nie łatwo pozwoli.

— Pierwej muszę stryjca wykupić.

— Tak... i wreszcie pytałem się o Lichtensteina. Niema go tu i nie będzie w Raciążku, gdyż wysłan jest do króla angielskiego po łuczni-

ków. A o stryja niech cię głowa nie boli. Gdy król, albo tutejsza księżna słowo rzekną, to z okupem nie pozwoli Mistrz kręcić.

— Tembardziej, że mam jeńca znacznego, rycerza de Lorche, któren jest pan możny i między nimi sławny. Radby on się pewnie wam, panie, pokłonić i znajomość z wami uczynić, bo nikt więcej nad niego nie wielbi sławnych rycerzy.

To rzekłszy, skinął na pana de Lorche, który stał w pobliżu, a ów, rozpytawszy się już poprzednio, z kim Zbyszko rozmawia, zbliżył się skwapliwie, bo istotnie zapłonął chęcią poznania tak sławnego, jak Powała, rycerza.

Więc gdy ich Zbyszko zaznajomił, skłonił się wytworny Geldryjczyk jak najukładniej i rzekł:

— Jeden tylko byłby większy zaszczyt, panie, od uściśnięcia waszej dłoni, a to potykać się z wami w szrankach, albo w bitwie.

Na to uśmiechnął się potężny rycerz z Taczewa, gdyż przy drobnym i szczupłym panu de Lorche wyglądał jak góra i rzekł:

— A ja tam rad, że się spotkamy jeno przy pełnych konwiach i da Bóg, nigdy inaczej.

De Lorche zaś zawahał się nieco, a potem ozwał się jakby z pewną nieśmiałością:

— Gdybyście jednak, szlachetny panie, chcieli twierdzić, że panna Agnieszka z Długolasu nie jest najpiękniejszą i najcnotliwszą damą w świecie... Wielki byłby dla mnie honor... zaprzeczyć i...

Tu przerwał i począł patrzeć w oczy Powale z szacunkiem, ba! nawet z uwielbieniem, ale bystro i uważnie.

Ale ów, czy dlatego, że wiedział, iż zgniótłby go w dwóch palcach, jak orzech, czy dlatego, że duszę miał niezmiernie dobrotliwą i wesołą, roześmiał się głośno i rzekł:

— Ba, ja swego czasu ślubowałem księżnie burgundzkiej, ale ona wówczas miała z dziesięć roków więcej ode mnie; jeżelibyście więc, panie, chcieli twierdzić, że moja księżna nie jest starsza od waszej panny Agnieszki, to trzeba nam będzie zaraz na koń...

Usłyszawszy to, de Lorche popatrzał przez chwilę w zdumieniu na pana z Taczewa, poczem jednak twarz poczęła mu drgać i wreszcie wybuchnął i on szczerym śmiechem.

A Powała pochylił się, otoczył mu biodra ramieniem, nagle podniósł go z ziemi i począł kołysać go z taką łatwością, jakby pan de Lorche był niemowlęciem.

— Pax! pax — rzekł — jak mówi biskup Kropidło... Udaliście mi się, rycerzu i prze Bóg, nie będziem się potykali o żadne damy.

Zaczem, uściskawszy go, postawił na ziemi, gdyż właśnie przy wejściu na dziedzińcu huknęły nagle trąby — i wszedł książę Ziemowit Płocki z małżonką.

— Tutejsi księstwo przed królem i przed księciem Januszem przybywają — rzekł do Zbyszka Powała — bo choć to uczta u starosty, ale zawsze, w Płocku — oni gospodarze. Pójdź ze mną do Pani, boć ją znasz jeszcze z Krakowa, gdzie się do króla za tobą przyczyniała.

I wziąwszy go za rękę, powiódł przez dziedziniec. Za księciem i za księżną szli dworzanie i dworki, wszyscy z powodu obecności króla bardzo strojni i świetni, że aż cały dziedziniec zajaśniał od nich, jak od kwiatów. Zbyszko, zbliżając się z Powałą, przepatrywał zdala twarze, czyli nie dojrzy między niemi znajomych i nagle aż przystanął ze zdumienia.

Bo oto tuz za księżną ujrzał rzeczywiście znajomą postać i znajomą twarz, ale tak poważną, tak piękną i tak pańską, iż pomyślał, że go chyba oczy mylą.

— Jagienka li-to, czyli moze córka księstwa na Płocku?

Ale to była Jagienka Zychówna ze Zgorzelic, gdyż w chwili, gdy oczy ich spotkały się, uśmiechnęła się do niego zarazem przyjaźnie i litościwie, a potem przybladła nieco i nakrywszy oczy powiekami, stała w złotej przepasce na ciemnych włosach i w niezmiernym blasku swej piękności, wysoka i cudna, nietylko do księżniczki, ale do prawdziwej królewny podobna.

62.

Zbyszko podjął Panią na Płocku pod nogi i służby jej swoje ofiarował, ale ona nie poznała go w pierwszej chwili, gdyż nie widziała go od dawnego czasu. Aż dopiero, gdy jej powiedział jako go wołają, — rzekła:

— Prawdziwie! A ja myślałam, że kto z dworu królewskiego. Zbyszko z Bogdańca! Jakze! Gościł tu u nas wasz stryjko, stary rycerz z Bogdańca, i pamiętam, jako i mnie i moim dwórkom śluzy ciurkiem leciały, gdy nam o was prawił. A odnaleźliście waszą niewiastę? Gdzie ona teraz?

— Zmarła mi, Miłościwa Pani...

— O miły Jezu! Nie mówcie, bo płakania nie strzymam. Jedno to pociecha, że pewnie w niebie, a wyście młodzi. Mocny Boże! mdle te stworzenie każda niewiasta. Ale w niebie za wszystko nagroda, i tam ją znajdziecie. Zaś stary rycerz z Bogdańca jest tu z wami?

— Niemasz go, bo w niewoli u Krzyżaków, z której jadę go wykupić.

— To i jemu się nie poszczęściło. Zdawał się człek bystry i wszelaki obyczaj znający. Ale jak go wykupicie, zajedźcie też do nas. Radzi was ugościm, bo szczerze powiadam, że jemu na rozumie, a wam na gładkości nie zbywa.

— Uczynim tak, Miłościwa Pani, tem bardziej, żem i teraz umyślnie tu przyjechał, aby Waszą Miłość o dobre słowo za nim prosić.

— Dobrze. Przyjdźcie jutro przed wyjazdem na łowy, to będę miała czas...

Dalsze jej słowa przerwał znowu huk trąb i kotłów, oznajmujących przybycie księstwa Januszów Mazowieckich. Ponieważ Zbyszko z panią

na Płocku stał tuż przy wejściu, więc księżna Anna Danuta spostrzegła go odrazu i natychmiast zbliżyła się do niego, nie zważając na pokłony gospodarza starosty.

A w młodzianku rozdarło się na nowo serce na jej widok, więc klęknął przed nią, i objąwszy rękoma jej kolana, klęczał w milczeniu, ona zaś pochyliła się nad nim i ścisnąwszy mu dłońmi skronie, roniła łzę po łzie na jego jasną głowę, zupełnie jak matka, która płacze nad nieszczęściem syna.

I ku wielkiemu zdziwieniu dworzan i gości płakała tak długo, powtarzając: „O Jezu, o Jezu miłosierny!” — poczem podniosła Zbyszka z klęczek i rzekła:

— Płaczę po niej, po mojej Danuśce, i płaczę nad tobą. Bóg tak wszelako zrządził, że na nic były twoje trudy i na nic teraz nasze łzy. Ale ty mi praw o niej i jej śmierci, bo choćbym do północka słuchała, nigdy nie będzie mi tego dosyć.

I wzięła go na stronę, tak, jak poprzednio brał go pan z Taczewa. Ci z gości, którzy nie znali Zbyszka poczęli dopytywać o jego przygody, i w ten sposób przez jakiś czas wszyscy rozmawiali tylko o nim, o Danusi i o Jurandzie. Dopytywali się także posłowie krzyżaccy, Frydrych von Wenden, komtur toruński, wysłany na spotkanie króla, i Jan von Schoenfeld, komtur z Osterody. Ten ostatni, Niemiec, ale rodem ze Śląska, umiejąc dobrze po polsku, z łatwością dopytał o co chodzi, i wysłuchawszy opowieści z ust Jaśka z Zabierza, dworzanina księcia Janusza, rzekł:

— Danveld i de Loewe byli samemu Mistrzowi podejrzani, — że zajmowali się czarną magią.

Poczem pomiarkował wnet, że jednak opowiadanie podobnych rzeczy mogło rzucić na cały Zakon cień taki, jaki padł swego czasu na Templarjuszów, i dodał prędko:

— Tak przynajmniej bajczarze prawili, ale to nie była prawda, bo takich niemasz między nami.

Lecz stojący w pobliżu pan z Taczewa odpowiedział:

— Komu wadził chrzest Litwy, tego może mierzić i krzyż.

— My krzyż na płaszczach nosim — odpowiedział z dumą Schoenfeld.

Na to zaś Powała:

— A trzeba go nosić w sercach.

Tymczasem zagrały trąby jeszcze rozgłośniej, i nadszedł król, a z nim razem arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, biskup płocki, kasztelan krakowski i kilku innych dygnitarzy i dworzan, między którymi był i Zyndram z Maszkowic herbu Słońce i młody kniaź Jamont, przyboczny pański. Król mało się zmienił od czasu, jak go Zbyszko nie widział. Na jagodach miał takie same mocne rumieńce, takie same długie włosy, które co chwila zakładał za uszy, i tak samo niespokojnie strzelające oczy. Zdawało się tylko Zbyszkowi, że więcej mu w sobie powagi i więcej majestatu, jak gdyby się już czuł pewniejszy na tym tronie, który po śmierci królowej chciał był zrazu opuścić, nie wie-

dząc, czy się na nim osiedzi, i jak gdyby świadomszy teraz był swej niezmiernej potęgi i siły. Obaj książęta mazowieccy ustawili się zaraz przy bokach pana, od przodu bili powitalne pokłony Niemcy-posłowie, a naokół stanęli dygnitarze i przedniejsi dworscy. Mury, okalające dziedziniec, drżały od nieustających okrzyków, od odgłosu trąb i grzmienia kotłów.

Gdy wreszcie nastała cisza, poseł krzyżacki von Wenden począł coś mówić o sprawach Zakonu, ale król, gdy po kilku słowach zmiarkował, do czego zmierza przedmowa, machnął niecierpliwie ręką i ozwał się swym grubym, donośnym głosem:

— Milczałbyś! Na uciechę my tu przyszli, — i jadło a napitek, nie twoje pergaminy, radzi obaczym.

Lecz uśmiechnął się przytem dobrotliwie, nie chcąc, aby Krzyżak myślał, że mu gniewnie odpowiada, i dodał:

— O sprawach będzie czas gadać z Mistrzem w Raciążku.

Potem do księcia Ziemowita:

— A jutro do puszczy na łów — co?

Pytanie to było zarazem oznajmieniem, że tego wieczora nie chce o czem innem mówić, jeno o łowach, w których z całej duszy się kochał, i dla których rad na Mazowsze przyjeżdżał, gdyż Mało i Wielkopolska mniej były lesiste, a w niektórych ziemiach tak już zaludnione, że im zgoła brakło lasów.

Więc powesełały oblicza, bo wiedziano, że król przy rozmowie o łowach bywa także i wesół i niezmiernie łaskaw. Książę Ziemowit począł też zaraz opowiadać, dokąd pojadą i na jakiego zwierza będą polowali, a książę Janusz posłał jednego z dworzan, aby sprowadził z miasta jego dwóch „brońców", którzy żubry wywodzili z ostępów za rogi i łamali kości niedźwiedziom, pragnął ich bowiem królowi pokazać.

Zbyszko chciał bardzo pójść, pokłonić się Panu, ale nie mógł do niego dostąpić. Zdala tylko kniaź Jamont, zapomniawszy widocznie o ostrej odpowiedzi, jaką swego czasu młody rycerz dał mu w Krakowie kiwnął mu przyjaźnie głową, dając zarazem znać na migi, aby się do niego przy sposobności zbliżył. Ale w tej chwili jakaś ręka dotknęła ramienia młodego rycerza, i słodki smutny głos ozwał się tuż przy nim:

— Zbyszku...

Młodzian odwrócił się i ujrzał przed sobą Jagienkę. Zajęty poprzednio powitaniem księżny Ziemowitowej, a następnie rozmową z księżną Januszową, nie mógł dotychczas zbliżyć się do dziewczyny, więc ona sama, korzystając z zamieszania, jakie wywołało przybycie króla, przyszła ku niemu.

— Zbyszku, — powtórzyła — niech cię pocieszy Bóg i Najświętsza Panna.

— Bóg wam zapłać — odpowiedział rycerz.

I spojrzał z wdzięcznością w jej modre oczy, które w tej chwili przesłoniły się jakby rosą. Poczem stali przed sobą w milczeniu, bo choć ona przyszła do niego, jak dobra i smutna siostra, wydała mu

się jednak w swej królewskiej postawie i w świetnych dworskich szatach tak inną od dawnej Jagienki, że w pierwszej chwili nie śmiał nawet mówić jej: ty, jak ongi w Zgorzelicach i w Bogdańcu. Ona zaś myślała, że po tych słowach, które wyrzekła, nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

I aż zakłopotanie odbiło się na ich twarzach. Ale w tej chwili rum uczynił się na dziedzińcu, albowiem król zasiadł do wieczerzy. Do Zbyszka zbliżyła się znów księżna Januszowa i rzekła:

— Załośliwa to będzie dla nas obojga uczta, ale mi służ, jakoś dawniej sługiwał.

Więc młody rycerz musiał odejść od Jagienki, i gdy goście zasiedli, stanął przy ławce za plecami księżny, aby zmieniać miski i nalewać jej wody i wina. Służąc, mimowoli spoglądał kiedy niekiedy na Jagienkę, która, będąc dwórką księżny, na Płocku, siedziała tuż obok niej — i również mimowoli musiał podziwiać jej urodę. Jagienka od tych kilku lat urosła znacznie, ale zmienił ją jednak nietyle wzrost, ile powaga, której nie miała przedtem ani śladu. Dawniej, gdy w kożuszku i z liśćmi w roztarganych włosach ganiała na koniu po borach i lasach, można ją było poczytać bogdaj za urodziwą chłopiankę, teraz na pierwszy rzut oka widać w niej było dziewkę znacznego rodu i wielkiej krwi — taki rozlewał się w jej twarzy spokój. Zbyszko zauważył też, że znikła jej dawna wesołość, ale temu mniej się dziwił, wiedział bowiem o śmierci Zycha. Dziwiła go natomiast najwięcej ta jakowaś jej godność, i z początku zdawało mu się, że to strój daje jej takie pozory. Więc spoglądał kolejno to na złotą przepaskę, która obejmowała jej białe jak śnieg czoło i ciemne włosy, spadające w dwóch warkoczach na plecy, to na niebieską obcisłą, a bramowaną purpurowym szlakiem szatę, pod którą rysowała się wyraźnie jej strzelista postać i dziewicza pierś — i mówił sobie: „Iście prawa księżniczka!” Ale potem uznał, że to nietylko ubiór jest przyczyną odmiany, i że choćby teraz wzięła na siebie prosty kożuch, to jużby nie potrafił jej tak lekko brać i tak być z nią śmiałym, jak dawniej.

Zauważył następnie, że rozmaici młodzi, a nawet starsi rycerze wpatrują się w nią pilnie i łakomie, a raz, gdy zmieniał przed księżną misę, spostrzegł zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz pana de Lorche, i na ten widok uczuł na niego gniew w duszy. Nie uszedł geldryjski rycerz baczności i księżny Januszowej, która, poznawszy go, nagle rzekła:

— Widzisz: de Lorche! Pewnikiem znów się w kim kocha, bo cały olśnął.

Zaczem pochyliła się nieco nad stołem, i spojrzawszy w bok ku Jagience, rzekła:

— Wiera, że gasną inne świeczki przy tej pochodni.

Zbyszka ciągnęło jednak do Jagienki, gdyż wydała mu się jakby kochająca i kochana krewna, i czuł, że lepszej spólniczki do smutku i większej litości w niczyjem sercu nie znajdzie, ale tego wieczora nie mógł więcej do niej przemówić, a to dlatego, że był zajęty służbą,

a powtóre, że przez cały czas uczty gądkowie śpiewali pieśni, albo trąby czyniły tak hałaśliwą muzykę, że ci nawet, którzy koło siebie siedzieli, zaledwie mogli się dosłyszeć. Obie też księżne, a z niemi niewiasty, wstały wcześniej od stołów od króla, książąt i rycerzy, którzy mieli zwyczaj do późna w noc zabawiać się kielichami. Jagience, która niosła podusżkę do siedzenia dla księżny, nijako się było zatrzymać, więc odeszła także, tylko na odchodnem uśmiechnęła się znów Zbyszkowi i skinęła mu głową.

Późno dopiero przededniem, młody rycerz, pan de Lorche i dwaj ich giermkowie wracali do gospody. Czas jakiś szli pogrążeni w myślach, ale gdy już byli niedaleko domu, de Lorche począł coś mówić do swego giermka, Pomorzanina, umiejącego dobrze po polsku, a ten zwrócił się następnie do Zbyszka:

— Pan mój chciałby o coś Waszą Miłość zapytać.

— Dobrze — odpowiedział Zbyszko.

Wówczas tamci znów pogadali chwilę z sobą, poczem Pomorzanin, uśmiechając się nieco pod wąsem, rzekł:

— Pan mój chciałby spytać: czy to jest pewna, że ta panna, z którą Wasza Miłość rozmawiała przed ucztą, jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł, albo święta?

— Powiedz twemu panu — odpowiedział z pewną niecierpliwością Zbyszko — że już mnie drzewiej tak samo pytał i że aż mi cudnie tego słuchać. Bo jakże: w Spychowie mówił mi, że się na dwór księcia Witoldowy dla urody Litwinek wybiera, potem skroś tejże przyczyny, chciał jechać do Płocka, w Płocku dziś chciał rycerza z Taczewa dla Agnieszki z Długolasu pozywać, a teraz znów w inną godzi. Zali taka to u niego stateczność i taka rycerska wiara?

Pan de Lorche wysłuchał tej odpowiedzi z ust swego Pomorczyka, westchnął głęboko, popatrzył chwilę w blednące nocne niebo i tak na zarzuty Zbyszkowe odpowiedział:

— Słusznie mówisz. Ni statku, ni wiary! bom jest człek grzeszny i niegodny ostróg rycerskich nosić. Co do panny Agnieszki z Długolasu — prawda, ślubowałem jej, i Bóg da, że wytrwam, ale uważ, jak cię wzruszę, gdy ci opowiem, jak okrutnie ze mną w Czerskim zamku postąpiła.

Tu znów westchnął, znów spojrzał w niebo, na którego wschodzie czyniła się coraz jaśniejsza smuga, i poczekawszy, dopóki Pomorzanin nie przetłómaczy jego słów, tak dalej po chwili mówił:

— Powiedziała mi, że wrogiem jej jest pewien czarnoksiężnik, w wieży wśród lasów mieszkający, który corocznie smoka przeciw niej wysyła, a ów podchodzi każdej wiosny pod mury czerskie, i patrzy, czyby jej pochwycić nie zdołał. Co gdy rzekła, wraz oświadczyłem, że będę walczył ze smokiem. Ach! uważ co dalej opowiem: gdym stanął na wskazanem miejscu, ujrzałem okropną potworę, czekającą mnie nieruchomie, i radość zalała mi duszę, bom myślał, że albo polegnę, albo dziewicę z plugawej paszczy ocalę i nieśmiertelną sławę pozyskam. Ale gdym natarł zblizka kopią na poczwarę, cóżem, jak

mniemasz, ujrzał? Oto wielki wór słomy na drewnianych kołkach, z ogonem z powróseł! I śmiech ludzki, nie sławę, zyskałem, i aż dwóch mazowieckich rycerzy musiałem potem pozwać, od których obu, ciężki szwank w szrankach odniosłem. Tak postąpiła ze mną ta, którąm nad wszystkie uwielbił i jedną jedyną kochać chciałem...

Pomorzanin, tłómacząc słowa rycerza, wypychał językiem od środka policzki i chwilami przygryzał go, aby nie parsknąć, a i Zbyszko w innych czasach byłby się roześmiał z pewnością, ale że boleść i niedola wyszlamowały w nim do cna wesołość, więc odrzekł poważnie:

— Może z pustoty to jeno uczyniła, nie ze złości.

— To też jej przebaczyłem — odpowiedział de Lorche — a najlepszy dowód masz w tem, żem się z rycerzem z Taczewa chciał o jej piękność i cnotę potykać.

— Nie czyń tego — rzekł jeszcze poważniej Zbyszko.

— Ja wiem, że to śmierć, ale wolej mi poledz, niż żyć w ciągłym smutku i strapieniu...

— Panu Powale już takie rzeczy nie w głowie. Pójdź lepiej jutro ze mną do niego i zawrzyj z nim przyjaźń...

— Tak i postąpię, bo mnie do serca przycisnął, ale on jutro na łowy z królem jedzie.

— To pójdziem zrania. Król miłuje łowy, atoli i wywczasem nie gardzi, a dziś do późna biesiadował.

I tak uczynili, ale napróżno, gdyż Czech, który jeszcze przed nimi na ganek pospieszył, aby się widzieć z Jagienką, oznajmił im, że Powała nie spał u siebie tej nocy, jeno na pokojach królewskich. Opłacił im się wszelako zawód, bo spotkał ich książę Janusz i kazał im się do swego orszaku przyłączyć, przez co mogli wziąć udział w łowach. Jadąc ku puszczy, znalazł też Zbyszko sposobność rozmówienia się z kniaziem Jamontem, który powiedział mu dobrą nowinę.

— Rozbierając króla do łoża — rzekł — przypomniałem mu ciebie i twoją krakowską przygodę. A że był przy tem rycerz Powała, więc zaraz przydał, że ci stryjca Krzyżaki chyciły, i prosił króla, aby się o niego upomniał. Król, który okrutnie jest na nich za porwanie małego Jaśka z Kretkowa i za inne napaści zagniewan, rozsierdził się jeszcze więcej. „Nie z dobrem słowem (powiada) by do nich, ale z dzidą! z dzidą! z dzidą!" A Powała umyślnie drew na ów ogień dorzucał. Rano też, gdy posłowie krzyżaccy czekali przy bramie, ani ci na nich król spojrzał, chociaż się do ziemi kłaniali. Hej! nie wydobędą oni z niego teraz obietnicy, iże nie będzie kniazia Witolda wspomagał — i nie będą wiedzieli, co począć. Ale ty bądź pewien, że o twego stryjca nie zaniecha król samego Mistrza przycisnąć.

I tak pocieszył jego duszę kniazik Jamont, a jeszcze bardziej pocieszyła ją Jagienka, która, towarzysząc księżnie Ziemowitowej do puszczy, postarała się o to, aby z powrotem jechać obok Zbyszka. Podczas łowów bywała wielka swoboda, wracano przeto zwykle parami, a że nie chodziło o to żadnej parze, by być zbyt blizko drugiej, więc można się było rozmówić swobodnie. Jagienka dowiedziała się już

poprzednio o Maćkowej niewoli od Czecha i nie straciła czasu. Na jej prośbę dała księżna list do Mistrza, a prócz tego wymogła, że nadmienił o tem i komtur toruński von Wenden w piśmie, w którem zdawał sprawę z tego, co w Płocku się dzieje. Chwalił się on sam przed księżną, iż dopisał, że: „chcąc króla udobruchać, nie można mu w tej sprawie czynić trudności.” A Mistrzowi chodziło wielce w tej chwili o to, aby jak najbardziej potężnego władcę udobruchać i z całkowitem bezpieczeństwem obrócić wszystkie siły na Witolda, z którym Zakon istotnie nie umiał sobie dotychczas dać rady.

— I tak, com mogła, tom wskórała, bacząc, aby zaś nie było mitręgi — kończyła Jagienka — a że król, nie chcąc siostrze w wielkich sprawach ustąpić, będzie się pewnie starał wygodzić jej choć w mniejszych, przeto mam jako najlepszą nadzieję.

— Żeby nie z tak zdradliwymi ludźmi sprawa — odpowiedział Zbyszko — tobym poprostu odwiózł okup, i na temby się skończyło, z nimi wszelako może się przygodzić, jako się Tolimie przygodziło, że i pieniądze zagrabią, i temu, co je przywiózł, nie przepuszczą, jeśli za nim jakowaś potęga nie stoi.

— Rozumiem — odrzekła Jagienka.

— Wy teraz wszystko rozumiecie — zauważył Zbyszko — i póki żyw, wdzięczen wam będę.

A ona, podniósłszy na niego swe smutne i dobre oczy, zapytała:

— Czemu zaś nie mówisz mi: ty, jako znajomce od małego?

— Nie wiem — odpowiedział szczerze. — Coś mi nie łacno... i wyście już nie ten dawny skrzat, jakoście bywali, jeno... niby... coś całkiem...

I nie umiał znaleźć porównania, ale ona przerwała mu wysiłek i rzekła:

— Bo mi kilka roków przybyło... a Niemce i mnie rodzica na Śląsku zabiły.

— Prawda! — odrzekł Zbyszko. — Daj mu Boże światłość wiekuistą.

Czas jakiś jechali cicho obok siebie, zamyśleni i jakby zasłuchani w niesporny szum sosen, poczem ona spytała znowu:

— A po wykupnie Maćka ostaniecie w tych stronach?

Zbyszko spojrzał na nią, jakby ze zdziwieniem, gdyż dotąd oddany był tak wyłącznie żalowi i smutkom, że ani do głowy nie przyszło mu pomyśleć o tem, co będzie później. Więc podniósł oczy w górę, jakby się namyślając, a po chwili odrzekł:

— Nie wiem! Chryste miłosierny! skądże mam wiedzieć? To jeno wiem, że gdzie powędruję, tam i dola moja pójdzie za mną. Hej! ciężka dola!... Stryja wykupię, a potem chyba do Witolda pójdę, ślubów przeciw Krzyżakom dopełnić — i może zginę.

A na to zamgliły się oczy dziewczyny, i pochyliwszy się nieco ku młodziankowi, zaczęła mówić zcicha, jakby z prośbą:

— Nie giń, nie giń!

I znów przestali rozmawiać, aż dopiero pod samymi murami miasta Zbyszko otrząsnął się z myśli, które go gryzły, i rzekł:

— A wy... a ty — ostaniesz tu przy dworze?

— Nie — odpowiedziała. — Cni mi się bez braci i bez Zgorzelic. Cztan i Wilk musieli się tam już pożenić, a chociażby i nie, to się już ich nie boję.

— Da Bóg, że cię stryj Maćko do Zgorzelic odwiezie. Taki on ci przyjaciel, że we wszystkiem możesz się na niego zdać. Ale i ty o nim pamiętaj.

— Święcie ci to przyrzekam, że mu będę jako rodzone dziecko...

I po tych słowach rozpłakała się na dobre, bo w sercu uczyniło jej się ogromnie smutno.

* * *

Nazajutrz dzień Powała z Taczewa przyszedł do gospody Zbyszka i rzekł mu:

— Po Bożem Ciele król zaraz do Raciążka wyjeżdża na spotkanie z Wielkim Mistrzem, a tyś jest do rycerzy królewskich zaliczon i razem z nami ruszysz.

A Zbyszko aż się spłonił z uciechy po tych słowach — nietylko bowiem ubezpieczało go to zaliczenie do rycerzy królewskich od zdrad i podstępów krzyżackich, ale okrywało go chwałą niezmierną. Należał przecie do tych rycerzy i Zawisza Czarny, i bracia jego Farurej i Kruczek, i sam Powała, i Krzon z Kozichgłów, i Stach z Charbimowic, i Paszko Złodziej z Biskupic i Lis z Targowiska — i wielu innych strasznych, najsławniejszych, o których wiedziano w kraju i za granicą. Niewielki ich zastęp wziął król Jagiełło z sobą, bo niektórzy w domu zostali, a inni szukali przygód w zamorskich, odległych krajach, ale to wiedział, że i z tymi mógł, nie lękając się zdrady krzyżackiej, choćby do Malborga jechać, gdyż w razie czego mury pokruszyliby potężnemi ramiony i wysiekli mu drogę wśród Niemców. Mogło też zapłonąć dumą młode Zbyszkowe serce na myśl, że takich będzie miało towarzyszów.

Więc Zbyszko w pierwszej chwili zapomniał nawet o swoim żalu — i ściskając ręce Powały z Taczewa, mówił do niego z radością:

— Wam to, nie komu, winienem panie, wam! wam!

— Mnie w części — odrzekł Powała — w części tutejszej księżnie, ale najbardziej Panu naszemu Miłościwemu, którego idź zaraz podjąć pod nogi, by cię zaś o niewdzięczność nie posądził.

— Jakom dla niego zginąć gotów, tak mi dopomóż Bóg! — zawołał Zbyszko.

63.

Zjazd na wyspie wiślanej w Raciążku, na który król udał się koło Bożego Ciała, odbywał się pod złą wróżbą i nie doprowadził do takiej zgody i załatwienia różnych spraw, jak te, które w tem sa-

mem miejscu odbyły się we dwa lata później, i na których odzyskał król zastawioną zdradliwie przez Opolczyka Krzyżakom ziemię Dobrzyńską wraz z Dobrzyniem i Bobrownikami. Jagiełło przybył rozdrażnion wielce obmową, jakiej dopuszczali się względem niego Krzyżacy po dworach zachodnich i w samym Rzymie, a zarazem zgniewany nieuczciwością Zakonu. Mistrz nie chciał układów o Dobrzyń prowadzić, czynił to zaś umyślnie — i zarówno on sam, jak inni dygnitarze zakonni powtarzali codziennie Polakom: „Wojny ni z wami, ni z Litwą nie chcemy, ale Żmujdź nasza, bo sam Witold nam ją oddał. Obiecnijcie, iże nie będziecie mu pomagali, to wojna z nim prędzej się skończy, a wówczas pora będzie gadać o Dobrzyniu, i siła wam ustępstw poczynimy.” Ale rajcy królewscy, mając bystry, doświadczony rozum i znając kłamstwo krzyżackie, nie dawali się zdurzyć: — „Gdy w potęgę wzrośniecie, zuchwałości wam jeszcze przybędzie — odpowiadali Mistrzowi. — Mówicie, że nic wam do Litwy, a Skirgiełłę chcecie na stolcu w Wilnie posadzić. Alež na miły Bóg! wżdy to Jagiełłowe dziedzictwo, który jeden, kogo chce, księciem na Litwie stanowi — przeto się hamujcie, aby was nie pokarał nasz wielki król!” Na co Mistrz mówił, że jeśli król jest prawdziwym panem Litwy, niechże nakaże Witoldowi, by wojny zaniechał i Zakonowi Żmujdź wrócił — gdyż inaczej Zakon musi uderzyć w Witolda tam, gdzie go dosięgnąć i zranić może. I w ten sposób spory wlokły się od rana do wieczora, jakoby błędną drogą, idącą w kółko. Król, nie chcąc się do niczego zobowiązać, niecierpliwił się coraz bardziej i mówił Mistrzowi, że gdyby Żmujdź była pod krzyżacką ręką szczęśliwa, nie poruszyłby się Witold i jednym palcem, bo nie znalazłby ni pozoru, ni przyczyny. Mistrz, który był człowiekiem spokojnym i lepiej od innych braci zdawał sobie sprawę z potęgi Jagiełłowej, starał się króla ułagodzić i, nie zważając na szemranie niektórych zapalczywych i dumnych komturów, nie szczędził pochlebnych słów, a chwilami uderzał i w pokorę. Ale że nawet w tej pokorze nieraz odzywały się ukryte pogróżki, przeto nie wiodło to do niczego. Układy o rzeczy ważne rozchwiały się prędko, i drugiego już dnia poczęto mówić tylko o sprawach pomniejszych. Natarł król ostro na Zakon o utrzymywanie kup łotrów, o napaści i grabieże nad granicą, o porwanie Jurandówny i małego Jaśka z Kretkowa, o mordowanie kmieciów i rybaków. Mistrz wypierał się, wykręcał, przysięgał, że to było bez jego wiedzy, i wzajem wyrzuty czynił, że nietylko Witold, ale i rycerze polscy pomagali pogańskim Żmujdzinom przeciw Krzyżowi — na dowód czego przytoczył Maćka z Bogdańca. Szczęściem, wiedział już król przez Powałę, czego rycerze z Bogdańca szukali na Żmujdzi — i umiał na zarzut odpowiedzieć, tem łatwiej, że w orszaku jego był Zbyszko, a w Mistrzowym obaj von Badenowie, którzy przybyli w tej nadziei, że zdarzy im się może z Polakami w szrankach potykać.

Ale nie było i tego. Chcieli Krzyżacy, w razie, gdyby im gładko poszło, zaprosić wielkiego króla do Torunia i tam przez kilka dni wyprawiać na jego cześć uczty i igrzyska, ale wobec nieudałych układów, które zrodziły zobopólną niechęć i gniew, brakło do zabaw ocho-

ty. Na boku tylko w porannych godzinach, między sobą, popisywali się nieco wzajem rycerze siłą i zręcznością, lecz, jak mówił wesoły kniaź Jamont: poszło i to pod włos Krzyżakom, gdyż Powała z Taczewa okazał się tęższym na rękę od Arnolda von Baden, Dobek z Oleśnicy kopią, a Lis z Targowiska skakaniem przez konie wszystkich przewyższył. Przy tej sposobności porozumiewał się Zbyszko z Arnoldem von Baden o okup. De Lorche, który jako grabia i pan wielkiego znaczenia, patrzył na Arnolda z góry, sprzeciwiał się temu, twierdząc, iż sam wszystko na siebie bierze. Zbyszko jednak mniemał, że cześć rycerska nakazuje mu zapłacić tę ilość grzywien, do której się zobowiązał, i dlatego, chociaż sam Arnold chciał spuścić z ceny, nie przyjął ani tego ustępstwa, ani pośrednictwa pana de Lorche.

Arnold von Baden był człowiekiem dość prostym, którego największą zaletę stanowiła olbrzymia siła ramienia, dość głupowatym, nieco na pieniądze łakomym, ale prawie uczciwym. Nie było w nim chytrości krzyżackiej, i dlatego nie ukrywał przed Zbyszkiem, z jakiej przyczyny chce spuścić z umówionej ceny: „Do układów, mówił, między wielkim królem, a Mistrzem, nie przyjdzie, ale przyjdzie do wymiany jeńców — a w takim razie będziesz mógł stryja darmo odebrać. Ja wolę wziąć coś, niż nic, gdyż mieszek u mnie zawsze próżny i nieraz ledwie na trzy garnce piwa dziennie wystrzyma, zaś bez pięciu lub sześciu krzywda mi!" — Lecz Zbyszko gniewał się na niego za takie słowa: „Płacę, bom dał rycerskie słowo, a taniej nie chcę, abyś wiedział,ześmy tyle warci!" — Na to ściskał go Arnold, a rycerze, i polscy, i krzyżaccy, chwalili go, mówiąc: „Słuszna, iże w tak młodych latach pas i ostrogi nosi, bo się do czci i godności poczuwa."

Tymczasem król z Mistrzem ułożyli się istotnie o wymianę jeńców, przyczem ukazały się dziwne rzeczy, o których biskupi i dygnitarze królestwa pisali później listy do papieża i różnych dworów: oto w rękach polskich sporo było wprawdzie jeńców, ale byli to mężowie dorośli w sile wieku, wzięci zbrojną ręką w nadgranicznych bitwach i potyczkach. Tymczasem w rękach krzyżackich znajdowała się większość niewiast i dzieci, pojmanych wśród nocnych napadów dla okupu. Sam papież w Rzymie zwrócił na to swoją uwagę, i pomimo całej przebiegłości Jana von Felde, prokuratora krzyżackiego w stolicy apostolskiej, głośno wyrażał swój gniew i oburzenie na Zakon.

Co do Maćka, były trudności. Nie czynił ich Mistrz naprawdę, ale tylko pozornie, aby każdemu ustępstwu przydać wagi. Twierdził więc, że rycerz i chrześcijanin, który wojował razem ze Żmujdzinami przeciw Zakonowi, powinien być, po sprawiedliwości, skazan na śmierć. Próżno rajcy królewscy przytaczali na nowo wszystko, co im było wiadomem o Jurandzie i jego córce, oraz o strasznych krzywdach, jakich się względem tych dwojga i względem rycerzy z Bogdańca dopuścili słudzy Zakonu. Mistrz w odpowiedzi przytoczył dziwnym trafem te same prawie słowa, które powiedziała w swoim czasie księżna Aleksandra Ziemowitowa do starego rycerza z Bogdańca:

— Za baranków się podajecie, a naszych za wilków. Tymczasem

z tych czterech wilków, którzy w porwaniu Jurandówny wzięli udział, ani jeden nie żywie, a barankowie chodzą przezpiecznie po świecie.

I była to prawda, wszelako na tę prawdę odpowiedział obecny przy obradach pan z Taczewa następującem pytaniem:

— Tak, ale czy zabito którego zdradą? i zali ci, którzy polegli, nie polegli wszyscy z mieczami w ręku?

Mistrz nie miał co na to odrzec, a gdy spostrzegł przytem, że król poczyna marszczyć się i błyskać oczyma, ustąpił, nie chcąc doprowadzić groźnego władcy do wybuchu. Uradzono potem, że każda strona wyśle posłów po odbiór jeńców. Ze strony polskiej mianowani zostali w tym celu Zyndram z Maszkowa, który pragnął się potędze krzyżackiej zblizka przypatrzyć i rycerz Powała, a z nimi razem Zbyszko z Bogdańca.

Zbyszkowi usługę tę oddał kniaź Jamont. Przyczynił się za nim do króla w tej myśli, że młodzian i zobaczy prędzej stryjca, i tem prędzej go odwiezie, gdy pojedzie po niego, jako poseł królewski. A król nie odmówił prośbie kniazika, który z powodu swej wesołości, dobroci i cudnego oblicza był i jego i całego dworu ulubieńcem, a przytem nigdy o nic dla siebie nie prosił. Zbyszko dziękował mu też z całej duszy, gdyż teraz był już zupełnie pewien, że Maćka z rąk krzyżackich wydostanie.

— Tobie nie jeden zajrzy — mówił mu — że przy majestacie zostajesz, ale to sprawiedliwie tak jest, bo jeno na dobro ludzkie swojej poufałości z królem używasz, i lepszego nad cię serca nikt chyba nie ma.

— Przy majestacie dobrze — odrzekł bojarzynek — ale jabym jeszcze wolał w pole ku Krzyżakom — i tego tobie zajrzę, żeś w nich już bijał.

Po chwili zaś dodał:

— Komtur toruński von Wenden przyjechał wczoraj, a dziś w wieczór pojedziecie do niego na noc, z Mistrzem i z mistrzowym orszakiem.

— A potem do Malborka.

— A potem do Malborka.

Tu kniaź Jamont począł się śmiać:

— Niedaleka to będzie droga, ale kwaśna, bo nic od króla nie potrafili Niemce uzyskać, a z Witoldem nie będą mieli też uciechy. Zebrał on ci pono całą potęgę litewską i na Żmujdź idzie.

— Jeśli go król wspomoże, to będzie wielka wojna.

— Proszą o to Pana Boga wszyscy nasi rycerze. Ale choćby król z żalu nad krwią krześcijańską wielkiej wojny nie uczynił, wspomoże Witolda zbożem i pieniędzmi, a nie bez tego także, aby coś polskich rycerzy na ochotnika do niego nie poszło.

— Jako żywo — odpowiedział Zbyszko. — A może za to sam Zakon wypowie królowi wojnę?

— Ej nie! — odpowiedział kniaź: — póki dzisiaj Mistrz żywie, nie będzie tego.

I miał słuszność. Zbyszko znał już Mistrza dawniej, ale teraz, po drodze do Malborga, będąc razem z Zyndramem z Maszkowa i z Powałą prawie ciągle przy jego boku, mógł mu się lepiej przypatrzyć i lepiej go przeznać. Otóż ta podróż utwierdziła go tylko w przekonaniu, że Wielki Mistrz, Konrad von Jungingen, nie był złym i zepsutym człowiekiem. Musiał on często postępować w sposób nieprawy, gdyż cały Zakon krzyżacki stał na nieprawości. Musiał czynić krzywdy, bo cały Zakon zbudowany był na ludzkiej krzywdzie. Musiał kłamać, bo kłamstwo odziedziczył razem z oznakami Mistrzowstwa, a od wczesnych lat przywykł uważać je tylko za polityczną przebiegłość. Ale nie był okrutnikiem, bał się sądu Bożego i ile mógł, hamował pychę i zuchwałość tych dygnitarzy zakonnych, którzy pchali umyślnie do wojny z potęgą Jagiełłową. Był jednakże człowiekiem słabym. Zakon tak dalece przywykł od całych wieków czyhać na cudze, grabić, zabierać siłą lub podstępem przyległe ziemie, że Konrad nietylko nie umiał powściągać tego drapieżnego głodu, ale mimowoli, siłą nabytego pędu, sam poddawał mu się i usiłował go zaspokoić. Dalekie też były już czasy Winrycha von Kniprode, czasy zależnej karności, którą Zakon wprawiał w podziwienie świat cały. Już za poprzedniego przed Jungingiem Mistrza, Konrada Wallenroda, Zakon upoił się własną coraz wzrastającą potęgą, której nie zdołały osłabić chwilowe klęski, odurzył się sławą, powodzeniem, krwią ludzką tak, że rozluźniły się karby, które trzymały go w sile i jedności. Mistrz przestrzegał, ile mógł, prawa i sprawiedliwości, ile mógł, łagodził osobiście żelazną rękę Zakonu, ciążącą na chłopach mieszczanach, a nawet na duchowieństwie i szlachcie, siedzącej na prawie lennem w ziemiach krzyżackich, więc w pobliżu Malborga ten i ów kmieć, albo mieszczanin mógł się pochwalić nietylko dostatkiem, lecz i bogactwem. Ale w dalszych ziemiach samowola, srogość i rozpasanie komturów deptały prawo, szerzyły ucisk i zdzierstwo, wyciskały z pomocą nakładanych na własną rękę podatków, albo i bez wszelkiego pozoru ostatni grosz, wyciskały łzy, często krew, tak, że w całych obszernych krainach jeden był jęk, jedna nędza i jedna skarga. Jeśli nawet dobro Zakonu nakazywało, jak chwilami na Żmujdzi, większą łagodność — i takie nakazy szły wniwecz wobec niesforności komturów i przyrodzonego im okrucieństwa. Czuł się więc Konrad von Jungingen niby woźnicą, który rozhukanymi powodując końmi, wypuścił lejce z rąk i zdał wóz na wolę losu. Często też opanowywały jego duszę złe przeczucia, często przychodziły mu na myśl prorocze słowa: „Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na progu ziem chrześcijańskich, ale oto powstali przeciw mnie. Bo nie dbają o duszę i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie nauczając go przykazań Bożych odejmując mu Sakramenta Święte, na większe jeszcze piekielne męki go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Przeto przyjdzie czas, iże wyłamane im będą zęby, i będzie ucięta im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje."

Mistrz wiedział, że owe wyrzuty, które tajemniczy głos uczynił Krzyżakom w objawieniu świętej Brygidy, były słuszne. Rozumiał, że gmach, zbudowany na cudzej ziemi i cudzej krzywdzie, wsparty na kłamstwie, podstępie, srogości, nie może się długo ostać. Bał się, że podmywany od lat całych krwią i łzami, runie od jednego uderzenia potężnej ręki polskiej; przeczuwał, że wóz, który ciągną rozhukane konie, musi skończyć w przepaści, więc starał się, aby przynajmniej godzina sądu, gniewu, klęski i nędzy przyszła jak najpóźniej. Z tej przyczyny pomimo swej słabości, w jednem tylko stawiał niezłomny opór swym dumnym i zuchwałym rajcom: oto nie dopuszczał do walki z Polską. Próżno zarzucano mu bojaźń i niedołęstwo, próżno pograniczni komturowie parli wszelkiemi siłami do wojny. On, gdy ogień miał już, już wybuchnąć, cofał się zawsze w ostatniej chwili, a potem Bogu czynił dzięki w Malborgu, że mu się udało miecz podniesiony nad głową Zakonu zatrzymać.

Ale wiedział, że do tego przyjść musi. Więc owo przeświadczenie, że Zakon stoi nie na prawie Bożem, ale na nieprawości i kłamstwie, i owo przeczucie bliskiego dnia zaguby czyniło go jednym z najbardziej nieszczęsnych ludzi w świecie. Byłby niechybnie dał życie i krew, gdyby mogło być inaczej i gdyby czas był jeszcze zawrócić na prawą drogę, ale sam czuł, że już nie czas! Zawrócić — toby znaczyło oddać prawym posiadaczom całe ziemie żyzne, bogate i pochwycone przez Zakon od Bóg wie jak dawna, a z niemi razem mnóstwo miast tak bogatych, jak Gdańsk. I nie dość! To znaczyło wyrzec się Żmujdzi, wyrzec się zamachów na Litwę, włożyć miecz do pochew, wreszcie całkiem wynieść się z tych krain, w których Zakon nie miał już kogo nawracać — i osiąść chyba znów w Palestynie, lub na której z wysp Greckich, aby tam Krzyża od prawdziwych bronić Saracenów. Ale było to niepodobieństwem, gdyż równałoby się wyrokowi zagłady na Zakon. Ktoby się na to zgodził? i jakiż Mistrz mógł czegoś podobnego żądać? Konradowi von Jungingen zawłóczyła się cieniem dusza i życie, ale człowieka, którzyby z podobną radą wystąpił, on pierwszy skazałby, jako pozbawionego zmysłów, na ciemną izbę. Trzeba było iść dalej i dalej, aż do dnia, w którym sam Bóg kres zaznaczy.

Więc szedł, ale w dusznej trosce i smutku. Włos na brodzie i skroniach już mu się posrebrzył, a bystre niegdyś oczy pokryły się do połowy ociężałemi powiekami. Zbyszko ani razu nie dostrzegł na jego twarzy uśmiechu. Oblicze Mistrzowe nie było groźne, ani nawet chmurne, było tylko jakby zmęczone jakiemś cichem cierpieniem. W zbroi, z krzyżem na piersiach, w środku którego był w czworokącie czarny orzeł — w białym wielkim płaszczu, również przyozdobionym krzyżem, czynił wrażenie majestatu i smutku. Konrad niegdyś wesoły był i kochał się w krotofilach, a i teraz nawet nie usuwał się od wspaniałych uczt, widowisk i turniejów — owszem sam je wyprawiał, ale ani w natłoku świetnego rycerstwa, które przybywało w gości do Malborga, ani w zgiełku radosnym, wśród huku trąb i szczęku oręża, ani przy puharach przepełnionych małmazją — nie rozweselał się nigdy. Wówczas, gdy wszystko wokół niego zdawało się dyszeć potęgą,

świetnością, nieprzebranem bogactwem, niezłomną mocą, gdy posłowie cesarza i innych królów zachodnich wykrzykiwali w uniesieniu, że Zakon sam starczy za wszystkie królestwa i za potęgę całego świata — on jeden się nie łudził — i on jeden pamiętał złowrogie słowa, objawione świętej Brygidzie: „Przyjdzie czas, iże wyłamane będą ich zęby, i będzie ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje.”

64.

Jechali suchą drogą na Chełmżę do Grudziądza, gdzie zatrzymali się na noc i dzień, gdyż Wielki Mistrz miał tam do osądzenia sprawę o rybołóstwo między zamkowym starostą krzyżackim a okoliczną szlachtą, której ziemie przylegały do Wisły. Stamtąd płynęli na szkutach krzyżackich rzeką, aż do Malborga. Zyndram z Maszkowic, Powała z Taczewa i Zbyszko znajdowali się przez cały czas przy boku Mistrza, który ciekawy był jakie wrażenie uczyni zwłaszcza na Zyndramie widziana zblizka potęga krzyżacka. Chodziło zaś Mistrzowi o to dlatego, że Zyndram z Maszkowic był nietylko mężnym i strasznym w pojedynkę rycerzem, ale nadzwyczaj biegłym wojownikiem. W całem królestwie nikt tak, jak on, nie znał się na prowadzeniu wielkich wojsk, na szykowaniu hufców do bitwy, na budowie i burzeniu zamków, na rzucaniu mostów przez szerokie rzeki, na „armacie”, to jest na uzbrojeniu u rozmaitych narodów i na wszelkich wojennych sposobach. Mistrz, wiedząc, że na radzie królewskiej dużo zależało od zdania tego męża, mniemał, że jeśli zdoła go przerazić wielkość zakonnych bogactw i wojsk, to wojna odwlecze się jeszcze na długo. A przedewszystkiem sam widok Malborga mógł przejąć trwogą serce każdego Polaka, albowiem z twierdzą ową licząc Wysoki zamek, Średni i Podzamcze, żadna inna w całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać*). Już zdala, płynąc Nogatem, ujrzeli rycerze potężne baszty, rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczy, więc widać je było doskonale, a po niejakim czasie, gdy szkuty zbliżyły się, jeszcze bardziej rozbłysły szczyty kościoła na wysokim zamku i olbrzymie mury, piętrzące się jedne nad drugimi — w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szaro-białą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze krzyżaccy. Ogrom ich przewyższał wszystko, co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdawać się mogło, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc w nizinnem z natury miejscu jakby górę, której szczytem był Stary zamek, a stokami Średni i rozłożyste Przedzamcze. Biła od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle posępna twarz Mistrza wypogodziła się nieco na ów widok.

---

*) Do zupełnej ruiny doprowadził Malborg Fryderyk II, król pruski, po upadku Rzeczypospolitej polskiej.

— Ex luto Marienburg — z błota Marienburg — rzekł, zwracając się do Zyndrama — ale tego błota moc ludzka nie pokruszy.

Zyndram nie odpowiedział — i w milczeniu obejmował oczyma wszystkie baszty i ogrom murów, wzmocnionych potwornemi skarpami.

A Konrad von Jungingen dodał po chwili milczenia:

— Wy, panie, którzy się na twierdzach znacie, cóż nam o tej powiecie?

— Twierdza widzi mi się nie do zdobycia — odrzekł jakby w zamyśleniu polski rycerz — ale...

— Ale co? Co w niej możecie przyganić?

— Ale każda twierdza może zmienić panów.

Na to Mistrz zmarszczył brwi.

— W jakiejże to myśli mówicie?

— W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkiemi sądy i wyroki Boże.

I znów patrzał w zamyśleniu na mury, a Zbyszko, któremu Powała przetłómaczył należycie odpowiedź, spoglądał na niego z podziwem i wdzięcznością. Uderzyło go przytem w tej chwili podobieństwo między Zyndramem a żmujdzkim wodzem Skirwojłłą. Obaj mieli takie same ogromne głowy, jak gdyby wbite między szerokie ramiona, obaj równie potężne piersi i takie same pałąkowate nogi.

Tymczasem Mistrz, nie chcąc, by ostatnie słowo zostało przy polskim rycerzu, znów zaczął:

— Mówią — rzekł — że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu.

— Tam na skale niemasz tyle miejsca, ile tu w równi — odparł pan z Maszkowic — ale serce u nas na Wawelu większe.

Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi:

— Nie rozumiem.

— Bo cóż ci jest sercem w każdym zamku, jeśli nie kościół? A nasza katedra za trzy takie, jak oto ów obstanie.

I to rzekłszy, wskazał istotnie niewielki kościół zamkowy, na którego prezbiterjum błyszczała na złotem tle olbrzymia mozaikowa figura Najświętszej Panny.

A Mistrz znowu był nierad z takiego obrotu rozmowy:

— Prędkie, ale dziwne macie, panie, odpowiedzi — rzekł.

W tymże czasie dojechali. Wyborna policja krzyżacka uprzedziła widocznie miasto i zamek o przyjeździe Wielkiego Mistrza, gdyż u przeprawy czekali już, prócz kilku braci trębacze miejscy, którzy przygrywali zwykle Wielkiemu Mistrzowi w czasie przewozu. Z drugiej strony czekały gotowe konie, na które siadłszy, przebył orszak miasto i przez Szwecką bramę, wedle Wróblej baszty, wjechał do Przedzamcza. W bramie witali Mistrza: wielki komtur Wilhelm von Helfenstein, który zresztą tytuł już tylko nosił, albowiem od kilku miesięcy obowiązki jego sprawował naprawdę Kuno Lichtenstein, wysłan podówczas do Anglji; a dalej: wielki szpitalnik, krewny Kunona, Konrad Lichtenstein, wielki szatny Rumpenheim i wielki podskarbi Burghard von Wobecke i wre-

szcie mały komtur, przełożony nad warsztatami i nad zarządem zamku. Prócz tych dostojników stało tam kilkunastu braci wyświęconych, którzy zawiadowali rzeczami, dotyczącemi kościoła w Prusiech i ciężko gnębili inne klasztory, oraz świeckie duchowieństwo, zmuszając je nawet do robót przy drogach i przy łamaniu lodów — a z nimi gromada braci świeckich, to jest rycerzy, nie obowiązanych do godzin kanonicznych. Rosłe i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia, czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójów-rycerzy niemieckich, niż do mnichów. Z oczu patrzała im odwaga, hardość i pycha niezmierna. Nie lubili oni Konrada za jego obawę wojny z potęgą Jagiełłową; nieraz na kapitułach otwarcie wyrzucali mu bojaźliwość, rysowali go na murach i podmawiali błaznów do wyśmiewania go w oczy. Jednakże na jego widok pochylili teraz głowy z pozorną pokorą, zwłaszcza, że Mistrz wjeżdżał w towarzystwie obcych rycerzy, i poskoczyli hurmem, aby powstrzymać mu konia za uzdę i strzemię.

Mistrz zaś, zsiadłszy, zwrócił się zaraz do Helfensteina i zapytał:

— Są-li jakie nowiny od Wernera von Tettingen?

Werner von Tettingen, jako wielki marszałek czyli przywódca zbrojnych sił krzyżackich, był w tej chwili na wyprawie przeciw Żmujdzinom i Witoldowi.

— Ważnych nowin niema — odpowiedział Helfenstein — ale są szkody. Dzicz popaliła osady pod Ragnetą i miasteczka przy innych zamkach.

— W Bogu nadzieja, że jedna wielka bitwa złamie ich złość i zatwardziałość — odparł Mistrz.

I to rzekłszy, podniósł oczy w górę, a usta jego poruszały się przez chwilę modlitwą, którą odmawiał za powodzenie wojsk zakonnych.

Poczem ukazał na polskich rycerzy i rzekł:

— To są wysłańcy króla polskiego: rycerz z Maszkowic, rycerz z Taczewa i rycerz z Bogdańca, którzy z nami dla wymiany jeńców przybyli. Niechaj komtur zamkowy wskaże im gościnne komnaty i podejmie ich i ugości, jako przystało.

Na te słowa bracia-rycerze poczęli spoglądać z ciekawością na wysłanników, a zwłaszcza na Powałę z Taczewa, którego imię, jako słynnego zapaśnika, było niektórym znane. Tych zaś, którzy nie słyszeli o jego czynach na dworze burgundzkim, czeskim i krakowskim, przejmowała podziwem jego ogromna postawa i jego ogier bojowy, tak nadzwyczajnej wielkości, że bywalcom, którzy za młodych lat zwiedzili Ziemię Świętą i Egipt, przypominał wielbłądy i słonie.

Kilku poznało też Zbyszka, który swego czasu potykał się w szrankach w Malborgu, i ci witali go dość uprzejmie, pamiętając, że potężny i mający wielką wziętość w Zakonie brat Mistrzów, Ulrich von Jungingen, okazywał mu szczerą przyjaźń i przychylność. Najmniej zwracał uwagi i podziwu ten, który w niedalekiej już przyszłości miał być najstraszliwszym pogromcą Zakonu, to jest Zyndram z Maszkowic, albowiem, gdy zsiadł z konia wydawał się z powodu swej niezwykłej krępości i wysokich ramion prawie garbatym. Nazbyt długie jego ręce

i pałąkowate nogi budziły uśmiech w twarzach młodszych braci. Jeden z nich, znany krotofilnik, przystąpił nawet do niego, chcąc mu przymówić, ale spojrzawszy w oczy pana z Maszkowic, stracił jakoś ochotę i odszedł w milczeniu.

Tymczasem komtur zamkowy zabrał gości i powiódł ich z sobą. Weszli naprzód na niewielki dziedziniec, na którym prócz szkoły, starego lamusa i warsztatu siodlarskiego, znajdowała się kaplica Św. Mikołaja, poczem przez most Mikołajski wkroczyli na właściwe Przedzamcze. Komtur prowadził ich przez niejaki czas wśród potężnych murów, bronionych tu i ówdzie mniejszemi i większemi basztami. Zyndram z Maszkowic pilnie przypatrywał się wszystkiemu, przewodnik zaś, nawet nie zapytywany, chętnie pokazywał rozmaite budynki, jakby mu zależało właśnie na tem, aby goście przypatrzyli się wszystkiemu jak najdokładniej.

— Ten okrutny gmach, który Wasze Miłoście widzicie przed sobą, po lewej ręce — mówił — to nasze stajnie. Ubodzyśmy mnisi, a przecie ludzie mówią, że gdzieindziej i rycerze tak nie mieszkają, jak u nas konie.

— Nie pomawiają was ludzie o ubóstwo — odrzekł Powała — ale coś tu musi być więcej prócz stajni, bo gmach okrutnie wysoki, a koni przecie po schodach nie sprowadzacie.

— Nad stajnią, która jest w dole i w której czterysta koni się mieści — rzekł komtur zamkowy — są śpichrze, a w nich zboża choćby na dziesięć lat. Nie przyjdzie tu nigdy do oblężenia, ale gdyby przyszło, to głodem nas nie wezmą.

To rzekłszy, zawrócił w prawo i znów przez most między basztą Św. Wawrzyńca a basztą Pancerną wwiódł ich na inny dziedziniec olbrzymi, leżący w samym środku podzamcza.

— Zważcie, Wasze Moście — rzekł Niemiec — że to wszystko, co ku północy widzicie, jakkolwiek za łaską Bożą nie do zdobycia, jest tylko „Vorburg" — i utwierdzeniem nie może się porównać ani ze Średnim zamkiem, do którego Was prowadzę, ani tembardziej z Wysokim.

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała znacznie wyżej, rycerze, obróciwszy się za poradą komtura, jeszcze raz mogli objąć oczyma cały ów olbrzymi kwadrat, zwany podzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak, iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa ułożone w szychty tak wielkie, jak domy, składy kul kamienne, sterczące, nakształt piramid, cmentarze, lazarety, magazyny. Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniały potężne mury „templu", to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeladzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż młynówki wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zawiadowców i urzędników zakonnych — znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie, niezmierny arse-

nak czyli Karwan, więzienia, stara puszkarnia, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak, jak w osobnej twierdzy bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosą, za fosą wieńcem olbrzymich palisad, za któremi dopiero, na zachód, toczył żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczała toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Średni i Wysoki.

Gniazdo straszne, od którego biła nieubłagana potęga, i w którem skupiły się dwie największe znane wówczas w świecie siły: siła duchowna i siła miecza. Kto oparł się jednej, tego pokruszyła drugą. Kto podniósł przeciw nim ramię, na tego krzyk powstawał we wszystkich krajach chrześcijańskich, że przeciw Krzyżowi je podnosi.

I wnet rycerstwo zbiegało się ze wszystkich stron na pomoc. Gniazdo też roiło się wiecznie rzemieślniczym i zbrojnym ludem, i wrzało w niem ciągle, jak w ulu. Przed gmachami, w przejściach, przy bramach, w warsztatach — wszędzie panował ruch, jak na jarmarku. Echo roznosiło odgłos młotów i dłut krzesających kamienne kule, huczenie młynów i deptaków, rżenie koni, szczęk zbroi i oręża, dźwięk trąb i piszczałek, nawoływania i rozkazy. Na owych dziedzińcach słyszałeś wszystkie mowy świata i mogłeś napotkać żołnierzy ze wszystkich narodów: więc niechybnych łuczników angielskich, którzy o sto kroków przeszywali gołębia, uwiązanego na maszcie, a których groty przebijały pancerze tak łatwo, jak sukno, i strasznych szwajcarskich piechurów, walczących dwuręcznymi mieczami, i mężnych, choć niepomiarkowanych w jedle i napoju Duńczyków, i skłonnych zarówno do śmiechu, jak zwady rycerzy francuskich, i małomówną, a dumną szlachtę hiszpańską, i świetnych rycerzy włoskich, najbieglejszych fechtmistrzów, przybranych w jedwabie, aksamity, a na wojnę w niezłomne zbroje, kowane w Wenecji, Medjolanie i Florencji, — i rycerzy burgundzkich, i Fryzów, i wreszcie Niemców ze wszystkich ziem niemieckich. Kręciły się między nimi „białe płaszcze", jako gospodarze i zwierzchnicy. „Wieża pełna złota", a ściślej: osobna izba zbudowana na Wysokim zamku, obok mieszkania Mistrza, napełniona od dołu do góry pieniędzmi i sztabami z drogocennego metalu, pozwalała Zakonowi na godne podejmowanie „gości", również jak na zaciągi najemnego żołdactwa, które wysyłano stąd na wyprawy i do wszystkich zamków, do rozporządzenia wójtów, starostów i komturów. Tak to z siłą miecza i z siłą duchowną kojarzyło się tu niezmierne bogactwo, a zarazem żelazny ład, który, lubo rozluźnion już po prowincjach przez zbytnią ufność i upojenie się własną potęgą, trzymał się jeszcze w samym Malborgu mocą dawnego wezwyczajenia. Monarchowie przybywali tu nietylko walczyć z pogany lub pożyczać pieniędzy, lecz i uczyć się sztuki rządzenia, rycerze — uczyć się sztuki wojennej. W całym bowiem świecie nikt nie umiał tak rządzić i wojować, jak niegdyś Zakon. Gdy niegdyś przybył w te strony, prócz szczupłej okolicy i kilku zamków, podarowanych przez nierozważnego księcia polskiego, nie należała do niego ani piędź ziemi, teraz zaś władał obszerną, większą od wielu królestw krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytych zamków. Władał i czuwał,

jak włada pająk rozpiętą siecią, której wszystkie nici dzierży pod sobą. Stąd, z tego Wysokiego zamku, od Mistrza i od białych płaszczów rozbiegały się przez pocztowych pachołków rozkazy na wszystkie strony: do lennej szlachty, do rad miejskich, do burmistrzów, do wójtów, podwójcich i kapitanów najemnych wojsk, a co tu zrodziła i postanowiła myśl i wola, tam wnet wykonywały setki i tysiące żelaznych dłoni. Tu spływał pieniądz z całego kraju, tu zboże, tu wszelkiego rodzaju spyża, tu daniny od jęczącego pod srogiem jarzmem świeckiego duchowieństwa i od innych klasztorów, na które patrzał niechętnem okiem Zakon; stąd wreszcie wyciągały się drapieżne ramiona ku wszystkim okolicznym krajom i ludom.

Liczne pruskie, mówiące litewską mową narody starte już były z oblicza ziemi. Litwa czuła do niedawna żelazną stopę krzyżacką, ciążącą na jej piersiach tak straszliwie, że za każdem tchnieniem oddawała zarazem krew z pod serca; Polska, lubo zwycięska w straszliwej bitwie pod Płowcami, straciła jednak za Łokietkowych czasów swe dzierżawy na lewym brzegu Wisły razem z Gdańskiem, Tczewem, Gniewem i Świeciem. Rycerski Zakon Inflancki sięgał po ziemie ruskie, i szły oba te zakony jak olbrzymia fala niemieckiego morza, które zalewało coraz szerzej i szerzej słowiańskie ziemie.

Aż nagle zaszło chmurą słońce krzyżacko-niemieckiej pomyślności. Litwa przyjęła chrzest z rąk polskich, a tron krakowski razem z ręką cudnej królewny odzierżył Jagiełło. Nie utracił wprawdzie Zakon przez to ani jednej ziemi, ani jednego zamku, ale uczuł, że przeciw sile stanęła siła, i stracił przyczynę, dla której istniał w Prusiech. Po chrzcie Litwy wrócić im było chyba do Palestyny i strzedz pątników, dążących do świętego miejsca. Ale wrócić — to znaczyło wyrzec się bogactw, władzy, potęgi, panowania, miast, ziem i całych królestw. Więc począł miotać się Zakon w przerażeniu i wściekłości, jak potworny smok, w którego boku utkwiło żeleźce. Mistrz Konrad bał się stawić wszystkiego na jeden rzut kości i drżał na myśl o wojnie z wielkim królem, władcą ziem polskich, litewskich i obszernych dzierżaw ruskich, które Olgierd wydarł z gardła Tatarom, ale większość rycerzy krzyżackich parła do niej, czując, że trzeba stoczyć bój na śmierć i życie, póki siły są nienaruszone, póki urok Zakonu nie zblednie, póki świat cały śpieszy mu na pomoc i póki gromy papieskie nie spadną na to ich gniazdo, dla którego rzeczą życia i śmierci było teraz — nie rozszerzanie chrześcijaństwa, lecz właśnie utrzymanie pogaństwa.

A tymczasem między narodami i po dworach oskarżano Jagiełłę i Litwę o chrzest pozorny i fałszywy, przedstawiając jako rzecz niepodobną, aby stać się mogło w ciągu roku to, czego miecz zakonny nie mógł przez wieki dokonać. Burzono przeciw Polsce i przeciw jej władcy królów i rycerzy, jako przeciw opiekunom i obrońcom pogaństwa — a głosy te, którym jedynie w Rzymie nie dowierzano, rozchodziły się szeroką falą po świecie i ściągały ku Malborgowi książąt, grafów i rycerzy z Południa i Zachodu. Zakon nabierał ufności i poczuwał się w mocy. Marienburg ze swymi groźnymi zamkami i Przedzamczem olśniewał ludzi potęgą więcej, niż kiedykolwiek — i olśniewało

bogactwo, olśniewał pozorny ład — i cały Zakon wydawał się być władniejszym i bardziej na wiek wieków niepożytym, niż dawniej. I nikt z książąt, nikt z owych rycerskich gości — nikt, — prócz Mistrza, — nawet z pomiędzy Krzyżaków, nie rozumiał, że od czasu chrztu Litwy stało się coś takiego, jak gdyby te fale Nogatu, które oskaniały z jednej strony straszną twierdzę — zaczęły podmywać cicho i nieubłaganie jej mury. Nikt nie rozumiał, że w owem olbrzymiem ciele została jeszcze siła — ale uleciała z niego dusza; kto świeżo przybył i spojrzał na ów wzniesiony „ex luto" Marienburg, na owe mury, baszty, na czarne krzyże w bramach, na budynkach i na szatach, temu przedewszystkiem przychodziło na myśl, że i bramy piekielne nie przemogą tej północnej Krzyża stolicy.

Z podobną też myślą patrzyli na nią nietylko Powała z Taczewa i Zbyszko, który tu już bywał poprzednio, lecz i wiele bystrzejszy od nich Zyndram z Maszkowic. I jemu, gdy w tej chwili spoglądał na to zbrojne rojowisko żołnierskie, objęte w ramę baszt i olbrzymich tynów, zmierzchła twarz, a na pamięć nasunęły się mimowoli dumne słowa, któremi niegdyś Krzyżacy grozili królowi Kazimierzowi:

„Większać nasza moc, i jeśli nie ustąpisz, do samego Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziem."

Ale tymczasem komtur zamkowy powiódł rycerzy dalej, do Średniego zamku, w którego wschodniej połaci leżały gościnne komnaty.

65.

Maćko i Zbyszko długi czas trzymali się w ramionach, gdyż miłowali się wzajem zawsze, a w ostatnich latach wspólne przygody i nieszczęścia uczyniły tę miłość jeszcze silniejszą. Stary rycerz od pierwszego wejrzenia na bratanka odgadł, że Danusi niema już na świecie, więc nie pytał o nic, jeno tulił do siebie młodzianka, chcąc przez moc tego uścisku pokazać mu, że nie został zupełnym sierotą i że ma jeszcze blizką żywą duszę, gotową podzielić się z nim niedolą.

Aż dopiero, gdy im smutek i boleść znacznie łzami spłynęły, zapytał po długiem milczeniu Maćko:

— Zali wydarli ci ją znów, czyli też ci na ręku skonała?

— Na ręku mi skonała pod samym Spychowem — odrzekł młodzian.

I począł opowiadać jak i co było, płaczem i wzdychaniami przerywając sobie opowiadanie, a Maćko słuchał uważnie, wzdychał także i w końcu znów jął wypytywać:

— A Jurand żywie jeszcze?

— Juranda żywiącegom odjechał, ale niedługo mu na świecie, i pewnie go już nie obaczę.

— To może lepiej było nie odjeżdżać.

— Jakoże mi było was tu ostawiać?

— Parę niedziel wcześniej, albo później, wszystko jedno!

Ale Zbyszko popatrzał na niego bacznie i rzekł:

— I tak musieliście tu chorzeć? Jako Piotrowin wyglądacie.

— Bo choć słonko na ziemi przygrzewa, w podziemiu zawsze zimno i wilgoć tam jest okrutna z takowej przyczyny, że tu naokół zamku wody. Myślałem, że do szczętu spleśnieję. Dychać też niema czem i od tego wszystkiego rana mi się odnowiła — ta, wiesz... co to mi w Bogdańcu po bobrowem sadle szczebrzuch wylazł.

— Pamiętam — rzekł Zbyszko — bośmy po bobra z Jagienką chodzili. A to was tu psubraty w podziemiu trzymali?

Maćko poruszył głową i odpowiedział:

— Żeby ci tak szczerze rzec, to nie radzi oni mnie widzieli i już było ze mną źle. Wielka tu jest zawziętość na Witolda i Żmujdzinów, ale jeszcze większa na tych z pomiędzy nas, którzy im pomagają. Próżnom gadał, dlaczegośmy między Żmujdzinów poszli. Byliby mi głowę ucięli, i jeśli tak nie uczynili, to jeno dla tego, że im wykupu było żal, bo jako wiesz, pieniądz im nawet i od pomsty wdzięczniejszy, a powtóre chcieli mieć w ręku dowód, że król Polaków poganom w pomoc posyła. Bo że Żmujdzini niebożęta proszą o krzest, byle nie z ich rąk, to wiemy, którzyśmy tam byli, ale Krzyżaki udają, że nie wiedzą, i skarżą ich po wszystkich dworach, a z nimi razem i naszego króla.

Tu porwała Maćka zadyszka, tak, że musiał na chwilę umilknąć, i dopiero odsapnąwszy, mówił dalej:

— I byłbym może skapiał w podziemiu. Wstawiał ci się za mną poprawdzie Arnold von Baden, któremu też o okup chodziło. Ale on nie ma między nimi nijakiej powagi, i nazywają go niedźwiedziem. Szczęściem de Lorche dowiedział się o mnie od Arnolda i okrutnego zaraz narobił warcholu. Nie wiem, czy ci o tem powiadał, bo on rad kryje swoje dobre uczynki... Jego oni tu to za coś mają, bo już jeden de Lorche wielkie niegdyś w Zakonie piastował godności, a ten jest znamienitego rodu i bogacz. Mówił im tedy, że sam jest naszym jeńcem, i że gdyby mi tu gardło wzięli, albo gdybym skapiał z głodu i wilgotności, to ty jemu szyję utniesz. Groził ci kapitule, że rozpowie po zachodnich dworach, jak Krzyżacy z pasowanymi rycerzami postępują. Aż zlękli się i wzięli mnie do lazaretu, gdzie powietrze i strawa lepsza.

— Od Lorchego jednej grzywny nie wezmę, tak mi dopomóż Bóg!

— Miło od nieprzyjaciela brać, ale przyjacielowi słuszna rzecz przepuścić — rzekł Maćko; — a skoro, jako słyszę, ugoda z królem o wymianę jeńców stanęła, to i za mnie nie potrzebujesz płacić.

— Ba! a nasze słowo rycerskie? — zapytał Zbyszko. — Ugoda ugodą, a Arnold bezecność mógłby nam zadać.

Usłyszawszy to, zatroskał się Maćko, pomyślał nieco i rzekł:

— Ale możnaby coś odtargować?

— Samiśmy się cenili. Zaliśmy to teraz mniej warci?

Maćko zatroskał się jeszcze bardziej, ale w oczach odbił się podziw i jakby jeszcze większa miłość dla Zbyszka.

— A czci potrafi strzedz!... taki ci się już urodził — mruknął sam do siebie.

I począł wzdychać. Zbyko myślał, że z żalu o te grzywny, które mieli von Badenowi zapłacić, więc rzekł:

— Wiecie! Pieniędzy i tak jest dość, byle dola nie była taka ciężka.

— Bóg ci ją odmieni! — rzekł ze wzruszeniem stary rycerz. — Mnie tam niedługo już na świecie.

— Nie powiadajcie! Będziecie zdrowi, niech jeno was wiater przewieje.

— Wiater? Wiater młode drzewo przygnie, a stare złamie.

— Owa! nie próchnieją w was jeszcze gnaty i do starości wam daleko. Nie smućcie się!

— Żeby tobie było wesoło, to i jabym się śmiał. Wszelako mam ci ja i inną do smutku przyczynę, a prawdę rzekłszy, nietylko ja, ale i my wszyscy.

— Co zaś? — zapytał Zbyszko.

— A pamiętasz, jakom cię w obozie u Skirwojłły zgromił za to, żeś moc krzyżacką sławił? W polu, juźci twardy jest nasz naród, ale tak z bliska, to ja się tutejszym psubratom dopiero teraz przypatrzył...

Tu Maćko, jakby w obawie, aby go kto nie dosłyszał, zniżył głos:

— I teraz widzę, żeś ty był praw, nie ja. Niech ręka Boska broni, co to za moc, co to za potęga! Swędzą naszych rycerzy ręce i chce im się jak najprędzej k'Niemcom, a nie wiedzą, że Krzyżaków wszystkie narody i wszyscy królowie wspomagają, że pieniędzy u nich więcej, że ćwiczenie lepsze, że zamki warowniejsze i sprzęt wojenny godniejszy. Niech ręka Boska broni!... I u nas i tu mówią, że do wielkiej wojny przyjść musi i przyjdzie, ale gdy przyjdzie, to niechże Bóg zmiłuje się nad naszem królestwem i naszym narodem!

Tu objął dłońmi swą szpakowatą głowę, łokcie wsparł na kolanach i zamilkł.

Zbyszko zaś rzekł:

— A widzicie. W pojedyńkę nie jeden z naszych od nich tęższy, ale co do wielkiej wojny, pomiarkowaliście sami.

— Oj, pomiarkowałem! a da Bóg i ci posłowie królewscy pomiarkują także, a zwłaszcza rycerz z Maszkowic.

— Widziałem, jako spochmurniał. Wielki z niego sprawca wojenny, i powiadają, że nikt na świecie nie rozumie się tak na wojnie.

— Jeśli prawda, to chyba jej nie będzie.

— Jeśli Krzyżacy obaczą, że mocniejsi, to właśnie będzie. I powiem wam szczerze: bogdaj już przyszedł wóz alibo przewóz, gdyż dłużej nie lza nam tak żyć...

I z kolei Zbyszko, jakby przygniecion niedolą własną i powszechną, opuścił głowę, a Maćko rzekł:

— Szkoda zacnego królestwa, a boję się, by nas Bóg za zbytnią zuchwałość nie pokarał. Pamiętasz, jak to rycerstwo przed katedrą na Wawelu, przede mszą, wtedy, kiedy ci to mieli głowę uciąć i nie ucięli — samego Tymura Kuternogę wyzywało, któren czterdziestu królestw jest panem i któren góry z głów ludzkich uczynił... Niedość

im Krzyżaków! wszystkich naraz chcieliby wyzwać — i w tem może być obraza Boska.

A Zbyszko na owe wspomnienie chwycił się za płowe włosy, bo go niespodzianie ogarnął żal okrutny — i zakrzyknął:

— A któż mnie wówczas od Kata zratował, jeśli nie ona! O Jezu! Danuśka moja!... O Jezu!...

I począł drzeć włosy, a następnie gryźć pięści, któremi łkanie chciał potłumić, tak rozskowyczało się w nim serce z nagłego bólu.

— Chłopie! miej Boga w sercu!... cichaj! — wołał Maćko. — Co wskórasz? Hamuj się! cichaj!...

Ale Zbyszko długi czas nie mógł się uspokoić i upamiętał się dopiero, gdy Maćko, który był istotnie jeszcze chory, zesłabł tak bardzo, że zachwiał się na nogach i padł na ławę w zupełnem zmysłów zamroczeniu. Wówczas młodzian położył go na tapczanie, pokrzepił winem, które przysłał komtur zamkowy i czuwał nad nim, póki stary rycerz nie zasnął.

Nazajutrz zbudzili się późno, rzeźwiejsi i wypoczęci.

— No — rzekł Maćko: — chyba jeszcze na mnie nie czas, i tak myślę, że byle mnie wiater polny przewiał, to i na koniu dosiedzę.

— Posłowie ostaną jeszcze kilka dni — odpowiedział Zbyszko — bo coraz to do nich ludzie przychodzą z prośbą o jeńców, którzy na Mazowszu, albo w Wielkopolsce na rozboju schwytani, ale my możem jechać, kiedy chcecie i kiedy poczujecie się w siłach.

W tej chwili wszedł Hlawa.

— Nie wiesz zaś, co tam czynią posłowie? — spytał go stary rycerz.

— Zwiedzają Wysoki Zamek i kościół — odrzekł Czech. — Komtur zamkowy sam ich oprowadza, a potem pójdą do wielkiego refektarza na obiad, na który i Wasze Miłoście ma Mistrz zaprosić.

— A ty coś od rana czynił?

— A ja przypatrywałem się niemieckiej najemnej piechocie, którą kapitanowie ćwiczyli, i przyrównywałem ją z naszą czeską.

— A ty czeską pamiętasz?

— Wyrostkiem mnie pojmał rycerz Zych ze Zgorzelic, ale pamiętam dobrze, bom od małego był do takich rzeczy ciekawy.

— No i cóż?

— A nic! Jużci tęga jest krzyżacka piechota i ćwiczona godnie, ale to są woły, a nasi Czesi wilcy. Gdyby tak przyszło co do czego, to przecie Wasze Miłoście wiedzą: woły wilków nie jadają, a wilki okrutnie na wołowinę łakome.

— Prawda jest — rzekł Maćko, który widocznie coś o tem wiedział: — kto się o waszych otrze, to jako od jeża odskoczy.

— W bitwie konny rycerz za dziesięciu piechoty stanie — rzekł Zbyszko.

— Ale Marienburga jeno piechota może dobyć — odpowiedział giermek.

I na tem skończyła się rozmowa o piechocie, gdyż Maćko, idąc za biegiem swych myśli, rzekł:

— Słysz, Hlawa: dziś jak podjem i poczuję się w mocy — pojedziemy.

— A dokąd? — spytał Czech.

— Wiadomo, że na Mazowsze. Do Spychowa — rzekł Zbyszko.

— I tam już ostaniem?...

Na to spojrzał Maćko na Zbyszka pytającym wzrokiem, gdyż dotychczas nie było między nimi mowy o tem, co dalej uczynią. Młodzian może miał gotowe postanowienie, ale nie chciał niem widocznie stryjca zasmucać, więc rzekł wymijająco:

— Wpierw musicie wydobrzeć.

— A potem co?

— Potem? Wrócicie do Bogdańca. Wiem jako Bogdaniec miłujecie.

— A ty?

— I ja miłuję.

— Nie mówię, żebyś do Juranda nie jechał, — rzekł powoli Maćko — bo jeśli zamrze, to pogrześć go przystojnie należy, ale ty bacz, co powiem, gdyż, jako młody, rozumem mi nie dorównasz. Nieszczęśliwa to jakowaś ziemia ten Spychów. Co cię spotkało dobrego — to gdzieindziej, a tam nic, jeno strapienia ciężkie i frasunki.

— Prawdę mówicie, — rzekł Zbyszko — ale tam Danusina truchełka...

— Cichaj! — zawołał Maćko w obawie, że Zbyszka chwyci taki sam niespodziany ból, jak wczoraj.

Ale na twarzy młodzianka odbiło się tylko rozrzewnienie i smutek.

— Będzie czas uradzać — rzekł po chwili. — W Płocku i tak musicie odpocząć.

— Starunku Waszej Miłości tam nie zbraknie — wtrącił Hlawa.

— Prawda! — rzekł Zbyszko: — wiecie, że tam jest Jagienka? Jest dwórką przy księżnie Ziemowitowej. Ba, — ale przecie wiecie, boście ją sami tam przywieźli. Była i w Spychowie. Aż mi to dziwno, żeście mi nic o niej u Skirwojłły nie wspomnieli.

— Nietylko była w Spychowie, ale bez niej Jurand alboby dotychczas macał kosturem drogi, alboby zamarł gdzie przy drodze. Przywiozłem ją do Płocka wedle opatowego dziedzictwa, a nie wspomniałem ci o niej, bo choćbym był wspomniał, byłoby to samo. Na nic tyś, nieboże, wówczas nie baczył.

— Wielce ona was kocha — rzekł Zbyszko. — Chwalić Bogu, że nijakie listy nie były potrzebne, ale ona od księżny dostała listy za wami i przez księżnę od posłów krzyżackich.

— Niech Bóg za to dziewce błogosławi, bo lepszej na świecie niema! — rzekł Maćko.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście Zyndrama z Maszkowic i Powały z Taczewa, którzy, zasłyszawszy o wczorajszem omdleniu Maćka, przyszli go dziś odwiedzić.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł, przestąpiwszy próg, Zyndram. — Jakoże wam dziś?

— Bóg zapłać! Pomału! Zbyszko prawi, że byle mię wiater obwiał, to będzie całkiem dobrze.

— Co nie ma być?... będzie! Wszystko będzie dobrze — wtrącił Powała.

— Wywczasowałem się też na porządek! — odrzekł Maćko. — Nie tak, jak Wasze Miłoście, którzy, jako słyszę, ranoście wstali.

— Naprzód przychodzili do nas ludzie tutejsi mianować jeńców, — rzekł Zyndram — a potem oglądaliśmy gospodarstwo krzyżackie: Przedzamcze i oba zamki.

— Tęgie gospodarstwo i tęgie zamki! — mruknął posępnie Maćko.

— Pewnie, że tęgie. Na kościele są arabskie ozdobności, o których powiadali Krzyżacy, że się takiego murowania od Saracenów w Sycylji nauczyli, a w zamkach komnaty ci osobliwe, na słupcach w pojedyńkę, alibo gromadami stojących. Obaczycie sami wielki refektarz. Utwierdzenie też wszędy okrutne, jakiego nigdzie nie masz. Takich murów i kula kamienna, chociażby największa, nie ugryzie. Wiera, iż miło patrzeć...

Zyndram mówił to tak wesoło, że Maćko spojrzał na niego zdziwiony i zapytał:

— A bogactwo ich, a porządki, a wojsko i gości — widzieliście?

— Wszystko nam pokazowali, niby z gościnności, a w rzeczy dlatego, aby serce w nas upadło.

— No i cóż?

— A no, da Bóg, że jak przyjdzie wojna, wyżeniem ich het, za góry i morza, — tam skąd przyszli.

A Maćko, przepomniawszy w tej chwili o chorobie, aż zerwał się na równe nogi ze zdziwienia.

— Jak to, panie? — rzekł. — Mówią, że rozum macie bystry... Bo mnie, aż zemdliło, gdym się ich potęgi napatrzył.... Dla Boga! z czegoż to miarkujecie?

Tu zwrócił się do bratanka:

— Zbyszku, każ zaś to wino, które nam przysłali, postawić. Siadajcie, wasze moście, i mówcie, bo lepszej dryjakwi żaden medyk na moje choróbsko nie wymyśli.

Zbyszko zaciekawion też bardzo, sam postawił dzbaniec z winem, a przy nim kubki, poczem siedli naokół stołu i pan z Maszkowic tak mówić począł:

— Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręka ludzka zburzyć zdoła. Wiecie co trzyma w kupie cegły? — wapno! A wiecie co ludzi? — miłość.

— Rany Boskie! miód wam, panie, z gęby płynie — zawołał Maćko.

A Zyndram uradował się w sercu tą pochwałą i tak dalej rzecz prowadził:

— Z tutejszych ludzi — ten ci ma u nas w pętach brata, ten syna, ten krewniaka, inny zięcia, alibo kogo. Komturowie graniczni każą.

im na rozbój do nas chodzić — więc niejeden polegnie i niejednego nasi ułapią. Ale że tu już się zwiedzieli ludzie o ugodzie między królem a Mistrzem — przychodzili tedy do nas od samego rana podawać nazwiska jeńców, które nasz pisarz spisywał. Był naprzód bednarz tutejszy, możny mieszczanin, Niemiec, mający dom w Malborku, który w końcu rzekł: „Bym mógł waszemu królowi i królestwu w czem się przysłużyć, nietylkobym majętność, ale i głowę oddał.” Odprawiłem go, myśląc, że Judasz. Ale potem przychodzi ksiądz świecki z pod Oliwy, prosi o brata i tak powiada: „Prawda li to, panie, że na naszych pruskich panów wojną nastąpicie? bo wiedzcie, że tu już cały naród, gdy mówi: „Przyjdź królestwo Twoje”, to o waszym królu myśli. Było potem o synów dwóch szlachty, co na lennych ziemiach wedle Sztumu siedzą; byli kupcy z Gdańska, byli rzemieślnicy, był, który dzwony w Kwidzyniu leje, była różnych ludzi kupa — i wszyscy gadali to samo.

Tu przerwał pan z Maszkowic, wstał, obaczył, czy za drzwiami nikt nie podsłuchuje, i wróciwszy kończył przyciszonym nieco głosem:

— Długom ja o wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża, i szlachta, i mieszczanie, i kmiecie. I nienawidzi ich nietylko ten naród, któren naszą, albo pruską mową mówi, ale nawet i Niemcy. Kto musi służyć, służy — ale zaraza każdemu milsza, niż Krzyżak. Ot co jest...

— Ba, ale co się to ma do krzyżackiej mocy — rzekł niespokojnie Maćko.

A Zyndram pogładził dłonią swoje potężne czoło, pomyślał chwilę, jakby szukał porównania, a wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

— Potykaliście się kiedy w szrankach?

— Juzci i nieraz — odrzekł Maćko.

— To jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszem starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, któren ma poderznięty popręg u siodła i strzemiona.

— Jako żywo!

— No, to widzicie: Zakon to taki rycerz.

— Prze Bóg! — zawołał Zbyszko. — Pewnie i w książce nic lepszego nie wyczytasz!

A Maćko aż wzruszył się i rzekł nieco drżącym głosem:

— Bóg wam zapłać. Na waszą głowę, panie, chyba umyślnie płatnerz musi hełm robić, bo gotowego na nią nigdzie nie masz.

66.

Obiecywali sobie Maćko i Zbyszko wyjechać zaraz z Malborga, ale tego dnia, w którym tak bardzo pokrzepił ich duże Zyndram z Maszkowa, nie wyjechali, gdyż był na Wysokim zamku obiad, a potem wieczerza na cześć posłów i gości, na którą Zbyszko był zaproszon jako królewski rycerz, a dla Zbyszka i Maćko. Obiad odbywał się w mniejszem gronie, we wspaniałym Wielkim Refektarzu, który oświecało

dziesięć okien, a którego palczaste sklepienie wspierało się, rzadko widzianym kunsztem budowniczym, tylko na jednym słupie. Prócz królewskich rycerzy, zasiadł do stołu z obcych tylko jeden graf szwabski i jeden burgundzki, który lubo bogatych władców poddany, przyjechał w ich imieniu pożyczyć pieniędzy od Zakonu. Z miejscowych, obok Mistrza, wzięło udział w obiedzie czterech dostojników, zwanych filarami zakonu, to jest Wielki komtur, jałmużnik, szatny i podskarbi. Piąty filar, to jest marszałek, był w tym czasie na wyprawie przeciw Witoldowi.

Jakkolwiek Zakon ślubował ubóstwo, jedzono na złocie i srebrze, a popijano małmazją, albowiem Mistrz chciał olśnić oczy posłów polskich. Lecz pomimo mnóstwa potraw i obfitego poczęstunku przykrzyła się nieco gościom ta uczta, z powodu trudności rozmowy i powagi, jaką wszyscy musieli zachowywać. Natomiast wieczerza w olbrzymim Refektarzu zakonnym (Convents Remter) wiele była weselsza, albowiem zgromadził się na nią cały konwent i wszyscy ci goście, którzy nie zdążyli jeszcze pociągnąć przeciw Witoldowi z wojskiem marszałka. Wesołości tej nie zmącił żaden spór, ni żadna kłótnia. Wprawdzie rycerze zagraniczni, przewidując, że przyjdzie im się kiedyś spotkać z Polakami, patrzali na nich niechętnem okiem, ale Krzyżacy z góry zapowiedzieli im, że muszą się zachować spokojnie i prosili ich o to bardzo usilnie, bojąc się w osobach posłów obrazić króla i całe królestwo. Ale nawet i w tym wypadku okazała się nieżyczliwość Zakonu, przestrzegali bowiem gości przed zapalczywością Polaków: „że za każde ostrzejsze słowo wraz brodę ci wyszarpie, albo cię nożem pchnie.” Więc goście zadziwieni byli potem dobrodusznością i Powały z Taczewa i Zyndrama z Maszkowic, a bystrzejsi pomiarkowali, że nie obyczaje polskie są grube, lecz języki krzyżackie złośliwe i jadowite.

Niektórzy, przywykli do wykwintnych zabaw na polerownych dworach zachodnich, nieszczególne nawet wynieśli pojęcie o obyczajach samychże Krzyżaków, gdyż była na tej uczcie wrzaskliwa nad miarę kapela, grubijańskie pieśni „szpylmanów”, grube żarty trefnisiów, pląsy niedźwiedzie i pląsy bosych dziewek. A gdy dziwiono się obecności niewiast na Wysokim zamku, wydało się, że zakaz łamano już oddawna i że sam wielki Winrych Kniprode tańcował tu swego czasu z piękną Marją von Alfleben. Bracia tłómaczyli, że na Zamku niewiasty nie mogą tylko mieszkać, ale mogą przychodzić do refektarza na uczty i że zeszłego roku księżna Witoldowa, która mieszkała w urządzonej po królewsku starej Puszkarni na Przedzamczu, przychodziła jednak tu codziennie grywać w złote arcaby, które jej każdego wieczora darowywano.

Grano i tego wieczora nietylko w arcaby i w szachy, lecz i w kości; więcej tego nawet było niż rozmowy, którą głuszyły pieśni i owa zbyt wrzaskliwa kapela. Jednakże, wśród powszechnego gwaru, zdarzały się chwile ciszy i raz, korzystając z takiej chwili, Zyndram z Maszkowic, niby to nie wiedząc o niczem, zapytał Wielkiego Mistrza, czyli poddani we wszystkich ziemiach bardzo miłują Zakon.

Na co Konrad von Jungingen rzekł:

— Kto miłuje Krzyż, ten i Zakon powinien miłować.

Odpowiedź ta podobała się i zakonnikom, i gościom, więc poczęli go za nią chwalić, ów zaś, ucieszywszy się, tak mówił dalej:

— Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze, a kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby.

— Jakież to? — pytał polski rycerz.

— Wasza cześć może nie wiesz, że ja tu z moich komnat schodzę do tego refektarza małymi schodami w murze, a przy tych schodach jest pewna sklepiona izba, do której gdybym Waszą cześć zaprowadził, poznałbyś pierwszy sposób.

— Jako żywo! — zawołali bracia.

A pan z Maszkowic domyślił się, że Mistrz mówi o owej „wieży” pełnej złota, którą się chlubili Krzyżacy, więc zastanowił się nieco i odpowiedział:

— Niegdyś — hej! okrutnie dawno, pokazał pewien cesarz niemiecki naszemu posłowi, który zwał się Skarbek, taką komorę i rzekł: „Mam ja twojego pana czem pobić!” A Skarbek dorzucił ci mu pierścień kosztowny i powiada: „Idź złoto do złota, my Polacy bardziej w żelezie się kochamy...” I wiecie Wasze czeście co potem było? — potem było Hundsfeld...

— Co to takiego Hundsfeld? — zapytało kilkunastu naraz rycerzy.

— To — odpowiedział spokojnie Zyndram — takie pole, na którem nikt nie mógł nadążyć grześć Niemców i grzebli ich w końcu psi.

Więc stropili się bardzo i rycerze i bracia zakonni, usłyszawszy taką odpowiedź i nie wiedzieli, co mają mówić, a Zyndram z Maszkowa rzekł, jakby na zakończenie:

— Złotem przecież żelazu nie wskórasz.

— Ba! zawołał Mistrz — wżdy to nasz drugi sposób — żelazo. Widziałeś Wasza cześć na Przedzamczu płatnerskie majsternie. Kują tam młoty noc i dzień i takich pancerzy, równie jak mieczów, na świecie niemasz.

Lecz na to znów Powała z Taczewa wyciągnął rękę ku środkowi stołu, wziął długi na łokieć i szeroki więcej niż na pół piędzi tasak, służący do rąbania mięsa, zwinął go lekko w trąbkę jak pergamin, podniósł w górę, tak, aby wszyscy mogli go widzieć, a potem podał Mistrzowi.

— Jeśli takie i w mieczach żelazo — rzekł — to niewiela nimi dokażecie.

I uśmiechnął się, rad z siebie, a duchowni i świeccy aż popodnosili się ze swych miejsc i hurmem zbiegli do Wielkiego Mistrza, poczem jeden drugiemu podawał zwinięty w trąbkę tasak, ale milczeli wszyscy, mając na widok takiej mocy struchlałe w piersiach serca.

— Na głowę św. Liborjusza! — zawołał w końcu Mistrz — żelazne, panie, macie ręce.

A graf burgundzki dodał:

— I z lepszego, niż to, żelaza. Takci zwinął ten tasak, jakby był z wosku.

— Nawet się nie spłonił i żyły mu nie nabrały! — zawołał jeden z braci.

— Bo — odpowiedział Powała — prosty jest nasz naród, nie znający takich dostatków i wygód, jakie tu widzę, ale czerstwy.

A tu zbliżyli się ku niemu rycerze włoscy i francuscy i poczęli odzywać się do niego swym dźwiękliwym językiem, o którym stary Maćko mówił, że jest taki, jakby kto cynowe misy potrząsał. Podziwiali tedy jego siłę, on zaś trącał się z niemi kielichem i odpowiadał:

— Często u nas przy biesiadach takie rzeczy czynią, a zdarzy się, że mniejszy tasak to ci i poniektóra dziewka zwinie.

Ale Niemcom, którzy lubili się chełpić między obcymi wzrostem i mocą, wstyd było — i brała ich złość, więc stary Helfenstein jął wołać przez cały stół:

— Hańba to dla nas! Bracie Arnoldzie von Baden, pokaż, że i nasze kości nie ze świec kościelnych uczynione! Dajcie mu tasak.

Służba przyniosła wnet tasak i położyła go przed Arnoldem, ale on, czy to, że zmieszał go widok tylu świadków, czy że siłę w palcach miał istotnie mniejszą od Powały, zgiął wprawdzie tasak przez połowę, ale nie zdołał go skręcić.

Więc niejeden z gości zagranicznych, któremu nieraz poprzednio szeptali Krzyżacy, jako w zimie nastąpi wojna z królem Jagiełłą, zamyślił się mocno i przypomniał sobie w tej chwili, że zima w tym kraju okrutnie bywa ciężka i że lepiejby może wrócić, póki czas pod łagodniejsze niebo, do rodzinnego zamku.

A było w tem to dziwnego, że podobne myśli poczęły im przychodzić do głowy w lipcu, czasu pięknej pogody i upałów.

67.

W Płocku Zbyszko i Maćko nie zastali nikogo z dworu albowiem oboje księstwo razem z ośmiorgiem dzieci pojechali w odwiedziny do Czerska, dokąd ich zaprosiła księżna Anna Danuta. O Jagience dowiedzieli się od biskupa że miała zostać w Spychowie przy Jurandzie, aż do jego śmierci. Wiadomości te były im na rękę, bo i sami chcieli jechać do Spychowa. Maćko wysławiał przytem bardzo poczciwość Jagienki, że wolała udać się do umierającego człowieka, który nie był nawet jej krewny, niż na zabawy czerskie, na których pląsów i wszelakiej ochoty nie mogło zbraknąć.

— Może uczyniła to i dlatego, aby się z nami nie zminąć — mówił stary rycerz. — Nie widziałem już jej dawno i rad ją obaczę, gdyż wiem, że i ona dla mnie życzliwa. Musiała mi dziewka wyrosnąć — i pewno jeszcze gładsza, niż była...

A Zbyszko rzekł:

— Odmieniła się okrutnie. Gładka była zawsze, ale pamiętałem ją prostą dziewką, a teraz to jej... choćby na pokoje królewskie.

— Tak-że ci się odmieniła? Ba! ale to i stary ród tych Jastrzębców ze Zgorzelic, którzy się „Na gody!” czasu wojen wołają.

Nastała chwila milczenia, poczem znów ozwał się stary rycerz:

— Pewnie tak będzie, jakom ci mówił, że jej się zechce do Zgorzelic.

— Mnie i to dziwno było, że z nich wyjeżdżała.

— Bo chorego opata chciała doglądać, któren należytego starunku nie miał. Bała się przytem Cztana i Wilka, a ja sam jej rzekłem, że przezpieczniej będzie braciom bez niej, niżeli przy niej.

— Wiera, że nijak im było sieroty najeżdżać.

A Maćko zamyślił się.

— Ale czy się tam na mnie nie pomścili za to, żem ją wywiózł i czy z Bogdańca choć jedno drewno zostało, Bóg raczy wiedzieć! Nie wiem też, czy wróciwszy podołam im się obronić. Chłopy młode i krzepkie, a ja stary.

— Ej, to, to już chyba mówcie temu, kto was nie zna — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż Maćko nie mówił tego zupełnie szczerze, chodziło mu bowiem o co innego, ale na razie machnął tylko ręką:

— Żebym nie był chorzał w Malborku, no, to jeszcze! — rzekł. — Ale o tem w Spychowie pogadamy.

I nazajutrz po noclegu w Płocku ruszyli do Spychowa.

Dni były jasne, droga sucha, łatwa, a przytem bezpieczna, gdyż z powodu ostatnich układów, wstrzymali Krzyżacy rozboje na granicy. Zresztą dwaj rycerze należeli do takich podróżnych, którym i dla zbója lepiej się zdala pokłonić, niż zblizka ich zaczepić, więc podróż szła wartko i piątego dnia po wyjeździe z Płocka stanęli rankiem bez trudu w Spychowie. Jagienka, która była przywiązana do Maćka, jak do najlepszego w świecie przyjaciela, witała go niemal tak, jakby witała ojca, a on, choć nie byle co mogło go poruszyć, rozrzewnił się jednak tą życzliwością kochanej dziewczyny — i gdy w chwilę później, Zbyszko, wypytawszy się o Juranda, poszedł do niego i do swojej „truchełki” — odetchnął stary rycerz głęboko i rzekł:

— A no! kogo Bóg chciał wziąć, to wziął a kogo chciał ostawić, to ostawił, ale tak myślę, że przecież skończone te nasze mitręgi i te nasze wędrowania po różnych mierzejach i wertepach.

Po chwili zaś dodał:

— Hej! gdzie to nas Pan Jezus przez te ostatnie lata nie nosił!

— Ale was ręka Boska piastowała — odrzekła Jagienka.

— Prawda, że piastowała, wszelako, szczerze rzekłszy, czas już do dom.

— Trzeba nam tu zostać, póki Jurand żywie — rzekła dziewczyna.

— A jako-że z nim?

— Patrzy do góry i śmieje się: widać już raj ogląda, a w nim Danuśkę.

— Pilnujesz go?

— Pilnuję, ale ksiądz Kaleb powiada, że i anieli go pilnują. Wczoraj gospodyni tutejsza dwóch widziała.

— Powiadają — rzekł na to Maćko — że szlachcicowi najprzystojniej w polu umierać, ale tak, jak Jurand kona, to i na łożu dobrze.

— Nie je nic, nie pije, jeno się ciągiem śmieje — rzekła Jagienka.

— Pójdźmy do niego. Zbyszko też tam musi być.

Ale Zbyszko krótko zabawił przy Jurandzie, który nikogo nie poznawał — i poszedł następnie do Danusinej trumny, do podziemia. Tam zabawił dopóty, dopóki stary Tolima nie przyszedł szukać go na posiłek. Wychodząc, zauważył przy blasku pochodni, że na trumnie pełno było wianuszków z chabru i z nagietków, a naokół wymieciona czysto polepa przytrząśnięta była tatarakiem, kaczeńcem i kwiatem lipowym, który roznosił woń miodową. Więc wezbrało w młodzianku na ten widok serce i zapytał:

— Któż to tak zdobi tę truchełkę?

— Panna ze Zgorzelic — odpowiedział Tolima.

Młody rycerz nie rzekł na to nic, ale w chwilę później, ujrzawszy Jagienkę, pochylił się nagle do jej kolan i objąwszy je, zawołał:

— Bóg-że ci zapłać za twoją poczciwość i za ono kwiecie dla Danuśki.

I to rzekłszy, rozpłakał się rzewnie, a ona objęła mu rękoma głowę jak siostra, która pragnie kwilącego brata utulić i rzekła:

— Oj, mój Zbyszku, radabym ja cię bardziej pocieszyć!

Poczem łzy obfite puściły się i jej z oczu.

68.

Jurand umarł w kilka dni później. Przez cały tydzień odprawiał ksiądz Kaleb nabożeństwa nad jego ciałem, które nie psuło się wcale — w czem wszyscy cud boży widzieli — i przez cały tydzień roiło się od gości w Spychowie. Potem przyszedł czas cichy, jaki zwykle bywa po pogrzebach. Zbyszko chadzał do podziemia, a czasem też z kuszą do boru, z której zresztą nie strzelał do zwierza, jeno chodził w zapamiętaniu, aż wreszcie pewnego wieczora przyszedł do izby, w której dziewczyny siedziały z Maćkiem i Hlawą — i niespodzianie rzekł:

— Posłuchajcie co powiem! Nie płuży smutek nikomu, a przez to lepiej wam do Bogdańca i do Zgorzelic wracać, niżeli tu w smutku siedzieć.

Nastało milczenie, wszyscy bowiem odgadli, że to będzie wielkiej wagi rozmowa — i dopiero po chwili ozwał się Maćko:

— Lepiej nam, ale i tobie lepiej.

Lecz Zbyszko potrząsnął swymi jasnymi włosami.

— Nie! — rzekł — wrócę, da Bóg i ja do Bogdańca, ale teraz w inną mi trzeba drogę.

— Hej! — zawołał Maćko — mówiłem, że koniec, a tu nie koniec! Bójże ty się Boga, Zbyszku!

— Przecie wiecie, iżem ślubował.

— To to jest przyczyna? Nie masz Danuśki, nie masz i ślubowania. Śmierć cię od przysięgi zwolniła.

— Mojaby mnie zwolniła, ale nie jej. Na rycerską cześć ja Bogu przysięgał. Jakoże chcecie? Na rycerską cześć!

Każde słowo o rycerskiej czci wywierało na Maćku jakby czarodziejski wpływ. W życiu, prócz przykazań boskich i kościelnych, niewielu się innymi kierował, ale natomiast temi kilkoma kierował się niezachwianie.

— Ja ci nie mówię, żebyś przysięgi nie dotrzymał — rzekł.

— Jeno co?

— Jeno to, żeś młody i że na wszystko masz czas. Jedź z nami; wypoczniesz — z żalu i boleści się otrząchniesz — a potem ruszysz, dokąd zechcesz.

— To już wam tak szczerze, jak na spowiedzi powiem — odrzekł Zbyszko — jeżdżę, widzicie, gdzie trzeba, gadam z wami, jem i piję, jak każdy człowiek, a sprawiedliwie mówię, że we wnątrzu i w duszy, rady sobie nijakiej dać nie mogę. Nic, jeno smutek we mnie, nic, jedno boleść, nic, jedno te gorzkie ślizy — same mi z oczu płyną!

— To ci właśnie między obcymi będzie najgorzej.

— Nie — mówił Zbyszko. — Bóg widzi, że do reszty bym skapiał w Bogdańcu. Kiedy wam mówię, że nie mogę, to nie mogę! Wojny mi trza, bo w polu łacniej zapomnieć. Czuję, że jak ślubu dokonam, jak onej zbawionej duszy będę mógł rzec: wszystkom ci spełnił, com przyobiecał — dopiero mnie popuści. A pierwej — nie! Nie utrzymalibyście mnie i na powrozie w Bogdańcu...

Po tych słowach stało się w izbie cicho, tak, że słychać było muchy latające pod pułapem.

— Ma-li skapieć w Bogdańcu, to niech lepiej jedzie — ozwała się wreszcie Jagienka.

Maćko założył obie ręce na kark, jak miał zwyczaj czynić w chwilach wielkiego frasunku, poczem westchnął ciężko i rzekł:

— Ej, mocny Boże!...

Jagienka zaś mówiła dalej:

— Zbyszku, ale ty przysięgnij, że jeżeli cię Bóg zachowa, to nie ostaniesz tutaj, jeno powrócisz do nas.

— Cobym nie miał wrócić! Jużci nie minę Spychowa, ale tu nie ostanę.

— Bo — ciągnęła dalej cichszym nieco głosem dziewczyna — jeśli ci o tę truchełkę chodzi, to my ci ją zawieziem do Krześni...

— Jaguś! — zawołał z wybuchem Zbyszko.

I w pierwszej chwili uniesienia i wdzięczności padł jej do nóg.

69.

Stary rycerz pragnął koniecznie towarzyszyć Zbyszkowi do wojsk księcia Witoldowych, ale ów nie dał sobie nawet o tem mówić. Uparł się jechać sam, bez pocztu, bez wozów, z trzema tylko konnymi pachołkami, z których jeden miał wieźć spyżę, drugi zbroję i ubiory, trzeci niedźwiedzie skóry do spania. Próżno Jagienka i Maćko błagali go, by wziął z sobą chociaż Hlawę, jako giermka wypróbowanej siły i wierności. Uparł się i nie chciał, mówiąc, że trzeba mu o tej boleści, która go toczy, zapomnieć, a obecność giermka przypominałaby mu właśnie wszystko, co było i przeszło.

Ale jeszcze przed jego wyjazdem toczyły się ważne narady nad tem, co uczynić ze Spychowem. Maćko radził tę majętność sprzedać. Mówił, iż to jest ziemia nieszczęsna, która nikomu nie przyniosła nic prócz klęsk i niedoli. W Spychowie dużo było wszelakiego bogactwa, począwszy od pieniędzy aż do zbroi, koni, szat, kożuchów, drogich skór, kosztownych sprzętów i stad, więc Maćkowi chodziło w duszy o to, aby owem bogactwem wspomódz Bogdaniec, który milszy był mu od wszystkich innych ziem. Radzili tedy nad tem długo, ale Zbyszko żadną miarą nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

— Jakoże mi — mówił — Jurandowe kości przedawać? Tak ci to mu się mam wypłacić za one dobrodziejstwa, któremi mię obsypał?

— Obiecaliśmy ci wziąć Danusiną truchłeczkę — odrzekł Maćko — możemy i Juranda ciało zabrać.

— Ba, on tu z ojcami, a bez ojców będzie mu się cniło w Krześni. Weźmiecie Danuśkę, to on tu ostanie zdala od dziecka, weźmiecie i jego, to tu ojce sami ostaną.

— Bo ty nie baczysz, że Jurand w raju wszystkich codzień ogląda, a ojciec Kaleb powiada, że on w raju — odpowiedział stary rycerz.

Ale ksiądz Kaleb, który był po stronie Zbyszka, rzekł:

— Dusza w raju, ale ciało na ziemi, aż do dnia sądu.

Maćko zaś zastanowił się nieco i idąc dalej za własną myślą, dodał:

— Juzci: takiego chyba Jurand nie widzi, któren nie został zbawion, na to wszelako niema rady.

— Co tu wyroków Boskich dochodzić! — odrzekł Zbyszko. — Ale i tego nie daj Bóg, aby obcy człowiek nad tymi świętymi prochami mieszkał. Lepiej tu wszystkich ostawię, a Spychowa nie przedam, choćby mi za niego księstwo dawali.

Po tych słowach wiedział już Maćko, że niema rady, bo znał uporczywość bratanka i wielbił ją w głębi duszy, na równi ze wszystkiem, co tylko w młodzianku było.

Więc po chwili rzekł:

— Prawda jest, że pod włos mi chłop mówi, ale w tem co mówi, to praw.

I zafrasował się, bo jednakże nie wiedział co czynić.

Ale Jagienka, która milczała dotychczas, wystąpiła z nową radą:

— Żeby tak znaleźć poczciwego człeka, coby tu rządził, alibo dzierżawą Spychów wziął, toby była wyborna rzecz. Najsłuszniej, by wydzierżawić, bo nijakich nie mielibyście kłopotów, jeno gotowy grosz. Możeby Tolima?... Stary on jest i więcej się na wojnie niż na gospodarstwie rozumie, ale jeśli nie on, to może ojciec Kaleb?...

— Miła panno! — odpowiedział na to ksiądz Kaleb — obu nam z Tolimą ziemia się patrzy, ale ta, która nas pokryje, nie ta, po której chodzim.

I to rzekłszy, zwrócił się do Tolimy:

— Prawda, stary?

Więc Tolima ogarnął dłonią śpiczaste ucho i zapytał: o co chodzi? — a gdy mu powtórzono głośniej, rzekł:

— Święta to prawda. Nie do gospodarstwa ja! Topór głębiej orze od pługa... Pana i dziecko tobym rad jeszcze pomścił...

I wyciągnął chude, lecz żylaste dłonie z zakrzywionymi nakształt szponów drapieżnego ptaka palcami, poczem zwracając swą siwą, podobną do wilczej głowę w stronę Maćka i Zbyszka, dodał:

— Na Niemców Wasze Moście mnie weźcie — to moja służba!

I miał słuszność. Przysporzył on niemało bogactwa Jurandowi, ale tylko drogą wojny i łupu — nie gospodarstwem.

Więc Jagienka, która przez czas tej rozmowy namyślała się, co ma powiedzieć, rzekła znów:

— Tuby się patrzył człek młody, a nie bojący, bo zaś ściana krzyżacka obok; taki, powiadam, coby się przed Niemcami nietylko nie chował, ale jeszcze ich szukał, więc tak myślę, że nie przymierzając, Hlawa — w sam razby się do tego nadawał...

— Obaczcie, jak to uradza! — rzekł Maćko, któremu, pomimo całej miłości do Jagienki, nie chciało się w głowie pomieścić, by w takiej sprawie zabierała głos niewiasta, a do tego dziewka przetowłosa.

Ale Czech podniósł się z ławy, na której siedział i rzekł:

— Bóg na mnie patrzy, że radbym z panem Zbyszkiem na wojnę iść, bośmy już razem trochę Niemców wyłuskali — i jeszczeby się zdarzyło... Ale jeśli mam zostawać, tobym tu został... Tolima mi przyjaciel i on mnie zna... Ściana krzyżacka obok, to i co? To właśnie! A obaczym, komu się somsiedztwo wpierw uprzykrzy! Miałbym się ja ich bać, to niech oni się mnie boją. Nie daj też, Panie Jezu, abym ja Waszym Mościom krzywdę w gospodarstwie czynił i k'sobie wszystko garnął. W tem panienka za mną poświadczy, bo wie, iżebym wolał zczeznąć sto razy, niźli jej nierzetelne oczy pokazać... Na gospodarstwie tyle się znam, ilem się w Zgorzelicach napatrzył, ale tak miarkuję, że więcej tu trzeba toporem i mieczem, niż pługiem gospodarzyć. I to wszystko wielce mi jest po myśli, jeno że, przecie, tak... niby tu zostać...

— To i co? — zapytał Zbyszko. — Czego się ociągasz?

A Hlawa zmieszał się wielce i tak dalej, zająkając się, mówił:

— Niby, że jak panienka odjedzie, to z nią i wszyscy odjadą. Wojować — dobrze i gospodarzyć też, ale tak samemu... bez nijakiej po-

mocy... Okrutnieby mi się tu cniło bez panienki i bez... tego, jako właśnie chciałem rzec... i jako że panienka nie sama jeździła po świecie... to jakby mi tu nikt nie pomógł... to nie wiem!...

— O czem ten chłop gada? — spytał Maćko.

— Rozum macie bystry, a niceście nie pomiarkowali — odrzekła Jagienka.

— Bo co?

A ona, zamiast odpowiedzi, zwróciła się do giermka:

— A jakby tak Anula Sieciechówna z tobą ostała — wytrzymałbyś?

Na to Czech grzmotnął się do jej nóg, aż kurz powstał z polepy.

— I w pieklebym z nią wytrzymał! — zawołał, obejmując jej stopy.

Zbyszko, usłyszawszy ten okrzyk, patrzał ze zdumieniem na giermka, gdyż poprzednio o niczem nie wiedział i niczego się nie domyślał, a Maćko dziwił się także temu w duszy, ile to niewiasta znaczy we wszystkich ludzkich sprawach i jak przez nią każda rzecz może się udać, albo też zgoła chybić.

— Bóg łaskaw — mruknął — że ja już do nich nie ciekaw.

Jednakże Jagienka, zwróciwszy się znów do Hlawy, rzekła:

— To teraz trzeba nam jeno wiedzieć, czy i Anula z tobą wytrzyma.

I zawołała Sieciechównę, a ta weszła, wiedząc lub domyślając się widocznie o co chodzi, gdyż weszła z zasłonionemi ramieniem oczyma i z głową spuszczoną tak, że widać było tylko rozbiór jej jasnych włosów, które rozjaśniał jeszcze bardziej padający na nie promień słońca. Naprzód zatrzymała się przy odrzwiach, potem, skoczywszy ku Jagience, padła przed nią na kolana i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

A Czech klęknął koło niej i rzekł do Jagienki:

— Pobłogosławcie nas, panienko.

70.

Nazajutrz nadeszła chwila odjazdu Zbyszka. On sam siedział wysoko na rosłym koniu bojowym, a swoi otaczali go dokoła. Jagienka, stojąca wedle strzemienia, wzniosła ku młodziankowi w milczeniu swe smutne niebieskie oczy, jakby chcąc przed rozstaniem napatrzeć się na niego dowoli. Maćko razem z księdzem Kalebem przy drugiem strzemieniu, a tuż obok giermek z Sieciechówną. On zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zamieniając z nimi takie krótkie słowa, jakie zwykle wypowiada się przed długą podróżą: „Ostańcie zdrowi!” — „Niech cię Bóg prowadzi!” — „Czas już!” — „Hej! czas! czas!” Poprzednio już był pożegnał się ze wszystkimi i z Jagienką, którą pod nogi podjął, dziękując jej za życzliwość. A teraz, gdy spoglądał na nią z wysokiego rycerskiego siodła, miał ochotę powiedzieć jej jeszcze jakie dobre sło-

wo, gdyż jej wzniesione oczy i twarz mówiły mu tak wyraźnie: „Wróć!” — że serce wzbierało mu rzetelną wdzięcznością.

I jak gdyby odpowiadając na tę jej niemą wymowę, rzekł:

— Jaguś, ku tobie, jako ku siostrze rodzonej... Wiesz!... Nic więcej nie rzekę!

— Wiem. Bóg ci zapłać.

— I o stryjcu pamiętaj.

— I ty pamiętaj.

— Juzci wrócę, jeśli nie zginę.

— Nie giń.

Raz już, w Płocku, gdy wspomniał o wyprawie, powiedziała mu tak samo: „Nie giń”, ale teraz słowa te wyszły z jeszcze większej głębi jej duszy i może dla ukrycia łez pochyliła się przytem tak, że czoło jej dotknęło na chwilę kolana Zbyszka.

A tymczasem pachołkowie konni przy bramie, trzymający juczne konie, gotowi już do drogi, poczęli śpiewać:

„Nie zginie pierścień, złocisty pierścień
Nie zginie.
Kruk go odniesie, z pola odniesie
Dziewczynie.

— W drogę — zawołał Zbyszko.

— W drogę.

— Boże cię prowadź! Matko Najświętsza!...

Zatętniły kopyta na drewnianym zwodzonym moście, jeden z koni zarżał przeciągle, inne poczęły parskać rozgłośnie i orszak ruszył.

Ale Jagienka, Maćko, ksiądz, Tolima, oraz Czech ze swą niewiastą i ci słudzy, którzy zostawali w Spychowie, wyszli na most i patrzyli na odjeżdżających. Ksiądz Kaleb żegnał ich krzyżem czas długi, aż gdy wreszcie znikli za wysokimi krzami olszyny, rzekł:

— Pod tym znakiem nie dosięgnie ich zła przygoda.

A Maćko dodał:

— Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.

* * *

Lecz i oni nie zostali już długo w Spychowie. Po dwóch tygodniach załatwił stary rycerz sprawy z Czechem, który osiadł dzierżawą na majętności, sam zaś na czele długiego szeregu wozów, otoczonych zbrojną czeladzią, ruszył z Jagienką w stronę Bogdańca. Niezupełnie radzi patrzyli na owe wozy ksiądz Kaleb i stary Tolima, bo prawdę rzekłszy, Maćko złupił trochę Spychów — ale ponieważ Zbyszko całkiem zdał na niego rządy — nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Zresztą, byłby zabrał jeszcze więcej, gdyby go nie hamowała Jagienka, z którą sprzeczał się wprawdzie, wydziwiając na „babskie rozumy” — ale której słuchał jednak prawie we wszystkiem.

Trumny Danusinej nie wieźli jednak, gdyż, skoro Spychów nie został sprzedany, Zbyszko wolał, aby została z ojcami. Wieźli natomiast

moc pieniędzy i różnych bogactw, w znacznej części złupionych swego czasu na Niemcach w rozlicznych bitwach, które stoczył z nimi Jurand. To też Maćko, spoglądając teraz na ładowne, pokryte rogożami wozy, radował się w duszy na myśl, jak wspomoże i urządzi Bogdaniec. Zatruwała mu jednak tę radość obawa, że Zbyszko może poledz, ale znając sprawność rycerską młodzianka, nie tracił jednak nadziei, że wróci szczęśliwie i z rozkoszą o tej chwili rozmyślał.

— Może to Bóg tak chciał — mówił sobie — żeby wpierw dostał Zbyszko Spychów, a potem Moczydoły i wszystko, co po opacie zostało? Niech jeno wróci szczęśliwie, to mu kasztel godny w Bogdańcu wystawię; a wtedy obaczym!...

Tu przypomniało mu się, że Cztan z Rogowa i Wilk z Brzozowej pewnie niezbyt mile go przyjmą i że może trzeba się będzie z nimi potykać, ale o to nie dbał, równie jak stary koń bojowy nie dba, gdy mu do bitwy iść przyjdzie. Zdrowie mu wróciło, czuł siłę w kościach i wiedział, że tym zabijakom, groźnym wprawdzie, ale nie mającym nijakiego ćwiczenia rycerskiego, łatwo da rady. Wprawdzie co innego mówił przed niedawnym czasem Zbyszkowi — mówił to jednak tylko dlatego, by go do powrotu skłonić.

— Hej! szczuka ja, a oni kiełbie — myślał — niech mi lepiej od głowy nie zachodzą!

Natomiast zaniepokoiło go co innego: Zbyszko Bóg wie kiedy o to wróci, a przytem Jagienkę uważa całkiem tylko za siostrę. Nuż dziewka patrzy na niego też jak na brata i nuż nie zechce czekać na jego niepewny powrót?

Więc zwrócił się do niej i rzekł:

— Słuchaj, Jagna: nie mówię ja o Cztanie i Wilku, bo to grube chłopiska i nie dla ciebie. Tyś teraz dwórka!... Ale wedle tego, że to roki ci są!... Już nieboszczyk Zych powiadał, że czujesz Bożą wolę, a to temu kilka lat... Bo ja tam wiem! Mówią, że jak dziewce zaciasno we wianuszku, to ci sama gotowa szukać takiego, coby jej go z głowy zdjął... Ma się rozumieć, że ni Cztan, ni Wilk... Ale jakoże miarkujesz?

— O co wy się pytacie?

— Nie wydasz-li ty się za kogobądź?

— Ja?... Ja mniszką ostanę.

— Nie powiadaj byle czego! A jak Zbyszko wróci?

Ale ona potrząsnęła głową:

— Mniszką ostanę.

— No, a jakby cię pokochał? jakby cię prosił okrutnie?

Na to dziewczyna odwróciła zarumienioną twarz do pola, ale wiatr, który właśnie od pola wiał, przyniósł Maćkowi cichą odpowiedź:

— To nie ostanę.

71.

Zabawili czas jakiś w Płocku, aby się z dziedzictwem i z testamentem opatowym uładzić, a potem zaopatrzeni w należyte dokumenta, ruszyli dalej, niewiele wypoczywając w drodze, która była łatwa i bezpieczna, gdyż upał osuszył błota, pozwężał rzeki, a gościńce szły krajem spokojnym zamieszkanym przez lud swojacki i gościnny. Z Sieradza pchnął jednak ostrożny Maćko pachołka do Zgorzelic, o przybyciu swojem i Jagienkowem oznajmić, skutkiem czego Jaśko, brat Jagienki, wyskoczył ku nim na pół drogi i na czele zbrojnych parobków odprowadził ich do domu.

Było przy tem spotkaniu niemało radości, powitań i okrzyków. Jaśko podobny był zawsze do Jagienki, jak dwie krople wody, ale już ją przerósł. Chłopak był na schwał: dziarski, wesoły, jak nieboszczyk Zych, po którym ochotę do ciągłego śpiewania odziedziczył, a żywy, jak skra. Poczuł się też już w latach, w sile i za dojrzałego męża się uważał, bo rządził swymi pachołkami, jak prawy wódz, a oni w mig każdy jego rozkaz spełniali, bojąc się widocznie jego powagi i władzy.

Dziwili się więc temu Maćko i Jagienka, a on dziwił się także z wielką uciechą urodzie i dworności siostry, której oddawna nie widział. Mówił przytem, że się już ku niej wybierał i że maluczko, a byliby go w domu nie zastali, gdyż i tak trzeba mu świat obaczyć, o ludzi się otrzeć, ćwiczenia rycerskiego nabrać i sposobność tu i owdzie znaleźć do potykania się z wędrownymi rycerzami.

— Świat i obyczaje ludzkie poznać — rzekł mu na to Maćko — dobra jest to rzecz, gdyż uczy to, jak się w każdej przygodzie znaleźć, co powiedzieć i wzmaga przyrodzony rozum. Ale co do potykania się, lepiej, że ja ci powiem, iześ na to jeszcze za młody, niż żeby ci to miał jaki obcy rycerz powiedzieć, któremby cię przytem wyśmiać nie omieszkał.

— Toby po tym śmiechu zapłakał — odrzekł na to Jaśko — a jeśli nie on, to jego żona i dzieci.

I spojrzał z okrutną zuchwałością przed siebie, jakby chciał rzec wszystkim wędrownym rycerzom na świecie: „Gotujcie się na śmierć!” Lecz stary rycerz z Bogdańca zapytał:

— A Cztan i Wilk ostawili tu was w spokoju? Bo to oni radzi na Jagienkę patrzyli.

— Ba! Wilk zabit na Śląsku. Chciał tam jednego kasztelu niemieckiego dobyć i dobył, ale że go kłodą z murów przywalili, więc po dwóch dniach ostatnią parę puścił.

— To go szkoda. Chadzał i jego ojciec na Niemców do Śląska, którzy tam nasz naród cisną — i łupy z nich brał... Najgorsze to dobywanie zamków, bo przy niem ni zbroja ni ćwiczenie rycerskie nie pomoże. Da Bóg, że tam książę Witold nie będzie zamków dobywał, jeno w polu Krzyżaków gnębił... A Cztan? co z nim słychać?

Jaśko począł się śmiać:

— Cztan się ożenił! Wziął córkę kmiecia z Wysokiego Brzegu, sławną z urody. Hej! nietylko gładka dziewka, ale i zaradna, bo

Cztanowi niejeden woli z drogi ustąpić, a ona go po włochatym pysku bije i za nozdrza ci go wodzi, jako niedźwiedzia na łańcuchu.

Rozweselił się, usłyszawszy to, stary rycerz.

— Widzisz ją, wszystkie baby jednakie! Jagienka i ty taka będziesz! Chwała Bogu, że nie było z tymi dwoma zabijakami kłopotu, bo szczerze mówiąc, aże mi to dziwno, że na Bogdańcu złości nie wywarli.

— Cztan chciał, ale Wilk, który był mądrzejszy, nie dał mu. Przyjechał do nas do Zgorzelic pytać: co się z Jagienką stało? Rzekłem, iż pojechała po opatowe dziedzictwo. A on powiada: „Czemu zaś mi Maćko o tem nie mówili?" Więc ja znów na to: „A cóż to Jagienka twoja, żeby ci się mieli opowiadać!?" On też, pomyślawszy chwilę: „Prawda, mówi, że nie moja." I jako to rozum miał bystry, zaraz widać pomiarkował, że was i nas sobie zjedna, jeśli Bogdańca będzie przed Cztanem bronił. Potykali się też na Ławicy, wedle Piasków i poszczerbili się wzajem, a potem pili na umor, jak to im się zawdy przytrafiało.

— Panie świeć nad Wilkową duszą! — rzekł Maćko.

I odetchnął głęboko, rad, że w Bogdańcu nie znajdzie innych szkód nad te, których długa jego nieobecność mogła być przyczyną.

Jakoż i nie znalazł; owszem, pomnożył się nawet dobytek w stadach, a z niewielkiego stadka świerzop były już źrebaki dwulatki, niektóre po bojowych fryzyjskich ogierach, nad zwykłą miarę rosłe i silne. Szkoda znalazła się tylko w tem, że kilku brańców uciekło, ale niewielu, bo mogli uciekać wyłącznie do Śląska, a tam niemieccy lub zniemczeni rabusie rycerze gorzej obchodzili się z jeńcami, niż szlachta polska. Stare ogromne domosko pochyliło się jednakże znacznie do upadku. Popękały polepy, skrzywiły się ściany i pułapy, a modrzewiowe belki, zrębione przed dwusta albo i więcej laty, poczęły próchnieć. We wszystkich izbach, które zamieszkiwał ongi liczny rój Gradów Bogdanieckich, zaciekało w czasie obfitych dżdżów letnich. Dach zdziurawiał i pokrył się całemi kępami zielonych i rudych mchów. Cała budowa przysiadła i wyglądała jak grzyb rozłożysty, ale zmurszały.

— Żeby był starunek, toby jeszcze trwało, bo od niedawna zaczęło się psować — mówił Maćko do starego karbowego Kondrata, który pod nieobecność panów zawiadował majętnością.

A po chwili:

— Jabym i tak do śmierci domieszkał, ale Zbyszkowi kasztel się patrzy.

— O dla Boga! Kasztel?

— He! Albo co?

Była to ulubiona myśl starego postawić Zbyszkowi i przyszłym jego dzieciakom kasztel. Wiedział, że szlachcica, który nie w zwykłym dworcu, ale za rowem i częstokołem siedzi, a przy tem czatownię ma, z której straż spogląda na okolicę, zaraz i sąsiedzi „za coś uważają" — i o urząd mu łatwiej. Dla siebie nie wiele już żądał Maćko, ale dla

Zbyszka i jego synów nie chciał na małem poprzestać, tembardziej teraz, gdy majętność wzrosła tak znacznie.

— Niechby jeszcze Jagienkę wziął — myślał — a z nią Moczydoły i opatowe dziedzictwo: niktby w okolicy nie był z nami na równi — co daj Boże!

Ale to wszystko zależało od tego, czy Zbyszko wróci — a to była rzecz niepewna i zależna od łaski Boskiej. Mówił sobie tedy Maćko, że trzeba mu być teraz z Panem Bogiem jak najlepiej i nietylko w niczem mu się nie narazić, ale czem można to go zjednać. W tej chęci, nie żałował dla kościoła w Krześni ni wosku, ni odsepów, ni zwierzyny, a pewnego wieczora, przyjechawszy do Zgorzelic, tak rzekł do Jagienki:

— Do Krakowa ci jutro jadę, do grobu Świętej naszej królowej Jadwigi.

A ona aż zerwała się z ławy ze strachu.

— Zaliście dostali jaką złą nowinę?

— Nijakiej nowiny nie było, bo i nie mogło jeszcze być. Ale ty pamiętasz, jako wtedy, gdym chorzał od tego zadziora w boku — co toście — wiesz — po bobry ze Zbyszkiem chodzili — ślubowałem, że jeśli Bóg mi wróci zdrowie, to do tego grobu pójdę. Bardzo mi wonczas wszyscy tę chęć chwalili. I pewnie! Ma tam Pan Bóg dość świętej czeladzi, ale przecie byle święty nie znaczy tam tyle, co nasza Pani, której urazić nie chcę i wskróś tej przyczyny, że mi i o Zbyszka chodzi.

— Prawda! jako żywo! — rzekła Jagienka. — Ale żeście dopiero z takiej okrutnej wędrówki wrócili...

— To i co! Wolę już wszystko naraz odbyć, a potem siedzieć spokojnie doma, aż do Zbyszkowego powrotu. Niech jeno królowa nasza wstawi się za nim do Pana Jezusa, to mu, przy dobrej zbroi i dziesięciu Niemców nie poradzi... Będę potem z lepszą nadzieją kasztel budował.

— Ale też kości macie niepożyte!

— Pewnie, żem jeszcze jary. Powiem ci też i co innego. Niech Jaśko, któren się w drogę rwie, jedzie ze mną. Jam człek doświadczony i pohamować go potrafię. A gdyby przygoda się jaka trafiła — bo to chłopaka ręce swędzą — to wiesz przecie, że i potykać mi się nie nowina, zarówno pieszo i konno — na miecze, alibo na topory...

— Wiem! Nikt go lepiej od was nie ustrzeże.

— Ale tak myślę, że nie przygodzi się potykać, bo póki królowa żyła, to pełno bywało w Krakowie obcych rycerzy, którzy jej urodę chcieli oglądać — ale teraz wolą do Malborka ciągnąć, bo tam beczki z małmazją pękatsze.

— Ba! przecie jest nowa królowa.

A Maćko skrzywił się i machnął ręką:

— Widziałem! — i nic więcej nie rzekę — rozumiesz.

Po chwili zaś dodał:

— Za trzy albo cztery niedziele będziemy z powrotem.

Jakoż tak się stało. Kazał tylko stary rycerz poprzysiądz Jaśkowi na rycerską cześć i na głowę św. Jerzego, że się w żadną dalszą drogę nie będzie napierał — i wyjechali.

W Krakowie stanęli bez przygody, bo kraj był spokojny, a od wszelkich napadów ze strony zniemczonych książątek granicznych i zbójów rycerzy niemieckich ubezpieczał go strach przed potęgą królestwa i męstwem mieszkańców. Po odprawieniu ślubów, dostali się przez Powałę z Taczewa i kniazika Jamonta na dwór królewski. Myślał Maćko, że i na dworze i po urzędach będą go skwapliwie wypytywali o Krzyżaków, jako człeka, który ich przeznał dobrze i który im się zblizka przypatrywał. Ale po rozmowie z kanclerzem i z miecznikiem krakowskim przekonał się ze zdziwieniem, że wiedzą oni o Krzyżakach nietylko nie mniej, ale więcej od niego. Wiedziano wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, co się działo i w samym Malborgu i w innych choćby najodleglejszych zamkach. Wiedziano jakie są komendy, jaka gdzie liczba żołnierza, jaka ilość dział, ile czasu trzeba na zebranie wojsk, jakie są zamiary Krzyżaków na wypadek wojny. Wiedziano nawet o każdym komturze, czy jest człowiek porywczy i zapalczywy, czy rozważny, a zapisywano wszystko tak troskliwie, jakby wojna miała jutro wybuchnąć.

Stary rycerz uradował się tem w sercu wielce, zrozumiał bowiem, że do owej wojny gotują się daleko rozważniej, rozumniej i potężniej w Krakowie, niż w Malborgu. „Pan Jezus dał nam takie albo i większe męstwo — mówił sobie Maćko — a widać większy rozum i większą zapobiegliwość”. I tak wówczas było. Dowiedział się też niebawem skąd pochodzą owe wiadomości: oto dostarczali ich sami mieszkańcy Prus, ludzie wszystkich stanów, zarówno Polacy, jak i Niemcy. Zakon potrafił taką wzbudzić przeciw sobie nienawiść, że wszyscy w Prusiech wyglądali jak zbawienia przyjścia wojsk Jagiełłowych.

Maćkowi przypomniało się wówczas, co swego czasu mówił w Malborgu Zyndram z Maszkowic — i jął powtarzać sobie w duchu:

— Ten ci ma głowę! czysty ceber!

I rozpamiętywał każde jego słowo, a raz zapożyczył nawet od niego mądrości, bo gdy trafiło się, że młody Jaśko począł wypytywać o Krzyżaków, rzekł:

— Mocni oni, juchy, są, ale jakoże myślisz? zali nie wyleci z siodła rycerz choćby najmocniejszy, jeśli ma poderżnięty popręg i strzemiona?

— Wyleci, jako to prawda, że tu stoję! — odrzekł młodzianek.

— Ha! widzisz! — zawołał grzmiącym głosem Maćko. — Do tegom cię chciał przywieźć!

— Bo co?

— Bo Zakon to taki rycerz!

A po chwili dodał:

— Z lada gęby tego nie usłyszysz — nie bój się!

I — gdy młody rycerzyk nie mógł jeszcze wymiarkować dobrze o co chodzi, począł mu rzecz wyjaśniać, zapomniał jednak dodać, że porównanie to nie sam wymyślił, ale że wyszło ono co do słowa z potężnej głowy Zyndrama z Maszkowic.

72.

W Krakowie niedługo zabawili, a byliby zabawili jeszcze krócej, gdyby nie prośby Jaśka, który chciał się ludziom i miastu napatrzyć, albowiem wszystko wydawało mu się snem cudownym. Jednakże staremu rycerzowi spieszyło się okrutnie do domowych pieleszy i do żniw, więc niewiele pomogły i prośby, tak, że na Wniebowzięcie N. Panny byli już z powrotem — jeden w Bogdańcu, drugi w Zgorzelicach, przy siostrze.

I od tej pory zaczęło im się życie wlec dość jednostajnie, zapełnione pracą gospodarczą i zwykłymi wiejskimi zabiegami. Żniwa w położonych nizinnie Zgorzelicach, a zwłaszcza w Jagienkowych Moczydołach, wypadły wyśmienicie, ale w Bogdańcu, z powodu suchego roku, plon okazał się chudy i nie trzeba było dużo trudu, by go zebrać. Wogóle skąpo tam mieli ziemi uprawnej, bo majętność była pod borem, a wskutek długiej niebytności panów, te nawet lechy, które już był karczunkiem przysposobił pod orkę opat, zapuszczono z braku rąk nanowo. Stary rycerz, jakkolwiek czuły na każdą stratę, nie brał tego zbytnio do serca, wiedział bowiem, iż przy pieniądzach łatwo będzie wprowadzić we wszystkiem ład i porządek — byle tylko było dla kogo trudzić i pracować. Ale właśnie ta wątpliwość zatruwała mu prace i dni. Rąk prawdzie nie opuszczał, wstawał do dnia, jeździł do stad, doglądał robót polnych i leśnych, wybrał nawet miejsce na kasztel i przysposabiał budulec, ale gdy po dniu znojnym słońce roztapiało się w złotych i czerwonych blaskach zórz, nieraz chwytała go tęsknota okrutna, a obok niej i niepokój, jakiego przedtem nigdy nie doznawał: „Ja tu zabiegam, ja się tu mozolę — mówił sobie — a tam chłopisko mój leży może gdzie w polu włócznią przebodzon i wilcy mu zębami pozgonne dzwonią”. Na tę myśl ściskało mu się serce i wielką miłością i wielkim bólem. Nasłuchiwał też wówczas pilnie czy tętentu nie usłyszy, który zwiastował codziennie przybycie Jagienki, udając bowiem przy niej, że ma dobrą otuchę, nabierał jej sam i krzepił się nieco w strapionej duszy.

Ona zaś przyjeżdżała codziennie, zwykle pod wieczór, z kuszą przy siodle i z oszczepem, od wypadku w drodze powrotnej. Nie była to rzecz wcale możliwa, aby mogła kiedy niespodzianie zastać Zbyszka już w domu, gdyż Maćko nie śmiał się go przed jakimś rokiem, albo i półtora, spodziewać — ale widocznie i ta nadzieja taiła się w dziewczynie, gdyż przybywała nie tak, jak niegdyś za dawnych czasów, w zaściągniętej tasiemką koszulinie, w kożuszku wełną do góry i z liśćmi w powichrzonych włosach, ale z pięknie splecionym warkoczem

i z piersią opiętą w barwne sieradzkie sukno. Maćko wychodził ku niej — i pierwsze jej pytanie było zawsze, jakby kto zapisał: „A co?” — a pierwsza jego odpowiedź: „A nic!” — potem wprowadzał ją do izby i gwarzyli przy ogniu o Zbyszku, o Litwie, o Krzyżakach i o wojnie — ciągle w kółko, ciągle o tem samem — a nigdy żadnemu z nich nietylko nie naprzykrzyły się te rozmowy, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

I tak było przez całe miesiące. Bywało, że i on jeździł do Zgorzelic, ale częściej ona do Bogdańca. Czasem jednak, gdy w okolicy zdarzały się jakieś niepokoje, albo w porze rui niedźwiedzich, gdy stare samce, idąc rozwścieczone za samicą, skłonne bywają do zaczepki, Maćko odprowadzał dziewczynę do dom. Zbrojny dobrze, nie obawiał się stary, żadnych dzikich zwierząt, był bowiem niebezpieczniejszy dla nich, niż one dla niego. Jeździli tedy wówczas strzemię w strzemię — i często bór odzywał im się z głębin groźnie, lecz oni zapominając o wszystkiem, co im się mogło przygodzić, rozmawiali tylko o Zbyszku: gdzie jest? co robi? zali już nabił, albo czy prędko nabije tylu Krzyżaków, ilu nieboszczce Danusi i jej nieboszczce matce ślubował — i czyli rychło powróci? Jagienka zadawała przytem Maćkowi pytania, które już ze sto razy zadawała poprzednio, a on odpowiadał na nie z taką uwagą i rozmysłem, jakby je pierwszy raz słyszał.

— To mówicie — pytała — że bitwa w polu nie tak dla rycerza straszna, jak zamków dobywanie?

— A obacz, co się Wilkowi przygodziło? Przed kłodą, którą z wałów stoczą, żadna zbroja nie uchroni, a w polu, byle rycerz ćwiczenie należyte miał, może się i dziesięciu nie dać.

— A Zbyszko? Zali zacną ma zbroję?

— Ma ich kilka zacnych, a najlepszą tę zdobyczną po Fryzie, bo w Medjolanie kuta. Jeszcze przed rokiem była cośkolwiek na Zbyszka za luźna, ale ninie w sam raz.

— To już przeciw takiej żadna broń nie poradzi, prawda?

— Co ręka ludzka zrobiła, przeciw temu ręka ludzka poradzi. Na medjolańską zbroję — medjolański miecz, albo też strzały Angielczyków.

— Strzały Angielczyków? — pytała z niepokojem Jagienka.

— A tom ci nie mówił? Niemasz nad nich w świecie łuczników... chyba Mazurowie puszczańscy, ale i ci tak godnego sprzętu nie mają. Angielska kusza przeszyje na sto kroków najlepszą zbroję. Widziałem pod Wilnem. I żaden z nich nie chybi, a znajdzie się poniektóry, co i jastrzębia w lot ustrzeli.

— O pogańscy synowie! Jakożeście sobie z nimi radzili?

— Nie było innej rady, jeno zaraz w nich! Dobrze psiajuchy i berdyszami obracają, ale z blizka, to już nasz sobie poradzi.

— Piastowała was przecie ręka Boska, to i teraz Zbyszka ustrzeże.

— Często ja też tak mówię: „Panie Boże, skoroś nas stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, abyśmy zaś nie zczezli!” Ha! boska to już sprawa. Po prawdzie, niemała to rzecz na cały świat

dawać baczenie i o niczem nie przepomnieć, ale po pierwsze człek się tam czem może przypomina, Kościołowi świętemu nie skąpiąc, a powtóre, co boska głowa, to nie ludzka.

Tak to oni nieraz z sobą gwarzyli, dodając sobie wzajem otuchy i nadziei. Tymczasem jednak płynęły dni, tygodnie i miesiące. W jesieni zdarzyła się Maćkowi sprawa ze starym Wilkiem z Brzozowej. Był zdawna spór graniczny między Wilkami a opatem o leśne nowocie, które opat, trzymając zastawem Bogdaniec, wykarczował i zagarnął. W swoim czasie pozywał on nawet obu naraz Wilków w pole, na kopie albo na długie miecze, ci wszelako nie chcieli stawać z duchownym, w sądzie zaś nie mogli nic wskórać. Teraz stary Wilk upominał się o owe grunta, Maćko zaś, który na nic w świecie nie był tak chciwy, jak na ziemię, idąc zrazu za popędem swej natury, a zarazem podniecon myślą, że jęczmiona udają się doskonale na nowinach, ani chciał słyszeć o ich ustąpieniu. Byliby też niechybnie poszli do grodu, gdyby nie to, że wypadkiem zjechali się u proboszcza w Krześni. Tam gdy nagle stary Wilk rzekł w końcu srogiej kłótni: „Zanim ludzie rozsądzą, na Boga się zdaję, który na waszym rodzie za moją krzywdę się pomści” — zmiękł nagle zawzięty Maćko — pobladł, na chwilę umilkł, a potem tak ozwał się do kłótliwego sąsiada:

— Słuchajcie, nie ja począłem sprawę, jeno opat. Bóg wie, czyja słuszna, ale macie li złorzeczyć Zbyszkowi, to bierzcie nowiny, a Zbyszkowi niech tak Bóg da zdrowie i szczęście, jako ja wam z serca odstępuję.

I wyciągnął ku niemu dłoń, a ów, znając go z dawnych czasów, zdumiał się niezmiernie, ani bowiem domyślał się, jaka w tem twardem pozornie sercu tkwiła miłość dla bratanka i jaki panował niepokój o jego losy. Przez długi też czas nie mógł i słowa przemówić, aż dopiero, gdy ucieszony takim obrotem sprawy proboszcz krzesieński przeżegnał ich znakiem krzyża — odrzekł:

— A kiedy tak, to co innego! Nie o zysk mi chodziło, bom stary i majętności nie mam komu ostawić — jeno o słuszność. Kto ze mną po dobroci — temu jeszcze i ze swego ustąpię. A waszemu bratankowi niech tam Bóg błogosławi — abyście na starość nie płakali po nim, jako ja po moim jedynym chłopie...

I rzucili się sobie wzajem w ramiona, a potem długi czas spierali się o to, kto weźmie nowiny. Maćko dał się wszelako w końcu przekonać — ile, że Wilk sam był na świecie — i majętności nie miał istotnie komu zostawić.

Poczem zaprosił starego do Bogdańca, gdzie uczcił go obficie jadłem i napojem — albowiem sam miał w duszy radość wielką. Cieszyła go i nadzieja, że jęczmień na nowinach tęgo zejdzie i zarazem myśl, że odwrócił od Zbyszka niełaskę bożą.

„Byle wrócił, to mu ta ziemi i dobytku nie zbraknie!” — myślał.

Jagienka niemniej była z tej zgody zadowolona.

— Juści teraz — mówiła, wysłuchawszy, jak się wszystko od-

było — jeśli Pan Jezus miłosierny zechce okazać, że mu zgoda od swarów milsza, to musi wam Zbyszka szczęśliwie powrócić.

Na to twarz Maćka pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca.

— Tak i ja myślę! — rzekł. — Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, trzeba jeno rozum mieć...

— Wam chytrości nigdy nie brakło — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc w górę oczy.

I po chwili, jakby się nad czem namyśliwszy, ozwała się znowu:

— Ale też wy tego ważego Zbyszka miłujecie! miłujecie! hej!

— Ktoby jego nie miłował! — odparł stary rycerz. — A ty? Niby to go nienawidzisz!

Jagienka nie odpowiedziała nic wprost, tylko jak siedziała na ławie wpodle Maćka, tak przysunęła się do niego jeszcze bliżej i odwróciwszy głowę, poczęła go trącać z lekka łokciem:

— Dajcie spokój!

73.

Jednakże wojna o Żmujdź między Krzyżakami a Witoldem zbyt zajmowała ludzi w królestwie, aby nie mieli dopytywać się o jej przebieg. Niektórzy pewni byli, że Jagiełło przyjdzie w pomoc stryjecznemu bratu i że walnej wyprawy przeciw Zakonowi rychło patrzeć. Rycerstwo rwało się do niej, a po wszystkich siedzibach szlacheckich powtarzano sobie, że i znaczna liczba panów krakowskich, zasiadających w królewskiej radzie, przechyla się na stronę wojny, mniemając, że raz trzeba skończyć z tym nieprzyjacielem, który nigdy nie chciał poprzestać na swojem, a o zagrabieniu cudzego myślał nawet wówczas, gdy ogarniała go bojaźń przed potęgą sąsiedzką. Lecz Maćko, który był człowiekiem rozumnym, a jako bywalec widział i poznał wiele, nie wierzył w bliską wojnę i tak nieraz o tem mówił do młodego Jaśka ze Zgorzelic i do innych sąsiadów, których w Krześni spotykał:

— Póki mistrz Konrad żywie, nie będzie z tego nic, bo on mądrzejszy od innych i wie, że nie byłaby to zwyczajna wojna, ale jakoby rzeź: „twoja, albo moja śmierć!” I do tego, on, znając moc królewską, nie dopuści.

– Ba! a jeśli król pierwszy wojnę wypowie? — pytali sąsiedzi.

Lecz Maćko kręcił głową:

— Widzicie... z blizka ja się wszystkiemu przypatrywał i niejednom potrafił wymiarkować. Żeby to był król z naszego dawnego rodu, królów od wiek wieków krześcijańskich, toby może i pierwszy na Niemców uderzył. Ale nasz Władysław Jagiełło (nie chcę ja mu czci uszczknąć, bo zacny to pan, którego niech Bóg w zdrowiu zachowa), nimeśmy go królem sobie obrali, był Wielkim Księciem Li-

tewskim i poganinem: krześcijaństwo dopiero co przyjął, a Niemce szczekają po świecie, że dusza jeszcze w nim pogańska. Przeto okrutnie mu nie przystoi pierwszemu wojnę wypowiadać i krześcijańską krew rozlewać. Dla której przyczyny i Witoldowi w pomoc nie rusza, chociaż go ręce swędzą, bo i to wiem, że nienawidzi on jak trądu Krzyżaków.

Takiemi mowami jednak sobie Maćko sławę bystrego człowieka, który każdą rzecz potrafi jako na stole położyć. W Krześni też otaczano go co niedziela po mszy kołem, a potem weszło w zwyczaj, że ten lub ów sąsiad, zasłyszawszy jaką nowinę, zajeżdżał do Bogdańca, aby mu stary rycerz wytłumaczył to, czego zwykła szlachecka głowa nie mogła wyrozumieć. On zaś przyjmował wszystkich gościnnie i rozmawiał z każdym ochotnie, a gdy wreszcie gość, nagawędziwszy się, odjeżdżał, nie zapomniał nigdy pożegnać go takiemi słowy:

— Dziwujecie się mojemu dowcipowi, ale gdy Zbyszko, da Bóg, wróci, to się dopiero będziecie dziwowali! Jemu choćby w radzie królewskiej zasiadać, taka jucha łebska i przemyślna!

I wmawiając to gościom, wmówił na końcu sobie, a zarazem i Jagience. Zbyszko wydawał się im obojgu zdala, jak królewicz w bajce. Gdy nadeszła wiosna, zaledwie już mogli usiedzieć w domu. Wróciły jaskółki, wróciły bociany; chruściele poczęły grać po łąkach, przepiórki odzywać się w zielonej runi zbóż; przyleciały przedtem jeszcze klucze żórawi i cyranek — Zbyszko jeden nie wracał. Ale gdy ptactwo ciągnęło z południa, natomiast z północy wicher skrzydlaty przynosił wieści o wojnie. Mówiono o bitwach i licznych potyczkach, w których obrotny Witold to zwyciężał, to bywał pobity; mówiono o wielkich klęskach, które poczyniła między Niemcami zima i choroby. Aż wreszcie rozgrzmiała po całym kraju radosna wieść, że dzielny Kiejstutowicz wziął Nowe Kowno, czyli Gotteswerder, zburzył je, kamienia na kamieniu i belki na belce nie zostawił. Maćko, gdy doszła go ta wiadomość, siadł na koń i w te pędy poleciał do Zgorzelic.

— Ha! — mówił — znane mi te strony, bośmy tam ze Zbyszkiem i Skirwojłłą tego Krzyżaków potłukli. Tam wzięt był przez nas i ten poćciwy de Lorche. Oto Bóg dał, że się Niemiaszkom noga powinęła, bo to kasztel był do zdobycia trudny.

Jagienka jednak słyszała już była przed przybyciem Maćka o zburzeniu Nowego Kowna, a nawet słyszała i coś więcej, a mianowicie, że Witold rozpoczął układy o pokój. Ta ostatnia nowina, więcej ją nawet obeszła od poprzedniej, albowiem gdyby pokój stanął, Zbyszko, jeśli został żyw — musiałby powrócić do domu.

Więc zaczęła wypytywać starego rycerza, czy to jest rzecz podobna do wiary, a ów, zastanowiwszy się, tak jej odrzekł:

— Z Witoldem wszystko jest do wiary podobne, gdyż to człek całkiem od innych różny i pewnie ze wszystkich panów krześcijańskich najchytrzejszy. Gdy mu trzeba ku Rusi swe panowanie rozszerzyć, to pokój z Niemcami czyni, a jak tam dokaże tego, co przedsię zamierzył, znów Niemców za łeb! Nie mogą sobie oni dać rady, ani z nim, ani z tą

nieszczęsną Żmujdzią. Raz on ją im odbiera, drugi raz oddaje — i nietylko oddaje, ale sam im ją pomaga pognębić. Są tacy między nami, ba i na Litwie, którzy mu to za złe mają, że on ze krwią tego nieszczęsnego plemienia tak igra... I jabym, szczerze mówiąc, za hańbę mu to miał, żeby to nie był Witold... Bo sobie czasu myślę: a nuż on ode mnie mądrzejszy i wie co robi? Jakoż słyszałem od samego Skirwojłły, że on z tej krainy wrzód wiecznie ciekący w krzyżackiem ciele uczynił, aby zaś nigdy do zdrowia nie przyszło... Matki na Żmujdzi zawdy będą rodziły, a krwi nie szkoda, byle nie szła na marne.

— Mnie tam jeno o to chodzi, czy Zbyszko wróci.

— Jak Bóg pozwoli, ale bogdajeś to, dziewczyno, w szczęśliwą godzinę powiedziała!

Jednakże upłynęło kilka miesięcy. Doszły wieści, że pokój istotnie stanął; zboża stały się płowe, ciężarne kłosami, poletki zasiane gryką dobrze już zrudziały, a o Zbyszku nie było i słychu.

Nakoniec po pierwszych sprzętach nie mógł już wytrzymać dłużej Maćko i zapowiedział, że wyruszy do Spychowa, wieści tam, jako w bliższych stronach Litwy, zasięgnąć i zarazem gospodarstwo Czecha obejrzeć.

Jagienka naparła się z nim jechać, a on jej nie chciał brać, więc poczęły się między nimi o to spory, które trwały przez cały tydzień. Aż gdy pewnego wieczoru sprzeczali się tak z sobą w Zgorzelicach, wpadł, jak wicher, na dworski podwórzec chłopak z Bogdańca, boso, oklep, bez kapelusza na płowej czuprynie i zakrzyknął im przed przyłapem, na którym właśnie siedzieli:

— Młody pan wrócił!

Zbyszko wrócił istotnie, ale jakiś dziwny; nietylko wychudły, spalony wichrem polnym, wynędzniały, lecz zarazem obojętny i małomówny. Czech, który przyjechał, wraz z żoną, z nim razem — gadał za niego i za siebie. Mówił tedy, że wyprawa widocznie się jednak udała młodemu rycerzowi, gdyż w Spychowie złożył na trumnach Danusi i jej matki cały pęk rycerskich pawich i strusich pióropuszów. Wrócił też ze zdobycznymi końmi i zbrojami, z których dwie były nadzwyczaj cenne, choć okrutnie razami miecza i toporu pocięte. Maćko płonął z ciekawości, aby się o wszystkiem dokładnie z ust bratanka wywiedzieć, ale ów machał tylko ręką i odpowiadał półsłówkami — a trzeciego dnia zachorzał i musiał się położyć. Pokazało się, że miał zbity lewy bok i złamane dwa żebra, które źle złożone „przeszkadzały" mu w chodzeniu i oddychaniu. Odezwały się także i te dolegliwości, na które swego czasu cierpiał po wypadku z turem — a do zupełnego poderwania jego sił przyczyniła się i droga ze Spychowa. Nie było to wszystko samo w sobie groźne, bo chłop był młody i niepożyty — jak dąb — ale na razie ogarnęło go jakieś niezmierne znużenie, jak gdyby wszystkie trudy, które poniósł, teraz dopiero zaczynały mu chodzić po kościach. Z początku myślał Maćko, że po dwóch, albo trzech dniach odpoczynku w łożu, wszystko minie, a tymczasem stało się prze-

ciwnie. Nie pomogły żadne smarowania, ni okadzania ziółmi, które owczarz miejscowy zalecił, ni odwary, przysyłane przez Jagienkę i księdza z Krześni: Zbyszko coraz był słabszy, coraz bardziej znużon i — coraz smutniejszy.

— Co ci jest? możebyś czego chciał? — wypytywał go stary rycerz.

— Niczego nie chcę — i wszystko mi za jedno — odpowiedział Zbyszko.

I w ten sposób upływał dzień za dniem. Jagienka, wpadłszy na myśl, że to może jest coś więcej, niżeli zwyczajna „krzypota” — i że młodzian ma chyba jakąś tajemnicę, która go gnębi, poczęła namawiać Maćka, aby raz jeszcze popróbował wypytywać, coby to mogło być.

Maćko zgodził się bez wahania, jednakże, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— A nużby tobie chętniej powiedział, niż mnie? Bo — lubić — to on cię przecie lubi, a to też widziałem, że jak się tam kręcisz po izbie, to za tobą oczyma wodzi.

— Widzieliście? — zapytała Jagienka.

— Kiedy powiedziałem, że wodzi, to wodzi. A jak cię długo niema, to raz po raz na drzwi spogląda. Pytaj go ty.

I na tem stanęło. Jednakże pokazało się, że Jagienka nie umie i nie śmie. Dopiero, gdy przyszło co do czego, zrozumiała, że trzebaby jej mówić o Danusi i o miłości Zbyszka do nieboszczki — a te rzeczy nie chciały się jej przez usta przecisnąć.

— Wyście chytrzejsi — rzekła do Maćka — i rozum a doświadczenie macie lepsze: wy mówcie; ja nie mogę.

Więc Maćko rad nierad zabrał się do rzeczy — i pewnego ranka, gdy Zbyszko zdawał się być nieco rzeźwiejszy, niż zwykle, taką rozpoczął z nim rozmowę:

— Powiadał mi Hlawa, żeś godną wiązkę czubów pawich w Spychowie w podziemiu położył.

A ów, nie odejmując oczu od pułapu, na który, leżąc na wznak, patrzał — skinął tylko głową na znak potwierdzenia.

— No! Pan Jezus ci poszczęścił: bo przecie i na wojnie łatwiej o ciurów, niż o rycerzy... Knechtów możesz nabić ilu chcesz — ale za rycerzem trzeba się nieraz dobrze oglądać... Także ci to sami leźli pod miecz?

— Pozywałem różnych kilkakroć na udeptaną ziemię, a raz otoczyli mnie w bitwie — odrzekł leniwe młodzian.

— I zdobycznego dobra dość przywiozłeś...

— W części, kniaź Witold obdarzył.

— Zawsze taki hojny?

Zbyszko skinął znów głową, widocznie nie mając ochoty do dalszej rozmowy.

Ale Maćko nie dał za wygraną i postanowił przystąpić do rzeczy:

— Powiedz mi tak szczerze — rzekł. — Jakeś już tam owymi czu-

bami truchełkę nakrył — musiało ci okrutnie ulżyć?... Człek zawsze rad, gdy ślub spełni... Rad-eś był? co?

Zbyszko oderwał swe smutne oczy od pułapu, zwrócił je na Maćka — i odpowiedział jakby z pewnem zdziwieniem:

— Nie.

— Nie? Bójże się Boga! Bo ja myślałem, że jak tam te dusze w niebie uciesz, to już będzie i koniec.

A młodzian zamknął na chwilę oczy, jakby w zamyśleniu i wreszcie odrzekł:

— Na nic widać zbawionym duszom krew ludzka.

Nastała chwila milczenia.

— To po cóżeś na tę wojnę chodził? — zapytał wreszcie Maćko.

— Po co? — odpowiedział z pewnem ożywieniem Zbyszko — ja sam myślałem, że mi ulży! sam myślałem, że i Danuśkę i siebie ucieszę... A potem aże mi się dziwno uczyniło. Wyszedłem z podziemia od tych truchel i tak samo mi ciężko było, jako i przedtem. Tak-ci to widać jest, że na nic zbawionym duszom krew ludzka.

— Musiał ci ktoś powiedzieć, bo sambyś tego nie wymyślił.

— Samem wymiarkował z tego właśnie, że mi się świat nie wydał weselszy potem, niż przedtem. Ksiądz Kaleb tylko mi przytwierdził.

— Zabić nieprzyjaciela na wojnie nie grzech to żaden, ba! nawet chwalebna rzecz, a to przecie nieprzyjaciele naszego plemienia.

— Ja też za grzech sobie tego nie mam i nie żałuję ich.

— Jeno ciągle Danuśki?

— Jużci; jako ją sobie wspomnę, to mi żal. Ale wola Boska! Lepiej jej na dworcu niebieskim i — już ja do tego przywykł.

— To czemu się ze smutków nie otrząśniesz? Czego ci trzeba?

— Bo ja wiem...

— Wypocznienia ci nie brak, a krzypota cię rychło opuści. Idź do łaźni, wykąp się, wypij łagiewkę miodu na poty — i hoc!

— No i co?

— I wnet wesołości nabierzesz.

— A skąd jej wezmę? W sobie-ci jej nie najdę, a pożyczyć mi jej — nikt nie pożyczy.

— Bo ty coś skrywasz!

Zbyszko ruszył ramionami.

— Nie mam wesołości, ale nie mam też nic do skrywania.

I powiedział to tak szczerze, że Maćko odrazu przestał posądzać go o tajemnicę, a natomiast począł się gładzić szeroką dłonią po siwej czuprynie, jak miał zwyczaj czynić zawsze gdy się nad czemś mocno namyślał i w końcu rzekł:

— To ja ci powiem, czego ci brak: Tobie się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie zaczęło — rozumiesz?

— Nie bardzo, ale może być! — odpowiedział młodzianek.

I przeciągnął się jak człowiek, którego ogarnia sen.

Maćko jednak był pewien, że odgadł prawdziwą przyczynę i rad był ogromnie, albowiem przestał się zupełnie niepokoić. Nabrał też

jeszcze większej niż przedtem ufności do własnego rozumu i mówił sobie w duchu: „Nie dziwować się ludziom, że się mnie radzą!”

A gdy po owej rozmowie, wieczorem tego samego dnia przyjechała Jagienka — jeszcze nim zdążyła zsiąść z konia, powiedział jej, że wie, czego Zbyszkowi brakuje.

Więc dziewczyna zsunęła się w jednej chwili z siodła i nuż dopytywać:

— No co? czego? mówcie!

— Ty właśnie masz dla niego lekarstwo.

— Ja? jakie?

A on objął ją wpół i począł szeptać jej coś do ucha, ale niedługo, gdyż po chwili odskoczyła od niego, jak oparzona i ukrywszy między czaprakiem a wysokiem siodłem spłonioną twarz, zawołała:

— Idźcie sobie! Nie cierpię was!

— Jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię — rzekł, śmiejąc się, Maćko.

74.

Stary Maćko odgadł dobrze, ale tylko w połowie. Zbyszkowi istotnie jedna część życia skończyła się całkowicie. Za każdem wspomnieniem było mu Danusi żal, ale sam przecie powiadał, że lepiej jej musi być na dworcu niebieskim, niż było na książęcym. Zżył się już z myślą, że jej na świecie nie ma, przywykł do niej i uważał, że wcale nie mogło być inaczej. Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięte ze szkła i poprawiane w ołów postacie różnych świętych panienek — barwne, przeświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przezroczystą, odwróconą bokiem, ze złożonemi rączkami, ze wzniesionemi oczyma, i grającą na luteńce, wśród różnych zbawionych bożych skrzypaczków, którzy w niebie grywają Matce Boskiej i Dzieciątku. Nic już w niej nie było ziemskiego, a stała mu się duchem tak czystym i bezcielesnym, że gdy czasem wspomniał sobie, jak w leśnym dworcu posługiwała księżnie, śmiała się, rozmawiała, siadała z innymi do stołu — przejmowało go jakby zdziwienie, że to być mogło. Już w czasie wyprawy, przy Witoldzie, gdy sprawy wojenne i bitwy pochłaniały jego uwagę, przestał tęsknić do swojej niebożczki, tak jak tęskni mąż do niewiasty, a myślał tylko tak, jak myśli pobożny człowiek o swej patronce. W ten sposób miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki zmieniała się coraz bardziej tylko w słodkie, tak błękitne, jak właśnie samo niebo wspomnienie — i poprostu w cześć nabożną.

Gdyby był człekiem wątłego ciała i głębszej myśli, byłby został mnichem — i w cichem życiu klasztornem byłby przechował jak świętość owo niebieskie wspomnienie, aż do chwili, w której duch z więzów cielesnych ulata w nieskończone przestworze, jak ptak z klatki. Ale jemu ledwie się zaczynał trzeci dziesiątek lat — i sok z surowego wióra w pięści wyciskał, i konia, ścisnąwszy udami, mógł tchu pozbawić. Był

taki, jakimi byli wówczas powszechnie szlachta i włodykowie — którzy, jeśli nie marli w dzieciństwie, lub nie zostawali księżmi — to, nie znając granic, ni miary w zapędach cielesnych i sile, albo puszczali się na zbój, rozpustę i pijactwo — albo też, żeniąc się młodo, stawali, gdy wici wyszły na wojnę, z dwudziestu czterema, albo i więcej synami, do dzików siłą podobnymi.

Ale on nie wiedział, że był taki — tembardziej, że z początku chorzał. Powoli jednak źle ustawione żebra zrosły mu się tworząc nieznaczną zaledwie z boku wyniosłość, która nie przeszkadzała mu w niczem, i którą nietylko pancerz, ale i zwykła szata mogła całkowicie pokryć. Znużenie mijało. Bujne, płowe włosy, obcięte na znak żałoby po Danusi, odrosły mu znów do wpół pleców. Wracała mu dawna nadzwyczajna uroda. Gdy kilka lat temu w Krakowie szedł na śmierć z ręki kata, wyglądał jak pacholę z wielkiego rodu — a teraz stał się jeszcze piękniejszy, istny królewicz, podobien z barków, z piersi, z lędźwi i ramion do olbrzyma, z twarzy zaś do dziewicy. Moc i życie kipiało w nim, jak war w garnku — a spotężnione czystością i długim wypoczynkiem, chodziło mu po kościach jak płomię. On, nie wiedząc co to jest, myślał, że wciąż chorzeje, i wylegiwał się w łożu, rad, że Maćko i Jagienka strzegą go, pilnują i dogadzają mu we wszystkiem. Chwilami wydawało mu się, że mu jest tak dobrze, jak w niebie, chwilami — zwłaszcza, gdy nie było przy nim Jagienki — że źle, smutno, nieznośnie. Brało go wówczas ziewanie, ciągoty, gorączka, i zapowiadał Maćkowi, że wróciwszy do zdrowia, pójdzie znów na koniec świata, na Niemców, na Tatarów — albo inną podobną dzicz — byle zbyć życia, które mu cięży okrutnie. A Maćko zamiast sprzeciwiać się, kiwał głową, przyświadczał — ale tymczasem posyłał po Jagienkę, za której przyjazdem topniały zaraz w Zbyszku myśli o nowych wyprawach wojennych, tak, jak topnieją śniegi, gdy je wiosenne słońce przygrzeje.

Ona zaś przyjeżdżała skwapliwie i na wezwanie i z własnej woli — gdyż pokochała Zbyszka ze wszystkich sił duszy i serca. Za czasów swego pobytu na dworze biskupim i książęcym w Płocku widywała rycerzy równie pięknych, równie sławnych z siły i męstwa, którzy nieraz klękali przed nią, ślubując jej wierność do zgonu, ale ten był jej wybrany, tego ukochała w zaraniu lat pierwszą miłością, a nieszczęścia, przez jakie przeszedł, wzmogły tylko jej kochanie do tego stopnia, że był jej milszym i stokroć droższym nietylko od wszystkich rycerzy, ale i od wszystkich książąt ziemi. Teraz, gdy przychodząc do zdrowia, stawał się z dnia na dzień cudniejszy, miłość jej zmieniła się niemal w zapamiętanie i przesłoniła jej cały świat.

Nie przyznawała się jednak do niej nawet sama przed sobą, a przed Zbyszkiem taiła ją jak najstaranniej z obawy, aby nią znowu nie wzgardził. Nawet z Maćkiem, o ile dawniej skora była do zwierzeń, o tyle teraz stała się ostrożna i milcząca. Mogła ją tylko zdradzić troskliwość, jaką okazywała w pielęgnowaniu Zbyszka, ale i tej troskliwości starała się inne nadać pozory — i w tym celu, tak pewnego razu ozwała się przebiegle do Zbyszka:

— Bo, że cię tam trochę doglądam, to jeno z przychylności dla Maćka, a tyś zara co pomyślał? powiadaj!

I niby poprawiając włosy na czole, przysłoniła twarz dłonią i poczęła pilnie patrzeć na niego przez palce, on zaś, zaskoczony niespodzianem pytaniem, zaczerwienił się jak panna i dopiero po niejakim czasie odrzekł:

— Nic-em nie pomyślał. Tyś teraz inna.

Nastała znów chwila milczenia.

— Inna? — zapytała wreszcie dziewczyna jakimś cichym i miękkim głosem. — No! pewnie, że inna. Ale żebym cię już tak całkiem miała niecierpieć, to tego też Boże nie daj!

— Bóg ci zapłać i za to — odrzekł Zbyszko.

I odtąd bywało im z sobą dobrze, tylko jakoś niezręcznie i niesporo. Nieraz mogło się zdawać, że oboje o czem innem mówią, a o czem innem myślą. Zapadało między nimi częste milczenie. Zbyszko, wylęgując się wciąż w łożu, wodził wedle słów Maćka za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, albowiem, chwilami zwłaszcza, wydawała mu się tak cudna, że się jej napatrzyć nie mógł. Bywało także, że spojrzenia ich spotykały się nagle, a wówczas płoniły im się twarze, i wypukła pierś dziewczyny poruszała się spiesznym oddechem, i serce jej biło, jakby w oczekiwaniu, czy czegoś nie usłyszy, od czego stopnieje i rozpłynie się w niej dusza. Ale Zbyszko milczał, albowiem stracił do niej zupełnie dawną śmiałość i bał się ją spłoszyć niebacznem słowem, i wbrew temu, co widziały jego oczy, sam w siebie wmawiał, że ona mu tylko siostrzaną przychylność gwoli Maćkowej przyjaźni okazuje.

I raz począł mówić o tem z Maćkiem. Starał się mówić niby spokojnie, a nawet obojętnie, i ani się spostrzegł, jak słowa jego stawały się coraz podobniejsze do skargi przez pół gorzkiej, przez pół smutnej. Maćko zaś wysłuchał cierpliwie wszystkiego, a w końcu rzekł tylko jedno jedyne słowo:

— Głupiś!

I wyszedł z izby.

Ale na „oborze” począł zacierać ręce i klepać się z wielkiej radości po udach.

— Ha! — mówił sobie: — wtedy, kiedy ci tanio mogła przyjść, toś i patrzeć na nią nie chciał, najedzże się teraz strachu, kiedyś głupi. Ja będę kasztel stawiał, a ty się przez ten czas obliżuj. Nic ci nie rzekę i bielma z oczu nie zdejmę, choćbyś rżał głośniej od wszystkich koni w Bogdańcu. Gdzie wióry na zarzewiu leżą, tam i tak prędzej później płomię buchnie, ale ja ci nie będę na zarzewie dmuchał, bo tak myślę, że i nie trzeba.

I nietylko nie dmuchał, ale się nawet Zbyszkowi sprzeciwiał i drażnił go, jako stary przechera, który rad igra z niedoświadczonym młodzieńcem. Więc razu pewnego, gdy Zbyszko znów mu powtórzył, że chyba na jaką daleką wyprawę pójdzie, aby się nieznośnego żywota pozbyć, rzekł mu:

— Pókiś goło miał pod nosem, tom tobą rządził, ale teraz —

twoja wola. Chcesz-li koniecznie swojemu jeno rozumowi dufać i iść — to idź.

A Zbyszko aż się zerwał ze zdziwienia i siadł na łożu.

— Jakto? To już się nawet i temu nie przeciwicie?

— Co mam się przeciwiać? Żal mi tylko okrutnie rodu, którýby razem z tobą zaginął, ale i na to może znajdzie się rada.

— Jaka rada? — pytał niespokojnie Zbyszko.

— Jaka? No! niema co gadać, że roki mi godne są — ale też i mocy w kościach nie brak. Juści, Jagience patrzyłby się młodszy jakowyś chłop — ale żem to jej nieboszczykowi ojcu przyjacielem — to kto wie...

— Byliście jej ojcu przyjacielem, — odrzekł Zbyszko — ale dla mnie nigdyście nie mieli życzliwości — nigdy! nigdy!...

I przerwał, bo mu się poczęła broda trząść, a Maćko rzekł:

— Ba! skoro koniecznie chcesz ginąć — to cóż mam robić?

— Dobrze! róbcie co chcecie — ja jeszcze dziś w świat pojadę!

— Głupiś — powtórzył Maćko.

I znów wyszedł z izby doglądać chłopów i bogdanieckich i tych, których pożyczyła ze Zgorzelic i z Moczydołów Jagienka, aby pomagali w kopaniu rowu, mającego otaczać kasztel.

75.

Zbyszko nie spełnił wprawdzie swej groźby i nie wyjechał, ale za to po upływie jeszcze tygodnia, zdrowie wróciło mu zupełnie i nie mógł już dłużej wylegiwać się w łożu. Maćko powiedział, że wypada im teraz pojechać do Zgorzelic i podziękować Jagience za starunek, więc pewnego dnia, wyprażywszy się dobrze w łaźni, postanowił jechać, nie zwłócząc. W tym celu, kazał wydobyć ze skrzyni piękne szaty, aby niemi zastąpić zwykłą odzież, którą miał na sobie — a następnie zajął się trefieniem włosów. Była to jednak czynność niełatwa i niemała, a to nietylko z powodu bujności Zbyszkowej czupryny, która z tyłu spadała mu, jak grzywa, aż za łopatki. Rycerze w życiu codziennem nosili włosy w pątlikach kształtu grzyba, co miało i tę dobrą stronę, że w czasie wypraw, hełm daleko mniej ich uwierał, natomiast na rozmaite uroczystości, wesela, lub jadąc w odwiedziny do domów, w których były panny, układali je w pięknie poskręcane zwoje, które często smarowano białkiem dla połysku i mocy. Tak to właśnie chciał utrefić się Zbyszko. Ale dwie niewiasty, wezwane z czeladnej, nie przywykłe do takiej roboty, nie umiały sobie dać rady. Wyschłe i zburzone po łaźni włosy nie chciały się układać i jeżyły, jako źle poszyta strzecha na chałupie. Nie pomogły ani zdobyczne na Fryzach grzebienie, ozdobnie z bawołowego rogu wyrobione, ani nawet zgrzebło, po które jedna z niewiast poszła do stajni. Zbyszko począł się w końcu niecierpliwić i gniewać — gdy wtem do izby wszedł Maćko, w towarzystwie Jagienki, która przez ten czas niespodzianie nadjechała.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna.

— Na wieki wieków! — odpowiedział z rozpromienioną twarzą Zbyszko. — O, to dziwne! Bo myśmy właśnie chcieli do Zgorzelic jechać, a tyś tu!

I oczy rozbłysły mu radością, bo już tak było, iż ilekroć ją zobaczył, tylekroć czyniło mu się w duszy tak jasno, jakby na wschód słońca patrzał.

A Jagienka, ujrzawszy zakłopotane baby z grzebieniami w ręku, zgrzebło, leżące na ławie wpodle Zbyszka, i jego zwichrzoną czuprynę, poczęła się śmiać.

— Ej wiecha też to, wiecha! — zawołała, ukazując z pod koralowych ust swe cudne białe zęby. — W konopiachby cię, albo w sadzie wiśniowym, na strach ptactwu postawić!

On zaś zasępił się i rzekł:

— Chcieliśmy do Zgorzelic jechać, ale w Zgorzelicach nijakby ci było gościowi uchybiać, a tu możesz sobie ze mnie dworować ile chcesz, co, wiera, zawsze rada czynisz.

— Ja rada to czynię? — zapytała dziewczyna. — Ej, mocny Boże! Toż przyjechałam prosić was na wieczerzę, a śmieję się nie z ciebie, jeno z tych bab, bo żeby tak na mnie, wnetbym tu sobie dała rady.

— Nie wskórałabyś i ty!

— A Jaśkowi to niby kto robi?

— Jasiek ci brat — odparł Zbyszko.

— Juści!...

Lecz tu stary i doświadczony Maćko postanowił im przyjść z pomocą.

— Po domach, — rzekł — gdy po postrzyżynach rycerskiemu pacholęciu włosy odrosną, trefi mu je siostra, a w źrałym wieku żona mężowi; ale obyczaj też jest, że gdy rycerz siostry albo żony nie ma, to mu dziewki szlacheckie służą, nawet i całkiem obce.

— Zali istotnie jest taki obyczaj? — pytała, spuszczając oczy, Jagienka.

— Nietylko po dworach, lecz i po zamkach, ba! nawet na królewskim dworze — odrzekł Maćko.

Poczem zwrócił się do niewiast:

— Kiedyście do niczego, ruszajcie do czeladnej!

— To niech mi też grzanej wody przyniosą — dodała dziewczyna.

Maćko wyszedł razem z niewiastami, niby dla pilnowania, aby w posłudze nie było marudztwa — i po chwili wysłał grzaną wodę, którą, gdy zostawiono w izbie, młodzi zostali sami. Jagienka, zamoczywszy naprzód nałęczkę, poczęła nią zwilżać silnie włosy Zbyszkowe, gdy zaś przestały się wichrzyć i opadły ciężarem wilgoci, wzięła grzebień i siadła na ławie obok młodzianka, aby zabrać się do dalszej roboty.

I tak siedzieli tuż koło siebie, oboje nad miarę śliczni i nad miarę w sobie rozkochani, ale stropieni i milczący. Jagienka poczęła

wreszcie układać jego złote włosy, a on czuł bliskość jej wzniesionych ramion, jej dłoni, i drżał od stóp do głowy, hamując się całą siłą woli, aby nie porwać jej w pół i nie przycisnąć ze wszystkich sił do piersi.

W ciszy słychać było przyspieszone ich oddechy.

— Możeś ty chory! — spytała po chwili dziewczyna. — Co ci jest?

— Nic! — odpowiedział młody rycerz.

— Bo jakoś tak dychasz.

— I ty dychasz...

Znów zapadła cisza. Policzki Jagienki zakwitły jak róże, czuła bowiem, że Zbyszko oczu nie odrywa ani na chwilę od jej twarzy, więc chcąc zagadać własne zakłopotanie, znów zapytała:

— Czego się tak patrzysz?

— Wadzi ci?

— Nie wadzi mi, jeno się pytam.

— Jagienka?

— Co...

Zbyszko nabrał w piersi powietrza, westchnął, poruszył ustami, jakby zabierając się do dłuższej rozmowy, ale widać nie starczyło mu jeszcze odwagi, bo tylko powtórzył znów:

— Jagienka?...

— Co?

. . . .

— Kiedy się boję coś rzec...

— Nie bój się. Prosta ja dziewczyna, nie żaden smok.

— Juści nie smok! Ale że stryj Maćko powiada, że cię chce brać!...

— Bo chce, jeno nie dla siebie.

I zamilkła, jakby przestraszona własnemi słowy.

— Prze miły Bóg! Jaguś moja... A ty co na to, Jaguś? — zawołał Zbyszko.

Lecz jej niespodzianie oczy wezbrały łzami, śliczne usta poczęły drgać, a głos stał się tak cichy, że Zbyszko ledwo mógł dosłyszeć, gdy rzekła:

— Tatuś i opat chcieli.... a ja — to... ty wiesz!....

Na te słowa radość buchnęła mu w sercu, jak nagły płomień — więc porwał dziewczynę na ręce, podniósł ją w górę, jak piórko, i począł krzyczeć w zapamiętaniu:

— Jaguś! Jaguś! złoto ty moje! słonko ty moje — hej! hej!....

I krzyczał tak, że stary Maćko, myśląc, że stało się coś niezwykłego, wpadł do izby. Dopieroż ujrzawszy Jagienkę na ręku Zbyszka, zdumiał się, że wszystko poszło tak niespodziewanie prędko, i zawołał:

— W imię Ojca i Syna! Miarkuj się, chłopie!

A Zbyszko przypadł do niego, postawił Jagienkę na ziemi, i oboje chcieli przyklęknąć, lecz nim zdołali to uczynić, chwycił ich stary w kościste ramiona i przycisnął ze wszystkich sił do piersi.

— Pochwalony! — rzekł. — Wiedziałem ci ja, że tak ſię ſkończy, ale mi przecie radość! Boże wam błogoſław! Lżej będzie umierać... Dziewucha jako złoto najſzczerſze... Ku Bogu i ku ludziom! Prawdziwie! A niech ta już będzie co chce, kiedym ſię takiej pociechy doczekał... Bóg doświadczył, ale i Bóg pocieſzył. Trzeba jechać do Zgorzelic, Jaśkowi oznajmić. Hej, żeby ſtary Zych żył!... i opat... Ale ja wam za obu ſtrzymam, bo żeby tak prawdę rzec, to was tak oboje miłuję, że i wſtyd gadać.

I chociaż miał w pierſi ſerce hartowne, wzruſzył ſię tak, że aż ściſnęło go coś w gardle, więc ucałował jeſzcze Zbyſzka, a potem w oba policzki Jagienkę i, wykrztuſiwſzy nawpół przez łzy: „Miód, nie dziewczyna!” poſzedł do ſtajen, aby kazać konie okulbaczyć.

Wyſzedłſzy, zatoczył ſię z radości na dziewanny, które roſły przed domem, i począł ſpoglądać na ich ciemne kręgi, otoczone żółtymi liśćmi, zupełnie, jak człowiek pijany.

— A no! Kupa was — rzekł — ale da Bóg, Gradów Bogdanieckich będzie więcej.

Poczem idąc do ſtajni, jął znów mruczeć i wyliczać:

— Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... Bóg zawſze wie, do czego prowadzi, a przyjdzie czas na ſtarego Wilka, toby i Brzozową warto kupić... Łęgi godne!...

Tymczaſem Jagienka i Zbyſzko wyſzli także przed dom, radośni, ſzczęśliwi, jaśniejący jak ſłońce.

— Stryjku! — ozwał ſię zdala Zbyſzko.

A on zwrócił ſię ku nim, otworzył ręce i począł wołać, jak w leſie:

— Hop! hop! By-waj-cie!!

76.

Oni mieſzkali w Moczydołach, a ſtary Maćko wznoſił dla nich kaſztel w Bogdańcu. Wznoſił mozolnie, gdyż chciał, żeby odſady były z kamienia na wapno, a czatownia z cegły, o którą trudno było w okolicy. W pierwſzym roku wykopał rowy, co przyſzło dość łatwo, albowiem wzgórze, na którem miał ſtanąć kaſztel, było niegdyś okopane, może za czaſów jeſzcze pogańſkich, należało więc tylko oczyścić owe wądoły z drzew i z głogowych gąſzczów, którymi zaroſły, a następnie umocnić je i pogłębić należycie. Przy pogłębianiu dokopano ſię też obfitego źródła, które w niedługim czaſie napełniło foſę tak, że muſiał Maćko obmyślać ujście dla zbytku wody. Potem na wale wznióſł częſtokół i począł zgromadzać budulec na ściany zameczku, bale dębowe tak grube, że trzech chłopów jednego objąć nie mogło, i modrzewiowe, nie gnijące ni pod glinianą polepą, ni pod przykryciem z darniny. Do wznoſzenia tych ścian zabrał ſię, pomimo ſtałej pomocy chłopów ze Zgorzelic i Moczydołów dopiero po roku, ale zabrał ſię tem gorliwiej dlatego, że przedtem jeſzcze Jagienka powiła

bliźnięta. Niebo otworzyło się wówczas przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo pracować, zabiegać, i wiedział, że ród Gradów nie zaginie, a Tępa Podkowa nieraz jeszcze ubroczy się we krwi nieprzyjacielskiej.

Bliźniakom dano imiona: Maćko i Jaśko. „Chłopy, mówił stary, na schwał, tak, że w całem królestwie niemasz podobnych, a przecie jeszcze nie wieczór.” I ukochał ich odrazu wielką miłością, a za Jagienką świata nie widział. Kto mu ją w oczy wsławił, ten wszystko mógł u niego uzyskać. Zazdroszczono jej jednak Zbyszkowi szczerze, i sławiono ją nietylko dla korzyści, gdyż istotnie jaśniała ona w okolicy, niby kwiat najpiękniejszy ze wszystkich na łące. Przyniosła mężowi wielkie wiano, ale i więcej niż wiano, bo wielkie kochanie i urodę, olśniewającą oczy ludzkie, i dworność i dzielność taką, że niejeden rycerz mógłby się nią pochlubić. Nic to dla niej było w kilka dni po połogu do gospodarstwa wstać, a potem z mężem na łowy jechać, albo konno z Moczydołów do Bogdańca rano skoczyć i przed południem do Jaśka i Maćka wrócić. Kochał ją tedy jak źrenicę oka mąż, kochał stary Maćko, kochała czeladź, dla której ludzkie miała serce, a w Krześni, gdy w niedzielę wchodziła do kościoła, witał ją szmer podziwu i uwielbienia. Dawniejszy jej zalotnik, groźny Cztan z Rogowa, żeniaty z córką kmiecą, który po mszy pijał w karczmie ze starym Wilkiem z Brzozowej, mawiał, podpiwszy do niego: „Szczerbiliśmy się o nią nieraz z waszym synem i chcieliśmy ją brać, ale to tak właśnie było, jakby po miesiąc na niebie sięgać.”

Inni zaś głośno wyznawali, że takiej chybaby na dworze królewskim w Krakowie szukać. Bo obok bogactwa, urody i dworności, czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tem jeden głos: „że to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i znagła przysiędzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął.” Tak to ją sławiono i w parafialnej Krześni, i po sąsiednich wsiach, a nawet w wojewódzkim Sieradzu. Jednakże, zazdroszcząc Zbyszkowi z Bogdańca, nie dziwiono się zbytecznie, że ją dostał, albowiem opromieniła i jego taka chwała wojenna, jakiej nikt w okolicy nie miał.

Młodzi włodykowie i szlachta prawili sobie wzajem całe opowieści o Niemcach, których „nałuszczył” w bitwach pod wodzą Witolda i w pojedynkę, na udeptanej ziemi. Mówiono, że żaden mu się nigdy nie odjął, że w Malborgu dwunastu ich zbił z koni, między nimi brata Mistrzowego Ulryka, wreszcie, że nawet z krakowskimi rycerzami mógł się potykać, i że sam niezwyciężony Zawisza Czarny był mu życzliwym przyjacielem.

Niektórzy nie chcieli tak nadzwyczajnym klechdaniom wierzyć, ale i ci jednak, gdy była mowa o tem, kogoby okolica wybrała, gdyby polskim rycerzom przyszło z obcymi iść w zawód, mówili: „Juž-ci Zbyszka” — a potem dopiero włochatego Cztana z Rogowa i innych miejscowych osiłków, którym pod względem ćwiczenia rycerskiego daleko było do młodego dziedzica z Bogdańca.

Wielka zamożność jednała mu na równi ze sławą szacunek ludzki. Bo, że za Jagienką wziął Moczydoły i wielką majętność opatową, to nie była jego zasługa, ale on już przedtem miał Spychów wraz z ogromnymi skarbami zgromadzonymi przez Juranda, a prócz tego szeptali sobie ludzie, że samych łupów zdobytych i wziętych przez rycerzy z Bogdańca w zbrojach, koniach, szatach, klejnotach wystrzymałoby na trzy albo i cztery dobre wsie.

Widziano więc w tem jakąś szczególną łaskę Bożą nad rodem Gradów herbu Tępa Podkowa, który do niedawna podupadły tak, że prócz pustego Bogdańca nic nie miał, wyrastał teraz nad wszystkie inne w okolicy. „Przecie w Bogdańcu ostało po pogorzeli jeno garbate domosko — mówili starzy ludzie — i samą majętność z braku rąk roboczych musieli krewnemu zastawić, a teraz kasztel wznoszą." I podziw był wielki, ale że towarzyszyło mu ogólne, instynktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku, i że z woli Bożej taki ma być właśnie porządek rzeczy, więc nie było w tym podziwie złej zawiści. Owszem, chełpiła się okolica i była dumna z tych rycerzy z Bogdańca. Byli oni jakby oczywistym dowodem, do czego może doprowadzić szlachcica krzepkie ramię w połączeniu z mężnem sercem i rycerską pożądliwością przygód. Niejeden też na ich widok uczuwał, że mu za ciasno w domowych pieleszach, w rodzimych granicach, i że o ścianę są we wrażej mocy wielkie bogactwa i obszerne ziemie, które można zdobyć z niezmierną dla siebie i dla królestwa korzyścią. A ów nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność, tak, iż była jakby war, który musi z naczynia wykipieć. Mogli mądrzy panowie krakowscy i miłujący pokój król hamować te siły do czasu i odkładać wojnę z odwiecznym wrogiem na długie lata, ale żadna moc ludzka nie mogła przytłumić ich całkowicie, ani też powstrzymać tego pędu, którym idzie ku wielkości dusza powszechna.

77.

Dożył Maćko szczęśliwych dni żywota. Nieraz mawiał też sąsiadom, że więcej dostał, niźli sam się spodziewał. Nawet starość ubieliła mu tylko włos na głowie i brodzie, ale nie odjęła mu dotychczas ni sił, ni zdrowia. Serce miał pełne tak wielkiej wesołości, jakiej dotychczas nigdy nie zaznał. Surowa niegdyś jego twarz stawała się coraz więcej dobroduszną, a oczy śmiały się do ludzi dobrym uśmiechem. W duszy miał przekonanie, że wszystko zło skończyło się na zawsze, i że żadna troska, żadna niedola nie zmąci już płynących tak spokojnie, jak jasny strumień, dni życia. Do starości wojować, na starość gospodarzyć i majętność dla „wnęków" powiększać — to było przecie jego największe pragnienie we wszystkich czasach, a oto właśnie wszystko spełniło mu się doskonale. Gospodarka szła, jak z płatka. Bory były znacznie wycięte; wykarczowane i obsiane nowocie zieleniły się co wiosna

runią zbóż rozmaitych; mnożył się dobytek; na łąkach było czterdzieści świerzop ze źrebięty, które stary szlachcic codziennie oglądał; stada baranów i bydła pasły się po ugorach i zagajach; Bogdaniec zmienił się całkowicie: z opustoszałej osady czynił się wsią ludną i zamożną, a kto się do niego zbliżał, tego oczy olśniewała widna zdala czatownia i niepoczerniałe jeszcze ściany kasztelu, błyszczące złotem w słońcu, a purpurą zorzy wieczorem.

Więc radował się stary Maćko w sercu dobytkiem, gospodarstwem, pomyślną dolą — i nie przeczył, gdy ludzie mówili, że ma szczęsną rękę. W rok po bliźniętach przyszedł znowu na świat chłopak, którego Jagienka, na cześć i dla pamięci swego rodzica, nazwała Zychem. Maćko przyjął go z radością i nie troszczył się tem bynajmniej, że gdyby tak miało pójść dalej, majętność z takim trudem i zabiegliwością zebrana, musiałaby się rozdrobnić: „Bo co my mieli? — mówił o tem pewnego razu do Zbyszka. — Nic! a przecie Bóg przysporzył. Stary Pakosz z Sulisławic (mówił) ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają. Małoż to jest ziem w Królestwie i na Litwie? małoż to wsiów i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! nużby tak Pan Jezus zdarzył! byłoby godne pomieszczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z którychby kasztelanie nasz miłościwy król poczynił.” I była to rzecz godna uwagi, że Zakon stał przecie na szczycie potęgi, że bogactwy, siłą, mnogością ćwiczonych wojsk wszystkie zachodnie królestwa przewyższał, a jednak ten stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich, jako o przyszłych siedzibach dla swoich wnuków. I wielu zapewne tak samo myślało w królestwie Jagiełłowem, nietylko dlatego, że to były stare, polskie ziemie, na których Zakon siedział, ale i w poczuciu tej siły potężnej, która, burząc się w piersiach narodu, szukała na wszystkie strony ujścia.

W czwartym dopiero roku, licząc od małżeństwa Zbyszka, stanął kasztel, a i to z pomocą rąk roboczych nietylko miejscowych, zgorzelickich, moczydłowskich, lecz i sąsiedzkich, a szczególnie starego Wilka z Brzozowej, który, zostawszy sam po śmierci syna na świecie, zaprzyjaźnił się bardzo z Maćkiem, a potem zwrócił serce ku Zbyszkowi i Jagience. Maćko przyozdobił komnaty łupami z wojen, które albo sami ze Zbyszkiem wzięli albo po Jurandzie ze Spychowa odziedziczyli, przydał do tego dostatki po opacie i to, co Jagienka z domu wywiozła, okna szklane sprowadził z Sieradza — i wspaniałą urządził siedzibę. Zbyszko z żoną i dziećmi przeniósł się jednak do kasztelu w piątym dopiero roku, gdy już i inne budowy, jak oto: stajnie, obory, kuchnie i łaźnie były ukończone, a z niemi razem i sklepy podziemne, które stawił stary na kamień i wapno, aby zaś trwałość miały niepożytą. Sam się jednak do zamku nie przeniósł: wolał zostać w starem domowstwie, a na wszelkie prośby Zbyszka i Jagienki odpowiadał odmownie, w taki sposób myśl swoją wyłuszczając:

— Tu już zamrę, gdziem się urodził. Widzicie, za czasów wojny Grzymalitów z Nałęczami spalon był do cna Bogdaniec — wszystkie budynki, wszystkie chałupy — ba! płoty nawet, jeno to domostwo zostało.

Ludzie gadali, że dla zbytku mchów na dachu nie chciało gorzeć — ale ja myślę, że była w tem i łaska Boża — i wola, abyśmy tu wrócili i stąd znowu wyrośli. Za czasów naszej wojaczki biadałem ja nieraz, że nie mamy do czego wracać, alem nie całkiem słusznie tak mówił, bo wiera nie było na czem gospodarzyć i co do gęby włożyć, ale było się gdzie schronić. Wy, młodzi, to co innego, ale ja tak już myślę, że skoro nas ów stary dom nie poniechał — to i mnie nie godzi się go poniechać.

I został. Lubił jednakże przychodzić do zameczku, aby oglądać jego wielkość i wspaniałość, w porównaniu z dawną siedzibą, a zarazem patrzeć na Zbyszka, na Jagienkę i na „wnęków". Wszystko, co tam widział, było w znacznej części jego dziełem, a jednak przejmowało go ono dumą i podziwem. Przyjeżdżał czasem do niego stary Wilk, aby z nim „ugwarzyć" przy ognisku, albo też on sam odwiedzał go w tymże zamiarze w Brzozowej, więc raz tak mu swoje myśli o tych „nowych porządkach" wypowiedział:

— Wiecie! Aże mi czasem cudnie. Bo przecie wiadomo, że Zbyszko i w Krakowie na zamku u króla bywał, (ba! mało mu tam głowy nie ucięli!), i na Mazowszu i w Malborku i u księcia Janusza, a Jagienka też się w dostatku chowała, ale przecie własnego kasztelu nie mieli... Ale teraz to tak, jakby nigdy inaczej nie żywili... Chodzą, mówię wam, po komnatach, chodzą, chodzą — i służbie rozkazania dają, a jak się zmęczą, to sobie siedną. Prawy kasztelan i kasztelanowa! Mają ci też komnatę, w której z sołtysami, z karbowymi i czeladzią obiadują, a w niej ławy, dla niego i dla niej wyższe — inni zaś poniżej siedzą i czekają, póki państwo godnie mis nie nałożą. Taki to dworski obyczaj, aże człek musi sobie przypominać, że to nie żadne wielkie państwo, jeno bratanek i bratankowa, którzy po ręku mnie starego bockają, na pierwszem miejscu sadzą i dobrodziejem swoim zowią.

— Dlatego im też Pan Jezus błogosławi — zauważył stary Wilk.

Zaczem, pokiwawszy smutnie głową, popił miodu, poruszył żelaznym pogrzebaczem głownie w ognisku i rzekł:

— A mojemu chłopu się zczezło!

— Wola Boska.

— A no! Starsi, których było pięciu, przedtem dawno polegli. Przecie wiecie. Już-ci wola Boska. Ale ten był ze wszystkich najtęższy. Prawy Wilk i gdyby nie był legł, toby dziś też może na własnym zamku siedział.

— Wolejby był Cztan poległ.

— Co ta Cztan! Niby to kamienie młyńskie na plecy bierze, a ile to razy mój go poszczerbił! Mój miał ćwiczenie rycerskie, a Cztana teraz żona po pysku pierze, bo choć jest chłop mocowy, ale głupi.

— Hej! jako podogonie! — przyświadczył Maćko.

I przy sposobności wynosił pod niebo nietylko ćwiczenie rycerskie, ale i rozum Zbyszka, że to w Malborgu z najprzedniejszymi rycerzami gonił na ostre, „a z książęty to ci wam tak będzie gadał,

jakoby orzechy gryzł". Chwalił też jego porządek w głowie i zabiegliwość w gospodarce, bez której prędkoby kasztel majętność zjadł. Nie chcąc, by stary Wilk myślał, że coś podobnego im może grozić, kończył przyciszonym głosem:

— No, z łaski Boga jest tu wszelkiego dobra dosyć, więcej, niż ludzie wiedzą, ale nie mówcie o tem nikomu.

Ludzie jednak domyślali się, wiedzieli i opowiadali sobie, aż do przesady, zwłaszcza o bogactwach, które Bogdanieccy mieli wywieźć ze Spychowa. Mówiono, że pieniądze solówkami wozili z Mazowsza. Wygodził też Maćko pożyczką kilkunastu grzywien możnym dziedzicom na Koniecpolu, co do ostatka utwierdziło okolicę w mniemaniu o jego „skarbach". Z tego powodu rosło znaczenie Bogdanieckich, rósł szacunek ludzi, i gości nigdy nie brakło w kasztelu, na co Maćko, choć oszczędny, nie patrzał niechętnem okiem, gdyż wiedział, że i to sławy rodowi przysparza.

Szczególnie chrzciny bywały sute, a raz na rok, po Matce Boskiej Zielnej, wyprawiał Zbyszko wielką ucztę dla sąsiedztwa, na którą i szlachcianki przyjeżdżały patrzeć na ćwiczenia rycerskie, słuchać gędźców i pląsać z młodymi rycerzami przy smolnych pochodniach aż do rana. Wtedy to paśł oczy i radował się stary Maćko widokiem Zbyszka i Jagienki, tak wyglądali dwornie i pańsko. Zbyszko zmężniał, rozrósł się, a choć przy potężnej i wyniosłej postawie twarz jego wydawała się zawsze młoda, jednakże, gdy bujny włos opiął przepaską z purpury, przybrał się w świetną, naszytą srebrnemi i złotemi nićmi szatę, to nietylko Maćko, ale i niejeden szlachcic mówił sobie w duszy: „Boga mi! iście książę jakoweś na zamku siedzące." A przed Jagienką przyklękali nieraz rycerze, znający zachodni obyczaj, prosząc, by chciała im być damą ich myśli — taki bił od niej blask zdrowia, młodości, siły i urody. Sam stary dziedzic na Koniecpolu, który był wojewodą sieradzkim, zdumiewał się jej widokiem i z zorzą poranną, a nawet i z „słonkiem" ją porównywał, „które światu jasność daje, a nawet i stare kości żywszą gorącością napełnia."

78.

Jednakże w piątym roku, gdy ład był wprowadzon we wszystkich wsiach nadzwyczajny, gdy nad skończoną czatownią powiewała już od kilku miesięcy chorągiew z Tępą Podkową, a Jagienka powiła szczęśliwie czwartego syna, którego nazwano Jurandem — tak rzekł raz stary Maćko do Zbyszka:

— Wszystko się darzy, i gdyby Pan Jezus jeszcze jedno zdarzył szczęśliwie — tobym już umarł spokojny.

A Zbyszko popatrzał nań pytającym wzrokiem i po chwili zapytał:

— Chyba o wojnie z Krzyżaki mówicie, bo czegóżby wam więcej trzeba?

— To ci rzekę, com drzewiej mówił — odpowiedział Maćko — że póki Mistrz Konrad żywie, wojny nie będzie.

— Albo to mu wiecznie żyć?

— Ale i mnie nie wiecznie, i dlatego o czem innem myślę.

— A zaś o czem?

— Ii! lepiej nie zapowiadać. Tymczasem się do Spychowa wybieram, a może zdarzy się i do książąt na Płocku i na Czersku.

Zbyszka nie zdziwiła zbytnio ta odpowiedź, albowiem w ciągu ostatnich lat kilkakrotnie stary Maćko wyjeżdżał do Spychowa, więc tylko zapytał:

— Długo zabawicie?

— Dłużej niż zwykle, bo się w Płocku zatrzymam.

Jakoż w tydzień później wyjechał Maćko, wziąwszy z sobą kilka wozów i zbroję dobrą, „na wypadek, jeśli się przyjdzie w szrankach potykać”. Na odjezdnem zapowiedział, że może zabawi dłużej niż zwykle, i istotnie zabawił dłużej, gdyż przez pół roku nie było o nim żadnej wieści. Zbyszko począł się niepokoić i w końcu wyprawił umyślnego do Spychowa, ale ów spotkał Maćka za Sieradzem i wrócił z nim razem.

Stary rycerz wrócił jakiś chmurny, ale wypytawszy dokładnie Zbyszka o wszystko, co się podczas jego niebytności działo — i zaspokojon, że wszystko szło dobrze, rozpogodził się nieco — i pierwszy zaczął mówić o swej wyprawie.

— Wiesz, że byłem w Malborku — rzekł.

— W Malborku?

— A gdzieby indziej?

Zbyszko popatrzał na niego przez chwilę zdumionemi oczyma, poczem uderzył się nagle dłonią po udzie i rzekł:

— O prze Bóg! A ja na śmierć zapomniałem.

— Wolno było tobie zapomnieć, boś ślubów dopełnił — odrzekł Maćko — ale nie daj Bóg, abym ja przysiędze i czci własnej umknął. Nie nasz to obyczaj, aby czegoś zaniechać — i tak mi dopomóż Święty Krzyż, jako póki mi tchu w nozdrzach, póty ja go nie zaniecham.

Tu zmierzchła twarz Maćka i stała się tak groźną i zawziętą, jako ją Zbyszko widywał tylko za dawnych lat, u Witolda i Skirwojłły, gdy miało przyjść do bitwy z Krzyżaki.

— No i co? — zapytał. — Odjął się wam?

— Nie odejmował się, bo mi nie stanął.

— Czemu zaś?

— Komturem wielkim został.

— Kuno Lichtenstein komturem ci wielkim został?

— Ba! Może go i Wielkim Mistrzem obiorą. Kto go wie! Ale on już i teraz z księżęty się równym być mniema. Mówią, że wszystkiem rządzi, i że wszystkie sprawy Zakonu na jego głowie, a Mistrz nic bez niego nie poczyna. Gdzie ci tam taki stanie na udeptaną ziemię! Na śmiech ludzki jeno zarobisz.

— Wyśmieli was? — zapytał Zbyszko, któremu oczy zaiskrzyły się nagle.

— Śmiała się księżna Aleksandra w Płocku: „Jedzże, powiada, i cesarza rzymskiego pozwij!” Jemu powiada, (niby Lichtensteinowi), jako wiemy, przysłali także pozwy i Zawisza Czarny, i Powała, i Paszko z Biskupic, a tez nawet takim mężom nie odkazał nic, bo nie może. Przecie nie serca mu brak, jeno że jest zakonnik i że (prawi) urząd ma tak znaczny i godny, że mu te rzeczy nie w głowie — i że więcejby czci uchybił przyjmując, nizli na pozwy nie zważając. Tak ci to pani mówiła.

— A wy co na to?

— Zafrasowałem się okrutnie, ale rzekłem, że i tak do Malborka muszę jechać, żeby powiedzieć Bogu i ludziom: „Co było w mojej mocy — tom uczynił.” Prosiłem tedy Pani, żeby mi obmyśliła jakoweś poselstwo i dała pisanie do Malborka, bom wiedział, że inaczej głowy z tego wilczego gniazda nie wywiozę. W duszy zaś myślałem tak: juzci nie chciał wyznaczyć zroku ni Zawiszy, ni Powale, ni Paszkowi, ale jeśli go wobec samego Mistrza, wszystkich komturów i gości za gębę porwę, a wąsy i brodę mu wyszarpnę — to przecie stanie.

— Bodaj-że was! — zawołał z zapałem Zbyszko.

— Co? — rzekł stary rycerz. — Na wszystko jest rada, byle głowę na karku mieć. Ale tu Pan Jezus łaski umknął, bom go w Malborku nie zastał. Powiedzieli, że do Witolda w posły pojechał. Nie wiedziałem wtedy, co czynić, czekać, czy za nim jechać. Bałem się rozminąć. Ale żem to z Mistrzem i wielkim szatnym miał z dawnych czasów znajomość — spuściłem im się z tajemnicy, dlaczegom przyjechał, oni zaś zakrzyknęli, że to nie może być.

— Czemu?

— Skroś tej samej przyczyny, którą księżna na Płocku wyłuszczyła. I Mistrz przytem rzekł: „Cobyś o mnie myślał, gdybym ja każdemu rycerzowi z Mazowsza, albo z Polski stawał?” No — praw był, bo dawnoby go już na świecie nie było. Cudowali się tedy obaj z szatnym — i opowiedzieli to przy stole na wieczerzy. To ci mówię, jakobyś w ul dmuchnął! A szczególnie między gośćmi podniosła się ich zaraz kupa: „Kuno — krzyczeli — nie może, ale my możem!” Wybrałem sobie tedy trzech, chcąc się z nimi po kolei potykać, ale Mistrz, po wielkich prośbach, pozwolił jeno z jednym, któremu na przezwisko było też Lichtenstein i który był Kuna krewny.

— No i co? — zakrzyknął Zbyszko.

— A no, juzci przywiozłem jego blachy, ale tak całkiem popękane, że i jednej grzywny nikt za nie nie da.

— Bójcie się Boga, toście przysięgę spełnili!

— Zrazu byłem rad, bom i sam tak mniemał, ale potem pomyślałem: „Nie! — to nie to samo!” I teraz spokoju nijakiego nie mam, bo nuż to nie to samo!

Lecz Zbyszko począł go pocieszać.

— Mnie też znacie, że w takich rzeczach ni sobie, ni komu nie folguję, ale gdyby mi się tak przygodziło, to miałbym dosyć. I to wam mówię, że najwięksi rycerze w Krakowie mi w tem przyświadczą. Sam Zawisza, który na czci rycerskiej najlepiej się zna, pewnie nie co innego powie.

— Tak mówisz? — zapytał Maćko.

— Pomyślcie jeno: oni sławni w całym świecie — i pozwali go też, a żaden nie sprawił nawet i tyle, ile wyście sprawili. Ślubowaliście śmierć Lichtensteinowi — i przecie Lichtensteinaście zarznęli.

— Może — rzekł stary rycerz.

A Zbyszko, który był ciekaw spraw rycerskich, zapytał:

— Nuże! mówcie: młody był, czy stary? i jakże było? z konia czy piechtą?

— Było mu ze trzydzieści pięć roków i brodę miał do pasa, a było z konia. Bóg mi pomógł, że go kopią zmacałem, ale potem przyszło do mieczów. To tak, mówię ci, krew mu z gęby buchała, że cała broda była jakoby jeden sopel.

— A narzekaliście nieraz, że się starzejecie?

— Bo jak na koń siędę, albo li się na ziemi rozkraczę, to się trzymam krzepko, ale już na siodło we zbroi całej nie skoczę.

— Ale i Kuno nie byłby się wam odjął.

Stary machnął pogardliwie ręką, na znak, że z Kunonem byłoby mu poszło znacznie łatwiej — poczem poszli oglądać zdobyczne „blachy”, które Maćko zabrał tylko na znak zwycięstwa, bo zresztą były zbyt potrzaskane i dlatego bez wartości. Tylko nabiodrza i naramienniki były nietknięte i roboty bardzo przedniej.

— Wolałbym wszelako, żeby to były Kunona — mówił posępnie Maćko.

Na co Zbyszko:

— Wie Pan Bóg co lepiej. Kunona, jeśli Mistrzem zostanie, to już nie dostaniecie, chybaby w jakowej wielkiej bitwie.

— Nadstawiałem ci ja ucha, co ludzie mówią — odrzekł Maćko. — Jedni tedy gadają, że po Kondracie będzie Kuno, a drudzy, że brat Kondratowy Ulryk.

— Wolałbym, żeby był Ulryk — rzekł Zbyszko.

— I ja, a wiesz dlaczego? Kuno rozum ma większy i chytrzejszy, a Ulryk zapalczywszy. Prawy to jest rycerz, któren czci dochowuje, ale do wojny z nami aż drży. Powiadają też, że byle Mistrzem ostał, to przyjdzie wnet taka nawałnica, jakiej na świecie nie bywało. A na Kondrata omdlałości pono już często przychodzą. Raz go zamroczyło i przy mnie. Hej! może doczekamy!

— Daj to Bóg! A są jakie nowe niezgody z królestwem?

— Są stare i nowe. Krzyżak zawsze Krzyżakiem. Chociaż wie, żeś mocniejszy, i że z tobą źle zadrzeć, będzie ci na twoje dybał, bo inaczej nie może.

— Przecie oni myślą, że Zakon od wszystkich królestw mocniejszy.

— Nie wszyscy, ale wielu, a między nimi i Ulryk. Bo w rzeczy, potęga to jest okrutna.

— A pamiętacie, co mówił Zyndram z Maszkowic?

— Pamiętam i tam z każdym rokiem gorzej. Brat brata tak nie przyjmie, jako mnie tam przyjmowali, gdy żaden Krzyżak nie poglądał. Mają ich tam wszyscy dosyć.

— To i niedługo czekać!

— Niedługo, albo i długo — rzekł Maćko.

I po chwili zastanowienia dodał:

A tymczasem trza harować — i majętności przysparzać, aby godnie w pole wystąpić.

79.

Mistrz Konrad zmarł jednak dopiero w rok później. Jaśko ze Zgorzelic, brat Jagienki, który pierwszy usłyszał w Sieradzu nowinę i o jego śmierci i o obiorze Ulryka von Jungingen, pierwszy też przywiózł ją do Bogdańca, w którym, zarówno jak i we wszystkich szlacheckich siedzibach, wstrząsnęła ona do głębi dusze i serca. „Nastają czasy, jakich dotychczas nie bywało” — rzekł uroczyście stary Maćko, a Jagienka przyprowadziła w pierwszej chwili wszystkie dzieci przed Zbyszka i sama poczęła się z nim żegnać, jakby już nazajutrz miał wyruszyć. Maćko i Zbyszko wiedzieli wprawdzie, że wojna nie rozpala się tak odrazu, jak ogień w kominie, niemniej jednak wierzyli, że do niej przyjdzie — i poczęli się gotować. Wybierali konie, zbroje, ćwiczyli w wojennem rzemiośle giermków, czeladź, sołtysów ze wsi, siedzących na niemieckiem prawie, którzy obowiązani byli konno stawać na wyprawę — i ubogszą szlachtę — władyków — ci bowiem radzi garnęli się do możniejszych. A to samo czyniono i po wszystkich innych dworach, wszędy biły młoty w kuźniach, wszędy czyszczono stare pancerze, nacierano stopionem w sałhanach sadłem łuki i rzemienie, kowano wozy, czyniono zapasy spyży w krupach i wędzonem miesiwie. Przy kościołach w niedziele i święta wypytywano o nowiny i smucono się, gdy przychodziły pokojowe, albowiem każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potędze, w spokoju i pracy królestwo, póki, wedle słów św. Brygidy, nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

W Krześni zaś szczególnie otaczano Maćka i Zbyszka, jako ludzi, znających Zakon i świadomych wojny z Niemcami. Wypytywano się ich nietylko o nowiny, ale i sposoby na Niemców: jak najlepiej w nich bić, jak mają zwyczaj się potykać, w czem od Polaków wyżsi, a w czem niżsi i czy po skruszeniu kopji łatwiej na nich zbroje łamać toporem, czyli też mieczem.

Oni zaś byli istotnie tych rzeczy świadomi, więc słuchano ich z wielką uwagą, tembardziej, że było przekonanie powszechne, że wojna

to nie będzie łatwa, że przyjdzie się mierzyć z najprzedniejszem rycerstwem wszelkich krajów i nie poprzestawać na tem, że tu i owdzie pokołacze się nieprzyjaciela, jeno uczynić to rzetelnie, do „cna”, albo też zginąć z kretesem. Mówili tedy między sobą władykowie: „Skoro trzeba, to trzeba — ich śmierć albo nasza.” I pokoleniu, które w duszach nosiło poczucie przyszłej wielkości, nie odbierało to ochoty, owszem! rosła ona z każdą godziną i dniem, ale przystępowano do dzieła bez próżnej chwalby i chełpliwości, a raczej z pewnem zawziętem skupieniem i z gotową na śmierć powagą.

— Nam, albo im, śmierć pisana.

Ale tymczasem czas upływał i dłużył się, a wojny nie było. Mówiono wprawdzie o niezgodzie między królem Władysławem a Zakonem — i jeszcze o ziemi Dobrzyńskiej, choć była już przed laty wykupiona i o sporach nadgranicznych, o jakowemś Drezdenku, o którem wielu po raz pierwszy w życiu słyszało, a o które spierały się jakoby obie strony, ale wojny nie było. Niektórzy poczęli nawet już wątpić, czy będzie, bo przecie spory bywały zawsze, ale kończyło się zwykle na zjazdach, układach i wysyłaniu poselstw. Owóż rozeszła się wieść, że i teraz przyjechali jacyś posłowie krzyżaccy do Krakowa, a polscy udali się do Malborga. Poczęto mówić o pośrednictwie królów czeskiego i węgierskiego, a nawet samego papieża. Zdala od Krakowa nie wiedziano niczego dokładnie, więc rozmaite, a często dziwaczne i niepodobne, chodziły między ludźmi słuchy, a wojny nie było.

W końcu i sam Maćko, za którego pamięci niemało przeszło gróźb wojennych i układów — nie wiedział, co o wszystkiem myśleć i wybrał się do Krakowa, aby jakiejś pewniejszej wieści zasięgnąć. Zabawił tam niedługo, bo szóstego tygodnia był już z powrotem — i wrócił z twarzą wielce wyjaśnioną. Gdy zaś w Krześni otoczyła go, jak zwykle, ciekawa nowin szlachta, na liczne pytania odpowiedział im pytaniem:

— A groty u kopji i topory macie wyostrzone?

— Albo co? Nuże! Na rany Boskie! jakie nowiny? Kogoście widzieli? — wołano ze wszystkich stron.

— Kogo widziałem? Zyndrama z Maszkowic! — A jakie nowiny? Takie, że pono wraz konie siodłać przyjdzie.

— Prze Bóg! Jakże to? powiadajcie!

— A słyszeliście o Drezdenku?

— Juzci,ześmy słyszeli. Ale zameczek to jakich wiele i ziemi bogdaj tam nie więcej nizli u was w Bogdańcu.

— Marna to wojny przyczyna, co?

— Pewnie, że marna; bywały i większe, a przecie nic potem nie nastąpiło.

— A wiecie, jaką mi przypowieść Zyndram z Maszkowic z przyczyny Drezdenka powiedział?

— Prędzej mówcie, bo nam czapki na łbach zgorzeją!

— Powiedział mi tedy tak: „Szedł ślepy gościńcem i przewalił się przez kamień. Przewalił się, bo był ślepy, ale przecie kamień przyczyną.” Otóż Drezdenko to taki kamień.

— Jakże to? Jeszcze ci Zakon stoi.

— Nie rozumiecie? Tedy wam inaczej tak powiem: Gdy naczynie zbyt pełne, to jedna kropla je przeleje.

Więc zapał ogarniał rycerstwo tak wielki, iż Maćko musiał go hamować, bo chcieli zaraz na koń siadać i do Sieradza ciągnąć.

— Bądźcie gotowi — mówił im — ale czekajcie cierpliwie. Już też i o nas nie zapomną.

Więc trwali w gotowości, ale czekali długo, tak nawet długo, że niektórzy poczęli znów wątpić. Lecz Maćko nie wątpił, bo jako z przylotu ptactwa poznaje się nadejście wiosny, tak on, jako człek doświadczony, umiał z rozmaitych oznak wywnioskować, że zbliża się wojna — i to wielka.

Więc naprzód nakazano łowy we wszystkich borach i puszczach królewskich, tak ogromne, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Zbierano tedy tysiącami osaczników na obławy, na których padały całe stada żubrów, turów, jeleni, dzików i różnej pomniejszej zwierzyny. Lasy dymiły przez całe tygodnie i miesiące, w dymach zaś wędzono solone mięsiwo, a następnie odsyłano je do miast wojewódzkich, a stamtąd na skład do Płocka. Oczywistem było, że szło o zapasy dla wielkich wojsk. Maćko wiedział dobrze, co o tem myśleć, bo takie same łowy nakazywał przed każdą większą wyprawą na Litwie Witold. Lecz były i inne oznaki. Oto chłopi poczęli całemi gromadami uciekać „z pod Niemca” do królestwa i na Mazowsze. W okolicę Bogdańca przybywali głównie poddani niemieckich rycerzy ze Śląska, ale wiedziano, że wszędzie dzieje się to samo, a zwłaszcza na Mazowszu. Czech, gospodarzący w Spychowie na Mazowszu, przysłał stamtąd kilkunastu Mazurów, którzy schronili się do niego z Prus. Ludzie ci prosili, by im pozwolono wziąć udział w wojnie „na piechtę” — albowiem chcieli pomścić się swych krzywd na Krzyżakach, których nienawidzili duszą całą. Powiadali też, że niektóre nadgraniczne wsie w Prusiech prawie zupełnie opustoszały, albowiem kmiecie przenieśli się z żonami i dziećmi do księstw mazowieckich. Krzyżacy wieszali wprawdzie schwytanych zbiegów, ale nieszczęsnego ludu nic już nie mogło powstrzymać i niejeden wolał śmierć od życia pod straszliwem jarzmem niemieckiem. Następnie poczęli się roić w całym kraju „dziadowie” z Prus. Ciągnęli oni wszyscy do Krakowa. Napływali z Gdańska, z Malborga, z Torunia, z dalekiego nawet Królewca, ze wszystkich pruskich miast i ze wszystkich komandorji. Byli między nimi nietylko dziady, ale klechowie, organiści, różni słudzy klasztorni, a nawet klerycy i księża. Domyślano się, że znoszą wiadomości o wszystkiem, co się dzieje w Prusiech: o przygotowaniach wojennych, o utwierdzaniu zamków, o załogach, o wojskach najemnych i gościach. Jakoż szeptano sobie, że wojewodowie po miastach wojewódzkich, a w Krakowie rajcy krakowscy zamykali się z nimi całemi godzinami, słuchając ich i spisując ich wiadomości. Niektórzy wracali chyłkiem do Prus, a potem znowu zjawiali się w królestwie. Dochodziły wieści z Krakowa, że król i panowie rada wiedzą przez nich o każdym kroku Krzyżaków.

Przeciwnie działo się w Malborgu. Pewien duchowny, zbiegły

z tej stolicy, zatrzymał się u dziedziców Koniecpola i opowiadał im, że Mistrz Ulryk i inni Krzyżacy nie troszczą się o wieści z Polski i że pewni są, iż jednym zamachem zawojują i obalą na wieki wieków całe królestwo, „tak, aby ślad po niem nie został”. Powtarzał przytem słowa Mistrza, wypowiedziane na uczcie w Malborgu: „Im ich więcej będzie, tembardziej kożuchy w Prusiech potanieją.” Gotowali się więc do wojny w radości i upojeniu, dufni we własną silę i pomoc, którą im wszystkie, najdalsze nawet królestwa nadeślą.

Lecz mimo tych wszystkich wojennych oznak, przygotowań i zabiegów, wojna nie przychodziła tak prędko, jak sobie ludzie życzyli. Młodemu dziedzicowi z Bogdańca „cniło się” już także w domu. Wszystko było oddawna gotowe; dusza rwała się w nim do sławy i do boju, przeto ciężki mu był każdy dzień zwłoki — i często czynił o to wymówki stryjcowi, tak, jakby wojna lub pokój od niego zależały.

— Boście obiecowali napewno, że będzie — mówił — a tu nic i nic!

Na to zaś Maćko:

— Mądryś, ale niebardzo! A to nie widzisz, co się dzieje?

— A jak się król w ostatniej godzinie zgodzi? Mówią, że nie chce wojny.

— Bo nie chce, ale któż jak nie on, zakrzyknął: „Chybabym nie był królem, gdybym Drezdenko zabrać pozwolił”, a Drezdenko Niemce jak wzięli, tak i dotychczas dzierżą. Ba! król nie chce rozlewu krwi chrześcijańskiej, ale panowie rada, którzy rozum mają bystry, czując większą moc polską przypierają Niemców do ściany — i to ci jeno rzekę, że gdyby nie było Drezdenka, toby się znalazło co innego.

— Bo jako słyszałem, to jeszcze Mistrz Kondrat zabrał Drezdenko, a on się pewno króla bał.

— Bał się, gdyż lepiej od innych przeznał potęgę polską, ale chciwości zakonnej i on nie umiał pohamować. W Krakowie mówili mi tak: Stary von Ost, dziedzic Drezdenka, w czasie, gdy Krzyżaki zabierały Nową Marchję, pokłonił się, jako hołdownik królowi, gdyż to ziemia była od wieków polska, więc chciał do Królestwa należeć. Ale zaprosili ci go Krzyżacy do Malborka, spoili winem i uzyskali od niego zapis. Wtedy to zbrakło już do ostatka królowi cierpliwości.

— Wiera, że mogło mu zbraknąć! — zawołał Zbyszko.

Lecz Maćko rzekł:

— Ale to tak jest, jako Zyndram z Maszkowic powiadał: Drezdenko to jeno kamień, przez który się ślepy przewalił.

— Gdyby zaś Niemce oddali Drezdenko, to co będzie?

— To znajdzie się inny kamień. Ale nie odda ci Krzyżak tego, co raz półknął, chyba mu brzucho rozpłatasz, co daj Bóg, abyśmy prędko uczynili.

— Nie! — zawołał pokrzepiony na duchu Zbyszko. — Kondrat możeby oddał, Ulryk nie odda. Prawy to rycerz, na którym skazy nijakiej nie masz, ale okrutnie zapalczywy.

Tak to oni z sobą rozmawiali, a tymczasem zdarzenia staczały

się, jakby kamienie, potrącone na ścieżkach górskich nogą przechodnia, z coraz większym pędem ku przepaści.

Nagle rozegrzmiała po całym kraju wiadomość, że Krzyżacy napadli i zagrabili staropolski, zastawiony Johannitom Santok. Nowy mistrz Ulryk, który, gdy posłowie polscy przybyli, aby mu złożyć życzenia z powodu jego wyboru, wyjechał umyślnie z Malborga i który od pierwszej chwili swych rządów nakazał, by w stosunkach z królem i Polską, miasto łaciny, używać języka niemieckiego — pokazał wreszcie, kim jest. Krakowscy panowie, którzy po cichu pchali do wojny, zrozumieli, że on do niej pcha głośno i nietylko głośno, ale naoślep i z takiem zuchwalstwem, jakiego względem polskiego narodu nie dopuszczali się nigdy mistrzowie nawet wówczas, gdy ich potęga była w istocie większą, a królestwa mniejszą, niż ninie.

Jednakże, mniej zapalczywi, a przebieglejsi od Ulryka dostojnicy Zakonu, którzy znali Witolda, starali się go sobie zjednać darami i pochlebstwy, tak przechodzącymi wszelką miarę, iż podobnych trzeba było chyba szukać w tych czasach, gdy cezarom rzymskim wznoszono za życia świątynie i ołtarze. — „Dwóch jest dobrodziejów Zakonu — mówili posłowie krzyżaccy, bijąc czołem temu namiestnikowi Jagiełły — pierwszy Bóg, a drugi Witold; przeto jest święte każde życzenie i każde słowo Witolda dla Krzyżaków.” I błagali go o rozjemstwo w sprawie o Drezdenko, w tej myśli, że gdy, jako podległy królowi, podejmie się sądzić swego zwierzchnika, tem samem go obrazi — i dobre ich stosunki przerwą się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas dłuższy. Lecz, że panowie-rada wiedzieli o wszystkiem, co się w Malborgu dzieje i zamierza, przeto król wybrał także Witolda na rozjemcę.

I pożałował Zakon wyboru. Dostojnicy krzyżaccy, którym zdawało się, że znają wielkiego księcia, znali go niedość jeszcze, albowiem Witold nietylko przysądził Drezdenko Polakom, lecz wiedząc zarazem i odgadując, na czem się sprawa skończyć musi — podniósł znów Żmujdź i coraz groźniejsze ukazując Zakonowi oblicze, jął się wspomagać ludźmi, orężem i zbożem, z żyznych ziem polskich nadsyłanem.

Co gdy się stało, wszyscy, po wszystkich ziemiach olbrzymiego państwa, zrozumieli, że wybiła stanowcza godzina. Jakoż wybiła.

Raz w Bogdańcu, gdy stary Maćko, Zbyszko i Jagienka siedzieli przed bramą kasztelu, zażywając cudnej pogody i ciepła — zjawił się nagle na spienionym koniu nieznany człowiek, cisnął coś nakształt wieńca splecionego z łozy i wierzbiny pod nogi rycerzy — i krzyknąwszy: „Wici! wici!” — pomknął dalej.

A oni zerwali się na równe nogi w wielkiem wzruszeniu. Twarz Maćka stała się groźna i uroczysta. Zbyszko skoczył, aby pchnąć giermka z wicią dalej, poczem wrócił z ogniem w źrenicach i zawołał:

— Wojna! Wreszcie Bóg dał! Wojna!

— I taka, jakiejśmy przedtem nie widzieli! — dorzucił poważnie Maćko.

Następnie krzyknął na czeladź, która w mig zebrała się wokół państwa:

— Dąć w rogi z czatowni na cztery ſtrony świata! a inni niech ſkoczą na wſie po ſołtyſów. Konie ze ſtajen wywieźć i wozy zaprzęgać! Duchem!!

I głos jego jeſzcze nie przegrzmiał, gdy czeladź kopnęła ſię w różne ſtrony, aby ſpełnić rozkazy, które nie były trudne, gdyż wſzyſtko zdawna było gotowe: ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapaſy — tylko ſiadać i jechać.

Lecz przedtem Zbyſzko jeſzcze zapytał Maćka:

— A wy nie oſtaniecie w domu?

— Ja? Co ci w głowie?

— Bo wedle prawa możecie, że to człowiek z was w leciech podeſzły, a byłaby jakowaś opieka nad Jagienką i dziećmi.

— No, to ſłuchaj: ja do białego włoſa czekał na tę godzinę.

I doſyć było ſpojrzeć na jego zimne, zawzięte oblicze, aby poznać, że na nic wſzelka namowa. Zreſztą, mimo ſiódmego krzyżaka, chłop był jeſzcze czerſtwy jak dąb i ręce łatwo chodziły mu w ſtawach, a topór w nich aż warczał. Nie mógł wprawdzie już ſkoczyć w pełnej zbroi bez ſtrzemion na konia, ale i wielu młodych, zwłaſzcza między zachodnimi rycerzami, tego uczynić nie mogło. Natomiaſt ćwiczenie rycerſkie poſiadał ogromne i bardziej doświadczonego wojownika nie było w całej okolicy.

Jagienka też widocznie nie obawiała ſię ſama zoſtać, gdyż uſłyſzawſzy ſłowa męża, wſtała i ucałowawſzy go w rękę, rzekła:

— Nie fraſuj ſię ty o mnie, miły Zbyſzku, bo kaſztel jeſt godny, a i to wieſz, że ja tam niezbyt płochliwa i że ni kuſza ni ſulica mi nie nowina. Nie czas o nas myśleć, gdy trza króleſtwo ratować, a nad nami tu Bóg będzie opiekunem.

I nagle oczy jej wezbrały łzami, które ſtoczyły ſię w wielkich kroplach po cudnej liliowej twarzy. Więc ukazawſzy gromadkę dzieci, tak dalej mówiła wzruſzonym, drgającym głoſem:

— Hej! żeby nie one pędraki, pótyby ja ci u nóg leżała, pókibyś mnie nie wziął na tę wojnę!

— Jaguś! — zawołał Zbyſzko, chwytając ją w ramiona.

A ona objęła mu też ſzyję i jęła powtarzać, tuląc ſię do niego z całej ſiły:

— Jeno mi ty wróć, mój złoty, mój jedyny, mój najmilejſzy!

— A zaś codzień dziękuj Bogu, że ci dał taką niewiaſtę! — dodał grubym głoſem Maćko.

I w godzinę później ściągnięto z czatowni chorągiew na znak nieobecności panów. Zbyſzko i Maćko zezwolili, aby Jagienka razem z dziećmi odprowadziła ich do Sieradza, więc po obfitym poſiłku ruſzyli wſzyſcy razem z ludźmi i całym taborem wozów.

Dzień był jaſny, bez wiatru. Bory ſtały w ciſzy nieruchome. Stada na polach i ugorach zażywały także południowego ſpoczynku, przeżuwając paſzę powolnie i jakby w zamyśleniu. Jeno z powodu ſuchości powietrza, wznoſiły ſię tu i owdzie po drogach kłęby złotego kurzu, a nad owymi kłębami płonęły jakby ogniki niezmiernie w ſłońcu błyſzczące. Zbyſzko ukazywał je żonie i dzieciom, mówiąc?

— Wiecie, co się tam błyska nad kurzawą. To groty kopii i sulic. Wszędy już widać wici doszły i zewsząd ciągnie naród na Niemca.

Jakoż tak było. Niedaleko za granicą Bogdańca spotkali brata Jagienki, młodego Jaśka ze Zgorzelic, który, jako dziedzic dość możny, szedł w trzy kopie, a ludu prowadził z sobą dwudziestu.

Wkrótce potem na rozstaju wychyliło się ku nim z tumanów zarosłe oblicze Cztana z Rogowa, który nie był wprawdzie przyjacielem Bogdanieckich, ale teraz krzyknął zdala: „Bywaj na psubraty!" — i skłoniwszy się im życzliwie, pocwałował w siwym obłoku dalej. Spotkali także i starego Wilka z Brzozowej. Głowa już mu się trzęsła nieco ze starości, ale ciągnął i on, by pomścić śmierć syna, którego mu na Śląsku Niemcy zabili.

I w miarę, jak zbliżali się do Sieradza, coraz częstsze były po drogach obłoki kurzawy, a gdy zdala ukazały się już wieże miejskie, cały gościniec roił się od sołtysów i od zbrojnych pachołków, którzy wszyscy ciągnęli na miejsce zbioru. Widząc tedy ów lud rojny, a czerstwy i tęgi, w boju uporny, a na niewygody, słoty, chłody i wszelkie trudy nad wszystkie inne wytrzymały, krzepił się w sercu stary Maćko i pewne wróżył sobie zwycięstwo.

80.

I wojna wybuchła wreszcie, nie obfita z początku w bitwy, ale w pierwszych chwilach niezbyt dla Polaków pomyślna. Nim nadciągnęły siły polskie, zdobyli Krzyżacy Bobrowniki, zrównali z ziemią Złotorję — i znów zajęli nieszczęsną, a z takim trudem niedawno odzyskaną ziemię Dobrzyńską. Lecz pośrednictwo czeskie i węgierskie przygasiło na czas burzę wojenną. Nastąpił rozejm, w czasie którego Wacław, król czeski, miał sądzić spory między Polską a Zakonem.

Nie przestano jednak gromadzić wojsk i posuwać ich ku sobie w czasie zimowych i wiosennych miesięcy, gdy zaś przekupiony król czeski wydał wyrok na korzyść Zakonu, wojna musiała wybuchnąć na nowo.

A tymczasem nadeszło lato, a z nim razem nadciągnęły „narody" pod Witoldem. Po przeprawie pod Czerwieńskiem połączyły się oba wojska i chorągwie książąt mazowieckich. Z drugiej strony w obozie pod Świeciem stanęło sto tysięcy zakutych w żelazo Niemców. Chciał król przeprawić się przez Drwęcę i pójść krótką drogą ku Malborgowi, lecz gdy przeprawa okazała się niepodobną, zawrócił od Kurzętnika ku Działdowu i po skruszeniu zamku krzyżackiego Dąbrowna czyli Gilgenburga, położył się tamże obozem.

Zarówno on, jak i dostojnicy polscy i litewscy, wiedzieli, że walna rozprawa musi wkrótce nastąpić, nikt jednak nie sądził, żeby miało przyjść do niej prędzej, niż za kilka dni. Przypuszczano, że Mistrz, zabieżawszy drogę królowi, zechce dać wypoczynek swym zastępom, aby do śmiertelnej walki stanęły niestrudzone i świeże. Tym-

czasem wojska królewskie zatrzymały się na noc w Dąbrownie. Wzięcie tej fortecy, lubo bez rozkazów, a nawet wbrew woli rady wojennej, napełniło otuchą serce króla i Witolda, zamek to bowiem był potężny, oblany jeziorem, o grubych murach i licznej załodze. A jednak rycerstwo polskie wzięło go niemal w mgnieniu oka, z zapałem tak niepohamowanym, że nim cały obóz nadciągnął, już z miasta i zamku pozostały tylko gruzy i zgliszcza, wśród których dzicy wojownicy Witolda i Tatarzy pod Saladynem wycinali ostatki broniących się z rozpaczą niemieckich knechtów.

Pożar jednakże nie trwał długo, gdyż zgasiła go, krótko wprawdzie trwająca, ale ogromna ulewa. Cała noc z czternastego na piętnasty lipca była dziwnie zmienna i nawałnista. Wicher przepędzał burzę za burzą. Chwilami niebo zdało się całe płonąć od błyskawic i grzmoty roztaczały się ze straszliwym łoskotem między wschodem a zachodem. Częste gromy napełniały zapachem siarki powietrze, to znów szum dżdżu zagłuszał wszystkie inne odgłosy. A potem wiatr rozpędzał chmury i wpośród ich strzępów widać było gwiazdy i jasny wielki miesiąc. Po północy dopiero uciszyło się nieco, tak, że można było przynajmniej ognie rozpalić. Jakoż w tej chwili zabłysły ich tysiące i tysiące w niezmiernym polsko-litewskim obozie. Wojownicy suszyli przy nich przemokłe szaty i śpiewali pieśni bojowe.

Król czuwał również, albowiem w domu położonym na samym skraju obozów, do którego schronił się przed burzą, zasiadała rada wojskowa, przed którą zdawano sprawę ze zdobycia Gilgenburga. Ponieważ w szturmie brała udział chorągiew sieradzka, więc przywódca jej, Jakób z Koniecpola, wezwany był wraz z innymi do usprawiedliwienia się, dlaczego bez rozkazów dobywali miasta i nie zaniechali szturmu, chociaż król wysłał dla powstrzymania ich swego podwojskiego i kilku podręcznych pachołków.

Z tej przyczyny wojewoda, nie będąc pewien, czy nie spotka go nagana, albo nawet i kara, zabrał z sobą kilkunastu przedniejszych rycerzy, a między nimi starego Maćka i Zbyszka, jako świadków, że podwojski dotarł do nich dopiero wówczas, gdy byli już na murach zamku i w chwili najzawziętszej bitwy z załogą. A co do tego, że uderzył na zamek: „trudno (mówił) pytać o wszystko, gdy wojska na kilka mil się rozciągają.” Wysłany będąc w przodku, rozumiał, iż ma powinność kruszyć przeszkody przed wojskiem i bić nieprzyjaciela, gdzie go napotka. Więc wysłuchawszy tych słów, król, książę Witold i panowie, którzy w duszy radzi byli temu, co się stało, nietylko nie przyganili wojewodzie i Sieradzanom ich postępku, ale sławili jeszcze ich męstwo, że „tak wartko pożyli zamek i mężną załogę”. Mogli wówczas Maćko i Zbyszko napatrzyć się największym głowom w Królestwie, bo prócz króla i książąt mazowieckich znajdowali się tam dwaj przywódcy wszystkich zastępów: Witold, który Litwinom, Żmujdzi, Rusinom, Besarabom, Wołochom i Tatarom przywodził — i Zyndram z Maszkowic, herbu „tego samego co słońce”, miecznik krakowski, główny sprawca wojsk polskich, przewyższający wszystkich znajomością spraw wojennych. Oprócz nich byli w tej radzie wielcy wojownicy

i statyści: kasztelan krakowski, Krystyn z Ostrowa i wojewoda krakowski, Jaśko z Tarnowa i poznański, Sędziwój z Ostroroga i Sędomierski: Mikołaj z Michałowic i proboszcz od św. Florjana, a zarazem podkanclerzy Mikołaj Trąba i marszałek Królestwa: Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec podkomorzy krakowski i wreszcie Ziemowit, syn Ziemowita, księcia na Płocku, jeden między nimi młody, ale dziwnie „do wojny przemyślny”, którego zdanie wysoce sobie sam wielki król cenił.

A w przyległej, obszernej izbie czekali, aby być pod ręką i w razie zapytania radą się przysłużyć, najwięksi rycerze, których sława grzmiała szeroko w Polsce i za granicą; więc ujrzeli tam Maćko i Zbyszko Zawiszę Czarnego Sulimczyka i jego brata Farureja i Skarbka Abdanka z Gór i Dobka z Oleśnicy, który swego czasu dwunastu niemieckich rycerzy w Toruniu na turnieju z siodła wysadził i olbrzymiego Paszka Złodzieja z Biskupic i Powałę z Taczewa, który życzliwym im był przyjacielem i Krzona z Kozichgłów i Marcina z Wrocimowic, który wielką chorągiew całego Królestwa nosił i Florjana Jelitczyka z Korytnicy i strasznego w ręcznem spotkaniu Lisa z Targowiska i Staszka z Charbimowic, który w pełnej zbroi przez dwa rosłe konie mógł przeskoczyć.

Było i wielu innych słynnych rycerzy przedchorągiewnych z rozmaitych ziem i z Mazowsza, których przedchorągiewnymi zwano dlatego, że w pierwszym szeregu stawali do bitwy. Lecz znajomkowie, a szczególnie Powała, radzi witali Maćka i Zbyszka i zaraz poczęli z nimi o dawnych czasach i przygodach rozmawiać.

— Hej! — mówił do Zbyszka pan z Taczewa. — Juz-ci ciężkie ty masz z Krzyżaki rachunki, ale tak tuszę, że im teraz za wszystkie czasy zapłacisz.

— Zapłacę, choćby krwią, jako i wszyscy zapłacim! — odrzekł Zbyszko.

— A wiesz, że twój Kuno Lichtenstein jest ninie wielkim komturem? — ozwał się Paszko Złodziej z Biskupic.

— Wiem i stryj wiedzą też.

— Daj mi go Bóg spotkać — przerwał Maćko — bo ja osobną mam z nim sprawę.

— Ba! Przecie pozywaliśmy go i my — odpowiedział Powała — ale odrzekł, że urząd nie pozwala mu się potykać. No, teraz chyba pozwoli.

Na to zaś Zawisza, który zawsze mówił z powagą wielką, rzekł:

— Tego on będzie, komu go Bóg przeznaczy.

Lecz Zbyszko z samej ciekawości wytoczył zaraz przez sąd Zawiszy sprawę stryjka i zapytał, czy nie zadość się stało ślubowaniu przez to, że Maćko potykał się z krewnym Lichtensteina, który się ofiarował w zastępstwo i takowego zabił. I wszyscy zakrzyknęli, że zadość. Sam tylko zawzięty Maćko, chociaż ucieszył się z wyroku, rzekł:

— Ba, przecież pewniejszy byłbym zbawienia, gdybym samego Kunona spotkał!

I następnie poczęli mówić o wzięciu Gilgenburga i o przyszłej

wielkiej bitwie, której spodziewali się wkrótce, bo przecie nie miał Mistrz nic innego do zrobienia, jeno królowi drogę zabiedz.

Ale gdy właśnie łamali głowy nadtem, za ile dni spotkanie może nastąpić, zbliżył się ku nim chudy i długi rycerz, przybrany w czerwone sukno z takąż mycką na głowie i rozłożywszy ręce, rzekł miękkim, prawie niewieścim głosem:

— Pozdrowienie ci, rycerzu Zbyszku z Bogdańca!

— De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko — tyś tu!

I chwycił go w objęcia, gdyż wdzięczne pozostało mu o nim wspomnienie, a gdy ucałowali się, jakby najbliżsi przyjaciele, począł wypytywać z radością:

— Tyś tu? po naszej stronie?

— Wielu może geldryjskich rycerzy znajduje się po tamtej stronie — odrzekł de Lorche — ale jam panu memu, księciu Januszowi, służby z Długolasu powinien.

— Toś ty dziedzicem po starym Mikołaju na Długolesie?

— Tak. Bo po śmierci Mikołaja i syna jego, któreś pod Bobrownikami zabił, Długolas przypadł na cudną Jagienkę, a od lat pięciu moją niewiastę i panią.

— Dla Boga! — zawołał Zbyszko — powiadaj, jako ci to przyszło?

Lecz de Lorche, powitawszy starego Maćka, rzekł:

— Dawny wasz giermek Głowacz powiedział mi, że was tu znajdę, a teraz czeka u mnie w namiocie i nad wieczerzą czuwa. Dalekoć to wprawdzie i na drugim końcu obozu, ale końmi prędko się przejedzie — więc jedźcie ze mną.

Poczem, zwróciwszy się do Powały, którego poznał w dawniejszych czasach w Płocku, dodał:

— I wy, szlachetny panie. Będzie to dla mnie szczęście i honor.

— Dobrze — odparł Powała. — Miło ze znajomymi ugwarzyć, a po drodze jeszcze się obozowi przypatrzym.

Więc wyszli, by siąść na koń i jechać. Przedtem jednak sługa de Lorchego ponarzucał im na ramiona opończe, które widocznie przywiózł umyślnie. Ów, zbliżywszy się do Zbyszka, pocałował go w rękę i rzekł:

— Pokłon i cześć wam, panie. Jam dawny sługa wasz, ale w ciemności nie możecie mnie rozeznać. Czy pamiętacie Sanderusa?

— Prze Bóg! — zawołał Zbyszko.

I na chwilę odżyły w nim wspomnienia przeżytych smutków, bólów i dawnej niedoli, tak samo, jak parę tygodni temu, gdy po połączeniu się wojsk królewskich z chorągwiami książąt mazowieckich, spotkał po długiem niewidzeniu dawnego swego giermka Hlawę.

Więc rzekł:

— Sanderus! Hej! Pamiętam i te dawne czasy i ciebie! Cóżeś od onej pory porabiał i gdzieś się obracał? Zali już nie nosisz relikwji?

— Nie, panie. Aż do ostatniej wiosny byłem klechą przy kościele w Długolesie, ale że nieboszczyk ojciec mój wojennem rzemiosłem się

zajmował, przeto, gdy wojna wybuchła, zaraz mi zbrzydła miedź na kościelnych dzwonach, a zbudziła się chętka do żelaza i stali.

— Co słyszę! — zawołał Zbyszko, który jakoś nie mógł wyobrazić sobie Sanderusa, stawającego z mieczem, rohatyną, albo toporem do boju.

Ów zaś rzekł, podając mu strzemię:

— Rok temu z rozkazu biskupa płockiego chodziłem do pruskich krajów, przez co znaczną posługę oddałem, ale to później opowiem, a teraz siadajcie Wasza Wielkość na koń, gdyż ów grabia czeski, którego wołacie Hlawa, czeka na was z wieczerzą w namiotach pana mego.

Więc Zbyszko siadł na koń i zbliżywszy się do pana de Lorche, jechał w pobok, aby swobodnie z nim rozmawiać, albowiem ciekawy był jego dziejów.

— Okrutniem rad — rzekł — iżeś po naszej stronie, ale mi to dziwne, boś przecie u Krzyżaków służył.

— Służą ci, którzy żołd biorą — odparł de Lorche — a jam go nie brał. Nie. Jam, między Krzyżaków przyjechał w tym jeno celu, aby przygód szukać i pas rycerski pozyskać, który, jak ci wiadomo, z rąk polskiego księcia pozyskałem. I bawiąc długie lata w tych krajach, poznałem po czyjej stronie słuszność, a gdym się przytem tu ożenił i osiedlił, jakże mi było przeciw wam stawać? Jam już tutejszy i patrz, jakom się mowy waszej wyuczył. Ba! swojej już nieco zapomniałem.

— A twoja majętność w Geldrji? Bo jakom słyszał, toś tamtejszemu władcy pokrewny i dziedzic wielu zamków i wieści.

— Dziedzictwo moje krewnemu Fulkonowi de Lorche ustąpiłem, który mi je spłacił. Pięć roków temu byłem w Geldrji i dostatki wielkie stamtąd przywiozłem, za którem się na Mazowszu okupił.

— A jakże się to stało, żeś się z Jagienką z Długolasu ożenił?

— Ach! — odpowiedział de Lorche — kto zdoła odgadnąć niewiastę? Dworowała ci ona ze mnie zawsze, aż, gdym mając tego dosyć, oświadczył jej, że do Azji na wojnę z żalu pojadę i już nigdy nie wrócę, rozpłakała się niespodzianie i rzekła: „To ja mniszką ostanę”. Padłem jej do nóg za te słowa, a we dwie niedziele później biskup płocki pobłogosławił nam w kościele.

— Dzieci zaś macie? — zapytał Zbyszko.

— Po wojnie Jagienka wybiera się do grobu waszej królowej Jadwigi, aby ją o błogosławieństwo uprosić — odrzekł, wzdychając de Lorche.

— Dobrze. Powiadają, że to pewny sposób i że w tych rzeczach niemasz lepszej nad naszą świętą królową orędowniczki. Walne spotkanie nastąpi za kilka dni, a potem będzie spokój.

— Tak.

— Ale Krzyżacy pewnie cię za zdrajcę poczytują.

— Nie! — rzekł de Lorche. — Wiesz, jako czci rycerskiej przestrzegam. Jeździł Sanderus ze zleceniami biskupa płockiego do Malborka, więc posłałem przez niego pismo do mistrza Ulryka, w którem wy-

powiedziałem mu służbę i wyłuszczyłem mu przyczyny, dla których po waszej stronie staję.

— Ha! Sanderus! — zawołał Zbyszko. — Mówił mi, że mu śpiż na dzwonach zbrzydł i że do żelaza zbudziła się w nim chętka, co mi i dziwne, bo zajęcze zawsze miał on serce.

A pan de Lorche odrzekł:

— Sanderus tyle ma ze stalą albo z żelazem do czynienia, że mnie i moich giermków goli.

— Tak to? — zapytał rozweselony Zbyszko.

Czas jakiś jechali w milczeniu, poczem de Lorche podniósł oczy ku niebu i rzekł:

— Prosiłem was na wieczerzę, ale nim zajedziem, to chyba będzie śniadanie.

— Miesiąc jeszcze świeci — odparł Zbyszko. — Jedźmy.

Więc zrównawszy się z Maćkiem i Powałą, jechali dalej razem we czwórkę szeroką obozową ulicą, którą wytykano zawsze z rozkazu dowódców między namiotami i ogniskami, aby przejazd był wolny. Chcąc dostać się do stojących na drugim końcu obozu chorągwi mazowieckich, musieli go cały wzdłuż przejechać.

— Jak Polska Polską — ozwał się Maćko — jeszcze takich wojsk nie widziała, bo spłynęły narody ze wszystkich krain ziemi.

— Żaden też inny król takich nie postawi — odpowiedział de Lorche — bo żaden tak potężnem państwem nie władnie.

A stary rycerz zwrócił się do Powały z Taczewa:

— Ile, mówicie, panie, przyszło chorągwi z kniaziem Witoldem?

— Czterdzieście, — odrzekł Powała. — Naszych, polskich wraz z Mazurami, jest pięćdziesiąt, ale nie tak okryte, jak Witoldowe, bo u niego czasem i kilka tysięcy ludzi pod jednym znakiem służy. Ha! Słyszeliśmy, iż Mistrz rzekł, iż to hołota lepsza do łyżek, niż do miecza, ale bogdaj że w złą godzinę to wymówił, bo tak myślę, że litewskie sulice okrutnie się od krzyżackiej juchy zaczerwienią.

— A ci, wedle których teraz przejeżdżamy, którzy są? — zapytał de Lorche.

— To Tatary; przywiódł ich Witoldowy hołdownik Saladyn.

— Dobrzyż do bitwy?

— Litwa umie z nimi wojować i znaczną ich część podbiła, z której przyczyny musieli na tę wojnę przyciągnąć. Ale zachodniemu rycerstwu ciężko z nimi, gdyż oni w ucieczce straszniejsi, niż w spotkaniu.

— Przypatrzmy się im bliżej — rzekł de Lorche.

I pojechali ku ogniskom, które otaczali ludzie z nagiemi całkiem ramionami, odziani mimo pory letniej w owcze tułuby wełną do góry. Większa część ich spała wprost na gołej ziemi, albo na mokrej i parującej od żaru słomie, lecz wielu siedziało w kuczki przy płonących stosach; niektórzy skracali sobie godziny nocne, podśpiewując przez nos dzikie pieśni i uderzając do wtóru jednym piszczelem końskim o drugi, co czyniło dziwny i nieprzyjemny łoskot; inni mieli małe bębenki lub brzdąkali na naciągniętych cięciwach łuków. Inni żarli

świeżo wyjęte z ognia, dymiące, a zarazem krwawe kawały mięsiwa, na które dmuchali wzdętemi, sinemi wargami. Wogóle wyglądali tak dziko i złowrogo, że łatwiej ich było wziąć za jakieś okropne stwory leśne, niż za ludzi. Dymy ognisk były gryzące od końskiego i baraniego tłuszczu, który w nich topniał, a prócz tego rozchodził się naokół nieznośny swąd przypalonej sierści, przygrzanych tulubów i ckliwa woń świeżo zdartych skór i krwi. Z drugiej, ciemnej strony ulicy, gdzie stały konie, zawiewało ich potem. Szkapy owe, których kilkaset trzymano dla rozjazdów w pobliżu, wygryzłszy trawę z pod nóg, gryzły się między sobą, kwicząc przeraźliwie i chrapiąc. Koniuchowie uśmierzali walkę głosem i batami z surowca.

Niebezpiecznie było zapuszczać się w pojedynkę między nich, gdyż dzicz to była niesłychanie drapieżna. Tuż za nimi stały niewiele mniej dzikie watahy Besarabów, z rogami na głowach, długowłosych Wołochów, noszących miast pancerzy drewniane, malowane deski na piersiach i plecach, z niezgrabnymi wizerunkami upiorów, kościotrupów lub zwierząt; dalej Serby, których uśpiony teraz obóz rozbrzmiewał we dnie w czasie postojów jakby jedna wielka lutnia, tyle w nim było fletni, bałabajek, multanków i różnych narzędzi muzycznych.

Świeciły ognie, a z nieba wśród chmur, które mocny wiatr rozwiewał, świecił jasny wielki miesiąc i przy owych blaskach przypatrywali się nasi rycerze obozom. Za Serbami stała nieszczęsna Żmujdź. Niemcy wytoczyli z niej potoki krwi, a jednak na każde wezwanie Witolda, zrywała się do nowych bojów. I teraz, jakby w przeczuciu, że niedola jej skończy się wkrótce raz na zawsze, przyciągnęła tu przejęta duchem tegoż Skirwojłły, którego samo imię przejmowało Niemców wściekłością i trwogą. Ogniska żmujdzkie stykały się wprost z litewskiemi, gdyż ten sam był to naród, ten sam obyczaj i mowa.

Lecz przy wjeździe do litewskich obozów posępny obraz uderzył oczy rycerzy. Oto na zbitej z okrąglaków szubienicy zwieszały się dwa trupy ludzkie, które wiatr kołysał, huśtał, okręcał i podrzucał z taką siłą, że aż bale szubienicy skrzypiały żałośnie. Chrapnęły na widok trupów i przysiadły nieco na zadach konie, więc rycerze poczęli się żegnać pobożnie, a gdy przejechali, Powała rzekł:

— Kniaź Witold był razem z królem, a ja byłem przy królu, gdy przywiedziono tych winowajców. Już poprzednio skarżyli się nasi biskupi i panowie, że Litwa zbyt okrutnie wojuje i kościołów nawet nie oszczędza. Więc gdy ich przywiedziono (a byli to znaczni ludzie, ale Najświętszy Sakrament nieszczęśnicy pono znieważyli), napęczniał kniaź tak gniewem, że strach było nań spojrzeć — i powiesić im się kazał. To niebożęta sami szubienicę utwierdzić musieli i sami ci się powiesili, a jeszcze jeden drugiego naganiał: „Nuże prędzej, bo kniaź się gorzej rozgniewa!" I strach padł na wszystkich Tatarów i Litwinów, bo oni nie śmierci, ale książęcego gniewu się boją.

— Ba, pomnę — rzekł Zbyszko — że gdy onego czasu w Krakowie król rozgniewał się na mnie o Lichtensteina, to młody kniaź Jamont, który był rękodajnym królewskim, też zaraz radził mi się powiesić. I z dobrego serca dawał tę radę, chociaż byłbym go za nią pozwał na

udeptaną ziemię, gdyby nie to, że i tak mieli mi, jako wiecie, szyję uciąć.

— Kniaź Jamont nauczył się już rycerskich obyczajów — odrzekł Powała.

Tak rozmawiając, minęli wielki obóz litewski i trzy świetne pułki ruskie, z których najliczniejszy był smoleński, a wjechali do polskiego obozu. Stało tam pięćdziesiąt chorągwi — jądro i zarazem czoło wszystkich wojsk. Zbroje tu były lepsze, konie ogromniejsze, rycerstwo bardziej ćwiczone, w niczem zachodniemu nie ustępujące. Siłą członków ciała, wytrwałością na głód, zimno i trudy przewyższali nawet ci dziedzice z Wielko i Małopolski bardziej dbałych o wygody wojowników z Zachodu. Obyczaj ich był prostszy, pancerze grubiej kowane, ale hart większy, a ich pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość podziwiali już swego czasu nieraz przybyli z daleka francuzcy i angielscy rycerze.

De Lorche, który znał polskie rycerstwo oddawna, tak też mówił:

— Tu cała siła i cała nadzieja. Pamiętam, jako w Malborku nieraz narzekano, że w bitwie z wami każdą piędź ziemi trzeba rzeką krwi okupić.

— Rzeką też i teraz krew popłynie — odpowiedział Maćko — bo i Zakon nigdy dotychczas takiej potęgi nie zebrał.

Na to zaś Powała:

— Powiadał rycerz Korzbóg, który od króla do Mistrza z listami jeździł, iż Krzyżacy mówią, że ni cesarz rzymski, ni żaden król nie ma takiej potęgi i że Zakon mógłby wszystkie królestwa zawojować.

— Ba, przecie nas więcej! — rzekł Zbyszko.

— Tak, ale oni lekko sobie Witoldowe wojsko ważą, że to lud byle jako zbrojny i że się od pierwszego uderzenia skruszy, jako gliniany garnek pod młotem. A prawda li to, czy też nieprawda, nie wiem.

— I prawda i nieprawda! — ozwał się roztropny Maćko. — My ze Zbyszkiem znamy ich, bośmy razem z nimi wojowali. Jużci zbroja u nich gorsza i chmyzowate konie, przeto często bywa, że się pod naporem rycerstwa ugną, ale serca mają tak chrobre, albo i mężniejsze niż Niemce.

— Niezadługo się to pokaże — rzekł Powała. — Królowi ciągle śluzy do oczu płyną na myśl, że tyle się krwi chrześcijańskiej rozleje i do ostatniej chwili radby sprawiedliwy pokój zawrzeć, ale pycha krzyżacka do tego nie dopuści.

— Jako żywo! Znam ja Krzyżaków i wszyscy ich znamy — przytwierdził Maćko. — Bóg już tam wagi przyładował, na których położy krew naszą i nieprzyjaciół naszego plemienia.

Już byli niedaleko chorągwi mazowieckich, między któremi tkwiły namioty pana de Lorche, gdy wtem na środku „ulicy” spostrzegli sporą gromadę ludzi zbitych w kupę i patrzących na niebo.

— Stójcie tam! stójcie! — zawołał jakiś głos na środku gromady.

— A kto mówi i co tu robicie? — zapytał Powała.

— Proboszcz Kłobucki. A wy kto?

— Powała z Taczewa, rycerze z Bogdańca i de Lorche.

— Ach, to wy, panie — rzekł tajemniczym głosem ksiądz proboszcz, zbliżając się do konia Powały. — Spojrzyjcie jeno na miesiąc i patrzcie, co się na nim wyrabia. Wróżebna to i cudowna noc!

Więc rycerze podnieśli głowy i poczęli patrzeć na księżyc, który już zbladł i bliski był zachodu.

— Nie mogę nic rozeznać! — rzekł Powała. — A wy co widzicie?

— Mnich w kapturze potyka się z królem w koronie! Patrzcie! o tam! W imię Ojca i Syna i Ducha! O jakże się okrutnie zmagają... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Naokół zapadła cisza, bo wszyscy wstrzymali oddech w piersiach:

— Patrzcie, patrzcie! — wołał ksiądz.

— Prawda! coś ci takiego jest! — rzekł Maćko.

— Prawda! prawda! — potwierdzili inni.

— Ha! król obalił mnicha — zakrzyknął nagle proboszcz Kłobucki — nogę na nim postawił! Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków!

W tej chwili duża czarna chmura przykryła księżyc — i noc stała się ciemna — tylko blask ognisk drgał krwawemi pasmami wpoprzek drogi.

Rycerze ruszyli dalej, a gdy już odjechali od gromady, Powała spytał:

— Widzieliście co?

— Z początku nic — odpowiedział Maćko — ale potem widziałem wyraźnie króla i mnicha.

— I ja.

— I ja.

— Znak Boży — ozwał się Powała. — Ha! to już mimo łez naszego króla, nic widać z pokoju nie będzie.

— A bitwa będzie taka, jakiej świat nie pamięta — rzekł Maćko.

I jechali dalej w milczeniu, mając serca wezbrane i uroczyste.

Lecz gdy już byli niedaleko namiotu pana de Lorche, zerwał się znów wicher z taką siłą, że w mgnieniu oka porozrzucał ogniska Mazurów. Powietrze zaroiło się tysiącami głowni, płonących szczypek, skier, a zarazem przesłoniło się kłębami dymu.

— Hej, dmie okrutnie! — mówił Zbyszko, ociągając opończę, którą mu wiatr na głowę zarzucił.

— A w wichurze jakoby jęki i płacz ludzki słychać.

— Świt już niezadługo, ale nikt nie wie, co mu dzień przyniesie — dodał de Lorche.

81.

Nad ranem wichura nietylko nie ustała, ale wzmogła się do tego stopnia, że niepodobna było rozpiąć namiotu, w którym król zwykł był od początku wyprawy słuchać codziennie trzech mszy świętych. Przybiegł wreszcie Witold z prośbami i błaganiem, aby nabożeństwo do stosowniejszej pory w zaciszach leśnych odłożyć i nie wstrzymywać pochodu. Jakoż stało się zadość jego życzeniu, bo nie mogło być inaczej.

O wschodzie słońca ruszyły wojska ławą, a za niemi nieprzejrzany tabor wozów. Po godzinie pochodu wiatr uciszył się, tak, że można było rozwinąć chorągwie. I wówczas pola, jak okiem sięgnąć, pokryły się niby kwieciem stubarwnem. Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którym pułki posuwały się naprzód. Szła więc Ziemia Krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, była zaś to chorągiew naczelna całego Królestwa, wielki znak dla wszystkich wojsk. Niósł ją Marcin z Wrocimowic, herbu Półkozy, rycerz potężny i w świecie sławny. Za nią szły hufce nadworne, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią. Zaś pod znakiem św. Jerzego ciągnął potężny zastęp najemników i ochotników zagranicznych, przeważnie z Czechów i Morawców złożony. Tych wielu stanęło na tę wojnę, bo i cała czterdziesta dziewiąta chorągiew była wyłącznie z nich złożona. Lud to był, zwłaszcza w piechocie, która ciągnęła za kopijnikami, dziki, niesforny, ale do bitwy tak zaprawny, a w spotkaniu tak zaciekły, iż wszelkie inne piechoty, gdy się o nich otarły, odskakiwały co prędzej, jako pies od jeża. Berdysze, kosy, topory, a szczególnie żelazne cepy stanowiły ich broń, którą władali wprost strasznie. Najmowali się oni każdemu, kto ich płacił, albowiem żywiołem ich jedynym była wojna, grabież, rzeź.

W pobok Morawców i Czechów, szło pod swymi znakami szesnaście chorągwi ziem polskich, w tych jedna przemyska, jedna lwowska, jedna halicka i trzy podolskie, a za niemi piechoty tychże ziem, przeważnie zbrojne w rohatyny i w kosy. Książęta mazowieccy Janusz i Ziemowit wiedli chorągwie dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią. Tuż szły biskupie, a potem pańskie w liczbie dwudziestu dwóch. Więc Jaśka z Tarnowa, Jędrka z Tęczyna, Spytka Leliwy i Krzona z Ostrowa, i Mikołaja z Michałowa, i Zbigniewa z Brzezia, i Krzona z Kozichgłów, i Kuby na Koniecpolu, i Jaśka Ligęzy, i Kmity, i Zakliki, a oprócz nich, rodowa Gryfitów i Bobowskich i Koźlich Rogów i różnych innych, którzy w bitwach zbierali się pod wspólnem herbowem godłem i wspólne wykrzykiwali „zawołanie”.

I tak rozkwitła pod niemi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad nimi las kopji z barwnemi „płachetkami” nakształt drobniejszych kwiatów, a z tyłu, w obłokach kurzawy, miejskie i kmiece piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie straszliwej idą, ale wiedzieli, że „trzeba”, więc szli z ochotnem sercem.

Na prawem zaś skrzydle płynęły Witoldowe watahy, pod chorągwiami różnej barwy, ale z jednakiem wyobrażeniem litewskiej pogoni. Żaden wzrok nie mógł objąć wszystkich zastępów, ciągnęły się one bowiem wśród pól i lasów na szerokość przeszło mili niemieckiej.

Przed południem, przyszedłszy wojska w pobliże wsi Logdau i Tannenberga, zatrzymały się na krawędzi lasu. Miejsce zdało się dobre na spoczynek i zabezpieczone od wszelkiej niespodzianej napaści, gdyż z lewej strony oblewała je łacha jeziora Dąbrowskiego, z prawej zaś jezioro Lubiecz, przed wojskami zaś otwierała się szeroka na milę przestrzeń polna. W środku owej przestrzeni, wznoszącej się ku zachodowi łagodnie w górę, zieleniły się łęgi Grunwaldu, a nieco w dali szarzały słomiane dachy i puste, smutne ugory Tannenberga. Nieprzyjaciela, któryby spuszczał się ku lasom i wyniosłości, łatwo było dostrzedz, ale nie spodziewano się, aby mógł prędzej, niż nazajutrz nastąpić. Zatrzymały się też tu wojska tylko na postój, że jednak biegły w rzeczach wojny Zyndram z Maszkowic nawet w pochodzie przestrzegał bojowego porządku, więc stanęły tak, aby w każdej chwili mogły być do sprawy gotowe. Z rozkazu wodza wysłano wnet na lekkich a ścigłych koniach, gońców, hen, przed się, w stronę Grunwaldu i Tannenberga i dalej, aby zbadali okolicę, a tymczasem dla łaknącego nabożeństwa króla ustawiono na wysokim brzegu jeziora Lubiecz namiot kapliczny, aby mógł zwykłych mszy wysłuchać.

Jagiełło, Witold, książęta mazowieccy i rada wojenna, udali się do namiotu. Przed nim zaś zgromadziło się przedniejsze rycerstwo, już to dlatego, aby polecić się Bogu przed dniem strasznym, już aby na króla popatrzeć. I widziano go, jak szedł w szarej obozowej szacie, z twarzą poważną, na której osiadła wyraźnie ciężka troska. Lata mało zmieniły jego postać i nie pokryły mu zmarszczkami oblicza, ani nie ubieliły mu włosów, które i teraz zakładał prędkim ruchem za uszy, jak wówczas, gdy Zbyszko widział go po raz pierwszy w Krakowie. Ale szedł jakby pochylony pod brzemieniem owej strasznej odpowiedzialności, która ciążyła na jego ramionach, jak gdyby pogrążon w wielkim smutku. W wojsku mówiono sobie, że król płacze ustawicznie nad tą krwią chrześcijańską, która ma być przelana i tak było istotnie. Jagiełło wzdrygał się przed wojną, zwłaszcza z ludźmi, którzy na płaszczach i chorągwiach krzyż nosili i z całej duszy pragnął pokoju. Próżno mu panowie polscy, a nawet pośrednicy węgierscy, Ścibor i Gara, wystawiali pychę i dufność krzyżacką, którą przepełnion Mistrz Ulryk gotów był cały świat wyzwać do boju; próżno mu jego własny wysłannik Piotr Korzbóg przysięgał na Krzyż Pański i na swoje ryby herbowe, że Zakon ani chce słyszeć o pokoju i że jedynego komtura gniewskiego, hrabiego von Wende, który do pokoju nakłaniał, inni obrzucili szyderstwy i obelgami — on jeszcze miał nadzieję, że nieprzyjaciel uzna słuszność jego żądań, pożałuje krwi ludzkiej i sprawiedliwym układem straszliwą waśń zakończy.

Więc i teraz poszedł się modlić o to do kaplicy, gdyż prostą a dobrotliwą duszę jego dręczył ogromny niepokój. Nawiedzał już ongi Jagiełło ogniem i żelazem ziemie krzyżackie, ale czynił to jako pogański książę litewski, lecz teraz, gdy jako król polski i chrześcijanin, ujrzał płonące sioła, zgliszcza, krew i łzy, ogarnęła go bojaźń gniewu Bożego, zwłaszcza, że to był dopiero początek wojny. Gdyby choć na tem poprzestać! Ale oto dziś, jutro zetrą się narody i ziemia roz-

mięknie od krwi. Juzci nieprawy jest ten nieprzyjaciel, ale jednak krzyże na płaszczach nosi i bronią go tak wielkie i święte relikwie, że myśl cofa się przed niemi przerażona. W całem wojsku myślano przecież o nich z obawą i nie grotów, nie mieczów, nie toporów, ale tych świętych szczątków obawiali się głównie Polacy. „Jakoże nam będzie na Mistrza ramię podnosić — mówili nieznający trwogi rycerze — gdy na pancerzu u niego relikwiarz, a i w nim i kości święte i drzewo Krzyża Zbawiciela!” Witold gorzał wprawdzie wojną, pchał do niej i spieszył się do bitwy, lecz pobożne serce króla truchlało poprostu na wspomnienie tych mocy niebieskich, któremi Zakon osłaniał swą nieprawość.

82.

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą, i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęczeniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i, nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

— Niemce, miłościwy panie!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, poczem zawołał:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

— Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie — odpowiedział zdyszanym głosem Hanko — ale z za wzgórza kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powtórzył król.

A wtem Witold, któremu za pierwszem słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle — zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Odwołać drugą mszę, i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Jedź ty, bracie, a ja ostanę i drugiej mszy wysłucham.

Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili, gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa, i zdala już począł krzyczeć:

— Niemce! Niemce! widziałem dwie chorągwie!

— Na koń! — ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem.

A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tętent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty: wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armja krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porozjeżdżali się w mgnieniu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan,

księży i pachołków. Ale w tej chwili rozległ się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ramiona, złożył pobożnie dłonie i, wzniósłszy oczy ku niebu, wolnym krokiem udał się do namiotu.

* * *

Lecz, gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnemi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze, rozległej równiny, zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwiana. Jeszcze dalej, hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem, wznosił się ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widnokrąg, poczem zwróciwszy się do księdza podkanclerzego Mikołaja, zapytał:

— Jakiego dziś patrona?

— Dzień Rozesłania Apostołów — odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

— Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu tysięcy chrześcijan, którzy się dziś na tem polu zetrą.

I wskazał ręką szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do Tannenberga, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopji, które Zyndram z Maszkowic przysyłał jako straż dla osoby królewskiej.

* * *

Straży królewskiej przywodził Aleksander, młodszy syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który szczególną „przemyślnością” do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy, Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najsłynniejsi byli: Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Zoława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu rycerzy rakuskich rozciągnął, i drugi Czech Sokół, łucznik nad łuczniki, i wielkopolanin Bieniasz Wierusz, i Piotr Medjolański, i bojarzyn litewski Sienko z Pohosta, którego ojciec Piotr jednej chorągwi smoleńskiej przywodził, i krewny króla kniaź Fiedușko, i kniaź Jamont, a zresztą sami polscy rycerze, „wybrani z tysięców”, którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośrednio przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy, młodzieńczyk uczony, biegły

w sztuce czytania i w piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzej giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak królewski. Dopełniało orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ściągłych bieguanach mieli z rozkazami do wojsk latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną, błyszczącą zbroję, poczem przywiedli mu również „wybranego z tysięców" cisawego rumaka, który parskał nozdrzami na dobrą wróżbę z pod stalowego naczółka i napełniając rżeniem powietrze, przysiadał nieco, jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w ręku kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł z oblicza, małe, czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawiły się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł go żegnać krzyżem, spoważniał znów i pochylił z pokorą, przybraną w srebrzysty hełm, głowę.

* * *

Tymczasem armja niemiecka, zstępując zwolna z wyniosłej równiny, minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu, z polskiego obozu widać było doskonale groźną ławę zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr targający na to pozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy, miecze, hełmy, baranki, głowy żubrów i niedźwiedzi.

Stary Maćko i Zbyszko, którzy, wojując poprzednio z Krzyżakami, znali ich wojska i herby, pokazywali swoim Sieradzianom dwie chorągwie Mistrza, w których służył sam kwiat i dobór rycerstwa, i walną chorągiew całego zakonu, której przewodził Fryderyk von Wallenrod, i potężną, świętego Jerzego, z krzyżem czerwonym w polu białem, i wiele innych zakonnych. Nieznane im były jeno znaki różnych gości zagranicznych, których tysiące nadciągnęły ze wszystkich stron świata: z Rakuz, z Bawarji, ze Szwabji, ze Szwajcarji, ze słynnej z rycerstwa Burgundji, z bogatej Flandrji, ze słonecznej Francji, o której rycerzach powiadał ongi Maćko, że nawet leżąc już na ziemi, jeszcze waleczne słowa mówią, z zamorskiej Anglji, ojczyzny celnych łuczników, i nawet z dalekiej Hiszpanji, gdzie wśród ustawicznych walk z Saracenami rozkwitło nad wszystkie inne kraje męstwo i honor.

A zaś onej twardej szlachcie z pod Sieradza, z Koniecpola, z Krześni, z Bogdańca, z Rogowa i Brzozowej, jak również z innych ziem polskich, poczęła burzyć się krew w żyłach na myśl, że za chwilę przyjdzie im się związać z Niemcami i całem tem świetnem rycerstwem. Twarze starszych stały się poważne i surowe, ci bowiem wiedzieli, jak ciężka i okrutna będzie to praca. Atoli serca młodych poczęły skowytać, tak właśnie, jak skowyczą trzymane na uwięzi psy myśliwe, gdy zdala dzikiego zwierza ujrzą. Więc niektórzy, ściskając silniej w garściach kopie, rękojeście mieczów i toporzyska, osadzali na zadach konie, jakby do skoku, inni poczęli oddychać szybko, jakby stało im się nagle



Bitwa zamieniła się w jednej chwili w rzez.

za ciasno w pancerzach. Doświadczeńsi jednak wojownicy uspokajali ich, mówiąc: „Nie minie was, a starczy dla każdego, daj Bóg, by nie było nadto.”

Lecz Krzyżacy, spoglądając z góry na lesistą nizinę, widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armja królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach błyszczało coś nakształt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed Mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

— Jakie tam wojska! Jeno z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gońców nie rozsyłał, rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, a bitwa owa nie może zakończyć się inaczej, jak straszliwą klęską nieprzyjaciela. Dufny w siłę, jakiej żaden z Mistrzów nie wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił wywiady, przedstawiał mu, że jednak wojska Jagiełły są liczniejsze — odpowiadał:

-- Jakie tam wojska! Jeno z Polaki przyjdzie się nico wysilić, a reszta, choćby ich było najwięcej, pośledni to lud, lepszy do łyżki, niż do oręża.

I dążąc wielkiemi siłami do bitwy, zapłonął teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem, i gdy widok walnej chorągwi całego królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnem tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armja.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzać, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystem polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku Mistrza, jakim sposobem wywabić z zarośli nieprzyjaciela.

— Na świętego Jerzego! — zawołał Mistrz. — Dwie mile ujechaliśmy nie spoczywając, i upał doskwiera, a ciała oblewają nam się potem pod zbroją. Nie będziem-że tu czekali, póki nieprzyjacielowi nie podoba się wystąpić w pole.

A na to hrabia Wende, mąż poważny wiekiem i rozumem, rzekł:

— Zaiste, już wyśmiewano tutaj moje słowa — i wyśmiewali je tacy, którzy bogdaj że umkną z tego pola, na którem ja polegnę (i tu spojrzał na Wernera von Tetlingen) — ale wżdy powiem, co mi sumienie i miłość do Zakonu nakazuje. Nie serca brak Polakom, jeno, jako wiem, król do ostatka spodziewa się wysłanników pokoju.

Werner von Tetlingen nie odrzekł nic, tylko parsknął wzgardliwym śmiechem, ale i Mistrzowi niemiłe były słowa Wendego, więc ozwał się:

— Zali czas myśleć teraz o pokoju? Nad inną sprawą mamy radzić.

— Czas zawsze na dzieło Boże — odrzekł von Wende.

Lecz okrutny komtur człuchowski Henryk, który zaprzysiągł, że każe nosić przed sobą dwa nagie miecze, dopóki ich w polskiej krwi nie ubroczy — zwrócił do Mistrza swe tłuste, spotniałe oblicze i zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Milsza mi śmierć od hańby! — i choćby sam jeden, tymi mieczami na całe wojsko polskie uderzę!

Ulryk zmarszczył nieco brwi:

— Przeciw posłuszeństwu mówisz — rzekł.

A potem do komturów:

— Radźcie jeno o tem, jak nieprzyjaciela z boru wyciągnąć.

Więc różni różnie radzili, aż wreszcie podobało się i komturom i przedniejszym gościom rycerskim zdanie Gersdorfa, aby wysłać dwóch heroldów do króla z oznajmieniem, że Mistrz przysyła mu dwa miecze i wyzywa Polaków na bój śmiertelny, jeśli zaś mało mu pola, to ustąpi nieco z wojskiem, aby im go przyczynić.

* * *

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją:

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

— Da Bóg! — odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżali się do obozu.

W jasnem świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropiezami koniach bojowych: jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotem polu, drugi, który był heroldem księcia Szczecińskiego: gryfa na białem polu. Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś, zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo.

— Mistrz Ulryk — rzekł pierwszy herold — wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną, i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłómaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulryk kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Jaśko Mązyk znów przełożył jego słowa, i nastała cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry, tak odrzekł:

— Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję, jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc — amen.

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli, i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznem od jedwabiów, które po wierzchu zbroi nosili.

* * *

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany „czelny", złożony z najstraszniejszych rycerzy, za nim walny — a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatywał Zyndram z Maszkowic i Witold. Ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach. Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

* * *

Mistrz spoglądał tymczasem na wojska królewskie, które wysuwały się z boru.

Patrzał długo na ich ogrom, na rozpostarte jakby u olbrzymiego ptaka skrzydła, na poruszaną wiatrem tęczę chorągwi, i nagle serce mu się ścisnęło jakiemś nieznanem, strasznem uczuciem. Może ujrzał oczyma duszy stosy trupów i rzeki krwi. Nie lękając się ludzi, może zląkł się Boga, trzymającego już tam na wysokościach niebios szale zwycięstwa.

Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jaki to okropny nastał dzień, i po raz pierwszy uczuł, jaką niezmierną odpowiedzialność wziął na swoje ramiona.

Więc twarz mu pobladła, wargi poczęły drżeć, a z oczu puściły się obfite łzy. Komturowie ze zdziwieniem spoglądali na swego wodza.

— Co wam jest, panie? — zapytał hrabia Wende.

— Zaiste stosowna to do łez pora! — ozwał się okrutny Henryk, komtur człuchowski.

A wielki komtur, Kuno Lichtenstein, wydął wargi i rzekł:

— Otwarcie naganiam ci to, Mistrzu, bo ci teraz podnosić serca rycerzy, nie zaś osłabiać przystoi. Zaprawdę, nie takiegośmy cię przedtem widywali.

Lecz Mistrzowi wbrew wszelkim wysiłkom spływały tak ciągle łzy na czarną brodę, jakby w nim płakał kto inny.

Wreszcie pohamował się nieco i, zwróciwszy surowe oczy na komturów, zawołał:

— Do chorągwi!

Więc skoczyli każdy do swojej, bo bardzo potężnie przemówił, a on wyciągnął rękę do giermka i rzekł:

— Daj mi hełm.

* * *

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu, między Niemcami a armją królewską, wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po niem wiatr, a nad niem unosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimowoli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek, i całe skrzydło litewskie zerwało się nakształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli odrazu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy niem. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu, zamiast łez, skry. Ujrzawszy więc rozpędzoną ćmę litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie-że i wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

— Gott mit uns! — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał, i szły straszne, niepohamowane jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i giełła się pod niemi.

* * *

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linji, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

„Boga-Rodzica, Dziewica,
„Bogiem sławiona Marja!
„U Twego Syna, Hospodyna,
„Matko zwolona, Matko jedyna
„Ziści nam — spuśt winom!...
„Kyrie Eleison!...

I wraz moc wstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i łęgom, i całej ziemi, jak długa i szeroka:

„Ziści nam — spuśt winom!...
„Kyrie Eleison!...

A oni śpiewali dalej:

„Twego Syna Krzciciela, zbożny czas.
„Usłysz głos, napełnij myśli człowiecze;
„Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy:
„To dać raczy, jego prosimy:
„Daj na świecie zbożny pobyt
„Po żywocie rajski przebyt,
„Kyrie Eleison!

Echo powtórzyło w odpowiedzi: „Kyrie Eleisooon!” — a tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

„Adamie, ty Bożу kmiecu,
„Ty siedziß u Boga w wiecu,
„Domieść nas, swe dzieci
„Gdzie królują święci anieli!
„Tam radość,
„Tam miłość,
„Tam widzenie Twórca, anielskie, bez końca...”
„Kyrie Eleison!....

I znów runęło echo po borze: „Kyrie Eleisooon!” Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł wiedzieć ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem Mistrz Ulryk, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca „czelnego”, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic, i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

* * *

Lecz Litwa ugięła się przed straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwarły się ze wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo, całkiem zakute w stalowe zbroje, i na koniach stalą osłonionych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okrytych?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki, nasadzane krzemieniem lub gwoździami, odbijały się tak o żelazne blachy, jak o skałę, lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Kniaź Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód Tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska, i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojsk pierzchła w stronę jeziora Lubiecz, i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kośbę tak straszną, że całe pobrzeże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której były trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, następnie i przez te które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawiali opór. Bitwa

zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szał bojowy. Pojedyńczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się naoślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława, prąc, tratując i miażdżąc konie i rycerzy smoleńskich, przyszła nakoniec w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagały się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywodził.

* * *

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenia rycerskie. Wsparły nawet Niemców „drzewa" polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza, że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic, i nadworna, której Powała z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po trzaskaniu kopji chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarcz, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł nakształt podciętych sosen witezie. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to „nieużyty" i „natarczywy" jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimowoli konia, spoglądał przed się niepewnie, i nim się namyślił co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne, i biły miecze, biły okże, biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały, jak w kuźniach, żelazne blachy, śmierć gasiła, niby wicher, żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą.

Leciały w górę skry, skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków osuwały się po krwawych, leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich, i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów, lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody Gamrata, który, straciwszy tarczę, zwinął w kłąb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od

pachy ramię, drugiem zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmieri wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich, jak orzeł między żórawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgji, i Klingensteina, i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha z pod Moguncji i Nachterwitza też z Moguncji, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy, w lewo i w prawo, on zaś bił w nich, jak w walącą się ścianę, i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, poczem widziano błysk topora i hełm niemiecki zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę kształtu sowiej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je, i wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijać, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnemi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i nazawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroza, i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko Ochwia, i Zych Pikna osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelichowa przywodził. Tam Powała z Taczewa, siłę nadludzką mający, obalał ludzie i konie, kruszył żelazne hełmy, jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powała z Wyhucza i Mścisław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokol i Zbisławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła jej w pomoc, siły zrównały się mniej więcej, i odrzucono Niemców prawie na pół strzelenia z kuszy od miejsca, w którem nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele, między przedchorągiewnymi, szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny herbu Su-

lima. W pobok walczyli brat jego Farurej i Florjan Jeliczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiſka, i Paſzko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiſzy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi ſama śmierć ſzła im naprzeciw, on zaś walczył z namarſzczoną brwią i ściśniętemi nozdrzami, ſpokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czaſem równo poruſzał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyſkowi jego miecza odpowiadał krzyk ſtraſzny porażonego męża, a on nie oglądał ſię nawet i ſzedł, pracując, naprzód, jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańſka chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiſkupia i trzy mazowieckie ſzły z nią w zawody. Ale i wſzyſtkie inne przeſadzały ſię wzajem w zawziętości i natarczywem męſtwie. W ſieradzkiej młody Zbyſzko z Bogdańca rzucał ſię, jak dzik, w najgęſtſze tłumy, zaś przy boku jego ſzedł ſtary ſtraſzny Maćko, walcząc rozważnie, jak walczy wilk, który inaczej, niż na śmierć nie ukąſi.

Szukał on wſzędy oczyma Kunona Lichtenſteina, ale nie mogąc go w tłoku doſtrzedz, upatrywał tymczaſem innych, takich, którzy świetniejſze mieli na ſobie zbroje, i nieſzczęſny był każdy rycerz, któremu ſię z nim ſpotkać przyſzło. Niedaleko od obu rycerzy Bogdanieckich, ciſkał ſię nieznośnie złowrogi Cztan z Rogowa. Po pierwſzem ſpotkaniu rozbito mu hełm, więc walczył teraz z gołą głową, ſtraſząc ſwą zakrwawioną włochatą twarzą Niemców, którym ſię zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed ſobą.

Jednakże ſetki, a potem tyſiące rycerzy zaległy z obu ſtron ziemię, aż wreſzcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła ſię chwiać niemiecka nawała, gdy w tem zaſzło coś takiego, co loſy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważyć.

Oto, wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięſtwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polſkiego ſkrzydła.

Sądząc, że wſzyſtkie wojſka królewſkie już rozbite i bitwa ſtanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed ſobą ſrogą rzeź i Polaków prawie już zwycięſkich, ogarniających zaſtępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżają głowy, ſpoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co ſię dzieje, a potem, jak który ſtał, wbijał koniowi oſtrogę w boki i puſzczał ſię w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tyſiące ich zwaliły ſię na znużone walką chorągwie polſkie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linji, ziemia ſpłynęła potokami krwi, zachmurzyło ſię niebo i odezwały ſię głuche grzmoty, jakby ſam Bóg chciał mieſzać ſię między walczących.

Lecz zwycięſtwo poczęło chylić ſię ku Niemcom... Już, już wſzczy-

nała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń triumfu:

„Christ ist erstanden!....

— — — — — — — — — —

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armji, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów, zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepłe z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawemi oczyma i rozwianą dziką grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy, i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął, i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem triumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadał ze skrzętu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż

zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

* * *

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkiem i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś-Ma-ry-ja-La-skiś-peł-na-Pan-z-To-bą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy; kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzaski i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom.

* * *

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypł od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żóława chwycił za cugle konia, i choć król uderzył go włócznią po ręku, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając, i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto Mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którem stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski, Zbigniew z Oleśnicy, skoczył co siły w koniu, do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kiełbasa przywodził.

— Król w obieży. Na pomoc! — zawołał Zbigniew.

Lecz Kiełbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną myckę z głowy i, pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura, i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla, zaczem ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę!

I niepomny z kim mówi, zziajany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś, widząc z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszność, skoczył napowrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blizko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych, jak tury, koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam Wielki Mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr, wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale z pod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec, i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się

odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spiął ostrogami konia, i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskiem rzemiośle. Ten mając złomek kopji w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwalił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył."

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił kniaź Jamont, a on sam leżał śmiertelnie porażon w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoicielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze z pod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam Mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: „Herum! herum!" — zagarniał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najblizej od pola stojący Mikołaj Kiełbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie spieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie Wielkiego Mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą Mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, poczem minąwszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! sam Mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kiełbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którem wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się Mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu

polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej i ustępowali zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrętu. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelezie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy, poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

* * *

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbiły się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wicher, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do Mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłemi usty komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulryk spojrzał na niego ponuro i wzniósłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którem tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknąwszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w wir bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwalił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atyllą i Karła Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak zżęty łan zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju Mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskaki-

wali z koni na znak, że chcą iść w niewolę i poklękali na obluzganej krwią ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

* * *

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wolało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się tedy Niemcy, wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i okszе. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy, popodnosiwszy przyłbice, żegnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się naoślep w ukrop bojowy, jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni nakoniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordję, lub, porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszów z prośbą: „Pchnij!”

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedyńczym rycerzom. Ale wogóle i te rozbite gromady biły się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto klękał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozproszył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedyńczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden, otoczonym przez piechotę kmiecą, utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny, wkopany na wzgórzu i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rażony.

* * *

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

— Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się, alibo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

— Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił.

To rzekłszy, skoczył ku niemu i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową.

* * *

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot: „Erbarme dich meiner!” (oszczędź mnie) — i złożył z przestrachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekręcić miecz i płazem tylko w spasły, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu giermkowi, który założywszy mu powróz na szyję, powlókł go jak wołu tam, dokąd spędzono wszystkich jeńców krzyżackich.

* * *

A stary Maćko szukał wciąż na krwawem pobojowisku Kunona Lichtensteina — i szczęsny we wszystkiem dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zaroślach, w których przytaiła się garść uchodzących ze strasznego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko, dowiedziawszy się iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go stawić przed sobą i odjąwszy hełm z głowy, zapytał:

— Kunonie Lichtensteinie, zali poznajesz mnie?

A on zmarszczył brwi i utkwiwszy oczy w obliczе Maćka, rzekł po chwili:

— Widziałem cię na dworze w Płocku.

— Nie — odpowiedział Maćko — widziałeś mnie przedtem! Widziałeś mnie w Krakowie, gdym cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to ślubowałem Bogu i zaprzysiągłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

— Wiem — odparł Lichtenstein i wydął dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno — ale jeńcem twoim teraz jestem i zhańbiłbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowroga i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.



Zakon krzyżacki u nóg Jagiełły.

— Kunonie Lichtensteinie — rzekł — miecza na bezbronnego nie wzniosę, ale to ci powiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każę jak psa na powrozie powiesić.

— Nie mam wyboru, stawaj! — zawołał wielki komtur.

— Na śmierć, nie na niewolę — zastrzegł raz jeszcze Maćko.

— Na śmierć.

I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręczniejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolanem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch:

— Daruj! — jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

— Nie! — odpowiedział nieubłagany Maćko.

I przyłożywszy mizerykordję do szyi przeciwnika, pchnął dwukrotnie, a tamten zaharczał okropnie: fala krwi buchnęła mu ustami, drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego ciałem, poczem wyprężył się i wielka uspokoicielka rycerzy uspokoiła go na zawsze.

* * *

Bitwa zmieniła się w rzez i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wielu bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nietylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały oną „przednią straż” teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów”, przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!” Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiózł Szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidłowski herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy, klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armja krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem, przygotowanem na wielką ucztę po zwycięstwie.

* * *

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i pótłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało Wielkiego Mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące na wznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata...

Zaczem łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczcimy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przebrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordją rozciętem i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima i grafa Wendego, który legł z ręki Powały z Taczewa i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Zdala pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładący koniec nędzy, i trudom nietylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzał jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!...

Poczem podniósł dłoń i począł żegnać nietylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci, z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianem niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

* * *

I nietylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

* * *

Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

83.

Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca. Stary rycerz żył jeszcze długo, a Zbyszko doczekał się w zdrowiu i sile tej szczęsnej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malborga ze łzami w oczach Mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku.

(Koniec.)